Zwrot

1
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ



TACY BYLIŚMY



Ślub Róży i Władysława Szczyrbów. Rok 1951. Pani Róża w otoczeniu rodzinnej świty weselnej. U góry z prawej jako drużba Janusz Guziur, obecnie profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, prezes tamtejszego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, autor wielu artykułów publikowanych na łamach Zwrotu, w tym także w tym numerze o p. Róży.

HENRYK JASICZEK

PADA ŚNIEG



Pada śnieg, pada ...
Niebo niziutko zwisa,
A może to nie śnieg,
Tylko biała cisza ...?

Wczoraj jeszcze deszcz łzawił
I rozpaczał jesiennie,
Ukołysany przez wiatr
Zapadł w białość półsenną.

Padał śnieg, padał,
Przestał padać nad ranem,
Kiedy wstałem o świcie -
Byłem z piękna pijany.

A śnieg pachnie gwiazdami ...
Za oknem gałązka zwisa,
I taka cichutka biel ...
I taka bielutka cisza ...

Ciszy, pokoju w nas i wokół nas życzy Czytelnikom Zwrotu

wydawca i redakcja

Zwrot 1 2002

Rok LIII, Nr 626
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

C2III 6/2002

3174

W NUMERZE

3	Statut Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej	
10	Stosunki polsko-czechosłowackie na przełomie wojny i pokoju (styczeń 1945 – styczeń 1946) cz. 2	ADAM BIERNAT
15	Zjednoczona Europa naszym wspólnym domem	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
17	Solą teatru jest teatr alternatywny. Rozmowa z Januszem Klimszą	CZESŁAWA RUDNIK
23	Pielęgniarka z Pasiek	JANUSZ GUZIUR
28	O historii regionu inaczej	KAZIMIERZ JAWORSKI
31	Wystawa Polskiej Książki	CZESŁAWA RUDNIK
33	Kronika: Jubileusz w szkole nad Łucyną, Aniela Kupiec w czeskocieszyńskim Klubie Propozycji, Prof. Andrzej Stelmachowski w Czeskim Cieszynie, „Dlo każdego cosi dobrego", Spektakl nydeckiego Klubu Młodych w Stonawie, Lekarze i miłośnicy książki słuchali Karola Suszki, Jesienne Mgły, Rewia na 105	
44	Poezja Renaty Putzlacher	
46	Fotograficy Zaolzia: Karol Nowak	
49	Karol Kubaj: Grusza	
51	Młode pióro: Maryla Adamec	
53	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
57	Na półkach księgarskich	
60	Echo wydarzeń muzycznych: Wspólny koncert Góroli i Śląska, I Festiwal Chórów Śląskich w Ustroniu, Jubileusz chóru żeńskiego Kalina, Obchody 75-lecia chóru mieszanego Hasło, Koncert jubileuszowy w Marklowicach Dolnych	
71	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA
76	Humor sprzed lat	

Numer zamknięto 12. 12. 2001
Na okładce: Bal Gorolski 2001

K 317/62
18,00

STATUT POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

ROZDZIAŁ I

POSTANOWIENIA WSTĘPNE

§ 1. Nazwa organizacji brzmi: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej, w czeskiej wersji: Polský kulturně-osvětový svaz v České republice. Skrót: PZKO.

§ 2. PZKO działa na terenie całej Republiki Czeskiej. Siedzibą PZKO jest Czeski Cieszyn.

§ 3. PZKO posiada własne godło, chorągiew związkową i sztandar. Ich opis i zasady stosowania określa Regulamin Wewnątrzzwiązkowy.

§ 4. PZKO korzysta z pieczątek urzędowych z napisem w otoku: Polský kulturně-osvětový svaz v České republice – Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej. Pieczątka musi zawierać dwujęzyczną nazwę organu PZKO, do którego należy, oraz dwujęzyczną nazwę miejscowości.

§ 5. PZKO jest stowarzyszeniem społecznym osób fizycznych i działa zgodnie z Ustawą RC 83/1990.

§ 6. Polski Związek Kulturalno-Oświatowy posiada osobowość prawną, osobowość prawną posiadają również Miejscowe Koła.

CELE I ŚRODKI DZIAŁANIA

§ 7. Celem PZKO jest zachowanie tożsamości etnicznej polskiej ludności Śląska Cieszyńskiego oraz Polaków w RC przez wszechstronny rozwój kultury i oświatę, nawiązując do tradycji kultury rodzimej oraz tradycyjnych i współczesnych wartości kultury polskiej. Swoją działalność opiera na zasadach Konstytucji Republiki Czeskiej, na normach międzynarodowych, przyjętych przez jej władze, określających prawa człowieka i ochronę praw mniejszości narodowych według Konwencji Ramowej Rady Europy.

§ 8. PZKO rozwija działalność społeczną w dziedzinie kultury, oświaty i nauki oraz prowadzi niezbędną działalność gospodarczą, zwłaszcza w sferze wydawniczej oraz wytwarzania zaplecza materialnego i fachowego dla swojej pracy.

§ 9. PZKO może być członkiem organizacji kulturalnych, oświatowych, naukowych i gospodarczych w kraju i za granicą, może wstępować w związki stowarzyszeń.

ROZDZIAŁ II

CZŁONKOSTWO, PRAWA I OBOWIĄZKI CZŁONKÓW

§ 10. Członkiem może się stać osoba fizyczna, która ukończyła 14 rok życia i z własnej woli podpisała deklarację członkowską, wyrażając tym zgodę na przestrzeganie Statutu PZKO i programu działania PZKO, wyrażając chęć współdziałania w przedsięwzięciach PZKO oraz dotrzymywania Regulaminu Wewnątrzzwiązkowego.

§ 11. Członka przyjmuje zebranie członkowskie Miejscowego Koła PZKO, w którym złożył pisemną deklarację. W wypadku odmowy przyjęcia przysługuje mu prawo odwołania się do Zarządu Głównego PZKO. Odwołanie musi być rozpatrzone do 30 dni.

§ 12. Każdy członek PZKO otrzymuje legitymację członkowską.

§ 13. Zarząd Główny PZKO może przyznać członkostwo honorowe osobie, która w szczególny sposób przyczyniła się do rozwoju polskiego życia narodowego w Republice Czeskiej. Członkowi honorowemu nie przysługują prawa i obowiązki członka zwyczajnego.

§ 14. Zgodnie z demokratycznymi zasadami pracy wszystkich jednostek organizacyjnych PZKO każdy członek ma prawo:

* wybierać i być wybieranym do władz PZKO,
* brać udział w życiu kulturalnym polskiej mniejszości narodowej w Republice Czeskiej,
* do aktywnego uczestniczenia w działalności PZKO, w dyskusji i podejmowaniu uchwał w jednostkach organizacyjnych i organach, do których został wybrany,
* do przedstawiania wniosków, uwag lub zastrzeżeń do wszystkich organów PZKO,
* do odwołania się od decyzji organów PZKO.

§ 15. Obowiązkiem każdego członka PZKO jest:

* dotrzymywanie zasad statutowych PZKO,
* dbanie o zachowanie języka ojczystego i tradycji naszych przodków,
* płacenie regularnie składek członkowskich (w Miejscowym Kole),
* występowanie w obronie i dla dobra interesów PZKO.

ZANIK CZŁONKOSTWA

§ 16. Członkostwo w PZKO zanika poprzez a/ złożenie pisemnego oświadczenia Zarządowi Miejscowego Koła o rezygnacji z członkostwa, b/ zgon, c/ skreślenie w wypadku zalegania z opłatą składki członkowskiej w okresie dłuższym niż jeden rok, d/ skreślenie na podstawie uchwały zebrania członkowskiego.

ODZNACZENIA ZWIĄZKOWE

§ 17. PZKO przyznaje odznaczenia związkowe według odrębnego regulaminu zatwierdzonego przez Zarząd Główny PZKO.

ROZDZIAŁ III

WŁADZE NACZELNE I ORGANY WYKONAWCZE PZKO

ZJAZD DELEGATÓW PZKO

§ 18. Zjazd Delegatów PZKO jest najwyższym organem Związku, zwoływany co 4 lata przez Zarząd Główny PZKO.

§ 19. Na wniosek 2/3 liczby prezesów Miejscowych Kół i przewodniczących Rad Obwodowych obecnych na Konwencie Prezesów lub 1/3 liczby istniejących Miejscowych Kół Zarząd Główny jest zobowiązany w terminie do 60 dni zwołać Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PZKO. O ile Zarząd Główny tak nie uczyni, obowiązek ten ma Komisja Rewizyjna.

§ 20. W Zjeździe Delegatów oraz Nadzwyczajnym Zjeździe PZKO biorą udział delegaci wybrani na Walnych Zebraniach Miejscowych Kół, dotychczasowi członkowie Zarządu Głównego, Komisji Rewizyjnej, Sądu Rozjemczego. Wszystkim wymienionym przysługuje czynne i bierne prawo wyborcze.

§ 21. Delegaci na Zjazd Delegatów PZKO są wybierani na Walnych Zebraniach Miejscowych Kół spośród członków Miejscowego Koła PZKO według klucza przyjętego przez Zarząd Główny.

§ 22. Zjazdowi Delegatów PZKO ustępujący Zarząd Główny, Komisja Rewizyjna oraz Sąd Rozjemczy przedstawia sprawozdanie z działalności PZKO, sprawozdanie Komisji Rewizyjnej oraz Sądu Rozjemczego. Zjazd uchwala Statut PZKO i jego zmiany, program działania PZKO na następną kadencję oraz inne dokumenty zjazdowe. Wybiera 15-osobowy Zarząd Główny PZKO, 5-osobową Komisję Rewizyjną PZKO oraz 5-osobowy Sąd Rozjemczy. Przewodniczącego Zarządu Głównego PZKO, przewodniczącego Komisji Rewizyjnej PZKO oraz przewodniczącego Sądu Rozjemczego wybierają ukonstytuowane organy na swym pierwszym zebraniu w trakcie obrad Zjazdu Delegatów PZKO spośród swych wybranych członków.

§ 23. W razie potrzeby wyboru nowego przewodniczącego Zarządu Głównego PZKO w okresie między Zjazdami wyboru dokonuje Zarząd Główny PZKO spośród swych członków.

§ 24. W razie potrzeby wyboru nowego przewodniczącego Komisji Rewizyjnej PZKO wyboru dokonuje Komisja Rewizyjna PZKO spośród swych członków.

§ 25. Zjazd uchwala wysokość składek członkowskich na następną kadencję oraz podział składek między Miejscowe Koła i Zarząd Główny PZKO.

ZARZĄD GŁÓWNY PZKO

§ 26. Zarząd Główny (dalej ZG) jest organem statutowym Związku.

§ 27. Przewodniczący lub inny upoważniony członek ZG ma prawo występować w imieniu ZG na zewnątrz i jest równocześnie pełnomocnikiem do wykonywania aktów prawnych.

§ 28. ZG kieruje działalnością PZKO w okresie między Zjazdami Delegatów PZKO. Określa zasadnicze kierunki działalności w oparciu o uchwały zjazdowe, analizuje działalność poszczególnych Miejscowych Kół oraz innych jednostek organizacyjnych PZKO. Podejmuje uchwały zgodnie z Regulaminem Wewnątrzzwiązkowym.

§ 29. Na wniosek przewodniczącego ZG wybiera spośród swoich członków trzech wiceprzewodniczących ZG.

KOMISJA REWIZYJNA PZKO

§ 30. Komisja Rewizyjna (dalej KR PZKO) ma prawo i obowiązek kontroli działalności statutowej, gospodarczej i finansowej ZG. Może przeprowadzać kontrolę Miejscowych Kół w celu służenia im pomocą i doradztwem fachowym. Ma prawo przeprowadzania kontroli gospodarowania majątkiem PZKO oddanym do dyspozycji Miejscowych Kół oraz innych jednostek organizacyjnych. Protokoły, wnioski i zalecenia pokontrolne przedstawia ZG Miejscowym Kołom i innym jednostkom organizacyjnym.

§ 31. KR kieruje się w swej pracy własnym regulaminem oraz własnym planem pracy.

§ 32. Członkowie KR są uprawnieni do uczestniczenia w obradach ZG, Miejscowych Kół, innych jednostek organizacyjnych oraz Konwentu Prezesów.

SĄD ROZJEMCZY

§ 33. Sąd Rozjemczy PZKO ma na celu pojednanie zwaśnionych stron lub wydanie orzeczenia o rozstrzygnięciu sporów między członkami PZKO, między członkami i organami Miejscowych Kół lub organami PZKO. Sąd Rozjemczy składa się z 5 członków wybranych na Zjeździe Delegatów oraz z 2 ławników, delegowanych po jednym przez każdą ze zwaśnionych stron. Sposób odwołania się do SR zwaśnionych stron oraz zasady działania SR określa Regulamin Wewnątrzzwiązkowy.

SEKRETARIAT ZG

§ 34. Działalnością Sekretariatu ZG kieruje mianowany przez ZG kierownik.

§ 35. Działania Sekretariatu ZG określa Regulamin Wewnątrzzwiązkowy.

ROZDZIAŁ IV

STRUKTURA ORGANIZACYJNA

KONWENT PREZESÓW

§ 36. Konwent Prezesów jest organem doradczym, koordynacyjnym i opiniotwórczym PZKO oraz naturalnym łącznikiem z Miejscowymi Kołami. W jego skład wchodzą prezesi Miejscowych Kół PZKO lub upoważnieni przez nich zastępcy oraz przewodniczący Rad Obwodowych.

§ 37. Przewodniczący ZG zwołuje Konwent Prezesów co najmniej 2 razy w ciągu roku kalendarzowego.

§ 38. Kompetencje Konwentu Prezesów określa Regulamin Wewnątrzzwiązkowy.

RADY OBWODOWE

§ 39. Dla lepszej koordynacji wspólnego działania i reprezentowania interesów Miejscowych Kół działających w zbliżonym okręgu administracyjnym zawiązują się Rady Obwodowe.

§ 40. Rady Obwodowe są łącznikiem między ZG i Miejscowymi Kołami, a zarazem łącznikami między samorządami i administracją lokalną.

§ 41. Prawa i obowiązki, sposób powoływania i kompetencje Rad Obwodowych określa Regulamin Wewnątrzzwiązkowy.

MIEJSCOWE KOŁA

§ 42. Miejscowe Koła (dalej MK) są podstawowym ogniwem działalności PZKO. W swej działalności muszą kierować się Statutem PZKO, uchwałami ZG oraz Regulaminem Wewnątrzzwiązkowym.

§ 43. MK może powstać za zgodą ZG i musi liczyć co najmniej 10 członków.

§ 44. MK zwołuje raz na dwa lata Walne Zebranie Członkowskie, które wybiera Zarząd MK oraz Komisję Rewizyjną MK, ocenia dotychczasową działalność oraz przyjmuje plan pracy na następny okres.

§ 45. Zarząd MK oraz KR MK na swoim pierwszym zebraniu wybierają ze swego grona prezesów i o ich wyborze zawiadamiają ZG.

§ 46. Zarząd MK jest organem statutowym. MK musi mieć opracowany własny regulamin respektujący Statut PZKO oraz Regulamin Wewnątrzzwiązkowy. Prezes lub inny upoważniony członek MK mają uprawnienia do występowania w imieniu MK.

§ 47. MK prowadzi ewidencję członków zgłoszonych lub przerejestrowanych do Koła, dba, aby regularnie uiszczali składki członkowskie oraz odpowiada za odprowadzenie ich części do kasy ZG. MK sporządza dla ZG roczne sprawozdanie ze swej działalności.

§ 48. Komisja Rewizyjna MK kontroluje całokształt działalności MK. O wynikach przeprowadzonej kontroli informuje Zarząd MK. Sprawozdanie ze swej pracy przedstawia pisemnie na Zebraniu Członkowskim. Członkowie Komisji Rewizyjnej mają prawo uczestnictwa w obradach Zarządu z głosem doradczym i przedstawiania wniosków, zaleceń czy uwag wynikających z zakresu działania.

WSPÓŁDZIAŁANIE JEDNOSTEK ORGANIZACYJNYCH

§ 49. Zasady i formy współdziałania jednostek organizacyjnych są wyszczególnione w Regulaminie Wewnątrzzwiązkowym.

ROZDZIAŁ V

ZASADY ORGANIZACJI WEWNĄTRZZWIĄZKOWEJ

§ 50. PZKO w swej pracy kieruje się zasadami demokratycznymi. Wszystkie organy są wybierane oddolnie przez członków lub delegatów.

§ 51. O formie głosowania przy podejmowaniu uchwał we wszystkich organach decydują ich członkowie. W sprawach personalnych uchwały są podejmowane z reguły w głosowaniu tajnym. O głosowaniu jawnym może zdecydować ponad połowa obecnych.

§ 52. Organy wybieralne mogą podejmować prawomocne uchwały pod warunkiem, że w głosowaniu bierze udział co najmniej 50 procent ich członków lub dele-

gatów. Uchwała obowiązuje, jeżeli za jej przyjęciem głosowała zwykła większość obecnych.

§ 53. Uchwały zebrania członkowskiego są podejmowane zwykłą większością głosów obecnych członków. Wyjątek stanowi decyzja o wykluczeniu członka, dla której wymagane są 2/3 głosów członków obecnych na zebraniu członkowskim MK.

§ 54. ZG ma prawo unieważnić uchwałę organu niższego wyłącznie wtedy, gdy uchwała została podjęta niezgodnie ze Statutem PZKO i Regulaminem Wewnątrzzwiązkowym.

§ 55. ZG ma obowiązek rozpatrzyć wnioski, uwagi czy krytykę ze strony organów niższych lub poszczególnych członków, przedstawione w formie pisemnej, do 30 dni od ich podania.

§ 56. Wszystkie organy wybieralne mają prawo kooptacji nowych członków w miejsce tych, którzy odstąpili w czasie kadencji.

ROZDZIAŁ VI

MAJĄTEK I ŚRODKI FINANSOWE

§ 57. Majątek PZKO oraz majątek MK służy do realizacji celów statutowych PZKO.

§ 58. Majątek PZKO zarządzany przez ZG tworzą, z wyjątkiem majątków MK, nieruchomości, środki materialne, niematerialne i finansowe oraz papiery wartościowe. Źródłem tego majątku są granty, dotacje, dary, dochody z własnej działalności gospodarczej oraz części składek członkowskich. Majątkiem tym zarządza ZG zgodnie z uchwałami Zjazdu Delegatów PZKO. O wynikach zarządzania majątkiem ZG regularnie informuje Konwent Prezesów.

§ 59. Majątek MK tworzą nieruchomości, środki materialne, niematerialne i finansowe, zyskane z dotacji, darów, części składek członkowskich oraz własnej działalności gospodarczej. Właścicielami tego majątku są Miejscowe Koła, które nim jednocześnie zarządzają i wykorzystują go przede wszystkim do rozwijania swej statutowej działalności oraz do innych celów służących interesom polskiej mniejszości narodowej.

ROZDZIAŁ VII

POSTANOWIENIA KOŃCOWE

§ 60. O rozwiązaniu PZKO decyduje Zjazd Delegatów PZKO lub Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PZKO większością 2/3 głosów wybranych delegatów.

§ 61. O sposobie likwidacji majątku rozwiązanego PZKO decyduje Zjazd Delegatów PZKO lub Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PZKO.

§ 62. O rozwiązaniu MK, wynikającym z niemożliwości pełnienia obowiązków statutowych PZKO, oraz o likwidacji majątku musi zadecydować Walne Zebranie MK. Uchwała Walnego Zebrania MK jest prawomocna po wyrażeniu zgody ZG.

Opracowała Komisja Statutowa. Statut przyjęty na XIX Zjeździe PZKO 10. 11. 2001.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

STOSUNKI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE NA PRZEŁOMIE WOJNY I POKOJU (STYCZEŃ 1945 - STYCZEŃ 1946) CZ. 2

Stosunki polsko-czechosłowackie stawały się coraz bardziej napięte. Do incydentu granicznego doszło 10 czerwca 1945, kiedy to czechosłowackie wojska pancerne wkroczyły na teren powiatu raciborskiego, zajmując stację kolejową Chałupki na linii kolejowej Bogumin - Racibórz. Po proteście polskim sprawę udało się rozwiązać dopiero na spotkaniu polskiego i czeskiego dowódcy z dowództwem radzieckim, jednak wywołała ona, jak również pogłoski o zajęciu lewobrzeżnej części Cieszyna przez Polaków, zaniepokojenie rządu czechosłowackiego, który taktycznie odciął się od tej „samowolnej akcji". Jednak już wkrótce doszło do kolejnych napięć. W Warszawie zdecydowano o wysłaniu wojsk na granicę czechosłowacką i wkopaniu nowych słupów granicznych (za wyjątkiem Cieszyńskiego, ze względu na sporny charakter granicy). Akcja wojsk polskich, mimo iż nie wkroczyły na sporny teren, nie przyniosła żadnych korzyści, a jedynie nieprzychylne komentarze prasy zachodniej. Strona czechosłowacka o wiele lepiej dbała o pozytywny wizerunek w oczach opinii publicznej zachodniej Europy.

15 czerwca marszałek Michał Rola-Żymierski wręczył notę posłowi Hejretowi, w której w ostrym tonie domagano się wycofania wojsk czechosłowackich z Raciborskiego, administracji z Zaolzia oraz powołania komisji mieszanej, która miałaby ją zastąpić, a także zaproponować rozwiązanie problemów Zaolzia w ciągu jednego miesiąca. Jednocześnie Żymierski dawał 48 godzin rządowi czechosłowackiemu na przyjęcie żądań. Obiecał również Hejretowi samolot, by mógł on bezpośrednio przedstawić żądania polskie w Pradze. Rząd czechosłowacki nie ugiął się jednak przed nimi i przez wiceministra spraw zagranicznych Vladimíra Clementisa oświadczył, że stoi nadal na swoim stanowisku. Nic nie dały też rozmowy pomiędzy Clementisem, a posłem polskim Stefanem Wierbłowskim (oficjalnie złożył listy uwierzytelniające w Pradze 22 czerwca, do Pragi przybył jednak już 13 czerwca, stąd już wcześniej uczestniczył w rozmowach). W nocie z 17 czerwca rząd czechosłowacki oświadczył, iż dziwi się z ultymatywnego charakteru oświadczenia polskiego, i wyraził ostro sprzeciw wobec not dotyczących złego traktowania Polaków.

Kryzys w stosunkach polsko-czechosłowackich stawał się na tyle poważny, że rząd radziecki zdecydował się na zaproszenie stron do Moskwy na rozmowy. Rząd czechosłowacki na posiedzeniu w dniu 18 czerwca omawiał

sprawę instrukcji dla delegacji udającej się na rozmowy. Wszyscy członkowie rządu zgadzali się, iż nie można pójść na ustępstwa w sprawie Śląska zaolziańskiego, rozmowy mogą dotyczyć tylko terenów poniemieckich. Natomiast po uwadze ks. Šrámka, że strona polska dzięki utracie Zachodniej Ukrainy i Białorusi może żądać większych korzyści terytorialnych, część członków rządu zaproponowała, żeby jednoznacznie przedstawić sprawę odstąpienia Ukrainy Podkarpackiej, inni zaś stali na stanowisku, iż tylko Zgromadzenie Narodowe może podjąć decyzję w tej sprawie. Potwierdzono, iż rozmowy nie będą dotyczyć granicy w Cieszyńskiem, nie chciano też łączyć tej sprawy ze sprawą objęcia terenów poniemieckich. Tymczasem jeszcze przed wyjazdem delegacji do Moskwy odbyło się ważne posiedzenie komisji do spraw granic republiki. Wobec niekorzystnego układu granic na niektórych terenach zaproponowano ich korektę. Przyszłą granicę z Polską na terenach poniemieckich wyobrażano sobie następująco: miałaby przebiegać od Odry po Krapkowice, następnie ku Nysie, pozostawiając całą Ziemię Kłodzką po stronie Czechosłowacji, poprzez Wałbrzych, Jelenią Górę, ku Zgorzelcowi. Projekt ten uzasadniano argumentami natury gospodarczej i militarnej. Wynikało z niego, iż strona czechosłowacka wysuwa swoje żądania dodatkowo w stosunku do okręgu wałbrzyskiego, uzasadniając ten fakt koniecznością korzystania z zasobów węgla kamiennego, a także chęcią przejęcia miejscowych zakładów przemysłowych. Beneš uznał niektóre z postulatów komisji za przesadne, bał się bowiem ich odrzucenia przez Moskwę. Opinię Beneša w zasadzie jednak odrzucono, wprowadzając jedynie kosmetyczne zmiany, które nie dotyczyły zresztą granicy z terenami poniemieckimi na północy. Ponadto rząd czechosłowacki zażądał od Słowackiej Rady Narodowej opracowania planu zmian granic słowackich.

Delegacja czechosłowacka przybyła do Moskwy 21 czerwca. W jej skład wchodził premier rządu Zdeněk Fierlinger (został premierem na mocy porozumienia między rządem emigracyjnym, a komunistami) oraz kilku ministrów. Już na miejscu dołączyły do niej kolejne, przebywające tutaj już uprzednio, osoby. Część delegacji polskiej również przebywała już od jakiegoś czasu w Moskwie, negocjując porozumienie w sprawie składu mającego powstać Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Porozumienie w tej sprawie osiągnięto 21 czerwca. Do pierwszych rozmów delegacji doszło 22 czerwca w gmachu ambasady polskiej. Jednakże strona czechosłowacka nadal nie miała zamiaru rozmawiać w ogóle na temat granic w Cieszyńskiem, potwierdzała zaś swoje pretensje do Kłodzkiego oraz części Raciborskiego i Głubczyckiego. Zarówno więc pierwsze, jak i kolejne spotkanie, 25 czerwca, tym razem w budynku ambasady czechosłowackiej, nie przyniosło rozstrzygnięć. Fiasko rozmów okazało się całkowite. Na bankiecie u Stalina, na

który zaproszono obydwie delegacje 27 czerwca, nie doszło nawet do zbliżenia stanowisk. Strona czechosłowacka nie zmieniła zdania w kwestii Śląska zaolziańskiego, ale nie otrzymała też poparcia ze strony radzieckiej dla swoich postulatów zmian granicznych na terenach Śląska poniemieckiego. Jedynym rezultatem wyjazdu delegacji czechosłowackiej do Moskwy było więc przekazanie przez Czechosłowację, w układzie podpisanym 27 czerwca, Rusi Podkarpackiej, zwanej odtąd oficjalnie Zakarpacką Ukrainą. Granica pomiędzy Rusią, a Słowacją w tym rejonie, wbrew wcześniejszym ustaleniom, została przesunięta, pozostawiając linię kolejową Użok - Użohrod - Czop po stronie Związku Radzieckiego. W rzeczywistości to więc strona radziecka odniosła największe korzyści z nieudanych rozmów moskiewskich. Dla rządu czechosłowackiego, wraz z oddaniem Rusi, kończyła się możliwość wykorzystywania w propagandzie chęci powrotu do granic sprzed konferencji monachijskiej.

Rada Ministrów Czechosłowacji przyjęła sprawozdanie z rokowań moskiewskich 2 lipca. Tego samego dnia premier Fierlinger wystąpił z przemówieniem w radiu, by uspokoić czechosłowacką opinię publiczną oraz zapewnić o poparciu dla rozwiązań dyplomatycznych ze strony ZSRR. Z zadowoleniem odnotował w nim fakt, iż władze radzieckie nie wywierały nacisku na kierowaną przez niego delegację w kwestii Śląska Cieszyńskiego. Potwierdził również zainteresowanie Czechosłowacji sprawą nabytków terytorialnych, jednakże miałyby one być forsowane na konferencji pokojowej. Mimo więc spokojnego charakteru wypowiedź ta wskazywała wyraźnie na swoistą kontrofensywę w rozmowach z Polską. Prasa czechosłowacka natychmiast podchwyciła nutę wystąpienia premiera; w następnych dniach ukazał się szereg artykułów popierających takie stanowisko. Rząd czechosłowacki podjął się też akcji dyplomatycznej, mającej na celu zaprotestowanie przeciwko wysiedleniom Czechów z terenów Kłodzkiego, które - jego zdaniem - były prowadzone przez Polaków równocześnie z wysiedlaniem Niemców. Optymizm strony czechosłowackiej opierał się również na sygnałach docierających ze strony mocarstw anglosaskich, sugerujących poparcie dla jej postulatów terytorialnych. Ponadto mogła się ona spodziewać protestów amerykańskich i brytyjskich wobec przejęcia ziem poniemieckich przez Polskę bez zgody mocarstw. Jednakże pozycja Czechosłowacji w sporze terytorialnym z Polską nie była w tym czasie tak dobra, jakby można było wyczytać z oficjalnych wypowiedzi. Związek Radziecki nie zdecydował się bowiem na wywarcie zdecydowanej presji na Polskę w sprawie Zaolzia, ale o wiele gorzej przedstawiała się sprawa ewentualnego pozyskania terenów poniemieckich. Zresztą członkowie rządu czechosłowackiego sami przyznawali, iż w kwestii administracji tych ziem zostali wyprzedzeni przez Polaków. Tymczasem strona polska zdecydowała się wreszcie, po nieudanych rozmowach w Moskwie,

na wprowadzenie swojej administracji na ziemiach, z których zrezygnowała wcześniej strona czechosłowacka - czyli Górnym Spiszu i Górnej Orawie. Zajmowanie tych terenów spotkało się z nieprzychylnym przyjęciem ze strony bojówek słowackich, jak również części ludności. Dopiero po wysłaniu wojska na teren Górnego Spisza sytuacja się uspokoiła.

Nie ulega wątpliwości, że opisany powyżej okres w stosunkach polsko-czechosłowackich należał do najbardziej napiętych w najnowszej historii. To, że zażegnano możliwość konfliktu zbrojnego nie oznaczało jednak, iż w następnym okresie należało się spodziewać bezkonfliktowych relacji pomiędzy tymi krajami. Nie było to możliwe, ponieważ żadna ze stron nie zamierzała nadal rezygnować ze swoich postulatów. To zapowiadało w przyszłości jeszcze niejeden kryzys.

Tymczasem jednak 5 lipca Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uznały polski Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Polska wychodziła tym samym całkowicie z izolacji politycznej na arenie międzynarodowej. Jednak nie był to łatwy okres dla nowego rządu, dla którego zbliżały się decydujące chwile w walce o kształt terytorialny państwa. Nadal nie zanosiło się nawet na zbliżenie stanowisk z rządem czechosłowackim w sprawie granic, zwłaszcza na Śląsku Cieszyńskim. Strona czechosłowacka traktowała je jako definitywne i zdawała się być całkiem nieczuła na zmianę stosunku rządu polskiego, proponującego obecnie polubowne rozwiązanie wszelkich problemów (w tym duchu wyrażał się na łamach prasy między innymi minister spraw zagranicznych Wincenty Rzymowski). Dyskusji w tej sprawie nie udało się również nawiązać posłowi polskiemu w Pradze Stefanowi Wierbłowskiemu. Aby przełamać defensywną pozycję Polski, przygotowywał projekt poddania się w kwestii Zaolzia arbitrażowi państw słowiańskich, nie został on jednak zaakceptowany przez rząd w Warszawie. Wierbłowski starał się również doprowadzić do utworzenia konsulatu RP w Ostrawie, który objąłby opieką ludność polską na Zaolziu, a także do otwarcia polskojęzycznych szkół.

Mimo nadal napiętych stosunków w związku ze sprawą granic, w lipcu 1945 roku doszło do pierwszych rozmów na tematy gospodarcze. Miały one doprowadzić do opracowania projektu układu handlowego. Tu również nie obyło się bez kontrowersji, które zdecydowały o czasowym odłożeniu jego podpisania. Zadecydowały o tym odmienne potrzeby i oczekiwania wobec siebie obydwu krajów. Strona czechosłowacka, nie mogąc dojść do porozumienia ze stroną polską, a jednocześnie wyrażając zapotrzebowanie na dostawy węgla z terenów wałbrzyskiego, uznała, iż w tej sprawie należy prowadzić rozmowy nie z administracją polską, ale z radzieckim dowództwem wojskowym. Rozmowy zakończyły się sukcesem i aż do 27 września strona czechosłowacka otrzymywała węgiel wałbrzyski bez wiedzy strony polskiej. Dopiero

wtedy rząd polski, dowiedziawszy się o tej sprawie, polecił przerwać transporty. Na oburzenie strony polskiej dyrektor generalny czeskiego MSZ Arnošt Heidrich odpowiedział, iż z Polakami nie można o niczym rozmawiać, bo na wszystko mają jedną odpowiedź: Zaolzie.

Tymczasem zbliżała się powoli konferencja tzw. wielkiej trójki w Poczdamie, od której obydwie strony oczekiwały załatwienia pewnych ważnych dla siebie spraw, w tym również uregulowania niektórych wzajemnych nieporozumień (sprawa terenów poniemieckich). Dyplomacja czechosłowacka prowadziła przygotowania, by jak najkorzystniej dla siebie wpłynąć na jej decyzje. Zwracano uwagę na rugowanie mieszkańców czeskiego pochodzenia w Kłodzkiem, głos raz po raz zabierała prasa. Tymczasem nie widać podobnego ożywienia po stronie polskiej. Zwracał na to uwagę Wierbłowski, domagając się działań w tym zakresie, tym bardziej, iż strona czechosłowacka zdawała się być coraz bardziej pewna, że jej postulaty zostaną uwzględnione. Obrady konferencji poczdamskiej toczyły się od 17 lipca. W kwestii stosunków polsko-czechosłowackich istotne były postanowienia przyjmujące jako podstawę do rozmów linię granic niemieckich z 31 grudnia 1937 (dla Czechosłowacji oznaczało to potwierdzenie granic przedmonachijskich). Nie doszło jednak do zaproszenia na konferencję strony czechosłowackiej ani nie rozpatrzono jej postulatów terytorialnych. Postanowiono natomiast, iż tereny na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz terytorium Wolnego Miasta Gdańska i część Prus Wschodnich znajdować się będą, do czasu zwołania konferencji pokojowej, pod administracją polską, ale nie obiecano ich wcielenia do Polski (podobnie jak to miało miejsce w przypadku obietnicy wcielenia reszty Prus Wschodnich, tak zwanego okręgu królewieckiego, do ZSRR). Polecono również wstrzymanie wszelkich przesiedleń z terenów poniemieckich do czasu przygotowania dokładnego planu operacji.

Władze czeskie niechętnie przyjęły decyzje mocarstw. Postanowiono jednak kontynuować wysiedlanie Niemców. Fierlinger uznał, iż należy robić to tak długo, dopóki nie zaprotestują Rosjanie. Wyrażono jednocześnie niezadowolenie z powodu przekazania Kłodzkiego, Głubczyckiego, Raciborskiego i Wałbrzyskiego pod zarząd polski. Clementis wkrótce po zakończeniu konferencji w rozmowie z Zorinem usłyszał, iż rząd radziecki nie będzie już dalej popierał czechosłowackich pretensji. Zorin stwierdził też, iż *pozycja Czechów w tym względzie jest trudna, a jedynym rozwiązaniem jest dogadanie się bezpośrednio z Polakami.* O wiele lepsze nastroje panowały po konferencji poczdamskiej w Polsce. Minister spraw zagranicznych Wincenty Rzymowski uznał, iż w zasadzie granica zachodnia została już zapewniona przez mocarstwa.

ADAM BIERNAT

cdn.

ZJEDNOCZONA EUROPA NASZYM WSPÓLNYM DOMEM

Niemal każdego dnia czytamy w prasie polskiej i czeskiej o kolejnych negocjacjach krajów kandydujących do Unii Europejskiej. Siłą faktu nas, obywateli czeskich polskiej narodowości i obywateli polskich mieszkających na terenie Republiki Czeskiej, interesują przede wszystkim dwa sąsiadujące ze sobą państwa: Rzeczpospolita Polska i Republika Czeska. Jesteśmy w sytuacji szczególnej, bowiem bardziej niż mieszkańcy centralnych części obu krajów widzimy, patrząc z perspektywy bliskości granicy, jak istotne jest, aby te państwa właśnie znalazły się wspólnie w pierwszej grupie nowo przyjmowanych do Unii Europejskiej, odnajdując godne i właściwe miejsce wśród narodów wolnej i demokratycznej Europy.

Aby docelowe plany obu państw znalazły w najbliższych latach pozytywne rezultaty, niezbędne jest uświadamianie obywateli o pozytywach wynikających ze znalezienia się we wspólnej Europie. Temu ma służyć np. Program Informowania Społeczeństwa o integracji i jej efektach przygotowany przez polski Urząd Komitetu Integracji Europejskiej. Program adresowany jest do całego społeczeństwa polskiego, jednocześnie uwzględnia zróżnicowanie społeczne i cywilizacyjno-kulturowe Polaków, mając na uwadze również środowiska polskie zamieszkujące poza krajem. W tym zakresie my również jesteśmy odbiorcami Programu, bowiem rola takiej społeczności jak nasza jest tym bardziej szczególna.

Nie bez przyczyny polskie organizacje kulturalno-społeczne na Zaolziu mają coraz więcej kontaktów z przedstawicielami instytucji pozarządowych obu krajów, jak choćby ze Stowarzyszeniem Rozwoju i Współpracy Regionalnej Olza po polskiej stronie czy Regionálním sdružením česko-polské spolupráce Těšínského Slezska ze strony czeskiej. Te dwa stowarzyszenia podpisały 22 kwietnia 1998 roku umowę o utworzeniu Euroregionu Śląsk Cieszyński, jako ukoronowanie wieloletniej współpracy polsko-czeskiej w regionie Śląska Cieszyńskiego. Utworzony Euroregion stanowi dobrowolną wspólnotę polskich i czeskich związków gmin i miast szeroko rozumianego Śląska Cieszyńskiego. Po stronie polskiej obszar Euroregionu obejmuje 15 gmin województwa śląskiego oraz powiat cieszyński, a po stronie czeskiej w skład Euroregionu wchodzi powiat Karwina i przygraniczna część powiatu Frydek-Mistek. Naturalną oś

Euroregionu tworzy rzeka Olza. Euroregion wspiera rozwój w obszarach przygranicznych w takich dziedzinach jak: współpraca przy planowaniu przestrzennym, rozwiązywanie wspólnych problemów w dziedzinie transportu, komunikacji i łączności oraz bezpieczeństwa obywateli, rozwiązywanie wspólnych problemów dotyczących ekologii i środowiska naturalnego, współpraca w dziedzinie gospodarczej i handlowej, wymiana kulturalna i opieka nad wspólnym dziedzictwem kultury, rozwój turystyki i ruchu podróżnych czy współpraca między szkołami i młodzieżą na terenie Euroregionu. Z praktyki wiemy już, że powstały dzięki tej współpracy trasy rowerowe po obu stronach granicy, powstał i działa czesko-polski system informacyjny Śląska Cieszyńskiego Inforeg, czyli prezentowanie regionu jako całości drogą internetową. Działają Agencje Informacji Przygranicznej.

Euroregion wspiera zawieranie międzynarodowych umów prowadzących do współpracy transgranicznej i wszystkie te działania na poziomie regionalnym, które prowadzą do przystąpienia Rzeczpospolitej Polskiej i Republiki Czeskiej do Unii Europejskiej. Jednym z tych zadań jest realizowanie Programu Informowania Społeczeństwa Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej. Toteż pod koniec listopada ub. r. zorganizował w Brennej konferencję dla przedstawicieli środków społecznego przekazu ze strony polskiej i czeskiej pod hasłem Zjednoczona Europa Naszym Wspólnym Domem.

Jako mniejszość polska w RC próbujemy już uczestniczyć poprzez struktury euroregionalne w realizacji projektów kulturalnych finansowanych z funduszy europejskich i choć na razie czasem idzie to opornie, a wynika to z rozbieżności w sposobie pozyskiwania funduszy po stronie polskiej i po stronie czeskiej, tym niemniej tym samym przecieramy własnymi doświadczeniami szlaki, które w niedalekiej przyszłości będą stanowiły jeden ze sposobów finansowania naszej działalności. A istnieją już pomysły ze wszech miar godne poparcia i naśladowania, jak choćby polsko-słowacka szkoła w Czadcy z językiem wykładowym angielskim, do której mają uczęszczać uczniowie z czterech państw (Polska, Czechy, Słowacja, Węgry). Projekt realizowany jest w ramach Funduszu Wyszehradzkiego. Może warto pokusić się o zaistnienie w naszym gimnazjum Klubu Europejskiego, na wzór tych, które istnieją w Polsce (a jest ich ponad 500), te najbliżej nas to w Skoczowie i Jastrzębiu Zdroju oraz w czeskim gimnazjum w Trzyńcu. A warto, bo dają szansę młodzieży na kontakty europejskie. Z całą pewnością posłuży w tym zakresie pomocą Biuro Euroregionu Śląsk Cieszyński w Cieszynie (Rynek 18). Tu także znajduje się Euroregionalne Centrum Informacji Europejskiej.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

SOLĄ TEATRU JEST TEATR ALTERNATYWNY

ROZMOWA Z JANUSZEM KLIMSZĄ, DYREKTOREM ARTYSTYCZNYM TOWARZYSTWA TEATRALNEGO IM. PETRA BEZRUČA W OSTRAWIE

Janusz Klimsza, reżyser, twórca adaptacji scenicznych, aktor, autor scenografii, przekładów, ale także poeta, został 1 lipca 2001 roku dyrektorem artystycznym w ostrawskim Teatrze im. P. Bezruča. Na Zaolziu znany jest jako animator amatorskiego ruchu teatralnego, autor przedstawień w Teatrze Lalek Bajka, a przede wszystkim w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego, gdzie rozpoczął pracę jako adept w roku 1980, a następnie był etatowym reżyserem w latach 1987-1999.

W Scenie Polskiej zrealizował dwadzieścia przedstawień, od początku ujawniając nieprzeciętny talent i wyobraźnię sceniczną. Warto w tym miejscu wymienić chociaż kilka tytułów. „Przednówek" Pawła Kubisza, „Czarna Julka" i „Bajki śląskie" Gustawa Morcinka, „O, jak ślicno familija, Józef, Jezus i Maryja" Jędrzeja Wowro (najnowsza wersja „Familiji" grana jest przez samego reżysera jako monodram) to adaptacje sceniczne odkrywające rodzimą kulturę i oddające hołd ziemi rodzinnej. Spektakle „Kubuś i jego pan" Milana Kundery i „Pociągi pod specjalnym nadzorem" Bohumila Hrabala przybliżyły polskiemu widzowi czeską literaturę współczesną, zaś „Iwona, księżniczka Burgunda" Witolda Gombrowicza i „A jak królem, a jak katem będziesz" Tadeusza Nowaka pomogły zaistnieć polskim pisarzom współczesnym po tej stronie granicy. „Gimpel Głupek" Isaaca Bashevisa Singera przypomniał obecną do niedawna również w naszej rzeczywistości kulturę żydowską. Swój etap pracy w Scenie Polskiej zamknął irlandzkim „Prowincjonalnym playboyem" Johna Millingtona Synge'a. Teatr autorski Janusza Klimszy, bo bywał nie tylko reżyserem, ale też scenografem, aktorem, autorem adaptacji scenicznych dzieł powstałych jako inne rodzaje literackie, akceptowany, chwalony i nagradzany był przez krytyków, wzbudzał jednak kontrowersje u części tradycyjnej publiczności zaolziańskiej.

Twórca kontynuował potem jako wolny strzelec swoje dzieło sceniczne po tej i tamtej stronie granicy, aż zakotwiczył w Ostrawie, obecnie jako szef artystyczny Towarzystwa Teatralnego im. Petra Bezruča. Sezon rozpoczął również jako płodny reżyser, wystawiając w Teatrze im. P. Bezruča „Szklaną menażerię" Tennessee'a Williamsa oraz własną adaptację prozy Fadiejewa i Jerofiejewa „Młoda gwardia w latach jungle - Rosyjska piękność fragmentarycznie obnażona". Jego nazwisko znalazło się też tej jesieni, za wystawiony w Scenie Kameralnej Arena w Ostrawie spektakl „Prorok Ilja" Tadeusza Słobodzianka, wśród nominacji do nowej Nagrody Divadelních novin w kate-

gorii teatr alternatywny. I od tego tematu rozpoczęłam rozmowę z Januszem Klimszą.

Co to jest Pana zdaniem teatr alternatywny i jak Pan widzi swoją rolę w tym teatrze?

Jeśli chodzi o tę nominację i tę kategorię, to było to dla mnie trochę zaskoczeniem. Chyba nie chodzi nawet tak o inscenizację, która w moim mniemaniu nie jest alternatywna, jest absolutnie standardowa. Natomiast Arena jest teatrem zaliczanym do teatrów alternatywnych i myślę, że tam chodziło bardziej o to umiejscowienie. Teatr alternatywny to było doświadczenie może ze Szmauzem, może pewne rzeczy w Scenie Polskiej i teraz w Płocku u Marka Mokrowieckiego. Dla mnie solą teatru jest teatr alternatywny, tzn. teatr poszukujący, idący świadomie na pewne ryzyko. Teatr im. Bezruča jest w pewnym sensie teatrem alternatywnym, gdyż ma tradycję w wystawianiu prapremier czeskich, tu odbyło się wiele debiutów dramatycznych i reżyserskich, na początku swej kariery realizował tu swoje prace np. Vladimír Morávek, obecnie najgłośniejszy czeski reżyser, itd. Myślę, że „Młoda gwardia..." jest bardziej alternatywna niż sam „Prorok Ilja", który jest na pewno tekstem kontrowersyjnym, natomiast w sensie formalnym mieści się absolutnie w ramach tradycyjnego teatru.

Uważa Pan, że Ostrawa jest w tej chwili najbardziej odpowiednim miejscem do realizacji Pana planów?

Myślę, że Ostrawa przeżywa w tej chwili najlepszy okres. Jest niekwestionowanym liderem w kulturze młodzieżowej w Czechach. Także krytycy przez ostatnie dwa, trzy lata dużo większą estymą darzą teatry ostrawskie.

Wróćmy do początków Pana zainteresowania teatrem, kiedy wstąpił Pan jako adept na deski Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie.

Po gimnazjum nie chciałem pójść na studia teatralne, zdawałem na archeologię, ale nie przyjęto mnie i Karol Suszka, ówczesny kierownik artystyczny Sceny Polskiej, który znał mnie z teatru amatorskiego, zaproponował mi pracę. Zdałem na studia w Polsce, zaczynałem we Wrocławiu, ale sytuacja skomplikowała się poprzez stan wojenny i skończyłem ten rok w Pradze. I już na studiach aktorskich myślałem o reżyserii. Od początku interesowała mnie też scenografia. W Polsce wtedy reżyserii nie można było studiować a vista, tylko jako studium podyplomowe. W Pradze nie było takiego warunku, spróbowałem zdawać na reżyserię i zostałem przyjęty. Było nas dwóch na roku, razem ze mną studiował Juraj Deák, kolega z Morawsko-Śląskiego Teatru Narodowego.

Wspominał Pan o teatrze amatorskim w gimnazjum?

To był teatrzyk w gimnazjum w Orłowej, taka trochę recesja studencka, bo spektakl trwał może pięć

minut. Pojechaliśmy z tym na Melpomenki, tam ktoś to widział i zaprosił nas do Valašského Meziříčí na ówczesny wojewódzki przegląd teatru amatorskiego. I to był rakietowy start, bo zostaliśmy zakwalifikowani na „Šrámkův Písek". Wtedy dwa zespoły czymś tam zainteresowały jury: my i Teatrzyk ZG PZKO, czyli był to mocny polski akcent. Potem zacząłem współpracować z Teatrzykiem ZG PZKO pod kierownictwem Marka Mokrowieckiego i Karola Suszki.

A potem, mimo że został Pan profesjonalistą, kontynuował Pan również pracę z zespołem amatorskim?

To była praca, która wymagała długiego czasu. Poza tym nikt nie stał nam za plecami, nie goniły nas terminy, tak że można było przygotowywać „Lekarza wiejskiego" Kafki dwa lata, „Kometę" Schulza też dwa lata, tak długo, aż doszedłem do wniosku, że produkt jest gotowy.

Przez dwanaście lat był Pan etatowym reżyserem Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Jak Pan ocenia tamte lata?

Zawsze starałem się realizować rzeczy, które wynikały z mego gustu, i to nie jako wyraz moich fanaberii, tylko jako preferencje pewnych wartości. Usiłowałem pewne rzeczy przeforsować, nie zawsze obywało się to bez dramatycznych akcentów. Niemniej myślę, że podstawowym wątkiem było z jednej strony zapoznanie widza ze współczesną dramaturgią, Kundera czy Gombrowicz, z drugiej strony, i to jest najważniejszy moment, i to bym widział jako pewien plus, to wejście w rodzimą dramaturgię, które w latach 90. dodało jakby nowy koloryt tej scenie. I bardzo się cieszę, że to się kontynuuje. Mam pewne marzenie, gdybym tam kiedyś jeszcze pracował, chciałbym zapoznać widza z dramaturgią Helmuta Kajzara, który pochodził z Cieszyna i wielka szkoda, że jego sztuki nie są grane. To jest właśnie alternatywny autor i myślę, że przynajmniej jedna sztuka, tzn. „Paternoster", mogłaby zostać zaakceptowana przez widza Sceny Polskiej. To jest moje marzenie i nie wiem, czy się zrealizuje.

Które z przedstawień tamtego okresu ceni Pan najbardziej? Najczęściej wymieniana przy różnych okazjach jest Pana adaptacja „Czarnej Julki" Gustawa Morcinka.

Myślę, że nie tylko „Czarna Julka", że było tam kilka rzeczy, „O, jak ślicno familija...", „Przednówek", „A jak królem, a jak katem będziesz", tej dramaturgii, nazwijmy ją wiejskiej, które tworzyły jakieś continuum, jakiś ciąg. „Czarna Julka" miała akurat to szczęście, że otrzymała nagrodę i była najbardziej medializowana. Natomiast myślę, że ona jest w kontekście tych innych przedstawień równorzędnym partnerem.

Robił Pan przedstawienia również w Polsce?

Przez to, że dwa lata byłem na wolnej stopie, starałem się wejść na polski rynek, co nie jest łatwe, ponieważ jest to rynek dosyć szczelnie zamknięty. W Polsce jest trochę inny

system pracy, tutaj teatr jest instytucją jakby bardziej demokratyczną, w Polsce bardziej hieratyczną, w Polsce pracuje się dłużej i jest inny rytm pracy. Cały czas jednak staram się utrzymywać kontakt z teatrami w Polsce.

A konkretnie?

Na pewno taką największą realizacją był „Dekameron" w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu, ponieważ był to zupełnie inny „Dekameron" niż ten w Scenie Polskiej, bardzo spektakularny, w formie cyrku, variétés i była to realizacja przygotowana na wiele osób. To bardzo ciekawe doświadczenie. Ale tak samo ciekawym doświadczeniem był „Kubuś i jego pan" w Bielsku czy „Lekarz wiejski" w Płocku. Dyrektor Teatru im. Norwida w Jeleniej Górze widział tamten spektakl w Sosnowcu i poprosił mnie, żebym zrobił u niego jego replikę. Do współpracy zaprosił mnie też Piotr Tomaszuk z Teatru Banialuka z Bielska-Białej.

Często wraca Pan do adaptacji, które realizował Pan już wcześniej?

Staram się jeszcze wrócić tam, gdzie czuję jakiś niedosyt. „Dekameron" jest wyjątkiem, to dyrektorzy tamtych teatrów przekonali mnie, żebym do tego wrócił. Ale na pewno są rzeczy, z którymi chciałbym się jeszcze zmierzyć. Między innymi „Szklana menażeria". To przedstawienie w Ostrawie jest zupełnie inne niż tamto w Scenie Polskiej, ale myślę, że jeszcze raz bym ją zrobił i jeszcze inaczej. Wielość optyk jest ciekawa sama w sobie, ona relatywizuje pewne rzeczy, z wiekiem człowiek widzi pewne problemy inaczej. Teraz w Opawie mam realizować „A jak królem, a jak katem będziesz" na prośbę byłego dyrektora teatru w Czeskim Cieszynie Ladislava Slívy, który jest tam kierownikiem literackim i dokonał tłumaczenia. To jest jeden z tych tytułów, do których na pewno chętnie wrócę, bo jest bliski memu sercu.

Oprócz pracy artystycznej zajmował się Pan również pracą pedagogiczną ze studentami ostrawskiego Konserwatorium Janáčka?

Kiedy dostałem propozycję, żebym prowadził rok, nie mogłem się zdecydować. Myślę, że sam powinienem się jeszcze dużo uczyć. Takim momentem przełomowym było to, że jako drugi pedagog na tym roku wykładała Anna Cónova, wybitna czeska aktorka, i ta możliwość współpracy z nią przekonała mnie co do tego, że warto spróbować. Po trzech latach musiałem zrezygnować, bo jako reżyser na wolnej stopie poruszałem się po większym obszarze, niemniej ta kwestia jest jeszcze otwarta, ponieważ ponowiono tę ofertę. W tej chwili jednak absolutnie nie mam czasu.

Wystawił Pan ostatnio w Ostrawie kilka polskich sztuk współczesnych, „Miłość na Krymie" Sławomira Mrożka, „Chłopców" Stanisława Grochowiaka, „Proroka Ilję" Tadeusza Słobodzianka, jak czeski widz przyjmuje polskie dramaty, czy zna w ogóle polski teatr?

Nie zna, bo nie ma skąd znać, to były w zasadzie wszystko czeskie

prapremiery. Na przykład Słobodzianek był nieznanym autorem i ja byłem właściwie pierwszym, który dokonał tłumaczenia jego sztuki na czeski. Dla niego była to forma promocji. Byłem u niego w Białymstoku, uzgodniliśmy parę rzeczy dotyczących specyfiki jego języka, później on przyjechał do Ostrawy, nie ukrywał zadowolenia, że wchodzi na czeski rynek, a wiem, że percepcja jego jest bardzo dobra. Wszędzie, gdzie przyjechaliśmy z tym na jakiś festiwal, ten tekst właśnie urastał do rangi wydarzenia. Obecnie prowadzę rozmowy z wybitnym rosyjskim reżyserem Sergiejem Fiedotowem, który wyraził życzenie pracować z naszym zespołem, by wystawić najnowszą sztukę Słobodzianka „Sen Pluskwy", która jest kontynuacją dramatu Majakowskiego, przeniesieniem problemu tamtych NEP-owskich nowobogackich w naszą współczesność. To jest taka moja prywatna misja i zawsze, kiedy to jest możliwe, staram się wprowadzić jakiś tytuł polski do repertuaru. W tej chwili jestem umówiony z bardzo ciekawym polskim reżyserem Andrzejem Celińskim na realizację sztuki Domana Nowakowskiego „Usta Micka Jaggera". Jestem bardzo ciekaw, jak zostanie to przyjęte. Myślę, że widz to zaakceptuje. Pracuję w teatrze, który próbuje określić się jako teatr młodego widza, i to jest jak najbardziej adekwatny tytuł. Myślę też o Brunonie Schulzu, o „Ferdydurke" Gombrowicza, o adaptacjach pewnych rzeczy Marka Hłaski z tej trochę starszej literatury, która też jest w zasadzie nie bardzo znana.

Na jakie elementy przedstawienia kładzie Pan jako twórca największy nacisk?

Z wiekiem coraz większy nacisk kładę na aktorstwo, tzn. na aktora jako element dominujący w przedstawieniu. Na przykład „Prorok Ilja" jest takim przedstawieniem, gdzie aktorowi podporządkowane jest wszystko, tak samo jest w „Szklanej menażerii". Kiedyś byłem reżyserem, który starał się być widoczny na scenie, natomiast teraz o wiele intensywniej pracuję z aktorem. Tak, by w finalnym efekcie wychodził do widza sam, jako twórca, że tak powiem, wyemancypowany, by nie był tylko mediatorem. Myślę, że to nie jest kwestia tradycji teatralnej, że to przychodzi z wiekiem.

Czy przy przygotowywaniu przedstawień szuka Pan inspiracji także w pracach innych reżyserów?

Choć robię w tej chwili spektakle bardziej stonowane w formie, cały czas jednak staram się nie odchodzić od teatru bardziej autorskiego, to znaczy, że są to w dużej mierze adaptacje, rzeczy niedramatyczne, i tam ów moment własnego przemyślenia jest dosyć silny. Jest kilku reżyserów, których jakby preferuję, ale ponieważ nie mam za wiele czasu jeździć do teatrów, są to większością reżyserzy filmowi. Na pierwszym miejscu Federico Fellini, którego widzenie świata jest mi najbliższe, potem również np. Andrej Tarkowski, Jim Jarmusch. Starałem się zrobić taki pastisz Felliniego w „Czarnej Julce" właśnie, no i teraz w „Dekameronie", gdzie on jest nawet imiennie obecny,

jako jeden z Włochów - gigantów, od Dantego poczynając, a na Umbercie Eco kończąc, Arcywłoch, człowiek, który jest bardzo bliski takiemu widzeniu świata, jakie dał Boccaccio w „Dekameronie".

Chciałabym jeszcze podjąć temat: twórca, a teorie teatralne. Na ile interesują Pana teorie, mody, style?

Ja lubię rzeczy nieczyste stylowo, lubię przemieszanie form, metodę kolażu. W tej chwili, jak mówiłem, ewoluuje to w kierunku aktorstwa. Pewnym impulsem była praca pedagogiczna. Tak więc, o ile jakieś teorie, to raczej teorie dotyczące aktora. Myślę, że to jest trend, który teraz dominuje w światowym teatrze. Nawet największe hity teatralne piszących teksty dramatyczne młodych ludzi są masywnym powrotem do realizmu. Cała ta nowa dramaturgia, która reflektuje współczesność, to rzeczy bardzo realistyczne, naturalistyczne nawet, nie ma tam tekstu, który byłby opcją widowiskowego teatru. To jakby odpowiedź na estetykę teatru lat 70. i 80. Myślę, że to będzie trwało jakiś czas. Związany z tym jest ogromny powrót widza do teatru. To też kwestia może dwóch ostatnich lat. My mamy wysprzedane przedstawienia dwa, trzy miesiące do przodu. Przed dwoma, trzema laty coś takiego było absolutnie nie do pomyślenia. Może jest to związane też z tym, że ludzie są już przesyceni telewizją, kinem, może chcą spotkania z żywym człowiekiem.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

JUBILEUSZ GÓRNOSUSZANKI RÓŻY SZCZYRBY

PIELĘGNIARKA Z PASIEK

W sierpniu 2000 roku jubileusz 75-lecia urodzin obchodziła Róża Łaciok-Szczyrba, rodem z Suchej Górnej Pasiek, dyplomowana pielęgniarka cieszyńskich szkół, działaczka społeczna i wieloletnia nauczycielka Liceum Pielęgniarskiego w Cieszynie. Jest najstarszą wnuczką Pawła Guziura (1875-1962) i Marii z rodu Chlebik (1880-1965) z Suchej Górnej.

Nazwę Pasieki znaleźć można w wielu miejscowościach Śląska Cieszyńskiego. Jedną z osad są Pasieki położone na granicy Suchej Górnej i Stonawy. Róża urodziła się 31 sierpnia 1925 roku w domu (nr 249) dziadka Pawła Guziura jako córka Apolonii (1902-1993) i Adolfa Łacioka (1890-1941). W rodzinie swojsko nazywana jest Rózią. Matka była krawcową i do zamążpójścia pracowała w salonie p. Hilke przy ul. Głębokiej, a potem uczyła kroju w Szkole Przemysłowej w Suchej Średniej. Dzięki tej umiejętności w kryzysowych latach 20. szyła dla rodziny i znajomych, najczęściej ze starszych ubrań i sukienek. Ojciec Emil Łaciok ukończył Szkołę Górniczą w Wieliczce (1924) i był sztygarem w kopalni Silesia w Dziedzicach. Tam też urodził się młodszy brat Eugeniusz (1926-1945). Ojciec, także pochodzący z Suchej, do Wieliczki przyjechał z konieczności po napadzie czeskim (1919), biorąc czynny udział w walkach o przynależność Śląska Cieszyńskiego do Macierzy. Dzięki wydatnej pomocy Emanuela Krzystka (rodem z Suchej Górnej), dyrektora kopalni Spółki Giesche, od stycznia 1928 roku ojciec rozpoczął pracę na kopalni Wieczorek w charakterze górnika, zaś po 3 miesiącach awansował na sztygara objazdowego. Dzięki tej posadzie rodzina Łacioków poza stałymi dochodami otrzymała także nowoczesne, bezpłatne czteropokojowe mieszkanie ze służbówką, bezpłatnym prądem, telefonem i deputatem drewna i węgla. Rodzina miała także możliwość korzystania z kopalnianego pojazdu konnego.

Szkołę podstawową Róża rozpoczęła w Nikiszowcu (1931), obecnie dzielnica Katowic. Po ukończeniu III klasy przeniesiono ją do Miejskiej Szkoły Wydziałowej w Katowicach, o rozszerzonym programie nauczania: od III klasy nauczano jęz. niemieckiego, zaś w kl. VIII i IX uczono języka francuskiego, stenografii, maszynopisania oraz gotowania i szycia. Do Katowic dojeżdżała bezpłatnym kopalnianym autobusem. Od czwartej klasy dodatkowo pobierała naukę gry na fortepianie pod czujnym okiem Janiny Maluty, koleżanki ze studiów w katowickim konserwatorium wujka Emanuela Guziura (1908-89), młodszego brata mamy. Ten zaś po roku, wobec braku środków na studia muzyczne, wprowadził się do rodziny Łacioków na kilkuletnią „stancję", zastępując także Róży (i Genkowi) dotychczasową nauczycielkę. Wujka Emana odwiedzało wtedy wielu jego kolegów, m.in. Antek Kohut, późniejszy znany lekarz cieszyński, i jego przyszła żona Helena Farana.

Rodzina Łacioków szybko zaaklimatyzowała się w górnośląskim Nikiszowcu. Mama działała w zarządzie Związku Polek. Zebrania odbywały się w ich domu, dzięki czemu przewijało się tam mnóstwo znajomych i przyjaciół różnej narodowości. Często bywali u nich także suszanie Henryk Bajgier, Jan Żurek, Alojzy Holesz czy inżynier górnik Stanisław Kania. Działając w Związku poznali Ernę Ruskową, żonę nadgórnika, z pochodzenia Niemkę, ale życzliwą Polakom. Wychodziła z założenia, że, *jedząc polski chleb na polskiej ziemi,* winna także rewanżować się, a jedynego syna Klausa posyłała do polskiej szkoły. Dzięki tej rodzinie Róża miała możność „szlifowania" niemieckiego, pomagając z kolei p. Ruskowej w języku polskim. W Nikiszowcu przyjaźnili się także z rodziną sztygara Józefa Bogocza (z Lutyni Zaolzia), absolwenta Szkoły Górniczej w Dąbrowie. Z trójki ich dzieci, z którymi Róża serdecznie przyjaźniła się, córka Hila obecnie mieszka w Porębie, syn Tadeusz w Skoczowie, a najmłodszy Karol w Trzyńcu Łyżbicach. Do nich często zachodził inny sztygar z Pietwałdu p. Kiedroń, którego żona (z rodu Firla) pochodziła z Orłowej. Ojciec z kolei działał w Związku Powstańców Śląskich (grupa Zaolzie), nosząc w czasie świąt i rocznic mundur powstańczy.

Do komunii św. (1934) Różę przygotowywał ks. Krzoska, weteran powstań śląskich. Zgodnie z tradycją na uroczystość przyjechało mnóstwo krewnych, w tym również ciotki z Suchej - Francka Tomiczkowa, Agnesza Tobołowa oraz stryjeczna siostra Jetka Łaciokowa (Palowska). W rok później Róża była bierzmowana. W czasie wakacji Róża wraz z bratem często jeździła do Suchej, odwiedzając obie babcie z rodzinami oraz suską szkołę. Na Pasiekach odwiedzali wujka Rudolfa Guziura, który, mając samochód (pierwszy w Suchej), obwoził ich po okolicy. W 1932 roku Róża z całą rodziną wyjechała na letnisko do Malinki, potem odwiedzali inż. Józefa Guziura w Wiśle, właściciela słynnego pensjonatu Pod Beskidami. Wuj Józef jako stary kawaler marzył o rodzinnym spotkaniu Guziurów, zmarł w 1973 roku i nie doczekał Zjazdu Guziurów (1975 r.). Zapraszał do siebie i zatrudniał nie tylko krewnych, ale i suszan, w tym Łacioków. Matka pilnowała kuchni, Róża podawała kawę, kuzynka Iza stała za barem, a w orkiestrze grali suszanie Hugo Bartoli oraz Jan Folwarczny. Tam też Róża po raz pierwszy z kuzynem zatańczyła tango „Graj skrzypku, graj". W międzyczasie odwiedziła wuja, zarządcę stawów hr. Potockiego w Zatorze, oraz daleką Huculszczyznę, gdzie po raz pierwszy zobaczyła kurne chaty, barwne stroje i ludzi ... mówiących obcym językiem. W 1938 roku, gdy wojska polskie wkraczały na Zaolzie, ojciec Róży oddelegowany został do przejmowania zaolziańskich kopalń, pracując jednocześnie na kopalni Franciszka.

W lecie 1939 roku brat Eugeniusz zapisany został do gimnazjum w Cieszynie, a Róża miała zamieszkać u ss. boromeuszek. Lecz wybuchła wojna. 1 września ojciec Róży otrzymał nakaz ewakuacji kopalni i wyjazdu wraz z rodziną na wschód. Droga ucieczki wiodła przez Trzebinię do Lublina. Po zbombardowaniu samochodów i autobusu pieszo i podwodami dotarli aż pod Krasnystaw i Janów

Podlaski. Wobec nadciągających wojsk sowieckich zawrócili i po sześciu tygodniach udręki wylądowali w Sosnowcu. Tam odnaleźli p. Ruskową i dzięki jej pomocy przedostali się przez granicę GG do Katowic. Tam zastali nieczynne urzędy, zwolnienie ojca z pracy na kopalni oraz zaplombowane mieszkanie. W tej sytuacji należało przeprowadzić się na Pasieki w Suchej Górnej, do odkupionego w 1930 roku od rodziców ojca niewielkiego domku. Zimą 1940/41 Róża przeniosła się do Trzyńca, gdzie pomagała w domu ciotki Anny Luzarowej (córki Adolfa Guziura, byłego burmistrza Suchej Górnej). W kwietniu 1941 roku nastąpiła fala aresztowań polskiej inteligencji na Zaolziu, której nie uniknął ojciec Róży (brat Genek był wtedy poza domem), po czym wywieźli go KL Dachau i Mauthausen-Gusen, skąd już nie powrócił. Od marca do grudnia 1941 roku Róża ponownie pracowała u wujka Józka w pensjonacie Beskid. Wiosną 1942 roku dzięki fortelowi w Arbeitsamcie (brak Volkslisty) oficjalnie zatrudniona została w suskiej piekarni p. Brożkowej, szwagierki dr. Ludwika Brożka, późniejszego kustosza Muzeum w Cieszynie, która po śmierci męża poszukiwała ekspedientki. Tam zetknęła się z miejscowym ruchem oporu AK (Gustaw Górniak), który organizował pomoc żywnościową dla głodujących jeńców sowieckich z pobliskiej kop. Franciszek. Dzięki swojemu sprytowi udawało się jej wymóc na piekarzach stały wypiek kilkudziesięciu bochenków chleba więcej (dolewali wody). W podzięce za tę pomoc jeńcy zrewanżowali się Róży pięknym jej portretem wraz z nieżyjącym ojcem (z foto), misterną kasetką z drewna i ciepłymi kapciami z wojłoku.

Brat Genek pracował w firmie Fulda, skąd w 1944 roku przeniesiono go do pracy w cieszyńskiej cegielni, gdzie uległ wypadkowi. Pomimo urazu przymusowo skierowano go do pracy w Görlitz (Zgorzelec), a następnie aż pod Berlin. Tam zdezerterował i przeszedł (wraz z Sikorą z Karwiny) do czynnej służby w AK, z którą wcześniej już był związany (sabotaże). Aresztowany został wiosną 1945 roku, a rozstrzelano go na cmentarzu żydowskim w Cieszynie tuż przed wyzwoleniem, w drugi dzień Świąt Wielkanocnych 2 kwietnia 1945 roku.

W tym okresie Róża poznała przyszłego męża Władysława Szczyrbę, znanego piłkarza suskiej Lechii, późniejszego absolwenta Politechniki Śląskiej w Gliwicach (1952) i budowniczego ośrodków wczasowych w Wiśle i Ustroniu Jaszowcu. Jesienią 1945 roku rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym w Cieszynie Bobrku, mieszkając u ss. boromeuszek a potem ss. elżbietanek. Przy kolejnym wyrabianiu przepustki wśród milicjantów z karabinami rozpoznała znajomego z piekarni, który mając Volkslistę dobrowolnie poszedł do Wehrmachtu. Obecnie zaś pełnił tu funkcję komendanta MO. Dzięki Róży doszło do konfrontacji i śledztwa, w wyniku których „zakonspirowanego" milicjanta aresztowano. Liceum na Bobrku ukończyła w 1946 roku, po czym natychmiast rozpoczęła dwuletnią naukę w Państwowej Szkole Pielęgniarskiej w Zabrzu (PCK). W 1948 roku powróciła do Cieszyna i rozpoczęła pracę w ambulatorium Celmy. Jako jedyną wówczas w Cieszynie dyplomowaną pielęgniarkę ściągnięto ją zaraz do

Wydziału Zdrowia PPRN, gdzie poza obowiązkami organizowała kursy położnych, pielęgniarek, młodych matek, pierwszej pomocy i wiele akcji zdrowotnych („W"). W 1951 roku wyszła za mąż za mgr. inż. Władka Szczyrbę, zaś w 1952 roku przeszła do pracy w Szpitalu Śl. (oddz. zakaźny), pełniąc tam funkcję oddziałowej. W tym okresie oboje z mężem codziennie dojeżdżali z Pasiek przez granicę do Cieszyna, wstając o 4–5 rano i wracając nieraz późno wieczór.

Po urodzeniu syna Staszka (1953) przerwała pracę zawodową, całkowicie poświęcając się rodzinie. W 1954 urodziła drugiego syna Zbyszka, zaś w 1955 roku bliźnięta Małgorzatę i Czesława (z tym ostatnim mieszka w Cieszynie). W 1960 roku ponownie rozpoczęła pracę zawodową w Higienie Szkolnej Cieszyna, uzupełniając równolegle kwalifikacje zawodowe i wykształcenie pedagogiczne. Dzięki nim mogła przejść do pracy (1968) w Wieczorowym Liceum Medycznym, zaś od 1970 r. także liceum dziennym.

Istotnym wydarzeniem w życiu Róży była przeprowadzka (1968) wraz z całą rodziną do Cieszyna, do czego zmuszał zawalający się dom na Pasiekach (podkopany teren górniczy). Pomimo tego matka Pola mieszkała tam samotnie jeszcze 8 lat, po czym także sprowadziła się do Róży, gdzie przy ul. Stalmacha mieszkała aż do śmierci.

Wspomnę tu także, że z rodziną Rózi posiadam wiele wspólnych epizodów. Ojciec mój Eman Guziur jako ubogi student mieszkał przed wojną u siostry Poli, a potem był świadkiem na ślubie Róży i Władka (na którym byłem drużbą). Zaraz po wojnie wraz z Rózią „szmuglowałem" przez granicę (w tornistrze) różne drobiazgi. Z kolei Władek był świadkiem na moim ślubie i, gdyby nie wyjazd zagraniczny, byłbym świadkiem na ślubie najstarszego ich syna Staszka.

W 1979 roku Róża przeszła na emeryturę, ale nie zerwała kontaktu ze szkolnictwem, pracując społecznie w ZNP, świetlicach i internatach szkolnych, zaś od 1982 roku prowadziła akcję wczasów wypoczynkowych i sanatoryjnych dla nauczycieli. Dalszą pracę przerwał wypadek (złamanie szyjki udowej), długotrwałe leczenie i inwalidztwo. Pomimo tego czas swój nadal poświęca rodzinie oraz znajomym. Z okazji 50-lecia ukończenia Szkoły Pielęgniarskiej w Zabrzu, we wrześniu 1998 roku, zorganizowała Zjazd Pielęgniarek w Cieszynie, na który przybyły 24 absolwentki (reszta zjechała do Warszawy). Spośród czworga swoich dzieci – trójka ukończyła studia wyższe (wszyscy pracują) i dochowała się łącznie 7 wnuków i jednego prawnuka. Znając dobrze zaolziańską generację „kolumbów", napisała wiele wspomnień, zaktualizowała także rodowód rodziny dziadka Pawła Guziura. Ostatnio wraz z córką Małgosią zakończyła pracę nad rodowodem rodziny Chlebików (babci G.), a już planuje zabrać się za Łacioków.

Życzymy Jej dużo zdrowia i wytrwałości. Oby tego starczyło na długie jeszcze lata.

JANUSZ GUZIUR



Róża z matką Apolonią i bratem Eugeniuszem (1943)



Ostatnie wspólne zdjęcia Róży i Władka Szczyrbów (1995). Fot. J. Guziur

O HISTORII REGIONU INACZEJ

Książnica Cieszyńska wyszła z ciekawą i potrzebną inicjatywą organizowania sesji popularnonaukowych na różne tematy. 29 listopada 2001 roku odbyła się kolejna już sesja na temat „Szukamy swoich korzeni, czyli warsztat cieszyńskiego historyka regionalisty", na który złożyły się trzy referaty: dr. Wacława Gojniczka „Genealogiczne puzzle, czyli jak odnaleźć przodków", mgr. Stefana Króla „Cieszyńscy Ślązacy w polskich i obcojęzycznych słownikach biograficznych" oraz dr. Janusza Spyry „Pułapki regionalnej historiografii - jak się ich ustrzec".

Na wstępie Wacław Gojniczek, znany cieszyński genealog, który jest współwydawcą seryjnej publikacji „Familia Silesiae" i w jej ramach autorem opracowania „Tschammerowie z Iskrzyczyna w drugiej połowie XV wieku i w XVI wieku", przedstawił, z jakimi możliwościami, materiałami oraz trudnościami może się spotkać genealog-amator. Stwierdził, że nie tylko dziś szukanie korzeni rodzinnych stało się swoistą modą lub potrzebą, że ludzie już od dawna interesowali się swymi przodkami - królewskimi, książęcymi, później szlacheckimi, mieszczańskimi, a nawet chłopskimi. Jednak szukanie swych rodzinnych korzeni jest sprawą niełatwą. Za pierwszego śląskiego genealoga można uznać ks. Leopolda Jana Szerszника z przełomu XVIII i XIX wieku.

Mówił dalej o tym, jak gromadzić informacje (kartoteki, fiszki, komputer), gdzie ich szukać (źródła archiwalne, herbarze, metryki, umowy ślubne, księgi testamentowe, gruntowe, cechowe, adresowe, różne dokumenty itd.), z jakich książek korzystać (swoiste poradniki genealogiczne, słowniki biograficzne, itd.). Ponieważ Śląsk Cieszyński leży na pograniczu i w przeszłości należał do różnych ugrupowań narodowych lub państwowych, szukający swych przodków musi korzystać ze źródeł polskich, czeskich i niem ieckich. Nie należy też unikać pomocy fachowców. Nie można jednak zbytnio wierzyć jednostronnym informacjom w publikacjach lub prasie, wszystko należy weryfikować w archiwaliach i innych źródłach dokumentalnych. Co innego, jeśli chodzi o współczesne opracowania naukowe, chociaż zawsze opłaca się być po trosze niewiernym Tomaszem.

Cennym przyczynkiem dla zainteresowanych historią lokalną była prezentacja dostępnych w Książnicy Cieszyńskiej różnego rodzaju słowników biograficznych, której dokonał Stefan Król. Najcenniejsze są siłą rzeczy te słowniki, które zostały opracowane naukowo, sprawdzone z odpowiednim krytycznym ustosunkowaniem się do badanego materiału. Popularnonaukowe opracowania tego rodzaju słowników, opracowanych przez amatorów,

miłośników regionu, są przydatne, ale trzeba do nich podchodzić z rezerwą - hasła opracowywane są często na podstawie jednego lub dwu źródeł i dane trzeba sprawdzać w materiałach źródłowych.

Spośród licznych tego rodzaju słowników przypomnieć wypada kilka przynajmniej: „Polski Słownik Biograficzny", czterdziestotomowy doprowadzony dotychczas po literę S, jest czterotomowy „Śląski Słownik Biograficzny", wspomnieć trzeba czeski dwunastotomowy „Biografický slovnik Slezska a Severní Moravy", są tu naturalnie niemieckie „Oberschlesisches Literatur - Lexikon", regionalny „Słownik Biograficzny Ziemi Cieszyńskiej" itp. O tym wszystkim chętnie poinformują zainteresowanych pracownicy Książnicy. Poza tym w opracowaniu komputerowym jest tu dostępny także „Słownik regionalny", który uzupełniany jest na bieżąco.

Niezmiernie potrzebny dla wszystkich interesujących się historią naszego regionu, dla piszących o nim i nie tylko, był przyczynek Janusza Spyry o pułapkach regionalnej historiografii oraz jak się takich ustrzec. Pułapki w badaniach historycznych pojawiają się wszędzie, ale szczególnie niebezpieczne są one u nas. Śląsk Cieszyński z punktu widzenia badań historycznych jest interesujący, ale równocześnie niezmiernie skomplikowany. Wyjątkowość tego regionu spoczywa w tym między innymi, iż leży on pomiędzy, na pograniczu. Na przestrzeni lat zmieniała się jego przynależność narodowa lub państwowa (nazwijmy to tak, chociaż dawniej chodziło o zupełnie coś innego, niż my dzisiaj rozumiemy pod tymi pojęciami). Szukając dziś źródeł, musimy wiedzieć, gdzie i w którym okresie przebiegały granice, żeby informacji szukać we właściwym archiwum - w Cieszynie, Krakowie, Wrocławiu, Katowicach lub Warszawie czy też w Czeskim Cieszynie, Karwinie, Frydku-Mistku, Opawie, Ostrawie, Brnie lub Pradze, ale też w Wiedniu lub w Niemczech nawet. A co za tym idzie, należy oprócz języka polskiego znać język czeski, niemiecki i łacinę.

To jedna strona medalu. Bardzo istotna jest także interpretacja zebranych informacji. Niedopuszczalna jest jednokierunkowa perspektywa, na przykład widziana tylko z Warszawy lub Pragi, tu nie wystarczają tylko polskie, czeskie lub niemieckie interpretacje, do tego regionu trzeba inaczej podchodzić - kompleksowo. Śląsk Cieszyński ulegał różnym wpływom, dochodziło tu do wymiany ludności, tu ścierały się różne procesy narodowe, wyznaniowe, polityczne, kulturowe itp. i w ten sposób tworzyły się podziały, często żywe jeszcze dziś nawet. Oprócz Polaków na przestrzeni wieków żyli tu także Niemcy, Czesi lub ludzie za takich się uważający, obecni byli tu także Żydzi, Cyganie. Pisząc historię naszego regionu lub chociażby tylko jednej miejscowości, to wszystko trzeba uwzględnić i pamiętać o tym, iż nie wszystkie dzisiejsze kategorie można stosować do przeszłości. Cały region powinien być

badany kompleksowo z uwzględnieniem wszystkich zjawisk tu występujących, różnorodnych i skomplikowanych. W dotychczasowych badaniach nad przeszłością naszego regionu przeważa ahistoryczny punkt widzenia, jednostronny, wybiórczy, uwzględniający tylko polski, czeski lub niemiecki punkt widzenia, chociaż na szczęście pojawiają się już prace o charakterze bardziej obiektywnym.

Pojęcie narodu jako takiego zaczęło się rodzić w drugiej połowie XVIII wieku i w myśl tych ideałów łatwiej było się określić ludziom z centrum Polski lub Czech. Tu na pograniczu, jak zresztą wszędzie w podobnych sytuacjach i układach historycznych, sprawa była z jednej strony bardziej skomplikowana, z drugiej zaś nie cała ludność przykładała do tego taką wagę z różnych przyczyn.

Kolejną pułapką dla historyków, zdaniem Janusza Spyry, chociaż nie trudno się z nim nie zgadzać, jest uleganie subiektywnym (osobistym lub grupowym) ocenom wydarzeń historycznych, spadek po nie tak dawnych jeszcze sporach politycznych polsko-czeskich lub polsko-niemieckich, trzymanie się swoistych schematów, stereotypów lub mitów, ocenianie wszystkiego z jednego tylko (często nacjonalistycznego) punktu widzenia. Tu trzeba być ponad osobistymi animozjami, widzieć wszystko obiektywnie, bez wyolbrzymiania rzeczywistych lub niejednokrotnie urojonych krzywd, do jakich między sąsiadami dochodzi. Pamiętać należy, że narodowość nie jest kategorią obiektywną, jest to raczej subiektywne odczucie, zależne często od osobistych przeżyć danej jednostki. Problem ten szczególnie istotny i skomplikowany jest na pograniczu.

Naturalnie o Śląsku Cieszyńskim w przeszłości napisano dużo, trzeba z tych rzeczy (polskich, czeskich i niemieckich) korzystać, nie bagatelizować ich. Należy jednak podchodzić do wszystkiego krytycznie, sprawdzać źródłowo, uzupełniać, a w razie potrzeby korygować. Korzystanie tylko z jednych źródeł jest niedopuszczalne. Bo albo człowiek chce dotrzeć do sedna sprawy i zrozumieć, jak było i dlaczego, albo tej prawdy znać nie chce i powtarza tylko obiegowe stereotypy i mity lub po prostu celowo użyźnia regionalne nacjonalizmy.

Działalność Książnicy Cieszyńskiej w tym zakresie - to znaczy w gromadzeniu i udostępnianiu swych zbiorów oraz swoistym szkoleniu, jak z tych zbiorów korzystać - jest działalnością pożyteczną i potrzebną. Szkoda tylko, że przez nasze zaolziańskie środowisko jest niedostrzegana - wygląda na to, że lubimy się zamykać nie tylko przed Czechami, ale także przed Polakami zza Olzy.

KAZIMIERZ JAWORSKI

WYSTAWA POLSKIEJ KSIĄŻKI

W obecności wielu miłośników książki polskiej dokonał konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis 11 listopada w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie otwarcia Wystawy Polskiej Książki. Konsulat Generalny RP w Ostrawie wraz z Polską Izbą Książki przyjęły honorowy patronat nad tą imprezą, natomiast zorganizowało ją Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki i Sieć Księgarska Matras. Gościem wernisażu była popularna polska pisarka Wanda Chotomska. Do 14 listopada mogli mieszkańcy Czeskiego Cieszyna i najbliższych okolic zwiedzać wystawę i robić zakupy na kiermaszu. 16 listopada Wystawę Polskiej Książki przeniesiono do Jabłonkowa, tam też odbyło się w Kawiarence Pod Pegazem spotkanie z Wojciechem Jerzym Podgórskim, historykiem literatury, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. W jabłonkowskim Domu PZKO wystawiano książki do 19 listopada. Trzecim przystankiem Wystawy była Karwina. Otwarcia dokonano we frysztackim Domu PZKO 22 listopada, wtedy odbyła się też promocja książki kucharskiej Franciszka Bałona „Opowiadania o naszym gotowaniu" połączona ze spotkaniem z autorem i degustacją potraw. Następnego dnia organizatorzy zaprosili na spotkanie z krakowskimi poetami Stanisławem Franczakiem oraz jego przyjacielem Henrykiem Cyganikiem, obecny był też tłumacz tomiku Stanisława Franczaka „Dotyk miłości" na język czeski Libor Martinek. Wystawa trwała do 24 listopada.

Na Wystawie Polskiej Książki zaprezentowało się dwadzieścia wydawnictw, pięćset tytułów książek, kilkanaście tytułów czasopism, nie zabrakło publikacji regionalnych Książnicy Cieszyńskiej i Macierzy Ziemi Cieszyńskiej oraz wydawnictw zaolziańskich. Wystawę zwiedziło około czterech tysięcy osób.

Osobą, która jako prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki najbardziej zaangażowana była w organizację imprezy, była Helena Legowicz. Toteż po zakończeniu Wystawy poprosiłam ją o rozmowę na temat popularyzacji polskiej książki na Zaolziu właśnie poprzez wystawy.

Wystawy i kiermasze polskiej książki mają na Zaolziu długą tradycję. Jak daleko sięgasz pamięcią?

W Miesiącu Oświaty, Książki i Prasy organizowane były kiermasze książki przez polską księgarnię w Czeskim Cieszynie, uczestniczyła w nich z polskiej strony Ars Polona, z czeskiej Zahraniční literatura. Oprócz książek można było na tych kiermaszach kupić najnowsze polskie płyty gramofonowe. Pamiętam też loterię. Każdy, kto zakupił książkę, otrzymał losy, można było wygrać np. gramofon. W tej chwili nawet myślimy o tym, by powrócić do tej tradycji. Ta forma kiermaszów utrzymała się właściwie aż do roku 1989.

A potem doszło do likwidacji polskiej księgarni.

Przez jakiś czas nie było polskiej księgarni, wtedy Biblioteka Regionalna w Karwinie wraz z firmą Contact

zaczęła organizować giełdy książki w Karwinie w Domu PZKO lub Bibliotece, gdzie były do nabycia nowe, ale i starsze książki. W latach 1993–98 inicjatorem i organizatorem Wystawy Książek Polskich Wydawców w Czeskim Cieszynie była hurtownia Alfa Zenona Wirtha i Wydawnictwo Wiedza Powszechna. Na najbogatszych z nich było ponad trzydziestu wystawców, a w roku 1997 został nawet Zenon Wirth nominowany przez grono księgarzy do nagrody Ikara.

Czy Biblioteka Regionalna jakoś włączała się do tych wystaw?

W Bibliotece prezentowano zestawy książek pojedynczych wydawnictw. Instytut Polski w Pradze lub Konsulat Generalny w Ostrawie proponował nam poszczególne wydawnictwa, które przywoziły tu zestawy książek, wystawiały, a następnie dawały do dyspozycji szkołom i bibliotekom. Biblioteka Regionalna była inicjatorem rozszerzenia prezentacji wystawy o Karwinę.

Przez dwa lata ze względów organizacyjnych czy finansowych nie było wystawy. W tym roku Wystawę Polskiej Książki organizuje wraz z Siecią Księgarską Matras Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki?

Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki zostało powołane do życia w 1999 roku, kiedy zaistniała groźba likwidacji księgarni polskiej na tym terenie. Właściciele firmy Contact zrezygnowali z książek, ponieważ interes był nieopłacalny, i Stowarzyszenie powstało, by założyć i prowadzić taką księgarnię. Ponieważ jednak księgarnię przejęło Wydawnictwo Olza, Stowarzyszenie nie musi zajmować się działalnością gospodarczą, ale działa na rzecz popularyzacji polskiej książki. Jednym z jej głównych zadań jest organizowanie Wystawy Polskiej Książki i imprez jej towarzyszących.

Jednak bez pieniędzy wystawy zrobić się nie da, a przecież Stowarzyszenie nie dysponuje wielkimi środkami finansowymi, roczna składka członkowska wynosi sto koron?

Tegoroczna Wystawa Polskiej Książki mogła odbyć się dzięki temu, że Stowarzyszenie napisało kilka projektów na granty i uzyskało dofinansowanie z Ministerstwa Kultury RC na organizację tej Wystawy. Finansowo wsparło Wystawę także miasto Czeski Cieszyn i miasto Karwina poprzez MK PZKO w Karwinie Frysztacie. W Czeskim Cieszynie Stowarzyszenie organizuje tę Wystawę samodzielnie, ale i w Jabłonkowie, i w Karwinie współorganizatorami są Koła PZKO, bo w ich Domach Wystawa się odbywa. Natomiast z polskiej strony uzyskaliśmy wsparcie finansowe ze Stowarzyszenia Wspólnota Polska i z Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

Częścią Wystawy Polskiej Książki jest także kiermasz książki oraz imprezy towarzyszące?

Współorganizatorem wystawy jest po stronie polskiej Sieć Księgarska Matras, która pośredniczyła między Stowarzyszeniem, a wydawcami. Wystawcy nie płacili za wystawienie książek, jak na targach, ale po zakończeniu wystawy przekazali je na własność Stowarzyszeniu, które rozdysponuje je do bibliotek i szkół na naszym terenie. Na Wystawie były prezentowane także starsze numery czasopism,

które trafiają do naszych kiosków już od wiosny, by uzmysłowić naszemu społeczeństwu, że polska prasa wróciła do kiosków na Zaolzie i że warto ją kupować, bo jest po cenach atrakcyjnych, czyli równych cennikom w Polsce. Kiedy jeszcze wystawy organizował Zenon Wirth, Biblioteka Regionalna w pewnym sensie włączyła się i przygotowywała imprezy towarzyszące, gościem była np. Ludmiła Mariańska, w zeszłym roku, mimo że wystawa się nie odbyła, podczas kiermaszu obecni byli Joanna Papuzińska i Bohdan Butenko.

W tym roku zawitało na Zaolzie kilku gości z Polski?

W tym roku przyjechali Wanda Chotomska, Ewa Nowacka, Wojciech Podgórski, Stanisław Franczak, Henryk Cyganik. Zależy nam na tym, żeby to było nie tylko święto książki, ale także tych, którzy może nie dotrą na Wystawę, toteż spotkania odbywały się w szkołach i w bibliotekach. Na przykład Ewa Nowacka była gościem biblioteki w Suchej Górnej oraz Łomnej Dolnej i tam spotkała się z młodzieżą polskich szkół. Profesor Wojciech Podgórski był w Wędryni i Jabłonkowie, a przede wszystkim był gościem jabłonkowskiej Kawiarenki Pod Pegazem, która także jakby włączyła się, i była to jedna z najładniejszych imprez. Wydaje mi się, że właśnie w ten sposób wystawy powinny być organizowane w naszym środowisku, ale nie tylko dla Polaków mieszkających na Zaolziu, lecz dla wszystkich, którzy są zainteresowani polską książką i jej prezentacją. Cieszy mnie to, że na Wystawę przyszły koleżanki z Działu Uzupełniania Księgozbiorów z Biblioteki Naukowej w Ostrawie, ponieważ zawsze gromadziły polską książkę, i wyraziły chęć korzystania z tego typu imprez, żeby uzupełnić swoje księgozbiory.

I jeszcze jedno pytanie, choć może powinnam je skierować do innej osoby: Czy ludzie kupują książki?

Na kiermaszu, który prowadziła firma Danuty i Zenona Wirthów, stale był ruch. Jednak o wielkości obrotów trudno mi coś powiedzieć. Z doświadczenia wiem, że najbardziej chodliwym towarem są książki dla dzieci. Nasza tradycja kupowania dzieciom i młodzieży książek pod choinkę jest bardzo trwała. Na Wystawie przyjmowaliśmy też zamówienia na wystawione książki, których nie było na kiermaszu. Zamówienia były bardzo różnorodne, od książek dla dzieci przez publikacje naukowe, szczególnie Wiedzy Powszechnej i Wydawnictwa PWN, po literaturę piękną, Lem, Gretkowska, Tokarczuk. Te tytuły są pozamawiane i Wydawnictwo Olza będzie się je starało sprowadzić. Mankamentem Wystawy było to, że nie udało nam się jeszcze na tę edycję przygotować programu komputerowego Sieci Księgarskiej Matras, by każdy z użytkowników mógł na miejscu stwierdzić, czy książka jest do kupienia i za jaką cenę, i by wprost na miejscu złożyć zamówienie na książkę, której nie ma na kiermaszu. Mam nadzieję, że będzie tak już w przyszłym roku, bo, o ile sponsorzy dopiszą i projekty będzie można zrealizować, Stowarzyszenie będzie przygotowywało znów Wystawę Polskiej Książki.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



JUBILEUSZ W SZKOLE NAD ŁUCYNĄ

Uroczysta akademia, jaka odbyła się 17 listopada w Domu Kultury im. Leoša Janáčka w Hawierzowie, była punktem kulminacyjnym obchodów dziewięćdziesięciolecia Polskiej Szkoły Podstawowej w Hawierzowie Błędowicach. Przedtem było zwiedzanie szkoły–jubilatki, w którym wzięli udział zaproszeni na tę uroczystość goście oficjalni, a wśród nich poprzednicy obecnego dyrektora Romana Kaderki.

W wydanym z okazji jubileuszu biuletynie znaleźć można wiele danych z bogatej historii i obecnego życia szkoły. Wypowiadają się na jego łamach nauczyciele, którym dane było uczyć tu przez wiele lat, oraz dawni wychowankowie i obecni uczniowie, którym ich szkoła przyrosła do serca. A wyszło już z niej wiele pokoleń Polaków.

Nowy gmach polskiej szkoły w Błędowicach Dolnych wybudowany został jeszcze przed pierwszą wojną światową, 9 października 1911 roku rozpoczęto naukę w dziesięciu klasach. W okresie międzywojennym



szkoła przechodziła różne reorganizacje. Od 1922 roku liczyła siedem klas. W roku 1927 stała się pięcioklasową szkołą ludową, skąd dzieci przechodziły do prywatnej szkoły wydziałowej. Po drugiej wojnie światowej do szkoły zapisało się 139 uczniów. W roku szkolnym 1953–54 stała się ośmioletnią szkołą średnią, po kolejnej reformie szkolnictwa dziewięcioletnią szkołą podstawową. Istniał już wtedy Hawierzów i błędowicka szkoła została szkołą zbiorczą, do której zjeżdżały się i nadal zjeżdżają dzieci z całej okolicy: Hawierzowa Miasta, Podlesia, Szumbarku, Datyń, Suchej Średniej i Dolnej, Żywocic, Cierlicka, Trzanowic, Sobieszowic.

W chwili obecnej do szkoły uczęszcza 95 uczniów, nauka przebiega w siedmiu klasach, na stopniu niższym są to trzy klasy, na wyższym cztery. Pod kierunkiem jedenastu pedagogów młodzi ludzie uczą się nie tylko podczas obowiązkowych lekcji, ale mają do dyspozycji także trzynaście kółek pozalekcyjnych. Na tych zajęciach mogą poszerzać swoją wiedzę i rozwijać swoje zainteresowania. Szkoła może się poszczycić wieloma sukcesami w olimpiadach i konkursach wiedzy, ale także konkursach recytatorskich, a przede wszystkim śpiewaczych. Trzeba przy tej okazji wspomnieć o Ankach, zespole śpiewających dziewcząt, i o zespole mażoretek. Uczniowie szkoły biorą też udział w wielu turniejach sportowych w mieście i regionie i odnoszą sukcesy. W szkole ukazuje się pisemko

Echo spod ławek. Działa gromada zuchowa Biedronki oraz zastęp harcerski, który należy do cierlickiej drużyny. W organizowaniu imprez, balu i festynu, przedstawień szkolnych i innych, pomaga Macierz Szkolna. Imprezą, która wymagała wielkiego zaangażowania wielu ludzi, sił i środków, była też akademia jubileuszowa z okazji dziewięćdziesięciolecia szkoły.

Szczelnie do ostatniego miejsca wypełniła widownię hawierzowskiego Domu Kultury im. Leoša Janáčka publiczność: rodzice, dziadkowie, dawni wychowankowie, przyjaciele szkoły, by obejrzeć program szkoły i wyrazić w ten sposób swoje poparcie dla jej działań. Dyrektor PSP Roman Kaderka przedstawił krótko swoją szkołę, powitał też gości oficjalnych. Wśród widzów znaleźli się bowiem także konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Jerzy Herma, prezydent Hawierzowa Václav Wicher, prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, prezes Towarzystwa Nauczycieli Polskich Roman Wróbel, przedstawiciel ZG Macierzy Szkolnej, delegacja z Jastrzębia i inni.

Pierwsza część programu, którą zainaugurował występ mażoretek, została nazwana „W naszej szkole nad Łucyną" i była widowiskiem muzyczno-słownym według scenariusza Lidii Pawlas w reżyserii Eugenii Kani, w którym zaprezentowali się wszyscy uczniowie szkoły, jak również przedszkolacy z Hawierzowa i Błędowic, którzy w następujący sposób w pewnym sensie usprawiedliwiali się, ale zarazem deklarowali: *Jest nas mało, bo zostało czyste ziarno*. Opowiadano, o czym mówią kroniki szkolne, jak wyglądała nauka w dawnej szkole, zabrzmiały piosenki pokoleń starszych i młodszych, np. „Parasolki", „Biedroneczki", „Mały Książę", „Bolek i Lolek", ale także „Dostał Jacek elementarz...", „Kołysz nas, Ziemio", a nawet „Kiedy ranne wstają zorze", pieśń, którą co rano śpiewano w szkole przed wojną i jeszcze tuż po niej. Podkreślano piękne położenie szkoły nad rzeką Łucyną z ogrodem pełnym jabłek. Przypomniano znanych dziś absolwentów szkoły: Alinę Farną, Jana Monczkę, Janusza Klimszę.

W drugiej części programu, nazwanej „Absolwenci swojej szkole", według scenariusza Eugenii Kani, przedstawili się zdolni absolwenci błędowickiej podstawówki. Lenka Kubiczek rozpoczęła wierszem „Na jubileusz szkoły", a Tomasz Suchanek zaśpiewał „Mój portret". Następnie zaprezentowały się mażoretki (Halina Fronc, Agata Kula, Dorota Woźniak, Dorota Pawlas). Piosenki „To nasz rock and roll", „Machina czasu" i „Dezyderata" wykonał zespół Anki w składzie: Izabela Bałon, Mariola Fryda, Jola Gałuszka, Danuta Chodura, Magda Jedlička, Krystyna Prymus, Krystyna Roik, Magda Skurzok, Barbara Suchanek.

C.R.

ANIELA KUPIEC W CZESKOCIESZYŃSKIM KLUBIE PROPOZYCJI



Po prostu „Dwie poetki". Tak nazwał Władysław Kristen, kierownik Klubu Propozycji Miejscowego Koła PZKO Czeski Cieszyn Centrum, kolejne spotkanie w Klubie, które odbyło się 29 listopada w salce Koła. Bohaterkami były dwie poetki ludowe: Emilia Michalska (1906–1997) z Pruchnej i jej młodsza koleżanka Aniela Kupiec (ur. 1920) z Nydku.

Emilia Michalska przeżyła 91 lat – dla rodziny, pracy w gospodarstwie i pracy społecznej, a w wolnych chwilach swoje myśli, przeżycia, marzenia przelewała na papier, pisząc wiersze i opowiadania, ale też malowała, wykonywała robótki ręczne. Aniela Kupiec także całe swoje dotychczasowe życie poświęciła rodzinie, pracy gospodyni domowej i pracy społecznej. Zaś kiedy nikt, jak mówi, nie chciał słuchać jej zwierzeń, polecała je kartce papieru, tworząc wiersze i opowiadania, co czyni do tej pory. Nie ustaje też w szyciu strojów ludowych, które są dla niej ważnym symbolem miejsca i czasu. Podobieństwa losów obu poetek można by mnożyć, jedną ze wspólnych i najważniejszych ich cech jest miłość do ziemi rodzinnej, choć rozdzieliła ją granica, oraz język utworów, którym jest także, a może przede wszystkim gwara. A gwara, jak twierdzi Władysław Kristen, to perła, którą należy szczególnie chronić.

O Emilii Michalskiej mówił i wiersze jej czytał na spotkaniu w Klubie Propozycji przewodnik beskidzki i poeta Jan Żywioł. Prawdziwą bohaterką wieczoru była Aniela Kupiec, którą Władysław Kristen przedstawił jako poetkę, która *pisze wiersze sercem*. Aniela Kupiec ze słowami *nabrałach tu tego* wyciągnęła teczkę z nowszymi i całkiem świeżymi wierszami i czytała, a jej strofy wywoływały wzruszenie i radość słuchaczy, którym wydawało się, że mogliby ich słuchać bez końca. *W twoich wierszach znajdujemy wartości, których nie znajdziemy u innych poetów* – podsumował poezję Anieli Kupiec Władysław Milerski.

C.R.



PROF. ANDRZEJ STELMACHOWSKI W CZESKIM CIESZYNIE

Na zaproszenie Towarzystwa Ewangelickiego w Republice Czeskiej 21 listopada z jednodniową wizytą w Czeskim Cieszynie przebywał prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzej Stelmachowski. W godzinach porannych wziął udział w konferencji pastoralnej duchownych Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Augsburskiego Wyznania, a po południu w sali konferencyjnej domu parafialnego kościoła na Niwach miało miejsce spotkanie gościa z Warszawy z przedstawicielami zborów ewangelickich i Kościoła Rzymskokatolickiego oraz polskich organizacji społecznych z Zaolzia. Prof. Stelmachowski przybliżył zebranym działalność Stowarzyszenia Wspólnota Polska, które w roku 2000 obchodziło 10-lecie swojego istnienia. Przedstawiciele polskich organizacji podziękowali za wsparcie udzielane w różnej postaci, od finansowania bezpośredniego po udział w różnorodnych akcjach w Polsce. W trakcie spotkania dr Aniela Różańska z cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zaprezentowała przygotowywaną do druku książkę jej autorstwa na temat działalności edukacyjnej Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Augsburskiego Wyznania na Zaolziu.

E.S.

„DLO KAŻDEGO COSI DOBREGO“

Wystawę o takiej nazwie przygotowali 24 i 25 listopada członkowie MK PZKO Żuków Dolny w sali restauracji Pod Dzwonkiem. Oczywiście dużą w tym zasługa pań.

Miesiąc przed wigilią powiało Świętami Bożego Narodzenia i tradycją. Obok ozdób i ciasteczek zaprezentowano również stół z potrawami wigilijnymi, jak za dawnych czasów: kapusta z ziemniakami, suszone owoce, ciasta...

MK PZKO w Żukowie Dolnym ponownie potwierdziło swą godną podziwu aktywność i pomysłowość w podejmowanych działaniach. Wystawa, której w ramach MOKiP towarzyszyła ekspozycja polskich książek połączona ze sprzedażą oraz wystawa prac plastycznych dzieci z polskiego przedszkola w Sibicy, wypełniła dużą salę. Cieszyła się zainteresowaniem nie tylko miejscowych Polaków, ale również zwiedzających z odleglejszych okolic. Wystawę oglądali starsi i młodzi, przychodziły całe rodziny z dziećmi.

F.B.





SPEKTAKL NYDECKIEGO KLUBU MŁODYCH W STONAWIE

Młodzież nydecka bawi się w teatr. Amatorski zespół teatralny działa w ramach Klubu Młodych w Nydku. O tym, jak udaje mu się robić przedstawienia, przekonali się wszyscy, którzy 30 listopada – w Andrzejkowy wieczór – przybyli do Domu PZKO w Stonawie, bo zainteresował ich anons prasowy, w którym Kluby Młodych Stonawa, Nydek, Karwina zapraszały na spektakle teatralne. Na widowni zasiedli przedstawiciele wszystkich pokoleń, byli także młodzi ludzie mówiący po czesku, którzy bawili się na równi z innymi, widać pointy były dla nich zrozumiałe.

Narratorki Maria Martynek, zarazem reżyser pierwszego spektaklu, i Olga Suszka, reżyser części drugiej, w dowcipny sposób powitały widzów i przedstawiły zespół. Na scenie znalazło się zaledwie kilka rekwizytów i malowane dekoracje, stanowiące kolorowe tło i konkretyzujące miejsce akcji. Młodzi aktorzy sięgnęli do bogatej skarbnicy tekstów rodzimych, śmiesznych, łatwych w odbiorze, niestroniących jednak od przekazania pewnych zasad etycznych. W pierwszej części sześciu wykonawców zagrało jednoaktówkę Karola Bergera „Och, ta Kasia", część drugą wypełniły „Bajki dla potłuczonych" Władysława Sikory, dłuższe lub krótsze scenki: „Pocałuj żabkę", „Szkoda babci", „Jaś i Małgosia", „Książę i żebrak", „W krainie czarownika Zuzu", „Książę Fredek na groszku", „Królewna Śnieżka".

C.R.

LEKARZE I MIŁOŚNICY KSIĄŻKI SŁUCHALI KAROLA SUSZKI

Członkowie Polskiego Towarzystwa Medycznego w RC oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki zeszli się 7 grudnia w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Frysztacie na swym dorocznym spotkaniu. Po powitaniu zebranych przez prezesa PTM Romualda Gąsiora prezes SPPK Helena Legowicz zasiadła wraz z gościem honorowym i głównym bohaterem spotkania Karolem Suszką w fotelach na podium, by porozmawiać. Dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka okazał się świetnym gawędziarzem, toteż ani się słuchacze spostrzegli, jak upłynęły dwie godziny, kiedy opowiadał o swej pracy w teatrze, przeszłości i dniu dzisiejszym, o swych kolegach, ale także o chwilach relaksu w rodzinnym Nawsiu.

C.R.

JESIENNE MGŁY

Tradycyjny jesienny wieczór muzyczno-śpiewaczy w MK PZKO w Błędowicach odbył się 25 listopada w Domu PZKO, przy pełnej sali, w programie wystąpił miejscowy Mały Zespół Wokalny, nie zabrakło solowych występów wokalnych i muzycznych. Poezją Henryka Jasiczka wspomniano 25. rocznicę jego śmierci. Drugą część programu wypełniła kapela Kamraci oraz uroczy występ dzieci członków zespołu Dolanie, który spowodował zasłużone burzliwe brawa wszystkich widzów. I czuło się, że to oklaski zarówno za popisy wokalne i taneczne potomków Dolan, jak i za prawdziwie wzru-szającą w dzisiejszych czasach nieustającą kontynuację działalności w następnym pokoleniu.

F.B.





REWIA NA 105

Ta okazała rewia w wykonaniu uczniów Polskiej Szkoły Podstawowej w Trzyńcu Tarasie poświęcona była dwom jubileuszom – Trzyniec obchodził siedemdziesiątą rocznicę uzyskania praw miejskich, a szkoła na Tarasie swe trzydziestopięciolecie. Stąd 70 + 35 = Rewia na 105.

Autorami pomysłowego i dowcipnego scenariusza byli Halina Kowalczyk oraz Roman Wróbel, reżyserowała Halina Kowalczyk, tańce wyćwiczyła Anna Jeż, o sprawy wokalne zatroszczył się Kazimierz Cieślar, nagrania muzyczne przygotował Andrzej Macoszek.

Była środa 5 grudnia. Wypełniona po brzegi sala Domu Kultury Trisia, na scenę weszła grupa przedszkolaków z obu polskich przedszkoli w Trzyńcu 6. Malcy ubrani w stroje ludowe zatańczyli tańce śląskie i od razu ujęli wszystkich za serca. Uczniowie klas I–III zaprezentowali czeską polkę, klasy VI–VII czardasza. Do Polski przenieśli widzów, wśród których nie zabrakło zacnych gości, uczniowie klas IV–V krakowiakiem. Program prowadzili uczniowie Albert Czerny i Gabriel Kopeć, którzy też wcielili się w historyczne postacie z czasu ubiegania się Trzyńca o prawa miejskie.





Było też co nieco danych statystycznych zaprezentowanych przez dyrektora, wśród których nie zabrakło prezentacji uczniów szkoły z osiągnięciami na skalę państwa, czy też najniższego i najwyższego ucznia szkoły.

W części muzycznej Rewii na 105 zaprezentowano jej przeboje. Teksty Wandy Chotomskiej zaprezentował szkolny Kabaret na Jednej Nodze. Nie zabrakło poezji Henryka Jasiczka w przeddzień 25. rocznicy śmierci poety. Wiolonczela i śpiew to solowy występ absolwentki szkoły Doroty Blahut. Na zakończenie był polonez. A potem po raz wtóry pojawił się na scenie, tym razem jako Święty Mikołaj, dyrektor szkoły Roman Wróbel ze słodyczami dla wszystkich występujących.

Scena sali Trisia, jak wiadomo, jest duża, a była ona w czasie prawie całego programu pełna dzieci. Ta ilość (chociaż niestety to już nie te czasy, kiedy w tej szkole trzynieckiej było nie 150, a około 500 uczniów) naszych potomków, umiejących w dodatku z dużym urokiem zaprezentować tak wiele, robiła naprawdę wielkie wrażenie.

F.B.



Fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON

RENATA PUTZLACHER

POMIĘDZY

NOGA W NOGĘ

Śpisz z nim, obok niego
od tylu lat. Potrafisz zgadnąć,
dokładnie wskazać, co go boli.
Po jakiej kombinacji zapachowej,
gastronomicznej, a zwłaszcza
po alkoholu. Znasz wszystkie jego
ruchy, śmieszne ruchy nieraz,
niemęskie, a przecież prawo gatunku
jest silniejsze od nas. Gesty i odgłosy
jakie wydaje przez sen. Wiesz o nim
wszystko aż do bólu, a mimo to
nie wiesz, że ty go bolisz najbardziej.
Tępo i fizycznie, dniem i nocą.
Ręka w rękę, noga w nogę.

TRIO

Jest nas dwoje, ale to On
rozdaje karty. Śpi między nami
za twoim cichym przyzwoleniem.
Cechuje go niebiański spokój.
Opowiada dowcipy z brodą.
Często się dwoi i troi. Co noc
wysyłam mu e-maile do nieba

WYRWANA Z KONTEKSTU

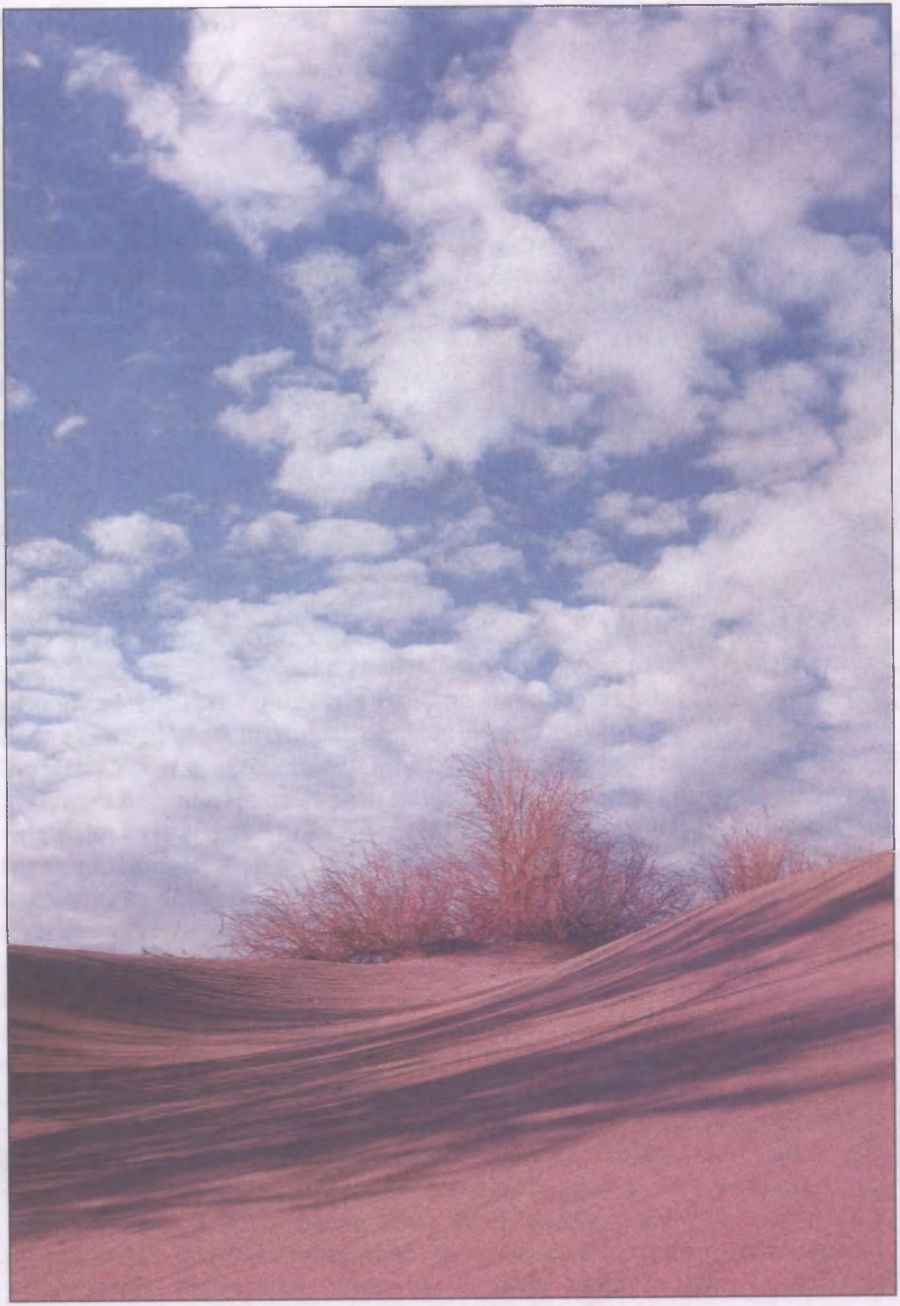
Urodziłam się tutaj, a uczono mnie języka,
którym posługiwali się tamci. Czytano wiersze
wieszcza, który żył jeszcze gdzie indziej.
Naginano mą śródlądową wyobraźnię
od morza do morza. Gdy upadałam na duchu,
śpiewano mi o Bonapartem, który dał nam
jakoby przykład. Nic w moim życiu nie było
nieszablonowe. Może tylko żargon, którym się
posługiwałam. I galicyjski kod genetyczny.
Gdy pytano mnie o tożsamość, pewna byłam
tylko swej płci. Choć nieraz mi mówiono,
że równy ze mnie chłop. Kolor skóry
też mi się zmieniał w zależności od pór roku.
Również w kłopotliwych sytuacjach, a więc
dosyć często. Zawsze czułam się w pół drogi.
Wyrwana z kontekstu. Sama sobie do pary,
żeglarzem i tratwą. Po wieki wieków
w narodowej formalinie. Marząca w duchu
o spokojnych wodach.

Z POGRANICZA

Co się łamiesz stara powiedział
to samo jest w Görlitz
na Orawie Spiszu i w Komárom
Tamci przechodzą przez granicę
po wasze żarcie a ci
nasi znaczy się
idą w drugim kierunku po ciuchy
Takie krążenie ludzi w przyrodzie
Ty trwasz wiernie na placówce
a ja tam i z powrotem jak oblatywacz
Co się łamiesz pocieszał mnie czkając
ważne że wódka jest wszędzie Po tej
i po tamtej stronie Na tym
i na tamtym świecie

Wiersze pochodzą z tomiku Renaty Putzlacher „Pomiędzy", wydanego przez Bibliotekę Śląską w Katowicach w 2001 roku.

KAROL NOWAK



PROZA

KAROL KUBAJ

GRUSZA

Stary ogród dziadka był prawdziwie zaczarowany. Zimą jakby go nie było. Drzewa spały tak cicho. Przykryte śniegowymi poduchami czarne gałęzie przypominały martwą, skomplikowaną żelazną konstrukcję do podtrzymywania burych chmur zakrywających słońce. Złudzenie zamiany drzew w żelazne podwajało się w momencie, kiedy gałęzie pokryła warstewka lodu, dająca im stalowy połysk. Wtedy też, na wietrze, drzewa zdawały się dzwonić.

Będąc dzieckiem, zimą zawsze bałem się, że drzewa umarły. Były takie smutne. Nieraz długo wpatrywałem się w zimowy sad z najprawdziwszym strachem i niecierpliwością. Kiedy wreszcie zima się kończyła, coraz częściej zasypywałem dziadka pytaniami - ile jeszcze dni będą te drzewa spały; czy wszystkie się przebudzą?

Były też drzewa i poza sadem. Pomiędzy domem, a stodołą stała grusza. Była wysoka i rozłożysta, z gałęziami aż do ziemi. Mówiono mi, że była już potężna, kiedy ojciec dziadka zamieszkał w tym domu. Pod samą gruszą nie było grządek. Rosła tam zaledwie marna trawa. Tylko wiosną zaznawała pełnego słońca. Potem nędzniała w cieniu liści gruszy. W dodatku kury wyszukujące cienia w gorące letnie dni wyskubywały jej jasnozielone źdźbła.

Grusza dominowała nad całym gospodarstwem. Można powiedzieć, że nad całą wsią. Była bowiem widoczna z daleka, aż z zakrętu drogi koło dworca kolejowego. Służyła więc nieraz przyjezdnym jako drogowskaz do domu mych dziadków, do domów ich sąsiadów. Cała w bieli wiosną. W sytej zieleni latem. Czerwona i żółta jesienią. Z przyjściem zimy czerniała gęstym splotem gałęzi, obnażając dziesiątki ptasich gniazd. Rodziła okrąglaste gruszki. Co roku, uparcie, pełne kosze owoców. Te gruszki były jesienią twarde, nie do ugryzienia. Leżąc w piwnicy, niewiele się zmieniały. Nikt z nas ich nie lubił. Tylko część babcia zagotowywała na kompoty. Większość pożerały krowy i świnie razem z burakami. Nikt ich nie zrywał. Czekano po prostu, aż spadną.

Tej jesieni, pamiętam, spadł śnieg nieoczekiwanie wcześnie. Dziadek nie pozbierał gruszek i nie zsypał ich do piwnicy. Może zapomniał, może nie zdążył. I nie stopniał ten pierwszy śnieg jak zwykle. Pokryły go kolejne grube warstwy wilgotnej bieli. Kiedy potem wieczorami, siedząc z babcią w ciepłej kuchni, patrzyłem na gruszę przez okno, to w świetle księżyca wyglądała ona jak panna młoda. Bielusieńka. Wydawała się jakby kwitnąca, tylko ta sama biel

◀ Fot. FRANCISZEK BAŁON

na płocie, na ziemi i karmnik dla ptaszków, przykryty grubą czapą śniegu, zdradzały, że to jednak nie kwiecie.

Pewnego dnia tamtej zimy przyszła tak nagła odwilż, że śnieg dosłownie zlał się z drzew i z dachów. A nocą wrócił tęgi mróz. Następnego ranka stanęliśmy na podwórzu w osłupieniu. Grusza leżała roztrzaskana na dwie połowy. Jej konary były niczym rozrzucone martwe ręce wbite setkami palców w resztki poszarzałego mrozem śniegu. Z rozciętej mrozem na dwie połowy dziupli wypadło na ziemię jeszcze jedno ptasie gniazdo, o którym dotąd nie wiedzieliśmy. Po niebie krążyły jak obłąkane czarne gawrony - zimowi goście wierzchołka gruszy.

Na wiosnę rozcinaliśmy z dziadkiem pęknięty pień na kloce. Wtedy w chwili odpoczynku podniosłem z ziemi gruszkę, która przezimowała pod śniegiem. Była ładna, żółtozielona, bez najmniejszej skazy. Kiedy ścisnąłem ją w dłoni, wydała mi się nie aż taka twarda. Przetarłem owoc chustką i spróbowałem zębami. Do ust wpłynął słodki, smaczny sok. Oczy wyszły mi z orbit ze zdziwienia. Potem obaj z dziadkiem próbowaliśmy, jedna za drugą, leżące na ziemi gruszki. Były miękkie i bardzo smaczne. Pewnie zawsze tak by smakowały, gdybyśmy zostawiali je do wiosny pod śniegiem. Jakże późne odkrycie. Były to przecież, niestety, ostatnie gruszki tej gruszy.

Kiedy zabrakło gruszy, na podwórku zrobiła się wielka pustka. Nie mogliśmy się do tego przyzwyczaić. Potem często, bywając u dziadków, kiedy patrzyłem przez okno kuchni na podwórko, rozglądałem się zdziwiony, gdzie to jestem, zanim znowu i znowu uświadamiałem sobie, że gruszy już nie ma.

Puste miejsce po bezimiennej gruszy. Pamiętam „klapówki", „szarówki", „okrąglice", a tej jakoś nikt nijak nie nazwał. Jej korzenie, które zostały pod ziemią jak kości, już pewnie spróchniały pod grządką. To miejsce do dnia dzisiejszego nazywamy „pod gruszą". Już i moje dzieci wysyłane po pietruszkę „pod gruszę" wiedzą dokładnie, gdzie mają pójść.

Na moim biurku stoi figurka wyrzeźbiona z pnia tej gruszy. Przypomina mi stary dom i ławkę przed gankiem. Dobrze pamiętam, jak na niej siadywał dziadek i dłubał w twardym czerwonawym drewnie figurki. Oczy miał pełne łez. - To słońce świeci mi w nie bez przerwy, bo nie ma już gruszy - mówił. Wiedziałem, że w rzeczywistości to słońce było tylko wymówką.

Dziadek wyrzeźbił ostatniej swej jesieni sarenkę, zajączka i ptaszki. Wszystko porozdawał, jak wtedy te ostatnie gruszki. Na koniec rzeźbił psa. Nie zdążył go już dokończyć. Tylne łapy ukrywa w jeszcze nieopracowanym czerwonym klocku. Taki pies przypadł mi, pierwszemu wnukowi, w udziale po dziadku. Jest mi wierny.

Z cyklu opowiadań „Spotkania z przyrodą"

PRAWDZIWA HISTORIA KOPCIUSZKA

Wszystko przez tę wróżkę. Bo ja wtedy wcale nie chciałam iść na ten bal. Nieprawda, że moja macocha i przybrane siostry zabroniły mi tam iść. Nie wierzcie w te bajkowe bzdury o macochach, ona wcale nie traktowała mnie gorzej niż swoje córki. Zapewne wszystkie te pogłoski rozpowszechniła rodzina mojego męża, aby ludzie myśleli, że mam się teraz o wiele lepiej niż kiedyś. A tak naprawdę jest wprost przeciwnie.

Więc jak mówiłam: Wcale nie wybierałam się na ten bal, w przeciwieństwie do moich dwu sióstr mnie taki sposób spędzania wolnego czasu nigdy zbytnio nie pociągał. Siedziałam sobie wygodnie w fotelu przy kominku, czytałam książkę (była to jedna z ostatnich szczęśliwych chwil w moim życiu) i nagle w pokoju pojawiła się ta, ta..., ta wróżka i kazała mi iść na ten bal.

Prawdę mówiąc, dziwił mnie wtedy taki sposób wyszukiwania żony dla przyszłego króla. Zwłaszcza że jego wybranką mogła zostać nawet bardzo biedna dziewczyna, byle była ładna (ach, jak ja zazdroszczę brzydkim dziewczętom). Teraz wcale się nie dziwię. Pewnie żadna o odpowiednim pochodzeniu go nie chciała. Z tym jego charakterem i w ogóle. A przystojny to on też zbytnio nie jest.

Czyli: Pojawiła się nagle na środku pokoju ta wróżka (gdyby tak dostała się w moje ręce, już ja bym ją...) i zaczęła mącić mi w głowie, już nawet nie bardzo pamiętam, co mówiła, grunt, że uległam (to podobno nazywa się pranie mózgu). Zwłaszcza że jeszcze zaczęła robić te swoje czary, zamieniać myszy w konie (biedne myszy), dynię w powóz, głupio było odmówić.

Gdybym wiedziała, jak to się skończy, byłabym bardziej stanowcza. (Wyobraźcie sobie, że zdarza się niekiedy, iż ktoś wypomni mi moje pochodzenie, czyż to nie absurd!) A najgorsze jest to, że nawet nie mogę się rozwieść, bo to przecież bajka, a w bajkach rozwodów nie ma.

I ZABRZMIAŁY BRAWA

thriller

– Uważaj na siebie i nie lekceważ niebezpieczeństwa – tymi słowami matka dokończyła serię przestróg, których ostatnio musiał wysłuchać.

Mógł więc nareszcie wyruszyć w „wielki świat", nie był już przecież dzieckiem. Rozejrzał się. A więc tak to wygląda? Całkiem tu ładnie. Spróbował

wykonać wiązankę akrobacji. Pętla, spirala, beczka. Nieźle jak na pierwszy raz.

Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście usłyszał oklaski? Aby się upewnić, powtórzył akrobacje. Rzeczywiście, nie przesłyszał się. Nie były to wprawdzie burzliwe brawa, raczej pojedyncze klaśnięcia, ale jednak. Obrócił się w tę stronę, skąd dochodziły oklaski, ukłonił się i powiedział „dziękuję bardzo", choć wiedział, że nie usłyszą tego.

A więc to są ludzie? Nie wyglądają tak groźnie jak w opowiadaniach matki. I ocenili oklaskami jego popisy akrobacyjne, które, bądź co bądź, daleko miały do doskonałości. Chcąc ich ucieszyć, powtórzył wiązankę akrobacji.

- Tam jest! - powiedziała jedna z istot zwanych ludźmi.

Wykonał spiralę. Ręce człowieka podniosły się, przygotowując się do oklasków. Skręt Immelmana niezbyt mu się udał, dostał się zbyt blisko rąk człowieka.

- Co jest? - pomyślał - Nie widzi mnie czy co?

Dłonie człowieka niebezpiecznie zbliżały się. Nagle zrozumiał. To nie były oklaski! Dłonie dzieliła już tylko dziesięciocentymetrowa przestrzeń. Ułamek sekundy wydawał się trwać wiecznie. Czuł się jak sparaliżowany. Przed oczyma przewinęło mu się całe jego krótkie życie. Nie, nie może zginąć podczas pierwszego lotu! Jest za młody. Szybko zapikował. Był trzy centymetry pod rękami człowieka, kiedy dłonie uderzyły o siebie. Wykonał korkociąg, udając trafionego.

- Masz go? - usłyszał.

- Nie.

Przy ziemi wyrównał lot i poleciał w stronę rodzinnej szafy.

- Życie mola jednak nie jest łatwe - pomyślał.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Rozejrzał się. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Gdzie jestem? - pomyślał. - Wygląda to tu całkiem jak na Księżycu.

- Nie, to niemożliwe - pokręcił głową - przecież przyjechałem tu autostopem, a nie rakietostopem.

Kilka uschniętych drzew upewniło go, że pomimo krajobrazu bardziej księżycowego niż na Księżycu jest ciągle na Ziemi.

- Pół świata zwiedziłem - pomyślał. - Byłem na Saharze, w Amazonii, w Australii, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Znów rozejrzał się ze zdziwieniem. Otaczały go tylko kamienie, jakieś sztucznie stworzone pagórki i woda, z której gdzieniegdzie wystawały suche konary.

Nagle zauważył jakiś budynek.

- Czyżby to był...? - pomyślał z jeszcze większym zdumieniem. - Na takim bezludziu? To przecież bez sensu!

Podszedł bliżej. Rzeczywiście. Wzrok go nie mylił. Był to kościół.

- A więc jednak mieszkali tu kiedyś ludzie. Ale co się z nimi stało? Nic z tego nie rozumiem.

Zawrócił w kierunku głównej drogi, aby jak najprędzej opuścić to przygnębiające miejsce.

Kiedy udało mu się zatrzymać przejeżdżający samochód, zapytał kierowcy:

- Nie wie pan przypadkiem, co to za miejsce?

- Tu była kiedyś wieś. Bardzo piękna i duża - wyjaśnił kierowca. - Ja jeszcze pamiętam, że stały tu domy, choć nie mam nawet trzydziestu lat. Jeździłem tu do babci. Było tu naprawdę bardzo pięknie.

- Ale co się stało? Dlaczego?

- No cóż. Znajdował się tu węgiel. - Kierowca pokręcił głową z rezygnacją i dodał: - Ta wieś nazywała się Łąki nad Olzą.

MARYLA ADAMEC

NA NASZEJ SCENIE

NOWY FESTIWAL TEATRALNY W CZESKIM CIESZYNIE

Na przełomie listopada i grudnia (27.11-1.12) gościł Czeski Cieszyn teatry z Ostrawy i Opawy, które przyjechały ze swymi spektaklami na nowy festiwal teatralny. I Festiwal Teatrów Morawsko-Śląskich (przyznaję, że geograficznie nie potrafiłam umiejscowić go według jego nazwy, która po czesku brzmiała I. Festival divadel moravského Slezska, bo nie wiem, gdzie Śląsk morawski leży, toteż pozwoliłam sobie samowolnie na znak protestu użyć nazwy morawsko-śląski) zorganizował Urząd Powiatowy w Karwinie i Teatr Cieszyński w Czeskim Cieszynie, dyrektorem festiwalu został dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka.

Wśród jedenastu przedstawień festiwalowych było kilka w języku polskim. Przede wszystkim Scena Polska Teatru Cieszyńskiego pokazała swój spektakl jubileuszowy „Dziadów" Adama Mickiewicza w reżyserii Karola Suszki oraz w tej samej reżyserii małoobsadową sztukę Mirko Stiebra „Proszę... zrób mi dziecko". W Scenie Polskiej miała też początek adaptacja tekstów Jędrzeja Wowry, które ówczesny reżyser przedstawienia Janusz Klimsza zaprezentował teraz jako monodram gwarą „O, jak ślicno familija". Polskim akcentem był również spektakl Teatru Lalek Bajka, działającego przy ZG

PZKO w Czeskim Cieszynie, który przypomniał „Kopciuszka" według Jana Brzechwy w reżyserii Grzegorza Lewandowskiego.

Scena Czeska Teatru Cieszyńskiego zagrała komedię Carlo Goldoniego „Zakochani" w reżyserii Václava Klemensa. Z Opawy przywiózł tamtejszy Teatr Śląski „Czarownice z Salem" Arthura Millera w reżyserii Františka Laurina. Pozostałych pięć przedstawień zaprezentowały zespoły teatralne z Ostrawy. Studenci ostrawskiego Konserwatorium Janáčka przedstawili swoje umiejętności w napisanej dla nich przez Jiřego Sedláčka z muzyką Norberta Lichego „sztuczce" „Zvířata v ruksaku" w reżyserii Josefa Nováka Wajdy. Narodowy Teatr Morawsko-Śląski, podobnie jak teatr opawski, sięgnął do klasyki komediowej i przywiózł „Szelmostwa Skapena" Moliera w reżyserii Radovana Lipusa. Natomiast Scena Kameralna Arena pokazała przeróbkę sceniczną autorstwa Ivo Krobota i Petra Oslzlego powieści Bohumila Hrabala „Obsluhoval jsem anglického krále", którą reżyserował Pavel Cisovský. Ostrawski Teatr Lalek przedstawił wyreżyserowane przez Petra Nosálka ballady „Kytice" Karla Jaromíra Erbena. Festiwal zakończył spektakl Towarzystwa Teatralnego im. Petra Bezruča „Wilki", w którym także nie brakowało polskich akcentów. „Wilki" napisała Agnieszka Osiecka, na motywach prozy Isaaca Bashevica Singera, reżyserem i scenografem przedstawienia był Andrę Hübner-Ochodlo, urodzony w Niemczech, mieszkający w Polsce pieśniarz żydowski, a muzykę napisał Zygmunt Konieczny.

Pierwsza edycja Festiwalu, na razie bez konkursu i nagród, miałaby stać się początkiem serii spotkań teatrów regionu, które, choć działają w niewielkiej od siebie odległości, rzadko mają okazję do wzajemnej konfrontacji. Festiwalowa publiczność dopisała i dyrektor Karol Suszka jest zadowolony. Uważa, że warto było, i pragnie spotkać się za rok.

CZESŁAWA RUDNIK

BAJKA O KOPCIUSZKU

„Kopciuszek" według Jana Brzechwy jest pierwszą pozycją repertuarową Teatru Lalek Bajka w Czeskim Cieszynie w tym sezonie. Wyróżnieniem dla teatru może być fakt, że znalazł się ze swoim spektaklem na tegorocznym I Festiwalu Teatrów Morawsko-Śląskich, który odbywał się w Czeskim Cieszynie od 27 listopada do 1 grudnia. „Kopciuszka" zagrał wtedy w swojej salce na poddaszu budynku ZG PZKO. Na widowni nie było pustych miejsc, jednak trudno było znaleźć wiele nowych twarzy, przyszli raczej ci, co zawsze za Bajkę trzymają kciuki, z sympatią odnoszą się do jej działań i wspierają ją.

Byli także widzowie, którzy mówią i myślą po czesku, co widocznie nie przeszkadza im rozumieć polski teatr lalek.

Przedstawienie przygotował Grzegorz Lewandowski z Częstochowy, od wielu lat stały współpracownik Bajki. I choć tym razem z niezrozumiałego dla mnie względu wśród realizatorów nie podano nazwiska autora scenografii, trudno było, patrząc na lalki, nie rozpoznać ręki stałej współpracowniczki reżysera. Obrazy podobnych lalek utkwiły w mojej pamięci (może przez sentyment dla Krakowa, nie wiem) po spektaklu Bajki „Szewczyk Dratewka, czyli O smoku wawelskim" z roku 1997, gdzie z zainteresowaniem śledziłam aktorów, jak manipulują lalkami, wielkości około jednego metra, prawą ręką trzymając uchwyt znajdujący się z tyłu wielkiej głowy lalki, lewą zaś wykonując gesty ręką lalki. Każda postać sceniczna była obserwowana przez widza jakby w dwóch wcieleniach: aktora i jego lalki. Lalki te wzbudziły wtedy moją sympatię. Te z „Kopciuszka" były trochę mniejsze, choć może mi się tak tylko wydawało, a buzia samego Kopciuszka nie zachwycała urodą na tyle, by Królewicz miał się w niej zakochać od pierwszego wejrzenia.

A jednak zakochał się i znalazł właścicielkę zgubionego pantofelka. Musiały pogodzić się z tym Złe Siostrzyczki, które notabene w tej adaptacji nie były wcale takie złe i choć mniej urodziwe czasami nawet wzbudzały sympatię. Chyba też zasłużyły na dobrych mężów, niekoniecznie z królewskiego rodu, i długie szczęśliwe życie.

Aktorzy - Dorota Grycz (Kopciuszek), Pawełka Niedoba (Macocha), Jan Szymanik (Królewicz), Krystyna Czech i Beata Badošek (Złe Siostrzyczki) - swobodnie czuli się w swych rolach, tworząc wiarygodne postacie sceniczne. Prosta dekoracja pozwalała poruszać się zgrabnie na niewielkiej przestrzeni sceny. Wielkim atutem przedstawienia była muzyka Andrzeja Macoszka, która dyktowała tempo, żywe melodie, nastrajające radośnie, piosenki, które mogłyby ubiegać się o miano przebojów.

Ciekawie rozwiązana została scena, kiedy Królewicz przymierza pantofelek kolejnym dziewczynom. Na scenę zaproszone zostały także kilkuletnie kandydatki z widowni, wcześniej obdarowane kolorowymi szalikami, by przez chwilę mogły poczuć się jak prawdziwe aktorki i prawie jak królewny. Zdarzyło się, że któraś z nich, widocznie za młoda na zamążpójście, zaczęła pociągać nosem i chciała jak najprędzej wrócić na widownię do mamy. Ale większość spisywała się dzielnie, a rozwiązanie takie nie tyle przedłużyło krótkie przecież, bo przygotowane na jedną godzinę lekcyjną przedstawienie, co pozwoliło jeszcze bardziej zacieśnić kontakt zespołu aktorskiego z widzami.

Widzowie, starsi i młodsi, przypomnieli sobie historię o Kopciuszku, a przy okazji padło nazwisko Jana Brzechwy, dziś już klasyka polskiej literatury dla dzieci. Z jego twórczością trzeba zapoznać tych najmłodszych, którzy jeszcze o nim nie słyszeli. Teatr Lalek Bajka robi to ostatnio systematycznie, bo były już „Bajki pani Bajki" - o Jasiu i Małgosi i o Czerwonym Kapturku według Brzechwy, były też „Brzechwałki", czyli wiersze Brzechwy.

CZESŁAWA RUDNIK



DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA MACIERZY

Edytorska działalność Zarządu Głównego Macierzy Ziemi Cieszyńskiej wzbogaca corocznie rynek wydawniczy, a tym samym skarbnicę kultury regionalnej, nowymi pozycjami wydawniczymi. Do stałych wydawnictw należy - wychodzący od 1985 roku Kalendarz Cieszyński, który zdobył sobie uznanie jako almanach wiedzy o ziemi cieszyńskiej.

Mnogość wartościowych materiałów z różnych dziedzin życia regionu, ukazujących się w kolejnych edycjach Kalendarza, zrodziła potrzebę opracowania i wydania „Bibliografii zawartości Kalendarza Cieszyńskiego za lata 1985-2000". Pozycja taka, wydana przez Macierz Ziemi Cieszyńskiej i Książnicę Cieszyńską, jest jeszcze do nabycia.

W roku 2000 Macierz wydała 8 pozycji, m.in. „Śląsk Cieszyński - zarys kultury materialnej i duchowej", „100 lat polskiego szkolnictwa powszechnego w Cieszynie", zbiór wspomnień i wierszy Jerzego Ruckiego „By uchronić od zapomnienia" oraz reprint Mapy Księstwa Cieszyńskiego J. Nigriniego z 1724 r.

Pierwszą pozycją, jaka ukazała się w 2001 roku, była publikacja Władysława Sosny „Franciszek Górniak 1854-1899". Jest to kolejna pozycja z cyklu wybitnych sylwetek Śląska Cieszyńskiego, popularyzowanych przez Macierz, wydana z okazji obchodzonego w styczniu ub. r. stulecia Domu Narodowego w Cieszynie.

Dla potrzeb edukacji regionalnej w minionych latach Macierz wydała podręczniki dla pedagogów i uczniów z zakresu geografii i przyrody, historii oraz kultury Śląska Cieszyńskiego. Na wiosnę ub. roku kazała się nowa edycja tych publikacji, zawierająca dotychczas wydane trzy tomy z uzupełnieniami i koniecznymi zmianami pod wspólnym tytułem „Śląsk Cieszyński - środowisko naturalne, zarys dziejów, zarys kultury materialnej i duchowej". Drugą, równie znaczącą pozycją dla edukacji regionalnej, wydaną w tym samym czasie, jest antologia literatury nadolziańskiej Leona Miękiny pt. „Znów minie wiek".

Dotychczasowy dorobek Macierzy Ziemi Cieszyńskiej obejmuje prawie 160 tytułów wydawniczych, w tym publikacji popularnonaukowych, reprintów i rzadkich pozycji bibliofilskich. W planach wydawniczych na najbliższy okres znajdują się takie pozycje jak „Pamiętnik śląskiego nauczyciela" Jana Żebroka, reprint „Przewodnika po Śląsku Cieszyńskim" ks. Antoniego Macoszka oraz włączy się do wydania z Książnicą Cieszyńską bibliografii materiałów publikowanych w czasopismach regionu cieszyńskiego za okres la t 1997-1999. Niezależnie od tego ukaże się nowy rocznik Kalendarza Cieszyńskiego, kolejne Sprawozdanie roczne z działalności ZG MZC, kolejny tomik „Nadolzia" i inne.

Działalność wydawnicza uzależniona jest wszakże od możliwości finansowych, toteż nie obejdzie się bez wsparcia ze strony odpowiednich instytucji i fundacji promujących kulturę.

(K-r)

◀ Fot. FRANCISZEK BAŁON

STRUKTURY Z POLONIKAMI

Habent sua fata libelli - także książki mają swój los, ulegają swemu przeznaczeniu. Naturalnie książka, zanim powstanie, zanim stanie się książką, już ma swoją historię, ale to tylko jedna strona jej losu. Druga rozpoczyna się z chwilą, gdy dotrze ona do czytelnika, a jeżeli nie dotrze wcale, to też to jakiś kaprys losu. Bo przecież przeznaczeniem książki jest dotarcie do czytelnika. Naturalnie nie chodzi tu tylko o przedmiot z papieru, ale o treść, zawartość duchową, wartość w końcu oraz o satysfakcję, jaką daje (lub nie daje) czytelnikowi.

Oczywiście najpierw książka musi zostać napisana, wydrukowana, znaleźć się w sprzedaży i zostać przez czytelnika kupiona i ostatecznie przeczytana. Książka nieprzeczytana na swój sposób nie istnieje.

Skonkretyzujmy te rozważania na przykładzie książki Zdeňka Kožmína „Struktury". Najpierw dla mnie nie było jej wcale, chociaż w świecie literatury żyje już od roku 1995, kiedy wydano ją w brnieńskiej Rovnosti. Nie wiadomo jednak, czy autor, pisząc ją, wierzył w jej książkowe życie, przecież pisał ją w latach normalizacji, kiedy jako autor został skazany na nieistnienie. A jednak książka została wydana i dotarła do czytelnika, w tym wypadku do mnie.

PhDr Zdeněk Kožmín urodził się w lutym 1925 roku, jest profesorem Fakultetu Filozoficznego Uniwersytetu Masaryka w Brnie. Po studiach na Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze uczył w szkołach średnich, a następnie w latach 1956-1970 na brneńskim Fakultecie Pedagogicznym, poświęcając się pracy naukowej oraz literaturze, jako jej miłośnik przede wszystkim, a potem teoretyk i analityk. Wydał prace poświęcone stylowi sztuki, prozie Vančury, braci Čapków, sztuce wiersza, twórczości Skácela itp.

W roku 1970 w ramach normalizacji został wypędzony z wyższej uczelni i na szczęście mógł uczyć w gimnazjum w Zastávce koło Brna. Twórcy jednak nie można zmusić do milczenia, nie zabijając go, więc pisał, nadal badał ulubionych przez siebie pisarzy, na marginesie zaś pisał swe wspaniałe dzienniki-niedzienniki, które nazwał „Strukturami". Dopiero w listopadzie 1989 roku wrócił na uniwersytet w Brnie i mógł publikować swe ciekawe prace.

Taki był w skrócie odautorski los tej książki. A potem trzeba było przypadku, bo dziś bardzo mało księgarni sprowadza książki ambitne, bym, z chorobliwego niemal nawyku, zajrzał do trzynieckiego kina Kosmos, gdzie sprzedawano przecenione książki (to też los książek ambitnych i wybitnych) i natrafił na taki „skarb". Naturalnie to moja osobista ocena, ale książki, która daje tyle pięknych chwil podczas lektury, budzi tyle refleksji, nie sposób inaczej określić. Tym bardziej, kiedy człowiek spotyka poprzez książkę człowieka zafascy-

nowanego tymi samymi na ogół autorami – czeskimi, polskimi i światowymi.

To właśnie te polonika sprawiły, że pragnę podzielić się wrażeniami z jej lektury. Tę szczupłą 130-stronicową pozycję czyta się z przyjemnością od samego początku. Nie są to dzienniki, najwyżej roczniki, bo autor tylko lata oznacza, poczynając rokiem 1975 i kończąc 1989, wreszcie zamykając całość ciekawym studium o czasie, jego relacjach między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

To, o czym autor tu pisze, jest już przeszłością sprzed lat. „Struktury" Kožmína wnoszą jeszcze jeden wgląd w tamte czasy i sprawy, wzbogacając naszą o nich wiedzę. Całość stanowi swoiste pomieszanie materii, mowa tu o sprawach życiowych trudnych i bolesnych nieraz, ale dla równowagi niejako są też wspaniałe zdania i rozdziały o pięknie życia, radości z dnia słonecznego, jesiennej zadumy i zimowego uroku, najwięcej tu jednak filozofii, sztuki, literatury dawnej (romantycznej) i współczesnej, czeskiej i obcej, w tym także polskiej. Autor utwierdza nas w tym, że można (kto chce i potrafi) żyć w swoistej symbiozie życia codziennego i literatury, że takie życie jest bogatsze, a poprzez to piękniejsze.

Autor na marginesie swej pracy (analizy) nad twórczością czeskiego romantyka Machy odnajduje ślady romantyzmu we współczesności, w oglądzie krajobrazu, zimowej aurze i wielu na pozór banalnych, nieromantycznych sytuacjach. Studiując romantyzm Machy, szuka połączeń z polskim romantyzmem Słowackiego i Norwida, których naturalnie czyta i cytuje nawet w oryginale. Mało tego, znajdzie tu miłośnik polskiej literatury, poezji przede wszystkim, sporo ciekawych spostrzeżeń na temat twórczości Różewicza, Harasymowicza, Rymkiewicza, Markiewicza, Baczyńskiego, Bryla, Schulza, Stachury, Grochowiaka, Białoszewskiego, Kuśniewicza, Mrożka itp. Kto z nas, Polaków żyjących w RC, przeczytał z uwagą tylu polskich poetów? Ilu z nas, tak jak on, abonowało miesięcznik Twórczość, Pamiętnik Literacki? Mało tego, czytał on po polsku nie tylko Polaków, ale z braku czeskich przekładów także m.in. Becketta, japońskie haiku itd.

Jest więc Zdeněk Kožmín sympatyczny poprzez te polonika (w pewnym miejscu, pod morawską Mogiłą Pokoju, zastanawia się, czy ewentualnie któryś z jego praprzodków z Czech lub Polski tutaj nie walczył), jest poprzez swoje poglądy na temat życia i sztuki bliski każdemu człowiekowi, któremu nieobce są sprawy ogólniejsze i wyższe wartości.

Człowiek w swym życiu spotyka ludzi różnych, dobrych (ale i złych), bezpośrednio lub za pośrednictwem chociażby książki (obrazu, muzyki, fotografii) i te spotkania mogą być ważne i piękne, jak było w moim przypadku ze Zdeňkiem Kožmínem i jego „Strukturami".

KAZIMIERZ JAWORSKI

WSPÓLNY KONCERT GÓROLI I ŚLĄSKA FOLKLOR W TEORII I PRAKTYCE

Na Śląsku Cieszyńskim bywało przeważnie tak, że wszystkie działania i związane z nimi instytucje miały zawsze cel nadrzędny. Było nim zazwyczaj służenie regionowi, jego kulturze, oświacie, szkolnictwu, społecznemu ruchowi artystycznemu, spółdzielczemu itp. Tak samo działały jednostki, toteż lekarze, inżynierowie, prawnicy, nie mówiąc już o nauczycielach, byli nie tylko pracownikami w swoich zawodach, ale i społecznikami, działaczami politycznymi, społecznymi, amatorami śpiewactwa, teatru i Bóg wie, czym jeszcze. Takie postawy wymusiły i wykształciły cieszyńskie dzieje. Mając te wspaniałe tradycje w pamięci, cieszyńskie środowisko uniwersyteckie pragnie do nich nawiązywać, wzbogacać cieszyński dorobek o nowe inicjatywy - pisze prof. Daniel Kadłubiec na łamach październikowego Głosu Ziemi Cieszyńskiej.

I właśnie jedną z nowych inicjatyw, które wzbogacają Ziemię Cieszyńską, jest cykliczna impreza Katedry Folklorystyki Ogólnej i Stosowanej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, kierowana przez prof. Daniela Kadłubca, która nawiązuje do bogatej i różnorodnej spuścizny artystycznej, literackiej, kompozytorskiej i folklorystycznej Stanisława Hadyny, twórcy Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk. W spuściźnie tej tkwi bardzo ważny problem stylizacji folkloru, stale wywołujący dyskusje, wątpliwości i spory. Wiele tu niedomówień, niejasności, fałszywych kryteriów itp. A zatem gdzie są granice stylizacji, by folklor był na scenie jeszcze folklorem? Jakie są stopnie tego procesu w muzyce, pieśni, tańcu, mowie? Co jest nienaruszalne, a co można zmieniać. Jaki jest związek między wykonawstwem pieśni czy muzyki, a składem instrumentalnym kapeli? Na takie właśnie problemy natrafiają kierownicy i członkowie amatorskich zespołów i grup folklorystycznych, których jest na Śląsku Cieszyńskim sporo.

I właśnie z myślą o wszystkich miłośnikach kultury ludowej, o nauczycielach, szkołach wspomniana już wyżej Katedra przygotowała pod przewodnictwem prof. dr. hab. Daniela Kadłubca z Zaolzia sesję popularnonaukową nazwaną „W kręgu inspiracji Stanisława Hadyny. Folklor i jego stylizacje". Wyżej wymienione i jeszcze inne zagadnienia znalazły się w centrum uwagi takich referentów jak prof. dr hab. Bauman-Szulakowska (Poetyka stylizacji folkloru muzycznego Stanisława Hadyny), prof. dr hab. Alojzy Kopoczek (Instrumentarium i jego wpływ na styl wykonawczy folkloru), prof. dr hab. Krystyna

Turek (Pieśń ludowa w aspekcie folkloryzmu muzycznego), prof. dr hab. Daniel Kadłubiec (O języku folkloru jako gwarze artystycznej), mgr Szymańska-Kukuczka (Folkloryzm taneczny na przykładzie cieszyńskich zespołów regionalnych) i Juraja Kubanka z Bratysławy, jeden z najlepszych współczesnych etnochoreografów, który omówił swoją pracę artystyczną w reprezentacyjnym słowackim SLUK, ilustrując swoje rozważania pokaz ami kroków tanecznych z różnych tańców ludowych oraz dokumentami filmowymi. Juraj Kubanka gościnnie działa też obecnie w ZPiT Śląsk, gdzie ćwiczy taniec orawski do muzyki Wojciecha Kilara.

Sesja, która miała miejsce 13 października 2001 w Centrum Konferencyjnym Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, spotkała się z bardzo pozytywną oceną licznie zebranych uczestników. Wszystkie referaty z sesji wydane zostaną drukiem.

Ponadto sesja wzbogacona została o Koncert Galowy w wykonaniu Regionalnego Zespołu Folklorystycznego Górole z Mostów koło Jabłonkowa pod kierownictwem Alojzego Martynka, który dał pokaz autentycznego widowiska ludowego „Deptanie kapusty", przyjętego bardzo serdecznie i często przerywanego oklaskami. A potem w porywającym programie, w którym nie zabrakło nawet zaolziańskiego hymnu „Płyniesz Olzo" (po raz pierwszy zaśpiewanego przez zespół), zaprezentował swoje umiejętności ZPiT Śląsk. Wybór obu zespołów nie był przypadkowy. Nawiązywał do sesji, bowiem uwidocznił dwa odmienne sposoby czerpania ze skarbnicy kultury ludowej. Występ Góroli uwidaczniał wierność, autentyczność oryginału, koncert zaś Śląska był pokazem stworzenia wielkiego stylizowanego obrazu artystycznego, którego punkt wyjścia stanowił autentyk. Jak podkreślił na zakończenie porywającego koncertu prof. Daniel Kadłubiec, *obydwa systemy rozwijania dziedzictwa kulturowego są równie ważne, równie wartościowe.*

JÓZEF WIERZGOŃ

I FESTIWAL CHÓRÓW ŚLĄSKICH W USTRONIU SUKCES ZAOLZIAŃSKICH ZESPOŁÓW

Z poważnymi obawami przystępował Urząd Miejski, Stowarzyszenie Miłośników Kultury Ludowej Czantoria oraz MDK Prażakówka w Ustroniu do organizowania pierwszego w powiecie cieszyńskim Festiwalu Chórów Śląskich. Wynik przeszedł jednak oczekiwania. Udział w konkursie zgłosiło 15 chórów, z samego tylko Zaolzia było ich aż siedem: Chór Nauczycieli Polskich (dyrygent A.Suchanek), Harfa (T. Piwko), Canticum Novum (L. Kalina) i Collegium Canticorum (H. Goniewicz-Urbaś) - wszystkie z Cz. Cieszyna, frysztacki chór żeński Kalina (O. Winkler), jabłonkowski chór męski Gorol

(A. Mozgała) oraz trzyniecki Hutnik (E. Wigezzi). Zgłosił się też do konkursu czeski chór Slezan z Cz. Cieszyna (K. Kramolisowa i P. Jonszta). Ze Śląska był chór mieszany Hejnał (K. Przemyk) z Mazańcowic, chór mieszany Seraf (Krystyna Lubos) z Rybnika, Parafialny Chór Ave (Alicja Adamczyk) i Ewangelicki Chór Mieszany (Maria Cieślar) z Ustronia, chór mieszany Echo (Jadwiga Sikora) z Zebrzydowic, chór mieszany Gloria (B. Noga) ze Skoczowa oraz chór żeński Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej (Mirosława Knapik) z Katowic.

Organizatorzy festiwalowych zmagań chóralnych spisali się na medal. Festiwal miał nie tylko sprawny i gładki przebieg, ale był również na zadziwiająco dobrym poziomie artystycznym. Był to konkursowy maraton. Przesłuchania zakończyły się pod wieczór, przyniosły jednak wiele muzycznej satysfakcji i wzruszeń. Obok wysokiego poziomu artystycznego nie brakowało też ciekawych i różnorodnych utworów chóralnych.

Bardzo dobra organizacja imprezy, setki śpiewaków na scenie, to wszystko niezmiernie radowało. Poziom był wysoki, co czyniło wybór trójki laureatów niezwykle trudnym zadaniem. Gdyby nie było regulaminowego gorsetu, zwycięska trójka, która wykazała profesjonalny poziom, otrzymałaby równorzędne pierwsze miejsca - powiedział przed ogłoszeniem wyników prof. Alojzy Kopoczek, przewodniczący jury.

Laureatem I miejsca (nagroda 1500 złotych) został Chór Mieszany Collegium Canticorum. II miejsce (1000 zł) przyznano chórowi żeńskiemu katowickiej Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia, zaś III miejsce (500 zł) przypadło czeskocieszyńskiemu Chórowi Mieszanemu Canticum Novum. Nagrodę specjalną im. Emila Fobera (500 zł) otrzymał jabłonkowski Gorol za interpretację pieśni Śląska Cieszyńskiego. Nagroda Oddziału Bielskiego Stowarzyszenia Wspólnota Polska (500 zł) trafiła do Polskiego Chóru Mieszanego Hutnik z Trzyńca za dobór repertuaru i dotychczasowy całokształt kreacji artystycznej. Nagroda (500 zł) ustrońskiej firmy Mokate, jako sponsora festiwalu, przyznana została Chórowi Mieszanemu Echo z Zebrzydowic, który pod fachowym kierownictwem Jadwigi Sikory z Filii UŚ w Cieszynie jako chór gminny wykazuje zadziwiającą i stale rosnącą formę wykonawstwa artystycznego.

W końcowym komunikacie jury (oprócz prof. Kopoczka zasiadali w nim także Aleksandra Paszek-Trefon i Janusz Budak) podkreśliło również - obok wyrównanego poziomu zespołów, staranności repertuarowej i dużego zaangażowania - samą inicjatywę zorganizowania festiwalu, która jest bardzo cenna i potrzebna, o czym świadczy duża liczba uczestniczących chórów. *Impreza taka daje możliwość konfrontacji i kontaktów środowiskowych, co zbliża artystycznie i muzycznie* - czytamy w zakończeniu protokołu jury. Odczytanie werdyktu jury i rozdanie nagród odbyło się następnego dnia po zmaganiach konkursowych, tj. 7 października, i to przy szczelnie wypełnionej sali Domu Kultury.

A oto kilka wypowiedzi po ogłoszeniu werdyktu jury: *Sukces oczywiście cieszy. Zespół na to zasłużył. Uważam jednak, że trzeba trochę zrewidować regulamin konkursu i wprowadzić czytelny podział chórów na kategorie* -powiedziała Halina Goniewicz-Urbaś, która trzeci rok pracuje z czeskocieszyńskim Collegium Canticorum. Zaś długoletnia chórzystka tegoż zespołu Danuta Cymerys dodała: *Uważam, że pomysł zorganizowania takiego festiwalu właśnie w Ustroniu jest świetny. Co ciekawe, do konkursu zgłosiło się wiele chórów zaolziańskich. Kiedyś był wcześniej pomysł zorganizowania podobnego konkursu na Zaolziu. Chóry nie miały jednak ochoty rywalizować między sobą. Uważano wręcz, że nie należy dzielić chórów na lepsze i gorsze, poddawać ich klasyfikacji. Tymczasem na ustroński festiwal przyjechało sporo zaolziańskich chórów, które chciały wystąpić w zawodach. Tutaj, na gruncie neutralnym, łatwiej się konkuruje i łatwiej się śpiewa. Następuje pełna mobilizacja - to przecież jednak wyjazd za granicę. Bardzo miłe były spotkania z innymi śpiewakami, Polakami po drugiej stronie granicy, którzy opowiadali nam o swojej pracy, śpiewaniu, o tym, jak im się powodzi. Wytworzyła się sympatyczna atmosfera. Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z udziału w festiwalu.*

Nagrodę specjalną im. Emila Fobera przyznano Gorolowi z Jabłonkowa. Prezes Estrady Ludowej Halina Fober ze wzruszeniem opowiada o nagrodzie niedawno zmarłego męża: *Cieszę się, że mogłam wręczyć nagrodę chórowi, którego mój mąż był wielkim przyjacielem. Wyróżnienie to jest upamiętnieniem osoby Emila Fobera, stąd obok smutku radość i satysfakcja, że tak wiele po sobie zostawił. W czasie Festiwalu był wśród nas. A jeśli chodzi o Festiwal w ogóle, to muszę powiedzieć, że owszem, było sporo pracy, ale też jako współorganizatorzy my, członkowie Czantorii, mamy wiele satysfakcji płynącej z faktu, że organizacja imprezy wypadła tak sprawnie. Każdy chór miał swojego pilota i o to m.in. zadbała Czantoria. Mamy nadzieję, że Festiwal uda się kontynuować w roku przyszłym, gdyż jest to okazja do spotkania się chórów, które obecnie nie mają się gdzie „wyśpiewać". Głównie z powodów finansowych podobnych do naszej imprez organizuje się coraz mniej. A przecież każdy chór chce się pokazać, zaistnieć również na scenie i przywieźć choćby dyplom, dowód uczestniczenia w konkursie, aby mieć coś w swoim dorobku. Dla chórów zaolziańskich Festiwal ma jeszcze jeden walor, że mogą wystąpić w Polsce i spotkać się z rodakami po tej stronie granicy. Myślę, że dlatego zgłosiło się tak dużo chórów z Zaolzia.*

A potem - na zakończenie Festiwalu - odbył się wspaniały koncert w wykonaniu chóru męskiego Männergesangverein z Niemiec, ustrońskiej Estrady Ludowej Czantoria z dyrygentem Władysławem Wilczakiem i siedemdziesięcioosobowego Zespołu Śpiewaczo-Muzycznego Przyjaźń z Karwiny pod kierownictwem artystycznym Józefa Wierzgonia (chór, orkiestra, soliści Adelajda Szymik - alt, Grażyna Wilk - sopran, Władysław Czepiec - tenor).

JÓZEF WIERZGOŃ



JUBILEUSZ CHÓRU ŻEŃSKIEGO KALINA

Chociaż polski śpiew chóralny ma we Frysztacie długoletnią tradycję, gdyż pierwszy chór mieszany powstał w 1919 roku, to jednak chór, w którym śpiewają same panie, pracuje tu od niedawna. Kiedyś istniał już co prawda chór żeński, ale krótko, tylko w latach 1954–56. W 1981 roku doszło do jego reaktywowania.

Powiodły się starania komitetu założycielskiego. Na pierwszą próbę, która odbyła się 3 września 1981 roku, przyszło 30 śpiewaczek. Kierownikiem artystycznym zespołu został doświadczony dyrygent Otokar Winkler. Pierwszy publiczny występ odbył się 29 listopada tego samego roku. Chór szybko się rozrastał i po pół roku liczył ponad 40 chórzystek. Pierwszym kierownikiem organizacyjnym była Ewa Zolich, zastępcą dyrygenta Wanda Kondziołka. Po pięciu latach istnienia chór przyjął nazwę Kalina od słów piosenki ludowej: Czymu kalino w dole stoisz, bo właśnie rodzima pieśń ludowa stanowiła początkowo podstawę

repertuaru, gdyż najlepiej pomagała opanować zasady śpiewu chóralnego. Z czasem repertuar wzbogacono i dziś śpiewa Kalina pieśni dawne i współczesne, muzykę rozrywkową i poważną.

Chór żeński Kalina pracuje w Miejscowym Kole PZKO w Karwinie Frysztacie. Od roku 1992 kierownikiem organizacyjnym chóru jest Maria Pieczka, dyrygentem niezmiennie Otokar Winkler. Chór liczy w tej chwili 28 członkiń. W ciągu dwudziestu lat odbył 773 próby, wystąpił 137 razy na przeróżnych koncertach, przeglądach, konkursach, akademiach, w czasie imprez w swoim i innych Kołach PZKO, w kościołach. Przez pierwszych pięć lat działalności były to przede wszystkim występy w najbliższej okolicy, potem śpiewał m.in. w Tarnowskich Górach, w Koszalinie na VII Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych, w Katowicach na Górnośląskich Konfrontacjach Chóralnych, Ogólnopolskim Festiwalu Pieśni Chóralnej, kilkakrotnie na Trojoku Śląskim, w Oświęcimiu na święcie pieśni Gaude Cantem, na Słowacji w kościołach w regionie orawskim.

Jesienią ubiegłego roku chór świętował swoje dwudziestolecie. W wydanym z tej okazji biuletynie Kaliny napisano: *Porównując ze stażem śpiewaczym wielu naszych zasłużonych chórów, to Kalina należy do najmłodszych, lecz za lata swej pracy zyskała już sobie wśród braci śpiewaczej i społeczeństwa uznanie, aprobatę i należne jej miejsce.*

Koncert jubileuszowy odbył się 10 listopada w karwińskim Miejskim Domu Kultury. Program rozpoczął chór jubilat, śpiewając „Wiązankę pieśni śląskich" i „Zaszumiały nasze Beskidy". Z krótkimi pozdrowieniami wystąpili następnie przedszkolacy i młodzież szkolna. Trzy pieśni („Czerwony pas", „Kiedym jechał do dzieweczki", „Marsz górniczy") zaśpiewał chór męski Hejnał-Echo, który działa w tym samym frysztackim Kole PZKO. A potem już widownia, a trzeba powiedzieć, że publiczność dopisała, wsłuchiwała się w pieśni w wykonaniu Kaliny: „Sanctus", „Má hvězda", „Beskidy, Beskidy", „Śpiewam ja, śpiewam", „Świetliki", „Gęś wodą", śpiewane z akompaniamentem Heleny Pawlas i kwartetu smyczkowego nauczycieli szkoły muzycznej. Urszula Sikora przekazywała słowo wiążące. Danuta Ondruch przypomniała 110. rocznicę urodzin Gustawa Morcinka. Gościem drugiej części koncertu stał się zespół z Ustronia, znana już na naszym terenie Dziecięca Estrada Regionalna Równica.

C.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

OBCHODY 75-LECIA CHÓRU MIESZANEGO HASŁO

17 listopada skrzeczoński chór mieszany Hasło obchodził w sali bogumińskiego zakładu Bochemia jubileusz 75-lecia istnienia. Imprezę zaszczycili swoją obecnością zacni goście: konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Marian Ozimek, kierownik wydziału szkolnictwa, kultury i sportu Urzędu Miejskiego w Boguminie Pavla Skokanowa, przedstawiciele Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego przy Zarządzie Głównym PZKO Jadwiga i Barbara Karolczyk oraz Władysław Czepiec, a także pięcioosobowa delegacja zaprzyjaźnionego Towarzystwa Miłośników Grodkowa z przewodniczącym Józefem Kośla na czele.

W ramach koncertu jubileuszowego chór jubilat z dyrygentką Ireną Szeligą wykonał siedem piosenek („Krakowiak", „Mazur", „Teče voda, teče", „Poemat", „Postój, piękna gołąbeczko", „Piosenka dudziarza", „Kołysanka"), ze słowem wiążącym Aleksandry Sładeczek i przy akompaniamencie Władysława Ruska. Członkowie zespołu odznaczeni zostali przez Polski Związek Chórów i Orkiestr w Warszawie, i tak złotą odznakę I stopnia otrzymali Janina Jendrzejas, Władysław Kwaśnica i Alojzy Sładeczek, natomiast złotą odznakę I stopnia z laurem PZCHiO zasłużona chórzystka Maria Ożóg, której ponadto przypadł zaszczyt przypięcia do sztandaru chóru kolejnej wstęgi jubileuszowej. Po nadaniu odznaczeń chór zaprezentował jeszcze piosenkę „To wołają skowronki", po czym w trakcie gratulacji z sali rozległo się chóralne „Sto lat".

W drugiej części imprezy pod batutą Haliny Niedoby gościnnie wystąpił chór mieszany Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa. Zespół, który ma na swoim koncie występy w Polsce, Słowacji i Austrii, dał próbkę swoich nieprzeciętnych możliwości, kiedy to m.in. zabrzmiały pieśni ludowe, artystycz-

ne, sakralne oraz duet z operetki „Wesoła wdówka" w wykonaniu Elwiry Zwyrtek i Władysława Czepca przy akompaniamencie Krystyny Pyszko. Konferansjerkę prowadziła Urszula Czudek.

Po imprezie odbyło się spotkanie towarzyskie gości z członkami chóru jubilata. Podziękowano wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do udanego przebiegu imprezy jubileuszowej, a zwłaszcza dyrygentce Irenie Szelidze, która prowadzi chór od roku 1997 po nagłym zgonie długoletniego dyrygenta Władysława Ożoga, oraz przewodniczącemu samorządu chórowego Stanisławowi Górniokowi. Zwrócono się również do chórzystów z gorącą prośbą, by kontynuowali piękną 75-letnią tradycję krzewienia pieśni polskiej w Skrzeczoniu. Obecnie chór liczy 32 członków, próby odbywają się w poniedziałki o godz. 18.00 w Domu PZKO. Akompaniatorką jest zasłużona członkini Franciszka Czerna.

Kuluarowe spotkania dały możliwość pobudzenia wspomnień, ożywienia pamięci o ludziach, którzy przyczynili się do zaistnienia i rozwoju chóru. A wszystko zaczęło się w roku 1926, kiedy to nauczyciel polskiej szkoły w Skrzeczoniu Józef Płonka zgromadził wokół siebie grupkę młodzieży i wspólnie przygotowali, głównie w celach towarzyskich, kilka pieśni. Dwa lata później młodzi występują już jako chór, dla którego repertuar pozyskali od Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Zespół działał przy Kole Macierzy Szkolnej. W latach trzydziestych chór liczy już 60 chórzystów. W roku 1938 dyrygentem chóru zostaje Rudolf Wójcik. Wojna poczyniła swoje, rozproszyli się chórzyści, zaginęły nuty. Ale już w listopadzie 1945 odbyła się próba pod kierownictwem Rudolfa Wójcika, a od roku 1947 chór działa przy Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej. W roku 1951 staje się zespołem MK PZKO w Skrzeczoniu. I tak jest do dziś. W latach 1969 - 1997 dyrygentem chóru był Władysław Ożóg, po jego śmierci pałeczkę dyrygenta przejęła Irena Szeliga. W ciągu 75-letniej działalności chór występował około 750 razy.

W sezonie 2000/2001 chór Hasło zaliczył 12 występów. Najważniejszym był występ w rychwałdzkim Domu Kultury podczas Wieczoru Pieśni z okazji 90-lecia śpiewu chóralnego z udziałem zespołu śpiewaczego gospodarzy Rychwałdzianie, chóru Zaolzie z Orłowej Lutyni, chórów Lutnia z Lutyni Dolnej i Wieliczki oraz zespołu folklorystycznego Familio ze Skrzyszowa. W ramach działalności Koła zespół występował podczas takich tradycyjnych akcji jak obchody Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy, Powitanie Wiosny i festyn ogrodowy. Występował też z kolędami w Domu PZKO podczas wigilijki połączonej ze spotkaniem z ubiegłorocznymi jubilatami Koła. Oprócz tego chór śpiewał kolędy w bogumińskim i skrzeczońskim kościele, w miejscowym kościele wystąpił podczas odpustu.

Chcąc poznać bogatą historię chóru Hasło, warto zajrzeć do Izby Tradycji w Domu PZKO w Skrzeczoniu, gdzie wśród wielu cennych dokumentów i pamiątek znajduje się 234-stronicowa kronika zespołu z lat 1926-1969.

D.G.



KONCERT JUBILEUSZOWY W MARKLOWICACH DOLNYCH

Jubileusz osiemdziesięciolecia zorganizowanego śpiewactwa w Marklowicach Dolnych oraz w Piotrowicach, jak również trzydziestolecie istnienia chóru mieszanego Piotrowice-Marklowice był okazją do zorganizowania koncertu, podczas którego zaprezentował się chór jubilat oraz zaproszone przez niego chóry z niedalekiej Karwiny. Koncert odbył się 18 listopada w czeskiej szkole podstawowej w Marklowicach Dolnych.

Oprócz pieśni usłyszała publiczność fragmenty z Kroniki chóru w Marklowicach Dolnych, które przedstawiła Jadwiga Karolczyk. Pieśń chóralna brzmiała w Marklowicach już przed pierwszą wojną światową, kiedy młodzież po ukończeniu szkoły schodziła się tu nadal, by śpiewać. Początki zorganizowanego śpiewactwa kojarzone są z rokiem 1913 i nazwiskiem Andrzeja Kruczka, 2 lutego 1914 roku powstało Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej. W roku 1921 założone zostało kółko śpiewacze i od tego roku liczą marklowiczanie historię swego śpiewactwa, od roku 1930 chór należał

do Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Tu należałoby wymienić nazwiska chociażby Emanuela Sznapki, Antoniego Pawlika, Karola Chodury. Po wojnie wznowiono działalność chóru po powstaniu Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w roku 1947, istniał do roku 1955.

Historię chóru w Piotrowicach przedstawił Henryk Toman. Jej początki to rok 1921 i nazwiska pierwszych dyrygentów - Józefa Wojaczka i Leona Krótkiego. Rok 1926 to powstanie Chóru Młodzieży Katolickiej. W roku 1930 założył Józef Wojaczek chór w pobliskiej Zawadzie. Po wojnie chór mieszany Hejnał w Piotrowicach, który rozpoczął działalność w roku 1947, prowadzili Leon Janiurek, Józef Krótki, Erwin Masłowski. Chór działał dziesięć lat. Ponad pięćdziesiąt występów dał chór męski Zgoda z dyrygentem Leonem Janiurkiem, który założyli w roku 1952 Erwin Hołek i Emil Sobocik. Poza tym istniał kwartet męski i mieszany oraz oktet męski. W latach 1958-68 powstał zespół Łaziki, był to sekstet żeński i kwartet męski, poszerzony później o zespół taneczny. W latach 70. śpiewała Kapela Podwórkowa w składzie Erwin Masłowski, Erwin Michalski, Tadeusz Błanik. W latach 1972-76 Elżbieta Wójcik prowadziła chór żeński.

Od trzydziestu lat działa założony przez Rudolfa Wójcika, prowadzony następnie prawie dwadzieścia lat przez Erwina Masłowskiego, a obecnie przez Jadwigę Karolczyk chór mieszany Piotrowice-Marklowice, który połączył niejako historię polskiego śpiewactwa w Piotrowicach i Marklowicach.

Potrójny jubileusz zgromadził wielu miłośników śpiewu, przybyli także m.in. konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Marian Ozimek, starosta Piotrowic Petr Trojek i ksiądz proboszcz Henryk Lorisz, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, przedstawiciele Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego Brunon Rygiel i Józef Wierzgoń, delegacje Kół PZKO i chórów.

W pierwszej części koncertu chór jubilat wspomagany głosami chórzystów chóru kościelnego z Karwiny Frysztatu (soprany i alty), chóru Lira (tenory) i chóru Dźwięk (basy) zaprezentował repertuar sakralny, pieśni przygotowane na niedawną mszę prymicyjną ks. Stanisława Węglarzego w Marklowicach Dolnych. Następnie wystąpił chór mieszany Dźwięk z Karwiny Raju, którym dyrygowała Barbara Tomanek. Po krótkiej przerwie zaśpiewał chór żeński Kalina z Karwiny Frysztatu pod batutą Otokara Winklera, a program zakończył chór jubilat wspomagany przez tenorów z Liry. Wiele kwiatów złożono potem na ręce dyrygent chóru mieszanego Piotrowice-Marklowice Jadwigi Karolczyk, życząc chórzystom zdrowia i sił, by przez wiele jeszcze lat mogli umilać swym śpiewem wspólne spotkania. Po koncercie odbyło się jeszcze spotkanie towarzyskie.

C.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

OPOWIADANIA

Jak był tatek jeszcze synkym, tak robił na szachcie, a był pomocnikiem hawiyrza Fudali. Tyn mu rozkozoł wachować pómpe, jak odczerpie wode. Kozoł mu tam czakać tak dłógo, aż se po niego wróci. Jak pómpa wypła, tak tatek czakoł, ale Fudali jaksi dłógo nie było, tóż se tatek zdrzymnół. W tym sie mu śniło, że se bije z Fóntanóm (tak sie u nas powiadało hawiyrskimu chłopkowi, kiery żył w kopalni - był to podziymny patrón hawiyrzi), a że z nim Fóntana strugnół o ziym. Przebroł się, a był spadnóty z ławki na ziym. Za chwile przyszeł Fudała i zgasło mu zaroz światło, tóż posłoł tatka do przodku ku hawiyrzóm po światło. Jak se tatek wrócił, Fudale uż tam nie było, wołoł go, hledoł, ale nie naszeł. Uciekoł spadki do przodku i prawił to hawiyrzóm. Szli go hledać, a naszli go nieżywego w takim wąskim chodniku, kónsek od pómpy. Hawiyrze doszli do wniosku, że tam były isto jakisi gazy, kiere Fudali zgasiły światło i były też przyczyną jego śmierci. Tatek w duchu dziękowoł Fóntanowi, że go obudził, bo by isto zustoł na tej ławce spać na dycki.

Tatek roz siedzioł z hawiyrzami na sztusie na felach, a swacził. Zaś ku nimu przyszeł mały chłopek z brodóm, a na głowie mioł szpiczatóm czopke. Był to Fóntana. Strasznie zaczón tatka szkubać za nogawice, tatek se rozglóndoł, co se kaj robi, i szeł za Fóntanóm, kaj go ciągnął. Jak zrobił pore kroków, na to miejsce, kaj siedzioł, spadnół strasznie wielki kamiyń. Fóntana go zachrónił przed śmierciom.

Też chłopi swaczili, a dycki ku nim przyszły myszy, bo wiedziały, że cosi z tej swacziny też dostanóm. Roz też przyszły, a potym za chwile zaczyny strasznie piszczeć, a uciekać. Wszyscy hawiyrze sie przestraszyli i też z tego miejsca odeszli. Za chwile sie to miejsce zawaliło. Gdyby tam hawiyrze siedzieli, wszyscy by zustali pod tym zawałym.

Było to w wieczór wigilijny, a dziecka od sómsiadki Pawlaski chciały do wieczerzy wigilijnej grysik. Gryzku dóma nie było, tóż Pawlaska posłała swojigo chłopa po sómsiedzku do nas na gryzek. Wylecioł z chałupy bez kabota, jyny w koszuli, dyć to było pore kroków przez miedze. Dałach mu gryzku i szeł hned zpatki. Powiadoł nóm potym, że jak se wracoł z tym gryzkym, to go isto jakosi mora smykała, bo se fórt tocził dookoła i nimóg trefić do chałupy. Szeł kole niego dalszi sómsiad Emil Gorzyk (ku swoi narzeczónej) i widzioł z daleka, że tam gdosi chodzi. Tóż na niego wołoł: „Co tam hledocie" a ón mu prawi: „Tóż se po-

dziwej, same wysoki chałupy, a jo tyn swój dómek ni a ni nónść." Emil mu prawił: „Na dyć tu żodnych wielkich chałup nima, a wyście sóm przi swoji chałupie. Tu sóm wrótka, a uż idźcie do dómu, bo se przechłódzicie."

Powyższo historia sie zdarzyła w czasie II wojny światowej w Błędowicach na Podlesiu. Opowiadała to p. Anna Chmielowa z d. Szturcowa, ur. w 1912. Dzisio w tym miejscu stoją naprowde same wysokie bloki, je to okolica Permonu i Domu Kultury L. Janáčka.

O WASERMÓNIE

W Pogwizdowie w plosie na rzece Olzie, blisko miasta, mieszkoł wasermón Michałek. Na św. Józefa wielki siedlok Bura, kiery mioł blisko mostu przi Olzie pole, jechoł bryczkóm z gospodynióm na jermak do Frysztatu. Wasermón stoł na moście, dźwignął ręke, bryczke zastawił i pytoł gazde, żeby go przibroł do Frysztatu. Gazda był chłop dobry, na bryczce było dlo trzecigo miejsca dość, był by go przibroł, ale gospodyni na wasermóna zaczyna wrzeszczeć: „Widzicie go, jak se wóm chce iść na jermak, to możecie iść pieszo, bo widzim, że mocie nogi zdrowe. My tu ledwo z chałupy wyjechali, a hned jakigosi milijońskigo wandrola by my mieli przibiyrać. Pieknie by my to wyglóndali, jakby my każdego po ceście przibiyrali, niż by my do Frysztota przijechali, to by my mieli pełnóm bryczke wandroli, a my by musieli iść pieszo". Michałek widzioł, że gazda nic nie rządzi, jyny baba pyskuje. Poszeł ku bryczce i ze zadku chcioł na nióm wyskoczić. Ale baba na niego krzikła: „Idziesz prycz, ty kanalijo jedna!" Gazda go trzi razy biczym śmignół. Wasermón od bryczki odskocził, a gazda śmignół po kóniach i jechoł do Frysztota. Wasermón chwilke stoł na moście, pogroził pięściom za bryczkóm, zaczón sie strasznie chichrać, a potym sóm do siebie prawił: „Poczkej jyny, bydziesz ty Michałka biczym śmigać, jo cie nauczim!"

Siedlok na jermaku dłógo nie był, bo tam tego roku nic ku kupiyniu nie było, a pogoda była piekno, tóż baba nagliła, żeby jechali do dómu, bo było trzeba po połedniu zasioć owies przi rzyce. Jak przijechali do dómu, baba obskocziła kole obiadu, gazda odfutrowoł kónie, kozoł pachołkowi narychtować płóg, bróny dać na wóz, nagotowoł owies na sioci. Jeszcze nie były dwie godziny, już przy Olzie orali. Robota im szła raźno i dobrze. Ziymia była sucho, piaszczysto i kole sztworte już mieli naorane. Janek - pachołek hakowoł, gazda sioł i śpiychali sie, żeby do wieczora skóńczyć. Już mieli posiote, zaczyni włóczyć, a zaczón popadować deszcz. Niż powłóczyli, robote skóńczyli, konie a gazda i pachołek byli cali od gliny zbabrani. Nałożyli płóg, bróny na wóz, podjechali ku Olzie, a że padać przestało, gazda kozoł Jankowi kónie odprzągnąć, zakludzić do Olzy, umyć i napoić. Na to czakoł wasermón Michałek, kiery już downo siedzioł w krzokach przi Olzie schowany. Janek wkludził kónie po kolana do wody, kónie piły, a ón im umył nogi i brzuchy, bo dali zmazane nie były. Gazda stoł przi wozie, czakoł,

a dziwoł się, co Janek robi. Jak Janek zaczón kónie z wody wykludzać, to wasermón chlusnął na nie z krzoków dwa razy błota tak, że im całe grzbiety błotym obdzielił. Gazda ani Janek wasermóna nie widzieli. Jak Janek przikludził kónie ku wozu, gazda sie dziwo i prawi: „Par, dyć mosz całe ty kónie po grzbietach od błota zmazane. Tak weznymy każdy jednego, zakludzymy ich na głębszóm wode i porządnie umyjymy. Jak już byli z kóniami na głęboki wodzie, wasermón sie w krzokach zaczón strasznie chichrać, skoczył do wody, a kónie i pachołka wciągnął na głębine i utopił. Gazda sie cudym uratowoł i polecioł mokry, na pół żiwy do dziedziny po ludzi, żeby pumógli kónie i pachołka z plosa wyciągnąć. Ale w tym czasie zaczyno tak strasznie padać, loć i Olza w migu przybrała. Jak gazda z ludziami ku rzyce przyszeł, o żodnym wyciąganiu nimógło być rzeczi, bo woda downo Janka i kónie ku Odrze poniósła.

O WASERMÓNACH

Czy to bajka, czy nie bajka,
myślcie sobie, jak tam chcecie,
a ja przecież wam powiadam,
utopce są w każdej rzece.

Mieszkałach przy rzece Łucynie, a mój tatek powiadał zawsze o wasermónie. Przy większym deszczu rzeka napełniła sie i wylewała i zalewała pole przy niej. Było to nasze pole, bo rozciągało sie wzdłuż rzeki. Targało zawsze brzegi i tatek je naprawiał - robił zatarasy - wbijał długie drewniane pale do brzegu i zaplatał w nie długie gałęzie z wierzby oraz wypełniał choinami. Według tatka wasermón Zeflik se to pochwalowoł, bo mu też zostało jego mieszkanie. I byli z nich kamraci.

Nikiedy jak szeł tatek ku rzyce, wrócił se zpatki i powiadoł: „Dziecka, dzisio nie chodźcie ku rzyce, bo wasermón je we złej naladzie, jeszcze kogo utopi". Albo też widzioł małego zielónego chłopka na kawałku drzewa w kształcie łódeczki i wartko wiosłowoł po wodzie, a to był znak, że se śpiycho kogosi utopić. Starszi brat popołudniu wrócił z pracy i opowiadoł, że na Szumbarku przy młynie sie utopiła dziewczyna.

Na rzyce była zbudowano drewniano zostawa, ale tóm zebrała woda i aktywny na owe czasy Józef Pawlica zbudował nową betonową zostawe. Było to w miejscu, gdzie graniczyły Średnie Błędowice z Dolnymi. Ze zostawy przekopana została młynka, którędy woda prowadziła do młyna i tartaku u Pawlice. Według tego, ile wody potrzebował, tak sie kierowało takim szrubym. Mówiło sie tymu sziber. Jak Pawlica mleł zboże na mąke albo rzazoł drzewo na pile, tak sie sziber dźwignół, aby szło więcej wody i energia by ła większa.

Też do tego młyna chodził wasermón w nocy smażić ryby do dziecek a swoji

paniczki. Dycki tam niechoł nieporządek po siebie, tzn. rozciepane rzeczy przy ognisku. Młynorz tam roz posłoł w nocy swojigo psa. Wasermón tam smażił pstrągi. Doł ich do kastrola, przidoł masła, soli, kminu i smażił. Jak uż to zaczyno wóniać, pies to zwietrzył i łapóm gaboł do kastrola, ale wasermón go ciapnół warzechóm po łapie. Udało sie wasermónowi zachrónić cały kastrol z rybami. Na drugóm noc, zaś jak przyszeł wasermón smażić ryby, pies uż tam czatowoł, a jak ryby zaczyny wóniać, gabnół łapóm po kastrolu, przyciągnół cały kastrol ku sobie i wszystko wylizoł. Wasermón se chcioł brónić warzechóm, ale pies se do niego puścił i wasermón z płaczym uciyk. Dóma se jeszcze z nim powadziła paniczka, bo nie przyniós dzieckóm ani ónej wieczerze. Od tego czasu tam wasermón nie chodził.

Po pewnym czasie spotkoł wasermón młynorza Pawlice i pytoł się go: „Młynarra, mosz ty eszcze tego kotarra?" Młynorz mu odpowiedzioł: „Na móm, a uż sie okocił, a mo siedym młodych". Wasermón prawił: „To jo uż tam nie pujdym, bo by mie zabiły". Wasermón Zeflik od tego czasu najczęściej przebywał w zatarasie, kiery mu tatek przygotowoł i naprawioł.

Tatek roz szeł ze szichty w nocy, a zdało sie mu, że po łące chodzi sómsiadów kóń Szimel. Wołoł na niego: „Szimel, prr, Szimel, prr" i siągoł mu na uzde. Kóń ale dźwigoł stale głowe do góry i tatek nimóg na niego dosiągnąć. W tym ale cosi gruchło i szpluchło do wody, tatek sie opamiętoł i leżoł na miedzy, a rękóm siągoł do przikópki z wodą, kiero prowadziła do rzyki. To był wasermón Zeflik. Dziyń przed tym sie kąpały gęsi w rzyce i ze strasznym krawalym uciykły z wody. Tatek pyskowoł na wasermóna Zeflika, że ich wypłoszył.

Też tatek po obiedzie leżoł na ławce i odpoczywoł. Troche podrzymowoł, aż ku nimu przyszeł taki mały chłopek, chycił go za kolano, zatrzepoł z nim i powiadoł: „Pobíhám a za týden pojedu". Jeszcze roz to powtórzył, bo to tatek zaroz nie rozumioł, co to powiado. Chcioł mu dać chleba z mlykym, ale chłopek zaś mu powtórzył: „Pobíhám a za týden pojedu". Tatek wyjón z kapsy dwie koróny (na tamtejsze czasy to było dużo pieniędzy) i doł tymu chłopkowi. Tyn zdjął czapeczkę, grzecznie sie ukłónił, podziękował i poszedł. Potym dopiero se tatek wszimnół, że na siyni były kropki wody z jego zielonego kubraczka, i pomyśloł se, że to isto był wasermón. Zaroz nóm to potym opowiadoł.

Wieczór szeł na szichte. Jak to było zwyczajem, spotykali sie ze sómsiadami i chodzili na szychte pieszki. Po drodze sómsiedzi opowiadali o chłopku, prawili: „Co tu jakisi cudzy wandrol bedzie chodził, mómy tu dość swoich" i wygnali go, a nic mu nie dali. Tatek prawił, że mu doł dwie koróny.

Zaczyno potym padać, a loło tak długo, aż rzeka Łucyna wyloła sie z brzegów. Były prawie sianokosy. Tym sómsiadóm, co wasermóna wygnali, pole zamuliło, siano zebrało, nasze pole nie było zamulone, a siana nie zebrało.

AMALIA PAWLASOWA



Fot. FRANCISZEK BAŁON



Żona poety z epoki kamiennej:- No i popatrz, to jest wszystko, co ten leń dziś napisał.

- Czemu płaczesz, Józieczku?
- Bo ciocia tak długo siedzi...
- A czemuż nie mam siedzieć?
- Bo ciocia usiadła na mojej bułce z masłem!

- Pańskie córki grają na cztery ręce, panie baronie?
- Po co? Mnie stać na to, żeby każda miała oddzielny fortepian.

Mąż: Jakiż szczególny zapach ma ta sałata z cebuli?
Żona: Bo widzisz, cebula ma tak brzydki zapach, że musiałam ją skropić perfumami.

W podróży
- Patrz, żonusiu, jakie to piękne, te ruiny starożytne.
- Ach tak... Ale to dziwne doprawdy...
- Co takiego?
- Dziwne, że w starożytności budowano ruiny zamiast całych domów.

- Ojcze, powziąłem postanowienie: Nie będę kupcem, będę muzykiem.
- A rób sobie, co chcesz. Tylko się nie ośmiel kiedy przyjść grać na moje podwórze.

- Nie mogę wam nic dać - mówi przechodzień do żebraka - bo sam nic nie mam.
- A to czemu się pan do jakiej roboty nie weźmie - odpowiada z oburzeniem żebrak.

Z dziennika podróży:
Doszliśmy do tak rzadkiego lasu, że nie było ani jednego drzewa.

Nauczycielka czyta dzieciom powiastkę o pustelniku i niedźwiedziu; dochodzi do miejsca, kiedy niedźwiedź zauważył, że jedna z much ciągle siada na czole pana.
- A skąd on wiedział, że to ta sama mucha - pyta Stefek.

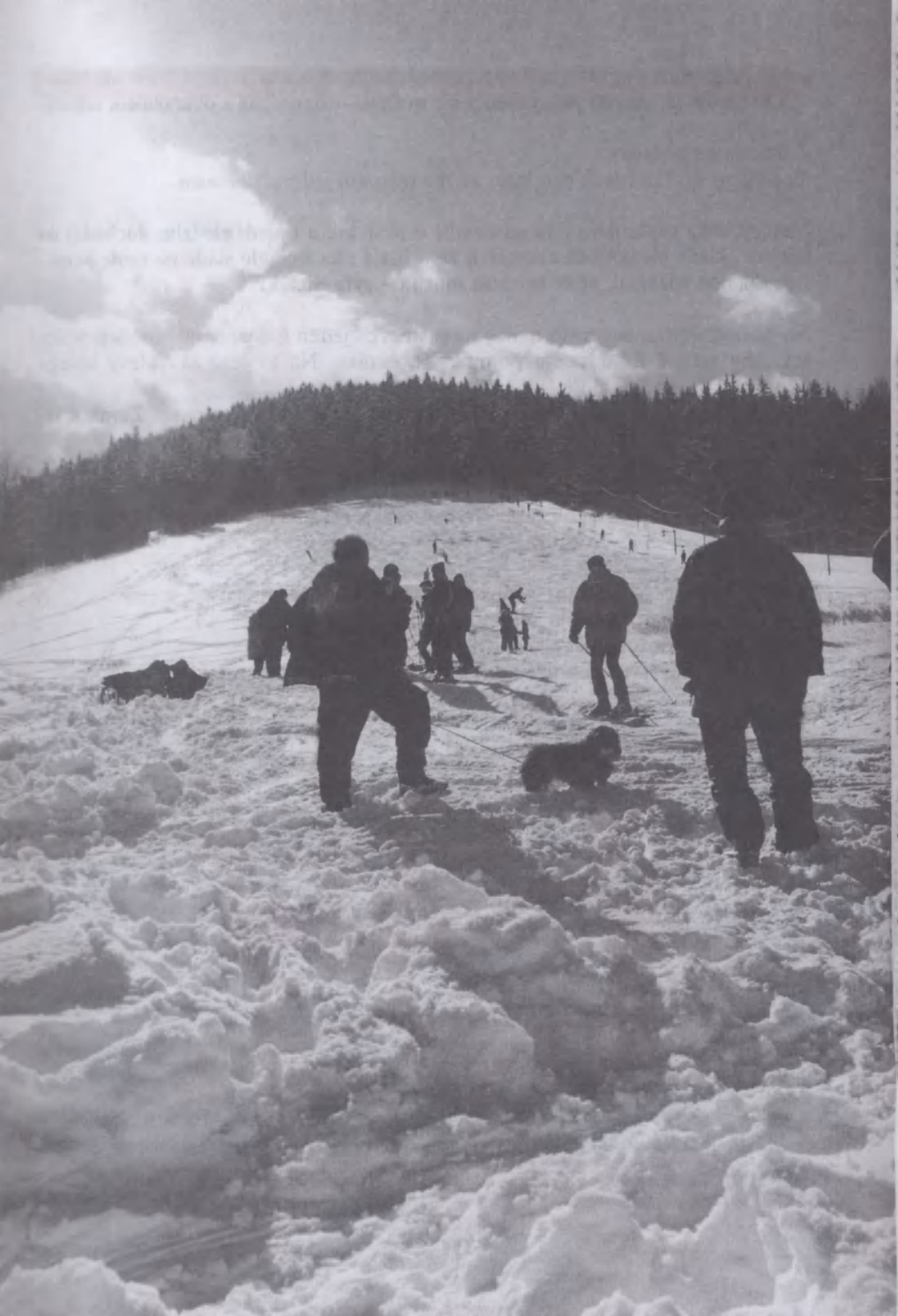
Na posiedzeniu magistratu małego miasteczka jeden z ławników postawił wniosek, aby zebrać fundusz na pomnik Kopernika. Na to jego krzykliwy kolega odparł:
- Wszystko tylko marnowanie pieniędzy. Już wy to macie pomysły. Zamiast tego tam pomnika lepiej zaopatrzyć wdowę i dzieci po nieboszczyku.

Pan A. z gniewem: Jak pan może opowiadać, że jestem głupcem?
Pan B. uprzedzająco grzecznie: Bardzo przepraszam, nie wiedziałem, że to tajemnica.

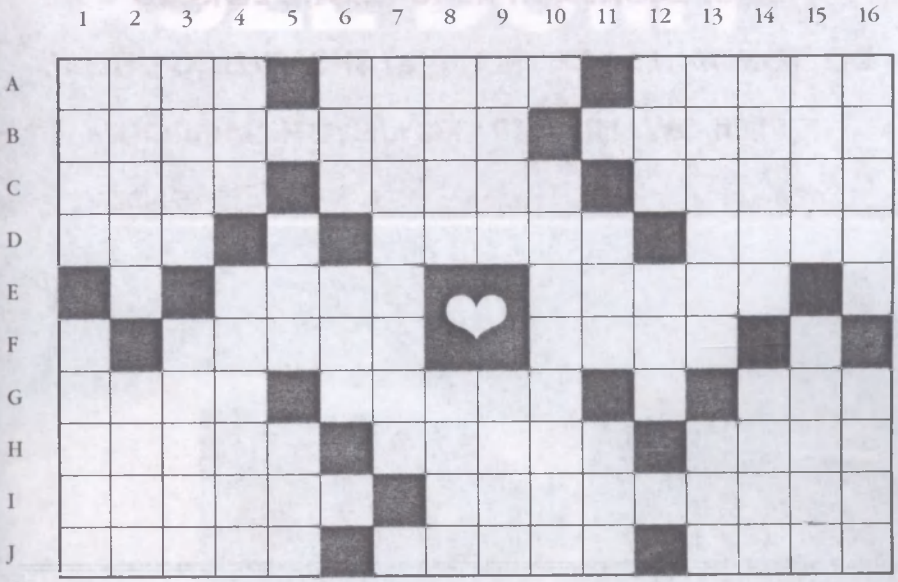
- Jak się macie, Mateuszu? A dużo tam na wsi macie śniegu?
- Ja mam nie bardzo wiele, ale moi sąsiedzi mają dość.
- A to jakim sposobem?
- A bo oni mają więcej pola.



Proces rozwodowy w epoce kamiennej.
- A wkońcu, prześwietny sądzie, rzuciła mi na głowę te oto listy miłosne, które swego czasu do niej pisałem



KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Płynie przez Żywiec; ... to zdrowie; ogłoszenie. **B.** W Polsce jest Obywatelska; pies czterech pancernych. **C.** Imię suczki; może być graficzna; miasto w Japonii. **D.** Wymarły ptak nielatający; ... z Rotterdamu; przezroczysta tkanina. **E.** 0,9144 metra; sól kwasu octowego. **F.** Wódz rzymski (Juliusz); ażurowa tkanina. **G.** Prawy dopływ Prypeci; następca Jelcyna; gorąco, upał. **H.** Imię Sawyera z powieści M. Twaina; naszyjnik; oddycha skrzelami. **I.** Zawilec; kruche ciasto z jabłkami. **J.** Służył do pisania na tabliczce; wyspa grecka; żyzny region rolniczy w Indii.

PIONOWO: 1. Wyspa Kiribati na Oceanie Spokojnym; bóstwo męskie Wenus (anagram wyrazu TRASA). **2.** Stanisława Walasiewicz-...; imię premiera W. Brytanii. **3.** Lepsza ..., niż dziura; przysmak, rarytas. **4.** Skrót jednostki ciśnienia; imię Przybory. **5.** Budowla służąca do spiętrzania wody; rodzaj uczesania. **6.** Sygnał do wzywania pomocy; boleń. **7.** Rzecz ponownie bez zmiany wydrukowana. **8.** Imię Sharifa; grzanka. **9.** Część spłaty; imię żeńskie. **10.** Nawóz mineralny. **11.** Rzymskimi cyframi 1101; papuga. **12.** Cyganka z opery „Manru" Paderewskiego; as. **13.** Duży ssak morski; pierwiastek chemiczny (Rh). **14.** Gwiazdozbiór lub myśliwy z mitologii; zboże chlebowe. **15.** Płynie przez Pińczów; matka ojca lub matki. **16.** Podziałka; były polityk austriacki.

Wyrazy trudne: ARIDA, DOAB, SPAM, STYR.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - przysłowie perskie - dadzą litery w następujących kratkach: D-8, H-16, E-7, D-14, A-16, I-2, F-4, A-1, H-4, B-14, F-3, D-7, D-13, H-14, A-7, I-3, A-3, G-10, J-4, J-11, H-15, A-9, B-13, H-7, G-9, G-14, G-3, E-11, H-10, I-16.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca stycznia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru listopadowego: PRACA POBUDZA APETYT.

Nagrody książkowe wylosowali: **Jadwiga Lotter** - Sucha Góra
Marian Jędrzejczyk - Orłowa Lutynia
Zofia Mitręga - Tyra

NASZYM CZYTELNIKOM PRZYPOMINAMY,

ŻE OPŁACAJĄC PRENUMERATĘ ZWROTU

DO KOŃCA MARCA, MAJĄ SZANSĘ WZIĄĆ UDZIAŁ

W LOSOWANIU ATRAKCYJNYCH NAGRÓD.

REDAKCJA

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY

NASZE DOMY



DOM PZKO W GRÓDKU

Do tego Domu, należącego do MK PZKO w Gródku, dobudowano w zeszłym roku scenę. Jego historię opisaliśmy w Zwrocie nr 10/2000.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1





NASZE ZAOLZIE
NYDEK



Zwrot

2
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Zwrot 2 2002

Rok LIII, Nr 627
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	PZKO 2002–2005. Program i problemy	ZYGMUNT STOPA
8	Ustawa o prawach członków mniejszości narodowych w RC	
16	Stosunki polsko-czechosłowackie na przełomie wojny i pokoju (styczeń 1945–styczeń 1946)	ADAM BIERNAT
22	Budka babci Guziurki	JANUSZ GUZIUR
27	Czeska recepcja przekładowa i krytyczna dzieł Zygmunta Krasińskiego	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOWA
31	Kronika: Z działalności Sekcji Ludoznawczej, Świąteczne spotkanie łęczan, Dom MK PZKO w Mostach po remoncie, Koncert Świąteczny w Trzyńcu, Bal Gorolski po raz 24, Nowina w Warszawie, Dwusetny występ Andrusów, Spotkanie w Orłowej, Nasi plastycy jubilaci – Paweł Wałach i Walter Taszek	
48	Poezja Wilhelma Przeczka	
50	Pola Gojawiczyńska: Święta rzeka (fragment)	
55	Okruchy literackie	
58	Młode pióro: Ewa Feichtinger	
59	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
61	Z naszych wydawnictw w roku 2001	KAZIMIERZ JAWORSKI
64	To i owo	
67	Echo wydarzeń muzycznych:	
	Przegląd Pieśni Chóralnej w Suchej Górnej	C. R.
	O jubileuszowym koncercie Collegium Canticorum	KRYSTYNA SUSZKA
	Piętnastolecie Chóru Mieszanego Zgoda	I. M.
74	Mozaika	STARZIK W.
76	Pożegnania: Halina Kowalczykowa	
78	Nasze zdrowie	

Numer zamknięto 15. 1. 2002

PZKO 2002–2005 PROGRAM I PROBLEMY

Szanowni Członkowie PZKO, Czytelnicy Zwrotu!

Rok 2002 jest pierwszym rokiem czteroletniej kadencji Zarządu Głównego PZKO, wybranego na XIX Zjeździe 10 listopada 2001 roku. Na jej początku chcę się podzielić z Wami uwagami na temat czekających nas zadań. Będę wdzięczny za wszystkie uwagi i wyniki przemyśleń na temat nurtujących nas wszystkich spraw. Nie jest ważny sposób ich przekazania, byle były one konkretne, a nie anonimowe. Zachęcam do korzystania w tym celu z formy pisemnej, np. poprzez kierowanie swych przyczynków do naszego Zwrotu. Umożliwi to zaznajomienie się szerszego ogółu z wachlarzem poglądów bazy członkowskiej, zaciekawi czytelników Zwrotu i spopularyzuje jego czytanie.

Przygotowując na Zjazd zmiany w Statucie PZKO oraz program działania Związku, staraliśmy się dostosować jego działalność i struktury do aktualnych zapotrzebowań społecznych. Jesteśmy w myśl Konstytucji Republiki Czeskiej stowarzyszeniem społecznym, zrzeszającym osoby fizyczne, które zadeklarowały wolę działania na rzecz zachowania swej polskiej tożsamości, zachowania oraz pomnażania dziedzictwa kulturowego swych przodków, autochtonicznych mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, oraz szerzenia oświaty obywatelskiej, by społeczność nasza była zorientowana w wyzwaniach współczesnego świata i przygotowana do nowych warunków Wspólnej Europy. Deklaracja ta została ostatnio wyraźnie określona w materiałach zjazdowych i tym podniesiona do rangi podstawowego celu statutowego PZKO.

Musimy wykorzystać wszelkie sposoby, które nam oferuje demokracja, a szczególnie dążenia do zjednoczenia państw w Unii Europejskiej. Unijne zasady prawne gwarantują bowiem równouprawnienie mniejszościom narodowym w państwach członkowskich i chronią przed zanikiem również języki regionalne

używane przez ludność miejscową bez względu na przyznawaną narodowość. Zasady te zostały przyjęte i są stosowane w poszczególnych państwach oraz wdrażane w życie również w państwach kandydackich, zarówno w Polsce jak w Republice Czeskiej. Oba państwa ratyfikowały podstawowe dokumenty chroniące mniejszości. Nie zawsze jednak rządy i władze lokalne wykazują potrzebne zrozumienie dla zachowania tożsamości mniejszości. Jest zadaniem naszych członków w komitetach mniejszościowych i komisjach szkolnych i innych, by zasady te znalazły zastosowanie także dla Polaków w RC. Przywódcy organizacji polskich powinni zatroszczyć się o to, by rządy zawarły między sobą tzw. umowy ochronne swych mniejszości na wzór niektórych państw zachodnich. Tej pracy za nas nikt inny nie zrobi.

Dzisiejszymi realiami naszej działalności oraz problemami przyszłościowymi miał się zająć zeszłoroczny XIX Zjazd PZKO. Wyniki miały znaleźć odbicie w jego uchwałach. Jak wynika z głosów w prasie, nie wszyscy byli ze Zjazdu zadowoleni. Nie doszło na Zjeździe do żadnej sensacji w sprawach personalnych czy programowych ani do zdominowania dyskusji przykrą dla nas, a dotąd nierozwiązaną sprawą utraty hotelu Piast. Zjazd miał pewne mankamenty programowe, może towarzyskie i reklamowe. Sprawy merytoryczne zostały chyba jednak należycie uwzględnione w uchwałach szczególnie dotyczących Statutu. Może na szerszą dyskusję zasłużył program działania na następną kadencję. Chociaż i tu mogą być zdania podzielone. Liczyliśmy na to, że masa spraw będzie lepiej przygotowana w dyskusjach przedzjazdowych. Dyskusje były prowadzone w poszczególnych obwodach pezetkaowskich, na łamach Głosu Ludu oraz w Internecie, w programach Konwentu Prezesów i na spotkaniach w komisjach przygotowujących Zjazd oraz w poszerzonych Radach ZG. Ze względu na sprzeczność ocen wyników Zjazdu nowo wybrany ZG ma zamiar zorganizować jeszcze dyskusję pozjazdową, zapraszając na nią wszystkich, których publicznie wypowiedziane zdanie pomoże w rozwiązaniu aktualnych zadań.

Na które nowe momenty naszego programu powinniśmy zwrócić uwagę? Chodzi przede wszystkim o zmiany statutowe. Statut jako dokument zasadniczy dla naszej działalności został opublikowany w pierwszym numerze tegorocznego Zwrotu, można więc z niego skorzystać.

Podkreślono w Statucie, że Związek, będący w stosunku do władzy ustawowym stowarzyszeniem społecznym, tworzą jego członkowie. Członkami są osoby fizyczne, działające i rejestrowane

w Miejscowych Kołach PZKO jako terenowych jednostkach organizacyjnych Związku. Miejscowe Koła PZKO mają osobowość prawną, tj. kompetencje do samodzielnej działalności z wszelkimi uprawnieniami wobec władz i osób trzecich. Uprawnienia te nakładają na Miejscowe Koła obowiązek samodzielnego organizowania życia kulturalnego i oświaty w rejonie swego działania oraz prawo do uczestnictwa swych przedstawicieli w działalności koordynacyjnej w Radach Obwodowych, oraz do korzystania z usług oferowanych przez Zarząd Główny PZKO i jego jednostki. Zarząd Główny liczy obecnie 15 członków i jest organem wykonawczym PZKO. W jego imieniu ma prawo występować prezes ZG oraz jeden inny przez ZG mianowany członek ZG. Doszło więc do zmiany pozycji Biura ZG, będącego w przeszłości organem wykonawczym PZKO, oraz jego dyrektora, mającego uprawnienia pełnomocnika Związku. Sekretariat ZG, wprowadzony przez zmianę Statutu, jest jednostką organizacyjną ZG odpowiedzialną za jego obsługę administracyjną. Sekretariat wykonuje prace biurowe zgodnie z Regulaminem Wewnątrzzwiązkowym. Zatrudnia pracowników na umowę o pracę. Ze względu na ograniczenia budżetowe nie będzie można angażować w sekretariacie instruktorów specjalistów na etaty pracownicze. Do działalności tego rodzaju będziemy musieli częściej zapraszać społeczników. Na zasadach świadczenia usług organizacyjno-ekonomicznych miałyby działać ośrodki gospodarcze ZG (miesięcznik Zwrot, Teatr Lalek Bajka, wypożyczalnia kostiumów, ośrodek turystyczny Koszarzyska oraz wynajmowane obiekty, będące majątkiem PZKO, zarządzane przez ZG). Zakłada się, że ośrodki gospodarcze będą zdolne do samofinansowania. Działalnością ośrodków gospodarczych kieruje dyrektor zespołu tych ośrodków mianowany przez ZG. Należy również zwrócić uwagę na podkreślane w Statucie ważne znaczenie Rad Obwodowych dla koordynacji wspólnego działania i reprezentowania wspólnych interesów wobec władzy. Każde Koło powinno brać udział w Radzie tego obwodu, w którym istnieje polska szkoła. W związku ze zmianami statutowymi ulegnie także zmianom Regulamin Wewnątrzzwiązkowy, a to na podstawie wstępnie opracowanych zasad po ich szerokim przedyskutowaniu w pierwszym półroczu roku bieżącego.

Następnym pozytywnym wynikiem Zjazdu są uchwały o akcesie i współdziałaniu PZKO z Kongresem Polaków w RC. Chodzi o sposoby równoległego funkcjonowania struktur organizacyjnych oraz powiązań programów działania z warunkiem zachowania samodzielności oraz dotychczasowej pozycji społecznej PZKO.

Przyczyną dotychczasowych różnic jest odmienna koncepcja oddziaływania na społeczeństwo. Struktura Kongresu Polaków i jego założenia programowe odpowiadają raczej potrzebie działań samorządowych na zasadach obywatelskich. Członkami Kongresu są wszyscy Polacy uczestniczący każdorazowo w sejmiku gminnym z prawem wyboru swego pełnomocnika gminnego oraz delegatów na Zgromadzenie Ogólne Kongresu wybierające władzę wykonawczą – Radę Polaków (Radę Kongresu Polaków). Osoby fizyczne, członkowie Kongresu ad hoc, nie są w ewidencji ani nie mają określonych obowiązków, mają jednak czynne i bierne prawo wyborcze. Natomiast stałymi członkami Kongresu są osoby prawne, tj. organizacje polskie, które zgłosiły akces do Kongresu. Osoby prawne reprezentowane przez dwóch członków wraz z pełnomocnikami gminnymi tworzą Radę Przedstawicieli. Przewodniczącego Rady Przedstawicieli wybiera spośród swych członków Rada Polaków.

W odróżnieniu od Kongresu Polaków zrzesza PZKO tylko osoby fizyczne, w terenie działa poprzez Miejscowe Koła. Członkowie PZKO są w ewidencji Kół, w których działają, oraz w Zarządzie Głównym. Mają swe uprawnienia i obowiązki. Pełnomocnym organem Miejscowego Koła jest jego Zarząd na czele z prezesem. Zarząd Miejscowego Koła jest partnerem władz państwowych i samorządowych na terenie swej działalności. W większych aglomeracjach administracyjnych reprezentują PZKO Rady Obwodowe.

Akces PZKO do Kongresu Polaków, zrealizowany na podstawie umowy o współdziałaniu, ma na względzie wykorzystanie dotychczasowych równoległych struktur oraz pozycji tak Kongresu jak PZKO dla dobra społeczności polskiej, w celu zahamowania procesu asymilacji miejscowej ludności polskiej oraz dla jej wszechstronnego rozwoju. PZKO chodzi równocześnie o zachowanie swej tradycyjnej pozycji w zakresie szerzenia kultury i oświaty w terenie, łącznie z bezpośrednią prezentacją swej działalności na zewnątrz. Wspólnym dążeniem PZKO i KP powinno być lepsze skoordynowanie działalności pozostałych organizacji polskich, stwarzając możliwość powstania samorządnej struktury nadbudowy organizacyjnej równoprawnych organizacji polskich wraz z Kongresem i PZKO w postaci Zrzeszenia Organizacji Polskich lub Związku Polaków w RC. Akces PZKO na podstawie umowy z Kongresem Polaków powinien taki proces zapoczątkować i przyśpieszyć. Sprawę będzie można dokładnie przedyskutować na tegorocznym Zgromadzeniu Ogólnym Kongresu Polaków w kwietniu.

W roku bieżącym zaplanował ZG PZKO szereg posunięć organi-

zacyjnych w jednostkach sobie podporządkowanych, wprowadzając niektóre nowe tematy w swych sekcjach specjalistycznych oraz przygotowując szereg imprez ogólnozwiązkowych. W ramach zmian organizacyjnych zostaną powołane do życia **nowe sekcje**. Chodzi o sekcję **internetową** oraz sekcję **przedsiębiorczości.** W pierwszej będą kontynuowane zeszłoroczne zamiary udostępnienia wiedzy o informatyce i jej wykorzystaniu w działaniach PZKO z myślą o klubach młodych. W drugiej chodzi o bezinteresowne poradnictwo ekonomiczne i prawne, którego mogą udzielić chętni z grupy miejscowych przedsiębiorców, menedżerów i radców prawnych. W tradycyjnych sekcjach: ludoznawczej i historycznej będą organizowane seminaria i wydawane biuletyny na aktualne tematy. Stowarzyszenie Artystów Plastyków planuje tradycyjny **plener malarski** w naszych Beskidach z udziałem artystów malarzy z Polski, Polaków z Litwy, Białorusi, Ukrainy. Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne ma w tegorocznym planie szereg koncertów, planuje coroczny udział w tradycyjnych imprezach śpiewaczych.

Na wniosek PZKO, który zaakceptowały wszystkie polskie organizacje na Zaolziu oraz Konsulat Generalny RP w Ostrawie, został **rok 2002 ogłoszony Rokiem Żwirki i Wigury.** Zaplanowano centralne obchody 70. rocznicy ich tragicznej katastrofy na Kościelcu na 14 września – jako imprezę o charakterze międzynarodowym. Ustalono uroczystości towarzyszące między innymi składaniu kwiatów na grobach bohaterów przestworzy na Powązkach. Zostaną zorganizowane wycieczki na Dzień Lotnictwa oraz inne.

W programie ogólnozwiązkowych imprez na rok 2002 są dalej przewidziane: **Festiwal PZKO w Karwinie 25 maja** dla uczczenia 55. rocznicy powstania naszego PZKO, tradycyjna impreza **Maj nad Olzą** w każdą sobotę i niedzielę maja w Parku Zdrojowym w Darkowie, **Rajd Górski w Koszarzyskach, Babski Festyn** oraz imprezy, których głównymi organizatorami są Miejscowe Koła, jak **Gorolski Święto w Jabłonkowie, Dożynki Śląskie w Gutach, spotkania u źródeł Olzy** – rajd rowerowy w kwietniu, turystyczny 9 września w Istebnej pod Gańczorką.

Proszę Szanownych Czytelników, by zastanowili się nad zaproponowanymi założeniami programowymi PZKO w kadencji 2002–2005 oraz poglądem na warunki działania w tym okresie. Liczę, że Zwrot użyczy swych łamów dla odbycia bogatej dyskusji. Na rok 2002 życzę Wszystkim Czytelnikom Zwrotu oraz Członkom PZKO wszelkiej pomyślności.

Wasz prezes ZG

ZYGMUNT STOPA

USTAWA
z dnia 10 lipca 2001
O PRAWACH CZŁONKÓW MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH I O ZMIANIE NIEKTÓRYCH USTAW

PREAMBUŁA

Parlament Republiki Czeskiej jako państwa demokratycznego i państwa prawa, mając na uwadze prawo do narodowościowej i etnicznej tożsamości jako elementu praw człowieka, respektuje tożsamość członków mniejszości narodowych jako jednostek i grup, charakteryzującą się przede wszystkim własną kulturą, tradycjami lub językiem, mając na uwadze tworzenie wielokulturowych społeczeństw i starając się o harmonijne współżycie mniejszości narodowych z większościową częścią obywateli, gwarantuje członkom mniejszości narodowych prawo do uczestnictwa w życiu kulturalnym, społecznym i gospodarczym oraz w sprawach publicznych, zwłaszcza tych, które dotyczą mniejszości narodowych, chroniąc prawa członków mniejszości narodowych zgodnie z umowami międzynarodowymi o prawach człowieka i podstawowych wolnościach, którymi jest związana Republika Czeska, zgodnie z Konstytucją i Kartą Podstawowych Praw i Swobód, przyjął następującą ustawę Republiki Czeskiej:

CZĘŚĆ PIERWSZA
O PRAWACH CZŁONKÓW MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH

Rozdział I
POSTANOWIENIA WSTĘPNE

§ 1 Przedmiot ustawy

(1) Niniejsza ustawa reguluje prawa członków mniejszości narodowych oraz działalność ministerstw, innych urzędów administracji państwowej oraz samorządowej (dalej tylko „organy administracji państwowej") w stosunku do nich.

(2) Postanowienia odrębnych przepisów, które regulują prawa członków mniejszości narodowych, nie zostały ograniczone niniejszą ustawą.

§ 2 Określenie podstawowych pojęć

(1) Mniejszość narodowa jest społecznością obywateli Republiki Czeskiej żyjących na terenie obecnej Republiki Czeskiej, którzy odróżniają się od pozostałych obywateli zazwyczaj wspólnym pochodzeniem etnicznym, językiem, kulturą i tradycjami, tworzą sporą mniejszość obywateli i jednocześnie przejawiają wolę do traktowania ich jako mniejszości narodowej w celu wspólnej chęci zachowania i rozwoju własnej tożsamości, języka i kultury i jednocześnie w celu przedstawienia i ochrony interesów ich społeczności, która powstała w trakcie historii.

(2) Członkiem mniejszości narodowej jest obywatel Republiki Czeskiej, który deklaruje przynależność do innej narodowości niż czeska i wyraża życzenie, by uważano go za członka mniejszości narodowej wraz z innymi obywatelami, którzy deklarują przynależność do tej samej mniejszości narodowej.

Rozdział II
PRAWA CZŁONKÓW MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH

§ 3 Realizacja praw członków mniejszości narodowych

(1) Członkom mniejszości narodowych gwarantuje się jako jednostkom lub wraz z innymi członkami mniejszości narodowej realizację ich praw określonych niniejszą ustawą, osobnymi przepisami lub umowami międzynarodowymi o prawach człowieka i podstawowych wolnościach, które wiążą Republikę Czeską.

(2) Realizacja praw członków mniejszości narodowych nie może być ograniczana lub uniemożliwiana.

§ 4 Wolny wybór przynależności do mniejszości narodowej

(1) Nikt nie może doznać żadnego uszczerbku z powodu przynależności do mniejszości narodowej.

(2) Organy administracji państwowej nie prowadzą ewidencji członków mniejszości narodowych. Uzyskiwanie, opracowywanie i wykorzystanie danych osobowych dotyczących przynależności do mniejszości narodowej regulują postanowienia odrębnych przepisów.[1)] Dane dotyczące przynależności do mniejszości narodowej, uzyskane przez te organy podczas spisu ludności lub zgodnie z inną ustawą, umożliwiające określenie przynależności do mniejszości narodowej, nie mogą być wykorzystane do innych celów niż te, dla których zostały zebrane i przechowane, a po wykorzystaniu do celów statystycznych muszą zostać zniszczone.

§ 5 Prawo do stowarzyszania się członków mniejszości narodowych

Członkowie mniejszości narodowej mogą się stowarzyszać w stowarzyszeniach narodowych oraz partiach politycznych zgodnie z warunkami i w sposób określony w odrębnych przepisach.[2)]

§ 6 Prawo do uczestnictwa w rozwiązywaniu kwestii dotyczących mniejszości narodowych

(1) Członkowie mniejszości narodowych mają prawo do aktywnego uczestnictwa w życiu kulturalnym, społecznym i gospodarczym oraz w sprawach publicznych, przede wszystkim w tych, które dotyczą mniejszości narodowych, których są członkami, a mianowicie na szczeblu gminy, okręgu i całego kraju.

(2) Prawo opisane w ustępie 1 realizują członkowie mniejszości narodowych zwłaszcza za pośrednictwem komitetów ds. mniejszości narodowych, które są powoływane zgodnie z odrębnymi przepisami,[3)] i Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych (dalej tylko „Rada").

(3) Rząd powołuje Radę jako swój organ doradczy i inicjatywny ds. mniejszości narodowych i ich członków. Na jej czele stoi członek rządu.

(4) Członkami Rady są przedstawiciele mniejszości narodowych oraz przedstawiciele organów państwowych z tym, że co najmniej połowa członków Rady składa się z przedstawicieli mniejszości narodowych, którzy zostali wydelegowani przez stowarzyszenia mniejszości narodowych.

(5) Do kompetencji Rady należy:

a) przygotowanie działań rządu, które dotyczą praw mniejszości narodowych w Republice Czeskiej,

b) ustosunkowywanie się do propozycji ustaw, rozporządzeń rządu oraz do działań dotyczących praw członków mniejszości narodowych przed ich przedstawieniem rządowi,

c) przygotowywanie dla rządu całościowej informacji o sytuacji narodowościowej w Republice Czeskiej,

d) przygotowywanie dla rządu lub ministerstw albo innych urzędów państwowych zaleceń mających na celu zaspokojenie potrzeb członków mniejszości narodowych, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa, kultury i mediów, stosowania języka ojczystego, życia kulturalnego i społecznego,

e) współpraca z organami samorządowymi podczas praktycznego zabezpieczania polityki narodowościowej państwa,

f) proponowanie podziału środków finansowych pochodzących z budżetu państwa i przeznaczonych na wspieranie działalności członków mniejszości narodowych.

(6) Szczegóły dotyczące składu Rady, sposobu mianowania członków Rady i działalności Rady określa statut Rady, który zatwierdza rząd.

§ 7 Prawo do korzystania z imienia i nazwiska w języku mniejszości narodowej

Członkowie mniejszości narodowych mają prawo do używania swojego imienia i nazwiska w języku mniejszości narodowej na warunkach określonych w odrębnym przepisie.[4)]

§ 8 Prawo do wielojęzycznych nazw i oznaczeń

(1) Członkowie mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej, mają prawo, aby nazwa miejscowości, w której żyją, nazwy jej części, ulic, innych miejsc publicznych, oznaczenie budynków administracji państwowej i lokali wyborczych były podawane także w języku mniejszości narodowej.

(2) Warunki dotyczące stosowania prawa określonego w ustępie 1 oraz sposób podawania wielojęzycznych nazw i oznaczeń określa odrębny przepis.[5)]

§ 9 Prawo do korzystania z języka mniejszości narodowej w kontaktach urzędowych i przed sądami

Członkowie mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej, mają prawo do korzystania z języka mniejszości narodowej w kontaktach urzędowych i przed sądami. Warunki dotyczące stosowania niniejszego prawa określają odrębne przepisy.[6)]

§ 10 Prawo do korzystania z języka mniejszości narodowej w sprawach wyborczych

Zgodnie z warunkami określonymi w odrębnych przepisach[7)] członkowie mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej, mają prawo do publikowania informacji o czasie i miejscu wyborów oraz innych informacji dla wyborców w języku mniejszości narodowych.

§ 11 Prawo do kształcenia w języku mniejszości narodowej

(1) Członkowie mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej, mają prawo do wychowania oraz kształcenia w swoim języku ojczystym w szkołach i instytucjach przedszkolnych i szkolnych zgodnie z warunkami określonymi w odrębnych przepisach.[8)]

(2) Członkowie mniejszości narodowych zgodnie z ustępem 1 mogą na warunkach określonych w odrębnych przepisach[8)] powoływać:

a) prywatne szkoły z nauką w języku mniejszości narodowej lub z nauką języka mniejszości narodowej jako przedmiotu nauczania,

b) prywatne instytucje przedszkolne i prywatne instytucje szkolne.

§ 12 Prawo do rozwoju kultury członków mniejszości narodowych

(1) Członkowie mniejszości narodowych mają prawo do zachowania i rozwijania swojego języka, kultury i tradycji i-ich poszanowania.

(2) Państwo tworzy warunki potrzebne do zachowania i rozwoju kultury, tradycji i języków członków mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od

dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej; wspiera zwłaszcza programy ukierunkowane na teatry, muzea, galerie, biblioteki, działalność dokumentacyjną i inną działalność członków mniejszości narodowych. W tym celu udziela dotacji z budżetu państwa; warunki i sposób udzielania dotacji określa rząd poprzez rozporządzenie.

§ 13 Prawo do rozpowszechniania i przyjmowania informacji w języku mniejszości narodowej

(1) Członkowie mniejszości narodowych mają prawo do rozpowszechniania i przyjmowania informacji w języku swych mniejszości narodowych.

(2) Państwo, dla zachowania i rozwoju kultury, tradycji i języków, wspiera wydawanie periodycznej i nieperiodycznej prasy ukazującej się w językach mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej, oraz audycje radiowe i telewizyjne w językach mniejszości narodowych, które tradycyjnie i od dłuższego czasu żyją na terenie Republiki Czeskiej. W tym celu udziela dotacji z budżetu państwa; warunki i sposób udzielania dotacji określa rząd poprzez rozporządzenie.

(3) Tworzenie i rozpowszechnianie programów radiowych i telewizyjnych w stosunku do członków mniejszości narodowych przez nadawców określają odrębne przepisy.[9)]

CZĘŚĆ DRUGA
Zmiana ustawy o wykroczeniach

§ 14

Ustawa nr 200/1990 Dz.U., o wykroczeniach, w brzmieniu ustawy nr 337/1992 Dz.U., ustawy nr 344/1992 Dz.U., ustawy nr 359/1992 Dz.U., ustawy nr 67/1993 Dz.U., ustawy nr 290/1993 Dz.U., ustawy nr 134/1994 Dz.U., ustawy nr 82/1995 Dz.U., ustawy nr 237/1995 Dz.U., ustawy nr 279/1995 Dz.U., ustawy nr 289/1995 Dz.U., ustawy nr 112/1998 Dz.U., ustawy nr 168/1999 Dz.U., ustawy nr 360/1999 Dz.U., ustawy nr 29/2000 Dz.U., ustawy nr 121/2000 Dz.U., ustawy nr 132/2000 Dz.U., ustawy nr 151/2000 Dz.U., ustawy nr 258/2000 Dz.U., ustawy nr 361/2000 Dz.U., ustawy nr 370/2000 Dz.U., wyroku Sądu Konstytucyjnego nr 52/2001 Dz.U., ustawy nr 164/2001 Dz.U., ustawy nr 254/2001 Dz.U., ustawy nr 265/2001 Dz.U. i ustawy nr 274/2001 Dz.U., zostaje zmieniona w następujący sposób:

1. W § 49 na końcu akapitu 1 kropka zostaje zastąpiona przecinkiem, a dodane są litery d) i e) o następującym brzmieniu:

a) ogranicza lub uniemożliwia członkowi mniejszości narodowej realizację praw członków mniejszości narodowej,

e) powoduje innemu szkodę z powodu jego przynależności do mniejszości narodowej lub z powodu pochodzenia etnicznego, rasy, koloru skóry, płci,

orientacji seksualnej, języka, wiary lub wyznania, orientacji politycznej czy innej, członkostwa lub działalności w partiach lub ruchach politycznych, organizacjach związkowych lub innych stowarzyszeniach, z powodu pochodzenia socjalnego, majątku, rodu, stanu zdrowia lub stanu cywilnego albo rodzinnego.

2. W § 49 ust. 2 za słowami „1 000 koron czeskich" spójnik „i" zostaje zastąpiony przecinkiem, a na końcu tekstu dodane zostają słowa „a za wykroczenie według ustępu 1 lit. d) i e) karę do 5 000 koron czeskich".

CZĘŚĆ TRZECIA
Zmiana ustawy o gminach

§ 15

Ustawa nr 128/2000 Dz.U., o gminach (ustrój gmin), zostaje zmieniona w następujący sposób:

1. W § 29 ust. 2 liczba „20" zostaje zastąpiona liczbą „10", a liczba „50" zostaje zastąpiona liczbą „40".

2. W § 117 ust. 3 w pierwszym zdaniu liczba „15" zostaje zastąpiona liczbą „10", a na końcu drugiego zdania kropka zostaje zastąpiona średnikiem i dodaje się tekst „jednakże zawsze członkowie mniejszości narodowych muszą tworzyć co najmniej połowę wszystkich członków rady".

CZĘŚĆ CZWARTA
Zmiana ustawy o okręgach

§ 16

W § 78 ust. 2 ustawy nr 128/2000 Dz.U., o okręgach (ustrój okręgów), liczba „10" zostaje zastąpiona liczbą „5", słowa „do tej samej narodowości innej niż czeska" zostają zastąpione słowami „do narodowości innej niż czeska", a na końcu drugiego zdania kropka zostaje zastąpiona średnikiem i dodaje się tekst „jednakże zawsze członkowie mniejszości narodowych muszą tworzyć co najmniej połowę wszystkich członków rady".

CZĘŚĆ PIĄTA
Zmiana ustawy o mieście stołecznym Pradze

§ 17

W § 78 ust. 2 ustawy nr 131/2000 Dz.U., o mieście stołecznym Pradze, w pierwszym zdaniu liczba „15" zostaje zastąpiona liczbą „5", na końcu drugiego zdania kropka zostaje zastąpiona średnikiem i dodaje się tekst „jednakże zawsze członkowie mniejszości narodowych muszą tworzyć co najmniej połowę wszystkich członków rady".

CZĘŚĆ SZÓSTA
Zmiana ustawy o wyborach do przedstawicielstw w gminach

§ 18

W § 31 ustawy nr 152/1994 Dz.U., o wyborach do przedstawicielstw w gminach i o zmianie i uzupełnieniu niektórych innych ustaw, zostaje dodany ustęp 3, który wraz z przypisem nr 10a) brzmi:

„(3) W gminie, w której powoływany jest komitet ds. mniejszości narodowych zgodnie z odrębną ustawą,[10a)] obwieszczenie zgodnie z ustępami 1 i 2 wydawane jest także w języku mniejszości narodowej".

CZĘŚĆ SIÓDMA
Zmiana ustawy o wyborach do przedstawicielstw okręgowych

§ 19

W § 27 ustawy nr 130/2000 Dz.U., o wyborach do przedstawicielstw okręgowych i o zmianie niektórych ustaw, zostaje dodany ustęp 3, który wraz z przypisem nr 18a) brzmi:

„(3) W okręgu, w którym powoływany jest komitet ds. mniejszości narodowych zgodnie z odrębną ustawą,[18a)] obwieszczenie zgodnie z ustępami 1 i 2 wydawane jest także w języku mniejszości narodowej".

CZĘŚĆ ÓSMA
Wejście w życie

§ 20

Niniejsza ustawa wchodzi w życie w dniu obwieszczenia.

Przypisy:

1) Ustawa nr 101/2000 Dz.U., o ochronie danych osobistych i o zmianie niektórych ustaw, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

2) Ustawa nr 83/1990 Dz.U., o stowarzyszaniu się obywateli, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 424/1991 Dz.U., o stowarzyszaniu w partiach i ruchach politycznych, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 220/1999 Dz.U., o przebiegu obowiązkowej lub zastępczej służby i ćwiczeń wojskowych i o niektórych stosunkach prawnych żołnierzy w rezerwie.

Ustawa nr 221/1999 Dz.U., o żołnierzach zawodowych, zgodnie z brzmieniem ustawy nr 155/2000 Dz.U.

3) Ustawa nr 128/2000 Dz.U., o gminach (ustrój gmin), zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.

Ustawa nr 129/2000 Dz.U., o okręgach (ustrój okręgów), zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.

Ustawa nr 131/2000 Dz.U., o mieście stołecznym Pradze, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

4) Ustawa nr 301/2000 Dz.U., o metrykach, imieniu i nazwisku i o zmianie niektórych związanych z tym ustaw.

5) Ustawa nr 128/2000 Dz.U., zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.

6) § 18 ustawy nr 99/1963 Dz.U., obywatelskie prawo sądownicze, zgodnie z brzmieniem ustawy nr 30/2000 Dz.U.

§ 7 ustawy nr 335/1991 Dz.U., o sądach i sędziach.

§ 2 ustawy nr 141/1961 Dz.U., o sądowym postępowaniu karnym (prawo karne), zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

§ 33 ustawy nr 182/1993 Dz.U., o Sądzie Konstytucyjnym.

§ 12 ustawy nr 563/1991 Dz.U., o księgowości.

§ 46a ustawy nr 202/1990 Dz.U., o loteriach i innych podobnych grach, zgodnie z brzmieniem ustawy nr 149/1998 Dz.U.

§ 3 ustawy nr 337/1992 Dz.U., o zarządzaniu podatkami i opłatami, zgodnie z brzmieniem ustawy nr 35/1993 Dz.U. i ustawy nr 255/1994 Dz.U.

7) Ustawa nr 152/1994 Dz.U., o wyborach do przedstawicielstw w gminach i o zmianie i uzupełnieniu niektórych innych ustaw, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 130/2000 Dz.U., o wyborach do przedstawicielstw okręgów i o zmianie niektórych ustaw, zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.

Ustawa nr 247/1995 Dz.U., o wyborach do Parlamentu Republiki Czeskiej, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

8) Ustawa nr 76/1978 Dz.U., o instytucjach szkolnych, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 29/1984 Dz.U., o systemie szkół podstawowych, szkół średnich i wyższych szkół fachowych (ustawa o szkolnictwie), zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 564/1990 Dz.U., o administracji państwowej i samorządowej w szkolnictwie, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

9) Ustawa nr 483/1991 Dz.U., o Czeskiej Telewizji, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

Ustawa nr 484/1991 Dz.U., o Czeskim Radiu, zgodnie z brzmieniem późniejszych przepisów.

10a) § 117 ust. 3 ustawy nr 128/2000 Dz.U., o gminach (ustrój gmin), zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.

18a) § 78 ust. 2 ustawy nr 129/2000 Dz.U., o okręgach (ustrój okręgów), zgodnie z brzmieniem ustawy nr 273/2001 Dz.U.



STOSUNKI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIE NA PRZEŁOMIE WOJNY I POKOJU (STYCZEŃ 1945 - STYCZEŃ 1946) CZ. 3

Decyzje poczdamskie nie przyniosły jeszcze decydujących rozstrzygnięć sporów terytorialnych polsko-czechosłowackich. Czesi bowiem nadal starali się wpływać na mocarstwa w kwestii uzyskania ziem poniemieckich na Śląsku, natomiast Polacy nie zrezygnowali jeszcze ze sprawy zmian granic w Cieszyńskiem. Przyczyniły się jednak niewątpliwie do wzmocnienia pozycji Polski, a rząd polski miał nadzieję, że wpłyną one na osłabienie dotychczasowej czeskiej nieustępliwości w rozmowach na temat granic.

Tymczasem znów narastało napięcie między Polską a Czechosłowacją z powodu Zaolzia. W odpowiedzi na polskie noty, wstawiające się za tamtejszymi Polakami, władze czechosłowackie uznały, iż jakiekolwiek naciski na nie, niedotyczące obywateli polskich (Polacy na Zaolziu w znacznej części byli obywatelami Czechosłowacji), uznaje za bezpodstawną ingerencję w wewnętrzne sprawy swego kraju. Rząd polski zarzucał rządowi

Czechosłowacji między innymi niechęć w kwestii uregulowania spraw majątkowych, pozwoleń na powoływanie organizacji polskich, wydawanie prasy polskojęzycznej oraz nieotwarcie polskich szkół. W odpowiedzi Czesi wystąpili z krytyką katowickiej rozgłośni radiowej, podsycającej, ich zdaniem, nastroje irredentystyczne. Clementis zarzucił ponadto stronie polskiej ucisk Słowaków na terenach Górnego Spisza i Orawy. Chodziło w tym wypadku o usprawiedliwienie postępowania władz czechosłowackich na Zaolziu postępowaniem władz polskich na Spiszu i Orawie. Porównywanie ludności Spisza i Orawy, której nie dość, że było kilkakrotnie mniej, to jeszcze nie miała jednoznacznie skrystalizowanej świadomości narodowej, do około stu tysięcy uświadomionych narodowo Polaków na Zaolziu było próbą dosyć karkołomną, niemniej jednak odniosła skutek w postaci nieprzychylnych Polsce komentarzy za granicą. Protesty czechosłowackie nie ustąpiły nawet mimo wysłania przez stronę polską na teren Górnego Spisza i Orawy komisji, mającej zbadać zarzuty. Stronie czechosłowackiej, bardziej niż na sprawie spokoju na tych terenach, zależało bowiem na utrzymaniu wygodnej karty przetargowej, dzięki której mogła odpowiadać kontratakiem na protesty polskie w sprawie Zaolzia. Dlatego starania strony polskiej, by uregulować sytuację i efekty pracy wspomnianej komisji, z której inicjatywy doszło nawet do odwołania starosty nowotarskiego, nie wywołały w zasadzie głębszej reakcji strony czechosłowackiej. Propaganda czechosłowacka starała się również akcentować trudną sytuację Czechów na terenach Kłodzkiego. Ministrowie obrony narodowej gen. Ludvík Svoboda i spraw wewnętrznych Václav Nosek organizowali nawet, w sierpniu i wrześniu, ucieczki ludności tych terenów do Czechosłowacji. Chodziło o zwrócenie uwagi na ich trudną sytuację, a w późniejszym okresie liczono na zwrócenie się z prośbą do strony radzieckiej o przysłanie delegacji, która mogłaby się przekonać o nadużyciach polskiej administracji w stosunku do Czechów. Mimo iż w końcu zrezygnowano z tej propozycji, strona czechosłowacka nie myślała o rezygnacji z wykorzystywania w propagandzie rzekomego antyczeskiego charakteru polskiej administracji. Na posiedzeniu rządu 14 sierpnia, kiedy to zajmowano się między innymi kwestią Zaolzia, próbując ustalić stosunki ilościowe poszczególnych narodowości na tym terenie oraz ich korzystną dla siebie interpretację, minister Václav Majer zwrócił po raz kolejny uwagę na trudną sytuację ludności czeskiej na terytorium Kłodzkiego, na jej prześladowanie i biedę oraz ucieczki do Czechosłowacji (jak sam przyznawał, organizowane przez oficerów; przyznawał również, że trudno było mu się porozumieć po czesku z przyjętą przez siebie delegacją uciekinierów, ale utrzymywał, iż nie byli to Niemcy, ale Czesi).

Kolejnym problemem w stosunkach polsko-czechosłowackich, który wymagał uregulowania, okazała się sprawa repatriacji. Chodziło o transporty

osób powracających do swoich krajów po zakończeniu II wojny światowej (w o wiele większym stopniu dotyczyło to Polaków niż Czechów i Słowaków). O ile początkowo strona czechosłowacka nie czyniła żadnych problemów, to jednak wkrótce zaczęła wykorzystywać swoje korzystne położenie w tej kwestii. To bowiem Polacy wracali w dużej mierze przez Czechosłowację, natomiast z Polski mogliby wyjechać jedynie ci Czesi i Słowacy, którzy trafili tam w czasie wojny; nie było natomiast w ogóle kwestii tranzytu. Polska przedstawiła swój projekt uregulowań już w lipcu. Do rozmów doszło jednak dopiero 14 września w Pradze. Ustalono ostatecznie, iż codziennie miało kursować 4, a od 1 października 6 pociągów dla repatriantów z Bawarii oraz Austrii. Umowa została podpisana 21 września przez ministra spraw zagranicznych Czechosłowacji Jana Masaryka i posła polskiego w Pradze Stefana Wierbłowskiego. Zawarto ją na okres pół roku (propozycja strony polskiej przewidywała 1 rok) z możliwością automatycznego przedłużenia o 3 miesiące w wypadku niewypowiedzenia jej na miesiąc przed upływem terminu. Ustalała utworzenie komisji repatriacyjnej przez każde z państw i wysłanie jej na terytorium sąsiada (skład osobowy komisji wymagał uzgodnienia). Państwa same miały ponosić koszty związane z repatriacją swoich obywateli. Przewidywano możliwość udzielenia kredytu, którego jednak, jak się okazało, strona czechosłowacka udzielić nie chciała. Już wkrótce okazało się, że podpisanie umowy nie będzie stanowiło końca sporów o repatriację. Wkrótce bowiem Masaryk wysłał notę do Wierbłowskiego, w której zastrzegał, że w związku z przewidywanym na jesieni wzrostem trudności kolejowych, między innymi ze względu na kampanię cukrowniczą, rząd czechosłowacki będzie w stanie wykonywać umowę „tylko w ramach ograniczonych możliwości". Wkrótce okazało się, że podpisanie umowy wcale nie zwiększyło znacząco ilości przewożonych repatriantów.

Strona czechosłowacka prowadziła nadal ożywioną kampanię propagandową. O czechosłowackich postulatach granicznych przypominali przedstawiciele rządu, raz po raz w prasie ukazywały się artykuły popierające te wystąpienia. Organizowano manifestacje - największa odbyła się 23 września w Ostrej Hůrce na Śląsku opawskim. Wystąpił na niej między innymi wicepremier Josef David, list do uczestników przesłał prezydent Beneš. Wreszcie organizowano akcje zbierania podpisów na terenie Raciborskiego, Głubczyckiego i Kłodzkiego za ich przyłączeniem do Czechosłowacji. Reakcji strony polskiej doczekała się w zasadzie tylko wspomniana wyżej manifestacja w Ostrej Hůrce. Poza tym nie zanotowano większego odzewu ani w prasie ani wśród polityków.

W październiku pojawiły się również trudności w realizacji umowy repatriacyjnej. Strona czechosłowacka zarzucała Polsce, iż nie dostarczyła węgla dla pociągów z repatriantami. Zażądała też wznowienia transportów węgla

wałbrzyskiego, grożąc wstrzymaniem całej akcji. Utrzymywała również, iż wcześniej zostały podpisane uzgodnienia w sprawie węgla wałbrzyskiego, co nie było zgodne z prawdą. Pojawiły się także pogłoski, iż repatriacją zostaną objęci również Polacy mieszkający na Zaolziu, co wywołało obawy miejscowej ludności.

Tymczasem strona polska dążyła do zawarcia umowy rewindykacyjnej umożliwiającej odzyskanie mienia wywiezionego przez Niemców z Polski na teren Protektoratu Czech i Moraw i dlatego nie mogła zajmować zbyt sztywnego stanowiska. Sama umowa, mimo iż w większości uzgodniona, wciąż nie została podpisana. Strona czechosłowacka, licząc, że uda się jej uzyskać zwrot wagonów kolejowych, jedynych w zasadzie cennych urządzeń wywiezionych z dawnego Protektoratu, niezależnie od podpisanej umowy, opóźniała negocjacje w tej sprawie. Dlatego strona polska wyraźnie dała do zrozumienia, że ich zwrot zostanie zrealizowany po podpisaniu umowy. Strona czechosłowacka z kolei zaproponowała, iż gotowa jest zawrzeć umowę pod warunkiem podpisania umowy tranzytowej.

Propaganda czechosłowacka wciąż wzbierała na sile. Premier Fierlinger przeforsował na posiedzeniu rządu wzmocnienie oddziałów wojskowych na Zaolziu, rząd zaakceptował również wniosek o sprowadzenie na Zaolzie 30 tysięcy Czechów, którzy opuścili ten obszar w roku 1938. Pojawiły się oskarżenia strony polskiej o utrudnianie pracy czeskim przedsiębiorstwom, między innymi przez nakładanie opłat na tranzyt radzieckiej rudy żelaza, jak również informacje o manifestacjach ludności spornych terenów, które wzywały do ich przyłączenia do Czechosłowacji. W końcu Czechosłowacja zdecydowała o wstrzymaniu transportu repatriantów, jednak w zamian za ich przywrócenie zażądała tylko dostaw węgla górnośląskiego i to tylko do stacji granicznej. Po spełnieniu tych niewygórowanych żądań ruch pociągów z repatriantami wznowiono.

Spory polsko-czechosłowackie toczące się w ciągu października nie przyniosły w zasadzie korzyści żadnej ze stron. Obydwie blokowały bowiem nawzajem swoje propozycje, starając się przy okazji uzyskać ustępstwa w ważnych dla siebie sprawach. Z tego właśnie powodu nie doszło na razie do podpisania umowy rewindykacyjnej ani do porozumienia w innych kwestiach.

Mimo więc przesłanych 28 października, w dniu święta narodowego Czechosłowacji, depesz rządu polskiego do rządzących w Czechosłowacji wzajemne stosunki były nadal napięte. Tego samego zresztą dnia Beneš, wygłaszając orędzie do Tymczasowego Zgromadzenia Narodowego, podkreślał bezkompromisowe stanowisko w sprawie granic oraz wyrażał nadzieję, iż konferencja pokojowa „rozpatrzy przychylnie skromne czeskie postulaty terytorialne". W tym trudnym momencie strona polska zdecydowała się na wystąpienie z inicjatywą rozmów. Rząd polski zaproponował stronie czes-

kiej „wspólne rozpatrzenie całokształtu zagadnień granicznych, politycznych, gospodarczych, kulturalnych i innych" dlatego, że „wzajemne stosunki uległy wyraźnemu pogorszeniu". Postulował również uregulowanie „wszystkich niezałatwionych kwestii w duchu przyjaźni". Notę z polskimi propozycjami wręczył poseł polski Stefan Wierbłowski ministrowi spraw zagranicznych Czechosłowacji Janowi Masarykowi 5 listopada w Pradze. Polska propozycja nie została od razu ujawniona, natomiast do Pragi udał się Oskar Lange w celu wysądowania opinii Czechów i Słowaków. Niestety jego misja nie przyniosła zbliżenia stanowisk. W efekcie minister Masaryk wystosował do posła Wierbłowskiego 24 listopada notę, w której odniósł się do propozycji strony polskiej. Godził się w niej jedynie na „rozmowy na tematy polityczne, gospodarcze, bez granicznych". Stwierdzał również, iż „ jeżeli mają prowadzić ku pożądanemu celowi, nie mogą opierać się na żądaniu części państwowego obszaru czechosłowackiego". Masaryk odpowiedzialnością za pogarszanie się stosunków między obydwoma krajami obarczał stronę polską. Wyrażał przy tym stałe zarzuty pod adresem rozgłośni katowickiej (za rozpoczęcie kampanii nienawiści), polskiej administracji na terenach poniemieckich oraz Górnej Orawie i Spiszu (za niszczenie wszystkiego, co czeskie) oraz władz centralnych (za utrudnianie porozumienia w sprawach gospodarczych).

Tak sformułowana odpowiedź spowodowała odrzucenie możliwości podjęcia negocjacji przez stronę polską. Tymczasem strona czechosłowacka rozpoczęła przygotowania do wysiedlenia z terytorium swojego państwa również tych Polaków, którzy nie posiadali czechosłowackiego obywatelstwa. Wstrzymano je dopiero po interwencji Wierbłowskiego. Poseł polski wręczył też wkrótce (27 grudnia) odpowiedź Warszawy na notę czechosłowacką z dnia 24 listopada. Zarzucano w niej Pradze prześladowanie Polaków na Zaolziu, podniecanie napięcia na Spiszu i Orawie, nieregulowanie płatności za węgiel, zwłaszcza wałbrzyski, ułatwianie Niemcom na terenach Wałbrzyskiego, Kłodzkiego, Raciborskiego i Głubczyckiego podawania się za Czechów. Wyrażono jednak gotowość do podjęcia rozmów pod warunkiem, „aby rokowania objęły całokształt zagadnień, a więc i kwestie granic". Zdecydowano się również na opublikowanie w prasie polskiej poprzednich not. Ponadto w exposé premiera RP Edwarda Osóbki-Morawskiego na sesji Krajowej Rady Narodowej znalazło się zdanie „wyrażające nadzieję, iż nasza nieprzemijająca dobra wola przebije mur uporu drugiej strony i znajdziemy wspólny język porozumienia".

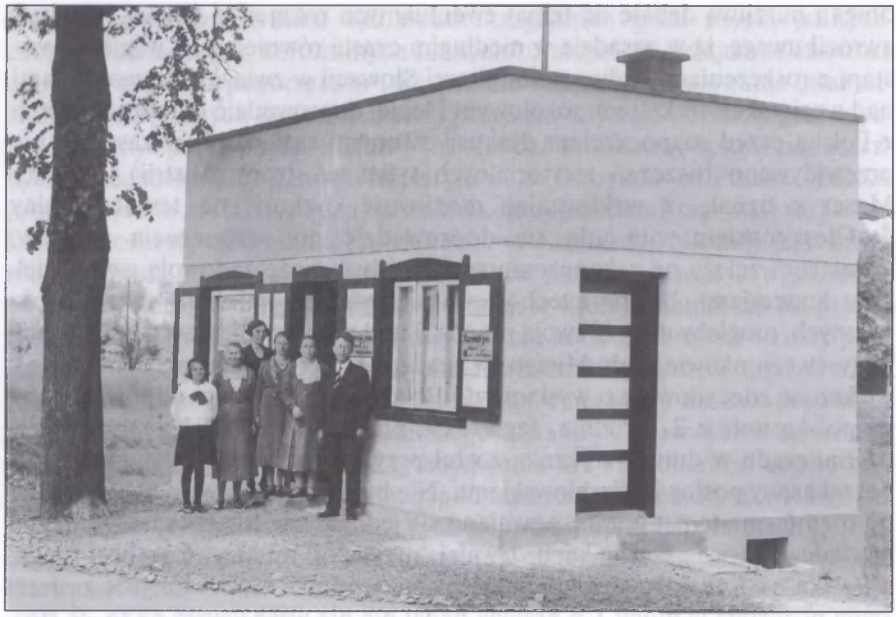
Rząd czechosłowacki został więc postawiony w trudnej sytuacji. Po raz pierwszy mógł bowiem, w opinii międzynarodowej, uchodzić za stronę niedążącą do porozumienia z Polską we wszystkich kwestiach spornych. Dlatego na swoim posiedzeniu w dniu 3 stycznia rząd czechosłowacki odbył

długą i burzliwą debatę na temat ewentualnych rozmów z Polską. Masaryk zwrócił uwagę, iż w zasadzie w niedługim czasie również rząd węgierski wystąpi z roszczeniami wobec południowej Słowacji w związku z negocjacjami nad węgierskim traktatem pokojowym i lepiej doprowadzić do porozumienia z Polską przed rozpoczęciem dyskusji z innymi sąsiadami (w zasadzie nie przewidywano roszczeń terytorialnych tylko ze strony Austrii). Ponadto Masaryk uznał, iż wykluczając możliwość dyskusji na temat granicy w Cieszyńskiem, nie uda się doprowadzić do rozpoczęcia rozmów, a Polakom zależy na zakończeniu sporów i być może zadowolą się niewielkimi koncesjami. Strona czechosłowacka, zdaniem ministra spraw zagranicznych, mogłaby utracić swoją mocną dotąd pozycję międzynarodową. Nie wszyscy członkowie Rady Ministrów zgadzali się z tym stanowiskiem, jednak większość zdecydowała o wysłaniu do Polaków pisma, które odpowiadałoby na polską notę z 27 grudnia. Jego tekst, przedstawiony na kolejnym posiedzeniu rządu w dniu 4 stycznia, został przyjęty z niewielkimi poprawkami i przekazany posłowi Wierbłowskiemu. Nie było w nim mowy o uchylaniu się od rozmów na temat granic, powołano się jednak „na dotychczasowe lojalne oświadczenia o przesłankach trwałej przyjaźni między Czechosłowacją a Polską", co miałoby w razie potrzeby sugerować, że wcześniejsze zastrzeżenia pozostają w mocy. Co prawda nadal nic nie wskazywało na to, że strona czechosłowacka zrezygnuje ze swojego dotychczasowego stanowiska (potwierdzały to wystąpienia ministrów już po sformułowaniu pisma z 4 stycznia), jednak pojawiła się wreszcie możliwość rozmów bezpośrednich.

Tak też stanowisko władz Czechosłowacji rozumiano w Warszawie. Rozpoczęto więc przygotowania propozycji na zbliżające się rozmowy. Uzgodniono też, że rozpoczną się one 16 lutego 1946 roku w Pradze.

Mimo fiaska rozmów, które - znając stanowiska, z jakimi wystąpią obydwie delegacje - było chyba nieuniknione, możemy mówić wreszcie o przełomie we wzajemnych stosunkach pomiędzy Polską a Czechosłowacją. Oto bowiem po raz pierwszy obydwie strony zdecydowały się na przystąpienie do bezpośrednich rokowań na tematy, które je dzieliły (poprzednie rozmowy odbyły się w Moskwie i zaproszenie wystosował na nie Związek Radziecki, wobec tego nie można traktować ich jako całkowicie dobrowolnych). Zresztą wzajemnych sporów w kwestiach granicznych nie udało się uregulować ani w czasie tych ani następnych kilku rund negocjacji pomiędzy delegacjami obydwu krajów. Nawet mimo podpisania układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Polską a Czechosłowacją w marcu 1947 roku, jak również wielu innych umów, regulujących współpracę w innych dziedzinach, nie udało się osiągnąć ostatecznego porozumienia w kwestii granic. Osiągnięto je dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych.

ADAM BIERNAT



Polska księgarnia w Suchej Górnej

BUDKA BABCI GUZIURKI

Dzieje polskiego kiosku w Suchej Górnej

Sucha Górna to jedna z najstarszych wiosek Śląska Cieszyńskiego na Zaolziu, wzmiankowana już w roku 1302 w wykazie biskupich wsi z wymiarem przynależnych dziesięcin. Do powstania Suchej przyczynili się benedyktyni, którzy w roku 1225 przybyli do Cieszyna z Tyńca pod Krakowem. W pierwszych latach istnienia Sucha należała do książąt Piastowskich. Właściciele Suchej Górnej dość często się zmieniali. W roku 1572 właścicielem Suchej Górnej był baron Wacław Boes, który w roku 1592 zbudował tu pierwszy kościół (kaplicę). Od roku 1815 właścicielami tej wsi byli zniemczeni Larischowie, pochodzący ze szlachty polskiej. Pierwsza szkoła jednoklasowa powstała tu już w 1810 roku, zaś w 1838 obok kościoła wybudowano nową szkołę czteroklasową (od roku

1913 sześcioklasowa), do której uczęszczały dzieci mieszkańców Suchej.



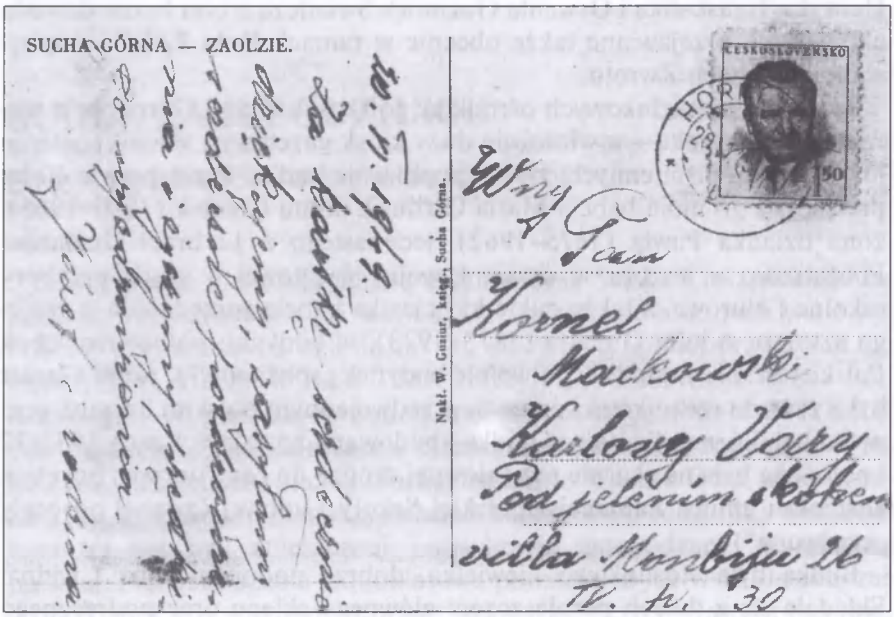
Maria Guziur

Sucha Górna należy także do niezwykle zasłużonych dla polskości miejscowości na Zaolziu. Pomimo częstych zmian właścicieli wsi i rozbudowujących się zakładów przemysłowych, zwłaszcza górniczych (1911 - kopalnia Franciszek), będących najczęściej pochodzenia niemiecko-czeskiego, świadomość narodowa mieszkańców była zawsze niezwykle wysoka. Byli także niezwykle aktywni społecznie i narodowo, działając w różnych kółkach teatralnych i zespołach chóralnych, tanecznych i narodowo-oświatowych, których omówienie wymagałoby osobnego opracowania (a istnieją już takowe - Ludwika Brożka, Stanisława Zahradnika, Henryka Trzaskalika i Oswalda Guziura). Świadczą o tym liczne dowody aktywności, przejawiane także obecnie w ramach Koła PZKO, a opisywane na łamach Zwrotu.

Jednym z nietuzinkowych ośrodków polskości Suchej Górnej była niewielka księgarenka - a właściwie duży kiosk gazetowy i sklepik materiałów biurowo-piśmiennych, zwany popularnie budką. Przez prawie 40 lat prowadziła go moja babcia Maria Guziur z domu Chlebik (1880-1965), żona dziadka Pawła (1875-1962), jedenastego z 12 braci Guziurów. Początkowo - jeszcze w czasie I wojny światowej - swoje przybory szkolne i biurowe, a także cukierki i ciastka babcia sprzedawała u swojego szwagra Adolfa Guziura (1873-1973), w budynku położonym obok Polskiej Szkoły Ludowej (po wojnie budynek „spořitelny"). Adolf Guziur był z zawodu rzeźnikiem i znanym przedwojennym polskim burmistrzem w Suchej Górnej. Sama zaś budka zbudowana została w latach 1931/32 i położona była na skarpie przy głównej drodze do centrum wsi, tuż obok kościoła i gminy, naprzeciw Polskiej Szkoły Ludowej (zwanej od cegły „czerwoną").

Budka była stosunkowo niewielka, dobrze podpiwniczona i widna. Składała się z dwóch pomieszczeń: głównego sklepu oraz podręcznego


Kostel-Kościół.
Obecná škola-Szkoła czeska
HORNÍ SUCHÁ GÓRNA
Jáma František-Szyb Franciszek.


SUCHA GÓRNA — ZAOLZIE.
ČESKOSLOVENSKO
50
Nakl. W. Gustar, knihk., Sucha Górna.
Wny Pan
Komel
Mackowski
Karlovy Vary
Pod jelením skokem
vilka Mombiju 26
IV. tr. 30

magazynku. Do piwnicy schodziło się schodami, zaś wejściowa klapa w podłodze była tuż za ladą, po lewej stronie. Budka ogrzewana była wydajnym piecem kaflowym, w połowie umieszczonym w części magazynowej, ale z paleniskiem w sklepie, przy którym ochoczo w zimie grzali się klienci.

Budka ta praktycznie spełniała funkcję nie tylko handlową, było to także miejsce spotkań krewnych i polskich mieszkańców wsi, zwłaszcza tuż „po kościele" w niedziele i święta. Formalnym właścicielem budki był najstarszy syn babci Wilhelm (1904-73), znany w rodzinie jako dobrotliwy ujec Wiluś. Jednak tak naprawdę szefową całego interesu gazetowo-biurowo-książkowego aż do początku lat 60. była babcia Guziurka. Niemal codziennie babcia dreptała do budki z pobliskiej „guziurówki" (zza Suszanki), po drodze dodatkowo ciągnąc na pastwisko swoje ulubione, choć bodlawe i spurne kozy.

Poza typowym kolportażem polskiej prasy i książek wujek Wilhelm prowadził także niewielką działalność edytorską, wydając m.in. kartki pocztowe i świąteczno-okolicznościowe. Na jednej z nich (z 1949 r.) dr med. Józef Mazurek, zięć Adolfa Guziura, przesyła pozdrowienia suskiemu nauczycielowi Kornelowi Mackowskiemu, leczącemu się po wojennych obozach w Karlowych Warach.

Z kolei na pamiątkowym zdjęciu z początku lat 30. widać stojącą przed nowo zbudowaną budką babcię Guziurkę wraz z ujcem Wilusiem oraz krewnymi. W środku stoi siostrzenica babci Francka Gałuszkowa (1911-1996), siostra Cylki Tobołowej (ur. 1909, jedyna żyjąca), Maria Paszkowa z 12-letnią córką Maryjką (ur. 1920). Z tyłu zaś stoi Józefa Niemcowa (1896-1974), jedna z sióstr Janka Guziura (1905-1964), długoletniego „gospodzkigo" z Suchej Pasiek. Na fotografii tej także widać wiszący w witrynie okiennej plakat sportowy, informujący polską klientelę o mającym się odbyć meczu piłkarskim górnosuskiej Lechii. W drużynie tej grało wielu polskich piłkarzy, m.in. bracia Zygmunt i Bronek Pietraszkowie, Władek Wojaczek, Roman Grendziok, Rudek Niemiec, w tym również przed wojną mój ojciec Emanuel z młodszym bratem Frydą. Po wojnie zaś podporą tej drużyny byli mężowie moich kuzynek Władek Szczyrba (1923-96) oraz popularny bramkarz i kawalarz Jan „Buba" Glac (1924-1995). Pamiętam, że powojenne mecze piłkarskie polskiej Lechii z czeskimi drużynami z Karwiny, Ostrawy czy Witkowic były zawsze wielkimi wydarzeniami i ściągały na stare boisko - tuż obok kościoła i budki babci - tłumy mieszkańców wioski. Dzięki żywiołowemu dopingowi niełatwo było przyjezdnym, a zwłaszcza czeskim drużynom

wygrać na gorącym polskim terenie. Niestety, na początku lat 50., tuż po wybudowaniu przez kopalnię nowego boiska (na szczyrkuli - glinioku), suska Lechia została wchłonięta do drużyny czeskiej i po zmianie nazwy praktycznie zlikwidowana.

Od zakończenia wojny aż do wyjazdu na studia (1956) byłem wraz z rodzicami częstym gościem w budce babci, zwłaszcza w soboty i niedziele, ochoczo pomagając jej w sprzedaży prasy. Wiedziałem też, że za tę symboliczną pomoc otrzymam pokaźną paczkę wspaniałych zeszytów, ołówków, kredek czy bloków kreślarskich. Były to wtedy deficytowe w Polsce artykuły (nagminnie szwercowane przez granicę), którymi mogłem pochwalić się w klasie przed kolegami.

Pod koniec lat 50. babcia sprzedawała tylko polską prasę oraz nieliczne już przybory szkolne. Tuż przed śmiercią dziadka Pawła (1962) budkę sprzedano. Kupił ją miejscowy szewc, który przez kilka lat prowadził tam warsztat naprawy obuwia. Po odejściu szewca budka stopniowo niszczała, aż w latach 1993-94 całkowicie ją rozebrano.

JANUSZ GUZIUR



W górnym rzędzie czwarty z prawej Wilhelm Guziur, syn Marii Guziur

CZESKA RECEPCJA PRZEKŁADOWA I KRYTYCZNA DZIEŁ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

W 190. ROCZNICĘ URODZIN POETY (19.2.1812-23.2.1859)

Okrągła rocznica urodzin czy śmierci pisarza znakomitego, a takim był autor „Nie-Boskiej komedii", mobilizuje zazwyczaj historyków literatury, eseistów, czasem i beletrystów do wypowiadania się na jego temat. Zapewne więc i w 2002 roku przybędzie pozycji bibliograficznych przy nazwisku Krasińskiego, tym bardziej, że przez kilka dziesiątków lat po drugiej wojnie światowej był on autorem niewygodnym, bo chrześcijańskim i arystokratycznym, prowokującym do polemik, a najczęściej do uproszczonego potępienia. Z łatwością więc swego czasu jego utwory zaszufladkowano do działu „romantyzmu wstecznego" i pisano o nim nie tak znów wiele, a jeśli pisano, to na ogół po to, by owo zaszufladkowanie uzasadnić. Badaczy wnikliwych w ciągu wieku XX zajął poeta raczej niewielu, ale jednak twórczość jego przyciągnęła uwagę tak wybitnych uczonych, jak na początku wieku J. Kleinera, autora m.in. monografii „Zygmunt Krasiński. Dzieje myśli", czy w czasach powojennych M. Janion, twórczyni biografii „Zygmunt Krasiński. Debiut i dojrzałość". Pisarz musiał być obecny także siłą rzeczy w wydawanych syntezach historycznoliterackich, bowiem tak oryginalnego zjawiska literackiego, mającego już od XIX wieku ustaloną pozycję „trzeciego wieszcza romantycznego" w historii literatury polskiej, pominąć było nie sposób. Ostatnie lata, dzięki pracom Z. Sudolskiego, odkryły nam Krasińskiego - jednego z najwspanialszych epistolografów epoki romantyzmu.

Dzieje recepcji twórczości Krasińskiego w Czechach opisał Marian Szyjkowski (prof. literatury polskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze w latach 1923-1952) w jednym z rozdziałów swej syntetycznej pracy „Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym" (1947) oraz w jej rozszerzonej wersji czeskiej „Zikmund Krasiński v české literatuře". Ta ostatnia monografia zresztą nie doczekała się w Czechach druku, bowiem jej zbyt polonocentryczna koncepcja, jak się wydaje, nie spodobała się Czechom. Nie sprzyjały też publikacji na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy powstała, ogólne, panujące wówczas w literaturoznawstwie tendencje, które, w ślad za radzieckimi badaniami literatury, prowadziły do odrzucania komparatystyki (literaturoznawstwa porównawczego) jako nauki „burżuazyjnej", sprowadzanej beztrosko do płytkiej i wyśmiewanej „wpływologii".

M. Szyjkowski w swej monografii niezmiernie się dziwił, że obecność Krasińskiego w czeskim środowisku kulturalnym otwiera „Agaj-Han",

przetłumaczony przez Čelakovskiego i opublikowany (z pochwalnym dopiskiem tłumacza) w piśmie Česká včela w 1835 roku. Jeszcze bardziej zdumiewała polskiego uczonego długoletnia obecność tego utworu w czeskim życiu literackim, zachwyt dla owego poematu prozą ze strony J. V. Sládka, który chciał go tłumaczyć, czy propozycja komisji stworzonej w organizacji o nazwie Umělecká beseda (a zasiadał w niej nie byle kto, bo J. Goll i J. Vrchlický), by z całej twórczości polskiego romantyka przetłumaczyć ponownie ten właśnie utwór. Zdezorientowany Szyjkowski uparte czeskie upodobanie do „Agaj-Hana" (którego sam nie cenił wysoko, widząc w nim „dziesiątą wodę" po walterscottyzmie, wypłukaną przez młodocianego autora z zachodnich romansów grozy) położył na karb „pomyłki czeskiego smaku artystycznego".

Tymczasem „Agaj-Han" w dobie Čelakovskiego spełniał dwie ważne funkcje: pomagał (podobnie jak „Atala" Chateaubrianda w tłumaczeniu Jungmanna) kształtować czeską „wysoką" prozę historyczną, która w koncepcji odrodzeniowych „budzicieli" miała zastąpić nieistniejącą jeszcze poezję epicką wysokich lotów, z drugiej zaś strony służył - jakże wówczas w Czechach nieśmiałemu - demaskowaniu stworzonego przez Herdera, ale podjętego skwapliwie przez Czechów, mitu o sielskim charakterze Słowian. Czeski idyllizm słowiański był wówczas niebezpieczny: Z jednej strony przemieniał sławioną słowiańską „cierpliwość" w lojalizm, z drugiej - idylla sztuki przesłaniała tragedię historii. „Agaj-Han" został więc wybrany i słusznie, i w porę: objawiał Czechom Norwidowską wieloznaczność pojęcia słowiańszczyzna, otwierał perspektywę na zupełnie innych Słowian niż ci, którzy występowali w czeskich idyllach, przyniósł nowe widzenie historii, ukazywał nowego, romantycznego bohatera, nieobecnego jeszcze wówczas w czeskiej literaturze, bohatera stawianego przez Los wobec nieszczęścia i odważnie podejmującego nierówną z nim walkę.

Dlatego trudno zgodzić się z Szyjkowskim, że to dopiero tłumaczenie „Irydiona", dokonane przez J. V. Friča w 1863 roku, inauguruje w Czechach „rzeczywiste poznanie Krasińskiego", choć oczywiście ówczesna kontaminacja nastrojów propowstaniowych z treścią wspomnianego dramatu zachęcała do pozytywnego przyjęcia tego dzieła.

Następny wielki dramat Krasińskiego - „Nie-Boska komedia" zaczął funkcjonować w czeskiej świadomości kulturalnej dzięki tłumaczeniu F. Kvapila i działalności wydawniczej F. Vymazala, który w roku 1878 opublikował duże fragmenty twórczości Krasińskiego w swej antologii „Slovanská poezije". Największe jednak znaczenie dla czeskiej recepcji autora „Nie-Boskiej" miało wydanie w roku 1880 jego „Výboru spisů" w tłumaczeniu wspomnianego utalentowanego tłumacza i gorącego polonofila - F. Kvapila.

Stulecie śmierci poety przyniosło nowe tłumaczenia szeregu jego wierszy. Wtedy też na Krasińskiego zwrócił uwagę kapłan brneński, krytyk, tłumacz i popularyzator polskiej literatury - Emanuel Masák, który w pismach Obrození oraz Hlídka literární a umělecká zaczął publikować pierwsze prace o nim. Ukoronowaniem polonistycznych prac Masáka była książka „K branám věčnosti. Náboženské touhy v životě a díle Julia Słowackého a Zikmunda Krasinského" (1918). Czeski badacz określał w niej obu wielkich romantyków jako „polskich poetów chrześcijańskiego idealizmu", obu bowiem zaprzątały problemy nieśmiertelności duszy i stosunku człowieka do Boga. Obaj też przebyli pełną męki drogę samotnych rozmyślań, zamkniętych wnioskiem, iż przyszłość ludzkości zależy od jej rozwoju moralnego, którego zwieńczeniem będzie urzeczywistnienie Królestwa Bożego na ziemi. Jak widać, Masák usiłował uwypuklić problematykę uniwersalną twórczości Krasińskiego. On też jako pierwszy w Czechach zwrócił uwagę na myśl filozoficzną polskiego twórcy, na jego koncepcje historiozoficzne.

Bardzo doniosłą rolę w dziejach recepcji Krasińskiego w Czechach przypisuje Szyjkowski - i słusznie - pierwszemu czeskiemu i światowemu wystawieniu „Nie-Boskiej komedii" w 1918 roku w reżyserii głośnego wówczas twórcy K. H. Hilara, który, realizując na scenie dzieło polskiego romantyka tuż po zmieniającej stosunki europejskie rewolucji rosyjskiej, przedstawiał poetę nie tylko w nimbie wielkiego dramatyka, ale i wizjonera, choć wizję Krasińskiego zmienił znacznie, usuwając ze sceny końcowej krzyż i owo słynne „Galilaee vicisti!" i zastępując je trzepocącymi w tle płomiennymi sztandarami. Zmienione w ten sposób dzieło nie zostało dostatecznie zrozumiane przez widownię i przez recenzentów, a zrozpaczony tym stanem rzeczy Szyjkowski zaczął lansować pogląd, iż utwory polskich romantyków, ale i np. Wyspiańskiego, powinny w Czechach być poprzedzane jakimiś prelekcjami wprowadzającymi, wygłaszanymi z proscenium, inscenizacja dramatów zaś winna być wynikiem wspólnego wysiłku reżysera, scenografa i hamującego ich zapędy twórcze interpretatora, pilnującego ustalonych, ogólnych sensów głębokich dzieła. Inscenizacja „Nie-Boskiej" spowodowała, że utworem tym zainteresował się i T. G. Masaryk, który w rozmowie z Szyjkowskim wypowiadał się o dramacie z największym uznaniem, a w swym dziele „Rusko a Evropa" włączył Krasińskiego do swych (dość dyskusyjnych) rozważań nad polskim mesjanizmem.

Śledząc w swej monografii o Krasińskim problem oddziaływania twórczości poety na czeskich literatów, Szyjkowski odkrył wiele wątków, przejętych, jak starał się wykazać, z dzieł Polaka, ale odnalazł je głównie u pisarzy niższego lotu (J. V. Frič, Antal Stašek, František Kvapil). Jeśli idzie o poetów o wybitnym talencie, to liczne motywy, typy postaci, środki poetyckie, problematykę, których genezy dopatrywał się w poezji Krasińskiego,

wyśledził u Svatopluka Čecha (poemat „Evropa") i Jaroslava Vrchlickiego („pekelná komedie" „Eloe", epopea liryczna „Twardowski" i ogólna inspiracja dramatem symbolicznym). Niestety, Szyjkowski w swych badaniach ograniczał się na ogół do stwierdzenia faktu (powołując się przy tym na swą doskonałą znajomość literatury polskiej), nie analizował natomiast aktywności pisarskiej odbiorcy, nie usiłował zbadać, jaką rolę czeski twórca wyznaczył przejętym wątkom, aluzjom literackim, parafrazom itd., ani jak to zmieniało sens przejmowanych wartości czy jaką funkcję w nowym dziele zaczynały one pełnić. Dlatego sądy jego przyjmować należy z pewną rezerwą.

Powojenne dzieje recepcji Krasińskiego w Czechach nie są zbyt bogate w fakty. Przyczyna takiego stanu rzeczy była podobna jak w Polsce: po prostu był to autor nie na czasie. Spośród Czechów z konieczności musiał o nim pisać w swych „Dějinách polské literatury" Karel Krejčí. Chociaż badacz ten w podtytułach rozdziału poświęconego Krasińskiemu wypunktował „klasowe" ujęcie twórczości poety (básník a ideolog šlechtické reakce; „Nebožská" jako drama třídního boje; protirevoluční tendence „Irydiona"; „Przedświt" jako apotheosa polské šlechty), to przecież potrafił osadzić wymienione utwory w literackim i filozoficznym kontekście epoki, przeciwstawiając jednak zdecydowanie „rewolucyjnemu" Słowackiemu - „reakcyjnego", choć uzdolnionego Krasińskiego. Międzywojennej recepcji dzieł Krasińskiego poświęcił artykuł J. Krystýnek w swej książce „Z dějin polsko-českých literárních vztahů", Brno 1966.

Chociaż Krasiński przenikał, z wyjątkiem „Agaj-Hana", do czeskich środowisk literackich stosunkowo późno i oddziaływanie jego dzieła trwało dość krótko, bo głównie w latach 1863-1918, to jednak zdołał do kół tych przemówić dostatecznie mocno, skoro wszystkie jego najważniejsze utwory zostały na język czeski przełożone. Tym samym uznano go na tym terenie za klasyka, choć, jak wiadomo, klasyków bardziej się czci niż czyta. I taki też w tej chwili w Czechach jest los polskiego wieszcza, jednego z trójki wielkich romantyków, którego raz się umieszcza na piedestale, raz znowu bez litości z niego strąca. Jeśli jednak za kryterium wielkości przyjąć nie zmienne, podległe fluktuacjom politycznym mody literackie, lecz słowa jego rówieśnika Słowackiego: *Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała/ Że w posąg mieni nawet pożegnanie./ Ta kartka wieki tu będzie płakała/ I łez jej stanie* - to pewnie niejedna strona dzieł Krasińskiego ma taką szansę na długowieczne przetrwanie. Nie na próżno przecież nie kto inny, jak Cyprian Norwid, którego prochy niedawno składaliśmy na Wawelu, czwarty, choć jakże odmienny z tego grona wielkich polskich romantyków, powiedział o autorze „Nie-Boskiej", iż jest to twórca formatu światowego. Pamiętać o tym stwierdzeniu jest naszym obowiązkiem.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOWA

Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI LUDOZNAWCZEJ

6 września ub. r. odbyło się w Jabłonkowie zebranie wyjazdowe Sekcji Ludoznawczej. Po spotkaniu członków SL na dworcu w Nawsiu rozpoczęto zwiedzanie poszczególnych dzielnic i osad Jabłonkowa. Najpierw zatrzymano się Na Łazach (nad Bachratą i Zabitą), skąd pomimo nienajlepszej pogody podziwiano panoramę Jabłonkowa i okolic. Zapoznawano się jednocześnie z historią i etymologią mijanych wcześniej: kaplicy św. Jana i św. Pawła na Suchotowym Kopcu, krzyża na Radżbanowskim moście, osady na Biydzie, klasztoru elżbietanek. Już w trakcie przejazdu do kolejnego miejsca postoju, którym było wzniesienie Witaliszów, wysłuchano informacji na temat mijanych właśnie Piosecznego, Szigły. Po obejrzeniu wnętrza kapliczki na Witaliszowie, korzystając z panoramy rozciągającej się ze wzgórza, oglądano m.in. dolinę Łomnej, Boconowice, Nawsie, Milików, dolinę Radżbanowskiego Potoka, Zagórzi, Kympym, Lasek Miejski, Lyski, Ciyrwiónóm (wzniesienie pod Zielónym, gdzie garncarze jabłonkowscy wydobywali czerwoną glinkę, z której robili polewę, nadającą wyrobom garncarskim z Jabłonkowa charakterystyczny czerwony kolor). Potem podjechano Do Łazów, gdzie zwiedzono sanatorium. Wszystkich zainteresowały resztki budynku starego młyna Fülbierów. Stamtąd udano się na Białą, gdzie uczestnicy zostali m.in. oprowadzeni po Mazurowicach, posiadłości należącej do MK PZKO. Po przejściu rzeczki Łomnej udano się starą uliczką z łukami W Kamienicy na rynek. Zwiedzając rynek i przyległe ulice, powracano w myślach do nieistniejącej już obecnie zabudowy ulic Młyńskiej, Polskiej i Dworcowej. Wspominano liczne niegdyś gospody, warsztaty rzemieślnicze i sklepy. Idąc dalej koło budynku starej poczty na Wyszni Brónie, koło Kwiytkowic (cmentarza), budynku starego i nowego Rotuza, byłego sądu i więzienia, willi Lorenczuka, dotarto do celu, czyli do domu PZKO.

Tam podjęto strudzonych wycieczkowiczów gorącą kolacją. Następnie kontynuowano zebranie, wysłuchując krótkiego, zawierającego szereg ciekawostek wykładu na temat pochodzenia mieszkańców i nazwy Jabłonkowa, jego patrona, herbu, stroju oraz rzemiosła, którego Jabłonków był znaczącym ośrodkiem. Po dyskusji zarecytował swoje wiersze, specjalnie na tę okazję zaproszony do Jabłonkowa, nieznany szerokiemu ogółowi poeta ludowy z Milikowa pan Byrtus. Zakończono obrady i w trakcie nieoficjalnej dyskusji stwierdzono, że z całą pewnością warto kontynuować tego rodzaju kształcące członków SL zebrania wyjazdowe. Warto może jeszcze dodać, iż bardzo aktywnym uczestnikiem zebrania był prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa.

LESZEK RICHTER

ŚWIĄTECZNE SPOTKANIE ŁĘCZAN

Nie mają już członkowie Miejscowego Koła PZKO w zdewastowanych Łąkach, a jest tych aktywistów społecznych jeszcze ponad stu, swojej świetlicy. Połowa pezetkaowców mieszka poza Łąkami, rozproszona od Bogumina po Jabłonków. Mimo to kilka razy w roku przyjeżdżają do „swej" miejscowości na spotkania okolicznościowe. Ostatnim w roku 2001 było Świąteczne Spotkanie Bożonarodzeniowe, które odbyło się 15 grudnia w restauracji Zacisze. Program przygotowała ponownie tryskająca nadal pomysłami i optymizmem Wanda Pribula. Przeniesiono się w baśniową krainę przepowiedni i wróżb z gwiazd. Po kolei odczytywano wróżby dla poszczególnych znaków zodiaku, a obecni na sali ich przedstawiciele w zamian inicjowali wspólne śpiewanie kolęd czy pieśni patriotycznych. Życzenia świąteczne i noworoczne, wznosząc zarazem toast za pomyślność w społecznym działaniu w nowym 2002 roku, złożył prezes MK Karol Tomiczek. Łamano się opłatkiem, a po wieczerzy wigilijnej kontynuowano śpiewanie kolęd przy pięknym akompaniamencie Bronisławy Gabriel. Była też loteria świąteczna. Spotkanie trwało dłużej niż przewidywano. Jednak czas rozłąki jest zawsze smętnym epizodem końca. Żegnano się miło i serdecznie, choć z nostalgią i żalem. Do następnego spotkania. Oby wszyscy, w zdrowiu, doczekali!

J.K.

DOM MK PZKO W MOSTACH PO REMONCIE

Gwarno i radośnie było w Domu PZKO w Mostach k. Jabłonkowa w sobotnie popołudnie 15 grudnia ub. r. W tym dniu miejscowi pezetkaowcy świętowali bowiem w odnowionym budynku swój kolejny sukces. Bo wszystkim wiadomo, że Mosty chlubią się chórem Przełęcz, zespołem Górole, osiągnięciami uczniów tutejszej szkoły, Balem Gorolskim, a teraz przed kolejnym balem występem własnych zespołów podziękowali tym, którzy przyczynili się, by ich Dom był jeszcze bardziej reprezentacyjny. A nie jest rzeczą prostą w dzisiejszych czasach pozyskać fundusze na remont. W Mostach się udało. Duża w tym zasługa obecnego prezesa Koła Józefa Kluza i Alojzego Martynka, członka zarządu, a jednocześnie szefa zespołu Górole i członka samorządu gminnego. Nie ulega wątpliwości, że do pełnego sukcesu przyczynili się członkowie Miejscowego Koła, ofiarując na ten cel środki finansowe, ale także pracując fizycznie na budowie. Podziwiali ten sukces prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa i konsul Jerzy Herma z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie.

W programie artystycznym zaprezentowali się Górole we wspaniałym nowym, choć już prezentowanym za granicą programie zatytułowanym „Tłoczyni kapusty", którego autorem scenariusza i choreografii jest Michał Milerski. Chór Przełęcz wystąpił z wiązanką pieśni ludowych,

a chór szkolny i zespół Gróniczek swoim repertuarem wprowadziły widzów w nastrój świąteczny.

Po strawie duchowej przyszła kolej na fizyczną i choć widzów było co niemiara, dla nikogo nie zabrakło obfitego poczęstunku. I cóż, że za oknem szalała zima, w gorącej, rodzinnej atmosferze długo trwały Polaków rozmowy.

E.S.







KONCERT ŚWIĄTECZNY W TRZYŃCU

Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu odbył się już tradycyjnie, przyciągając setki miłośników folkloru, koncert świąteczny połączony z kiermaszem. Gospodarze koncertu – ZPiT Olza – zaprosili do udziału w nim nasze zespoły i kapele oraz z drugiej strony Olzy Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej. Koncert poprowadził i wzbogacił gawędami Tadeusz Filipczyk, a obok gości z Polski w koncercie udział wzięli: chór Gorol, zespoły wraz z kapelami – Bystrzyca, Oldrzychowice, Skotnica, Suszanie, Dolanie wraz ze swymi dziećmi i kapelą Kamraci, kapela Olza, Nowina i Polynica Andrzeja Niedoby oraz solistka Urszula Niedoba–Szczepaniak, główna organizatorka koncertu. Widzowie mogli posłuchać tradycyjnych polskich kolęd i kantyczek Adama Sikory i podziwiać kunszt taneczny naszych zespołów, wykonujących tańce z folkloru śląskiego i innych regionów Polski oraz słowackiego. Aby świątecznej atmosferze uczynić zadość, członkowie zespołów podzielili się opłatkiem z widzami.

E.S.



BYSTRZYCA



OLDRZYCHOWICE

URSZULA NIEDOBA – SZCZEPANIAK





OLZA





CHÓR GOROL
I NOWINA



DOLANIE

SUSZANIE





BYSTRZYCA



SKOTNICA

BAL GOROLSKI PO RAZ 24

W pierwszą sobotę stycznia pierwszym balem w tegorocznym sezonie był ten najpierwszy – Bal Gorolski w „Domu Kasowym" – Domu PZKO w Mostach koło Jabłonkowa, organizowany i tym razem przez zespół Górole i MK PZKO Mosty k. Jabłonkowa.

Tradycyjnie prawdziwą perłą tego balu jest, wyprzedzający samą zabawę, międzynarodowy przegląd kapel i zespołów folklorystycznych, o którym głośno nawet w czeskim radiu i telewizji. W tym roku w przeglądzie (a potem w przygrywaniu do tańca) brały udział następujące zespoły: gospodarze – Górole – zagaili fragmentem swego najnowszego programu „Tłoczyni kapusty", Kapela Pawła Capka ze Skalitego – była już po raz 22, zespół Valašský Vojvoda z Kozlovic, Ľudová hudba bratov Kubalovcov z Radostky, kapela Polynica z Andrzejem Niedobą na czele – wystąpiła w składzie międzynarodowym – uzupełniona dwiema skrzypaczkami z Istebnej, zespół Vtáčnik z Prievidzy dwukrotnie zaprezentował w przeglądzie swe tańce i przyśpiewki, kapela studenckiego zespołu folklorystycznego Poľana z Brna, Wałasi z Istebnej – zaprezentowali w programie „Ło narodzeniu dzieciątka małego" beskidzkie kolędy. Wystąpiła również, dobrze już na naszym terenie znana, ostrawska kapela ludowa Šmykňa. W przeglądzie przed samym balem zabrakło Zespołu Bartusia Obrochty z Zakopanego – nieco spóźnionego z powodu pogrzebu kolegi muzyka, który zginął jako taternik przysypany lawiną.



Wśród gości balu nie zabrakło licznych przedstawicieli przedsiębiorstw z „goralije" i z „dołów", w tym wielu sponsorów tej wielkiej, pięknej imprezy. Konsulat RP w Ostrawie reprezentowali konsul generalny Marek Masiulanis, konsul Małgorzata Filipek oraz konsul Marian Ozimek – wszyscy ubrani w stroje ludowe! W stroju gorolskim (jakże inaczej) był również prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa i wielu uczestników balu.

Organizatorom balu, z szefem Góroli Alojzym Martynkiem na czele, należą się brawa co najmniej tak burzliwe, jakie zbierały występujące zespoły. I muszę jeszcze coś przekazać kucharzom na tegorocznym balu – placki z mięsem i kapustą były w tym roku najlepsze, jakie jadłem na chyba dwudziestu Balach Gorolskich, ale w ogóle ze wszystkich placków!

F.B.









BAL GOROLSKI









NOWINA W WARSZAWIE

15 grudnia kapela góralska Nowina pod kierownictwem Krystyny Mruzek zaprezentowała w Domu Polonii w Warszawie w ramach Dni Kultury Kresowej kantyczki Adama Sikory i pieśni górali beskidzkich. Licznie przybyli na koncert zorganizowany przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska i Federację Organizacji Kresowych słuchacze nie szczędzili oklasków i słów zachwytu pod adresem młodych wykonawców. Nasi muzycy i śpiewacy z Jabłonkowa zauroczeni są gościnnością, jakiej doznali ze strony pracowników Wspólnoty Polskiej.



DWUSETNY WYSTĘP ANDRUSÓW

Aż trudno w to uwierzyć, ale zespół estradowo-kabaretowy Andrusi, działający pod kierownictwem Czesława Bugdola, 28 grudnia, tym razem przed własną publicznością w Domu PZKO w Skrzeczoniu, wystąpił już po raz 200. A występowali Andrusi niemal w każdym zakątku Zaolzia i w Polsce. Tym razem zaprezentował się 9-osobowy zespół w składzie: Czesław Bugdol – skrzypce i śpiew, Irena Szeliga – pianino, Albert Grzebień – śpiew i anegdoty (popularna skrzeczonianka), Alojzy Sładeczek – konferansjer i śpiew, Stanisław Górniok – ozembuch, Bogusław Czapek – śpiew i monologi, Czesław Gałuszka – gitara, Marek Chorzempa – gitara i śpiew, 9-letni Krystian Gałuszka – ozembuch, nagłośnienie i pomoc techniczna – Mieczysław Pietrzyk.



Fot. TADEUSZ GUZIUR



SPOTKANIE Z NUTKĄ ... NOSTALGII

W sobotę 12 stycznia odbyło się w Orłowej – jak to określił prezes MK PZKO Orłowa Miasto i Łazy Leon Kasprzak – Spotkanie „haślorzy" po latach. Na tę okazję została przygotowana również wystawka dokumentów i fotografii z działalności chóru Hasło. Wśród pięćdziesiątki obecnych na spotkaniu był najstarszy z żyjących członków chóru, jeden z jego założycieli – Karol Konieczny. Drugim z najstarszych członków chóru, obecnym na spotkaniu, był Jan Cymorek. Nie zabrakło długoletniego zasłużonego dyrygenta Hasła Brunona Rygla, który był inicjatorem tego spotkania. Obecny był również syn pierwszego kierownika chóru, Franciszka Szarowskiego, Emanuel Szarowski.

Wielu członków tego chóru i osób z nim związanych już nie ma między nami. Prosząc o minutę ciszy, Leon Kasprzak za wszystkich wymienił tylko jedno nazwisko – Haliny Kowalczyk, której śmierć przed zaledwie trzema dniami przed tym spotkaniem wstrząsnęła wszystkimi.

Brunon Rygiel podczas wspomnień z działalności chóru posługiwał się cytatami z niedawno odkrytej przez Leona Kasprzaka pierwszej kroniki Hasła. Na podstawie lektury tego oryginalnego cennego dokumentu historycznego stwierdzono między innymi, że domniemana data uznawana dotąd za rok założenia chóru męskiego Hasło – 1927 – była rokiem nieudanej próby założenia chóru. W rzeczywistości zaistniał on w roku 1929!

Po chórze Hasło pozostanie jeszcze jedna pamiątka. Prof. Brunon Rygiel sfinansował swój niezwykły pomysł utrwalenia na płycie kompaktowej pieśni nagrywanych przez chór w latach 1956–1977. Opracowaniem i wydaniem płyty zajął się dr Leszek Kalina. Płytę w pierwszej kolejności otrzymali dawni chórzyści.

F.B.

NASI PLASTYCY JUBILACI

Często na łamach naszego miesięcznika staramy się prezentować prace wybitnych zaolziańskich plastyków, o osiągnięciach których coraz częściej możemy przeczytać w prasie polskiej i czeskiej. Dziś jest okazja szczególna, bowiem aż dwóch naszych plastyków w lutym obchodzi 60. urodziny: Paweł Wałach i Walter Taszek. **Z tej okazji obu Panom życzymy wszelkiej pomyślności w życiu osobistym i zawodowym i wielu twórczych wzlotów ku pożytkowi całej naszej społeczności.**



PAWEŁ WAŁACH

Ładnie odnowiony dom państwa Wałachów w Nieborach, tej zimy otulony grubą warstwą śniegu, kryje w swym nowoczesnym, funkcjonalnym wnętrzu prawdziwe ciepło, słoneczną wiosnę, beskidzkie lato. Zwrot już gościł w tym domu, a Paweł Wałach zasłużenie gościł na łamach pisma. Tym razem ponownie, jest bowiem po temu okazja wyjątkowa, 2 lutego obchodził Paweł Wałach sześć-



dziesiąte urodziny. A obchodził je pracą. Podczas redakcyjnych odwiedzin właśnie kończył przygotowania do swej **jubileuszowej wystawy**, której **wernisaż** odbędzie się w poniedziałek **25 lutego o godz. 17.00 w Domu Kultury Trisia** w Trzyńcu.

Z tekstu Daniela Kadłubca do przygotowanego katalogu tej wystawy pozwolę sobie zacytować: *Wałachowie tkwią w ziemi cieszyńskiej prawie od pięciuset lat. Po raz pierwszy nazwisko to pojawiło się w roku 1519 i od tego czasu jego nosiciele w przeróżny sposób wzbogacali obraz kulturowo-artystyczny ziemi nad Olzą. Dość wspomnieć w tym miejscu choćby Jana Wałacha z Istebnej, kolegę Picassa z czasów studiów paryskich, malarza znakomitego, który rozsławił w świecie cieszyńską góralszczyznę.*

Paweł Wałach urodził się w Śmiłowicach, tam uczęszczał do polskiej szkoły podstawowej. Był uczniem Jana Wanoka, który pierwszy zauważył jego talent malarski. Później uczęszczał do szkoły wydziałowej w Gnojniku, w czasach dyrektora Macury. Potem zdobył zawód tokarza i pracował w hucie trzynieckiej aż do emerytury, na którą odszedł w roku 2001.

Cały ten czas Paweł Wałach z dużym poświęceniem angażuje się w działalność kulturalną Polaków na Zaolziu, w tym w MK PZKO w Nieborach, gdzie jest, między innymi, jednym z najbardziej aktywnych twórców tego Domu PZKO.

Nie zaniechał też Paweł Wałach swego zainteresowania malarstwem. W roku 1977 skończył dział malarski Konserwatorium w Ostrawie. Właśnie od lat siedemdziesiątych poświęca się malarstwu na co dzień. Obecnie jest również zaangażowany w zarządzie Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO.

Paweł Wałach uczestniczył we wszystkich plenerach organizowanych w Republice Czeskiej przez SAP. Uczestniczył też corocznie w wielu plenerach w Polsce, z których wspomina szczególnie: Toruń, zamek w Mosznie, Kołobrzeg, Lanckoronę. Podkreśla również aktualną bardzo dobrą współpracę zaolziańskich plastyków z Galerią Na Zapiecku u Jyndrysa w Wiśle.

Z wystaw indywidualnych Pawła Wałacha wymienić należy: Niebory, Trzyniec, Czeski Cieszyn, Karwina, Konsulat Generalny RP w Ostrawie, a w Polsce – Jastrzębie-Zdrój, Ustroń, Wisła, Tarnowskie Góry, Częstochowa, Lubliniec. Oprócz tego ten niezwykle pracowity twórca brał udział w wystawach zbiorowych w Republice Czeskiej, Polsce, Danii i Holandii. Jego obrazy są w zbiorach galerii – między innymi w Bielsku-Białej. Są również w zbiorach prywatnych w Czechach, Polsce, Niemczech, Belgii, Danii i Argentynie.

Paweł Wałach w porównaniu z wielu innymi artystami prowadzi bardzo spokojne życie, nie walczy słowem, nie podkreśla swych osiągnięć ... on po prostu wypowiada się inaczej, i to niemal wyłącznie – na swych płótnach. Uprawia w głównej mierze technikę olejną. Skalę jego kolorów można określić jako mistrzowską. Tylko jednego koloru nie używa wcale – czarnego.

Paweł Wałach jako człowiek i jako artysta tkwi w pełni w kraju nad Olzą i w tymże krajobrazie. Tkwi też tak samo w tematyce naszych śląskich tradycji i rodzimej kultury. Jest aktualnie jedynym wśród naszych malarzy uprawiających na tak dużą skalę, i z takim powodzeniem, kompozycje figuralne. Są

one nie tylko pełne naszej historii, czy już to w ujęciach realistycznych, czy też mniej lub bardziej alegorycznych, baśniowych.

Tak oto ocenia twórczość Pawła Wałacha argentyński krytyk sztuki Martin Alvarez: *Wobec pewnych obrazów, bez względu w jakim stylu były wykonywane, ma się przyjemne wrażenie dobrego samopoczucia, będącego mieszaniną zdziwienia i satysfakcji. Ma to miejsce odnośnie twórczości Wałacha. Ten liczący się artysta, będący przede wszystkim pejzażystą, ma rozwiniętą w najwyższym stopniu umiejętność zwarcia pejzażu oraz wszystkiego, co się w nim mieści, co czyni z niego dzieło sztuki. (...) Przenoszenie widoków na płótno nigdy nie jest absolutnie wierne, zawsze istnieje pewna interpretacja odtwarzanej rzeczywistości – w tym przypadku jest to interpretacja zdecydowanie romantyczna. Paweł Wałach tworzy nową rzeczywistość, (...) nowy pejzaż, jedyny, niepowtarzalny.*

F.B.

WALTER TASZEK Walter Taszek urodził się 17 lutego 1942 roku w Dąbrowie. Mieszka w Karwinie. Swą pracownię ma aktualnie w Darkowie. W roku 1960 ukończył Szkołę Rzemiosła Artystycznego (Umělecko-průmyslová škola) w Uherskim Brodzie – kierunek ceramika użytkowa i dekoracyjna. W działalność SLA zaangażował się w latach siedemdziesiątych. Jest aktualnie jedynym w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków przy ZG PZKO rzeźbiarzem. Uprawia również grafikę i malarstwo. W latach dziewięćdziesiątych zrezygnował z zatrudnienia, decydując się na niełatwą drogę artysty. I pod tym względem należy wśród naszych twórców w tak zwanym wieku produkcyjnym (przed emeryturą) do rzadkich wyjątków.

Rzeźby i kompozycje przestrzenne Waltera Taszka są znane i poza granicami kraju. Najczęściej używanym przez niego materiałem jest drewno. Ma on własny, specyficzny styl z niepowtarzalnym urokiem kompozycji struktur, zarówno surowych, jak tych przetworzonych za pomocą dłuta, i niejednokrotnie również farby.

Osobnym rozdziałem w działalności Waltera Taszka jest jego duże zaangażowanie w promocję rodzimej twórczości. Jest on jednym ze znaczących animatorów działalności artystycznej w Karwinie. Był współzałożycielem grupy Parazol (1960–1969). W roku 1986 założył Klub Plastyków Karwińskich. Zapoczątkował Jesienne Wystawy Plenerowe na



rynku frysztackim. Tu też są corocznie, przed Świętami Bożego Narodzenia, wystawiane jego Jasełka z piętnastoma figurami naturalnej wielkości.

Walter Taszek jest również członkiem Unii Artystów Plastyków (Unie výtvarných umělců) oddziału ostrawskiego. Od lat angażuje się zarówno w czeskim, jak i w polskim środowisku artystycznym. Jest więc w pewnym sensie animatorem utrzymywania więzi między tymi środowiskami.

Walter Taszek uczestniczył w roku 1978 w Międzynarodowym Plenerze Rzeźbiarskim w Tucholi, gdzie pozostawił jedną ze swych dużych rzeźb. Uczestniczył i w Triennale Portretu Rzeźbiarskiego w Sopocie. Jego prace są również widoczne na placach zabaw dla dzieci w Karwinie i Stonawie, w budynku Moravia Banku w Karwinie, Miejskim Domu Kultury w Karwinie, w kościele w Kreutzweingarten w Niemczech – dwie drewniane rzeźby (św. Piotr i Paweł), w ośrodku wypoczynkowym w Raciążu.

Wystawy indywidualne artysty miały miejsce w kinie Centrum w Karwinie, w Galerii Manesa w Karwinie, w sali wystaw Na strychu w Czeskim Cieszynie. **Jego jubileuszowa wystawa „Rysunek i rzeźba" w Bibliotece Regionalnej we Frysztacie, otwarta 1 lutego, czynna jest do końca miesiąca.**

Lista wystaw zbiorowych, w których od roku 1964 brał udział, liczy ponad trzydzieści pozycji, z których warto wymienić obok Karwiny, Czes-

kiego Cieszyna, Hawierzowa, Orłowej i Ostrawy takie miejsca jak Bratysława, Opole, Warszawa, Kraków, Sopot, Bielsko-Biała.

Prace Waltera Taszka znajdują się w zbiorach Muzeum w Bielsku-Białej oraz w zbiorach prywatnych w Republice Czeskiej, Polsce, Niemczech, Szwajcarii, Japonii i na Florydzie w USA.

Powodem do radości dla jubilata jest bezsprzecznie i to, co tak niewielu twórcom było dane, że śladami ojca podąża jego córka Romana, absolwentka Szkoły Rzemiosła Artystycznego w Brnie, zajmująca się grafiką.

F.B.



Fotografie prac z archiwum W. Taszka



Fotografie w kronice (poza str. 40)
FRANCISZEK BAŁON

WILHELM PRZECZEK

ŚWIT

Dobywasz znaczenia ze słów poprzez oporne warstwy
Każde znalezisko grzeje
Z ciała i krwi świtu
przemiana
na chleb powszedni poszukiwań
Na wodę z ogniem
scaloną
Na wietrzny kształt
wartości

KARCZOWISKO

Para biła z koni. Pod osłoną mgły każdy cios bolał.
W czasie wyrębu topór dzwonił
z wysokich polan.
Wpiły się piły w biały czas leśnej zadumy.
Klęknął las szumny. Ścinano do kolan.
Drwale sprawdzają nerwy korzeni -
na wznak kładziono ziemię.
Z wietrzności, z dolnego poziomu
śpiewność poczęła kiełkować.
Karczowanie przestrzeni jaśniejszej do nieba,
w zgiełku odgłosów, bez słowa, żmudnie.
Ucichły drzewa. Milczeli ludzie.

WYCISZANIE

Z Drogi Mlecznej kapie śmietana
łask pozaziemskich.
Tylko puste krzesło czeka na wędrowca
światłości wieczystej.
Wyjdź z tego wiersza cichym swędem
jeśli potrafisz.
Koral jarzębiny jak ognisko
tańczy na ostrzu jak na linii życia
przyszłego okwiatu
Wyjdź z tego wiersza bardziej obnażony
jeśli potrafisz

Zestaw tych wierszy zdobył pierwszą nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie o Rzeźbę Zygmunta Bukowskiego - Gdańsk, 2000 r.

POCHWAŁA SZWEJKA

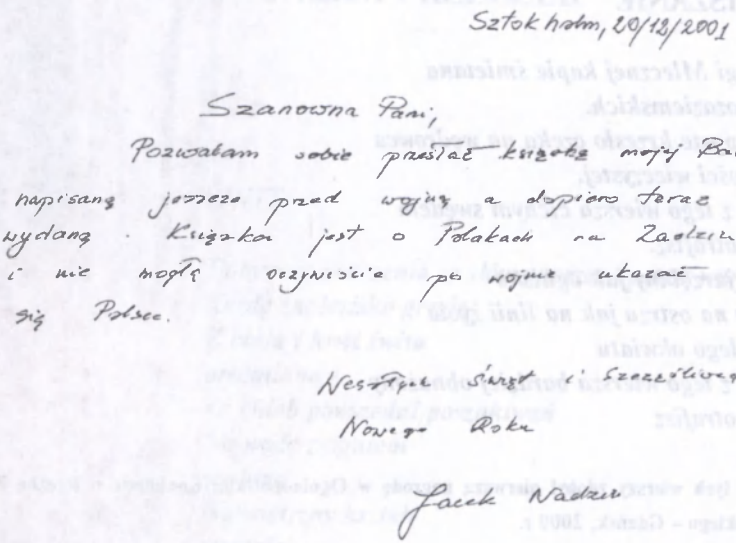
Kongenialnemu tłumaczowi dzieła
Jaroslava Haška - P. Hulce-Laskowskiemu

W gospodzie U KALICHA dopijam
resztki piwa z pianą
Noc strumień pragnienia we mnie otworzyła
Zamyka źródło dziwnie chwiejne rano

Láska po czesku znaczy miłość
może czasami goryczy przybyło
po mieczu albo po kądzieli
bo gorycz często mieszka w chmielu
Pod spienioną chmurką -
wiedziałeś o tym dobrze
Pawle Hulko

Wypiłbym teraz jeszcze jedno piwo
z Haškiem do spółki w gospodzie U FLEKA
Widzę na dnie kufla gwiazdę tak szczęśliwą,
że otwiera rzekę płynności w człowieku

GRAND PRIX w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim w Żyrardowie


Sztokholm, 20/12/2001

Szanowna Pani,

Pozwalam sobie przesłać książkę mojej Babki, napisaną jeszcze przed wojną a dopiero teraz wydaną. Książka jest o Polakach na Zaolziu i nie mogła oczywiście po wojnie ukazać się w Polsce.

Najlepsze życzenia z okazji Nowego Roku

Jacek Nadzin

POLA GOJAWICZYŃSKA

ŚWIĘTA RZEKA

(fragment)

Wieczorem dancing. Ale w sobotę już po południu olbrzymie sale cieszyńskiej „Polonii" zapełniły się tłumem. Gdy się weszło z ulicy, gwar, dym, zapach piwa, tłuszczu i tytoniu uderzał tak, iż zatrzymywano się u drzwi z chęcią zemknięcia. Ta chwila wystarczała: przybysz dostrzegał znajomych, wsiąkał, grono powiększało się.

Nie zapalono jeszcze świateł. Złowroga chmura dymu wypełniała wysoką przestrzeń aż do sklepienia kawiarni. Nikiel, szkło i ciemne drzewo ozdób tego nowoczesnego wnętrza lśniły niespodziewanymi efektami, kelnerzy w białych kitlach mijali się, wznosząc wysoko ta-

ce, na których dymiły frankfurterki. Kufle piwa strojne w białą pianę płynęły nad głowami z bufetu na salę. Na głównej ścianie portrety prezydentów, Tomáša Masaryka i dr. Beneša, patrzyły spojrzeniem samej Republiki. Panował różnojęzyczny gwar.

Obok strojniś w modnych kapelusikach, jedwabnych sukniach i nieskazitelnych angielskich kostiumach, dorodne kobiety śląskie szeroko rozkładały swe fałdziste kiecki, perlące się górą bielą haftów i koronek. Wśród powszechnej rozmowy, śmiechu i ruchu dostrzegało się zaprzysięgłych piwoszów tkwiących w milczeniu nad kuflami, graczów w szachy, czytelników gazet, wreszcie tych, którzy przesiadywali tu przez nieskończone godziny wieczoru dla samej potrzeby przebywania w gromadzie. Zmieniano miejsca i towarzystwa, witano się głośno, drzwi trzaskały, z sąsiedniego dworca napływała nowa fala. W przyległej, bocznej sali odbywała się próba chóru przed nadchodzącymi dożynkami. Na lewo, pod załamaniem sufitu, w zacisznym wgłębieniu przy uprzywilejowanym stoliku, adwokat Szejda, doktor Raszka, inspektor Cierzpiała, pastor Friedla i notariusz Kempa obsiedli ciasno dziennikarza z kraju, który tu bawił przygodnie. Pokazywano go sobie.

– To ten. Przybył przez góry z ojczyzny. Wczoraj widziano go w Trzyńcu.

To, że przybył przez góry, a nie po prostu mostem ze starego Cieszyna, zastanawiało ludzi.

Był jeszcze nauczyciel, przyczepiony do tego poważnego grona. Młodzieniec ten uczył w Słowacji i dopiero co wrócił do swoich na miejsce po zmarłym nauczycielu Gajdzie. Siedząc na skraju aksamitnej ławeczki, piękny i smukły jak panna, przyciągał spojrzenia kobiece. Nie tylko młodziutkie i dzielne działaczki, ale poważne matrony przechodziły tędy jakby od niechcenia i wlepiały w niego uważne i baczne spojrzenia. Zaniepokojony, poprawiał krawat, przygładzał włosy. Ale najrezolutniejsza nawet z nich nie odważyłaby się przerwać wykładu doktora Raszki.

...W czysto polskich Olbrachcicach nie było w roku 1910 ani jednego Czecha, a w roku 1921 – aż 445!... W Łąkach z 0,9 procenta liczba ich wzrosła na 25,5, a w Piecznej z 0,7 na 25,3; w Stonawie...

Doktor Raszka wyliczał z pamięci, wybijając takt dłonią. Nadto, palce jego niejako wyjmowały z zanadrza Stonawę, wyrywały Łąki z wyniosłego czoła i przyciskały do piersi szczechizowane Olbrachcice. Były poseł z ra-

mienia mniejszości miał w sobie te gesty dla sprawy, która wzburzała go i rozdrażniała ciągle na nowo i do żywego. Przepadł przy wyborach na rzecz kandydata bardziej ugodowego, realisty, który wytargowywał od Pragi drobne ulgi i koncesje na rzecz wyborców. Doktor, który ongiś zdobył mandat, nie wychodząc bodaj z progów biur różnych stowarzyszeń, wrócił do praktyki lekarskiej i teraz dopiero ujrzał i poznał ludzi ze swojego okręgu. Obnażając ciała, dostrzegał schorzenia stokroć groźniejsze niż rany, które miał leczyć. Macając kości, wyczuwał złamania wewnętrzne, które miały pozostać nieuleczone. Ci ludzie, jego ziomkowie, serdeczni, wylewni a otwarci ujawniali mu je czasem jeno mrugnięciem oka, skrzywieniem ust, podrzutem ramion. Doktor sam nie mógł znaleźć słów dla tej tajemniczej historii, która się działa w ludziach w jakiejś ciemnej głębi, pod ich świadomością. Ten brak słów, ta zupełna niemoc w określeniu zjawiska i ukazaniu światu jego złowrogiego działania, wściekała doktora. Pragnąłby czegoś w rodzaju analizy, kliszy roentgena, dokumentu: stąd jego słynne, niewzruszone statystyki. Ale i statystyka była czymś powierzchownym, świadectwem zgonu dla ciała, z którego ulatywała dusza. Nie mógł tego wszystkiego wypowiedzieć, nie słuchano go zresztą. Po roku trzydziestym szóstym, gdy to szyby brzęknęły w szkołach czeskiej Maticy, a pancerka ukazała się w polskim Cieszynie - nie buntowano się już, nadzieja opadła. Tylko rok temu - zaledwie rok!... Każdy po prostu pracował na swym odcinku, opierał się, jak mógł, i trwał.

Inspektor Cierzpiała miał dobre wyniki w organizacjach rolnych. Wszędzie tam, gdzie byt rodów pochodził nie tylko z przemysłu, ale i z ziemi, ostawano się cało. O, ziemia to niewzruszona opoka!... nie zmienia tak łatwo gospodarzy. Pastor Friedla nie interesował się polityką narodowościową, o ile tylko nie naruszała spoistości jego zboru. Jego zbór był ewangelicki i polski.

Kempa kładł nacisk na niebezpieczeństwo niemieckie. Wszyscy wiedzieli, że wiązało się to z pewną tragedią w jego rodzinie. Ale kiedy człowiek żywo odczuwa te sprawy, jak nie na sobie?... Niedawno wydał był za mąż młodziutką córkę za człowieka tutejszego, zdolnego i rzutkiego młodzieńca. Ów z dnia na dzień poczuł się Niemcem. Notariusz Kempa uchodził z domu wieczorami, aby nie słuchać radia z „niemieckiej ojczyzny" i nie toczyć dysput politycznych.

Nauczyciel nie był w tym wieku, aby oddać się bez reszty swemu zawodowi lub działalności publicznej. Adwokat Szejda narzekał na terror ekonomiczny.

Odkąd przyjął godność w zarządzie Związku Polaków, kancelaria jego opustoszała, dochody spadły do minimum. Musi się ciągle podejmować drobnych interwencji na rzecz poszkodowanych i to pogrąża go coraz bardziej.

Pewien górnik z Karwiny - przerwał doktor - po dwudziestu latach pracy został zwolniony bez emerytury. Poszedł na hałdę, na opukę...

- Na opukę?... - rzekł dziennikarz, wyciągając pióro.

- Opuka: opukiwać - wyjaśnił Cierzpiała - no, wie pan: opukuje się na hałdzie węgiel z kamienia...

- Drugi, którego łudzono obietnicą przyjęcia do szkoły sztygarów, po ostatecznej odmowie udał się na sztrekę i...

Doktor uczynił wymowny gest rzucania się na oślep. Dziennikarz szepnął: - O, psiakrew?... - Nie miał pojęcia, że to tak wyglądało. W głowie zarysował mu się artykuł, jaki pośle do swego pisma.

W końcu zeszłego tygodnia trafił mu się wolny dzień i skoczył do Wisły, do znajomych. Urlop zahaczył o niedzielę. W restauracji Halamy w drodze na Stożek zetknął się z kompanią z czeskiej strony, z morusami, którzy pili wspaniale i tryskali humorem i żartem. Krótko mówiąc, przeprawił się z nimi, przyjęty i goszczony jak brat. Nie miał o niczym pojęcia.

- Co dziś mamy?... spytał z miną nieprzytomną.

- Wtorek.

Nastąpił wybuch śmiechu, Kempa rechotał, rozpryskując piwo, pastor uśmiechał się pobłażliwie. Gość wyznał szczerze, wodząc wzrokiem po sali:

- Jestem oszołomiony... oszołomiony!...

Ostatnią noc spędził w wiosce podgórskiej, w domu niemal archaicznym, gdzie zabudowania gospodarcze mieszczą się pod izbą mieszkalną. Stuletni zegar skrzypiał na ścianie, a pod ścianami pyszniły się równie stare skrzynie. Panny w tym domu wstawały o piątej, obrządzały drób i bydło, ale uciły z nim rozmówkę o współczesnej powieści polskiej. Dom był zelektryfikowany i rozumiano konieczność urządzenia prowizorycznej łazienki. Gdy się rozstawał, wytoczono z szopy auto, by go podwieźć, a rowerzystki wyje-

chały wcześniej, by go pożegnać na stacji. Uczęstowano go mnóstwem gadek, w których prawda, baśń i fantazja opowiadacza związały się i splotły tak mocno, iż wierzył we wszystko nieodparcie. Drzewa leśne, krzewy, potoki, węgiel i żelazo, zjawiska niebieskie i bydlęta brały w nich udział równy ludziom. I ta baśniowość przy nowoczesności, rozmachu, ruchu, energii!...

Słuchano z dumą. W przyległej sali chór śpiewał: „Obróć się, wianeczku..."

- Ano... ano... u nas jest już tak... Tacyśmy! - Jedni pobudowali płaskie dachy, a drudzy nie mogą się rozstać ze starą chałupą.

- Republika - rzekł Cierzpiała - prowadzi mądrą politykę gospodarczą. Niskie cła, duży eksport, wyższa stopa życia - przeciwko temu nie da się nic powiedzieć. Po tych osiągnięciach zabrano się do zatarcia różnic narodowościowych tego zlepka ludów. Robiono to od dawna, ale teraz w dobie nacjonalizmu każdy Czech uprawia politykę na swoją rękę, forsownie, jak człowiek zagrożony... Pijmy!...

„Dwa, trzy artykuły?..." myślał dziennikarz, słuchając. Był piekielnie zmęczony i dwa dni temu nie miał o niczym pojęcia. Nagle odkrył „lud za Olzą". Ale czytelnicy nie lubią takich wspomnień, tematy z łezką patriotyczną nie idą. Miał za sobą wielkie reportaże - książki o Ameryce, filmie i Indiach (w dobie głodówki i ruchawki). Nie należy psuć sobie marki. Dwa artykuły, jeden?...

Utkwił wzrok ponad głowami, przed siebie, jakby tam szukając rozstrzygnięcia, w jakimś niewiadomym punkcie. Wśród tonów muzycznej przygrywki szczupła postać kobieca szła mu na wprost przez salę. Wychodziła z tłumu. Chór, dotąd przyczajony, wybuchnął z siłą:

„Rozstań się, kalino, z ja-wo-rem...

Żegnaj!..."

Stanęła i zawahała się. Brunatne, prawie krągłe oczy spojrzały nań z powagą. Głosy śpiewaków uleciały jak wysokie ptaki:

„Żegnaj! mo-je ko-cha-nie..."

„Święta rzeka" Poli Gojawiczyńskiej ukazała się w roku 2001 w wydawnictwie Prószyński i S-ka. Do redakcji przesłał ją wnuk autorki, zamieszkały w Sztokholmie.

Iva Málkowa i Svatava Urbanowa stały na czele zespołu autorów, który przygotował „Słownik literacki północnych Moraw i Śląska (1945-2000)". Słownik powstał na Uniwersytecie Ostrawskim, a ukazał się nakładem wydawnictwa Votobia w Ołomuńcu i Zakładu Studiów Regionalnych Uniwersytetu Ostrawskiego w Ostrawie. Zawiera 284 haseł, ułożonych alfabetycznie, na temat autorów, wydawnictw i czasopism związanych z życiem literackim regionu po drugiej wojnie światowej. Po raz pierwszy w tak szerokim zakresie omawia także autorów polskiej mniejszości narodowej i autorów piszących gwarą, tłumaczy, publicystów, itd.

Wilhelm Przeczek był jednym z gospodarzy wernisażu wystawy „Paweł Hulka-Laskowski (1881-1946). Pisarz z żyrardowskim rodowodem", która miała miejsce w Bibliotece Miejskiej w Cieszynie od 30 października do 21 listopada. Zaolziański pisarz przedstawił sylwetkę Pawła Hulki-Laskowskiego, przeczytał też swój wiersz „Pochwała Szwejka". Fragmenty „Przygód dobrego wojaka Szwejka" Jaroslava Haška w tłumaczeniu Pawła Hulki-Laskowskiego zaprezentował Rudolf Moliński. Wystawa odbyła się w ramach obchodów ustanowionego przez Radę Miejską w Żyrardowie Roku Pawła Hulki-Laskowskiego, pisarza i tłumacza, rodaka z Żyrardowa, który jednak ostatnie lata swego życia spędził w Cieszynie i tu został pochowany, z okazji 120. rocznicy urodzin i 55. rocznicy śmierci. W roku 1938 ukazał się jego „Śląsk za Olzą", w roku 1946 „Księżyc nad Cieszynem", a w artykule „Najpiękniejszy kraik świata" napisał o Cieszyńskiem: *Ojczyzna mej duszy, ojczyzna z wyboru. Kraj, który ma radość w swej nazwie - cieszyński.*

Wiersz Wilhelma Przeczka „Pochwała Szwejka", poświęcony Pawłowi Hulce-Laskowskiemu, uzyskał nagrodę Grand Prix w Konkursie Poetyckim „Księżyc nad moim miastem", zorganizowanym przez Komitet Organizacyjny Obchodów Roku Pawła Hulki-Laskowskiego oraz Miejski Dom Kultury w Żyrardowie. Wiersz drukujemy w tym numerze Zwrotu.

Pismo literacko-artystyczne Tytuł (4/2000) wydrukowało materiały z VI Sesji Tłumaczy Literatury Krajów Nadbałtyckich w Gdańsku. Zaol-

ziańskim akcentem Sesji był wykład Bernda Karwena z Instytutu Polskiego w Lipsku, który mówił na temat: Wybrane problemy w tłumaczeniu „Kazinkowego grania" Wilhelma Przeczka.

Z listu wybitnego polskiego pisarza Tadeusza Konwickiego do Wilhelma Przeczka: ***„Bluszcz" przeczytałem od deski do deski, przeczytałem z przyjemnością, a nawet z rozkoszą. Panie Wilhelmie, okazuje się, że pogranicze polsko-czeskie, a właściwie śląsko-śląskie, też jest niezwykle płodne... Myślę nieśmiało, że ta forma prozatorskich wierszy, czyli poetyckich nowelek, jest Pana specjalnością. Humor, wdzięk, czarodziejskość pospolitości, ujmująca wyobraźnia autora to wszystko zjednuje mnie do Pana i do Pańskiej twórczości. Piszemy, bo, nie wiadomo dlaczego, musimy pisać. I chyba coś po nas pozostanie. Im prawdziwsze, tym trwalsze...***

Instytut Bohemistyki i Bibliotekoznawstwa Wydziału Filozoficzno-Przyrodniczego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie wydał w roku 2001 pod redakcją Libora Martinka publikację zawierającą materiały z międzynarodowej konferencji naukowej „Současné kontakty české a polské literatury - Współczesne kontakty czeskiej i polskiej literatury". Konferencja przebiegła 14 i 15 listopada 2000 roku. Z referatów, jakie znalazły się w publikacji, warto wymienić chociaż kilka, które dotyczyły również literatury na Zaolziu: Oldřich Šuleř (Ostrawa) „Kontakty czeskiej i polskiej literatury na obszarze pogranicza", Libor Martinek (Opawa) „Przenikanie literatury zaolziańskiej do świadomości czeskich czytelników po roku 1990", Zofia Tarajło-Lipowska (Wrocław) „Powieść Anny Zawadzkiej „Ku nowym dniom" jako powieść feministyczna", Wilhelm Przeczek (Bystrzyca nad Olzą) „Otokar Bartoš - popularyzator literatury i kultury polskiej mniejszości narodowej w Republice Czeskiej".

W listopadzie 2001 roku obchodził Uniwersytet Śląski w Opawie swoje dziesięciolecie. Rektor Uniwersytetu prof. Zdeněk Jirásek wręczył z tej okazji podczas uroczystości na Wydziale Handlu i Przedsiębiorczości w Karwinie medal pamiątkowy za zasługi w rozwoju Uniwersytetu Śląskiego m.in. mgr. Liborowi Martinkowi, pracownikowi naukowemu tej uczelni, który zajmuje się także literaturą polskiej mniejszości na Zaolziu i czesko-polskimi kontaktami literackimi oraz sam również pisze poezję i przekłada.

Trzy wiersze z tomiku krakowskiego poety Stanisława Franczaka „Dotyk miłości" w tłumaczeniu Libora Martinka i Wilhelma Przeczka

ukazały się w czasopiśmie o poezji współczesnej Psí víno (12/2000), które we Zlinie wydaje Jaroslav Kovanda ze swoimi przyjaciółmi.

„Co patří Večernici - Sekrety Gwiazdy Wieczornej" to lustrzany czesko-polski debiutancki tomik poezji Libora Martinka (wydawnictwo Literature & Sciences przy współpracy z Oficyną Wydawniczą „Ston 2" z Kielc), który ukazał się w Opawie w 2001 roku. Tłumaczenia wierszy na język polski dokonali Kazimierz Kaszper oraz Wilhelm Przeczek, Lucyna Przeczek-Waszkowa i Jan Pyszko, tomik zredagował Kazimierz Kaszper, zilustrował Vladivoj Jindřich, a posłowie napisał Milan Hrabal.

Macierz Ziemi Cieszyńskiej wydała w 2001 roku książkę Leona Miękiny „Znów minie wiek", która zawiera sylwetki pisarzy związanych ze Śląskiem Cieszyńskim chronologicznie od XVII wieku aż po dzień dzisiejszy. Na temat antologii pisze na łamach gazety Moravskoslezský deník (1.12.2001) Drahomír Šajtar m.in.: *Dla nas, którzy śledzimy raczej polską poezję powstającą na naszym Śląsku Cieszyńskim, jest to spotkanie płodne. Po raz pierwszy możemy czytać fragmenty poezji niejako klasyka poezji cieszyńskiej - Adama Sikory (1819-1871), opierającego się jednak, co charakterystyczne, na folklorze swej ziemi. Polska poezja na naszym Śląsku Cieszyńskim bardzo trudno wyzbywała się potem owego folklorystycznego upierzenia - jeszcze Władysław Młynek (1930-1997) czerpał z tego źródła aż do naszych dni. O ile więc chodzi o naszą polską literaturę po Sikorze, Paweł Kubisz i z nim kilku następnych (Adolf Fierla, Adam Wawrosz) usiłują o uwolnienie z tego kontekstu z większym lub mniejszym powodzeniem. Dopiero Henryk Jasiczek (1919-1976), a po nim mocne pokolenie rodzące się na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych tworzy poezję i prozę bez owego folklorystycznego balastu, choć nie bez powiązań z tradycją. Mam na myśli przede wszystkim wiodące zjawisko tego pokolenia poetę i prozaika Władysława Sikorę (1933) oraz niedocenionego dotychczas Wiesława Adama Bergera (1926-1998). Są tu i inni mniej wybitni - a jednak z niezrozumiałych względów jednego tu brakuje, Jana Pyszki. Ani u najmłodszych nie jest wybór Miękiny dość obszerny. Jest tu wielka, chyba spełniona już nadzieja - Renata Putzlacher, ale brakuje np. Jacka Sikory.* Autor artykułu podkreśla znaczenie wstępu do antologii oraz wskazówek bibliograficznych. Przeszkadza mu fakt, że *Miękina w ogóle nie zna czeskiej literatury o polskiej twórczości na Śląsku Cieszyńskim.*

opr. C.R.

POLSKA KSIĄŻKA NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (sprawozdanie z seminarium historycznego)

31 października ub. r. odbyło się w Bibliotece Regionalnej w Karwinie Mizerowie seminarium historyczne na temat „Książka polska na Śląsku Cieszyńskim". Dwa tygodnie wcześniej w ramach seminarium z historii obejrzeliśmy wystawę zorganizowaną przez Stanisława Zahradnika w bibliotece frysztackiej. Wystawa stanowiła jakby wprowadzenie do seminarium. Na planszach można było przeczytać najważniejsze informacje o sytuacji książki w poszczególnych wiekach, krótko opisano charakter wydawanych druków. Wystawa stanowiła bardzo dobrą podstawę samego seminarium, które później poszerzyło zdobyte już wiadomości.

Najpierw wysłuchaliśmy referatu Ewy Mrowiec z Książnicy Cieszyńskiej, która bardzo ciekawie opracowała temat „Druki zwarte do roku 1920". Bardzo długi wycinek czasu, ale bardzo zrozumiale i interesująco przedstawiono nam czasy najstarsze. Co było najważniejsze? W początkach wydawano tylko książki religijne - szczególnie modlitewniki; używano czcionki gotyckiej. Książki pisane były głównie przez księży oraz nauczycieli i co jest charakterystyczne - używano w nich gwary. Wspomniano nazwiska Leopolda Szersznika (założyciela pierwszej biblioteki w Cieszynie) oraz Stalmacha i Cinciały, którzy przynieśli dziesiątki tytułów, co stanowiło podstawę do później założonej Biblioteki Ludu Cieszyńskiego.

Drugim mówcą był historyk zaolziański Stanisław Zahradnik. Jak zawsze - bezkonkurencyjny. Wysłuchaliśmy słów kilka o „Drukach zwartych w okresie międzywojnia". Od roku 1920 do 1945 ograniczono wydawanie polskich książek do minimum. Alarmująca była czechizacja i germanizacja. Podręczniki tłumaczono z czeskiego albo były nadal pisane przez polskich nauczycieli z Zaolzia. Wydawano głównie książki naukowe i podręczniki. Ważną rolę edytorską odegrały drukarnie Prochazki i Sembola.

Jako ostatnia wystąpiła Helena Legowicz, kierownik polskiego oddziału Biblioteki Regionalnej. Temat: „Druki zwarte po roku 1945". Książka polska, można powiedzieć, jest w niezmiennej sytuacji aż do roku 1989. Po aksamitnej rewolucji zanika cenzura, śląscy autorzy mogą wydawać wszystkie swe dzieła. Problem jednak jest gdzie indziej - nie ma pieniędzy, brak również czytelników. Po 1945 roku książki wydaje SLA przy ZG PZKO, część polskiej edycji przejęło również Wydawnictwo Okręgowe, później Profil w Ostrawie. Dziś jest to np. Wydawnictwo Olza. Z książką polską spotkamy się na tradycyjnych kiermaszach. Teraźniejszość i przyszłość nie wygląda jednak zbyt różowo - rynek polski nie jest zainteresowany książkami zaolziańskimi, a Zaolziaków - czytelników ubywa.

Seminarium oraz wystawa bardzo mi się podobały. Zorientowałam się nieco w tym kierunku, rozważyłam i porównałam sytuację z książką polską w Polsce. Mogę powiedzieć, że na pewno polscy autorzy zawsze byli w lepszej sytuacji aniżeli zaolziańscy. Zdecydowanie nie chciałabym być współcześnie polsko-piszącym autorem na Zaolziu; perspektywa: Może zanik?

EWA FEICHTINGER
klasa III D, Polskie Gimnazjum Karwina

MIŁO POSZALEĆ... Z PANNĄ EWĄ

Książki Kornela Makuszyńskiego powstawały w okresie międzywojennym. Pisarz zszedł był z tego świata prawie pół wieku temu. Toteż ciekawym zapewne tematem wypracowania szkolnego młodej generacji przełomu tysiącleci mogłaby być ocena bohaterów książkowych pokolenia ich dziadków i porównanie ich z bohaterami najnowszych powieści dla młodzieży. Porównanie nie tylko postępowania tych bohaterów, ale sposobu myślenia, patrzenia na otaczający świat. Po drodze warto by zahaczyć o książki z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, autorów polskich, które, śmiem twierdzić, znało wtedy, a to przecież nie tak dawno, każde dziecko. Do tego jednak, by porównywać owe lektury, trzeba je przeczytać. I tu jest pies pogrzebany, i tu kończy się mój optymizm. Zakurzone półki biblioteczne i domowe księgozbiory powieści dla nastolatków, natomiast rozgrzane do białości ekrany telewizorów i monitory komputerów mówią same za siebie. Znienacka i błyskawicznie, na naszych oczach, a jednak jakoś niezauważalnie kultura słowa zamieniła się w kulturę obrazu, teksty w ruchome obrazki.

Przeraziło mnie to trochę, przyznaję, a uzmysłowiłam to sobie dokładnie, kiedy po obejrzeniu „Szaleństw panny Ewy" w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego (premiera 8 grudnia 2001) wróciłam myślą do poprzedniej adaptacji prozy Kornela Makuszyńskiego w tym teatrze, jaką był „Szatan z siódmej klasy" w 1994 roku. Wtedy z entuzjazmem relacjonowałam spostrzeżenia z przedstawienia, które miało być także zachętą do lektury, zwłaszcza że powiązane było z konkursem czytelniczym. Wydaje się, że było to tak niedawno. Czy to tylko moja naiwność, czy może naprawdę świat tak szybko się zmienia?

Makuszyńskiego pokazała Scena Polska także w roku 1980. Była to adaptacja „Awantury o Basię". Głównym atutem tamtego przedstawienia stał się wdzięk przedstawicielki głównej postaci, którą zagrała kilkuletnia dziewczynka. W „Szatanie z siódmej klasy" zaprezentowali się już sami dorośli, spektakl nużył nieco swym dydaktyzmem. Była to adaptacja sceniczna, która starała się być jak najbardziej wierna pierwowzorowi literackiemu.

Natomiast popuścił wodze fantazji autor adaptacji, jednocześnie reżyser i projektant współczesnych kostiumów do najnowszego spektaklu Sceny Polskiej według powieści Kornela Makuszyńskiego „Szaleństwa panny Ewy" Bogdan Kokotek. Pomogli mu w tym scenograf Alexander Babraj oraz muzyk Zbigniew Siwek, który ponadto razem z autorką tekstów Renatą Putzlacher stworzył kilka piosenek do spektaklu. Piosenek nowoczesnych śpiewanych przez współczesne dziewczyny.

Reżyser Bogdan Kokotek z racji swego wieku nie odszedł jeszcze tak daleko, by nie mógł utożsamić się ze swoimi bohaterami, którzy jednak dla niego nie stali się skostniałymi na stronach książki klasykami i zastygłymi w zwycięskich pozach pozytywnymi, godnymi naśladowania przykładami, lecz współczesnymi młodymi ludźmi, jakich zapewne wielu wokół nas. Robił więc przedstawienie o nich, chociaż nie tylko dla nich, opierając akcję sceniczną na fabule powieści. To, że jednak starał się dochować jakiejś wierności staremu Makuszyńskiemu, który trzymał go w pewnych ryzach, widoczne było najbardziej w dialogach, których język nieco trącił myszką i nie zawsze pasował do całości.

Tytułowa bohaterka to dziewczyna, która w pewnym momencie swego krótkiego jeszcze życia zdana jest przede wszystkim na własne siły. Zaradna, przedsiębiorcza, ale też wrażliwa, m.in. na problemy innych, tryskająca dobrocią, urodzona zapewne pod szczęśliwą gwiazdą, potrafi sobie poradzić ze wszystkim i ze wszystkimi i właściwie wszystko jej się udaje. Rozwikła każdą zagadkę, a nawet zmieni ludzi na lepsze.

Przez scenę przewinęło się podczas spektaklu wiele postaci, jednak Ewa w wykonaniu Patrycji Czerwiec zakasowała wszystkich. Udało jej się w stworzony przez autora powieści ideał, jak to zwykle u Makuszyńskiego, tchnąć życie i uwiarygodnić swoją bohaterkę. Jest wulkanem energii i temperamentu, do tego bardzo sympatycznym, i rozdaje tę swoją radość nie tylko osobom na scenie, ale starcza jej i dla widzów. Dla tej roli na pewno warto ten spektakl obejrzeć.

Bohaterowie Makuszyńskiego są mili i dobrzy. Historię panny Ewy napisał autor w roku 1940, co tym bardziej usprawiedliwia fakt, że potrzebny był mu optymizm i wiara w ludzi. Jednak wartości podkreślane przez niego są wartościami ponadczasowymi. Może także dlatego przedstawienie dobrze się ogląda i nie pozostawia uczucia niedosytu. Jest spektaklem rodzinnym na czas relaksu. A jeśli po powrocie do domu ktoś sięgnie po książkę, tę, na kanwie której powstał spektakl, lub inną, to na pewno zyska, nie straci.

CZESŁAWA RUDNIK

Z NASZYCH WYDAWNICTW W ROKU 2001

Krótki przegląd różnych wydawnictw lub okolicznościowych druków, które ukazały się w roku 2001 lub pod koniec roku 2000 w naszym regionie, Polsce lub Czechach. Chodzi o te pozycje, które w jakiś sposób związane są z naszym terenem, naszymi sprawami, po prostu wzbogacają naszą wiedzę o tej ziemi. Jest tego sporo, chociaż z pewnością nie udało mi się dotrzeć do wszystkiego.

PUBLIKACJE NAUKOWE I POPULARNONAUKOWE

FRANCISZEK BAŁON, **Opowiadania o naszym gotowaniu**, Czeski Cieszyn 2001, ss. 310.

KAROL DANIEL KADŁUBIEC, WŁADYSŁAW MILERSKI, **Cieszyńska ojczyzna polszczyzna**, Czeski Cieszyn - Cieszyn 2001, PROprint Czeski Cieszyn, ss. 224, 300 egz.

JAN KAJFOSZ, **Językowy obraz świata w etnokulturze Śląska Cieszyńskiego**, PROprint Czeski Cieszyn 2001, ss. 159.

MAREK KAZIMIERZ KAMIŃSKI, **Konflikt polsko-czeski 1918-1921**, Instytut Historii PAN, Wydawnictwo HERITON, Warszawa 2001, ss. 476.

KAROL KOTULA, bp, **Od Marzeń do ich spełnienia - Wspomnienia z lat 1884 -1951**, Augustana, Bielsko-Biała 1998 (ukazało się w roku 2001), ss. 255.

Książka - biblioteka - szkoła w kulturze Śląska Cieszyńskiego, Książnica Cieszyńska, Materiały z konferencji naukowej Cieszyn 4-5 listopada 1999, ZG Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Społeczny Komitet Budowy Pomnika ks. Leopolda Jana Szersznika, Cieszyn 2001, ss. 400.

ANTONI MACOSZEK, ks., **Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim**, reprint wydania z roku 1901, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001, ss. 136, 1000 numerowanych egzemplarzy.

MARIUSZ MAKOWSKI, **Zamki nad Piotrówką. Kończyce Małe i Zebrzydowice**, Zebrzydowice - Cieszyn 2000, ss. 56.

LEON MIĘKINA, **Znów minie wiek... Antologia literatury nadolziańskiej**, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001, ss. 488.

KATARZYNA MICHALSKA, **Małe formy architektury sakralnej Zaolzia. Krzyże. Kapliczki. Figury**, Wydawnictwo OLZA, Kongres Polaków w RC, Czeski Cieszyn 2001, ss. 68.

O polski Śląsk. Tadeusz Michejda (1895-1955). Władysław Michejda (1896-1943), pod red. Weroniki Nagengast, Muzeum Śląskie Katowice 2000, ss. 128.

Ordynacja ziemska cieszyńska. Zbiór praw i porządków ziemskich ksiąstwa cieszyńskiego. Zrzyzeni Zemske knizeczstwi tiessynskeho, Acta Historica Silesiae Superioris T. VIII, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Cieszynie, Cieszyn 2001, ss. 56.

Śląsk Cieszyński. Środowisko naturalne. Zarys dziejów. Zarys kultury materialnej i duchowej, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001, ss. 420.

KRZYSZTOF SZELONG, ANNA RUSNOK, **Duchowe źródła kultury cieszyńskiej. Katalog wystawy**, Książnica Cieszyńska, ZG Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001, ss. 165.

JAN SZYMIK, **Doroczne zwyczaje i obyczaje na Śląsku Cieszyńskim**, Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w RC, Czeski Cieszyn 2001, ss. 164.

Tu byliśmy, tu jesteśmy... Szkolnictwo polskie na Zaolziu w ostatniej dekadzie XX wieku, Towarzystwo Nauczycieli Polskich w Republice Czeskiej, Czeski Cieszyn 2000, ss. 128.

UTWORY LITERACKIE

KAZIMIERZ KASZPER (wybór i redakcja) **Z miłości do ziemi i ludzi, Mała antologia zaolziańskiej poezji ludowej, Kawiarenka Pod Pegazem**, Jabłonków 2001, ss. 38.

JERZY NIKODEM, **Prawdziwy sen. Kartki z życia poświęcone rodzinie i przyjaciołom**, Czeski Cieszyn 2000, ss. 79.

RENATA PUTZLACHER, **Pomiędzy (wiersze z lat 1995-2000)**, Katowice 2001, ss. 55.

Liryka kuflowa (antologia wierszy), Beerclub, Brać Kuflowa na Zaolziu, 2001, ss. 50 (nienumerowane).

PUBLIKACJE OKOLICZNOŚCIOWE

Biuletyn Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich w RC, nr 6 - 6/2001 i nr 8 - 10/2001, ss. 22 i 20.

Doroczne sprawozdanie z działalności Polskiej Szkoły Podstawowej w Czeskim Cieszynie 2000/2001, ss. 47.

95 lat zorganizowanego śpiewactwa chóralnego w Stonawie, Stonawa 17.11.2001, ss. 10.

Kalendarz Cieszyński 2002, Macierz Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 2001, ss. 316.

Kalendarz Śląski 2002, ZG PZKO, Czeski Cieszyn 2001, ss. 200.

Kongres Polaków w Republice Czeskiej, Czeski Cieszyn 2000, ss. 35.

80, 65 lat. Chór męski Hejnał-Echo Karwina Frysztat, Leć pieśni w dal..., ss. 20.

50 lat. Godulan 1950-2000, ss. 24.

Ruch Polityczny Coexistentia-Wspólnota w wyborach do przedstawicielstwa okręgu ostrawskiego 21.11.2000, Czeski Cieszyn marzec 2001, ss. 50.

70. Jubileuszowa Polska Szkoła Wydziałowa w Suchej Górnej (1930). Szkoła Podstawowa z Polskim Językiem Nauczania w Suchej Górnej (2000), ss. 16.

100 lat Domu Narodowego w Cieszynie, Komitet honorowy obchodów Jubileuszu 100-lecia Domu Narodowego, Cieszyn 2001, ss. 12.

150 lat działalności Sióstr Elżbietanek w Jabłonkowie 1851-2001, Konwent Sióstr Elżbietanek w Jabłonkowie, T-PRINT Trzyniec 2001, ss. 24.

TADEUSZ TOMAN, ALFRED KOŁORZ, **Organizacje Wyższej Użyteczności Publicznej. Koegzystencja**, Czeski Cieszyn 2001, ss. 35.

PUBLIKACJE W RÓŻNYCH JĘZYKACH

IRENA ADAMCZYK, VLASTA BYRTUSOVÁ, JANUSZ SPYRA, HENRYK WAWRECZKA, **Cieszyn wczoraj i dziś. Český Těšín včera a dnes,** WART Henryk Wawreczka 2001, ss. 95. (Widokówki, teksty w języku czeskim, polskim, niemieckim i angielskim.)

JAN BLUMENSCHEIN, LUBOMÍR KYSELA, KATEŘINA STENCHLÁ, **Tramvaje v Těšíně 1911-1921**, Sursum Brno 2000, ss. 36.

IRENA HAJZLEROVÁ, **Kapitolky z historie Petřvaldu**, Pietwałd 2001.

IRENA KORBELÁŘOVÁ, VÁCLAV PETER, HENRYK WAWRECZKA, RUDOLF ŽÁČEK, **Beskydy a pobeskydí 1895-1939**, Widokówki, teksty w języku czeskim, polskim (tłumaczył Kazimierz Jaworski), niemieckim (Karina Szücs), i angielskim (EuroLingua), WART Henryk Wawreczka 2001, ss. 208.

LUBOMÍR KUBÍK, **Těšínský konflikt. Dramatické okamžiky česko-polských vztahů**, Votobia Ołomuniec 2001, ss. 133.

IVA MÁLKOVÁ, SVATAVA URBANOVÁ a kol., **Literární slovník Severní Moravy a Slezska (1945-2000)**, Ústav pro regionální studia Ostravské univerzity, Votobia Ołomuniec 2001, ss. 367.

JAROMÍR POLÁŠEK, **Dřevěné kostely a kaple Moravy a Slezska**, AGAVE, Czeski Cieszyn, 2001, ss. 384.

WILHELM PRZECZEK, **Stoletý kalendář - Stuletni kalendarz**, tłumaczył Karel Vůjtek, ilustracje Jiří Neuwirt, Offsetdruk Cieszyn 2001, ss. 24.

SIKORA WŁADYSŁAW, **Hustý život býval - Gęste było życie**, Trójkąt Bermudzki, Czeski Cieszyn, Trzyniec 2001, ss. 60.

TADEUSZ SIWEK, STANISŁAW ZAHRADNIK, JÓZEF SZYMECZEK, **Polská národní menšina v Československu 1945-1954**, Studijní materiály Ústavu pro soudobé dějiny AV ČR, Praga 2000, ss. 114.

Současné kontakty české a polské literatury - Współczesne kontakty czeskiej i polskiej literatury, pod red. Libora Martinka, Slezská univerzita v Opavě, Filozoficko-přírodovědecká fakulta, Ústav bohemistiky a knihovnictví, Opawa 2001, ss. 115.

JANUSZ SPYRA a MARCIN WODZIŃSKI (ediční příprava), **Židé ve Slezsku. Studie k dějinám Židů ve Slezsku**, Muzeum Těšínska, Czeski Cieszyn 2001, ss. 215.

ADAM SZOP, **Foto Beski(y)dy 2001**, Euroregionalne fotograficzne działania artystyczne, Euroregionální fotografické umělecké aktivity, Cieszyńskie Towarzystwo Fotograficzne, Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne, katalog wystawy poplenerowej, Akanta 2001, ss. 8.

JAROSLAV ŠTIKA, IVO STOLAŘÍK, **Těšínsko. 3. díl. Rodina a obec. Obyčeje. Lidové léčitelství**, Muzeum Těšínska, Valašské muzeum v přírodě, Nakladatelství Tilia Šenov u Ostravy 2001, ss. 240.

JAROSLAV VALENTA, **Dějiny Zaolzí ve 20. století: skutečnosti versus legendy**, Slovanský přehled 1/2001, ss. 27-42.

TJ TŽ Třinec. Atletický oddíl. 50 let, Trzyniec 17.11.2000, ss. 71.

40 let. Základní škola Jablunkovská 1961-2001, Trzyniec 2001, ss. 37.

KAZIMIERZ JAWORSKI

O „DZIADACH" W PRZEKROJU

W 47 numerze pisma Przekrój z 25 listopada Łukasz Drewniak w imieniu recenzentów „Kostki" podsumowuje wystawione w czeskocieszyńskiej Scenie Polskiej „Dziady".

My, recenzenci „Kostki", nie rozdajemy pochwał na prawo i lewo, byle komu, ot tak - z dobrego serca. I jeśli teraz ściskamy mocno w garści trzy oczka dla Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie, nie czynimy tak tylko dlatego, że teatr właśnie obchodzi jubileusz 50-lecia istnienia. Na Przekrojowe „oczka", nawet na jedno, trzeba sobie zasłużyć. Skoro mamy już oczka, popatrzmy, za co je daliśmy.

1. Oczko pierwsze jest za to, że teatr polonijny wystawił „Dziady". Przypomnijmy - w stulecie prapremiery utworu nie udało się to żadnej scenie w Krakowie, a przecież w Cieszynie trudniej niż u nas skompletować przyzwoitą obsadę i znaleźć widzów na tego typu spektakl.

2. Oczko drugie - za scenografię i interpretację tekstu. Na scenie stoją wagony kolejowe, w których zesłańcy jadą na Sybir. To misteryjne mansjony, gdzie bohaterowie odegrają sceny z Mickiewicza. Reżyser przenosi akcent na wspólnotę, a nie na samotniczy bunt Konrada. Pokazuje wewnętrzne polskie piekiełko, sceny z życia każdej emigracji, rozliczanie się z win i czynów przez ludzi dotkniętych nieszczęściem. Cieszyńskie „Dziady" opowiadają bardziej o polskim odbiorze arcydramatu niż o jego rzeczywistej ideowej zawartości.

3. Oczko trzecie należy się za ładne i wyraźne podawanie tekstu przez aktorów. Podobało mi się, że Konrada kuszą dwa anioło-diabły Patrycji Czerwiec i Róży Miczko. Bardzo konsekwentną postać stworzył Ryszard Malinowski. Jego bohater mówi role Guślarza, księdza Piotra i Księdza z IV części „Dziadów". Przydałby się taki lider w paru teatrach w Polsce.

WZORCOWE WSPÓŁŻYCIE MNIEJSZOŚCI Z WIĘKSZOŚCIĄ

Należący przez wieki do Królestwa Danii Szlezwik w drugiej połowie XIX wieku znalazł się w granicach Prus. W 1920 roku przebiegł tam plebiscyt, w wyniku którego Szlezwik podzielono, część północna znalazła się w Danii, południowa w Niemczech. W ten sposób w obydwu krajach powstały mniejszości narodowe: w Danii niemiecka, w Niemczech duńska. W roku 1955 obydwa

państwa podpisały tzw. układ bońsko-kopenhaski, który zapewniał prawa mniejszościom narodowym po obydwu stronach granicy.

Dania zażądała od Niemiec także prawnej ochrony kultury i oświaty swej mniejszości, toteż od tej pory mają Duńczycy w Niemczech nie tylko swoje szkoły, ale także swoją trzyosobową reprezentację w parlamencie kraju Szlezwik-Holsztyn oraz corocznie około 80 mln marek. 100 mln marek dostają co roku z Danii. Owa reprezentacja parlamentarna to przedstawiciele duńskiej partii mniejszościowej, która jednoczy wszystkie organizacje i stowarzyszenia. Mniejszość licząca około 50 tys. osób wydaje dwujęzyczny dziennik, posiada 49 szkół, 50 przedszkoli oraz gimnazjum we Flensburgu, jakby stolicy duńskiej mniejszości w Niemczech, gdzie mieści się też Europejskie Centrum ds. Mniejszości Narodowych.

Od kilku lat nie ma już właściwie granicy między Szlezwikiem Północnym i Południowym. Zniknęły szlabany, zmieniła się też świadomość mieszkańców tego regionu. Nie ma konfliktów na tle narodowościowym, a współżycie większości i mniejszości może być wzorem dla innych państw.

ROK POLSKI W HISZPANII

Rok 2001 ogłosił rząd hiszpański Rokiem Polski w Hiszpanii. Jedną z imprez tego Roku było Drugie Światowe Polonijne Spotkanie Intelektualistów, Ludzi Kultury i Sztuki, zorganizowane przez Instytut Badań nad Kulturą Polską wraz z Zakładem Biografistyki Polonijnej w Paryżu, Stowarzyszeniem Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie i Polskim Instytutem Naukowym w Opolu, które odbyło się w Barcelonie od 19 do 23 października. Spotkania takie mają na celu prezentację osiągnięć polskiej nauki i kultury, a także stworzenie nowej wspólnoty polskiej w świecie. Pierwsze miało miejsce w roku 2000 w Cannes.

POMNIK PADEREWSKIEGO W MEKSYKU

15 listopada 2001 roku, dzięki poparciu Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Meksyku, odsłonięty został w mieście Meksyk pomnik Ignacego Jana Paderewskiego. Rzeźba ma około trzech metrów wysokości, stanęła na skwerze u zbiegu alei Paseo de la Reforma i Explanada w dzielnicy Lomas de Chapultepec, gdzie mieszczą się siedziby różnych ambasad. Popiersie Paderewskiego ufundował w 1944 roku pułkownik Jan Skoryna, wykonał je hiszpański rzeźbiarz Miguel Baquidan Camps, od roku 1947 przechowywał je delegat Koła Byłych Żołnierzy AK i Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Meksyku Jerzy Skoryna.

WSPÓLNA GAZETA POLAKÓW Z LITWY, ŁOTWY I ESTONII

Nasza Gazeta to ukazujący się od roku 1989 tygodnik Związku Polaków na Litwie. Dzięki ożywionym kontaktom z Polakami z innych krajów nadbałtyckich, jak również dzięki życzliwemu poparciu ze strony Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie oraz Związku Dziennikarzy na Wschodzie zaczęła wraz z Naszą Polonią, pismem Polaków w Estonii, i Łatgalią, niezależnym polskim czasopismem na Łotwie, wydawanie wspólnego pisma pod nazwą Nasz Czas. Tygodnik, którego głównym zadaniem jest promowanie szeroko pojętej kultury polskiej, kolportowany ma być w tych trzech krajach, gdzie pomagać będzie także w nawiązywaniu lepszych kontaktów i wzajemnemu poznawaniu się rodaków. Pismo ma swój adres internetowy: n.g@mail.lt, cena prenumeraty miesięcznej wynosi 4 Lt (1 dolar USA).

WYSTAWA POPLENEROWA MISJA POLONIJNA - GRODNO 2001

W lipcu odbył się na Białorusi plener artystyczny nazwany Misja Polonijna - Grodno 2001, w którym wziął udział także zaolziański plastyk Bronisław Firla (swoje refleksje przedstawił w październikowym numerze Zwrotu). Na przełomie października i listopada otwarto pierwszą wystawę poplenerową - w Sankt Petersburgu. Następnie wystawa pojechała do Ałma-Aty, stamtąd do Pskowa, na początku nowego roku do Gatczyna koło Petersburga, by potem wrócić na Białoruś do Brześcia. Głównym organizatorem było Biuro Współpracy Kulturalnej i Artystycznej z Polonią Świata ADSUM w Bielsku-Białej, którego dyrektorem jest Beata Maria Godek. Prace plastyczne tej artystki mogli podziwiać mieszkańcy Zaolzia podczas jej wystawy indywidualnej, która odbyła się w grudniu w Trzyńcu.

Z OLSZTYNA DO CZESKICH BUDZIEJOWIC PO MEDAL

Profesor Janusz Guziur z Wydziału Ochrony Środowiska i Rybactwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, prezes liczącego 85 członków Warmińsko-Mazurskiego Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie i stały współpracownik Zwrotu, był jednym z gości zaproszonych na uroczystości dziesięciolecia Południowoczeskiego Uniwersytetu w Czeskich Budziejowicach. Uniwersytet powstał przez połączenie dwóch wydziałów byłej Wyższej Szkoły Rolniczej w Pradze, Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz reaktywowanego Wydziału Teologicznego. Prof. Janusz Guziur był jednym z trzech Polaków, którzy uhonorowani zostali Medalem 10-lecia Uniwersytetu.

PIEŚNIĄ DO NASZYCH SERC
PRZEGLĄD PIEŚNI CHÓRALNEJ W SUCHEJ GÓRNEJ

Miejscowe Koło PZKO w Suchej Górnej i chór mieszany Sucha zaprosili sympatyków śpiewu chóralnego na Przegląd Pieśni Chóralnej „Pieśnią do naszych serc". Koncert odbył się 24 listopada w Domu Kultury Aplaus w Suchej Górnej.

Hymnem „Gaude Mater" w wykonaniu połączonych chórów: męskiego Harfa z Bielska-Białej oraz mieszanych Lira z Darkowa, Lutnia z Lutyni Dolnej i Sucha pod wspólną batutą prof. Urszuli Pępkowskiej rozpoczęto koncert, wprowadzając słuchaczy w nastrój zadumy i powagi.

Na początek przedstawiła się suska młodzież. Najmłodsze pokolenie śpiewaków reprezentowało trzynaście dziewcząt z chóru szkolnego Przygoda, działającego w Polskiej Szkole Podstawowej w Suchej Górnej. Chórzystki prowadzone przez dyrygentkę Mariolę Zwyrtek zaśpiewały cztery piosenki.

Następnie wystąpił chór mieszany Lira z Karwiny Darkowa. Na fortepianie akompaniowała Anna Jursa, śpiew solowy wykonała Krystyna Burek. Jak stwierdziła dyrygent chóru Beata Pilśniak-Hojka, zapowiadając zespół, cztery pieśni w wykonaniu Liry odzwierciedlić miały to, co widać było za oknem, przemiany jesiennej przyrody i związane z nią nastroje ludzi.

Gościem z Polski był utrzymujący ze śpiewakami z Suchej Górnej przyjacielskie kontakty chór męski Harfa z Bielska-Białej z dyrygentką Urszulą Pępkowską, który dał na początek koncert pieśni sakralnych, by przejść następnie do repertuaru lżejszego i zaśpiewać wiązankę pieśni góralskich.

Po raz pierwszy w Suchej Górnej gościł chór mieszany Lutnia z Lutyni Dolnej, toteż dwie pieśni, „Hlas domova" i „Modlitwę o pokój", zadedykował organizatorom. Lutnia zaśpiewała przede wszystkim pieśni o charakterze patriotycznym, wystąpiła pod batutą Władysława Ruska, jedynie „Pieśń o Wiśle" dyrygowała Wanda Kondziołka, a Władysław Rusek akompaniował na fortepianie.

Jako ostatni zaprezentował się gospodarz programu - chór mieszany Sucha z dyrygentką Anną Kiszką i młodym akompaniatorem Markiem Przywarą. Chór kontynuuje tradycje śpiewu chóralnego w Suchej Górnej, gdzie pierwszy chór mieszany Macierzy Szkolnej powstał w 1913 roku. W osiemdziesiątą rocznicę zorganizowanego śpiewactwa postanowił zaprosić inne chóry na spotkanie nazwane „Pieśnią do naszych serc". Podczas tegorocznego Przeglądu Pieśni Chóralnej w Suchej Górnej zaprezentował różnorodny repertuar, od pieśni na cześć górników przez „Gronie, nasze gronie", „Bude večer", „Kurdesz" i inne do „Kołysanki", zabrzmiały pieśni, które chór śpiewał niedawno podczas swych występów w Poznaniu i Koninie.

Wśród słuchaczy nie zabrakło przedstawicieli szkoły, Macierzy Szkolnej, koncert zaszczycił swą obecnością konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Marian Ozimek wraz z małżonką, Zarząd Główny PZKO reprezentował Jan Zyder. Spotkanie z pieśnią w tytule zakończyła biesiada z chórzystami z Bielska-Białej w Domu PZKO w Suchej Górnej.

C.R.

O JUBILEUSZOWYM KONCERCIE COLLEGIUM CANTICORUM TROCHĘ FAKTÓW I REFLEKSJI

24 listopada ub. r. teatr w Czeskim Cieszynie zabrzmiał dostojną, szlachetną muzyką chóralną, bogatą w różnorodność stylów, technik, faktur i tworzoną przez kilka odmiennych wiekowo grup śpiewaczych.

W pierwszej części koncertu wystąpiły dwa chóry bystrzyckiej szkoły podstawowej: Crescendo oraz Wiolinki, oba prowadzone przez Danutę Cymerys, nauczycielkę tejże szkoły, ale równocześnie członkinię Collegium Canticorum. Młodociani śpiewacy są więc pod fachową opieką i niejednokrotnie mają szansę skorzystania z merytorycznych uwag dyrygentek - Haliny Goniewicz-Urbaś i Jolanty Malinki.

Śpiewające dzieci są zawsze wdzięczną atrakcją, ujmując prostotą i szczerością. Ich spontaniczność nie powinna być ograniczana, co nie znaczy jednak, iż nie wymaga dyskretnej kontroli i modelowania we właściwym kierunku. Rola dyrygenta, bogata w inspiracje i twórcze bodźce kreujące działanie młodych śpiewaków, okazuje się tu nader istotna. Wkomponowanie występu zespołów dziecięcych do programu było wartościowym przykładem budowania śpiewaczej przyszłości.

Crescendo zaśpiewało sześć piosenek, m.in. „Alfabet" W. A. Mozarta oraz „Prząśniczkę" St. Moniuszki. Odniosłam jednak wrażenie, że zespół pewniej czuł się w piosenkach ludowych, co też potwierdziło dziewczęce solo „Szumi dolina", intonowane głosem czystym i wyrównanym. Młodsze Wiolinki wykonały dwie piosenki, dobrane adekwatnie do ich możliwości. Były to „Słoneczko późno dzisiaj wstało" i kanon „Maketume". Wprowadzono tu bardzo prosty ruch sceniczny oraz elementy gestodźwięków, co trafnie podkreśliło żywiołowość utworów. Oba zespoły dziecięce śpiewały muzykalnie, z poprawną intonacją i naturalną artykulacją, unikając jakiejkolwiek maniery czy przesady.

W inny świat dźwięków przeniósł nas zespół kameralny Absolwent ze Skoczowa. Tę szesnastoosobową grupę byłych absolwentów Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie skompletowała Halina Goniewicz, wykładowca tejże uczelni. Wnikliwie dobrała głosy odpowiadające sobie barwą, konsonansowe kolorystycznie, tworząc dojrzały, jednolity w brzmieniu wolum. Spotykają się raz w tygodniu w Skoczowie. I okazuje się, że ważniejsza od ilości godzin prześpiewanych razem jest wspólna koncepcja estetyczna, a także jednakowe wyobrażenie o zasadach muzykowania zespołowego. Absolwent reprezentuje solidny warsztat wokalny, osiągając pożądaną stopliwość i jednorodność brzmienia. Uskrzydleni in-

spirującą osobowością swego dyrygenta śpiewają lekko, swobodnie i z fantazją. Objawił się tu fenomen chóru, magnetyczny wręcz fluid, rozpięty między dyrygentem a śpiewakami, fascynujący słuchaczy od początkowego taktu po wybrzmienie ostatniego akordu. W swym występie zespół zaprezentował m.in. pełen dynamizmu utwór K. Jasińskiego „Cantus finalis", podporządkowując się bezbłędnie jego świetnej dyscyplinie rytmicznej. Z dużą pewnością, werwą, wręcz zadziornością zaśpiewał „Rum, dum, dum" D. Suplevskiego. Ale przede wszystkim ujął wykonaniem „Cantus gloriosus" Józefa Świdra. Dzieło bliskiego nam kompozytora zabrzmiało w całym majestacie wielkości swojej konstrukcji. Idealna plastyczna faktura utworu, pulsująca, nabrzmiewająca, wypełniona została autentycznymi emocjami, oddana też porywająco, z wielkim napięciem. Urzekła szlachetność głosów - liryczne soprany brane z lekkością, ciepłe, miękkie brzmienie basów.

Część drugą koncertu otworzył zbiorowy śpiew chórów Absolwent i głównego bohatera wieczoru Collegium Canticorum. Całością dyrygowała Halina Goniewicz-Urbaś. Wspólnie zaprezentowano „Certi" K. Suchonia oraz „Rondo" J. Świdra. Obie te kompozycje wymagają dużej dojrzałości warsztatu technicznego, sprawności i ruchliwości głosów, wysokiej koncentracji, a także rozumienia idei tekstowo-muzycznych, budujących owe dzieła. Wartkie w swej żywej rytmice wręcz żądają utrzymania konsekwentnej, stałej pulsacji, plastycznej artykulacji, by nawet w dynamice szeptu wybrzmiały czytelnie efekty fonetyczne, wykorzystywane głównie w „Rondzie". Zwłaszcza interpretacja utworu J. Świdra w tak pokaźnej, kilkudziesiętnej masie śpiewaczej zadziwiła wysoką dyscypliną muzyczną, rozmachem i strzelistością dźwięku pełnego powietrza, ale równocześnie urzekła finezją i dowcipem śpiewaków inteligentnych, obdarzonych poczuciem humoru.

Po brawurowym popisie obu zespołów, docenionym zresztą gromkim aplauzem słuchaczy, pozostałą część koncertu wypełnił już śpiew chóru-jubilata, celebrującego owego wieczoru 15-lecie swego istnienia. Collegium Canticorum powstało w 1986 roku z inicjatywy Leszka Kaliny. Pamiętam ich pierwszy publiczny występ, dyplomowy koncert L. Kaliny na Ostrawskim Uniwersytecie. Słuchając tej pełnej młodzieńczego zapału grupki studentów, aż przyklasnęłam z nadzieją, że oto zaistniała na Zaolziu realna szansa powstania solidnego, wysokiej rangi muzycznej zespołu. I tak się też stało. Młode Canticorum pod czujnym okiem i pewną ręką muzykalnego i niezmiernie pracowitego dyrygenta L. Kaliny wkrótce przekonało, iż prezentuje wysoki poziom śpiewaczy. Poszerzono repertuar o pozycje światowej literatury chóralnej, częstokroć koncentru-

jąc się na wykonawstwie muzyki sakralnej. Bardzo szybko też Canticorum utrwaliło się w świadomości naszego społeczeństwa jako chór wysokiej miary, zdyscyplinowany, satysfakcjonujący pełnym wyrównanym brzmieniem i precyzją intonacyjną. Jego wysoki poziom muzyczny niejednokrotnie potwierdzały czołowe oceny uzyskiwane w rozlicznych konkursach zarówno krajowych jak i zagranicznych. Po 12 latach w styczniu 1999 roku opiekę artystyczną nad zespołem przejęła Halina Goniewicz-Urbaś, której asystuje, jako pierwszy dyrygent, Jolanta Malinka.

Jak jawi się obecne Canticorum, jak kształtuje się jego teraźniejsza wizja artystyczna, na ile zaistniałe zmiany wpłynęły na rozwój i doskonalenie jego muzycznego tworu... oto pytania, które nie pozostają obojętne dla wielu zainteresowanych losami tegoż chóru. Wybudowanie dobrego zespołu artystycznego, z własną estetyką i wyobrażeniami twórczymi, trwa dobrych parę lat. Tymczasem H. Goniewicz-Urbaś prowadzi zespół dopiero trzeci rok, za wcześnie więc na jakiekolwiek podsumowania. Poza tym dokonywanie komparatystycznych ocen nie jest ani zamiarem, ani celem moich tutaj wypowiedzi. Niemniej jednak odnoszę nieodparte wrażenie, że dzisiejsze Canticorum, to nie tylko zespół ludzi zafascynowanych śpiewem chóralnym, jego magią i siłą ponadczasową - to zwarte grono śpiewacze, które w swej kilkunastoletniej ewolucji wspólnego muzykowania osiąga stan symbiozy, tak zawsze oczekiwanej we wspólnym kreowaniu, układu śpiewak - dyrygent - twórca muzyki i tworzywa literackiego.

Nie można w tym momencie nie podkreślić roli, jaką spełnia dyrygent, główny nosiciel idei artystycznych każdego zespołu. I powtórzę tu za słynnym muzykiem Sergiuszem Rachmaninowem, że: sztuka dyrygencka to indywidualny talent, którego nie można sobie przyswoić. Dobry dyrygent musi być niezwykle opanowany, musi umieć zachować spokój. Ale ten spokój wcale nie oznacza obojętności. Właśnie owa intensywność emocji muzycznej jest warunkiem niezbędnym. Sukces i żywotność interpretacji zależy głównie od siły i wyrazistości wyobrażenia wykonawcy o danym utworze.

Wydaje się, że H. Goniewicz, dominujący dyrygent Canticorum, jest uosobieniem wyobrażenia dobrego przewodnika chóru. Utalentowana muzycznie, obdarzona temperamentem nieomalże nieokrzesanym, ale pełna wrażliwości i ciepła, jest artystką, która muzykę interpretuje w sposób nieszablonowy. Wprowadza przy poszczególnych wykonaniach wiele nowych, ciekawych niuansów, osiągając takie brzmienie, jakie w danej chwili zamierzyła. Indywidualność jej uwydatnia się z całą siłą; ona kształtuje barwę, kreuje formę, nadaje każdemu utworowi tę niezrów-

noważoną temperaturę, tę osobliwą intensywność ekspresyjnego promieniowania. Równocześnie odczuwa się jej wysoką sprawność manualną. Każdy ruch jej palca, dłoni, nawet zejście rąk do „parteru" jest gestem świadomym i – co należy podkreślić – wysoce funkcjonalnym. Swoboda jej ruchów, która niektórym może wydawać się przesadna, jest celowym i przemyślanym aktem, zmierzającym do odreagowania i pełnego otworzenia się śpiewaków, wydobycia ich czasem ukrytych, nieśmiałych emocji, zyskania ich pełnej aprobaty i wiary w sens wspólnego tworzenia śpiewu. Z całą pewnością owo osobliwe porozumienie powstało między H. Goniewicz, a Absolwentem, o czym zresztą mowa w początkowej części artykułu. I śmiało można rzec, że również w przypadku zespołu Canticorum ów kontakt i wzajemna praca w kierunku „przestawienia" zespołu na pewnego rodzaju romantyczną spontaniczność interpretacji muzycznych są coraz bardziej dostrzegalne i efektywne.

Jubileuszowy występ Canticorum ocenić należy bardzo wysoko. Zespół potwierdził swą pełną kondycję wykonawczą: doskonałe zestrojenie głosów, zgodność emisji i barwy, dzięki czemu brzmiał jak jakiś szlachetny instrument, precyzyjny, czujny i posłuszny sugestii dyrygenta. Zaprezentował 9 kompozycji chóralnych, w tym 3 opusy sakralne, 2 dzieła St. Wiechowicza, „Trzy pieśni kurpiowskie" R. Twardowskiego, „Wieniki" F. Rubcowa oraz 2 utwory z gatunku negro spirituals. I to, co usłyszeliśmy, to w większości były wysokiego polotu interpretacje, porywające i wzruszające. Trudno omówić tu wszystkie propozycje muzyczne, ale nie można zapomnieć głębokich odcieni wyrazowych pieśni religijnych; przepięknych, przelewających się fraz „Ave Maria" J. Arcadeltiego czy pełnego uduchowienia „Tristis est anima mea" A. Tučapskiego, utrzymanego w skupionym ściszeniu. Nie można nie docenić prawie że ekspansywnego wykonawstwa „Pragną ocki" St. Wiechowicza, które zachowało niesamowitą jędrność rytmiczną, doskonałą precyzję dykcji i plastyczność artykulacji. Zadziwiła wręcz punktualistyczna pewność sopranowych intonacji. Warto przypomnieć nastrojowe „Pieśni kurpiowskie" R. Twardowskiego, w których zestawiono część I, prowadzoną przyciemnioną barwą głosów męskich, by ożywić, jakby rozjaśnić jej część środkową, dominowaną już głosami żeńskimi, i zakończyć ten tryptyk sekwencją delikatnie narastającej żarliwości, wygasającej w zupełnym pianie.

Jubileuszowy koncert Collegium Canticorum był niewątpliwie dużym wydarzeniem programowym i koncepcyjnym i z pewnością udowodnił, że zespół ten zdolny jest objąć swym zasięgiem najpiękniejsze obszary muzyki chóralnej.

KRYSTYNA SUSZKA

PIĘTNASTOLECIE CHÓRU MIESZANEGO ZGODA

JUBILEUSZ BEZ POMPY

Chór Mieszany Zgoda z Trzyńca z kwartalnym wyprzedzeniem świętował 17 listopada 2001 roku w Domu PZKO im. Pawła Oszeldy w Nieborach swój piętnastoletni jubileusz śpiewaczy.

W marcu 1987 roku spotkała się kilkuosobowa grupka ludzi dzielnych, rozmiłowanych w działalności kulturalnej, którzy w trudnej sytuacji nie tylko nie załamują się, lecz nawet potrafią nieść radość i piękno innym. Byli to prezesi MK PZKO: Końska Podlesie - Józef Kubisz, Niebory - Stanisław Sikora i Kanada - Rudolf Strokosz i Władysław Recmanik, którzy namawiali chętnie i czysto śpiewających krewnych i znajomych do wspólnego śpiewania. Początkowo w składzie kilkunastoosobowym na pierwszych próbach w byłym DK w Końskiej Podlesiu zabrzmiały znane wszystkim pieśni bliskie i swojskie: „Płyniesz Olzo", „Ojcowski dom", „Przyjaźń o bracia", „Doliny, doliny", „Zaszumiały nasze piękne Beskidy", „Pieśni cieszyńskie". Cztery lata sumiennie i wzorowo pełnił funkcję prezesa Zgody nieodżałowany śp. Karol Kowalczyk, po jego zgonie funkcję objął Roman Szczuka. W ciągu piętnastu lat Chór Mieszany Zgoda pożegnał aż ośmiu swych chórzystów, którzy zmarli przedwcześnie. Liczba śpiewaków malała i znowu nieco wzrastała. Obecnie chór liczy około 30 członków.

Od dziesięciu lat próby odbywają się nadal raz w tygodniu w środy w PSP w Końskiej Podlesiu. Za tę możliwość jesteśmy niezmiernie wdzięczni dyrekcji szkoły. Jeśli chodzi o repertuar, to jest on bardzo różnorodny: pieśni ludowe, patriotyczne, towarzyskie, artystyczne, sakralne..., w większej mierze a cappella, tylko czasem z akompaniamentem akordeonu Czesława Pomykacza. Zgoda zaliczyła 791 prób, 141 występów i korzystała ze 152 partytur. Piętnastoletnia działalność chóru została utrwalona w dwu Kronikach, sumiennie i estetycznie prowadzonych przez nieżyjących już prezesów Karola Kowalczyka i Józefa Kubisza, a obecnie skrupulatnie notującą Helenę Janeczkową.

W sobotnie słoneczne popołudnie 17 listopada 2001 roku w pięknie udekorowanej sali Domu PZKO w Nieborach - po brzegi wypełnionej publicznością - Akademię Jubileuszową rozpoczęto hymnem „Gaude Mater Polonia", po czym pięknym słowem wiążącym całość przeplatała Michaela Raszka. W pierwszej części występu chór-jubilat zaprezentował utwory przygotowywane w początkowych latach swej działalności. Były to pieśni ludowe: „Beskidzie, Beskidzie", „Kukułeczka kuka", „Kasia w sieni", „Owieczki chodzą", „Polskie kwiaty". Następnie na scenę wyszły uśmiechnięte Zgodziki (zespolik śpiewaczy PSP Końska Podlesie siódmy rok działający również pod kierunkiem Ireny Małysz), które wykonały zabawne pio-

senki „Jak rozmawiać trzeba z psem" oraz „Roześmiana piosenka", a spośród nich czworo solistów, między nimi Jola Gut, uczestniczka VIII Śląskiego Śpiewania w Radzionkowie, zaprezentowało takie piosenki ludowe jak: „W sadzie, w zogrodzie", „Na dolinie wołki pasła", „Pyrsi, pyrsi rosiczka", „Kiej nade wsią gęsi pasła", „Zielony mosteczek", „Kiedy jo szeł przez ten lasek borowy". Pierwszą połowę programu zakończył swym góralskim humorem znany gawędziarz Tadeusz „Filip" Filipczyk.

W drugiej części Akademii wystąpił zaprzyjaźniony Chór Mieszany Godulan-Ropica prowadzony przez Henryka Kotasa z akompaniamentem klawiszowym Marii Cienciały, który zadedykował Zgodzie różnorodny, ciekawy, wesoły i poważny repertuar przeplatany piękną poezją. Po gorących i serdecznych życzeniach z kwiatami na scenie pojawił się chór-jubilat pod batutą, niezmiennie od lat piętnastu, Ireny Małysz, która w lipcu 2001 roku ukończyła pięcioletnie Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych w Koszalinie, zorganizowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Centrum Animacji Kultury i Stowarzyszenie Wspólnota Polska, i otrzymała dyplom. Kolejne wykonania pieśni zapowiadała z wdziękiem niestrudzona konferansjerka Michaela Raszka, łącząc umiejętnie pieśni komentarzem, niepozbawionym elementów emocjonalnych i filozoficznej refleksji. Wszystko to prowadziło do osiągnięcia szczególnego nastroju, bez którego odbiór byłby niepełny. Zabrzmiały więc pieśni: „Abba Ojcze", „Modlitwa o pokój", „Psalm 23" Mikołaja Gomółki, „La Paloma", „Służyłem ja tobie" i „Żyjmy w zgodzie" - chór ze śpiewogry „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale". A że pieśni zostały dobrane starannie, a chórzyści wykonali je z ogromnym zaangażowaniem, nic tedy dziwnego, że zostali również nagrodzeni burzliwymi oklaskami. Znowu serdeczne życzenia kolejnych udanych koncertów, długich jeszcze lat w krzewieniu polskich pieśni, trwaniu w umiłowaniu piękna i niesienia piękna przypieczętowane zostały pełnymi wdzięku i uroku kolejnymi bukietami kwiatów. Po tradycyjnym „Sto lat" od wdzięcznych słuchaczy i zacnych gości z bliska i z daleka cała sala zaśpiewała wspólnie z chórami nasze zaolziańskie hymny: „Płyniesz Olzo", „Szumi jawor" oraz hymn śpiewaków śląskich „Przyjaźń, o bracia, niech wiąże nas".

Następnie wszyscy zasiedli do zastawionych stołów i rozpoczęła się biesiada. Jubileusz uświetnił swym mini recitalem miły gość Alojzy Kaleta z towarzyszeniem fortepianu Marii Cienciały, zaś do tańca i zabawy przygrywał znany akompaniator i solista pan Barteczek.

Działalność nasza jest czysto społeczna. Zgoda utrzymuje się prawie wyłącznie ze skromnych własnych składek, co czyni wiele przedsięwzięć bardzo trudnymi do zrealizowania. Pomimo różnych kłopotów finansowych od trzynastu lat łączy ją serdeczna więź przyjaźni z Chórem Mieszanym Lutnia z Zabrza-Pawłowa, na którego zaproszenie wyjeżdża na „Jesienne Spotkania z Piosenką", zaś Lutnia zaszczyca swoją obecnością Zgodę na jej tradycyj-

nych „Wiosennych Spotkaniach z Piosenką". Zgoda gościła również na kilku wspaniałych o niepowtarzalnej atmosferze Zlotach Śląskich Chórów i Orkiestr w Buku (koło Rud Raciborskich), organizowanych przez nieodżałowanego już nieżyjącego pasjonata muzyki, a zarazem prezesa PZChiO Waltera Stryję i prowadzącego Zloty artystę śpiewaka i aktora Jana Marię Dygę. W maju 1996 roku Zgoda koncertowała na Ziemi Kujawsko-Pomorskiej w Toruniu, Golubiu-Dobrzyniu, Kowalewie Pomorskim i Ciechocinku, dwa lata później w Krapkowicach k. Opola na Letnim Festynie Sportowo-Rekreacyjnym Krapkowickie Dni Odry. Zaś w kraju śpiewa na imprezach pezetkaowskich w Końskiej, Nieborach, Kanadzie, Wędryni, na jubileuszach Kół, wieczorach kolęd, zebraniach walnych, sprawozdawczych, Oszeldówce, Festiwalach PZKO w Trzyńcu czy Karwinie, festynie szkolnym, w kościołach np. w Gutach, Ropicy, Trzyńcu, na pogrzebach swych członków i bliskich, w Domu Emerytów na Sośnie w Trzyńcu, w pensjonacie w Oldrzychowicach, na Święcie Pieśni w Czeskim Cieszynie, Towarzyskim Spotkaniu Śpiewaków w DK w Trzyńcu, na jubileuszach chórów zaprzyjaźnionych: Lutnia z Zabrza-Pawłowa, Godulan-Ropica, Stonawa, Sucha itd. Te występy to kolejny impuls do dalszej pracy. To świadomość, że się czegoś dokonało, że się kogoś wzruszyło i że się jest ludziom potrzebnym.

Chór Mieszany Zgoda i Chór Mieszany Lutnia z Zabrza-Pawłowa wystąpią na „Wiosennym Spotkaniu z Piosenką" w pierwszą sobotę po Wielkanocy, 6 kwietnia 2002 roku, w Domu PZKO w Nieborach. Serdecznie zapraszamy.

I.M.

MOZAIKA

JAK W GORACH, JAK NA REKREACYJI...

...se tu miyszkocie pod lasym, sóm kopce, potok - mówił nóm kolega z miasta. Fajnie se wóm tu dycho, bo ty sosny, brzimy, graby i insze strómy i krzoki wóm nie yny pieknie szumióm i wóniajóm, ale dodowajóm ogrómnie moc tlenu, kierego nóm w mieście chybio.

To je prowda, mówiym, ale wszycko też mo swoji „plusy i minusy". Tóż posłóchej. Ni mieli my eszcze płota kole nowe chałupy (dzisio uż je 33 roków staro), ale grzóndki my uż mieli. Na jedne wyrosły piekne stróńczkowe fazole, kiere uż moja połowica chciała zakłodać do szklónek. Syn jechoł ze szkoły na gory, tóż my stowali przed czwortóm rano.

Dziwómy se, a tu na grzóndkach stoji sarna, grubo jak beczka, i eszcze se oblizuje.

- Isto je kotno, bydzie mieć małe - mówi moja.

- Ale ni, dziołcho, sarny majóm młode kóńcym maja i poczóntkym czerwca.

Po śniodaniu idzie żóncia obrać ty fazole, a tam zustało yny porym strónczek... Wszycko ta sarna sfrygała!

Ale choć w zimie sarny ogryzajóm gałónzki jabłóni pod lasym, nigdy ich nie przeganiómy, bo czy tam óny wiedzóm, że to człowiek zasadził? W lesie i na polach se też ogryzajóm, co chcóm. A potym, dyć to sóm taki przepiekne zwierzóntka, że ich każdy z radościóm obserwuje i podziwio, a jak widać przez lornetkym ty jejich oczy, skórzanny, wilgotny nosek, to by jóm z chyncióm pogładziół, gdyby to szło.

Co do ptoszków, to choć przepieknie śpiywajóm i zbiyrajóm chroboczki ze strómów, to też troszkym i szkodzóm, bo kosy i drozdy przerzedzóm rebiźle i trześnie, a kosy nadziubujóm zimowe gruszki i jabka, kiere se niechuje czym jak nejdeli na strómach. Sojki i dziyncioły se poodnoszajóm lyskowe orzechy, a sikorki wydłubujóm słónecznik abo mak z makówek. Óny też nie wióm, że nie śmióm. Rośnie se to wszycko w przirodzie, tóż se myślóm, że to je dlo wszyckich.

Nie gniywómy se na nich i w zimie ich też przikormiómy. Przilatuje też i dziyncioł i trochym ty sikorki i insze ptoszki okrodo, bo tego sfrygo nejwiyncy. Na wiosnym nas za to budzi o trzeci rano bymbnowanim po miedzianne szpicy grómnika, abo po plechu na szczycie chałupy. Ale to uż nas rozgniywo i muszymy go odganiać, choć se tak za piyrszym razym moc nie zlynknie i nie chce se mu odlecieć do lasa, kaj se może bymbnować po suchych kónorach.

A na grzóndkach? Też se przeryjóm ze sómsiednich kopców myszy, nornice, ty wielki, i szturujóm nie yny marekwie i zimioki, ale cebulki tulipanów. Na jesiyń, kóńcym września, to zaś przilatuje z lasa piynć zortów biedrónek i jak zapómniymy dać sito do okiyn, tóż tego pełno nalezie do okiyn, na powałe, że to ty gizdoczki i trzi dni zbiyrómy, bo jak by to gdo przipadkym uwidzioł lyźć po powale, to by se móg myśleć, że mómy dóma płoszczyce, bo nikiere sóm taki brónatno-czorne z czyrwiónymi kropkami, nikiere zaś beżowe z czornymi kropkami.

Co eszcze przipómnieć? Jak opadujóm szpilki z brzimów, a je silny wiater, to tego naniesie do ryniyn, na chodniki i wszyndzi kole chałupy.

Gdo se to wszycko przeczytoł, to uż bydzie wiedzioł, że jak bydzie kiedy stawioł chałupym, to nejmiyni sto metrów od lasa. Ptoszki też usłyszy śpiywać, a nie bydóm mu moc szkodzić.

STARZIK W.



HALINA KOWALCZYKOWA, z domu KUBECZKA - 25.5.1946-9.1.2002

Imię, nazwisko i dwie daty. Jedna linijka tekstu, a poraziła wszystkich, którzy Halinkę znali. A kto na Zaolziu jej nie znał? Ta jedna linijka tekstu w myślach bardzo wielu ludzi, tu i teraz, wywołuje całą masę pięknych wspomnień, których wystarczyłoby z całą pewnością na obszerną monografię, a Halina na taką zasłużyła sobie już za życia!

Nagle, tak nieoczekiwanie, pozostają tylko wspomnienia. Wspomnienia niezwykłe, bo Halina zawsze i dla wszystkich, którym przyszło z nią pracować, była dużo więcej niż tylko koleżanką - była zawsze tak blisko, pomagała w niejednej bardzo trudnej sytuacji życiowej. Ona zawsze umiała pomagać!

Halina Kowalczyk naprawdę pełen oddania i absolutnie bezinteresownego poświęcenia społecznik, pełen zrozumienia przyjaciel, prawdziwa rodzina i jeszcze dużo, dużo więcej, co trudno mi było opisać słowami - zawsze - a co dopiero w tej chwili. Nigdy dotąd, poza generacją naszych babć, nie spotkałem człowieka tak niezwykle uczciwego. Uczciwego i prawego bez reszty i w tym dzisiaj tak nieuczciwym świecie.

Halina, wtedy jeszcze Kubeczka, angażowała się w działalności społecznej

w rodzinnej Orlowej już w czasach szkolnych, gimnazjalnych. Zdecydowała się na zawód ojca - jako nauczycielka na początku, i teraz, na końcu ... poświęcała się dzieciom nie tylko na lekcjach, właściwie przez całe życie nie przestała pracować w dziecięcych zespołach artystycznych.

Zawsze skromna Halinka o początkach swej pracy dziennikarskiej, właśnie w Zwrocie, napisała: *Decyzja o zaproponowaniu mi stanowiska redaktora Zwrotu była z gatunku - na bezrybiu i rak ryba (...) Trudna to była decyzja, której nie ułatwiła mi świadomość, że są bardziej powołani* (...). Był to rok 1972. Halina pozostała w redakcji Zwrotu dziewięć lat. To właśnie ona, sobie właściwym sposobem, ożywiła nie tylko kolektyw redakcyjny, ale przede wszystkim strony pisma. Konsekwentnie wprowadzała w życie znane kredo - *dobrej gazety nie robi się za biurkiem*. Nie mogę tu nie zacytować jeszcze jednej wypowiedzi ze wspomnień Haliny Kowalczyk z okazji pięćdziesięciolecia Zwrotu, jakże charakterystycznej: *I pamiętam okres przedświąteczny, kiedy mój ślubny zastał mnie nocą nad korektą i wygłosił mi referat na temat tego, że każda porządna baba przed świętami sprząta, gotuje i piecze ciastka, a ja czytam korektę. Moja riposta była - jeśli nie będę miała umytych okien, to będziesz to wiedział ty, dzieci, ewentualnie kilka wścibskich sąsiadek, a jeśli wyjdzie Zwrot z błędami, to będzie to wiedziało cztery i pół tysiąca (tak, taki był wtedy nakład!) czytelników* ... Z redakcji Zwrotu przeszła Halina Kowalczyk do Naszej Gazetki (wtedy Gazetki Pioniera...), gdzie pracowała do roku 1990, po czym wróciła do szkolnictwa. Zespół redakcji i rady redakcyjnej z tamtych czasów, tego pisma dla naszych dzieci, schodzi się do dnia dzisiejszego na regularnych spotkaniach, co jest ewenementem. I tu posłużę się jeszcze jednym cytatem jakże mądrej wypowiedzi Haliny Kowalczyk: ... *starali się, by prawdziwe było popularne wówczas hasło - BYLIŚMY, JESTEŚMY, BĘDZIEMY! - szczególnie zaś trzeci jego człon. Walczyli, borykali się z przeciwnościami, wybierać musieli to, co nie zawsze było po ich myśli, było złem koniecznym, nieraz przyjmowanym z ciężkim sercem, bez entuzjazmu, ale - takie były czasy. I kiedy dzisiaj słucham albo czytam wywody ludzi, którzy w tamtych, złych czasach nie bardzo byli widoczni, a dziś - w nowych, lepszych chcieliby być prorokami we własnym kraju, ogarnia mnie „śmiech pusty, a potem litość i trwoga"* ...

To, że tak nagle i nieoczekiwanie zabrakło nam Haliny, będziemy w naszej społeczności odczuwać wszyscy i już niestety na zawsze. Była jednym z bardzo nielicznych ludzi, do których popularne określenie - „nie ma ludzi niezastąpionych" - w żaden sposób nie pasuje.

Będziemy mieli na zawsze przed oczyma Halinkę - z redakcji, ze sceny w roli konferansjera, za sceną z jej dowcipnymi pomysłami. Będziemy też pamiętać Halinę - matkę z uroczymi dziećmi, no i teraz, pełną radości w tej roli - babcię.

Halina nie żyje ... i wszystkie słowa, jakkolwiek by je dobierać, będą tu ... kuławe!

FRANCISZEK BAŁON

POKAŻ JĘZYK

Każdy człowiek powinien posiąść umiejętność rozumienia mowy własnego ciała. Przyglądanie się sobie i właściwe odczytanie tego, co ciało sygnalizuje, pomaga w samodzielnym stawianiu diagnozy. Jedną z części ciała, której obserwacja pozwala określić wiele chorób, jest język.

Język zdrowego człowieka ma jasnoróżowy kolor, jest sprężysty i gładki, bez pęknięć i wklęśnięć, po wysunięciu nie przesłania kącików ust, na jego bokach nie widać śladów zębów. Biały nalot może świadczyć o problemach zdrowotnych w układzie pokarmowym, żółty nalot o podrażnieniu pęcherzyka żółciowego czy hemoroidach, brązowy nalot o schorzeniach jelit, czarny nalot o grzybicy błony śluzowej jamy ustnej. Powodem krwistoczerwonego koloru języka pokrytego pęknięciami może być nieżyt żołądka, zaś zaczerwienienia i obrzmienia języka zapalenie wątroby. Choroby wątroby może też sygnalizować żółty kolor dolnej strony języka, zaś bladość dolnej strony języka może być spowodowana niedoborem witamin. Pieczenie języka może świadczyć o anemii, niedoborze żelaza, drżenie języka o zapaleniu mózgu, nerwowości. Paski piany z obu stron języka mogą mówić o reumatyzmie. Suchy popękany język jest sygnałem, by zbadać poziom cukru w organizmie, natomiast suchy język z czerwonym pasem pośrodku może spowodować zapalenie jelit z towarzyszącym wzdęciem brzucha.

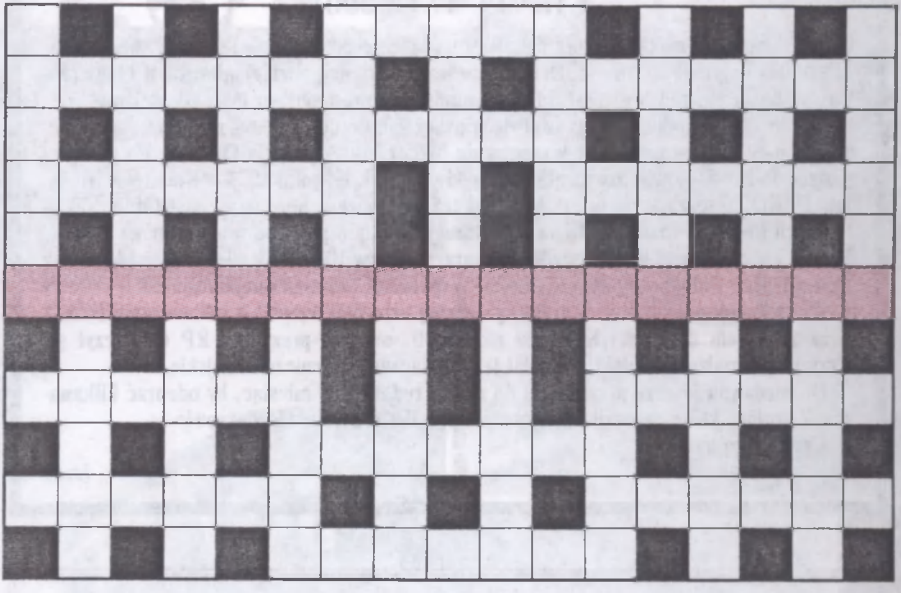
Gładki, bez pęknięć powinien być koniuszek języka. Wcięcie może świadczyć o wadzie serca, biały kolor i opuchnięcie o niedoborach w krwi, natomiast opuchnięcie i czerwony kolor o nadciśnieniu tętniczym i chorobie wieńcowej. Ciemnoczerwony czy wręcz siny koniec języka także może być sygnałem choroby serca i układu krążenia. Zaś nabrzmienie żył podjęzykowych może być spowodowane niewydolnością mięśnia sercowego.

Język podzielono na kilka stref, którym przypisano najważniejsze narządy w organizmie człowieka. I tak koniec języka to serce, po jego bokach znajdują się płuca, a za nimi wątroba. Środkowi języka przypisano żołądek i śledzionę, za nimi u nasady języka znajdują się nerki i jelita. Zmiany wyglądu tych stref mogą sygnalizować jakieś schorzenie.

Jak wynika z powyższych wyliczeń, na języku wypisane są prawie wszystkie nasze dolegliwości. Dlatego warto przyglądać się swemu językowi, zwłaszcza że, jak twierdzą niektórzy badacze, oznaki choroby pokazują się na języku wcześniej niż rozpoznać można jej symptomy metodami laboratoryjnymi. By jednak nie pomylić się w diagnozie, lepiej – po pokazaniu sobie w lustrze języka – leczenie domniemanej choroby pozostawić fachowcom.

(dur)

KRZYŻÓWKA



SYNTEZA KRZYŻÓWKI Z PRZYSŁOWIEM

Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę z rozwiązaniem dodatkowym, którym jest przysłowie polskie.

Wyrazy 5-literowe: TARAS, ZAMEK.

Wyrazy 6-literowe: BIELMO, DESANT, DOMENY, FRANKE, IMPULS, KAKADU, KASZUB, LEKARZ, MAZGAJ, MURPHY, ODCZYT, PLENER, RZESZA, SMUTEK, SPISEK, TEMIDA, TOMASZ, TRZODA, UTRATA, WAGARY, ZITTAU.

Wyrazy 7-literowe: ALABAMA, APASZKA, MARCONI, TANGENT, ZAGŁADA, ZRZUTKA.

Minisłowniczek mniej znanych wyrazów:

FRANKE Egon - szermierz polski, mistrz olimpijski we florecie

ZITTAU - miasto w Niemczech przy granicy z Polską (Żytawa)

TANGENT - metalowa płytka w klawikordzie i lirze korbowej

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lutego.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru grudniowego: DZIELENIE SIĘ OPŁATKIEM

Nagrody książkowe wylosowali: **Aniela Opic** - Bogumin Skrzeczoń
Mariusz Putzlacher - Czeski Cieszyn
Jan Musioł - Trzyniec 1

RUDOLF FRONC

1.1.1919–17.12.2001

Był wielkim społecznikiem, który działaniu na rzecz polskości poświęcił całe swoje życie. Młode lata spędził w Dąbrowie, Dziećmorowicach, Orłowej, później mieszkał w Hawierzowie, pracował w przedstawicielstwie miejskim. Zawodowo związany był z kopalniami.

Od wczesnej młodości angażował się w pracy społecznej, śpiewał w chórze szkolnym, działał w Sile, po wojnie w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej w Orłowej. Po przeprowadzce do Hawierzowa rozpoczął pracę w MK PZKO, od roku 1971 w Komitecie Miejskim PZKO, zrzeszającym osiem Kół. Był też działaczem Stowarzyszenia Ofiar Nazistowskich Represji, gdzie weryfikował deklaracje Polaków poszkodowanych przez Trzecią Rzeszę i przekazywał je do siedziby Stowarzyszenia w Bielsku-Białej. Był współzałożycielem Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota, popierał inicjatywę 3x3.

Za swoje zaangażowanie w pracy społecznej otrzymał wszystkie odznaczenia PZKO wraz z wpisem do Złotej Księgi, z okazji 80. urodzin prezydent RP odznaczył go Krzyżem Odrodzenia Polski, posiadał też odznaczenia górnicze i miejskie.

Do niedawna jeszcze przychodził do naszej redakcji co miesiąc, by odebrać kilkanaście Zwrotów, które roznosił potem swoim pezetkaowcom w Hawierzowie.

Cześć Jego pamięci!

(red)

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY





DOM PZKO W SKRZECZONIU

W skrzeczońskim Domu PZKO znajduje się jedna z najciekawszych Izb Tradycji.

NASZE ZAOLZIE

ŁOMNA

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

O.P.



Zwrot

3
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Zarząd MK PZKO w Końskiej w roku 1952.
W pierwszym rzędzie czwarty od prawej prezes Paweł Chodura.

Drodzy Czytelnicy,
już wkrótce nasza redakcja zmieni siedzibę. Względy komercyjne wydawcy spowodowały, że po dwudziestu latach pobytu w Klubie PZKO przy ul. J. Bożka, w siedzibie, którą wybudowano m. in. dla potrzeb Zwrotu, redakcja powraca do budynku ZG PZKO przy ul. Strzelniczej 28 (obok hotelu Piast). O dokładnym terminie przeprowadzki poinformujemy naszych czytelników na łamach Głosu Ludu.



W radosne Święto Zmartwychwstania Pańskiego
życzymy
naszym Czytelnikom, Autorom i Przyjaciołom
zdrowia oraz pomyślności

redakcja Zwrotu

Zwrot 3 2002

Rok LIII, Nr 628
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Procesy społeczno-kulturowe określające polską społeczność na Zaolziu	EDYTA PIECHOTA
8	Nasza historia na opak	TADEUSZ SIWEK
13	Literacko-plastyczne drogi i bezdroża w i poza szkołą. Rozmowa z Władysławem Kubieniem	CZESŁAWA RUDNIK
18	Mój dobry Aniol Stróż (1)	BRUNON GRZEBIEŃ
24	Pierwszy rok Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego	FRANCISZEK BAŁON
29	Stowarzyszenie Artystów Plastyków w roku 2001	LIDIA PAWLAS
32	Sztuka jest subiektywną deformacją natury	BRONISŁAW FIRLA
33	Kronika: Zjazd Gwiaździsty po raz trzydziesty pierwszy, W gościnie u czeskocieszyńskiej Harfy, Spotkanie noworoczne przedstawicielek Klubów Kobiet, Owocna działalność Klubu Kobiet MK PZKO w Błędowicach, Rezydencje szlacheckie w Księstwie Cieszyńskim, Występy chóru Grodkovia, Biuletyn Ludoznawczy, Konwent Prezesów	
46	Poezja Lucyny Przeczek-Waszkowej	
50	Janek Stokłosa (fragment)	
55	Aforyzmy Lecha Przeczka	
56	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
60	Na półkach księgarskich: Ciekawa Książka Richarda Sobotki	WILHELM PRZECZEK
	Trudne pogranicza	KAZIMIERZ JAWORSKI
68	Trybuna czytelników	
72	Ze starych kalendarzy	
73	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA

Numer zamknięto 13. 2. 2002

PROCESY SPOŁECZNO-KULTUROWE OKREŚLAJĄCE POLSKĄ SPOŁECZNOŚĆ NA ZAOLZIU

Polacy zaolziańscy żyją w wymiarze trzech kultur: czeskiej, polskiej płynącej ze źródeł, z Polski, oraz regionalnej, którą mieszkańcy Zaolzia nazywają najczęściej kulturą śląską, mającą źródła na obszarze wykraczającym poza Śląsk Cieszyński. Jest to rozróżnienie dosyć istotne, gdyż jak wynika z badań etnograficznych czy etnologicznych, mieszkańcy regionu identyfikowali się z tą kulturą, zanim zaczęli zmieniać, i to kilkakrotnie, przynależność państwową. Na kulturę regionalną, obejmującą swoimi wpływami całe pogranicze polsko-czeskie, nakłada się tzw. kultura narodowa, polska i czeska. Jeżeli chcemy poznać istotę i różnorodne wymiary procesów asymilacyjnych, przebiegających w polskiej społeczności zaolziańskiej, musimy tę złożoność wziąć pod uwagę. Procesy asymilacyjne zależą od wielu czynników. Czynnikami hamującymi proces asymilowania się polskiej społeczności zaolziańskiej do czeskiej większości może być duża liczebność polskiej społeczności i stosunkowo małe jej rozproszenie przestrzenne.

W pewnym okresie asymilację Polaków zaolziańskich utrudniało pokrywanie się struktury etnicznej polskiej społeczności ze strukturą klasową. W latach dwudziestych XX wieku 60% mieszkających na Zaolziu Polaków stanowili robotnicy, resztę prawie w całości chłopi. Natomiast burżuazja rekrutowała się z Czechów i Niemców. Polaków integrowały zatem wspólne interesy, jak np. walka z dyskryminacją ekonomiczną w okresie nasilonego bezrobocia, które ze względu na charakter struktury społecznej ich głównie dotykało. Z czasem jednak czynnik ten stał się elementem przyspieszającym asymilację. Okazała się bowiem ważnym mechanizmem polityki państwa czechosłowackiego wobec mniejszości polskiej. W latach trzydziestych, w dobie wielkiego kryzysu ekonomicznego, Polacy mieli szansę znaleźć pracę, jeśli np. posłali dzieci do czeskiej szkoły.

Asymilację utrudnia wyraźnie określone, silne poczucie tożsamości z kulturą macierzystego narodu. Polacy zaolziańscy zachowali w mniejszym czy większym stopniu swoją tożsamość etniczną, chociaż nikt im w tym procesie nie spieszył z pomocą.

Występują również takie czynniki, które mogą asymilację przyspieszać. W odniesieniu do polskiej społeczności zaolziańskiej do najważniejszych należy systematyczne „rozrzedzanie" polskiego środowiska poprzez osad-

nictwo czeskie i słowackie na terenie pogranicza. Polacy często przemieszczali się w głąb państwa ze względu na charakter ich pracy, a Czechów i Słowaków osiedlano na Śląsku. To przemieszczanie się miało charakter częściowo spontaniczny, ale też częściowo ukierunkowany. Polaków bowiem niejednokrotnie nakłaniano do wysiedlenia się z Zaolzia.

Zjawisko to wynikało nie tylko z określonego charakteru rynku pracy, ale także z faktu zawierania małżeństw mieszanych narodowościowo: polsko-czeskich i polsko-słowackich. Niektóre z tych małżeństw pozostawały na Śląsku, jednak nawet w takich przypadkach daje się zauważyć zjawisko coraz silniejszego wiązania się polskiego partnera ze społecznością czeską. Wzrost liczby małżeństw mieszanych narodowościowo powszechnie uznaje się za jeden z najbardziej charakterystycznych przejawów procesów asymilacyjnych zachodzących w społecznościach mniejszościowych. Śledząc zachodzące zmiany wśród Polaków zaolziańskich, można zauważyć, że po upływie jednego niespełna dziesięciolecia występuje w tej społeczności tendencja do wyraźnego zmniejszania się jednolitego charakteru rodzin.

W ostatnich latach ważnym czynnikiem przyspieszającym proces wchłaniania polskiej mniejszości przez czeską większość był brak wyraźnego zainteresowania społecznością zaolziańską ze strony polskich instytucji i działaczy politycznych, społecznych czy kulturowych.

Bariery w kontaktach z Polską oraz określony charakter związków Polski z Czechosłowacją wytworzyły wśród mieszkańców Zaolzia dosyć negatywny stereotyp w odniesieniu do Polaków z Polski. Sytuacja taka na pewno ułatwiała i ułatwia przejście od identyfikacji z narodem polskim do identyfikacji z narodem czeskim.

Asymilację na Zaolziu przyspieszyło także zjawisko o coraz szerszym zasięgu - szkody górnicze, które powodowały między innymi przesiedlanie całych miejscowości. Taki los spotkał także te wsie, w których większość stanowili Polacy, np. Łąki nad Olzą czy Stonawę. Ich mieszkańcom przydzielano mieszkania w okolicznych miejscowościach - najczęściej zostali rozproszeni w miastach.

Ważnym czynnikiem, niezwykle skutecznie wspierającym proces asymilacji naturalnej, była niejednoznaczna polityka państwa czechosłowackiego wobec polskiej mniejszości na Zaolziu. Polityka ta nigdy nie była tylko restryktywna albo tylko liberalna - zawsze zawierała w sobie oba typy, zawsze miała dwa oblicza.

Drugim wymiarem procesów zachodzących w życiu asymilującej się mniejszości do jakiejś większości jest działanie zmierzające do zachowania tożsamości narodowej, etnicznej, etniczno-kulturowej. Tożsamość narodowa jest szczególną postacią tożsamości społecznej. Jest sposobem określania samego siebie poprzez przynależność do określonych grup. Posiadanie tożsamości narodowej to „odczuwanie wspólnoty, podobieństwa, identycz-

ności położenia i losu pewnej skończonej liczby osób, stanowiących naród lub będących jego częścią".

Polaków stanowiących mniejszość narodową w tym regionie państwa czeskiego cechuje podwójna identyfikacja narodowa i biwalencja kulturowa. Część Zaolzian, których samoidentyfikacja narodowa nie budziła wątpliwości, bo określali siebie jako Polaków, utożsamiała się w prawie takim samym stopniu z Polakami jako narodem i Czechami - jednych i drugich uważając za bliskich sobie ludzi - „swoich". Patrząc na tę społeczność, można zauważyć interesujące i znamienne zjawisko odchodzenia pewnej części członków polskiej mniejszości narodowej od jednoznacznej samoidentyfikacji narodowej. W spisie ludności w 1991 roku wiele osób zadeklarowało, bo takie możliwości przewidywały kategorie spisowe, narodowość śląską i morawską. Można przypuszczać, że wiele osób deklarujących wcześniej narodowość polską z różnych względów zadeklarowało samoidentyfikację regionalną, a nie narodową.

Polacy na Zaolziu są biwalentni kulturowo, można to zauważyć poprzez obserwację ich życia. Członkowie tej mniejszości uczestniczą w kulturze polskiej i czeskiej głównie za pośrednictwem środków masowego przekazu - do tych najważniejszych: polskiego radia i polskiej telewizji oraz czeskiego radia i telewizji, mają Zaolziacy równe szanse dostępu. W pewnych sferach kultury, głównie symbolicznej, polskość mieszkańców tego regionu jest zaznaczona szczególnie wyraźnie - w zakresie posługiwania się polskim językiem w rodzinie, w życiu organizacyjnym; w sferze oświaty poprzez funkcjonowanie polskich szkół; w sferze nieformalnych kontaktów towarzyskich, przyjacielskich. Zaznacza się również w sferze aktywności kulturalnej i rozrywkowej. Wyraźnie widać, że Polacy lubią bawić się we własnym gronie, a istnienie w prawie co drugiej miejscowości Zaolzia Domów Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego daje ku temu możliwości.

Przyswojenie kultury czeskiej następuje w sposób nieunikniony, tak jak nieunikniony jest proces asymilowania się polskiej mniejszości do czeskiej większości. Bezpośrednie kontakty z Polakami zaolziańskimi wskazują, że kanon czeskiej kultury narodowej uznają za swój własny w równym stopniu jak kanon kultury polskiej. Sądzę, że tę biwalencję kulturową kształtuje w dużym stopniu kultura masowa, ale przede wszystkim system oświatowy: Młode pokolenie Polaków na Zaolziu poznaje kanon czeskiej kultury narodowej w szkole, bo chociaż uczęszcza do polskich szkół, to jednak są to szkoły z czeskim programem. Dodatkowy wymiar edukacji w takiej szkole stanowi nauka języka polskiego i wiedzy o Polsce jako kraju macierzystym. W szkole, nazywanej dla uproszczenia polską, dzieci i młodzież mają zatem szansę zetknąć się z kulturą polską oraz czeską i często, choć zagadnienie to wymaga głębszej analizy, obie te kultury są im bliskie - „swoje". Poza

kulturą masową i szkołą istnieją inne jeszcze czynniki wyznaczające proces przyswajania kultury polskiej i czeskiej przez członków polskiej mniejszości. Ogólnie ich oddziaływanie układa się w następujący obraz: kulturalizacja młodego pokolenia Polaków zaolziańskich w zakresie kultury polskiej dokonuje się za pośrednictwem tradycji rodzinnej, szkolnictwa, polskich instytucji kulturalno-oświatowych, kultury przekazywanej przez polskie środki masowego komunikowania i środowiska - po części polskiego. Kulturalizacja tej samej grupy w zakresie kultury czeskiej dokonuje się również za pośrednictwem szkolnictwa, czeskich instytucji kulturalno-oświatowych i po części czeskiego środowiska. Opisane zjawiska, wyraźnie obserwowalne i częściowo zbadane, mogą stanowić interesujący problem kolejnego etapu badań empirycznych nad zmianą społeczno-kulturową społeczności zaolziańskiej.

Życie rodzinne mieszkańców Zaolzia, którzy samoidentyfikują się jako Polacy, jest polskie, a inne sfery życia wkraczają zarówno na grunt kultury polskiej, jak i czeskiej. Na grunt kultury czeskiej - szczególnie wyraźnie tam, gdzie rodzina opiera się na małżeństwie polsko-czeskim. Taka konkluzja rodzi kolejne pytanie: Może koherentna dwunarodowość, możliwa do zaakceptowania dwoistość życia tworzy się szczególnie wtedy właśnie, kiedy jedna kultura wypełnia przede wszystkim, bo nie całkowicie, sferę wzorów życia codziennego, a druga przede wszystkim - życia oficjalnego, publicznego? Taką myśl nasuwają obserwacje życia nie tylko polskiej mniejszości na Zaolziu, ale również mniejszości ukraińskiej, łemkowskiej, białoruskiej i innych w Polsce - ich członkowie są Ukraińcami, Łemkami czy Białorusinami w domu „u siebie" i „między sobą", Polakami - jako obywatele, pracownicy, żołnierze itp.

Spostrzeżenia te można potraktować jako kolejny przyczynek do dopełnienia teorii asymilacji mniejszości narodowych do większości: Fakty wskazują na to, że do pełnego zasymilowania się jakiejś społeczności z grupą dominującą może dojść dopiero wtedy, kiedy kulturowe wzory prywatnej sfery tej społeczności przestają być osadzone w kulturze macierzystej i stają się wzorami życia kultury dominującej. Jednak uwarunkowania procesu asymilacji i przeobrażania się kulturowych wzorów zachowania w społecznościach będących mniejszościami narodowymi są tak złożone i niejednolite, że należy je zawsze rozpatrywać i analizować najpierw w relacji do tych mniejszości i kontekstu ich życia.

EDYTA PIECHOTA

Artykuł jest fragmentem pracy magisterskiej napisanej pod kierunkiem prof. dr. hab. Wojciecha Świątkiewicza „Sieć polskiego szkolnictwa na Zaolziu w dobie współczesnych przemian społeczno-kulturowych" absolwentki socjologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.



Fot. JAN MYRDACZ

NASZA HISTORIA NA OPAK

Dlaczego Polakom i Czechom tak trudno rozmawiać o drażliwych tematach? Takich jak np. rok 1919 czy 1938 na Zaolziu? Dlaczego domaganie się „obiektywnej" oceny tych wydarzeń jest powodowane najczęściej tylko chęcią potwierdzenia swojego poglądu, a jeżeli to nie nastąpi, dochodzi nieuchronnie do oskarżenia o brak obiektywizmu? Uważam, że powodem jest zbyt jednostronne postrzeganie zjawisk i brak empatii, czyli zdolności wczucia się w sposób postrzegania świata przez innych. Dla lepszego zrozumienia różnych punktów widzenia konieczne jest zrozumienie obcego doświadczenia. Empatia umożliwia spojrzeć na świat nie tylko przez pryzmat własnych przeżyć i doznań, lecz również zupełnie obcymi oczyma. Umożliwia wyobrażenie sobie, jak bym np. odbierał bieg wydarzeń, gdybym był na miejscu kogoś innego. Gdybym był mieszkańcem innego miasta, członkiem innego narodu lub innej grupy społecznej. Nikt chyba nie wątpi, że takie spojrzenie na świat ułatwia komunikację, a w stosunkach między narodami zapobiega m.in. powstawaniu negatywnych stereotypów.

Powszechnie wiadomo, że skomplikowana historia naszego terenu w XX wieku stanowi świetną pożywkę dla wzajemnych, głównie polsko-czeskich stereotypów narodowych z typową czarno-białą optyką: nasz naród ma zawsze rację, a ten drugi nigdy. Większość Polaków uważa zbrojny atak Czechów w styczniu 1919 roku za godną potępienia agresję, a zajęcie Zaolzia przez polskie wojsko w roku 1938 za akt historycznej sprawiedliwości. Czesi na odwrót widzą przeważnie swoją akcję zbrojną z roku 1919 jako legalną obronę swych praw, a za agresję uważają zajęcie Zaolzia przez Polaków w dwadzieścia lat później. Różne czesko-polskie interpretacje lokalnej historii istnieją także w ocenie obiektywności spisów ludności, procesu asymilacji, stosunku do Niemców, komunistów itp.

Ta jednostronność nie dotyczy naturalnie tylko Zaolzia i nie jest udziałem wyłącznie Polaków i Czechów. Jest to postawa dość powszechna na całym świecie, ponieważ ludzie w ocenie kontrowersyjnych tematów opierają się najczęściej wyłącznie na swoich racjach, nie rozumiejąc, że strona przeciwna też może je mieć. A dopuszczenie myśli, że oponent ma choćby część racji, prowadzi do pogodzenia się z faktem, że nasza własna racja nie jest stuprocentowa. To znaczy, że racja leży - jak to najczęściej bywa - gdzieś pośrodku. Uznanie tego faktu jest niezwykle trudne i to nawet wśród niektórych historyków. Wiadomo, identyfikacja narodowa utrudnia nieraz zajęcie naprawdę obiektywnego stosunku do spraw dotyczących własnego narodu.

Dlatego też tak pożyteczne są opracowania historyczne podjęte przez cudzoziemców (patrz np. historia Polski w interpretacji Anglika Normana Daviesa).

Zdolność do empatii jest u różnych osób różna. Zmienia się też w czasie w zależności od własnych przeżyć i osobistych doświadczeń. Można ją również świadomie ćwiczyć, poszerzać i rozwijać. W procesach tak znamiennych dla naszych czasów jak europejska integracja i globalizacja będzie w naszym życiu coraz bardziej potrzebna.

Co więc można zrobić dla poprawy wzajemnego postrzegania Polaków i Czechów na naszym terenie? Ponieważ arbitrem historycznych sporów jest najczęściej sama historia, należy ją zrelatywizować. Jej przebieg jest wypadkową wielu różnych tendencji i każdy historyk wie, że w wielu wypadkach niewiele brakowało, aby potoczyła się inaczej. W naszym wypadku Śląsk Cieszyński mógł przecież po pierwszej wojnie światowej znaleźć się w Polsce i wówczas zamieszkiwałaby go mniejszość czeska, która prawdopodobnie stałaby przed tymi samymi problemami, które dziś rozwiązuje nasze społeczeństwo. I z ręką na sercu, czy my sami zachowywalibyśmy się wówczas wobec mniejszości czeskich współobywateli tak samo, jak to obecnie wymagamy od nich, kiedy są większością? Czy nie byłoby zmuszania do przepisywania narodowości na polską, szykan rodziców posyłających dzieci do czeskich szkół, spolszczania imion i nazwisk itp.? Tego nie można przewidzieć, skoro się tego nie przeżyło, a historii nie można przeżyć po raz drugi w zmienionych okolicznościach. Można sobie jednak taką sytuację przynajmniej do pewnego stopnia symulować.

Spróbujmy więc wziąć udział w intelektualnej zabawie polegającej na odwróceniu biegu historii. Zanim zaczniemy, musimy uwolnić się od swojej wiedzy historycznej. Wyobraźmy sobie, że w jakimś innym, fikcyjnym świecie odkryliśmy gdzieś na strychu pudło z wycinkami polskich i czeskich gazet, ilustrującymi najważniejsze momenty wzajemnych stosunków obu narodów na Śląsku Cieszyńskim. I wyobraźmy sobie, że wydarzenia historyczne w tym fikcyjnym świecie przebiegały w zasadzie tak samo, jak przebiegały w rzeczywistości - tyle, że Polacy i Czesi zamienili się rolami. I to konsekwentnie. W tej sytuacji Czeski Cieszyn byłby polski, granica przebiegałaby na Ostrawicy itd. Taką sytuację opisują owe fikcyjne wycinki, które włożyłem do książki.

Ułożone w książce chronologicznie wycinki z gazet pokazują, jak ewentualnie mogła potoczyć się historia naszego terenu, gdyby przypadł on Polsce. Polski żywioł dominowałby, Czesi stanowiliby mniejszość. Na pewno domagaliby się swoich praw, walczyli z asymilacją itp. O ile sprawy narodowościowe wydawały nam się dotychczas jasne, po lekturze kolejnych wycinków tracimy stopniowo pewność, kto był napastnikiem, a kto ofiarą, kto pat-

riotą, a kto zdrajcą i kto miał rację, a kto nie. Znika uproszczony model percepcji świata, w którym najczęściej dzielimy ludzi na „my" i „oni", przy czym my mamy rację, a oni nie. Kiedy uświadomimy sobie, że w innej konstelacji - która przecież była prawdopodobna - mogliśmy być na ich miejscu, a oni na naszym, sprawa przestaje być prosta.

Przygotowując do publikacji ten zbiór fikcyjnych wycinków, zmieniający historyczne role Polaków i Czechów na naszym terenie, potraktowałem realnie tylko punkt wyjściowy, którym jest umowa o tymczasowym podziale dawnego Księstwa Cieszyńskiego z 5.11.1918. Ilustrują go dwa pierwsze wycinki, przedstawiające polski i czeski punkt widzenia, chociaż już w nich odbija się następująca później zamiana: Polski pogląd podkreśla tymczasowość umowy, a Czesi są z niej jakby bardziej zadowoleni. W rzeczywistości było na odwrót. Decyzja Rady Ambasadorów na temat Śląska Cieszyńskiego jest w kolejnych wycinkach prezentowana tak, jakby Rada Ambasadorów zachowała jedność tego regionu i przyznała go cały Polsce. Chodziło o to, aby na terenie polskim znalazła się stosunkowo liczna „czeska mniejszość narodowa", którą w tej sytuacji tworzyłaby przede wszystkim ludność Frydeckiego. Rzeka Ostrawica pełniłaby w tej fikcji rolę Olzy, a mosty między Morawską i Śląską (Polską) Ostrawą oraz między Frydkiem i Mistkiem mogły być uważane za graniczne tak, jak ich rzeczywisty pierwowzór między polską i czeską częścią Cieszyna.

Pozycja polskiej mniejszości w Czechosłowacji jest opisana w kilku następnych wycinkach tak, jakby to była czeska mniejszość w Polsce. Późniejsze krytyczne zaostrzenie stosunków polsko-czeskich w roku 1938 musiało być umieszczone w wyraźnie zmienionym kontekście międzynarodowym tak, żeby zachować symetrię wzajemnych stosunków obu narodów. Oznacza to, że aby mogło dojść do zmiany przynależności państwowej części Śląska Cieszyńskiego, najpierw musiałaby w roku 1938 upaść Polska, a dopiero w roku 1939 mogło dojść do ataku na Czechosłowację.

W okresie totalitarnego ustroju komunistycznego konsekwentna zamiana ról Czechosłowacji i Polski w książce nie jest dotrzymana. Zamiarem było bowiem wykazanie, jak ówczesne kryzysy - czy to w jednym czy w drugim państwie - odbijały się na życiu mniejszości narodowej. Dlatego został wybrany moment z roku 1968 ilustrujący Praską Wiosnę oraz z okresu Solidarności w Polsce z roku 1980. Ponieważ obydwa zjawiska są symetryczne, nie było konieczne umieszczanie Praskiej Wiosny w Polsce ani Solidarności w Czechosłowacji. Nie chodziło mi bowiem o wywrócenie na opak całej historii stosunków polsko-czeskich, lecz jedynie jej cieszyńskiego odcinka - a to dokonało się samoistnie.

Aby obraz był pełny, w publikacji zostały umieszczone też wycinki, które

w rzeczywistości raczej nie mogłyby się pojawić. Np. artykuł podający wyniki niemieckiego okupacyjnego spisu ludności czy informacja o posiedzeniu partii komunistycznej, na którym omawiano tzw. platformę Cieślara (w książce nazwanej platformą Tesaře).

W książce konsekwentnie występują na przemian polskie i czeskie fikcyjne wycinki z tym, że na przeciwległej stronie umieściłem tłumaczenie, aby całość mogli przeczytać także ci Polacy i Czesi, którzy nie znają drugiego języka. Na dole każdej stronicy pod kreską czytelnik znajdzie objaśnienia, co było rzeczywistym pierwowzorem prezentowanych wydarzeń i jak naprawdę przebiegały.

Ta intelektualna zabawa okazała się niezwykle skuteczna. Tak samo jak w posłowiu muszę się przyznać, że choć sam ową fikcję układałem, wydźwięk co najmniej niektórych jej elementów mnie samego zaskakiwał, gdy je zobaczyłem napisane. To samo stwierdziła większość z tych, którym dałem przeczytać rękopis. Mam więc nadzieję, że kiedy w marcu lub kwietniu książka ukaże się na półkach księgarskich, będzie dla czytelników nie tylko zabawną igraszką z faktami historycznymi, lecz także zmusi niejednego do nowego spojrzenia na historię, na sąsiadów i na siebie samego.

Dla ilustracji przytaczam polskie tłumaczenie jednego z fikcyjnych czeskich artykułów, który opisuje sytuację na „polskim" Śląsku Cieszyńskim zamieszkałym przez „czeską" mniejszość narodową w roku 1947.

Hlas lidu
Noviny Polské dělnické strany v českém jazyce
Polská Ostrava, środa 11 marca 1947

Czechosłowacko-polska umowa
Powstaną czeskie organizacje

Wczoraj, 10 marca 1947, została w Pradze podpisana długo oczekiwana umowa o przyjaźni i wzajemnej pomocy między Czechosłowacją a Polską.

Umowa reguluje ostatecznie stosunki między oboma bliskimi sobie słowiańskimi narodami, które w przeszłości ich reakcyjne elity tak często stawiały przeciwko sobie. Dla naszej grupy narodowościowej umowa ta jest chyba jeszcze ważniejsza niż dla całego państwa. Pokazuje nareszcie, jak bezsensowne były tendencje wysiedlenia nas jak Niemców, jak niedemokratyczne było zamykanie naszych szkół i nieudzielanie zgody na działalność naszych organizacji, które forsowała przede wszystkim Polska Partia Narodowa z posłem Węglarzem na czele. Od podpisania tej umowy nikt nie ma prawa nas wysiedlać, szkoły będą normalnie funkcjonować i powstaną legalne organizacje.

Stare, przedwojenne organizacje nie zostaną wprawdzie odnowione, lecz zastąpią je dwie nowe organizacje, w których skoncentruje się nasze życie narodo-

we. Jedna będzie miała charakter ogólny i będzie się nazywać Czeski Związek Kulturalno-Oświatowy w Polsce, a druga będzie przeznaczona dla naszej młodzieży, Stowarzyszenie Młodzieży Czeskiej. Warunkiem powołania tych organizacji będzie dostateczne zainteresowanie naszych ludzi, lecz tego nie musimy się obawiać. W każdej gminie, w której znajdzie się co najmniej 10 chętnych do wstąpienia w szeregi organizacji, powstanie komitet przygotowawczy, który zbierze wstępne zgłoszenia i przekaże je Zarządowi Powiatowemu. Po czym odbędą się zjazdy konstytuujące i zostaną wybrane władze. Nasze organizacje będą naturalnie członkami Frontu Jedności Narodu. A więc powodzenia!

Umowa ta istniała w rzeczywistości i zajmowała się pozycją mniejszości polskiej na Zaolziu. Jej przyjęcie zamykało okres, w którym polska mniejszość na Zaolziu była w pewnych czechosłowackich kołach politycznych uważana za wrogą - ich reprezentantem był poseł Czechosłowackiej Partii Narodowo-Socjalistycznej Uhlíř. Rozpoczął się okres oficjalnej przyjaźni na bazie wspólnoty słowiańskiej, później bardzo propagowanej przez partie komunistyczne obydwu krajów.

TADEUSZ SIWEK

Książka zatytułowana „Czeski Cieszyn polski? - Český Těšín polský?" doc. dr. Tadeusza Siwka, prorektora d/s nauki i kontaktów zagranicznych Uniwersytetu Ostrawskiego, wkrótce ukaże się w Wydawnictwie Olza.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

LITERACKO-PLASTYCZNE DROGI I BEZDROŻA W I POZA SZKOŁĄ

Rozmowa z Władysławem Kubieniem



Władysław Kubień jest pedagogiem w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, uczy języka polskiego i wychowania plastycznego. Sam tworzy, zajmuje się głównie malarstwem i grafiką, jego dzieła plastyczne podziwiać można było na kilku wystawach, m.in. w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie. Z jego osobą kojarzone są też związane z gimnazjum działania pozalekcyjne, jak choćby praca teatrzyku Sz.K.A.P.A., organizacja zaolziańskich finałów konkursu recytacji Kresy. O tych i innych inicjatywach, pozwalających m.in. rozwijać zdolności twórcze młodych ludzi, rozmawiamy z Władysławem Kubieniem.

W jaki sposób został Pan nauczycielem w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie?

Nie miałem odwagi pójść na studia artystyczne, obawiałem się egzaminów wstępnych, a więc wybrałem kierunek pedagogiczny związany z plastyką, choć myślałem także o architekturze. Ale w końcu pozostała Ostrawa: wychowanie plastyczne i język polski. Na piątym roku studiów podjąłem pracę jako nauczyciel wychowania plastycznego tu w gimnazjum. Potem przez rok byłem na etacie, następnie taka odskocznia do drukarni, gdzie pracowałem jako grafik, ale zwyciężyło, przyznam szczerze, „belfrowanie".

Jednak praca pedagogiczna sprowadzona tylko do lekcji Panu nie wystarczała?

Każdy z nas próbuje się w jakiś sposób realizować. Lekcje to dla wielu z nas dość ograniczona przestrzeń. Człowiek twórczy, taki niespokojny duch zawsze próbuje szukać jeszcze jakichś innych dróg, gdzie mógłby coś zdziałać. Tak rozpoczęły się moje dywagacje pozalekcyjne.

Co było na początku?

Pierwszym pomysłem były warsztaty twórcze prowadzone nietradycyjnymi metodami. Próbowaliśmy w szkole pobudzić młodzież do działania. Akurat trafiła się taka aktywna klasa. Wymyśliliśmy Konkurs Nietradycyjnych Plastycznych Metod Twórczych i w ten sposób rozpoczęło się tutaj coś dziać. Potem przyszło zaproszenie na Kresy, to już siedem lat. Z Magdą Suchoń pojechaliśmy po raz pierwszy do Białegostoku i tam dałem słowo

Izabeli Półtorak, która była wtedy prezesem Podlaskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska, że będziemy robić Kresy również u nas na Zaolziu. W grę wchodziła linia literacka, a uwidoczniła się też plastyczna, bo zaczęliśmy organizować tu w gimnazjum na górze na czwartym piętrze wystawy, najpierw naszych zaolziańskich plastyków, np. Edwarda Kaima, Oskara Pawlasa, Romana Chmiela i innych. Wszystko zmierzało ku temu, by stworzyć coś interdyscyplinarnego. W ten sposób powstało pierwsze widowisko poetycko-muzyczno-plastyczne pod tytułem „Bagaż". To był 1996 rok. A od „Bagażu" był już tylko krok do teatrzyku Sz.K.A.P.A.

Sz.K.A.P.A., czyli Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych, gimnazjalny teatr, ma już dziś na swoim koncie kilka przedstawień. A jakie były jego początki?

Ta grupka ludzi, która wystawiała razem z Romkiem Chmielem i ze mną na wspólnej wystawie, była dość zgraną paczką, doszedł do tego sukces na Kresach, gdzie nasze dziewczyny pozdobywały laury. To był taki trzon i można było stworzyć program z pogranicza sztuk - połączenie słowa, obrazu, muzyki. Sz.K.A.P.A. działa na zasadach dobrowolnych, kto chce, to przychodzi, na siódmą rano, kiedy trzeba to nawet dwa razy w tygodniu, działa, poświęca się. Ja staram się podsunąć zawsze jakiś temat-oś i później wspólnie już wymyślamy spektakl.

Słowo nie jest najważniejszym elementem przedstawień tego teatru?

Od samego początku chodziło mi o to, by ten teatrzyk nie operował tylko słowem. Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, by był inny niż teatr amatorski, który na naszym terenie już działa. Szukałem czegoś odmiennego i znalazłem teatr przedmiotu. Gros wypowiedzi, które staramy się widzom przekazać, czynionych jest za pomocą przedmiotu, czyli grają przykładowo liny, ramy, gazety itd. Drugim powodem było to, że gramy na pograniczu kulturowym, a język przedmiotu jest na tyle uniwersalny, że rozumieją go ludzie z różnych stron świata. Co niedawno potwierdzili goście z Włoch.

Teatrzyk, w którym grają gimnazjaliści, musi często zmieniać skład zespołu aktorskiego?

Z tą „migracją" trzeba się liczyć. Wszystkie spektakle mają tę wspólną cechę, że istnieje „rama konstrukcyjna", do której można doczepić masę innych pomysłów. W momencie, kiedy odchodzą ci, którzy zagrali spektakl w jakiejś konkretnej formie, przychodzi nowa grupa ludzi, którzy zmieniają niektóre scenki i wtedy także cała sytuacja dramatyczna się zmienia.

Na ile sugeruje Pan tym młodym ludziom swoje pomysły, innymi słowy, na ile jest to Pana teatr autorski?

W Sz.K.A.P.-ie w jakiś sposób łączą się wszystkie moje literacko-plastyczne wizje. I, przyznam szczerze, to jest rzecz, która mnie zawsze fascynowała, żeby zrealizować się w innym tworzywie niż tylko kompozycje plastyczne. Te wszystkie pomysły to jest jakby takie wieczorne dumanie, z tym, że kiedy już kładę to przed szkapowiczów, próbujemy zrobić najpierw tę autorską wersję, pierwotną, ale zawsze jest tak, że ktoś coś chce zmienić, przesunąć. Często kupujemy te pomysły. Niekiedy prowokuję szkapiastych, żeby sami coś wymyślili, kiedy już troszeczkę wiedzą, jak z tym przedmiotem operować. Ostatnio Franek Szymczysko zrobił dobrą etiudę „Nałogi". Chciałbym wła-



Rukojnie

śnie, żeby oni sami przychodzili z pomysłami, ja byłbym tylko patronem, opiekunem, doradcą.

Co w tej chwili przygotowuje Sz.K.A.P.A.?

W tym roku obchodzimy mały jubileusik pięciolecia teatrzyku, przygotowuję program: Sz.K.A.P.A. i jej goście czy Sz.K.A.P.A. i jej przyjaciele. No i 28 marca teatrzyk zaprasza na taki wieczór. Będą tam prezentowane cztery etiudy, dwie wspomnieniowe, na początku „Przystanek", bo pięciolecie to dla nas taki właśnie przystanek, potem dwie nowe rzeczy: „Poduszki" i „Gazety" a na zakończenie staronowe „Ramy". Na pewno wystąpi też zespół To My ze swoim tańcem scenicznym, swoje nowe piosenki spróbuje przygotować Jacek Rybicki, wystąpi też zespół taneczny Oldrzychowice. Będą wręczane „ordery" za wierność rodzimej stajni. Będzie to, powiedzmy, rodzinny wieczór dla rodziców, sympatyków, przyjaciół i oczywiście byłych szkapowiczów.

Także finał konkursu recytacji Kresy ma swoją oprawę plastyczną, przygotowaną przez młodych ludzi, na program składają się nie tylko występy startujących w konkursie recytatorów. Czy od początku miał on formę widowiska?

Przyznam szczerze, że podpatrzyłem trochę warsztat białostockich Kresów, dużo zawdzięczam Andrzejowi Głowackiemu, Jankowi Zdziarskiemu i Mariuszowi Orzełkowi, którzy są duszą wielu konkursów w Polsce i nauczyli mnie, że warto zadbać o to, by takie święto słowa miało należytą oprawę, że trzeba zaprezentować jakieś związane z poezją programy, przygotować coś samemu lub zaprosić gości. Stąd wzięły się występy młodych zdolnych gimnazjalistów, jak choćby Tamary Czudek czy teraz ostatnio Jacka Rybickiego, ale także zespołów Amici Cantionis Antiquae czy Sz.K.A.P.A. Słowem próbujemy promować nasze własne zespoły i myślę, że potrafimy zaprezentować się na niezłym poziomie.

W roku 1999 brał Pan udział w V Międzypaństwowych Warsztatach Teatralno-Plastycznych w litewskich Rukojniach, pisał o nich w Zwrocie jako o ciekawym pomyśle na wakacje?

Pomysł takich warsztatów bardzo mi się podoba. Nie dlatego, że sam wziąłem w nich udział, a teraz rysuje się możliwość, że powtórzymy go na Bukowinie w Rumunii. Mogę zdradzić, że wstępnie rozmawiałem już o tym, by tę imprezę sprowadzić także na Zaolzie. Pomysł wydaje mi się o tyle fajny, że takie plastyczno-teatralne zajęcia są dla uczniów nie tylko wielką przygodą, ale dają coś, co czasami

trudno osiągnąć w szkole. Zajęcia teatralne mogą podciągnąć dykcję, emisję głosu, uczą mowy ciała, postawy przed publicznością, tego, by stanąć twarzą w twarz przed grupą ludzi i zaprezentować się, zwrócić na siebie uwagę. To jest jeden aspekt. Drugi aspekt to aspekt plastyczny. Na elementarnych ćwiczeniach i zadaniach młodzi ludzie uczą się dobierać kolory, komponować kształty i struktury, robić z tego wszystkiego coś, co staje się potem scenografią do spektakli. I zaczyna to współbrzmieć: człowiek i dzieło sztuki, pomysł i realizacja. Tak byłow Rukojniach pod Wilnem i myślę, że wyniki były bardzo dobre, ja przynajmniej miałem poczucie dobrze wykonanej roboty.

Był Pan również inicjatorem wspólnych działań plastycznych gimnazjalistów z młodymi ludźmi, których obecnie w Polsce tak ładnie się określa - sprawni inaczej?

Zaczęło się od tego, że dwie dziewczyny pracujące w Diakonii Śląskiej zgłosiły się do mnie z prośbą, bym je troszkę przygotował do egzaminów wstępnych na artoterapię do Hradca Králové. Po kilku spotkaniach wpadliśmy na pomysł, że spróbujemy wspólnie coś stworzyć. Miałem wielkie obawy, bo do tej pory niespecjalnie interesowałem się takimi ludźmi. Dla mnie to był zupełnie nowy świat. Byłem zmuszony do zaznajomienia się bliżej z całą problematyką. Okazało się, że to jest gra warta świeczki, bo dla nich, wtedy to był ośrodek Betezda w Ligotce Kameralnej, to jest coś fascynującego. Nagle znaleźli się w zupełnie nowym środowisku. Najpierw było pierwsze spotkanie, potem drugie, i wystawa. I tak kontaktujemy się, została nawet nazwa Kontakty, bodajże od czterech lat, spotykamy się jesienią, spotykamy się wiosną. Kontakty się pogłębiły i próbujemy wspólnych działań teatralnych. Sztuka, którą wymyśliłem i której nadaliśmy już ostateczny kształt, także idzie w kierunku teatru przedmiotu, nazywa się „Ręce". Mówi o tym, jak czasami trudno jest nawiązać kontakt, podać rękę drugiemu człowiekowi. Premiera będzie na przełomie maja i czerwca w Görlitz na międzynarodowym spotkaniu takich ośrodków jak Diakonia czy Caritas. Pojedzie tam również trójka naszych uczniów.

Absolwenci czeskocieszyńskiego gimnazjum wybierają także studia artystyczne. Udział w Kresach, praca w Sz.K.A.P.-ie zapewne pomaga im w ukierunkowaniu zainteresowań?

O to, czy im to coś daje, trzeba by zapytać ich samych. Dosyć dużo ludzi, którzy przewiną się przez te działania, kroczy w tym kierunku. Na przykład Jola Molenda skończyła przed rokiem Wydział Lalkarski białostockiej Filii Akademii Teatralnej i jest zaangażowana w katowickim Teatrze im. Wyspiańskiego. Teresa Branna studiuje aktorstwo, Basia Humel gra jako adeptka w Scenie Polskiej, Iza Kapias zdaje do szkoły teatralnej itp. Możemy też odnotować sukcesy, jeśli chodzi o pedagogikę specjalną i pracę społeczną.

Praca w szkole, działania pozalekcyjne, a nawet pozaszkolne literacko-plastyczne zaowocowały doktoratem?

To prawda, wiosną minionego roku obroniłem w Katowicach na Uniwersytecie Śląskim dysertację, której tytuł brzmi: „Kształtowanie odbioru literatury i sztuki w liceum", jest to praca z zakresu metodyki, ukierunkowana na działania interdyscyplinarne integrujące wychowanie ku wartościom. Coś mnie pchnęło w kierunku teorii, by być podbudowanym w momentach, kiedy młodzieży trzeba coś wyjaśniać. Po

prawie pięciu latach powstała praca, która opierała się na pracy w szkole. Tu zawsze z pierwszą albo też czasami z drugą klasą robimy w ciągu roku dwie lekcje dramy, które są próbą interpretacji dzieł klasyków, np. „Antygony", „Balladyny". Trzeba wybrać odpowiednią scenę, nauczyć się tekstu i przedstawić go. Odbiorcami są koledzy z klasy. Jest to jakieś przygotowanie do konkursów, egzaminów, do swobodnego wyjścia przed publiczność. Do tego dochodzą różne metody interpretacyjne. W związku z przygotowaniem do nowej matury coraz większy nacisk kładzie się na interpretację tekstu i to nie tylko literackiego, nazwijmy to tekstu kultury, czyli tym tekstem może być muzyka, może być obraz i tak samo dzieło literackie. Najbardziej odpowiada mi przekład intersemiotyczny, który zastosowałem w wypadku „Balladyny" i takiej gry ze słówkami, co dokładnie zostało opisane właśnie w dysertacji. Stosuję te metody w szkole, czy to na wychowaniu plastycznym, czy na języku polskim, gdzie młodzi ludzie otrzymują zadanie: zilustruj, a potem siedzimy na lekcji i omawiamy, analizujemy, przypatrujemy się temu, co wyszło spod ich ręki. Przedmiotem dociekań są między innymi następujące kwestie: czy ilustracja odpowiada tekstowi klimatem, symboliką, które elementy plastyczne są ekwiwalentem dla literackich, no i okazuje się, że czasami rodzą się świetne pomysły interpretatorskie do wierszy Mickiewicza czy Słowackiego. Marzę o tym, że gdyby było więcej czasu w czwartej klasie przed maturą, to z całą pewnością spróbowałbym zrobić taki przekład intersemiotyczny poezji współczesnej.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



MÓJ DOBRY ANIOŁ STRÓŻ (1)

Rok 1939, a raczej sierpień tego roku, był krytycznym miesiącem mojego życia. Nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie mi spędzić prawie całe życie poza granicami mojego Zaolzia i wieść spokojne i wygodne życie w dalekiej Kanadzie. Przecież otrzymałem medal od rządu Kanady za 35 lat wzorowej służby, zwłaszcza jako inżynier elektronik i jako egzaminator wynalazków w dziedzinie telekomunikacji, a ostatnio elektronicznych przyrządów lekarskich. Stanowisko to opuściłem w 1993 roku, mając 71 lat. Więc musiałem być dobrym pracownikiem, skoro mnie tak długo trzymali na tej posadzie, a do tego muszę przyznać, że praca była bardzo interesująca, miałem do czynienia z najnowszymi wynalazkami. Jestem pewny, że miałem dobrego Anioła Stróża, bo mogłem wylądować w niemieckim obozie koncentracyjnym na początku wojny z powodu przynależności do tajnej organizacji wojskowej, tzw. Organizacji Bojowej, albo na Syberii pod koniec wojny jako „cichociemny". Ale wróćmy do tego sierpnia 1939 roku.



Jako 17-letni chłopak byłem pełny zapału, bo miałem rozpocząć we wrześniu moją naukę w 5 klasie polskiego gimnazjum w Boguminie, zwłaszcza że nie trzeba było jeździć do naszego polskiego gimpla w Orłowej, jak to było rok przedtem. Nie trzeba było się śpieszyć na pociąg, tylko mały spacerek wzdłuż kolei żelaznej do Bogumina. Pod koniec lipca nasz drużynowy, który też był członkiem tajnej organizacji wojskowej (o czym ja wtenczas nie wiedziałem), zwołał zbiórkę, w której miało wziąć udział tylko pięciu z naszej drużyny. Tam się dowiedziałem, że zostałem wybrany jako członek tejże organizacji, nawet nie wiem, kto podał moje nazwisko, to mogła być moja kuzynka albo nawet nasz drużynowy. Wszystko było podawane w sekrecie. Przecież to była organizacja konspiracyjna. Trzeba też było wszystko ukrywać. W sierpniu zostaliśmy wysłani na kurs, gdzie nas przez dwa tygodnie uczono, jak strzelać z pistoletów, rzucać granatami i po-

dobne rzeczy. Po kursie, gdzieś w Puszczy Kampinoskiej, pojechaliśmy wprost do Krakowa, gdzie w biurze jakiegoś kapitana Wojska Polskiego (zdaje się z „dwójki") składaliśmy przysięgę wojskową. Kazano nam wybrać sobie pseudonim i zrobiono zdjęcia. Ja wybrałem sobie pseudonim Felek, pod którym miałem figurować w pracy konspiracyjnej. I tak rozpoczęła się moja kariera wojskowa. Mając 17 lat, byłem już członkiem Organizacji Bojowej. Przyjazd do Skrzeczonia odbył się bez przeszkód. Oczywista, przed wyjazdem nasz drużynowy zaznaczał, że jedziemy w mundurkach harcerskich, i dlatego było łatwo nam udawać, że byliśmy na jakimś obozie harcerskim.

Dokładnie dwa dni przed rozpoczęciem wojny dostałem rozkaz, żeby przyjść w pewne miejsce, gdzie dostanę broń. Okazało się, że broń składała się z dwóch pistoletów i dynamitu ze spłonkami. Wszystko było szczelnie zapakowane w puszkach od konserw, nigdy nie miałem sposobności sprawdzić, co w tych puszkach było, bo rozkaz był, żeby to wszystko zaraz zakopać, zapamiętać gdzie (nic na papierkach, wszystko w głowie) i nikomu nie zdradzać. Zakopałem dynamit, spłonki i jeden pistolet. Drugiego nie zdążyłem, bo mama wołała, co tam tak długo robię na polu. Zostawiłem więc zagrzebywanie na jutro. Ale jutro, 1 września, niosło ze sobą nowe perypetie, to była już prawdziwa wojna. Panika wszędzie, wojsko się wycofuje, przestają działać urzędy, jak np. poczta. Koleżanka Herminka oraz jej mama przyszły z płaczem, żeby się pożegnać, bo ojciec wycofywał się z całym urzędem pocztowym, a one też. U nas narada na całego, co robić. Na początku też chcieliśmy uciekać, ale ja z wiadomych powodów musiałem zostać. W końcu mama zdecydowała: Co tam będziemy się po świecie wałęsać, zobaczycie, że Polacy przepędzą Niemców aż do Berlina. Więc jakoś z tej sytuacji wybrnąłem, tylko żeby jeszcze ten drugi pistolet zakopać. Zakopałem, ale dopiero następnego dnia, i to tylko tak tymczasowo, bo więcej czasu człowiek spędził, słuchając radia. Do dziś dnia nie mogę zapomnieć tych ciągłych komunikatów: Uwaga, uwaga nadchodzi (jakiś szyfr) i znowu, uwaga, uwaga... przeszedł.

Słuchaliśmy radia co dnia, łudząc się nadzieją, że nasi jakoś dadzą sobie radę z Niemcami, może stanie się jakiś cud, jak cud nad Wisłą w 1921 roku. Dni mijały, potem miesiące, a Niemcy, ci miejscowi Volksdeutsche, zaczęli się panoszyć. Zaczęły się pierwsze aresztowania Polaków i wywożenie do obozów koncentracyjnych. Zamknęli naszego drużynowego i wielu innych. Zostaliśmy sami z naszą „konspiracją". Postanowiliśmy siedzieć cicho, bo „komenda" była już zamknięta. Może nas też wkrótce zamkną. Ale ktokolwiek coś o nas wiedział, nie zdradził. Dzięki Bogu. Wszyscy Polacy, którzy by coś o Organizacji Bojowej mogli wiedzieć, byli zamknięci, przecież Niemcy mieli ułatwioną sprawę, oni to pierwsi wyłapali tych wszystkich, co otrzymali Krzyże albo Medale Zasługi. I tak życie upływało w ciągłej świadomości, że może

mnie zamkną. O szkole nie można nawet marzyć, dla nas Polaków to nie istniało.

Na wiosnę 1940 roku mnie i brata zabrano do robót w lesie, wpierw do sadzenia drzewek, potem do „kręcenia włosiony". Włosiona to taka długa trawa, która używana była w tych czasach do wyrobu materaców. Chociaż szkoły otwarto, ale tylko niemieckie, dla Niemców i Czechów. Nam dali „fingerabdruck", później kazali przyszyć dużą literę „P", żeby nas odróżnić od Żydów, no i tak się żyło w raju, a raczej w Reichu.

Miesiące, potem lata mijały, czekaliśmy na jakiś cud. A tu nic, Niemcy zaczęli się coraz bardziej panoszyć i gnębić ludność miejscową. Mnie wzięli do cegielni, żeby tam robić cegły szamotowe dla odlewni żelaza Hahn w Boguminie. Tam też uratowałem życie jednej ze współpracownic, której długie włosy jakoś zaczepiły się do dużego pasa, który popędzał całą tę maszynerię, która prasowała cegły. Decyzja była szybka... ratować biedną. Nie wiem, skąd wziąłem tyle sił, ale złapałem gołą ręką za szybko biegnący pas, pociągnąłem pas w bok, no i maszyna stanęła. Wszyscy stanęli jak wryci, bo nikt się nie spodziewał, że taki rzemień można ręcznie zrzucić z koła. Następna praca była u Hahna, gdzie pracowałem w „baulajtunku", czyli przy mularzach. Czasami praca była dosyć znośna, jak na przykład kiedy byłem pomocnikiem tylko dla jednego mularza, który robił jakieś małe przeróbki. Pomogła mi w tym wypadku znajomość kreślarstwa jeszcze z orłowskiego gimpla, mogłem odczytywać plany przeróbki, a stary mularz mnie za to lubił, bo sam nie bardzo mógł sobie z tym poradzić. Gorzej było, kiedy musieliśmy cały piec służący do odlewu żelaza wykładać w środku cegłą szamotową. Trzeba było do jeszcze gorącego pieca, o temperaturze około 100 stopni, wchodzić i wybijać dużym młotem i dłutem starą cegłę, żeby dać nową. Praca ta wymagała ogromnego wysiłku fizycznego, bo przecież wszystko się na człowieku paliło, a kierpce z drewnianymi podeszwami i szmaty, którymi były nogi pozawijane, dużo nie pomagały.

Z konspiracją cicho. Wszystkich koło nas pozamykano, dochodziły tylko wiadomości, że niektórzy są w Dachau, znowu inni w Mauthausen lub Oświęcimiu. Postanowiłem wtajemniczyć w te sprawy mojego brata Otka, żeby w razie czego i on coś o tym wiedział. Bertek, Albert, był za młody, żeby go wciągnąć w te sprawy. Zresztą on odrobił swoje po wojnie, gdyż pracuje niezłomnie społecznie do dziś dnia. Dobrze, że to zrobiłem, bo okazało się, że Niemcy postanowili rozszerzyć dworzec kolejowy w Boguminie i zaczęli kłaść nowe szyny kolejowe koło nas. Patrzę, i o zgrozo, zaczęli się zbliżać z konstrukcją do miejsca, gdzie był zakopany jeden z pistoletów, ten ostatni. Właśnie w tym miejscu miał przechodzić rów. Kopali go Żydzi. Widziałem ich duże gwiazdy na łachmanach więziennych. Notabene, później myśmy sami musieli nosić to duże „P" jako Polacy. Więc zaraz wziąłem brata, żeby ten pistolet ja-

koś stamtąd wykopać. Nie było to łatwe, bo było tam pełno żołnierzy niemieckich na straży. Wzięliśmy więc koszyk, niby to na zbieranie trawy dla królików, i zaczęliśmy wykopywać. Praca była żmudna, całe szczęście, że teren był trochę piaszczysty, więc udało nam się ten pistolet jakoś wydłubać z ziemi. Stało się to w samą porę, bo już widzieliśmy, jak jakiś esesman biegnie w naszym kierunku i krzyczy: Raus! Raus!... Widząc, że odchodzimy, zatrzymał się, puszczając w naszym kierunku tylko parę przekleństw. Całe szczęście, że się na tym skończyło i że nie widział dziury po tym pistolecie. Zakopanie tej broni odbyło się już bez żadnych kłopotów. Właściwie to nic nie mogliśmy robić, bo rozkaz był wyraźny: Bez upoważnienia dowódcy materiałów nie ruszać. Więc zaczęliśmy robić rzeczy, które w przyszłości może na coś się przydadzą, jak np. liczenie transportów wojskowych jadących na front rosyjski. Wszystko zaszyfrowane tak, że tylko my mogliśmy te informacje jakoś odcyfrować. Patrząc teraz wstecz na to wszystko, wierzę, że nad nami naprawdę czuwał Anioł Stróż, bo inaczej skończylibyśmy w obozie koncentracyjnym.

Chociaż jeszcze w 1943 roku nosiliśmy to słynne „P", to jednak po porażce Niemców pod Stalingradem wszystkich brali do wojska. Dostaliśmy rozkaz zameldowania się w koszarach. Mamie jakoś udało się przedłużyć nasz pobór z powodu prac na roli. Ale nie na długo. Ja musiałem się zgłosić w koszarach w Bielsku w czerwcu, a Otka wzięli parę miesięcy później. Z Bielska podróż w „byczokach" koleją do Południowej Francji na typowe ćwiczenia rekrutów. Była to ta sama zgraja, co i ja, Zaolziacy i Ślązacy, tak że mówiliśmy po „naszymu" między sobą. Komenda składała się ze starych Austriaków, toteż nam dużo trudności nie sprawiali, gorzej było z tymi Volksdeutschami z Górnego Śląska w randze kaprali czy też plutonowych. Ci nam potrafili zajść za skórę z ich „Nur Deutsch sprechen". Ale jakoś ten okres zaprawy żołnierskiej przeżyłem.

Rok 1944 zastał mnie we Francji w okolicy Dieppe. Nasz oddział składał się z ludzi jak ja niespolegliwych i dlatego też naszym zadaniem było budowanie drugiej linii obrony, składającej się z drewnianych ziemią osypanych bunkrów. Całymi dniami pracowaliśmy z łopatą albo „krympoczem" w ręku. Broń też była rozmaita, bo wyfasowaliśmy karabiny belgijskie, ale naboje były włoskie i do tego rodzaju karabinów nie pasowały. Więc prawdę mówiąc, bronić mogliśmy się tylko bajonetami. Nie wiem, czy to była rzeczywista pomyłka, czy też coś innego. W tym też czasie kolega, który miał dobre stosunki z cywilami Francuzami (mówił dobrze po francusku), dowiedział się o lądowaniu Aliantów na południe od nas. Informował nas o posuwaniu się frontu, o oddziałach polskich pod dowództwem generała Maczka, walczących po stronie Aliantów. Marzyłem o tym, żeby się do tych oddziałów dostać.

Okazja nadarzyła się parę dni później. Nasz oddział dostał rozkaz wycofa-

nia się. Nie wiem, co było powodem tego, pono Niemcy chcieli budować nową linię obrony gdzieś w Niemczech. Nie byliśmy wprawdzie kompanią saperów, ale przecież budowaliśmy bunkry w okolicy Dieppe. Przed samym wycofaniem ja dostałem nowy pistolet oraz tak zwaną „faust patronę" (ręczna broń przeciwko czołgom). No i wyruszyliśmy. Odwrót był raczej powolny, bo ciężarówek nie było, tylko zarekwirowane francuskie dwukołowe furmanki, do których zaprzągnięto ciężkie konie belgijskie albo woły. Nic więc dziwnego, że cała ta nasza kolumna posuwała się żółwim krokiem i rozwlekła na parę kilometrów, używając bocznych polnych dróżek. Powodem tej rozwlekłości były też naloty samolotów alianckich. Miało się ku zachodowi słońca, kiedy to wkroczyliśmy do lasku. Byłem razem z Górnoślązakiem z Rybnika i szliśmy za jedną z furmanek, druga była o jakichś 300 metrów za nami. Postanowiliśmy zwiać w bok do lasku. Mieliśmy też przygotowaną wymówkę, że to niby musieliśmy pójść do lasu, żeby się załatwić. Nie wiem, czy by to pomogło, bo to przecież była dezercja. Czekaliśmy ukryci za krzakami przez dobre 10 minut, bacząc, czy przypadkowo nie zacznie się jakiś alarm. Te minuty wydawały się jak całe wieki, bo przecież wiadomo, co by się z nami stało, gdyby nas Niemcy złapali. Byliśmy przecież dezerterami, a takich się rozstrzeliwuje na miejscu. Teraz tylko pozostawało przeczekać tę noc, a jak się front posunie, przejść do aliantów. Więc czekaliśmy. Upłynęła godzina, na drodze się uspokoiło, więc zaczęliśmy myśleć o jakimś noclegu. Położyliśmy się pod jakimś dużym drzewem i postanowiliśmy trzymać wartę, to znaczy jeden miał spać, a drugi czuwać. Zasada prosta, ale jak tutaj spać, kiedy tyle myśli przesuwało się przez głowę. Więc całą noc przesiedzieliśmy, nic nie mówiąc, tylko szepcząc od czasu do czasu, jak się usłyszało jakiś szmer. Nawet wybuchów dział nie słyszeliśmy, a przecież front niby miał się przesuwać niedaleko. Rano zjedliśmy część naszej „żelaznej racji" i postanowiliśmy czekać. Zaczęliśmy chodzić po lesie, żeby po harcersku zbadać teren. Lasek był mały, a na każdym obrębie lasku była albo droga, albo jakaś polna dróżka. Mieliśmy tylko pistolety i plecaki, „ciężką broń" i maski gazowe zostawiliśmy w lasku. Więc ruszyliśmy jedną z tych dróżek na południe. Na zakręcie patrzymy, a tu jakiś cywil pędzi na rowerze. Jak nas zobaczył, tak się przeraził, że po prostu wpadł razem z rowerem w rów. Gestykulujemy, podnosząc ręce w górę, że się chcemy poddać. Nareszcie zrozumiał, bo kazał nam rzucić na ziemię pistolety, zresztą tak to zrozumieliśmy. Teraz dopiero zauważyliśmy, że miał biało-czerwono-niebieską opaskę na ramieniu, więc mógł być jakimś partyzantem albo łącznikiem. W każdym razie kazał nam pójść za sobą. Doszliśmy do takiej małej farmy, gdzie nasz Francuz zaprowadził nas do jakiegoś domku, gdzie było parę osób. Jakaś młoda pani zaczęła pytać łamaną niemczyzną, kim jesteśmy, a my nic, tylko mówimy, że my „Polone". Zdaje się, że zrozumieli, bo dali nam francuskiego chleba i na-

wet szklaneczkę wina. Jeden z nich gdzieś poszedł, wrócił za parę godzin, zaprowadził do stodoły i kazał cicho siedzieć. Dopiero następnego dnia w południe wrota stodoły się otwierają i wchodzi grupa ludzi, a między nimi jeden, który mówił po polsku, a raczej po „naszymu", bo był to jeden z tych Ślązaków, który jeszcze przed wojną wyemigrował do Francji, żeby pracować w kopalni w Północnej Francji. Zaraz też zwierzyliśmy mu się, że chcemy wstąpić do oddziałów generała Maczka. Było to prostsze niż spodziewaliśmy się, bo oddziały te były niedaleko. Trzeba było tylko przeczekać do zmroku, żeby jakiś inny oddział aliancki nas nie zobaczył, przecież mieliśmy jeszcze mundury niemieckie. Okazało się, że ten facet, co nas wziął do „niewoli", był z francuskiej partyzantki i dlatego nam to wszystko tak spokojnie poszło.

BRUNON GRZEBIEŃ
c.d.n.

BRUNON GRZEBIEŃ

Rodak ze Skrzeczonia zamieszkały w Kanadzie. Społecznik, kombatant, członek zarządu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Ottawie 12 marca br. obchodzi 80. urodziny.

Z tej okazji najserdeczniejsze życzenia zdrowia, szczęścia, wszelkiej pomyślności i błogosławieństwa Bożego

składają

brat Albert oraz brat Oton z Kanady z rodzinami

Za wierność Zaolziu i polskości dziękujemy w imieniu Rodaków

REDAKCJA ZWROT



Plener Łomna Górna 2001, fot. CEZARY DYBOWSKI

PIERWSZY ROK ZAOLZIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne zostało założone w listopadzie 2000 roku. Oficjalna rejestracja w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RC ma datę 7 lutego 2001. Można by więc powiedzieć, że w lutym 2002 roku była pierwsza rocznica działalności ZTF.

Poniższy tekst jest streszczeniem spontanicznej dyskusji, jaka odbyła się w naszej redakcji, z dwoma czołowymi przedstawicielami Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego - Kazimierzem Brannym i Adamem Szopem.

W rzeczywistości działania fotografików polskich na terenie Republiki Czeskiej w ramach oficjalnej organizacji mają dużo głębsze korzenie. Po przemianach po-

litycznych w roku 1989 i z tym związanych zmianach w działalności PZKO, mających odzwierciedlenie w działaniach Pionu Foto-Filmowego SLA przy ZG PZKO, dochodzi do jego jeszcze większego wyciszenia. Przyczyn tego stanu nagromadziło się bardzo wiele. Jednak podstawową z nich to radykalne zmiany w działaniach indywidualnych członków wymienionego tu pionu. Na długi czas niemałą część z nich pochłaniają sprawy prywatne, własne inicjatywy zawodowe, sprawy rodzinne, jako że członkami SLA byli ludzie młodzi.

Trzeba też odnotować ważną w tym kontekście sprawę zaniku w tym samym okresie kółek fotograficznych. Przestały istnieć w szkołach, w Domach Dzieci i Młodzieży, i w domach kultury przy zakładach pracy. Tym samym w zasadzie zaniknął napływ młodych, zainteresowanych fotografią twórczą, i do SLA. W ogóle jest to czas jakby śmierci naturalnej fotografii amatorskiej. Błyskawicznie rozszerzona powszechna dostępność automatycznych kamer fotograficznych, automatów do opracowania filmów kolorowych i powiększeń likwiduje prawie wszystkie ciemnie domowe. Fotografia amatorska w zasadzie przestaje istnieć, a z nią przestają istnieć inwencje twórcze pasjonatów tej dziedziny sztuki. Poza tym fotografia była u nas w całej plejadzie sztuk zawsze „Kopciuszkiem" i jest tak do dnia dzisiejszego. Ciągle u nas działają, godne najwyższych pochwał, podstawowe szkoły artystyczne, uczące zainteresowanych, już w trakcie uczęszczania do szkoły podstawowej, gry na instrumentach muzycznych, śpiewu, tańca, wszelkich technik plastycznych. Nie słyszałem o żadnej, która uczy fotografii. Chyba w myśl do dziś powszechnego hasła - „fotografia to przecież żadna sztuka, tylko pstrykniesz i gotowe". Może to się zmieni właśnie na tym najniższym szczeblu, dla najmłodszych, tak jak wiele się zmieniło w możliwościach kształcenia fotografików na stopniu średnim i wyższym. To jest niestety zależne od decydentów kultury, ale także od zmiany zapatrywań rodziców, płacących na przykład za naukę swego malca gry na akordeonie, lecz za naukę tworzenia artystycznych obrazków aparatem fotograficznym?...

Założenie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego poprzedzało wiele spotkań w szerszym gronie, jak również w węższej grupie założycielskiej. *Współpraca z CTF zawiązała się już w czasach Pionu Foto-Filmowego SLA. Wspomnieć tu trzeba przede wszystkim Spotkania Fotografików w Śmiłowicach. Pierwsze odbyło się w roku 1988, a potem takie spotkania były kontynuowane corocznie. Na nich dochodzi do jeszcze większego zacieśniania przyjaźni pomiędzy polskimi fotografikami z obu brzegów Olzy. Oprócz tego odbyło się wiele wspólnych spotkań przy okazji wystaw w Domu Narodowym, spotkań roboczych. Odbyły się również wspólne plenery fotograficzne: w Cierlicku (1987), w Koszarzyskach (1989), w stadninie koni w Ochabach (1992), przy Morskim Oku w Tatrach (1996). W roku 1998 odbywa się drugi Plener Fotograficzny w Koszarzyskach - tu w trakcie części tego pleneru przeniesionej do Huty Trzynieckiej dochodzi do znaczącego przełomu. Wtedy nasi fotograficy zaczęli się poważnie zastanawiać nad powrotem do wspólnej działalności twórczej. Postawa zaprzyjaźnionych członków CTF zdopingowała wielu naszych fotografików, którzy na jakiś czas wycofali się z działalności. Poplenerowa wystawa odbyła się w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie w roku 1998.*

Ważnym bodźcem do ponownego zorganizowania fotografików na Zaolziu była chęć wytworzenia partnerskiej organizacji dla CTF, z którą można by nawiązać oficjalną współpracę i realizować wspólne poważne projekty.

Spotkania przygotowawczych grup inicjatywnych odbywały się pod koniec roku

2000. Skład grupy założycielskiej Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego tworzyli: Kazimierz Branny (wybrany na przewodniczącego), Radomir Krygiel, Wiesław Przeczek i Adam Szop. Obok nich na samym początku w skład członków wchodzą: Kazimierz Jaworski (aktualnie kronikarz ZTF), Bohdan Krzywoń, Karol Nowak, Marek Santarius, Piotr Wojoczek. Później dołączyli: Roman Dzik, Tadeusz Gabryś (aktualnie senior w tej organizacji), Bruno Michalik, Tomasz Zwyrtek. Na dzień dzisiejszy Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne liczy trzynastu członków. Pięciu z nich posiada profesjonalne wykształcenie w dziedzinie fotografii. Zaś w pełni zawodowo poświęca się fotografii trzech.

Pierwsza wspólna wystawa ZTF i CTF odbyła się w maju 2001 roku w Klubie PZKO na ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie, przy wsparciu MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum. W tym samym miesiącu odbyła się wspólna akcja CTF i ZTF „24 godziny - Cieszyn", czyli 24 godziny fotografowania w obu Cieszynach. Jej efektem była wspólna wystawa w Domu Narodowym w Cieszynie nazwana „Cieszyn w detalach". Ze strony ZTF uczestniczyło w tym przedsięwzięciu trzech członków. W lipcu 2001 odbyło się dziewiąte Spotkanie Fotografików w Śmiłowicach. Uczestniczyło w nim ponad 20 członków obu Towarzystw. Głównym tematem tego spotkania były przygotowania do wspólnego jesiennego Pleneru Fotograficznego, który odbył się w lipcu 2001 roku w Łomnej Górnej. Uczestniczyło w nim 23 fotografików, z tego 10 członków ZTF. Plonem tego pleneru była wystawa w Domu Narodowym w Cieszynie (20.11-3.12), potem w Miejskim Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie (7.12.2001-30.1.2002), w tym czasie przeniesiona do Galerii Stary Klasztor w Jabłonkowie (20.12-30.12). Do wystawy został wydrukowany kolorowy folder. Plon tego pleneru był dodatkowo prezentowany na stronach Kalendarza Śląskiego 2002.

ZTF działa również w kierunku współpracy z innymi organizacjami fotograficznymi w Czechach. W roku 2001 nawiązano współpracę z Fotoklubem w Jabłonkowie, a później z Fotoklubem w Karwinie. Odnowiono też kontakty ZTF z twórcami z innych dziedzin artystycznych - literatami i plastykami.

Regularne comiesięczne spotkania członków ZTF odbywają się Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu. Tam też w Klubie IKAR odbyła się w grudniu wspólna wigilijka ZTF i CTF.

Istnieją już w wersji roboczej strony internetowe ZTF (sweb.cz/ztf/ztf.htm).



Dyskusja przy okazji Fotoklubu jabłonkowskiego na plenerze w Łomnej Górnej, fot. TADEUSZ SZAFARCZYK



Wernisaż wystawy w Domu Narodowym (20. 11. 2001) fot. BRUNO MICHALIK

Członkowie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego stwierdzili, że borykali się na początku z niemałymi trudnościami organizacyjnymi. *Nieraz więcej było tego załatwiania różnych spraw od poświęcania się właściwemu fotografowaniu.*

Oprócz wspomnianego już tu Kalendarza Śląskiego fotograficy zrzeszeni w ZTF publikują swe fotogramy w rubryce założonej specjalnie dla nich w Zwrocie (szkoda tylko, że poniekąd sporadycznie, i jak dotąd nie wszyscy skorzystali z możliwości własnej prezentacji). Swymi fotografiami ilustrują również rubrykę literacką Jemioła w Głosie Ludu.

Walne Zebranie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego odbyło się 28 lutego 2002 roku. Plany ZTF na rok 2002 są bardzo bogate. Obejmują one:

- *Regularne comiesięczne spotkania.*
- *Zagospodarowanie pomieszczeń ZTF w siedzibie Kongresu Polaków przy ulicy Komenskiego w Czeskim Cieszynie.*
- *Rozwijanie kontaktów z innymi środowiskami fotograficznymi w RC i w Polsce.*
- *Przygotowanie konkursu fotograficznego dla uczniów szkół średnich.*
- *Dziesiąte, jubileuszowe Spotkanie Fotografików w Śmiłowicach, które odbędzie się w czerwcu 2002 roku.*
- *Rozważana jest możliwość zorganizowania tradycyjnego już Pleneru Fotograficznego, ale tym razem jako międzynarodowego z udziałem fotografików z innych krajów.*
- *Współpraca z Fotoklubem w Jabłonkowie przy zorganizowaniu jego prezentacji w Domu Narodowym w Cieszynie (w październiku 2002 roku).*
- *Wigilijka w Klubie IKAR w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu.*

Fotograficy zaolziańscy ponawiają zaproszenie do wstąpienia w szeregi ZTF wszystkich zainteresowanych fotografią, nie tylko aktywnych fotografików, ale również kolekcjonerów fotografii, jej miłośników i popularyzatorów.

W roku 2003 przypada setna rocznica zaistnienia fotografii na Zaolziu (od powstania na tym terenie pierwszych atelierów fotograficznych).

Reasumując ten pierwszy rok działalności Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, możemy stwierdzić, że ma ono na swym koncie poważne, liczące się dokonania. Na szczególną uwagę zasługuje jego szeroka działalność ponadregionalna, transgraniczna. Na pewno nie wszystko się udało, co dotyczy chyba szczególnie szerszej, naprawdę poważnej aktywizacji większej ilości członków. Ten fakt jednak nie jest bezpośrednio zależny od działaczy ZTF, a od zainteresowanych tym rodzajem wspólnych działań twórczych, jakie ZTF proponuje w tej, dla wielu z nas ciągle jeszcze nowej rzeczywistości. ZTF zaczyna też odczuwać brak w naszym środowisku renomowanych krytyków twórczości fotograficznej (luka, jaka powstała po śmierci wybitnego na skalę światową fotografika i znawcy fotografii Jana Byrtusa, nie została dotąd przez nikogo uzupełniona).

zanotował FRANCISZEK BAŁON



Wystawa poplenerowa w Jabłonkowie



Wigilijka 2001, fot. KAZIMIERZ BRANNY

STOWARZYSZENIE ARTYSTÓW PLASTYKÓW W ROKU 2001

Ocenie działalności i osiągnięć członków SAP w roku 2001 poświęcone było zebranie członkowskie, które odbyło się w salce ZG PZKO 3 stycznia. W roku ubiegłym spotkali się plastycy zrzeszeni w Stowarzyszeniu Artystów Plastyków przy ZG PZKO na czterech zebraniach członkowskich, zaś zarząd spotykał się w zależności od potrzeby.

W 2001 roku zrealizowali trzy wystawy zbiorowe, w których uczestniczyło 14 plastyków: Edgar Baran, Alicja Bartulec, Władysław Ćmiel, Józef Drong, Edward Kaim, Darina Krygiel, Zbigniew Kubeczka, Monika Milerska, Oskar Pawlas, Halina Szkopek, Romana Taszek, Walter Taszek, Paweł Wałach, Tadeusz Wratny. W sierpniu z okazji Gorolskigo Święta odbyła się w ratuszu w Jabłonkowie wystawa, której komisarzem był Paweł Wałach. W związku z jubileuszem pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej zaprezentowana została następnie w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie. Była czynna pod koniec sierpnia i we wrześniu, komisarzem został Oskar Pawlas. Obrazy z cieszyńskiej wystawy powędrowały dalej do Domu Kultury w Orłowej Lutyni, gdzie można je było oglądać w październiku, funkcję komisarza pełnił Zbyszek Kubeczka.

Odbyły się też liczne wystawy indywidualne naszych plastyków. Bardzo sobie cenią zaszczyt wystawiania swych prac indywidualnie w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie, już od roku 1999. Kilku twórców skorzystało z tej możliwości i wystawiło tam swe prace. W styczniu 2001 roku była ciekawa wystawa dzieł naszych żyjących i nieżyjących artystów ze zbiorów Władysława Owczarzego. Następnie swoje prace wystawiali Halina Szkopek, Barbara Kowalczyk i Oskar Pawlas.

Wielkim zainteresowaniem cieszą się ekslibrisy Zbyszka Kubeczki, także za granicą. Wystawiał je w Belgii, Rumunii i Ostrowie Wielkopolskim. Wystawę autorską miał Paweł Wałach w Trzyńcu, Tadeusz Wratny w bibliotece w Czeskim Cieszynie Sibicy oraz Władysław Ćmiel w Siemianowicach, w Ośrodku Rehabilitacyjnym w Karwinie Darkowie oraz na Uniwersytecie Śląskim w Karwinie wspólnie z wystawą porcelany z Fabryki Porcelany w Ćmielowie. Romana Taszek i Walter Taszek mieli wspólną wystawę w Teatrze Śląskim w Opawie. Wspólnie wystawiały również swe prace plastyczki Darina Krygiel i Monika Milerska, było to w Domu Kultury w Orłowej Lutyni. Na wystawie „Karvinský salón" zaprezentowali się także nasi plastycy: Edgar Baran, Józef Drong, Zbigniew Kubeczka, Monika Milerska, Oskar Pawlas, Romana Taszek, Walter Taszek, Tadeusz Wratny.

Na międzynarodowe plenery malarskie do różnych miejscowości w Polsce, zaproszeni przez zaprzyjaźnione z nami środowiska twórcze, wyjechali: na plener Wisła - Babia Góra Oskar Pawlas i Paweł Wałach, do Kędzierzyna-Koźla Oskar Pawlas i Józef Drong, do Moszny Oskar Pawlas i Paweł Wałach, do Sułęcina Monika Milerska, Oskar Pawlas, Paweł Wałach, do Jastrzębia

Zdroju Darina Krygiel, Oskar Pawlas. Każdy plener kończył się wystawą poplenerową. Obrazy z Mosznej wystawiane były później w Łazienkach Królewskich w Warszawie. Każdy uczestnik pleneru zostawiał dla organizatorów dwa obrazy. Poza tym Oskar Pawlas i Paweł Wałach ofiarowali w Wiśle po jednym obrazie jako dar na wybudowanie skoczni, zaś w Mosznej złożyli po jednym obrazie na powodzian.

Rok 2002 także zapowiada się bardzo pracowicie. Już trwają pierwsze przygotowania do Międzynarodowego Pleneru Malarskiego Beskidy 2002 od 2 września w Pensjonacie U Studzienki w Łomnej Górnej. Zorganizowanie zbiorowego pleneru kosztuje wiele wysiłku. Przede wszystkim trzeba czynić starania o pozyskanie funduszów. Mamy na szczęście instytucje i przedsiębiorców, u których spotykamy się ze zrozumieniem. Członkowie SAP zapraszani są na plenery i w rewanżu zapraszają innych artystów do nas. Plener jest pomyślany jako warsztat pracy. Chodzi także o to, by nawzajem poznawać środowiska i kulturę. Po raz pierwszy zaproszeni zostaną na nasz plener plastycy z Litwy i Ukrainy oraz naturalnie plastycy z Polski. Bardzo chcieliby poznać nasz kraj plastycy z Belgii i Niemiec.

Nasi plastycy wyjadą na plenery malarskie do tych środowisk w Polsce, które nas corocznie zapraszają. Chcemy zorganizować jedną zbiorową wystawę w Cieszynie, a poza tym indywidualne wystawy według własnego wyboru.

LIDIA PAWLAS



Rys. OSKAR PAWLAS



BEATA GODEK – kompozycja (pastel)

SZTUKA JEST SUBIEKTYWNĄ DEFORMACJĄ NATURY

(przemówienie na wernisażu wystawy Beaty Godek w Galerii Trisia w Trzyńcu - grudzień 2001)

W jaskini Altamirze w południowych Pirenejach w 1879 roku odkryto na sklepieniach i ścianach malowane wielobarwnie wspaniałe sceny z życia zwierząt, przeważnie bizonów, oraz sceny polowań praczłowieka. Z okresu rozkwitu sztuki paleolitycznej sprzed - bagatela - 20 tys. lat.

Od tamtego czasu sztuka, szczególnie malarstwo, przechodzi różne fazy rozwoju, wzloty i upadki. Krytycy są zgodni co do tego, że największa transformacja, dosłownie rewolucja, dokonała się na przełomie XIX i XX wieku.

Przed stu laty Maurice Denis napisał: „Barbarzyńcom", prymitywom z 1890 r. zawdzięczamy wydobycie na światło dzienne kilku podstawowych prawd. Nie odtwarzać więcej natury i życia przy pomocy przybliżonego prawdopodobieństwa lub improwizowanego złudzenia wzrokowego, ale przeciwnie, odtwarzać nasze wzruszenia i marzenia, przedstawiając je przy pomocy harmonijnych form i kolorów. Jest to, sądzę, nowe postanowienie zagadnień sztuki; stanowisko w dalszym ciągu do dziś jeszcze aktualne.

...W ten sposób wyobraźnia staje się ponownie królową umiejętności. Tak więc wyzwoliliśmy naszą wrażliwość i sztuka zamiast być naśladowaniem stawała się subiektywną deformacją natury.

Kompozycja dekoracyjna, estetyczna, zamiłowanie do improwizacji nie była domeną tylko impresjonistów. Przeciwwagą, a może rozwinięciem tego kierunku stał się ekspresjonizm z bożyszczem koloru na piedestale. Bowiem poszukiwanie ekspresji usprawiedliwia wszelkie, nawet karykaturalne transpozycje. Deformacja obiektywna z kolei zmusza artystę do przekształcania wszystkiego w Piękno. W rezultacie synteza ekspresyjna jako symbol doznania musi przekazywać je w sposób wymowny, ale zarazem musi stanowić przedmiot stworzony dla radości oczu.

Gwałtowność, monotonia tonów, arbitralnie dobierane kolory itp. Tak, wszystko to musi istnieć i istnieje. Czasami jednakże owe powtórzenia tonów, monotonnych akordów w muzycznym rozumieniu barw, stosowane świadomie, czyż nie są analogiczne do owych zawodzących melodii Wschodu. Śpiewanych ostrym głosem z akompaniamentem sąsiadujących nut dźwięcznych, wzbogacanych przez przeciwstawienie; Beethoven często się nimi posługuje na przykład w „Sonacie patetycznej" - mówił Paul Gauguin.

Podobnie malarstwo Henry Matissa jest dalszym typowym przykładem komponowania dekoracyjności obrazu.

Kolor przede wszystkim musi służyć ekspresji!

I - dobór jego barw opiera się na obserwacji, na uczuciu i na doświadczeniu jego wrażliwości, też porównuje malarstwo do muzyki, jak pisze: Nie mogę niewolniczo kopiować natury, którą muszę interpretować i podporządkować idei da-

nego koloru. Wszystkie znalezione przeze mnie zestawienia powinny dać w rezultacie żywy akord kolorystyczny, harmonię - podobnie jak w kompozycji muzycznej. Ta strona ekspresywna koloru narzuca mi się po prostu instynktownie. Chcąc malować pejzaż jesienny, nie będę się starał uzmysłowić sobie kolorytu jesieni, będę tylko czerpał z mego doznania jesieni. Lodowata czystość nieba w swym jaskrawym błękicie wyrazi co najmniej równie dobrze tę porę roku, jak odcienie liści drzew. To doznanie moje może być różne: jesień może być łagodna, ciepła, jakby dalszy ciąg lata, albo przeciwnie - chłodna, gdy niebo jest zimne, a i drzewa swą cytrynowożółtą barwą tak samo działają, zapowiadając nadchodzącą zimę.

Dlaczego o tym wspominam i przytaczam te różne cytaty? Bo wydaje mi się, że twórcze poszukiwania Beaty Godek, artystki z Bielska-Białej, absolwentki kierunków artystycznych Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie oraz ASP w Krakowie, uprawiającej przede wszystkim pastel i techniki mieszane, wywodzą się z korzeni tej płodnej rewolucyjnej tradycji minionego wieku. Jej plastyczne wizje, penetracje artystycznego „ja" świadczą o świadomych powiązaniach z tamtym okresem, w którym niepodzielnie króluje: kolor, uczucie, nieposkromiona fantazja. Swobodne, przestrzenne rozwiązania na płaszczyźnie nie rażą jaskrawością kolorów, nie atakują widza brutalnością, ni deformacją, tyko poprzez synchronizację tworzą obraz jednolity. Jednakowa świetlistość kolorów, swoista symfonia wywołuje u widza tęsknotę do poznania świata, pełnego tajemniczości i niedomówień. Czy są to pejzaże? Z całą pewnością tak! Ale jakże odbiegające od taniego blichtru krajobrazów, usiłujących powielać naturę.

BRONISŁAW FIRLA

KRONIKA

ZJAZD GWIAŹDZISTY PO RAZ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tegoroczny Zjazd Gwiaździsty odbył się po raz 31. w sobotę 2 lutego. Miał on powrócić do pierwotnego tradycyjnego miejsca – do Mostów koło Jabłonkowa. Niestety niezwykle obiecujące warunki śniegowe w styczniu nagle zmieniły się. Organizator – Polska Szkoła Podstawowa w Mostach – był zmuszony część dyscyplin przenieść ponownie na Baginiec. Tam odbył się slalom klas 4–9.

Okazałe otwarcie (górale z Istebnej zagrali na trombicie i zaprezentowali historyczne narty i stroje do nich) oraz zakończenie Zjazdu odbyło się

na boisku pod mostecką szkołą. Gdy na stoku nad szkołą odbywały się biegi we wszystkich kategoriach wiekowych i slalom uczestników z klas 1–3, przygotowane autobusy przewiozły resztę zawodników na Baginiec, a po skończeniu konkurencji slalomowych przywiozły ich z powrotem.

W tym roku zgłosiło się 620 młodych zawodników, którym towarzyszyli rodzice i goście. XXXI Zjazd Gwiaździsty był równocześnie pierwszym na taką skalę zjazdem międzynarodowym. Obok uczniów polskich szkół podstawowych z obu powiatów wzięli w nim udział uczniowie czeskiej szkoły w Mostach, trzech szkół z Polski – Istebnej, Szczyrku i Bielska oraz dzieci z Żyliny na Słowacji. Klasyfikacja zwycięzców odbyła się więc na dwu poziomach – polskich szkół z Zaolzia i międzynarodowym.

Gośćmi Zjazdu byli między innymi: konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Małgorzata Filipek, senator Andrzej Feber, poseł Radim Turek, dyrektor departamentu sportu Ministerstwa Szkolnictwa RC Ladislav Nedorost, starosta mostów Augustyn Martynek, a także przedstawiciel Fabryki Samochodów Škoda Mlada Boleslav Josef Soustružník.

W klasyfikacji szkół wynik był następujący: 1. PSP Mosty k. Jabłonkowa (szkoła organizator), 2. PSP im. Stanisława Hadyny Bystrzyca, 3. PSP im. Henryka Sienkiewicza Jabłonków.

F.B.









W GOŚCINIE U CZESKOCIESZYŃSKIEJ HARFY

Chór Mieszany Harfa, działający przy MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, zaprosił na Zaolzie zaprzyjaźniony Chór Parafialny im. Jana Pawła II ze Strumian k. Wieliczki. 13 stycznia w kościele katolickim pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie goście Harfy śpiewem kolęd upiększyli Mszę św., a po niej koncertowali, prezentując swój bogaty repertuar sakralny.

Chór Parafialny im. Jana Pawła II działa przy miejscowej parafii w Strumianach już dwudziesty pierwszy rok. Pod koniec ubiegłego roku z okazji jubileuszu podczas wizyty czeskocieszyńskiej Harfy w Strumianach oba zaprzyjaźnione chóry wystosowały list do Ojca Św. Jana Pawła II. W odpowiedzi z Watykanu czytamy: *Jego Świątobliwość w modlitwie Opatrzności Bożej poleca Członków Chóru przy Parafii pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny w Strumianach oraz Członków Chóru Harfa w Czeskim Cieszynie, wyprasza duchowe dary i z serca udziela Apostolskiego Błogosławieństwa.*

Dwa polskie chóry, choć dzieli granica, łączy przyjaźń i braterstwo, braterstwo szczególne, bo dyrygenci: Harfy – Tomasz Piwko i Chóru ze Strumian – Piotr Piwko są braćmi, a pochodzą z Cieszyna.

E.S.

SPOTKANIE NOWOROCZNE PRZEDSTAWICIELEK KLUBÓW KOBIET

Tegoroczne tradycyjne spotkanie noworoczne przedstawicielek Klubów Kobiet działających przy Kołach PZKO odbyło się 23 stycznia w Domu PZKO w Gródku.

Spotkanie zagaiła przewodnicząca Sekcji Kobiet przy ZG PZKO Henryka Żabińska, po czym na scenę weszły dzieci PSP w Gródku razem z dyrektor tej szkoły Renatą Czader, żeby uświetnić spotkanie pań swym programem. Obecny na spotkaniu prezes MK PZKO w Gródku Karol Pilch zaznajomił obecne pokrótce z działalnością Koła. Gródeckie Koło ma aktualnie 340 członków. Ten jeden z pierwszych nowo wybudowanych Domów zaczął powstawać w roku 1969, w latach 1994–95 zainstalowano w nim centralne ogrzewanie i dobudowano kuchnię z zapleczem. W roku 1998 zaczęto przybudowywać scenę, której otwarcie miało miejsce w roku 2001. Obok działalności PZKO służy Dom dzieciom miejscowej szkoły, jest wynajmowany również innym organizacjom, a także na imprezy prywatne, co daje dochody pozwalające na jego utrzymanie. O wykorzystaniu Domu PZKO w Gródku świadczy chociażby bilans ubiegłego roku – odbyło się tu

ponad 50 imprez! W wielu z nich były zaangażowane w kuchni panie z miejscowego Klubu Kobiet. Przygotowały one również poczęstunek na to spotkanie.

Sprawozdanie z działalności Sekcji Kobiet odczytała jej długoletnia przewodnicząca Henryka Żabińska. Sekcja liczy 15 członkiń i odbyła w ubiegłym roku 8 zebrań. W każdym z nich uczestniczyło około 80% pań. Panie z Sekcji Kobiet w minionym roku uczestniczyły w otwarciu wszystkich wystaw w terenie od Bogumina po Mosty. Dla członkiń Klubów Kobiet zorganizowana była wycieczka do Pszczyny. W Górnej Suchej odbył się tradycyjny Babski Festyn. Sekcja nie dysponuje żadnymi środkami finansowymi i nie prowadzi żadnej działalności w tym zakresie. Chodzi więc o działalność w pełni społeczną bez żadnego wsparcia finansowego z zewnątrz.

Ze sprawozdania z działalności Klubów Kobiet wypływa, że z konieczności nie organizują one ostatnio za wiele imprez własnych, albowiem są w pełni zaangażowane w pomoc przy organizacji imprez zarówno Kół PZKO, jak i przy imprezach centralnych, takich jak Gorolski Święto, Festiwal PZKO i wiele innych. Niezwykle zaangażowanym paniom, zazwyczaj od lat ciągle tym samym, również ubywa sił. Na dzień dzisiejszy Kluby Kobiet działają przy 66 Kołach PZKO (z 88), ale panie działają przy każdej okazji i w tych Kołach, gdzie nie są oficjalnie zorganizowane.

Wszystkim paniom zrzeszonym w Klubach Kobiet za bezinteresowną, ciężką pracę, za niezwykłe poświęcenie w podtrzymywaniu tradycji należą się gorące podziękowania.

Szczególnie gorące podziękowania należą się byłym przewodniczącym i członkiniom Klubów Kobiet, które ze zrozumiałych względów już nie mogą i nie potrafią uczestniczyć w działalności Klubów i Sekcji Kobiet. Panie zgromadzone na spotkaniu w Gródku przesyłają im wszystkim za pośrednictwem Zwrotu serdeczne pozdrowienia, życzenia zdrowia i podziękowania za wszystko, czego dokonały. Szczególnie ciepłe słowa kierują do pani Hildegardy Chorzempowej z Orłowej, byłej kierowniczki Klubu Kobiet w Wierzniowicach. W liście do Sekcji Kobiet pani Hildegarda napisała, że jest przekonana o potrzebie dalszej działalności Klubów Kobiet i Sekcji. Ich rola jest niezastąpiona, a niestety nie zawsze doceniona. Autorka w swym liście również przesłała pozdrowienia wszystkim paniom, z którymi się spotykała na wspólnych imprezach, wraz z życzeniami zdrowia, siły i wytrwałości w dalszej pracy.

Przy żywej dyskusji przedstawicielek poszczególnych Klubów Kobiet z całego terenu omawiano na spotkaniu plan na rok 2002. Najważniejszymi jego punktami będą: Festiwal PZKO oraz Gorolski Święto. W związku z Festiwalem PZKO rozważano kwestię rezygnacji w roku 2002 z Babskiego Festynu. Następne Spotkanie Noworoczne pań,

według wstępnych ustaleń, odbędzie się w Domu PZKO w Nawsiu.

W części dyskusyjnej spotkania wystąpiła między innymi pani Czesława Schnapka, przedstawicielka współpracujących Klubów Kobiet w Cierlicku. Tam swe siły połączyły Kluby Kobiet działające przy Miejscowych Kołach Cierlicko Centrum, Cierlicko Kościelec, Grodziszcz i Stanisłowice. Spotykają się regularnie w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku Kościelcu. W spotkaniach biorą udział i młode panie! Co cieszy – panie domagają się spotkań. W ubiegłym roku ta pokaźna grupa pań zorganizowała wiele własnych imprez: Babskie Ostatki, okazałą wystawę, spotkanie Mikołajowe, spotkanie świąteczne. Środki na działalność pozyskują z własnych składek i z zysku ze sprzedanych na imprezach własnych wytworów.

Drogie Panie: tak trzymać i... wytrzymać! Pamiętam, jak przed niewielu laty w działalności Klubów Kobiet uczestniczyły młode panie, też wiele niezamężnych dziewczyn. Wiem, opowiadania o braku czasu... w wielu wypadkach naprawdę tak jest, a w wielu wcale nie. Może nasze dziewczyny chciałyby, mogły i dziś chociażby czegoś się nauczyć. A może te, co już umieją... albo chcą inaczej, samodzielnie, spróbują założyć przy Klubach Kobiet coś w rodzaju klubów młodych. Rozumiem, że młode panie raczej nie znajdą upodobania w robotach ręcznych. Ale co szycie – dające niepowtarzalne, wyjątkowe wdzianka dla siebie i dzieci, najtańsze, bo z „własnego salonu mody"? Co gotowanie – najsmaczniejsze, tradycyjne, bez jednakowych zawsze i wszędzie produktów? No i to wszystko w swojskiej grupie. Rozmawiałem na ten temat z przedstawicielkami młodej generacji w Orłowej Lutyni i innych Kołach. Jestem przekonany, że brak tylko tej jednej, dwu młodszych, które wzorem starszych spróbują coś robić.



Zwrot na pewno jeszcze powróci do tematu Klubów Kobiet i uczestnictwa w ich działalności młodej generacji. Może spróbujemy zdobyć i odnotować wypowiedzi młodych chętnych i tych niechętnych pań.

F.B.





OWOCNA DZIAŁALNOŚĆ KLUBU KOBIET MK PZKO W BŁĘDOWICACH

Panie z Miejscowego Koła PZKO organizowane były początkowo w zespole, komitecie kobiet (1958), w sekcji, wreszcie w klubie kobiet.

W samych początkach pracą pań kierowała Zofia Pawlas, od roku 1954 Anna Szypkowa, Wanda i Emilia Pawlas, Anna Kożusznik, Ewa Szop, wreszcie najdłużej, bo przeszło 20 lat, Bronisława Pietrus i Anna Staś.

Ich ponad półwieczna działalność to bezinteresowna praca dla dobra ogółu, wykonywana z niemałym poświęceniem. Ponosiły i ponoszą główny ciężar zabezpieczenia kulinarnego niezliczonych imprez, spotkań, utrzymania w czystości obiektów, również opieki nad szkołą, przedszkolem, dbałości o chorych.

Szczególne upodobanie znajdowały w organizowaniu szkoleń – kursów i wystaw o różnych specjalnościach. Jednym z pierwszych (1951) był kurs gotowania, który odbywał się w kuchni szkolnej. Później były to kursy gotowania, szycia i kroju, często połączone z wystawami. W razie potrzeby korzystano z fachowej pomocy sąsiednich Kół (p. Kołdrowa z Suchej, p. Raszkowa z Karwiny, p. Słowikowa z Orłowej, p. Folwarczna z Suchej).

W roku 1989 bardzo dobrze zorganizowana została impreza, której tematem były prace ręczne połączone z pokazem mody. Nie do uwierzenia, że dwunastoosobowy Klub Kobiet zorganizował do tej pory 17 różnego rodzaju kursów fachowych, wzbogacających kulturę materialną środowiska.

Hasła przemawiające do nas z niektórych fotografii, wykonane na kursach i umieszczone w kronice Koła, mówią same za siebie:

1980 – „Co potrafią zręczne ręce" – wystawa

1986 – „Dla każdego coś miłego" – wystawa (pokaz układania kwiatów, Marta Folwarczna z Suchej)

1987 – „Mało nam, mało nam do szczęścia potrzeba"

1989 – „Moda zawsze młoda" – wystawa prac ręcznych, pokaz mody

1991 – „Zręczne ręce i nic więcej" – wystawa robót ręcznych.

Po wybudowaniu przybudówki i Domu PZKO Klub Kobiet musiał podołać narastającym wymaganiom związanym z utrzymaniem tych obiektów. Bez problemów, pomyślnie układała się współpraca z Klubem Seniora. Dziś, chociaż to jest kolektyw pań już niemłodych, ma swój ustalony porządek i pracuje bez zakłóceń.

ANDRZEJ PAWLAS
kronikarz Koła

REZYDENCJE SZLACHECKIE W KSIĘSTWIE CIESZYŃSKIM

23 stycznia w galerii Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie otwarta została interesująca wystawa nazwana „Rezydencje szlacheckie w Księstwie Cieszyńskim", która czynna będzie do maja br. Pomysłodawcą i komisarzem wystawy jest historyk Mariusz Makowski, pracownik Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Zainteresowani naszą szlachecką przeszłością, istniejącymi lub nieistniejącymi już rezydencjami śląskich rodów Beessów, Sobków, Czamerów, Korniców, Rudzkich, Larischów, Goczałkowskich, późniejszych Marklowskich, Bludowskich, Skrbenskich itd. mogą obejrzeć takie obiekty, udokumentowane fotografiami, portretami właścicieli, grafikami, dokumentami, mapkami, pamiątkami po właścicielach i mnóstwem innych jeszcze eksponatów, pozwalających w skromnym przynajmniej stopniu uzmysłowić sobie dawne dzieje i życie właścicieli znanych nam często obiektów lub ich ruin.

Z wystawy samej i tekstu informacyjnego można się dowiedzieć, iż na Śląsku Cieszyńskim jeszcze przed 50 laty takich szlacheckich rezydencji, czasami szumnie nazywanych zamkami, było ponad 80, z czego zachowała się zaledwie połowa, w tym tylko kilkanaście obiektów w miarę dobrym stanie. Na wystawie pokazano 23 rezydencje. Wykorzystano tu zbiory wielu prywatnych osób oraz polskich, czeskich i austriackich archiwów i muzeów.

Są tu więc rezydencje znajdujące się m.in. w Grodźcu Śląskim, Kończycach Wielkich, Dzięgielowie, Polskiej Ostrawie, Frydku, Frysztacie, Rychwałdzie, Cieszynie, Czechowicach, Jaworzu, Ropicy, Końskiej, Gnojniku, Karwinie, Raju, Solcy itp. Wszystkie te obiekty są świadkami ponad 600-letniej historii Księstwa Cieszyńskiego, które przez podział w roku 1920 utraciło swoją jedność, zaś niszczejące lub już zburzone dawne pałace są ilustracją skomplikowanej w tym regionie historii. Historii zresztą niepoznanej do końca, bo przecież dawniej w szkole nas tego nie uczono lub uczono w sposób fałszywy.

Pragnąc poznać nasze dzieje, musimy pozbyć się nacjonalizmów narodowych, szowinizmów klasowych, religijnych, partyjnych, podziałów państwowych – być ponad tym wszystkim i chcieć poznać dawne życie w jego całokształcie, różnorodności i bogactwie. To także w dużym stopniu ułatwia nam cieszyńska wystawa.

KAZIMIERZ JAWORSKI

WYSTĘPY CHÓRU GRODKOVIA

W ramach współpracy skrzeczońskiego MK PZKO z zaprzyjaźnionym Towarzystwem Miłośników Grodkowa przebywał na terenie miasta Bogumina chór mieszany Grodkovia.

Czterogłosowy chór mieszany od 1987 roku kontynuuje tradycje śpiewu chóralnego zapoczątkowane przez wielkiego grodkowianina Józefa Elsnera, kompozytora i nauczyciela Fryderyka Chopina. Do roku 1998 chór występował z dyrygentem Aleksandrem Kwiatkowskim, natomiast w ostatnich trzech latach zespół działa pod batutą Małgorzaty Stokłosa, a kierownikiem organizacyjnym jest Antoni Wójcicki.

Podczas koncertów chór zaprezentował nie tylko popularne, ale i mniej u nas znane kolędy w kościołach katolickich. Pierwszy samodzielny koncert odbył się 19 stycznia w Nowym Boguminie, a drugi 20 stycznia po niedzielnej mszy św. w Skrzeczoniu. O wysokim poziomie zaprezentowanych kolęd świadczyły także wyrazy podziękowania i uznania pod adresem zespołu z ust księdza proboszcza parafii bogumińskiej Marcela Tesarčíka.

W trakcie pobytu goście przybyli również do Cierlicka Kościelca. Przewodnik Jan Przywara zaznajomił obecnych z historią Żwirkowiska. Następnie grodkowianie wstąpili do Domu Polskiego Żwirki i Wigury, gdzie z zainteresowaniem obejrzeli stałą expozycję „Zwycięzcy przestworzy".

W skrzeczońskim Domu PZKO odbyło się spotkanie członków chóru Grodkovia z miejscowym chórem Koła Hasło, kiedy to gościnny zespół zaliczył swój trzeci koncert, prezentując tym razem pieśni patriotyczne oraz rozrywkowe i ludowe. Przewodniczący TMG Józef Kośla podziękował za zaproszenie. W imieniu zespołu Grodkovia wręczono na ręce dyrygentki chóru Hasło Ireny Szeligi odwzajemnione potem życzenia i drobne po-



darunki. Podziękowano również członkowi Koła Franciszkowi Bałonowi oraz członkiniom Klubu Kobiet za przygotowanie smacznych posiłków w ciągu obydwu dni. Na koniec ustalono, iż w listopadzie chór Hasło wystąpi w Grodkowie z okazji Święta Niepodległości.

D.G.





Fot: TADEUSZ GUZIUR

BIULETYN LUDOZNAWCZY

Sekcja Ludoznawcza przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie wydała kolejny, XXII już zeszyt Biuletynu Ludoznawczego pod redakcją Jana Szymika, Czeski Cieszyn 2001, ss. 70.

Na wstępie Halina i Marian Grzegorz Gerlichowie analizują trzy aspekty pojęcia tradycja – to jest sposób jej przekazu, analizę treści i wreszcie stosunek pokoleń do przeszłości. Jan Szymik pisze o cieszyńskiej meteorologii ludowej, o Karolu Piegzie jako dokumentaliście kultury ludowej Zaolzia oraz przedstawia rys biograficzny Józefa Ondrusza, który uzupełnia swym przemówieniem (wtedy przewodniczył Sekcji Folklorystycznej) nad grobem dra Józefa Ondrusza. Z kolei Anna Wacławik przedstawia aspekty kobiecego stroju „cieszyńskiego", Wiktor Pieczonka pisze o zdobnictwie stroju ludowego na Ziemi Cieszyńskiej, zaś Leszek Richter o Izbie Regionalnej im. Adama Sikory w Jabłonkowie.

Swoistą twórczość ludowo-wspomnieniową prezentują w tym numerze Paweł Byrtus („Gorolski żiwobyci", „Opuszczóne Kamienite", „Kóniec szkubaczek", „Smutno Giyrowo", „Stare dziywki" i „Snymby"), Wincenty Szeliga („Krzciny") oraz Józef Górecki (wiersze ludowe). Biuletyn zamyka skecz w jednym akcie w dialekcie cieszyńskim „Francek mo pecha" w opracowaniu Teofila Stolarza.

Biuletyn jest do nabycia w ZG PZKO.

(kj)

KONWENT PREZESÓW

Czterdziestu dziewięciu prezesów przybyło 30 stycznia do Czeskiego Cieszyna, gdzie w Klubie PZKO na ul. Bożka odbył się pierwszy w nowej kadencji Konwent Prezesów. Za stołem prezydialnym zasiedli prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa, wiceprezesi Józef Stala i Józef Wierzgoń oraz dyrektor Bohdan Suchanek. Minutą ciszy uczcili obecni pamięć zmarłego działacza PZKO, byłego wiceprezesa ZG Jerzego Taraby.

Prezes Zygmunt Stopa zdał sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego w okresie od ostatniego Zjazdu PZKO. Poinformował o spotkaniu delegacji ZG, w skład której wchodzili Zygmunt Stopa i Władysław Niedoba, z prezesem Stowarzyszenia Wspólnota

Polska prof. Andrzejem Stelmachowskim w Warszawie. O planach Rady Kultury poinformował następnie uczestników Konwentu jej przewodniczący Józef Wierzgoń. Podkreślił też potrzebę uzupełnienia Rady o prezesów poszczególnych sekcji.

W planie pracy ZG na rok bieżący znalazły się m.in. takie imprezy ogólnozwiązkowe: Rajd Rowerowy do źródeł Olzy (21.4), Maj nad Olzą (maj), Festiwal PZKO (25.5), Gorolski Święto (3 i 4.8). Dożynki Śląskie (wrzesień), obchody Roku Żwirki i Wigury (14.9), Festyn Górski (31.8), Babski Festyn (wrzesień), na wiosnę zaplanowane jest seminarium Sekcji Ludoznawczej z okazji setnej rocznicy powstania Towarzystwa Ludoznawczego Księstwa Cieszyńskiego, Sekcja Historii Regionu przygotowuje na wrzesień seminarium z okazji siedemdziesiątej rocznicy tragicznej śmierci Żwirki i Wigury, Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne planuje koncert z okazji 75-lecia Związku Polskich Chórów w RC, 20 kwietnia powinien odbyć się kolejny Kluboturniej, każda z sekcji związkowych przygotowuje jak co roku swoje własne imprezy. Kolejne Konwenty Prezesów odbędą się 24 kwietnia i 27 listopada.

Przewodniczący Rady Ekonomiczno-Organizacyjnej Jerzy Stala przedstawił wstępny budżet ZG na rok 2002, który zakłada dodatni wynik gospodarczy. Stan zobowiązań finansowych przed końcowym rozliczeniem wynosi około 1600 tys. koron. Definitywny budżet ustalony zostanie do końca marca.

Następnym punktem programu obrad była wstępna koncepcja organizacyjna Festiwalu PZKO 2002, który odbędzie się 25 maja w Karwinie, a zorganizowany zostanie z okazji 55-lecia powstania PZKO. Honorowym przewodniczącym Festiwalu został hetman okręgu morawsko-śląskiego Evžen Tošenovský. Gościem programu ma być zespół Golec uOrkestra.

Gorąca dyskusja rozgorzała przy omawianiu projektu umowy o współdziałaniu z Kongresem Polaków. Projekt powstał zgodnie z uchwałą ostatniego Zjazdu PZKO. Tematu umowy ostatecznie nie zamknięto.

C.R.

Foto w Kronice (poza str. 42, 43) FRANCISZEK BAŁON



LUCYNA PRZECZEK-WASZKOWA

PIĘKNA JEST POMARAŃCZA NA ŚNIEGU
(poemat)

Motto:
„Podstawą odwagi jest optymizm"
Jaroslav Seifert

1

losy kwiatów są również niezbadane
jak życie starej kobiety - sztucznej róży

Siedem kolorów nadziei
odrosło jak dzieci

jeszcze niedawno
przy lampie księżyca
zaglądał nam w oczy sen

zmiana klimatu jest widoczna
jak pomarańcza płonąca na śniegu
przypieczętowana ciężką luną
rodem z powieści Bunina

cisza łamie się o paznokcie
łaskocze oddech
pot wyprzedził wysiłek
drażni pomysł i zmysły
wargi pulsują
krew wdziera się w każdą szczelinę
próba wytrzymałości żył
tętno tętno tętno
puls puls
klepsydry leżą poziomo
i to się tylko liczy
pozostał w nas
na linii papilarnej dnia
szereg punktów wrażliwości
sztywne drzewo niewiedzy

i łza żywiczna
na dzikiej plaży wyobraźni
połykamy prawie jednocześnie
haczyk księżyca

2
nie bój się
nie jestem polem minowym
moje wybuchy śmiechu nie są śmiertelne
jest tu blisko ścieżki bezpiecznej
wyprowadzi nas w pole

3
las pochłonął nas
za siedmioma górami
w jednym okamgnieniu

echo jest zrozumiałe
w czasie poszukiwań
własnego głosu

w przeźroczystym powietrzu
nie zgłębiam tajemnic
echo słabnie coraz bardziej
staje się wymowny okrzyk
przedawniony

a potem znowu las
podaje sylaby od drzewa do drzewa

wystarczy zdobyć się na odwagę
i już nadbiegają
silne postanowienia

skrót perspektyw
jak skracanie skarpetek
po przepierkach

bawimy się w kartografię
i mapujemy serca

czekamy na niespodziankę
jakby to była nagroda
za trudy bycia
ziemia przymyka obwisłe powieki
ciężarnych chmur
i straszy ciemnym krajobrazem

4
śmierć ziemia i trawa w zmowie
z czasem
gramy w kości przeznaczenia
a potem dochodzi trawa
porasta nas szczelnie

jeszcze wczoraj zginałeś gałąź tęczy
i mówiłeś że te czereśnie
smakują czerwono

jesteśmy czy nas nie ma
podzieleni na cztery warstwy
pionami poziomami płaszczyznami
niepodzielni niepozorni
jesteśmy pozornie
równi
bez gór bez dolin
nachylamy się zaledwie
nad niebytem
podstawą naszej odwagi jest nadzieja
jesteśmy czy nas nie ma?

5
Chuchamy dmuchamy
zimne dłonie
obejmują marzenia
żywica jest z nami związana
przez cały przepływ
czasu
żywi nas
na okrągło zajmuje się drzewami
w moim tajnym lesie

żywica nie odstępuje nas nigdy
od kołyski po trumnę

6
Biel opada ostrożnie
jak w filmach
zwolnionych
i już wyłącznie ten obraz
bezwstydny
naga pomarańcza
na śniegu w zawiei
ze łzami południa
na zziębniętej skórze

7
Nie przesiaduję już przy okienku
przeźroczystego marzenia
Nie przejmuję się już tak często
stwierdzeniem
ulotności mrzonek

Coraz rzadziej uciekam
od codzienności
Coraz rzadziej wydziobuję
niebieskie migdały
z ciasta niespodzianek
Coraz częściej chodzę
po ziemi
jestem bliżej chleba
codziennego

Nie potrafię już z dawną łatwością
przeskakiwać gorzystych
przeszkód

Mimo wszystko jest piękna
pomarańcza
na śniegu

JANEK STOKŁOSA

(fragment)

WIELKI TYDZIEŃ

Wielki Tydzień! Któryż katolik ze wzruszeniem nie wspomni sobie na to wszystko, co nam Wielki Tydzień przypomina. Ileż pamiętnych rzeczy działo się, począwszy od Uroczystego wjazdu Zbawiciela, aż do jego chwalebnego Zmartwychwstania!

Palmowa Niedziela zapowiadała się czasem pogodnym. Dzisiaj Jadwiga niesie palmę. Janek swej siostrze towarzyszy do domu Bożego. Uczuli oni dzisiaj, że ojca nie masz, lecz tak sobie postępowali, jak gdyby ojciec z nimi szedł. Zdawało się im, jakby ojciec do nich mówił, a oni mu odpowiadali, jakby się im przyglądał. Dowód to dobrze wychowanego dziecka, kiedy głos ojca lub matki brzmi mu w uszach; gdy ojca zmarłego lub matkę zmarłą ma w pamięci.

Dzisiaj Janek i Jadwiga się nieco dłużej zabawili w kościele. Nie dlatego, że dzisiaj obrządki ludek dłużej trzymają w domu Bożym, ale z innej przyczyny. Matka troskliwa przyczynę tę odgadnęła. „Nieprawda, żeście były u grobu naszego ojca!“ „Tak, byliśmy“ była odpowiedź obojga, „pomodliliśmy się na grobie“. „Dobrze, dzieci! To sobie pomyślałam“.

Wielki Tydzień się jakoś zepsuł. Często to tak bywa, że piękna Palmowa Niedziela, dżdżysty Wielki Tydzień. Tak się i latoś stało.

Nie było można na roli pracować; tym więcej było pracy u Stokłosinej. Było trzeba wiele porządkować po mężu.

Nie miał chałupy, a to, co miał, odporęczył żonie i dzieciom. Nie było wielkiego pisania w urzędzie, bo mąż się nigdy nie przechwalał tym, co miał.

Stokłosowa wiedziała o każdym pieniążku. Co jego było, było i jej, nie było pomiędzy nimi żadnej tajemnicy jako u dobrych sobie wiernych małżonków. Otrzymała ona z kasy gwareckiej na chorobę swego męża zapomogę, lecz wtedy jeszcze tego nie było wiele. Musieli ze swojego dodawać. Żona dodawała, co mogła, by zdrowie męża ratować. Otrzymała i na pogrzeb jakąś pomoc; lecz i tu było trzeba dołożyć. Kiedy się w Wielki Tydzień liczyła z sobą, widziała, że z oszczędzonych pieniędzy nie pozostało prawie nic.

Spostrzegła, że nadzieje jej męża i jej własne poczynają znikać. Cieszyli się, że latoś kupią coś na własność, bo już było coś ugospodarzonego grosza i nawet była sposobność coś kupić. Właśnie na jesień dochodził koniec najmu. Prawi dziedzice mieli odebrać w posiadanie miejsce, gdzie Stokłosowie kilkanaście lat gospodarowali.

Było trzeba też i pozostałe rzeczy po mężu przebrakować. Co lepsze postanowiła Stokłosowa dla Janka przechować, który jakoś latoś coraz bardziej wyrastał na młodzieńca, a w lecie już był tak wysoki jako jego ojciec.

Mniejsze rzeczy dała Stokłosowa strykowi, który nie przestał odwiedzać dom i często tam przebywać. Biedakowi, który nie miał swego gniazda, bywało tu zawsze dobrze; a teraz czuł się jeszcze bardziej do domu przywiązany. Lecz nie miał on długo przeżyć Stokłosę. W lecie i on nabawił się piersiowej choroby i zaopatrzony św. sakramentami w 60 roku życia poszedł za swoim bratankiem. Stokłosowa go skromnie, ale po katolicku pochowała. Teraz się czuła jeszcze bardziej opuszczoną, bo i ten stary przyjaciel domu, który jej dziatki piastował, opuścił ich, aby pójść po nagrodę.

Zielony Czwartek był dniem uroczystym. Matka z Jankiem i z Jadwigą przystępowały do św. Komunii, podług dawnego obyczaju. Kiedy inne lata Stokłosy z Hanką nigdy nie brakowało u stołu Pańskiego, a dzieci pomiędzy młodzieżą stanęły, dzisiaj matka razem z dziatkami idzie zadosyćuczynić przepisom naszej św. wiary. Było trzeba pomocy od Boga. Szukała jej w Zbawicielu.

W Bożym grobie znowu było widać Stokłosową z dziećmi. Stokłosowa klęczała u nóg Zbawiciela na ziemi położonego, obok niej klęczy Janek i Jadwiga. Aczkolwiek była wdową i latoś chętnie ofiarę sama zaniósła czcigodnemu duszpasterzowi na światło do Bożego grobu. Ofiara ubogiej wdowy ma często większą wartość niż wielkie sumy zamożnego.

Biała Sobota była białą. Latoś śnieg po ostatni raz przyprószył góry i doliny i wioskę naszych Stokłosów. Lecz na dzień cokolwiek się ociepliło i po południu, aczkolwiek było trochę błotno i mroźno, mogła procesja wyjść z kościoła na Zmartwychwstanie. Jakże było miło matce, gdy jej syn Janek niósł chorągiew, a Jadwiga, należąca do Bractwa Najsłodszego Serca P. Jezusa, otrzymała świecę, aby świecić podczas procesji Zmartwychwstania.

PO WIELKIEJ NOCY

Wielkanocne Święta minęły. Zmartwychwstanie Zbawiciela obchodzone w naszym kościele katolickim było latoś i zmartwychwstaniem całej natury. Z Białą Sobotą poszła latoś zima do grobu. Wiosna z początku wprawdzie chłodna i słotna była prawdziwą wiosną. Ostatnie śniegi z Czantorii, z Girowej i z Łysej Góry zniknęły. Olza, ta cicha rzeczka, tak przejrzysta jak oko dzie-

cka, zamąciła się, bo ostatnie śniegi stajały. Tu i ówdzie ukazał się na wezbranej Olzie kawałek drzewa, który tam spod jazu umknął, jako niekiedy owieczka umknie góralowi ze stada. Drzewo pławili z gór do Trzyńca i do Cieszyna.

Ludzie się uwijali z pracą, by użyć pogody i ostatnie siewy po suchu powierzyć matce ziemi.

Drzewa poczęły puszczać i góry nasze się poczęły zielenieć; miło było patrzeć, jak te buki nowe listeczki rodziły. Olza nabrała znowu swej przejrzystości i mruczała sobie coś od kamienia do kamienia, jakby sobie przypominała wszystko, co widziała i słyszała, co się około niej działo i dzieje; ile to różnych narodów i ludów ponad jej brzegami przechodziło od Jabłonkowskiego Przesmyku z południa na północ, a z północy na południe.

Żal Stokłosowej się uśmierzył, ale nie zniknął z serca. Czy poczciwa żona zapomina swego choćby już w grobie leżącego małżonka? - Janek rozweselił się, Jadwiga nabrała jakiejś powagi, jak gdyby nie była dziewczęciem, lecz jakąś doświadczoną niewiastą.

Praca w domu i na polu Stokłosów nie pozwoliła dumać, było trzeba pracować; boć ojciec nie przynosił wypłaty, było trzeba się jąć pracy.

W domu Stokłosów szło wszystko starym porządkiem. Stokłosowa musiała dobierać robotnika do pola, by pole wynajęte dobrze obrobić. Miał to być ostatni rok na chacie. Dziedzice dorastali. Lecz że dziedzic poszedł do służby wojskowej, a dopiero miał przed zimą powrócić i objąć swe dziedzictwo, i ożenić się, mogła Stokłosowa pozostać cały rok jeszcze na wynajętym od tylu lat polu, a dopiero na jesień lub na wiosnę powinna była się wynieść z domu, w którym jej było tak miło. Miała więc dosyć czasu rozmyślać, co począć, jeżeli Pan Bóg pozwoli życia.

Chociaż ostatni rok gospodarowała, przecież tak pracowała jak w każdym innym roku, aby dziedzic mógł objąć swoją ojcowiznę w najlepszym stanie. Ogródek w porządku, a zaniedługo tak się umaił, że Stokłosowa ze swymi dziatkami się aż rozpłakała, i prawiła: „O gdyby nasz ojciec widział, jak w ogródku wszystko kwitnie, miałby uciechę, tak zaś my tylko sami się cieszyć będziemy, jeżeli Pan Bóg da zdrowia i drzewa tak obrodzą, jako kwitną".

I na polu było w najlepszym porządku wszystko obrobione i spodziewano się, że ostatnie żniwa będą wielką pomocą dla naszej familii. Aczkolwiek nadzieja Stokłosowej, aby sobie zakupić coś na własność, niknęła, przecież kiedy zobaczyła, jak wszystko zapowiada i urodzajne lato, i urodzajne żniwa, ostatni promień nadziei wybuchnął: „Gdyby też co przy pomocy poręcznika zakupić".

Lecz nie obliczała, ile trzeba mieć, aby coś zakupić, aby opłacić wszelkie wydatki. Kiedy pewnego razu rozmawiała z czcigodnym duszpasterzem, wszystko jej tenże wyjaśnił. Wtedy zupełnie utraciła nadzieję i zupełnie zdała się na wolę Bożą.

Ludzie, osobliwie kobiety radziły jej, aby się wydała. Lecz ta góralka, która raz swoje serce ofiarowała Stokłosie, która teraz swoje serce oddała Bogu i dzieciom, nie słuchała takich mów. Nikt jej więcej nie śmiał wspomnieć o powtórnym zamążpójściu. Kiedy dzieci coś podobnego słyszały, zawsze się rozpłakały, lecz matka im powiedziała: „Moje serce należy do Boga, potem do waszego ojca, a potem do was, kochane dziatki".

Lecz latoś jeden chodnik i jedna praca, acz miła, przybyła. Trzeba było grób Stokłosy ustroić i obsadzić kwiatami i często odwiedzać, gdy była wolna chwila.

Stokłosowa bardzo się zmieniła. Zawsze była potulna, niby bez woli, bo jej woli obok woli męża nie było można często ani poznać.

Teraz ojca nie masz, ona sama, ona głową. Nabrała takiej stałości, takiej powagi, że wszyscy, którzy mieli sposób poznać jej życie domowe, poznali w tejto na oko słabej niewieście pewną męską powagę. Jako drzewo wyrosłe przy drugim zawsze jedno o drugie się opiera; ale kiedy jedno zniszczeje, pozostałe musi samo się opierać i wiatrom, i burzom, i nawałnicom i tym mocniejszym się staje, tak było u Stokłosowej.

Pamięć o mężu umarłym nie wygasnęła. Nie tylko w niedzielę i święto było widać kogoś z familii Stokłosów klęczącego u grobu jego pięknie przyozdobionego. I duszpasterz często w pacierzach publicznych wspominał o Stokłosie. Często i lampka się paliła w kościółku przed obrazem Matki bolesnej ofiarowana od Stokłosowej.

I w domu pamięć Stokłosy żyła, jakby Stokłosa dopiero był poszedł do roboty. Krzesło, na którym on sobie, powróciwszy z pracy, u pieca wypoczywał, zawsze stało i niby czekało na Stokłosę. Na nie żadne z dziatek się nie posadziło, chyba kiedy jakiś gość zawitał do izdebki. Miejsce u stołu, gdzie Stokłosa siadywał, zawsze było próżne, czekało na Stokłosę. Inne pamiątki po Stokłosie były jako św. relikwie przechowywane, jak np. różaniec, jego książka, jego laska, nawet jego fajka, z której niekiedy tylko sobie pozwolił zapalić.

Duch Stokłosy nie wygasł w jego familii. A gdyby Pan Bóg był pozwolił Stokłosie spojrzeć do jego ziemskiego przybytku, widziałby był wszystko we wzorowym porządku. Szczególnie te dziatki, które sobie pamiątkę po swoich ojcach nie tylko w obrazach, ale osobliwie w przykładzie i danych naukach zachowują, takie dziatki nie zboczą tak łatwo z drogi cnoty.

Jest to fragment powieści sprzed stu lat „Janek Stokłosa. Powieść z naszych czasów, z naszych okolic osnuta na zdarzeniach prawdziwych. Skreślił GÓRAL", wydanie Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra, Cieszyn 1901, drukiem Kutzera i Spółki, ces. i król. dostawców dworu.



Fot. JAN MYRDACZ

LECH PRZECZEK

AFORYZMY

- Droga do wielkich zwycięstw prowadzi poprzez małe porażki.
- Unikał pracy tak niezręcznie, że zawsze na jakąś trafił.
- Nie każdy skrót naprawdę prowadzi do wyznaczonego celu.
- Każdy z nas jest troszeczkę zwariowany. Wszystko zależy od stopnia tolerancji wariactwa w społeczeństwie.
- Zupełnie niepotrzebnie ukrywamy się przed problemami. One i tak zawsze potrafią nas odnaleźć.
- Spojrzeć do zwierciadła duszy wymaga często dużej porcji odwagi.
- Niespełnionym snem każdej kopii pozostaje osiągnięcie właściwości oryginału.
- Doskonałość jest czymś, do czego wszyscy zdążamy, chociaż nie możemy tego nigdy osiągnąć.
- Był tak okropnie powolny, że nawet jego własny cień szedł o krok przed nim.
- Zanim zaczniesz mówić, zastanów się, czy masz w ogóle coś do powiedzenia.
- Oczy są jak książka. Wystarczy tylko umieć w nich dobrze czytać.
- Nie wszyscy potrafią spojrzeć na nagą prawdę bez skutków ubocznych.

CO ŚPIEWANO W GALICJI I NIE TYLKO

Także lekcją historii i geografii można by od biedy nazwać dzieło sceniczne panów Molińskiego i Mazana w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Bo kiedy zamiast spektaklu teatralnego z wyraźnymi dla tego typu produkcji cechami ma się do czynienia z przeplataną słowem wiążącym niestroniącego od lekkiej improwizacji narratora składanką wszelkiego autoramentu piosenek, której poszczególne elementy mogą w dodatku zostać dowolnie poprzestawiane bez szczególnego uszczerbku dla ciągłości całości, trzeba wymyślić jakąś otoczkę ideologiczną, która usprawiedliwiałaby taką właśnie koncepcję reżysera. W tej otoczce mogłoby znaleźć się zdanie, że piosenki owe pomagają w lekcji geografii – gdzie leży Lwów, Stanisławów, Kraków, Cieszyn czy Wiedeń, a nawet Hercegowina, lekcji historii – co to Galicja, a co monarchia cesarsko-królewska, lekcji języków – słychać język polski, czeski, niemiecki, rosyjski, ale też lwowski zaśpiew czy góralszczyznę, itd. Dobrym argumentem reżysera jest stwierdzenie, że mało śpiewamy, zasiądźmy więc na widowni i zaśpiewajmy razem z aktorami pieśni powszechnie znane, a przy okazji może nauczymy się kilku zwrotek więcej. A że są to w niejednym wypadku piosenki, które wywołują sentymentalne wspomnienia, wzruszają, aż łza się kręci w oku, budzą uczucia patriotyczne, ale też rozśmieszają, tak czy inaczej oddziałują pozytywnie, do czego przyczynia się także dowcipny komentarz narratora, widz, chcąc nie chcąc, przeżywa swoje katharsis. W ten sposób widz wychodzi z teatru oczyszczony, a reżyser usprawiedliwiony. Cel przedstawienia teatralnego zostaje spełniony.

„Kaisermanewry, czyli Upływa szybko życie" to przedstawienie według scenariusza Leszka Mazana i Rudolfa Molińskiego, którego premiera (9 lutego) przyciągnęła do teatru więcej widzów niż zazwyczaj. Temat spektaklu, z piosenką w roli głównej, nie jest na deskach Sceny Polskiej tematem nowym. Wystarczy przypomnieć kilka przedstawień z ostatnich lat, gdzie królowały piosenki przedwojenne, piosenki Wojciecha Młynarskiego, piosenki z Kabaretu Starszych Panów. Tym razem reżyser spektaklu Rudolf Moliński wykorzystał pomysł zrealizowany przed kilku laty w Gliwicach, kiedy wspólnie z Leszkiem Mazanem napisali scenariusz przedstawienia muzycznego „Modlitwa dziewicy, czyli Szkoda lasky", składającego się z piosenek i historyjek z tymi piosenkami związanych.



Scenariusz został dostosowany do realiów Zaolzia, tytuł zmieniony, natomiast ci sami pozostali scenarzyści, ten sam reżyser oraz ten sam narrator - Leszek Mazan.

Leszek Mazan, który występuje w tym przedstawieniu Sceny Polskiej gościnnie, jest znanym dziennikarzem prasowym i telewizyjnym, publicystą, autorem książek i programów telewizyjnych. Ten świetny gawędziarz, krakus z wyboru i gorący zwolennik wszystkiego, co krakowskie, znawca Galicji i do tej pory, jako mieszkaniec dawnej monarchii, poddany cesarza Franciszka Józefa, ponadto szwejkolog i działacz Polskiej Partii Łysych daje wyraz swoim sympatiom, opowiadając historie o ludziach, zdarzeniach, czasach, które polubił. Tak właśnie dzieje się w przedstawieniu „Kaisermanewry, czyli Upływa szybko życie". Piosenki, choć najważniejsze, są jednocześnie jakby ilustracją tekstów Leszka Mazana, w których nie tylko zawarte zostały dzieje i przemiany kolejnych propozycji muzycznych, ale także luźne myśli i skojarzenia gawędziarza, reprezentującego w wielu punktach poglądy bliskie także sercu naszego widza.

W spektaklu, który rozpoczyna hejnał trąbki krakowskiej, a kończy zbiorowe „Sto lat", brzmią pieśni patriotyczne, biesiadne, wojskowe, nostalgiczne i wesołe, poważne i rozrywkowe. Wykonawcy zapraszają wi-



dzów do współpracy i wspólnego śpiewania, jako że część tych pieśni znana jest wszystkim. Może warto w tym miejscu kilka wymienić: „Płyniesz Olzo", „Góralu, czy ci nie żal", „Upływa szybko życie", „Banda", „Kurdesz", „Płonie ognisko", „Czerwony pas" czy raczej „Czerwony płaszcz", „Marsz lwowskich dzieci", „Oleandry", „Modlitwa dziewicy", „Generał Laudon" itd., w sumie dwadzieścia kilka piosenek, prezentowanych niekiedy w kilku wersjach językowych czy regionalnych.

Przestrzeń sceniczną okalają parawany z herbami m.in. Cieszyna, Lwowa, Krakowa, nie brakuje oczywiście portretu cesarza. Przy stolikach zasiadają wykonawcy (Halina Paseková, Anna Paprzyca, Róża Miczko, Barbara Szotek-Stonawski, Ewa Kus, Barbara Humel, Witold Rybicki, Paweł Niedoba, Ryszard Malinowski, Janusz Kaczmarski, Waldemar Cudzik, Dariusz Waraksa, Marcin Noszczyk i Iwona Bajger, która nie tylko śpiewa, ale także gra na skrzypcach, oraz narrator Leszek Mazan), na wieszakach umieszczają części garderoby, by wykorzystać je następnie do lepszego odzwierciedlenia treści kolejnych piosenek. Na proscenium, z boku, zasiada zespół muzyczny w składzie: Renata Heczko (fortepian), Rudolf Marek (kontrabas), Jan Mrózek (klarnet), Arnošt Symanek (perkusja, akordeon, trąbka). Na proscenium też śpiewane są – na żywo – pio-



Fotografie WIESŁAW PRZECZEK

senki, które zabrzmiałyby na pewno ciekawiej, gdyby każdy z aktorów miał do dyspozycji mikrofon. Ale i tak aktorzy nieźle sobie radzą, bo przecież nie każdy z nich ma wykształcenie muzyczne.

Autorami scenografii i kostiumów są Anna i Tadeusz Smoliccy. Premierę spektaklu, którą obejrzał także były premier RP Jerzy Buzek oraz tacy stali widzowie Sceny Polskiej jak konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek czy naczelnik Urzędu Powiatowego w Karwinie Karol Siwek, poprzedził wernisaż wystawy scenografii i kostiumów krakowskich artystów Anny i Tadeusza Smolickich, jaka odbyła się w galerii teatru. W obecności Tadeusza Smolickiego otwarcia wystawy dokonał dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka. Na wystawie znalazły się szkice i obrazy przedstawiające projekty kostiumów i dekoracji do przedstawień zrealizowanych w teatrach w Polsce, ale także w Czeskim Cieszynie. Państwo Smoliccy współpracują bowiem ze Sceną Polską od 1996 roku, ich projekty zagrały w następujących przedstawieniach: „A jak królem, a jak katem będziesz", „Gość oczekiwany", „Burza", „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju" oraz „Kaisermanewry, czyli Upływa szybko życie".

CZESŁAWA RUDNIK

CIEKAWA KSIĄŻKA RICHARDA SOBOTKI

Wydawnictwo Lípa w Vizovicach wydało książkę Richarda Sobotki „Bosý poutník" (Bosy pątnik), która opowiada o losie księdza Alojzego Pozbyla (Alois Pozbyl). Książka ukazała się niedawno i naprawdę warto ją przeczytać. Odsłania bowiem nieznane dzieje i zdarzenia życiowe katolickiego duchownego, który działał w północnej części gór wałaskich. O takich terenach zwykło się mówić, że jest to początek wody i koniec chleba. Richard Sobotka poprzedza opowieść cytatem: *Nie chodzi o to, żeby kroczyć. Ważny jest kierunek. I wytrwałość. I to z tego powodu, żeby okrutny wiatr zapomnienia nie zamazał wszystkich śladów w myślach, sercach i duszach ludzi.*



Na świat przychodzimy boso i niektórzy z nas idą potem na bosaka poprzez ten świat. Mimo to ślady bosych stóp zostają ukryte w trawie, pyle i kamieniach i w ciernistych drogach ich życiowej wędrówki... We wstępie do tej ciekawej książki autor mówi: *Kiedy ludzkość próbuje odszukać samą siebie, kiedy odsłania korzenie, patrzy w przeszłość. Pyta tych, którzy tu byli przed nami, jakie pozostawili nam posłannictwo i co chcieli przekazać przyszłości. Przykłady ludzi uznanych za świętych rozjaśniają całe stulecia, natomiast ciemne losy ostrzegają przyszłe generacje. Tego świata nie kształtują jednak wyłącznie ci najbardziej znaczący ludzie. Każdy człowiek, który przeszedł przez ten świat, zostawił po sobie jakiś ślad. Żyło wśród nas wielu takich, których nazwiska nie znalazły się w podręcznikach historii ani w spisach ludzi bez skazy, czyli świętych. O ich wyjątkowości byli przekonani na podstawie przeczucia i czynów tylko ludzie z najbliższego otoczenia. Dlatego właśnie zapominanie o takich ludziach byłoby błędem nie*

do wybaczenia. Właśnie do takich nadzwyczajnych osobowości należy ksiądz Alojzy Pozbyl, kapelan z miejscowości Zubří i pierwszy duchowny fary w Videču. Katolicki duchowny z ubogiej części Wałaska, który żył tutaj pośród swoich „owieczek" na początku stulecia. Miał ten dar, że potrafił bez reszty rozdawać sam siebie pomiędzy ludzi, z którymi i wśród których przyszło mu żyć. Potrafił dzielić z nimi swoje nadzieje, radości, boleści i wiarę. Zmarł młodo na chorobę biednych - na gruźlicę. Zostawił po sobie nie tylko nowo zbudowany kościół w Videču, ale przede wszystkim niezatarty ślad w sercach tutejszych mieszkańców, którzy swojego „bosego księdza" czcili bezpośrednio po jego śmierci jako świętego i przekonanie o jego świętości przekazywali z generacji na generację.

Autor skorzystał we wstępie z wypowiedzi księdza Pavla Vichendy, administratora Kościoła katolickiego w Zubří i Videču. W ostatnim akapicie znajdujemy pytanie, które stawiają sobie obaj: autor książki oraz administrator Kościoła:

Dlaczego dzisiaj, na początku nowego tysiąclecia, wracamy do postaci tego prostego wiejskiego duchownego? Człowiek żyjący dziś jest otoczony przez społeczeństwo konsumpcyjne i żyje pod presją czasów pełnych pośpiechu. Dlatego tym bardziej poszukuje odpowiedzi na podstawowe pytania własnego istnienia. To właśnie taki człowiek potrzebuje świadectwa żywej i szczerej wiary, która nie jest tylko formalną wiarą lub przyzwyczajeniem, ale wręcz odwrotnie, będzie to wiara rzeczywista i głęboka, wychodząca z głębi serca przepełnionego miłością Bożą i miłością do bliźniego. Po prostu jest wiarą, która daje nadzieję. I właśnie ksiądz Alojzy jest takim przykładem, jego życie i czyny przynoszą najprawdziwsze świadectwo o najwyższej Prawdzie i Miłości. Właśnie on jest dla nas potwierdzeniem i zachętą, że w każdym czasie jest dla nas otwarta możliwość - cudowna możliwość napełnienia swojego życia posłannictwem Chrystusa.

Książka Richarda Sobotki jest napisana pięknym językiem czeskim. Na 94 stronicach zostało zamieszczonych wiele materiałów dokumentalnych i faktograficznych. Odnotowuję przynajmniej chronologiczne wydarzenia z biografii ks. Alojzego Pozbyla tak, jak je przedstawił pisarz Richard Sobotka na str. 88 swojej książki „Bosý poutník": *A. Pozbyl urodził się 30.6.1876 r. w Slaviču koło Drahotuš, 5.7.1901 został wyświęcony na księdza i od razu po święceniach kapłańskich rozpoczął swoje posłannictwo na farze w Zubří jako kapłan... 2.6.1921 r. w wieku 45-ciu lat umiera na gruźlicę.* Nie odnotowałem w tym skorowidzu wypadków biograficznych jego działalności społecznej w Jedności Katolickich Mężczyzn i Chłopców. Zainteresowanych odsyłam do książki R. Sobotki i na marginesie tych notatek optuję za tym, żeby książka została przetłumaczona na polski, bo przecież istnieje współpraca pomiędzy Muzeum Wałaskim w Rożnowie i Muzeum w polskim Śremie...

WILHELM PRZECZEK



Fot. JAN MYRDACZ

TRUDNE POGRANICZA

Napisałem kiedyś na łamach tego pisma, że być może najobiektywniej, to jest najlepiej, dzieje naszego Zaolzia mógłby napisać ktoś trzeci, tzn. ani Polak, ani Czech, ani nawet Austriak lub Niemiec. I dostało mi się za to, że piszę głupstwa. Zgoda na te głupstwa, ale tylko dlatego, że kto chciałby pisać o tak nieznacznym w skali europejskiej skrawku ziemi, marginalnym względem Polski i względem Czech, nie mówiąc już o skali europejskiej lub światowej.

Ja jednak napiszę jeszcze jedną „herezję": Być może najlepiej o skomplikowanej historii pogranicza potrafią pisać poeci. Naturalnie chodzi o poetów tej rangi co Czesław Miłosz i Tomas Venclova, którzy te sprawy poruszają w poezji, ale przede wszystkim w twórczości eseistycznej.

Nie jestem zwolennikiem szkolnych lektur obowiązkowych, które w konsekwencji bardziej zniechęcają do sięgania po książkę, chociaż z kolei bez tego obowiązku, co byśmy z literatur narodowych przeczytali? Niemniej jestem zdania, że są teksty, które powinny znaleźć się w swoistym kodeksie lektur obowiązkowych dla dorosłych. Dotyczy to zwłaszcza tych, którzy w sposób zawodowy lub amatorski nawet interesują się pewnymi sprawami i zbyt jednostronnie te sprawy badają, a w konsekwencji tego interpretują. Dotyczy to także tych, którzy interesują się naszą lokalną historią i historiografią. Nie wystarcza lektura dzieł, które odpowiadają naszym już ustalonym poglądom, wszystko to trzeba sumiennie konfrontować ze źródłami i poglądami odmiennymi, a nawet z takimi pozycjami, które uczą nas patrzeć na wszystko, w tym również na nasze dzieje lokalne, z szerszego punktu widzenia. Naszych lokalnych dziejów można się z powodzeniem uczyć także na dziejach innych społeczeństw pogranicza, szukając tam pewnych analogii i jak gdyby wspólnych uwarunkowań historycznych.

Taką pozycją niewątpliwie są „Eseje (Publicystyka)" Tomasa Venclovy, Pogranicze Sejny 2001. Jest to pozycja obalająca liczne stereotypy i mity narodowe, które utrudniają nie tylko zrozumienie własnej historii, ale także wzajemne porozumienie między zwaśnionymi narodami i narodowościami. Naturalnie nasze lokalne spory czesko-polskie na temat przeszłości, agresji czeskiej z roku 1919, zajęcia Zaolzia przez Polskę w roku 1938, metod dyskryminacji narodowej, jaką wobec nas Polaków stosowano, po prostu nasze wzajemne krzywdy, prawdziwe lub urojone, są znacznie mniej tragiczne i mniejsze, niż miało to miejsce na pograniczach polsko-litewskich lub polsko-ukraińskich chociażby.

Historii lokalnej, zwłaszcza tej na pobrzeżach państw ze sobą graniczących, nie można izolować od ogólnonarodowych historii tych państw, od historii europejskiej w końcu. Historia Śląska Cieszyńskiego, historia sporów czesko-polskich lub polsko-czeskich, w końcu historia samego Zaolzia, nie rozpoczęła się w roku 1919 i 1920, kształtowała się wcześniej, już w XIX wieku w ramach narodowo i państwowotwórczych koncepcji, budowanych na romantycznej idei państwa etnicznie jednonarodowego. Realizacja takiej idei na pograniczu języków, wyznań i kultur jest znacznie trudniejsza, o czym bardzo dobrze wiemy z własnych doświadczeń, ale dobrze jest wiedzę tę wzbogacić o doświadczenia innych, a poprzez Polskę bliskich nam spraw.

To nieprawda, że nas, zawsze dobrych i szlachetnych Polaków, skrzywdzili nieżyczliwi nam i źli Czesi z myślą tylko o naszej krzywdzie. Owszem, krzywda nam się stała, że nie mogliśmy złączyć się Macierzą, tak jak pragnęła tego wówczas większość ludności późniejszego Zaolzia. jednak wszystko to działo się w myśl tej samej idei państwowotwórczej, która towarzyszyła powstawaniu nowych państw po pożodze pierwszej wojny światowej, tj. Polski, Czechosłowacji, Ukrainy i Litwy. Mechanizmy walki o swe prawa narodowe i w konsekwencji państwowe wszędzie były prawie identyczne. Odwoływano się do praw historycznych, etnicznych, gospodarczych itp., nie unikając zafałszowań w rodzaju spolszczonych Morawian u nas, Ukraińców i Litwinów w nowo powstającej Ukrainie i Litwie, wynarodowionych Polaków przez Ukraińców lub Litwinów na terenach, które przypadły Polsce itp.

Słowem wszystkie wspomniane nowo powstające państwa stosowały podobne chwyty, uzasadnione i nieuzasadnione, w walce o przyszłe oblicze państwa. Każde walczyło o swoje interesy, które często godziły w interesy ludzi z pogranicza - nas Polaków (ale także Węgrów i Niemców) w Czechosłowacji, Litwinów i Ukraińców w Polsce, Polaków na Ukrainie i Litwie itd. itp. Wszystkie te państwa, a więc i Polska, stosowały później w stosunku do innych mniejszości narodowych w swym państwie różne formy wynaradawiania. My o formach czechizacji naszej mniejszości polskiej wiemy z autopsji, ale nie wolno nam nie wiedzieć, że w Polsce w latach 30. XX wieku polonizowano nawet przy pomocy środków policyjnych, aż do okrutnych pacyfikacji wsi ukraińskich włącznie.

Wynaradawianie - tak przymusowe, jak i „łagodne", nie stosujące zauważalnego przymusu - było i czasem jest procederem jak najbardziej realnym. I to jest zbrodnia przeciwko duchowi człowieka. Nie można nie zgodzić się z tymi słowami Venclovy i okazuje się, że takimi narodowościowymi zbrodniarzami byli dla nas Czesi, nie wszyscy naturalnie, ale byli nimi także niektórzy Polacy w stosunku do swych mniejszości i być może my sami bylibyśmy takimi, gdy-

by historycznie stała się z nas większość. To wszystko są grzechy nacjonalizmów, które w swej początkowej fazie budowania nowych państw miały charakter pozytywny, ale jak prawie wszystko, co stworzył człowiek, zostało przez tegoż człowieka wypaczone, aż do ludobójstwa w imię miłości ojczyzny.

Te fakty trzeba znać, jednak nie po to, żeby pomniejszać nasze krzywdy, ale żeby zrozumieć mechanizmy powstawania tego rodzaju krzywd w tych rejonach Europy Środkowo-Wschodniej. Te mechanizmy trzeba znać, ale nie można na ich nacjonalistycznym rozpamiętywaniu budować teraźniejszości i przyszłości.

Wspomniane tu skrótowo zagadnienia i inne jeszcze aspekty przeszłego i przyszłego współżycia różnonarodowych społeczności na pograniczach znajdzie zainteresowany czytelnik we wspomnianych na wstępie esejach wybitnego poety litewskiego, który walczy ze stereotypami i mitami litewskiego nacjonalizmu, wymierzonego w dużym stopniu przeciw Polakom. To dobrze, że to właśnie Litwin pisze o grzechach swego narodu, ale żeby było sprawiedliwie, o polskich grzechach pisze z kolei Czesław Miłosz we wstępnym dwugłosie Dialog o Wilnie. Obaj zakochani w tym samym mieście - mieście litewskim, którego jednak ze względu na Mickiewicza, Słowackiego i Piłsudskiego, i naturalnie samego Miłosza nie można wykreślić z kultury polskiej, piszą o tym, co łączyło i dzieliło mieszkańców tego wielonarodowego, wielowyznaniowego miasta, piszą o pięknych i tragicznych kartach jego dziejów i losów na marginesie historii tej części Europy. Naturalnie inne było owo Wilno Miłosza w przedwojennej Polsce, a inne Venclowy w powojennej Litwie sowieckiej.

Poszczególne eseje Tomasa Venclovy: Wilno - Mit podziału a mit związku, Żydzi i Litwini (Litwini też mieli swoje Jedwabne), Rosjanie i Litwini, Litwini i Polacy, List otwarty do Litwinów i Polaków na Litwie, Litwo, ojczyzno nasza, Demokracja i nacjonalizm, O problemie stereotypu litewskiego, Sakralizacja błędów, Bałkany i Bałtyk itd., to wspaniała panorama trudnych dziejów na pograniczu. Tytuły poszczególnych esejów mówią same za siebie i tak by się chciało, by na podobne tematy napisał ktoś obiektywnie o naszych zaolziańskich sprawach. A właściwie to nie trzeba, bo problemy historii i nacjonalizmów z pogranicza są wszędzie podobne i nietrudno, czytając o stosunkach między Polakami i Litwinami, nie dostrzec pewnych paraleli w naszych stosunkach czesko-polskich.

Uważny i otwarty na obiektywizm czytelnik wyniesie z tej lektury nie tylko wiele ciekawych i nieznanych informacji z polskiej, a więc i naszej historii, ale także, a to chyba najważniejsze, nauczy się widzieć siebie, w naszym wypadku Zaolziaka, w sposób mniej egocentryczny, zrozumie, że nasza mała ojczyzna nie jest pępkiem świata, że gdzie indziej, i to wcale nie daleko od

nas, przedstawiciele innych mniejszości narodowych, w tym także polskich, przeżywali o wiele tragiczniejsze perypetie. Pojmie też w końcu, że każda współpraca wzbogaca, każdy podział i izolacja zuboża życie jednostki i społeczności.

Uzmysłowi sobie w końcu, jak bardzo względne są oceny chociażby tylko bohaterów narodowych. Dla przykładu Jagiełło - dla nas Polaków jest on bohaterem, dla Litwinów zdrajcą, niegodnym miana Witolda, bohatera litewskiego, bohaterem litewskim jest także potępiany przez Polaków Janusz Radziwiłł. A sprawy pisowni nazwisk i nazw miejscowych? Skąd my to znamy? Polskie zapisy nazwisk litewskich, litewskie polskich, obraza, że w polskich lub litewskich tekstach stosuje się nazwy miejscowości odpowiednio polskie lub litewskie - zresztą u nas dotąd w ramach Euroregionu Śląsk Cieszyński - Těšínské Slezsko nie wolno w tekstach polskich pisać nazw naszych miejscowości po polsku...

Venclova nie tylko przedstawia zawiłe i bolesne drogi polsko-litewskich uwikłań historycznych, ale równocześnie prezentuje swoisty katechizm, kodeks postępowania człowieka prawego, człowieka naprawdę wolnego - w myśl zasady, że ludzie w państwie zniewalającym inne nacje nie są ludźmi wolnymi. Oto jego zasady: *Nigdy nie wynosić interesów swego narodu ponad prawa ludzkie; nigdy nie upiększać swej historii i szczególnie nie uważać za bohaterów nikczemników, którzy rzekomo „walczyli za naród"; nigdy nie zapominać i nie usprawiedliwiać swoich błędów, nawet jeśli błędy przeciwnika wydają się albo rzeczywiście są większe od własnych; nigdy nie stosować podwójnej moralności, nawet jeśli sąsiad lub przeciwnik stosuje tę metodę.*

Są to trudne nauki, łatwiej jest nienawidzić niż spróbować zrozumieć pewne sprawy, łatwiej nie widzieć racji innych, niż miałyby ucierpieć przez to nasze racje, często urojone lub zmitologizowane. Łatwiej też walczyć z cudzymi mitami niż własnymi.

Utrata pamięci narodowej nie jest dobrem. Tyle że ta pamięć powinna być pełna, nie selektywna - pisze Venclova. Jednak nasza mniejszość, ale przede wszystkim otaczająca nas większość pełnej pamięci o tym skrawku ziemi nie ma.

Eseje Venclovy są więc studium o nacjonalizmie jako takim, ale są także rozliczeniem z ideologią komunistyczną, z praktykami jej nacjonalistycznego internacjonalizmu, są swoistą próbą walki z tymi i wielu jeszcze innymi negatywnymi zjawiskami, jest po prostu książką mądrą i mającą wiele do powiedzenia także nam. Dlatego miałaby być lekturą obowiązkową, nawet w dzisiejszych z takim trudem demokratyzujących się czasach.

KAZIMIERZ JAWORSKI



Fot. JAN MYRDACZ

BYŁ JUŻ TAKI POŻYTECZNY KALENDARZ

Kolega Władysław Kiedroń pożyczył mi „Kalendarz Rolników Szląskich na rok 1876". Nakładem E. Feitzingera wydrukowano ten kalendarz pod koniec 1875 roku, jako drugi rocznik. Z ciekawością czytam kartkę po kartce tej zgrabnej broszurki.

Zaczyna się od kalendarium, ze specjalnym uwzględnieniem świąt greckokatolickich i żydowskich. Nie brak zdań umoralniających. Dla przykładu, na styczeń obrano wiersz Jana Kochanowskiego. Nie brak danych o księżycu, o słońcu, długości dnia i nocy, a nawet sile wiatru. Rok 1876 rozpoczął się w sobotę, a zakończył w niedzielę, po 366 dniach (przestępny). Podano również początek i zakończenie każdej pory roku. Kalendarz pojawił się w Austro-Węgrzech, toteż wydrukowano święta dworskie, rozpoczynając od cesarza Franciszka Józefa. W kolejności alfabetycznej znajdujemy głowy państw europejskich, od Andory po królestwo Włoch. Na liście znalazło się 41 państw, cesarstw, księstw, królestw, ale też trzy wolne miasta: Brema, Hamburg, Lubeka. Cała kolejna strona poświęcona jest wyłącznie Austro-Węgrom: 11.306.000 ludności, 273.800 żołnierzy, marynarka wojenna dysponowała 69 okrętami wyposażonymi w 600 armat, marynarka handlowa miała do dyspozycji 574 statków, a kolej żelazna długość 15.540 kilometrów.

Wymienia się 26 miejscowości i daty jarmarków w naszych miastach: Cieszyn, Bogumin, Frysztat, Ligotka, Jabłonków, Olbrachcice. Jeśli chodzi o terminy, w których zaplanowano jarmark, były to: pierwszy poniedziałek marca, drugi maja, na św. Jana, Jakuba, Michała itp.

W Cieszynie były zakłady pożyteczności dla ludu, np. czytelnia, Towarzystwo Rolnicze. Na dwunastu stronicach widniały ogłoszenia, między innymi Szkoły Rolniczej w Kocobędzu z podanymi warunkami przyjęć, przedmiotami nauczania i nazwiskiem dyrektora Staudachera, miesięczna opłata wynosiła 15 złotych.

Ciekawostką roku 1876 było to, że 1 stycznia wprowadzono ujednolicenie miar i wag. Zadziwia dotychczasowa różnorodność miar pod względem wartości i nazw.

Państwo było zadłużone, a wysokość długów podawano w złotych austriackich, cizjaltańskich i transjaltańskich.

Ciekawe jest występowanie poszczególnych narodowości: Słowianie 45,6%, Niemcy 28,6%, Węgrzy 15,4%, Rumuni 9,8%.

Od kolejnej strony zaczyna się „Kronika". Znaczenie tego wyrazu było in-

ne niż obecnie. Zaczyna się od rolnictwa: znaki do przewidywania pogody, rady gospodarskie jak uprawa koniczyny, nawożenie, nie zapomniano o zwalczaniu kanianki, niebezpiecznego pasożyta zielonek, chorób ziemniaków itp.

Miałem okazję, by osobiście poznać - w latach 1949-1987 - warunki gospodarowania i osiągnięcia potomków tych gospodarzy, którzy czytali Kalendarz od 1875 roku. Nie dziwi mnie już teraz nie tylko poziom upraw i hodowli, ale oporne przyjmowanie nowych „wypróbowanych" metod pracy na roli.

Warto dodać, że Kalendarz obejmował imienny, w kolejności alfabetycznej prowadzony spis członków Towarzystwa Rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego na rok 1871. Znajdują się w spisie nazwiska osób najróżniejszych zawodów, nie wyłączając lekarzy, nauczycieli itp. Obok nazwiska i zawodu podana jest miejscowość, np. Brzezina Paweł Śmiłowice, Cienciała Jerzy Mistrzowice, Heczko Jerzy ksiądz z Ligotki. Należy też zaznaczyć, że rolnicy znali pojęcie protektor, hrabia Larisch-Möhnich, książę Jerzy Czartoryski, właściciel dóbr w Toszanowicach Dolnych, poseł do Rady Państwa.

GUSTAW FOLWARCZNY

A MOŻE POMOŻE?

W Klubie Polskich Emerytów co sobota jest gwarno. Często dyskusja o przewertowanych stronicach Zwrotu czy Głosu Ludu trwa bez końca. Postanowiono więc zaprosić kolejno redaktorów Głosu Ludu, Zwrotu, ale również przedstawicieli rodzimych poetów. Zjawili się, bo jakże odmówić sędziwym panom, którzy swoje doświadczenia życiowe mogą garściami rozdawać.

Z przedstawicielem zaolziańskiej poezji panem Janem Pyszką próbowano dociec przyczyn „tworzenia" niezrozumiałych wierszy. Zastrzegam, że w żadnym wypadku nie zamierzam kogokolwiek obrażać, zresztą jak dotąd poprzestaję na faktach. Jednak dla odrzucenia redakcyjnych przekonań o solidnym zaspokajaniu Czytelników, dla satysfakcji Klubowiczów, że to nie są wymysły „wapniaków" i że to wcale nie nowe zjawisko, przytaczam poważne przykłady uznawanych zacnych polskich pisarzy. Czytajcie!

„Antologia satyry polskiej" z lat 1944-1955 przedstawia prace 104 pisarzy od Jana Baranowicza po Krystynę Żywulską. Jan Brzechwa, skądinąd znany z przemiłych wierszy dla dzieci, na stronicy 30 pisze:

CHWILA ZOILA
Są pośród wierszopisów tacy niby wieszcze,
co to sztuki pisarskiej nie posiedli jeszcze,

a już się uważają za koryfeuszy,
chociaż innych przerośli jedynie o uszy.
Gdyby murarz kładł cegły jak oni swe rymy,
dom żaden by w Warszawie nie dotrwał do zimy.
Gdyby górnik miał w pracy ich poczucie rytmu,
wykonałby ćwierć normy i byłoby wstyd mu.
Drukują ich w nadziei, że to młoda kadra,
więc płodzą swe utwory na cebry i wiadra,
chociaż dla redaktorów prawda to niezbita,
że murarz ani górnik wierszy tych nie czyta. (...)
Dzisiaj sztukę dla sztuki ocenia się wrogo,
a jak ocenić można sztukę dla nikogo?
Wiersze, którymi ludzie jak ośćmi się krztuszą
i odrzucają radzi, że czytać nie muszą?
Lud wierny jest poezji, chciwie dźwięk jej łowi,
muszą też i poeci wierni być ludowi,
muszą położyć tamę poetyckiej bujdzie
i przemawiać po ludzku! Lud za nimi pójdzie.

1952

RATUJMY DZIECI!
Bierzemy utwór - cóż w nim widzimy?
Są tam półrymy i niedorymy,
rymy-poczwarki, rymy-wyskrobki,
rymy-potworki i kozie bobki,
ple-ple-rymiątka, psi-psi-rymeczki: (...)
Tak może pisać tylko macocha,
osoba, która dzieci nie kocha.
A dzieci myślą: „Czytać to? Po co?"
I zniechęcone - bawią się procą.
Oto już tylko krok, proszę państwa,
od grafomaństwa do chuligaństwa -
niech więc Oświatę wiersz mój oświeci.
Ratujmy dzieci! Ratujmy dzieci!

1955

Kto „gramotny", pojmie, że mój udokumentowany przyczynek w pierwszym rzędzie do „pisarzy" się odnosi. W drugiej kolejności do redaktorów, którzy dotychczasowymi metodami usiłują o pozyskanie nowych czytelników. Czy coś się zmieni, jeżeli nie akceptowano ani jednego wniosku, jednej propozycji, podanych w trakcie wymienionych trzech spotkań w Klubie Emerytów. Czy doczekamy się zmian? Życzymy tego Czytelnikom (wytrwałym) naszych skromnych mediów.

GUSTAW FOLWARCZNY

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶


SPORTEX
SPORTEX

ŚWIĘCONE W POLSKIM DWORZE

Ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły jechałem na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny, jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba, jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinne serce, jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinnym jestestwem! Student z Borun, z jakimże uniesieniem postrzegłem z daleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc spędzić miałem. Wielkanoc, święto najweselsze! Święto wiosny. Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości...

...Ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniej soboty spożyty i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, mile zalatywały wonie, gdy huczne salwy artylerii księdza proboszcza dawały hasło rezurekcji. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów wielkanocnych, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołym Alleluja, dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny wiosenny! Gromadnie i hucznie wychodzono z kościoła.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc przez ulice chałupek. Około każdej z nich familia poczciwych chłopków, w kupkę zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu, w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnego obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał. W pierwszym pokoju, świeżą wysypany jedliną, długi stół, okryty najsmakowitszym Święconym. Tu, na środku, baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę. Obok podpiera go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczki czerwonym jajkiem... Dalej indyk utoczony, który sam jeden w całym domu przez Post Wielki nie pościł, szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów, przy niej, dla zapewnienia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgęskach, ozorach, zającach, cietrzewiach zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt? Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach, bez nich cóżby całe Święcone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka, gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czerniawa, lepka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smacznymi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło.

Oczekiwano księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotowywał się do swojej roli, poglądano w okna, milczano lub szeptano z cicha. Kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką i Filonek tańcował około stołu.

Przybywa na koniec i ksiądz proboszcz, mój dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając ze sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi orację przez połowę po łacinie i po polsku. Tu już nastąpiły powinszowania, w których mniej dowcipu, a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowe, córki i zięciowie ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali ręce ojca swego i dobroczyńcy...

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanym jajkiem, i nie opuścił żadnego dziecka, a z uczuciem równie życzliwym podawał talerz swym dzieciom, jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się wytwornym, lecz równie obfitym Święconym...

O Boże! Gdzie się to wszystko podziało? Gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się na ten czas można było? Gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub nieszczęśliwym? Gdzieś się to wszystko podziało?

IGNACY CHODŹKO „Dworek mojego dziadka" 1931

MOZAIKA

CHŁOP I DIABEŁ

Leżoł na łóżku, przykryty wielkim kożuchym, oczi mioł obrócóne ku powału i rozmyśloł, rozmyśloł, coby ze sebóm zrobić. Już trzi roki minóło od tego czasu, co go grof na polowaniu na dziwoki świnie postrzyloł. Grof nie był niczimu winny. Ón dycki chodził z grofym jako jego przyboczny strzelec. Dłógo nimógli nic upolować, już była odtrómbióno zbiórka na obiod, a w tym psy wygóniły z gąszczu stado dziwokich świni. Było ich możne 10, a między nimi olbrzymi, możne 4-roczny kaniec i maciora. Grof wzión na muszke kańca, a ón największóm ze stada maciore. Maciora trefióno zaroz legła, ale kaniec był jyny postrzelóny w przednióm łopatke, strasznie ryczoł, kwiczoł i już był przy grofie, a byłby go rozdeptoł, rozpruł kłami, ale ón zachynół flinte i skoczył na kańca. Kaniec niechoł grofa, a puścił se do niego, gdyż ón go dziubnół nożym pod przednióm łopatke. Nóż skielznół po kości i nie zrobił mu wielki krziwdy, a kaniec z pianóm u pysku już go tarmosił na ziymi. Grofowi sie nic nie stało, jyny sie strasznie wylynkoł i skoczył ze ziymie, nabił strzelbe i chcioł kańca dobić. Kaniec tarmosił Strziża po ziymi a tyn żgoł go nożym, kaj sie dało, prawie wraził mu nóż w samo serce, jak grof strzelił kańca, ale go nie trefił, jyny Strziża w biodro.

Już było po polowaniu. Strziża napoły żywego nałożili na wóz, wyścielany słómóm, i zawiyźli go do zamku. Tam leżoł przeszło pół roku, lyczili go zielinami, mazali wszelijakimi maściami, sprowadzali znachorów, dochtorów, rany od kańca se po jakimsi czasie wygojiły. Ale rana od postrzału sie nie gojiła, krwawiła, a co gorsze, Strziż nimóg chodzić, bo kość prawego biodra była pogruchotano.

Grof mioł Strziża strasznie rod, bo sie razym wychowali, a ludzie powiadali, że Strziż je starego grofa syn, kierego mioł ze strasznie pieknóm pokojówkóm, kiero służyła u grofiny. Ta służąco umrzyła, a Strziża i młodego grofa wychowywała niańka. Tóż grof pojechoł aż do Wiydnia do znómego na cały świat dochtora i przywióz go aż do zamku. Tyn Strziża oglądnół, obmacoł kości, kozoł prawóm noge dać do desek, doł przepis na maść i powiedzioł, że Strziż musi cicho leżeć, a lyczyni może trwać jeszcze nejmiyni 2 roki. Jeśli bedzie chodzić, to o berłach, a noga bedzie krótszo. Zaś nejlepsi by było, gdyby Strziża dali kaj na bok, coby mioł cicho. Jak dochtór pojechoł, hrabia podarowoł Strziżowi całe zagajniki, leśniczówke i kęs dobre ziymie, doł mu też na obsłóge starém niańke i jednego pachołka, krowe i kozoł ich od razu odkludzić do leśniczówki. Niańka była rada, że sie pozbyła zamku i choć też już była staro, wziyna sie zaroz do gospodarki i lyczynio Strziża. Po dwóch rokach rana sie zagoiła i Strziż stanół o kijach, kiere mu pachołek Jeż narychtowoł, jak sie Strziż chodził wygrzywać na słónce. Pachołek Jeż był rod, że sie wyzwolił spod pańszczyzny, bo sie chcioł ożynić z jednóm szikownóm dziołchóm ze zómku. Tóż mu Strziż podarowoł całe pole, w lesie pozwolił nawycinać drzewa na budynki. Jeż sie dwoił i troił, za dwa roki mioł gospodarke wybudowanóm i poszeł z leśniczówki do swojej gospodarki.

Strziż sie czuł w lecie dość dobrze, ale jak przyszła jesiyń, plucha, tak go w nogach i kościach zaczyno tak łupać, że sie musioł zaś legnyć do łóżka. Staro niańka zbiyrała i gotowała zieliny, aby nimocnymu ulżyć, aż sie stało nieszczęści, niańka poszła do lasa na zieliny, przyszła wielko wichura, kiero wyrywała strómy z korzyniami i niańke drzewo przywaliło. Dopiero na trzeci dziyń jóm naszeł Jeż już nieżywóm. Z tego zaczyna sie prawdziwo biyda. Jeż przychodził mało do leśniczówki, bo mioł dóma moc roboty, a baba mu powiadała, co tam bydziesz łaził ku nimu, czym prędzej umrze, tym lepszy, bo mu nie bydzie trzeba dować powinności, a las i leśniczówka bedóm nasze. Na oko Strziża obskakowała, przymilała sie, jak mógła, gładziła, pieściła, warziła zieliny, ale taki, co sie mu zdrowi pogorszało, i kusiła Strziża, aby po śmierci napisoł Jeżowi las. Była chytro jak sóm czert.

Strziżowi sie tak zdrowi pogorszyło, że z łóżka sie nimóg ruszić, ze zamkym nimioł żodnego powiązano, bo grof z rodzinóm wyjechoł za granice. Życio mu było żal, bo był jeszcze młody, Jeżowej babie nie wierzył, bo zmiarkowoł, że czyho jyny na jego śmierć. Tóż rozmyśloł, jakby z tej biydy wyłyźć. Spómnioł se, jak był jeszcze małym synkym, że w zómku był taki stary owczorz-znachor, co lycził bydło, ludzi i robił wszelijaki zaklęcia. Ludzie powiadali, że jak było źle, to poradził aji diabła na pomoc przziwołać. Strziż se pomyśloł, a może by tak na pomoc diabła sprubować zawołać. Gdybych wyzdrowioł, tobych i dusze zapisoł. Cosi mu szeptało, nie wołej, to je grzych, lepszy umrzyć, jak przystoi na chrześcijana, a nie kumać sie z diabłym. Na polu padoł deszcz ze śniegym, a wichura wszystko chciała poprzewracać, a Striża tak rwało we wszistkich kościach, że nimóg deli wydzierżeć i powiedzioł: Niech sie stanie, co sie mo stać. Abraka, dabraka, podraka. Mefisto, przychodź zaraz, potrzebujym twoji pumocy.

Ledwa to zaklęci wypowiedzioł, leśniczówkóm zaruszoł wiater, błysko sie, uderziło, zagwizdało w kuminie i już przy nim stoi diabeł. W czarnym fraku, na głowie mioł cylinder, bródke do szpica, pod lewóm pazuchóm mioł torbe, wyglóndoł jak tyn dochtór z Wiydnia. Strziż sie w pierwszej chwili zląkł, ale za chwile powiedzioł: Uzdrów mnie, jeśli poradzisz. Za zdrowie oddóm wszystko, co móm, i mójóm dusze. Dioboł klęknół na jedno kolano, otworzył torbe i wszystko wysuł na dłożke. Potym wzión gornek, pozbiyroł ze ziymie pełnóm gorść jakichsi dziwnych zielin, wsuł do gorka, nalał wody z kónewki, do ostatka zielin dmuchnół, a ty poleciały do ognia i zaroz była pełno izba żółtego dymu, Strziż sie zacznół dusić, a dioboł mu prawił: Kuckej, a spluwej, musisz tóm nimoc wypluć. I postawił gornek ze zielinami na ogniu. Strziż sie dusił, pluł, stękoł, a trwało to aż do północy.

Jak zegar uderzył ostatni raz, dym sie naroz stracił, a woda w gorku na ogniu zaczyna wreć, syczeć. Dioboł wzión gornek i podoł Strziżowi: Wypij wszistko, aż do dna, rychli nie śmisz gorka od gęby odjąć, jak odejmiesz, nie wyzdrowisz. Strziż pił, ale płyn go strasznie po wargach, w gębie i w postrzodku parził i myśloł, teraz ech se dorobił i coch chcioł, toch dostoł, a po śmierci tak bedzie w piekle parzić mojóm dusze. Wypił jednak aż do dna i zaczón sie strasznie pocić. Diabeł mu prawi: A teraz wlyź do łóżka i dobrze sie przikryj kożuchym, a jutro, jak bedziesz zdrowy, to mi zapłacisz a zrobimy umowe. Strziż wloz do łóżka, przikrył sie kożuchym, dioboł wyciągnół sie na ziymi wedle kominka i powiedzioł: Teraz spać, bo my sóm oba strasznie zmordowani. Nie trwało ani minuty, oba zaczyni strasznie chrapać, aż sie cało leśniczówka trzęsła, a na polu padoł deszcz, a wiater świszczoł, huczoł i wyrywoł drzewa z korzyniami.

Rano, jak sie Strziż obudził, diobła w izbie nie było, a ón wyskocził z łóżka zdrowy, gibki, jakby mu nigdy nic nie było. Naciógnół galaty, zewlyk koszule i polecioł se umyć do potoka. Wiater ucichnół, deszcz przestoł padać, ale na chodniku były poprzewracane drzewa, a ón przez nich jyny śmignół, jak sarna. Umył sie w potoku, polecioł do leśniczówki, bo sie mu zachciało strasznie jeść. Popod pecyn chleba, zaczón go łómać, jeść i zapijać mlykym. Wtym wloz do izby dioboł, ukłónił sie Strziżowi i powiedzioł: Dziyn dobry, a dla mnie śniadania nie masz? A ón: Czymu ni, chlyb jest, mlyko jest, jest wędzona dziczyzna i szpyrka, co chcech, jydz, boś zasłużył. Dioboł pojod chleba ze szpyrkóm, poobcieroł gębe, napił sie wody: Teraz by było trzeba, żebyś mi, Strziżu, własnóm krwióm podpisoł cyrograf. Ale jo twoji dusze nie chcym ani teraz, ani po śmierci, bo i tak na nic by nie była, bo tyś przez tóm swojóm nimoc wiyncyj tu na ziymi wyciyrpioł, ale podpiszesz mi tu oto tyn papiyr, a z dniym dzisiejszym darujesz mi swojóm leśniczówke ze wszystkim, co tu jest i cały tyn twój las. Z leśniczówki jeszcze dzisio przed północóm odyndziesz, a nigdy tu nie wrócisz. Gojnym też nie bydziesz, jyny dochtorym, bydziesz lycził ludzi, takim sposobym, jakim jo ciebie wylycził. Nie buj sie, bydziesz sławny i bogaty. Nazywoł sie bydziesz Kaszper Strziż, jo zaś se bedym nazywoł Kareł Strziż. Tu mosz mojóm torbe, na początek w ni mosz potrzebne zieliny, w nich jest siła dochtorsko, a jak ci chybi, nazbiyrosz ich w każdym lesie, jyny musisz dycki przy zbiyraniu powiedzieć: Karolu, dej im siłe i moc dochtorskóm. Z leśniczówki możesz wziónść jyny tela, co sie zmiyści do tej torby. A teraz na znak zgody podpiszesz mi tóm umowe swojóm krwióm ze serdecznego palca. Strziż nie czitoł, podpisoł i powiedzioł: Zgoda. Dioboł sie roześmioł, klasnął w ręce, cupnół nogóm i już stoł przed Strziżym w myśliwski uniformie, z flintóm na ramiyniu. A Strziż mioł na głowie cylinder, biołóm koszule, a w dziurce klapy od fraka na jedwobnej szniórce złote bryloki.

Dioboł sie po roz drugi roześmioł i prawił: Ty Kaszper Strziż, jo Kareł Strziż, ty idziesz w świat, a bedziesz lycził ludzi, a kogo wylyczisz, to dusza bedzie do mnie należała. Jo zaś bedym leśniczym, a dusze bedym chytoł tu w lesie. Strziż pochodził na chwile po izbie od dwiyrzi ku oknu, porozmyśloł, potym włożył do torby kęs chleba, szpyrki, mięsa wędzonego, wzión torbe, zatrzasnął dwiyrze i poszeł w stróne Frydku.

Rano do Strziżowego lasa zaczyny sie ze wszystkich strón zjyżdżać furmanki. Chłopi, baby, dzieci rzli piłami, cięli siekierami i nakłodali na wozy powywracane drzewa i wozili ku chałopóm. Najwięcej z tego skorzystoł Jeż, bo do lasa mioł niedaleko, a z lasa ku chałupie z kopieczka. Jakosi na 10

dziyń przisżeł ku nimu Strziż: Aleście mi tyn las wycziścili, to sie tak pasiecie na moji krziwdzie. No, ale zato sie bedziecie w piekle smażić, jo sie uż o to postaróm. I ty chamie chłopski, powiydz tym wszystkim, jak pozbiyrali drzewo, to niech wszyscy przidóm, pozbiyrajóm se ty pnie i zakopióm pieknie ty dziury. Za 2 dni tu chcym mieć porządek. Na drugi dziyń była niedziela, tóż od samego rana, kdo jyny móg, tóż przisżeł do lasa. Chłopi nakłodali, wywozili pnie, a baby zakopowały dziury i rownały ziym, do wieczora było wszystko gotowe.

Na wiosne we Strziżowym lesie zaczyno wszistko rosnóć, jak na drożdżach. Było tam wszistko: jagody, borówki, maliny, ostrężyny, dziki jabka, gruszki, a grzibów było tela, że ich ludzie nimógli pozbiyrać, a od zwierziny a ptactwa aż sie roiło. Strziż chodził po lesie, a jyny sie uśmiychoł, jak dzieci albo baby zbiyrajóm borówki, a powiadoł: Zbiyrejcie, bo mi to nic nie zrobi, że to mocie z mojigo lasa, bo tego je w nim moc. Jak kogo chycił przy ścinaniu drzewa, nastawianiu sideł albo zastrzelyniu grubszej zwierzyny, to wyciągoł zza pazuchy papiyr, a powiadoł: Teraz mi to, braciszku, pieknie podpiszesz swojóm krwióm ze serdecznego palca, że już więcej do mojigo lasa nie przidziesz, a po śmierci twoja dusza bedzie do mnie należeć. Ale żodyn se z tego nic nie robił, bo myśloł, że to sóm błozna, a co bedzie po śmierci, to sie dziepro żodyn nic nie staroł. Za pore roków już nie było chłopa, kiery by diobłowi cyrograf nie podpisoł.

Jeż umioł strugać z lipowego drzewa łyżki, kapcie, a jego baba sie piekliła, a przezywała go przy tym do ślimoków, że nimo na to drzewa. Jeż zaprzągnół kónie i szeł do Strziżowego lasa. Obroł pieknóm wysokóm lipe i doł sie do roboty. W mig jóm ściął, a potym obrąbowoł, śpiychoł sie i ani sie nie nazdoł, jak przisżeł Strziż i prawi: Jak widzim, pieknóm lipe eś se obroł, ale wiysz, że tyn las do mnie należy. Wiem, wiym, ale coch mioł robić, jak potrzebujym drzewa. No dobre, tóż se to pieknie nałóż, a jak podpiszesz cyrograf, to po śmierci pujdziesz do piekła, bo jo je dioboł, a twoja dusza do mnie bedzie należeć. Jeż się poszkroboł po głowie i prawi: Podpiszym, ale i bez podpisu zaroz do piekła pujdym, bo tam w tym piekle to gorsi nie bedzie, jak dóma przi moji babie.

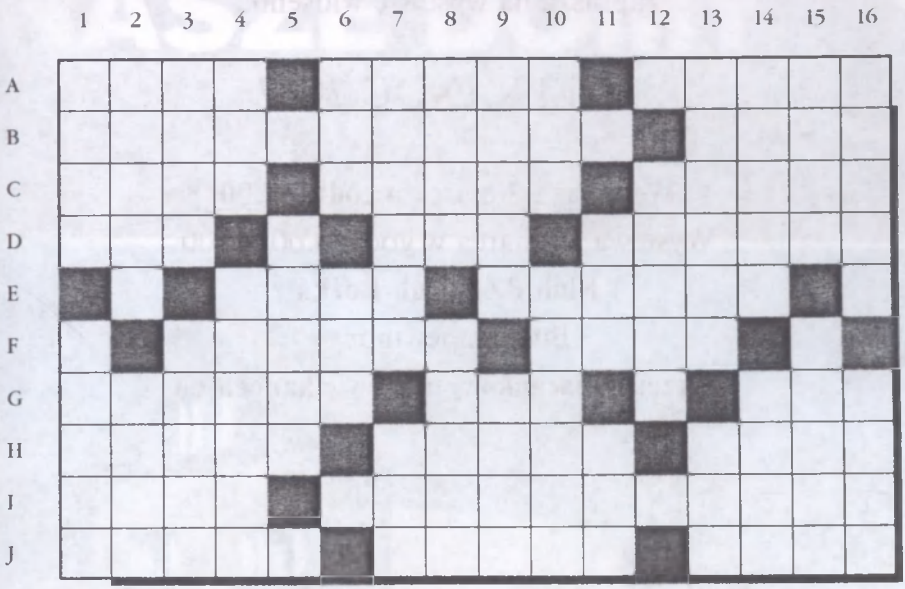
Za pore roków sie stało, że Jeżowa umrzyła. Faktycznie sie dostała do piekła, bo na to we swojim żiwocie zasłóżiła. O losach ostatnich ludzi już sie żodyn nic nie dowiedzioł.

AMALIA PAWLASOWA



Fot. FRANCISZEK BAŁON

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z AFORYZMEM

POZIOMO: A. Zawartość kruszcu w monetach; imię Pawlasa; monumentalny przedsionek w architekturze wschodniej. **B.** Małe przyjęcie; uszkodzenie ciała. **C.** Myśl przewodnia; klasztor; pisarz rosyjski (Maksym). **D.** Partia gry w tenisie; odkryty przez małżonków Curie; waga kogucia w boksie po czesku. **E.** ...Zorba; starożytne państwo semickie. **F.** Pierwszeństwo; wilga. **G.** Puste opakowanie reklamowe; imię Sumac; pierwiastek chemiczny (Er). **H.** Państwo w Afryce; pomieszczenie dla bydła; polska piosenkarka (Magda). **I.** Lud z grupy Bantu; jak najszybciej (termin muzyczny). **J.** Węgierski poeta (János, 1817-1882); książę Messapijczyków; napój alkoholowy.

PIONOWO: 1. Byk czczony w Egipcie; lawa. **2.** Gruba włochata tkanina; germański bóg burzy i piorunów. **3.** Kwaśna przyprawa; ogół dzienników i czasopism. **4.** ...Trojanowska; pisarz rosyjski (Daniił). **5.** Wirusowa choroba zakaźna. **6.** Miasto w Kirgistanie; imię sopranistki Destinn. **7.** Babcia w gwarze cieszyńskiej; ...et labora. **8.** Czeski piłkarz (Pavel); płynie przez Rzym. **9.** Elektroda dodatnia; ośrodek wydobycia węgla brunatnego w RC. **10.** Najdłuższa rzeka zachodniej Europy; Lacedemon. **11.** Egzystencja, istnienie; dźwięk a podwyższony o pół tonu. **12.** *Pomieszczenie dla malucha.* **13.** *Ironista po czesku;* Stany Zjednoczone. **14.** Największy dopływ Odry; władca muzułmański. **15.** Kanadyjski piosenkarz (Paul); zdenerwowanie przed wystąpieniem. **16.** Pierwszy historiograf Turcji osmańskiej; dawna myśliwska nazwa bardzo drobnego śrutu.

Wyrazy trudne: ARTAS, GRANIN, LIWAN, MOSI, NAIMA.

(taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki (aforyzm Seneki ml.) dadzą litery w następujących kratkach: B-1, H-9, A-14, I-16, D-9, C-6, I-8, B-15, E-13, D-2, H-4, I-14, C-12, C-2, G-8, C-10, I-10, E-6, B-4, D-13, J-15, I-1, A-4, J-10, G-3, E-11.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca marca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru styczniowego: RADOSNE SERCE WYPEŁNIA BRAKI ŻYCIA

Nagrody książkowe wylosowali: **Czesława Gąsior** - Karwina Frysztat
Wilhelm Tannenberg - Czeski Cieszyn
Marta Kluz - Mosty k. Jabłonkowa

PZKO Czeski Cieszyn Centrum

zaprasza na wystawę wiosenną

WIELKANOC 2002

Wernisaż 23 marca o godz. 17.00

Wystawa 24 marca w godz. 9.00–17.00

Klub PZKO ul. Bożka

Bufet zapewniony

Sprzedaż baranków, jajek wielkanocnych

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny Ministerstwa Kultury RC: F 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
Tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY



DOM PZKO W KARWINIE STARYM MIEŚCIE

Ten Dom należący do MK PZKO Karwina Stare Miasto obchodził w zeszłym roku dwudziestolecie otwarcia.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

BAGINIEC

NASZE ZAOLZIE





Zwrot

4
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Pierwsza klasa Szkoły Ludowej w Łazach. Rok 1925.
Fotografię przekazała redakcji p. Franciszka Kuboniowa
z Olbrachcic.

ANIELA KUPIEC

NA SKRAJU WIOSNY

Tela cudownych i strzybnych myśli
świyci ci łąko nad czołym
kluczyczki odymkły już dwiyrze
wiośnie
idzie radość stubarwno
nie posypano popiołym
smutku
i wszystko świyrgoce i brzęczy
radośnie.
Tela tu łąko twoij zielynie,
a w oczach ludzkich
tela nieba,
jyny torka sie śmieje cichutko
że w oziminie
że jeszcze drzymie
duch
bochynka chleba.

Zwrot 4 2002

Rok LIII, Nr 629
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Wartość gwary i jej rola na pograniczu kultur	JADWIGA PACHECKA
9	Z wizytą u Anieli Kupiec	CZESŁAWA RUDNIK
18	Mój dobry Anioł Stróż (2)	BRUNON GRZEBIEŃ
23	Gościnna Szkocja. Wspomnienia kombatanta	ANDRZEJ PAWLAS
27	Wycieczka Beskidu Śląskiego do Polski (1–10. 8. 1934)	RUDOLF WÓJCIK
31	Jubileusz Zofii Wanok	F. B.
34	Kronika: Złote róże dla jubilatów, Elektrycy bilansowali, 80 lat Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego Beskid Śląski, Polskie Gimnazjum pod obserwacją, Srebrne Spinki, Wystawa o Janie Kiepurze, Wystawa plastyków w Karwinie, Teatralna wiosna w Żukowie, Wystawa twórców niezrzeszonych w żadnym związku	
48	Poezja Dariusza Pacaka	
50	Władysław Sikora: Maria	
53	Młode pióro: Wojciech Wykręt	
55	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
56	Polacy poza krajem: Rozmowa z Dariuszem Pacakiem	MAREK SŁOWIACZEK
59	To i owo	
62	Wspominanie Jaroslava Seiferta	
67	Pożegnania: Franciszek Babiuch, Jerzy Taraba, Jan Macura	
72	Jeszcze o budce babci Guziurki	
73	Ze starych kalendarzy	
74	Żarty z brodą	
76	Mozaika	JANINA

Numer zamknięto 18. 3. 2002

WARTOŚĆ GWARY I JEJ ROLA NA POGRANICZU KULTUR

Kategoria pogranicza i świadomość powszechności tego zjawiska stanowi cechę szczególną rozważań współczesnych o narodach, językach i kulturze. Nie sposób bowiem wytyczyć ostrych linii skutecznie rozdzielających i izolujących grupy etniczne, narody, języki, kultury. Dotyczy to zarówno państw jedno jak i wielonarodowościowych. Sąsiedztwo kultur - termin zaproponowany przez Antoninę Kłoskowską - jest szczególnie przydatny w sytuacji, którą Józef Chlebowczyk określa jako pogranicze przejściowe, w którym pokrewieństwo językowo-etniczne powoduje brak określonej granicy demarkacyjnej, dwu lub wielojęzyczność bądź pseudowielojęzyczność, które umożliwiają porozumienie. Wyraźnie wskazuje na wielokulturowość regionu pogranicza rozumianą jako cenne ludzkie doświadczenie różnorodności, polifoniczności i dialogowości. Jako konkluzję zamykającą opis takiej postawy można przytoczyć fragment artykułu Alicji Nagórko: *Stała współobecność dwu lub więcej języków, multilingwizm o zasięgi społecznym sprzyja też konstatacjom mniej naiwnym, przy czym ze wszystkich miar pożądanym, że w każdym języku da się powiedzieć to samo, choć nie tak samo. Świadomość tego rodzi ducha tolerancji, szacunek dla inności, przekonanie, że nie ma języków lepszych i gorszych, skoro w każdym da się wyrazić to, co pragnie się wyrazić.* Należy jednak zaznaczyć, iż to, co dla jednych jest wartością, może być postrzegane przez innych ze względów ideowych, politycznych jako zagrożenie, zło. W takim wypadku mówić należy raczej o konflikcie niż sąsiedztwie kultur.

Widać wyraźnie, jak silnie nacechowana aksjologicznie bywa kategoria pogranicza. Nie powinno to jednak wpływać na obiektywizm opisu różnych wariantów sytuacji językowej.

Odległość od centrum, pewna izolacja powodują, iż zazwyczaj na pograniczach utrzymują się dłużej odmiany regionalne, dialekty i gwary (te ostatnie rozumiane tu jako odmiany wewnątrz dialektów o mniejszym niż one zasięgu terytorialnym). W takich wypadkach stosunek użytkowania gwary i języka literackiego bywa dość skomplikowany i może się wyrażać w różnych układach. Np. gwara stanowi jedyną odmianę ojczystego języka, jakim posługuje się grupa ludzi w kontaktach wewnętrznych (rodzinnych, sąsiedzkich), na zewnątrz używając innego języka (może to być równie dobrze obcy język literacki jak gwara obcego języka). Dotyczy to tych grup, które pozostają poza granicami państwa i nierzadko z tego powodu mają utrudniony kontakt z literacką odmianą języka ojczystego. Np. w badanych skupiskach Polaków na terenach Litwy, Białorusi, Ukrainy czy Kazachstanu.

Z badań tych wynika, iż język (w tym wypadku również gwara) jest jednym z najistotniejszych czynników identyfikacji narodowej.

Inny wypadek stanowi, gdy gwara jest pierwszym domowym, rodzimym językiem, a umiejętność posługiwania się językiem literackim jest efektem oddziaływania czynników zewnętrznych - szkoły, mediów, literatury - co powoduje potencjalną dwutorowość komunikowania się.

Zanim pokazane zostaną konsekwencje takich sytuacji językowych, należy zwrócić uwagę, iż kategoria znaczeniowa pogranicza obciążona jest wyraźnym czynnikiem wartościującym i podobnie jest z gwarą. Jeśli przywołamy z różnych źródeł zaczerpnięte jej definicje, rozrzut sytuujący gwarę na skali wartości okaże się wyjątkowo szeroki.

Zawartą w „Wielkiej encyklopedii powszechnej" (PWN 1966, T: III) definicję autorstwa W. Doroszewskiego rozpoczyna stwierdzenie, iż „Dialekt" (gr.) to *odznaczająca się swoistymi cechami mowa ludności zamieszkującej region, który na pewnym obszarze państwa lub narodu nie zajmuje stanowiska dominującego pod względem kulturalno-politycznym. Jest to więc mowa podrzędna w stosunku do języka ogólnonarodowego (...).*

Natomiast „Słownik terminów literackich" (PWN 1976) autorstwa M. Głowińskiego, T. Kostkiewiczowej, A. Okopień Sławińskiej i J. Sławińskiego podaje: „Dialekt" to *(...) odmiana języka narodowego używana na określonym terytorium i przez określoną warstwę społeczną (np. chłopską). Wyróżnia się swoistymi cechami fonetycznymi i leksykalnymi, rzadziej morfologicznymi i składniowymi. W ramach dialektów wyróżnia się czasem gwary jako odmiany o mniejszym zasięgu terytorialnym.*

Zarysowuje się zdecydowana opozycja gorszość - inność, co nie jest charakterystyczne wyłącznie dla badań polskich. Richard I. Arends - pedagog amerykański, myśląc o problemach klas wielokulturowych i klas integrujących pisze: *Zróżnicowanie języków i dialektów w Stanach Zjednoczonych jest ogromne. (...) Czarny angielski, gullah, kreol hawajski to niektóre z ważniejszych dialektów miejscowych. Niekiedy uważa się, że dialekty te są czymś gorszym od „normalnego" angielskiego. W przeszłości zbyt często szkoły starały się eliminować używanie przez uczniów języka, jakim mówią w domu. (...) Koniecznie trzeba podkreślić, że ludzie mówiący tymi dialektami nie używają ułomnej odmiany angielskiego, jak to się powszechnie przypuszcza. Są to odmienne języki o własnej złożoności i o własnych regułach.*

Przywracanie wartości gwarze, która dokonuje się choćby przez umieszczanie w podręczniku szkolnym stwierdzenia, iż *dialekty - regionalne odmiany języka - nie są, jak to naiwnie niektórzy sądzą, zniekształconą postacią polszczyzny literackiej,* ma ogromne znaczenie dla tych, których językiem domowym jest gwara. Poczucie podrzędności powoduje porzucanie gwary,

uczucie upokorzenia, jeżeli przypadkiem użyje się form odmiennych od normy języka literackiego. W powszechnym odczuciu źle postrzegających mówienie gwarą staje się ona wykładnikiem jakiegoś braku, np. wykształcenia, ogłady itp. Konsekwencją jest spłaszczenie ekspresji językowej, zubożenie, podatność (bo nie mówi się własną) na „cudzomowę", slogany.

Postrzeganie gwary jako kategorii inności pozwala na manifestowanie dumy z własnego bogactwa i różnorodności i równoległe posługiwanie się dwoma systemami językowymi. Jest manifestacją przynależności do grupy, miejsca, określonego typu kultury, tradycji. Nobilitowanie gwary powoduje rodzaj sprzężenia zwrotnego. Widać to wyraźnie na przykładzie gwary podhalańskiej, której żywotność bierze się tyle z wyrazistej odrębności kulturowej jej użytkowników, ile z dodatkowego źródła dumy, iż stała się ona tworzywem dzieł literackich i to w obu możliwych wariantach - pierwszym, kiedy gwara stanowi wyłączny system językowy dzieła, i drugim, kiedy, nie będąc jedynym systemem, pełni funkcję świadomie wprowadzonego czynnika artystycznie kształtującego tekst. Pierwszy przypadek ilustrować może żywa działalność literacka ludzi piszących gwarą, drugi to, że od modernizmu stanowi element stylizacji literatury polskiej. Splendoru gwarze podhalańskiej dodają nie tylko odległe, historyczne dokonania literackie Tetmajera, Orkana, i in., ale jej obecność we współcześnie powstałych i cieszących się ogromnym wzięciem czytelniczym książkach Józefa Tischnera „Historii filozofii po góralsku" czy napisanych wespół z Wandą Czubernatową „Wieści ze słuchanicy". Dodatkową atrakcją dla czytelników są dołączone do tych książek kasety bądź płyty, na które nagrano teksty w wykonaniu ludzi mówiących gwarą.

W odbiorze emocjonalnym tych faktów przez mieszkańców Podhala przeważa poczucie dumy i zobowiązania do przekazywania gwary dzieciom i wnukom. Bo jakżesz! Sławny filozof nie wstydzi się swojej góralskości, gwary, cyfrowanych portek i kapelusza (nie rezygnując wszakże z koloratki), pokazuje się tak w mediach. Jeśli ktoś nie rozumie, niech się wsłucha, niech spamięta, a potem barwną anegdotą ozdobi szare, dotąd na gazetowych wzorach oparte mówienie.

Jak w tej sytuacji przewartościowywania stosunku do gwary powinna się zachować szkoła i nauczyciele, nierzadko dotąd tępiący, eliminujący używanie przez uczniów języka, jakim mówią w domu. Można tu znów zacytować Arendsa, co podkreśli tożsamość problemu bez względu na geograficzną odległość, kulturową inność, polityczną specyfikę. Arends, powołując się na pracę Torreya z 1983 roku, pisze: *Nauczyciel powinien okazać szacunek dla języka, jakim uczeń posługuje się w domu. Znaczy to, że jeśli uczniowie używają tego języka w klasie, wskazane jest, by nauczyciel wspólnie z nimi analizował*

podobieństwa i różnice między tym językiem, a standardowym angielskim, nie uwłaczając ojczystemu językowi ani dialektowi uczniów. W taki sposób pomoże uczniom osiągnąć dwujęzyczność. I dalej: *Zaleca się także, aby dwujęzyczne programy kształcenia rozwijały zarówno umiejętności językowe w zakresie ojczystego języka jak i angielskiego, żeby realizujący je nauczyciele biegle władali językiem ucznia i żeby programy takie obejmowały przynajmniej pięć kolejnych lat nauczania.*

Proponowane przez Arendsa postępowanie realizowane dość konsekwentnie w nowych programach szkół amerykańskich prowadzi do optymalnych rezultatów, sprowadzających się do tego, iż absolwenci szkoły potrafią porozumiewać się w języku ojczystym bądź w gwarze, jak również w literackim języku angielskim, utrzymywać konsekwentnie wypowiedź w określonym systemie językowym, używać języka własnego bądź gwary jako świadomie stosowanego czynnika stylizującego wypowiedź. W tym układzie można mówić o pograniczach wewnątrz, a nie na obrzeżach, o ciągłym bogaceniu literackiego języka amerykańskiego, stanowiącego podstawę powszechnej komunikacji.

Należy z pewnym uznaniem odnotować odradzanie się szacunku dla gwary w coraz liczniejszych szkołach polskich, choć ciągle jeszcze dominuje walka z mówiącymi w dialektach uczniami. Są jednak i takie szkoły jak w Bukowcu (Wielkopolska), gdzie uczniowie mają dodatkowe godziny lekcyjne poświęcone nauce miejscowej gwary, konkursy mówienia i pisania. Śledząc odrodzenie zainteresowania różnorodnością języków, folkloru, obyczaju - szczególnie wyrazistych na pograniczach, gdzie różnice są bardziej uchwytne - nie można oprzeć się konkluzji, iż w ten sposób świat współczesny broni się przed „globalną wioską", próbując uczyć dialogu i tolerancji, szacunku i zachwytu dla ludzkiego bogactwa, które powinno stać się przedmiotem podziwu, a nie przerażenia.

JADWIGA PACHECKA

Powyższy tekst prof. dr hab. Jadwigi Pacheckiej z Uniwersytetu Warszawskiego został przygotowany i wygłoszony podczas konferencji „Mniejszości narodowe na Śląsku Cieszyńskim dawniej i dziś", zorganizowanej przez Centrum Pedagogiczne ds. Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego oraz Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w październiku ub. r. Wraz z pozostałymi referatami ukaże się pod koniec miesiąca w polskiej i czeskiej wersji językowej w publikacji przygotowanej przez organizatorów konferencji.



Fot. JAN MYRDACZ

ANIELA KUPIEC

JAKO BYCH MÓGŁA ZAPÓMNIEĆ O TOBIE ZIYMIO?

Ziymio co we snach nejmłodszych
kwitłaś mi strzybnością rosy,
coś rodziła świyrgoty skowrónków,
coś zaraniu dnia chwoliła
zórz rużowe włosy?
O tobie ziymio
we wieśniaczym trudzie
zabalzamowano – i wieczno,
coś głosym orocza pieściła
dziyń na ojcowskij grudzie,
coś ćmielim skrzidełkym
sny rozmiatała
wypłoszónym echóm,
a kamiyniste zbocza oblykłaś w zieliny
i kwiotek tęczową uciechą.
O tobie ziymio nigdy nie zapómnię
boś krwawymi łzami
płakała
nad grobami bohaterskich dzieci,
o tobie coś słowóm matczynym
te siłe dowała
kiero po dzisio modlitwą
i śpiywanim świyci.
Coś siłe dowała
i tym dłóniom twardym,
a w ojcowym uścisku tak ciepłym i zocnym,
że już na dycki
tak mi pozostaniesz
tym co jeszcze we mnie
jest czystym
i mocnym.

Z WIZYTĄ U ANIELI KUPIEC

Aniela Kupiec jest nestorką wśród współczesnych twórców literatury regionalnej na Zaolziu. Trwa na posterunku i strzeże naszej gwary, całym swoim jestestwem egzemplifikując zasadność tezy o wartościach najwyższych, jakimi są przywiązanie do języka przodków, do ziemi jako matki-przyrody i jako matki-ojczyzny. Należy do pokolenia literackiego, które potrafiło swe radości i niepokoje utrwalić słowem prozatorskim czy poetyckim przy użyciu mowy autochtonów, mowy ludu, która jest jednym z głównych znaków rozpoznawczych tego regionu. Wielu piszących gwarą już odeszło, a wśród młodszej generacji władających piórem trudno znaleźć następców.

Talent pisarski Anieli Kupiec, wcześnie ujawniony, dojrzewał, odkryty przez Pawła Kubisza, podsycany przez Daniela Kadłubca, wykrystalizował się w wydaniach książkowych „Korzeni" (w roku 1981, zawierały także wiersze Ewy Milerskiej i Anny Filipek), „Malinowego świata" (1988) i opowiadań „Połotane żywobyci" (1997). Na wydanie czekają najnowsze wiersze i opowiadania Anieli Kupiec. Kilka z nich udostępniła autorka naszej redakcji i czytelnicy znajdą je w najbliższych numerach Zwrotu.

Daniel Kadłubiec napisał: *Aniela Kupcowa zadziwia poetyckim uwznioślenim rzeczy na pozór niepoetyckich, widzeniem rzeczy niezwykłych w rzeczach zwykłych, co łączy się z niepospolitą obrazowością, a także bajkową przejrzystością jej świata poetyckiego, uwydatniającą uniwersalia życiowe.*

Aniela Kupiec kończy 5 kwietnia 82 lata. Wiek dojrzały oznacza mądrość życiową i doświadczenie. W tym wypadku, przelane na papier, mają szczególne znaczenie, służą bowiem szerokiemu ogółowi czytelników. Godna podziwu jest przy tym skromność autorki, która uparcie twierdzi, że jej pisanie jest niewiele warte.

Słowami *nie piszcie o mnie wiele* żegnała się też ze mną Aniela Kupiec, kiedy odwiedziłam ją w jej domu rodzinnym w Nydku, by wykorzystać dla czytelników Zwrotu jeszcze jeden z jej talentów: talent gawędziarski. Tematów było wiele, bo i wspomnienia z całego spędzonego właściwie w jednym miejscu, ale jakże bogatego w wydarzenia życia, i przemyślenia o dniu dzisiejszym, myśli o stosunku do przyrody, poglądy na temat pisania i języka oraz mówiących różnymi językami mieszkańców tego terenu.

Wypowiedzi Anieli Kupiec nawiązują poniekąd do drukowanych w Zwrocie nieomal od jego powstania „Żywych tekstów", bowiem zbytnia stylizacja opowieści, mówionych gwarą, która jest językiem ojczystym gawędziarki, i tłumaczenie ich na język literacki brzmiałyby sztucznie.

Posługiwanie się na co dzień śląską gwarą w słowie, a nawet i w piśmie nie oznacza jednak nieznajomości i ignorancji języka polskiego:

Moja starka, urodzono w 1859 roku, chodziła do polskij szkoły w Dobrej. Miała syna - mojigo wujka - w Wiydniu. I pisała mu list. I mówi mi: Wiysz co, poprow mi tyn list, bo nie wiym, czych tam wiela błyndów nie narobiła, stareczka bożatko. No i czytóm tyn list, tak pieknie po polsku napisany, bez jedynego błyndu, tylko jako zaczyła wielkóm literóm, tak skóńczyła kropkóm. No i faktycznie pieknie po polsku. Dycki my tu też mieli polski ksiónżki.

Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa:

W tym dómu miyszkóm calutki życi, tuch sie urodziła. W śmiergust. To bych sie miała wody nie boć, a jo sie od dziecka panicznie wody bojym. Jak jo była mało, mama naloła wody do żbera, wraziła mie na siedząco do niego i myła mie. A jo, jak żech była w tym żberze, toch strasznie wrzeszczała. Jeszcze to pamiyntóm. A potym sie mówiło, jak mama kładła dziecka spać, idziecie do legiera. Jo se myślała, że to je do żbera. Tak jak to powiedziała, tak żech zaczyła strasznie wrzeszczeć, a tata odpiął posek, a chcioł mie bić.

Jak my przyszli do szkoły, to my sie uczyli piosynke. Tam były taki słowa: W skromnej naszej chatce przy kochanej mieszkam matce, ... a szczęśliwi i weseli pracujemy do niedzieli, ...a w niedziele u matulki bieluchne jak śnieg koszulki. Mamie mojij sie to strasznie podobało i zawsze mówiła: Śpiywejcie to jeszcze. I jo ji to musiała śpiywać.

Rok 1938 przyniósł na Zaolzie Polskę, zdarzenia dni powszednich jednak szybko rozwiały początkowy entuzjazm:

Ta Dobra to już je teraz całkiem czeski. To już sóm taki kresy. Za Polski tam była granica, a tam posłali takóm dziadownie - policjantów a straż granicznóm. Przyszli tu na nowe tereny, tak było trzeba te Polske jakosikej przedstawić, bo to byli ambasadorowie Polski. Każdy jedyn z nich se to móg uświadomić, ale jak by im to przyszło do głowy. Yny pili, a insze rzeczy robili, no straszno wizytówka.

Jo miała ciotke w Toszonowicach, a jak przyszła wojna, to jo musiała uciekać tu stela, bo mie chcieli wziąć do Niymiec, a mama mie chciała za-

trzymać tu dóma, bo my mieli gospodarke. Tóż na jakisi czas żech sie ukrywała u tej ciotki. No i ta ciotka mi opowiadała, jacy ci Polocy to tam stela przyszli. No straszne. Przyszli tu od Lwowa sami „spece", nic nie umioł, ale ón był spec od tego a tego. I potym ci robotnicy, hutnicy ich nienawidzieli za to, że sie tak wynoszóm. Przyszła Polska, tóż Polocy, co tam stela przyszli, czuli sie wyższościóm. Nie umieli ani tela jako tu ci nasi robotnicy, a ci nasi robotnicy musieli posłóchać tzw. speców, co sie to na nic nie godziło.

Jo miała wtedy 19 lat, tata przichodził z huty, a mówił: Źle sie dzieje. Dostali my nowóm robote. Jo mówiym: Tóż widzisz, tata, nie musisz być dóma co drugi tydziyń, tóż nad czym sie starosz. A ón powiado: Ale, bo my dostali robote, ale to jest zbrojeniowy przemysł, a mie to mierzi. To sie dobrze nie skóńczy. Przygotowuje sie wojna. Czy my w ogóle wyobrażali se, jako ta wojna je. Tata nikiedy siadoł i opowiadoł cosi o tej wojnie, bo był na włoskim froncie. Robotnicy, choć mieli troche roboty, uświadamiali se, że to nie jest bardzo dobre, że robota w tym Trzyńcu je, że czymsi to niełądnie pachnie.

Podczas wojny pracowała Aniela Kupiec, wtedy jeszcze Milerska, w lesie. Po wojnie wyszła za mąż za nauczyciela Jana Kupca, została gospodynią domową. Młode małżeństwo borykało się z mnóstwem problemów, ale jakże inne były one w porównaniu z dniem dzisiejszym:

Mój mąż był w Niymcach, wywieziony, i po wojnie nie dostoł spolegliwości, na kierej sie opiyrała przynależność państwowa. Polok, niebezpieczny. I zwrócili my sie do jakigosi znómego w urzędzie powiatowym, a ón powiado: Kupiec, Kupiec, ale jego żóna to fanatyczka straszno. Potym już dali te przynależność, yny siedym miesiyncy my nie dostali gaży niż sie to wszystko przez ty urzędy załatwiło. Byli my młode małżyństwo, dziecko my mieli, ojciec mi umrził, a mama też nie dostała jeszcze emerytury po nim i ni mieli my już ganc nic piniyndzy. Byli my tu na tej chałupie, zimioki my mieli swoje. I cóż teraz. No tak tu idym pożyczyć, tu idym pożyczyć. Potym dostoł te gaże i uż my jakosikej jechali. Mi to je trudno, z takij strasznej biydy, jak jo ni miała ani co dziecku, ani bardzo pieluszki, ani nic, dzisio zrozumieć wymagania tych dzisiejszych ludzi.

Jo już je prastare pokolyni, ale jak se to tak porównóm, jako my sie obywali o byle co, a teraz... Tyn komfort w tych dómach, to wszystko pochłanio straszne sumy, a ci ludzie muszóm na to zarobić. Tóż ni może sie tyn człowiek ograniczyć do tego, żeby mioł troche mniej elegancki miyszkani?

Ale ludzie to chcóm, ludzie chcóm se tak mieszkać, chociaż jo nie wiym, czy tam jest w tych dómach tak strasznie dobrze. My kiedysi w tym skrómnych warunkach sie spotykali, opowiadali, jakosi serdeczność łączyła tych ludzi skromnych, biydnych wszystkich razym, a dzisiaj każdy dla siebie tylko, rodziny są odosobnione, każdo rodzina dla siebie, mało sie spotykają, ze sąsiadami zgoła nigdy, a jak sie czasym spotkają, to w końcu ni majóm co ze sobóm mówić.

Praca społeczna, przede wszystkim w teatrze amatorskim i chórze, prowadzonym przez Jana Kupca, była nieodłączną częścią życia państwa Kupców. Chór występował w strojach ludowych:

Z moij inicjatywy to było, żeby tyn chór nie odstympował od tej ludowości, żeby my se zachowali tyn strój ludowy jako mundur tego zespołu. No i my od samego poczóntku w tym stroju ludowym wystympowali jako chór. Przez wojne to ludzie pruli, szyli z tego koszulki dlo dzieci. To wszystko szło precz. Po wojnie tego potym żodyn nie umioł uszyć. Tu i ówdzie gdzieś jeszcze została u jakisi starki ta suknia, tóż my to potym pozbiyrali, do kupy jakosi dali i tych strojów sie nazbiyrało. I starali my sie wpoić taki zamiłowani do tego, żeby tego ludzie nie bagatelizowali, żeby to mieli radzi. Kiela sie tako starka nakłopociła niż taki żywotek wyszyła, to były taki arcydzieła nikiere, że to szkoda tak niszczyć. Wreszcie zaczyło to kiełkować pomalutku i potym już wszystki nasze chórzystki miały każdo swój strój. Teraz chóru już ni mómy, bo niestety mąż umrził, tak już teraz sie nóm ty wystympy w tym stroju gdziesikiej stracóm. Mómy tyn strój w dómu wszystki, ale gdzie w tym pujdymy.

Życie w wiosce beskidzkiej to nieustanny bliski kontakt z przyrodą:

Już od dziecka interesowały mie chroboki, żaby... Mój ojciec też był taki przirodnik. Jo bych powiedziała, że czyńściowo isto jeszcze mi to zostało od tej przirody jako psu, że jak cosik złego kansi mo być, to mi je strasznie smutno, czujym taki niepokój jakisi, że cosi je nie tak. Gdybych była pies, to jak widzym ksiynżyc, to bych do niego wyła. To isto jeszcze je cząsteczka tego związku z tóm przirodóm. Jo móm taki związek z tóm ziymióm, ni mogym machnąć rynkóm nad tóm ziymióm. Jak tak ludzie tóm ziymióm gardzóm, to mie to dosłownie boli. Dobrze mi tak, bo miałach sie tak nie prziwiónzywać do tego wszystkigo.

Baji to wycinani lasów! Strasznie sie robiło kumedyje za kómunistów, mówiło sie rabunkowo polityka. Ale było oznaczóne, gdzie nie wolno wycinać, aby tyn wiater do tego lasa w te stróne nie padoł. A co je teraz? Lasy wyciynte, bo sóm sprywatyzowane, każdy se robi, co chce. I oto teraz tu

niedaleko od nas, jak przejechała fala wiatru, to 50 drzew wielkich zwaliło tam na kupe naroz. To był straszny widok, jak to lygało tyn las.

Pogorszyła sie też sprawa wody. Jak sóm dłógi deszcze, powiynkszył sie tyn spad z gróni, tak że sie nóm potok pomału o dwa metry zniżył. Narazie nie grozi, żeby to wyloło, ale jak to rwie, jak to hóczy, ty bałwany, niesie wszystko, co sie dostanie do tego próndu. Zebrało nóm już półdrugo metra brzega naszego pola. Strasznie żałujym tamtych ludzi, co stawiajóm w takich miejscach, jak jest obawa, że to zaleje. Gdo nóm zarynczy, że to tu nie beje jeszcze gorsze z tymi powodziami.

Jo tu miała przeszło trzydzieści lat stacje hydrometeorologicznóm, toch tam do Ostrawy posyłała ty wszystki dane każdy dziyń. Zawsze o siódmej rano było trzeba do Ostrawy głosić, kiela śniega napadało, kiela wody z tego śniega było, jako temperatura na ziymi, jako temperatura w powietrzu.

Dziś utrzymuje się Aniela Kupiec ze skromnej emerytury. Jakie zajęcia wypełniają jej dzień?

W ogóle mi nie chcieli dać emerytury, że sie mi nie należy. Tóż jo to pozbiyrała wszystko, piyńć roków żech opatrowała mame, kiero była sparaliżowano, robiłach w lesie całóm wojne, dwa dzieckach wychowała, no i dali mi tóm emeryture.

Biglować mi trzeba, a stoć na nogach ni mogym dłógo. Kiejsi u nas na dziedzinie był taki zwyczaj, aby nie bolało w plecach, na wiosne piyrszóm jaszczurke, kieróm sie chyciło, puściło sie za koszule. Czymu? Jak ta jaszczurka góniła za tóm koszulóm, to ci ludzie sie tak ruszali, aż sie w końcu tam kańsi tyn kręgosłup dostoł na swoi miejsce. Ale mie, chwała Bogu, kręgosłup nie boli.

Rynny mi śniyg strasznie zniszczył, te najgorszóm, co sie mi z nij loło już do dómu, to mi ziyńć naprawił. Kiela tu było śniega, na dachu meter, jo sie strasznie boła, że mi zawali te chałupe. Płot sie mi swalił pod ciynżarym strasznego śniega. Teraz oto ku wiośnie przyszła sarna do ogródka i poujodała wszystki pączki azalii. Jednako tyn płot muszym tam zrobić, grządki też jakisi móm, potym przidzie zając abo sarna, to sie tak zbestwiło ty zwiyrzynta.

Kury móm w dómu, do zeszłego roku chowałach jeszcze owce, ale już ni móm siły. Ni mogym tego rozróżnić, czy już ni mogym, czy sie mi nie chce robić. Siostra tu przidzie, prawi: dyć żeś uż je staro, jo prawiym: to nima zaś taki straszny wiek 82 roków, dyć mama mężowo żyła do 104 roków, a mama moja do 97, mie sie nie zdo, że jo je staro.

Aby tyn umysł mój jeszcze utrzymać jakosikej w jakij takij kondycji, tak

żech sie chyciła, że sie nauczym wierszy napamiyńć. Mówiym dzieckóm: bydźcie radzi, że mie jeszcze to, to, to interesuje, bo jak mie już nic nie bydzie interesować, tak to uż potym kóniec. Jeszcze se aji Kalyndorz kapke poczytóm, jest tam w tym teraźniejszym Kalyndorzu strasznie kupe ciekawych rzeczy, ty wspómniynia, to je przeca taki bogactwo, czymu tego ludzie nie chcą czytać, wolą jakisi kryminał oglądać, zamiast se poczytać takigo cosi, co tam gdosi napisoł z własnego życia. Ale bez tej telewizji też by było źle, bo jednako człowiek wiy, co gdzie sie dzieje i też to trzeba zaakceptować. Móm też książki religijne, to se tak w nich kapke czytóm. Jo se spóminóm, jak my se kiejsi jako młode małżyństwo z każdej gaży kupili jednóm książke. Teraz tu móm koło tysióncа tómów.

Kiedyś pracowała w Sekcji Folklorystycznej, należała do Grupy Literackiej 63, nadal pisze wiersze i opowiadania:

Ale jeśli chodzi o to pisani, to nieradzi ludzie piszóm. Dziecka szkolne nikiedy namawióm: Weźcie se kartke albo zeszytek jaki, bedziecie widzieć, jaki to je ciekawe. Nic nie wiym o tym, czy kiery sie doł zachyńcić. Ale nikiedy sie gdosikej wyjawi, jak sóm albo wesela jakisi, albo chrzciny, urodziny, imiyniny, towarzystwo zebrane jakisi, to naroz wykwitnie, że tyn napisoł taki a taki wiersz. Tóż go powiydz. I okazuje sie, że w co drugij chałupie gdosi pisze wiersze. Nikiere udane, nikiere taki dość nieudane, ale jednako strasznie kupe ludzi, co se pisze taki wiersze.

Zachyncóm wszystkich, żeby pisali se dzienniczek, który po kilkuś tam latach strasznie jest ciekawóm lekturóm.

Szkoda tego środowiska literackigo tak rozczłónkować, bo tym sie wiela nie osiągnie. Nikierzi są za bardzo w siebie zapatrzeni, ażeby drugimu życzyć po prostu, nic wiyncyj, tylko sukcesu.

Robić te prace, jako jo baji piszym ty opowiadania abo cosi, robić to dlo piniyndzy, jo by to uważała wewnątrz siebie za skandal.

Co jo ostatnio napisała? Ostatnioch napisała wiersz „Beskidy", to umieścili w tej książce „Góry w plecaku". Opowiadania jeszcze też piszym, otoch napisała jedno opowiadani o wiliji, to mi umieściła gazetka Ewangelik. Pomysły może by jeszcze były, ale nie wierzym już se, że sie to na co godzi.

CZESŁAWA RUDNIK

PANI ANIELI KUPIEC Z OKAZJI URODZIN ŻYCZENIA ZDROWIA, WIARY, OPTYMIZMU I SAMYCH SZCZĘŚLIWYCH DNI SKŁADA REDAKCJA.

ANIELA KUPIEC

MIĘDZY GRZĄDKAMI

Są jeszcze taki chwile
zrodzóne z słońca prómiyni,
kiej cudne lotają motyle,
ogródek w raj sie zmiyni,
bo świętość jakosi strzybno
z cichością pod ręke chodzi,
chodniczkym między grządkami
skrómniutki szczęści wodzi.

Kwiotek barwność rozmajto
na serce dłónie mi kładzie,
a oczy dziwią się światu
w całej tej boskij paradzie.
Nie trzeba po świecie błądzić
i chladać samego siebie
dyć pieknie na ziymi ojców
o suchym choćby – żyć chlebie.

Bo tędy świętość przedziwno
z ciszą poranka przechodzi
chodniczkym między grządkami
wioskowe szczęści wodzi.

MÓJ NEJLEPSZY PLACEK

Z połednia już było, jak my gnali krowy,
Każdy se do chlywa, każdy do swojigo,
Niezbyt napasióne, bo już mało trowy,
Miedze do czyrwóna słońce wypoliło.

Z kumina sie kurzi, jak górom patyki,
Mama obiod fajny isto uwarzili.
Może sóm gałuszki, albo możne stryki?
I jako pastyrce dzioł mi zostawili.

Była kapuśniónka wroz ze ziymniokami,
Aji placki z blachi, jak się nie radować!
Dy jeść sie już chciało. Naroz za dwiyrzami
Głośno: - „Oookna, ookna szlić, garce drótować!"

Szklorzu czy dróciorzu, słowiacki pielgrzimie,
kiedy dosz odpocząć uchodzónym nogóm?
Biyda was wyganio z waszej pieknej ziymie,
Pola kupy dziecek używić ni mogóm.

I wloz stary dróciorz, a z nim wnuczek mały,
Utropióni strasznie, bo żar lecioł z nieba.
Od dómu do dómu chodzóm tydziyń cały,
Niż sie do zarobić na bochynek chleba.

Na małym stołeczku w kącie skrómnie siedli.
Stary wziył na łóno wnuczka zbiydzónego,
I z miski nabożnie kapuśniónke jedli,
Cochmy im naloli z obiadu naszego.

Już szczyrkajóm łyżki po dnie próznej miski,
Już zjedzóne wszystko do kąska jednego.
Naroz mały pozdrził na stół, co był niski,
Uwidzioł mój placek, wbił oczy do niego.

Žol mi placka było, co wónióm paruje,
Ale oczy dziecka, jak szczypa płonące,
I paluszkym brudnym na stół pokazuje,
Starzikowi szepce cosikej prosząco.

Starego mierziało, że dość majóm - prawił,
Ale dróciorziczek w koszulce zmazanej
Strasznie sie zradowoł i nic sie nie bawił,
Jyny zjod mój placek z miseczki glinianej.

Jakosi sie dobrze w chałupie zrobiło,
Radość słóńcym świyci, szarość z liczka spadła.
I żodnymu w świecie sie nigdy nie śniło,
Żech już ni ma głodno, choć żech nie pojadła.

Teraz, jak spóminóm ty chwile młodości...
(Pomyślicie możne, że zy mnie je macek),
Choć czasy sóm lepsze i mimo sytości -
To był w moim życiu tyn nejlepszy placek.



Dom rodzinny Anieli Kupiec „Na Farce" w Nydku przysypany śniegiem, fot. FRANCISZEK BAŁON

MÓJ DOBRY ANIOŁ STRÓŻ (2)

Co to była za radość, jak zobaczyliśmy pierwszych żołnierzy polskich z orzełkami na beretach, a ciężarówki i „jeepy" z dużą literą „P". Oddział, do którego nas oddano, był artylerią zmotoryzowaną. Przesłuchanie u komendanta oddziału było krótkie. Ja mu też zaraz powiedziałem, że należę do tajnej organizacji wojskowej, tzw. Organizacji Bojowej. To zmieniło trochę moje przeżycia wojenne, bo zamiast zostać na froncie, jak to się stało z moim kolegą z Rybnika, wysłano mnie do Anglii. Na froncie byłem jeszcze przez parę dni. To były doprawdy niezapomniane przeżycia. Wyfasowałem tylko kurtkę wojskową, bo tylko taką mieli, i posuwaliśmy się z naszym oddziałem na północ w kierunku granicy belgijskiej. Siedziałem wtenczas w ciężarówce koło kierowcy, a przejeżdżając przez małe wioski, przeżywałem ten entuzjazm witających nas ludzi. Dziewczyny wspinały się na ciężarówki, żeby nas obsypywać kwiatami i całusami. Musiałem uważać, bo przecież miałem jeszcze portki i buty niemieckie i dlatego też nikomu nie pozwoliłem zaglądać do wozu, żeby tego nie zauważył. Te pamiętne dni skończyły się jak bajka.

Przyjechał po mnie „jeep" i zaczęła się tułaczka. Okazało się, że ten transport, organizowany przez Anglików, składał się z rozmaitych grup, byli tam ochotnicy Polacy z Francji, inne narodowości wywiezione na roboty przymusowe, było nawet parę oficerów niemieckich, na pewno na dalsze szczegółowe przesłuchania, no i też tacy jak ja. Nie było to takie łatwe i parę dni upłynęło prawie bez jedzenia czy też dachu nad głową. Nareszcie znalazł się okręcik. Był to tak zwany „landing craft", łódź raczej mała, ale na szczęście morze było spokojne i podróż na stojąco odbyła się bez przeszkód. Dopłynęliśmy do miasta portowego Plymouth, gdzie już na nas czekał pociąg, to znaczy na tych, którzy chcieli wstąpić w szeregi wojsk sprzymierzonych. Najwięcej było Polaków. Cała podróż to śpiew. Śpiewaliśmy wszystkie piosenki, czy to wojskowe, czy też harcerskie. Okazało się, że dowódcą tego transportu był Czech i zaraz też zaczął wypytywać, czy jest ktoś z „Teszinska". Było nas trzech, ale nie spodziewaliśmy się żadnego podstępu, przecież miał mundur oficera angielskiego w randze kapitana. Zaraz nas też wziął do swojego specjalnego wagonu, poczęstował jakąś wódką i mówi,

że teraz już o nic się nie musimy martwić, bo jesteśmy pod ochroną władz czechosłowackich. Teraz dopiero zauważyliśmy, o co mu chodzi. Żadne protesty, że my Polacy, że my chcemy do wojska polskiego wstąpić, nie pomagały. Postawił straż przy drzwiach i tak dojechaliśmy do południowej Szkocji, gdzie na nas czekali już Polacy; na nas, to znaczy cały transport, natomiast nas trzech zostawiono na samym końcu. Krzyczeliśmy na naszych rówieśników z transportu, żeby zawiadomiono Polaków, co się z nami dzieje. Zaprowadzono nas przed komisję czeską, gdzie już na nas czekano z rozmaitymi prośbami i groźbami, żeby tylko wstąpić w szeregi armii czeskiej. Na nic zdały się te ich groźby, bo żaden z nas się nie załamał. W końcu kazano nam podpisać jakiś kawałek papieru, nawet nie wiem co. No, nareszcie nas wypuszczono, a za drzwiami już na nas czekali Polacy. Przywitali nas serdecznie, bo słyszeli część naszej walki słownej z Czechami. W obozie polskim już wszyscy o nas wiedzieli i byliśmy traktowani jak jakieś gwiazdy filmowe. Odbyło się normalne przesłuchanie, to znaczy cały życiorys, i zaraz pytanie, do jakiej broni chcę się zapisać. Nie wiem, co moi dwaj kumple powiedzieli i gdzie się zgłosili, bo ich już więcej nie widziałem. Ja osobiście zgłosiłem się do lotnictwa, ale zaraz mi powiedziano, że przydział już mam, a to będzie Oddział Specjalny do Dyspozycji Szefa Sztabu Naczelnego Wodza. Z całej tej litanii słów nic nie zrozumiałem, wiedziałem tylko, że Naczelny Wódz to najwyższa władza. Nigdy mi do głowy nie przyszło, że to są „cichociemni".

I tak się moja gehenna życiowa zaczęła. Teraz dopiero sobie uświadamiam, że to był punkt przełomowy w moim życiu. To spowodowało, że zostałem radiomechanikiem, poszedłem na studia elektroniki, i to też spowodowało, że na Zaolzie zaraz po wojnie nie mogłem powrócić. Siedzibą naszego oddziału była miejscowość w Szkocji Falkirk, tam też spędziłem moje pierwsze dwa miesiące żołnierki. Nic specjalnego, poranna gimnastyka, a raczej przygotowania i ćwiczenia spadochroniarskie, potem lekcje. Podzielono nas na dwie grupy, jedna - radiotelegrafiści, a druga grupa to ci, co będą te aparaty naprawiali, radiomechanicy. Ja znalazłem się w tej drugiej grupie i długo na przeszkolenie nie musiałem czekać. Dwa miesiące później, to znaczy pod koniec października 1944 roku, byłem już na kursie radiomechaników w Royal Technical College w Glasgow w Szkocji. Byliśmy zakwaterowani w dużym prywatnym domu, a na lekcje jeździliśmy tramwajem numer 3, który dojeżdżał do samej szkoły. Wykładowcami byli Polacy i starali się wbić w te nasze młode pałki wszystko o prądach zmien-

nych, małej częstotliwości, dużej częstotliwości, o lampach radiowych itd. Głowa mi pękała od tego wszystkiego a na czytanie gazet czy też słuchanie radia nie było czasu, tak że tych pamiętnych miesięcy zwycięskich walk Aliantów z Niemcami prawie że nie przeżywałem. W kwietniu 1945 roku nareszcie kurs się skończył i zaraz chodziło o przydział. Wiem, że paru pojechało do Brindisi we Włoszech, gdzie była słynna baza wojskowa dla skoczków do Polski. Wysłano mnie do angielskiego obozu REME w Aldershot na południu Anglii. Był to obóz wojskowy angielskiej grupy łączności, gdzie też były laboratoria wojskowe. Tam zaznajomiono nas z najnowszymi nadajnikami, właśnie przez tę grupę badanymi. Były to prototypy nadajników, które mogły wysłać półgodzinną depeszę w przeciągu paru minut. Depesze wpierw się wybijało na taśmie w kształcie kresek i kropek na maszynie podobnej do maszyny do pisania, a po włożeniu taśmy do nadajnika i naciśnięciu guzika depesza ta była automatycznie nadawana. Pracowały tam też dwie polskie żydóweczki, które nam służyły jako tłumaczki, od jednej nawet dostałem zdjęcie na pamiątkę, ale ta druga była niedostępna, tylko „business". Tam też nas zastał koniec wojny. Co to było radości wśród żołnierzy i angielskiej ludności cywilnej. Nawet o tym nie wiedziałem, ale właśnie tam skończyła się moja kariera w oddziale „cichociemnych".

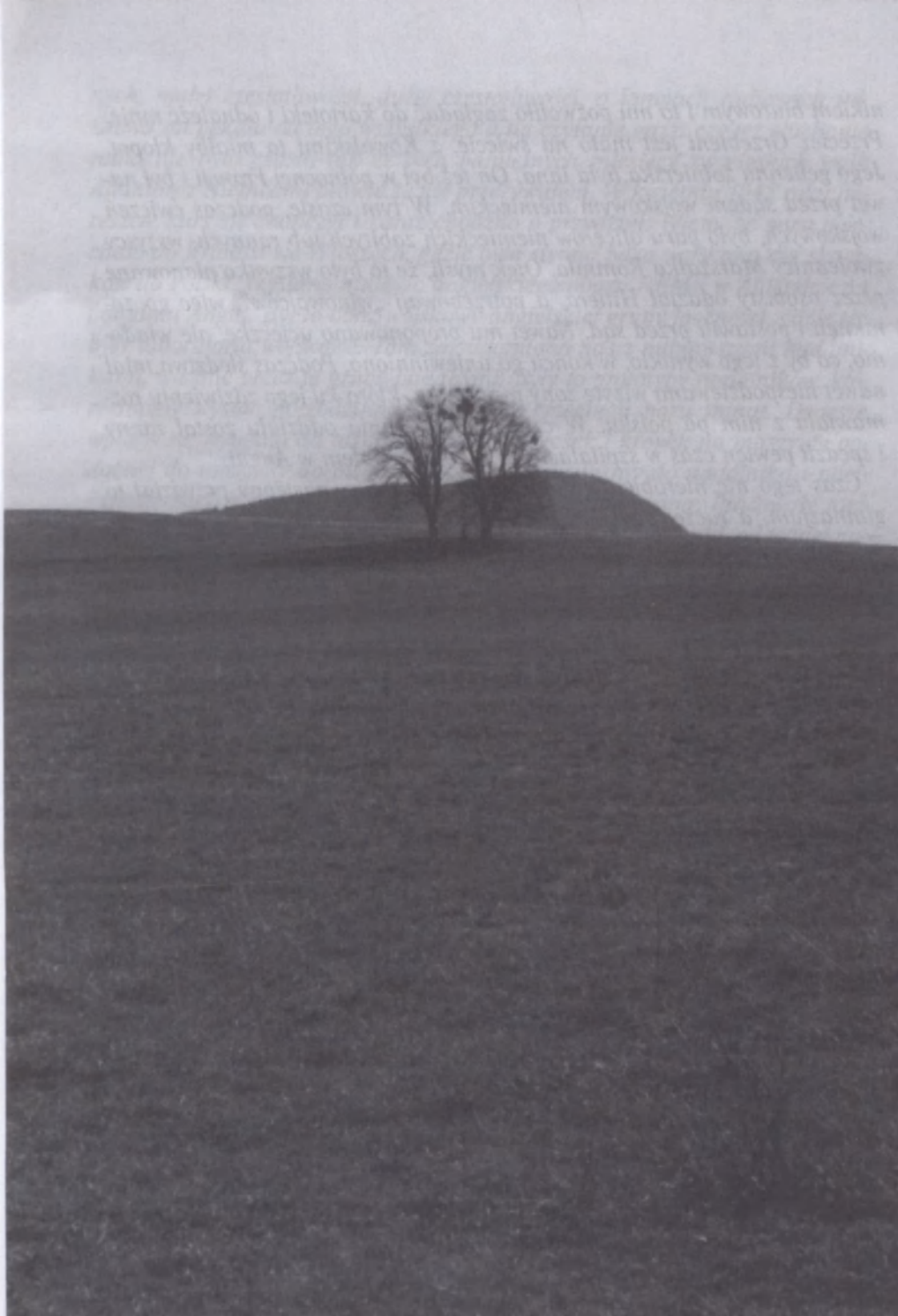
Po powrocie do Szkocji zawiadomiono nas, że nasz oddział z rozkazu władz angielskich został częściowo zredukowany. Mój następny przydział był do 5. Baonu Łączności, gdzie spotkałem kolegę jeszcze z czasów gimnazjalnych w Orłowej - Gustawa Nowaka. Stamtąd zostałem przeniesiony do oddziału w Dundee, na północ od Edynburga. Była to raczej mieszanina żołnierzy w tym samym wieku co ja. Był wśród nich także Henryk Szmeja z Bogumina i razem z nim założyliśmy w tym oddziale drużynę harcerską. Ponieważ czasu było pod dostatkiem, więc zaczęliśmy robić różne rzeczy, dla zabicia czasu, jak na przykład zabawki na gwiazdkę dla dzieci szkockich. To nam zapewniło dobre stosunki z ludnością miejscową i często byliśmy zapraszani do rodzin na obiady albo na te ich tak zwane „tea", czyli herbatkę popołudniową. Tam też po raz pierwszy w moim życiu poszedłem na „dancing", czyli zabawę taneczną. Dobrze że moja kuzynka nauczyła mnie tańczyć, bo inaczej byłbym zgubiony jak większość moich kolegów.

Właśnie tam spotkała mnie pewnego dnia niespodzianka, dostałem list z pieczątką jakiejś miejscowości w Szkocji od mojego rodzonego brata Otka. Okazało się, że był ranny we Francji, dostał się do niewoli, a teraz jest żołnierzem polskim w Pierwszej Dywizji Pancernej. Z powodu ran był urzęd-

nikiem biurowym i to mu pozwoliło zaglądać do kartoteki i odnaleźć mnie. Przecież Grzebieni jest mało na świecie, z Kowalskimi to miałby kłopot. Jego gehenna żołnierska była inna. On też był w północnej Francji i był nawet przed sądem wojskowym niemieckim. W tym czasie, podczas ćwiczeń wojskowych, było paru oficerów niemieckich zabitych lub rannych, wszyscy zwolennicy Marszałka Rommla. Otek myśli, że to było wszystko planowane przez osobisty oddział Hitlera, a potrzebowali „winowajców", więc go zamknęli i postawili przed sąd. Nawet mu proponowano ucieczkę, ale wiadomo, co by z tego wynikło, w końcu go uniewinniono. Podczas śledztwa miał nawet niespodziewaną wizytę żony marszałka, która ku jego zdziwieniu rozmawiała z nim po polsku. W czasie wycofywania oddziału został ranny i spędził pewien czas w szpitalach we Francji, a potem w Anglii.

Czas tego nic nierobienia skończył się dla mnie, następny przydział to gimnazjum, a raczej podchorążówka, gdzie życie trochę się unormowało. Zaczęły się lekcje, podręczników nie było, więc trzeba było dużo rzeczy albo zapamiętać, albo też zapisać. Oddział był wpierw w okolicy Edynburga w Szkocji, a potem przeniesiono nas na zachód Szkocji, do bardzo małej miejscowości Garlochhead na samym koniuszku szkockiego fiordu o tej samej nazwie. Miejsce było idealne na uczelnię, bo byliśmy na odludziu, do następnego miasteczka było daleko, autobus kursował, ale tylko dwa albo trzy razy na dobę, tak że czas leciał tylko na nauce. Z mamą skomunikowałem się już dawno, posyłałem jej angielskie papierosy, które ona mogła spieniężyć. Listy te nie były pocieszające, Czesi się panoszyli, a naszych znowu zamykano. Sama pisała, żeby na razie nie przyjeżdżać. Ja się też nie kwapiłem z wyjazdem do Czechosłowacji, przecież Polakiem byłem i jestem. Oprócz tego wypadek z czeskim kapitanem na pewno wpłynąłby ujemnie na mój powrót i więzienie albo nawet coś gorszego mogło mnie spotkać. W każdym razie starałem się na razie tylko skończyć gimnazjum. Nauka szła nieźle, miałem przecież dobre podstawy „gimpla" orłowskiego, co mi pomagało, a oprócz tego ta nasza zaradność śląska pozwoliła mi z każdej sytuacji jakoś wybrnąć.

BRUNON GRZEBIEŃ
c.d.n.



GOŚCINNA SZKOCJA
WSPOMNIENIA KOMBATANTA

Łaskawy los sprawił, że po trudnych wojennych przejściach na kontynencie europejskim znalazłem się w Szkocji, w miasteczku Irwine nad rzeką Clyde. Skończyła się dla mnie, przynajmniej na jakiś czas, zmora wojny. Tu nie docierały pociski rakietowe V1, V2, ostatnia nadzieja Wehrmachtu. Były to lata powstania warszawskiego, bitew pod Monte Cassino, Arnhem, za które było trzeba zapłacić najwyższą cenę.

Szkocja i jej mieszkańcy

Szkocję zamieszkuje około 5,5 mil. mieszkańców, potomków Celtów, Germanów, Rzymian. Któżby ich nie znał, wielkich patriotów, ubranych w krótką spódniczkę w kratę (kilt) w tradycyjnym stroju górali szkockich, maszerujących w takt oryginalnej muzyki narodowej. Stolicą jest Edynburg nad zatoką Forth. W godle państwa figuruje św. Andrzej, apostoł, brat Piotra, powołany do szerzenia Ewangelii, w starożytnym Rzymie opiekun niewolników.

Kraj ten to nie tylko wspaniała przyroda, raj dla turystów z przepięknie położonym jeziorem Loch Lomond, które jest dla Szkota tym, czym dla Polaków Wisła: Beyond bonny banks/ and beyond bonny brease/ when the sun shines on Loch Lomond (Ponad urodziwymi brzegami jeziora łagodny wietrzyk i słońce ożywiają wody Loch Lomond). Piosenka ta, symbol jedności ludu szkockiego, w czasie gościnnych występów należała do żelaznego repertuaru naszego chóru obozowego pod batutą sympatycznego dyrygenta ze Lwowa. Jego gościnne występy były bardzo życzliwie przyjmowane.

Beczki śmiechu

Alianci, przygotowując się do działań wojennych na kontynencie, dobrze rozwiązali problem odpowiedniego mieszkania dla setek tysięcy swoich żołnierzy. Wymyślono dla nich mieszkalne prowizorium z blachy falistej, nazywane „beczką śmiechu". Do jednej z nich trafiliśmy i my, absolwenci Szkoły Wojskowej Saperów. Wyposażeniem tych beczek były piętrowe łóżka polowe i worek z białego płótna na tekstylia i osobiste potrzeby materialne. Tu przygotowywali się do egzaminów ochotnicy z całej Polski, po ukończeniu szkoły specjaliści od budowy i burzenia mostów, zakładania i wykrywania pól minowych. Byli między nimi i tacy, którzy np. z Gdańska do Szwecji byli pasażerami na gapę, zaś stamtąd płynęli do Szkocji.

Saperzy, jak również lotnicy, to kategoria żołnierzy, którzy w działaniach wojennych ponosili największe straty, na nich też było największe zapotrzebowanie.

Kościół Prezbiteriański w miasteczku Irwine

Kościół ten, kładący nacisk na prostotę nabożeństwa, liczący w świecie ponad 5 mil. wiernych, założony został przed przeszło 400 laty (1567) jako umiarkowany odłam purytanów. W XVI wieku prześladowany był aż do czasu wydania Aktu Tolerancyjnego. Należy do Światowego Związku Kościołów Reformowanych.

Pastorem zboru w miasteczku Irwine w czasach II wojny światowej był ks. Mc Macara. Mieszkał na plebanii z ogrodem pełnym kwiatów, w którym przepięknie kolorowo zakwitał pachnący groszek. Wraz z kolegą z Wisły, ewangelikiem, braliśmy udział w niedziele i święta w porannych i wieczornych nabożeństwach. Wtedy korzystaliśmy z gościnności rodziny pastora. Spotkania te pozostawiły w nas niezatarty ślad. Były również dobrą lekcją języka angielskiego, chociaż zabarwionego szkockim dialektem. Nasz udział w nabożeństwach, wspólnocie religijnej przypominały nam nasze zbory w Błędowicach i w Wiśle. Nie dziwiłem się, że kolega z Wisły zdecydował się do rodzinnego kraju nie wracać.

Nabożeństwa w prezbiteriańskim kościele w Irwine

Zaskoczyła nas wyjątkowa punktualność zborowników. Byli przyzwyczajeni do tego, że po upływie ustalonej godziny początku nabożeństwa kościół zamykano. Śpiewano w szybkim rytmie, stojąc, najwyżej dwie zwrotki. Chór kościelny śpiewał oprócz pieśni również modlitwę przed ołtarzem. Na honorowym miejscu przy ołtarzu siedziała starszyzna - prezbiterowie. Z tacą w rękach, przy przegrywce organowej, podchodzili do zborowników, prosząc o złożenie pieniężnej ofiary na cele charytatywne, głównie zaś na finansowanie instytucji misyjnych. Ambona, galeryjki dla chóru, orkiestry, miejsca dla prezbiterów znajdowały się wokół ołtarza.

Edynburg i Londyn

W roku 1945 odbył się w Edynburgu jeden ze Zjazdów Ewangelików-Polaków - okazja do spotkań żołnierzy rozrzuconych po całym świecie. Były to powitania pełne radości, ale również i smutku. Równocześnie była to okazja do zwiedzania tego wspaniałego miasta, stolicy Szkocji.

Kiedy koszmarna II wojna światowa zakończyła się, Dzień Zwycięstwa - „V-day" - obchodzono w Szkocji jak nigdy przedtem. Trzy dni dniem i nocą na ulicach tańczono, przy ogniach sztucznych wiwatowano, ulice zdobiono girlandami. Decyduję się na powrót do kraju. Jestem między tymi, którzy znaleźli się w obozie repatriacyjnym w środkowej Anglii.

Przed odjazdem umożliwiono nam zwiedzanie Londynu, stolicy Wielkiej

Brytanii, miasta o ogromnym dziedzictwie kulturowym, z niezliczonymi zabytkami przeszłości, m.in. kolumną admirała Nelsona, syna księdza, zwycięzcy bitwy morskiej pod Trafalgar, gdzie zginął, bitwy, która dała początek przewadze Wielkiej Brytanii na morzach świata.

Przy zwiedzaniu katedry Opactwa Westminster, miejsca koronacji królów angielskich, na frontowej ścianie swoją niezwykłością uderzała biało-czerwona dekoracja z chryzantem dla uczczenia Polaków - lotników i żołnierzy, którzy w bitwach powietrznych o Anglię i w morderczych walkach pod Monte Cassino ponieśli największe ofiary. Zapisane są w historii II wojny światowej słowa: „Nigdy w dziejach wojen tak liczni nie zawdzięczali tak wiele tak nielicznym". Ta pełna wyrazu wypowiedź Winstona Churchilla, premiera Wielkiej Brytanii w latach 1940-1945, była zawarta w przemówieniu królowej Anglii w polskim parlamencie.

Powrót do domu

Z uczuciem smutku opuszczamy Anglię i naród, który przed kilkunastoma wiekami (1215) stworzył podstawy prawne w karcie Magna Charta Libertatum.

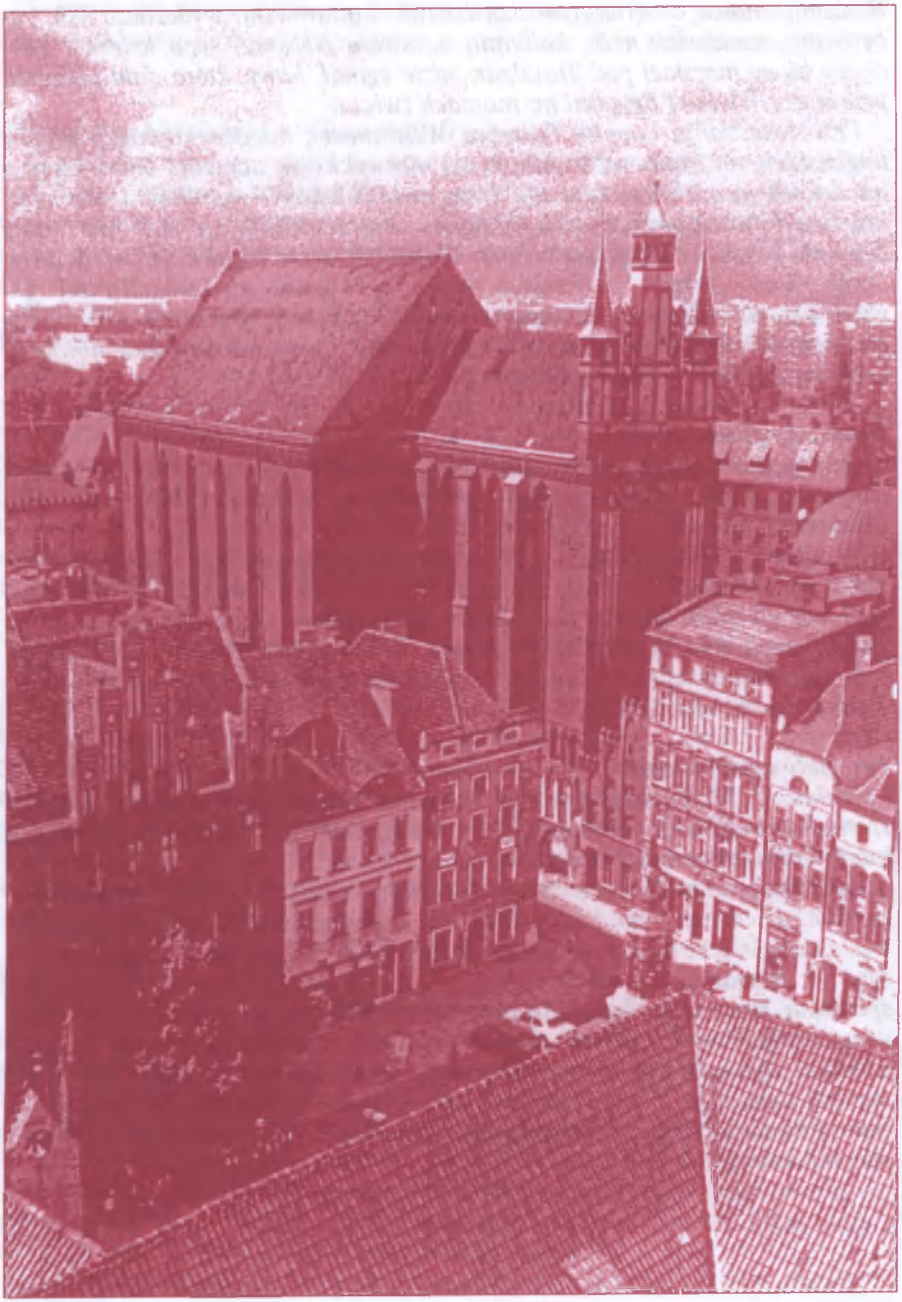
W piękny, słoneczny dzień 1946 roku zaokrętowano nas w Londynie na statek pasażerski, który przez Morze Północne, Kanał Kiloński, unikając min, popłynął na wody Bałtyku do boleśnie skaleczonego Gdańska. Zacumowany statek wita orkiestra Wojska Polskiego. Zakończył się ostatni etap tułaczki żołnierzy, którzy w kościele prezbiteriańskim wymodlili sobie szczęśliwy powrót do rodzinnego kraju.

Pozostały wspomnienia

W latach 70. podczas podróży służbowej ks. dr bp Władysław Kiedroń spotkał się w Szkocji z moim kolegą z Wisły, który po czterdziestu latach pod moim adresem przesłał serdeczne pozdrowienia.

Od zakończenia II wojny światowej, której rozmiary przeszły wyobrażenie ludzkie, dzieli nas ponad pół wieku. Na nabożeństwach w błędowickim kościele stale jeszcze marzy mi się przyjazna dla gości Szkocja z kazaniami pastora Mc Macary i z modlitwą „My father who are in heaven" (Ojcze nasz) śpiewaną przez chór kościelny przy akompaniamencie organów. Po latach wojny szczęśliwy los sprawił, że w moim życiu znalazło się miejsce na przekonania wyniesione z domu rodzinnego, na wiarę i życzliwość. Dziś coraz częściej sięgam po kieszonkowy Nowy Testament, dar księdza Mc Macary na pamiątkę nabożeństw w kościele prezbiteriańskim w dalekiej, ale jakże bliskiej mi Szkocji.

ANDRZEJ PAWLAS



Toruń, fot. FRANCISZEK BAŁON

WYCIECZKA BESKIDU ŚLĄSKIEGO DO POLSKI (1-10.8.1934)

W związku z II Zjazdem Polaków z Zagranicy w Warszawie zorganizowało Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe Beskid Śląski wycieczkę dziewięciodniową od 1 do 10 sierpnia 1934 roku do Polski. W wycieczce brało udział 118 osób. Byli to nie tylko sami Polacy, ale prawie połowę stanowili liczniejsi Niemcy i Czesi. W wycieczce towarzyszyła przedstawicielka Rady Organizacyjnej - nader serdeczna i troskliwa p. Łypacewiczowa i przedstawiciel Orbisu.

Członkowie wycieczki prawie z całego Śląska Cieszyńskiego zgromadzili się 1 sierpnia koło godz. 3 rano w szkole wydziałowej w Czeskim Cieszynie. Tam przywitał wszystkich p. insp. Wójcik, oświadczając, że przewodniczącym wycieczki będzie p. Dadok z Orłowej. Uczestników podzielono na trzy grupy: białą, czerwoną i niebieską, każdą zaś grupę prowadziła jedna z córek p. inspektora. Potem nastąpiło rozdanie odpowiednio do swej grupy kolorowych kokardek „Beskid Śląski w Czechosłowacji" i odznak na II Zjazd. Przed godz. 4 wyruszyliśmy z walizkami na most do Czeskiego Cieszyna, gdzie zarządzono ostrą rewizję. Na dworcu w Cieszynie polskim przywitała nas przedstawicielka Rady Organizacyjnej. Pociąg ruszył o godz. 5,14. W Dziedzicach przesiedliśmy do wozów „pulmanowych" i jechaliśmy przez Goleszów do Bielska, a następnie do Poznania.

Koło godz. 3 popołudniu przyjechaliśmy do Poznania. Od razu zauważyliśmy, że jest to miasto wielkie, ulice szerokie, czyste, wszędzie ruch nie do opisania. Przechodnie przypatrują się nam ciekawie, widzą, że skądś przyjechaliśmy, więc niekiedy któregoś z nas zapytują. Przewodnictwa po mieście podjął się przedstawiciel tamtejszego Towarzystwa Krajoznawczego. Czas był ograniczony, można więc było zwiedzić tylko najcenniejsze zabytki. Oglądaliśmy więc jeden z najpiękniejszych kościołów w Polsce w stylu barokowym, tzw. farski, czyli pojezuicki, dalej starożytny ratusz, zbudowany przez Wacława II, przebudowany przez Zygmunta Starego w stylu renesansowym. Oprowadzano nas po pięknych salach, z których sala przyjęć miejskiego ratuszu i pokój p. prezydenta miasta wyróżniają się bogactwem szczegółów i malowideł artystycznych. Tu też powitał naszą wycieczkę w serdecznych słowach prezydent miasta p. Cyryl Ratajski, dobrze znający nasz Śląsk jako długoletni pracownik Beskidu Śląskiego w Cieszynie. Przeszliśmy następnie do byłego centrum Poznania - wyspy zamieszkałej przez księży. Tu też udaliśmy się na audiencję do J. Eminencji ks. dr. kardynała Hlonda, prymasa Polski, który po serdecznym przywitaniu udzielił wszystkim uczestnikom błogosławieństwa. Był to jeden z uroczystych momentów w czasie naszej wycieczki. W podniosłym nastroju zwiedzaliśmy następnie katedrę z przepiękną złotą kaplicą, w której są grobowce Mieczysława I i Bolesława

Chrobrego. Na przeglądnięciu kościołów Dominikańskiego i św. Krzyża musieliśmy niestety zakończyć zwiedzanie i udać się na kolację. Większa część uczestników jeszcze wieczorem zwiedziła palmiarnię, jedną z najpiękniejszych w Europie, skąd wyniosła jak najmilsze wspomnienia. Ogólny jej widok w nocy oświetlonej, kiedy ściany są z matowego szkła, a cóż dopiero w środku za cuda: palmy ogromne, daktyle, eukaliptusy, słowem prawdziwy raj podzwrotnikowy. Oczy zwiedzających latały wszędzie, nie wiedząc, na czym mają dłużej pozostać. Z ciężkim sercem opuszczaliśmy to sztuczne cudo przyrody, dążąc na dworzec kolejowy, gdzie była ogólna zbiórka.

W nocy o 1/2 1 wyruszyliśmy na Hel. Pogoda nam sprzyjała, lecz niestety bezsenna noc, bo sen w pociągu nic nie wart - dała się odczuć na siłach. Wszystko to znikało jednak na myśl, że jedziemy na Hel, a zwłaszcza do Gdyni. Rano przejeżdżaliśmy przez terytorium gdańskie, gdy wtem ku ogólnemu zdziwieniu zauważyliśmy morze. Wielu z nas nigdy w życiu nie widziało jeszcze morza. Mogliśmy przypatrywać się łódkom i okrętom, jadąc przez Hel aż na sam jego koniec. Wszędzie letników, gości w barwnych kostiumach letniskowych! Zamieszkaliśmy w hotelu, ładnie urządzonym. Pogoda nam sprzyjała, tak że każdy mógł skorzystać z wyznaczonego spoczynku całodziennego i rozkoszować się kąpielą morską. Wielu znowu urządziło sobie przejażdżki łódkami po morzu. Z niezapomnianym obrazem zachodu słońca na morzu wsiadaliśmy na statek Wanda, by zobaczyć cuda nowoczesnej techniki - Gdynię.

W Gdyni ulokowaliśmy się w Domu Emigracyjnym. Wypoczęci, dzięki świetnym urządzeniom noclegowym w Domu Emigracyjnym, zaczęliśmy motorówką zwiedzać port. Kto miał jakieś wahania, wątpliwości, ten na pewno po zobaczeniu Gdyni nabrał pewności, że Polska to „wielka rzecz", że nie będzie się wśród obcych wstydzić imienia Polaka. Przede wszystkim zdumiewały nas nowoczesnym sposobem urządzone baseny, których jest kilka, a każdy do innego służy celu. Oglądaliśmy również okręty obce, biorące właśnie w owych basenach towary. W zdumienie wprowadzały nas cuda techniki: urządzenie, które podnosi cały wagon, a zawartość wysypuje do okrętu, lub ładownice, które za 1 godz. naładują 600 q węgla. Zwiedziliśmy również olejownię i największą w Europie chłodnię.

Z żalem opuszczał każdy Hel i Gdynię. Wędrówka po Polsce popłynęła dalej. Z Gdyni wcześnie rano odjechaliśmy do Torunia, gdzie wszyscy uczestnicy zadecydowali o zmianie programu i postanowili tu dłużej pozostać. Toruń przez długie lata był w rękach krzyżackich i na wszystkich budowlach można obserwować ślady dawnej zamożności i bogactwa rycerzy krzyżowych. Stylowy ratusz z pięknym muzeum miejskim, bogate inkrustacje z drzewa hebanowego czy z kości słoniowej na drzwiach budziły powszechny zachwyt. Zwiedziliśmy również historyczne mury obronne, które pozostały jeszcze w części z czasów, kiedy Toruń był

twierdzą. Mury nosiły wyraźne znaki z walk krzyżackich. Oglądano również najstarszy kościół w Polsce, podlegający wprost Rzymowi, mianowicie kościół Panny Marii. Miasto rodzinne Kopernika prawdziwie podobało się wszystkim uczestnikom. Nikt też nie omieszkał skosztować słodkich pierników toruńskich.

Czekała nas odświętnie przybrana Warszawa, więc musieliśmy opuścić Toruń. Zwłaszcza oświetlenie nocne, jakie zauważyliśmy, przyjeżdżając w sobotę jeszcze do Warszawy, kazało nam przypuszczać, że Warszawa godnie chce wprowadzić w zdumienie przybywających gości. W pamiętny dzień 5 sierpnia nastąpił rano wymarsz na defiladę wojsk polskich. Tu na Polach Mokotowskich nastąpiło spotkanie wszystkich wycieczek i zdawało nam się, że jesteśmy gdzieś na Śląsku - tyle znajomych twarzy się spotykało. Defilada w obecności p. Prezydenta RP i rządu polskiego oraz przy niezliczonej ilości publiczności trwała przeszło 2 godziny. Przewijały się przed nami zastępy jazdy i piechoty polskiej, w powietrzu w szyku bojowym przelatywały wojskowe samoloty, dalej przesuwały się samochody, wiozące przyszłych obrońców w wojnie gazowej. Popołudnie było wolne. Wielu więc szło bliżej zwiedzać miasto - zwłaszcza na Festiwal do Łazienek, niektórzy znowu udali się na przyjęcie do p. marsz. Raczkiewicza, które odbyło się z okazji Zjazdu Polaków z Zagranicy w ogrodach Sejmu i Senatu. Na drugi dzień, pomimo iż mżyło, zwiedzano Warszawę, zwłaszcza Belweder i zamek królewski. Po południu część pojechała do Wilanowa, a druga udała się na przyjęcie do p. Prezydenta Mościckiego do jego pałacu, gdzie mieliśmy sposobność oglądania przepychu. P. Prezydent przyjął nas dwukrotnie: raz na dziedzińcu zamkowym, drugi w salach prezydenckich.

Rano opuszczaliśmy to miłe miasto, aby zobaczyć miasto cudów - Częstochowę. Zdawało się, że do zwiedzania klasztoru trzeba tylko kilku godzin, lecz okazało się, że z trudem zdążyliśmy pooglądać wszystko. Sama główna nawa jest zdobiona freskami i godna oglądania, centrum jednak całej Jasnej Góry jest kaplica Matki Boskiej. Dużo tu zawsze modlących, bo tu znajdują spokój i ciszę. W srebrnych ramach ołtarza, między wotami, złożonymi za łaski tu otrzymane, jaśnieje obraz Najśw. Panny. Niezapomniany widok cudownego obrazu utkwił na całe życie w sercu każdego uczestnika. Następnie oglądaliśmy salę rycerską, bogaty skarbiec, twierdzę, wały z charakterystycznymi stacjami Męki Pańskiej oraz wieżę, ze szczytu której rozciąga się wspaniały widok na całą Częstochowę i okolicę. Częstochowa ma charakter miasta wybitnie pątniczego z charakterystycznymi kioskami z różnego rodzaju obrazkami lub odznakami cudownego obrazu.

Wieczorem wyjeżdżaliśmy do Krakowa. Po krótkim przywitaniu na dworcu udaliśmy się do pomysłowo urządzonego Domu Wycieczkowego w historycznych Oleandrach na spoczynek. Rano zaczęliśmy zwiedzanie od Wawelu oraz katedry. Doprawdy trudno opisać, ile cennych rzeźb, malowideł i pamiątek się ogląda-

ło. Przede wszystkim mnóstwo mniejszych kaplic, z których wyróżnia się kaplica Zygmuntowska ze złotym dachem oraz groby królów polskich i największych wieszczów polskich Mickiewicza i Słowackiego. Podziw wzbudzał również swymi rozmiarami dzwon Zygmuntowski, ważący 34 q, trzon wewnętrzny 7 q. Zwiedzono również „mury obronne", Rynek z pamiątkami historycznymi (przysięga T. Kościuszki), kościół Franciszkanów oraz najwspanialszy kościół Mariacki z dwoma stylowymi wieżami o nadzwyczaj pięknym ołtarzu, który jest zamkniętym dla publiczności. Dalszy ciąg zwiedzania obejmował stary już Uniwersytet Jagielloński z charakterystycznymi freskami, zamieniony teraz na bibliotekę Jagiellońską, gdzie można było oglądać masy starych rękopisów, stanowiących wartości naukowe (książki obok siebie tworzą 14 km). Zwiedzono również Sukiennice i znajdującą się na górze wystawę oryginalnych obrazów Matejki, Wyspiańskiego, Chełmońskiego i innych, dalej pałac prasy Ilustr. Kuriera Codz., który daje 300 000 dziennego nakładu, teatr krakowski z najpiękniejszą w Europie kurtyną, Skałkę z grobami pisarzy polskich, pomnik grunwaldzki i wiele innych historycznych zabytków. Wieczorami rozkoszowano się również przechadzkami po Plantach krakowskich, okalających cały Kraków. Pięknie przedstawiały się z dala kopce: Kościuszki, Wandy i nowo powstały Piłsudskiego.

Zresztą Kraków tak blisko - aż się prosi, by go każdy zwiedził, i powinien być dla każdego Polaka na Śląsku drogim miejscem pątniczym.

W drugim dniu najważniejszym punktem programu było zwiedzenie kopalni soli w Wieliczce. Krużgankami czysto utrzymanymi można się dostać do całego szeregu sal, zwłaszcza najpiękniejszej Komory Łętów. Piękną również jest Komora św. Kingi i Komora Sienkiewicza. Na pamiątkę każdy uczestnik kupił sobie ładny medalik z soli kształtu krzyża, młotków kopalni, studzienki lub innych. Wieczorem wróciliśmy do Krakowa, a stąd 10.8 rano do Cieszyna.

Wycieczka odbyła się bez jakichkolwiek przygód lub nieszczęść. Przedstawiciele Rady Organizacyjnej czy Orbisu, jako też przewodnicy spełnili w zupełności swoje zadanie, dając obecnym jak najwięcej wyjaśnień z uwzględnieniem pierwiastka narodowego. Cel wycieczki został osiągnięty. Tak urozmaicony program musiał podobać się wszystkim. Największe znaczenie ma wycieczka pod względem moralnym. Tyle bogactwa, zabytków i kosztowności, jako też rozmach pracy, a zwłaszcza energia twórcza Polaków na pewno przeobraziły umysły uczestników, dając im poznać moc i siłę Polski i każąc im kochać Ją jako Najdroższą Matkę.

Streszczając to wszystko w krótkości, możemy powiedzieć, iż uczestnicy wycieczki mieli sposobność oglądania trzech charakterystycznych dla Polski miast: Krakowa, jako miasta przeszłości, Warszawy, jako miasta teraźniejszości, i Gdyni, jako miasta przyszłości.

RUDOLF WÓJCIK

JUBILEUSZ ZOFII WANOK

Moje informacje o domu, w którym Zofia Wanok mieszka, okazały się niezupełnie ścisłe. Pytam więc pierwszą ze spotkanych pań podążających ze sklepu w Śmiłowicach, ongiś polną, teraz już wyasfaltowaną drogą, prowadzącą w kierunku Ligotki Kameralnej. Zanim otrzymuję odpowiedź, którędy jechać, pada pytanie – Pan pewnie jedzie po obrazy?

Zatrzymuję się przed niezwykle maleńkim domkiem ukrytym wśród tych zwykłych wiejskich domów otoczonych budynkami gospodarczymi. W małym ogródku kwitną kępy śnieżyczek, a pod oknami na krzewie magnolii widoczne są już kremowe pąki kwiatów. Przyciskam dzwonek i od razu zaprasza mnie głos idący z głębi budynku. Drzwi wejściowe tego domku nie są zamykane, tak jak to miało miejsce dawniej na wsi.

Przywitała mnie pogodna pani pełna życia. Kuchnia i pokój. Skromnie i schludnie. Podstawowe meble w pokoju to fortepian i sztalugi. Na ścianach kilka obrazów. Zauważam fotografię młodego sympatycznego mężczyzny, stojącą na fortepianie. Chociaż uświadamiam sobie, że to niezręcznie, jednak pytam... – *to mój narzeczony Adolf Chlebek z Gutów. Był nauczycielem. Potem dalej studiował w Polsce i został pilotem w wojsku polskim. W czasie drugiej wojny światowej został stracony przez Niemców w Cieszynie Pod Skałką. Ta tragedia wpłynęła na całe moje dalsze życie.*

Zofia Wanok urodziła się 5 kwietnia 1922 roku. Mimo swych osiemdziesięciu lat i poważnej choroby, z jaką walczy, robi wrażenie zadowolonej i pełnej życia. Jest niezmiernie miła i gościnna. Jest skromna i całe życie stała jakby na uboczu. *Nie jestem ciekawą osobistością. Jestem tylko amatorem* – mówi.

Patrzę na jej obrazy. Porównuję je z tymi, które znam z wystaw niektórych innych uznawanych członków SLA (teraz SAP). Stwierdzam, że trudno mi ujrzeć znaczące różnice. Pamiętam SLA-owski okres uszczuplania bazy członkowskiej. Nie twierdzę, że skreślenie niektórych członków pionu plastycznego było niesłuszne. Ale czy skreślenie onegdaj Alicji Bartulec i Zofii Wanok było do końca słuszne, pozwolę sobie wątpić, i to z wielu przyczyn. Obie były członkami Pionu Plastycznego SLA od jego powojennych początków.

Zofia Wanok poświęca się malarstwu amatorskiemu od dzieciństwa. Opowiada – *Malował mój ojciec. Matka pochodzi z Piotrkowa Trybunal-*

skiego, gdzie ojciec poznał ją jako żołnierz austriacki stacjonujący w tym mieście. Brat matki był malarzem porcelany w Warszawie.

Zofia Wanok pracowała jako księgowa w Czeskiej Kasie Oszczędności (Česká spořitelna) w filiach w Czeskim Cieszynie, a potem w Trzyńcu. Następnie w Hucie Trzynieckiej jako księgowa, a później, aż do emerytury, w zakładowym węźle radiowym. Obok swego poświęcania się malarstwu angażowała się również bardzo aktywnie w działalność PZKO. Była działaczką amatorskiego ruchu teatralnego w Śmiłowicach. Była dyrygentką chóru, śpiewała solo. Przez trzydzieści lat była członkiem chóru Hutnik, śpiewała również w chórze Godulan.

W latach pięćdziesiątych starała się o przyjęcie na studia artystyczne w Pradze. W czasach uhlirzowskich jednak jej się nie udało. Swój warsztat malarski doskonaliła jako członek Kółka Malarskiego przy Hucie Trzynieckiej, prowadzonego przez Stanisława Krausa. Ukończyła dwuletni kurs Škola dekorativního umění (szkoła sztuki dekoracyjnej) w Pradze. Uczyła się malarstwa korespondencyjnie u prof. Masaka.

Godne uwagi są wieloletnie kontakty Zofii Wanok z naszymi twórcami. Wspomina tu i wędrówki po górach z Romanem Bergerem. Obok Stanisława Krausa odwiedzali ją często w Śmiłowicach w celu wspólnego malowania w plenerze: Franciszek Świder, Edward Kaim. Od trzydziestu lat maluje wspólnie z Pawłem Wałachem.

Wystawiała w okolicznych wsiach. Wiele ludzi zwraca się do niej z zamówieniami na portrety, krajobrazy. Na ścianie nad sztalugami wisi dokończony pejzaż zimowy z Ligotki Kameralnej z „Gadlinówką" zamówiony przez prof. Daniela Kadłubca. Moja rozmówczyni tłumaczy się – *Nie mam tu żadnych obrazów, bo trzydzieści trzy prace są aktualnie na wystawie w Katowicach, w Bibliotece Miejskiej.*

Zofia Wanok maluje codziennie, co najmniej po osiem godzin, niekiedy do późna w nocy. Swój mały domek wybudowała po pięćdziesiątce. Ma jeszcze wiele planów, wiele wizji, które chce przenieść na płótno. Nie mówi o ambicjach artystycznych, ale po prostu o malowaniu tego, co jej się podoba.

F.B.

Redakcja Zwrotu składa pani Zofii Wanok, swej wiernej czytelniczce, z okazji jej wspaniałego jubileuszu serdeczne życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia i jeszcze wielu namalowanych obrazów ku jej pełnemu zadowoleniu!







ZŁOTE RÓŻE DLA JUBILATÓW

Uroczystość 115. rocznicy powstania Klubu Polskiego w Pradze oraz 10 lat istnienia Kuriera Praskiego, zorganizowana przez Wydział Konsularny Ambasady RP w Pradze i oba polonijne stowarzyszenia, odbyła się 31 stycznia w Sali Reprezentacyjnej Ambasady RP. Przez lata Klub pomagał kultywować polskie zwyczaje i tradycje. Pielęgnował i popularyzował język i literaturę polską. Był istotnym ośrodkiem życia towarzyskiego Polaków mieszkających w Pradze – napisał w liście adresowanym do wyróżniających się działaczy obecny na uroczystości ambasador RP w Republice Czeskiej Andrzej Krawczyk. Wśród oficjalnych gości, którzy przybyli na jubileuszowe spotkanie, nie zabrakło przedstawicieli stołecznego miasta Pragi i Stowarzyszenia Wspólnota Polska. Szczególnie ciepło przez zgromadzonych powitany został znany przyjaciel Polonii, dyrektor Departamentu Konsularnego i Polonii w MSZ dr Witold Rybczyński, który przywiózł jubilatom gorące słowa podziękowania od ministra spraw zagranicznych RP, a od siebie złote róże – symbol piękna i trwałości. Po części oficjalnej, w której gratulacje i uznania płynęły „szerokim strumieniem", przyszedł czas na część artystyczną. Przygotowany przez Divadlo Gong recital Renaty Worek-Drössler zaczął się od „Romantyczności" Chopina i wprowadził słuchaczy w nastrój fascynacji i skupienia. Gorące brawa i prośba o bis były wyrazem uznania dla artystki. Potem już tylko mistrz sztuki kulinarnej Lesław Cichocki zadbał o to, aby pięknie przygotowany stół i polskie smakołyki służyły zachwytom podniebienia. Uczestnicy spotkania, członkowie Klubu Polskiego i Kuriera Praskiego przesłali do prezydentów Polski i Czech list zapewniający o chęci dalszej pracy na rzecz pogłębiania więzi kulturalnych pomiędzy naszymi narodami.

B.S.

Kurier Praski nr 2/2002

ELEKTRYCY BILANSOWALI

6 lutego odbyło się w Czeskim Cieszynie zebranie członkowskie Stowarzyszenia Elektrotechników Polskich w Republice Czeskiej. Sprawozdanie z działalności w okresie od ostatniego zebrania przedstawił prezes Tadeusz Toman. Baza członkowska liczy 17 osób. Jedną z ważniejszych imprez była prelekcja Franciszka Jeżowicza „Budowa Elektrowni Dziećmorowice". Delegaci stowarzyszenia brali udział w spotkaniach

noworocznych, organizowanych przez SEP Gliwice, w uroczystości jubileuszowej SEP Bielsko-Biała. Wydano dwa numery Biuletynu SEP, gdzie zamieszczano artykuły członków stowarzyszenia, sprawozdania i artykuły fachowe.

Poprawnie układa się współpraca z ZG PZKO. Natomiast współpraca z Radą Polaków mogłaby być lepsza.

Wybrano nowy zarząd i komisję rewizyjną w składzie: Tadeusz Toman – przewodniczący, Tadeusz Parzyk – wiceprzewodniczący, Andrzej Macura – skarbnik, Tomasz Stopa – sekretarz, Władysław Drong – gospodarz, Franciszek Jeżowicz – przewodniczący KR, Tadeusz Kiedroń – członek KR, Zygmunt Stopa – członek KR.

Zaakceptowano plan pracy na rok bieżący. Odbędą się cztery spotkania członkowskie (raz na kwartał), na następnym kwietniowym spotkaniu przedstawiona zostanie prelekcja na temat rocznicy tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury. Możliwe jest zorganizowanie wycieczki do Muzeum Lotnictwa w Krakowie. Ukażą się dwa numery Biuletynu SEP. Poszerzona będzie współpraca z SEP Gliwice i SEP Bielsko-Biała.

W obradach brał udział delegat gliwickiego oddziału SEP Kazimierz Nabzdyk, który zaproponował, by SEP stał się oddziałem zagranicznym SEP. Oddział taki istnieje na razie tylko w Chicago (USA). Propozycję, która nie jest w sprzeczności ze statutem SEP, zaakceptowano.

Zebranie członkowskie w podjętej uchwale zaproponowało absolwentom polskich szkół podstawowych na Zaolziu, obecnie studentów średnich i wyższych szkół elektrotechnicznych na terenie Republiki Czeskiej, zorganizowanie kursu elektrotechnicznego. Jego celem powinno być nie tylko przekazanie studentom treści o charakterze fachowym, ale również umożliwienie wyżycia towarzyskiego. SEP prosi zainteresowanych studentów o zgłoszenie się w biurze ZG PZKO.

T.T.

---

80 LAT POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-SPORTOWEGO BESKID ŚLĄSKI

Warto wędrować po górach – przekonywali członkowie PTTS Beskid Śląski gości i sympatyków turystyki podczas uroczystej jubileuszowej akademii. I choć niesprzyjające warunki polityczne spowodowały, że organizacja dwukrotnie musiała zaniechać swojej działalności w latach 1939–1945 i 1948–1989, to jednak duch wędrowania pozostał i stał się siłą sprawczą odnowy działalności dziesięć lat temu.

Jak przystało na jubileusz dobrze zorganizowanej organizacji społecznej, postarano się o bogato ilustrowaną starymi fotografiami i do-



kumentami okolicznościową publikację prezentującą historię, dorobek i dzień dzisiejszy Beskidu Śląskiego. A z kart publikacji dowiedzieć się możemy wielu ciekawostek, jak choćby tego, że już w roku 1848 odbyła się pierwsza wycieczka zbiorowa na Czantorię, którą zorganizowali działacze narodowi. W latach późniejszych do rozwoju polskiej turystyki beskidzkiej przyczynili się m.in. poeta Jan Kubisz, nauczyciel Józef Joniec, notariusz Jan Kotas, a ks. Antoni Macoszek, wikary z Bogumina, w r. 1901 napisał „Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim". 6 marca 1910 roku odbyło się zebranie założycielskie Polskiego Towarzystwa Turystycznego Beskid z siedzibą w Cieszynie, obejmującego swym zasięgiem zarówno Śląsk Cieszyński jak i Górny Śląsk. Towarzystwo liczyło 300 członków, a jego głównym celem działania miało być wybudowanie w górach polskiego schroniska, wydawanie map i organizowanie wycieczek. Po podziale Śląska Cieszyńskiego powstało w roku 1922 Polskie Towarzystwo Turystyczne w Czechosłowacji, a jego pierwszą decyzją było podjęcie uchwały o budowie własnego schroniska w CSR, które miało reprezentować polską mniejszość narodową. 8 sierpnia 1929 roku otwarcie i poświęcenie schroniska na Kozubowej było wielką manifestacją polskiej ludności w Czechosłowacji. W latach trzydziestych kryzys gospodarczy spowodował ograniczenie ilości wycieczek, tym niemniej w roku 1934 z okazji II Zjazdu Polaków z Zagranicy do Polski wyjechały dwie duże grupy członków Beskidu Śląskiego. (W tym numerze Zwrotu zamieszczamy wspomnienia z tego wydarzenia, autorem których jest Rudolf Wójcik z Rychwałdu.) Niestety po roku 1938 Beskid Śląski został zlikwidowany,



a jego majątek przeszedł na własność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Po wojnie na krótko (1945–1948) udało się członkom Polskiego Towarzystwa Turystyczno–Sportowego Beskid Śląski wznowić działalność. Powróciły zawody sportowe w biegach i skokach na nartach, tenisie stołowym, a Kozubowa zaczęła odgrywać rolę ośrodka polskiej turystyki zaolziańskiej. Po długich latach przymusowego milczenia PTTS Beskid Śląski reaktywował swą działalność w roku 1991. I ciągle jest widoczny w naszym życiu społecznym.

Te ciekawe i pouczające dzieje Beskidu Śląskiego można poznać z kart wspomnianej jubileuszowej publikacji, a także można było historię i dzień dzisiejszy organizacji obejrzeć na wystawie zorganizowanej przez PTTS Beskid Śląski i Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w Domu PZKO w Lesznej Dolnej, gdzie 23 lutego spotkali się członkowie i sympatycy Beskidu Śląskiego na jubileuszowym spotkaniu z okazji 80–lecia działalności organizacji i 10–lecia jej reaktywowania. Przybyli na spotkanie konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek wręczyli Krzyże Zasługi przyznane przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Złoty Krzyż Zasługi otrzymali Bronisław Mencner i Jan Milerski, srebrne Franciszka Chocholáč i Bronisław Schulhauser. Na jubileszowej akademii obecni byli przedstawiciele cieszyńskiego Oddziału PTTK, Macierzy Ziemi Cieszyńskiej i naszych zaolziańskich organizacji. Zespół folklorystyczny Łączka z PSP im. Stanisława Hadyny pod kierownictwem Marii Podzemnej jubilatom dedykował swój występ.

E.S.

POLSKIE GIMNAZJUM POD OBSERWACJĄ

Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie jako jedyna polska szkoła średnia na terenie Republiki Czeskiej wzbudza zainteresowanie, toteż kierownictwo tej placówki postanowiło organizować konferencje prasowe, na których zaznajamiać będzie za pośrednictwem mediów szerokie rzesze społeczeństwa, także czeskiego, z pracą szkoły i jej osiągnięciami. O wydarzeniach, imprezach, akcjach, spotkaniach, szkoleniach związanych z działalnością szkoły, również tą pozalekcyjną, informować będzie rzecznik prasowy, którym został nauczyciel języka polskiego i wychowania plastycznego Władysław Kubień.

Pierwsza taka konferencja odbyła się 27 lutego. Gimnazjum, w którym uczy się obecnie 466 uczniów w 16 klasach, reprezentowali dyrektor Krystyna Herman, wicedyrektor Zbigniew Kujawa, dyrektor Filii w Karwinie Roman Baron oraz rzecznik prasowy Władysław Kubień, który zaznajomił obecnych z najważniejszymi osiągnięciami szkoły w pierwszym półroczu roku szkolnego 2001/2002 i planami na najbliższą przyszłość. Pedagodzy podkreślali fakt, że osiągane przez uczniów sukcesy świadczą dobitnie o tym, iż jednakowa jest ich znajomość języka polskiego i czeskiego. Absolwenci tego gimnazjum dobrze radzą sobie na studiach tak w RC jak i w Polsce.

Sukcesem, którym szkoła może się pochwalić, jest zdobycie nagrody Grand Prix przez Marię Wojtas oraz pierwszego miejsca przez Izabelę Kapias podczas spotkań laureatów konkursu recytatorskiego Kresy 2001 w Białymstoku. Obie laureatki wezmą udział w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim. Z kolei Aneta Chrobok zajęła drugie miejsce w powiatowych eliminacjach konkursu recytatorskiego w języku czeskim „Wolkrův Prostějov". Magda Frydrych zadebiutowała na łamach pisma Weles napisaną po czesku sztuką „Prawda o mojej rodzinie", która zaprezentowana została podczas ubiegłorocznego Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Na Granicy. Debiut ten utorował jej drogę na studia dramaturgii w praskiej wyższej szkole teatralnej DAMU. W powiatowym kole

współzawodnictwa w konwersacji angielskiej Ester Pilch zajęła pierwsze miejsce, Dariusz Toman drugie, zaś w konwersacji niemieckiej Adam Wałach miejsce siódme. Wielkim sukcesem jest ósme miejsce Roberta Betíka w finale olimpiady chemicznej na szczeblu krajowym, który miejsce na wymarzonych studiach wywalczył już w finale ubiegłorocznym. Daniel Matteoni zajął siódme miejsce w powiecie w olimpiadzie fizycznej. Na czwartym miejscu uplasowała się reprezentacja Gimnazjum w regionalnych zmaganiach olimpiady ekologicznej. Sportowym sukcesem szkoły było trzecie miejsce w rundzie powiatowej turnieju w siatkówce chłopców.

Od 1991 roku pracuje w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie mogący się pochwalić wieloma osiągnięciami Chór Studencki Collegium Iuvenum pod kierownictwem Leszka Kaliny, najnowszy jego sukces to zdobyte w listopadzie ubiegłego roku Złote Pasmo w konkursie chórów Opava Cantat. W tym samym miesiącu przebiegała wystawa prac plastycznych Kontakty 2001, na której zaprezentowali się gimnazjaliści i osoby z ośrodka Eben Ezer, prowadzonego przez Diakonię Śląską. Kontakty to również nazwa wspólnych działań teatralnych, spektakl „Ręce" zaprezentowany zostanie na przełomie maja i czerwca na międzynarodowym spotkaniu w Görlitz. Pięciolecie obchodzi Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych, czyli teatrzyk Sz.K.A.P.A. pod kierownictwem Władysława Kubienia, który 28 marca przedstawił spektakl jubileuszowy.

Karwińska Filia, będąca niejako kontynuatorką Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej, utrzymuje kontakty z liceami im. J. Słowackiego, m.in. z LO w Chorzowie. W ramach programu Socrates na początku marca wyjechała grupa gimnazjalistów do Włoch do Asti pod Turynem. Uczniowie Liceo Scientifico F. Vercelli z Asti gościli na Zaolziu pod koniec listopada ubiegłego roku.

Szkoła ma swoje strony internetowe www.gympol.cz, o klasach karwińskich przeczytać można na stronach www.gimnazjum.web3.cz, zaś szkolne zespoły informują o swojej działalności na stronach www.arsmusica.cz.

C.R.



SREBRNE SPINKI

Kapituła w składzie: Władysław Biłko, Leszek Kalina, Zbyszek Kubeczka, Rudolf Moliński i Jacek Sikora przyznała po raz kolejny nagrodę konsula generalnego RP w Ostrawie. Srebrne Spinki przyznawane od roku 1993 są wyróżnieniem w zakresie dokonań artystycznych i zasług dla promocji kultury polskiej w naszym regionie. Tegorocznym laureatem nagrody został Zbigniew Siwek, muzyk i kompozytor, nauczyciel Podstawowej Szkoły Muzycznej im. Pawła Kalety w Czeskim Cieszynie, znany dobrze miłośnikom Polskiej Sceny Teatru Cieszyńskiego z muzyki napisanej do wielu sztuk, a także jako osoba związana z Kawiarnią AVION, której nie ma... Nagrodę w obecności licznie zebranych przedstawicieli zaolziańskich środowisk twórczych wręczył Zbigniewowi Siwkowi konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis.

E.S.

WYSTAWA O JANIE KIEPURZE

Do końca marca można było oglądać w sali wystawowej teatru w Czeskim Cieszynie wystawę dokumentacyjną przygotowaną przez Muzeum w Sosnowcu z okazji 100. rocznicy urodzin Jana Kiepury. Postać światowej sławy polskiego śpiewaka uwiecznioną na fotografiach i afiszach mieli okazję przybliżyć sobie miłośnicy jego śpiewu dzięki Stowarzyszeniu Przyjaciół Polskiej Książki i dyrekcji Teatru Cieszyńskiego. Toteż na wernisażu 10 marca pojawili się dyrektor Muzeum w Sosnowcu Zbigniew Studencki, dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka i prezes SPPK Helena Legowicz, a także swoją obecnością wernisaż zaszczycił naczelnik powiatu karwińskiego Karol Siwek.

E.S.



WYSTAWA PLASTYKÓW W KARWINIE

W Galerii Zdrowego Miasta w gmachu Uniwersytetu Śląskiego w Karwinie odbył się 7 marca wernisaż obrazów Oskara Pawlasa i Leny Rybicy (z Polski) oraz biżuterii artystycznej Jindřiški Dankovej. Wystawa była czynna do 12 kwietnia 2002. Dochód organizatorzy przeznaczają na projekt „My wspieramy kulturę, kultura pomaga dzieciom".

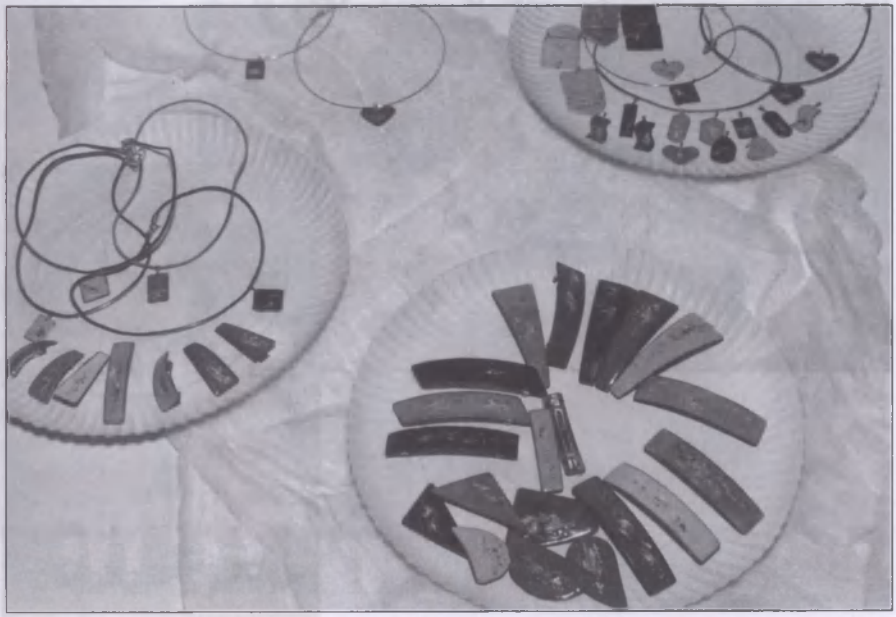




Lena Rybica



Oskar Pawlas



Jindřiška Dankova

TEATRALNA WIOSNA W ŻUKOWIE

Nie po raz pierwszy zaprosili członkowie MK PZKO w Dolnym Żukowie do restauracji Pod dzwonkiem sympatyków dobrej zabawy na przedstawienie. Tym razem w niedzielę 10 marca na scenie zaprezentowali się najmłodsi i nieco starsi. Dzieci pod kierownictwem prezes Koła Heleny Gaury zaprezentowały wzruszające widowisko Anny Wacławik „Zabawa w wesele" ze starymi przyśpiewkami w wykonaniu zespołu wokalnego Żukowianka.

W drugiej części teatralnego popołudnia członkowie Miejscowego Koła zaprezentowali jednoaktówkę Władysława Niedoby „Babski raj" w reżyserii Haliny Wojnar. Zabawną historię sprzed pięćdziesięciu lat o tym, jak na skutek opornego przyjmowania nowinek technologicznych przez męski świat mąż z żoną wymienili się codziennymi rolami, żukowscy aktorzy zagrali z dużą werwą i realizmem. W poszczególne role wcielili się: Starka – Lidia Teperowa, Maryna – Renata Huppert, Jyndrys – Jerzy Polok, Szlamór – Franciszek Hyrnik, Sąsiadki – Lidia Grygowa i Danuta Gaurowa.

Publiczność, licznie przybyła na przedstawienie, bawiła się doskonale, bo cóż, mimo upływu lat, opór mężczyzn, by ułatwić ciągle jeszcze skomplikowaną pracę codzienną kobiety w domu, pozostał.

E.S.









WYSTAWA TWÓRCÓW NIEZRZESZONYCH W ŻADNYM ZWIĄZKU

Tak nazwano wystawę obrazów, jaka miała miejsce w Domu PZKO w Jabłonkowie w dniach 14 do 18 marca 2002 roku. Swe prace wystawili tu malarze, których można by zaszeregować do różnych poziomów tej sztuki – od malarstwa nazywanego „amatorskim", poprzez twórczość w stylu tradycyjnego malarstwa ludowego, aż po ambitne próby nowoczesnych kompozycji malarskich. Wszystko to godne uwagi, bo stanowi wynik jednego z pięknych sposobów na twórcze wypełnienie wolnego czasu. Plejada zaprezentowanych na wystawie technik też była bogata: obok przeważających prac olejnych były akryle, akwarele, techniki mieszane, rysunki tuszem oraz malarstwo na szkle.

Na jabłonkowskiej wystawie zaprezentowali swe prace mieszkańcy Jabłonkowa i jego okolic (Piosek, Mosty k. J., Łomna, Nawsie, Wędrynia, Trzyniec). Kategorie wiekowe wystawiających były w granicach od ośmiu do siedemdziesięciu lat. I oto nazwiska wystawiających: Vladislav Benczyk (drugi w kolejności najstarszy autor – ciekawe rysunki tuszem), Martin Byrtus, Jan Chmiel (ur. w roku 1932 – najstarszy – autor prac olejnych), Blanka Gawlasowa, Petr Gawlas, Boris Kawulok (8 lat – najmłodszy), Bedřich Klimša, Adam Lipowski, Jakub Lipowski, Zuzana Sikorova, Marta Sobelova, Blanka Szczuka, Antoni Szpyrc (dobrze nam znany autor obrazów malowanych na szkle) oraz Ewa Zachotowa.

F.B.







DARIUSZ PACAK

DOJRZAŁOŚĆ

Nie mogę odszukać
miejsca mych narodzin
nie mogę znaleźć rodziców
domu w którym mieszkam

Ale już wiem
gdzie płynę
prowadzony nieuchronnie
pod nieznaną kartkę kalendarza

Wiem
do których drzwi zakołaczę
zaskwierczę
i zgasnę

Wigilia 1989, Zakopane

UKOŁYSANIE

Pani Elżbiecie Kłosińskiej

Nie widzę dni
ani krzyża na dalszą drogę
rozświetl swe źrenice

ostatni raz
w kołysce dłoni twych
usypiam cały

już rozpromieniam się
strudzonym oddechem
w nienazwanym czasie

melodia pozytywki serca
ulatuje cichutko
na strunach światła

puch twych warg
na czole mym białym
jak pieczęć

tak gorąco
a chłodu zapowiedź
majaczy u stóp

Przebacz
chwile złe przeminą
że odchodzę już

15 grudnia 1999 - 29 kwietnia 2001, Wiedeń

O SZTUCE ŚNIENIA

Jeśli można jeszcze nie odchodzić
za ciemniejący horyzont
proszę o bilet trwania
obejrzałbym nowy seans snu
skąd ta tęsknota
za nieśmiertelnym stukotem projektora
codzienne kino
dało mi moc pokory
odtąd
chłodny obraz krypty
zamienił się w powitanie słońca

W garści
już mocno trzymam przepustkę
do nieodgadnionych dramatów na celuloidzie
nocami zaś
wychodzę do granicy
wpatruję się w rzeczywistość
nie jest szara - fascynująco promieniuje
nieznanymi emanacjami
zawsze jednak cofam stopy
i ściskam do krwi
wejściówkę na jutrzejszy seans

30 maja 2000, Wiedeń

Wiersze pochodzą z tomu „Ptaki emanacji", wydanego przez wydawnictwo Biura Programów Zagranicznych AE w Krakowie pod red. Bożeny Struganowskiej z fotografiami Krzysztofa Włodka, absolwenta i doktoranta FAMU w Pradze.

WŁADYSŁAW SIKORA

MARIA

Opowiadanie o opowiadaniu

Zjawił się nad ranem, usiadł na brzegu mojego łóżka. „Skąd się bierzesz?“ „Wszystko raz się kończy... Dwoi i troi się w oczach... To zwyczajne: czas nazbyt zaczyna się wydłużać, aż pęka, jak z bicza trzasnął“. „Dobre ranko czy dzień dobry?“ „To zależy, skąd się idzie przez Europę; protestanci mawiali: dobre rano, w szkole wszak czy z literatury wymiarkowałem, że to germanizm, stawiam dlatego na dzień dobry“. „Przez Europę, mówisz? A tamtego Słowaka nadal pamiętasz? Odszukaj swoją 'Marię' z września 1964 roku. Milan Rusinský o niej powiedział, że sentymentalna, ona zaś, tragiczna, szła tymczasem przez tę twoją Europę“. „Madonna jazzu... Tak? Rankami zacząłem jeździć do redakcji w Ostrawie. W Kunczycach szły za oknami pociągu wysmukłe, roztańczone ze swymi chmielowymi starcami taszczącymi tysiące klarnetów w workach na plecach - madonny jazzu... Tamten wiersz wcale ci nie wyszedł, to pieśniarski temat... Czytaj“.

Myślałem o tym bez przerwy, nawet kiedy już wiedziałem, dlaczego Słowak mnie od razu przejrzał. Obaj domyśliliśmy się, że naprawdę nie ma co rozmawiać dalej, skoro młodzi na pewno by nas nie pojęli: do zrozumienia trza dochodzić. Pociąg wiózł z prawej strony słoneczne plamy, przez przedział zaś szedł kwaskowaty, mdły zapach okowity. Odkąd zajmujemy się sobą, wiemy, co to takiego: własny czas. Ten, który jest jednocześnie zdobyczą i znakiem, że oto młodość minęła. Bronimy wtedy wszelkich wejść do swoich myśli i odsuwamy od siebie swego Słowaka. Jego głowa co chwilę wspierała się na moim ramieniu. Odsunąłem ją z lekka - wtedy się zdarzyło to jego spojrzenie. Nie nazwę tego inaczej. Spojrzał na mnie i w tym jego spojrzeniu naraz znaleźliśmy się obaj, tak jakoś niżej i głębiej.

Chwilę nie drzemał, zaczął przypatrywać się wyrazom w mojej książce, następnie lustrował siedzących naprzeciwko chłopców. Czytałem, on zaś najpewniej przyglądał mi się, dokądś tam zachodził w myślach i skądsiś chybcikiem wracał? Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wolałem jednak, aby nie patrzał tyle. Sam bywam, z własnym wyłącznie czasem, nie przypuszczałem jednak, że wszystko już się dokonało w tamtym pierwszym spojrzeniu; domyślałem się dwóch naszych odrębnych czasów, stąd nie byłem pewien, czy już dokonała się ich konfrontacja. Nieuczciwe było nie zauważać podobnego wzroku i nie rozpocząć rozmowy. Ludzie w końcu dochodzą do siebie, byle to robili na czas.

Słowak w mundurze kolejarza różnie mógł się nazywać, imię zaś bywa przypadkowe. Wystarczało mi, że był Słowakiem. Pochylił się i od niechcenia powiedział, skądś z dali: „Szak umiem po polsku, z Francji..." Z Francji? Nie całkiem rozumiałem i zaskoczony przywoływałem po kolei jego charakterystyczne bruzdy na twarzy.

„Wyście uczytel, hej?" Byłem nim, całkiem przed niedawnem uczyłem w Mostach. Jak on potrafił to odgadnąć? „Wyście są uczytel", powiedział z przekonaniem w głosie. „Już nie, byłem". „Syncy" - zwrócił się do siedzących z przeciwka chłopców - „gdyby on wam rozkazał, musielibyście go słuchać". Młodym wesoło błysnęło w oczach, poczułem się niewyraźnie, Słowak tymczasem już egzaminował chłopców. Żaden tam z niego dureń. „Matura jest ważna; uczyć się trzeba..." Nie co dnia takich się spotyka. Inteligencji na ogół się nie lubi. Chłopcy zadają głupie pytania, dowcipkują: nie pojęli.

„Oni byli tacy..." „Kto, tatko?" „We Francji, Polacy... Mieli własnego księdza, urządzali sobie zabawy, ksiądz też przychodził, siadał za stołem. Chłopcy częstowali go cygarem - 'niech ksiądz szanowny zapali' - i winem go częstowali. Ksiądz brał cygaro i palił". „I co?" „Nic, brał i palił, czasem nawet sięgnął po wino. Młodzi zaś tańczyli". Chłopcy są rozczarowani. Przychodzą dwie dziewczyny, siadają i rozmawiają o swej koleżance. „Mam takie trzy; jedna wyszła za inżyniera, druga za nauczyciela , trzecią oficer niósł na rękach do ślubu". „Nie mówcie, tatko, w dzisiejszych czasach - na rękach?" „Niósł... Błoto było i on wziął ją na ręce i niósł". „Choroba - równouprawnienie!" - nie zgadza się młody.

Słowak znowu spojrzał na mnie. „Trzy noce nie spałem. Piję..." Wyraźnie wyczuwało się tamten kwaśny zapach. „Ona leżała na stole w jadalni, Maria jej było. Nie wiedziałem, że w człowieku jest tyle krwi..."

„Kto?“ – zapytali swobodnie chłopcy. „Była najstarsza z siedmiorga rodzeństwa. Przyszła do nas na brygadę. Zaraz w pierwszym dniu to było... Trzy inne dziewczęta stały w rogach wagonu ze żwirem, ona zaś w przedzie. Niedoświadczona, stanęła w przedzie, tak koło środka, ot tak... Transporter wyrzucał żwir do samochodu, ona zaś tam właśnie, o tak sobie, stała... Porwało ją za głowę. Dziewczęta uciekły. Cały żwir był czerwony. Zanieśli ją na stół do jadalni...“

„To tam jest normalne, tatko... Na kopalni też człowieka przyciśnie, to nie ma go i tyle...“ „Nie...“ – powiedział po namyśle Słowak. „Najstarsza z siedmiu... Złożyliśmy się i wysłali pieniądze. Dużo dawaliśmy i wysłali matce...“ Słowak podniósł się nagle, spojrzał na mnie raz jeszcze i wtedy zauważyłem, że trudno mu patrzeć. Wyszedł. Chłopcy po swojemu zerkali na dziewczęta.

„Rzeczywiście, sentymentalne“ – powiedziałem do siebie na skraju własnego łóżka. „Tyle lat, a wraca...“

25 II 2002



Rys. TADEUSZ WRATNY

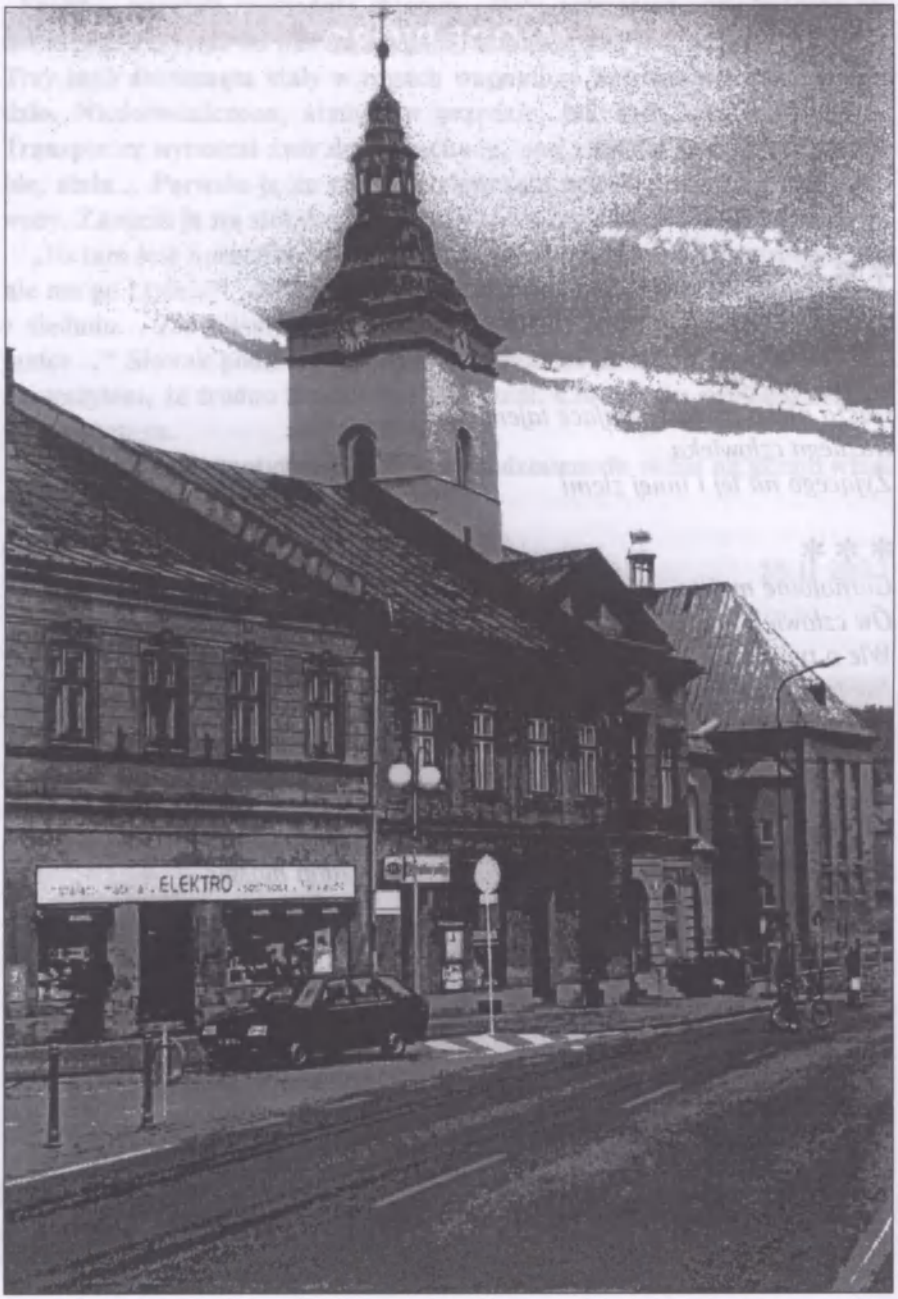
WOJCIECH WYKRĘT

* * *
Światła małego prowincjonalnego
miasteczka
I wiatr mroźny
Gaszą niebo przedstawiające tajemnice
Każdego człowieka
Żyjącego na tej i innej ziemi

* * *
Górnolotne myśli
Ów człowiek myśli
Wie o tym że je
Nie je bo wie
O tym że jest

BURZA
Wyglądała jak kropla
A były ich miliony
Czekających na znak
Energetyczną nić
Przeszywającą Anioła
Z owieczek złowieszczych
Ryczących swą wieść
Do znieruchomiałych
W których rodziła się
Wiara w potęgę
Jego

* * *
Mgła przebiała
jak ciemność
czasu dzisiejszego
wlewa się przez okno
otwarte na papierosa
w dłoń mózgu
zaciśniętą w pięść
nigdy nie walczącą
lecz zamykającą
nie-rzeczywistość
w małą kulkę
rzucaną do kosza
jak się rzuca
źle napisany wiersz
ten i ja
nie-istotny-duch



Jabłonków, fot. FRANCISZEK BAŁON

JABŁONKÓW PO RAZ DRUGI

W grudniu 1999 roku wydawnictwo Proprint w Czeskim Cieszynie wydało publikację nazwaną „Jablunkov", której autorem jest znany u nas między innymi badacz przeszłości Jabłonkowa Antoni Szpyrc. Pozycja ta ze wstępem czesko-polskim oraz czesko-polskimi tekstami pod zdjęcia jest pisana po czesku i zawiera informacje dotyczące bogatej historii beskidzkiego miasta na ogół do czasów drugiej wojny światowej, chociaż sporo tu również odniesień do czasów nam współczesnych. Jest bogato ilustrowana starymi widokówkami oraz fotografiami.

Niedawno w tym samym wydawnictwie ukazała się kolejna pozycja tego autora „Jablunkov 1939-1989". Jest tu tak samo czesko-polski wstęp i teksty pod zdjęcia oraz tekst czeski z dużą ilością zdjęć dokumentujących czasy nam bliższe. Autor stara się obiektywnie przedstawić wydarzenia i życie w trudnych latach drugiej wojny światowej, organizacje społeczne, głównie niemieckie, które po wojnie przestały istnieć, sprawy wypędzenia Niemców po wojnie, pisze dalej o ruchu oporu w Jabłonkowskiem, o powojennej sytuacji politycznej na czeskim Śląsku Cieszyńskim oraz w samym Jabłonkowie, o społeczeństwie polskim oraz czeskim itp. Dalej w tej 124-stronicowej publikacji dużego formatu zainteresowani znajdą takie rozdziały jak: Szkolnictwo, Czeskie szkoły, Polskie szkoły, Jabłonkowskie probostwo, Sanatorium, Organizacje społeczne, Sport, Zakłady pracy w Jabłonkowie, Usługi, Rzemiosła, Jabłonkowskie restauracje, Sklepy itd.

Naturalnie nie brak tu historii jabłonkowskich Gorolskich Świąt, bez których powojenny Jabłonków byłby zupełnie innym miastem itd. itp.

Obie te pozycje są cennym przyczynkiem do naszej regionalnej historii, przede wszystkim jednak przedstawiają dzieje Jabłonkowa. Najważniejsza jest tu jednak próba obiektywnego ujęcia skomplikowanej zaolziańskiej rzeczywistości, co jak wiadomo nie udało się publikacji o Łomnej Górnej lub ostatnio Pietwałdzie. To dobrze, kiedy o tych sprawach pisze człowiek znający polskie i czeskie realia, prezentuje je obiektywnie, nie jątrząc, jak niektóre czeskie, ale także polskie pozycje, i że pisze je po czesku. Bo my ostatecznie swoje wiemy (czy naprawdę wszystko i we właściwym świetle?), zaś Czesi, nawet tu mieszkający, na ogół zbyt mało wiedzą o nas i polskiej przeszłości tego skrawka ziemi - a to wszystko tu znajdą. Autor pisze również o czasach niemieckiej okupacji, czyli faszyzmie, oraz o latach komunizmu i KPC, o czym też już dziś niektórzy zapominają. A to wszystko tworzyło naszą przeszłość, jakakolwiek by ona nie była.

Słowem obie pozycje Antoniego Szpyrca wnoszą wiele cennych informacji i wzbogacają naszą lokalną historię. Na pewno nie są to książki cenne tylko dla jabłonkowian. Gdyby ktoś w przyszłości chciał pisać historię XX wieku Zaolzia, nie mógłby pominąć tych książek.

KAZIMIERZ JAWORSKI

SZTUKA JEST POSŁANNICTWEM

Rozmowa z Dariuszem Pacakiem

Niedawno pojawiła się Twoja książka „Ptaki emanacji". Jest to Twój debiut książkowy. Jakie znaczenie ma dla Ciebie ten tomik? Czy „głos" poety, jaki przemawia do czytelnika z tych utworów, jest głosem mędrca, pustelnika czy dobrej wróżki?

Książka ta jest ogromnym krokiem w mej egzystencji. To jakby otwarcie bramy, wpuszczenie na drogę, która być może wiedzie na Parnas, ku wypełnieniu. Jest ona sentencją kilkunastu lat mej percepcji świata. Patrząc powierzchownie, może wydać się bardzo błaha. Jest to jednak esencja podróży, wyklarowana do granic możliwości. Zamysł ten powstał z dwóch powodów: by odbiorcy-czytelnika-współtwórcy nie obciążać, szanować jego czas życia, a z drugiej strony poezja dziś dąży ku selektywności i kompensacji jednocześnie. Podobno czas romantycznych peanów minął. Także sprawy, o których mowa w albumie, nie posiłkują się słowami w ogóle. Jednak musiałem je choć zaznaczyć, naszkicować, ukazać kontur, by stać się komunikatywnym i nawiązać dialog z czytelnikiem, a jednocześnie spowodować dialog osobisty emocjonalno-wyobrażeniowy odbiorcy z samym sobą. Stąd też mówię o czytelniku jako współtwórcy. Inaczej pozycja ta nie ma sensu. Toteż mój głos jako autora jest jedynie głosem cząstkowym, jaki powstaje w zderzeniu z Umysłem odbiorcy.

Częsty jest tutaj motyw przemijania?

Przemijanie jest jedyną stałą w naszym rozumieniu egzystencji i w poznanych nam dzisiaj wymiarach. Panta rhei. Jego się dziś boimy. Jest ono tak niepopularne w naszym rodzaju cywilizacji, w której wszystko jest „stałe" i nawet potrafi trwać jeden dzień. Trudny to temat w każdym aspekcie. Człowiek jest nie tylko formą materialną, tak jak domena naszej obecnej cywilizacji. Ciągła rotacja, przemiana energii to również rodzaj przemijania. Smutnym jest, że tak bardzo jesteśmy przywiązani do pojmowania siebie jak i zewnętrza poprzez własne receptory. Przecież nasze zdolności poznawcze są, z pewnie ściśle określonych powodów, zblokowane. Najbliższym przykładem jest prymitywizowanie nas przez dzisiejsze struktury systemowe. Ale myślę jeszcze o świadomym ograniczeniu nas przez Boga, energię kosmiczną „Ewolucję", Wszechbyt. Dlatego sprawa naszego przekraczania każdej sekundy, sprawa przeminięcia gdzieś Tam, by po-

jawić się tu na Planecie Ziemia i by znów przeminąć Tu dla pojawienia się Tam w innej strukturze, wymiarze, pojmowaniu - jest wspaniała, fascynująca, radosna, dająca nieograniętą, szaloną nadzieję na Wielką Podróż, ale jest i tragiczna, bezwolna, mała, byle jaka, tak jak podobno żywot choćby muchy.

Niemniej istnienie Światów Równoległych do naszego, czy jest to smutne czy też niezwykle frapujące - jest oczywiste. To, że jesteśmy przykuci do obecnego wizerunku, do Świata Opisu - również. Możliwość odkrycia tego, co pod innym kątem, tego obok nas, tego, co uważamy, że nie istnieje, a przecież jest Najwyższą realnością, daje również szansę na inne spojrzenie dotyczące naszej egzystencji w ogóle, jak i jej powolnego, aczkolwiek sukcesywnego, rzekomego ubywania. Nie zapominajmy, że prąd jest, a nawet płynie, choć go nie widzimy, że kiedyś ziemia była zupełnie płaska, choć od kiedy istniejemy, a także daleko wcześniej, tak naprawdę była już krągłą planetą, oraz że oddychamy polami elektromagnetycznymi i najlepiej gdyby były to jony ujemne.

W Polonice (pismo Polonii austriackiej) pojawiła się recenzja wspomnianego tomiku poezji. Ks. Bonifacy Miązek pisze, iż nie ma w tych wierszach programowego udziwniania, eksperymentów ze słowem, co często spotykamy w tekstach młodych poetów. Jakie jest więc Twoje zdanie na temat owego „udziwniania" i co mógłbyś - jako doświadczony artysta - doradzić początkującym poetom?

Każdy człowiek bez wyjątku jest cudem. To niepowtarzalny byt, który jest nośnikiem Boga.

Są różne motywacje dróg twórczych. Dla mnie twórcą nazywa się tylko ten, który niesie swój artystyczny krzyż po to, by zgłębić swą niepowtarzalną boską naturę, by dobrnąć do piękna, jakim jest. Najpierw poprzez naukę warsztatu danej techniki wyrazu artystycznego, a później dzięki temu warsztatowi poprzez udanie się w niebezpieczną podróż. Jej celem jest zgłębienie swej niedoskonałości, przeobrażanie jej w piękno transcendentalne. Dlatego też udziwnianie, silenie się, używanie Rozumu, „wymyślanie" Poezji jest w mym przekonaniu fałszem, sztuczną drogą, ścieżką ku manowcom.

Do Drogi trzeba odwagi, a dziś odwaga jest rozumiana jako szaleństwo. Każdy z Artystów, o jakich myślę, szukał swej Prostej Formy. Zawsze proste było idealne, a nie prostackie. Prostackie jest naszym dzisiaj, a proste tak oczywiste po jego osiągnięciu było i jest do zdobycia tylko dla wybranych Wojowników. I sądzę, że czyni się to przede wszystkim po to, by nieść ludziom i innym formom egzystencji Miłość, tak jak powinien to czynić uczciwy kanonik.

Dlatego też eksperymentowanie dla osiągnięcia publiki, zadziwianie dla poklasku nie ma nic wspólnego z celem i zadaniem każdej drogi twórczej niezależnie od obranej techniki, czy będzie to technika pióra, głosu, ciała czy inna. Nie ma nic wspólnego z ewolucją artysty na kolejny poziom egzystencji, nie ma nic wspólnego z nośnikiem Miłości i jej przekazem dla drugich.

W sztuce jest się początkującym przez okres kilkunastu lat, tak jak w życiu. Bo sztuka to życie, ale nie każde życie to sztuka. Dlatego, by radzić cokolwiek, trzeba już być na tym poziomie bytu, na którym nie widzi się granic, nie czuje się strachu, pomaga się wrogom, posiada się siłę Boga, a Umysł rozpościera się na całą przestrzeń kosmiczną.

Na pewno podstawowym czynnikiem, tym najważniejszym, o którym prawie wszyscy zapominają, jest Uwaga Kroku. Umiejętność rozeznania już na początku swych własnych zasobów siły, energetycznych możliwości na drogę - to jest jakimś gwarantem późniejszego zgłębiania, odległości, jaką zdołamy przejść, poziomu, na który zdołamy się wznieść, a mówiąc językiem codziennym - ile łez zdołamy wypłakać i nie rozchorować się psychicznie czy też po prostu nie stać się głupim, próżnym czy jeszcze bardziej strachliwym człowiekiem niż na początku.

Następnym, drogocennym skarbem jest Świadomość własnej Niewiedzy - co rodzi motywacje do ogarnięcia warsztatu. To zajmuje kilkanaście lat, ale świadomość musu jego ogarnięcia jest zbawienna. To tylko strona techniczna daje nam w późniejszym okresie życia, już do jego końca na tej planecie, klucz i miecz do walki z samym sobą o osiągnięcie czystej swej Formy, chroni przed bełkotem i daje porcje siły do potyczek, bitew i wojen, które musimy prowadzić także i na zewnątrz nas.

Radziłbym się spieszyć, ale powoli. Przejście od Rozumu do Umysłu, od Nauki do Wiedzy, od Walki do Miłości, od Noworodka do Starca zajmuje czas. Nikt nie przeskoczy zaplanowanej Drogi, którą każdy z nas tylko odtwarza, ale za to najwięcej z nas zagubia się, pędząc, bez Uwagi, koncentracji, poczucia niebywałej rangi każdej chwili. Czasu jest mało, ale każdy ma swój czas i swe zadanie. Nic ponad to, ani więcej, ani mniej.

Czy według Ciebie istnieje owa niewidzialna nić łącząca śpiew z poezją? Jak na swej drodze artystycznej godzisz te dwa zawody?

Dwie techniki pogodzić jest bardzo trudno. Podobno nie żyjemy jednocześnie w kilku egzemplarzach. Choć o Trójcy Świętej słyszał każdy z naszego obszaru kulturowego. Dwie drogi artystyczne to jak dwa życia i dwóch ludzi jednocześnie. Nicią łączącą jest to samo zadanie i ten sam cel. W Poezji Artysta boryka się sam ze sobą na swym oceanie. Jest Twórcą odpowiedzialnym tylko za siebie w Akcie Twórczym. Pierwotny Akt Twórczy powstaje w intymnym zderzeniu z samym sobą, z Wszechbytem. Nie ma pomocy ani nie ma zewnętrznych przeszkód czynionych przez drugich. Nie ma też odpowiedzialności za innych. Jest to mimo wszystko niebezpieczne. Artysta Śpiewak jest nie tylko Twórcą, ale także w tym samym czasie Odtwórcą. Musi brać odpowiedzialność za dzieło stworzone już wcześniej przez innych. Kompozytor, autor libretta czy poeta - autor tekstu pieśni niejednokrotnie przewyższają swym kunsztem Artystę Śpiewaka. Z tym trzeba się liczyć. Nie wolno lekceważyć walki innych

Wojowników i ich owoców Drogi. Śpiewak musi nieść ciężar odpowiedzialności za tych twórców oraz jednocześnie sam, będąc twórcą, powinien przekazać odbiorcy swój system wartości emocjonalnych i moralnych. Jego akt twórczo-odtwórczy dzieje się wśród odbiorców i nie ma szansy na wycofanie, poprawienie czy zmianę, jeśli w trakcie droga okazuje się nie do końca pełna. Śpiewak tworzy wespół z odbiorcą. Odbiorca jest naocznym świadkiem Aktu Twórczego i odpowiedzialności wykonawczej w Akcie Odtwórczym, jaką niesie Śpiewak, pragnąc przekazać zmagania i efekty bezpośrednich autorów Dzieła. Śpiewakowi grono odbiorców może pomóc w jego zmaganiu i to jest wartość, jakiej pozbawiony został Poeta. Ale jednocześnie nie podlega on niebezpieczeństwu, na jakie narażony jest Śpiewak - nie może być natychmiast zniszczony podczas Aktu Twórczego przez odbiorcę. Zarówno w przypadku śpiewu jak i pisania Artysta dokonuje swego posłannictwa, wypełnia się jego los. Bywają przypadki, że to wypełnienie ma szeroki wpływ na losy cywilizacji.

Rozmawiał
MAREK SŁOWIACZEK

Dariusz Pacak - śpiewak operowy i poeta, urodzony w Łodzi, zamieszkały w Wiedniu. Studiował na wydziale Wokalno-Aktorskim w Akademiach Muzycznych w Krakowie, Katowicach i Wrocławiu, a studia podyplomowe ukończył w Wiedniu. Stypendysta Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie oraz Bundesministerium für Forschung und Wissenschaft w Wiedniu. Laureat wielu międzynarodowych konkursów wokalnych i poetyckich. Jego wiersze znalazły się na łamach wielu pism literackich w Polsce i pism polonijnych. **25 kwietnia Dariusz Pacak będzie gościem Biblioteki Regionalnej w Karwinie, a 26 Kawiarenki Pod Pegazem w Jabłonkowie.**

TO I OWO

POŻEGNANIE ORŁA BIAŁEGO

7 lutego 2002 w ambasadzie Rzeczypospolitej w Londynie odbyła się uroczystość pożegnania ze znanym nie tylko w Wielkiej Brytanii polskim miesięcznikiem Orzeł Biały. Przez 60 lat powołane do życia rozkazem generała Władysława Andersa pismo kształtowało opinię polskich środowisk emigracyjnych. Dziś, stając wobec problemów finansowych i malejącej bazy czytelników, przeszło do historii, wpisując się złotymi zgłoskami na jej karty.

Konsul generalny RP wręczył zespołowi redakcyjnemu i Komitetowi Wydawniczemu Złoty Puchar ufundowany przez Klub Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

W LITEWSKIM RADIU

Codziennie o godz. 17.30 w programie II nadawana jest półgodzinna audycja polska, którą prowadzą młodzi, energiczni dziennikarze. Ostatnio w litewskim radiu wiele zmieniło się na lepsze. Polscy dziennikarze mają nowy komputer i samochód do dyspozycji. Dzięki temu reporterzy mogą jeździć z mikrofonem po całej Wileńszczyźnie. Sekcja polska jest jedną z kilku redakcji mniejszości narodowych. Swoje audycje mają też Rosjanie, Ukraińcy, Tatarzy i Żydzi.

MNIEJSZOŚCI W POLSCE

W lutym w Sejmie RP odbyło się pierwsze czytanie projektowanej już od kilkunastu lat ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych, która ma uregulować takie kwestie jak język w szkołach czy podwójne nazewnictwo. Projekt ustawy przynosi prawną definicję mniejszości narodowej lub etnicznej. Jest nią grupa obywateli RP o odrębnym pochodzeniu, tradycyjnie zamieszkała na terytorium państwa polskiego, pozostająca w mniejszości w stosunku do reszty obywateli i charakteryzująca się dążeniem do zachowania swojego języka, obyczajów, tradycji, kultury, religii lub świadomości narodowej lub etnicznej. Grupy narodowe w Polsce tworzą Niemcy (300-350 tys.), Ukraińcy i Białorusini (200-230 tys.), Łemkowie (50-60 tys.), Romowie (25 tys.), Litwini (20 tys.), Słowacy (20 tys.), Żydzi (15 tys.) i Rosjanie (10-13 tys.).

MEDIA ETNICZNE W RP

Na początku marca br. została powołana Rada Mediów Elektronicznych Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Na pierwszym posiedzeniu członkowie Rady skrytykowali projekt programu regionalnej TVP3 „Etniczne klimaty". Przy jego opracowywaniu nikt z telewizji nie pytał o zdanie mniejszości, co jest potwierdzeniem faktu, że publiczne media ignorują mniejszości etniczne w Polsce. Rada chce, by na terenach zamieszkiwanych przez mniejszości w radach programowych publicznych mediów zasiadali przedstawiciele mniejszości rosyjskiej, niemieckiej, białoruskiej, kaszubskiej, żydowskiej, ukraińskiej, litewskiej, łemkowskiej, słowackiej i romskiej. Rada ma zamiar domagać się od Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Polskiej większej otwartości mediów na sprawy mniejszości, a także organizować warsztaty i staże dziennikarskie. Chcą również sami gromadzić fundusze na produkcję własnych audycji.

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



WSPOMINANIE JAROSLAVA SEIFERTA

Kończy się powoli początek nowego tysiąclecia, jego pierwszy rok. Zapamiętamy go niestety jako utratę niewinności, a raczej jako stratę krótkowzroczności, która umożliwiała ludzkości, żeby bezkarnie igrała z własnymi ciemnymi siłami i z powszechnie wysławianym postępem; atak terrorystyczny, do tej pory największy w historii, zmiótł część New Yorku z powierzchni ziemi. Na pierwszy dzień jesieni, 23 września, przypadła u nas w Czechach setna rocznica narodzin jednego z naszych największych poetów. Siłą faktu poprzedzające ją dni zniszczenia wielu ludziom przesłoniły poezję. W tym kontekście na pewno nie każdy wiersz można było przypominać lub czytać w obliczu piekielnych wydarzeń na świecie. Jednak wielu ludzi kochających poezję przy różnych okazjach, czy to na wieczorze poetyckim w Lirze Pragensis, na popołudniowej imprezie w kawiarence Viola, podczas uroczystości wspomnieniowych w Kralupach lub jeszcze gdzieś indziej, ze swoistą ulgą oraz wyostrzoną uwagą słuchało wierszy Jaroslava Seiferta. Nie można tego pominąć w związku z posłannictwem słów, które sam poeta napisał w 1970 roku w zbiorczym wydaniu trzech tomików - „Koncert na wyspie", „Kometa Halleya" i „Odlewanie dzwonów". W czasach, kiedy poezja nie odczuwała jeszcze żadnych nacisków, przemówił Jaroslav Seifert w jej obronie prawie w proroczym duchu:

Patrzę ze zdumieniem na skoki ducha ludzkiego w dziedzinie nauki i techniki. Czyny te na pewno spełniają dążność całego świata do tego stopnia, że odezwały się już nawet głosy podważające potrzebę poezji, prozy, sztuki w ogóle. Nie wierzę jednak takim głosom. Z biblijnej odległości słychać słowa Kaznodziei: „Im większa wiedza, tym większy ból".

Człowiek musi się przerazić, jeśli uzupełni te słowa wypowiedzią kolejnego olbrzyma literatury Františka Langra, które wypowiedział w połowie ubiegłego stulecia. Wyznał, że z przybywającym wiekiem przejmuje każde naukowe twierdzenie z okrutną podejrzliwością - i z szacunkiem zaczyna myśleć o przeczuciach i objawieniach proroków oraz poetów.

Nie czuję się powołana do tego, żeby bezpośrednio wyrazić przekonanie, że tak samo, jak istnieje jasnowidztwo, musi tu być opatrzność, więc wypowiem swoje odczucia za pomocą podobieństwa: przekazywaniem wspomnień właśnie o Jaroslavie Seifercie, przypominając moje ostatnie spotkanie z nim zawieszone między niebem a ziemią, które potem nawiązywały do naszej ostatniej rozmowy (kiedyś umieściłam te fakty w wierszu załączonym do tej wypowiedzi, gdzie rzecz jasna rzeczywistość nie jest wyraźnie rozpoznawalna).

Kiedy Jaroslav Seifert zaprosił mnie w dzień swoich urodzin w 1985 roku, dodał, iż zaprasza tylko tych, przy których nie będzie musiał zastanawiać się

nad tym, czy rzucić im z okna klucze od mieszkania, nie wierzyłam własnym uszom. Był już przecież laureatem Nagrody Nobla i można było oczekiwać u niego w takim dniu niezliczoną ilość oficjalnych gości. Ostatecznie było mi dane spędzić z nim chwile popołudniowe w trójkę. Tym trzecim był jego osobisty lekarz Milan Kment.

Jaroslav Seifert jakby przeczuwał, że obchodzi ostatnie urodziny. W trakcie wszystkich moich poprzednich bytności u niego był w dobrym nastroju, zawsze wyciągał ze schowka butelkę czerwonego wina. Tym razem był smutny. Opowiadał o śmierci i o tym, jak bardzo nie chciałby umrzeć w zimie. Przynajmniej pogrzeb mieć na wiosnę! I potrafić tak na pożegnanie z życiem uwierzyć w Boga. Skarżył się, że stale mu się to nie udaje, a on tak chciałby uzyskać rozgrzeszenie z wysokości za własne uparte trzymanie się spraw ziemskich. Kiedy pisze o Pannie Marii, to zawsze wyłoni się przepiękna dziewczyna z orzechowymi włosami...!

Miałam wtedy w pamięci wiersze z jego nowego tomiku „Bycie poetą" i nie odważyłam się zarecytować fragmentu, który uważam za dowód, że wierzy w Boga, chociaż na swój własny sposób:

Na próżno mnie dzwony podnosiły z ziemi,
trzymałem się jej zębami i paznokciami.
Była napełniona zapachem
drażniących tajemnic.
Kiedy w nocy spojrzałem na niebo,
nie szukałem nieba.
Byłem raczej przerażony czarnymi dziurami
gdzieś na końcu wszechświata,
które są straszniejsze od samego piekła.
Usłyszałem jednak dźwięki klawesynu.
Był to koncert Johanna Sebastiana Bacha
na obój, klawesyn i smyczki.
Skąd dochodził - tego nie wiem.
Nie było to jednak z ziemi.

Jaroslav Seifert spoglądał niepewnie na doktora Kmenta, który w odróżnieniu od nas był niezachwianym i głęboko wierzącym. Poprzez milczącą zgodę utwierdził mnie w tym przekonaniu. I nasz wielki poeta przez chwilę wyglądał na szczęśliwego.

Niespełna pół roku po tym wydarzeniu odbywał się jego pogrzeb. Było to 21 stycznia, ale w rzeczywistości był to pierwszy dzień wiosny. Taki, jaki wiosna powinna wyczarować. Słonecznie, ciepło i czysto błękitne niebo. Możliwe, że właśnie dlatego polatywał w kościele pod wezwaniem świętej Małgorzaty nad trumną Seiferta ten motyl...

Ale ja przeżyłam przedtem swoje osobiste zaskoczenie, nie wiem, skąd zostało mi ono zesłane. Na mszę jechałam spóźniona, nie z własnej winy, ale

dlatego, że nie zmieściłam się w kilku poprzednich tramwajach. Potem przed drzwiami katedry, które były już zamknięte, i pośród tłumu stojącego przed kościołem prosiłam w duchu Jaroslava Seiferta, żeby nie dopuścił do tego, że ja spóźnię się na jego pogrzeb. W tym samym momencie próbował wejść po schodach człowiek wspierający się na kulach. Bez postronnych myśli, bez chęci wykorzystania takiej sytuacji, najzupełniej odruchowo pomogłam mu wejść po schodach do samych drzwi katedry. Taki maleńki drobniutki dobry uczynek - taka niezwykła nagroda za to! Drzwi się otworzyły i tłum wpuścił nas do wnętrza. Obu, tego kulawego człowieka i mnie. I rozchylił się przed nami także zwarty szyk tłumu, w samych środku tysiącgłowego skupiska ludzi znalazłam się niespodziewanie obok doktora Kmenta, który był świadkiem owej pamiętnej rozmowy, podczas ostatnich uroczystości urodzinowych w mieszkaniu poety. Teraz mogliśmy wspólnie obserwować wszystko to, co działo się między niebem i ziemią. Rusałka - tak mi się przynajmniej wydaje, że był to motyl rusałka admirał - latała nad trumną. Właśnie w owej chwili, kiedy urodził się Jaroslav Seifert, zaszczekał pies i matka dopatrywała się w tym złego znaku, ale podobno w tym samym momencie wleciał przez otwarte okno do pokoju motyl...

Na tym pogrzebie nie brakowało podobnych zjawisk. Dodatkowo wysłuchaliśmy opowieści fotografika Jaroslava Krejčígo, który w duchu modlił się o to, żeby za trumną poety, którą przewożono z Domu Artystów w Pradze, udało się ująć w obiektywie panoramę Hradczan i później na drodze do Kralup uchwycić na zakręcie perspektywę sznura samochodów razem z gośćmi pogrzebowymi. W trakcie wywoływania filmu okazało się, że znajdują się na filmie jakieś smugi, dziwne. Ale: smugi nad trumną okazały się potem sylwetką łabędzia na tle doskonałej konfiguracji Hradczan. Sprawiało to wrażenie, jakby przelatywał tędy właśnie anioł śmierci. Smugi na zakręcie do Kralup zamieniły się po prostu w znamienną dla Seiferta sylwetkę góry Říp.

Te cuda i niezwykłości potwierdzają, że pokora przed tajemnicą i pięknem może mieć takie same znaczenie jak wiara!?

Czy były to znaki i przekazy z wysokości?
Dobre znaki?
Czy była to nieustępliwa obecność poety wśród nas?
Kto to wie.

JANA ŠTROBLOWA
Przekład z języka czeskiego: Wilhelm Przeczek

POGRZEB

Pan...
Pan i
śmierć? Z trumny

wypuścił Pan z oddechu do kościelnych tłumów –
motyla.
Marnotrawnie żywotnie
w nabożnych, bez grzechu
przestrzeniach trzepotał skrzydłami – jak nadzieja w ludziach:
już,
już po włosku światła, po drabinie Jakubowej
wiersza
zjawi się Pan przed oczami (Pan – święta misja?)
Nie dość, że w tym dniu nad miastem
powiewała chorągiew lipcowego błękitu, zamiast anioła śmierci
zamigotał
cień łabędzia
tym zimowym obrazem, w pierwszym, w setnym
pierścieniu na palcach Pana wież i wieżyczek przebłyskiwało słońce,
czy zrastał tu z jasnością płacz...?
I rzeka... Już już wszystkie spinki mostów
traciła, rozpuszczała włosy powodzi...
Kto ten cud zdziwienia, kto tę monumentalną scenę
wypożyczył?
Kto
wie.
(Widział – nie widział także Pana skłonność do ziemi,
do jej pierwszego i setnego dotyku
Pana strach i obawę z czarnych dziur wszechświata).
Płonęły mylące zdziwy po to, żeby przedzierzgnął się pan
przez dziurkę
z powrotem z nadświatów,
niezauważony,
potem zapomniał o kościach
obolałych,
odrzucił kule i...
po kryjomu, w leciutkich butach
młodości
(tak lekkomyślnie!) oddalił się z tej uroczystości.
Rozglądamy się po wygaszonej scenie, a gdzie Pan jest?
Gdzie indziej – na Petříně, po chwili niespokojny
(ma Pan spotkanie) wydycha Pan na bezlistne
krzaki... przynajmniej liście, jeśli nie znowu motyle.
Dziewczyna się spóźniła? To chyba dlatego, że cieszy ją
pocieszać.
Czeka pan, a zima idzie już do końca...

Gdyby tak Pan był teraz duchem,
jest przyjazny, czuły. Ludzki, najbardziej ludzki.
Krzak, Pana krzak będzie
gorejący? Nie,
kwitnący

Z tomiku Jany Štroblowej „Czarodzienie"
Przełożył Wilhelm Przeczek

Jana Štroblowa należy do znakomitych czeskich poetek. Urodziła się w Pradze (1936), ukończyła filologię na Uniwersytecie Karola. Jest członkinią Gminy Pisarzy oraz czeskiego oddziału Pen Clubu. Pracowała jako redaktor w wydawnictwie Albatros, redaktor literacki Czeskiego Radia. Poetka, pisarka, tłumaczka. Jest autorką 10 publikacji. W 1990 roku otrzymała prestiżową nagrodę w dziedzinie poezji we Florencji. Tłumaczy głównie poezję Mariny Cwietajewy.

Niniejszy szkic o Jaroslavie Seifercie przysłała mi niedawno jako wczesne PF 2002. Zaraz po swoim powrocie z Chin, gdzie bawiła jako delegatka Gminy Pisarzy. Jana Štroblowa bywa także na Międzynarodowych Spotkaniach Pisarzy Europy Środkowej w Luhaczowicach. Tam ją właśnie poznałem osobiście.

Sam zajmowałem się przekładami poezji Jaroslava Seiferta po przyznaniu mu literackiej Nagrody Nobla. Tłumaczenia ogłosiłem w polskiej prasie literackiej.

Czeski oryginał „Wspominanie Jaroslava Seiferta" Jany Štroblowej ukazał się w roku ubiegłym w Wydawnictwie ARSCI w Pradze. W moim tłumaczeniu na język polski został przez autorkę przekazany specjalnie dla miesięcznika Zwrot.

WILHELM PRZECZEK



Rys. TADEUSZ WRATNY



Śp. Franciszek Babiuch na swym jubileuszu 85-lecia (listopad 2001 r., Dom PZKO Trzyniec Kanada)

POŻEGNANIE FRANCISZKA BABIUCHA

Ze szczerym żalem brać śpiewacza Chóru Mieszanego Zgoda przyjęła wiadomość o zgonie swego kolegi śp. Franciszka Babiucha, byłego członka chóru, gorącego patrioty i społecznika. Zmarł w szpitalu w Trzyńcu 13 stycznia. Miał 85 lat.

Urodził się 9 czerwca 1916 roku w Wędryni. Uczył się zawodu ślusarza u Zagóry w Czeskim Cieszynie. W tym okresie przeprowadził się z rodzicami do domku rodzinnego wybudowanego w nowo powstałej dzielnicy

Trzyńca Kanadzie. Pracę zawodową podjął w Hucie Trzyniec w 1934 roku. Młodego, energicznego Franciszka wciągnęła praca społeczna do Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej, Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół, Ochotniczej Straży Pożarnej, Chóru Mieszanego Lira i chóru męskiego Hejnał, do Obozu Zjednoczenia Narodowego, Związku Młodej Polski i Przysposobienia Wojskowego. Po powrocie z ucieczki przed Niemcami w pierwszych dniach wojny został wywieziony na prace przymusowe do Rzeszy. Po wyzwoleniu podjął ponownie pracę w hucie, w roku 1966 odszedł na emeryturę.

Powstanie w roku 1947 polskich związków SMP i PZKO porwało Go do kolejnej bogatej działalności społecznej. I tak w MK PZKO w Kanadzie organizował popularne imprezy, kierował grupą teatralną, sam będąc jej aktorem, przygotowywał programy świetlicowe. Był niezmiernie zręcznym ślusarzem oraz rzeźbiarzem - bardzo efektownie upiększył sobie wnętrze domu, nawet ogród pod jego ręką kwitł i owocował. Był pasjonatem śpiewu chóralnego. W Hutniku śpiewał kilkadziesiąt lat, w Zgodzie dziesięć lat. Pisał wiersze liryczne, patriotyczne, religijne. Te ostatnie były drukowane w trzynieckim miesięczniku parafialnym Most. Pisał też często z okazji różnych jubileuszy lub na „zamówienie".

Ostatnie pożegnanie Franciszka Babiucha miało uroczystą i dostojną oprawę. Śpiewały chóry Zgoda i Hutnik. Pożegnalne kazanie wygłosił miejscowy ksiądz proboszcz Franciszek Wrubel, zaś w imieniu Zgody pożegnała i podziękowała za 10 lat pracy w chórze byłemu tenorowi dyrygent Irena Małysz. Nad otwartym grobem przemówił i pożegnał wielkiego społecznika prezes MK PZKO Kanada Bronisław Dudys.

Odszedł wielki miłośnik śpiewu chóralnego, ceniony autor wierszy humorystycznych, poważnych, o tematyce sakralnej, okolicznościowych, a zarazem wspaniały kolega, miłośnik folkloru i całej ziemi zaolziańskiej.

Cześć Jego Pamięci!

IRENA MAŁYSZ

JERZY TARABA NIE ŻYJE

27 stycznia zmarł wielki społecznik, Polak i patriota Jerzy Taraba. W ostatnim z nim pożegnaniu w górnosuskim kościele wzięły udział liczne rzesze mieszkańców Suchej Górnej, a także członkowie zespołów, z którymi był związany, delegacje organizacji, do których należał.

Jerzy Taraba urodził się w 1933 roku w Krakowie. Jako kilkuletni chłopak przybył wraz z rodzicami na Zaolzie i z regionem tym związał następnie całe swoje życie. Uczył się w Liceum Administracyjno-Gospodarczym w Cieszynie i Średniej Szkole Przemysłowej w Ostrawie. Pracował w kopalniach. Mieszkał w rodzinnej wiosce ojca Stonawie, ale najwięcej lat przeżył w Suchej Górnej, gdzie zbudował dom i założył rodzinę.

Był wielkim działaczem społecznym. Od lat młodzieńczych zaangażowany w licznych polskich organizacjach społecznych pracował w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej, harcerstwie, klubie sportowym Lechia. Brał także udział w przedstawieniach teatralnych, był współzałożycielem zespołu tanecznego w Suchej Górnej. Od początku istnienia zespołu wokalno-instrumentalnego Gama, który powstał w MK PZKO w Suchej Górnej w 1953 roku, był jego członkiem, śpiewał, ale także prowadził konferansjerkę, a nawet pisał teksty piosenek. W latach 90. działał również w Ruchu Politycznym Coexistentia-Wspólnota.

Jerzy Taraba był jeszcze w poprzedniej kadencji członkiem Zarządu Głównego PZKO, jego wiceprezesem i przewodniczącym Rady Kultury. Dopóki pozwalał mu na to stan zdrowia, angażował się w pracy ZG. Ciężka choroba zmusiła go do rezygnacji z czołowych funkcji. Jego brak na zebraniach ZG PZKO dał się najmocniej odczuć w chwilach, kiedy omawiano Statut Związku i Regulamin Wewnątrzzwiązkowy i trzeba było rozwiązać w związku z tym jakieś kwestie sporne, Jerzy Taraba był bowiem „specjalistą" od spraw statutowych.

Za działalność społeczną, zaangażowanie na rzecz polskości przyznano mu medale, m.in. Zasłużony dla Kultury Polskiej. Posiadał wszystkie odznaczenia PZKO i wpis do Złotej Księgi PZKO.

(red)

WYPRZEDZIŁ NAS NA DRODZE DO WIECZNOŚCI

Bolesnym echem rozeszła się po Zaolziu wieść o śmierci człowieka cichego, skromnego, wielkiego patrioty - śp. Jana Macury. 12 lutego żegnano go z żalem w ropickim kościele katolickim.

Właśnie tu w Ropicy ujrzał światło dzienne 5 marca 1924 roku, tu rozpoczął edukację szkolną w polskiej szkole. Następnie ukończył czeskocieszyńską wydziałówkę i rozpoczął pracę zawodową. Z domu rodzinnego wyniósł ogromne zamiłowanie do polskiej książki, szczególnie historycznej. Posiadał ogromną wiedzę na temat całej złożoności historycznej swojego Zaolzia. W 1944 roku został wysłany na front, by po krótkim czasie znaleźć się w Anglii, w jenieckiej niewoli. Tam zaczął interesować się problematyką lotnictwa drugiej wojny światowej. Lata 1948-1979 to lata jego szczęśliwego małżeństwa. Po śmierci żony zamknął się w swoim czeskocieszyńskim mieszkaniu, by w cichości z uporem walczyć o historyczną sprawiedliwość dziejową. Odważnie bronił swych poglądów na temat biografii zamieszczonej np. o P. Bezruču w Słowniku Biograficznym Ziemi Cieszyńskiej. Nie mniej żarliwie występował przeciwko autorom, którzy świadomie szkalowali i podważali w swych publikacjach historyczną prawdę o Zaolziu. Trzeba przypomnieć przede wszystkim polemikę z dwójką redaktorów Kratochvilnego kalendáře 1997 czy pamiętnikami Bořivoja Čelovskiego. Ze względu na bardzo obszerne omówienia tych publikacji prace śp. Jana Macury w większości wypadków nie znalazły miejsca w naszych mediach. A szkoda. To właśnie w nich odbiło się jego życiowe kredo: Jeżeli coś robiłem, oprócz mego zawodu, to zawsze miałem na myśli dobro „ludzi tu stela". Należy dodać, iż był także współzałożycielem i ofiarnym działaczem Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota.

Nie wszystko zdążył wykonać, zaskoczyła go bezlitosna śmierć. Dla potomnych pozostawił swój bogaty dorobek, który będzie trzeba dokończyć. Są notatki i korespondencja. Więc spłacić mu będzie trzeba nasz dług wdzięczności.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

JÓZEF KULA



Rys. TADEUSZ WRATNY

JESZCZE O BUDCE BABCI GUZIURKI

Jest powód do radości dla redakcji, gdy czytelnicy reagują na artykuły zamieszczane na łamach naszego miesięcznika, niezależnie od tego, czy jest to pochwała, krytyka, czy uzupełnienie, bo to znaczy, że jesteśmy potrzebni. Wiemy, że najbardziej cenią sobie Państwo wspomnienia, zwłaszcza te, w których można jeszcze odnaleźć cząstkę swojego losu, a na dodatek uzupełnić luki pamięci osób, które zdecydowały się te dawne dzieje odtworzyć. Tak było z artykułem „Budka babci Guziurki", zamieszczonym w numerze lutowym Zwrotu, prof. Janusza Guziura z Olsztyna, który, wertując archiwalia ojca Emanuela, odtwarza dzieje własnego rodu i miejscowości z nim związanych. Otóż okazuje się, że kartka pocztowa wysłana z Suchej Górnej do przebywającego w Karlowych Warach Kornela Mackowskiego, zidentyfikowana przez autora jako pozdrowienia od dr. med. Józefa Mazurka, pochodzi od Józefa Kaliny, szwagra Kornela Mackowskiego. Pismo ojca rozpoznał Kornel Kalina z Suchej Górnej, a nawet pamięta, jak osobiście tę kartkę zanosił na miejscową pocztę 20 czerwca 1949 roku. I tak prostują się dzieje, nawet w tej na pozór małej skali. Dziękujemy i czekamy na kolejne listy z wyjaśnieniami i uzupełnieniami.

REDAKCJA



RADY GOSPODARSKIE

Przeciw odciskom

Na odcisk, którego po zwykłym namoczeniu nie da się usunąć, należy na noc przyłożyć kawałek cytryny, a odejdzie z łatwością.

Zapiekanka ze sztuki mięsa i ziemniaków

Ugotowane mięso pokrajać w cienkie plastry. Kilogram ugotowanych ziemniaków przepuścić przez maszynkę, dodać masła i tartego chrzanu. Brytfannę wysmarować tłuszczem, posypać tartą bułką, układać warstwy ziemniaków przekładane sztuką mięsa. Zapiec.

Jabłko – najzdrowszy owoc

Istnieje powiedzenie, że kto codziennie przed udaniem się na spoczynek zjada świeże jabłko, ten pozbawia zarobku swego lekarza. Jabłka, poza swoją wartością odżywczą, regulują trawienie. W wypadku kataru jelit doskonałym lekarstwem jest obrane i utarte jabłko.

Czyszczenie kołnierzy futrzanych

Kołnierze z cienkiego futra najlepiej jest czyścić otrębami. Otręby rozgrzewamy w rondelku, ciągle je mieszając, aby uchronić od przypalenia. Ciepłe wcieramy w futro ręką lub miękkim gałgankiem. Otręby zmieniamy kilkakrotnie, następnie oczyszczamy je szczotką.

Jaką będziemy mieli pogodę

Wiatry i burze przepowiedzieć można po następujących znakach: Bydło jest smutne i ryczy, wracając wieczór do domu, a jałówki podskakują; żabki zielone na liściach skrzeczą rano silniej niż zazwyczaj; woda w garnku, nie kipiąc jeszcze, już podnosi się i przelewa przez brzegi; psy za dużo przewracają się po ziemi; wróble i inne małe ptactwo zanadto niespokojnie biega i trzepocze się; ptactwo wodne szuka suchego schronienia.

Spodziewać się należy roku urodzajnego:

Gdy podczas zasiewów jest sucho, a ciepło, gdy kwitną drzewa.

Gdy zima jest nieco wilgotną, marzec suchy, kwiecień, maj wilgotny, a lato suche.

Gdy w lecie często wieją wiatry z zachodu. Wiatr zachodni użyźnia ziemię, przyczynia się do bujnego wzrostu roślinności i jest korzystnym dla ludzi i zwierząt.

Obawiaj się nieurodzajnego roku:

Gdy wiosna i lato są wilgotne, a nie zimne, zjawia się obficie robactwo rozmaite.

Gdy z wiosną zboża wyrastają bujnie i prędko, wówczas niewiele spodziewaj się ziarna.

ŻARTY Z BRODĄ

Kłótnia małżeńska. Ona, doprowadzona do ostateczności, oświadcza, że rozpocznie starania o rozwód.

- Powtarzam ci stanowczo - odpowiada małżonek - że na rozwód się nie zgodzę.

- Dlaczego?

- Nie mogę pozwolić na to, abyś unieszczęśliwiła jeszcze jednego mężczyznę.

Pan Teoś wraca do domu, ledwo trzymając się na nogach. Na schodach spotyka go przyjaciel, który zwraca się doń:

- Dzień doberek, kochany sąsiedzie. Skąd wracamy? Z knajpuchny?

- Nie - odpowiada pan Teoś.

- A więc z zabawy?

- Też nie.

- To gdzie pan wypił tyle wódzi?

- Żadnej wódzi nie piłem. Tylko, uważasz pan, właściciel karuzeli był mi coś winien i okazał się niewypłacalny, więc pozwolił mi jechać na tej karuzeli dwie godziny bez przerwy.

Pan Karol opowiada w towarzystwie kawały. W pewnej chwili zwraca się do pani Ziuty:

- Niech mi pani powie, ile bułek może pani zjeść z rana na czczo?

- Trzy...

- Trzy? Niemożliwe. Na czczo można zjeść jedną bułkę, bo reszty nie zjada się już na czczo.

Wszystkim ogromnie podobał się ten kawał. Pani Ziuta zapamiętała go sobie dobrze i po powrocie do domu zwraca się do męża:

- Powiedz mi, ile bułek możesz zjeść z rana na czczo?

- Cztery...

Pani Ziuta wybucha gniewem:

- Widzisz, ty musisz mi zawsze zepsuć każdą przyjemność! Gdybyś powiedział trzy, to bym ci opowiedziała wspaniały kawał!

Wojciech Pituła, zamożny gospodarz ze wsi Gomuły Wielkie, przyjechał do Warszawy. Po załatwieniu sprawunków udał się do eleganckiego zakładu fryzjerskiego. Zajął miejsce w fotelu i rozejrzał się w milczeniu dokoła.

- Jak mam ostrzyc szanownego pana? - pyta mistrz brzytwy.

Wojciech milczy.

Fryzjer próbuje nawiązać rozmowę o pogodzie, klient nie odzywa się ani słówkiem. Fryzjer przechodzi na tematy polityczne. Bez skutku. Poczciwy kmiotek milczy jak grób. Fryzjer czyni nadludzkie wysiłki, by rozwiązać język mrukliwemu gościowi. Daremny trud.

Po skończonym zabiegu Wojciech wstaje, płaci i kieruje się ku wyjściu. W drzwiach odwraca się, wskazuje na tabliczkę wiszącą obok telefonu i mówi:
- Mnie nie nabierzeta, warsiawskie cwaniaki!
Na tabliczce widniał napis: „Każda rozmowa - 15 groszy".

Pani Grubialska (do kucharki, starającej się o miejsce): - Dlaczego panna opuściła swoje ostatnie miejsce?
Kucharka: - Bo pan i pani ciągle się kłócili.
Pani Grubialska: - Przecie to nie żaden powód, żeby odchodzić ze służby! I o cóż tak się ciągle kłócili?
Kucharka: - Ooo... o to, jak przyrządzone było jedzenie.

Pani Barbara przyjmuje nową pracownicę domową.
- A czy gotować Marysia umie?
- Umiem, proszę pani, nawet dwojako.
- Co to znaczy?
- Zależnie od tego, czy pani sobie życzy, żeby goście jeszcze raz przyszli na kolację, czy nie.

Sędzia: - Oskarżoną jesteście, Jakóbowa, żeście męża podrapali. Cóż to, nie wiecie, że mąż to głowa domu.
Oskarżona: - A toć, wielmożny sędzio, w głowę przecież wolno się podrapać.

Sędzia: - Czy był pan już karany?
Oskarżony: - Raz uderzyłem głową o ścianę.
Sędzia: - Za to przecież nie jest się karanym.
Oskarżony: - Owszem, bo to była głowa innego.

Policjant drogowy: - Pani nie wie, co to znaczy, kiedy ja podnoszę rękę?
Kierowniczka samochodu: - Powinnam wiedzieć, kiedy już dwadzieścia lat jestem nauczycielką. Uczniowie zwyczajnie podnoszą rękę, kiedy chcą iść na stronę.

Do sklepu wchodzi wzburzony jegomość: - Panie, to jest czyste oszustwo. Wczoraj dopiero kupiłem tu parasol i popatrz pan, w jakim on stanie...
- Nic dziwnego, zapewne szanowny pan był z nim na deszczu.

Krawiec Niezdarski przychodzi do pana Psinosa z rachunkiem za dwa ubrania. Pani Psinos oświadcza, że mąż jej goli się na dole u fryzjera. Niezdarski udaje się tam z rachunkiem.
- Czy pan nie ma czasu poczekać, aż się ogolę? - pyta pan Psinos.
Niezdarski zgadza się.
Kiedy fryzjer, który w międzyczasie namydlił brodę panu Psinosowi, zabiera się do golenia, Psinos odzywa się: - Proszę nie golić, od dziś zapuszczam brodę...

Nauczyciel: - Kto to jest mąż stanu?
Uczeń: - Człowiek, który wygłasza przemówienia.
Nauczyciel: - Ale przecież ja także wygłaszam przemówienia, a nie jestem mężem stanu.
Uczeń: - Ale to taki, co mądrze mówi.

O JEDNYM KŁOBUKU

To było uż strasznie downo, eszcze za Austryje. Roz też nasza starka poszli na torg do Orłowe. Nejprzód wyleźli po tych wysokich schodach do kościoła, a porzykali, aby sie im dobrze wiydło przez cały dziyń. Potym pooglądali auslagi, pozaglądali po gwelbach i pochodzili po torgu. Kupili od gorola pełny kosz grzibów, samych prawoków, na polywke-grzibiónke, bądź na moczke, a nejwięcy na suszyni.

Uż mieli iść spatki, a tu sie dziwajóm, idzie jakosi paniczka w ogrómnie szumnym kłobuku. Starka przistanyli, a nimógli sie dość nadziwać. Taki przeca strasznie piekny kłobuk! Kole te wielki strzechy leżoł jakby taki winiec z kwiotków, z macoszków, stuliczków, jakichsi kłobuczków, biołych siyrotek, a kole tego zielóne listeczki. Jakby pół zogrody na głowie. A musiała to być jakosi fajno paniczka, bo jak oglądała kury, to każdą macała, dmuchała ji pod pióra, a przigląda ła sie ji, czy je dość tłósto. Przi ni stoła służka, jakosi otopulóno, bo uż miała ciężki pinkel kole nogi, a eszcze trzeba było niyść kure.

Całą cestą spatkym do Rychwołda starka mieli na myśli yny tyn kłobuk: „Jakby ón pasowoł moji Mileczce! Dyć óna mo taką szwarną tą gębiczke! A ty warkocze długi! Dyć to je mój poszkróbek, jedynosto na raji. A jako je ku mnie przilizło! Choć uż mo siedymnost roków, dycki sie mi ciśnie na klin, obłapio mnie, a prawi: Maciczko moja, dyć jo was móm tak rada!" Starce sie zrobiło naroz jakosi ciepło kole serca, a mokro kole oczy. „No ni, musim ji kupić też taki piekny kłobuk! Dyć móm troche grejcarów schowanych w szrajtofli pod świątelnym obleczynim w trówle, króm tego kiery ryński odłożóny w szporkasie u fojta Janeczki. Dyć ty starsze cery uż są powydowane, uż są na swojim. Nie bydym szpitelaczyć, kupim dziołsze kłobuk!"

Jak to rzekli dóma Milce, co ji chcą kupić, tuż radości było pełno, nie do opisanio! Hnet wczas rano sie wybrały do Ostrawy, bo tam je więcy gwelbów, możne kupią piekniejszy kłobuk, a możne i łacniejszy. Szły pieszki. Downi se tak ludzie nie wozili autami zadki, jako dzisio, rachowali yny na swoji nogi.

I kupiły u jakisi Żydówki kłobuk. Ale to przeca był kłobuk! Z taki panama słómki, z wielką strzechą, a kole ni same rozmańte barewne kwiotki. Nejwięcy było różyczek. Po bokach stoły dwa taki maluśki wypchane ptoszki, bezma kolibry. Milka całą cestą spatkym fórt zaglądała do paczka, a opaternie go niysła, aby sie ji yny tyn kłobuk nie spuczół.

Nieciyrpliwie czakała na niedziele, aby sie wystrojić do kościoła. Oblykła se świątelne, sztofowe szaty, pieknie uszyte, na lajbiku same zameczki, w postrzodku rządek kneflików, a u dołu całe obszyte taką ciymnomodrą ryżką. Przedtym se uciągła w pasie takim midrym i była ciynko jak osa. Na głowe se nałożyła tyn szumny kłobuk. Jak stanyła na postrzodku kościoła, to wypadała jak jako pryncezna. Ludzie se nimógli na nią nadziwać.

Ale potym, co sie robiło! Jak baby wyszły z kościoła, to zaczyny naszą stareczke obmowiać: „Ta staro Urbańczyczka uż nie wiy, co na tą swoją dziołche wywiesić! Zamiast szatki jedwobnice to taki kłobuk ji kupiła! Dyć to ani nie pasuje, tak hawiyrską cere wyparadzić! A jaki ji to miano dali, podle mody - Emilija! Zamiast Maryjanna, Francka abo Tekla, jak słuszne dziołsze pasuje!" Baby, jak to baby, dycki muszą kogosi obszczekować abo klebecić.

A był taki jedyn synek, wielki kamrad naszego ujca Józka. Społym chodziyli do gimnazyje do Cieszyna, a potym sztudyrowali w Leoben w Austryji na Akademii Górnicze. Eszcze wtedy taki szkoły nie było w Krakowie. Często przichodzół do Rychwołda, dycki se zrobiół jakąsi zołgowke, że musi iść ku ujcowi. Ale starka to dobrze pozorowali. Zamiast se dziwać do książek, jak se społym uczyli, to oczy mu dycki chodziły kansi na boki po izbie za Milką.

Akurat był odpust, jak co rok na św. Anne, nejwiększe święto na dziedzinie. Chałupy uż były pieknie pobielóne, wyschraniane kole nich, wyzamiatane, dziołchy miały poszyte nowe szaty, kołocze napieczóne, a przociele pozwani na gościne. Kramarze przijechali z rozmańtych strón, nastawiali bud kole kościoła ze wszelakim cukrowim, z bawidłami, ryngelszpil sie toczół, nikiedy i dwa. A kole odpustu słychać było muzyke, rozmańte piszczołki, kwiki, piski, jedyn harwas.

Synek uż zaś był w Rychwołdzie. Tuż Milka sie pieknie wystrojiła w nowe jedwobne szaty, przed zdrzadłym se nasadziła tyn szumny kłobuk na głowe i szła śnim na odpust. Pozaglądali po kramach, powozili sie na ryngelszpilu, a potym ji synek kupiół, jak to było we zwyku, serce z piernika. Beztak było na nim cukrym napisane „Jen pro Tebe" bądź „Z lásky", bo ci cukrorze z daleka na tyn odpust przijyżdżali.

Potym ją odkludzoł dódom. Jak uż byli przi ławie na rzyce, to sie zastawili. Na rozłączyni synek ją chyciół za ręke, a dłógo sie ji dziwoł do oczy. Ale jak ją chcioł obłapić kole karku, a dać ji pusy, to, mamlas jedyn, ściepoł ji tyn kłobuk z głowy. A kłobuk sie kuloł, kuloł po brzegu, aż spod do rzyki.

Jeżyszku święty! Nie miyszkali ani chwili, zaczyni lotać, a chledać pod olszkami jakigo kija. Naszli kąsek jakisi żerdki, tuż zaczyni żgać do te wody, ale kłobuk uż płynął. Za starzikową zogrodą Strużka tam robi taki kolano, tuż borocy oblecieli z drugi strony kole płota, przelecieli przez łąke, aż ku wodzie. Tam je rzyka jakby płytszo i szyrszo, tam dycki siedlok Bulf kónie pojół. Dziwajóm sie do te wody, ale kłobuka nima. Kajż sie podzioł? Ale je, płynie! Musioł sie zadyrżeć na jakimsi basztowaniu. Zaś zaczyni żgać do te wody, ale poprózny. Nielza go było zachycić, ni a ni. Gdyby mieli fajerhok, tużby go isto przciągli, ale fajerhok wisioł na starzikowe stodole, nie było czasu lecieć po niego. Synek też nimioł opowagi wlyźć do te wody, bo mioł na sobie świątelny ancug. Lecieli eszcze borocy do Musiołowe olszyny, ale tam był brzyg zarosły torkami, kłokoczym a rozmańtymi krzokami. Tuż marne wołani! A kłobuk płynął, płynął po wodzie, jak jaki szumny barewny winiec - prosto do Odry!

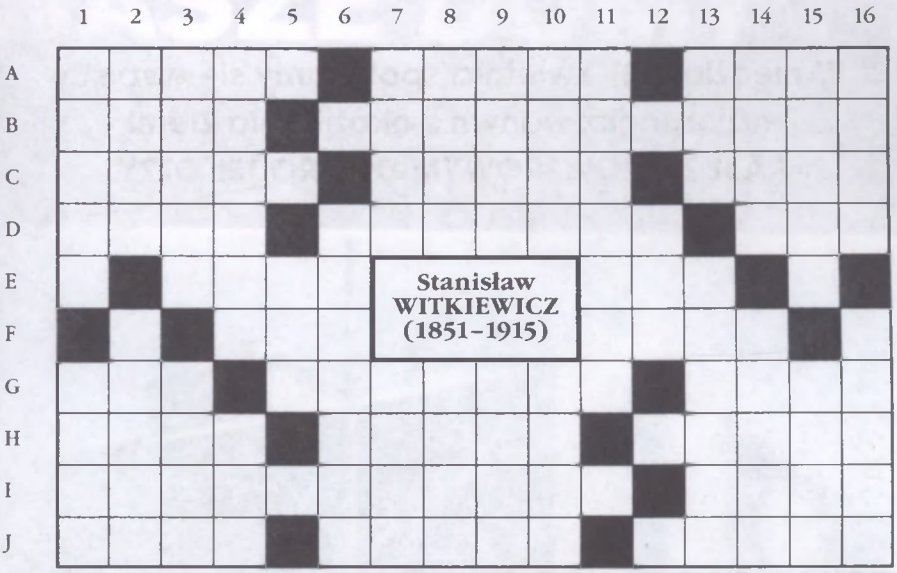
Milka stoła cało upłakano. Synek też mioł płaczki w oczach. A prawiół ji: „Nie płacz, Mileczko, jo Ci kupim nowy kłobuk, eszcze piekniejszy, jak bydziesz moja!"

Ale óna nie chciała nic słyszeć. Leciała przez łąke, prosto ku chałupie. Jak stanęła w dwiyrzach, a starka ją uwidzieli, to nejprzód jakby zmortwieli. A potym zakrziczeli: „Kaj mosz kłobuk? Coś je tako utytłano? Kajś lotała? Dyć strzewiki mosz zmaraszóne, jak jaki bagańcze!" A Milka fórt stoła na progu, a yny płakała i płakała. Starce przyszła do głowy straszno myszlónka: „Gdo wiy, co sie dziołsze przitrefiło, czy ją nie spotkało jaki nieszczyńści?" Hnet sie udobruchali, zawołali ją ku sobie, zaczyni holkać, a głoskać po włosach: „Dyć powiydz mi, Mileczko, co sie to stało?" Ale óna nimogła słowa z siebie wydobyć. Dziepro po długim czasie opowiedziała wszycko, jak to było. Starka też po jakimsi czasie przestali o kłobuk banować.

Nasza ciotka Milka dożyła 98 roków. A gdo to był tyn synek? Tego napisać ni możym.

JANINA

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z AFORYZMEM

POZIOMO: A. Mała beczułka; dychawica; mąż dogaressy. **B.** Myśl przewodnia; poeta i satyryk (Jan Izydor). **C.** Błękit; ...Muzykant; dopływ Renu w Szwajcarii. **D.** Uchwyt ślusarski; ośrodek sportów zimowych w Kanadzie; tytuł dostojników w Etiopii. **E.** „Morze" po łacinie; mniszka buddyjska. **F.** Roztwór koloidowy; ziemia uprawna. **G.** Wąwóz, kanion; organ kierowniczy, nadzorczy; potrzebna do szycia. **H.** Zjednoczenie, związek; rodzaj generatora; poeta i dramatopisarz (Adam). **I.** Trzeci głos w kompozycjach polifonicznych XIV–XV wieku; jezioro w Etiopii. **J.** Jagiellonka; polarnik angielski (Sir George Strong); nieżyt.

PIONOWO: 1. Imię męskie; szpilecznica. **2.** Imię Wawrosza; główna część mszy. **3.** Skarbiec w baśniach; polska piosenkarka (Danuta). **4.** Pasmo górskie z najwyższym szczytem Elbrus; skrót jednostki ciśnienia. **5.** Może być szkolny. **6.** Przeźroczysta folia. **7.** Największy kontynent świata; rogoża. **8.** Stop żelaza; rumuński malarz i grafik (Josif). **9.** Chińska dynastia; brytyjska rzeka. **10.** Łużycki slawista (Arnost); grecki Amor. **11.** Osoba oddająca cześć Bogu. **12.** Miasto w Etiopii. **13.** Artretyzm; zwrot używany na zobowiązaniach płatniczych. **14.** Pies gończy; krewny po mieczu. **15.** Dzielnica Warszawy; płynie przez Olsztyn. **16.** Grecki bóg wojny; stolica Senegalu.

Wyrazy trudne: ISER, NARES, TANG, TENE, YMI.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: B–14, B–2, F–4, G–13, I–8, G–1, C–16, J–10, A–9, D–6, C–3, G–15, C–11, F–13, G–8, B–15, I–1, J–14, C–13, E–3, C–7, B–3, H–13, B–8, H–3, D–16, B–7, G–11, C–4, H–16, I–6.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca kwietnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lutowego: **KIEDY LUTY OBUJ BUTY**

Nagrody książkowe wylosowali: **Władysław Maślanka** – Kojkowice
Aniela Opic – Skrzeczoń
Anna Cieślar – Milików

Z LASKU MIEJSKIEGO W JABŁONKOWIE DO ŹRÓDEŁ OLZY POD GAŃCZORKĄ

W niedzielę 21 kwietnia spotykamy się wszyscy na organizowanym z okazji Dnia Ziemi RAJDZIE ROWEROWYM DO ŹRÓDEŁ OLZY.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY



DOM POLSKI IMIENIA ŻWIRKI I WIGURY

Dom otwarty w roku 1994 powstał z inicjatywy członków MK PZKO Cierlicko Kościelec. Tu znajduje się stała wystawa poświęcona pamięci polskich lotników Żwirki i Wigury.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

FILIPKA

NASZE ZAOLZIE



Zwrot
5
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ





ZAPRASZAMY NA FESTIWAL PZKO

TACY BYLIŚMY



Uczestnicy kursu rysunków zorganizowanego dla nauczycieli przez Towarzystwo Nauczycieli Polskich w Czechosłowacji w Czeskim Cieszynie w roku 1930.

Niżej legitymacja członkowska TNP z r. 1928 Leonarda Guńki z Jabłonkowa (ur. 1907), który wówczas był kierownikiem szkoły w Nawsiu Jasieniu.

ZAPRASZAMY NA FESTIWAL PZKO KARWINA 25 MAJA 2002

11.00 Korowód zespołów młodzieży szkolnej, członków Miejscowych Kół PZKO, innych organizacji oraz gości

13.00 Uroczyste zagajenie Festiwalu

13.30 Występ połączonych chórów

13.50 Główny blok programowy: występy zespołów, chórów, kapel, solistów: Oldrzychowice, Suszanie, Olza, Bystrzyca, Lipka, Dziołchy i Syncy z Kolónije, Gorol, Melodia, Olza, Nowina, Urszula Niedoba

15.00 Występy zespołów Łączka, Libiążanki (RP), Gimnastycy z Wędryni, orkiestry dętej, chórów – w amfiteatrze

19.00 **Koncert zespołu Golec uOrkiestra**

21.00 Dyskoteka – w amfiteatrze

Zwrot 5 2002

Rok LIII, Nr 630
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	VIII Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC	CZESŁAWA RUDNIK
10	Z Romanem Baronem o karwińskiej Filii Polskiego Gimnazjum, jego wychowankach oraz o Towarzystwie Szkoły Ludowej w Krakowie rozmawia Czesława Rudnik	
15	Mój dobry Anioł Stróż (3)	BRUNON GRZEBIEŃ
20	Uczniowie klasy IV A Polskiego Prywatnego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej	FRANCISZEK SZOPA
22	Przygraniczna wymiana teatralna (1945–2000)	MIROSŁAWA PINDÓR
29	Kronika: Jabłonkowska Kawiarenka Pod Pegazem w cieszyńskim Domu Narodowym, Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki, Gawędy Leszka Mazana, Wielkanoc 2002, Na wesoło w Łomnej Górnej i Dolnej, Spotkanie zaolziańskich przedsiębiorców, Jubileusz przedszkola w Gnojniku, Powitanie wiosny w Skrzeczoniu	
42	Jerzy Wratny – poeta	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
44	Poezja Jerzego Wratnego	
49	Libor Martinek o Władysławie Sikorze	
51	Na marginesie poezji Bogdana Trojaka	KAZIMIERZ JAWORSKI
54	Aniela Kupiec: Mama je dycki mama	
60	Zbliżyć się do człowieka. Spotkanie z Władysławem Oszeldą	CZESŁAWA RUDNIK
65	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
68	Na naszej scenie: Sz.K.A.P.A.	CZESŁAWA RUDNIK
72	Kanada dzielnica Trzyńca	OSKAR LANC
76	Nasze zdrowie	
77	Mozaika	

Numer zamknięto 18. 4. 2002
Na okładce: Festiwal PZKO 2000

VIII ZGROMADZENIE OGÓLNE KONGRESU POLAKÓW W RC

Dwanaście godzin obradowało 6 kwietnia w Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie 165 delegatów VIII Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC, którzy wybrani zostali spośród uczestników 40 Sejmików Gminnych oraz członków 21 organizacji zrzeszonych w Kongresie Polaków. Obrady prowadzili Wiesława Branna i Michał Chrząstowski. Rozpoczęto krótkim występem chóru Harfa, działającego w MK PZKO Czeski Cieszyn Centrum, pod batutą Tomasza Piwki.

Delegatów oraz licznych gości Kongresu powitał prezes ustępującej Rady Polaków, stojący od siedmiu lat na jej czele, Wawrzyniec Fójcik. Wśród gości znaleźli się m.in. wicepremier i przewodniczący Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych Pavel Rychetský, dyrektor Sekretariatu Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych Andrej Sulitka, zastępca obrońcy praw publicznych Anna Šabatowa, radca Ambasady RP w Pradze Jan Stachowski, kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Pradze Anna Olszewska, konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek, senator RP Władysław Bułka, senator RC Andrzej Feber, członek Rady Krajowej i prezes Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska Zygmunt Kolenda, marszałek województwa śląskiego Jan Olbrycht, wicehetman okręgu morawsko-śląskiego Zdzisław Wantuła, naczelnik powiatu Karwina Karol Siwek, przewodniczący rady powiatu cieszyńskiego Jan Zorychta, starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski, starosta Czeskiego Cieszyna Henryk Sznapka, wiceburmistrz Cieszyna Władysław Cybulski, przedstawiciele Euroregionu Śląsk Cieszyński Václav Laštůvka i Bogdan Kasperek, przedstawiciel mniejszości narodowych w RC Vangelis Liolios, przedstawiciele Macierzy Ziemi Cieszyńskiej prezes Tadeusz Makowski i sekretarz Józef Klajsek oraz witany burzliwymi oklaskami były przewodniczący Rady ds. Narodowości Petr Uhl.

Wicepremier Pavel Rychetský przypomniał m.in. podobieństwo losów państwa polskiego i czeskiego: *Mamy podobne doświadczenia i ten sam cel, jakim jest współistnienie narodów europejskich w Unii Europejskiej. Unia Europejska jest dziś przede wszystkim wspólnotą o wyraźnym charakterze humanistycznym, która chce popierać rozwój kultury wszystkich narodów członkowskich. I tu, jak sądzę, stwarzane są nowe warunki, aby w RC żyło się mniejszościom, a zwłaszcza polskiej, ze*

względu na tradycyjne więzi, jakie nas łączą, jak najlepiej. Wiem, że istnieją priorytety, które trzeba rozwiązywać natychmiast, a nie czekać na wejście do Unii Europejskiej. Takim priorytetem jest rozwój polskiego szkolnictwa w RC. Cenimy bardzo działania kulturalne. Państwa przedstawiciele w Radzie Rządu ds. Mniejszości Narodowych zajmują stabilne i bardzo zasadnicze stanowiska, bronią praw wszystkich mniejszości narodowych w naszym państwie sposobem, który zasługuje na szacunek i podziw. Dziękuję im za to. Chcę powiedzieć, że nie jesteśmy całkowicie zadowoleni ze stanu obecnego, wiem, że część społeczeństwa demokratycznego uważa przyjętą ustawę o prawach członków mniejszości narodowych za mały krok. Ważne, że w ogóle rozpoczęto prace w tym kierunku, ponieważ wielu polityków uważa jakiekolwiek kroki w tym kierunku za absurdalne i nie zgadza się na nie. Moim takim trochę osobistym życzeniem jest, aby polska mniejszość narodowa była pierwszą mniejszością, w której proces integracyjny dojdzie do tego, że będzie miała jedną wspólną reprezentacyjną organizację, może być pluralistyczna. Zasługujecie na to, by jako pierwsi mieć jedną swoją reprezentację.

Senator RP Władysław Bułka w imieniu Senatu RP i przewodniczącego Senackiej Komisji Emigracji i Polaków za Granicą powiedział m.in.: *Chciałbym podkreślić ogromną wagę, jaką Senat RP przykłada do współpracy z Polonią zagraniczną, też z Polonią w RC. Zależy nam na dalszej waszej integracji z Macierzą. Komisja Emigracji i Polaków za Granicą będzie starała się przede wszystkim o realizację trzech podstawowych dla Polaków na świecie spraw: koordynację działań polonijnych parlamentu, prezydenta i rządu, zakończenie procesu legislacyjnego związanego z senackim projektem ustaw o Karcie Polaka i o obywatelstwie polskim, zwiększenie opieki nad tą częścią Polonii, która żyje w trudnych warunkach i nie ma zabezpieczeń wszystkich praw narodowych w kraju swojego zamieszkania. Komisji naszej udało się już zrealizować długoletni postulat środowisk polonijnych o ustanowieniu 2 maja dniem Polonii i Polaków za Granicą. Rok bieżący może być przełomowy w kontaktach Polska – Polonia. Działacze polonijni coraz bardziej zapowiadają bowiem reaktywowanie Światowej Rady Polonii, zaś prezydent RP zamierza powołać Radę Polonii przy swoim urzędzie.*

Następnie głos zabrał senator RC Andrzej Feber, który stwierdził m.in.: *Jesteśmy w okresie globalizacji, jednoczącej gospodarkę społeczeństwa Europy. To nie sygnał do tworzenia monotonnej kultury czy rytuałów w ramach społeczeństwa europejskiego. Na odwrót. Ośmielam się pod-*

kreślić niektóre z zasad łączenia się w ramach Europy, które umożliwiają korzystanie z własnego języka, rozwoju kultur narodowych, tradycji oraz miejscowych zwyczajów. Wspólny rynek w ramach Unii Europejskiej z jednej strony umożliwia swobodę ruchu towarów, ludzi, usług, pieniędzy, łączy również państwa ubiegające się o członkostwo. Z drugiej strony gwarantuje również prawa narodowościowe i stwarza warunki do korzystania z nich w praktyce. Niniejszym zaś w ogólnoeuropejskiej integracji podkreślamy chęć i potrzebę szacunku do wartości kulturowej poszczególnych narodów, wzajemne poszanowanie i zaznajamianie się z kulturami swych partnerów w myśl hasła: Dążmy do wszystkiego, co nas łączy, szanujmy wszystko, co nas odróżnia, oraz odrzućmy wszystko, co nas dzieli. Na drodze spełniania tej idei społeczeństwo polskie w RC tworzy ważny filar wartości ogólnych tego państwa, dowartościowuje jego bogactwo i dorobek kulturowy w ramach innych podmiotów wspólnej Europy. Niestety ten aspekt w dzisiejszym świecie konsumpcyjnym nie zawsze jest w pełni doceniany. W tym założeniu Kongres Polaków w RC ma szczególne i ważne znaczenie. Przede wszystkim mam na myśli stwarzanie jak najdogodniejszych warunków do działalności społeczno–kulturalnej naszej mniejszości na całym terenie Śląska Cieszyńskiego. Praca i działalność ta jest bowiem trzonem emitującym naszą tożsamość autochtoniczną. Społeczeństwo większościowe patrzy na mniejszość odmiennym od niej samej wzrokiem. Chodzi o spojrzenie widza, który tym przychylniej będzie podchodził do naszych spraw i potrzeb, im dynamiczniej i sprawniej prezentować się będziemy my jako mniejszość na zewnątrz. W tym sensie każda efektywna działalność na rzecz zrzeszania i jedności naszego społeczeństwa mniejszościowego w celu stwarzania jak najlepszej opinii ma niezastąpione znaczenie. Opinie o nas samych niekoniecznie budujemy wyłącznie za pośrednictwem instytucji oficjalnych, lecz również dzięki naszej postawie obywatelskiej, fachowości, wartościom moralnym w okazywaniu przynależności do mniejszości. Jestem przekonany, że pomimo naszych wewnętrznych różnic poglądowych, czasem wyłącznie instynktownego działania, nie zawsze udanych manewrów nie mamy się czego wstydzić i osiągamy bardzo dobre wyniki.

Radca Jan Stachowski przekazał pozdrowienia od ambasadora RP Andrzeja Krawczyka oraz odczytał list premiera RP Leszka Millera.

Konsul Marek Masiulanis odczytał list dyrektora Departamentu Konsularnego i Polonii Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP Andrzeja Kaczorowskiego, przesłał też życzenia dla Kongresu, by zachował się

jak Unia Europejska i był otwarty na nowych kandydatów: *Żebyście państwo otworzyli tę Unię tutaj w RC z wszystkimi konsekwencjami, bo to się będzie wiązało zarówno ze sprawami finansowymi, jak i ze sprawami szeroko rozumianej kultury i współpracy z poszczególnymi organizacjami należącymi do Kongresu, jak i z partnerem czeskim i polskim.*

W imieniu wszystkich szczebli władz samorządowych województwa śląskiego głos zabrał marszałek Jan Olbrycht, który stwierdził m.in.: *Staramy się na wszelkie sposoby na wszystkich szczeblach, gminnym, powiatowym i regionalnym, wojewódzkim, działać na rzecz terenów przygranicznych, bardzo intensywnie rozwijać współpracę transgraniczną, zarówno w sensie kulturowym, jak i organizacyjnym, kładąc nacisk na sprawy turystyki, transportu, budowy dróg, bo tak naprawdę to dotyczy nowych miejsc pracy. To jest właściwie problem numer jeden. Z poziomu regionalnego współpracujemy w tej chwili z władzami nowego regionu morawsko-śląskiego. Współpraca transgraniczna powinna wykorzystywać atuty, które posiadają Polacy w RC, to nie dotyczy tylko kwestii języka, bo państwo jesteście dwujęzyczni, co jest ogromnym atutem na następne lata, ale przede wszystkim potencjału intelektualnego tej grupy. Liczymy na państwa wsparcie, bo sprawy polsko-czeskie są dla nas dzisiaj kluczowe. Przed nami okres przygotowań do wejścia do Unii Europejskiej, co stanie się lada moment, zmieni się wszystko, musimy przewidywać wszystkie skutki społeczne. Myślę, że Polacy w RC są tutaj tym elementem, który poradzi sobie w tej trudnej sytuacji. A ja deklaruję w imieniu władz województwa śląskiego i samorządów niższych szczebli pewną współpracę.*

Do wystąpienia marszałka Olbrychta nawiązał wicehetman morawsko-śląski Zdzisław Wantuła: *Pilotuję trochę sprawy współpracy regionalnej. Kiedy obmyślałem strategię działania, pierwszym krokiem, jaki zrobiłem, było wygumowanie granic. Te granice już i tak właściwie nie istnieją, nie miałyby istnieć w naszej wyobraźni, bo są w naszej świadomości jakąś barierą, jakąś historyczną pozostałością. Kiedy ta bariera zniknie, będziemy patrzeć na region śląski jako na duży region europejski. Obserwowałem dyskusje przed Zgromadzeniem Kongresu i doszedłem do wniosku, że jesteśmy zdolni się dogadać, iść do tego celu, którym jest ekonomiczna siła naszego społeczeństwa, a co za tym idzie, ogólne poważanie dla naszych ludzi i możliwość rozwoju naszej kultury i tożsamości narodowej.*

Przedstawiciel Stowarzyszenia Wspólnota Polska Zygmunt Kolenda przekazał pozdrowienia od prezesa prof. Andrzeja Stelmachowskiego

i powiedział m.in.: *Chciałbym państwu serdecznie podziękować za niezwykłą pracę na rzecz zachowania polskości i kultury polskiej. Państwa osiągnięcia są imponujące, możecie z pełnym przeświadczeniem mówić: Jestem dumny, że jestem Polakiem.*

Prezes Wawrzyniec Fójcik przedstawił sprawozdanie z działalności Rady Polaków VII kadencji. Jedną z najważniejszych spraw było powołanie Komisji ds. Odszkodowań Wojennych i pomoc dla osób, które starały się o te odszkodowania. Kongres zmienił też adres, wiele wysiłku wymagało pozyskanie i remont lokali w nowej siedzibie na ulicy Komenskiego 4 w Czeskim Cieszynie. Jednym z głównych zadań były działania na rzecz realizacji praw mniejszości narodowych w RC: Rada Polaków pracowała nad projektem ustawy o mniejszościach narodowych, udało jej się przeforsować zapis w ustawie o gminach o obowiązku wprowadzania polskich nazw gmin, obowiązek samorządów powoływania Komisji ds. Mniejszości Narodowych, obowiązek urzędów wydawania ogłoszeń o wyborach w języku mniejszości, zmianę ustawy o metrykach, która umożliwia używanie imion i nazwisk zgodnie z polską pisownią, przeobrażenie Rady ds. Narodowości w Radę Rządu ds. Mniejszości Narodowych, na czele której stoi członek rządu.

Sprawozdanie Komisji Kontrolnej przedstawił jej przewodniczący Melchior Sikora, zaś sprawozdanie z działalności Rady Przedstawicieli jej prezes, wiceprezes Rady Polaków Remigiusz Gąsior.

Przewodniczący Komisji Statutowej Piotr Lipka przeczytał sprawozdanie Komisji oraz propozycje zmian nowego Statutu Kongresu Polaków w RC. Rada Polaków poszerzyła swoją nazwę na Rada Kongresu Polaków – to jedna z najważniejszych zmian. Ze 153 obecnych na sali delegatów 143 osoby głosowały za uchwaleniem nowego, poprawionego Statutu.

W dyskusji poruszono sprawy polskiej książki, czytelnictwa, gromadzenia zbiorów dokumentów (Helena Legowicz), szkolnictwa polskiego, kontaktu dziecka z kulturą i językiem polskim (Małgorzata Rakowska), problemy osób pracujących lub uczących się w RP (Halina Rusek), sprawy reprezentacji polskiej mniejszości (Marian Bielesz), problemy w egzekwowaniu prawa do stosowania języka regionalnego w życiu publicznym (Bronisław Walicki) i inne. Odbyła się też dyskusja w czterech grupach tematycznych: do spraw praw mniejszości narodowych, ds. szkolnictwa, młodzieży i oświaty, ds. kultury i środków masowego przekazu oraz ds. ekonomicznych i zarządzania.

Z osiemnastu kandydatów do nowej Rady Kongresu Polaków wybra-



ni zostali: Józef Szymeczek (122 głosów) – prezes (na zdjęciu obok), Halina Rusek (117), Wawrzyniec Fójcik (100), Marek Słowiaczek (92), Bogdan Hajduk (86), Henryk Cieślar – wiceprezes (82), Stanisław Bielesz (74), Jan Ryłko (73) i Michał Chrząstowski (70). Z siedmiu kandydatów do Komisji Kontrolnej weszli: Stanisław Fierla, Władysław Szkopek, Stanisław Kondziołka, Tadeusz Kędziera – przewodniczący, Władysław Tomanek.

Delegaci przyjęli uchwałę końcową VIII Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC (Statut Kongresu Polaków oraz uchwałę końcową zamieścimy w następnym numerze Zwrotu).

Ostatnim punktem programu Zgromadzenia było wystąpienie nowego prezesa Rady Kongresu Polaków. Józef Szymeczek powiedział: *Z głębi serca dziękuję za wielkie zaufanie, dziękuję również w imieniu reszty członków tej Rady, wierzę, że nie zawiodę zaufania, wierzę, że ludzie, którzy do tej pory nas otaczali, będą nas dalej odwiedzać i pomagać nam w naszych sprawach. Wszyscy cieszą się, że jest młody prezes, ale trzeba wiedzieć, że ja jestem strasznym konserwatystą, „jakby sprzed wojny wygrzeboł". W każdym razie już też jestem zmęczony naszym zmęczeniem, więc nie męczmy się nawzajem, pomagajmy sobie, jak się tylko da, ponieważ jedno jest tylko polskie społeczeństwo na Zaolziu, jedna jest tylko mniejszość polska, niezależnie od tego, czy żyje ona w Pradze, czy żyje na Zaolziu, niezależnie od tego, czy ma polski paszport, czy czeski, niezależnie od tego, czy jest członkiem takiej czy innej organizacji. Niechaj to nasze społeczeństwo, ten kwiat, ta roślinka, o którą nie tylko my, ale już przez wieki wszyscy się troszczyli, niechaj ona nie przypomina takich dwóch suchych bambusów, pnących się, kto wyżej, kto więcej tego gdzie wyreprezentuje, ale niechaj ona przypomina raczej taki piękny kwiat róży, składający się z dziesiątków płatków: 22 organizacji, wszystkich polskich szkół, wszystkich instytucji, które na rzecz polskości tu pracują. Życzmy sobie tego nawzajem i daj Boże, aby się tak stało.*

CZESŁAWA RUDNIK

Wspomnienia z Festiwalu PZKO 2000, fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



O KARWIŃSKIEJ FILII POLSKIEGO GIMNAZJUM W CZESKIM CIESZYNIE I JEGO WYCHOWANKACH ORAZ O TOWARZYSTWIE SZKOŁY LUDOWEJ W KRAKOWIE

ROZMOWA Z WICEDYREKTOREM GIMNAZJUM ROMANEM BARONEM

Swoje losy związał Pan z Karwiną?

Urodziłem się co prawda w Brnie, ale zaledwie po dwóch miesiącach rodzice przeprowadzili się w strony rodzinne mamy, czyli do Karwiny. Tu uczęszczałem więc do szkoły podstawowej, najpierw do nieistniejącej już czteroklasówki w Karwinie Raju, a potem do pełnoklasowej PSP w Karwinie Nowym Mieście. Następnie wybrałem naukę w orłowskim gimnazjum. Natomiast po studiach historycznych w Krakowie wróciłem do Karwiny, by podjąć pracę nauczyciela w swojej dawnej nowomiejskiej szkole.



Jak dalece studia w Polsce zmieniły Pana spojrzenie na świat i w nim nasze Zaolzie?

Studia za granicą są na ogół ciekawym i ważnym doświadczeniem i dają zazwyczaj człowiekowi więcej aniżeli studia w kraju. Między innymi można stosunkowo dobrze poznać inne państwo, jego kulturę, język, przeszłość i współczesność, a tym samym ludzi w nim mieszkających. W przypadku Polski studia te mają dla naszej mniejszości narodowej dodatkowe czy też szczególne znaczenie, bowiem nie chodzi o „zwykłą" zagranicę, ale o Macierz. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że dogłębne zetknięcie się z realiami tak bardzo bliskiego nam kraju jest czy też będzie łatwe. Niemniej intelektualna droga, którą może tu każdy rodak z Zaolzia (ale również na przykład z Litwy, Białorusi, Ukrainy, a nawet z dalekiego Kazachstanu, czyli z tych wszystkich ziem, na których mieszka autochtoniczna ludność polska lub też Polacy, którzy nie znaleźli się tam z własnej woli) przebyć, warta jest podjętego wysiłku. Natomiast wyciągane ogólne wnioski

bywają różne. Dla przykładu część osób stwierdza, że jest w znacznym stopniu inna od Polaków z Polski, a co gorsza, że dla większości z nich jesteśmy po prostu Czechami. Z drugiej strony są takie osoby, którym Polska na tyle odpowiada, że wiążą z nią dalsze swoje losy życiowe. Można też wrócić na Zaolzie ze świadomością, że co prawda także polskość ma różne oblicza, w zależności między innymi od kraju lub kontynentu zamieszkania oraz wyznawanych poglądów społeczno-politycznych, ale że równocześnie są sprawy i symbole, które łączą wszystkich Polaków na całym świecie. W tym kierunku można też starać się potem pracować.

Pan wybrał pracę pedagogiczną. Po kilku latach pracy w szkole podstawowej został Pan nauczycielem w Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie?

Jeszcze kończąc studia (w 1993 roku), ubiegałem się o miejsce nauczyciela w Gimnazjum. Jednak takiego miejsca nie było, a ponadto tzw. jednokierunkowe studia w Polsce miały mi tę drogę zamknąć na zawsze. W tej sytuacji zwróciłem się do pani dyrektor Jadwigi Palowskiej, której jestem wdzięczny za przyjęcie mnie do grona pedagogicznego mojej dawnej szkoły podstawowej. Cztery lata później (w 1997 roku) pan dyrektor Alojzy Kufa zaproponował mi prowadzenie kilku godzin tygodniowo w Gimnazjum, co bardzo chętnie i z ogromną wdzięcznością przyjąłem.

W tej chwili jest Pan wicedyrektorem odpowiedzialnym za Filię w Karwinie. To klasy pozostałe z dawnego Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej i na tę tradycję karwińskie gimnazjum lubi się powoływać. Jak to więc jest: jedna szkoła czy dwie?

Szkoła jest - jak wiadomo - jedna, natomiast tradycje są dwie. Wspaniałe tradycje orłowskiego gimnazjum są w Karwinie utrzymywane i bardzo dobrze, że się tak dzieje. Część rodziców obecnych karwińskich gimnazjalistów uczęszczała do Gimnazjum w Łazach, a ich dziadkowie kształcili się w Gimnazjum na Obrokach. Istnieją ponadto rozliczne związki rodzinne z wieloma już pokoleniami profesorów wszystkich tych części jednej Alma Mater. W karwińskiej Filii przechowujemy też do dziś cenne pamiątki. Są wśród nich na przykład marmurowe tablice okolicznościowe z różnych okresów XX wieku, zdjęcie portretowe długoletniego przedwojennego dyrektora Piotra Feliksa, obrazy przedstawiające gmach szkoły na Obrokach czy też „tabla" wielu klas maturalnych. Przed kilkoma laty - na dziewięćdziesięciolecie - zwiedzaliśmy tamte miejsca w Łazach i na Obrokach, gdzie stały budynki Gimnazjum. Tak więc na zewnątrz jest jedna szkoła, a w środku są jakby dwie (osobna jest np. również Macierz Szkolna, oddzielnie są orga-

nizowane bale i niektóre akcje szkolne), aczkolwiek blisko ze sobą współpracujące, co prowadzi z kolei do wzajemnego wzbogacania się.

Ilu uczniów liczy w chwili obecnej Filia w Karwinie?

W czterech klasach uczy się sto osób. Jeśli chodzi o wyniki w nauce, to są one bardzo dobre. Uczniowie biorą udział w konkursach, olimpiadach przedmiotowych. Wystarczy wymienić tylko takie nazwiska jak Daniel Matteoni, Robert Betík czy wcześniej Ewa Gorgol, by pozostać przy „historii współczesnej" karwińskiej Filii (na temat tej wcześniejszej można przeczytać chociażby w „Almanachu gimnazjów polskich na Zaolziu 1909-1999"). Zdolnej młodzieży i zdolnych pedagogów na pewno w Karwinie nie brakuje.

Czy ci sami nauczyciele uczą w Czeskim Cieszynie i w Karwinie?

Nie do końca. Zazwyczaj jest kilku nauczycieli, którzy uczą tylko lub głównie w Karwinie. Następnie są takie koleżanki i koledzy, którzy specjalnie dojeżdżają z Czeskiego Cieszyna. Natomiast większość grona naucza wyłącznie w Cz. Cieszynie.

Gimnazjum w Czeskim Cieszynie mieści się we własnym budynku, natomiast klasy karwińskie są w obcym budynku. Jak układa się w Karwinie współpraca między Gimnazjum, a szkołą, od której wynajmuje lokale?

Od przeniesienia z Orłowej do Karwiny w 1993 roku, a zatem przed prawie 10 laty, Filia mieści się w budynku prywatnej Akademii Handlu i Bankowości (Obchodní a bankovní akademie). Moje osobiste doświadczenia są bardzo dobre. Myślę, że moich poprzedników także. Współpraca układa się dobrze, zarówno na poziomie dyrekcji, nauczycieli, jak i uczniów. Organizowane są nawet wspólne zawody sportowe. Wpólnie korzystamy na przykład ze stołówki i sal gimnastycznych. Nie ma też - o ile mi wiadomo - problemów „narodowościowych" między uczniami. W ich placówce pojawiają się nawet absolwenci naszych szkół podstawowych i - co nie jest bez znaczenia - przyznają się oni w godny sposób do tego. Być może jest to między innymi właśnie wynik dobrych stosunków pomiędzy Gimnazjum a AHB (OBA).

Czy można mówić o perspektywach klas karwińskich?

Są one takie same, jak perspektywy polskiej mniejszości na Zaolziu. Z tym może jednak zastrzeżeniem, iż część „dolańska" z różnych względów - ekonomicznych, społecznych, itd. - nieco szybciej ulega asymilacji.

Pomyślnie rozwija się działalność pozalekcyjna szkoły. Kontakty z liceami im. J. Słowackiego są specjalnością Karwiny?

Rodzinę Liceów im. J. Słowackiego

tworzy kilkanaście szkół z Polski, Kolegium Nauczycielskie w Krzemieńcu oraz nasza szkoła. Spiritus movens całego przedsięwzięcia to polonista LO im. J. Słowackiego w Chorzowie, a zarazem orędownik naszego szkolnictwa w Kuratorium Oświaty w Katowicach pan Andrzej Król. Co roku organizowane są tzw. Zloty, na które wyjeżdżają delegacje złożone z kilku uczniów i opiekuna, czyli profesora. Jeden ze Złotów (XV) zorganizowany został u nas, jeszcze przez dyrektora Andrzeja Bizonia. W ubiegłym roku byliśmy w Częstochowie, zaś najbliższy Zlot ma odbyć się w Przemyślu. Najważniejsze w tej współpracy są moim zdaniem bezpośrednie przyjacielskie kontakty z Polską. Na razie korzystają z nich klasy karwińskie, ale myślimy o tym, jak włączyć także klasy z Czeskiego Cieszyna.

Trzydziestka gimnazjalistów wróciła niedawno z Włoch?

W ramach programu Socrates byliśmy na początku marca we Włoszech w miejscowości Asti leżącej niedaleko Turynu. Uczniowie tamtejszego Liceo Scientifico F. Vercelli gościli u nas pod koniec listopada ubiegłego roku. Generalnie było jednym z moich przedsięwzięć dążenie do „przystąpienia naszej szkoły do Unii Europejskiej". Oprócz Włochów naszymi partnerami są głównie Austriacy i Francuzi. Ponieważ od początku prowadzę lekcje zarówno w Cz. Cieszynie, jak i w Karwinie, zaprosiłem do współpracy wyróżniających się uczniów z obu części naszej szkoły. Cieszę się, że moje wysiłki poparła również dyrekcja oraz koleżanki i koledzy z grona profesorskiego. Ostatnio z radością obserwuję nowe inicjatywy „europejskie" koleżanki Michaeli Raszki.

Jeśli nasza młodzież chce spotykać się z kolegami z innych krajów, musi znać języki obce?

Znajomość chociażby jednego języka obcego jest podstawowym warunkiem. Nasi uczniowie dobrze sobie radzą. Więcej na ten temat mogliby zapewne powiedzieć nasi angliści i germaniści czy też nauczyciele języka francuskiego i rosyjskiego. Z Włochami rozmawiali nasi uczniowie po angielsku i na pewno nie byli od swoich kolegów gorsi. Za dwa tygodnie wyjedzie do Pragi na ogólnopaństwowy finał w konwersacji języka angielskiego Ester Pilch, która też podejmowała w domu włoską koleżankę. W ramach języka niemieckiego grupa uczniów odwiedziła w ubiegłym roku szkolnym partnerską placówkę w Linzu, a grupa języka francuskiego utrzymuje kontakty z rówieśnikami z Quimper.

A jak Pan widzi kondycję językową, kulturową, rozeznanie historyczne gimnazjalistów? Na ile utożsamiają się z polskością?

Myślę, że jest to pewien proces. To

znaczy, co pewien okres dochodzi do zauważalnych zmian. Warto przy tym pamiętać, iż jesteśmy częścią składową szerszych przemian społeczno-kulturowych, które dokonują się równocześnie na pograniczach, w Europie Środkowej i w skali globalnej. Ogólnie rzecz ujmując, można stwierdzić, iż nasza gimnazjalna młodzież przywiązuje w taki czy inny sposób wagę do własnej tradycji kulturalno-narodowej. Z pewnością u poszczególnych uczniów bardzo wiele zależy od wychowania rodzinnego, grup środowiskowych oraz osobistych doświadczeń i poglądów. Jeżeli natomiast chodzi o dobór szkoły średniej w tym względzie, to wiadomo powszechnie, iż Gimnazjum w Czeskim Cieszynie (z Filią w Karwinie) jest jedyną placówką z polskim językiem nauczania w całej Republice Czeskiej.

Zmieńmy temat. Oprócz pracy pedagogicznej zajmował się Pan ostatnio pracą naukową?

Podjęcie studiów doktoranckich zawdzięczam przede wszystkim prof. Zenonowi Jasińskiemu z Uniwersytetu Opolskiego, który uchodzi za najwybitniejszego znawcę problematyki dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu. W ramach studiów doktoranckich na wniosek profesora zająłem się opracowaniem działalności Towarzystwa Szkoły Ludowej w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim (1892–1922). W archiwum opawskim znajdują się materiały na temat działalności kół TSL na tym terenie, a w archiwum ostrawskim jest stosunkowo dużo dokumentów dotyczących polskiego szkolnictwa na pograniczu Śląska Cieszyńskiego i Moraw. Towarzystwo Szkoły Ludowej zostało założone w Krakowie w stulecie Konstytucji Trzeciego Maja. Pierwszym prezesem był znany poeta Adam Asnyk. TSL m.in. zakładało i utrzymywało szkoły ludowe, gdyż państwo austriackie, a nawet miejscowe władze galicyjskie we Lwowie nie były w stanie zapewnić wszystkim dzieciom wykształcenia. Chodziło ponadto o szkołę polską, przede wszystkim na Kresach Wschodnich, ale także na Kresach Zachodnich (wtedy przed stu laty był to termin powszechnie używany), czyli na Śląsku Cieszyńskim i nad Ostrawicą. TSL na tych terenach rozwijało od końca XIX wieku do zakończenia pierwszej wojny światowej szeroką działalność społeczno-oświatową. Było również współzałożycielem Prywatnego Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej.

Myślę, że możemy już dziś zaprosić Czytelników Zwrotu do lektury Pana artykułów, chętnie zamieścimy w Zwrocie materiały o Towarzystwie Szkoły Ludowej, temat jest bowiem mało znany, a ważny i ciekawy. Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

MÓJ DOBRY ANIOŁ STRÓŻ (3)

Byłem już parę tygodni po maturze, kiedy coś mi do głowy strzeliło, żeby pójść na dalsze studia. Wziąłem więc urlop, darmowy żołnierski bilet kolejowy do Brighton, wiedząc dobrze, że Brightonów jest parę w Anglii. To mi pomagało jeździć po całym kraju i zawsze udawać, że to niby do tego drugiego Brighton chciałem pojechać. Wpierw pojechałem do Londynu, żeby się postarać o jakieś stypendium. Sytuacja była zła, bo takich jak ja było pełno, każdy starał się dostać na dalsze studia, tak że polski uniwersytet, tzw. Polish University College, w skrócie PUCK, był przepełniony. Nie byłem oficerem ani też synem oficera, tylko zwykłym starszym strzelcem, więc pierwszeństwa nie miałem. Był w tym ministerstwie szkolnictwa urzędnik mi przychylny, może nasz, który mi poradził, żeby jeździć od uczelni do uczelni i starać się samemu o przyjęcie. Radził mi też, żeby nie starać się o przyjęcie na znane uniwersytety, ale raczej na uczelnie, które zaczynają kursy dla weteranów angielskich, właśnie tych, którzy zostali zdemobilizowani. Więc zaczęła się ta moja gehenna. Dobrze że miałem ten bilet kolejowy do Brighton, bo niby to zawsze się gubiłem, czasami udając, że po angielsku ani w ząb nie umiem. Udało mi się dobrnąć do paru uczelni, ale wszędzie spotykałem się z odmową.

W końcu dojechałem do Blackburn, miasta na zachodzie Anglii, gdzie właśnie zaczynał się nowy kurs w Royal Technical College, specjalnie dla byłych weteranów angielskich. Kurs ten miał się zaczynać za parę miesięcy. Przyjęty zostałem od razu. Tymczasowy przedłużony urlop z wojska załatwił mi mój dowódca, starał się też o stypendium, żebym mógł je otrzymać przed rozpoczęciem kursu. Stypendium tak szybko nie dostałem, bo, zdaje się, w ministerstwie nikt się nie spodziewał, że mnie do jakiejś uczelni przyjmą, albo też po prostu nie było pieniędzy. W każdym razie pojechałem do Blackburn, żeby żyć z gaży starszego strzelca, tzn. 35 szylingów angielskich na tydzień. Za pokój i śniadanie (najtańsze) musiałem płacić 32 szylingi, tak że zostały mi tylko 3 szylingi na cały tydzień na jedzenie. Jadałem w ten czas tylko dwa posiłki na dobę, to znaczy śniadanie, gdzie zjadałem wszystko, co było na stole, a wieczorem chodziłem do YMKI na „beans on toast", to znaczy fasolka na kawałku chleba. Miałem dosyć tej fasolki na prawie całe życie, bo jak można żyć na fasolce przez przeszło trzy miesiące. Od czasu do czasu przychylna Irlandka Mary podrzuciła mi kiełbaskę, bo suchy byłem jak szczapa. Nigdy o tym nie zapomniałem i zawsze ją mile wspominam. Wspomagał mnie też finansowo mój brat Otek, ale i on nie mógł mi dużo pieniędzy przysłać z jego skromnej gaży żołnierskiej.

Kurs był stosunkowo ciężki, bo przecież językiem wykładowym był angielski i trzeba było na gwałt uczyć się tego języka, nie zaniedbując innych przedmiotów. Pomagało mi w tym wypadku to, że w naszym gimnazjum orłowskim mieliśmy wyśmienitych profesorów i dbali oni o to, żeby w te nasze tępe głowy wbić jak najwięcej wiedzy. Na przykład matematyki i chemii nie musiałem się obawiać, bo

miałem dobre podstawy. Elektronikę też znałem z wojska, a raczej z tego kursu na radiomechanika w Glasgow. Czasu nie było na nic, tylko wkuwałem, co mogłem. Mama też pisywała, jak to „naszych" Czesi gnębią i jak to niektórych zamykano, a innych znowu przymusowo wywożono do Polski. Pomyślałem sobie, czasy się nie zmieniły, zupełnie jak „za Niemców", a mnie czekałby ten sam los. Otek też dostał się do Gimnazjum Handlowego w Glasgow z polskim językiem wykładowym.

Tak więc czas leciał na nauce, a na życie prywatne nie było czasu, zwłaszcza gdy nas na kursie było tylko dwóch Polaków w gronie samych Anglików. Moim kolegą był młody podporucznik z Armii Andersa z Włoch Władek Martyniuk. I tak jakoś dawaliśmy sobie rady i wchłanialiśmy tę wiedzę. W Blackburn spotkałem też dużo byłych żołnierzy polskich, ale samych oficerów, bo w tej samej uczelni rozpoczął się kurs techniczny w dziedzinie tkactwa, włókiennictwa i maszynerii związanej z tym przemysłem. Blackburn było znane jako centrum przemysłu włókienniczego. Był to kurs raczej specyficzny i nie wiem, czy tym byłym żołnierzom się na coś przydał. Ale studiowali, a Anglicy za to płacili, każdy z zapałem uczył się, żeby po skończeniu tego kursu dostać jakąś pracę.

Nasz trzyletni kurs był kursem intensywnym, bez żadnych wakacji, i skończył się po osiemnastu miesiącach. Dostałem tzw. National Certificate w dziedzinie elektroniki. Dalsza faza kursu odbyła się w innej uczelni - Wigan Technical College. Parę uczniów odpadło z rozmaitych powodów, ale Władek i ja zostaliśmy. Kurs ten był raczej bardziej zaawansowany w dziedzinie elektroniki oraz elektryczności, z tym, że musieliśmy też składać specjalne egzaminy przygotowane przez brytyjskie Ministerstwo Szkolnictwa, które by nam umożliwiły przyjęcie do Institute of Electrical Engineers i zostanie kwalifikowanym inżynierem. Będąc na kursie, zostałem też przeniesiony do Polish Resettlement Corps, a raczej do oddziału, z którego demobilizowano żołnierzy. Wkrótce też zostałem zdemobilizowany, dostałem jedno ubranie cywilne. W czasie między kursami w Blackburn i Wigan pracowałem w sklepie ze sprzedażą aparatów radiowych, gdzie byłem zatrudniony jako radiomechanik i parę groszy zaoszczędziłem na dalsze studia, no i żeby się trochę po ludzku ubrać. Miałem wtenczas tylko dwie koszule, które trzeba było prać i samemu prasować. Dobrze że nasza mama nauczyła nas i prasować, i szyć, i skarpetki łatać. Pomogło nam to w naszej tułaczce życiowej. To mi też pomogło w przeszyciu mojego munduru żołnierskiego. Zmieniłem kołnierzyk, wywatowałem ramiona, tak że mundur był prawie że oficerski. Koledzy zaraz prosili o przeróbkę swoich mundurów, miałem więc pracy pod dostatkiem jako krawiec. Anglicy też się dziwili, dlaczego ci Polacy tyle koców potrzebują. Do głowy im nie przyszło, że lądują w wywatowanych mundurach.

Po wszystkich tych kursach zostałem inżynierem i zaraz też zacząłem szukać pracy. Zostałem przyjęty do raczej prestiżowej fabryki Metro Vickers w Manchester. Miałem pracować jako inżynier odpowiedzialny za instrumenty badawcze w fabryce. Miałem też te instrumenty sprawdzać i naprawiać, co mi bar-

dzo odpowiadało. Zaraz też zacząłem się organizować. Trzeba było stół przesunąć tam, podłączyć przewody elektryczne i tym podobne zabiegi wykonać. To był mój zasadniczy błąd, bo takie rzeczy muszą robić „specjaliści" ze związków zawodowych. Protestowali głośno, więc dyrektor nie miał innego wyjścia, jak tylko mnie zwolnić. Związek zawodowy elektryków był szczególnie zawzięty, mówiąc nawet, że powinienem wracać do Polski. Ten związek był znany jako bardziej komunistyczny niż komuniści w Rosji. Więc pojechałem z powrotem do Blackburn, gdzie pracowałem w małej firmie do naprawy motorów elektrycznych. Byłem, prawdę mówiąc, inżynierem do wszystkiego, włączając w to nawet kreślarstwo.

Nic więc dziwnego, że zacząłem myśleć o emigracji. Kanada zaczęła nabierać uroku, przecież w czasie wojny, kiedy to polskie książki były zabronione, zaczęliśmy czytać Rozruchy i Rodokapsy, a tam co drugie opowiadanie miało miejsce w Kanadzie. Więc Kanada zwyciężyła. Miałem bilet aż do Alberty, ale już na okręcie postanowiłem pojechać do Toronto, oczywiście po zaczerpnięciu informacji od innych emigrantów. Dobrze zrobiłem, bo pracę dostałem od razu, chociaż tylko jako technik. Pół roku potem dostałem się do firmy General Electric jako inżynier odpowiedzialny za aparaturę do rozmaitych badań. Fabryka ta robiła aparaty RADAR, głównie dla lotnictwa Kanady. Była to ciekawa praca i tam przepracowałem 7 lat. W Toronto też harcowałem na całego. Należałem do Polskiego Starszego Kręgu Tatry oraz byłem drużynowym w czechosłowackim skautingu - 241-st Czechoslovak Boy-Scout group. A przecież miałbym mieć urazę do Czechów. W Blackburn spotkałem pierwszych Czechów uciekinierów spod reżymu komunistycznego, w Toronto była już dobrze zadomowiona grupa czeska. Pomagałem też w budowie pierwszej czeskiej parafii katolickiej św. Wacława. Jezuita, proboszcz parafii father Jenda był moim dobrym znajomym. Zawsze mi mówił, że jestem „z toho pobožneho kraje". Miał na myśli Zaolzie. Byłem też hufcowym w skautingu kanadyjskim w tych czasach w rejonie Parkdale. W 1959 roku postanowiłem szukać szczęścia w rządzie kanadyjskim i dostałem pracę w Ministerstwie Transportu w dziale telekomunikacji. Bardzo interesująca praca, a oprócz tego po raz pierwszy zauważyłem, że Kanadyjczycy są narodem bardzo przychylnym nie tylko do nas Polaków, ale też dla innych emigrantów. Tutaj znowu zacząłem pracować na innym szczeblu, w Teatrze Polskim w Ottawie, gdzie mnie wciągnęła moja przyszła żona, też harcerka, Marysia Dudek. Robiłem wszystko za kurtyną, to znaczy kulisy, światło, kurtyna, czyli chłopak do wszystkiego.

W 1962 roku postanowiłem wyemigrować do Stanów, pono trawka jest zieleńsza tam, gdzie nas nie ma, jak to mówi przysłowie. Dostałem wizę i rozpocząłem moje przygody w Las Vegas, Nevadzie, gdzie miałem dwie prace, jako kreślarz w Nevada Power Co. oraz w kasynie Flamingo jako taki niby gracz w kości. Ta praca w kasynie polegała na tym, że rozpocząłem grę na stole, gdzie byli tylko sami krupierzy, a nie było graczy. Turyści nie bardzo kwapili się do stołu, gdzie nie

było ludzi, tak więc dyrekcja wysyłała takiego faceta jak ja, żeby za pieniądze kasyna rozpocząć grę. Jak stół był pełny, to mnie odwołano. Jak coś wygrałem, to musiałem oczywista oddać. Z reguły przegrywałem. Następna praca była już w Los Angeles, gdzie miałem pozycję managera w firmie Polaka, pana Wilka. Też byłem inżynierem od wszystkiego w małej firmie, która robiła instrumenty. W Stanach też poślubiłem uroczą Marysię. Po dwóch latach w Stanach postanowiliśmy wrócić do Kanady. Ministerstwo, gdzie pracowałem przed wyjazdem do Stanów, nie mogło mnie przyjąć z powodu ograniczeń budżetowych. Skierowano mnie do Biura Patentowego. Tam już pracowała grupa polskich inżynierów i zaraz dostałem pracę. Myślałem sobie, popracuję parę miesięcy i odejdę. Nie odszedłem, a zostałem na zawsze. Zresztą praca była bardzo ciekawa. Każdy nowy wynalazek trzeba była zanalizować i sprawdzić, czy nie był już kiedyś zarejestrowany albo opisany.

Bardzo interesująca praca, nic więc dziwnego, że zrezygnowałem z pracy w tym biurze, mając 71 lat. Musiałem też być dobrym pracownikiem, bo inaczej to by mnie dawno wykopnęli. Przecież to ustrój kapitalistyczny i wymagania w pracy są duże. Społecznie też pracowałem, a raczej pomagałem żonie w pracy społecznej. Przecież to ona prowadziła i teatr i kółko młodzieżowe, więc trzeba było pomagać. Od dziesięciu lat jestem w Zarządzie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, naszego Koła 8 w stolicy Ottawie. Obecnie jestem sekretarzem protokolantem i muszę pisać sprawozdania z naszych miesięcznych zebrań zarządu. Właśnie otrzymałem Srebrną Odznakę Honorową Światowej Federacji S.P.K. w Londynie. Oprócz tego mam też inne medale wojskowe i krzyże kombatanckie. Również praca w domu pochłania dużo czasu, bo wszystko chcę sam zrobić czy też naprawić, nawet samochody. Dom wybudowaliśmy prawie sami. Oczywiście prace wymagające specjalistów, jak np. tynkowanie, robili specjaliści. Zresztą ja sam pracowałem przy murarzach, więc pracy się nie obawiałem. Zresztą tutaj w Kanadzie jest łatwo postawić ściany, bo są one z drewna i obijane są dyktą. Basen pływacki też sam wykopałem. Nie tylko, że wykopałem, ale nawet wykułem w skale. Co prawda, skała ta to piaskowiec, więc kilofem i dłutem rąbałem tę skałę, przecież tak mnie nauczyli Niemcy u Hashna podczas wojny. Kopanie tego basenu trwało 5 lat. Nie śpieszyłem się, uważałem tę pracę za coś w rodzaju gimnastyki. Niektórzy chodzą do specjalnych klubów, żeby sobie pogimnastykować, ja wolałem robić to w domu, żeby utrzymać szczupłą sylwetkę. No i mam ją do dziś dnia i mogę nosić garnitury sprzed trzydziestu albo czterdziestu lat. U mężczyzn moda się nie zmienia, zresztą można zawsze klapy czy też inne wybryki mody poprawić.

I tak się moja gehenna życiowa pomału kończy, nieźle przecież zacząłem jako pomocnik przy murarzach podczas wojny, a teraz już osiemdziesiątka na karku, mam spokojne życie w dalekiej Kanadzie.

BRUNON GRZEBIEŃ



Szanowna Redakcjo,

po przeczytaniu pierwszego odcinka wspomnień Brunona Grzebienia cofnąłem się pamięcią o kilkadziesiąt lat wstecz, pogrzebałem w mym archiwum i stwierdziłem, że przed wojną chodziłem z Brunonem do jednej klasy w orłowskim gimnazjum. Znalazłem zdjęcie naszej IV A klasy oraz XXIX sprawozdanie roczne Polskiego Prywatnego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. Na podstawie wykazu uczniów sprawozdania, które razem ze zdjęciem załączam, grzebiąc w swej sklerotycznej już pamięci, przypomniałem sobie nazwiska swych dawnych serdecznych koleżanek i kolegów.

Rok szkolny 1937/38 był ostatnim naszej IV A klasy w Polskim Gimnazjum w Orłowej. Po przyłączeniu Zaolzia do Polski większa część kolektywu klasowego kontynuowała naukę w Orłowej, część przeszła do nowo zorganizowanego Gimnazjum w Boguminie, a część uczęszczała do Gimnazjum w Cieszynie na ul. Frydeckiej.

W dalszym roku losy wojenne rozrzuciły wielu z nas po całym świecie, niektórzy nie przeżyli zawieruchy wojennej. Dyrektor Piotr Feliks oraz prof. Wiktor Burian zginęli w obozie koncentracyjnym, Staśka Ruckiego faszyści powiesili w Nawsiu, Witold Sarganek zginął w czasie ucieczki pod bombami, Janek Folwarczny i wielu innych zginęło na froncie. Po wojnie co jakiś czas czytaliśmy nekrologi w Głosie Ludu, że znów ktoś odszedł na zawsze. Przed dwoma laty pożegnaliśmy Adka Bałona, byłego oficera AK oraz ofiarnego działacza PZKO. Co roku nas ubywa i wkrótce nadejdzie chwila, kiedy odejdzie ostatni mohikanin z dawnej IV A klasy Polskiego Gimnazjum w Orłowej.

FRANCISZEK SZOPA

Uczniowie IV A klasy – rok szkolny 1937/38 Polskiego Prywatnego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej

Siedzą od lewej z tablicą r. szk. 1937/38 klasa IV A: Karol Chmiel z Suchej Górnej, Władysław Mokrosz z Suchej Górnej, Edward Polok z Suchej Średniej.

Siedzą od lewej: Wanda Gojniczkówna z Łyżbic, Bronisława Heczkówna z Bystrzycy n. Olzą, Helena Mamicówna z Trzyńca, Stefania Kolasówna ze Śl. Ostrawy, Olga Lizakówna z Mor. Ostrawy, Anna Piechówna z Suchej Dolnej, dyrektor Piotr Feliks, prof. Wiktor Burian, Mieczysława Wenglorzówna z Orłowej, Janina Dronżanka z Jabłonkowa, Gertruda



Płoszkówna z Jabłonkowa, Anna Cicha z Wędryni, Milada Szyroka z Lutyni Dolnej.

Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: Brunon Grzebień ze Skrzeczonia, Paweł Heczko z Bystrzycy, Jan Latocha z Suchej Dolnej, Herbert Schewczik ze Skrzeczonia, Władysław Jarosz z Dąbrowy, Józef Topiarz z Sibicy, Jan Benesz z Sibicy, Witold Sarganek z Pudłowa, Eugeniusz Górecki z Marklowic Dol., Roman Hottowy ze Stonawy, Karol Kornas z Trzyńca, Albrecht Kroczek z Frysztatu, Albin Nogol z Ligotki Alodialnej.

Stoją w drugim rzędzie od lewej: Adolf Bałon z Suchej Dolnej, Józef Recmanik ze Stonawy, Remigiusz Gąsior z Karwiny, Franciszek Hudziec z Karwiny, Edward Niemiec z Suchej Górnej, Ziemowit Pokorny z Mor. Ostrawy, Adolf Kobierski z Suchej Górnej, Jan Plitko z Michalovec (Słowacja), Erwin Siwek z Suchej Górnej, Otton Durczok z Zabłocia, Jan Folwarczny z Szumbarku.

Stoją w trzecim rzędzie od lewej: Józef Bocek z Bystrzycy n/Olzą, Paweł Raszka z Nieborów, Franciszek Słowik z Wędryni, Jan Blaski z Frysztatu, Karol Kroczek z Karwiny, Leopold Kozieł z Trzyńca, Franciszek Szopa z Końskiej, Stanisław Rucki z Nydku, Emil Podeszfa z Pudłowa, Karol Pawlas z Frysztatu.

PRZYGRANICZNA WYMIANA TEATRALNA (1945-2000)

Divadlo Těšínského Slezska i Teatr Polski w Bielsku-Białej zapoczątkowały przygraniczną wymianę teatralną w październiku 1946 roku. Uczyniły to w okresie dla polsko-czechosłowackich stosunków politycznych nader skomplikowanym, gdy z jednej strony ważyły się losy powstającego między oboma państwami traktatu sojuszniczego, z drugiej zaś - nastąpiło chwilowe, bo niecały miesiąc trwające, odprężenie w napiętych relacjach warszawsko-praskich, przejawiające się w podejmowaniu obopólnych inicjatyw kulturalnych.

Zespół Divadla Těšínského Slezska zaprezentował się po raz pierwszy w Cieszynie 13 października operetką „Polska Krew" Oskara Nedbala. Teatr Polski Ośrodka Bielsko-Cieszyn wystąpił natomiast w czeskocieszyńskim hotelu Slavia w dniach 17-18 października z „Balladyną" Juliusza Słowackiego.

W miarę szybko nawiązana przygraniczna współpraca teatralna została jednakże na blisko trzy lata zawieszona. Przyczyn powyższego stanu rzeczy upatrywać należy w problemach natury politycznej, związanych z wejściem w życie protokołu - załącznika do Układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy z dnia 10 marca 1947 roku (w protokole tym otwarte pozostawało zagadnienie wzajemnych polsko-czechosłowackich roszczeń terytorialnych). Nie bez znaczenia były również problemy wewnętrzne teatru Cieszyna Zachodniego: spory natury artystycznej, nader częste zmiany kierownictwa, nieustanna rotacja zespołu aktorskiego, trudności finansowe. Zmianę - pozytywną - w materii kontaktów teatralnych przyniosła dopiero nowa, tożsama, sytuacja prawna obu teatrów w 1949 roku - upaństwowienie scen w Polsce i Czechosłowacji. Nade wszystko zaś idei przygranicznej wymiany teatralnej sprzyjała spójność ideologiczna obu państw, z naczelnym przesłaniem budowania internacjonalistycznych pomostów przyjaźni. Przesłanie to realizowały cyklicznie odbywające się Tygodnie Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. W scenariusz marcowego Tygodnia roku 1949 wpisano występ w Karwinie Teatru Polskiego Ośrodka Bielsko-Cieszyn. „Zemsta" w wykonaniu zespołu Stanisława Kwaskowskiego uwieńczyła podówczas trwający trzy tygodnie konkurs zaolziańskich amatorskich zespołów teatralnych.

Oficjalną wymianę pomiędzy teatrami Czeskiego Cieszyna oraz Bielska-Białej i Cieszyna zainaugurowano 10 czerwca 1949 roku sztuką Jaroslava Klímy o znamiennym, zważywszy na kontekst historyczny i geograficzny, tytule „Płonąca granica" („Ohnivá hranice"). Bielsko-cieszyńską odpowiedzią artystyczną na czeskocieszyńską „Płonącą granicę" były „Strzały na ulicy Długiej" Świrszczyńskiej, grane dwukrotnie: 17 czerwca w Trzyńcu, 18 w Czeskim Cieszynie.

Rozpoczętą z odpowiednim nagłośnieniem współpracę teatralną kontynuowano w sezonie 1949/50 z niezwykłą regularnością (niemalże comiesięczny występ TD w Bielsku-Białej, rzadziej w Cieszynie) i intensywnością (30 spektakli PTP w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, 10 przedstawień TD w polskiej). Gros prezentowanych spektakli przypada na cztery pierwsze miesiące sezonu, będącego pierwszym sezonem czeskocieszyńskim Josefa Zajíca i pierwszym sezonem bielsko-cieszyńskim Aleksandra Gąssowskiego. Im to przypadła rola inicjatorów polsko-czechosłowackiej współpracy teatralnej na pograniczu.

W ciągu roku 1950 odbyło się na terenie Zaolzia około 40 spektakli PTP, zaś po

polskiej stronie granicy kilkanaście przedstawień TD. Od 1951 roku zauważalna jest w przygranicznej wymianie teatralnej obustronna tendencja spadkowa. Na rzadszej obecności bielsko-cieszyńskiego zespołu za Olzą zaważyły niewątpliwe utrudnienia natury organizacyjnej (stan techniczny sal w przygranicznych miejscowościach, kłopotliwy dojazd), także względy finansowe (teatr bielsko-cieszyński był dla zaolziańskich wiosek zbyt drogi). Również występy TD były w polskiej części Śląska Cieszyńskiego nieczęste, gdyż - jak stwierdzał Gąssowski - same warunki ludnościowe ich nie wymagały.

Zagadnieniem odrębnym jest charakter prezentowanych podczas gościnnych występów sztuk. Stojące u początków ponownie nawiązanych kontaktów teatralnych „Zemsta" i „Płonąca granica" zdają się jednoznacznie określać polskie i czeskie wybory dokonywane w obrębie posiadanego na dany sezon repertuaru. Na pięć danych od marca 1949 roku do końca stycznia roku 1950 przez PTP tytułów aż cztery przynależały do polskiej klasyki. Były to: Fredry „Zemsta", „Pan Geldhab" i „Pan Jowialski" z tytułową rolą Ludwika Solskiego oraz „Maria Stuart" Słowackiego. Natomiast na cztery tytuły zaprezentowane przez teatr czeskocieszyński dwa mieściły się w nurcie czeskiej dramaturgii współczesnej („Płonąca granica", „Z jednej kromki" Václava Jelínka), jeden współczesnej dramaturgii radzieckiej („Szczęśliwa żona" M. Triger) i jeden - w obrębie rosyjskiej klasyki („Nie zawsze kot ma kiermasz" Ostrowskiego).

Niewątpliwie cenne polskie wybory repertuarowe nie były akceptowane przez prasę partyjną polską. W Trybunie Robotniczej z 24 stycznia 1950 roku czytamy: *Nie kwestionując walorów artystycznych reprezentowanych przez Państwowy Teatr Polski w Bielsku w czasie jego gościnnych występów w Czechosłowacji, musimy jednak zauważyć, że teatr czechosłowacki góruje pod względem ideologicznym, wystawiając podczas pobytu w Polsce sztuki dramatyczne. Natomiast nasz repertuar klasyczny jest zamierzchłą przeszłością, choć przedstawia wysokiej klasy poprawność literacką i artystyczną. (...) Wydaje się rzeczą celową, aby Państwowy Teatr Polski w Bielsku-Białej dokonał rewizji polityki repertuarowej przedstawień wymiennych* (Leopold Dutkiewicz).

Z początkiem roku 1950 dokonano już pewnej w PTP „rewizji polityki repertuarowej przedstawień wymiennych". W Czeskim Cieszynie zagrano m.in. radziecką sztukę współczesną („Przyjaciele" Uspieńskiego), rosyjską („Grzesznicy bez winy" Ostrowskiego) i, niebudzącą w kraju z ideologicznego punktu widzenia zastrzeżeń, „Zaporę" Dybowskiego. „Kościuszką w Berville", danym w kwietniu 1951 roku, zamknięty został okres najintensywniejszej przygranicznej wymiany teatralnej.

W zamieszczonej w Głosie Ludu 17 lutego 1952 roku nocie czytamy: *ostatnio zespół Teatru bielsko-cieszyńskiego nie przyjeżdża już do nas, zastąpił go teatr rodzimy (...) Scena Polska (...). Niemalże identycznie brzmiące słowa znajdujemy w Dzienniku Zachodnim z 23 lutego: ostatnio zespół teatru bielsko-cieszyńskiego nie wyjeżdża już na Śląsk za Olzą, ponieważ zastąpił go teatr utworzony z miejscowych kadr amatorskich. Dodać należy, iż do wykształcenia wzmiankowanych kadr przyczynili się w dużej mierze aktorzy skupieni w bielsko-cieszyńskim ośrodku teatralnym.*

We wrześniu 1952 roku podjęto jednakże ponowną próbę nawiązania przygranicznych kontaktów teatralnych. Jednakże już wkrótce wymiana teatralna ponownie utknęła w martwym punkcie. W 1955 roku pisano wręcz o izolacji obu przygranicznych placówek teatralnych.

Wraz z odrodzeniem się rytuału Tygodnia Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej

i Polsko-Czechosłowackiej zaistniała dogodna sytuacja do wymiennej prezentacji przedstawień. W styczniu 1956 roku Scena Czeska dwukrotnie wystawiła w Teatrze im. A. Mickiewicza „Przygody dobrego wojaka Szwejka" Haška. Przedstawienie odniosło duży sukces frekwencyjny.

Także w lipcu 1956 roku po raz pierwszy przekracza graniczną Olzę Scena Polska, by zaprezentować się przed widownią Cieszyna, Ustronia, Wisły, Strumienia, Skoczowa i Istebnej. Propozycją repertuarową, jaką przygotowano na rozpoczęcie wizyt (zdawałoby się regularnych) SP w prawobrzeżnym Cieszynie, była „Maryša" (Marysia) braci Mrštíków. Spektakl, cieszący się w macierzystym ośrodku teatralnym oraz w całym okręgu północnomorawskim sporym powodzeniem, przez cieszyńską publiczność odebrany został niezgodnie z intencjami realizatorów. Wśród formułowanych naprędce zarzutów znalazło się m.in.: *nieszczere oddanie atmosfery wsi, dziwność strojów, języka, nieodpowiedni dobór aktorów.* Spektakl oceniano przez pryzmat polskich realiów i tradycji (także literackich i teatralnych). Wszystkie elementy, które czyniły sztukę bliską czeskiemu widzowi i uwiarygodniały specyfikę morawskiej wsi schyłku XIX wieku, raziły odbiorcę zamieszkałego po polskiej stronie Olzy.

W zamieszczonym w Głosie Ludu (1956, nr 86) artykule „Marysia bez szminki" podjęto próbę wyjaśnienia przyczyn odmienności odbioru sztuki braci Mrštíków. Czeski pragmatyzm społeczny przeciwstawiono tam polskiemu romantyzmowi, aktorstwo realistyczne (czeskie) - patetycznemu (polskiemu), nade wszystko zaś widza ludowego (czeskiego, zaolziańskiego) widzowi mieszczańskiemu (polskiemu, cieszyńskiemu), tym ostatnim zwłaszcza tłumacząc powiedzenie, bądź jego brak, „Marysi".

W roku 1957, po kilkuletniej przerwie, ponownie wyjechał na Zaolzie Państwowy Teatr Polski z Bielska-Białej. Wizyta ta stanowiła część składową tournée obejmującego prócz ziemi zaolziańskiej i Ostrawy także miasta Słowacji. Zespół bielski zaprezentował trzy tytuły, m.in. przygotowaną specjalnie z myślą o widzu zaolziańskim sztukę Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka...". Także w przywołanym 1957 roku wystąpiła w Teatrze im. A. Mickiewicza SP z „Tanią" Arbuzowa. Rok później zaś Scena Czeska z „Białą zarazą" Čapka.

Latem 1961 roku, wraz z usamodzielnieniem się Teatru im. A. Mickiewicza, narodził się pomysł prezentowania w gmachu cieszyńskiego teatru każdej premiery Sceny Polskiej. Inicjatywa kierownika artystycznego Sceny Franka Michalika pozostała jednakże, pomimo przychylności mieszkańców Cieszyna, w sferze zamierzeń. SP wystąpiła w „Mickiewiczu" w latach 60. zaledwie sześciokrotnie. Wśród przywiezionych spektakli znalazł się m.in. okupacyjny dramat Petera Karvaša „Noc wigilijna" i polska sztuka współczesna „Ktoś nowy" Marka Domańskiego. Ani razu nie wystąpiła w Cieszynie, w przywołanych latach, Scena Czeska.

Niewątpliwie jedną z przyczyn spowolnienia wymiany teatralnej było traktowanie SP, podczas jej cieszyńskich występów, na równi z innymi teatrami zagranicznymi. Stwarzało to liczne utrudnienia formalne: celne, transportowe, graniczne, finansowe. Widocznej poprawy nie przyniosło nawet podpisanie i wejście w życie w styczniu 1966 roku międzyrządowej umowy o współpracy kulturalnej Polski i Czechosłowacji. Wkrótce nadeszła „Praska Wiosna" i problemy na polsko-czeskim pograniczu w rejonie Śląska Cieszyńskiego uległy zwielokrotnieniu i zaostrzeniu, co bynajmniej przygranicznej wymianie teatralnej nie sprzyjało.



„Kartoteka" w wykonaniu SP TC

Wznowienie kontaktów nastąpiło w 1970 roku w następstwie porozumień zawartych pomiędzy Wydziałem Kultury Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie i Wydziałem Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, a także stosownych umów podpisanych pomiędzy komitetami wojewódzkimi PZPR i KPC. Repertuarowe wybory pierwszej połowy lat 70. były znacznie upolitycznione. Podobnie czas na realizację owych wyborów wybrany. Np. 3 maja 1971 roku z okazji rocznicy wyzwolenia prawo i lewobrzeżnego Cieszyna przez Armię Radziecką SP przywiozła do Cieszyna dyskusyjny spektakl dotyczący Słowackiego Powstania Narodowego „Zanim kur zapieje" („Kým kohout nezaspieva") Ivana Bukovčana. Ale obok „Irkuckiej historii" Arbuzowa, „Lenusi" Leonowa zagrano początkiem lat 70. również „Krakowiaków i górali" Wojciecha Bogusławskiego w gościnnej reżyserii Józefa Wyszomirskiego. Inscenizacja została przyjęta przez cieszyńską publiczność entuzjastycznie. *W teatrze rozpętała się prawdziwa burza oklasków. Raz po raz aktorzy musieli robić przerwy, by owacje nie zagłuszały ich słów (...) 700 osób zmuszonych było odejść od kasy teatralnej bez biletu* (GL 1972, nr 46).

Czeska Scena występuje podówczas w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. Gra pozycje z repertuaru czeskiego. Przedstawia też jeden tytuł polski - „Balladynę". Teatr Polski występuje w Czeskim Cieszynie m.in. z „Domem otwartym" Bałuckiego. Kontakty obu teatrów ułatwiało niewątpliwie sprawowanie funkcji dyrektora biel-

skiej sceny przez Alojzego Nowaka. Funkcji poprzedzonej siedmioletnią kadencją kierowniczą w Scenie Polskiej.

Sytuacja w zakresie przygranicznej wymiany teatralnej uległa radykalnej zmianie w 1975 roku, gdy w następstwie nowego podziału administracyjnego Polski zlikwidowano powiaty i utworzono nowe województwa, w tym bielskie. To posunięcie administracyjno-polityczno-gospodarcze stało się czynnikiem hamującym współpracę przygranicznych teatrów. Brak bowiem było stosownego porozumienia o współdziałaniu i wymianie zespołów artystycznych, w tym teatralnych, pomiędzy Wydziałem ds. Kultury Okręgowej Rady Narodowej w Ostrawie oraz Wydziałem Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej. W rezultacie intensywnych zabiegów czynionych przez Wydział Oświaty i Kultury Urzędu Miejskiego w Cieszynie doszło jednakże w drugiej połowie lat 70. do wizyty w Teatrze im. A. Mickiewicza Sceny Polskiej. Zespół zza Olzy wystąpił przed cieszyńską publicznością 7 października 1976 roku ze śpiewogrą „Janosik, czyli Na szkle malowane". Spektaklem będącym największym, jak dotąd, sukcesem artystycznym i frekwencyjnym Sceny Polskiej.

Także Teatr Polski zagrał w Trzyńcu w drugiej połowie lat 70. dwa przedstawienia, m.in. „Sen nocy letniej". Nie wystawił natomiast żadnego spektaklu na Zaolziu w latach 80. Również ani razu Těšínské divadlo nie zaistniało w mieście nad Białą. Pomiędzy teatrami Czeskiego Cieszyna i Bielska-Białej nie podpisano bowiem stosownej umowy o stałej współpracy.

Inaczej sytuacja wyglądała w samym Cieszynie. Początkiem lat 80. SP daje tam trzy spektakle, przy czym styczniowa w roku 1980 „Awantura o Basię" Kornela Makuszyńskiego staje się ostatnim spektaklem Sceny zagranym w Cieszynie przed 4 grudnia 1981 roku. Zawieszenie wykonywania konwencji o małym ruchu granicznym kładzie aż na sześć lat kres wyjazdom Sceny do Cieszyna.

W Cieszynie nie zapominano jednakże w owych latach o polskojęzycznym zespole teatralnym zza Olzy. Gdy zimą 1985 roku kierownictwo Teatru im. A. Mickiewicza czyniło zabiegi w kierunku usamodzielnienia cieszyńskiej placówki od Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, jednym z wiodących argumentów było postrzeganie „Mickiewicza" jako *stałego miejsca prezentacji aktualnego repertuaru Sceny Polskiej z Czeskiego Cieszyna.*

Symptomy pozytywnych zmian w zakresie przygranicznych kontaktów teatralnych przyniosło podpisanie w maju 1985 roku Umowy przyjaźni o współpracy między obu miastami: Cieszynem i Czeskim Cieszynem. W oparciu o powyższą umowę przewidywano zawieranie dodatkowych umów pomiędzy zainteresowanymi współpracą instytucjami. Z możliwości tej skorzystało Těšínské divadlo oraz Cieszyńskie Centrum Kultury. Wymienione placówki podjęły wiosną 1987 roku rozmowy, efektem których stało się podpisanie umowy o współpracy. Następstwem zawartego porozumienia był występ w Teatrze im. A. Mickiewicza 23 kwietnia Sceny Polskiej ze współczesną sztuką słowacką „Gorący ziemniak, czyli Przypowieść o Janosiku" Mikulaša Kočana. Do końca lat 80. SP wystąpiła w Cieszynie jeszcze szesnastokrotnie z jedenastoma spektaklami, m.in. z „Iwoną księżniczką Burgunda" Gombrowicza, „Uciechami staropolskimi" Kazimierza Dejmka, „Domem na niebiosach" Jiřího Hubača, „Kartoteką" Tadeusza Różewicza.

Przed publicznością bielską Scena wystąpiła dopiero 14 listopada 1989 roku, dając występ w ramach I Spotkań Polskojęzycznych Zespołów Teatralnych. Zagrała podówczas „Pieniądze dla Marii" Rasputina. Podczas Spotkań, których organizatorem



„Antygona" w wykonaniu SP TC

był Teatr Polski, wyrażono obopólną wolę kontynuacji nawiązanych ponownie kontaktów i powrotu - w tym zakresie - do dobrych tradycji z czasów Gąssowskiego i Zajíca.

Nowy jakościowo etap stosunków polsko-czechosłowackich, polsko-czeskich w następnej dekadzie, deklaracji tej zdawał się sprzyjać. Sprzyjały niewątpliwie przygranicznej wymianie teatralnej porozumienia międzyrządowe: Umowa o współpracy kulturalnej i naukowej z 16 września 1991 roku. Układ o dobrym sąsiedztwie, solidarności i przyjacielskiej współpracy z 6 października. Intensyfikacji przygranicznych kontaktów teatralnych sprzyjało nadto Porozumienie o współpracy transgranicznej z września roku 1994. Także Umowa o współpracy pomiędzy Cieszynem i Czeskim Cieszynem z 14 czerwca 1996 roku. Nade wszystko zaś powołanie w kwietniu 1998 roku Euroregionu Śląsk Cieszyński - Těšínské Slezsko. Jako czynnik sprawczy w zakresie przygranicznej wymiany teatralnej wymienić należy porozumienia dotyczące ruchu granicznego, w tym Umowę o małym ruchu granicznym z 17 stycznia 1995 roku, urzeczywistnioną 19 lutego 1996 roku, umożliwiającą przekraczanie granicy na dowody osobiste.

W latach 90. nie nastąpił jednakże spodziewany, w związku z korzystnymi przemianami społeczno-politycznymi, wzrost liczby przywożonych do Cieszyna przez zespół z Zaolzia spektakli. Nie przyniosło w tej mierze pozytywnych skutków usamodzielnienie się Teatru im. A. Mickiewicza. Choć już wiosną 1992 roku Andrzej Ziębiński wiązał z tą perspektywą spore nadzieje. W rozmowie z redaktorem Głosu Ziemi Cieszyńskiej (1992, nr 21) stwierdził: *Scena Polska powinna funkcjonować nie tylko po czeskiej stronie Olzy, lecz służyć na stałe publiczności w Cieszynie (...) Takie rozwiązanie podpowiada perspektywa usamodzielnienia się Teatru im. A. Mickiewicza.*

W czasie od stycznia 1990 roku do grudnia roku 1999 SP dała w Cieszynie ogó-

łem dwadzieścia trzy przedstawienia dwunastu tytułów. Zagrano m.in. „Przednówek" Pawła Kubisza, „Pana Tadeusza" Mickiewicza, „Śluby panieńskie" Fredry, „Antygonę" Sofoklesa, „Czarną Julkę" Gustawa Morcinka, by wymienić realizacje sceniczne o randze pozalokalnych wydarzeń artystycznych. Raz, w roku 1993 z okazji Święta Trzech Braci, wystąpiła w Cieszynie Scena Czeska. W sali Domu Narodowego zagrała „Dziewczę z familoków" Kubina-Rumla-Polačka-Pacla.

Stronami podejmującymi rozmowy w kwestii występów SP i SCz w Cieszynie były: Těšínské divadlo i Cieszyński Ośrodek Kultury - Dom Narodowy (lata 1990-1998), Těšínské divadlo i Teatr im. A. Mickiewicza (lata 1999-2000).

W roku 2000, z inicjatywy TD, podjęto próbę stworzenia w Cieszynie grupy abonamentowej Sceny Polskiej. Ogółem odbyło się 6 premier. Pierwszą była „Zemsta", zagrana 21 stycznia. Poza abonamentem odbyły się jeszcze 3 przedstawienia Sceny, przeznaczone dla widowni dziecięcej i młodzieżowej.

Siedemnastokrotnie wystąpiła SP w Bielsku-Białej. Pierwszym tytułem zagranym w Teatrze Polskim był „Przednówek". Pozostałe wybory repertuarowe były tożsame z przeznaczonymi dla publiczności cieszyńskiej. Wyjątkiem - przedstawiony tylko w Bielsku - „Kubuś i jego Pan" Kundery. Wystąpiła w Bielsku również Scena Czeska z „Królewną Śnieżką" Rakowieckiego i Wittlina, w przekładzie ówczesnego dyrektora TD Ladislava Slívy.

W pierwszej połowie lat 90. odbyło się również kilka wizyt Teatru Polskiego w Czeskim Cieszynie. Zainaugurowała je 26 października 1990 roku „Baśń o Alladynie i lampie cudownej" Leśmiana. Publiczność zaolziańska w roku 1993 zetknęła się również, za sprawą bielskiego teatru, z Witkacym („W małym dworku").

Reasumując powyższe uwagi, stwierdzić można, iż przygraniczną wymianę teatralną cechował na przestrzeni 55 lat brak systematyczności. Lata 1945-1948 znamionowały sporadyczne kontakty przygranicznych ośrodków teatralnych. Od marca 1949 do kwietnia roku 1951 zauważalne jest ich nasilenie, ze szczególną intensyfikacją w sezonie 1949/50. Po kwietniu 1951 roku daje się zaobserwować proces spadkowy z okresami krócej (przedziały czasowe lat 50., druga połowa lat 60. i 70.) lub dłużej (lata 80.) trwającego izolacjonizmu. Proces powyższy niewolny był jednakże od pozytywnych doświadczeń (lata 1956-1957, 1970-1975, 1987-1989). Niewątpliwie największy stopień intensyfikacji osiągnęła przygraniczna wymiana teatralna we wczesnych latach 90. Ogółem od 1945 roku do końca roku 2000 Scena Polska zaprezentowała się w Cieszynie blisko siedemdziesięciokrotnie.

Przygraniczną wymianę teatralną określały różne czynniki: polityczne, społeczne, artystyczne, administracyjne, organizacyjne, finansowe, wreszcie techniczne. Przy czym czynniki pozaartystyczne okazały się wobec czynników artystycznych prymarne.

MIROSŁAWA PINDÓR

Powyższy referat został wygłoszony 20 października 2001 roku podczas polsko-czeskiego sympozjum naukowego z okazji pięćdziesięciolecia Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie.

JABŁONKOWSKA KAWIARENKA POD PEGAZEM W CIESZYŃSKIM DOMU NARODOWYM

Do Domu Narodowego w Cieszynie zaprosiła 20 marca swoich sympatyków jabłonkowska Kawiarenka Pod Pegazem. W ten oto nienachalny sposób także mieszkańcy prawego brzegu Olzy bez konieczności korzystania z paszportów i przejść granicznych mogli przekonać się o tym, że tuż za południową granicą mieszkają ludzie, którzy nie tylko uważają się za Polaków, ale myślą po polsku i języka polskiego używają do przelania na papier swoich najintymniejszych marzeń, odzwierciedlenia uczuć, wyrażenia poglądów. Bo właśnie przekazanie wiadomości o nas Polakach na Zaolziu, o naszym istnieniu i trwaniu wydawało się najważniejszym celem tej Kawiarenki. Temat wart jest kontynuowania, gdyż, jak przekonujemy się, przebywając dłużej w Polsce, na własnej skórze, niczego tam o nas nie wiedzą, a jedna Mlynkowa wiosny nie czyni.

Gospodarzami spotkania byli poeci Jan Pyszko, Kazimierz Kaszper i Piotr Horzyk. Prezentacja najmłodszej poezji Zaolzia poprzedzona została przypomnieniem tego, co w najnowszych dziejach poezji zaolziańskiej najlepszego, Kazimierz Kaszper podał krótki wykład na temat twórczości najwybitniejszych naszych pisarzy, Karol Suszka przeczytał wiersze Henryka Jasiczka, Władysława Sikory, Wilhelma Przeczka, Jana Pyszki, Renaty Putzlacher.

O przerywnik muzyczny postarał się śpiewający gitarzysta z prawego brzegu Olzy Mariusz Śniegulski, chociaż ten punkt programu nie był żadnym zgrzytem w całości, zabrzmiała bowiem poezja śpiewana, m.in. wiersze poety cieszyńskiego Jerzego Oszeldy.

Druga część spotkania była prezentacją próbek poetyckich najmłodszej generacji Zaolziaków. Każdy z autorów dokonał krótkiej autoprezentacji, po czym Karol Suszka przedstawił w sposób profesjonalny ich wiersze. Tomasz Ryłko, Agata Cimała i Roman Krop to przedstawiciele nastolatków, a któż z nas w wieku siedemnastu lat nie pisał wierszy, toteż trudno ocenić, jakie będą ich dalsze losy. Nie można jednak nie docenić wagi tego, że próbują pisać, i odwagi, jaka jest potrzebna do odkrycia swego wnętrza i wystawienia go pod publiczną ocenę. Dojrzalszą, poprzez wiek i doświadczenie w pisaniu, poezję prezentowała Hanna Rybicka, studentka UŚ, a nade wszystko Marek Słowiaczek, którego warsztat pisarski oceniony został już w kilku konkursach literackich.

Podsumowaniem spotkania była dyskusja, w której wzięli udział uczestnicy z obu stron granicy, a która dotyczyła przede wszystkim głównego atrybutu poezji – słowa. I w tym nurcie wypłynął temat języka. Język, w którym to słowo zostaje zapisane, musi być dobrze przyswojony przez autora, musi być językiem jego serca. Toteż tak trudno, co wydawałoby się w naszych warunkach zrozumiałe, być poetą dwujęzycznym. Nie każdy rodzi się Barańczakiem. Udaje się to niewielu najzdolniejszym. C.R.

WALNE ZGROMADZENIE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ POLSKIEJ KSIĄŻKI

W wąskim gronie miłośników polskiej książki na Zaolziu odbyło się 15 marca Walne Zgromadzenie działającego od 1999 roku Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki (SPPK). W roku ubiegłym Stowarzyszenie liczyło 59 członków, w roku 2000 50 członków. Siedemnaście osób obradowało w salce posiedzeń w nowej siedzibie Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie na ulicy Komenskiego 4, gdzie znalazło swe miejsce także SPPK. Obrady prowadził wiceprezes Stowarzyszenia Jan Kubiczek. Minutą ciszy uczczono pamięć zmarłej niedawno członkini Haliny Kowalczyk.

Sprawozdanie z działalności za rok ubiegły przedstawiła prezes SPPK Helena Legowicz. Najważniejszą imprezą była zorganizowana przy współpracy sieci księgarskiej Matras Wystawa Polskiej Książki, która odbyła się w listopadzie w Czeskim Cieszynie, Jabłonkowie i Karwinie. Znalazło się na niej ponad 500 tytułów książek i kilkanaście tytułów prasowych 20 polskich wydawców. Zwiedziło ją około 4 tysięcy osób. W ramach Wystawy odbyło się kilka imprez towarzyszących, m.in. spotkania autorskie z Wandą Chotomską, Ewą Nowacką, Wojciechem Podgórskim, Stanisławem Franczakiem, Henrykiem Cyganikiem, Liborem Martinkiem oraz promocja książki Franciszka Bałona „Opowiadania o naszym gotowaniu". W ubiegłym roku zorganizowany został konkurs czytelniczy dla szkół podstawowych, którego uczestnicy musieli wykazać się znajomością powieści Zbigniewa Nienackiego „Pan Samochodzik i Templariusze". Wzięło w nim udział 12 drużyn. SPPK nawiązało też kontakty z Instytutem Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Sprawozdanie kasowe za rok ubiegły przedstawiła Irena Mierzwa.

Najważniejszym punktem programu działania Stowarzyszenia w roku bieżącym jest przygotowanie Wystawy Polskiej Książki z udziałem polskich wydawców. Powinny odbyć się też konkursy czytelnicze. Aleksandra Humel zaproponowała pomoc studentów cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego przy ich przygotowaniu. Z pracy w Zarządzie Stowarzyszenia zrezygnowała, z przyczyn zdrowotnych, Helena Śliwka, nowym członkiem zarządu wybrano Aleksandrę Humel. Do końca lutego 2003 odbędzie się kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze SPPK. Dokonano wyboru delegatów na Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków (6 kwietnia), którymi zostali Helena Legowicz i Jan Kubiczek.

C.R.

GAWĘDY LESZKA MAZANA

Kiedy krakowski dziennikarz Leszek Mazan przyjechał na Zaolzie, by odegrać rolę narratora w przedstawieniu Sceny Polskiej „Kaisermanewry, czyli Upływa szybko życie", zaproponował, że chętnie spotka się z Zaolziakami także poza sceną, by zaprezentować im na przykład „swój" Kraków. Dwa takie spotkania odbyły się tuż po Wielkanocy: 3 kwietnia gościł Leszek Mazan w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie (nie po raz pierwszy zresztą, bowiem to właśnie tutaj przed pięcioma laty wraz z ówczesnym redaktorem naczelnym krakowskiego tygodnika Przekrój Mieczysławem Czumą wziął udział w spotkaniu z uczestnikami turnieju o tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju), zaś następnego dnia zawitał do czeskocieszyńskiego Klubu Propozycji, tym razem w auli Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie.

Nie zabrakło na tych spotkaniach tematu Przekroju, którego redakcję przeniesiono do Warszawy, a jedynym krakowskim akcentem w nim został redaktor Mazan. Wiele dowiedzieli się słuchacze o Krakowie i jego wyższości nad innymi miastami. Mówiono o śladach krakowskich w naszych stronach. Nawiązał też Leszek Mazan do mentalności czeskiej, bowiem kiedyś jako korespondent PAP w Pradze miał okazję do jej dobrego poznania. Ze względu na ograniczony czas spotkań gawędziarz nie mógł w pełni rozwinąć tematów, toteż wszystkich zainteresowanych namawiał do lektury swoich książek.

C.R.



Fot. WIESŁAW PRZECZEK



WIELKANOC 2002 Miejscowe Koło PZKO Czeski Cieszyn Centrum co roku organizuje w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka wystawę wiosenną, której tematyka jest za każdym razem inna. Tak więc w przeszłości mogli cieszyniacy obejrzeć wytwory naszych plastyków i z Polski, podobnie fotografie, były też pokazy mody i to, co paniom zrzeszonym w Klubach Kobiet jest najbliższe, czyli serwety, serwetki, a na nich hafty wszelkiego rodzaju. W roku bieżącym, jako że wystawa była zorganizowana wcześniej niż zazwyczaj, bo już 23 marca, a tradycyjnie był to 1 maja, związana była tematycznie z nadchodzącym Świętem Wielkanocy. Niezależnie od daty i tematyki jedno jest niewątpliwie wciąż to samo – niepowtarzalna atmosfera, która powoduje, że przychodzi się tu nie tylko zobaczyć efekty pracy pezetkaowców, ale pobiesiadować w miłym, zaprzyjaźnionym gronie, bo tradycyjnie cieszyniacy spotykają się tu na niedzielnym obiedzie, by zjeść jelito z kapustą.

Sobotni wernisaż zdominowały przedszkolaki z sąsiadującego z Klubem przedszkola z ul. Moskiewskiej. Na wystawie były z kolei widoczne ich prace i prace nieco starszych kolegów ze szkoły podstawowej, a także różnego rodzaju eksponaty związane z Wielkanocą, pochodzące z domów rodzinnych organizatorów wystawy i Muzeum Ziemi Cieszyńskiej.

E.S.









REGULAMIN
IX POLONIJNEGO KONKURSU POEZJI – NAJDROŻSZE GNIAZDO RODZINNE
Opoczno – Białaczów – Wąglany – 3–5 maja 2003

I Organizatorzy – Sponsorzy – Towarzystwo Przyjaciół Wąglan, Ministerstwo Kultury – Departament Edukacji Kulturalnej, Telewizja Polska S.A. w Warszawie, Urząd Marszałkowski w Łodzi, Starostwo Powiatowe w Opocznie, Urząd Gminy w Białaczowie, Urząd Miejski w Opocznie.

II **Celem naszego konkursu jest skupienie wokół Opoczna, Białaczowa i Wąglan wszystkich poetów z całego świata, bez względu na narodowość, miejsce zamieszkania, wiek i dorobek literacki, piszących po polsku, i umożliwienie im wzajemnego poznania się i wymiany doświadczeń oraz druk nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w almanachu pokonkursowym.**

III Prosimy o nadsyłanie 5 dowolnych wierszy (tematyka nieograniczona) w 3 egzemplarzach maszynopisu lub czytelnego rękopisu z bardzo dokładnymi danymi autora, wiek, miejsce urodzenia, bardzo czytelny i dokładny adres, godło nieobowiązkowe!, w terminie (zawsze do końca roku!) – do 31 grudnia 2002 r., decyduje data stempla pocztowego, wiersze nadesłane po terminie automatycznie będą zakwalifikowane do następnej edycji konkursu! – z dopiskiem na kopercie „IX Polonijny konkurs poezji" na adres: **Towarzystwo Przyjaciół Wąglan, Waldemar Jóźwik, Wąglany 50, 26–307 Białaczów, woj. łódzkie, tel. 0048 44 758–12–31.**

IV Jury w styczniu 2003 roku dokona oceny wierszy i nagrodzi i wyróżni 10 najlepszych poetów, którzy otrzymają nagrody pieniężne, rzeczowe i książkowe o łącznej wartości 2600 zł, tj. około 650 USD – najlepsi zostaną zaproszeni na uroczyste podsumowanie naszego konkursu do pałacu Małachowskiego-Platerów w Białaczowie k. Opoczna w dniach 3–5. 5. 2003.

V Zastrzegamy sobie prawo do bezpłatnego publikowania nagrodzonych i wyróżnionych wierszy w almanachu pokonkursowym i w środkach masowego przekazu w Polsce i za granicą, a prac nadesłanych nie odsyłamy!

Mile będą widziane zdjęcia uczestników, listy, notki biograficzne, bo nasz konkurs to nie tylko loteria poetycka, ale próba stworzenia jednej wielkiej rodziny poetyckiej, której nie zastąpi żadna inna rodzina! Bardzo liczymy na życzliwość polonijnych środków masowego przekazu, by dotrzeć do wszystkich poetów rozsianych na całym świecie!

Zapraszamy i życzymy sukcesów i pozdrawiamy cudownymi słowami – Szczęść Boże – wszystkich poetów i wszystkich sympatyków, współorganizatorów, sponsorów oraz ludzi dobrej woli.

ORGANIZATORZY

NA WESOŁO W ŁOMNEJ GÓRNEJ I DOLNEJ

Trudno przekonać kogoś spoza Zaolzia, że tu nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat kwitnie amatorski teatr preferujący rodzime sztuki ludowe. Kwitnie, bo domaga się tego miejscowa publiczność, przyzwyczajona do spędzania wiosennego niedzielnego popołudnia z aktorami wcielającymi się w postaci sztuk Władysława Młynka, Adama Wawrosza, Władysława Niedoby, sztuk dobrze znanych pokoleniu starszemu, ale także przypadających do gustu młodym. Za każdym razem salę tłumnie wypełniają widzowie od najstarszych po najmłodszych, nie szczędząc oklasków swoim aktorom. Bawią się wszyscy – aktorzy i widzowie. I tak ma być, a aktorom i reżyserom (w przeważającej większości bardzo młodym) za ogrom poświęconego wolnego czasu, by przedstawienia przygotować, należą się szczególne podziękowania.

W kwietniowym numerze Zwrotu pisaliśmy o przedstawieniu MK PZKO z Żukowa Dolnego. W wielkanocną niedzielę gościliśmy w Łomnej Górnej, gdzie młodzi aktorzy pod kierownictwem karmelity o. Edwarda Cokota przy współpracy Wandy Stryczek z Miejscowego Koła PZKO przygotowali dwie jednoaktówki: „Jak baba diobła wykiwała" według opowiadania Adama Wawrosza i „Piąte koło" Władysława Młynka.

Tydzień później w Łomnej Dolnej młodzi pezetkaowcy pod wodzą doświadczonego (stażem, a nie wiekiem) reżysera Stanisława Szotkowskiego zaprezentowali również dwie jednoaktówki „Malowane wajca" Adama Wawrosza i „Tako miłość" Władysława Młynka. W tej pierwszej debiutowali nowi aktorzy ZASS, czyli Zespołu Amatorskiego Stasia Szotkowskiego, jak to powiedział Bronisław Procner, a mianowicie Danuta Filipek, Jarek Sikora i Stanisława Sikora, która wystąpiła również w drugim spektaklu, gdzie także dominowali Sikorowie (Lucyna, Jola i Tadeusz), co w Łomnej nikogo nie dziwi. Na scenie zaprezentowali się także Jerzy Martynek i Roman Niedoba. A uciechy było co niemiara.

E.S.







AMATORZY Z ŁOMNEJ GÓRNEJ





AMATORZY Z ŁOMNEJ DOLNEJ





REGULAMIN KONKURSU NA ZNAJOMOŚĆ GWARY ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Celem konkursu jest upowszechnienie zainteresowania gwarą oraz poznania obecnego stanu jej znajomości wśród mieszkańców Ziemi Cieszyńskiej.

1. Organizatorami konkursu są: Towarzystwo Miłośników Skoczowa, Macierz Ziemi Cieszyńskiej i Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC.
2. Konkurs jest jawny i ma charakter otwarty. Do udziału mogą zgłaszać się indywidualnie osoby bez względu na wiek. Szczególnie mile będą widziane osoby, które dotychczas nie występowały z tekstami gwarowymi oraz młodzież szkolna.
3. Konkurs przeprowadzony zostanie po uprzednim zgłoszeniu się uczestnika na piśmie na adres: Towarzystwo Miłośników Skoczowa, 43-430 Skoczów, ul. Mickiewicza 10. Zgłaszający się podaje imię i nazwisko, dokładny adres, wiek i zawód. W zgłoszeniu należy podać tytuł tekstu lub można dołączyć cały tekst, który będzie zaprezentowany w konkursie. Tekst nie powinien przekraczać dwóch stron maszynopisu.
4. Współzawodnictwo w konkursie polegać będzie na wygłoszeniu z pamięci tekstu gwarowego w obecności jury i zebranych uczestników imprezy. Czas tekstu mówionego nie powinien przekraczać pięciu minut.
5. W ocenie uwzględnia się następujące elementy: interpretację (dykcję, sceniczność), czystość gwary, wartość tekstu (teksty anonimowe, zaczerpnięte z żywej tradycji gawędziarskiej oceniane będą jako wartościowsze), ogólne wrażenie artystyczne (czystość stroju rozumiana w kategoriach jego poprawności i autentyczności oraz poprzednie kryteria łącznie). Dopuszcza się również teksty cudze, i to w prozie oraz wierszu, z podaniem autora i źródła.
6. Do oceny konkursu organizatorzy powołają kilkuosobowe jury.
7. Za zdobycie czołowych miejsc przyznane zostaną nagrody pieniężne i wyróżnienia. Ich wartość ustalą organizatorzy. Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymają dyplomy pamiątkowe.
8. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo opublikowania najlepszych tekstów w czasopismach lub innych wydawnictwach regionalnych.
9. Konkurs przeprowadzany jest w dwóch kategoriach, tj. dorosłych oraz dzieci i młodzieży. Osoby dorosłe, które w poprzednich konkursach zdobyły pierwsze i drugie miejsce, mogą wystąpić jedynie jako go-

ście honorowi. Nie dotyczy to dzieci i młodzieży oraz tych dorosłych, którzy w poprzednich konkursach byli wyróżnieni lub zajęli dalsze miejsca.

10. Mile widziane są wystąpienia w stroju regionalnym, co znajduje swój wyraz w punktacji (ogólne wrażenie).
11. Termin nasyłania zgłoszeń upływa 30 czerwca 2002 roku. Decyduje data stempla pocztowego. O terminie i miejscu przeprowadzenia konkursu, który odbędzie się na przełomie września i października, uczestnicy zostaną powiadomieni pisemnie.
12. Organizatorzy zapewniają uczestnikom zwrot kosztów podróży.
13. Konkurs ogłoszony zostanie na łamach prasy regionalnej i lokalnej po obu stronach Olzy.

SPOTKANIE ZAOLZIAŃSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

Z inicjatywy prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopy i dyrektora karwińskiej firmy Katim Karola Michalskiego 11 kwietnia odbyło się w słynnej niegdyś Dziupli w Czeskim Cieszynie spotkanie przedsiębiorców z polskim rodowodem z działaczami kultury. Organizatorom spotkania przyświecał jeden cel: O podtrzymywanie rodzimej kultury musimy zadbać sami. A nie od dziś wiadomo, że bez pieniędzy niewiele można zdziałać. Stąd szlachetna idea powiązania biznesu z kulturą, czyli pomysł na utworzenie fundacji, która wspierałaby polską kulturę na Zaolziu. Byli przedsiębiorcy reprezentujący różne branże, był konsul ds. handlowych Konsulatu Generalnego w Ostrawie Piotr Czosnyka, przedstawiciele Polsko-Czeskiej Mieszanej Izby Handlowej w osobach wiceprezesa Henryka Wodnioka i dyrektor Danuty Przeczek. I byli reprezentanci zaolziańskiej kultury. O kłopotach finansowych PZKO opowiadali prezes Zygmunt Stopa, Bogdan Suchanek, Józef Wierzgoń i Pawełka Niedoba, kierowniczka teatrzyku Bajka. Członek Komisji Rewizyjnej Bogdan Hajduk zaprezentował stronę prawną działalności fundacji. Kolejnym krokiem realizacji pomocy w działalności PZKO mają być warsztaty ekonomiczne, organizatorem których jest Tomasz Stopa.

Organizatorzy spotkania pokładają nadzieję w następnych, ufając, że zjawią się kolejni partnerzy ze strony przedsiębiorców i wykażą zainteresowanie wspieraniem kultury nie tylko poprzez bezpośredni udział finansowy, ale także poradnictwo w zakresie pozyskiwania funduszy europejskich.

Kuluarowym rozmowom partnerów towarzyszyła muzyka w wykonaniu jabłonkowskiej kapeli Nowina. E.S.





PIĘĆDZIESIĘCIOLCIE PRZEDSZKOLA W GNOJNIKU

22 marca w Gnojniku obchodzono uroczyście pięćdziesięciolecie Polskiego Przedszkola. Gnojnickie przedszkolaki pod opieką dyrektor Haliny Smoloń zaprezentowały uroczo swe umiejętności w bajkowym przedstawieniu o pączku. Obok miejscowych dzieci na uroczystości wystąpiły również „zagraniczne" przedszkolaki z zaprzyjaźnionego przedszkola w Jastrzębiu Zdroju. Wśród licznych gości był z życzeniami również konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis.



Foto w Kronice FRANCISZEK BAŁON

POWITANIE WIOSNY

23 marca w Domu PZKO w Skrzeczoniu członkowie Miejscowego Koła powitali wiosnę. Z tej okazji, jak również z okazji 8 marca, było nietradycyjnie, panowie pod wodzą prezesa Bogusława Czapka krzątali się w kuchni i usługiwali paniom, dedykując tymże program artystyczny, na który złożyły się występy uczniów klasy VI dolnolutyńskiej szkoły, chóru pod kierownictwem Ireny Szeligi i występ Marty Szeligi, uczennicy karwińskiego gimnazjum, laureatki finału XI Konkursu Recytacji w Gwarze Śląskiej „Śląska Ojczyzna Polszczyzna" w Chorzowie. Wincenty Szeliga przygotował wystawę starych fotografii z okazji zbliżającego się 700-lecia Skrzeczonia. A kiedy dorosłych pochłonęły poważne rozmowy, pan Wincenty opowiadał dzieciom dawne dzieje.

E.S.





Fot. TADEUSZ GUZIUR

JERZY WRATNY - POETA

„Powoli zamyka się koło" - tomik wierszy wydany w roku 2000 w Rzeszowie przekazał naszej redakcji plastyk Tadeusz Wratny. Autorem poezji jest jego kuzyn Jerzy Wratny z Warszawy. Na pozór banalne wydarzenie. I tylko chwilowa refleksja - jeszcze jeden Zaolziak żyjący w Polsce.

Biorę tomik do przejrzenia. Notka o autorze i jego fotografia - znajoma twarz. Wczytuję się w słowa krótkiego życiorysu: Jerzy Wratny, urodzony w Warszawie w 1943 roku, profesor zwyczajny, prawnik, nauczyciel akademicki, autor licznych prac naukowych. Nie mam wątpliwości. Los styka nas ponownie. W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy tuż po studiach rozpoczęłam pracę jako redaktor w katolickim miesięczniku Chrześcijanin w Świecie, Jerzy Wratny był osobą, która współtworzyła środowisko katolickich intelektualistów skupionych wokół instytucji noszącej poprawną z punktu widzenia cenzury PRL nazwę Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych, wydawcy wspomnianego miesięcznika. Tu ludzie młodzi wywodzący się z katolickich duszpasterstw akademickich zdobywali wiedzę z zakresu katolickiej nauki społecznej, chrześcijańskiej filozofii, a jedną z osób wprowadzających nas młodych był niewiele starszy, ale jakże już doświadczony w formowaniu właściwej rzeczywistości Jerzy Wratny, usunięty w roku 1968 z asystentury na Uniwersytecie Warszawskim, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Nie wiem, czy ktoś z nas młodych wiedział wówczas, że Jerzy Wratny, którego tak chętnie słuchaliśmy, prawnik, naukowiec, autor podręczników, jest jednocześnie poetą. O zaolziańskich korzeniach nie wspomnę, bo o Zaolziu nie wiedzieliśmy nic lub prawie nic.

We wstępie do tomiku Krzysztof Dybciak pisze: *Prawo studiowało wielu poetów (nawet najwybitniejsi: Leśmian, Miłosz,), ale porzucali tę naukę i (rzadziej) praktykę, poświęcając się sztuce słowa. Dlatego uczony prawnik, autor monografii i podręczników, tworzący poezję jest zjawiskiem, które wielu wydaje się zaskakujące, a sfery jego aktywności trudne do logicznego uzgodnienia. Bo prawo to domena trzeźwego myślenia, pojęciowej precyzji, językowej jednoznaczności. Natomiast poezja, zwłaszcza nowoczesna, jest „rzeczą wyobraźni", umiejętnością metaforyzacji oraz uwieloznacznienia mowy. Czy jednak nie można znaleźć wspólnego mianownika między prawodawstwem, a sztuką słowa?*

Poezja prezentowana w tym zbiorze ma wiele wątków tematycznych, ale dominującym jest wszechobecna rzeczywistość, przemiany lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, rzeczywistość sądowa i akademicka, i relacje z podróży, tych dalekich, jak Kanada, Ziemia Święta, zachodnia Europa, i tych bliższych: Rzeszów, Lublin, Krynica Morska i Łomna na

Zaolziu. Wszystkie wiersze są ułożone chronologicznie i konsekwentnie datowane.

Dziś, kiedy czytam wiersze Jerzego Wratnego na Zaolziu, osiem lat po przyjeździe tu z Warszawy, nie mogę oprzeć się refleksji płynącej z tytułu tomiku - powoli zamyka się koło.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

ZENITY I ZMIERZCHY

Stołeczek składany
Odsuwam coraz dalej
Od napierających fal
Liżących żółtą plażę.

Coraz ubywa piasku,
Gdy rachuję godziny
Świecące na błękicie
Jak stłumione wystrzały.

Nazajutrz czeka pociąg...
Nim w przedostatnią podróż
Wyruszę na południe,
Gdzie na ganeczkach białych
stoi upał bezludny.

W zatrzymanym pociągu
Pozostawię swój bagaż,
Którego nie odzyskam,
Lżej wśród kopców Zaolzia
Przejdę do nie-istnienia.

Strachów, piątek po Bożym Ciele 1993

ZJAWY MAJOWE

Twoje ciało
Pragnie zbliżenia
Trochę wulgarniej
Niż kwiaty na Ziemi
Przestrzeni wiecznej.

Deszcz siąpi
A kroki słabną
Zostały w domu
Pieniądze ze ścianą
Czas zadawniony.

Czyjeś ręce
Przynoszą książkę
- Znak pojednania
Kokardę zawiążę
Głowę pokłonię.

Inne ręce
Wloką płomienie,
Światy się palą,
A ja - syn kamienia
Trwam w nietrwałym.

Lublin, 12 maja 1993

CHCIAŁBYM

Mnichem szczęśliwym,
Co przy barci staje,
Po chłopsku przepasanym,
Do zwierząt gadającym
Chciałbym być.

I chciałbym, żeby
Koty dwa, niezwykłej
Podwórkowej urody,
Na płot się gramoliły
Pośród malin.

A dwa psy, żeby
Głupio zaczepione
Przebiegały jak bąki
Po obejściu, które znam
Ze wspomnienia.

I chciałbym jeszcze,
Żeby motyl żółty
Na plaster miodu spłynął,
Gdy go pobłogosławią
Ze wzruszeniem.

Warszawa, 23 lipca 1994

LATO

Latem dochodzi zew kresów
- Pociąg na dworcu w Davos,
Europa pachnąca Turcją,
Gdzieś na pustyniach Mongolii
Częstują kawą.

Szydełko ucho przekłuje
Jękliwe skrzypce w jeziorze,
Na górze mrukliwe werble
Suną nierównym szeregiem
Do naszych okien.

Dęby odsłaniają brzozom
Promień swej mrocznej istoty,
Cykady w korzennych trawach
Terkoczą upalne psalmy
- Nie ma w nich „potem".

W kulistym nadmiarze znaczeń
Składają swoją szaradę
Gwiazdy do kresu spełnione...
Latem zamawia się przyszłość
W cienistych sadach.

Rzeszów, 18 sierpnia 2000

JERZY WRATNY

SPACER PRZY DOMU

Powracam do miejsc,
Które spadający czas
Wyszczuplił jak stalaktyty
Jaskini.

Widzę jak z gniazd
Podnoszą się nieustępliwie
Pokolenia ptaków
Krzyczące o zmiłowanie nieba.

W wieloboku znaczeń
Pragnę być zamyślony i mały.

Potykam się o młyńskie kamienie
Rozrzucone przez aniołów
Po zakamarkach sumień
- Aby się odważono
Posiąść na własność
Kruchobiałej Hostii.

Warszawa, 7 listopada 1991



Fot. FRANCISZEK BAŁON

WŁADYSŁAW SIKORA

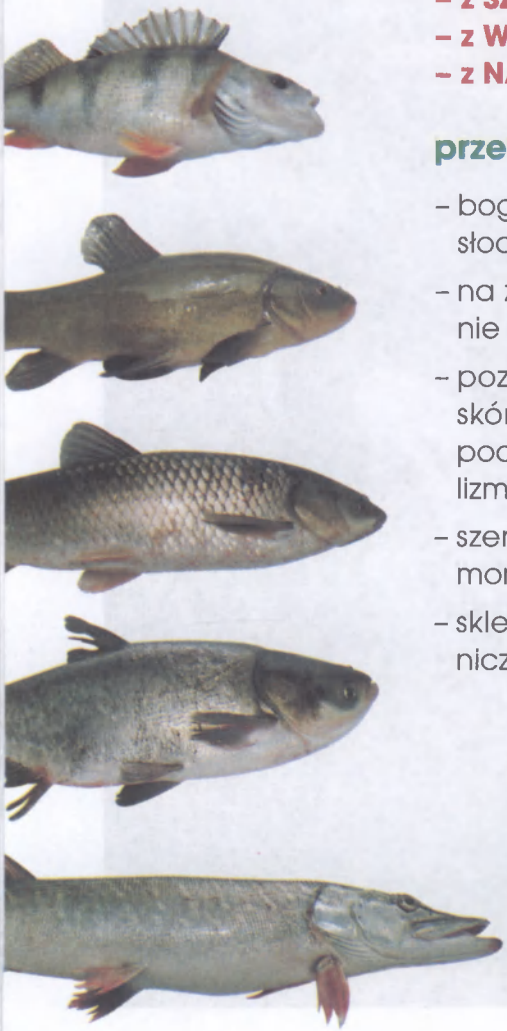
POD BRZEGAMI

Hance

Skończyła się poezja
nie ma przeciwnika
ani przyjaciół
Ukryję cię Muzo
w secondhandzie
a nuż się trafi
babcia Anna
z Ramszą pradziadkiem
względnie pater Gwóźdź
wróci z Sałajki i -
Carmina sunt dolorosa -
zamknie gadkę
- Carmina sunt dolorosa? -
powie pradziadek Ramsza
lejąc do dzbana
domowe wino

TU *ryby mówią*

o małym sklepie – z DUŻĄ klasą
– z SZEROKIM asortymentem
– z WYSOKIM poziomem obsługi
– z NALEŻYTYM szacunkiem dla klienta



przez cały rok

- bogata oferta żywych i mrożonych ryb słodkowodnych
- na życzenie klienta darmowe sprawienie zakupionych ryb
- pozbawienie łusek lub ściągnięcie skóry, patroszenie, porcjowanie na poczekaniu i z najwyższym profesjonalizmem!
- szeroki asortyment mrożonych ryb morskich i owoców morza
- sklep przyjmuje zamówienia telefoniczne pod numerem 0659-357 523

sprawdźcie
NIE POŻAŁUJECIE!

SKLEP RYBNY
Martin Tvrzník
ul. Velebnovského 153
JABŁONKÓW

STRONA SPONSOROWANA

WŁADYSŁAW SIKORA - HUSTÝ ŽIVOT BÝVAL / GĘSTE BYŁO ŻYCIE

Z Władysławem Sikorą (ur. 1933 w Boconowicach) chętnie spotykam się podczas moich wyjazdów roboczych i badawczych na Śląsk Cieszyński, podobnie z jego synem Jackiem (ur. 1964 w Trzyńcu), który jest, można by rzec, moim rówieśnikiem pokoleniowym. W tych ludziach tkwi jakiś sympatyczny upór i nieustępliwość, kiedy bronią swoich wartości, nie do przywłaszczenia i nie do podziału. Ziemia cieszyńska, podzielona przez rzekę Olzę na część czeską i polską, jest ich małą ojczyzną. Być może świadomość, że w ośrodkach kultury nie śledzono ani nie oceniano nigdy bardziej szczegółowo twórczości polskiej mniejszości narodowej w RC, stwarzała poczucie konieczności obrony tożsamości własnej osoby, integralności obywatelskiej (społecznej), ideałów artystycznych i wartości estetycznych na przekór nieprzychylnym czasom. Swoją rolę odegrało poczucie podwójnego wydziedziczenia, wyrwania z korzeni. O tym nie mówi się tu publicznie, można to jednak znaleźć w wierszach żyjących u nas polskich poetów. Niekiedy implicite, jak u Wilhelma Przeczka, niekiedy explicite - zwłaszcza w wierszach Renaty Putzlacher z początkowego okresu twórczości. Urodzeni w Czechach, mówiący jednak inaczej, innym językiem, właściwie dwoma językami - w domu gwarą, w szkole mniejszościowej literacką polszczyzną - a w urzędach po czesku. Po stanie wojennym w Polsce przez długi czas pozbawieni możliwości wyjazdu tam, gdzie mówi się językiem Mickiewicza. To także Polak, który urodził się w kraju, gdzie większość mieszkańców mówi innym językiem - po litewsku. A przecież każdy Polak zna sławny wers: Litwo, ojczyzno moja!

Przed laty Sikora założył wraz z cieszyńskim grafikiem Bronisławem Liberdą i dziennikarzem Hutnika Trzynieckiego Kazimierzem Jaworskim spółkę autorską Trójkąt Bermudzki. Tak jakby to towarzystwo wzajemnie przychylnych dusz czuło, że nie tylko trzeba bronić się przed ogłupiającą społeczeństwo normalizacją, ale że konieczne jest stworzenie miejsca dla - mówiąc językiem zaszczutego przez normalizację cieszyńskiego poety Henryka Jasiczka (1919-1976) - wolnych, chociaż niepublicznych „nocnych rodaków rozmów". Cieszyńska Libeń? Tak i nie. Losem Hrabala naznaczony był inny polski pisarz z tego kręgu małej, lecz poprzez swoje osiągnięcia „mocnej garstki" polskich artystów - Wiesław Adam Berger (1926-1998). Nie chodziło nawet o underground, raczej o zachowanie krytycznego myślenia, kiedy reżym z jednej strony ostentacyjnie głosił internacjonalizm, mniejszości

narodowe popierał w politycznie nieszkodliwej działalności folklorystycznej, z drugiej zaś nie dał ani korony na nowoczesną twórczość artystyczną na pograniczach. A twórczość Sikory szła od początku drogą nowoczesnych „wyładowań" polskiej literatury narodowej, czuje się z niej potrzebę rozwijania dziedzictwa awangardy, podobnie jak u polskiego klasyka awangardy Tadeusza Różewicza, poety ciszy i prekursora postmodernizmu, do którego otwarcie przyznawał się Sikora w początkach swej twórczości poetyckiej w latach 60. (chociażby na łamach opawskich „Listów Památníku Petra Bezruče").

Fakt, że Sikora zachował integralność rozwoju indywidualnego i artystycznego, potwierdza także tomik „Gęste było życie - Hustý život býval", właściwie na kopiarce powielony brulion o sześćdziesięciu stronach, który wysłał mi jakoś na początku 2002 roku jako egzemplarz autorski. Nie chodzi więc o książkę z prawdziwego wydawnictwa, z numerem ISBN, ale „samizdat wierszy w czeskich przekładach" Lubomíra Jaworskiego, Pavli Jaworskiej, Oldřicha Rafaja, Ericha Sojki i Libora Martinka. Brulion zapowiedział autor już w ankiecie z okazji piątej rocznicy powstania wędryńskiego magazynu poetyckiego Weles (12/2001), kolejnego godnego uwagi zjawiska z czesko-polskiego pogranicza, i zawiera tłumaczenia wierszy Sikory z lat 1961-1997.

Można by powiedzieć: to tylko samizdat... Lecz już sam fakt wydania w tym wypadku zbiorku wierszy własnym sumptem i „na kolanie" może mieć szersze tło kulturalno-społeczne lub chociażby tylko węższy, osobisty aspekt. Istnieją granty przeznaczone na wydawanie utworów mniejszości narodowych, ale nie jest ich aż tyle i nie są tak szczodre, by pokryć stratę wydawcy. Wydawanie poezji było i jest interesem deficytowym. Dlatego może zamiast biegać od wydawcy do wydawcy, prościej jest wydać zbiorek samemu, przecież dobra poezja obroni się sama, nawet bez atrakcyjnej okładki i oprawy. A w wypadku Sikory chodzi o dobrą poezję. Dlaczego więc nie sprawić radości przyjaciołom i znajomym? Tylko że wtedy ma o wiele trudniejsze zadanie ewentualny recenzent, który w redakcji jakiegoś pisma musi zdobyć miejsce na wzmiankę o książce wydanej jako samizdat, powiedzmy raczej: wydanej jako „inedita", jako że wyrażenie „samizdat" niesie w sobie jeszcze przedrewolucyjne konotacje. Niemniej taki zeszyt reprezentuje „drugi obieg".

Poezja Sikory w dodatku nie poddaje się żadnej ocenie. Nie ma tu żadnego balastu słownego, żadnego zużytego szablonu. Wszystko jest tu świeże, pachnące beskidzkim powietrzem, obrazy liryczne jakby ciosane z pnia dębu, tak jak umiał to rzeźbiarz ludowy Henryk Nitra, o którym Sikora stwo-

rzył niecodzienny poemat („Henryk Nitra", Bielsko-Biała 1981). Kiedy przeglądam poszczególne wiersze, które powstały od lat 60. do 90., z dołączonym do nich szkicem prozą „Zima" (w tłumaczeniu Pavli Jaworskiej), dochodzę do wniosku, że ta poezja, przepraszam za wyświechtany zwrot, dojrzewa jak wino. Tak więc zamiast czczej gadaniny krytyka o wartości estetycznej utworu życzę panu Sikorze, aby nie wyschło źródło jego inspiracji poetyckiej, byśmy nadal jako miłośnicy dobrej poezji cieszyli się z jego następnych tomików poetyckich albo chociaż brulionów z wierszami.

Gęste było życie - Hustý život býval... Ano, w wypadku tego autora nie mógł być inny. Znamienny wybrał Sikora tytuł dla swego nowego dwujęzycznego polsko-czeskiego zbiorku, mówi sam za siebie.

LIBOR MARTINEK
tłum. M.R.

NA MARGINESIE POEZJI BOGDANA TROJAKA

Nie mam tu zamiaru ani ambicji recenzowania ciekawej, po czesku pisanej, poezji wędryńskiego z pochodzenia poety, którego talent dostrzegła już czeska krytyka, obdarzając go nagrodą, której patronuje Jiří Orten. Chciałbym tylko porozważać nieco na marginesie tego interesującego zjawiska, jakim jest twórczość poetycka Bogdana Trojaka. Przede wszystkim sam fakt, iż młody poeta potrafi zainteresować starsze pokolenie, bo nie tylko mnie ona urzeka, a równocześnie przemawia ona do pokoleniowych rówieśników poety, świadczy o jej randze. Jest jeszcze jeden aspekt tej poezji, który wykracza poza nasze przyzwyczajenia. Oto poeta po polskiej maturze, który rozpoczął pisać poezję w języku polskim i czeskim równocześnie, ostatecznie decyduje się na język czeski jako materiał twórczy, w którym wyraża swój świat poetycki, swe odczucia i realia ogólnokrajowe oraz nasze lokalne, nadolziańskie, wędryńskie, polskie.

O ile przyzwyczailiśmy się do tego, że o naszych sprawach, naszym krajobrazie, swoistej historii osobistej pisali poeci w języku polskim, jeżeli chodzi o poezję ambitną, lub gwarą w twórczości ludowej, to od pewnego czasu spotykamy się ze zjawiskiem, że twórcy słowa marzą o dwujęzyczności poetyckiej i marzenia te także realizują z mniejszym lub większym powodzeniem. Z próbami takimi możemy się spotkać na przykład w twórczości Lecha Przeczka. Dobrą poezję polską, ale sporadycznie także czeską, pisze Renata Putzlacher,

która ma najlepsze dane po temu, by zostać poetką niejako bilingwistyczną, ponieważ jest po studiach polonistycznych w Polsce i żyje obecnie w środowisku czeskim.

Zawsze podziwiałem tych pisarzy światowych, którzy pisali w dwu lub kilku nawet językach, decydując się na dany język według tematu, jaki poruszali, pragnąc jak najlepiej wyrazić to, co pragnęli przekazać w danej powieści na przykład, bo zjawisko to obserwowałem głównie w prozie.

Bogdan Trojak, jak na razie, zdecydował się tylko na język czeski, tworząc poezję czeską na dobrym poziomie, stawiając być może w zakłopotanie niektórych poetów czeskich. Dobrze, powie ktoś, ale co nas, Polaków z Zaolzia, obchodzi czeska poezja (tym bardziej, że wcale nie obchodzi nas poezja polska, ani nasza rodzima po polsku pisana). Bez względu jednak na to, czy nam się to podoba, czy nie, Bogdan Trojak swą poezją czeską pod względem formalnym i językowym tworzy równocześnie poezję polską, lokalną, regionalną, która, przekraczając granice regionu, staje się ponadregionalna, na swój sposób ogólnoczeska i ogólnopolska - europejska po prostu. Najlepszym tego przykładem jest jego czeski tomik wierszy „Pan Twardowski".

Dobra poezja, jak zresztą każda dobra literatura, ma to do siebie, że potrafi przemówić do duszy każdego wrażliwego człowieka, który w opisie lub wyrażeniu odczucia i doświadczenia poety odnajduje fragmenty własnego przeżycia lub przemyśleń. Wtedy nieważne jest, w jakim języku jest tworzona. Parafrazując stwierdzenie: ile znasz języków, tyle razy jesteś człowiekiem, możemy stwierdzić: w ilu językach piszesz, tyle razy jesteś poetą. To wszystko nas wzbogaca, naturalnie o ile jesteśmy otwarci, o ile nie chlubimy się, a są tacy, że żyjąc tu już długo, nie rozumiemy po polsku lub, w odwrotnym wypadku, po czesku.

Naturalnie literatura, poezja w szczególności, nie jest dla wszystkich, jest tylko dla wybranych niejako, dla wtajemniczonych, dla interesujących się. Romantyczne mrzonki, by wielka literatura trafiała pod strzechy, jest nieporozumieniem (podobnie zresztą chcieli socjalistyczni ideolodzy od kultury, pragnąc, by ich, marna zresztą, bo służalcza, literatura była czytana przez masy, kształtując, a raczej ograniczając, ich światopogląd). W naszej społeczności czytających poezję jest niewielu. Jeżeli nie czytamy poezji po polsku pisanej, to z jeszcze większym prawdopodobieństwem nie sięgniemy po czeskie tomiki naszego rodaka. Nasza szkoda. Żyjemy na pograniczu dwu kultur, ale chyba niewiele z tego wynosimy. Pogranicze przynosi korzyści ludziom otwartym, zasklepiającym się w swoistym getcie kulturowym lub językowym niewiele daje.

Poezja Trojaka wzbogaca poezję czeską o, upraszając zjawisko, realia Śląs-

ka Cieszyńskiego, Wędryni chociażby, równocześnie jednak wzbogaca nas, bo zostajemy ujęci w obraz poezji czeskiej, stajemy się także jej bohaterami niejako. Ostatni tomik omawianego tu poety „Jezernice" (Brno 2001) to zbiór poezji i prozy poetyckiej, gdzie sporo jest o nas. Są tu wiersze czeskie (duchem), ale także wiersze polskie pisane po czesku. W jego wierszach z powtarzającym się tytułem „Modré hory" (to widocznie dla autora otaczające nas Beskidy) znajdziemy takie między innymi wersy:

...
A v kapsičce té sukně jsem našel
zežloutlý polský barvotisk,
obrázek stvoření ženy s nápisem:

I zbudował Pan Bóg z żebra onego,
które wyjął z Adama, niewiastę,
i przywiódł ją do Adama.

Ta chvíle mi vytanula pokaždé,
...

Otóż po czesku pisana poezja Bogdana Trojaka, pomijając najważniejszy jej aspekt artystyczny, pełni niejako na marginesie swoistą funkcję zastępczą, informującą czeskiego czytelnika o nas, Polakach na Zaolziu, skoro nie czyni tego na przykład żaden czeski przewodnik turystyczny, skrzętnie wypreparowując z informacji o Beskidach i Podbeskidziu wszelkie wzmianki dotyczące polskości tego skrawka ziemi. A czyni to nie tylko poprzez swą poezję. Jego wędryńskie w zasadzie i nazwie pismo Weles, które stało się ogólnokrajowym pismem literackim w Czechach, jest też swoistą wizytówką naszego regionu. To wszystko zasługiwałoby na głębszą analizę zjawiska, które zresztą jakby wyprzedzało euroregionalne i europejskie idee.

Dobra poezja ma to do siebie, że przekracza bariery pokoleniowe, że przemawia do wszystkich czytających poezję. Ja, będąc mniej więcej z pokolenia Władysława Sikory, zachwycam się poezją i prozą poetycką tego pisarza, przede wszystkim odpowiada mi jego proza poetycka z „Ojcowizny" i pełno jej także w jego felietonach-przystawkach, a równocześnie zauroczony jestem poezją Renaty Putzlacher, polską i czeską, oraz czeską poezją Bogdana Trojaka.

KAZIMIERZ JAWORSKI

ANIELA KUPIEC

MAMA JE DYCKI MAMA

Jeszcze było lato. Jeszcze panowie chodzili na szpacyr do lasa, kole lasa jeszcze pszynica stoła, jeszcze aji ptoszki śpiywały. Kole chałup sie dziecka bawiły, ale bez wrzasku sie nie obeszło, bo cóż też to je za bawiyni, jak sie przi tym nie wrzeszczy. Ludzie sie rozmaicie na to dziwali, bo w niedziele by sie ni miało wrzeszczeć, ale że wtedy wszyscy mieli kupe dziecek, tóż też mieli aji jakisi zrozumiyni dlo tych dziecięcych fidrygołów.

Była tako piekno niedziela po połedniu. Starzi Bojkowie prziszli prowie z kościoła i zaroz rozegnali dziecka z kupy, każdymu przidzielili małóm robote, taką oto kole obiadu, bo sie dziepro chytali warzynio. Nó i tak dwo szkrobali ziymnioki, dwo nosili drzewo ku blasze, dlo dwóch jeszcze zbyło zaniesiyni pumyj krowóm, ale ich nie było.

– Każ są ty pakaże? – gniwała sie Bojkula.

Na wołani nie przichodzili i szeł ich Bojko chladać. A óni w nejlepsze sie bawili, bo sie spuszczali po psinie, aż ku samymu potoku.

– Cóż to tam, chłapcy, robicie? – woło na nich tata.

– Ale tato, my sie tu strasznie pieknie bawiymy, my sie spuszczómy, bo już je psina sucho!

– A na czym sie spuszczocie? – głośno woło na nich, bo byli dość daleko.

– Na tak po zadku – odpowiado tyn większy.

Bojko na chwile postoł, podziwoł sie, jako im to fajnie zjyżdżo, ale naroz sie zlęk, że jakóż teraz bedóm wyglądać ty galaty, dyć sie stargają, a na nowe ni ma. Zawołoł ich, a jak prziszli, to im kozoł galaty powyzuwać.

– Chcecie sie jeszcze spuszczać? – pyto sie

– Chcymy, chcymy! – odpowiadają radośnie jedyn przez drugigo.

– Dobre, możecie, ale bez galot! – Wziył galaty i poszeł do dómu.

– Dy mogymy, tóż mogymy.

I poszli zaś dalij zjyżdżać ze szwarnego kopca. Już to tak fajnie nie szło, ale jeszcze choć ze dwa razy se zjadymy. Mieli byście widzieć ty zadki, jak prziszli do dómu. Objyma sie krew loła, tak zeszkrobane, poodziyrane, że ani na twardą ławe ni mógli siednyć, a mama ich jeszcze chciała zbić za to. Wymowali sie, że mieli pozwolóne i że dycki też to nima, jyny w niedziele, niż sie jeszcze krowy wyganio. Obiadu mieli jyny połów-

ke, bo wszycy już pojedli z jednej miski, a dziywczęta były tymu zgoła rade, bo sie im więcyj dostało. Tata sie musioł przimówić za nimi, co by też choć kapke niechali do tych dwóch drzików. Nó i kapke zostawili. Nie bardzo sie tego najedli, ale byli radzi, że choć nie oberwali miylokym, jako im mama groziła.

Po połedniu, jako to przeważnie u nich bywało, wszyscy se szli siednyć pod trześnie. Rosła tam tako przeokropnie wysoko dziko trześnia - czernica. Siodowała na nij chmora ptoków i raczyła sie słodkimi małymi trzesiynkami. Chłapcy też obiyrali, kiela jyny wlazło, ale ani to nie było poznać, tela tam tego było. Bojko prawił, żeby ji za nic na świecie nie doł zeciąć, bo też tela jyny mają dobrego. Przidajno była na wszystki strony. W lecie spały pod nią dziecka w dzichcie, obiyrało sie z nij, małe, bo małe, ale trześnie, w zimie były kole nij łorstwie postawiane, a teraz, jako też je fajnie po całotydniowej utropie być se na chwile w ciyniu.

I tak cało rodzina siadła pod trześnią, a było ich szwarnie, bo dziewięć dziecek i tata Jędrys z mamą Zuzką. Dzisio sąsiedzi ku nim nie przyszli, bo mają dóma namowy.

Siedzą tak wszyscy, dziwają sie na dół na ceste, jako tam ludzie chodzą, i naroz widzą, że chodniczkym kole lasa zmiyrzają ku nim jacysi ludzie, jakisi panoczek z paniczką. Letnicy isto, idą sie borocy spytać, czy by my im jaką izbeczke na lato nie najyli. - Jędrys myśli. - Ale co? Każby my wziyli jizbeczke, dyć nas je tela. Doczkejmy przeca, co bedóm chcieć, dyć już są blisko - medytuje se cicho.

Dziecka sie bawiły i nie zawracały starym głowy, tóż spokojnie na dziwnych gości czakali.

A ci przyszli, pieknie pozdrowili i spytali sie, czy se też mogą siednyć. Śmiych broł Bojka, jak uwidzioł, jako panoczek nie umiy na ziym siednyć, jako paniczka podłożyła pod siebie jakisi papiór i jako sie dziwają na dziecka. W duchu se myśloł: - Czy jeszcze dziecek nie widzieli, czy co? - A gor óna. Ni mógła ani na chwile oderwać oczy od rozbawiónej grómadki na poły sagij (bo szkoda obleczynio, dyć je tak ciepło). Ze dwo mieli jyny koszulke, dwo byli sadzy, a ci drudzy jyny tak cosi niewiela mieli na sobie. Szykowni sie zdali, pomówili o kaj czym, wypytowali sie jedni drugich, ci z miasta sie dziwowali skrómnymu życiu tutejszych goroli, a Bojkowie sie ni mógli nadziwić, że tacy bogaci panowie, co mają jakąsi wile w Cieszynie, są jacysi niezadowolóni i że im jeszcze czegosi chybio.

- Na czegóż jeszcze ni mocie? - odezwała sie z ciekawości Zuzka. - Dyć mocie taki strasznie szumne szaty, dwa pierścionki na palcach, złoty zygarek, złoty łańcuszek, a wasz panoczek taki fajne bóty, też zygarek, biołą koszule beztak we Wiydniu kupióną, cóż wóm też może jeszcze chybieć?

Paniczka sie smutno zamyśliła, a potym z nij wypukło, że dzieci ni mają.

Zaroziutko ją Zuzka polutowała i pomyślała: - Toć borocy. - My zaś na nieurodzaj se ni mogymy narzykać. Je prowda, że nikiedy sie trzeba dość narozmyślać, co do gorka wrazić, coby sie tela gęb najadło, że obleczyni jedyn po drugim musi dodziyrać, że w lecie sie chodzi bez bótów, że sie spi aji na ławach pod kabotami, ale przeca, jak sie podziwóm na te grómadke, to mi tak jakosi ciepło na sercu. Wszyscy są zdrowi jak ryby, jyny że opolóni od słóneczka jako cygóni, to na razie nie szkodzi, dyć nie pujdymy śnimi na wystawe do miasta.

Rzecz sie naroz przerwała, bo przileciała dwuletnio Haniczka ku mamie i prawi:

- Niedoble papu, niedoble ceśnie.

Mama odewrze małą gorsteczke i widzi, że „niedoble papu" są kozi bobki. Dziecko zbiyrało trześnie, co Jadam naschybowoł, ale wczora tam pochodziła koza, i ciężko małymu było rozeznać, co je co. Paniczka zaczła krziczeć, wydziwiać, aż zrobią co z dzieckym, że trzeba go zawiyźć do dochtora i tak dali, że gdo wiy, co sie z nim stanie, ale mama nejspokojnij utrziła fortuchym uzoblaną gębulke i małą rączke i posłała go dali sie bawić.

- Nic sie mu, paniczko, nie stanie. Człowiek nie wiy, z czego stłośnie.

Kręcili panowie głowami nad tą babską filozofią, w końcu sie odwożyli powiedzieć, po co przisźli. Nejprzód nieśmiało, potym coroz śmielij, mówili, że ich tu jedni ludzie z dołu posłali, że tu mocie więcyj dzieci, że możne byście nóm kiere dali. Miało by sie u nas strasznie dobrze, zaopatrzyni taki, jakigo se ani nie przedstawiocie, mógli by my aji do szkół potym posyłać, aji by my mu mógli nasz majątek kiedy odporęczyć. Dyć wy ich jeszcze dość mocie, a my nic ni mómy.

Obo Bojkowie zgoła onimieli. Tak szumną przisźłość by miało kieresi nasze dziecko, a tu cóż mają? Jyny drzina sie im rychtuje, jaktóż w lesie, jaktóż w polu, nieskorzi po słóżbach rozmaitych. Jakosi ni mógli hónym na to odpowiedzieć. Ale paniczka tak pytała, tak sie miłosiernie dziwała, że nejprzód sie opamiętoł Bojko.

- Na jakiż to dziecko by miało być, małe czy większe? - pyto sie Jędrys.

- Ale dyć nóm to je jedno, widzymy, żeście porządno rodzina, widzymy, że dzieci są zdrowe, podarzóne, tóż nóm to je naprowde jedno.

Ale Zuzka jakosi ni mógła prziść do siebie. Tak ją to zaskoczyło, że nie poradziła nic wyjąkać. Jędrys sie na nią dziwoł i czakoł, co powiy. W końcu sie ji podarziło powiedzieć, że jeszcze sie rozmyślą, o kiere dziecko by sie obyli, i stanyło na tym, że se mają przijechać na przisźły tydziyń w niedziele.

Z radością i nadzieją w głosie państwo sie pożegnali i odjechali kolasą, kiero na nich czakała na dole na ceście.

Nastała jakosi ciężko cisza. Już ani ptoszki tak wiesioło nie śpiywały, już ani słóneczko jakosi tak nie grzoło, a jałowiec, co był przi chałupie, o moç bardżyj picholł. Poszli Bojkowie do dómu, a tu też to taki było. Obo o tym samym rozmyślali, ale nic nie mówili.

- To muszą być jacysi strasznie bogaci ludzie - wybąkoł po dłógim czasie Jędrys.

- Muszą, muszą - prawi Zuzka.

- Tóż co bedymy robić? - obiyma sie wyrwało z gęby.

- Jo nie wiym.

- Jo też nie wiym, ale słowo sie rzekło...

I tak już było do wieczora. Po wieczerzi dziecka poszły spać, a starym sie nie chciało ani mówić. Było jak w marowni.

Poszli do chlywa, podoili krowy, zaszli na wode, kierej było w studni za mało i trzeba było nosić z potoka, a potym poszli spać. Zuzka jakosi dłógo rzykała, co chwila uciyrała nos, a Jędrys sie kręcił, że go dzisio strużok ucisko i że ni może usnyć. Ale po chwilce wszystko ucichło. Miesiączek sie wykuloł na niebo, kóniczki polne tak grały zawzięcie, jako by chciały cały świat przekónać, że rano bedzie mądrzejsze i nie trzeba sie już dzisio więcyj starać.

Jak już było chwile tak cicho, to Zuzka pocichutku wstała z łóżka i szła sie podziwać na każde dziecko z nadzieją, że ją cosi oświyci i że bedzie wiedzieć, kierego dać precz z chałupy. Ale nic a nic ji ni mógło prziść do głowy. Nad każdym na chwiliczke postoła, słyszała, jako se rowno dychają, widziała, jako se spokojnie śpią, jaki mają rużowe liczka i zaś sie wróciła do łóżka z myślą, że jutro z Jędrysym to wszystko omówią, bo dwo bedóm przeca jyny mądrzejsi jako jedyn.

Przisżło jutro, ale Jędrys nie chcioł wcale o tym ani słyszeć. Był zmierzły i otopulóny, tóż tymu dali pokój, dyć do niedziele je jeszcze dość daleko.

Dnie uciekały, a óni dali nie wiedzieli, kiere to dziecko mo na dycki już iść z chałupy. Zuzce sie serce kroło, jak pomyślała, że kierymusi z nich bedzie dować „z Bogym", a Bojko cały czas myśloł, jako by z tego wytoczyć. Dyć sie prawie zgodzili na to, jakóż teraz chłopski słowo łómać?

Niedziela sie zbliżała, a dziecka były jakby coroz szykowniejsze i milsze, sie zdało. - Mój ty smutku, jakóż to bedzie - myślą.

W sobote wieczór se wroz Jędrys ze Zuzką siedli i już naisto mieli osądzić, o kierego bedzie miynij dóma.

Jędrys prawi:

- Ci dwo nejstarsi, choć drzicy, ale szwarnie mi już pumogają - ci ni!

A Zuzka na to:

- Zaś ci najmłodsi, jakóżby bez mamy byli. Jeweczka postrzednio? Dyć to

sie tak do mnie tuli, jak ji włoseczki rano czoszę, aż ciepło od nij idzie. Ta ni! Helynka też ni! Óno ci aji bóty opucuje, jak są uglinióne, co tak cie mo rada. Adasiek? Z niego beje kiejsi jakosi pociecha, bo sie jyny kole gospodarki plecie i wszystko go dóma cieszy, czy kurczęta, czy kóźloczek, dyć aji pies go mo ze wszystkich nejraczyj. Tyn też ni! A to nejmiynsze je jeszcze przi piersi, o tym już ani nie mówmy.

I tak jednego po drugim przebiyrali, przebiyrali, aż Jędrys porwoł sie z ławy i uciyk ze słowami:

- Wybiyrej sama!

Miała też to Zuzka straszną noc. Chodziła od jednego ku drugimu, na każdego sie z żalym dziwała, w myśli na sie przezywała, że taki matczysko by ni miało wcale chodzić po świecie, co sie zgodziło dziecko dać kómusi jako kąsek brutwanioka albo małego kocura. Nic nie wymyśliła.

Ale rano w niedziele wstała z łóżka z gotowym planym. Dziecka nic o tym nie wiedziały, że o jejich losie mo zadecydować jedna jedyno chwila.

Po połedniu państwo przijechali z paczkami, paczuszkami, dło wszyckich dziecek cosi prziwiyźli, uśmiychnióni z półlitrym fajnej rozolki i wlyźli do chałupy. Bojko drugą stróną przez chlyw uciyk.

Przeokropnie byli zdziwióni, jak im Zuzka powiedziała, że żodnego z dziecek nie poradzi ożalić i żodnego im ni może dać. Panoczek sie szwarnie nasmolił i już mioł jakisi niepiekne słowa na języku, ale óna sie na niego podziwała z wyrzutym i zesłósznioł.

Powiedziała im Zuzka, jako co, jaki każdy je, jako wszyscy do kupy sie mają radzi, że możne by nie było dobre tak rodzine targać, a óna jako mama miała by wielką dziure w sercu, a wiecznie by tego możne lutowała. Prawiła im, że aż se wszystko wezną spatki, co przyniyśli, strasznie ich pytała, coby sie nie gniwali, że możne gdosi bedzie taki, co podaruje albo aji sprzedo swoje dziecko. Na kóńcu sie żałośnie rozpłakała.

Panoczek stoł jak wryty, jak gdyby go gdo w słup zamiynił, nie wiedzioł, co powiedzieć, ale pani sie kapke spamiętała i na pocieszyni powiedziała Zuzce, choć ze łzami w oczach, że sie bardzo nie gniwają, że po teraz byli bez dzieci, to też jeszcze prawie dzisio nie muszą ich mieć i że możne bedóm dali chladać takigo, gdo by doł dziecko „za swe". Tak sie tymu kiejsi mówiło.

Wszycki paczki Bojkóm zostawili, a jak sie Zuzka wzbraniała, to pani ji zaszeptała:

- To mocie za to, żeście są tako dobro matka.

Jak wychodzili z dómu, to pani jeszcze na progu powiedziała do swojigo:

- No, mama je mama, nic sie nie do robić.





ZBLIŻYĆ SIĘ DO CZŁOWIEKA
SPOTKANIE Z WŁADYSŁAWEM OSZELDĄ

Szczęśliwy człowiek. Takie skojarzenie nasunęło mi się, kiedy po wizycie u państwa Oszeldów w Cieszynie starałam się podsumować rozmowę z majowym jubilatem Władysławem Oszeldą. 95 lat, przeżytych w zgodzie z własnym sumieniem, kondycja fizyczna, a przede wszystkim psychiczna, której mógłby pozazdrościć niejeden o pół wieku młodszy człowiek, bogactwo przeżyć i doświadczeń, których starczyłoby na wielotomową powieść, bagaż dobrych uczynków, które często zostawały słodką tajemnicą obdarowanego, spełnienie poprzez pracę, która nie nużyła, bo rozwijała pasje i była odbiciem zainteresowań, oraz jasne spojrzenie w przyszłość, możliwe dzięki odnalezieniu sensu życia. To Władysław Oszelda, weteran dziennikarstwa polskiego i polonijnego.

Urodził się 18 maja 1907 roku w Małopolsce w Zdoni koło Zakliczyna nad

Dunajcem, gdzie pochodzący z Ropicy ojciec dzierżawił majątek. W wieku siedmiu lat został sierotą (matka zmarła, kiedy miał kilka miesięcy). Naukę gimnazjalną rozpoczął w Krakowie, skąd krewni ze strony ojca przenieśli go do Cieszyna, z którym związał swoje późniejsze życie. Skończył szkołę handlową, ale nie został urzędnikiem. Zwyciężyły zainteresowania dziennikarskie. Pierwsze szlify w tym zawodzie zdobywał w 1928 roku w prasie katowickiej. Potem wyjechał do Warszawy, by studiować w Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Praktykę odbywał w miesięczniku Polacy za Granicą. I tam w redakcji pism wydawanych przez Radę Organizacyjną Polaków za Granicą, a od roku 1934 przez nowy Światowy Związek Polaków z Zagranicy pozostał. Po okupacji, spędzonej m.in. na Wileńszczyźnie, kontynuował pracę dziennikarską, jednak przede wszystkim jako wolny strzelec, pisując do całego szeregu pism polskich i polonijnych. Utrzymywał kontakty ze znajomymi sprzed wojny, z których wielu wybrało los emigranta, zawiązywał nowe przyjaźnie, również na ziemi zaolziańskiej. Niejeden z tych przyjaciół skorzystał z zaproszenia i spotkał się z mieszkańcami Cieszyna i okolic w Klubie Propozycji, który założył Władysław Oszelda w 1961 roku i w ramach którego odbywają się w Cieszynie co piątek spotkania. Za swoje działania, w których udało mu się wspaniale połączyć pracę zawodową i społeczną, otrzymał cały szereg nagród i odznaczeń. W roku 2000 odebrał Złotą Cieszyniankę przyznaną za działalność publicystyczną i społeczną, za zasługi w promocji Cieszyna i Śląska Cieszyńskiego na całym świecie oraz za stworzenie Klubu Propozycji. Śląsk Cieszyński to również Zaolzie i tu Władysław Oszelda wraz z żoną Jadwigą był częstym gościem. W roku 1995 doczekał się wpisu do Złotej Księgi, gdzie znajdują się nazwiska najwybitniejszych działaczy PZKO. W roku ubiegłym wraz z małżonką brał też udział w II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy. Jego zasługi dla Polonii i Polaków za granicą są wielkie i niezaprzeczalne. Toteż o Władysławie Oszeldzie, mimo iż mieszka w Cieszynie na prawym brzegu Olzy, piszemy dziś pod nagłówkiem „Polacy poza krajem".

Podczas odwiedzin u państwa Oszeldów poprosiłam Władysława Oszeldę o porównanie dziennikarstwa przedwojennego z dzisiejszym.

- *Ja jestem jedynym żyjącym dziennikarzem w Polsce, który pracował przed wojną* - rozpoczął swoje wspomnienia Władysław Oszelda. - *Jako młody człowiek ze Śląska w Warszawie nie miałem szans, żeby szybko awansować, ale natrafiłem na redaktora Bogdana Lepeckiego, który redagował wtedy miesięcznik*

Polacy za Granicą w Radzie Organizacyjnej Polaków za Granicą. I od tego czasu zaczyna się moja współpraca z prasą polonijną, można powiedzieć, na całym świecie. Najpierw pracowałem w miesięczniku Polacy za Granicą, a później powstało kilkanaście pism. Zostałem redaktorem naczelnym, w Warszawie, mając 26 lat. Natrafiłem na bardzo dobry klimat, dyrektorem był Stefan Lenartowicz, bardzo zasłużony człowiek, już nieżyjący, po wojnie mieszkał w Ameryce, który jakoś tak sentyment poczuł do mnie, zaufał mi i powierzył to wszystko. Niestety wojna wszystko przerwała. Straciłem cały majątek, archiwum, książki. A potem to już wszystko szło w dół. Proponowano mi prace intratne bardzo, ale trzeba się było zapisać do partii, a ja nie chciałem. Zostałem w Cieszynie. Miałem zostać redaktorem Głosu Ziemi Cieszyńskiej, kiedy przed pięćdziesięciu laty powstał pierwszy numer, ale zrezygnowałem. Chciałem pisać, ale mieć swobodę. Za to płaciło się duży podatek, ciężko było. Żona dorabiała, robiąc swetry, bo nie wyżywilibyśmy dwojga dzieci. Takie były czasy. Ale nie narzekam, nikt mi krzywdy nie robił, nikt mnie nie zamykał. Tak że w sumie jestem zadowolony.

Może mam trochę staroświeckie spojrzenie, ale twierdzę, że przeciętny dziennikarz przed wojną był bardziej etyczny, o jakimś moralnym kośćcu. Nastąpił olbrzymi skok cywilizacyjny, wiele zmieniło się w mentalności ludzkiej, ale jeśli chodzi o stronę moralną, to moim zdaniem doszło raczej do cofnięcia się. Dawniej bliźni był jakby bliżej. Teraz liczy się tylko pieniądz. Rola środków masowego przekazu powinna być bardziej intensywna, bo przecież cała mądrość nasza stąd się dzisiaj bierze, one kształtują opinię publiczną. Do tego dochodzą środki elektroniczne. Tak więc wymagałbym od dziennikarzy dużej etyki, odpowiedzialności za słowo. Ale to jest dosyć trudne, bo nie zawsze pisze się to, co by się chciało.

Z opowieści Władysława Oszeldy wynikało, iż za jedną z najważniejszych spraw w swoim życiu uważa Klub Propozycji, który sam wymyślił. Ten wątek przewijał się przez całą naszą rozmowę. Skąd wziął się Klub Propozycji? Dlaczego taka właśnie nazwa?

- *Klub Propozycji to taka nazwa, że nikt nie wie, o co chodzi. Jakbym ja dał nazwę Klub Walki z Komunizmem, to by mnie zamknęli na drugi dzień* - wyjaśnił Władysław Oszelda. - *Muszę pochwalić naszych Cieszyniaków, bo przez okres czterdziestu lat nie zdarzyło się, żeby ktoś, a przecież dużo ludzi przychodziło, doniósł na Klub do bezpieki. Tak że ze strony partii nie mieliśmy specjalnych kłopotów. A mieliśmy tu np. Stefana Kisielewskiego, który wpisał nam do księgi: „Klub Propozycji w Cieszynie, czyli wielka niespodzianka, zupełnie niezrozumiała dla mnie rzecz, z wielkim uznaniem, i będę zawsze gościem tu chęt-*

nym". Zawsze staraliśmy się dopasowywać do aktualnej sytuacji, byliśmy bardzo ostrożni, żeby nie budzić podejrzeń. Trudno realizowało się ten nasz program.

Sam Klub Propozycji to był tylko taki znak, że coś żyje, a cała robota była jakby podwodna. Utrzymywaliśmy kontakty z całym światem, mimo że tu szalała bezpieka. Dzięki bardzo ofiarnym Cieszyniakom mieszkającym za granicą. Między innymi Pawłowi Łyskowi, profesorowi uniwersytetu nowojorskiego, który współpracował ściśle z Wolną Europą. Utrzymywaliśmy kontakty z Janem Nowakiem Jeziorańskim i Tadeuszem Nowakowskim z Wolnej Europy, Jerzym Giedroyciem z paryskiej Kultury, z redaktorem Bolesławem Wierzbiańskim z nowojorskiego Nowego Dziennika, Władysławem Zachariasiewiczem, który był szefem uchodźców politycznych na emigracji, Stanisławem Siostrzonkiem ze Szwecji, który pochodził z Mistrzowic, we Włoszech z pismem Polska w Europie i z malarzem Karolem Badurą ze Skoczowa, ze zmarłym przed kilkoma miesiącami w Kalifornii Janem Kowalikiem, pochodzącym ze Skoczowa, który opracował bibliografię czasopism polskich wychodzących za granicą - ponad pięć tysięcy tytułów - w pięciu tomach, które wydał po angielsku i po polsku, a nawet z Syberią, gdzie w Irkucku powstał Klub Wisła. Mieliśmy bardzo ofiarnych ludzi na Zaolziu, był to np. Henryk Jasiczek, Paweł Kubisz, Tadeusz Siwek, tak więc niektóre zaolziańskie materiały były prezentowane na Zachodzie, m.in. w Wolnej Europie, w Szwecji w Szkicach i Dialogach, w Stanach Zjednoczonych w Nowym Dzienniku. To była bardzo precyzyjna robota.

Mam satysfakcję, że jednak zrobiliśmy wielką robotę na rzecz dobrej sprawy, z tym, że nigdy nie hołdowaliśmy żadnej idei nienawiści, rasowej czy narodowej. Staraliśmy się tak taktownie robić te rzeczy, że mogliśmy nawet w najtrudniejszych czasach realizować co piątek spotkania, przez czterdzieści lat, bez pieniędzy, bo wszyscy wszystko robili za darmo, początkowo bez statutu. Na bazie Klubu Propozycji powstał CIS - Cieszyński Interklub Społeczny i rozpoczęliśmy szerszą działalność. Ludzie przyzwyczajeni są do sformalizowanego działania, a my przez czterdzieści lat nie zrobiliśmy ani jednego spotkania zarządu, bo uważałem, że to strata czasu. Oczywiście niemożliwe jest, żeby wszystkie organizacje działały tak anarchicznie, ale w naszych warunkach to było potrzebne. W sumie było około 1500 spotkań.

Ukazało się pięć prac magisterskich na temat Klubu Propozycji. Powstało kilkadziesiąt Klubów Propozycji poza Cieszynem: w Warszawie - później przeistoczył się w Koło Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, założył go Jerzy Berek z Cisownicy, w USA - prowadzony przez Pawła Łyska, w Szwecji w Sztokholmie im. Władysława Oszeldy, który wspaniale działał i rozsyłał materiały na cały świat,

drukował Szkice i dialogi - prowadzony przez Stanisława Siostrzonka, w Piotrkowie, w Sopocie, w Skoczowie, w Wiśle, w Chybiu. Był okres, kiedy na Zaolziu powstało kilkanaście Klubów Propozycji. Na Zaolziu po dziś dzień mamy wielu przyjaciół, mam tam zresztą też rodzinę.

Jadwiga i Władysław Oszeldowie propagują zdrowy styl życia, sami zresztą są przykładem zasadności swych teorii. Skąd one się wzięły? Ile trzeba było przeżyć, by w nie uwierzyć?

- W tym całym filozoficznym sosie za najważniejsze uważam zdrowie ludzkie - stwierdził Władysław Oszelda. - *Nie ma ludzi, którzy nie mieliby kłopotów, zdrowotnych i innych. I trzeba umieć się znaleźć. Można mieć różne poglądy, pokłócić się nawet, ale potem rękę sobie podać i wszystko załatwić kulturalnie. Zdrowie fizyczne w dużym stopniu zależy od zdrowia psychicznego.*

Uważam, że stworzyliśmy nowy styl życia. Dwadzieścia lat temu byłem w szpitalu i lekarze powiedzieli do żony: Niech pani już sobie kupi szaty żałobne, bo mąż nie pożyje dłużej jak tydzień. Żona mnie zabrała do domu, przemyśleliśmy wszystko i rozpoczęliśmy jeszcze intensywniejszy tryb życia na rzecz wspólnot międzyludzkich, nastawiliśmy się jeszcze bardziej na życie społeczne. Ideałem byłoby, żeby można i z wrogami rozmawiać. Ale jest cała masa ludzi, z którymi można nawiązać kontakt duchowy, pomóc dobrym słowem. W tym celuje przede wszystkim żona, która wydała cztery książeczki o zdrowiu. Ktoś powinien się tym zająć, żeby starsi ludzie mogli się spotykać, porozmawiać o swoim zdrowiu, ponarzekać. To też jest jakby jedna część działania Klubu Propozycji.

Właśnie idea zbliżenia człowieka do człowieka, życzliwego docierania do drugiego człowieka stała się najbardziej ogólnym, a przy tym najważniejszym celem Klubu Propozycji. Dla lepszego wyjaśnienia tej kwestii tłumaczył Władysław Oszelda myśl prof. Jana Szczepańskiego:

- Na przestrzeni dwóch tysięcy lat można byłoby uniknąć wielu wojen, gdyby uczciwa jednostka mogła działać swobodnie. Człowieka zawsze wciskano w takie czy inne układy wbrew jego woli. Gdyby mu się udało stworzyć świat zgodny z zasadami indywidualności, mógłby stworzyć świat ze znacznie mniejszymi przejawami zła. Ja jestem zwolennikiem działania poprzez mikrostruktury. Przez te kontakty relacji człowiek - człowiek w małej grupie następuje jakieś większe zbliżenie.

W tej chwili utrzymuję przyjacielskie kontakty z ludźmi z 27 krajów, którzy wyznają te same zasady. Staraliśmy się znaleźć coś, co ludzi łączy. Stworzyliśmy taką akcję, którą nazwaliśmy listoterapia. Ludzie potrzebują kontaktu, a w dzi-

siejszym zwariowanym świecie nikt nie wie, dokąd ten świat prowadzi, kontakty międzyludzkie coraz bardziej zanikają, ludzie nie mają czasu, śpieszą się. Dlatego takie mini związki ludzkie są koniecznością.

Doszliśmy z żoną do wniosku, że nie ma się co angażować po żadnej stronie, trzeba sobie własną dróżkę znaleźć w życiu i to jest m.in. Klub Propozycji, kontakty międzyludzkie, budowanie lepszego świata poprzez siebie. Gdyby ktoś starał się upowszechnić te rzeczy, to byłaby konkretna wartość.

A trzeba zachować jakąś postawę moralną, mieć jakieś swoje pasje, komuś pomagać. Świadczyć na rzecz potrzebujących to też jest modlitwa. My w tym wielkim natłoku zdarzeń ogólnoświatowych niewiele zmienimy, natomiast możemy coś zrobić na małym odcinku i to jest, wydaje mi się, właściwa droga dla każdego. Zrób mały kroczek, pomóż drugiemu, pochyl się nad biedakiem. Wraz z żoną, a i syn częściowo się włącza, staramy się rozbudzać u ludzi dobre cechy poprzez Kluby, pisanie, listy itd. Uważamy to za życiową misję i w tym upatrujemy sens życia.

CZESŁAWA RUDNIK

PANU WŁADYSŁAWOWI OSZELDZIE Z OKAZJI PIĘKNEGO JUBILEUSZU ŻYCIOWEGO WIELU JESZCZE LAT W ZDROWIU, WIELU SIŁ NA DRODZE CZYNIENIA DOBRA I SZCZĘŚCIA OSOBISTEGO ŻYCZY REDAKCJA.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

JAK SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA

W wydawnictwie Augustana w Bielsku-Białej z datą 1998 ukazała się książka wspomnień biskupa Karola Kotuli „Od marzeń do ich spełnienia - wspomnienia z lat 1884-1951". Biskup Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce, działacz społeczny i pisarz Karol Kotula urodził się w Cierlicku w roku 1884, zginął w roku 1968 w Warszawie w wypadku samochodowym. Ukończył gimnazjum w Cieszynie, teologię w Wiedniu i Halle, pracował ja-

ko wikariusz w Drogomyślu, od roku 1912 był profesorem religii w gimnazjum realnym w Orłowej, podczas pierwszej wojny światowej był kapelanem wojskowym w armii austriackiej na froncie wschodnim i włoskim, w roku 1919 został radcą i wizytatorem polskiego szkolnictwa w Poznańskiem, później przeniósł się do Łodzi, drugą wojnę światową spędził jako robotnik rolny w rodzinnym Cierlicku, po wojnie wyjechał do Łodzi, gdzie w roku 1951 został mianowany biskupem.

Tak krótko przedstawia się biografia jeszcze jednego syna tej ziemi, który między innymi jest autorem takich prac jak: „Mikołaj Rej" (1928), „Jan Śliwka, pionier szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim" (1933), „W ciszy i skupieniu" (1964) i naturalnie wspomnianej na wstępie książki.

Pozycje tego rodzaju mają to do siebie, że są subiektywnym odbiciem przeżywanej przez autora rzeczywistości, z drugiej jednak strony właśnie poprzez to osobiste ustosunkowanie się do życia, ludzi i otoczenia wnoszą bardziej ludzki pierwiastek w historię osobistą, lokalną i ogólną nawet.

Cech tych nie są pozbawione wspomnienia bp. Karola Kotuli. Znajdzie w nich czytelnik, bez względu na wyznanie, wiele ciekawych i interesujących informacji oraz spostrzeżeń. Nas zainteresować mogą szczególnie informacje dotyczące Cierlicka z końca XIX wieku, domu rodzinnego autora, lat nauki w gimnazjum cieszyńskim, pracy w gimnazjum orłowskim, lata pierwszej, ale szczególnie drugiej wojny światowe, spędzonej przez autora w naszych stronach itp.

Czytelnik znajdzie tu piękne wspomnienia dotyczące dawnej przeszłości naszych stron, Cierlicka, Cieszyna i Orłowej przede wszystkim, sposobu życia ludzi dawniej, w tym wypadku głównie, co jest zrozumiałe, ewangelików. Ciekawe są spostrzeżenia biskupa, dotyczące surowego wychowania w rodzinach ewangelickich w dawnych czasach (czy wszystkich?). Na przykład na s. 24 pisze: *Wychowanie domowe było niezwykle surowe. Pieszczot nie doznawaliśmy, ojciec nie karał nas nigdy, ale jedno jego spojrzenie lub słowo wystarczało, baliśmy się i nie było mowy o jakimś nieposłuszeństwie. Matka karała nas często, na pieszczoty nie miała czasu.* Autor dalej konkluduje, że nie był dobry ten dawny strach przed rodzicami, ale zauważa też, że nie wyjdzie chyba na dobre dzieciom, których rodzice są „posłuszni".

Wspominam o tym dlatego, iż jako miłośnik Ingmara Bergmana w wielu jego filmach i literaturze wspomnieniowej spotykałem się ze zjawiskiem su-

rowego wychowania w rodzinie samego pastora - ten wątek pojawia się bardzo często. Ale to już inna sprawa.

Lektura wspomnień biskupa Kotuli jest ciekawa i wnosi wiele ciekawych informacji także o naszej zaolziańskiej rzeczywistości z końca XIX i pierwszej połowy XX wieku.

KAZIMIERZ JAWORSKI



Fot. FRANCISZEK BAŁON



TWARZE SZKAPY

NA NASZEJ SCENIE

SZKAPA RŻY JUŻ PIĘĆ LAT



Szkapą można, według „Słownika języka polskiego", żartobliwie lub pogardliwie nazwać konia, zwłaszcza chudego, lichego. Ale koń to też młody rumak, a przecież rączy i pełen sił wydaje się gimnazjalny teatrzyk SZKAPA z Czeskiego Cieszyna. Dokładnie popatrzeć mu w zęby można było 28 marca podczas jubileuszowego wieczoru z okazji pięciolecia zespołu.

Chociaż właściwie o stałym zespole nie może w tym wypadku być mowy, wyraz szkolny determinuje bowiem nieustanną rotację kadry. Jedyną stałą jest, jak sam siebie nazwał - generalny stajenny, założyciel i kierownik Władysław Kubień, dla gimnazjalistów także ich nauczyciel.

Sz.K.A.P.A. - to skrót charakteryzującej najcelniej poczynania grupy nazwy: Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych. Jej członkowie schodzą się rano przed lekcjami, by bawić się w teatr. Przede wszystkim teatr przedmiotu, który jest bardziej uniwersalny w procesie komunikacji z widownią, nawet ponad granicami, bo nie wymaga rozumienia słów, i który jest łatwiejszy dla aktorów-amatorów. Słowo na scenie, o ile ma zostać naprawdę właściwie zrozumiane, jest bowiem wbrew pozorom tworzywem wymagającym ze strony wykonawców specjalnego przygotowania. Inna sprawa to znaczenie, sens słowa. Komunikat słowny jest bardziej jednoznaczny, bardziej konkretny. Język teatru przedmiotu pozwala natomiast na rozwinięcie fantazji tak aktorom, jak widzom. Interpretacja działań scenicznych polegających głównie na zabawie jakimś przedmiotem, np. liną, ramą, gazetą, poduszką, może być bardziej różnorodna, w zależności od nastawienia odbiorcy, jego sposobu myślenia, kojarzenia, doświadczeń życiowych, ale także nastroju w danej chwili.

W konwencji takiego teatru, jaki reprezentuje SZKAPA, niepoślednią rolę odgrywa miejsce, w którym dzieje się ten teatr. Inne emocje towarzyszą obrazom scenicznym przedstawianym podczas poważnego konkursu recytacji Kresy, kiedy są chwilą oddechu, inne w czasie Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Na Granicy, gdzie przystaną wokół sceny także przypadkowi przechodnie, ale gdzie czuje się powiew wielkich wydarzeń teatralnych, inne na Melpomenkach, które powinny wyzwolić ducha rywalizacji.

Jeszcze inna atmosfera panowała w malarni teatru w Czeskim Cieszynie, dokąd zaprosiła SZKAPA swoich miłośników na jubileusz. Przybyli więc przedstawiciele instytucji kulturalnych i pedagogicznych z gościem z Konsulatu Generalnego RP konsułem Piotrem Czarkowskim na czele, zasiedli na widowni dawni członkowie SZKAPY, rodzice, nauczyciele i koledzy „szkapowiczów". Narratorem wieczoru był Jacek Rybicki, który wypełnił też jedną z przerw między etiudami jubilatów, prezentując przy dźwiękach gitary poezję śpiewaną: „Hymn" Juliusza Słowackiego oraz wiersze Edwarda Stachury. Pozostałe przerywniki to taniec afrykański w wykonaniu dwóch par tancerzy z zespołu Oldrzychowice (zaskoczyli wszystkich, którzy przyzwyczajeni są do innych strojów ludowych tego zespołu) oraz taniec o kompromisach w wykonaniu niezawodnych dziewcząt z wędryńskiego zespołu To My. Wieczór ukończyły, bo jakże mogłoby być inaczej, brawa, przemówienia, gratulacje, ale także pamiątkowe medale przekazywane przez kierownika zespołu weteranom SZKAPY.

SZKAPA zaprezentowała cztery pozycje ze swego repertuaru, składającego się z kilkunastominutowych etiud scenicznych. Na początek pokazała sprawdzony już „Przystanek", w którym wykorzystane zostały jako efekty dźwiękowe odgłosy wielkiego miasta, ułatwiające zrozumienie całości. Rzecz cała działa się za przykrótką zasłoną, grały więc przede wszystkim nogi osób przychodzących i opuszczających przystanek. Ławka, butelka, laska to kilka rekwizytów wspomagających. „Przystanek" był jedynym obrazem z muzyką „reprodukowaną", w pozostałych na różnych, nawet niecodziennych instrumentach grali sami wykonawcy. „Poduszki" zapowiedziane zostały jako spektakl bardziej rodzinny, bowiem do dwóch koców, czy może dorosłych poduszek, dołączyły dwie małe poduszeczki. „Ramy 2" były modyfikacją jednego z pierwszych przedstawień zespołu, ilustracją różnych sposobów wykorzystania ramy, obwódki obrazu czy lustra, ale także tego, co w niej można znaleźć, co w niej żyje. „Gazety", ostatnia z etiud, również w pewnym stopniu nawiązywała do granego kiedyś spektaklu „Słowa", bo i tam gazety były głównym rekwizytem. Tym razem posłużyły nawet do stworzenia – sklejenia – kostiumów (na ich podstawie można było snuć przypuszczenia, jakie gazety są czytane w naszych domach). Z tych czterech etiud pierwsza wydała się najbardziej jednoznaczna, najprostsza do zrozumienia, najłatwiejsza do streszczenia. Pozostałe obrazki sceniczne szerzej oddziaływały na wyobraźnię, bardziej swobodna mogła też być ich interpretacja. Należy mieć nadzieję, że SZKAPA nie spocznie na laurach po jubileuszu, lecz kontynuować będzie rozpoczętą pracę, zrealizuje nowe pomysły i znajdzie okazje do ich prezentacji.

CZESŁAWA RUDNIK

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



Dom rodzinny Babiuchów - jeden z pierwszych domów w Kanadzie





„Damy i huzary" w wykonaniu zespołu amatorskiego MK PZKO w Kanadzie



Stara i nowa architektura

KANADA DZIELNICĄ TRZYŃCA

Dla nietutejszych brzmi to poniekąd dziwnie. Pierwotnie tych kilka kilometrów kwadratowych lasu leżało na terenie Końskiej, a początek nowego osiedla sięga lat 20. minionego już wieku. Jest to więc osiedle bardzo młode, a o jego początkach wiedzą dziś już tylko najstarsi mieszkańcy. Rozmawiałem o tych sprawach z zasłużonym członkiem MK PZKO, 85-letnim wówczas Franciszkiem Babiuchem, zmarłym w styczniu br., który jako dziecko zamieszkał z rodzicami w nowo wybudowanym domku. Z tej rozmowy i z jego zapisków dowiedziałem się co nieco z nie tak dawnej historii. Oto fragment jego notatek:

Po podziale Śląska Cieszyńskiego w roku 1920 Republika Czechosłowacka starała się o rozwój gospodarczy naszego regionu, by upewnić tu swoje rządy. Już wtedy przychodziły do huty siły fachowe, rosło zatrudnienie i zaczęto odczuwać brak mieszkań. Ludzie, którzy byli w stanie coś zaoszczędzić, myśleli o własnym domku. Ci mniej zamożni mieli ochotę włożyć do tego własną pracę, zamożniejsi mogli zatrudnić budowniczych. Przy hucie powstał komitet, który zajął się budową domów rodzinnych - Werksbaugenossenschaft. Z nazwisk jego członków pamiętam: Sztafa, Kunc, Kozellek, Hanke, Obtulowicz... Byli to przeważnie Niemcy. Na miejsce budowy wybrano las będący częścią Końskiej, a graniczący z Trzyńcem i Nieborami. Drzewo z wykarczowanego lasu brała huta, zaś pnie musiał każdy, kto chciał kupić parcelę, wykopać sam. Płacono za to 6 Kč. W lesie było wiele urwisk, wąwozów, przepaści. Nie było więc łatwo przygotować plac pod budowę. Za jeden ar parceli było trzeba zapłacić, o ile dobrze pamiętam, 16 Kč. Domy rosły jak grzyby po deszczu. Ci, których nie było stać na kupno cegły (po 70 halerzy), robili ją sami z miejscowej gliny. Do wypalania można było zakupić z huty tani węgiel. Z czasem powstało kilka sklepów, rzeźnia, piekarnia, mleczarnia. Pomyślano też o tym, jak nazwać tę nową część Końskiej, bo sama wioska była trochę „od ręki". Było kilka wniosków: Leśna osada, Nowe osiedle, Podlesie... Wtedy znalazł się człowiek u nas urodzony, lecz długo żyjący w zamorskiej Kanadzie, gdzie pracował w bardzo trudnych warunkach. Na stare lata powrócił do ojczyzny i to on zaproponował, by to nasze, podobne do kanadyjskiego wyrębisko nazwać Kanadą. I tak już zostało. W czasie kryzysu zaczęli tu budować bardziej okazałe domy ludzie zamożni, często z kierownictwa huty, która tu wybudowała większe domy dla swych pracowników, tzw. oceloki. Zbudowano też piękną czeską szkołę i mały park z pomnikiem „Kde domov můj". Bo w Kanadzie już wtedy przeważali Czesi, było dużo Niemców. Polska szkoła i przedszkole musiały się zadowolić skromnymi pomieszczeniami w domach prywatnych.

Większy rozwój Kanady nastał po roku 1945. Już w następnym roku stało się to osiedle samodzielną dzielnicą Trzyńca, podobnie jak Końska, Czeski Puńców i Leszna Dolna. W Kanadzie powstało Koło PZKO, SMP-owcy pracowali przez

jakiś czas w Końskiej. W PZKO było około 180 członków, było wiele imprez, zwłaszcza przedstawień teatralnych, zabaw. Odbywały się w restauracji u Rusnoka lub Hermana. Później trzyniecka Rada Narodowa przydzieliła, a raczej przekazała Kołu PZKO dom poniemiecki, gdzie mieściła się polska szkoła i przedszkole. Dzieci jednak ubywało i trzeba było szkołę zamknąć. Kilka z nich potem chodziło do szkoły w Końskiej Podlesiu, lecz teraz zniknie prawdopodobnie i ta szkoła.

Wiele miejsca poświęcił Franciszek Babiuch w swych notatkach dalszym losom wspomnianego domu, który został przemianowany na Dom PZKO, a potem jeszcze na C-Klub. Został bowiem wynajęty prywatnemu przedsiębiorcy, który urządził tu restaurację. Dom został rozbudowany w kierunku przylegającego ogrodu. PZKO zatrzymało do swej dyspozycji lokale na piętrze, tu przechowywana jest pieczołowicie pięknie prowadzona kronika Koła. O starych czasach świetności Koła opowiadał mi też jego wieloletni zasłużony prezes Władysław Recmanik. On przyczynił się w decydującej mierze do odpowiedniego zagospodarowania wspomnianego domu.

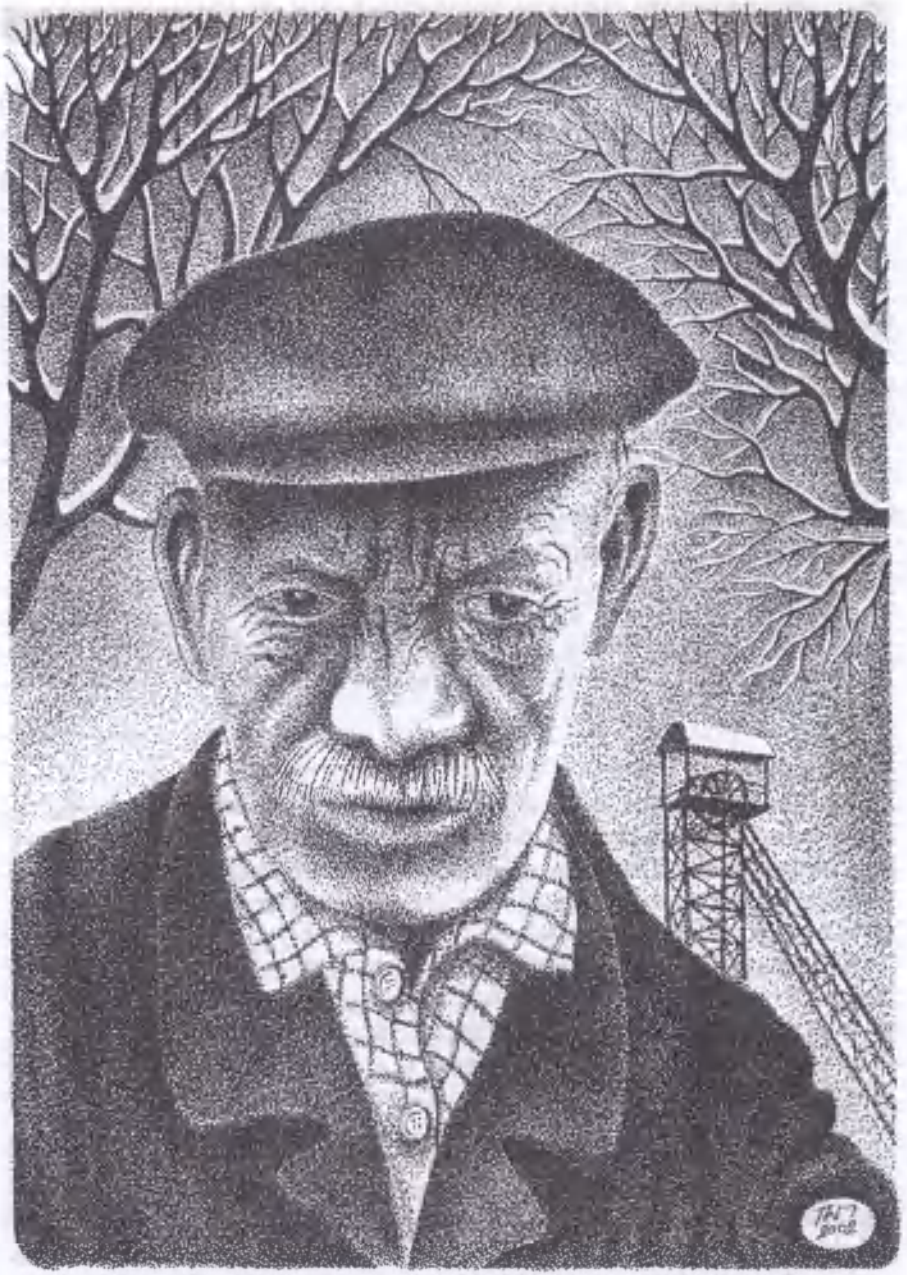
Obecnie Koło PZKO w Kanadzie nie liczy już nawet stu członków, ale dzięki staraniom starszej i średniej generacji trzyma się stale „nad wodą". Młodych działaczy niestety prawie nie widać. Kilku członków śpiewa razem z PZKO-wcami z Końskiej Podlesia i Nieborów w chórze Zgoda, prowadzonym przez niestrudzoną Irenę Małysz. Historia i współczesność tutejszego Koła, jak też ludzie, którzy w nim działali, to bardzo szeroki temat, którzy mogliby podjąć obecni działacze.

Trzeba jeszcze wspomnieć o tym, że po wojnie zbudowała huta w południowej części Kanady rozległy kompleks budynków służących szkole zakładowej. Teraz się znacznie rozrosła i jest Średnią Szkołą Integrowaną z różnymi kierunkami kształcenia. W Kanadzie znajdują się też biura i warsztaty firmy budowlanej IPS, Biuro Projektów, prywatne przychodnie lekarzy rejonowych, skromnie wyposażony hotel dla pracowników pozatrzynieckich, przez kilka lat był tu dom azylowy dla bezdomnych, większość domów rodzinnych została ostatnio pięknie odrestaurowana.

Na specjalną uwagę w centrum Kanady zasługuje starszy, lecz świecący nowością dom firmy K.o.T.a.S., która jest światowym dostawcą techniki bankowej. Symbolem tej znanej firmy jest od samego początku słoń. Brązowa statuetka miłego małego uśmiechniętego słonia stoi przy wejściu do budynku firmy, jej autorem jest artysta praski. Słoń jest dla nas zwierzęciem egzotycznym, więc chyba nikomu nie będzie przeszkadzać i przeżyje nas wszystkich.

Do Kanady przylega od strony Końskiej zbudowany pod koniec lat 70. szpital, pierwotnie hutniczy, od roku 1993 prywatny. Nosi nazwę Podlesí a obecnie specjalizuje się głównie w chirurgii miniinwazyjnej i kardiochirurgii.

OSKAR LANC



Rys. TADEUSZ WRATNY

DBASZ O SERCE? JEDZ ORZECHY!

Dla zdrowia wystarczy zjeść 30 gramów orzechów dziennie. Czyli, jak łatwo można obliczyć, co miesiąc musimy zaopatrzyć się w kilogram orzechów. Taka pozycja w budżecie nie powinna nas zrujnować, a ile z niej korzyści.

Orzechy zawierają błonnik, witaminy, mikroelementy i substancje biologicznie aktywne, które pozytywnie wpływają na nasze tkanki i narządy, m.in. mózg i układ trawienny. Ale to nie wszystkie ich zalety.

Wśród całego bogactwa znajdujących się w orzechach związków chemicznych najważniejsze dla naszego zdrowia są nienasycone kwasy tłuszczowe, które obniżają poziom tzw. złego cholesterolu we krwi. Powstawaniu miażdżycy sprzyjają natomiast nasycone kwasy tłuszczowe, których orzechy zawierają bardzo mało.

Zdaniem naukowców prowadzących badania w dziedzinie zdrowego odżywiania regularne spożywanie orzechów korzystnie oddziałuje na układ krwionośny i zmniejsza ryzyko miażdżycy i chorób serca o jedną trzecią. A wystarczy zjeść 30 gramów dziennie, większa ilość nie jest konieczna, nie zwiększa już bowiem efektu zdrowotnego. Pamiętać jednak należy, że orzechy to też kalorie, i odpowiednio zmniejszyć ilość kalorii w innych potrawach.

JOGURTY SĄ RÓŻNE...

Bisidobacterium lub lactobacilus acidociphilus to nazwy, które, umieszczone na opakowaniu jogurtu, dają pewność, że chodzi o najzdrowszy jogurt, tzw. biojogurt. Są to bowiem najwartościowsze szczepy bakterii stosowane w produkcji jogurtu. Jogurty zawierają drobnoustroje, które są mikrobiologicznym uzupełnieniem pożywienia i korzystnie wpływają na nasz organizm.

Wymienione szczepy bakterii mają do spełnienia ważną rolę. Potrafią zagnieździć się w jelitach, przebrnąwszy przedtem przez kwasy żołądkowe i sole żółciowe. Rozwijają się w jelitach i mnożą, chroniąc je, gdyż wykazują zdolności antybakteryjne, antyrakowe i antycholesterolowe. Poprawiają przemianę materii, łagodzą dolegliwości osób z problemami gastrycznymi i wrzodami.

Jeden taki jogurt dziennie może wystarczyć, o ile jemy go regularnie przez dłuższy czas. Wybór jogurtów na rynku jest dość szeroki. Warto więc kierować się przy ich kupnie nie tylko smakiem, dodatkami i ceną, ale warto spojrzeć też dokładniej na opakowanie i przeczytać, co zawiera. I jeszcze uwierzyć producentowi, że zawartość kubka zgadza się z opisem. (dur)

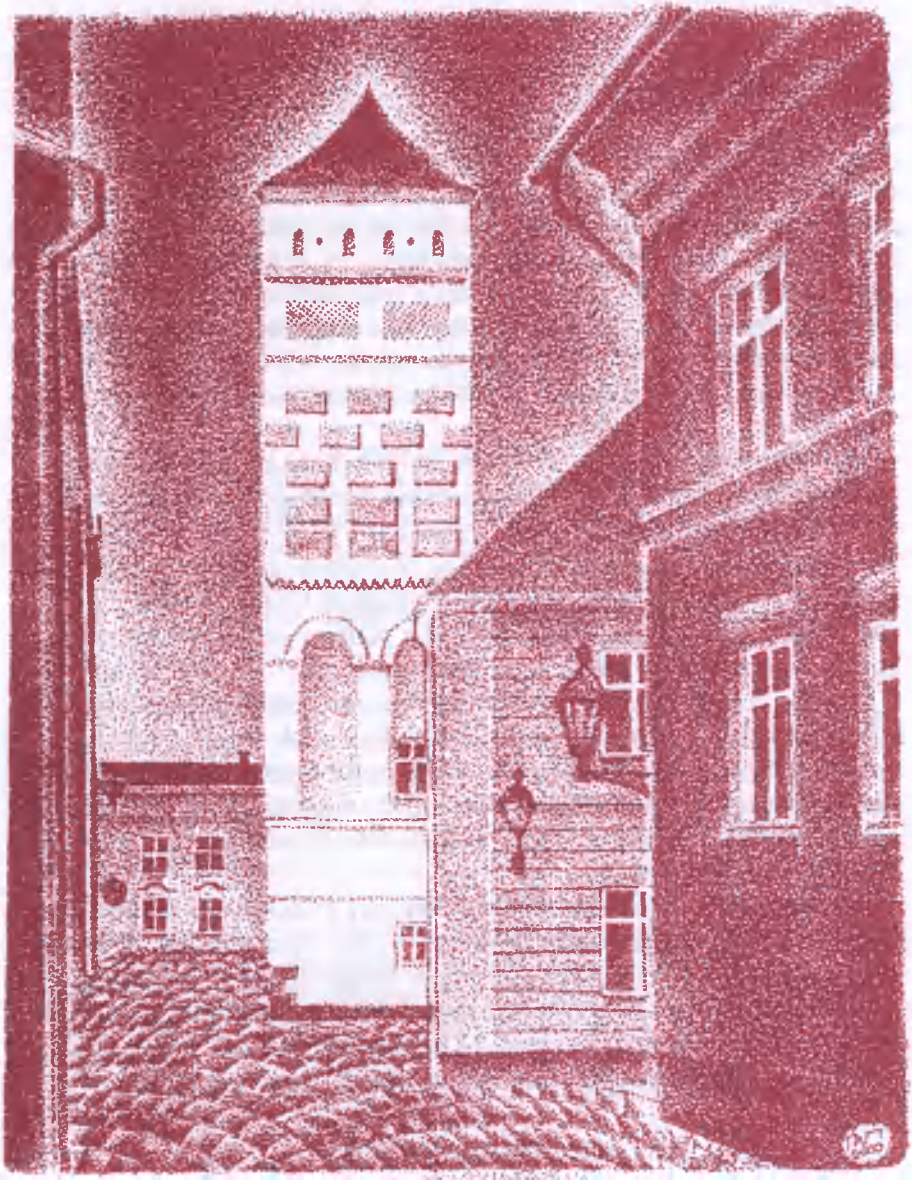
KUMEDYJA Z BABUCIYM

To mosz tak z tymi torgami. Malka se też ros kupiła babucia, a szkarednie ji żroł. Dowała mu rostomańcie, i szkrobane ziymnioki: powónioł, pomlaskoł, a poszoł do kónta - nie żroł. A dość pieknie wyglóndoł; jyny s tym żranim tako ostuda... S poczóntku ji dość dobrze żroł, jyny ku wiośnie sie ji tak zopaczył. Już mu i na talyrzu zaniósła, z widliczkóm, tag z błoznóf, jesi nie bydzie żroł. Jak już jóm to dopoliło, tag wziónychmy babucia do karyjota i wio, do Frysztota na tork spszedać. Po ceście my se mówiły, żeby my tak choć szesnozd ryńskich dostały, ale już by my dały i łacniejszy, beleby sie go pozbyć.

Jagechmy pszijechały do Frysztota, stanyłychmy na takim placu przed wrotami, kaj tirarct oglóndoł; posztymplowoł paszport, a potym dziepro sie wjyżdżało na torgowisko. Jak tak czakómy, pszisły dwie babulinki, taki ubogi, wyrobnice ze dwora, s Pietrowic. Zazdrzyły do wóska i zaros pytały, aż im go sprzedómy; co sie jim tak zapodoboł. Malka prawi: „Jo bych tak chciała szenozd ryńskich dostać. Ale pódźmy do torgu; siostra tu zustanie przi wósku, a my sie póć podziwać, jako też stojóm babucie". I przisły. Tósz tak podle torgu bychmy możne dostały dwaced ryńskich. Ale Malka se prawi (to my se tag domówiły): „Ech, weście se go już tam za tych szesnozd ryńskich". Bo my widziały, jak spoza niadra wysmyczyły taki wynzełek s piniónd zami, było widać, że to sama biyda. Nó i óny wiózły babucia ku Pietrowicóm, a my s szesnościma ryńskimi ku chałupie, ku Karwinej.

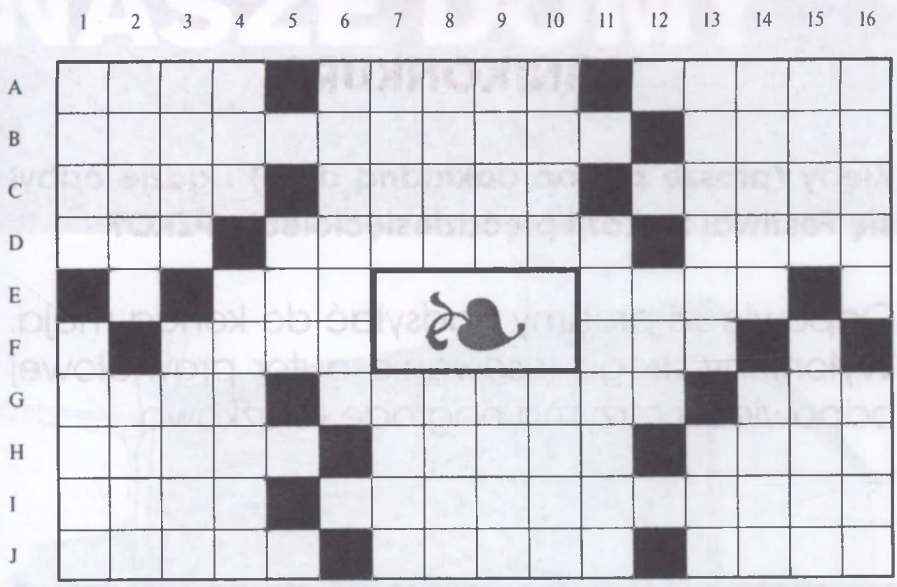
Nó i pszipadek sie stoł, że na jesiyń my były z Malkóm w mieście i spotkałychmy sie z jednóm tóm siostróm. I óna nas poznała. I prawiła: „Paniczki, jeszczechmy w życiu ni miały takigo kónia kormika; jag nóm s tego waszego babucia wyros. Musiałychmy mu drugigo chlyfka pszicznyć". Tóż nas to bardzo ucieszyło, że sie jim tak podarził, takim biydnym stforzyniom. Bo we dworze musi każdy ciynszko robić na grejcar.

Opowiadała w 1964 roku 79-letnia Franciszka Derlich, urodzona i wychowana w Karwinie, od 1911 roku zamieszkała we Frysztacie Łęgu. Zapisał Leon Derlich.



Rys. TADEUSZ WRATNY

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Rejestr; miasto w Niemczech nad Łabą; sklepienie nieba. **B.** Reklama własnej osoby; starożytne liczydło. **C.** Miejsce bezpiecznego pobytu; miasto we Włoszech; odmiana ochry. **D.** Francuski pisarz (Charles Leon); miejsce urodzenia **G.** Morcinka; obrazkowiec. **E.** Słup; potrzebny do inicjowania wybuchu. **F.** Nadrzewna małpiatka; x. **G.** Pisarz angielski (Kingsley); twórczyni; należy do potasowców. **H.** Potrawa rodem z Włoch; wyspa niemiecka na Bałtyku; asortyment węgla. **I.** Arystokratyczna jest błękitna (żartobliwie); polowanie z ptakami drapieżnymi. J. Zbiór map; kanał nawadniający w Iranie; jego stolicą jest Bagdad.

PIONOWO: 1. Samochód produkcji szwedzkiej; odrobina. **2.** Blaszany instrument dęty; zimozielony krzew. **3.** Syn Tereusa i Prokne (mitologia grecka); żagiel wytykowy. **4.** Sylaba solmizacyjna; powłoka na kołdrę. **5.** Cyrk lodowcowy. **6.** Symbole i insygnia władzy monarszej. **7.** Mitologiczny „lotnik"; wdzięk. **8.** Uczeń, wychowanek; premier RS w latach 1939-44 (Vojtech). **9.** Dawny hinduski obyczaj palenia na stosie wdów razem ze zwłokami męża; kita lub omyk. **10.** Pierwszy minister na dworze Kserksesa; miasto w Bułgarii. **11.** Hiszpańskie wino czerwone. **12.** Płynie jak Wisła szeroka. **13.** Tworzywo ceramiczne; 1101 rzymskimi cyframi. **14.** Archeolog niemiecki (Max, 1879-1929); jednostka objętości. **15.** Wczesna pora dnia; uchodzi do Zatoki Weneckiej. 16. Roślina, pierwowzór ornamentu; ścisk.

Wyrazy trudne: AMIS, GAETA, ITYS, KANAT, RILA, SATI.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: H-4, J-15, A-2, D-7, G-12, D-3, H-3, A-16, B-10, C-3, J-9, D-11, A-13, I-3, A-9, I-14, F-11, D-8, C-16, I-10, E-4, C-2, J-16, I-7.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca maja.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru marcowego: POWODZENIE NIGDY NIE ZNA MIARY

Nagrody książkowe wylosowali: Helena Šenkýřowa - Sucha Górna
Jan Rusz - Bystrzyca n/Olzą
Helga Puk - Czeski Cieszyn

MINIKONKURS

Kiedy (proszę podać dokładną datę) i gdzie odbył się Festiwal z okazji pięćdziesięciolecia PZKO?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do końca maja. Wyłoniony drogą losowania autor prawidłowej odpowiedzi otrzyma nagrodę książkową.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY



DOM MK PZKO W BUKOWCU

Dom wybudowano w roku 1977, a w ostatnich latach dobudowano do niego scenę.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

KARWINA FRYSZTAT

NASZE ZAOLZIE





Zwrot

6
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Szkoła „Pod dzwonkiem" w Żukowie Dolnym. Niestety trudno ustalić rok wykonania fotografii, bowiem na jej odwrocie zostało zapisane dawno temu ołówkiem – rok 1910, a w rogu 1925.

Joanna Kulmowa

CZY SĄ PROSTE KRAJE

Czy są na świecie kraje,
gdzie wszystko się prostym wydaje:
Proste drogi wiodą ku miastom.
Dom jest wprost pod szczęśliwą gwiazdą.
Prosto z pracy mama wraca do niego.
Proste prawa prostych ludzi strzegą.
Prosto z okna widzi się sklep,
a w tym sklepie proste mleko,
prosty chleb.
Ludzie mówią prosto z mostu,
zwyczajnie -
nikt nie pyta,
czy te proste kraje
mogą ot, tak po prostu być sobie,
czy też świat musi wpierw stanąć
na głowie?

Zwrot 6 2002

Rok LIII, Nr 631
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Ojczyzna i „swoi" dla ludzi pogranicza etniczno-kulturowego – dylemat dwoistości	HALINA RUSEK
10	Między Trzyńcem, Czeskim Cieszynem a Pragą. Rozmowa z Taduesem Szkucikiem	CZESŁAWA RUDNIK
16	Statut Kongresu Polaków w Republice Czeskiej	
22	Uchwała VIII Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC	
25	Wspomnienie o dyrektorze Rudolfie Paszku	J.G.
30	Kronika: Koncert Wiosenny w Trzyńcu, Wycieczka i prelekcja SEP, Konwent Prezesów, Mistrz Krzyżówek Przekroju, 50 lat działalności MK PZKO w Karwinie Nowym Mieście, Do źródeł Olzy, Ku czci ofiar wojny, Koncert Wiosenny w Nawsiu, Muzyczny Kluboturniej, Drops bawił i bawi Olbrachcice, Mistrzostwa polskich szkół w pływaniu, Wystawa MK PZKO Bystrzyca, Inauguracja ekumenicznej wspólnoty, Zabytkowe obiekty przemysłowe w malarstwie	
48	Poezja księdza Jana Twardowskiego	
50	Wiesław Adam Berger: Lato 1994 Fiumare (fragmenty)	
56	Akwarele w karwińskiej Bibliotece Regionalnej	C.R.
58	Pastor i nieznajomy, czyli „Dziady" w Kamieńcu Podolskim	ZBIGNIEW JĘDRYCHOWSKI
63	To i owo	
65	U przyjaciół za Olzą	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
67	70-lecie urodzin historyka i społecznika	KAZIMIERZ JAWORSKI
69	Na naszej scenie: Teatry Na Granicy, Ballada o Balladynie, W lesie Karkonosza	CZESŁAWA RUDNIK
77	Pożegnania: Stanisław Kraus	

Numer zamknięto 16. 5. 2002

OJCZYZNA I „SWOI" DLA LUDZI POGRANICZA ETNICZNO-KULTUROWEGO - DYLEMAT DWOISTOŚCI. NA PRZYKŁADZIE POGRANICZA POLSKO-CZESKIEGO

Najbardziej lakoniczna, słownikowa definicja terminu „ojczyzna" określa ją jako kraj pochodzenia, z którym człowiek jest związany silną, często emocjonalną więzią narodową i którego, lub którego, jest obywatelem. Do zakresu pojęciowego tego terminu zalicza się także „zbiór rdzennych i naczelnych wartości oraz elementów kultury pochodzeniowej jednostki" (Olechnicki, Załęcki 1997). Treść tej definicji pozwala sądzić, że kwestia posiadania przez kogoś i uznawania ojczyzny jest jednoznaczna i nie budzi wątpliwości. Jednak liczni badacze tego zagadnienia wiedzą, że głębsza refleksja nad nim wątpliwości te i niejednoznaczność wywołuje.

Naczelne miejsce wśród koncepcji poświęconych zagadnieniom narodu i ojczyzny zajmują prace Stanisława Ossowskiego i do tej klasycznej już na gruncie polskiej socjologii propozycji warto się odwołać, poszukując istoty omawianych kwestii i próbując ukazać ich złożoność.

I w tym ujęciu znajdziemy określenie, że ojczyzna to kraj pochodzenia, z którym człowiek czuje się silnie, często emocjonalnie związany, odnosi się do niego w pewien sposób i w pewien sposób kształtuje jego obraz. Ale to może też być region, środowisko, w którym się spędziło całe życie lub jego część, uczyło jego języka, zwyczajów i obyczajów – to nasza ojczyzna prywatna, do której stosunek opiera się na przekonaniu, że z tym właśnie ojczystym środowiskiem czujemy się związani w specjalny sposób (Ossowski 1984:17). Ojczyzna to wyobrażenia miejsca urodzenia – kraju lat dziecinnych, terytorium narodowego, ale też jego kultura i historia. Ta szersza kategoria, do której stosunek opiera się na przekonaniu jednostki o jej uczestnictwie w pewnej zbiorowości, to ojczyzna w ideologicznym znaczeniu – ziemia mego narodu.

Ojczyzna istnieje tylko w rzeczywistości subiektywnej grup społecznych, które posiadają określoną kulturę. Jest korelatem pewnych postaw psychicznych, wchodzących w skład kulturowego dziedzictwa grupy społecznej (Tamże:18).

Antonina Kłoskowska, zgodnie z zasadami kulturalistycznego ujęcia narodu, za którym się opowiada, ojczyzną ideologiczną nazywa uniwersum symboliczne kultury narodowej (Kłoskowska 1996:52). Ojczyzna stanowi odpowiednik tego uniwersum, jest czynnikiem zespalającym wspólnotę narodową więzami kultury, czyniąc ją wspólnotą komunikowania. Określenie to odnosi się przede wszystkim do ojczyzny ideologicznej, ale i mała, pry-

watna ojczyzna, jak mówi autorka, stanowi w nie mniejszym stopniu czynnik więzi, ale jest ugruntowana w bezpośrednim zakorzenieniu w określonym miejscu i otoczeniu (Tamże:265).

Koncepcja ojczyzny sformułowana na gruncie kulturalistycznej teorii narodu również pozwala klarownie zinterpretować istotę tego zjawiska. Interpretacja ta traci jednak swoją klarowność, gdy odniesiemy ją do pewnych konkretnych wymiarów rzeczywistości społecznej. Dostrzec wtedy możemy, że członkowie jednego narodu mają nie tylko różne ojczyzny prywatne, co jest oczywiste, ale mogą też mieć różne koncepcje ojczyzny ideologicznej i zmienić wyobrażenia o niej. Z taką sytuacją mamy do czynienia na przykład wtedy, kiedy zmieniają się granice państwowe tak, jak po drugiej wojnie światowej w Europie. Dla wielu ludzi zmiany te oznaczały konieczność porzucenia ojczyzny prywatnej, znalezienia dla siebie miejsca w obcym środowisku. Większe i mniejsze społeczności stały się mniejszościami narodowymi w jakichś większościach. Ich członkowie w naturalny sposób włączali się w strukturę większości, zachowując w jakimś zakresie, w zależności od nasilenie procesów asymilacyjnych i polityki narodowościowej państwa, w którym się znaleźli, swoją odrębność kulturową i etniczną. Stali się ludźmi pogranicza etnicznego, kulturowego i państwowego, a to oznacza, że są nosicielami pewnej dwoistości w zakresie tożsamości etniczno-kulturowej, identyfikacji narodowej, walencji kulturowej, wyobrażenia ojczyzny, „swoich i obcych". Dla zilustrowania tej tezy odwołajmy się do przykładu pogranicza polsko-czeskiego, którego obecne losy wyznaczyła polityczna decyzja z 1920 roku o podziale Śląska Cieszyńskiego pomiędzy Polskę i ówczesną Czechosłowację (Szymiczek 1938; Chlebowczyk 1971; Zahradnik, Ryczkowski 1992). Podział ten nie zadowolił żadnej ze stron i do dzisiaj kładzie się cieniem na stosunkach polsko-czeskich.

Polska mniejszość na Zaolziu to grupa, która zwłaszcza w okresie międzywojennym wyraźnie zaznaczała swoją odrębność etniczno-kulturową, głównie poprzez szeroko rozbudowane życie organizacyjne skupiające się w ponad stu polskich organizacjach, działających przede wszystkim na polu kultury i oświaty, ale także społeczno-gospodarczym, wyznaniowym i zawodowym. Nieprzypadkowo w odniesieniu do polskiej mniejszości z tego okresu używano określenia „fenomen kulturowy" (Jasiński 1990:14). Jak wynika z badań przeprowadzanych w ostatnich latach, fenomen ten w jakimś stopniu znajduje kontynuację także obecnie, choć w znacznie okrojonym zakresie. Po drugiej wojnie światowej na życie organizacyjne Polaków składały się: działalność jednej organizacji – Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, polskiej sceny teatru w Czeskim Cieszynie, cotygodniowe polskie audycje w ostrawskim radiu, wydawanie polskiej gazety i kilku czasopism wobec 30 polskich pism ukazujących się w latach międzywojen-

nych. Ze 100 polskich szkół istniejących pod koniec lat trzydziestych pozostało niewiele ponad dwadzieścia. Te fakty odzwierciedlają siłę procesów asymilacyjnych, jakie dotykają polską grupę, a ich naturalne tempo zawsze wzmacniała oficjalnie liberalna, ale w rzeczywistości dosyć restryktywna polityka narodowościowa państwa czechosłowackiego (Rusek 1997).

Od 11 lat polska społeczność stara się odbudować swój potencjał organizacyjny, często odwołując się do wzorów z przeszłości, a przede wszystkim do okresu międzywojennego. Niemożliwe jest jednak odtworzenie dawnych wzorów życia, bo polska grupa uległa oczywistym ze względu na procesy asymilacyjne przeobrażeniom: w życiu jej członków tyle jest pierwiastka polskiego co czeskiego. W wielu przypadkach osoby narodowości polskiej cechuje podwójna identyfikacja narodowa i biwalencja kulturowa, oznaczająca najogólniej swobodne poruszanie się na gruncie dwóch kultur narodowych uznawanych za własne, stanowiące dziedzictwo kulturowe własnej grupy (Kłoskowska 1992:13). Polacy na Zaolziu przyswajają sobie kulturę polską jak i czeską, uznając kanony tych kultur w równym stopniu za swoje własne (Rusek 1997). Często osoby, których samoidentyfikacja narodowa nie budzi wątpliwości, bo określali siebie jednoznacznie jako Polaków, utożsamia się w prawie takim samym stopniu z Polakami jako narodem i Czechami - jednych i drugich uważając za bliskich sobie ludzi, „swoich". Podobny dylemat dwoistości wiąże się z postrzeganiem najbliższego sobie kraju - ojczyzny. Odwołajmy się do przykładu empirycznego jako ilustracji powyższej tezy.

Przedstawione wyżej kwestie były między innymi przedmiotem badań o profilu socjologicznym, przeprowadzonych w latach 1999-2001 w grupie 448 osób polskiej narodowości żyjących w Republice Czeskiej. W grupie badawczej znaleźli się Polacy mieszkający w miejscowościach (mieście i na wsi) dwóch powiatów zaolziańskich: karwińskim i frydecko-misteckim, w różnym wieku i o różnym poziomie wykształcenia oraz żyjący w różnych małżeństwach: czysto polskich lub mieszanych narodowościowo.

Wyniki badań pokazały, że Polacy zaolziańscy są ze sobą na różne sposoby związani, a ich społeczność, pomimo nieustannej redukcji, jest dosyć spójna. Polacy są nadal dosyć aktywni w zakresie organizacji własnej kultury i życia społecznego - tylko około 27% spośród wszystkich badanych nie jest członkiem żadnej polskiej organizacji, a jeszcze mniej, bo 5% nie bierze udziału w imprezach przez nie inicjowanych. Polacy lubią uczestniczyć w najbardziej reprezentatywnych dla polskiego środowiska imprezach kulturalnych jak Festiwal Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, znane już szeroko Gorolski Święto odbywające się w beskidzkim Jabłonkowie, festyny, szkolne i pezetkaowskie bale, a także w bardziej ambitnych formach jak Scena Polska teatru w Czeskim Cieszynie, polsko-czesko-słowac-

ki Festiwal na Granicy czy filmowa impreza „Cierlickie lato". Interesującym aspektem tego uczestnictwa jest jego rzadko spotykana w innych środowiskach motywacja, mająca nie tylko podstawy autoteliczne, ale także, jak wynika z wypowiedzi respondentów, wiążąca się z poczuciem pewnego rodzaju powinności, a nawet obowiązku, a niemałe znaczenie ma też zawsze widoczna chęć „bycia ze swoimi".

Odrębność kulturowa polskiej mniejszości zaznacza się wyraźnie na polu szkolnictwa - większość badanych ukończyła polską szkołę podstawową i często polską szkołę średnią, a swoje dzieci Polacy - szczególnie ci, którzy żyją w małżeństwach czysto polskich - często posyłają do polskich szkół.

Ważnym czynnikiem wzmacniającym polską tożsamość jest język - w polskich rodzinach, w kręgach towarzyskich, koleżeńskich i przyjacielskich skupiających Polaków nie mówi się po czesku, codziennym językiem jest najczęściej gwara cieszyńska, czyli „po naszymu", rzadziej polski język literacki i najrzadziej język czeski.

Polacy zaolziańscy mają stały kontakt z treściami polskiej kultury przekazywanymi przez mas media - prawie wszyscy, poza mieszkańcami kilku miejscowości beskidzkich, mają dostęp do polskiej telewizji i polskie programy oglądają niemal codziennie, deklarują ponadto czytelnictwo polskich gazet i czasopism, zarówno tych, które ukazują się na Zaolziu (Głos Ludu, Zwrot), jak i kupowanych po polskiej stronie.

Można dalej wskazywać różne sfery życia polskiej społeczności i doszukiwać się w nich znamion polskości, oraz wskazywać związki, jakie charakteryzują życie tej grupy i jej relacje z czeskim otoczeniem. Weźmy jednak pod uwagę jeszcze inne wskaźniki tych związków, będące jednocześnie wskaźnikami tożsamości narodowej i kulturowej członków polskiej grupy: wyobrażenie ojczyzny, postrzeganie członków swojej grupy lub innych grup jako rodaków, bliskich sobie ludzi, z którymi odczuwa się szczególnie silnie więzi emocjonalne i charakter więzi osobistych, koleżeńskich oraz przyjacielskich.

Nie wymaga uzasadnienia teza, że charakter i siłę więzi między członkami jakiejś grupy warunkuje ich osobisty stosunek do siebie nawzajem - postrzeganie siebie jako „swoich", bliskich sobie ludzi lub obojętnych, a nawet obcych. Ten osobisty stosunek powoduje, że jednych wybieramy na swoich znajomych, przyjaciół, innych odrzucamy. W przypadku grupy będącej mniejszością narodową ważne dla jej trwania i spoistości jest to, jaki osobisty stosunek mają do siebie jej członkowie i jaki charakter mają ich indywidualne powiązania, więzi nieformalne oraz jak postrzegają członków społeczeństwa większościowego. Uznawanie przez Polaków siebie nawzajem za „swoich", utrzymywanie między sobą przyjacielskich czy koleżeńskich kontaktów, wzmacnia poczucie więzi z całą grupą, i powoduje, że

traktuje się ją jako własną grupę odniesienia i umacnia w sobie jej tożsamość.

Podobne funkcje spełniają bliskie więzi i pozytywne nastawienia do kraju macierzystego, chciałoby się powiedzieć: ojczyzny. Nie zawsze jednak możemy udzielić jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, który kraj jest naszą ojczyzną, a wobec takiego dylematu stają często właśnie członkowie grup będących mniejszościami narodowymi, powodując, że badaczy zaskakują często ich wybory.

Spośród prezentowanej grupy Polaków zaolziańskich tylko 12,5% nie chciało określić, który kraj, region czy środowisko jest dla nich ojczyzną. Pozostali jako swoją ojczyznę określili: Czechy (29,5%), Zaolzie (23,2%), Polskę (21,9%) Ziemię Cieszyńską (8,9%) i inny kraj lub region (4,0%). Poza miejscem zamieszkania żadna ze zmiennych społeczno-demograficznych uwzględnionych w badaniach, a więc płeć, wiek, poziom wykształcenia i charakter związku małżeńskiego nie ma znaczenia dla dokonywanych w omawianym zakresie wyborów. Nie wystąpiły pomiędzy tymi zmiennymi zależności statystyczne, jednak pogłębione obserwacje i poznanie indywidualnych biografii członków polskiej społeczności, a taki aspekt prezentowane badania także obejmowały, pozwala wysnuć bardziej szczegółowe wnioski. Między innymi ten, że dla najstarszego pokolenia Polaków, którzy urodzili się na Zaolziu przed podziałem Śląska Cieszyńskiego, a często także dla ich dzieci, czyli średniego pokolenia, krajem najbliższym sercu jest Polska, o czym niejednokrotnie mówią ze wzruszeniem. Dla najmłodszych pokoleń, najbardziej zasymilowanych z czeską większością i jej kulturą, ojczyzną jest najczęściej Republika Czeska. Niektórzy badani, niezależnie od wieku, wolą identyfikować się z regionem, w którym mieszkają, swoją ojczyzną prywatną. To wtedy wskazują Zaolzie, a nawet, choć tylko w kilku przypadkach, cały Śląsk Cieszyński, czyli region niegdyś kulturowo jednolity, dziś przecięty granicą państwową.

Respondenci mieszkający w mieście częściej niż mieszkający na wsi za swoją ojczyznę uznają Polskę. Natomiast w wyborach członków tej drugiej grupy wyraźnie widać silny związek ze swoją małą ojczyzną, ojczyzną prywatną - mieszkańcy wsi częściej wybierali Czechy, ale też Zaolzie i ogólnie Ziemię Cieszyńską. W zakresie tego zjawiska znajdujemy potwierdzenie znanej tezy o luźnych dosyć więziach mieszkańców miast ze swoim anonimowym w dużym stopniu środowiskiem i bliskich więziach mieszkańców wsi ze swoim otoczeniem, znanymi z bezpośrednich kontaktów ludźmi. Można przypuszczać, że wybór Czech jako swojej ojczyzny przez respondentów ze wsi dokonany był właśnie przez pryzmat ich ojczyzny prywatnej.

Badani Polacy czują się zatem najsilniej związani z krajem, w którym mieszkają, w którym się wielu z nich urodziło, z którym łączy ich splot

różnorodnych więzi formalnych i nieformalnych. Ale prawie równie często identyfikują ojczyznę ze swoim regionem, Zaolziem.

Kraj macierzysty - Polska - nie jest dla badanych Polaków z Zaolzia mało znany: mogą mieć z nim obecnie stały kontakt i taki kontakt najczęściej deklarują. Najliczniejsza grupa respondentów bywa w Polsce kilka razy w roku (47,3%), nieco mniej liczna kilka razy w miesiącu (25,9%), a niektórzy nawet kilka razy w tygodniu (22,1%). Pozostali odwiedzają Polskę rzadziej. Z danych liczbowych wynika, że częściej w kraju macierzystym bywają respondenci mieszkający w mieście i należący do najmłodszej grupy badanych.

Większość badanych twierdzi, że zna kulturę polską w stopniu średnim (46,9%), mniej badanych określa tę znajomość jako raczej dobrą (28,8%), ponad 10% jako raczej słabą, 9,6% bardzo dobrą, a pozostali uznali, że znają kulturę polską bardzo słabo. Bezpośrednie związki z Polską badanych można określić jako dosyć silne, co na pewno wpływa na siłę ich poczucia polskości, ale nie są na tyle silne, żeby Polskę uznawać za swoją ojczyznę.

Ta specyficzna dwoistość, wyrażająca się z jednej strony w poczuciu bycia Polakiem poprzez taką samoidentyfikację, a z drugiej strony poprzez odczuwanie silnych emocjonalnych związków z krajem zamieszkania i traktowanie go jako ojczyzny, znajduje także odzwierciedlenie w postawach wobec członków własnej grupy, Polaków z Polski i Czechów. Za bliskich sobie ludzi - rodaków - uznają badani zarówno Polaków jak i Czechów - twierdzi tak 62,9% respondentów. Tylko Polacy z Zaolzia są rodakami dla 22,1% badanych, tylko Polacy z Polski dla 5,1% a tylko Czesi dla zaledwie 4 osób. Pozostałe osoby nie udzieliły odpowiedzi na analizowane pytanie lub dokonały innych wyborów.

Uznawanie kogoś lub nie za rodaka zależy od wykształcenia badanych - we wszystkich kategoriach wykształcenia przeważają osoby, które za rodaków uważają zarówno Polaków jak i Czechów, ale najwyżej wykształceni respondenci częściej niż inni wybierali Polaków z Polski i Polaków z Zaolzia jako bliskich sobie ludzi.

Postawy opisane wyżej znajdują odzwierciedlenie w codziennym życiu badanych - w ich stosunkach koleżeńskich, towarzyskich. Respondenci za swoich rodaków uznają zarówno Polaków jak i Czechów, bo zarówno z jednymi jak i drugimi - choć w mniejszym stopniu - obcują na co dzień. Wśród znajomych i przyjaciół badanych przeważają osoby narodowości polskiej, ale są też osoby narodowości czeskiej - twierdzi tak aż 76,6% respondentów. Odwrotną sytuację deklaruje 16,3% badanych, a tylko z Polakami przyjaźni się 4,7% respondentów. Nikt w całej grupie nie ma przyjaciół tylko narodowości czeskiej, a nieliczni wskazywali innych lub nie udzielili odpowiedzi na postawione pytanie.

Okazało się, że częściej na swoich znajomych i przyjaciół wybierają tylko Polaków mieszkańcy miasta i w mniejszej liczbie deklarują znajomość z grupą osób, w której przeważają Czesi – inne wybory nie różnią ich od mieszkańców wsi.

Respondenci zawiązują więzi koleżeńskie i przyjacielskie z osobami, które odpowiadają im pod różnymi względami, ale nie pod względem narodowości – 88,8% badanych twierdzi, że narodowość znajomych i przyjaciół nie ma dla nich znaczenia i nie stanowi kryterium wyboru osób, z którymi chcą utrzymywać bliskie kontakty.

Trudno jest jednoznacznie podsumować przedstawione rezultaty badań – wydaje się, że najlepiej temu posłuży przywoływana już koncepcja dwoistości tożsamości narodowej badanych mieszkańców Zaolzia. Polacy zaolziańscy deklarują i wykazują silny związek ze swoją grupą, bo jej członków, jak również Polaków z Polski, uznają za swoich rodaków, ale w takim samym stopniu uznają za nich Czechów. Przyjaźnią się przede wszystkim z Polakami, choć także z osobami narodowości czeskiej i uznają to za fakt oczywisty, ale za swoją ojczyznę, ziemię swojego narodu – uważają Czechy, bo dla wielu z nich, poza najstarszym pokoleniem, jest to kraj pochodzenia. Ta szczególna dwoistość, choć zagraża bytowi polskiej grupy, bo ułatwia jej asymilację do czeskiej większości, jest stanem normalnym i stanowi podstawowy wymiar tożsamości etniczno-kulturowej jej członków.

HALINA RUSEK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

MIĘDZY TRZYŃCEM, CZESKIM CIESZYNEM A PRAGĄ
ROZMOWA Z TADEUSZEM SZKUCIKIEM

Jest Pan dyrektorem Polskiej Szkoły Podstawowej w Trzyńcu I, która jest jedną z większych polskich szkół? Z jakimi problemami musi się borykać?

Jako młody nauczyciel pracowałem tutaj w szkole w Trzyńcu I, potem przez dziesięć lat byłem dyrektorem polskiej szkoły na Podlesiu, a teraz czwarty rok jestem dyrektorem w Trzyńcu I. Szkoła w Końskiej Podlesiu jest szkołą typowo wiejską, jest małoklasówką, a to oznacza, że forma kształcenia dzieci jest zupełnie inna, ponieważ są tam klasy łączone. Szkoła w Trzyńcu I jest szkołą pełną. W tej chwili mamy 183 uczniów w 10 klasach i jesteśmy wśród polskich szkół na Zaolziu bodajże na czwartym miejscu pod względem ilości uczniów. Ogólnie trzeba powiedzieć, że liczba uczniów spada, także w czeskich szkołach. Zawsze co jakiś czas są problemy z limitem uczniów w klasach. Przed dwoma laty mieliśmy dwie klasy łączone, potem przybyło uczniów i teraz mamy średnio ponad 18 uczniów w klasie, czyli zgodnie z limitem, który wynosi 17. W następnym roku według wstępnego rozeznania powinno być 181 uczniów, czyli o 2 mniej, i zachowamy liczbę klas. Ale groźba spadku ciągle istnieje. Jest coraz więcej nauczycieli i coraz mniej uczniów i może nadejść taki okres, kiedy trzeba będzie nawet zwalniać nauczycieli.

W Trzyńcu są dwie pełne polskie podstawówki, druga na Tarasie, czy istnieje między nimi jakaś rywalizacja, np. o uczniów?

Nie, raczej jest to już jakby historycznie podzielone. Tam chodzą uczniowie z Tarasu i okolicy, a nasza szkoła zbiera uczniów z wszystkich okolicznych wiosek, do klasy szóstej przychodzą uczniowie z małoklasówek, jest tu dobry dojazd, bardzo blisko do dworca autobusowego.

Jak Pan widzi rolę polskiej szkoły w wychowaniu patriotycznym?

Wydaje mi się, że szkoła pod tym względem jest na drugim miejscu, pierwsza musi być rodzina. Jeśli dziecko wynosi z domu poczucie patriotyzmu, zainteresowanie historią, rodzinnymi korzeniami, to jest dobrze. W szkole realizujemy programy czeskie, ale

nauczyciel musi znaleźć czas na naukę o regionie i Macierzy. Na lekcjach nauki obywatelskiej, historii, języka polskiego można przekazać wiele treści patriotycznych.

A co Pan sądzi o mówieniu w szkole gwarą?

Staram się przypominać na każdym kroku, na każdej naradzie z nauczycielami, że w szkole, powiedzmy od godziny ósmej do piętnastej, obowiązuje język literacki. Czyli przerwa nie przerwa, mówimy po polsku, bo o lekcji to już w ogóle nie ma dyskusji. Trzeba tego przestrzegać, bo gdzie dziecko ma się spotkać z polskim językiem literackim jak nie w szkole.

Szkoła to praca zawodowa, ale jest Pan przecież od lat pochłonięty pracą społeczną w PZKO. Miejscowe Koło w Lesznej Dolnej należy do większych Kół, ma własny Dom PZKO, może więc rozwijać bogatą działalność?

Prawdę powiedziawszy, już ponad trzydzieści lat pełnię tam różnego rodzaju funkcje, dwadzieścia lat byłem przewodniczącym Koła, teraz od dwu lat jestem wiceprzewodniczącym. Mamy ponad 270 członków, własny Dom PZKO z roku 1990. Organizujemy dużo akcji, ostatnio (rozmowę przeprowadziłam 6 maja – przyp. C.R.) mieliśmy coroczne mistrzostwa Koła w strzelaniu i jak co roku złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem ofiar faszyzmu w Lesznej, zostaliśmy jedyną organizacją na terenie Lesznej, która jeszcze podtrzymuje tę tradycję. Staramy się robić bardzo dużo imprez, żeby każdy mógł wybrać coś dla siebie. Nie martwimy się, kiedy na jakiejś imprezie, np. odczycie w Klubie Propozycji, jest tylko dwadzieścia osób, bo na innej jest sto czy dwieście, każdego interesuje coś innego. Chociaż są także osoby, które uważają za stosowne być wszędzie i zawsze, zgodnie z poczuciem lokalnego patriotyzmu. Ważne jest, żeby było dużo imprez, żeby była ich kontynuacja. Organizujemy imprezy dla młodzieży, dla średniej generacji, dla starszych, są imprezy, gdzie mogą się wszyscy spotkać. Pracę całego Koła trzyma średnia generacja, nie ma w tej chwili w naszym Kole młodzieży zorganizowanej w Klubie Młodych, ale są młodzi ludzie, którzy pracują w różnych zespołach w innych Kołach.

Od 1997 roku jest Pan członkiem Zarządu Głównego PZKO, przewodniczącym Rady Młodzieży, pod koniec 1999 roku został wiceprezesem ZG PZKO, pełni Pan te funkcje także w tej kadencji. Jak Pan widzi w chwili obecnej rolę Zarządu Głównego PZKO?

To wszystko związane jest z sy-

tuacją finansową. Do niedawna było inaczej. Wtedy było w biurze ponad czterdziestu pracowników na pełnych etatach, teraz jest tam kilka osób. Są różne głosy w terenie, czy zachować Zarząd Główny, czy nie. Ostatni Zjazd PZKO pokazał, że Zarząd Główny powinien być i powinno być biuro, chociaż w bardzo okrojonym składzie. Dlatego, że są imprezy i są sprawy, które załatwić musi ZG albo biuro. Chociażby sprawa dotacji państwowych na działalność Związku, to musi załatwić jakiś organ naczelny, sprawa członkostwa, znaczków członkowskich. Albo takie imprezy jak Festiwal PZKO czy Gorolski Święto, koordynacja prac musi wychodzić z ZG i biura.

W związku z Zarządem Głównym PZKO nie można mówić tylko o pracownikach biura, ale także np. Teatru Lalek Bajka, Kostiumerii. Do budżetu ZG wliczany jest też miesięcznik Zwrot. Na Zjeździe PZKO była mowa o przekształceniu w tzw. samorządne jednostki organizacyjne, których działalność uściśla Regulamin Wewnątrzzwiązkowy. Na jakim etapie są prace przygotowawcze?

Jeszcze trwają prace nad Regulaminem Wewnątrzzwiązkowym, ponieważ jest dużo spraw, które nie mogą być w Statucie, a powinny być w Regulaminie Wewnątrzzwiązkowym. Jeśli chodzi o Zwrot, Bajkę czy Kostiumerię, to jest to sprawa do rozważenia, czy te jednostki powinny być w ramach Związku, samodzielne ze swoim numerem IČO, ale z zachowaniem dotychczasowej struktury i zakresu działalności. Jeśli chodzi o Bajkę, to czynimy starania, by ten teatr lalek był jedną ze scen Teatru Cieszyńskiego.

Wróćmy jeszcze do sytuacji Zwrotu. Czy nie należałoby potraktować go inaczej z tego względu, że nie korzysta on z dotacji na działalność kulturalną, ale z innej puli – z dotacji na prasę?

Dla Zwrotu byłoby najlepiej, gdyby był samorządną jednostką organizacyjną. Z zachowaniem oczywiście dotychczasowego charakteru i roli pisma, tzn. że byłby nadal miesięcznikiem społeczno-kulturalnym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Akces PZKO do Kongresu Polaków jest faktem. PZKO zajmuje się sprawami kultury, czyli jest organizacją o konkretnym profilu działania, ale jest też największą pod względem ilości członków organizacją polską w RC. Czy należą jej się wobec tego jakieś specjalne prawa? Jak wygląda sprawa umowy o współdziałaniu między Kongresem Polaków i PZKO?

Na Zjeździe PZKO podjęto uchwałę o akcesie PZKO do Kongresu Polaków, ale na podsta-

wie wzajemnej umowy o współdziałaniu, o współpracy. Ze strony PZKO ta umowa została opracowana, odbyło się kilka spotkań z przedstawicielami Rady Polaków, gdzie dyskutowano o różnego rodzaju punktach, poglądach. Odbyło się już spotkanie przedstawicieli Zarządu Głównego PZKO z przedstawicielami nowej Rady Kongresu Polaków. Było to spotkanie z cyklu spotkań Rady z wszystkimi organizacjami według uchwały tegorocznego Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków. W najbliższym czasie spotkamy się i podpiszemy tę umowę. Była ona już rozpatrywana przez byłą Radę, nowa Rada zaakceptowała ją, nie było sprzeciwu.

A jak układa się współpraca PZKO z innymi organizacjami?

Najściślej współpracujemy z drugą największą organizacją, tj. z Macierzą Szkolną, ponieważ Macierz też poprzez szkoły interesuje się sprawami kultury i oświaty. Dobrze układa się współpraca z prężnie rozwijającym się Stowarzyszeniem Młodzieży Polskiej, chodzi o wzajemną pomoc przy organizowaniu imprez, tak samo z Beskidem Śląskim. Wydaje mi się, że to są ciągle jedni i ci sami ludzie, chociaż w pięciu, dziesięciu organizacjach. Ta codzienna współpraca ciągle istnieje, chociaż nie jest deklarowana formą jakiegoś protokołu. Ostatnio był to np. zorganizowany wspólnie ze SAJ-owcami, młodzieżą studencką, Kluboturniej. Byłem bardzo zadowolony z tej imprezy, ponieważ udało nam się jakoś skumulować turniej i dyskotekę, myślę, że była udana.

W listopadzie 1999 roku został Pan członkiem ówczesnej Rady ds. Narodowości. Jak Pan ocenia działania Rady?

Od roku 1999 było w Radzie ds. Narodowości dwóch przedstawicieli narodowości polskiej: Wawrzyniec Fójcik i ja, od ubiegłego roku jest nas trzech, przybył Michał Chrząstowski. Doszło do reorganizacji całej Rady, od ubiegłego roku poszerzył się zakres jej kompetencji, podniosła ranga i znaczenie, powstała Rada Rządu ds. Mniejszości Narodowych. Ta Rada jest opiniotwórcza, doradcza dla członków rządu, jeśli chodzi o sprawy mniejszości narodowych. Zadaniem Rady jest także coroczne rozdzielanie dotacji na gazety i czasopisma mniejszości. Bo jeśli chodzi o dotację na działalność kulturalną, to jest to sprawa innego organu doradczego, którego członkiem jest Rudolf Moliński, organu doradczego Ministerstwa Kultury.

Kto może zostać członkiem Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych?

W Radzie są przedstawiciele

wszystkich mniejszości w RC, które wyraziły chęć działania w tej Radzie, oraz przedstawiciele wszystkich resortów ministerialnych w randze wiceministrów czy sekretarzy i przedstawiciel Kancelarii Prezydenta. Zebrania odbywają się na ogół co dwa, trzy miesiące.

Czy poszczególni członkowie Rady mają przydzielone konkretne zadania?

Do roku 2001 było tak, że Sekretariat Rady przygotowywał jakieś materiały, rozsyłał je dwa, trzy tygodnie przed posiedzeniem wszystkim członkom, którzy przesyłali następnie swoje uwagi, potem na miejscu przebiegała dyskusja i głosowanie, tak więc wszyscy robili wszystko. W bieżącym roku członkowie Rady są podzieleni na dwie grupy robocze: komisja ds. dotacji, która zajmuje się sprawami finansowymi, i komisja ds. współpracy z samorządami, z komitetami ds. narodowości na wszystkich szczeblach.

Jakie najważniejsze sprawy rozwiązywała Rada Rządu ds. Mniejszości Narodowych w okresie Pana członkostwa?

Najważniejszym zadaniem w tym okresie czasu było po długotrwałej dyskusji przyjęcie w ubiegłym roku ustawy o prawach mniejszości narodowych. W tym okresie powstały też komitety ds. narodowości przy poszczególnych gminach i miastach. A teraz w najbliższym czasie najważniejsza jest sprawa Europejskiej Karty Języków Regionalnych lub Mniejszościowych, ponieważ Karta ta została podpisana przez państwo czeskie w roku 2000, ale do tej pory nie została ratyfikowana. I to będzie najważniejszy punkt naszych przyszłych posiedzeń.

W czerwcu są wybory parlamentarne, powstanie nowy rząd, czy przewiduje Pan wielkie zmiany w Radzie?

Oczywiście nie wiemy, kto będzie nowym przewodniczącym, ponieważ na czele Rady stoi teraz członek rządu. W tej chwili jest to wicepremier Pavel Rychetský, przed nim był to Jan Jařab, obecnie wiceprzewodniczący, a wcześniej Petr Uhl. Drugim wiceprzewodniczącym jest Wawrzyniec Fójcik. Po wyborach oprócz przewodniczącego zmienią się przedstawiciele resortów, natomiast chyba nie dojdzie do zmian wśród przedstawicieli mniejszości narodowych. Od 10 października 2001 Rada ma swój Statut, którym kieruje się w swej pracy.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. JAN MYRDACZ

STATUT KONGRESU POLAKÓW W REPUBLICE CZESKIEJ z dnia 6 kwietnia 2002

PREAMBUŁA

Społeczność polska w Republice Czeskiej jako integralna część społeczeństwa RC opowiada się za budowaniem życia publicznego i państwa na zasadach demokracji, wolności, sprawiedliwości i humanizmu, których wyrazem jest również respektowanie praw mniejszości.

1. NAZWA, SIEDZIBA, OSOBOWOŚĆ

1.1. Nazwa stowarzyszenia brzmi: Kongres Polaków w Republice Czeskiej (dalej Kongres Polaków).

1.2. Siedzibą Kongresu Polaków jest Czeski Cieszyn, ul. Komenského 4.

1.3. Kongres Polaków w myśl ustawy o zrzeszaniu obywateli posiada osobowość prawną.

2. POSŁANNICTWO I CELE

2.1. Najwyższym posłannictwem Kongresu Polaków jest łączenie działań prowadzących do realizacji wspólnych celów społeczności polskiej w RC, ochrona jej praw i interesów.

2.2. Kongres Polaków reprezentuje społeczność polską, zwłaszcza wobec centralnej i terenowej administracji państwowej, parlamentów i samorządów terytorialnych, tworzy pomost między państwami i narodami RC i RP.

2.3. Kongres Polaków dba o interesy społeczności polskiej, szczególnie dotyczące prawa do edukacji w języku polskim, do informacji,

środków masowego przekazu i wydawnictw w języku ojczystym oraz prawa do używania języka polskiego w życiu publicznym.

2.4. Kongres Polaków dąży do utrwalania i pogłębiania wzajemnych stosunków z Macierzą, do pielęgnowania i pomnażania dziedzictwa kultury narodowej.

2.5. Kongres Polaków wspiera działania mające na celu zacieśnianie współpracy transgranicznej.

3. STRUKTURA ORGANIZACYJNA

3.1. Członkostwo w Kongresie Polaków

3.1.1. Kongres Polaków zrzesza na równych prawach osoby prawne zarejestrowane w RC o działalności odpowiadającej posłannictwu i celom wymienionym w punkcie 2.3. Statutu i to na podstawie akceptacji ich pisemnego zgłoszenia przez Radę Przedstawicieli. Przynależność do Kongresu Polaków nie narusza suwerennych praw ani osobowości prawnej poszczególnych organizacji.

3.1.2. Kongres Polaków zrzesza również osoby fizyczne biorące udział w działalności terenowych struktur Kongresu Polaków.

3.2. Organy terenowe Kongresu Polaków

3.2.1. Sejmik Gminny

3.2.1.1. Sejmik Gminny jest dobrowolnym zgromadzeniem osób zamieszkujących na terenie danej gminy i opowiadających się za narodowością polską.

3.2.1.2. Do zadań Sejmiku Gminnego należy między innymi składanie wniosków pod obrady Zgromadzenia Ogólnego, Rady Przedstawicieli, ocena pracy Komitetu Gminnego oraz organów centralnych Kongresu Polaków, a pod koniec kadencji wybór delegatów na Zgromadzenie Ogólne.

3.2.1.3. Delegaci na Zgromadzenie Ogólne, Pełnomocnik oraz jego zastępca wybierani są w wyborach bezpośrednich i równych. Czynne i bierne prawo wyborcze posiadają osoby w wieku powyżej 18 lat zamieszkujące na terenie danej gminy. O sposobie głosowania decyduje Sejmik Gminny.

3.2.1.4. Decyzje i uchwały Sejmiku Gminnego są prawomocne, jeżeli za ich przyjęciem głosuje więcej niż połowa obecnych osób uprawnionych do głosowania.

3.2.2. Komitet Gminny

3.2.2.1. Komitet Gminny społeczności polskiej składa się z przedstawicieli organizacji członkowskich Kongresu Polaków działających w danej gminie oraz wybranego na Sejmiku Gminnym Pełnomocnika i jego zastępcy.

3.2.2.2. Komitet Gminny reprezentuje społeczność polską w danej gminie wobec państwowych władz lokalnych oraz samorządów.

3.2.2.3. Komitet Gminny rozwija swoją działalność w okresie pomiędzy Sejmikami Gminnymi oraz przed Zgromadzeniem Ogólnym organizuje w danej gminie Sejmik Gminny.

3.2.2.4. Komitety Gminne podejmują decyzje i uchwały większością głosów ich pełnego składu.

3.2.2.5. Działalnością Komitetu Gminnego kieruje Pełnomocnik.

3.2.3. Pełnomocnik

3.2.3.1. Pełnomocnik i jego zastępca wybierani są na Sejmiku Gminnym spośród obecnych osób.

3.2.3.2. Pełnomocnik jest upoważniony do reprezentowania społeczności polskiej danej gminy wobec samorządu gminnego i terenowych władz administracji państwowej.

3.2.3.3. Organy Kongresu Polaków delegują Pełnomocnika w myśl Ustawy o gminach w skład komisji gminnej do spraw mniejszości narodowych, jeśli taka komisja w gminie istnieje.

3.3. Organy centralne Kongresu Polaków

3.3.1. Założenia ogólne

3.3.1.1. Organami Kongresu Polaków w RC są:

3.3.1.1.1. Zgromadzenie Ogólne

3.3.1.1.2. Rada Przedstawicieli

3.3.1.1.3. Rada Kongresu Polaków

3.3.1.1.4. Komisja Kontrolna

3.3.1.2. Zgromadzenie Ogólne zdolne jest do podejmowania decyzji przy obecności co najmniej 1/2 uprawnionych do głosowania.

3.3.1.3. Decyzje i uchwały Zgromadzenia Ogólnego i Rady Przedstawicieli są prawomocne, jeżeli za ich przyjęciem głosuje więcej niż połowa obecnych osób uprawnionych do głosowania.

3.3.1.4. Rada Kongresu Polaków i Komisja Kontrolna podejmują decyzje i uchwały większością głosów ich pełnego składu.

3.3.1.5. Nie wyklucza to innego trybu podejmowania uchwał i decyzji na podstawie głosowania wynikającego z niniejszego Statutu.

3.3.2. Zgromadzenie Ogólne

3.3.2.1. Zgromadzenie Ogólne jest najwyższym organem Kongresu Polaków.

3.3.2.2. Zgromadzenie Ogólne tworzą delegaci wybrani na Sejmikach Gminnych oraz delegaci organizacji członkowskich Kongresu Polaków według ordynacji wyborczej ustalonej przez Radę Przedstawicieli.

3.3.2.3. Zgromadzenie Ogólne odbywa się nie później niż miesiąc po upływie trzyletniej kadencji Rady Kongresu Polaków.

3.3.2.4. Zgromadzenie Ogólne rozpatruje wnioski delegatów i podejmuje decyzje we wszystkich żywotnych sprawach Polaków w RC.

3.3.2.5. Określa podstawowe cele i zasady działalności Kongresu Polaków.

3.3.2.6. Przyjmuje lub odrzuca sprawozdania z działalności organów centralnych Kongresu Polaków za kończącą się kadencję.

3.3.2.7. Spośród delegatów wybiera dziewięciu członków Rady Kongresu Polaków oraz pięciu członków Komisji Kontrolnej, ustala według ilości uzyskanych głosów kolejność członków rezerwowych.

3.3.2.8. Uchwala, zmienia i interpretuje Statut Kongresu Polaków.

3.3.2.9. Zatwierdza zasady gospodarowania Rady Kongresu Polaków.

3.3.2.10. Rozstrzyga o odwołaniu od decyzji Rady Przedstawicieli.

3.3.2.11. Nadzwyczajne Zgromadzenie Ogólne musi być zwołane przez Radę Kongresu Polaków do dwóch miesięcy od wpłynięcia wniosku:

3.3.2.11.1. 2/3 członków Rady Przedstawicieli

3.3.2.11.2. jednomyślnego wniosku wszystkich członków Komisji Kontrolnej

3.3.3. Rada Przedstawicieli

3.3.3.1. Radę Przedstawicieli tworzą reprezentanci organizacji członkowskich Kongresu Polaków oraz Pełnomocnicy.

3.3.3.2. Rada Przedstawicieli oprócz innych uprawnień i obowiązków wynikających z niniejszego Statutu decyduje o:

3.3.3.2.1. formach i metodach realizacji uchwały Zgromadzenia Ogólnego,

3.3.3.2.2. kierunkach działania Rady Kongresu Polaków,

3.3.3.2.3. ordynacji wyborczej, na podstawie której wybierani są delegaci Zgromadzenia Ogólnego,

3.3.3.2.4. o swej strukturze wewnętrznej,

3.3.3.2.5. o przyjęciu lub odrzuceniu akcesu osób prawnych.

3.3.3.3. Rada Przedstawicieli tworzy forum współpracy poszczególnych organizacji członkowskich oraz Komitetów Gminnych.

3.3.3.4. Rada Przedstawicieli na swym pierwszym zebraniu, zwołanym w terminie do 1 miesiąca po Zgromadzeniu Ogólnym przez Prezesa Kongresu Polaków, wybiera z grona swych członków przewodniczącego Rady Przedstawicieli i jego zastępcę.

3.3.3.5. Przewodniczący Rady Przedstawicieli lub jego zastępca mają prawo uczestnictwa we wszystkich zebraniach Rady Kongresu Polaków z głosem doradczym.

3.3.3.6. Rada Przedstawicieli ustala i zmienia Regulamin Wewnętrzny Kongresu Polaków.

3.3.4. Rada Kongresu Polaków

3.3.4.1. Rada Kongresu Polaków jako organ wykonawczy Kongresu Polaków reprezentuje społeczność polską w RC w okresie pomiędzy Zgromadzeniami Ogólnymi.

3.3.4.2. Pierwsze posiedzenie Rady Kongresu Polaków odbędzie się w dniu zakończenia Zgromadzenia Ogólnego i na nim Rada wybiera ze swego grona prezesa Kongresu i jednego wiceprezesa.

3.3.4.3. Przedstawicielem statutarnym Kongresu Polaków jest prezes Kongresu Polaków. Czynności prawne, a zwłaszcza podpisy aktów prawnych, poczynione przez prezesa Kongresu Polaków sprzeczne z uchwałą Rady czy też bez takiej uchwały nie zobowiązują Kongres.

3.3.4.4. Radę Kongresu Polaków reprezentuje i pisma od niej wychodzące podpisuje prezes Kongresu lub wiceprezes.

3.3.4.5. Rada Kongresu Polaków kieruje działalnością Kancelarii Kongresu Polaków. Wobec jej pracowników wykonuje prawa i obowiązki pracodawcy.

3.3.5. Komisja Kontrolna

3.3.5.1. Komisja Kontrolna wybrana na Zgromadzeniu Ogólnym jest organem kontrolnym Kongresu Polaków i jest odpowiedzialna tylko wobec Zgromadzenia Ogólnego.

3.3.5.2. Pierwsze posiedzenie Komisji Kontrolnej odbywa się w dniu zakończenia Zgromadzenia Ogólnego i na nim Komisja musi wybrać ze swego grona przewodniczącego, który będzie kierował jej pracą.

3.3.5.3. Członkiem Komisji Kontrolnej nie może być członek Rady Kongresu Polaków, Rady Przedstawicieli oraz osoba zatrudniona przez Radę Kongresu Polaków.

3.3.5.4. Rada Przedstawicieli i Rada Kongresu Polaków zobowiązane są przedstawić na żądanie Komisji Kontrolnej wszelkie dokumenty dotyczące ich działalności merytorycznej i finansowej.

3.3.5.5. Członkowie Komisji Kontrolnej mają prawo uczestnictwa we wszystkich zebraniach Rady Kongresu Polaków i Rady Przedstawicieli z głosem doradczym oraz w posiedzeniach rad nadzorczych jednostek gospodarczych, w których Rada Kongresu Polaków jest udziałowcem większościowym lub jedynym.

4. ZAŁOŻENIA GOSPODARCZE

4.1. Majątek Kongresu Polaków pochodzi z zysków z działalności gospodarczej, z darów, dotacji, składek itp.

4.2. Dla potrzeb Kongresu Polaków organizuje w ramach swych uprawnień działalność gospodarczą Rada Kongresu Polaków.

4.3. Rada Kongresu Polaków może powoływać do życia w myśl obowiązującego ustawodawstwa RC jednostki gospodarcze i odpowiada przed Zgromadzeniem Ogólnym za ich gospodarowanie.

5. POSTANOWIENIA KOŃCOWE

5.1. Stosunki nieuregulowane niniejszym Statutem oraz ogólnie obowiązującymi przepisami prawa rozstrzyga Zgromadzenie Ogólne, a w okresie między Zgromadzeniami Ogólnymi Rada Przedstawicieli wspólnie z Radą Kongresu Polaków.

5.2. Rozwiązanie Kongresu Polaków może nastąpić wyłącznie na podstawie decyzji 2/3 wszystkich delegatów Zgromadzenia Ogólnego. Decyzja ta musi zawierać postanowienia o likwidacji majątku Kongresu Polaków oraz jego organów centralnych i podmiotów prawnych powołanych do życia przez Radę Kongresu Polaków.

5.3. Zasady wykonawcze dotyczące sposobu i zakresu działań jednostek organizacyjnych oraz organów Kongresu Polaków określa Regulamin Wewnętrzny Kongresu Polaków.

UCHWAŁA VIII ZGROMADZENIA OGÓLNEGO KONGRESU POLAKÓW W REPUBLICE CZESKIEJ

(6 KWIETNIA 2002 - CZESKI CIESZYN - OŚRODEK KULTURY STRZELNICA)

1. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje do wiadomości sprawozdania prezesa Rady Polaków, przewodniczącego Rady Przedstawicieli oraz przewodniczącego Komisji Kontrolnej z działalności tych organów w VII kadencji.

2. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC udziela absolutorium ustępującej Radzie Polaków.

3. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje Statut Kongresu Polaków w RC z uzgodnionymi w głosowaniu poprawkami.

4. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC wybiera następujące organy:

RADĘ KONGRESU POLAKÓW w składzie: Józef Szymeczek, Halina Rusek, Wawrzyniec Fójcik, Marek Słowiaczek, Bogdan Hajduk, Henryk Cieślar, Stanisław Bielesz, Jan Ryłko, Michał Chrząstowski oraz rezerwowych do RADY KONGRESU POLAKÓW: Zygmunt Stopa, Marian Jędrzejczyk, Władysław Adamiec.

KOMISJĘ KONTROLNĄ w składzie: Stanisław Fierla, Władysław Szkopek, Stanisław Kondziołka, Tadeusz Kędziera, Władysław Tomanek oraz rezerwowych do KOMISJI KONTROLNEJ: Bronisław Sołczyk, Stanisław Przyhoda.

5. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC zobowiązuje Radę Kongresu Polaków oraz Radę Przedstawicieli do:

a) wypracowania wskazówek przedwyborczych w celu popierania w wyborach parlamentarnych i samorządowych tych polskich kandydatów, którzy są w stanie spełnić nadzieje polskiej mniejszości;

b) umożliwienia senatorom i posłom narodowości polskiej udziału w posiedzeniach organów Kongresu z głosem doradczym;

c) zorganizowania spotkania i przeszkolenia członków gminnych komisji ds. mniejszości narodowych;

d) działań na rzecz uświadamiania o prawach członków mniejszości narodowych w zakresie stosowania języka polskiego w urzędach oraz w dokumentach tożsamości;

e) domagania się wydania przez władze państwowe przepisów wykonawczych do ustaw o gminach i mniejszościach narodowych oraz wydania dwujęzycznych kart wyborczych;

f) powołania w terminie do dwóch miesięcy Komisji Szkolnej, na czele której stanie członek Rady Kongresu Polaków, i zobowiązania tejże Komisji do przeprowadzenia analizy stanu szkolnictwa (szczególnie po realizacji 2. etapu reformy administracji państwowej) i zaproponowania rozwiązań istotnych problemów szkolnictwa polskiego;

g) reagowania na niedociągnięcia prawne, które by mogły zagrozić polskiemu szkolnictwu;

h) prowadzenia działań mających na celu zapewnienie dotacji finansowej gminom, w których funkcjonują polskie placówki szkolne i przedszkolne;

i) wspierania inicjatyw szkół, organizacji i instytucji, których celem jest przybliżenie młodzieży kultury polskiej;

j) zwołania spotkania z przedstawicielami Towarzystwa Nauczycieli Polskich i Macierzy Szkolnej w celu omówienia upowszechniania wśród uczniów wyższego stopnia szkół podstawowych ustaw regulujących prawa mniejszości narodowych z wyszczególnieniem ustawy o metrykach;

k) podjęcia starań o wprowadzenie do programów nauczania zarówno w RC jak i RP podstawowego zakresu wiadomości o polskiej grupie narodowej w RC;

l) wypracowania statusu prawnego Ośrodka Dokumentacyjnego (OD) oraz jego planu działania i poszukiwania źródeł finansowania umożliwiających OD pełnienie roli placówki gromadzącej, opracowującej i udostępniającej zbiory i informacje dokumentujące dorobek polskiego społeczeństwa w RC;

m) opracowania i negocjowania w TVP jak i w TVC koncepcji audycji telewizyjnej dla polskiej mniejszości w RC;

n) poszukiwania różnych źródeł finansowania działalności kulturalnej - na szczeblu centralnym, na wszystkich szczeblach samorządowych, w fundacjach, funduszach Unii Europejskiej i in. oraz do sporządzania kwartalnych informatorów o terminach i warunkach składania wniosków grantowych;

o) starań - we współpracy z innymi mniejszościami w RC - o zwiększenie państwowej puli dotacyjnej przeznaczonej na wspieranie działalności mniejszości narodowych;

p) zredagowania na podstawie wystąpienia delegatów ZO Haliny Rusek i Małgorzaty Rakowskiej wniosków do właściwych urzędów centralnych RC i RP;

q) rozpoczęcia negocjacji z odpowiednimi organami administracji państwowej w celu zapewnienia godziwych warunków pracy prezesowi Kongresu Polaków, łącznie z przyznaniem mu środków finansowych i ustaleniem osłony prawnej wobec pracodawcy;

r) powołania rzecznika prasowego Kongresu Polaków, którego zadaniem będzie m.in. poszukiwanie możliwości publikowania informacji o życiu i dorobku naszej społeczności w centralnej i regionalnej prasie, zarówno czeskiej, jak i polskiej;

s) poświęcenia szczególnej uwagi odnawianiu i rozwijaniu zaplecza techniczno-produkcyjnego Głosu Ludu i innych pism wydawanych przez polską mniejszość narodową w RC;

t) inicjowania dyskusji społecznej na temat nowych warunków po przyjęciu RC i RP do Unii Europejskiej i możliwości zachowania i rozwijania tradycji kulturowej naszego społeczeństwa w nowej rzeczywistości;

u) ustalenia i opublikowania na podstawie wniosków poszczególnych organizacji całorocznego kalendarza ważniejszych imprez w celu koordynacji działań oraz ulepszenia kontaktów ze sponsorami;

w) powołania komisji fachowców, która przeprowadzi dogłębną analizę ekonomiczno-prawną i organizacyjną działalności Wydawnictwa Olza i wysunie wnioski na temat funkcjonowania wydawnictwa oraz optymalnego rozwiązania kwestii wydawania Głosu Ludu.

6. ZO poleca Radzie Przedstawicieli umieszczenie w Regulaminie Wewnętrznym Kongresu Polaków zapisu określającego prawo szefa Kancelarii Kongresu Polaków do samodzielnego podejmowania decyzji o operacjach finansowych nieprzekraczających kwoty 20 000,- CZK.





SEJM ŚLĄSKI

OKRES II

Nr 28

LEGITYMACJA POSELSKA

BIURO SEJMU ŚLĄSKIEGO

STWIERDZA, IŻ P. Rudolf

Paszek

JEST POSŁEM NA SEJM ŚLĄSKI.

KATOWICE, DNIA 24 X 1938 r.

DYREKTOR BIURA SEJMU ŚLĄSKIEGO

Własnoręczny podpis posła

WSPOMNIENIE O DYREKTORZE RUDOLFIE PASZKU

Po przyłączeniu Zaolzia do Republiki Czechosłowackiej w r. 1920 wielu aktywnych Polaków na zawsze opuściło swe rodzinne strony, udając się na stałe do Polski. W nowych warunkach rozpoczęła się praca oświatowa, kulturalna i społeczna, mająca na celu utrzymanie świadomości narodowej obywateli czujących się Polakami. Pracę tę podjęli przede wszystkim nauczyciele. Jednym z nich, o mocnych przekonaniach patriotycznych, był nauczyciel Rudolf Paszek.

Urodził się 19 marca 1894 roku w Marklowicach Górnych koło Zebrzydowic jako syn górnika. Kiedy miał 14 lat, zmarł jego ojciec. W roku 1914 pomimo trudnych warunków rodzinnych ukończył seminarium nauczycielskie w Cieszynie. W roku 1915 został powołany do wojska austriackiego, jako podporucznik w działaniach frontowych w Albanii został ciężko ranny i stał się inwalidą, utraciwszy sprawność prawej ręki.

Jako młody nauczyciel uczył przeważnie w szkołach regionu karwińskiego, zaś w roku 1921 Macierz Szkolna (ówczesny inspektor szkół Macierzy Szkolnej dyr. Biel) powierzyła mu jako nauczycielowi posiadającemu egzamin wydziałowy stanowisko dyrektora polskiej szkoły wydziałowej w Śląskiej Ostrawie.

Warunki pracy utrudniał brak pomocy naukowych, które trzeba było uzupełniać często z własnych oszczędności, bo Macierz Szkolna nie miała pieniędzy. Budynek też nie odpowiadał potrzebom szkoły, gdyż był częściowo zamieszkały przez lokatorów i dopiero z biegiem czasu udało się sytuację zmienić. W tym samym budynku w roku szkolnym 1925/26 założył bursę dla studentów paralelek polskich przy miejscowym seminarium nauczycielskim. Prowadził administrację i dozór pedagogiczny.

W roku szkolnym 1921/22 zakłada kurs handlowy na wzór kursu Palucha w Orłowej.

Był założycielem Koła Macierzy Szkolnej i jego prezesem. Został członkiem sekcji szkolnej i był mężem zaufania na cały okręg ostrawski. Przez kilka lat był członkiem komisji egzaminacyjnej dla szkół ludowych.

Z powodu gwałtownego obniżenia się liczby dzieci szkoła została w roku 1926 zamknięta. Bursa pozostała, a kierownictwo objął kierownik polskiej szkoły ludowej Jan Kunz.

Wobec zaistniałej sytuacji Macierz Szkolna nominowała Rudolfa Paszka na dyrektora polskiej szkoły wydziałowej w Jabłonkowie, która była prywatną szkołą Macierzy Szkolnej. Ludność polska w Jabłonkowie

walczyła o tę szkołę już od czterech lat. W końcu pod silną presją posła na sejm praski dr Wolfa władze administracyjne i szkolne w roku 1925 wydały zezwolenie na jej otwarcie. Dwie pierwsze klasy umieszczono w budynku szkoły ludowej, zaś drugą w lokalu Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek. Właściwie była to szkoła zbiorcza z dziewięciu okolicznych gmin.

W grudniu 1926 roku założył Rudolf Paszek komitet budowy szkoły wydziałowej, został jego wiceprezesem i prowadził wszelkie jego prace. Prezesem był ówczesny burmistrz Izydor Kopecki. W roku 1928 otwarto nowy budynek szkolny, na którym widniał napis: Polska Szkoła Wydziałowa Macierzy Szkolnej im. H. Sienkiewicza. Podniosła uroczystość poświęcenia szkoły odbyła się 9 września 1928 roku. Z inicjatywy i środków finansowych Rudolfa Paszka powstał ogród szkolny i boisko. W budynku szkolnym mieściła się także „ochronka". Latem lokale szkolne były udostępniane Rodzinie Opiekuńczej, która organizowała kolonie wakacyjne dla uczniów polskich szkół.

Okres jabłonkowski był okresem ciężkiej pracy, wielkiego wysiłku i zmagań. Prócz pracy szkolnej było trzeba poświęcić się pracy społecznej. W polskiej szkole ludowej przewagę stanowili nauczyciele o przekonaniach proniemieckich. Z czasem krąg obywateli chętnych do pracy społecznej poszerzył się i wypełnił lukę po ludziach, którzy w roku 1920 opuścili Jabłonków. Uaktywniło się Koło Macierzy Szkolnej, którego przewodniczącym został Rudolf Paszek. Został założony chór Macierzy Szkolnej, przebiegały wieczory kółka samokształcenia z urozmaiconym programem, na które przychodzili starsi i młodzież, urządzano bale ludowe, przedstawienia, uroczystości patriotyczne. Co roku szkoła wydziałowa organizowała festyn z popisami dzieci, czasem połączony z Wiankami, były barwne pochody, liczne wystawy, przedstawienia, akademie. Za przykładem Macierzy Szkolnej i szkoły poszły inne organizacje.

Rudolf Paszek wykonywał także szereg innych funkcji: Był instruktorem 18 bibliotek powiatu sądowego Jabłonkowskiego, sekretarzem Powiatowej Komisji Oświatowej, zastępcą przewodniczącego Kółka Towarzystwa Nauczycieli Polskich itd. Wydział Krajowy Związku Śląskich Katolików powołał go do prezydium. Przez pewien czas był jego sekretarzem.

W opisywanym okresie Jabłonków miał polskiego burmistrza. Ale już wybory w roku 1928 zmusiły Rudolfa Paszka do zainteresowania się sprawami politycznymi i do czynnej pracy. Był sekretarzem polskiego ugrupowania wyborczego. Polakom udało się obronić 14 mandatów z 30, ale niestety utracili burmistrza. Burmistrzem został kierownik czeskiej szko-

ły ludowej Karol Smyczek, członek stronnictwa agrarnego, który był filarem czechizacji powiatu jabłonkowskiego. Świadczą o tym wyniki spisów ludności. W roku 1910 z 3 816 mieszkańców Jabłonkowa 3221 było narodowości polskiej, 57 narodowości czeskiej, a 538 niemieckiej, zaś w roku 1930 z ogólnej liczby 4 196 osób 2 431 było narodowości polskiej, narodowości czeskiej 1 430, a niemieckiej 292.

Czteroletni okres kadencji burmistrza Czecha był wykorzystany na przygotowanie następnych wyborów, które odbyły się w roku 1932. Do wyborów stanęły z polskiej strony 3 stronnictwa polityczne: Związek Śląskich Katolików, Stronnictwo Ludowe i Partia Soc.-Demokratyczna, które wyłoniły 3 kandydatów na burmistrza. Przy próbnych wyborach dyrektor Paszek otrzymał największą ilość głosów. Polacy odnieśli w wyborach zwycięstwo.

Stanowisko dyrektora Paszka jako burmistrza Polaka było bardzo trudne. Czesi, a zwłaszcza były burmistrz Smyczek, szukali wszelkich sposobów, aby został odwołany. Niektóre z licznych sporów i walk o język polski i sprawy polskie znalazły się na wokandzie 11 procesów. Z niektórymi procesami szły w parze postępowania dyscyplinarne ze strony władz szkolnych. Pomimo tak trudnych warunków funkcję burmistrza wykonywał Rudolf Paszek aż do roku 1938, zaś po objęciu Zaolzia przez Polskę został mianowany komisarzem rządowym miasta Jabłonkowa.

W uznaniu pracy społeczno-politycznej otrzymał w roku 1935 z rąk konsula polskiego w Ostrawie Malhomme Złoty Krzyż Zasługi, zaś w roku 1938 z okazji Święta Niepodległości Polski order Polonia Restituta.

W październiku 1938 roku został mianowany posłem na Sejm Śląski wraz z Łukoszem, Bajorkiem i pastorem Bergerem. W Sejmie był członkiem komisji administracyjnej, szkolnej i budżetowej.

W pamiętniku Rudolfa Paszka czytamy: *Praca społeczna dała mi wewnętrzne zadowolenie, że przyczyniłem się do ugruntowania sprawy polskiej, i wiele chwil przyjemnych i radosnych. Każda akcja, która się udała, przynosiła radość i zadowolenie. Z dumą spoglądało się na liczne pochody festynów szkolnych przy dźwiękach muzyki polskiej i na te liczne rzesze rodziców, którzy przychodzili do mnie i gratulowali mi, że festyn się udał. Z dumą i zadowoleniem patrzyłem na salę wypełnioną po brzegi na przedstawieniach czy zebraniach. A jak serce rosło, gdy widziałem te tysięczne rzesze ludu śląskiego, maszerujące przy krajowych imprezach. A te różne zebrania towarzyskie. W jakiej miłej atmosferze odbywały się. Ile to było opowiadań, ile projektów na przyszłość. Jakaż to była satysfakcja!*

1 września 1939 – wojna. Droga ewakuacyjna aż do wschodniej granicy Polski i 11 października powrót do Jabłonkowa, gdzie po kilkunastominutowym pobycie w domu został aresztowany. Po półrocznym pobycie

w więzieniu w Cieszynie został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen-Oranienburg, a we wrześniu 1940 roku do Dachau.

11 sierpnia 1945 roku wrócił do domu, zastając administrację czeską, która była o wiele bardziej wrogo nastawiona do ludności polskiej niż przed rokiem 1938. Na Śląsku panoszyła się tzw. „uhlirzowczyzna" (min. Uhlíř nar. soc.), której tezą było „precz z Polakami". Rudolf Paszek miał trudności z otrzymaniem zaświadczenia o lojalności. Był wzywany przed komisję orzekającą Powiatowej Rady Narodowej w Cz. Cieszynie, gdzie zarzucano mu działalność przedwojenną. Po kilku przesłuchaniach został jednak uwolniony od winy i kary.

Komisja weryfikacyjna władz szkolnych zastanawiała się, czy przyjąć go z powrotem do szkolnictwa. Posypały się podania i rekursy. Jabłonkowscy Czesi na czele z burmistrzem Smyczkiem przeszkadzali, jak tylko można. Szybko Czesi zapomnieli, jak podczas manifestacji 1 i 2 października 1938 roku nawoływał ludność do spokoju i zagroził konsekwencjami, gdyby choć jednemu Czechowi spadł włos z głowy. Utworzył straż obywatelską, która strzegła opuszczonych mieszkań, a później strzegło ich wojsko polskie. Miał nawet trudności z przyjęciem do Związku Więźniów Politycznych, musiał odwoływać się do Centralnego Komitetu ZWP w Pradze.

1 października 1948 roku został Rudolf Paszek dyrektorem polskiej szkoły wydziałowej w Czeskim Cieszynie i przeprowadził się z rodziną do Czeskiego Cieszyna.

W latach 1949-1951 był członkiem Komisji Rewizyjnej ZG PZKO w Czeskim Cieszynie.

Jego przekonania, a głównie praktyki religijne nie odpowiadały partii komunistycznej. W związku z tym w roku 1951 został przeniesiony do polskiej szkoły wydziałowej w Trzyńcu jako nauczyciel. (Szkolna inspekcja krajowa według protokołu z 22 stycznia 1951 roku nie stwierdziła żadnych usterek.)

Przeżycia obozowe, okres przymusowego bezrobocia 1945-1948, pełnego intryg i walki o powrót do szkolnictwa, wraz z wiadomością o przeniesieniu były powodem problemów zdrowotnych (zawału), w wyniku których przeszedł Rudolf Paszek na rentę inwalidzką i nie objął posady w Trzyńcu.

29 listopada 1969 roku zmarł na czwarty zawał. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu w Cz. Cieszynie. Jego dewizą życiową było „Bóg i Ojczyzna" oraz „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego" i to przykazanie często wpisywał uczniom do pamiętnika.

Na podstawie pamiętnika opracowała

J.G.



Dzieci z ochronki w Jabłonkowie – 1928
Od lewej: kierowniczka przedszkola Amalia Wertfein i dyr. Rudolf Paszek z córką Jadzią

Jako očitý svědek bývalý člen Policejního Ředitelství v Čes. Těšíně - pobočky v Jablunkově v době převratu v říjnu 1938 r., potvrzuji tímto, že Rudolf P a s z e k , jako starosta města Jablunkova, byl lojální vůči Čechů v době převratu. Na dvou všeobecných projevech v Jablunkově 1.10.1938 před radnicí a 2.10.1938 na náměstí pohrozil trestem každému, kdožby srazil alespoň jeden vlas Čechovi s hlavy. Češi spokojně mohli opustiti Jablunkov, žádnému se křivda nestala a byty těch, kteří předčasně je opustili, střežila přes něho sestavena Občanská milice a později polské vojsko. Památní desku pres. Masaryka na přání Čechů odeslal jim nepoškozenou. Někteří Češi, np. pp. Kučera Fr., lékarník, kněz Hanzlík Josef, Leflík Fr. majitel píly, Starý Josef i Václav zůstali dále v Jablunkově, nejen, že nebyli utiskováni, ale dále klidně pracovali za jeho podpory. Za jeho přičiněním Starostwo v Cieszynie vypustilo na svobodu občany české národnosti ze sousední vesnice Písku, a to řídícího učitele Procházku a jeho otce. Bývalý správce policejního ředitelství - pobočky v Jablunkově p. Lérka měl k němu úplnou důvěru, svěřil mu klíče od soukromého bytu až do převezení nábytku.

Jablunkov, dne 6.9.1945.

KONCERT WIOSENNY

13 kwietnia w Domu Kultury w Trzyńcu odbył się tradycyjny już Koncert Wiosenny w wykonaniu Trzynieckiej Orkiestry Kameralnej (która w tym roku obchodzić będzie 30-lecie istnienia, a która często towarzyszyła artystycznym wojażom PZŚ Hutnik), Żeńskiego Chóru Kameralnego Camerata z Trzyńca – w obu wypadkach pod batutą Aleny Kostkowej oraz gościnnie występującego Bratysławskiego Chóru Akademickiego pod batutą Lubicy Halowej.

W tym pięknym koncercie wokalno-muzycznym wziął udział Václav Štývar, zasłużony dyrygent wielu trzynieckich czeskich chórów, który wysłuchał tu m.in. prapremiery swego utworu wokalnego „Laudamus te musica", prezes PZŚ Hutnik Jan Hławiczka z żoną oraz były dyrygent Hutnika Cezary Drzewiecki.

Kameralnie (we foyer sali teatralnej) zebrana publiczność wysłuchała utworów instrumentalnych Albinoniego, Telemanna i Corellego oraz utworów wokalnych O. di Lasso (chór z Trzyńca i Bratysławy), dawnych i współczesnych kompozytorów światowych, czeskich i słowackich.

Czeską prapremierę miała także w Trzyńcu (chór i orkiestra) „Mała msza" („Malá omša") słowackiego kompozytora V. Kubička, utwór ciekawy, świadczący o tym, że współcześni kompozytorzy nadal jeszcze sięgają po tematykę religijną w swej twórczości, w tym wypadku z powodzeniem.

(kaja)

WYCIECZKA I PRELEKCJA

Stowarzyszenie Elektrotechników Polskich w RC urządziło 15 kwietnia wycieczkę do elektrociepłowni Cieszyn, która wchodzi w skład spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Energetyka Cieszyńska z siedzibą w Bielsku-Białej. Wzięli w niej udział Tadeusz Toman, przewodniczący SEP, Andrzej Macura, Zygmunt Stopa, Władysław Niedoba, Witold Stopa, Jadwiga Karolczyk oraz Bogusław Michałek, który był inicjatorem tej wizyty. Delegację przyjął Andrzej Surzycki, dyrektor naczelny, oraz Józef Górski, specjalista ds. rozbudowy ciepłowni. Zaolziakom umożliwiono zapoznanie się z przeszło 90-letnią historią elektrociepłowni oraz obejrzenie urządzeń technologicznych. Obie strony uzgodniły, że współpraca między Energetyką Cieszyńską i SEP będzie poszerzona o dyskusję fachowców i samorządowców nt. ciepłownictwa, ochrony środowiska naturalnego itp.

Natomiast 18 kwietnia SEP zorganizował prelekcję nt. rocznicy tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury. Prelegentem był Józef Przywara, który w ciekawy sposób, wykorzystując materiały archiwalne (fotografie), przybliżył uczestnikom prelekcji omawianą problematykę. Impreza odbyła się w ramach roku obchodów 70. rocznicy tragicznej śmierci Żwirki i Wigury.

T.T.

KONWENT PREZESÓW

Stan przygotowań do Festiwalu PZKO był jednym z głównych punktów omawianych podczas Konwentu Prezesów. Na Konwent, który odbył się 24 kwietnia w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie, przybyło 51 prezesów Miejscowych Kół PZKO. Za stołem prezydialnym zasiedli prezes Zarządu Głównego Zygmunt Stopa, wiceprezesi Jerzy Stala i Tadeusz Szkucik, członek ZG PZKO Jan Zyder, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Festiwalu PZKO, oraz dyrektor biura ZG Bohdan Suchanek.

Prezes ZG Zygmunt Stopa poinformował zebranych, że nie wszystkie Koła zastosowały się do uchwały poprzedniego Konwentu, w myśl której do 24 kwietnia należało wykupić składki członkowskie na rok bieżący. Na razie zrobiły to dwie trzecie Kół.

Wiceprezes ZG i przewodniczący Rady Ekonomiczno-Organizacyjnej Jerzy Stala przedstawił analizę gospodarowania za rok 2001. Wynik gospodarczy jest minusowy i wynosi minus 350 tysięcy koron. Dużą część tej sumy tworzy jednak amortyzacja środków trwałych. Dodatnimi pozycjami w tabelce są publikacje i Kostiumeria.

Leopold Morawiec, troszczący się m.in. o Ośrodek ZG PZKO w Koszarzyskach, zwrócił uwagę na fakt, że należałoby w niego zainwestować, by podnieść jego atrakcyjność. Mimo bardzo niskich cen za wynajęcie korzysta z niego niewielu wypoczywających.

Jerzy Stala zapoznał też prezesów z budżetem na rok 2002. Planowany wynik gospodarczy wynosi plus 845 tysięcy koron, najwyższą pozycją jest 500 tysięcy koron za wynajęcie pomieszczeń, natomiast minusowe liczby przewidywane są w pozycjach sekretariat ZG oraz działalność kulturalno-oświatowa.

C.R.

MISTRZ KRZYŻÓWEK PRZEKROJU

Po raz drugi wzięła udział i po raz drugi została mistrzem w zorganizowanych przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie zmaganiach miłośników krzyżówek Przekroju, które odbyły się 24 kwietnia, Halina Pasekowa. Stało się tak po dogrywce pomiędzy nią i uczestniczącą w konkursie od początku jego trwania wielokrotną jego laureatką Zofią Göbel. Trzecie miejsce zajęła Wiesława Branna. Zwyciężczyni otrzymała roczną prenumeratę Przekroju, ufundowaną przez wydawnictwo Edipresse Polska SA.

Konkurs o tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju odbył się w bibliotece frysztackiej już po raz ósmy. Przebiegał jak co roku w dwu kategoriach, oprócz tej poważniejszej – indywidualnej była też kategoria bardziej rodzinna czy towarzyska – parami. W tym roku w tej kategorii najlepiej wypadli Alicja i Karol Bartulcowie. Otrzymali nagrody książkowe ufundowane przez Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki.

C.R.

50 LAT DZIAŁALNOŚCI MK PZKO W KARWINIE NOWYM MIEŚCIE

Miejscowe Koło PZKO w Karwinie Nowym Mieście rozpoczęło swoją działalność w ówczesnym Stalingradzie, kiedy nowa dzielnica Karwiny przypominała wielki plac budowy. Nowymi mieszkańcami osiedla byli ci, którzy musieli wyprowadzić się z walących się domów na Sowińcu, Hoenegrze, Granicach, Handrychowie, Solcy i innych. Założycielami Koła w roku 1952 byli Alfred Gąsior (pierwszy prezes), Józef Mierzwa, Helena Raszkowa, Maria i Rudolf Stalowie, Wilhelm i Franciszek Schmidtowie oraz Anna Zawadzka. Od samego początku praca Koła była związana ze szkołą i dzięki dobrej współpracy z dyrektorami Leonem Janiurkiem, Józefem Mierzwą, Bronisławą Nyklową i Jadwigą Palowską mogło Koło organizować swoje akcje w szkole. W roku 1961 została rozpoczęta budowa przybudówki szkoły. Przy budowie wspólnie pracowali rodzice uczniów oraz członkowie PZKO. Wielką zasługę w powstaniu przybudówki miał Bernard Pawlas, który był długoletnim prezesem SRPSz i MK PZKO. W zamian za pomoc członków PZKO przy budowie przybudówki oraz za dary pieniężne na rzecz przybudówki otrzymało MK PZKO jeden lokal na swoją działalność kulturalno-oświatową. W roku 1975 doszło do przebudowy świetlicy i przemieszczenia jej z pierwszego piętra do lokalu na parterze z osobnym wejściem. Pracami tymi kierował długoletni prezes Koła Stanisław Mrózek. Tradycyjnymi imprezami Koła są bale, Józef zaprasza panie, smażenie jajecznicy, placków ziemniaczanych, wystawy i sprzedaż książek, wigilijki, wycieczki oraz prelekcje na różne tematy. Koło wydaje raz na kwartał Informator, który informuje członków o imprezach szkoły, naszego oraz innych Kół PZKO i imprezach ogólnozwiązkowych. Znajdują się tam także życzenia z okazji życiowych jubileuszy naszych członków. Nasze Koło dobrze współpracuje ze szkołą i przedszkolem, któremu pokrywa koszt abonamentu TL Bajka. Oprócz tego Koło wspiera darami karwińskie szkoły i przedszkola oraz Polskie Gimnazjum. W ubiegłym roku nasi członkowie razem z zarządem naszego Koła przekazali 20 tys. koron dla powodzian w Polsce. W tym roku ofiarowaliśmy 2 tys. dla ośrodka niepełnosprawnych Galaxia. Pieniądze naszych członków są przeznaczane na rzeczy pożyteczne. Nasze Koło się starzeje. Jest coraz mniej chętnych do pracy w zarządzie i rejonach. Cały zarząd na czele z prezesem Eugeniuszem Hermanem musi się mocno napracować, by przygotować akcje Koła. Członkowie zarządu oprócz swych funkcji pełnią również funkcje rejonowych. Wszystkim członkom, którzy pracowali w przeciągu tych 50 lat, należą się serdeczne podziękowania. Oby nasza młodzież zechciała się włączyć do pracy na niwie pezetkaowskiej.

Tyle historii, którą w imieniu Zarządu MK PZKO Karwina Nowe Miasto przedstawiła zebranym na uroczystych obchodach jubileuszu Koła Krystyna Sikora. A sala widowiskowa Domu Kultury w Karwinie Nowym Mieście tętniła młodością, bo pierwszą część programu w opracowaniu grona nauczycielskiego Polskiej Szkoły Podstawowej i przedszkola pod kierownictwem dyr. Jadwigi Palowskiej zaprezentowały dzieci i młodzież. 20 kwietnia było radośnie, kolorowo i optymistycznie. Na scenie kolejno zaprezentowały się: chór szkolny, przedszkolaki, grupa tańca nowoczesnego, szkolny teatrzyk, zespół Gizdy i gościnnie absolwentki szkoły Alicja Herman i Helena Lugsch oraz Adaś Sikora ze swym dziadkiem Otakarem Winklerem. Nie po raz pierwszy rewelacją okazały się przedszkolaki, które tym razem wcieliły się w role cyrkowców. Wspaniali byli młodzi konferansjerzy, swobodnie posługujący się językiem polskim. Autorką scenariusza programu była dyr. Jadwiga Palowska. Nie ulega wątpliwości, że w nowomiejskiej szkole ciągle rodzą się talenty, które odpowiednio pokierowane stanowią wizytówkę szkoły. Toteż zawsze, kiedy pojawiają się na różnego rodzaju konkursach uczniowie tej placówki, sukces murowany.

W drugiej części jubileuszowej akademii wystąpił powszechnie lubiany Zespół Śpie-


CYRK







waczo-Muzyczny Przyjaźń pod kierownictwem artystycznym i dyrygenckim Józefa Wierzgonia wraz z solistami Grażyną Wilk, Adelajdą Pasz-Szymik i Władysławem Czepcem. Z przyjemnością wszyscy wysłuchali znanych arii operowych i operetkowych.

O tym, że działalność Koła Karwina Nowe Miasto jest ceniona i dobrze postrzegana, świadczyli swoją obecnością w sali Miejskiego Domu Kultury goście: zastępca burmistrza Karwiny Gabriela Mrózek (osoba, której karwińscy Polacy wiele zawdzięczają na zdjęciu wyżej składa życzenia prezesowi Eugeniuszowi Hermanowi), prezes Rady Kongresu Polaków Józef Szymeczek, przewodniczący ZG PZKO Zygmunt Stopa. Stronę polską reprezentował starosta powiatu cieszyńskiego Witold Dzierżawski. Z Warszawy do Zarządu Koła nadszedł list od prezesa Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzeja Stelmachowskiego, w którym m.in. czytamy: *Niech mi będzie wolno złożyć Państwu wyrazy szacunku i uznania dla pełnej zaangażowania pracy, której celem jest szerzenie kultury polskiej, podtrzymywanie tradycji i mowy przodków. Gratuluję wspaniałego jubileuszu, życząc dalszych sukcesów i satysfakcji z działalności na rzecz diaspory polskiej.* E.S.





Fot. OTTO SANTARIUS i ZBIGNIEW DELONG

DO ŹRÓDEŁ OLZY

Po raz drugi z okazji Dnia Ziemi wyjechali 21 kwietnia z Lasku Miejskiego w Jabłonkowie pod leżącą po polskiej stronie Gańczorkę rowerzyści – uczestnicy rajdu Rowerem do źródeł Olzy. Głównym organizatorem był Klub Propozycji Miejscowego Koła PZKO Czeski Cieszyn Centrum, którego przewodniczący Władysław Kristen wymyślił imprezę i czuwał nad sprawnym przebiegiem całości. Pomagali mu członkowie m.in. ZG PZKO, Beskidu Śląskiego, MK PZKO w Jabłonkowie. W Jabłonkowie pożegnał 140 rowerzystów burmistrz miasta Petr Sagitarius. Granicę przekroczono ponownie poza oficjalnym przejściem. Za granicą dołączyli kolarze z Polski. Przy źródle Olzy pod Gańczorką odbył się w obecności wójta Trójwsi Danuty Rabin Apel Ziemi, zabrzmiały wiersze Anieli Kupiec i Jana Pyszki, pieśni patriotyczne i góralskie – beskidzkie oraz gawęda Józefa Brody. W schronisku w Istebnej posilili się następnie uczestnicy rajdu smaczną grochówką.

Po powrocie podsumowano imprezę. Nikomu z uczestników nie trzeba było udowadniać, że była ona udana. Za rok odbędzie się trzeci już rajd rowerowy. To dosyć czasu, by poćwiczyć jazdę na rowerze i przekonać wszystkich malkontentów, że dadzą radę przejechać w jeden dzień czterdzieści kilometrów. Natomiast na wycieczkę pod Gańczorkę bez rowerów zaprasza Władysław Kristen we wrześniu. Podkreśla, że trzeba mówić głośno o drodze wzdłuż Olzy w Bukowcu do granicy i dalej, drodze, na której nie ma oficjalnego przejścia granicznego, a szkoda, bowiem jej łagodna linia bez stromych wzniesień łatwiejsza jest do pokonania.

C.R.



KU CZCI OFIAR WOJNY

26 kwietnia w Czeskim Cieszynie z inicjatywy Koła Polskich Kombatantów w RC odbyła się uroczystość wspomnieniowa z okazji 60. rocznicy utworzenia stalagu VIII B i 57. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Po nabożeństwie ekumenicznym w kościele rzymskokatolickim, któremu przewodzili ks. Piotr Badura, ks. senior Bogusław Kokotek i kapelan wojskowy ks. major Zbigniew Kowalczyk, zebrani udali się pod pomnik na Konteszyńcu, gdzie złożyli kwiaty. Przemówienia wygłosili prezes Koła Polskich Kombatantów Bronisław Firla i burmistrz Czeskiego Cieszyna Henryk Sznapka. W uroczystości uczestniczyli także m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i ambasador Włoch w RC Paolo Fiaola. (red.)



Fot. BOGDAN PRYMUS

KONCERT WIOSENNY W NAWSIU

Wypełniona po brzegi sala Domu PZKO w Nawsiu rozbrzmiewała pieśnią i muzyką. W tradycyjnym Koncercie Wiosennym organizowanym przez MK PZKO w Nawsiu, jaki odbył się tam 28 kwietnia, wystąpił gościnnie chór Collegium Canticorum pod batutą Haliny Goniewicz-Urbaś oraz miejscowy chór żeński Melodia pod batutą Aleksandry Zeman. Koncert jego organizatorzy poświęcili 211. rocznicy Konstytucji 3 Maja.

Chór Collegium Canticorum zaprezentował bogaty przekrój swego repertuaru – razem jedenaście pieśni – obok utworów polskich kompozytorów E. Maćkowiaka, St. Wiechowicza i R. Twardowskiego zabrzmiały w oryginale pieśni F. Suchoňa („Čerti"), Zoltana Kodalyego („Túrót eszik a cigány"), F. Rubcowa („Vjeniki") oraz spiritual.



Chór Melodia MK PZKO w Nawsiu zaprezentował pieśni polskie z klasycznego repertuaru: „Mazur" E. Burego, „Daj ci, Boże" Wł. Sołtysika, „Som, som, som" St. Wiechowicza, „Etiuda" F. Chopina, „Dom w Czarnolesie" J. Świdra oraz „Prząśniczka" St. Moniuszki.

Obydwa chóry ponownie potwierdziły zasłużone czołowe pozycje, jakie zajmują wśród zaolziańskich zespołów śpiewaczych. Chór Melodia w dodatku, w porównaniu z większością naszych chórów, zaskakuje znaczną ilością młodych twarzy!

Koncert Wiosenny uświetniły swymi występami harfistki – wszystkim miłośnikom muzyki dobrze znana, popularna nie tylko na Zaolziu Ewa Jaślar-Walicka ze swą uczennicą Anią Trefon. W ich wykonaniu zabrzmiały między innymi utwory takich sław, jak J. S. Bach, G. F. Händel, G. Gershwin.

Harfa na pewno należy do instrumentów niezmiernie trudnych. Różniące się, rzecz jasna, opanowanie tego dawnego instrumentu w rękach nauczycielki i uczennicy niezmiennie wprowadzało publiczność w zachwyt. Pozwolę sobie zacytować głos zasłyszany w przerwie z sali, który w jakże prosty i szczery sposób określa zachwyt nad brzmieniem harfy: Jak one trafiają na właściwe struny, przecież jest ich tam tyle?...

F.B.








MVD

MARIAN BIELESZ

kandydat nr 3 KOALICJI w Wyborach 2002

wiek: 38 lat | miejsce zamieszkania: Czeski Cieszyn

- członek Rady Miejskiej w Czeskim Cieszynie
- członek Przedstawicielstwa Okręgu Morawsko-śląskiego w Ostrawie

POLITYKA JEST RZECZĄ TRUDNĄ, ALE NIE POWINNA BYĆ RZECZĄ BRUDNĄ.

Twój głos też może zadecydować

Jako mieszkaniec Czeskiego Cieszyna czuję się związany z naszym regionem i jego potrzebami.

Jako tutejszy Polak będę dbał o prawa mniejszości narodowych w RC.

Jako ojciec trójki dzieci dobrze rozumiem problemy polskiego szkolnictwa mniejszościowego.

Przez sześć lat zdobywałem doświadczenia w polityce komunalnej na poziomie miasta i okręgu.

Jestem przekonany, że nasza zaolziańska społeczność potrzebuje swojego reprezentanta w Parlamencie RC.

25 KOALICE

MUZYCZNY KLUBOTURNIEJ

W wędryńskiej Czytelni odbył się 27 kwietnia zorganizowany jak co roku przez Radę Młodzieży Zarządu Głównego PZKO, prowadzony przez przewodniczącego tej Rady Tadeusza Szkucika oraz członków ZG PZKO Barbarę Bulawę i Andrzeja Suchanka, konkurs wiedzy i zręczności Kluboturniej. Wzięło w nim udział dziesięć dwuosobowych drużyn o pomysłowych niekiedy nazwach. Zawodnikami byli nie tylko przedstawiciele młodej generacji. Nie bali się stanąć z nimi do walki reprezentanci pokolenia ich rodziców.

W pierwszej konkurencji, którą był test o Zaolziu, lepiej wypadły drużyny „seniorów". Jednak w konkurencjach nazwanych Jaka to melodia oraz Jeden z dziesięciu o polskim rocku ogólnie lepsi okazali się młodsi zawodnicy. Były też zawody, które można by umownie nazwać sportowymi. Najpierw łapanie „piłeczki", którą był firmowy cukierek w papierku, wydmuchiwanej z tuby, potem baseball. Ostatnią konkurencją turnieju było picie na czas kielichów wody. Najwięcej punktów zdobyła i zwycięzcą Kluboturnieju została męska drużyna „Hubkelerub", miejsca za nią zajęły drużyny „Kołek" i „Wędrynia".

Wieczór zaś pełen był muzyki, odbył się bowiem koncert zaolziańskich zespołów rockowych Arzia i P.Metoda. Koncert przygotowany przez Klub Młodych Fala z Oldrzychowic połączony był z chrztem płyty „Wciąż ci sami" zespołu Arzia, którego dokonał wspólnie z Grażyną Sikorą prowadzący wieczór Bogdan Kokotek.

C.R.

DROPS BAWIŁ I BAWI OLBRACHCICE

Każdy nasz Dom PZKO ma swoich budowniczych, swoją atmosferę, swoje zespoły, bywalców, pasjonatów. I Dom PZKO w Olbrachcicach ma swój teatrzyk Drops pod kierownictwem Jadwigi Czap. Ten teatrzyk dziecięcy istnieje, z małą przerwą, od roku 1983. Tak więc na prezentacji jego czwartej i piątej edycji 27 kwietnia byli obecni i dawni aktorzy Dropsa, teraz już tylko jako rodzice aktorów aktualnie występujących na scenie.

Wznowiony, odmłodzony Dropsik i Drops to po dwanaścioro dzieci w każdym, które próbują w Domu PZKO pierwszych (i drugich) kroków na scenie. Próbują raz w tygodniu, każda grupa po godzinie.

Dropsik, którego najmłodszy członek – Lenka – miała na swym scenicznym starcie trzy latka, ugościł publiczność opartym na ruchu scenicznym widowiskiem „Goiczek zielony".

Starszy – Drops – wystawił widowisko „Żałosne przygody diabła Fajferka" w oparciu o teksty Gustawa Morcinka opracowane dla Dropsa przez Jadwigę Czap.

Wśród gorących braw publiczności Dropsowi, Dropsikowi i pani Jadwidze Czap złożyli gratulacje prezes MK PZKO Olbrachcice Iwona Gunkowa, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa wraz z zasłużonym dla amatorskiego ruchu teatralnego PZKO Otokarem Matuszkiem. **F.B.**











MISTRZOSTWA POLSKICH SZKÓŁ W PŁYWANIU

Dzień 30 kwietnia 2002 roku można uważać za datę powstania nowej imprezy sportowej dla uczniów polskich szkół w Republice Czeskiej, która ma się stać, obok Igrzysk Lekkoatletycznych i Zjazdu Gwiaździstego, tradycją.

Inicjatorką tego godnego uwagi przedsięwzięcia jest dyrektor Polskiej Szkoły Podstawowej im. Stanisława Hadyny w Bystrzycy Wanda Tomčala. Powstanie pierwszych otwartych Mistrzostw Polskich Szkół w Pływaniu jakby sprowokowały wspaniałe warunki, jakie zaistniały w kompleksie szkół podstawowych w Bystrzycy nad Olzą w momencie wybudowania tam dużego, wysokiej klasy krytego basenu pływackiego.

Okazałe, dobrze przygotowane zawody pływackie miały charakter międzynarodowy. Uczestniczyło w nich razem 13 szkół podstawowych z powiatów Frydek Mistek i Karwina oraz z Polski. Obok zaprzyjaźnionej z bystrzycką PSP Szkoły im. St. Hadyny z Chorzowa Maciejkowic z Polski w Mistrzostwach udział wzięli uczniowie szkół z Łodygowic, Istebnej i Zamarsk.

Drużyny poszczególnych szkół liczyły po osiem zawodników. Dzieci startowały w następujących dyscyplinach pływackich: styl klasyczny oraz kraul w kategoriach klas VI–VII i VIII–IX dziewczyn i chłopców, zaś na zakończenie reprezentacje każdej z uczestniczących szkół złożone z 2 dziewczyn i 2 chłopców ścigały się w sztafecie 4 x 50 m w stylu dowolnym.

Trzeba powiedzieć, że do najlepszych pływaków indywidualnych należeli biorący udział w Mistrzostwach uczniowie bystrzyckiej czeskiej szkoły.

W punktacji polskich szkół na pierwszych trzech miejscach uplasowały się kolejno: PSP Trzyniec 1, PSP Bystrzyca, PSP Czeski Cieszyn. W punktacji generalnej: 1. miejsce zajęła PSP Bystrzyca. Tytuł mistrzowski zdobył Trzyniec 1, za nim uplasował się Czeski Cieszyn, a gospodarze – PSP Bystrzyca – zajęli 3. miejsce. Na pierwszych miejscach w poszczególnych kategoriach indywidualnych wśród zawodników polskich szkół znaleźli się następujący uczniowie: Barbara Kuś (PSP Czeski Cieszyn), Diana Frencel (PSP Trzyniec 1), Marek Konderla (PSP Bystrzyca), David Šotkovský (PSP Bystrzyca), Ewa Polak (PSP Czeski Cieszyn), Beata Samiec (PSP Trzyniec 1), Adrian Konderla (PSP Bystrzyca), Maciej Szymik (SP Łodygowice). W zawodach sztafet zwyciężyli uczniowie PSP Bystrzyca.

Następne Mistrzostwa za rok. Odbędą się na pewno ponownie w Bystrzycy. Dyskutowany jest tylko termin. Może odbędą się jesienią, w połowie między Igrzyskami Lekkoatletycznymi a Zjazdem Gwiaździstym. W pierwszych Mistrzostwach Polskich Szkół w Pływaniu wzięło udział 104 uczestników, chociaż nie wszystkie szkoły wysłały swych reprezentantów. Wierzymy, że w drugich już tak nie będzie, bo na pewno warto!

F.B.

WYSTAWA MK PZKO BYSTRZYCA



Co dwa lata w Domu PZKO w Bystrzycy ma miejsce wystawa, której organizatorami są członkowie Miejscowego Koła, a przede wszystkim działaczki Klubu Kobiet z przewodniczącą Anną Kantor na czele. Za każdym

razem zwiedzających uderza bogactwo eksponatów, które z trudem znajdują miejsce w obszernej sali Domu. Widać, że w Bystrzycy panie z pietyzmem podchodzą do tradycyjnych ozdób, czyniących mieszkania przytulnymi. Bo jakże miło jest zasiąść do stołu nakrytego białym czy kolorowym obrusem ozdobionym haftami wykonanymi przez babcię czy mamę. A obrusów, serwetek, sweterków, małych i dużych było w bród. Ponieważ wystawa ma pokazać wszystko, czym panie zajmują się w ciągu całego roku, toteż są na niej również kąciki okazjonalne – świąteczne – na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Oczywiście na wystawie nie mogło zabraknąć stroju ludowego, gwoli podkreślenia, że w Bystrzycy tradycja ma swoje znaczenie. Współczesnymi akcentami wystawy były aranżacje bukietów z kwiatów świeżych i suszonych przygotowane prze z Grażynę Rusz, obrazki z nasion robione przez Halinę Lasotę i ręcznie zdobione świece na różne okazje wykonane przez Jankę Wałach.

4 maja wystawę obejrzało i posmakowało bystrzyckich smakołyków wiele osób, wśród których nie zabrakło delegacji Sekcji Kobiet ZG PZKO z jej przewodniczącą Henryką Żabińską na czele. Sympatycznym i tradycyjnym już akcentem wystawy, zazwyczaj jak wszystkie inne utożsamianej z działalnością kobiet, są panowie prezentujący i sprzedający swoje wyroby: deseczki do mięsa i słynne bystrzyckie miotły.

E.S.

INAUGURACJA EKUMENICZNEJ WSPÓLNOTY

Z okazji 211. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja oraz obchodzonego 2 maja po raz pierwszy Dnia Polonii i Polaków za Granicą w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie odbyło się nabożeństwo ekumeniczne, którego inicjatorem był Kongres Polaków w RC. Śląski Kościół Ewangelicki Augsburskiego Wyznania reprezentowali ks. biskup Vladislav Volny, który wygłosił kazanie o umiłowaniu ojczyzny, tolerancji i jedności, oraz zastępca biskupa Jan Cieślar i ks. senior Bogusław Kokotek. Ze strony Kościoła katolickiego we wspólnej modlitwie wzięli udział przeor Wspólnoty Bonifratrów w Cieszynie o. Damian Wasilew oraz jezuita ks. Piotr Badura z tutejszej parafii. Wspólnej modlitwie towarzyszył śpiew chórów reprezentujących dwie czeskocieszyńskie parafie ewangelicką i katolicką. Refleksje na temat Konstytucji 3 Maja wygłosił prezes Kongresu Polaków w RC Józef Szymeczek. Wśród wiernych zgromadzonych w świątyni obecna była konsul Małgorzata Filipek.

Wspólne nabożeństwo to inauguracja ekumenicznych spotkań w ramach nowego Stowarzyszenia Inteligencji Chrześcijańskiej.

E.S.

Foto w kronice (poza str. 36 i 37) FRANCISZEK BAŁON

ZABYTKOWE OBIEKTY PRZEMYSŁOWE W PLASTYCE

Od 18 kwietnia do końca maja otwarta była w salach wystawienniczych Starego Zamku w Żywcu szósta wystawa z cyklu Zabytki architektury województwa śląskiego nazwana Zabytkowe obiekty przemysłowe w malarstwie, rysunku, grafice i fotografii.

W wydanym z okazji wystawy katalogu, który zdobi „Kopalnia Węgla Kamiennego Franciszek w Suchej Górnej" Bronisława Firli, czytamy m.in.: *Gwałtowny rozwój przemysłu w II połowie XIX wieku zaowocował powstaniem licznych fabryk i przedsiębiorstw. Rosnący w siłę przedsiębiorcy budowali coraz to nowe, bardziej wyrafinowane architektonicznie obiekty fabryczne, które oprócz nowatorskich rozwiązań konstrukcyjnych i technicznych miały ambicje posiadania walorów estetycznych. Prezentacja obiektów fabrycznych i utrwalenie ich w formie plastycznej szczególnie dziś znajduje głębokie uzasadnienie. Czas zaciera ślady i nierzadko bezpowrotnie ginie to, co było ważnym elementem miast, nadawało im specyficzny urok czy koloryt i stanowiło o ich charakterze.*

Wśród kilkudziesięciu prac znalazły się na wystawie także akcenty zaolziańskie: akwarele Bronisława Firli i rysunki Józefa Dronga.

C.R.



BRONISŁAW FIRLA – Kopalnia węgla kamiennego „Franciszek" z końca XIX w. – akwarela

JAN TWARDOWSKI

KŁOPOTY ZAKOCHANYCH

zakochani mówili
- przecież nie do wiary
czy to prawda może się nam zdaje
czy tak łatwo się spotkać cierpiącym na miłość
w świecie w którym kłopoty nasze nie ustaną
bo jak diabeł ucieknie odejdzie i anioł
jesteś i nie ma ciebie. Ten sam znowu inny
trochę na odczepnego i trochę na niby
jak len co kwitnie niebiesko biało i różowo
choć świat i zmierzch sprawia że inne kolory
czy to ty jesteś blisko jakbyś słuchał serca
i jak matka przechodzisz przez środek sumienia
jesienią deszcz zasłania zimą śnieg zabawny

ten którego się kocha jest wciąż niewidzialny

KRÓTKA I DŁUGA

miłość krótka zaboli jak odcisk nie w porę
jak jęczmień co czerwienieje gdy na deszcz się zbiera
zresztą dajcie mi spokój
tłumaczy się sama
najgorsza miłość długa ale nie do końca

NIECIERPLIWA

miłość niecierpliwa
nie na zawsze
za mała
pożal się Boże
w dawnych listach została
ślamazara
skończyć się nie
może
rodzi się od razu
umiera za długo

JEŚLI MIŁOŚĆ

najpierw nie chcieli uwierzyć
więc mówili do siebie
że ich miłość za wielka
nieobjęta jak liście
za wysokie za bliskie
potem że to nieprawda
przecież tak jest ze wszystkim

lecz Ty co znasz ptaki po kolei
i buki złote
wiesz że jeśli miłość to tak jak wieczność
bez przed i potem

JEST MIŁOŚĆ TRUDNA

jest miłość trudna
jak sól czy po prostu kamień do zjedzenia
jest przewidująca
taka co grób zamawia wciąż na dwie osoby
niedokładna jak uczeń co czyta po łebkach
jest cienka jak opłatek bo wewnątrz wzruszenie
jest miłość wariatka egoistka gapa
jak jesień lekko chora z księżycem kłamczuchem
jest miłość co była ciałem a stała się duchem
i ta co nie odejdzie - bo znów niemożliwa

Wiersze pochodzą ze zbiorku poezji księdza Jana Twardowskiego „Wiersze", który ukazał się w Wydawnictwie Łuk w Białymstoku w 1995 roku.

WIESŁAW ADAM BERGER

LATO 1994 FIUMARE

(Fragmenty)

VI

Nadal dzień czwarty. CAPRI.

Przeszłość i przyszłość są dla mnie tym samym
(-) dusza potrzebuje więcej miejsca niż ciało
Axel Munthe

W Orłowej (Zaolzie), w Międzylesiu, za gimnazjum im. Juliusza Słowackiego Na Obrokach - moi dziadkowie (po mieczu) w czasach I Republiki Czechosłowackiej zbudowali dom, w którym później, na górze (w tzw. giblu) zamieszkała profesorka języków obcych, zwłaszcza angielskiego, filozof - kosmopolita Aurelie Dostal. Jej świat, to świat wolnomyślicieli, dla których światłem była bezkresna, niczym nie ograniczona filozofia Krisznamurtiego. Filozofię tę mogli pojąć tylko ludzie samodzielni, była ona dla komuny solą w oku. Czerwoni nie znosili samodzielności. Nie mieli pojęcia o demokracji. Ich filozofia to coś w rodzaju nierównej „równości", transparentyzm z brodatymi na patyku - coś w rodzaju lizaków. Krisznamurtiemu - dzięki Miss Dostal - wiele zawdzięczam. Niestety, nie ma już Miss Dostal, zniknął nawet jej grób, gimnazjum Słowackiego i dom się zawaliły, podkopane kopalnianą filozofią: kto więcej wyeksploatuje (tzw. „udarnicy").

Od Miss Dostal - w najgorszych latach totalitaryzmu stalinowskiego - otrzymałem (żeby jakoś przeżyć) „Księgę z San Michele" - „The story of San Michele" Axela Munthe. Uwielbiała tego niezwykłego pisarza, a zarazem lekarza; Munthe - był jej bratnią duszą. Po przeczytaniu książki myślałem i odczuwałem to samo. Pisarz stał się moją miłością - pomagał żyć wśród niewoli umysłów. I wreszcie po odejściu demoludów razem z Madeleine znalazłem się na Capri.

Moje podróżowanie po mojej „Itace" - Italii odbywało się i nadal odbywa pod wezwaniem Axela Munthe.

Droga do „Itaki" prowadziła poprzez bardzo mi bliskie Alpy, w których żyłem prawie rok w Villard de Lans, nad Grenoble, w Gimnazjum

i Liceum im. Cypriana Kamila Norwida, poprzez Paryż - gimnazjum w Houilles, później gimnazjum Słowackiego zwane „Kuźnią" w Orłowej - Zaolzie, Wenecję, Florencję, Rzym, MONTE CASSINO, Neapol, gdzie, przy via Crispi, mieszka mistrz pióra Gustaw Herling-Grudziński, poprzez Piano di Sorrento i wreszcie samo Sorrento, a stąd Morzem Tyreńskim dotarłem z Madeleine i jej szkicownikiem na Wyspę...

Fale kołyszą ciężkim okrętem „Como". Morze falującej wody, horyzont, morze przechodzi w niebo, a niebo, pochylając swój nieboskłon, wchodzi w morze i nawet kolory się nie różnią. Natomiast z drugiej strony skaliste góry, na które wspinają się piniowe lasy, ale tylko do pewnej wysokości, a u ich stóp domy z kościołem całe w bieli, zalane słonecznym światłem poranka. Oddalając się od Sorrenta, zbliżamy się do wyspy, która rośnie w oczach, opatulona - niczym panna młoda - w welon przeźroczystej mgiełki... A kiedy z wód wystąpiła ziemia, stała się domem ludzi. Oto CAPRI z portem całym w kolorach przeróżnych łódek, żaglowców, statków i okrętów, i białym dużym parowcem, bo z kominem „Caremar". Atmosfera krajobrazu, a zwłaszcza zieleń przypomina Święto Wielkiej Nocy - Zielone Święto (hosanna, a potem ukrzyżuj - to też po ludzku?).

Życie pulsuje tu jak zdrowe serce, chociaż i tu nowoczesność zrobiła swoje, ale jeszcze nie jest tak źle. Nadal patrzę oczami tamtych lat, kiedy wylądował tu Axel Munthe: *Świat, w którym żyliśmy wczoraj, nie był światem dzisiejszym. Niewzruszenie i bez odpoczynku zmierza on przez nieskończoność do zagłady, my zaś idziemy wraz z nim. (-) właściwie do pośpiechu nie ma powodów; możemy być zupełnie pewni, iż osiągniemy cel we właściwym czasie.*

Zawsze trudno mi uwierzyć - kiedy znajdę się w krajobrazie, o którym udało mi się tylko czytać i marzyć - że jestem tu naprawdę. Tym razem rzeczywiście statek „Como", cały jakby z żelaza, przycumował w przystani: CAPRI.

Bez przypomnienia słów Axela Munthe trudno by było zaistnieć w tym święcie. „Ruchome święto" - jak mawiał Hemingway. *Zanurzyliśmy kotwicę w przystani na Capri. (-) Wyskoczyłem na brzeg z łodzi, która przywiozła mnie z Sorrento. Chłopcy gromadami bawili się między przewróconymi łodziami i kąpali w przypływie fal swe smukłe, brązowe ciała. Starzy rybacy w czerwonych frygijskich czapkach łatali przed szopami sieci. Po drugiej stronie przystani stało sześć osiodłanych osłów w uprzężach ozdobionych bukietami kwiatów. Przy nich tyleż dziewcząt tańczyło i śpiewało, każda miała w czarnych włosach wpięte srebrne spadella (spinka w kształcie strzały), a na ramionach zarzuconą czerwoną chustkę. Osiołek, który miał mnie zawieźć na Capri, nazywał się Rosina, a dziewczynie na imię było Gioia.*

Jestem tu - o ile mi się to nie śni - o wiele, wiele lat później. Tamte lata

musiały tu być romantyczną poezją. Teraz nie było ani Rosiny, ani Gioi. *(-) wijącą się ścieżką zacząłem się wspinać lekkim krokiem do wioski, (-) byłem pełen podziwu i zachwytu, serce przepełnione radością życia, świat wydawał się piękny (-).*

Świat rzeczywiście był tu naprawdę piękny - przynajmniej dla mnie, a zwłaszcza dla Madeleine i jej szkicownika.

Droga wiła się wśród krzaków głogu i kwitnącego mirtu. Szedłem z Madeleine może nawet tą samą drogą - może inną, któż to wie - do góry, teraz była wąską uliczką, wykładaną kamiennymi płytami, urozmaicona, co kilka kroków, schodkami, obrzeżona wysokimi, kamiennymi murami, służącymi jako płoty, zieleniejącym i wspinającym się bluszczem, zaś z góry zwisały przeróżnego rodzaju zielone krzewy i gałęzie drzew, kwitnące wszystkimi kolorami egzotyki, a ponad tyczyły się pióropusze palm. Żyć i nie umierać. Tu naprawdę chciało się żyć, bo nadal romantyczność podawała nam skrzydła. Ale cóż z nią zrobić? Gdzieś - ale gdzie? - zapodział się, zagubił, włoski neorealizm. Czyżby - zastanawiałem się - romantyzm urodził się tylko z samego piękna? Poprzez bramy i furtki wbudowane w kamienne mury płotów było widać kwitnące ogrody, a w nich przeróżne, wymyślne domy, bogate i cudowne wille, przeróżne style, też kiczowate, a nawet pałacyki na tle prawie nagich, skalistych gór, bo góry są na Capri wszędzie. Chciałoby się tu mieć przynajmniej jakiś mały domek z ogródkiem pełnym kwiatów i pachnących oleandrów. *Rwała pachnące mirty (-). Powiedziała, że są dla San Constanza, patrona i obrońcy Capri, który jest cały ze srebra i tyle cudów uczynił. San Constanzo bello! Bello!* Ale jest Capri i Anacapri - Anacapri ma też swojego świętego Antoniego. Anacapri nie bardzo - przynajmniej w czasach Munthe - kochało się z Capri - *bezwiednie, poddawszy się losowi, szedłem fenickimi stopniami w górę na Anacapri A.M.* (Myśmy później dojechali tam z Capri autobusem).

I idąc wśród takich cudów wciąż pod górę - całkowicie zapomniałem o ciotce astmie - doszliśmy na La Piazzetta (Mały Plac) - następny cud Capri i nie tylko - świecący dla mnie *impresjonistycznymi kolorami* pod niesamowicie niebieskim niebem, prawie że przeźroczystym, na tle skalistych, szafirowo szarych gór, umajonych tu i tam zielenią. Kościół z łukowatą wieżą z dzwonami i dużym zegarem, jest dokładnie godzina 9.38 rano. Trudno nam, urodzonym w Środkowo poniekąd „Wschodniej" Europie, gdzie wszystko tyle lat waliło nam się na głowy - na łeb i szyję - zrozumieć, że może istnieć coś tak niezmiernie pięknego. Tu chyba Pan Bóg stworzył Adama i Ewę. Rzecz jasna, że wszystko to służy, by podobać się turystom, na pewno nie dzieją się tu same cuda - też tu mieli swoistych Stalinów - Mussolinich; czym się różnili? Ale czym się różni przemoc bolszewicka od faszys-

towskiej? A śmierć? Jednak jesteśmy olśnieni. Nie jesteśmy turystami, wszędzie, gdzie jesteśmy, żyjemy tym, to są nasze domy - ojczyzny - stąd się wywodzi nasza kultura. Zegar na kościele gra oczywiście po włosku na swoich dzwonach, po kapryjsku - a jednak teraz już po naszemu, oskrzydlone dusze wszędzie mają swoje ojczyzny. A jednak, na świecie, ludzie nadal się mordują, bo są tej, a nie innej narodowości, bo są nie tej, a innej religii, bo należą lub nie należą do tej lub innej partii, do innego gangu. Nazizm, faszyzm, komunizm, fundamentalizm itd., itp. Wszystko wywodzi się z tego samego źródła, kropla w kroplę do siebie podobne, tyle, że w innych kostiumach, ale zawsze z bronią... Ich bogiem jest terror, boginią nienawiść. Debilizm - to ich generalissimus.

Piję wino Capri rosso w kawiarni pod ratuszem - siedzimy i patrzymy na ten wspaniały skrawek ziemi i jakoś nam się w głowie nie mieści: piękno i tamto zło. Raj i piekło. Sprawiedliwość z zawiązanymi oczami.

Idziemy na dworzec autobusowy, by dotrzeć na Anacapri. Więc jednak - niestety - nie po fenickich stopniach starego cesarza Tyberiusza do Axela Munthe, do jego domu San Michele (D.O.M. = Deo Optimo Maximo = Bogu Najlepszemu, Największemu). Małe, czerwone autobusy kursują tu bezustannie. Droga wije się wśród pełnego cudów krajobrazu. Stromo ponad nią pną się zdobne w zieleń skały, z drugiej strony ogromna, skalista przepaść, pełna uroków i zieleni i pełna niebieskiego morza z plażami, małymi morskimi portami, molami i różnego rodzaju domami, do wyboru i koloru.

Z Capri do Anacapri prowadzi biała droga pełna serpentyn - można umrzeć z wrażenia, patrząc w cudowną przepaść przy mijaniu się autobusów. Zwinni kierowcy z uśmiechem obserwują wystraszonych turystów. Piękno i zgroza strachu. Człowiek boi się śmierci nawet w raju, bo tak był stworzony. Stworzony ze strachu? Stworzony z rozkoszy, urodzony w bolesnym strachu? Nawet tu trudno mu uwierzyć w swoje życie pośmiertne. Chce żyć. Anacapri z Axelem Munthe, z San Michele i patronem Sant Antonio jest tego dowodem. Autobus zatrzymuje się na przystanku. Do San Michele uliczka w lewo. Jarmarczne budy i pejzaż przypominają odpusty w Błędowicach. Oczywiście kolory są jaskrawsze, bo oświetlone mocniejszym słońcem, jednak u nas w letnie południe, przy pogodzie, dochodziło do prawie takiej samej intensywności światła, jednak zabrakło kolorów, ale za to mamy wspaniałą, szulcowską zieleń.

Święty Antoni uczynił znowu cud. Zamieszkałem w wybielonej, czystej chacie chłopskiej na Anacapri. Przed otwartymi oknami ciągnęła się pergola zalana słońcem, a otaczali mnie prości, przyjaźni ludzie. (A.M.)

I wreszcie stoimy z Madeleine przed otwartą Księgą z San Michele, przed tym wszystkim, co zbudował z taką niezmiernie duchową radością i po-

święceniem - Axel Munthe. I gdybyś przeszedł cały świat, drugiej takiej Ojczyzny - Domu nie odnajdziesz. *(-) dusza potrzebuje więcej miejsca niż ciało (-)* - płynący strumyk szepcze nadal po Axelmunthowsku i było tu wszystko: *Żłobiona kolumna, która obecnie podpiera strop małej loggii w wewnętrznym podwórzu, leżała w poprzek na posadzce, upadła tak przed dwoma tysiącami lat, a padając, roztrzaskała dużą wazę z kararyjskiego marmuru, której ucho w kształcie lwiej głowy spoczywa dzisiaj na moim stole.*

- Roba di Timbero - rzekł maestro Nicola, podnosząc z ziemi głowę Augusta (dziś leży w mojej loggii).

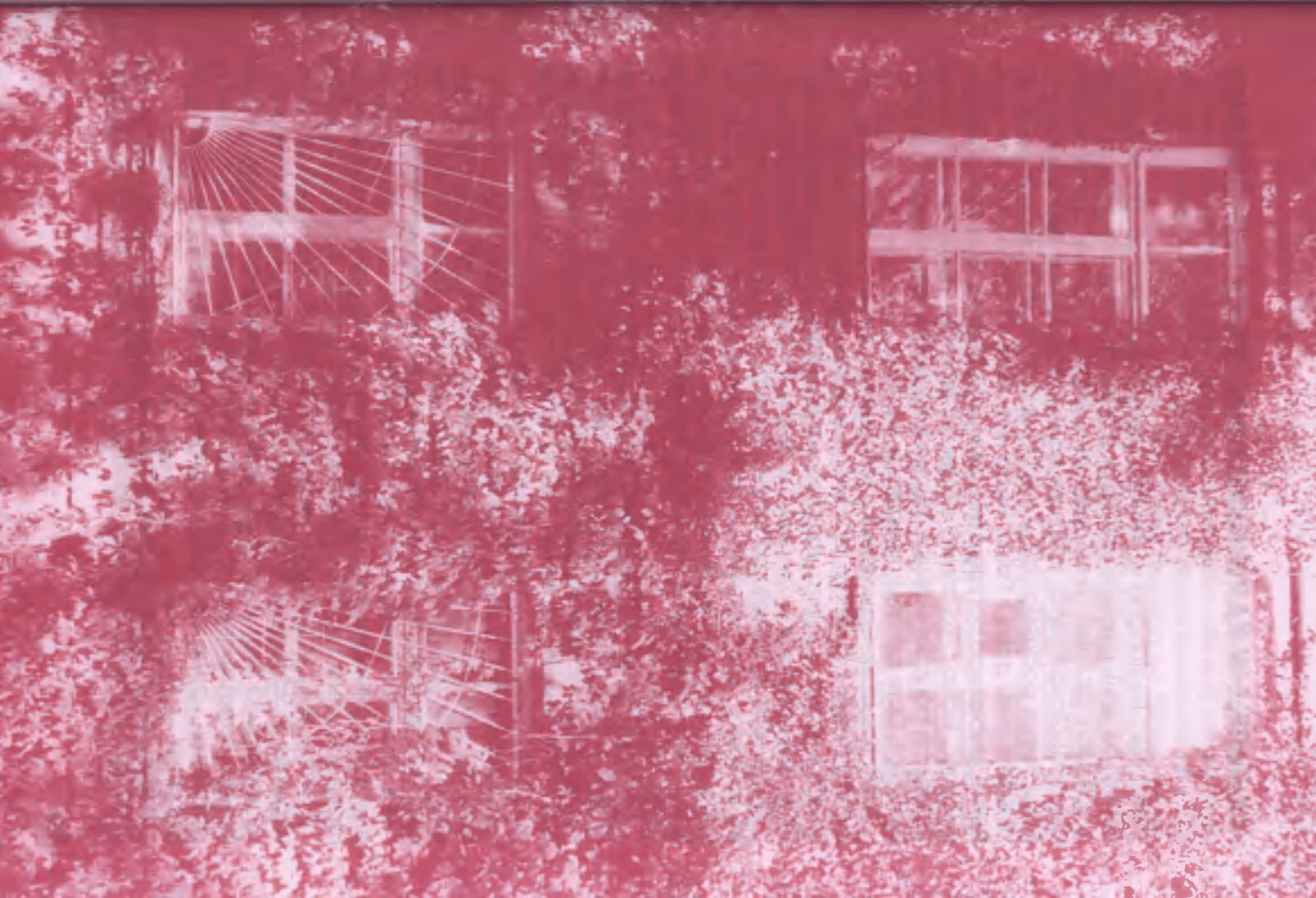
Stoisz na gruncie jednej z will Tyberiusza. (-) Nie dla mnie średniowieczny półmrok! Mój dom musi być otwarty, niby grecka świątynia, dla wiatru, słońca i szumu morza! Światło, jak najwięcej światła! Światła!

Wszystko to można tu zobaczyć, wszystko. Nawet *tam dalej, gdzie mamy widok na zatokę Neapolu, ustawimy olbrzymiego egipskiego sfinksa z czerwonego granitu, starszego od Tyberiusza.* Dotykałem sfinksa i nawet mam z nim zdjęcie. Axel Munthe znalazł go po długich, niebezpiecznych poszukiwaniach, (o mało, a zapłaciłby za nie życiem) podobno w jakichś nieznanych ruinach willi Nerona. *Pytajcie o wszystko olbrzymiego granitowego sfinksa, ustawionego na marmurowej balustradzie przy kaplicy na San Michele. Pytać go jednak będziecie na próżno; zachował przez pięć tysięcy lat swoją tajemnicę, będzie więc umiał strzec i mojej.* Nie pytałem sfinksa o nic, bo bałem się odpowiedzi - wolałem myśleć o nim po swojemu i opowiedzieć mu swoje tajemnice.

Stary cesarz Augustus, 63 przed Chrystusem - 14 po Chrystusie, też pokochał tę wyspę i nawet przed śmiercią rozpoczął - nie wiadomo gdzie - budować willę. Niestety, zmarło mu się w 76 roku życia. Senat ogłosił go bogiem - divus. Stoi tu teraz cały biały, marmurowy, z wyciągniętą ręką do nieba, a pod nim niebieskie morze.

Augustus adoptował swojego niewłasnego syna Tyberiusza 42 przed Chrystusem - 37 po Chrystusie. W ostatniej woli przekazał mu swoją żonę Liwię i cesarstwo. Augustus *był wielkim człowiekiem i władcą, lecz (-) Tyberiusz przerastał wszystkich cesarzy.* - mówi „Księga" - *Pergolę oplatało już młode wino, a róże i powoje wspinały się po białych kolumnach. Wśród cyprysów, na małym klasztornym podwórzu, stał na kolumnie tańczący faun, a pośrodku wielkiej loggi umieszczono brązowego Hermesa z Herkulanum.* - I dalej tak mówi „Księga": *Stroma ścieżka o 777 stopniach, wykuta w skale przez samego „Timberia", (-) Osiągnęliśmy wreszcie szczyt (-). U naszych stóp leżała cała zatoka neapolitańska: Ischia, Procida, Posillipo porosłe lasami pinii, biała linia Neapolu migocąca w świetle słońca, Wezuwiusz w różowej chmurze dymu, równina Sorrento pod Monte Sant Angelo i dalekie, pokryte jeszcze śniegiem Apeniny.*

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



AKWARELE W KARWIŃSKIEJ BIBLIOTECE REGIONALNEJ

Biblioteka Regionalna w Karwinie przygotowała w maju dla wszystkich miłośników sztuk plastycznych kolejną ucztę duchową. 3 maja odbył się w lokalach biblioteki we Frysztacie wernisaż wystawy obrazów Anny Kożusznik-Gąsiorkiewicz. Wybrany na wernisaż dzień święta państwowego w Polsce podkreślał jakby związki autorki z tym krajem. Przybyło do biblioteki wielu gości z Polski, wśród nich Halina Marszałek, autorka psa Reksia, ulubionego bohatera telewizyjnych bajek na dobranoc. Wystawę nazwano krótko „Akwarele", bo też tą techniką namalowane zostały obrazy, na których podziwiać można było przede wszystkim kompozycje kwiatowe. Całe bukiety i pojedyncze kwiaty.

Anna Kożusznik-Gąsiorkiewicz jest autorką nieznaną bliżej na Zaolziu. Lecz jej związki z Zaolziem są ścisłe i nacechowane emocjonalnie, mimo że dziś mieszka w Zabrzu, zaś pracownię malarską ma w Marklowicach po polskiej stronie granicy polsko-czeskiej. Pochodzi bowiem z Orłowej.

O przybliżenie portretu bohaterki wernisażu pokusił się z powodzeniem jej kolega z ławy szkolnej, a jednocześnie kolega plastyk Zbigniew Kubeczka. Zgodził się, by jego ciekawe spojrzenie na osobę Anny Kożusznik-Gąsiorkiewicz, ale także na niedawną naszą historię ukazało się na łamach Zwrotu:

Szanowni Państwo! Stwierdziłem, że poza złośliwością rzeczy martwych istnieje o wiele groźniejsza złośliwość ludzi bardzo żywych. W tym wypadku pań. Ta spowodowała, że tu stoję. „Powiedz coś krótko, znamy się przecież..." Nie powiem, jak długo. I jak tu mówić byle co, skoro to już chodzi o historię, a w każdym razie znaczący jej okres dla nas.

Najpierw nosiliśmy sobie do naszej wspólnej pierwszej klasy z domu do budynku gimnazjum na Obrokach krzesełka, by było na czym w tej szkole usiąść, i tabliczki z rysikiem i szmatką, by było czym i na czym w tej szkole pisać. Wbrew pozorom to nie odbywało się po pierwszej wojnie światowej.

Ale szczerze mówiąc, to z tego okresu, który bądź co bądź przeżyliśmy razem, Hani nie pamiętam. Pamięć rozpoczyna się gdzieś kiedyś w jakimś momencie, kiedy zaczął się budzić szczenięcy pociąg do płci przeciwnej.

Mieliśmy dużo wspólnego, pierwszych wspólnych nauczycieli rysunków. Wspólnie chodziliśmy w niedzielę do kościoła, Hanka do katolickiego, ja do ewangelickiego. Przeżyliśmy wspólnie przeprowadzki szkoły, wigilijki szkolne, przedstawienia w Domu Robotniczym, festyny w „Cingrówce", „Sokolowni" i gdzie indziej. Popisy taneczne krakowiaka z nami w pierwszej parze.

Razem rozpoczęliśmy jeszcze edukację w wydziałówce w Łazach, do smutnego momentu emigracji Hanki w roku 1951. Nie doczekała reformy

walutowej w roku 1952, zrezygnowała z przeżycia kolejnej reformy szkolnictwa czechosłowackiego, rzuciła to środowisko, które ją tak kochało i poszła... pozostawiając po sobie zgliszcza w sercach wielu kolegów.

Podświadomie zabrała z sobą atmosferę dawnego już Zaolzia aktywności kulturalno-społecznej, wystaw prof. Fierli, dekoracji szkolnych po części autorstwa Tadka Wratnego, sąsiedztwa domu Tadka Bergera...

To, co działo się potem, znam tylko z nieobiektywnych opowiadań i sporadycznych spotkań, jako że nasze kontakty, od samego początku zawsze intelektualne, jeśli można u mnie mówić o czymś takim, nie zostały przerwane.

Odwiedziliśmy kiedyś, ze Zdzisiem Fierlą, Hankę w latach 60., kiedy była po studiach w szkole plastycznej w Bielsku-Białej, jeszcze Kożusznikówną. Potem poznałem jej męża Bolka w okresie, kiedy zajmowała się grafiką użytkową – reklamą, neonami, znakami firmowymi, i tym podobną i potrzebną sztuką. Zdobyła dla mnie komplet dłut drzeworytniczych, z którego nigdy nie zrobiłem użytku.

I w tym mniej więcej okresie w roku 1987 staliśmy się rodziną. Zapominalskim przypominam, młodych informuję, że w tych latach można było przekroczyć Most Przyjaźni na Olzie tylko za zaproszeniem i to tylko bardzo bliskiej rodziny. Zaprasza mnie więc Hanka z żoną i dziećmi do Polski w odwiedziny jako swego szwagra. W grę wchodził jakiś ważny interes, nie pamiętam już, czy chodziło o żubrówkę, jarzębiak, wiśniówkę, soplicę czy wyborową. Ważnym natomiast pozostaje fakt, że mam na to dokument – zaproszenie, które schowałem w sejfie dla wnuków, do egzekwowania roszczeń majątkowych. Warto powalczyć o parę niesprzedanych akwareli albo innych dzieł sztuki, np. jednego bardzo dobrego oleju Gustawa Nowaka.

A teraz, jak mawiał Fryderyk Jarossy, koniec żartów, rozpoczynają się schody. Miałbym zahaczyć o Hani twórczość, jako że o wystawę przede wszystkim chodzi. Trudno będzie z uwagi na to, że się na rzeczy nie znam i odróżnienie akwareli od linorytu, serigrafii od litografii, mezzotinty, pasteli, monotypii sprawia mi niemałe trudności. I tu widzę złośliwość – o której na wstępie.

Hania zawsze mówiła i mówi o sobie, że jest plastyczką. Ja od siebie dodaję, że artystów mamy zbyt wielu. Ale jak każdy nawet plastyk, choć nie chce się do tego przyznawać, i Hania miała swoje okresy twórcze.

Jej włości wypoczynkowo-letnie zdominowały wcześniejsze okresy trudnego dojrzewania twórczego. Był więc okres budowlano-marklowicki, potem był okres gospodarki zbożowo-pszenno-żytniej, dalej okres czosnkowo-czarnoporzeczkowo-winny, przeplatający się z okresem jabłkowo-owocowym. Potęgowała te okresy równoległa fascynacja kwiatowo-krzewowo-dendrologiczna, która jest integralnym składnikiem jej osobowości.

Wreszcie nastąpiło zderzenie z bielską koleżanką szkolną Hani Haliną Marszałek, panią, która robiła sobie, co chciała, z Reksiem, postanowiła trochę pomanipulować także z Hanką. Wyjęła z wazonu parę sfatygowanych pędzli, z szuflady pudełko farb, blok podrzędnego papieru akwarelowego i pojechała do Marklowic, niby to na wczasy.

Jej to zasługą Hanka pono czasami porzuca łopaty, widły, grabie, kosy i tym podobne maszyny, zaniedbuje kuracjuszy i ima się pędzla. Może to wpływ i przykład Haliny sprawił, że Hania zaczyna się poważnie zajmować akwarelą. Może malowanie pomogło jej przejść w życiu trudne i bolesne chwile? Technika akwareli, jak mawiają znawcy, jest techniką bardzo trudną, wymagającą jednej bardzo prostej podstawowej sprawy – talentu.

Odsyłam Państwa do prywatnej percepcji drobnych szczegółów i całych kompozycji wystawianych prac. W razie potrzeby Hanka wyjaśni zainteresowanym, jak to się robi. Optymizm, pozytywne nastawienie do życia, ludzi, świadomość, że czasem trzeba zdobyć parę groszy na benzynę, ale przede wszystkim potrzeba sprawić innym i sobie przyjemność i radość.

Na koniec powiem krótko od siebie o autorce i pracach tu prezentowanych: prostota, umiar, elegancja.

C.R.

PASTOR I NIEZNAJOMY, CZYLI „DZIADY" W KAMIEŃCU PODOLSKIM (1832)

jestem przekonany, że je rzadki wydeklamować potrafi
Mickiewicz o IV cz. „Dziadów", 1822

„Dziadów" część IV, wydana w 1823 r. w drugim, wileńskim tomie „Poezyj" Adama Mickiewicza, przez jedenaście lat cieszyła się swobodą i mogła bez przeszkód trafiać do rąk czytelników zaboru rosyjskiego i na scenę teatru. Dopiero po ukazaniu się III części „Dziadów" cenzura rosyjska uznała całą twórczość wieszcza *za zakazaną dla publiczności.*

Kiedy i gdzie wystawiono zatem po raz pierwszy IV część „Dziadów"? Michał Witkowski w znakomitej książce „Świat teatralny młodego Mickiewicza" zapisał, że jako monodramat (monolog oparty o rolę Gustawa) grano ją przed 1835 r. w Kamieńcu Podolskim, zaś o *uscenicznienie całości* zabiegano w Kijowie roku 1835. Znaliśmy nawet z nazwiska pierwszego aktora-Gustawa. Był nim Seweryn Malinowski, prowincjonalny artysta oraz dyrektor sceny kamienieckiej, występujący

wcześniej również w Warszawie (warszawscy krytycy cenili u niego nieczęsto spotykany *dar przeistaczania się* w różnych rolach nie do poznania) i we Lwowie (gdzie zasłynął z talentu deklamacji).

Zanim jednak utwór Mickiewicza trafił na scenę, musiał - zgodnie z rosyjską ustawą o cenzurze - zyskać aprobatę cenzora z III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, czyli najwyższego organu tajnej policji, którym kierował Aleksander Benkendorf. Zwierzchnictwo policji kontrolowało również druk afiszów teatralnych. Wydrukowane afisze czytano wnikliwie w stolicach guberni oraz w III Oddziale w Petersburgu, dokąd je wysyłano na mocy rozporządzenia z 1832 r. Z guberni podolskiej afisze wysyłał tamtejszy gubernator cywilny Fiodor Piotrowicz Łubianowski. Na nasze szczęście po jednym egzemplarzu dostarczał także do Kijowskiego Wojennego, Podolskiego i Wołyńskiego generał-gubenatora Wasilija Wasilljewicza Lewaszowa. Tego Lewaszowa, który wcześniej był adiutantem Mikołaja I w Petersburgu i prowadził śledztwo nad dekabrystami.

Nim jednak Lewaszow zawitał do Kijowa, wybuchło powstanie listopadowe, którego echa dotarły do Kamieńca Podolskiego już 6/18 grudnia 1830. Właśnie wówczas kamieniecki ksiądz Michał Łomnicki wygłosił bardzo patriotyczne kazanie w katedrze. Ponieważ był to dzień imienin cara Mikołaja, *na teatrze dawana była jakaś mało znacząca sztuczka, po której miały być wystawione różne transparenta z historii polskiej wyjęte* z finałowym ukazaniem *cyfry Mikołaja i zwycięstwa jego nad Turkami.* Zebrani w lożach i na parterze widzowie hucznie nagrodzili wystawę *pierwszych transparentów, lecz gdy zaczęła się pokazywać cyfra Mikołaja, z świstem, hukiem i krzykiem cała prawie publiczność opuściła teatr.* Na miejscach pozostali jedynie rosyjscy wojskowi i urzędnicy z żonami. *Wszczął się wielki alarm między policją, zaniosło się na groźne śledztwo,* które na szczęście *poszło w zapomnienie. Kanonik Łomnicki pokutował tylko pod strażą za swoje patriotyczne kazanie.*

W grudniu 1830 r. ogłoszono na Podolu stan wojenny. Konspiracyjnie zawiązane Towarzystwo Patriotyczne Podolskie wyznaczyło ostatecznie datę powstania na maj 1831. W niektórych powiatach Podola nieudane próby zbrojnego wystąpienia odbyły się wcześniej. Na sąsiednim Wołyniu również doszło do akcji zbrojnych. Powstanie stłumiono w Owruczu, gdzie o współpracę z wojskiem polskim posądzono tamtejszych bazylianów i ich prowincjała Jana Sierocińskiego, co spowodowało likwidację klasztoru. Niebawem owrucką świątynię unitów zamieniono na cerkiew prawosławną i rozpoczęto śledztwo, podczas którego *gorliwy rządca guberni Lewaszów nie mógł się w złości pohamować. Rok 1832 i następne przyniosły dalszą likwidację klasztorów bazyliańskich* m.in. w Poczajowie,

unickiej Częstochowie, gdzie rezydował słynny na cały Wołyń cudowny obraz Najświętszej Maryi Panny.

Teatr kamieniecki, prowadzony przez Malinowskiego od kilku sezonów, w 1831 r. zapewne zamknięto. Malinowski przypuszczalnie wyjechał do Lwowa. Jest pewne natomiast, że na wiosnę 1832 r. przybyła do Kamieńca kompania aktorów afiszowana jako Towarzystwo Dramatyczne pod dyrekcją Jana Milewskiego. W gronie artystów był również Seweryn Malinowski.

W okresie od maja 1832 r. do stycznia 1833 r. Milewski zapraszał do kamienieckiego teatru kilkadziesiąt razy, wystawiając spektakle wyłącznie po polsku. Afisze, drukowane w całości w rodzimym języku, zapowiadały m.in.: „Dziady" - scenę z poematu Mickiewicza, a także utwory Goldoniego, Moliera, Szekspira, Corneille'a, Grillparzera, Bogusławskiego, Fredry; oraz opery Kurpińskiego, Stefaniego i Mozarta. Niewątpliwie teatr w Kamieńcu Podolskim mógł zaimponować teatromanom. Milewski pomnożył bowiem repertuar o *zasób wyższego rzędu sztuk*, z których wiele, wobec zakazu cenzury, nie mogła oglądać w tym czasie Warszawa. Nadał swojemu teatrowi oblicze pierwszej - po upadku powstania - polskiej sceny romantycznej w sposób najbardziej oryginalny: inscenizując „Dziady" Mickiewicza.

Mickiewiczowską scenę z „Dziadów" części IV wystawiono 19/31 maja 1832 r. *na żądanie*, jak podawał afisz. Od razu więc zyskujemy pewność, że wzbudziła zainteresowanie, została zapamiętana przez publiczność i grana była wcześniej. Nie potrafimy jednak odpowiedzieć, kiedy i kiedy po raz pierwszy? Może artyści *zadość czynili* widowni pamiętającej spektakl „Dziadów" za dyrekcji Malinowskiego, a więc sprzed czasów powstania listopadowego?

Pora jednak przeczytać ów niezwykły afisz do końca, wyjawiając na początek, że zapowiadał przedstawienie tryptyku. Wieczór miał się rozpocząć komedią ze śpiewami „Numer 777, czyli Pieprzyk kancelista" Karla Augusta Lebruna, *po czem na żądanie przedstawiona będzie Scena z Poematu Mickiewicza pod nazwiskiem „Dziady"*, a *zakończy spektakl obraz pantomimiczny z kilkudziesiąt osób żywych* „Rozbójnicy w górach alpejskich, czyli Podróż p. Clairmont", *w którym ostatnie tablo oświecą ognie bengalskie.* Komedyjka Lebruna, choć z Pieprzykiem, chociaż w finałowej scenie głosiła zaręczyny, popadła dość szybko w zapomnienie. Pantomima zaś... jej streszczenie zawarto niemal w tytule; zaznaczmy więc tylko, że o północy (a więc dokładnie po zgaśnięciu trzeciego światła w „Dziadach") napadła na grupę wędrowców, wśród której było również „dziecię", banda rabusiów. W świetle sztucznych ogni przybyli na ratunek żołnierze...

W IV cz. „Dziadów" teatr *słowa i duszy* dzieje się przy udziale Pustelnika-Gustawa, Księdza unickiego i jego Dzieci oraz milczącej Służby. Natomiast w Kamieńcu Podolskim Księdza przemianowano na Pastora, a Pustelnika na Nieznajomego (którym był w rzeczy samej aż do chwili rozpoznania w nim Gustawa), dwójka dzieci nosiła imiona Jaś i Staś. Słudzy również mieli swój epizod. Wielka zręczność tej zmiany to *oddanie* dzieci parocha (księdza unickiego) duchownemu protestanckiemu. Kto mógł być jej autorem? Cenzor? Musiałby mieć jednocześnie dużo inteligencji i dobrej woli wobec Polaków, przecież w tym czasie Lewaszow gnębił bazylianów owruckich. Chyba więc dyrektor Milewski wespół z Malinowskim - zorientowani, czego nie można pokazać *Za pozwoleniem Zwierzchności* wobec ostatnich wydarzeń dziejowych - sami dokonali *przystosowania* Osób. *Na dzieciach* jednak cała zręczność się kończyła. Może jeszcze Pastor znał lepiej *ogień i łzy Wertera* oraz *Getego [...] w oryginale.* Dalej zaczynała się *umowność w umowności*, tym bardziej że nie zmieniono tytułu, co określiło czas *najpiękniejszego święta, bo święta pamiątek* jako czas spowiedzi i cierpienia duszy Nieznajomego. Pozostawienie tytułu może również sugerować, że nie uczyniono innych przystosowań. Mając jednak na uwadze poglądy luterańskie, w wątpliwość poddajemy to, czy duchowny rozpoczął wraz z dziećmi modlitwę w intencji zmarłych, świecąc ich dzień, i czy widzowie ujrzeli pokój Pastora z obrazem Najświętszej Panny Maryi. Wedle didaskaliów właśnie przed nim paliła się lampa, która gasła dopiero w finale. Cała więc przedstawiona scena z „Dziadów", jakkolwiek było z wizerunkiem Panny Maryi, dzięki *podtekstom* zyskała na teatralności - począwszy od strony kulis i kończąc na widowni. A Pustelnik, jako Nieznajomy, w godzinie cierpienia, wkrótce po zgaśnięciu pierwszej świecy, stał się Gustawem. Obecność Sług w obsadzie zdaje się to potwierdzać. Pojawiają się oni bowiem u Mickiewicza już po sławnym monologu *Kobieto! puchu marny!*, wkrótce przed zgaśnięciem długiej świecy, by wysłuchać poleceń. To oznacza, że przedstawiona scena mogła zawierać sumę minut z rozpisanych przez Mickiewicza godzin *miłości, rozpaczy i przestrogi*, a więc całego utworu.

W roli Pastora wystąpił Szlegel, Nieznajomego kreował Malinowski, a dziecięcą postać Jasia przedstawiał młody Makiełkowski. Nieme epizody Stasia i Sług wykonywali komparsi. Kilka słów o wykonawcach: Malinowski był prawdziwą gwiazdą zespołu, występował w tytułowych rolach Otella, Cyda, Świętoszka, po trzykroć obchodził benefis. Bohater drugi - Szlegel, aktor o nieustalonym imieniu i dotychczas prawie nieznany, grał niemal każdego wieczoru (zwłaszcza role ojców), niejednokrotnie partnerował Malinowskiemu. W roli Jasia wystąpił syn Onufrego

i Tekli Makiełkowskich, grywający role dziecinne, m.in. Pastuszka w „Krakowiakach i Góralach".

Tak więc w roku 1832 grano „Dziady" w Kamieńcu Podolskim. I warte jest podkreślenia, że afisz kamieniecki zapowiadał właściwy tytuł poematu i nie pomijał nazwiska poety.

Dalsza historia utworów Mickiewicza w zaborze rosyjskim związana jest z ukazaniem się na jesieni 1832 r. w Paryżu III cz. „Dziadów", o czym we wrześniu 1833 r. Lewaszow donosił poufnie z Kijowa do Benkendorfa, uznając je za utwór o wrogim nastawieniu wobec Rosji. Już pół roku wcześniej na tenże temat dotarł do Benkendorfa o wiele dokładniejszy list od Namiestnika Królestwa Polskiego Księcia Iwana Paskiewicza, który przebywał wówczas w Petersburgu. Oto fragment rzeczonego listu: *We wszystkich tych sztukach („Dziadach" cz. III) potwór niewdzięczności Mickiewicz wylał całą piekielną żółć z nędznej duszy swojej i serca. Nikczemność całego charakteru narodowego, kłamstwo i niegodziwe wymysły - to są ich wartości. I napisał je wyzwoleniec obsypany łaskami. Zamiast zasłużonej surowej kary wielkoduszność podarowała mu wolność. Czymże on za nią płaci? Oszczerstwami szaleńca!. Poznacie mię po głosie;* pókim był w okuciach, */Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę* - czytał Benkendorf wyznanie Mickiewicza o jego pobycie w Rosji.

Godzi się zauważyć, że wokół sprawy Mickiewicza w Rosji tryumf święciła biurokracja i dopiero w grudniu 1833 r. Komitet Cenzury Zagranicznej w Petersburgu uznał „Dziadów" cz. III za utwór *bezwarunkowo zabroniony*. Natomiast w 1834 r. w Rosji zamknęło się prawdziwe koło cenzury wobec twórczości Mickiewicza: Zakazano przedruku petersburskiego wydania utworów poety w języku polskim oraz przywozu do Cesarstwa utworów Mickiewicza drukowanych w Paryżu, Krakowie i Warszawie.

Tym samym „Dziadów" cz. IV utraciła *przyzwolenie do publicznych reprezentacji*. Od tego czasu notujemy wiadomości poświadczające śledzenie obiegu dzieł Mickiewicza przez urzędników carskich i gubernialnych. Na Podolu *niemal wszyscy, a zwłaszcza właściciele ziemscy, zakładali i zakładają tajne związki,* które *najwięcej zajmują się dostarczaniem z zagranicy podburzających książek,* zawierających wyrażenia przeciwko Imperatorowi, a wśród nich są obraźliwe utwory wierszem autora Mickiewicza - pisał jeden z donosicieli. Przekazywano je z rąk do rąk i czytano na potajemnych spotkaniach. Może w takiej atmosferze Malinowskiemu udało się jeszcze wystąpić *w roli Gustawa z „Dziadów"* - ale już w wersji monodramu, który głęboko zapadł w pamięci widzów. Może w ostatniej chwili (czyli w 1834 r.) próbowano jeszcze inscenizacji pod zmienionym tytułem „Gustaw" w Kijowie?

Teatralne egzemplarze „Dziadów" cz. IV zamknięto na długi okres czasu w szafach bibliotecznych. Kiedy w 1842 r. nakazano dyrektorom prywatnych teatrów w granicach Imperium dostarczyć do ocenzurowania wykazy repertuarowe, do władz napłynęły również spisy polskich antreprenerów. Niektóre z wykazów, liczących po kilkaset tytułów, odnotowały również IV cz. „Dziadów", ale jako... jednoaktową komedię. Dla niepoznaki? Zapewne. Malinowski wysłał z Kamieńca także swój „Regestr dzieł dramatycznych ułożony podług alfabetu". Nie zapisał jednak w nim „Dziadów". Nieco wcześniej, narzekając na mizerny los antreprenera w kłopotach, zwierzał się w liście do przyjaciela: *Wszystkośmy stracili, oprócz honoru.*

Nowe rozdziały historii scenicznej „Dziadów" związane są ze sceną krakowską, gdzie w 1848 r. inscenizowano fragment III części. Stanisław Moniuszko skomponował natomiast muzykę do II części, którą pod tytułem „Widma" wykonywano jako kantatę od 1865 r., a potem również inscenizowano. Dopiero w 1901 r. Stanisław Wyspiański zrealizował premierę „Dziadów" w teatrze krakowskim, której partytura powstała w oparciu o wszystkie części arcydramatu.

ZBIGNIEW JĘDRYCHOWSKI
Autor jest sekretarzem redakcji kwartalnika
Notatnik teatralny wydawanego we Wrocławiu.

TO I OWO

NOWY PROREKTOR FILII UŚ W CIESZYNIE

Prof. dr hab. Halina Rusek będzie od 1 września prorektorem ds. Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Jest powszechnie znana na Zaolziu z działalności w polskich organizacjach społecznych. Podczas Zgromadzenia Ogólnego została wybrana do Rady Kongresu Polaków. Halina Rusek ceniona jest również za publikacje naukowe i popularnonaukowe obrazujące stan polskości na Zaolziu.

NAGRODA DLA PROF. DANIELA KADŁUBCA

Po raz drugi na Zaolzie powędrowała nagroda im. Wojciecha Korfantego, wybitnego działacza górnośląskiego na rzecz polskości Śląska. W tym roku został nią uhonorowany w Katowicach prof. Daniel Kadłubiec - naukowiec, folklorysta i społecznik. W roku ubiegłym wyróżnienie to otrzymał Polski Związek Kulturalno-Oświatowy.

SENAT RP O POLONII

Marszałek senatu RP Longin Pastusiak zaprosił przedstawicieli największych organizacji polonijnych na pierwszą od sześciu lat debatę polonijną, która miała miejsce w Warszawie 30 kwietnia.

Patronat Senatu nad światową Polonią ma długie tradycje i sięga okresu przedwojennego ub. wieku. Po roku 1989 powrócono do tradycji, co przejawia się m.in. budżetem polonijnym umiejscowionym w Senacie, a wydatkowanym głównie przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska i inne stowarzyszenia pozarządowe. Ubiegłoroczny budżet na potrzeby współpracy RP z Polonią opiewał na 113 milionów złotych (z tego 60 milionów wydatkowano na potrzeby związane ze szkolnictwem polonijnym), 50,5 miliona miał do dyspozycji Senat, z czego 90% przechodziło przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Tegoroczny budżet polonijny jest znacznie okrojony. Senat ustalił priorytety w zakresie jego wydatkowania: pomoc dla oświaty polonijnej, wspieranie bazy lokalowej - zwłaszcza na Wschodzie, ochrona polskich zabytków i promocja kultury polonijnej.

NAGRODA TV POLONIA „ZA SŁAWIENIE POLSKI I POLSKOŚCI"

Po raz ósmy przyznane zostały nagrody TV Polonia „Za sławienie Polski i Polskości". Nagroda, statuetka przedstawiająca postać Fryderyka Chopina, jest przyznawana co roku osobom, które przyczyniły się do rozsławiania Polski w świecie. Jej dotychczasowymi laureatami zostali m.in.: Magdalena Abakanowicz, Karl Dedecius, Jerzy Giedroyć, Krzysztof Kieślowski, Robert Korzeniowski, Adam Małysz, Krzysztof Penderecki, Wisława Szymborska, Andrzej Wajda.

Tegoroczna uroczystość odbyła się 27 kwietnia w przedstawicielstwie RP przy Unii Europejskiej w Brukseli pod honorowym patronatem ministra spraw zagranicznych RP Włodzimierza Cimoszewicza. W tym roku zostały uhonorowane nagrodą osoby mieszkające w Belgii: Izabela Czetwertyńska (pielęgniarka i działaczka społeczna), prof. Alain van Crugten (tłumacz literatury polskiej) oraz znany sportowiec Włodzimierz Lubański.

NAGRODY I ODZNACZENIA DLA POLONII

Organizacje i działacze polonijni po raz ósmy otrzymali nagrody Klubu Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Złotą statuetkę za podtrzymywanie polskości w Stanach Zjednoczonych dostał Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku. Taką samą nagrodę za współpracę ze środowiskami polonijnymi i wspieranie polskich sportowców otrzymał też Polski Komitet Olimpijski. Srebrną statuetką nagrodzony został Związek Podhalan w Ameryce Północnej (z Chicago) za pielęgnowanie kultury Podhala i tradycji polskiej w USA. Brązowe statuetki otrzymali: Fundacja im. Władysława Reymonta z Toronto (Kanada) za fundowanie stypendiów dla młodzieży polskiego pochodzenia i za zorganizowanie obchodów Roku Reymontowskiego w Kanadzie, Związek Polaków na Łotwie za odrodzenie szkolnictwa polskiego

i kultury polskiej w tym kraju. Z tej okazji prezydent Aleksander Kwaśniewski przyznał również ordery i odznaczenia. Złotym Krzyżem Zasługi uhonorowano m.in. korespondenta wielu czasopism polonijnych, w tym Głosu Ludu, Leszka Wątróbskiego.

POLONIJNA DZIURA BUDŻETOWA W SZWECJI

Wśród mniejszości polskich w Europie, które otrzymują dotacje w krajach zamieszkania, jest obok mniejszości polskiej w RC mniejszość polska w Szwecji. W Szwecji dotacje przyznaje Urząd Migracyjny, który finansuje 50 imigranckich organizacji. Kwota łączna dotacji (20 milionów koron) od kilku lat pozostaje bez zmian, ale w roku bieżącym jest niekorzystna dla dwu polskich organizacji: Kongresu Polaków w Szwecji, który zrzesza 1281 członków skupionych w 20 organizacjach w całej Szwecji, i Zrzeszenia Organizacji Polonijnych, liczącego 1520 członków skupionych w 13 regionalnych organizacjach. Ponadto dotację przyznawaną przez Główny Zarząd Zdrowia i Opieki Społecznej otrzymuje Polski Klub Seniora w Sztokholmie, a inne organizacje wchodzące w skład Kongresu, jak np. Stowarzyszenie Polek w Szwecji czy Związek Polskich Katolików, pozyskują także dotacje komunalne.

NOHAVICA KACZMARSKIEMU

Jak podała Gazeta Wyborcza, w połowie kwietnia Instytut Polski w Bratysławie we współpracy z Czeskim Centrum i Miejskim Ośrodkiem Kultury w Bratysławie zorganizował koncert Jaromíra Nohavicy, który można było na żywo oglądać na stronie Internetowej Czeskiego Centrum w Bratysławie. Podczas koncertu odbyła się zbiórka pieniędzy na operację dla ciężko chorego Jacka Kaczmarskiego, barda Solidarności, z którym Nohavica nieraz wspólnie występował.

opr. E.S.

U PRZYJACIÓŁ ZA OLZĄ

Kiedykolwiek na Zaolziu odbywają się jubileuszowe uroczystości którejś z polskich organizacji, szkoły, teatru, wśród wymienianych gości oficjalnych nigdy nie zabraknie przedstawiciela Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. I wtedy każdy z nas po tej stronie Olzy czuje, co znaczy Macierz, co znaczy Ziemia Cieszyńska. Choć nie każdy zapewne wie, ile naprawdę znaczy Macierz Ziemi Cieszyńskiej dla kultury na Zaolziu. A przecież od wielu lat jest gorącym orędownikiem pomocy na rzecz polskiej kultury na Zaolziu w Warszawie w Ministerstwie Kultury, gdzie pozyskuje środki finansowe na projekty przygotowane głównie przez ZG PZKO, ale także inne organizacje, a potem je rozlicza. Nie byłoby to możliwe bez nadzwyczajnego poświęcenia i oddania sprawie Polaków na Zaolziu skarbnika ZG MZC Kazimierza

Fobera. Kto dziś pamięta, że Dom Polski im. Żwirki i Wigury w Cierlicku został wykończony dzięki olbrzymiej pomocy finansowej Stowarzyszenia Wspólnota Polska za pośrednictwem Macierzy. W roku ubiegłym na wniosek Zarządu Głównego MZC Związek Górnośląski przyznał nagrodę honorową im. Wojciecha Korfantego Polskiemu Związkowi Kulturalno-Oświatowemu. Do polskich szkół na Zaolziu systematycznie przekazywane są wydawnictwa MZC. To tylko drobny wycinek współpracy, bo jej całokształt jest tak bogaty, że trudno byłoby go tu omówić, spotkania, obszerna współpraca, wspólne wystawy, konkursy, sesje. Nie ulega wątpliwości, że działacze Macierzy Ziemi Cieszyńskiej to wypróbowani starzy przyjaciele. Toteż nic w tym dziwnego, że kiedy pojawiłam się 20 kwietnia na Walnym Zjeździe Delegatów Macierzy, ze zdumieniem stwierdziłam, że po drugiej stronie Olzy jest tak wielu znajomych, których wcześniej poznałam właśnie na Zaolziu. Są wśród nich nasi autorzy i czytelnicy, mieszkający nie tylko w Cieszynie, Skoczowie, Pogwizdowie, Cisownicy, ale także w Katowicach i Olsztynie. Jakże ciepło robiło się na sercu, gdy podczas Zjazdu dyplomy honorowych członków Macierzy wśród innych otrzymali nasi wierni czytelnicy i autorzy z Koła MZC z Katowic Mieczysław Jasek i Leopold Niemiec, który co miesiąc przyjeżdża do redakcji po Zwroty dla stałych prenumeratorów, by rozdać je podczas zebrania członków Koła. A z Olsztyna Józef Pleban i uhonorowany medalem im. Pawła Stalmacha dr Emil Kalamarz to postaci, o których w swoich korespondencjach pisał prof. Janusz Guziur.

Macierz Ziemi Cieszyńskiej liczy 20 kół terenowych, które działają w następujących miejscowościach: Bażanowice, Bielsko-Biała, Cieszyn (7 kół), Istebna, Katowice, Kraków, Mnisztowo, Olsztyn, Pogwizdów, Strumień, Warszawa, Wrocław, Zabrzeg i Zebrzydowice. MZC liczy ponad 700 członków, choć 10 lat temu było ich 1500, ale tak znaczny spadek ilości macierzowców wynika z urealnienia liczby członków zgodnie z dokumentacją prowadzoną przez zarządy kół. Tak nawisem mówiąc, może takie samo urealnienie przydałoby się naszemu PZKO.

Jeżeli chodzi o finanse na działalność Macierzy, to pochodzą z różnych źródeł, przede wszystkim z dochodów własnych, z wypożyczalni strojów, składek członkowskich, przy czym obowiązuje zasada, że te ze składek pozostają do wyłącznej dyspozycji kół i nie są odprowadzane do Zarządu Głównego, dotacji z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego w Katowicach, Urzędu Miejskiego w Cieszynie, czy też okazjonalnie na projekty z Euroregionu Śląsk Cieszyński. Oczywiście, że Macierz również boryka się z niedoborem środków finansowych, których gros przeznacza na publikacje m.in. z zakresu edukacji regionalnej, które niestety nie znajdują odpowiedniego poparcia finansowego u władz samorządowych, a ze wszech miar są godne uwagi i powinny być szeroko kolportowane np. w szkołach, szczególnie teraz, gdy stoimy u progu zjednoczonej Europy.

Macierz Ziemi Cieszyńskiej podsumowała 116. rok swojej działalności i nie po raz pierwszy udowodniła konieczność istnienia i działania w trosce o dobro i kulturowy rozwój Ziemi Cieszyńskiej. Macierzowcom życzymy dalszych sukcesów i wiele satysfakcji w dalszej pracy na rzecz naszej wspólnej małej Ojczyzny - Śląska Cieszyńskiego.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE URODZIN HISTORYKA I SPOŁECZNIKA

Niedawno obchodził jubileusz siedemdziesięciolecia urodzin znany na naszym terenie i zasłużony dla społeczności polskiej na Zaolziu historyk i działacz społeczny dr Stanisław Zahradnik. Urodził się w Kojkowicach 26 kwietnia 1932 roku, maturę zdał w Czeskim Cieszynie i, idąc śladami swych zamiłowań historycznych, podjął studia na Fakultecie Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Karola w Pradze. Studia ukończył w roku 1956. W roku 1967 obronił w Pradze tytuł naukowy kandydata nauk historycznych, a w rok później uzyskał doktorat.

Pracę zawodową rozpoczął w Hucie Trzynieckiej, gdzie pracował jako kierownik archiwum zakładowego aż do roku 1992, kiedy przeszedł na emeryturę. Archiwum huty w Trzyńcu dzięki jego zaangażowaniu zawodowemu zyskało wysoki poziom i praca w tym zakresie zaowocowała kilku pracami naukowymi, które ukazały się w postaci książkowej - ot chociażby „Třinecké železárny 1906-1938. Období Báňské a hutní společnosti" (1969), „Ruch zawodowy w Hucie Trzynieckiej" (1971 - polska i czeska wersja), „50 let KSČ na Třinecku" (1971), „Průvodce po podnikovém archivu Třineckých železáren VŘSR" (1984) itp. To naturalnie nie wszystko, bo wiele także na tematy związane z hutą publikował w różnych pracach zbiorowych, pismach fachowych i prasie lokalnej - przede wszystkim w Hutniku Trzynieckim, ale także Głosie Ludu.

Stanisław Zahradnik był także współzałożycielem Muzeum Zakładowego w Trzyńcu, pierwszego tego rodzaju w kraju, które powstało w roku 1969 (dziś Muzeum Huty Trzynieckiej i Miasta Trzyńca), oraz autorem licznych scenariuszy wystaw organizowanych w tym muzeum, które w jego opracowaniu były zawsze dwujęzyczne.

Jego dorobek w tym zakresie jest znaczny, ale nas bardziej interesować będzie to, co napisał i opublikował na tematy związane z naszą grupą narodową na Zaolziu. Na te tematy napisano sporo, wystarczy przejrzeć Jednodniówkę Sekcji Historii Regionu ZG PZKO „Pamięć ziemi ojczystej" lub zbiór polsko-czeskich referatów z konferencji naukowej pod tytułem „Polacy na Zaolziu 1920-2000". Dorobek ten niewątpliwie w znacznym stopniu został wzbogacony właśnie przez Stanisława Zahradnika. Wszystko, co dotychczas wyszło spod jego pióra, mieści się w 24 pozycjach książkowych, około 550 artykułach naukowych i popularnonaukowych, około 200 opracowań znajduje się w rękopisach, poza tym napisał 20 recenzji i opracował 19 scenariuszy, z czego prawdopodobnie najbardziej znaczącą jest wystawa nazwana „Polacy na Zaolziu" z roku 1993, którą poza Warszawą obejrzano w wielu miastach Polski, pokazywano ją także w Pradze i naturalnie u nas.

Jak na archiwistę i miłośnika regionu wypada, zebrał także prywatnie ogromne zbiory w postaci dokumentów, materiałów historycznych, publikacji i prasy (szczególnie polską prasę międzywojenną, którą z niewielkimi wyjątkami udało mu się skompletować w całości), co naturalnie znalazło odbicie w jego badaniach i dorobku naukowym. Ot chociażby „Czasopiśmiennictwo w języku polskim na terenach Czechosłowacji w latach 1845-1938" (1989).

Zakres badań i opracowań dokonanych przez naszego historyka dotyczących życia społecznego i historii Polaków na Zaolziu jest znaczny. Historią Śląska Cieszyńskiego od połowy wieku XIX do współczesności Stanisław Zahradnik interesował się od dawna, ale bardziej intensywnie zaczął się jej poświęcać po przejściu na emeryturę.

Przytoczmy tu jeszcze kilka istotnych tytułów: „Trzyniec. Zarys historyczny z okazji 40-lecia miasta" (1972), „Z przeszłości gminy Końskiej" (1968), „Zaolziańskie ofiary okupacji hitlerowskiej (w byłych powiatach czeskocieszyńskim i frydeckim) 1938-1945" (1988), cenna praca „Struktura narodowościowa Zaolzia na podstawie spisów ludności 1880-1991" (1991), wraz z Markiem Ryczkowskim opublikował „Korzenie Zaolzia" (1992) itd.

Tu można by jeszcze wyliczać w nieskończoność, jeśli chodzi o drobniejsze prace lub wydawnictwa zbiorowe. Zainteresowanych odsyłam do wspominanej tu „Pamięci ziemi ojczystej", reszta od roku 1995 znajduje się w wersji maszynowej. Należałoby niewątpliwie wspomnieć znaczący udział Stanisława Zahradnika w takich zbiorowych wydawnictwach jak chociażby: „Mały leksykon nadolziański" w opracowaniu Zenona Jasińskiego (1990), „Polacy na Zaolziu 1920-1990. Krótki szkic historyczny" (1992), „Zarys dziejów Śląska Cieszyńskiego" (1992), „Domy Robotnicze" (1989), „Polská národní menšina na Těšínsku v České republice 1920-1995" (1997), „Leksykon PZKO" (1997), itd. itp.

Aktualnie nasz historyk pracuje nad historią gminy Ropica.

Dr Stanisław Zahradnik jest nie tylko historykiem i archiwistą, lecz także długoletnim działaczem społecznym i narodowym na naszym terenie. Rozpoczynał swą działalność w tym zakresie w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej, później w PZKO w Kojkowicach, gdzie przez pewien okres czasu był także przewodniczącym MK PZKO. Później po przeniesieniu się do Trzyńca był także członkiem zarządu tamtejszego Koła PZKO. W latach 1965-1971 pełnił funkcję przewodniczącego Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO, gdzie zresztą po dziś dzień jest motorem tego towarzystwa. Był także w przeszłości chórzystą, śpiewał w chórze akademickim w Pradze, w PZŚ Hutnik, w Kwartecie Piechaczka i chórze bystrzyckim. W młodszych latach był równocześnie aktywnym sportowcem - tenis stołowy, lekka atletyka, narciarstwo, stąd później angażował się bardzo w opracowywanie przez członków SHR historii polskich klubów sportowych na Zaolziu.

Dodać jeszcze wypada, iż w ostatnich latach Stanisław Zahradnik uporządkował archiwum ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, co w znacznym stop-

niu ułatwi w przyszłości badania nad działalnością tej organizacji kulturalno-oświatowej, uporządkował także archiwalia zboru ewangelickiego w Trzyńcu i wspólnie z Janiną Unicką archiwalia zboru ewangelickiego w Ligotce Kameralnej.

Naturalnie bogate i ofiarne życie naukowo-społeczne Stanisława Zahradnika i jego dorobek w tym zakresie znalazły odbicie w ocenie jego pracy. Świadczą o tym liczne odznaczenia: ZG PZKO Odznaka Honorowa I Stopnia Złota Zasłużony dla Związku (1992), Złota Odznaka STPH w Katowicach (1992), Nagroda im. Oskara Kolberga nadana przez ministra kultury i sztuki RP (1992), a w trzy lata później Zasłużony dla Kultury Polskiej, Członkostwo Honorowe ZG Macierzy Ziemi Cieszyńskiej (1997). Poza tym w roku 1997 prezydent RP odznaczył naszego historyka Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Natomiast w roku 2000 Polska Akademia Nauk Wydział I Nauk Społecznych i Komitet Badania Polonii odznaczył obecnego jubilata Dyplomem Honorowym, doceniając tym samym *znaczący dorobek w zakresie gromadzenia i opracowywania materiałów archiwalnych o aktywności kulturalnej Polaków z Zaolzia, a szczególnie wkład w rozwój naukowy wiedzy o polskich skupiskach w tym regionie i za konsekwencję w prowadzeniu badań w trudnych warunkach.*

Podczas kwietniowego spotkania Sekcji Historii Regionu członkowie złożyli Jubilatowi życzenia zdrowia i pomyślności oraz podkreślili rangę, znaczenie dorobku oraz zasługi Jubilata w krzewieniu wiedzy o naszej społeczności.

KAZIMIERZ JAWORSKI

NA NASZEJ SCENIE

TEATRY NA GRANICY

Przekonani o potrzebie poznawania sąsiadów i świadomi zła, jakie niesie brak zrozumienia i poszanowania innych kultur, cieszymy się na kolejne spotkanie – napisał w folderze festiwalowym Marian Dembiniok, dyrektor XIII Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Na Granicy, który odbył się w Czeskim Cieszynie i Cieszynie od 9 do 11 maja. Organizatorami byli: Stowarzyszenie Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka - Oddział Regionalny w Cieszynie, Ośrodek Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie i COK Dom Narodowy w Cieszynie, przy współpracy Teatru im. Adama Mickiewicza w Cieszynie, Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Instytutu Teatralnego w Bratysławie i Instytutu Teatralnego w Budapeszcie. Patronat nad Festiwalem objęli ministrowie kultury Rzeczypospolitej Polskiej, Republiki Czeskiej i Republiki Słowackiej,

hetman okręgu morawsko-śląskiego i Instytut Polski w Pradze. W jury Festiwalu, którego zadaniem było wyłonienie najlepszego wśród dziewięciu konkursowych przedstawień zaprezentowanych przez teatry z Polski, Czech i Słowacji, zasiedli: Zuzana Uličianska z Instytutu Teatralnego w Bratysławie, Silvia Huszár z Instytutu Teatralnego w Budapeszcie, Vladimír Hulec z Gazety Teatralnej z Pragi, Janusz Legoń z teatru w Bielsku-Białej i Krzysztof Mieszkowski z Notatnika Teatralnego we Wrocławiu.

Skromniejszy, bo trzydniowy tylko Festiwal (organizatorzy narzekali na brak finansów) przyciągnął jednak tłumy miłośników teatru, którzy jak co roku albo przemieszczali się z sali do sali, by zaliczyć kolejno wszystkie prezentacje festiwalowe, albo przychodzili tylko na konkretne, interesujące ich przedstawienie. Dość powiedzieć, że sale nie świeciły pustkami, a zdarzało się nawet, że zabrakło miejsc siedzących.

Nie było w tym roku przedstawień Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie - ani Sceny Polskiej, ani Sceny Czeskiej, zagrały w jego budynku inne teatry. Główny blok festiwalowy rozpoczął na ulicach Czeskiego Cieszyna happening „Spektakl chodnikowy" w wykonaniu Teatru „Kvelb" z Czeskich Budziejowic, łączący elementy teatru lalek, ruchu i plastyki z elementami teatru dramatycznego. Wieczorem zaprosił Teatr Astorka Korzo'90 z Bratysławy do Teatru Cieszyńskiego na dobre „Urodziny Stanleya" Harolda Pintera w reżyserii Vladimíra Strniska. Zaś późnym wieczorem na cieszyńskim rynku Teatr Biuro Podróży z Poznania zainspirowany światem opisanym przez hrabiego Jana Potockiego w „Rękopisie znalezionym w Saragossie" zaprezentował „Rękopis Alfonsa van Worden".

W drugim dniu Festiwalu dwukrotnie przedstawili swe ascetyczne, a przy tym ekscytujące „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego studenci wrocławskiego Zamiejscowego Wydziału Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Na Strzelnicy zagrał Teatr „Husa na provázku" z Brna „Lekcje tańca dla starszych i zaawansowanych", których scenariusz na podstawie Bohumila Hrabala napisał reżyser przedstawienia Ivo Krobot. W Teatrze Cieszyńskim zaprezentowały się następnie dwa zespoły słowackie: „Bábkové divadlo na Rázcestí" z Banskiej Bystrzycy ze spektaklem „Nie płacz, Anno" Júliusa Meinholma oraz „Divadelné združenie GUnaGU" z Bratysławy ze spektaklem „Czechow-bokser" Viliama Klimáčka. W Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie wystąpił wieczorem legendarny już Teatr im. St. I. Witkiewicza z Zakopanego z minidramatami Henriego Pierre'a Camiego „C'est la vie! czyli Camiczne wariacje" według scenariusza i w reżyserii Piotra Dąbrowskiego.

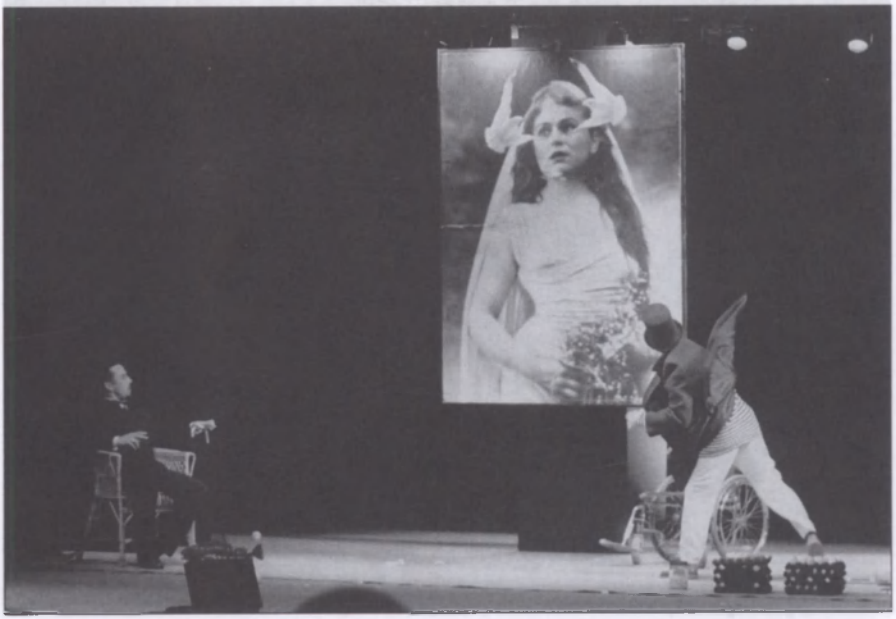
Trzeci dzień Festiwalu rozpoczęła „Szklana menażeria" Tennessee Williamsa w reżyserii Janusza Klimszy w wykonaniu ostrawskiego Towarzystwa Teatralnego im. Petra Bezruča ze świetnymi rolami Anny Cónowej i Richardy Krajčy. I w czeskocieszyńskiej Strzelnicy, gdzie została odegrana, zabrakło miejsc siedzących. Ostatnim czeskim spektaklem XIII Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Na Granicy była „Mewa" Antoniego Czecho-

wa, którą przedstawił Teatr im. Klicpery z Hradca Králové. Uznana została przez jury za europejskie przedstawienie XXI wieku i otrzymała nagrodę Złamanego Szlabanu. Festiwal zakończył Teatr Okno z Supraśla, prezentując spektakl teatru cieni „Romans Perlimplina i Belisy" według Federica Garcii Lorki.

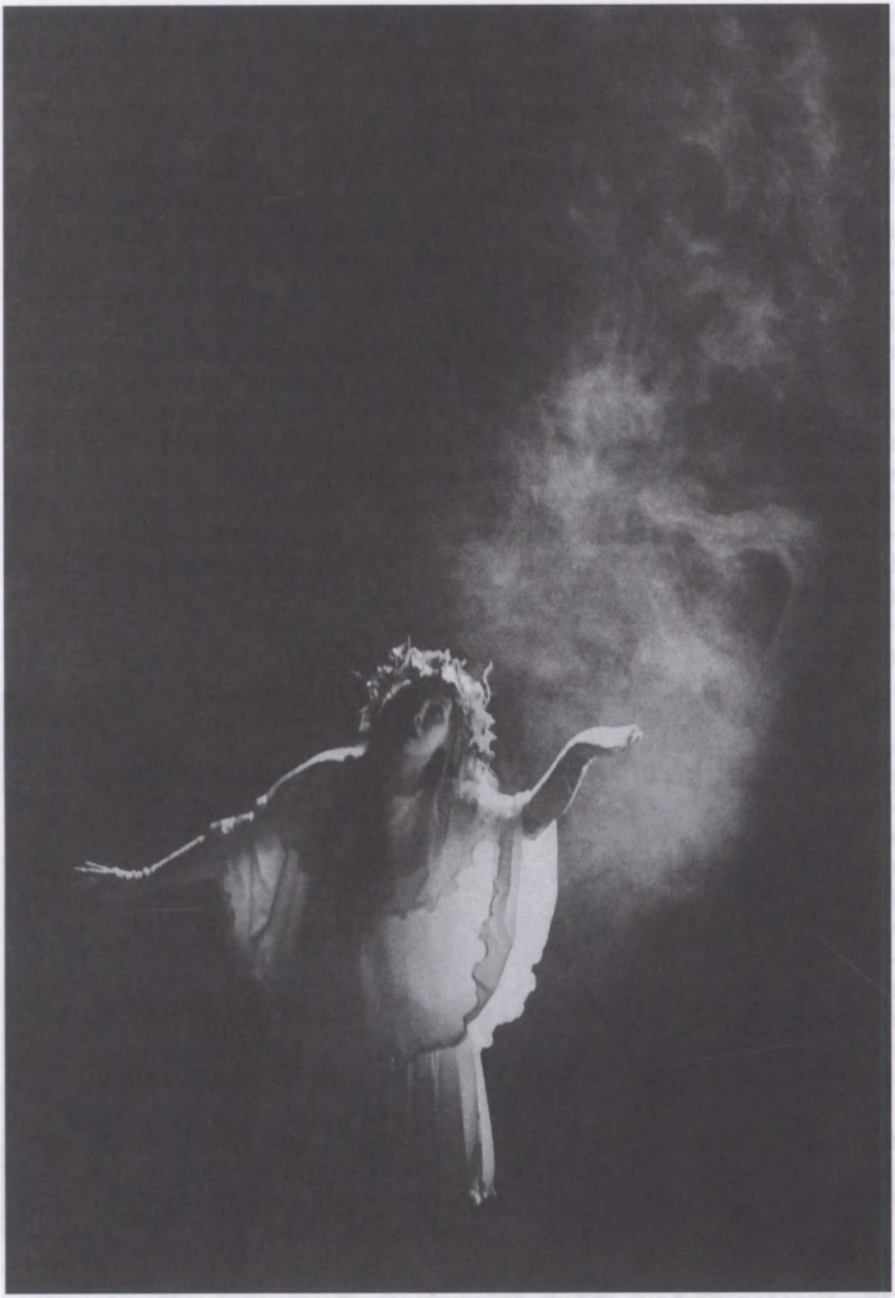
Przez cały czas Festiwalu czynna była też jego scena alternatywna - Hydepark - na podium za budynkiem Strzelnicy w Czeskim Cieszynie, gdzie tym razem prowadzący Aleš Juhelka prezentował same zespoły muzyczne: z Pragi, Ostrawy, Kutnej Hory i Wrocławia.

Jak co roku odbywały się też imprezy towarzyszące. Przede wszystkim był to na inaugurację Festiwalu w Filii Uniwersytetu Śląskiego wykład profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Jacka Balucha, bohemisty, byłego ambasadora RP w Pradze, na temat: Czeska literatura współczesna i najnowsza. Po czeskiej stronie na Strzelnicy odbył się koncert słowackiego wokalisty Richarda Müllera. Nie zabrakło też wystaw. W Ośrodku Kultury Strzelnica zainstalowano wystawę słowackich plastyków Tatiany i Marka Žitňanowych nazwaną Spotkania - obrazy i rzeźby, w Domu Narodowym wystawę fotografii Arkadiusza Ławrywiańca i Tomasza Jodłowskiego zatytułowaną Teatr światłem malowany. Imprezą towarzyszącą był też spektakl Teatru Księżyc z Cieszyna „Kiedy płonie Lewana".

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK - „Czajka"



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

BALLADA O BALLADYNIE

Jednym z celów, jaki przyświecał Juliuszowi Słowackiemu przy pisaniu „Balladyny", było stworzenie patriotycznej baśni z zamierzchłych czasów, która udawałaby balladę ludową. Wątki z dziejów Polski miały mieszać się z fantastycznymi, bohaterowie prawdziwi z wymyślonymi, tak, by wszystko wyglądało prawie jak autentyczna twórczość ludowa, oparta jednak na prawdzie historycznej. Pamięć o opisanych postaciach i zdarzeniach powinna była przetrwać długie lata. W ten sposób poeta romantyczny, zresztą nie tylko on jeden, zamierzał niejako uzupełnić braki i poszerzyć skarbnicę tradycji kulturowych narodu polskiego, z której mogłyby czerpać następne pokolenia.

Tragedię „Balladyna" napisał Juliusz Słowacki w 1834 roku, wydana została w 1839 roku, na scenie zaś wystawiona po raz pierwszy we Lwowie w 1862 roku i w Krakowie w 1868 roku. Z perspektywy stu kilkudziesięciu lat wydaje się, że plany autora nie były całkiem niedorzeczne. „Balladyna" znalazła swe stałe miejsce nie tylko w repertuarze teatru polskiego, ale także w świadomości społecznej. Wątek Balladyny i Aliny, malin, siostrobójstwa do tego stopnia spowszechniał i stał się własnością społeczną, że zna go niemal każdy i wydaje się, jakby istniał w przekazie ludowym od zawsze, a Słowacki nadał mu tylko bardziej artystyczny wymiar.

„Balladyna" czerpie nie tylko z motywów ballad i podań ludowych. Nie sposób nie zauważyć inspiracji szekspirowskich tak w wątkach baśniowych jak i tragicznych, a także w kompozycji dramatu. Nie jest moim zadaniem analizowanie dramatu, na jedną ważną sprawę trzeba jednak zwrócić uwagę. Słowacki to nie tylko tragik, to również satyryk, żartowniś, ironista, wręcz prekursor dramatu absurdu. Żartuje sobie bowiem z osób dramatu i z czytelników czy widzów. Wszystko jest w tym dramacie na opak, wbrew logice, na przekór rozumowaniu i zwykłemu ludzkiemu poczuciu sprawiedliwości. Zwycięża zło nad dobrem, głupota i prostactwo nad szlachetnością i mądrością, los osób żywych zależy od kaprysów postaci fantastycznych, a kiedy w końcu tytułową bohaterkę - zbrodniarkę - dosięgnie karząca ręka sprawiedliwości, jest o wiele za późno, bo już mało kto ostał się przy życiu.

Można chwalić piękny wiersz Słowackiego, kompozycję i wszystkie te elementy, które świadczą o bogactwie formy dramatu i stanowią jego nieprzemijającą wartość. Ale atrakcyjna i aktualna dla współczesnych jest także treść sztuki. Walka o władzę, zepsucie, które nadchodzi po jej zdobyciu, nieszczęśliwa miłość, niewdzięczność dorosłych dzieci w stosunku do rodziców to niektóre z wątków będących dostateczną motywacją do ko-

lejnego przeniesienia dramatu na scenę. Nie bez znaczenia dla twórców inscenizacji jest też fakt, że sceny z „Balladyny" są lekturą obowiązkową już w szkole podstawowej, toteż reżyserzy mogą się spodziewać, że z ich dzieła korzystać będą uczniowie, innymi słowy, że spektakl dłużej utrzyma się na scenie.

Zapewne argumenty takie brano pod uwagę również przy przygotowywaniu „Balladyny" w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego, przedostatniej premiery (13 kwietnia) 51. sezonu. Spektakl reżyserował Marek Mokrowiecki, dziś dyrektor teatru w Płocku, kiedyś aktor Sceny Polskiej. Autorem scenografii, bardzo prostej, a przy tym jednoznacznej w swej wymowie, przywodzącej na myśl jezioro i jego okolice, jest Miroslav Melena. Ruchomym elementem dekoracji są schody - stopnie do sławy. Dzięki bogactwu kolorów, uzyskanych przez grę świateł, zmienia się także nastrój chwili. Potęguje go muzyka Zbigniewa Siwka.

„Balladyna" jest jednym z dramatów, gdzie krew leje się strumieniami i trup ściele się gęsto. Początkowe sielankowe sceny ustępują miejsca bardziej dramatycznym i widz powinien siedzieć cały czas w napięciu jak przy horrorze najlepszego gatunku. Inaczej jest w przedstawieniu Sceny Polskiej. Reżyser, z wrodzoną być może łagodnością, sceny mordów ujmuje tak delikatnie i bezkrwawo, że potrafi zmylić mniej zorientowanego widza. To symboliczne pokazanie czynów najbardziej gwałtownych jest zapewne dobrym argumentem obrony w procesie przeciw brutalności dzisiejszego świata. Jednak brak gradacji napięcia i oszczędna aż do bólu gra aktorów (gra prawie cały zespół Sceny Polskiej) pozwala widzom na chwile drzemki. Piękny wiersz Słowackiego można oczywiście mówić bez krzyku, ganiania po scenie i wymachiwania rękami, ale wtedy pozostaje operowanie głosem. A z tym u młodych, ale nie tylko młodych, aktorów różnie bywa, nie zawsze udaje im się uniknąć szkolnej deklamacji i uwypuklić wartości i bogactwo języka wielkiego poety. Trudno zapewne winić reżysera za niedoskonałości warsztatowe aktorów, których ma do dyspozycji, powinien jednak przy wyborze środków scenicznych mieć je na uwadze.

Mimo tych, w moim mniemaniu, ułomności można śmiało polecić obejrzenie „Balladyny" każdemu widzowi. Premierowe lody zostały przełamane, po kilkunastu odegranych spektaklach prawie nikt z aktorów nie zapomina już tekstu, dojrzewa przedstawienie i jego wykonawcy. Balladowa konwencja nie przeszkadza w dostrzeganiu aktualności głównych tematów ani w odbiorze spektaklu jako dobrego przykładu świetnej literatury dramatycznej.

CZESŁAWA RUDNIK

W LESIE KARKONOSZA

Dzień dobry - wita przybyłych do lasu, wychylając się zza pagórków, jego właściciel Karkonosz. Dzień dobry - odpowiadają mieszkające tu i odwiedzające bajkowy las postacie, ale także siedzące na widowni Teatru Lalek Bajka w Czeskim Cieszynie dzieci, te grzeczne, które wiedzą, jak należy się zachowywać, i te niesforne, którym wielką radość sprawia przedrzeźnianie Karkonosza. Karkonosz jest bowiem bohaterem sztuki Oldřicha Augusty „Las Karkonosza", wystawionej w polskim tłumaczeniu Łukasza Balba przez Teatr Lalek Bajka. Reżyserem przedstawienia jest Paweł Niedoba, scenografię przygotowała Halina Szkopek, muzykę napisał Andrzej Macoszek, a zagrali: Beata Badošek, Krystyna Czech, Dorota Grycz, Pawełka Niedoba i Jan Szymanik.

Oldřich Augusta gościł już jako autor w Bajce. Jego sztuki to proste historyjki, bajeczki z morałem, gdzie nie ma jednak narysowanych ostrą kreską postaci czarnych i białych, lecz są osoby wahające się, popełniające błędy. A za błędy trzeba płacić. Nieposłuszeństwo musi zostać ukarane. Na szczęście błądzący po wielu perypetiach znajduje właściwą drogę i poprawia się, a odzyskawszy to, co wskutek niewłaściwego postępowania utracił, żyje potem zapewne, jak to w bajkach bywa, długo i szczęśliwie.

Takie historyjki mają tę zaletę, że dobre są dla każdego, mogą je oglądać widzowie najmłodsi, starsi i najstarsi. Bo jest coś takiego w każdym chyba człowieku, co każe mu smucić się, gdy pozytywny w sumie bohater ma kłopoty, nawet jeśli sam się w nie wpakował, i cieszyć się, gdy uda mu się z nich wyjść obronną ręką. Chodzi oczywiście o duchowe wsparcie dla bohatera na scenie lub ekranie, bo z życzliwością dla bliźnich w prawdziwym życiu to już bywa różnie.

Karkonosz to znana z czeskich bajek postać władcy gór, postać legendarna, wielokrotnie opisywana i ekranizowana. W sztuce „Las Karkonosza" przedstawiony zostaje jako obrońca drzew w swoim lesie. Wycinający je Drwal zostaje ukarany, jednak syn Marcin nie waha się i wraz ze swym przyjacielem barankiem Filipkiem wyrusza w długą drogę, najeżoną wieloma przeszkodami, by wyzwolić i odzyskać ojca. Dużą rolę w całej tej historii odgrywają skrzaty, pomocnicy Karkonosza, Pankracy, Serwacy i Bonifacy, z których zwłaszcza ten ostatni anonimowo, bo pod postacią baranka, pomaga także Marcinkowi. Dzięki niemu Marcin i Drwal są znowu razem.

Przedstawienie przygotowane przez Teatr Lalek Bajka robi sympatyczne wrażenie. Prosta scenografia - podstawą dekoracji scenicznej są kolorowe płótna na blejtramach, pozwalające rozwinąć fantazję i zobaczyć góry władcy Karkonosza - i przyjemna dla ucha muzyka stanowią dobrą podstawę

i pomoc dla aktorów, którzy częściowo grają swe postacie w kostiumach przed dekoracją, nawiązując w ten sposób bezpośredni kontakt z widzem, częściowo zaś schowani są za dekoracją, użyczając głosu swym lalkom. Miłe są skrzaty, przemienione w pewnym momencie w zające, a także baranek. Nawet ogromny Karkonosz, wyłaniający się jakby zza szczytów, choć srogi, nie zatrważa zbytnio, kiedy zaś wychodzi tuż przed widownię, sprawia wrażenie sprawiedliwej, lecz przyjaznej ludziom postaci. Dobrym pomysłem jest uosobienie Mgły i Wiatru, które w ten sposób widać i słychać.

„Las Karkonosza" jest przedstawieniem, które warto by zaproponować jak największej ilości widzów po drugiej stronie Olzy. By zapoznali się z postacią znanego bardzo dobrze i lubianego w Czechach Karkonosza. Wszak to władca gór leżących na czesko-polskiej granicy, mógłby więc stać się także polskim bohaterem.

Przedstawienie to zagrała Bajka między innymi w kwietniu na swym małym jubileuszu. Pięć lat już bowiem „mieszka" w wyremontowanych dzięki Stowarzyszeniu Wspólnota Polska lokalach na poddaszu budynku Zarządu Głównego PZKO w Czeskim Cieszynie na ulicy Strzelniczej. Tu próbuje i gra, tu ma siedzibę, ciasną, ale własną.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

WYDARTE SPEŁNIENIE

Człowiek obejrzy w ciągu swego życia setki, tysiące obrazów, przejdzie dziesiątki galerii, jednak tylko niewielka ilość tych dzieł utkwi obserwatorowi w myśli i duszy. Nasze organy percepcji są ograniczone i niedoskonałe i dlatego najczęściej rejestrują obrazy (rzeźby itp.) dobrze przystające do otoczenia i środowiska, w którym znalazły swoje ostateczne miejsce. W takim właśnie środowisku po raz pierwszy ujrzałem i doświadczyłem obrazów olejnych polskiego malarza Stanisława Krausa. Było to w luksusowej willi poety Jana Pyszki, w której tworzą na dwóch ścianach jednolite rzędy. Przede wszystkim krajobrazy z okolic Jabłonkowa. Syte i jednoznaczne w kolorach. W większości wypadków przeważają kolory ciemne, sugestywne i intensywne, powiedziałbym nawet brutalne.

Życie Stanisława Krausa związane było z Trzyńcem – tu się urodził (21.4.1926), żył, pracował i w końcu także umarł (14.4.2002). Trzyniec leży na Śląsku Cieszyńskim, terytorium narodowościowo mieszanym, które było w przeszłości często przedmiotem nieporozumień i sporów. I wiele z tego, co w przeszłości wycisnęło piętno na Trzyńcu, dosięgło również rodziny Krausów. Nawet po Monachium w czasie aneksji Śląska Cieszyńskiego przez armię polską. Podczas wojny był następnie ojciec Stanisława więziony przez Niemców, a przyszły malarz wysłany na prace przymusowe do niemieckiego gospodarza na Dolny Śląsk. Długi jest ciąg takich wypadków losu, zakończony po roku 1989 odebraniem atelier, w którym pracował Kraus prawie ćwierć wieku.

Stanisław Kraus często i z obłudnym uśmieszkiem wspominał swoją służbę wojskową w Klatowach i Suszicy. Była to epoka generała Alexandra Čepički, z której często się dziś śmiejemy. Robił to także Kraus, choć przecież właściwie właśnie w tym czasie i w tym środowisku narodził się Kraus-plastyk. Armia potrzebowała i domagała się ozdób i dekoracji, wypisała konkurs garnizonowy, a szeregowy Stanisław, duch niespokojny, awanturniczy i bardzo często ryzykant, wziął w nim udział i ku własnemu zdumieniu wygrał. W cywilu kontynuował potem te inicjatywy, w Trzyńcu pod kierownictwem doświadczonego Gustawa Fierli, następnie w Pradze na kursie profesora Baumbrucka (w tym czasie bywał też niejednokrotnie w atelier Ludvíka Kuby i Jana Baucha). Do dalszych studiów jednak nie doszło, pracował

w kopalniach, a w końcu jako plastyk w dziale propagacji huty trzynieckiej.

Domeną tematyczną Krausa jest krajobraz, portret i martwa natura, ulubioną techniką olej. Jeśli chodzi o tematy, pracował głównie w cyklach, ma więc okres słoneczników, aktów, piwonii, a następnie chociażby beskidzkich krajobrazów. Pod koniec swego życia zmierzał do prostego i jednoznacznego sposobu wyrażania kolorami, starał się oddać rzeczywistość kilkoma pociągnięciami pędzla. Nietaktowne odebranie atelier na początku lat dziewięćdziesiątych wyeliminowało Stanisława Krausa ze względów zdrowotnych z pracy na dłuższy czas. Naznaczyło go fizycznie i duchowo. Dopiero na krótko przed śmiercią powrócił do malarstwa.

Kraus był także malarzem-pedagogiem, który w ciągu swego życia skierował na drogę artystyczną niejednego młodego adepta plastyki. A było tych uczniów ponad trzydziestu. Należała do nich także Aneta Sedlákowa, wnuczka malarza, która ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. W odróżnieniu od swego dziadka inklinuje ku abstrakcji. To jednak u młodych normalne. To element poszukiwań.

Jeśli chodzi o samego Stanisława Krausa, to odnalazł się on w oryginalnym i wyrazistym świecie beskidzkich krajobrazów, kobiecych aktów i przesadnych kwiatów. Obejmował je swym wzrokiem, oceniał je i pozwalał, by go przenikały. Przedstawione obiekty tworzyły już cząstkę jego samego.

Na początku wspomniałem o tym, że Stanisław Kraus po raz pierwszy przykuł moją uwagę w mieszkaniu Jana Pyszki. Między obydwoma istnieje cicha i niewątpliwa wspólnota, ludzka i artystyczna. Kraus ilustrował tomik Pyszki „Słowa jak kamienie", a Pyszko poświęcił mu w nim jeden z wierszy, w którym zwięźle przedstawił proces twórczy malarza. Wiersz nosi nazwę „Akt":

W godną chwilę
porywasz in flagranti
córkę Zeusa

Skok iskry
z palety na płótno

Z własnego kosmosu
wydzierasz spełnienie

V důstojném okamžiku
zmocňuješ se in flagranti
dcery Diovy

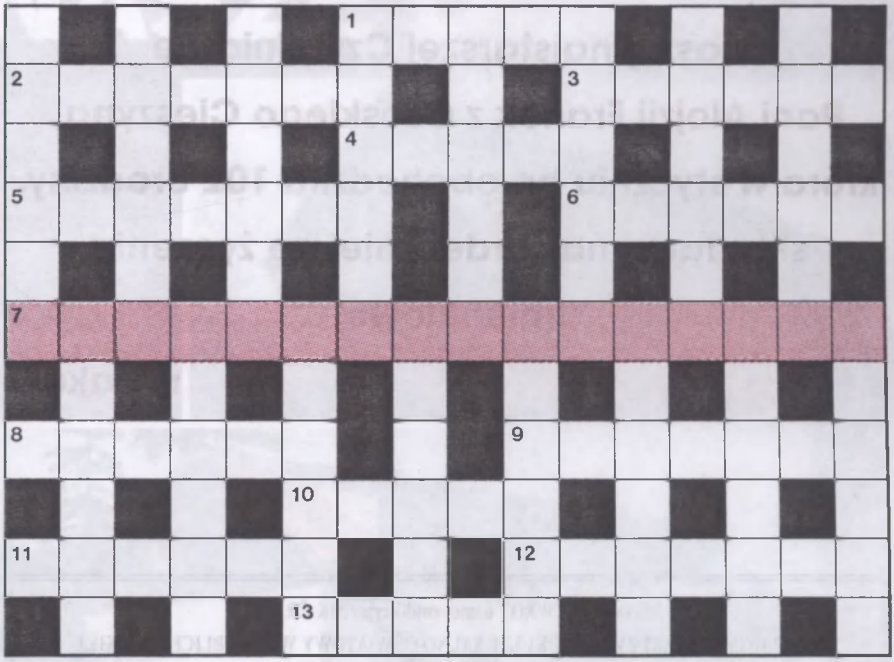
Skok jiskry
z palety na plátno

Ze samotného kosmu
rveš výsledek

A w prawdziwej sztuce chodzi przede wszystkim o spełnienie.

FRANTIŠEK VŠETIČKA
tłum. M.R.

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

POZIOMO: 1. Wlazł na płotek. **2.** Mała beczka, antałek. **3.** Polecenie. **4.** Ognisko góralskie. **5.** Reżyser filmowy (Krzysztof). **6.** Melodia wygrywana przez zegar. **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE. 8.** Myśl wyrażona słowami. **9.** Miasto powiatowe w województwie dolnośląskim. **10.** Tytuł powieści Bolesława Prusa. **11.** Imię Słonimskiego. **12.** Rodzaj zagadki. **13.** Taniec towarzyski.

PIONOWO (w porządku alfabetycznym): IGELIT, ILORAZ, INKASO, KAOLIN, KAWIOR, KRAKÓW, OBSZAR, ONDYNA, SZEREG, TATAMI, TRUNEK, UDZIAŁ, WAGNER, WŁASOW, YEOMAN, ŻONKOŚ.

MINISŁOWNICZEK mniej znanych wyrazów:

ONDYNA - rusałka, boginka wodna (także UNDYNA)
WŁASOW - architekt lub generał rosyjski
YEOMAN - halabardnik na zamku Tower.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca czerwca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru kwietniowego: GDZIE JEST CZŁOWIEK, TAM JEST I SZTUKA

Nagrody książkowe wylosowali: **Wanda Winklerowa** - Trzyniec
Alicja Borzowa - Czeski Cieszyn
Karol Potoczny - Ostrawa

Naszej najstarszej Czytelniczce
Pani Alojzji Franek z Czeskiego Cieszyna,
która w styczniu br. obchodziła 102 urodziny,
składamy najserdeczniejsze życzenia
imieninowe.

redakcja

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY





DOMY PZKO W MILIKOWIE

Milików jest jedyną wioską, w której stoją dwa domy PZKO: MK PZKO Milików Centrum i MK PZKO Milików Pasieki.

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

BOGUMIN





NASZE ZAOLZIE



Zwrot

7
2002

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Absolwenci Seminarium Nauczycielskiego w Polskiej Ostrawie z roku 1928. Seminarium założono w roku 1923. O postaciach z fotografii można znaleźć informacje w tym numerze Zwrotu.

WYBÓR

W XVII wieku Maciej Sarbiewski, poeta i teoretyk literatury, piszący w języku łacińskim, tak pisał o Polakach: *Umysł mają chłonny na wszystko, co ich otacza, i w zdolnościach potrzebnych do zdobycia ogólnego wykształcenia nie ustępują nikomu. Umysłowość to jednak o ile podatna na wpływy, o tyle mało wytrwała, o ile posiadająca wielkie możliwości, o tyle nie lubiąca wysiłków. Są jak pioruny, które gdy raz uderzą, leżą tak jak każdy inny krzemień. Lepsi jesteśmy w pierwszym zapędzie, niż w stałym dążeniu. Wiele rzeczy w nas natura rozpoczyna, lecz niewiele tylko doprowadza do końca.*

Cóż, minęło wiele wieków, a nasze tak trafnie scharakteryzowane przywary narodowe pozostały i to niezależnie od tego, gdzie zamieszkujemy, w kraju, poza jego granicami, z własnej woli, czy też z woli polityków. A może nadszedł czas odmiany własnego wizerunku, przynajmniej dla nas Polaków na Zaolziu, bo oto w połowie czerwca zdecydowaliśmy dużą grupą, że potrafimy wspólnie dokonać wyboru, by móc w ten sposób wpływać na dalsze losy naszej małej zbiorowości. Dokazaliśmy, że z naszym głosem należy się liczyć. I to, patrząc w przyszłość, jest bardzo ważne. Po czterech latach przerwy będziemy mieli swojego przedstawiciela w Izbie Poselskiej. Nie ulega wątpliwości, że Marian Bielesz, kandydujący z listy Koalicji, polityk reprezentujący Unię Wolności, sukces wyborczy zawdzięcza w dużej mierze swoim współrodakom. To zobowiązuje jedną i drugą stronę. Nie wszystko jednak za nas załatwią politycy. My sami musimy pokazać, że stać nas na odwagę bycia Polakiem na Zaolziu. A to wymaga również co nieco wyrzeczeń. Okazywanie swojej przynależności narodowej, to nie tylko przynależność do polskiej organizacji, ale również czynny udział w organizowaniu czy uczestniczeniu w naszych tradycyjnych spotkaniach z polską kulturą, posługiwanie się na co dzień polskim językiem i dbałość o nasze najmłodsze pokolenie, któremu polskie korzenie pozwoli zachować jedynie polska szkoła. Bądźmy aktywni, pokażmy, że jesteśmy, a wówczas naszym reprezentantom w Izbie Poselskiej i Senacie, we władzach okręgu, powiatu i gminy będzie łatwiej rozwiązywać nasze wspólne problemy.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

Zwrot 7 2002

Rok LIII, Nr 632
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	O recepcie na długowieczność, a także o młodzieży, naszym języku i przyszłości. Rozmowa z prof. Danielem Kadłubcem	CZESŁAWA RUDNIK
9	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (1)	
18	Lektura na lato: Tajemnica skradzionej poezji (1)	MARYLA ADAMEC
30	Kronika: Festiwal PZKO Karwina 2002, XX Igrzyska Lekkoatletyczne, 95 lat bogumińskiej szkoły, Dzień Oszeldy w Nieborach, Maj nad Olzą, Promocja książki o Karwinie, Czadownica w Milikowie, Z działalności Sekcji Ludoznawczej, Wernisaż karwińskiej wystawy Józefa Mackowskiego, Spotkanie z premierem Leszkiem Millerem	
48	Poezja Maulana Dżalal Ad-Din Rumi	
50	Kim był Maulana Dżalal Ad-Din Rumi?	
52	Młode pióro: Dominika Szymańska	
54	Na półkach księgarskich: Ołomuniec literacki, Polacy na Zaolziu, Książka o sprawach niemal zapomnianych	
61	List od Adama (Bergera)	KAZIMIERZ JAWORSKI
63	Na naszej scenie: Mosty do ludzi Wiesława Adama Bergera, Bajka w New Yorku	CZESŁAWA RUDNIK
69	Pamięć o ofiarach pierwszej i drugiej wojny światowej	ANDRZEJ PAWLAS
71	W służbie Bogu, ludziom i ojczyźnie	ROMAN CHOWANIEC
73	Nasza okładka	
74	Pożegnania: Zofia Wanok	
75	Nasze zdrowie	
77	Mozaika	

Numer zamknięto 14. 6. 2002

O RECEPCIE NA DŁUGOWIECZNOŚĆ, A TAKŻE O MŁODZIEŻY, NASZYM JĘZYKU I PRZYSZŁOŚCI

ROZMOWA Z PROFESOREM KAROLEM DANIELEM KADŁUBCEM



Od kilku dziesięcioleci jest Pan najwybitniejszym znawcą kultury ludowej na Zaolziu, językoznawcą, etnologiem, ale także znanym działaczem społecznym, niekwestionowanym autorytetem w wielu dziedzinach. Czy dla takich ludzi jak Pan nie ma emerytury?

Wszystko zależy od tego, jak się pojmuje emeryturę. Jeżeli oznacza to wyłączenie się z wszystkiego, co się dotychczas robiło, jest to najgorsze rozwiązanie z możliwych. Z chwilą, kiedy człowiek przestaje się ruszać fizycznie i intelektualnie, już go nie ma. Zastanawiające jest, chociaż zrozumiałe, że wszyscy, którzy pomimo tzw. sędziwego wieku pracują umysłowo, zazwyczaj są sprawni bardzo, bardzo długo. Przykład jeden za wszystkie. Profesor Jan Szczepański, wielki socjolog z Ustronia, ma w tej chwili 88 lat. Dzwonię do niego i pytam: Panie Profesorze, co pan robi? A on mówi tak: Piszę artykuł

po angielsku, bo uniwersytet w Cambridge u mnie zamówił taki a taki tekst. Jednym słowem, nie poddawać się, nie ustawać, być ciągle w ruchu. Myślę, że to jest właśnie recepta na długowieczną sprawność.

Szeroka jest gama Pańskich zainteresowań. Czy można je jakoś wartościować?

Wydaje mi się, że kiedy człowiek interesuje się tylko jedną dziedziną, to jest to zbyt nudne. Dużo zależy też od temperamentu, od osobowości. Powiem jednak tak: Świat jest różnorodny, bogaty, jest mozaiką, na którą składają się najróżniejsze rzeczy: literatura, pieśń, muzyka, teatr, sport itd. Mnie interesuje kultura jako system, jako całość, nie zaś jeden jej wycinek, fragment. I dlatego te najróżniejsze zainteresowania, które od wielu lat uprawiam.

Jest Pan pracownikiem naukowym Uniwersytetu Ostrawskiego, jak również Uniwersytetu Śląskiego Filii w Cieszynie. Jak rozwija się współpraca tych uczelni po dwóch stronach granicy?

Powstała idea, żeby utworzyć wyższą uczelnię transgraniczną. Nazywa się Wyższa Szkoła Nauk o Kulturze i Edukacji. Składa się z części Uniwersytetu Ostrawskiego, mianowicie Wydziału Pedagogicznego, i części Uniwersytetu Śląskiego, Filii w Cieszynie. Będzie rozwijała badania transgraniczne po polskiej i po czeskiej stronie przez zespół naukowców polskich i czeskich, będzie prowadziła zajęcia dla studentów zarówno po polskiej, jak i czeskiej stronie, tudzież będzie również starała się rozwijać po stronie ostrawskiej kulturę polską i język polski, po stronie cieszyńskiej język czeski i kulturę czeską tak, żeby studenci, słuchając bądź to wykładowców polskich, bądź czeskich, mieli lepszą możliwość dotarcia do wiedzy, która im będzie przedkładana. Myślę, że mało gdzie ma szansę powstać taka uczelnia, i to nie tylko ze względu na historię tego regionu, ale też i jego współczesność. Tu przecież stykają się różnorodne języki, narodowości. Tak pomyślana szkoła jest niewątpliwym wzbogaceniem regionu, a przede wszystkim studentów. Im więcej zróżnicowanych językowo, kulturowo, intelektualnie naukowców, tym bogatsza oferta i atrakcyjniejsze studia.

Jako pracownik naukowy uniwersytetu od lat spotyka się Pan na co dzień z młodymi ludźmi. Na ile młodzi ludzie dziś są inni od swoich rówieśników sprzed dwudziestu kilku lat? Czy młodzież zmienia się?

Wszystko się zmienia, ponieważ życie nie rozwija się w próżni. Jeżeli zmienia się cywilizacja, jeżeli zmienia się kultura, cały świat, to równocześnie ludzie w tym świecie się zmieniają. Chociażby taki przykład: Kiedyś w ogóle było nie do pomyślenia, żeby student zarówno

studiował, jak i pracował. Dawniej chodziło się tylko do szkoły. Teraz spotykamy się z tym, że studenci np. przychodzą i usprawiedliwiają swoją nieobecność obowiązkami pracowniczymi lub wyjazdami zagranicznymi. W porządku. Penetrują świat, mają kontakty z innymi profesjami, z innymi ludźmi, z innymi kulturami. Jednak ma to, jak wszystko, też drugą stronę. Polega ona na tym, że nie ma dziś tej systematyczności, tego skupienia się tylko na nauce, co było dawniej oczywistością. Młodzież akademicka chodziła na zajęcia i do biblioteki. Ale też robiła wspaniałą swoją kulturę. Teraz jest mnóstwo innych kwestii, którym trzeba poświęcić uwagę, życie jest droższe, nieraz studenci studiują na dwóch, trzech wydziałach, czasem zaocznie, trzeba dorobić, bo rodzice nie mają pieniędzy. Tak więc generalnie zmieniły się okoliczności, świat się zmienił i studenci też. Mają różnorodniejsze zainteresowania, mogą jeździć po świecie, co też się potem przejawia w dyskusji na zajęciach, są bardziej obyci, uczą się języków. Oferta jest różnorodniejsza i studenci też są różnorodniejsi. To taki pierwszy z brzegu przykład.

A jaka jest różnica między młodzieżą polską i czeską?

Generalnie można powiedzieć, że nauka polska nigdy nie straciła kontaktu z nauką światową, obojętnie, czy to było trzydzieści, czy pięćdziesiąt lat temu, czy były takie, czy inne władze, rządy bardziej czy mniej totalitarne, zawsze nauka polska była częścią nauki światowej. Tłumaczono na język polski dzieła, które nigdy nie mogły ujrzeć światła dziennego w ówczesnej Czechosłowacji. Dlatego studenci polscy nigdy nie stracili kontaktu z nauką światową, natomiast w Czechosłowacji kontakt ten był zerwany, ponieważ tyko wybiórczo umożliwiano dostęp do tego, co było w produkcji światowej. To jedna sprawa. Druga kwestia dotyczy tak zwanej mentalności narodowej. Myślę, że Polacy generalnie mają ducha bardziej romantycznego, natomiast Czesi bardziej pozytywistycznego. Tamci są bardziej emocjonalni, spontaniczni, ci zaś bardziej codzienni, może i praktyczni. Polacy mają tendencje do ozdobnego, potoczystego, kwiecistego wyrażania się. Nieraz forma góruje u nich nad treścią. Przez Czechów przemawia pragmatyzm, racjonalizm, graniczący nieraz z wyrachowaniem. Sądzę, że w tym wszystkim widoczne są i narodowe dzieje. Był taki czas, kiedy Polska miała największy procent szlachty w Europie. I jest to widoczne po dziś dzień. Wiemy, że szlachcic na zagrodzie był tam równien wojewodzie. Indywidualność w Polsce była i jest w większej cenie niż zespołowość. Symbolem jest nieszczęsne liberum veto. Stąd buntowniczość, opozycyjność, nawet anarchia, obstawanie przy swoim, dbanie o to, nieraz przesadne,

by być kimś, by być widocznym. To chyba jeden z powodów, dlaczego Polacy grają tak słabo w piłkę nożną i w hokeja. To sporty kolektywne. Są natomiast znakomici w boksie, w lekkoatletyce, w kolarstwie, w tym, gdzie w grę wchodzi indywidualność, a nie współpraca, kolektyw. Tego nie ma w polskiej mentalności narodowej. Czesi, zwłaszcza po Białej Górze, nie mieli szlachty, więc liczył się tylko lud. Stąd nie ma tu indywidualnego bohaterstwa. Dlatego czują się najlepiej w grupie, np. przy piwie, gdzie są razem. I to się przekłada na hokej, na piłkę nożną.

Wróćmy na nasze podwórko. Chciałabym poruszyć temat gwary i języka literackiego. Czym jest dla nas nasza gwara?

Gwara nie jest gorszym językiem od języka ogólnego, od literackiego. To są równorzędne języki, tylko mają inną funkcję, inną historię i inną skalę używania. Przywiązanie do gwary u nas wynika z uwarunkowań historycznych. Tu, na Zaolziu, od ponad sześciuset lat nie było bezpośredniego kontaktu z polskim językiem literackim, bo Zaolzie nie było przy Polsce, przy Macierzy. Tudzież pozostała nam gwara, która była ważną, jedyną namiastką języka literackiego. Uwarunkowania historyczne naszego życia są takie, że gwara jest wpisana w naszą ziemię, w jej kulturę, w mentalność tutejszych ludzi. Pisałem o tym w „Cieszyńskiej ojczyźnie polszczyźnie". Kto w naszym środowisku stara się mówić językiem literackim, wygląda nienaturalnie, na kogoś, kto uważa się za kogoś, kto chce być inny, lepszy, a zatem kto nie jest tu stela. Gdyby był tu stela, to by mówił po naszemu. Czyli używanie języka literackiego ma jakoby cechę wysferzania się. Wiadomo zaś, że w społeczności wobec jednostek, które chcą manifestować lepszość, są nastawienia raczej ironizujące taką postawę. Jesteśmy tak a nie inaczej zaprogramowani i uwarunkowani, toteż gwarze w polskim środowisku będzie się jeszcze długo dobrze powodziło. Nawet nauczyciele na przerwach, dzieci na przerwach w szkole mówią po naszemu. W porządku, jest to w końcu język staropolski, mówiący wiele o nas, o naszych korzeniach, rodowodzie, dziejach. Jednak gwara naszej najmłodszej generacji jest, muszę powiedzieć, fatalna. Szkoda, że nauczyciele nie zwracają na to baczniejszej, systematyczniejszej uwagi, bowiem kultura języka, choćby gwarowego, wymaga jego czystości. Jeżeli mówimy po czesku, mówmy poprawnie po czesku, jeżeli mówimy po polsku, mówmy poprawnie po polsku, jeżeli po naszemu, mówmy poprawnie po naszemu. Język jest zwierciadłem człowieka. Gdy mówi się byle jak, to tak, jakby się było niedomytym. Perfekcyjne opanowanie literackiej polszczyzny jest naszym oczywistym obowiązkiem.

Czy używanie gwary, do której wtrącamy coraz więcej czeskich słów, nie przyśpiesza asymilacji?

Język jest jednym z najważniejszych członów etniczności, czyli trwania narodowego. Niestety, dziś na Zaolziu, nawet na wsi zdecydowana większość dzieci chodzących do szkół czeskich mówi po czesku, co przed trzydziestu, czterdziestu laty było nie do pomyślenia. Zróżnicowanie na tych, którzy mówią po czesku i po naszemu, jest wyraźne. Stąd ten, kto mówi po naszemu, deklaruje, że jest Polakiem. Mówienie po naszemu jest coraz częściej synonimem polskości. Kolejna rzecz. Zastanawia mnie i niepokoi, dlaczego dzieci z naszych szkół, przychodząc do sklepu, zaczynają mówić po czesku. Podobnie ich rodzice. Mówienie po naszemu na tym terenie staje się coraz większym reliktem, co z kolei przyspiesza asymilację. Na Boga, kto tak ma mówić, jeżeli nie my? Uważam, że w szkole mało się z dziećmi rozmawia na ten temat. Przecież trzeba im powiedzieć: Słuchajcie, macie prawo, ale nie tylko prawo, macie obowiązek mówić jeżeli nie po polsku to po naszemu. Przychodzisz do sklepu, mów swoim językiem, językiem ojców, dziadów, pradziadów. Przecież cię rozumieją, a ponadto jest to nasze wspólne dobro. Gwara ustępuje z naszego życia. I uważam to za przejaw wykruszania się naszej społeczności. Nie język literacki, bo go tu właściwie nigdy nie było w życiu publicznym, oprócz szkół, organizacji i związków polskich, ale właśnie gwara. Tę sytuację należy odwrócić. Przede wszystkim dzieciom w szkołach trzeba mówić o tych sprawach, o tym, że to nie wstyd mówić po naszemu. Przeciwnie, dajemy do zrozumienia, że władamy nie tylko jednym językiem. To zaś jest wartością samą w sobie. Umiejętność wyrażania swych myśli w różnych językach, w tym i w gwarze, daje przewagę nad tymi, którzy tego nie potrafią.

Jak dziś wytłumaczyć naszej zaolziańskiej młodzieży takie pojęcia jak ojczyzna, tożsamość narodowa, patriotyzm?

Paradoks polega na tym, że kiedy robiliśmy badania wśród naszej młodzieży i postawiliśmy pytanie: Czy się uważasz za Polaka, Czecha, Ślązaka cieszyńskiego, padały też odpowiedzi, że za Europejczyka. A byli to nieraz młodzi ludzie z Bukowca czy Piosku. Zerwane zostały naturalne więzi, które kiedyś nas trzymały na naszej ziemi. Stalmach powiedział tak: Musimy pamiętać, że między Słowianami jesteśmy Polakami, a między Polakami jesteśmy Ślązakami. Bycie Europejczykiem stało się dziś modą, więcej, pustym hasłem, nowomową, sloganem bez pokrycia. Europejczyk jest fikcją bez bycia najpierw polskim czy czeskim Cieszyniakiem, Polakiem czy Czechem w ogóle. Dopiero na koń-

cu jest Europejczyk i obywatel świata. Musimy znać swoje, a potem dopiero cudze chwalić. To jest naturalny rozwój człowieka. Odwrotny jest ułomnością. Niestety, w tym galopującym tempie życia zapominamy o swoim fundamencie i budujemy domy na piasku. Jaka jest ich trwałość, łatwo sobie wyobrazić. Został zerwany naturalny ciąg rozwojowy - od domu rodzinnego, przez swój region, kraj, ku całemu światu. Wiemy więcej o dalekich krajach niż o własnym gnieździe, o swoich rodzicach, przodkach, swojej miejscowości. Patriotyzm, ojczyzna, naród rodzą się w domu, w kołysce, wraz z pierwszymi słowami i zdaniami, ze śpiewem, książką, wraz z rozmowami, kim byli nasi przodkowie, dlaczego tacy właśnie byli, jakie to miało i ma znaczenie, i o tym, że narodowość to nie ubranie, które zmieniamy według pogody. Ojczyzna rodzi się w sercu, w domu, potem w szkole. A szkoła zazwyczaj uczy, mało wychowuje i uświadamia. Również dla wielu rodzin ojczyzna brzmi staroświecko. A przecież tylko to drzewo chlubi się wspaniałą koroną, które ma głębokie korzenie. Ojczyzna mała i wielka są tymi korzeniami właśnie.

Spróbujmy popatrzeć w przyszłość. Mówi się, że przyszłość to Europa regionów?

Powinno tak być. Zacznijmy jednak od przykładu, choć trochę odległego: Ślązacy wyjeżdżali do Teksasu w Stanach Zjednoczonych w połowie XIX wieku i pierwszym ich odruchem było jak najszybsze pozbycie się śląskości i spłynięcie ze społeczeństwem większościowym. Po trzech, czterech generacjach wnuki, prawnuki tych emigrantów jeżdżą po polskich parafiach, skąd pochodzili, odgrzebują dawne rodowody, metryki chrztu, urodzin. Następuje nawrót, bo człowiek zawsze wraca do korzeni. Tylko idzie o to, że czasem już nie ma do czego wracać. Przez bezmyślny pęd do tej sfrazeologizowanej wspólnej Europy zapominamy o tym wszystkim. Wspólna Europa nie może być jednolitą Europą, z jednym językiem i z jedną kulturą. Byłby to oczywisty regres, nuda i ubóstwo. Silna i bogata Europa musi być Europą wielu języków i kultur, w tym i regionalnych. Możemy się do tego przyczynić, kultywując to, co przez wieki rosło nad Olzą. Przez to i sami będziemy bogatsi, atrakcyjniejsi i wszędzie mile widziani. Gdy ktoś sam siebie nie szanuje, nie szanują go też inni.

Dziękuję za rozmowę i w imieniu redakcji Zwrotu składam serdeczne życzenia urodzinowe.

CZESŁAWA RUDNIK

W tym numerze Zwrotu rozpoczynamy drukowanie w odcinkach obszernych fragmentów wspomnień Rudolfa Wójcika, nauczyciela z Rychwałdu, który zaistniał już na naszych łamach jako autor wspomnień z przedwojennego Zjazdu Polonii. Kilkusetstronicowy pamiętnik Rudolfa Wójcika obejmuje jego wspomnienia, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa, aż po bogate doświadczenia nauczycielskie spisane do roku 1934. Mamy nadzieję, że te ciekawe wspomnienia dotyczące polskich szkół na Zaolziu wzbudzą zainteresowanie naszych czytelników.

PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (1)

(obszerne fragmenty)

Z DZIECIŃSTWA

Cały kraj objęty całunem czarów zimy, która w postaci mrozu, śniegu i wiatrów święciła triumf swego istnienia. Boć to jej najodpowiedniejszy termin - w styczniu zapanować nad światem, nad wszystkim, co znajduje się w kręgu jej panowania.

Tą porą, 24 stycznia 1913, ujrzałem pierwszy raz światło dzienne - rozpocząłem swe życie w domu rodziców w Rychwałdzie liczba domu 120 jako ślubne dziecko ojca: Wójcik Jan, górnik, syn Wolnej Zofii, rzymskokatol., matki: Marianny, córki Zastawniak i Jadwigi urodzonej Kalitowej, rzymskokatol. Miejsce mego urodzenia jest ściśle złączone z naszą ojcowizną. Byłem piątym dzieckiem z rzędu, ale jak później się okazało, nie ostatnim.

Dnia 2.2.1913 przyjąłem św. Sakrament Chrztu i imię Rudolfa w kościele parafialnym w Rychwałdzie od ks. F. Niemca podług rzymskokatolickiego obrządku kościelnego. Karta urodzenia i chrztu L. 337 z dnia 27.5.1927 wystawiona przez probostwo w Rychwałdzie, ks. K. Sobek. Akt ten wciągnięto do księgi urodzenia i chrztu VI str. 420.

Rodzicami chrzestnymi byli: Szalonek Franciszek, kolejarz w Boguminie, a matką chrzestną jego żona Rozalia. Akuszerką była p. Litnerowa z Rychwałdu.

Było to wówczas probostwo Rychwałd, dziekanat frysztacki, Diecezja Wrocławska.

Szczegóły o najwcześniejszym moim życiu są mi nieznane, jako zresztą dziecku, a tylko ze wspomnień rodziców albo najstarszych z rodzeństwa mogłem się dowiedzieć bliższych szczegółów. Nie były to dla mnie lata zbyt dobre, ale proste i swojskie, jakimi tylko na wsi być mogą. Wychowywany byłem głównie przez matkę sposobem także prostym: Jedna wspólna kolebka rodzinna kołysała mnie do snu jako wierna towarzyszka każdego z nas dzieci. Komfortu tak w ubiorze jak i w żywności nie miałem żadnego - zresztą, nie o tym mogli myśleć rodzice przy swej całodziennej harówce i skrzętności gospodarczej. W obejściu także była prostota, w niczym nie głaskało mnie życie. Co tylko było pod ręką, to dostałem, żeby mi tylko nie było zimno i nie miałem głodu.

JAK TO BYŁO W DOMU

W latach tych rozpętała się I wojna światowa w r. 1914, która wycisnęła swe piętno na mym dziecięcym jeszcze życiu. Odczułem zwłaszcza brak żywności. Mieliśmy większością czarną gorzką kawę, przez jakiś czas kukurydziany chleb, nawet ziemniaczany chleb. Nie mieliśmy żadnych przysmaków ani cukierków.

Pierwsze słowa, których mnie matka uczyła, były polskie słowa. Stąd pochodzi moja przynależność rodowa, która mimo późniejszych zmian politycznych nie mogła u mnie znaleźć podatnego gruntu ani żadnego zwyrodnienia.

W dni chłodniejsze, zimowe przebywałem w starej izbie, która była równocześnie kuchnią. Latem znowu bawiłem się na polu: na placu (podwórzu) przed domem lub w ogrodzie owocowym. Innego otoczenia początkowo nie znałem, nie miałem żadnych wózków, żadnych zabawek - spałem w polu często w korycie do prania lub wprost na gołym trawniku, naturalnie przez dzień.

W okresie tym wydarzył mi się jeden groźniejszy wypadek. Przez nieostrożność spadłem ze schodków od podcienka i złamałem sobie lewą rękę. Złamanie to nie było na szczęście groźne, a w młodym wieku rana goiła się łatwo, a złamanie zrosło się powoli tak, że nawet śladu nie pozostało.

Inaczej przedstawiało się wówczas urządzenie naszego domu, który składał się:

Z izby mieszkalnej i kuchni, zwróconej na północ (miała 2 małe okienka),

Z „tamtej izby", która była właściwą sypialnią, a częściowo i izbą gościnną. Zwrócona była na południe - jedno okno było do zogródki, a drugie tak zwane „do placu". Oba maleńkie.

Z „kuchyńki", która wówczas była jakby przedpokoikiem do „tamtej izby". W kuchyńce znajdował się piec kaflowy z blachą normalnie do gotowania. Był tam także „młynek trybowy". Na nim mieliliśmy mąkę na chleb. Każdy z nas starszych musiał namleć w tygodniu jedną słomiónkę mąki.

Z sieni, która była właściwie ciemną komórką, a w niej był piekarszczok. Na strych prowadziły z sieni drewniane schody. Na strychu mieliśmy zboże, plewy, skrzynię na wędzone mięso, worki z mąką i mniejsze rzeczy, jak słomianki, worki.

Z drewnianego podcienka, z którego drzwi wychodziły nie jak teraz, ale w kierunku ogrodu. Na podcienku był powołek, a na nim gołębniki, które chował przeważnie Manuś. Równo z podcienkiem na miejscu dzisiejszej nowo przybudowanej kuchni były dwie szopy: jedna na węgiel, a druga na drzewo. W tej drugiej były stare żarna, na których mieliliśmy zboże, nim jeszcze był młynek trybowy w kuchence.

Przed podcienkiem rosła rozłożysta jabłoń, a na niej rosły zimowe czerwone jabłka - mieliśmy zawsze na nie ślinkę. Nasza izba mieszkalna była dosyć obszerna. W niej przebywała cała rodzina - dziesięcioro ludzi. Ale wystarczała nam. Miała dwa małe okienka: Jedno wychodziło do zogródki, a drugie (jak to wtedy mówiono) „ku Pawlicy". W kącie między tymi oknami był stół obstawiony od ścian drewnianymi ławami z oparciami. Obok stołu było niedaleko łóżko dla mamy, a dalej w kącie łóżko składane. W tym łóżku składanym spałem dobre 3 lub 4 lata, nawet jakiś czas z Adelą. Była tam wilgoć, bo od gotowania było dużo pary, która osiadała na tylnych ścianach. Drzwi do kuchni wchodziły z ciemnej sieni, czyli komórki (dziś są zamurowane), a tuż obok był wielki piec murowany z blachą do gotowania ludziom i zwierzętom domowym.

W naszej izbie mieszkalnej była sklepiona powała. Na niej wszerz wystający ku dołowi grzbiet, jako pozostałość po dawnym oddzieleniu izby od komory. Była to już przeróbka mego ojca, który przerobił właśnie jedną połowę domu z chlewami na „tamtą izbę" i kuchenkę, a rozszerzył kuchnię dołączeniem komory. Świeciło się lampą naftową, która wisiała na ścianie obok okna i miała oświecać całą kuchnię. Oświetlenie to było jednak bardzo słabe, ale bo też nie siedziano wieczorami długo, jedynie w zimie, a też nie bardzo, bo chodziliśmy wcześnie spać. Szkoda nafty - mawiała mama. Inaczej się też mówiło: szkoda petroleju!

W tej to izbie upływały mi pierwsze lata. Kiedy mi było z 5 roczków, może i więcej, utkwiły mi w pamięci grozy wojny - zaciemnienia, rewizje zboża, rekwirowanie bydła, potem za czasów plebiscytu uwięzienie ojca, zajęcie naszej stodoły przez wojsko, nocne strzelaniny itd. Ciężko przeżywaliśmy te czasy,

kupić nie można było niczego, mama uszyła nam „cychy" z materiału papierowego - zimno było pod tym spać.

Ojciec w tych czasach pracował jako górnik na szybie Eugeniusz, na którym wkrótce zaczął pracować najstarszy syn Józek.

Kiedy wyrosłem już na chłopaka, pozwalałem sobie na wycieczki najpierw do sąsiadów, a potem nieco dalej. Naturalnie celem tych wycieczek było nawiązanie znajomości z innymi chłopcami, do koleżeństwa i zabawy - biegaliśmy w dole Pawlikowym, przy brzozie. Towarzyszyłem także rodzicom przy pracy w polu albo bawiłem się samodzielnie łażeniem przez płoty, skakaniem w stodole.

Wielką przyjemnością było mi w lecie kąpanie się w naszym stawie. Mieliśmy bowiem dwa stawy: duży na hodowlę ryb oraz mniejszy na matki karpia, na narybek. Duży staw był stale pełny wody, bo ojciec hodował w nim przede wszystkim karpie, niekiedy linki czy też karasie. W dużej części staw ten był porośnięty „łączem", tylko przed „pidłem" było wolne miejsce i dosyć głębokie na kąpanie się. Toż to dla nas było uciechy! Z początku naturalnie kąpałem się nieśmiało, koło brzegu. Wkrótce jednak nabrałem odwagi na głębsze miejsca - nawet nauczyłem się pływać, „szczuki" puszczać, koziołki przewracać, unosić się na wodzie „na znaczki" i inne zabawy. Często też chodziłem z innymi koło stawu po brzegu, gdzieśmy straszyli żaby, nawet je zabijali prętami. Lubiliśmy także pleść z sitowia koszyki lub powrozy, czyli plecione sznury.

Często przychodzili też ku stawu od sąsiadów - nie mieli oni stawu, więc zbieraliśmy się u nas. Pamiętam, przychodził Milosz Budników, Pepik Świerczynów, Emil Chodurów, a nawet Olga od Dziedzica, którego Czesi w czasie plebiscytu jako Polaka wypędzili do Polski. Przeganialiśmy jednak od stawu Szmuków, Waszyczka i Bogumskich.

Często chodziłem ze starszymi z rodzeństwa, jak z Kasią lub Lojską do „Pawlice" - była to stara sąsiadka, która nam wiele zawsze opowiadała nowego. Często zagadywała o czarach, strachach, znała wiele ciekawych przygód - a to było dla nas bardzo ciekawe. Myśmy jej nosili coś do zjedzenia, ona nam też dawała jakieś rzeczy, miała nas rada, a my ją też. Ile razy to pod wieczór wracaliśmy od niej pełni strachu, czy coś nie wyskoczy na nas z doliny czy też spoza płotu.

Będąc starszym dzieckiem, musiałem pomagać mało, niewiele w pracy, a więc kopać małą kopaczką ścierniska, zbierać kłoska zbóż na polu, podawać snopki, a nawet paść krowę (jedną). W zimie musiałem krajać w kuchni „kwaki" dla świń, buraki (rzepę) dla krów i cielęcia czy też dla konia. Suszyliśmy także kwaki w płatkach. W lecie, zwłaszcza w okresie żniw, sypia-

liśmy radzi w stodole na sianie czy na słomie - i to we „sztwierci" albo na gumnie. Spało nam się smacznie, zwłaszcza w czasie deszczów lub burzy. Ale to tylko sypiałem z ojcem i braćmi - siostry miały strach spać w stodole.

OKRES I WOJNY ŚWIATOWEJ

W 5. roku życia byłem świadkiem rozruchów I wojny światowej, które chociaż w miniaturze pozostały mi w pamięci. Był to po prawdzie ostatni, czwarty rok wojny, ale wydarzenia przeniosły się właśnie w nasze strony - były zmagania o to, czy nasz Śląsk będzie w Polsce, czy też w Czechach. Stąd więc waliły się w nasze strony wojska czeskie, a niekiedy bojówki czeskie. Ojciec przynosił zwłaszcza w nocne szychty plakaty. Jedni je wieszali, drudzy zrywali, a myśmy się nimi bawili. Wzywano w nich do manifestacji na rzecz ukończenia wojny, do samodzielnej republiki Czechosłowackiej itd. Były plakaty czeskie, a były też polskie, nawołujące do wytrwania.

Okres ten był dla wszystkich ciężkim, brakowało żywności, szerzyły się choroby, wielu żyło w obawie o życie. Bieda przyciskała i nas, bo nam zabierano dużo żywności niby dla wojska. Trzeba było używać ostatnie środki żywności, jak jeść suche ziemniaki, placki kukurydziane, gotowane kwaki. Dobrze, że mieliśmy swoje owoce, więc je suszyliśmy na zimę, nawet smaczne były kwaśne jabłka, ale „zależałe". Sadziliśmy dużo fasoli, nawet smakował nam bób. Pamiętam, jak kilka razy byłem z Kasią w magazynie (sklepie) w Pietwałdzie po żywność na kartki. Było tego serdecznie mało. Mało kiedy mieliśmy cukier.

Ojciec radził sobie w ciężkich chwilach różnie, często nielegalną drogą. Kiedy np. zbierano z gminy zboża, chował je, wykręcał się z wszystkiego z narażeniem samego siebie. Chciał choć tym sposobem uratować dla nas coś do jedzenia.

Żywo stoją mi w pamięci czasy, kiedy to zwiększano akcje wojenne, pełno było wojska u nas nie tylko w stodole, ale i w ogrodzie. Cały dom był obstawiony. Żołnierze brali, co chcieli, o nic nie pytali, no bo to wojna. Polaków znowu poddawano szczególnym prześladowaniom. Aby się zemścić na ojcu i całej naszej rodzinie, wystrzelono w nocy granat z Pawlikowego dołu. Było to coś okropnego. Jak się później dowiedzieliśmy, granat był mierzony na nasz dom, na szczęście wybuchnął obok domu w koniczynie Budnikowej. Wszystko zaś zwalili na winę ojca, zabrali go w nocy i „odsmyczyli" na żandarmerię. Wrócił na drugi dzień cały zbity i zgłodniały. Miejsce wybuchu granatu widziałem na własne oczy. Oglądało je wielu sąsiadów - jedni przejawiali radość, inni znowu osądzali jako nieludzki uczynek.

Wściekłość na Polaków wzmagała się z każdym dniem. Nie wolno było

świecić wieczorami, a tym więcej w nocy. Okna mieliśmy więc zakryte pierzynami. Raz było trzeba mamie wstać ku płaczącemu dziecku w nocy, a nie zauważyła, że w oknie była szpara, przez którą przechodziło trochę światła. Nagle wpadli do drzwi żołnierze, żądali otwarcia drzwi, a kiedy weszli, zaczęli krzyczeć, ojca uderzyli kilka razy kolbą, że daje świetlne znaki innym Polakom, nawet go zabrali. Ile było w domu płaczu i strachu, trudno opisać. W nocy były ustawicznie strzelaniny, że nie można było spokojnie spać. Wiele jeszcze wycierpieliśmy, a wiele ojciec starał się uratować, że przynosił za ostatnie pieniądze kupione papierosy, częstował żołnierzy, nawet dawał im coś do wypicia i tak ochraniał nas od jeszcze większych nieszczęść.

Znowu pamiętam, jak raz w nocy wyszedłem na małą stronę na schody z podcienka. Usłyszeli to żołnierze i skoczyli na mnie, zabrali, że niby wypuściłem szpiega, i ciężko mnie zbili, a potem porzucili do szopki. Przespałem się w wozie za zimna, a dopiero nad ranem mogłem się dostać do domu, gdzie już tak mama jak wszyscy mnie opłakiwali. Naturalnie, że sobie takie przyjacielstwo zapamiętałem na zawsze.

Trudne to były dla nas czasy. Dobrze tylko, że byliśmy jako tako zdrowi i trzymaliśmy się razem w rodzinie. Kiedy zaś przeszła fala plebiscytu przez Rychwałd, a wojsko się usunęło, zaczęliśmy wolniej oddychać. Wracał powoli spokój, zaczęto znowu gospodarzyć.

MOJE BEZTROSKIE ZABAWY W KWIECIE WIEKU

Ciężkie czasy I wojny światowej i okres powojenny uprzyjemniałem sobie swego typu zabawami, które wychodziły ze środowiska:

1. Wielką przyjemnością było mi chodzenie po „polywaczce", czyli po śmierguście. Cieszyłem się też corocznie, nawet chodząc już do szkoły, na śmiergust. Już wcześnie rano wyruszałem do wszystkich sąsiadów, gdzie były dziewczyny, aby je polać „woniawką". Popołudniu przynosiłem swój zarobek w postaci kołaczy, pieniędzy czy malowanych jajek, z czego zawsze miałem wielką radość. Co sobie zarobiłem, było moje.

2. Wiele cieszyłem się na „odpusty". Z wiosną bywał zawsze odpust w Zabłociu, a końcem lipca w Rychwałdzie. Na nie cieszyłem się szczególnie. Nie tylko, że kupowałem sobie różne ciastka i zabawki, ale przede wszystkim dlatego, że mogłem jeździć na karuzeli, czyli ryngelszpilu. Wychodziłem, już do południa, aby dostać się do środka karuzeli i wypytać pozwolenie na popychanie koła. Za 3 razy wożenia otrzymywaliśmy raz za darmo do przewiezienia się. Silniejsi zawsześmy zwyciężali.

3. Szczególną radość mieliśmy na Święta Wielkanocne i Święta Bożego Narodzenia. Nie tylko okazja, żeśmy mieli kołacze, bo mama piekła wielkie

kołacze w piekarszczoku. Smarowała je większością powidłami, a to było coś dla nas. Na Boże Narodzenie - cieszyliśmy się na choinkę, którą mieliśmy w „tamtej izbie" na stole. Każdy z nas starał się kupić „ze swego" najpiękniejsze cukierki, jak dzwonki, aniołki z główkami, gwiazdki z nalepionymi obrazkami, i te wieszał na choinkę. W Wigilię zasiadaliśmy do wspólnej wigilijnej wieczerzy, na którą mama przygotowywała dużo różnych dań - z każdego coś. Potem łupaliśmy orzechy, naturalnie z powiarkami. A kiedy zaczęliśmy kolędować, śpiewali wszyscy i to nawet na dwa głosy. W wielkie święto - Bożego Narodzenia - szliśmy do kościoła oglądać żłóbek, a jeśli była Msza polska, to śpiewać kolędy.

4. W jesieni naszą atrakcją było puszczanie latawca - jak kto mógł, tak sobie kleił i majsterkował latawca i puszczał nad polami. Kiedy było chłodniej, rozpalaliśmy przy pasieniu krów ogniska na ścierniku. Zbieraliśmy na to różne stare szynki czy blachy, obkładali cegłami lub kamieniami, a potem piekli sobie ziemniaki, grzali się, a nawet zabawiali skakaniem przez większe ognisko. Kiedy wykopano ziemniaki, mieliśmy wielkie „fajery" z naci ziemniaczanej, czyli zieliny. To było dymu! Nawet robiliśmy kadzidła ze starych garnków i gonili z nimi po polu.

5. Zimowe wieczory poza świętami spędzaliśmy różnie. Czy to więc słuchałem opowiadań bajek starszych z rodzeństwa, czy też bawiliśmy się w drugiej izbie na „skrywankę". Paliliśmy tam w piecyku (wincku), więc ciepło było dosyć. Nie pozostawały te zabawy bez echa, gdyż rodzice zakazywali takie gonienie po łóżkach, szafach czy oknach.

Na owe czasy mój okres dzieciństwa do 6. roku życia nie był najgorszym. Wyrosłem więc zdrowo, poznawszy najbliższe otoczenie.

PIERWSZA KLASA SZKOŁY LUDOWEJ

We wrześniu 1919 roku zapisali mnie rodzice do pierwszej klasy polskiej szkoły ludowej - przy kościele katolickim w Rychwałdzie.

Początkowo nie mogłem się przyzwyczaić do szkoły. Było mi tam wszystko obce, jakieś niezwyczajne i krępujące. Dlatego też miałem niechęć do nauki, której i tak było mało. Początkowo uczył mnie nauczyciel Macura, którego przypominam sobie cośkolwiek, jako spokojnego i w klasie lubianego wychowawcę. Później uczyła mnie jakaś nauczycielka, a nawet chwilowo nauczyciel Siwek Rudolf, rodak z Rychwałdu. Czasy te są mi tak zamierzchłe, że nie przypominam sobie ani wewnętrznego urządzenia szkoły, ani nawet współkolegów, będących ze mną w jednej klasie. Wiem tylko, że było nas dużo i że jeden w drugiego dbaliśmy więcej o własne rozrywki niż o naukę. Zresztą wychowanie w szkole wówczas nie istniało - środkiem wychowawczym była

trzcinka i bezwzględne posłuszeństwo. Na to burzyły się nasze młode umysły i wynikiem była niechęć do nauki, zaniedbanie i często różne wybryki. Pisaliśmy na tabliczkach rysikiem, a jedyną książką był ledwo trzymający się kupy elementarz.

Pożałowania godne były więc wówczas u większości z nas końcowe świadectwa szkolne. Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, iż miałem oprócz czwórek także jedną piątkę, do następnej klasy przestąpiłem, ale z powodu zamknięcia szkoły, na skutek wydarzeń politycznych, do drugiej klasy już tam nie chodziłem.

Ze mną chodziła do tej samej szkoły tylko Lojska, ale do wyższej klasy. Obowiązek szkolny już skończyli w polskiej szkole przy kościele Józek, Kasia i Manuś. Ciekawe, że nie mieli żadnych świadectw.

Czasy, kiedy chodziłem do I klasy polskiej szkoły ludowej, były w Europie widownią krwawych zatargów powojennych. Kształtowały się nowe państwa na gruzach wielkiej Monarchii Austriacko-Węgierskiej. Na naszym Śląsku losy ważyły się - raz zajmowali nasze tereny Czesi, to znowu w okolicach Bogumina zajęli Polacy, dochodziło do bratobójczych walk i prześladowań obywateli. Ostatecznie górę wzięli Czesi, którzy złamali umowę, wpadli i zajęli Śląsk przemocą. Miały tu nawet miejsce różne machinacje polityczne, wreszcie niesprawiedliwy, przemocą prowadzony plebiscyt. Szykany, znęcanie się, a nawet wyrzucanie Polaków były na porządku dziennym - nie zamilczając nawet masowych mordów (jak w Stonawie). Przemoc i gwałt zwyciężyły!

W parze z zawieruchą wojenną szło gospodarcze wycieńczenie i brak środków żywnościowych. Szczególnie niższe warstwy odczuwały dotkliwie brak żywności - mnożyły się rabunki sklepów, szczególnie żydowskich. Nawet w szkole otrzymywaliśmy z zakładu zupnego zawsze coś do zjedzenia, jak zupę fasolową czy ziemniaczaną, ścierkę lub jarzynową „zakłódkę". Byli bowiem tacy między nami, którzy tego potrzebowali.

Przełomowym okresem w wydarzeniach politycznych był rok 1920, w którym rozwścieczeni Czesi zabrali Polakom szkołę, do której chodziłem, zabrali kościół katolicki i urząd gminny. Dotychczas to wszystko było polskie. Dotychczasowy polski burmistrz Janeczko Gabriel musiał ustąpić ze swego urzędu, poddany nie mniejszym szykanom, co inni Polacy. Zamknięto również polskie szkoły - Na Podlesiu - i pod Pietwałdem, które przetrwały wiele lat jako placówki polskości, a naraz pod gwałtem stały się ośrodkami czechizacji. Rychwałd stał się nagle - „rize český"!

c.d.n.





TAJEMNICA SKRADZIONEJ POEZJI

I

– W naszym studiu gościmy dziś słynnego poetę pana Edgara Absolona – powiedziała spikerka.

Mężczyzna siedzący naprzeciw ukłonił się w stronę kamery i powiedział:

– Dzień dobry.

– Panie Edgarze – kontynuowała spikerka – mam tu pana zbiór poezji, można powiedzieć, zupełnie świeży.

Pokazała w stronę kamery książkę, którą trzymała w ręce.

– Wydaje pan książki w oszałamiającym wprost tempie. Czy może pan to wyjaśnić naszym widzom?

Poeta uśmiechnął się skromnie.

– Po prostu próbuję udowodnić, że z poezji można wyżyć. Jeśli ktoś wydaje jeden tom poezji co pięć lat, to jest to niemożliwe...

– Ale cztery tomy w ciągu roku! – przerwała mu spikerka. – Skąd pan czerpie inspiracje?

Zanim Edgar Absolon zdążył wyjaśnić, skąd czerpie inspiracje, jeden z siedzących przed telewizorem widzów stwierdził pogardliwie:

– Poezja! Że też to ktoś czyta! – i wyłączył telewizor.

Wziął do ręki gazetę. „Może powinienem dać ogłoszenie do gazety?" – pomyślał. „Na przykład: Na kłopoty Nowak. Ale to byłby plagiat. A i tak aktualnie mnie na to nie stać."

Spojrzał na wizytówkę, która leżała na stole: JAN NOWAK, prywatny detektyw. Kiedyś zamówił w drukarni równą setkę takich wizytówek. Prawie wszystkie rozdał, ale jak na razie bez większego efektu.

– Zostawię cię na pamiątkę, żebym wiedział, na co nie wydawać pieniędzy – powiedział do wizytówki z wyrzutem i powrócił do czytania gazety.

Na trzeciej stronie zauważył recenzję nowego tomu poezji Edgara Absolona. „Edgar Absolon, poeta pochodzący z naszego miasta, znów udowodnił, że..." pisał recenzent, ale Jana Nowaka nie interesowało, co udowodnił poeta.

„Ten facet mnie prześladuje" - pomyślał, zmiął gazetę i rzucił na podłogę.

W każdym innym mieszkaniu gazeta rzucona na podłogę kłułaby w oczy. Ale w mieszkaniu Jana Nowaka panował taki bałagan, że jedna gazeta nie sprawiła różnicy. Pomimo to Nowak wstał, podniósł ją i wyrzucił do kosza. Rozejrzał się wokół z dezaprobatą: „Skąd wziął się ten cały bałagan? Przecież sprzątałem dwa miesiące temu." Usiadł z powrotem w jedynym wolnym fotelu i kontynuował rozważania na temat sprzątania. Właśnie doszedł do wniosku, że Sherlock Holmes miał jeszcze większy bałagan, a jakim był genialnym detektywem, kiedy ktoś zaczął walić w drzwi.

Nowak otworzył. Za drzwiami stał sąsiad z dołu.

- Pan Nowak? - upewnił się.

- Oczywiście. W czym mogę pomóc, panie Elfmark?

- To pan wie, jak się nazywam? - zdziwił się sąsiad.

Nowak zrobił zdumioną minę:

- Przecież mieszka pan w mieszkaniu pode mną.

- Podobno jest pan prywatnym detektywem? - spytał Elfmark.

- A pan, o ile się nie mylę, pracuje w kopalni.

- Skąd pan wie?

- Zapewne słyszał pan o Sherlocku Holmesie i jego metodzie dedukcji?

Sąsiad przez chwilę wyglądał na niezdecydowanego.

- Aha. No to może trafiłem na właściwego człowieka - powiedział w końcu z nutką wątpliwości w głosie.

Nowak o mało nie spytał, co taki szanowany człowiek jak inżynier Emil Elfmark może chcieć od prywatnego detektywa. Przyszło mu jednak do głowy, że takie pytanie jest niegodne naśladowcy Sherlocka Holmesa. Powiedział więc tylko:

- Proszę wejść i w miarę możliwości nie zwracać uwagi na bałagan.

Wskazał Elfmarkowi jedyny wolny fotel. Gazety leżące na drugim przełożył na trzeci, który zapewne służył jako biblioteczka, bo leżały na nim książki. Po wykonaniu tej skomplikowanej czynności usiadł naprzeciw Elfmarka:

- Zanim przejdziemy do sedna sprawy, proszę mi powiedzieć: Dlaczego walił pan w drzwi zamiast zadzwonić?

- Pana przyjaciel mi to doradził. Twierdził, że być może wyłączyli panu prąd.

- To pan zna Hrabiego? - ucieszył się Nowak.

- Nie znam żadnego hrabiego - zdziwił się Elfmark.

- On nazywa się Hrabia. A więc był pan na policji?

- Skąd pan wie?

Nowak chciał uśmiechnąć się skromnie i stwierdzić, że jest przecież detektywem, ale rozmyślił się i powiedział:

- Z moich przyjaciół tylko Hrabia mógł kazać walić panu w drzwi, a Hrabia pracuje w policji. No więc, co mogę dla pana zrobić, skoro policja nie mogła panu pomóc?

- Słyszał pan o Edgarze Absolonie?

- Oczywiście - stwierdził Nowak, zastanawiając się, co ma jego sąsiad z dołu wspólnego z poezją. „Intuicja mówi mi, że szanowny pan Elfmark w wolnych chwilach zajmuje się wierszoklectwem. A wygląda na normalnego człowieka" - pomyślał, zachowując kamienny wyraz twarzy. Choć podziwiał dedukcyjną metodę Sherlocka Holmesa, to nawet wtedy, kiedy pracował w policji, częściej niż na dedukcję zdawał się na intuicję. I to z powodzeniem, co najbardziej dziwiło jego samego.

Emil Elfmark wyjął z kieszeni książkę.

- To nowa książka Edgara Absolona - stwierdził Jan Nowak.

- Zna ją pan? - zdziwił się Elfmark.

- Właśnie mówili o niej w telewizji. Przyznam, że nie czytuję poezji, co jednak nie powinno pana zrażać. Czasami dobrze jest, kiedy detektyw potrafi zachować dystans do sprawy, którą się zajmuje - powiedział Nowak i od razu uświadomił sobie, że być może, jak zwykle, za dużo gada i zraża tym potencjalnego klienta.

Elfmark podał mu książkę:

- No cóż, skoro już z tym do pana przyszedłem.

Nowak spojrzał na tytuł. „Krzyk przybrzeżnej ciszy" - przeczytał. „Co za idiotyzm!" - pomyślał, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Niech pan otworzy na dziesiątej stronie - powiedział jego sąsiad.

Nowak spełnił polecenie. Wiersz na dziesiątej stronie nosił tytuł „Dzisiaj" i brzmiał tak:

Pomiędzy przedwczoraj
co na zawsze w niepamięć
odeszło
wczoraj po którym tylko wspomnienia
pozostały
jutrem które pełne jest nadziei
pojutrem co daleką jest przyszłością
leży okrutna teraźniejszość dnia dzisiejszego

I tak dalej w tym duchu, Nowak absolutnie nie miał pojęcia, o co chodzi.

- A teraz proszę przeczytać to - powiedział Elfmark, podając mu kartkę z wydrukiem komputerowym.

Był to wiersz, który nosił tytuł „Dzisiaj", autor Emil Elfmark. Wiersz brzmiał tak:

Pomiędzy przedwczoraj
co na zawsze w niepamięć
odeszło
wczoraj po którym tylko wspomnienia
pozostały
jutrem które pełne jest nadziei
pojutrem co daleką jest przyszłością
leży okrutna teraźniejszość dnia dzisiejszego

I tak dalej w tym duchu, Nowak absolutnie nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Ten facet ukradł panu wiersz! – zawołał z zaskoczeniem.

– No właśnie.

– I co panu powiedzieli na policji? – Nowak na razie postanowił przestać udawać, że wie wszystko.

– Cóż, taktownie dali mi do zrozumienia, że mają ważniejsze sprawy na głowie. A kiedy już stamtąd wychodziłem, dogonił mnie ten pana kolega i stwierdził, że co prawda oni nie mogą mi pomóc, w sądzie też bym bez dowodów raczej nie wygrał, ale że przecież w moim bloku mieszka prywatny detektyw. Podobno jest pan takim śląskim Marloweem.

– Naprawdę tak powiedział? – zdziwił się Nowak. Sam co prawda często tak o sobie mawiał, ale od Marka Hrabiego, którego znał już od przedszkola, nigdy by nie oczekiwał takiego komplementu.

– Prawdę mówiąc, nie czytam kryminałów, więc nie bardzo wiem, co chciał przez to powiedzieć. Ale pomyślałem, że zanim udam się do jakiegoś adwokata...

– Pomyślał pan, że zatrudnić prywatnego detektywa, zwłaszcza takiego niezbyt znanego, wyjdzie pana taniej.

Z miny Elfmarka wywnioskował, że ma rację.

– Pozwoli pan, że podsumuję fakty – kontynuował. – A więc Edgar Absolon ukradł panu wiersz, a pan nie mógłby mu tego udowodnić. Proszę mi to wyjaśnić. Przecież ktoś chyba wie, że to pan jest autorem tego wiersza?

– Właśnie o to chodzi, że tego wiersza nikt jeszcze nie widział, oprócz mnie oczywiście. Od czasu do czasu posyłam gdzieś swoją poezję, ale na ogół bez powodzenia. Nawet żonie pokazałem go dopiero wczoraj, kiedy zobaczyłem go w książce Edgara Absolona.

– To naprawdę zagadkowa historia! – ucieszył się Nowak i pomyślał, że nawet Sherlock Holmes by taką sprawą nie pogardził. – Czy mogę zobaczyć pana, hm, warsztat pracy? – spytał.

II

– Przecież od razu ci mówiłam, że ten pan, który mieszka nad nami, jest podobno prywatnym detektywem i powinieneś poprosić go o radę, zamiast iść na policję – powiedziała pani Elfmark do męża, zanim Nowak zdążył się przywitać.

– Ale nie byłaś pewna, czy pan Nowak jest detektywem. Prawdę mówiąc – zwrócił się do Jana Nowaka – do dziś nawet nie wiedzieliśmy, jak się pan nazywa.

– Więc pomoże pan mężowi? – spytała pani Elfmark.

– Postaram się.

– Pan Nowak chciał widzieć mój warsztat pracy – powiedział Emil Elfmark.

– Warsztat pracy? – zdziwiła się jego żona.

– Żona jest ostatnio krytycznie nastawiona do mojej twórczości – wyjaśnił Elfmark. – Proszę tędy.

– Napije się pan kawy? – spytała pani Elfmark, kiedy Nowak rozglądał się po poetyckiej pracowni jej męża.

– Chętnie. Dziękuję. – Jan Nowak, korzystając z tego, że skończyła mu się kawa, postanowił, ze względów ekonomicznych, zerwać ze swym jedynym nałogiem. I właśnie zaczął odczuwać niedobór kofeiny.

Pracownię Emila Elfmarka tworzyło właściwie tylko biurko stojące pod oknem i komputer.

– Ma pan Internet? – spytał Nowak.

– Nie.

– No to hakerstwo mamy z głowy.

Nowak usiadł na obrotowym krześle, które stało przy komputerze.

– Pan przy... hm... pracy siedzi tyłem do okna – raczej stwierdził niż spytał.

Odwrócił się w stronę okna. Po parapecie maszerowało kilka gołębi.

– O, gołębie! – powiedział tonem człowieka, który uczynił wielkie ornitologiczne odkrycie.

– Dzieci je dokarmiają – wytłumaczyła pani Elfmark – więc nauczyły się tu przylatywać. Ale dzieci są na wakacjach, więc chyba sama będę musiała je karmić.

Jan Nowak odniósł wrażenie, że pani Elfmark nie bardzo akceptuje poczynania swych dzieci.

– Gołębie to bardzo sympatyczne ptaki – stwierdził. – W Wenecji są nawet atrakcją turystyczną.

Oderwał wzrok od gołębi i wyciągnął z kieszeni notes.

– Ile osób wie, że pisuje pan poezję?

Jak zwykle, dopiero kiedy zadał to pytanie, uświadomił sobie, że jest ono być może nietaktowne.

- Parę osób.
- A tak, prawda. Mówił pan, że od czasu do czasu wysyła pan swoje wiersze do gazet. Do których?
Elfmark wymienił kilka gazet i czasopism.
Pani Elfmark postawiła przed Nowakiem filiżankę z kawą i cukierniczkę.
- Ciągle powtarzam mężowi, żeby zmienił hobby.
- Przy takim hobby przynajmniej pani mąż siedzi w domu. Gdyby na przykład zajmował się wędkarstwem, to byłby ciągle poza domem - stwierdził Nowak. W ostatniej chwili rozmyślił się i nie dodał: „I straciłaby pani nad nim kontrolę".
- A gdybym zajmował się stolarką - podchwycił Elfmark - to pewnie wy, sąsiedzi, nie bylibyście zbyt zadowoleni. Kiedy się poznaliśmy - zwrócił się do żony - i napisałem dla ciebie wiersz, to ci to imponowało.
- Ale wtedy byliśmy młodzi i pisałeś romantyczne wiersze. Zresztą głowa rodziny powinna zajmować się poważniejszymi sprawami.
- Kiedy ostatnio coś panu wydrukowano? - spytał Nowak głównie dlatego, aby przerwać tę wymianę zdań. Choć nigdy nie słyszał przez podłogę, aby państwo Elfmarkowie kłócili się, to jednak wolał nie być obecny przy kłótni małżeńskiej.
- Pół roku temu - odpowiedział Elfmark, podszedł do biurka, przy którym siedział Nowak, wyjął z szuflady jedno z regionalnych czasopism i otworzył go na odpowiedniej stronie.
- Może mi pan to pożyczyć? - spytał Nowak.
- Czy ma pan już jakąś teorię? - spytała pani Elfmark.
- Na tym etapie, rozumieją państwo... - Nowak uczynił gest mogący oznaczać cokolwiek.
- A ile to będzie kosztować? - pragmatycznie spytał Elfmark.
- Na pewno mniej niż jasnowidz - stwierdziła pani Elfmark nieco uszczypliwie.
- Jasnowidz? - zdziwił się Jan Nowak, z trudem zachowując kamienny wyraz twarzy. - Że niby ktoś wykrada panu te wiersze telepatycznie? Nie wiem, ile liczy sobie za usługi taki jasnowidz, ale moje honorarium wynosi zwykle tysiąc koron na dzień plus wydatki.
- Aż tyle?! - spytali państwo Elfmark jednocześnie.
Nowakowi przyszło do głowy, że nie na darmo mawia o sobie, że jest takim śląskim Marloweem, bowiem Phil Marlowe, jak wiadomo z książek Chandlera, również często musiał obniżyć swoje honorarium, aby w ogóle mieć jakąś pracę.
- No więc powiedzmy, że po sąsiedzku mogę państwu udzielić zniżki. Dziewięć osiemset plus wydatki. Kiedy wyda pan zbiór poezji, to chyba będzie pan to mógł wliczyć w koszty i odliczyć od podatku.
- Myśli pan? - spytała pani Elfmark.

- Nie jestem stuprocentowo pewny, ale moja kuzynka zna się na księgowości, więc mogę zapytać.

- Miałam na myśli ten zbiór poezji - przerwała Nowakowi pani Elfmark.

- Nigdy nie wiadomo, szanowna pani, nigdy nie wiadomo.

- Kilka lat temu wysłałem zbiór poezji do pewnego wydawnictwa. Nawet nie pofatygowali się, by wysłać mi odmowną odpowiedź - stwierdził Elfmark. Powiedział to takim tonem, że Nowak odniósł wrażenie, iż Elfmark nie ma do wydawnictwa pretensji o niewydanie jego wierszy, ale właśnie o całkowity brak odpowiedzi.

- Tu potrzebne są, jak wszędzie, jakieś koneksje - kontynuował Elfmark.

- A gdzie normalny człowiek zdobędzie koneksje w świecie literatury?

- Czy to nie pana nazwisko widziałam na tym spisie dłużników przy wejściu? - spytała pani Elfmark.

Nowak uśmiechnął się skromnie.

- Cóż znaczy sława - stwierdził.

III

Kiedy Jan Nowak wrócił do swojego mieszkania, wyjął z kosza gazetę, którą uprzednio wyrzucił. Otworzył ją na tej stronie, gdzie jakiś recenzent podpisany skrótem jop piał peany na cześć Edgara Absolona. Doczytał artykuł do końca i doszedł do wniosku, że ludzie dzielą się na dwie kategorie - na normalnych i na tych, co czytają poezję. „Co prawda na przykład taki Elfmark na pewno stwierdziłby, że ludzie dzielą się na normalnych i na tych, co czytają kryminały. A tak w ogóle to ludzie dzielą się na tych, którzy dzielą ludzi na dwie kategorie, i na tych, którzy tego nie robią" - przypomniał sobie jedno z praw Murphyego.

Na piątej stronie Nowak przeczytał informację o tym, że nazajutrz w miejscowej bibliotece odbędzie się pogawędka ze słynnym poetą Edgarem Absolonem. Na szóstej stronie mieścił się program telewizji i Nowak nareszcie przeczytał jakąś dobrą wiadomość: Wieczorem leciał jeden z jego ulubionych filmów sensacyjnych.

Wstał i rozejrzał się po mieszkaniu.

„Normalni ludzie mają książkę telefoniczną przy telefonie" - pomyślał. „A gdzie jest moja książka telefoniczna?"

Przez chwilę rozważał to zagadnienie, po czym przypomniał sobie, że kiedy rano przygotowywał śniadanie, widział coś żółtego na lodówce. Wszedł do kuchni. Na lodówce rzeczywiście, oprócz paru innych rzeczy, znajdowała się książka telefoniczna, choć Nowak absolutnie nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tam wzięła.

- Absolon - rozmyślał na głos - nie powinno ich być aż tylu, co nas Nowaków i Nováków. W książce telefonicznej było dwóch Absolonów, ale żaden z nich nie miał na imię Edgar.

Jan Nowak zamknął książkę telefoniczną i pomyślał, że pora poważnie wziąć się do pracy. Otworzył szafkę i wyjął z niej rewolwer, który zwykł ze sobą nosić tak na wszelki wypadek albo z jakiegoś innego, jemu tylko znanego powodu.

Uśmiechnął się w duchu, bo przypomniał sobie twierdzenie swojej matki, że jest potwierdzeniem negatywnego wpływu na młodzież telewizji i literatury. Bo gdyby od dziecka nie czytał i nie oglądał kryminałów oraz powieści i filmów sensacyjnych, to byłby może trochę normalny. Ale z drugiej strony dobrze, że nie pasjonował się westernami, bo wybrałby się zapewne do Ameryki, by tam zostać Indianinem albo kowbojem. A tak został policjantem, a kiedy w policji dali mu do zrozumienia, że życie to nie film akcji, postanowił zostać śląskim Marloweem.

„Ciekawe, co by mama powiedziała, gdyby wiedziała, jaką książkę idę kupić?" - pomyślał. „Pewnie powiedziałaby, że do reszty zwiarowałem".

W drodze do księgarni wstąpił do sklepu i kupił zapas kawy, herbaty i dwadzieścia bułek.

- A do tych bułek nic? - zdziwiła się sprzedawczyni.

- To nie dla mnie, tylko dla gołębi - odpowiedział Nowak.

- A pan nie będzie nic jadł? A może zamierza pan polować na te biedne gołębie?

- Co też pani! - Nowak udał oburzenie. - Ale właściwie ma pani rację. Czy ja aktualnie jestem tu coś winien? - upewnił się.

- Wyjątkowo nie.

- No to wezmę jeszcze pięć bułek. W ramach cięć budżetowych postanowiłem żyć o wodzie i suchej bułce, zawsze to większy luksus niż suchy chleb. Mogłaby mi pani dać rachunek? Aha - przypomniał sobie - to jest moja wizytówka, gdyby pani lub komuś z pani znajomych potrzebny był prywatny detektyw.

Po powrocie do domu rozkruszył dwie bułki i rozsypał je na parapecie. Za chwilę przyleciało kilka gołębi. Nowak chwilę im się przyglądał, po czym wyszedł na balkon i wychylił się przez balustradę tak, aby zobaczyć okno mieszkania Elfmarków. Tym popisem ekwilibrystycznym spłoszył wszystkie „swoje" gołębie. Na parapecie Elfmarków jednak siedział jeden gołąb. Nowak miał wrażenie, że coś tu jest nie w porządku, że intuicja próbuje mu coś podszepnąć, ale on jakoś nie wie, co.

Wrócił do pokoju, usiadł w fotelu i wziął do ręki książkę „Krzyk przybrzeżnej ciszy". Po przeczytaniu pierwszego wiersza doszedł do wniosku, że równie dobrze mogłoby to być napisane po chińsku, zrozumiałby tyle samo. Po przeczytaniu drugiego wiersza doszedł do wniosku, że na wojnie i w poezji wszystkie chwyty są dozwolone. Przy trzecim wierszu doszedł do wniosku, że wszystko ma swoje granice, a Elfmarkowie na pewno nie są tak bogaci, by zwrócić mu koszty leczenia psychiatrycznego, jakiemu musiałby się poddać, gdyby doczytał tę książkę do końca.

IV

– Dzień dobry, panie Nowak – przywitała swego stałego czytelnika bibliotekarka i wyłożyła na stół cały stos książek. Biblioteka była jedynym miejscem, w którym Nowak regularnie uiszczał opłaty. Zresztą te parę koron na początku roku...

– O, „Z archiwum Sherlocka Holmesa" – ucieszył się – i „Polowanie na Czerwony Październik", nareszcie udało mi się upolować tę książkę, jak dotąd nasze drogi zawsze się mijały. Ale ja właściwie dzisiaj przyszedłem w innej sprawie – zrobił zakłopotaną minę. – Podobno będzie tu jakaś pogadanka z tym sławnym poetą Edgarem Absolonem?

Bibliotekarka przybrała zdumiony wyraz twarzy, nie podejrzewała Nowaka o zainteresowanie poezją.

– Owszem. Ale dopiero o dziesiątej. Przyszedł pan o godzinę za wcześnie.

– To celowo – stwierdził Nowak. – Czy może mi pani udostępnić jakieś materiały o tym facecie?

– Udostępnić materiały? – bibliotekarka była zaskoczona takim sformułowaniem. – Czy to ma coś wspólnego z pana pracą?

Nowak zrobił tajemniczą minę.

– Nie mogę pani powiedzieć. Wie pani, prywatny detektyw jest jak lekarz albo ksiądz, nie może opowiadać o sprawach zawodowych bez zgody zainteresowanych osób.

Bibliotekarka ze zrozumieniem skinęła głową:

– Koleżanka w czytelni udostępni panu odpowiednie materiały.

Prywatny detektyw nigdy nie może wiedzieć, jakie informacje mogą mu się kiedyś w przyszłości przydać. A poza tym dobrze jest jak najdokładniej poznać osobowość podejrzanego. Dlatego Jan Nowak uważnie wysłuchał prelekcji Absolona na temat poezji. Zastanawiał się przy tym, co na temat Edgara Absolona wydedukowałby Sherlock Holmes.

„Ale ten facet gada bzdury, i jeszcze pewnie każe sobie za to słono zapłacić" – pomyślał Nowak z podziwem i wyciągnął z reklamówki książkę Absolona, bo poeta najwidoczniej dochodził do końca swej przemowy. Ktoś tam ośmielił się zadać jakieś pytanie, a potem parę osób podeszło do poety i poprosiło o autograf. Wśród nich Jan Nowak.

– Jak się pan nazywa? – spytał poeta, szykując się do wpisania dedykacji.

– Nowak.

– A imię?

– Proszę to zadedykować szanownemu panu Nowakowi – stwierdził Nowak, nadając swemu głosowi bezczelne brzmienie i dodał: – Najbardziej podobał mi się wiersz „Dzisiaj".

Nie był pewien, czy mu się zdawało, czy rzeczywiście ręka poety lekko zadrżała.

Z książki telefonicznej, którą otworzył na literze H, odpisał jeszcze pewien adres i numer telefonu. Następnie poprosił bibliotekarkę:

- Czy mogłaby mi to pani przechować do wieczora, ewentualnie do jutra? - wskazał reklamówkę, w której miał uprzednio wypożyczone książki oraz zbiór poezji Edgara Absolona. - Widzi pani - wyjaśnił - muszę jeszcze w sprawach zawodowych pochodzić trochę po mieście, a z tym byłoby mi trochę niezręcznie.

- Będzie pan kogoś śledzić? - zainteresowała się bibliotekarka.

Rzeczywiście zamierzał kogoś śledzić. Poetę Edgara Absolona.

„Śledzić kogoś sławnego to nawet lepiej niż śledzić normalnego człowieka" - pomyślał. „Bo jakby mnie zauważył, to pomyśli, że jestem po prostu jakimś nachalnym wielbicielem poezji".

Ale Absolon nie zauważył, że chodzi za nim jakiś cień. Tak więc Nowak odkrył, że ulubioną restauracją poety jest jedna z restauracji należących do znanego biznesmena Tomasza Pergera. Naprzeciwko restauracji znajdowała się cukiernia, w której ceny nie były zbyt wygórowane, i Nowak ulokował się w niej przy stoliku, który stał przy oknie. Najpierw jednak postarał się dyskretnie wybadać personel restauracji. Dowiedział się, że Absolon, można powiedzieć, założył tu swoje biuro. Tu udziela wywiadów, tu spotyka się ze swoim agentem literackim, doradcą podatkowym, adwokatem i innymi osobami. I wreszcie - tu czasami pisuje swoje wiersze.

Absolon siedział w restauracji do wpół do pierwszej, w międzyczasie załatwił jakąś transakcję z człowiekiem, który wyglądał jak agent ubezpieczeniowy. Następnie zapewne wrócił do domu. Zapewne, bo wsiadł do taksówki, a Nowak zostawił swój samochód przy bibliotece. Mógł co prawda wsiąść do innej taksówki i, tak jak w filmach, powiedzieć: proszę jechać za tym samochodem, ale wydawało mu się to rozwiązaniem zbyt kosztownym. Wrócił więc do biblioteki po swoją reklamówkę, rzucił ją na tylne siedzenie samochodu i pojechał na przedmieście.

Odnalazł budkę telefoniczną, wyciągnął z kieszeni notatnik i wykręcił numer, który uprzednio odpisał z książki telefonicznej.

- Słucham? - odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

- Czy pani mąż jest w domu? - spytał Nowak, starając się trochę zmienić głos.

- Niestety nie, czy mam coś przekazać?

- Dziękuję. Zadzwonię później - powiedział Nowak i odłożył słuchawkę.

Z budki telefonicznej do domu, do którego dzwonił, było niedaleko. Zostawił więc samochód obok budki telefonicznej, choć był tu zakaz parkowania. Nowak był jednak przekonany, iż parkować tylko tam, gdzie jest to dozwolone, w praktyce znaczy nie parkować nigdzie.

Pod interesującym go adresem stał zwykły domek jednorodzinny. Choć może niezupełnie zwykły, niezwykła była tu ilość anten. Na dzwonku wy-

pisane było nazwisko Herc. Zanim Nowak zdążył nacisnąć klamkę, furtka sama się otworzyła.

Nowak zadzwonił do drzwi.

- Dzień dobry - powiedział, kiedy jakaś kobieta, zapewne pani Herc, otworzyła drzwi. - Czy nie mają państwo przypadkiem jakichś starych niepotrzebnych mebli? - spytał.

Pani Herc zastanowiła się.

- Jest na strychu jakaś stara szafa. Ale musiałabym to uzgodnić z mężem.

- A czym zajmuje się pani mąż, jeśli wolno spytać. Bo wydaje mi się, że nazwisko państwa obiło mi się o uszy.

Pani Herc zastanowiła się przez chwilę.

- Mąż jest wynalazcą. Ale nie sądzę, aby pan o nim słyszał. Chociaż - dodała - ostatnio zaczął odnosić sukcesy.

Nowak dał pani Herc wizytówkę, ale nie swoją, tylko swojego wuja, który zajmował się renowacją starych mebli.

Na wypadek, gdyby pani Herc miała w zwyczaju przesiadywać w oknie, Nowak obszedł całą ulicę i w każdym domu powtórzył propozycję odkupienia starych mebli. Ku jego zaskoczeniu jeszcze w dwóch domach wyrażono chęć pozbycia się jakichś części umeblowania. Zapisał więc adresy i zadzwonił z budki do swego wuja.

Następnie przeparkował samochód, by widzieć, kiedy Herc powróci do domu. Pojawił się za pół godziny i najwidoczniej nie miał pojęcia, że ktoś mógłby się nim interesować.

Nowak przez chwilę gapił się na gołębie latające po niebie. Wydawało mu się, że latają w sposób bardziej zorganizowany niż gołębie na jego osiedlu. Nagle stadko gołębi najwyraźniej coś spłoszyło.

„O, jakiś gołąb izolacjonista" - pomyślał Nowak, widząc, że jeden z gołębi (był zresztą bardziej podobny do znanych Nowakowi „osiedlowych" gołębi) leci gdzieś w stronę... jego osiedla. Pora wrócić do domu.

W domu ponownie nakarmił gołębie i spłoszył je kaskaderskimi wyczynami. Odkrył, że pani Elfmark najwidoczniej nie zamierza kontynuować wysiłków, które jej dzieci podjęły w kierunku oswajania gołębi. Pomimo tego jeden z gołębi przechadzał się po parapecie, jakby miał nadzieję, że pani Elfmark zmieni zdanie.

Na okno Nowaka powrócił gołąb.

- Ten twój kolega - powiedział do niego Nowak - jest jakiś wybredny, moje bułki mu nie smakują.

Gołąb spojrzał na niego, jakby rozumiał, co się do niego mówi.

- Masz rację - stwierdził Nowak. - Jego strata.

MARYLA ADAMEC

Dokończenie w następnym numerze

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



FESTIWAL PZKO KARWINA 2002

Korowód z rynku frysztackiego, w którym szli członkowie Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, przedstawiciele poszczególnych obwodów PZKO z całego Zaolzia, Miejscowe Koła, zespoły i chóry, ale także przedszkolacy i młodzież szkolna, harcerze, członkowie Koła Polskich Kombatantów, zespoły Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego i Teatru Lalek Bajka, rozpoczął 25 maja Festiwal PZKO Karwina 2002. Festiwal był ukoronowaniem obchodów 55-lecia PZKO.

Główny blok programowy odbywał się w hali stadionu zimowego STaRS w Karwinie Frysztacie. Na początek zabrzmiały hymny państwowe RC i RP oraz „Gaude Mater" odśpiewane przez ponad siedmiuset chórzystów połączonych chórów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego pod batutą Józefa Wierzgonia. Prezes Zarządu Głównego PZKO Zygmunt Stopa przywitał uczestników Festiwalu, wśród których znaleźli się wicepremier rządu RP Jarosław Kalinowski (przed Festiwalem wziął udział w Gródku w uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod obelisk, na którym umieszczona zostanie tablica upamiętniająca przebywającego w tej miejscowości w latach 30. premiera Polski i prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego Wincentego Witosa), delegacja Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie z konsulem generalnym Markiem Masiulanisem na czele, senator Andrzej Feber (nie stanął podczas korowodu na zaimprowizowanej trybunie, lecz szedł razem z chórzystami i członkami Koła ze Stonawy), wicewojewoda śląski Marian Ormaniec, wicehetman okręgu morawsko-śląskiego Zdzisław Wantuła, naczelnik Urzędu Powiatowego w Karwinie Karol Siwek, wiceburmistrzowie Karwiny Gabriela Mrózek i Ladislav Šincl, wiceprezes Kongresu Polaków Henryk Cieślar, przedstawiciele Stowarzyszenia Wspólnota Polska, starostwa powiatowego w Cieszynie, Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej, miasta Czeskiego Cieszyna, Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Polskiego Związku Chórów i Orkiestr i wielu innych organizacji, a także przedstawiciele sponsorów imprezy.

Wicepremier RP Jarosław Kalinowski w swym krótkim wystąpieniu podziękował za zaproszenie na festiwal tradycji i kultury polskiej. *Łączą nas serca* – podkreślił – *które biją jednakowym gorącym ryt-*

mem, ale wasze polskie serce chyba bije mocniej i goręcej, bo gdyby tak nie było, nie byłoby tych zespołów, tradycji. Na ręce prezesa Zygmunta Stopy przekazał następnie pamiątkowy medal Konstytucji 3 Maja. W imieniu władz czeskich przywitał uczestników Festiwalu naczelnik powiatu Karol Siwek. Wicestarosta Karwiny Gabriela Mrózek – jako gospodarz – dokonała uroczystego otwarcia Festiwalu PZKO.

Połączone chóry Zrzeszenia Śpiewaczo–Muzycznego pod batutą Leszka Kaliny rozpoczęły program kulturalny od odśpiewania dwóch pieśni: „Modlitwa o pokój" oraz „A w tej naszej dolinie". Następnie pałeczkę dyrygencką przejął Józef Wierzgoń i chóry wraz ze wszystkimi obecnymi w hali zaśpiewały wiązankę cieszyńskich pieśni ludowych (Płyniesz Olzo, Wczoraj była niedzieliczka, Z tamtej strony wody, Stoji u wody, Usnyła Zuzanka, Zachodzi słóneczko, Sztyry kónie we dworze, Na fojtowej roli).

Następnie zaprezentowały się zespoły taneczne, chóry, kapele i soliści w dwugodzinnym bloku według scenariusza i w reżyserii Ottona Jaworka. Zaśpiewały chóry Gorol i Melodia, zatańczyli Suszanie, Bystrzyca, Oldrzychowice. Barbara Humel zapowiedziała wierszem polonez w wykonaniu zespołu Olza. „Kriwań" zaśpiewała Urszula Niedoba–Szczepaniak. Krótki program przedstawił zespół Oldrzychowice ze swoimi młodszymi kolegami z zespołu Tyrka. Nie zabrakło śpiewającego rodzeństwa Joanny i Michała Rzeszutów. Byli mali członkowie zespołu Łączka. Tańce czeskie, z poetyckim wstępem Barbary Humel, wykonał zespół Olza. „Furmana" zaśpiewał Michał Rzeszut. Suszanie zatańczyli poloneza z filmu „Pan Tadeusz". Zaprezentowali się śpiewacy i członkowie kapeli zespołu Nowina. Zespół Bystrzyca przedstawił tańce górali beskidzkich. Zaśpiewały dziewczyny i chłopak z zespołu Dziołchy i Syncy z Kolónije. Wystąpiła Olza w strojach cieszyńskich. Na koniec pokazały fragment swego programu dzieci z zespołu Lipka. W finale – po apelu Tadeusza Filipczyka o zgodę – wzięły udział wszystkie występujące wcześniej zespoły. Podczas trwania programu poszczególne zespoły przedstawiała Pawełka Niedoba.

Ze stadionu zimowego uczestnicy festiwalu przeszli do Parku Bożeny Němcowej, gdzie w amfiteatrze obejrzeć można było zespół Libiążanki z Polski i posłuchać orkiestry dętej Majovák z Karwiny, a także śpiewających koło stoisk młodych chórzystów pod wodzą Leszka Kaliny czy muzykujących członków zespołu Nowina. W parku znajdowały się też stoiska z daniami, niekoniecznie kuchni śląskiej, oraz różnymi napojami. Stoisk było jednak tylko osiem, a to zbyt mało dla kilkutysięcznego tłumu, toteż wiele czasu trzeba było spędzić w kolejkach.

Jak zawsze na Festiwalu PZKO nie zabrakło imprez towarzyszących. Tradycyjnie już wystawiały swe prace panie z Klubów Kobiet, tym razem były to panie reprezentujące Miejscowe Koła PZKO w Bystrzycy, Cierlicku, Czeskim Cieszynie, Karwinie Frysztacie, Karwinie Raju, Olbrachcicach i Suchej Górnej. Najwięcej było haftowanych różnymi technikami serwetek i obrusów, ale były też wyroby szydełkowe, malowane, ceramiczne, przykłady dekoracji stołów, ozdoby na różne okazje, na ścianach zaś wisiały obrazy Anny Piszkiewicz. Prace plastyczne można było podziwiać także w drugiej części sali, gdzie wystawiali je członkowie działającego przy ZG PZKO Stowarzyszenia Artystów Plastyków: Edgar Baran, Alicja Bartulcowa, Roman Chmiel, Władysław Ćmiel, Barbara Kowalczyk, Darina Krygiel, Zbigniew Kubeczka, Monika Milerska, Oskar Pawlas, Halina Szkopek, Romana Taszek, Walter Taszek, Paweł Wałach, Tadeusz Wratny. Tuż obok swoje stoisko z książkami rozłożyła księgarnia Wydawnictwa Olza. Na płycie stadionu oglądać zaś można było rysunki laureatów przygotowanego przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, ZG PZKO i Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki konkursu literacko-plastycznego pod hasłem „Piękny nasz kraj nad Olzą". Na konkurs nadeszło 257 prac plastycznych i 22 literackie, których autorami byli przedszkolacy i uczniowie szkół podstawowych. Podczas Festiwalu z rąk organizatorów nagrody odebrało 28 laureatów prac plastycznych i 3 laureatów prac literackich.

Gwiazdą Festiwalu PZKO był zespół Golec uOrkiestra, którego koncert poprzedził występ Gimnastyków z Wędryni. Jak zawsze mrożące krew w żyłach kilkupiętrowe piramidy w ich wykonaniu nagradzane były gorącymi brawami.

Zespół Golec uOrkiestra rozpoczął od swych najbardziej znanych i lubianych przebojów, toteż w takt muzyki podskakiwała publiczność zgromadzona przed podium na płycie stadionu, ale podśpiewywali również widzowie siedzący na ławkach wokół. Piosenkę „Ej, Janicku, ka ześ jest" wykonała z zespołem Urszula Niedoba–Szczepaniak, pod koniec koncertu zaś „Szumi jawor" zaśpiewała już cała sala.

Dwugodzinny koncert zespołu Golec uOrkiestra był tym magnesem, który przyciągnął na Festiwal PZKO nie tylko starsze, przyzwyczajone do pracy społecznej pokolenia, ale także młodzież. Optymistycznym akcentem był też wcześniej główny folklorystyczny blok programowy, gdzie można było obserwować wielu młodych ludzi, jako że to właśnie młodzież stanowi trzon zespołów pieśni i tańca Zaolzia.

CZESŁAWA RUDNIK




ZESPÓŁ FOLKLORYSTYCZNY
PAN-PZKO ORLOVÁ-LUTYNĚ
KOTNICZKA
KOTNICA
CZECH REPUBLIC




FESTIWAL PIWA
KARWINA
2002






ZWIĄZEK GMINNY
KO TRZANOWICE


ZUKOV D


OLBRACHCICE


CHÓR MARSZ


SCENA POLSKA


BAJKA



















FESTIWAL PZKO KARWINA 2002



XX IGRZYSKA LEKKOATLETYCZNE

Igrzyska Lekkoatletyczne Polskich Szkół Podstawowych organizowane są przez pełne szkoły z „dolnej" części Zaolzia. Organizacja tegorocznych, jubileuszowych XX ILA, przypadła szkole w Suchej Górnej. Widocznie ktoś tam, w górze, lubi Zaolzian, bo do świetnej organizacji Igrzysk przez suszan dodał jeszcze wspaniałą pogodę, co w sumie sprawiło, że były one nadzwyczaj udane.

Wszystko było jak na prawdziwej olimpiadzie – na początku wejście drużyn, zapalenie znicza, który to zaszczyt przypadł zawodniczce szkoły-organizatorki Agacie Rzyman, przysięga zawodników, którą przeczytał w ich imieniu Marek Filuś. Były też atrakcje w postaci popisów akrobacji lotniczej w wykonaniu samolotu z Frensztatu, krążącego nad stadionem.

A potem – głośny doping widzów oraz zacięta walka na płycie stadionu. Uczestnicy startowali w czterech kategoriach wiekowych, osobno dziewczyny i chłopcy – młodsi w sprintach, biegach długodystansowych, rzucie piłeczką i skoku w dal, a starsi zamiast w dal skakali wzwyż. W sumie wystartowało 494 zawodników z 27 szkół.

Igrzyska Lekkoatletyczne są dla wielu często jedyną szansą wypróbowania swego talentu na prawdziwym stadionie ze sztuczną nawierzchnią. Zawodnicy we wszystkich kategoriach walczyli jak lwy, chcąc zająć jak najlepsze miejsce i zdobyć medal albo przynajmniej zarobić punkty dla swej szkoły w klasyfikacji generalnej. Wśród małoklasówek najwięcej punktów nazbierało Nawsie przed Milikowem i Gródkiem, w kategorii łącznej dla szkoły w kat. I i II – Cz. Cieszyn przed Jabłonkowem i Trzyńcem VI, a w kategorii szkół pełnych – Cz.Cieszyn przed Jabłonkowem i Bystrzycą.

(mus)



Fot. BOGDAN PRYMUS



Fot. BOGDAN PRYMUS

95 LAT BOGUMIŃSKIEJ SZKOŁY

Polska szkoła w Boguminie lata największej świetności ma już za sobą. Gdzie te czasy, gdy w roku 1946 w jej murach naukę pobierało 283 uczniów! Dziś w budynku, oddanego do użytku 95 lat temu dzięki ofiarności bogumińskich Polaków i pomocy Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie, uczy się 6 dzieci. Po wakacjach będzie lepiej – dojdzie dwóch kolejnych uczniów. Większość klas służy dziś szkole czeskiej, polska została tylko jedna klasa, która od roku 1999 jest filią PSP w Lutyni Dolnej. Szóstkę bogumińskich dzieci uczy Wanda Kondziołka, a w świetlicy zajmuje się nimi Ilona Krótka. Dodatkowo na lekcje angielskiego przyjeżdża z Lutyni Renata Słowik, a na WF Zbyszek Letocha.

1 czerwca bogumińska szkoła znów się zapełniła. Tym razem gośćmi, którzy przyszli obejrzeć wystawę obrazującą historię i dzień dzisiejszy szkoły. W westybulu szkoły, pod tablicą upamiętniającą wychowanków szkoły – ofiary II wojny światowej, zaciągnęli wartę harcerze, a po uroczystym apelu goście złożyli kwiaty i wspólnie odśpiewali „Rotę". Był to bardzo piękny, wzruszający moment. Obchody przeniosły się następnie do Domu Kultury Bochemii, gdzie w barwnej Akademii Jubileuszowej wystąpili uczniowie bogumińskiej klasy, wychowankowie i nauczyciele szkoły oraz młodzież z Lutyni Dolnej. Piękny program, składający się z bajek przygotowanych przez młodzież, przeplatany był wspomnieniami i występami absolwentów szkoły. A po akademii – spotkania z dawno niewidzianymi kolegami z ławy szkolnej i wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia! (mus)

DZIEŃ OSZELDY W NIEBORACH

Tradycyjnie tłumnie przybyli do Domu PZKO w Nieborach członkowie i sympatycy Miejscowego Koła. Wśród gości oficjalnych był Roman Suchanek, prezes Komitetu Miejskiego obwodu trzynieckiego, Andrzej Suchanek reprezentujący Zarząd Główny PZKO i prezesi okolicznych kół: Ropica, Podlesie, Kanada, Guty, Oldrzychowice. W programie artystycznym zaprezentowały się dzieci przedszkolne i szkolne, chóry Zgoda i Zgodzik pod kierownictwem Ireny Małysz, chór Godulan–Ropica pod kierownictwem Henryka Kotasa, zespół Libiążanki z Polski oraz Zespół Pieśni i Tańca Oldrzychowice pod kierownictwem Marka Grycza. Wszystkich zachwyciło przygotowane przez Oldrzychowice ciekawe widowisko według scenariusza Anny Wacławik, prezentujące miejscowe stare zwyczaje. Część pierwsza to „Prządki u Oszeldów", część druga „Zabawa w karczmie". Konferansjerką całości była Michaela Raszka. Występom i wspólnemu biesiadowaniu towarzyszyła wystawa obrazów Pawła Wałacha. Wieczór należał do młodzieży, która bawiła się przy dźwiękach kapeli Blaf i Bartnicki.

(red)



Fot. ADAM CIENCIAŁA

MAJ NAD OLZĄ

Do 2 czerwca przedłużony został tegoroczny, siódmy już darkowski Maj nad Olzą. Jest to impreza folklorystyczna organizowana przez Sanatorium Państwowe w Karwinie Darkowie, miasto Karwinę, a przede wszystkim PZKO. Tu trzeba wymienić dwa karwińskie Koła PZKO – Darków i Raj, a nawet konkretne nazwiska osób, czyli Józefa Chmiela, głównego pomysłodawcę imprezy, Eugeniusza Matuszyńskiego, kierownika komitetu organizacyjnego, i Tadeusza Puchałę, którzy przygotowali całość i czuwali nad jej sprawnym przebiegiem.

W czasie świątecznych dni maja (1, 5, 12, 19, 26 maja) oraz w pierwszą niedzielę czerwca odbywały się w parku obok Domu Zdrojowego w Karwinie Darkowie występy zespołów pieśni i tańca, chórów, orkiestr dętych. Widzami byli mieszkańcy Karwiny i okolic oraz darkowscy kuracjusze. Tradycją tej imprezy stało się „stawiani i bulani moja" na jej rozpoczęcie i na zakończenie. Stawiali 1 maja jak zawsze członkowie zespołów Skotnica i Skotniczka z Orłowej Lutyni. „Bulali" zaś członkowie zespołu Oldrzychowice dopiero 2 czerwca, postanowiono bowiem w tym roku połączyć finał z obchodami Dni Karwiny. W tegorocznym Maju nad Olzą wzięły ponadto udział następujące zespoły: Gimnastycy z Wędryni, chóry Lira z Darkowa i Dźwięk z Raju, zespół Równica z Ustronia, Odra, Porubka i Hlubina z Ostrawy, Vonička z Hawierzowa, Slezan i Slezánek z Czeskiego Cieszyna, Olšina i Olšinka z Orłowej, orkiestry dęte Majovák i Akordanka.
C.R.



PROMOCJA KSIĄŻKI O KARWINIE

Na przełomie maja i czerwca przebiegały w Karwinie kolejne Dni Karwiny. Jedną z akcji kulturalnych była promocja książki Karola Daniela Kadłubca „Skoro zapómniane. O radościach i smutkach starej Karwiny", która odbyła się 1 czerwca w Bibliotece Regionalnej w Karwinie. Wydawcą książki jest miasto Karwina, pomysłodawcą starosta miasta Lubomír Kuznik, rodak karwiński. Realizacją pomysłu zajęła się Halina Molin, dyrektor karwińskiej Biblioteki Regionalnej. Zgromadzonym na promocji gościom przekazali Lubomír Kuznik, Halina Molin i Daniel Kadłubiec swoje refleksje na temat powstawania publikacji. Dołączyli do nich również Hilda Schmucker, autorka czeskiej transkrypcji, Władysław

Owczarzy, który dokonał wyboru ilustracji, i Alojzy Kopoczek, jeden z recenzentów. Dla każdej z tych osób znalazła się muzyczna dedykacja. Piosenki ludowe śpiewali Joanna Rzeszut, Michał Rzeszut i Adam Farana, akompaniował Bronisław Bednarz. Do dyspozycji czytelników są dwie wersje językowe książki: polska i czeska. Nabyć można ją w Miejskim Centrum Informacyjnym na frysztackim rynku. Więcej na temat tej publikacji piszemy w tym numerze Zwrotu w ramach stałego działu Na półkach księgarskich.

C.R.



Milikowskie przedstawienie „Czadownicy" Władysława Sikory, zdjęcie z niedzielnej premiery.
Fot. KAZIMIERZ JAWORSKI

CZADOWNICA W MILIKOWIE

5 maja odbyło się w Domu PZKO w Milikowie przedstawienie sztuki Władysława Sikory „Czadownica", która została napisana dla Teatru Lalek Bajka w roku 1980. Wykonawcami byli uczniowie milikowskiej szkoły podstawowej oraz przedszkolacy, przedstawienie przygotowali nauczyciele, reżyseria Wanda Suszka. Rzecz została przygotowana z okazji Dnia Ziemi oraz Dnia Matki i składała się z dwu części – ekologicznej Czadownicy oraz młodzieżowego podziękowania swym matkom. Tego rodzaju imprezy zawsze cieszą się powodzeniem i w Milikowie nie było inaczej. Rodzice, dziadkowie, rodzeństwo i znajomi gorąco przyjmowali to, co oglądali na scenie.

A więc walkę zwierząt i roślin o przetrwanie, bo zagrażała im Czadownica, którą wspomagali ludzie, w tym wypadku młodzież szkolna, poprzez zaśmiecanie lasu i zatruwanie środowiska naturalnego, a z drugiej strony również młodzież szkolna pomogła w przezwyciężeniu tego zagrożenia. Czytelny był tu jednoznaczny morał – chrońmy swoje naturalne środowisko. Była i zabawa, i nauka, która oby poszła w las i pomogła go ratować.

(kaja)

Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI LUDOZNAWCZEJ

8 maja odbyła się wycieczka poznawcza Sekcji Ludoznawczej do Górnośląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie. Dzięki uprzejmości dyrektor skansenu B. Heidenreich mieliśmy bezpłatny wstęp i przewodnika do dyspozycji. Najpierw zapoznaliśmy się z historią skansenu i planami na przyszłość. Jego początków należy szukać w okresie dwudziestolecia międzywojennego, kiedy to w Katowicach w 1936 roku na terenie Parku Kościuszki powstał zalążek przyszłego skansenu śląskiego. Niestety wybuch drugiej wojny przeszkodził w realizacji tego zamierzenia. Dopiero w 1952 roku w Katowicach na Walnym Zjeździe Towarzystwa Ludoznawczego powrócono do tej idei i zgłoszono projekt budowy skansenu śląskiego. Po przeniesieniu pierwszych 33 obiektów w 1975 roku udostępniono skansen zwiedzającym. Do roku 1990 znalazło się w nim 50 budynków – zgodnie z projektem, w dalszym ciągu przewiduje się wyeksponowanie 90 obiektów dużej i małej architektury.

Górnośląski Park Etnograficzny prezentuje budownictwo ludowe Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego.

Zwiedzanie regionu górnośląskiego rozpoczęliśmy od obiektów pochodzących z podregionu Beskidu Śląskiego. Naszą szczególną uwagę zwrócił „kurlok" z Istebnej z 1876 roku (najstarszy obiekt w skansenie), garbarnia z 1900 roku z Raztoki w Koniakowie – jedyny obiekt tego typu, jaki zachował się w Beskidzie Śląskim, oraz owczarnie i rekonstrukcja „kolyby" z Brennej.

Tuż za „kolybóm" doszliśmy do kuźni z Zamarsk, która jest bez wątpienia najciekawszym obiektem podregionu podgórskiego.

Idąc koło domu ze stajnią z Bażanowic koło Cieszyna weszliśmy na obszar podregionu pszczyńsko-rybnickiego, który jest już obszarem nizinnym. Co za tym idzie – zagrody są większe, obejmują oprócz domów kilka innych budynków, takich jak stodoły, chlewy, wozówki, szopy na siano, opał i narzędzia rolnicze. Również wnętrza mieszkalne różnią się od beskidzkich i podgórskich. Sień biegnie inaczej – do połowy szerokości domów, w dalszej części mieści się kuchnia i komora. Naszą uwagę w tym

zespole zwróciły stodoły o wysokich dachach i ośmiobocznych ścianach oraz ostatni zachowany w tym regionie wiatrak (tzw. koźlak–paltrak) z Grzawy k. Pszczyny z roku 1813. Wędrówkę po podregionie pszczyńsko–rybnickim kończymy zwiedzaniem karczmy i aresztu sołeckiego. Areszt sołecki ze Skrzyszowa z początków XIX wieku jest jedynym obiektem drewnianym o tym charakterze, jaki zachował się w Polsce. Tak się szczęśliwie złożyło, że do karczmy, zaadaptowanej na zaplecze kuchenne, dotarliśmy w południe, w związku z czym zadbaliśmy o nasze żołądki.

Posiliwszy się, kontynuowaliśmy zwiedzanie, zapoznając się z budownictwem podregionów: przemysłowego, lublinieckiego i zagłębiowskiego.

Kończąc wędrówkę po skansenie, mijamy zespół spichlerzy dworskich i plebańskich i zaglądamy do jednego z nich, żeby obejrzeć bardzo ciekawą wystawę o tradycyjnym rzemiośle ludowym.

Podsumowując naszą wycieczkę poznawczą, stwierdziliśmy, że Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie umożliwił nam dokładne zapoznanie się z poszczególnymi elementami budownictwa ludowego, dzielącymi jak i łączącymi poszczególne podregiony.

LESZEK RICHTER

WERNISAŻ KARWIŃSKIEJ WYSTAWY JÓZEFA MACKOWSKIEGO 16 MAJA 2002

Jak to się dzieje, że człowiek, który w swym zawodzie lekarza dentysty osiągnął nie byle jakie sukcesy i w wieku dojrzałym mógłby w pełni korzystać z dobrodziejstw jesieni życia, naraz zaczyna poświęcać swój wolny czas sztuce? W przypadku dr. Józefa Mackowskiego malarstwu. Skąd się bierze ta tęsknota do samorealizacji osobowości, ba, nieodparty pęd do odkrywania nowych światów fantazji? Poznawanie na nowo piękna otaczającego świata, odnajdywanie swojej prawdy, przetransponowanie jej w obrazy, by dostarczać sobie, bliskim i znajomym doznań estetycznych?

Po prostu przyleciała muza, musnęła jego duszę i obudziła siłę podświadomości tworzenia. Nie ma na to rady, po prostu musi malować... I jak każdy amator w początkach maluje dużo, szybko i wszystko. Pejzaże, martwe natury. Najpierw kopiuje pocztówki (kolorowe fotografie), niekiedy i prace profesjonalnych plastyków, później maluje już tylko z natury. Dokształca się u znajomych plastyków. Wykorzystuje swe liczne podróże do różnych zakątków



Fot. KAZIMIERZ BRANNY

świata, gdzie zwiedza znane galerie, rozwijając przez to wiedzę plastyczną oraz swój samorodny talent.

O takim nowo narodzonym samorodnym talencie można by powiedzieć, że jest opętany przez sztukę. Nie śpi – bo męczą go wciąż nowe wizje – nie dojada – bo trzeba jeszcze parę pociągnięć pędzla, by nie zaschła farba, by się nie zmieniła gra światłocieni itd. itd. Potrzeba i jeszcze raz potrzeba staje się cząstką jego życia.

Trudno porównywać plastykę profesjonalną z plastyką amatorską. Są to dwa różne bieguny i różne wartości – nie chodzi przy tym bynajmniej o wartości materialne. Plastyka samorodna samouków tak naprawdę mogła zaistnieć dzięki rewolucyjnym przemianom w sztuce, których dokonali przed ponad stu laty impresjoniści. Cały ówczesny atak był skierowany przeciw akademizmowi. Akademie kształciły wtedy w rysunku i malarstwie rzesze mniejszych talentów, spośród których zaledwie jeden na tysiąc stawał się rzeczywistym artystą, reszta skazana była na wegetację, jak pisał Walter Gropius. To dzięki van Goghowi, celnikowi Roussau obrazy dziś może tworzyć każdy, kto posiada talent i jest wrażliwym obserwatorem świata, który nas otacza. Nie umiejętność posługiwania się pędzlem czy piórem, ale obrazy, które cieszą oko, które są wspomnieniami naszych osobistych doznań i przeżyć. Zresztą to, co u większości twórców samorodnych jest zamierzeniem

w samorealizacji marzeń, daje dużą osobistą satysfakcję. Obrazy te, czy raczej obrazki, nie pretendują do miana dzieł sztuki. Bo przede wszystkim fotografia, dzięki iluzjonistycznemu pojmowaniu obrazu, zdewaluowała jego pojęcie jako sztuki. Malarstwo stało się wyrazem, a fotografia fikcją.

Wróćmy na nasze podwórko, a raczej do holu Uniwersytetu Śląskiego w Karwinie. Nie mam zamiaru opisywać twórczości autora – wszak już było dość o samej genezie jej narodzin, ale jeszcze raz z całą mocą chcę podkreślić tę niesamowitą erupcję i ogromną wytrwałość Józefa Mackowskiego w dążeniu do przekazywania wrażeń swych bogatych przeżyć duchowych. Pejzaże z różnych stron Europy, też z ukochanego zakątka Śląska Cieszyńskiego, do którego z utęsknieniem zawsze chętnie wraca, martwe natury i nieśmiałe próbki fantazyjnych kompozycji sprawiają mu ogromne zadowolenie. Autor – rodak z Suchej Górnej, obecnie zamieszkały w Kolonii w Niemczech – jest przekonany, że obrazki te, malowane uczuciem, prócz niespodzianki sprawią również radość i ucieszą oko nie tylko jego przyjaciołom, znajomym z dawnych lat, ale i przygodnym widzom z Karwiny i okolicy.

Życzymy mu więc, aby ta jego wspaniała przygoda z plastyką trwała jak najdłużej. Ad multos annos!

BRONISŁAW FIRLA

SPOTKANIE Z PREMIEREM LESZKIEM MILLEREM







13 czerwca odwiedził Ostrawę polski premier Leszek Miller. Przybył na mityng przedwyborczy czeskich socjaldemokratów, żeby zrewanżować im się za poparcie, jakiego udzielili polskiej lewicy w czasie wyborów parlamentarnych we wrześniu ubiegłego roku. Program krótkich odwiedzin Leszka Millera w Ostrawie był bardzo bogaty. Pomimo to znalazł czas i na spotkanie z trzydziestu przedstawicielami polskiej mniejszości narodowej, zorganizowane przez Czesko–Polską Mieszaną Izbę Handlową.

Spotkanie odbyło się po konferencji prasowej w Domu Polskim w Ostrawie. Polskiemu premierowi towarzyszył na nim czeski wicepremier Vladimír Špidla oraz przedstawiciele konsulatu RP w Ostrawie w osobach konsula generalnego Marka Masiulanisa i konsul Małgorzaty Filipek. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele wszystkich polskich organizacji w Republice Czeskiej. Premiera przywitał wiceprezes Kongresu Polaków Henryk Cieślar, obecny był prezes Czesko–Polskiej Mieszanej Izby Handlowej Jerzy Cienciała, dyrektor Huty Trzynieckiej, prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa, przedstawiciele szkolnictwa, TNP, polskich mediów. Wśród wielu nurtujących nas tematów poruszanych w rozmowach z premierem dominował problem polskiego szkolnictwa w RC.

Nie zabrakło na tym spotkaniu i przedstawicieli naszej kultury ludowej – w kąciku cichutko przygrywali, ubrani w stroje góralskie, członkowie zespołu Górole z Mostów koło Jabłonkowa. Leszek Miller, patrząc na kierownika tego zespołu Alojzego Martynka, zagadnął, że przypomina mu on Janosika.

F.B.

Foto w kronice (niepodpisane) FRANCISZEK BAŁON

MAULANA DŻALAL AD-DIN RUMI

WIERSZE

* * *

Po całym świecie szukałeś życia,
jednak w swym sercu umrzesz.
Urodziłeś się w błogich ramionach
a umrzesz w samotności.

* * *

Zasnąłeś na brzegu jeziora
a teraz jesteś spragniony.
Siedzisz na szczycie skarbów
a umrzesz w całkowitej nędzy.

* * *

Nie upodabniaj się do wróbla
skaczącego z gałęzi na gałąź.
Gdy tu i tam szukasz miłości,
Ogień, który zapaliłem w tobie
pomału wygaśnie.

* * *

Istnieje miejsce gdzie słowa rodzą się w ciszy,
gdzie wznosi się podszept serca.
Istnieje miejsce gdzie głosy wychwalają
twoje piękno.
Miejsce gdzie każdy oddech
rzeźbi twój wizerunek
w mojej duszy.

* * *

Wiedz że w religii miłości
nie ma wierzących
i niewierzących.
Miłość obejmuje wszystkich.
Coś łączy twoje serce z moim.
Moje serce to czuje,
bo niewinne - czyste jak woda.
Gdy woda w bezruchu jest lustrem
można w niej ujrzeć księżyc

IGŁA I NITKA

Czym jest żywa śmierć?

Gdy zapominasz o uduchowieniu twego mentora
i że w życiu liczy się tylko mądrość
pozyskana z trudu i cierpienia.
Im jej więcej, tym dusza twa większa.
Czym górujemy nad zwierzętami?

Właśnie tą świadomością, która
umacnia nas w momencie próby.
Istnieje pewna hierarchia: człowiek nad zwierzętami,
anioł nad człowiekiem, lecz doskonały człowiek,
guru lub szejk, nad aniołami.
A jeśli nie, czemu zostały zmuszone
do pokłonu przed Adamem.
Czy róża kłania się kolcom?
Niech twa dusza podąża
za doskonałym człowiekiem
jak nitka za igłą.

* * *

Za młodu na krótko stałem się mistrzem.
Na krótko uszczęśliwiał mnie widok przyjaciół.
A teraz wysłuchajcie końca mojej legendy, spójrzcie co się stało:
Pojawiłem się jak obłok,
a jak wiatr odleciałem

* * *

Poznanie sekretów Niewidzialnego
dane może być temu,
co swe wargi
pieczętuje milczeniem

tłum. ADAM SZYPER

KIM BYŁ MAULANA DŻALAL AD-DIN RUMI?

Rumi (1207-1273) był jednym z największych mistyków perskich. Urodził się w Balch (teren dzisiejszego Afganistanu). Wiersze, które prezentujemy dziś w Zwrocie, przetłumaczył (via język angielski) polski poeta żyjący w USA - Adam Szyper. Pochodzą one ze zbioru poezji „Wszystkie głosy w jednym" (Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2002).

Adam Szyper nie jest na Zaolziu i w Polsce poetą nieznanym. Urodził się w Łodzi w 1939 roku, przeżył Oświęcim i kilka innych obozów koncentracyjnych. Jest poetą, tłumaczem i wydawcą. Jego wiersze ukazały się w licznych periodykach w Polsce i Stanach Zjednoczonych, a także innych krajach. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień literackich, między innymi nagrodę stanu New Jersey, w Polsce jest laureatem Nagrody im. Klemensa Janickiego. W Poznaniu otrzymał za wybór wierszy „Życie pod prąd" Nagrodę za Najlepszą Książkę Poetycką Roku 2001. Mieszka w Elizabeth pod Nowym Jorkiem. Jest autorem około 30 książek poetyckich. Pisze również po angielsku. Wilhelm Przeczek przetłumaczył na czeski jego zbiór poezji „Život navzdory" (Czeski Cieszyn 1994). Adam Szyper był kilka razy na Zaolziu. Brał udział w jabłonkowskiej Kawiarence Pod Pegazem. Jego sylwetkę prezentowaliśmy na łamach Zwrotu, drukując także jego wiersze. Na obwolucie wydania poezji Rumiego Adam Szyper pisze m.in.:

Maulana Dżalal ad-Din Rumi żył w najkrwawszym okresie historii Persji. Był to czas najazdów Mongołów, którzy z dziesiątków tysięcy ludzkich czaszek budowali świątynie śmierci. Wtedy to właśnie - na tle niepojętego cierpienia, strachu i nienawiści - Rumi pisał o ogólnoludzkiej miłości i tolerancji. Minęło prawie siedemset pięćdziesiąt lat od śmierci Rumiego, a dzisiaj jego poezja dociera do Zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych, gdzie od 20 lat jest jednym z najpoczytniejszych poetów. Mam nadzieję, że moje skromne przekłady przyczynią się do tego, że będzie znany także w Polsce.

WILHELM PRZECZEK

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



PIĘKNY NASZ KRAJ NAD OLZĄ

Jasio otworzył oczy. Chwilę jeszcze leżał i wsłuchiwał się w piękne dźwięki, które dolatywały przez otwarte okno chałupy. Ptaszki ćwierkały, wiatr kołysał lekko listkami na drzewach, ale najpiękniejszy dźwięk dochodził do jego młodych uszu z dala. Wsłuchiwał się w niego każdego rana. Był to szum rzeki Olzy.

Powoli wstał i przeciągnął się, nie mógł już doczekać się lata, kiedy będzie spać w stodole z kolegami. Zimą i wiosną nocuje w izbie na ławie, pod baranią skórą, ze swymi sześcioma braćmi. W rodzinie gospodarza Hadama jest Jasio najmłodszym z rodzeństwa, więc nie musi jeszcze chodzić pracować na pole. Teraz wiosną jest mnóstwo pracy. Trzeba ponaprawiać dachy po zimie, zasiać jarzyny i zboża, zasadzić ziemniaki. Cała rodzina dawno już była na polu za bagnami.

Usiadł na ławie i zjadł skromne śniadanie, które składało się z zimnej „kiszki" i kromki domowego chleba z masłem i solą. Ubrał krótkie lniane spodnie i cienką spraną koszulę. W gospodarstwie Hadamowym było dużo dzieci, ale mało pieniędzy. Dzieci więc miały tylko jedne buty, które zwykle wkładały w niedzielę, gdy wszyscy szli do kościoła, dlatego więc Jasio chodził boso. Był za mały, by pójść z braćmi na pole, ale rodzice nie zostawili go bez pracy. Tak jak większość dziesięcioletnich chłopców w „dziedzinie" musiał Jasio chodzić każdy dzień paść krowy.

Do kieszeni włożył pół kromki chleba i wierzbową fujarkę, a do ręki patyk. Wyszedł z chałupy. Na dworze była piękna pogoda, słońce świeciło, a niebo było bez chmurki. Zaraz podbiegł do Jasia kundel Burek i przywitał go, oblizując mu twarz różowym językiem. Chłopak wszedł do chlewa, wsypał do karmnika ziarno kurom i wlał świni do koryta pomyje z wczorajszej wieczerzy. Chlew był wybielony wapnem i miał niski strop. W rogu stała krowa Krasula i byczek. Wyprowadził krowę na podwórko. Idąc przez wieś, spotkał kolegę Józka od kowala. Józek, tak samo jak i Jasio, szedł paść bydło. Chłopcy paśli krowy zawsze razem, a chodzili na łąkę nad brzegami Olzy. Idąc koło krzaków, usłyszeli śpiew dziewcząt:

Piękny nasz kraju nad Olzą,
Kraju nasz pod Beskidem,
Górale ziemię twą orzą...

To były dziewuchy z górnej części wioski. Chłopcy je nazywali „gupio" Mania i „pyskato" Zuza. Dziewczyny chodziły nad mały staw paść gęsi. Jasio i Józek nie lubili Mani i Zuzy od czasu, gdy pewnego razu poszli paść

wspólnie. Wtedy po łące przebiegła mysz, a dziewczyny zaczęły tak piszczeć, że wypłoszone krowy chłopców pobiegły na drugi koniec wioski. Jasio dostał wtedy rózgą od „rechtora", bo spóźnił się na lekcje, a Józek musiał klęczeć na grochu z tego samego powodu. Od tego czasu chłopcy wymyślali, jak dziewczynom opłacić tę niemiłą przygodę. Niestety teraz nie mieli czasu na głupstwa, ponieważ krowy nie mogły się doczekać trawy i zaczęły skubać zboże na polu bogatego „siedloka" Danka.

Danek był w całej wiosce najbogatszy, ale także najbardziej skąpy, a do tego nie znosił małych chłopców z ubogich rodzin. Każde rano, kiedy wszyscy wyprowadzali swe bydło, siedział na ławie przed domem i pilnował swego majątku. Chłopcy więc poszli raczej na łąkę nad brzegiem rzeki, gdzie była młoda soczysta trawa posiana wielobarwnymi kwiatkami. Chłopcy puścili krowy i pobiegli nad niedaleki brzeg Olzy. Jasio usiadł pod starą wierzbą i wyciągnął z kieszeni fujarkę. Józek bardzo lubił tę chwilę, bo wiedział, że nie każdy umie tak pięknie grać jak Jasio. Usiadł obok i wsłuchiwał się w rzewną melodię, która jakby rozlewała się po krainie. Kiedy skończył grać, słońce było już wysoko. Chłopcy stwierdzili, że jest już za wysoko, i szybko gnali krowy do chlewa, myśląc o tym, jak „rechtor" będzie się znowu na nich gniewał, że spóźnili się do szkoły.

Jasio wziął tabliczkę, rysik i pobiegł w stronę szkoły, która znajdowała się przy kościele. Wbiegł do klasy tuż przed dzwonkiem. Szkoła była stara i cała drewniana. W klasie znajdowały się bardzo sfatygowane ławki i tablica, a w rogu stał piec, który w zimie ogrzewał pomieszczenie. Mieli tylko dwie lekcje - rachunki i język polski. „Rechtor" Jachnicki wszedł do klasy. Był to już starszy człowiek z dużym brzuchem, więc dzieci przezywały go Brzuchocz. W czasie sprawdzania obecności wbiegł do klasy Józek. Jachnicki spojrzał na niego ostro spod krzaczastych brwi i pogroził palcem. Każdy w klasie wiedział, że po takim spojrzeniu często przychodziła kolej na rózgę. Na lekcji rachunków uczyli się dodawania i odejmowania, a po krótkiej przerwie, na lekcji polskiego „rechtor" Brzuchocz opowiadał im legendę o śpiących rycerzach w Czantorii. Po lekcjach wszystkie dzieci pobiegły do domów.

W Hadamowym domu pachniało obiadem. Jasio przyszedł w sam raz. Ojciec i bracia siedzieli już na ławie za stołem i rozmawiali o pracy. Mama Jasia piekła placki na blasze, robiono je z ziemniaczanego ciasta, a jedzono ze śmietaną albo słoniną. Jasio usiadł obok ojca, matka przyniosła placki i po krótkiej modlitwie wszyscy zabrali się do jedzenia. Po obiedzie bracia i ojciec poszli sadzić ziemniaki, a matka wraz z innymi kobietami z wioski prać brudną bieliznę nad Olzę.

Jasio wziął stary garniec i trochę soli. Był bowiem umówiony z Józkiem, że pójdą łowić raki. Spotkali się przy wierzbie. Chłopcy weszli po kolana do wody, szukając najdogodniejszego miejsca, gdzie mogły być raki ukryte. Józek znalazł duży kamień, częściowo podmyty wartkim nurtem Olzy. Razem z Jasiem odwrócili go, a pod nim siedziały dwa raki. Chłopcy bardzo

się ucieszyli. Jasio, chwytając jednego, cały zmoczył się w przeźroczystej wodzie Olzy, Józkowi rak przyczepił się do palca. W końcu oba skończyły w garnku z wrzącą wodą. W czasie, gdy się raki gotowały, Jasio wymyślił plan zemsty nad Manią i Zuzą.

Po smacznym posiłku chłopcy podnieśli parę kamieni, pod którymi było pełno dżdżownic. Nazbierali pełne kieszenie tego śliskiego paskudztwa i pobiegli w stronę stawu, gdzie Mania i Zuza wiły wianki z „moiczków". Zaczaili się za krzakami, przygotowali amunicję i precyzyjnie zaczęli trafiać dżdżownicami w dziewczyny. Kiedy Mania i Zuza zauważyły, co wpada im we włosy i za bluzki, sielanka wieczorna prysła jak bańka mydlana. Wszędzie wokół zaczęły latać wianuszki i kwiatki wraz z dżdżownicami, a dziewczyny krzyczały i przezywały chłopców, nazywając ich „chacharami" i urwisami. Spłoszone gęsi rozpryskiwały wokół wodę ze stawu i darły się podobnie jak dziewczyny. W końcu Mania i Zuza z bekiem pobiegły do domu.

Chłopcy byli z siebie zadowoleni. Wrócili ku Olzie, wzięli garniec, w którym gotowały się raki, i poszli do domów. Wieczorem Jasio, leżąc ze swymi braćmi na ławie pod baranią skórą, rozmyślał o jutrzejszym dniu pełnym nowych przygód w tym pięknym kraju nad Olzą.

DOMINIKA SZYMAŃSKA
kl. 9 PSP Karwina Nowe Miasto

Praca nagrodzona została w konkursie literacko-plastycznym „Piękny nasz kraj nad Olzą".

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

OŁOMUNIEC LITERACKI

Znany u nas również ze Zwrotu František Všetička, teoretyk literatury, pisarz, felietonista i eseista, który niedawno (25 kwietnia) obchodził siedemdziesięciolecie urodzin, wydał kolejną pozycję „Olomouc literární" (Votobia, Ołomuniec 2002). Jest on absolwentem i byłym pracownikiem naukowym Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu, gdzie zajmował się teorią literatury czeskiej oraz literaturą słowacką, rosyjską i polską. W tym zakresie wydał 13 publikacji fachowych, dotyczących m.in. takich czeskich pisarzy jak Václav Říha, Josef Štefan Kubín, Jan Amos Komenský, Jakub Arbes, Karel i Josef Čapkowie, Miroslav Horníček, oraz prace dotyczące budowy wiersza, budowy prozy, budowy dramatu itp. Interesuje się także literaturą polską, również naszą zaolziańską, dając temu wyraz w drobnych szkicach, a nawet

tłumacząc naszą poezję, np. Jana Pyszki - „Puklá pečeť". Za swój liczący się dorobek w roku 2000 otrzymał Nagrodę Leopolda Vrli.

Omawiana tu książka jest swoistą kontynuacją cyklu felietonów ze zbioru „Vnitřní vitráže. O lidech ze světa umění a vždy", gdzie, jeśli chodzi o polonika, przedstawia czeskiemu czytelnikowi między innymi polonofila Edvarda Jelínka, który w roku 1893 wydał przewodnik „Zakopane v polských Tatrách", za co nasi rodacy umieścili mu na jednej ze skał tatrzańskich tablicę pamiątkową na ścieżce prowadzącej z Zakopanego na Giewont. Jest w tej książce także wzmianka o polskim poecie ks. Januszu Stanisławie Pasierbie, polskim slawiście i bohemiście z Uniwersytetu Warszawskiego Józefie Magnuszewskim, jest także informacja o naszej zaolziańskiej polskiej literaturze, Wilhelmie Przeczku itp. Naturalnie tu nie te polonika są najważniejsze, chociaż Polaka ten fakt cieszy. Autor pisze krótko o licznych postaciach literatury i nauki czeskiej i obcej, ilustrując te spotkania zdjęciami i opisem swych wędrówek do miejsc związanych z danymi ludźmi.

Podobny charakter ma wspomniana na wstępie „Olomouc literární". František Všetička tym razem zainteresował się ludźmi pióra i nauki związanymi z Ołomuńcem, z miastem historycznym, uniwersyteckim, gdzie w przeszłości kształciło się mnóstwo księży katolickich ze Śląska Cieszyńskiego, a w czasach nam współczesnych sporo pedagogów i lekarzy. Dla wielu spośród nas, którzyśmy studiowali na Uniwersytecie Palackiego, książka ta będzie wzbogaceniem naszych wspomnień o mieście naszych studiów i miłości nawet. Książka ta znów jest bogato ilustrowana zdjęciami autora, tym razem przede wszystkim różnych obiektów architektonicznych, związanych z ludźmi, którzy tam żyli i o których autor pisze.

Dla mnie osobiście książka ta ma ogromną wartość. Fotografie przypominają mi budynki, z którymi człowiek podczas pięcioletnich studiów na swój sposób się zżył, a które teraz poprzez informacje o ludziach, którzy w nich żyli lub pracowali, nabierają jakby nowych treści. Bywam w Ołomuńcu corocznie i marzy mi się teraz wędrówka po tym uroczym zresztą mieście z książką Všetički i jak gdyby podglądanie już nie lokatorów, ale domów goszczących niegdyś w swych murach ludzi dla Ołomuńca, nauki i kultury w jakiś sposób zasłużonych.

Jest także w tej książce jeden materiał dotyczący naszego Zaolzia, a mianowicie „Jeden z Bermudského trojúhelníku", gdzie autor pisze o niżej podpisanym, Władysławie Sikorze i Bronisławie Liberdzie, ostatecznie wszyscy z tym miastem jesteśmy w jakiś sposób związani - ja i Sikora studiowaliśmy tam swego czasu, a z kolei córka Liberdy, Lena Pulchert, jest pracownicą ołomunieckiego Fakultetu Pedagogicznego.

KAZIMIERZ JAWORSKI

POLACY NA ZAOLZIU

Dzięki inicjatywie Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO, która 13-14 października 2000 roku przygotowała konferencję naukową na temat Polacy na Zaolziu 1920-2000, oraz Kongresowi Polaków w RC i pomocy finansowej Urzędu Miejskiego w Czeskim Cieszynie, który wydał wygłoszone tam referaty, mamy dziś do dyspozycji cenny przyczynek historyczny, będący naturalnie tylko wstępnym materiałem wyjściowym do ewentualnych badań nad naszą skomplikowaną przeszłością. Otóż pod redakcją Józefa Szymeczka ukazała się publikacja „Polacy na Zaolziu 1920-2000. Poláci na Těšínsku", gdzie na 175 stronicach zainteresowani (na konferencji nie było ich zbyt wielu) mogą dowiedzieć się co nieco o tym, jak żyli, pracowali i pisali nasi (i nie tylko) przodkowie. Napisałem niedawno, że historia naszego regionu w kontekście historii europejskiej jest marginalna. Wspomniana tu pozycja, sprawy tam poruszone i ogromna ilość materiałów na nasz temat tam odnotowanych świadczy o czymś innym. A mianowicie o tym, że pomimo wszystko teren nasz ze wszystkimi konfliktami, wydarzeniami i historią to nie tak zupełnie terra incognita.

Zaolzie jako takie jest ściśle powiązane z historią i historiografią polską oraz czeską równocześnie i jego dzieje są siłą rzeczy różnie interpretowane. Interpretacje te nigdy nie będą widocznie takie same, ale mogą być poprzez obiektywizm zbliżone. Temu celowi służą między innymi tego rodzaju konferencje - szkoda tylko, że po tej ostatniej doszło do niepotrzebnych rozdźwięków i nieporozumień, które świadczą o tym, że jeszcze nie dojrzeliśmy do tak bardzo tu potrzebnego obiektywizmu.

W publikacji „Polacy na Zaolziu" znajdują się więc poza przyczynkami wstępnymi i uzupełniającymi referaty historyków polskich i czeskich, które, aczkolwiek nie wyczerpują tematu, wnoszą sporo niezbędnych informacji w tym zakresie, i wrażliwy czytelnik, szczególnie historyk, może tu sporo skorzystać. Nie sposób tu analizować wszystkich referatów, bo zabrałoby to sporo miejsca. Niechaj same tytuły tylko pozwolą zorientować się w bogactwie poruszonych zagadnień na dany temat.

A więc „Poláci v České republice v historické retrospektivě" (Rudolf Žáček), „Tendencje rozwojowe ludności polskiej w Czechosłowacji 1920-2000" (Stanisław Zahradnik), „Stav a perspektivy výzkumu dějin národnostní menšiny v ČSR (ČR)" (Měčislav Borák), „Zaolzie w XX wieku: historia, legenda, stereotyp" (Jaroslav Valenta), „Świadomość społeczna i narodowa Polaków w Republice Czeskiej" (Halina Rusek), „Poláci, Češi a Němci na Těšínsku 1920-1938" (Dan Gawrecki), „Zaolzie w polityce zagranicznej Polski 1920-1947" (Krzysztof Nowak), „Wokół problematyki starć polskich bojowców z siłami czechosłowackimi w latach 1935, 1938" (Edward Buława),

„Wybrane problemy szkolnictwa polskiego na Zaolziu i Kresach Ostrawskich w latach 1920-2000" (Zenon Jasiński), „Życie literacko-artystyczne na Zaolziu" (Władysław Sikora), „Rola Kościołów w życiu narodowym Polaków na Zaolziu" (Józef Szymeczek), „Statystyczne wskaźniki centrum i peryferii terytorium polskiej grupy etnicznej na Zaolziu" (Tadeusz Siwek) oraz „Multietniczne środowisko kulturowe Śląska Cieszyńskiego" (Jana Raclavska).

Już tylko sam przegląd tytułów poszczególnych opracowań świadczy o niezmiernym bogactwie materiałów, które należałoby krytycznie przestudiować, zanalizować i wypracować nową, bardziej obiektywną wersję naszej historii lokalnej - naturalnie z uwzględnieniem kontekstu historii europejskiej. Sądząc z reakcji pokonferencyjnej, jeszcze nie dojrzeliśmy do obiektywizmu, bliższe są nam stereotypy i mity, o których ciekawie pisze Jaroslav Valenta - szkoda tylko, że ta swoista rewizja takich poglądów nie wyszła spośród nas samych. Inna sprawa, że, walcząc z jednymi stereotypami, można popaść w nowe.

Z mojego punktu widzenia, nie pomniejszając naturalnie przyczynków polskich, cenne są przyczynki czeskie, bo w dużym stopniu wzbogacają naszą wiedzę o informacje jak gdyby „z drugiej strony barykady". Niestety przyjął się u nas zwyczaj korzystania tylko z tych informacji i źródeł, które nam odpowiadają, które pasują do naszych już ustalonych poglądów. Omawiana tu publikacja ma szanse co nieco w tym zakresie zmienić na lepsze.

KAZIMIERZ JAWORSKI

KSIĄŻKA O SPRAWACH NIEMAL ZAPOMNIANYCH

Karwina. *Co o niej wiemy? Jak kiedyś wyglądała, skąd się wzięła, jak żyli tu ludzie, jak mówili, jak się cieszyli, bawili?* Na te i podobne pytania próbuje odpowiedzieć książka Karola Daniela Kadłubca „Skoro zapomniane. O radościach i smutkach starej Karwiny", którą w roku bieżącym wydało miasto Karwina. Celem jej jest przybliżenie, opisanie i udokumentowanie życia, zwyczajów i języka mieszkańców karwińskich kolonii górniczych.

Głównym inicjatorem wydania tej publikacji był starosta miasta Lubomír Kuznik, który w przedmowie napisał: *Gwara, która jeszcze do niedawna była w powszechnym użyciu, zaczyna obecnie zamierać. Sam do swoich sześciu lat mówiłem tylko gwarą, czyli „po naszymu", a było zupełną oczywistością, że po czesku zaczęliśmy się uczyć dopiero w szkole podstawowej. Mój syn natomiast mówi już tylko po czesku, choć gwarę zna, ponieważ*

w domu rozmawiamy z żoną i obojgiem rodziców właśnie gwarą. Wierzę, że i dla mojego wnuka nie będzie ona obca, ale co stanie się z moim prawnukiem, który nie musi już usłyszeć ani jednego słowa gwarowego? I właśnie temu, żeby Mój i Państwa wnuk i prawnuk, Nasi potomkowie rozumieli język Swoich dziadów i pradziadów także w dalekiej przyszłości, ma służyć ta książka.

Koncepcję książki wymyślił Daniel Kadłubiec, który wybrał teksty gwarowe, przygotował wstępne komentarze do poszczególnych rozdziałów, określił zasady transkrypcji tekstów i opracował słowniczek wyrazów gwarowych i zapożyczonych. Duża część wykorzystanych w książce materiałów pochodzi z jego badań terenowych, jakie prowadził w Karwinie i okolicy w latach 1970–2000. Część z nich opublikował już w wydanej w 1995 roku we Wrocławiu książce „Górniczy śmiech". W nowej książce o starej Karwinie znalazło się także kilka „Żywych tekstów" drukowanych w Zwrocie w latach 50. i 80.

„Skoro zapómniane" i „Skoro zapómňane" to dwa różnie zapisane tytuły tej samej książki, ukazała się ona bowiem w dwóch wersjach językowych: polskiej i czeskiej. Po polsku lub po czesku napisane są wstępy, komentarze do poszczególnych rozdziałów. Przetłumaczyli je Halina Molin, dyrektor Biblioteki Regionalnej w Karwinie, i Jan Kubiczek. Teksty gwarowe w czeskiej wersji pomyślane zostały tak, by jak najlepiej mogli je odczytać rodowici Czesi lub czescy potomkowie mieszkańców tej ziemi. Jednak mogą oni mieć niekiedy problem z prawidłowym odczytaniem wyrazów, bowiem nie wszystkie znaki udało się zapisać przy pomocy czeskich znaków graficznych, jako że w języku czeskim nie ma np. ł ani miękkiego ś, ć, ź itd., toteż te znaki pozostały takie same jak w oryginale, by odzwierciedlały autentyczny język gwary karwińskiej. Transkrypcji dokonała Hilda Schmucker.

„Skoro zapómniane" to książka przede wszystkim o czasach Monarchii Austro-Węgierskiej, a potem okresie międzywojennym, kiedy to w czeskich dokumentach pisano nazwę miasta przez dwa n - Karvinná. Poszczególne rozdziały poprzedza skrótowe przypomnienie początków miasta. Pierwszy rozdział mówi bardziej ogólnie o koloniach górniczych, ich nazwach i wyglądzie. Następnie opisane jest życie codzienne, zwyczaje takie jak np. *deptani kapusty, szkubaczki* czy chodzenie *po kolyndzie,* można dowiedzieć się, *co się kiedyś jadło i jak się to przyrządzało,* a także *jak górnicy przyjmowali młodych.* Wiele miejsca zajmują opowieści z życia oraz historie związane z wierzeniami, podaniami, np. o Pusteckim. Nie brakuje w tej publikacji przysłów i piosenek górników. Najobszerniejszy rozdział mówi o tym, jak i z czego się górnicy śmiali.

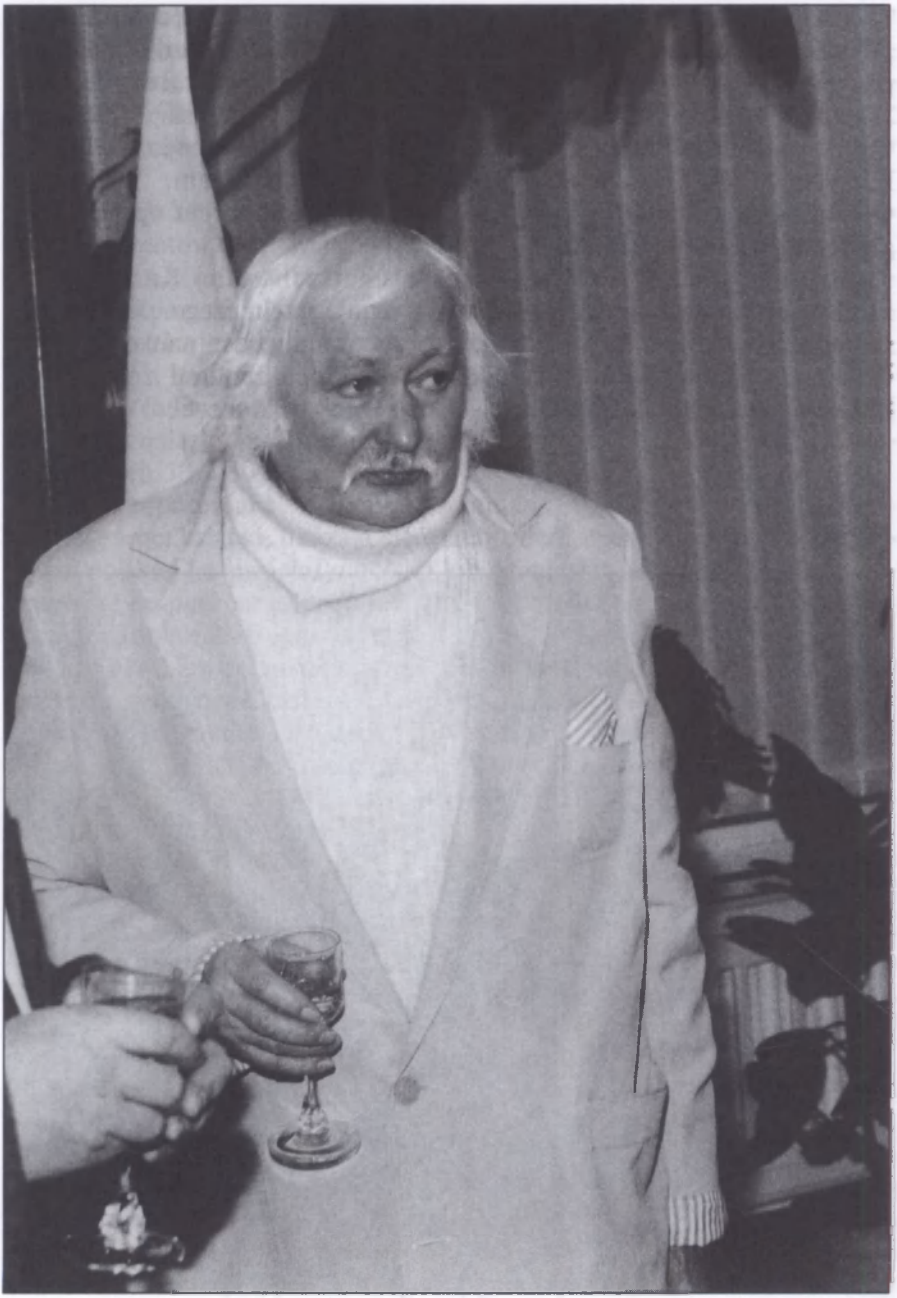
Ta bogato ilustrowana publikacja, z reprodukcją obrazu Edgara Barana „W starej kolonii" na okładce, zawiera wiele archiwalnych zdjęć i starych pocztówek Karwiny, „Głowy karwińskie" Jana Wałacha, prace plastyczne Josefa Mánesa, Otakara Barana, Jindřicha Wielgusa, Vladislava Oslizloka, Karola Piegzy, Henryka Nitry, Tadeusza Wratnego. Wybrał je, korzystając także z własnego, prywatnego archiwum, Władysław Owczarzy. Autorem zdjęć jest Edmund Kijonka, autorem opracowania graficznego Jaromír Hanák.

„Skoro zapómniane. O radościach i smutkach starej Karwiny" jest książką przeznaczoną dla szerokiego kręgu czytelniczego. Jej wartość i znaczenie podnosi fakt, że została opracowana przez naukowca prof. dr. Karola Daniela Kadłubca DrSc., a jej recenzentami zostali doc. PhDr Mečislav Borák CSc. i prof. dr hab. Alojzy Kopoczek.

C.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON



Wiesław Adam Berger – zdjęcie z ostatnich...
Fot. FRANCISZEK BAŁON

LIST DO ADAMA (BERGERA)

Trzyniec, 5 czerwca 2002

Drogi Adamie,

a jednak spotkaliśmy się po latach... W styczniowy poniedziałek (daty nie są ważne z Twojej perspektywy) dzwoniłeś do mnie, że we wtorek nie spotkamy się, bo źle się czujesz, że dopiero za tydzień, kiedy znów służbowo będę w ostrawskiej drukarni, spotkamy się, jak czyniliśmy to od wielu lat, i pogadamy na nasze tematy, a we czwartek odszedłeś bez pożegnania tam, skąd już nie ma powrotu. Zaskoczyłeś nas wszystkich swą nagłą i niespodziewaną śmiercią, która w spotkaniach ostrawskich coraz częściej pojawiała się w naszych rozmowach, jak zawsze o wszystkim po trosze.

Tak, spotkaliśmy się, ale nie było to już spotkanie ostrawskie ani premierowe czeskocieszyńskie, bo bawiłem wówczas na Litwie (Litwo, ojczyzno nasza), by poznawać losy ludzi podobne do naszych zaolziańskich. Spotkaliśmy się w Trzyńcu za pośrednictwem Renaty, Karola i aktorów Sceny Polskiej. Raz jeszcze opowiedziałeś mi to, co znałem bardzo dobrze z Twoich relacji, z Twoich rękopisów, a następnie książek. Poznałem Cię jeszcze z jednej strony, tym razem jako dramaturga. Byłeś, a właściwie jesteś dobrym prozaikiem, czasami poetą, chociaż nieraz w to wątpiłeś, teraz zostałeś autorem własnego dramatu, pięknej i mądrej sztuki scenicznej o Twoim własnym życiu. Tak, bo to Ty napisałeś sceniczny „Most nad Łucyną", Renata tylko, zrozumiawszy Ciebie, nadała mu swój kształt literacko-teatralny, zaś Karol sceniczny. Przy okazji ukazała się kolejna Twoja książka, jeszcze jeden „Most nad Łucyną" w wersji programu-scenariusza z pięknymi grafikami Helgi i Twoimi zdjęciami.

Myślę, że ludzie Cię zrozumieli, że to, co opowiedziałeś im ze sceny, a słuchali Cię z wielkim zainteresowaniem, o jakim za życia nawet nie marzyłeś w swej skromności, zaakceptowali, pojęli Twoją filozofię życia, Twoje świerszcze w głowie, Twoje schizofreniczne (artystyczne, bo każdy artysta jest troszeczkę schizofrenikiem) rozdwojenie na młodego i starego Adama, na zwyczajnego człowieka i artystę. Pokazałeś (pokazaliście) siebie, a rów-

nocześnie poprzez swoje życie i swoje o nim myślenie także nasze (też poniekąd schizofreniczne) Zaolzie, swoje Błędowice i swoją świętą rzekę Łucynę. Tak nikt dotąd nie pokazał naszego świata, naszej małej ojczyzny, naszego piękna i brzydoty, naszego raju i piekła, naszej mądrości i głupoty.

Adamie, tak bardzo pragnąłbym raz jeszcze spotkać się z Tobą w ostrawskim Splicie, w tej wspaniałej kawiarni, gdzie dwie piękne kelnerki, jedna z dekoltem z przodu, druga z tyłu, raczyły nas swymi uśmiechami, bardzo dobrą jak na owe czasy kawą oraz rakiją, która uskrzydlała nasze rozmowy o życiu, kobietach, obrzydliwej polityce, nietolerancji, nacjonalizmie, miłości, sztuce, szerokim świecie wtedy dla nas zamkniętym, po prostu o tym wszystkim, co opowiedziałeś mi (nam widzom) w scenicznym „Moście nad Łucyną". Jednak nie spotkam się tam z Tobą, bo jeszcze przedtem, nim Ty odszedłeś, zabrano nam uroczy Split, potem już nie znaleźliśmy tak przytulnego lokalu, gdzie można byłoby przyjemnie rozmawiać, wspominać i marzyć, zwłaszcza Ty byłeś niepoprawnym marzycielem. Nie dane mi już będzie spotkać się z Tobą na jedenastym piętrze Twojego wieżowca w Ostrawie, w uroczym pokoju, ciasnym od nadmiaru ulubionych przez Ciebie książek, pięknych obrazów i rzeźb Helgi oraz szczebiotu wówczas jeszcze małej Ewy, nie spotkamy się też u mnie w Trzyńcu, chociaż jesteś tu obecny we wszystkich Twoich książkach, wycinkach z prasy o Tobie, a nawet niektórych rękopisach oraz kilku obrazach i rzeźbach Helgi, jesteś w końcu w moim komputerze w postaci niepublikowanych dotychczas rękopisów oraz tłumaczeń na język czeski Twoich opowiadań. Nie wypijemy już kielicha, od którego według Ciebie powinno zadzwonić chyba w duszy, nie spotkamy się w pracowni Bronka w ramach Trójkąta Bermudzkiego, którego byłeś czwartym członkiem, chociaż rzadziej się spotykaliśmy w tym składzie, ze względu na odległość, jaka Cię od nas dzieliła, nie wymienisz już listu z Władkiem na tak ważne dla was i dla nas wszystkich sprawy, żyjesz jednak obecnie życiem teatralnym i długo jeszcze będziesz żył w swych książkach, które są artystycznym świadectwem Twojego życia oraz historii naszego skrawka ziemi.

Szkoda, że nie możesz oczami żyjących obejrzeć Twojego spektaklu, który spodobałby Ci się z pewnością i być może uroniłbyś nawet łzę nad losami obu Adamów, ale przede wszystkim ucieszyłbyś się, widząc, jak Cię widz chłonie i rozumie poniewczasie.

Twój Kazek (Jaworski)



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

MOSTY DO LUDZI WIESŁAWA ADAMA BERGERA

Renata Putzlacher nie ukrywa swojej fascynacji osobą i pisarstwem Wiesława Adama Bergera. Dała temu wyraz na łamach Zwrotu na początku 1998 roku, opisując podróż pisarzy zaolziańskich do Francji z okazji otwarcia tam wystawy „Literatura na Zaolziu" jesienią 1997 roku. Do Lyonu i nie tylko tam pojechał wówczas także Wiesław Adam Berger, dla którego był to powrót do świata młodości, ale zarazem ostatnia podróż życia. Druga część refleksji Renaty Putzlacher nazwanych „Zaolzie literackie we Francji" (Zwrot 2/98), a poświęconych przede

wszystkim Wiesławowi Adamowi Bergerowi stała się niezamierzonym wcześniej pożegnaniem pisarza i posłużyła redakcji także jako literacki nekrolog.

Po kilku miesiącach, 13 czerwca 1998 roku, odbyła się w Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie w Galerii Strych premiera spektaklu „Księga o nieumieraniu, czyli Dzisiaj miałbym urodziny", którego scenariusz napisała Renata Putzlacher na podstawie książek, rękopisów i listów Wiesława Adama Bergera. Uzupełnieniem wieczoru wspomnień była wystawa prac plastycznych żony pisarza Helgi Berger. Muzykę napisał wtedy Zbigniew Siwek, Starym Adamem był Karol Suszka. Ci sami realizatorzy zeszli się po czterech latach, by w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie opowiedzieć o Bergerze, jego czasie i miejscach, w spektaklu „Most nad Łucyną". I tak samo przy okazji premiery odbył się wernisaż wystawy prac plastycznych Helgi Berger.

Kim był Wiesław Adam Berger? Przed czterema laty zamknął księgę swego życia, natomiast analiza tego życia i twórczości jest ciągle sprawą otwartą, był bowiem jednym z tych autorów, których zaczyna się odkrywać i doceniać tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy już ich nie ma, kiedy staje się jasne, że nie napiszą niczego nowego. Pisarz czeka więc na swoją biografię. Był postacią ciekawą także z tego powodu, że książki swe zaczął wydawać dopiero w wieku bardzo dojrzałym.

Wiesław Adam Berger urodził się 6 czerwca 1926 roku w Ostrawie-Przywozie, ale dzieciństwo spędził w Błędowicach Dolnych i z miejscami na Zakościelu nad rzeką Łucyną czuł się najbardziej związany, tu zawsze wracał myślami, tu znajdowała się najpierwsza z jego ojczyzn. Losy wojenne rzuciły go do Francji, do Alp i na przedmieścia Paryża. Po powrocie kontynuował rozpoczętą we Francji naukę w gimnazjum w Orłowej. Jego życie zawodowe to praca elektryka-realizatora światła w teatrach ostrawskich. Zmarł w Ostrawie 15 stycznia 1998 roku.

Jako pisarz zadebiutował tomem opowiadań „Świerszcze w głowie", który ukazał się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie w 1979 roku. W Polsce wydał też „Zmysły" (1981), „Idę. Concorde" (1984), „Okay" (1988) i „Za późno" (1996). Po czeskiej stronie ukazał się w 1987 roku, wydany przez ostrawski Profil, „Most nad Łucyną", a w 1995 roku „Marienbad". Publikował też Berger w prasie zaolziańskiej i w Polsce. Pisał nie tylko prozą, tworzył także wiersze, które drukował m.in. na łamach Zwrotu.

Najważniejsze wątki twórczości Wiesława Adama Bergera, które zawsze zawierały odnośniki do życiorysu pisarza - elementy autobiograficzne stanowiły przecież podstawę jego utworów, połączyła zgrabnie w jedną całość Renata Putzlacher. Rozpisała na role urywki autentycznych tekstów Bergera i dodała do nich własne przemyślenia, nie zatraca-

jąc przy tym charakterystycznego dla niego, autora i bohatera zarazem, stylu i atmosfery, co byłoby niemożliwe, gdyby nie znała go osobiście tak dobrze. Wzbogaciła tekst o cytaty z dzieł klasyków (rozpoczyna go sławny monolog z Szekspira: Cały świat to scena, A ludzie na nim to tylko aktorzy..., cytuje się pana Cogito - Herbert to już też klasyk, są polscy romantycy, nie brakuje postaci i dialogów z „Wesela" Wyspiańskiego, w wypowiedzi bohaterów wplecione zostały fragmenty z „Don Kichota"). Powstał scenariusz przedstawienia „Most nad Łucyną", które wyreżyserował i wystawił w Scenie Polskiej Karol Suszka (prapremiera miała miejsce 1 czerwca). Twórcy spektaklu postanowili zresztą zaznajomić widzów dokładniej z tekstem adaptacji i wydrukowali w formie broszurki (za symboliczną cenę), jako program do przedstawienia, dramat „Most nad Łucyną" Wiesława Adama Bergera i Renaty Putzlacher, umożliwiając w ten sposób bardziej uważnemu czytelnikowi porównanie pierwotnych dialogów i didaskaliów z wersją sceniczną reżysera.

Głównym elementem scenograficznym - autorami scenografii i kostiumów są Anna i Tadeusz Smoliccy - stał się tytułowy most, umieszczony na środku sceny, prowadzący aż ponad pierwszy rząd widowni, most, którego deski jaśniały na ciemnym tle sceny. Czerń i biel stroju Adama wyróżniały główną postać, natomiast ogólna szarość, złamana tylko gdzieniegdzie bardziej kolorowym strojem lub wyrazistym przedmiotem, i skąpa ilość rekwizytów jakby podporządkowane zostały słowu, któremu nie powinny były przeszkadzać. Podkreślać słowo, uwypuklać jego znaczenie miała muzyka, napisana do spektaklu przez Zbigniewa Siwka.

Adama, głównego bohatera znad Łucyny, uczestnika zdarzeń i zarazem narratora, zagrało dwóch aktorów jednocześnie. Bo w dramacie tym jest dwóch Adamów: Stary (gra go Ryszard Malinowski) i Młody (w wykonaniu Dariusza Waraksy). Pomijając sprawy tak prozaiczne jak przyswojenie pamięciowe tekstu, który w wypadku Adama jest dość obszerny i po podziale na dwie role prostszy do nauczenia dla każdego z aktorów, warto dokładniej zastanowić się, jakie wartości wnosi do spektaklu dwóch naraz Adamów. Adam jest narratorem, ale zarazem bohaterem zdarzeń. Można by przyjąć, że Młody Adam częściej wchodzi w akcję, Stary zaś stoi bardziej z boku, zajmując się przede wszystkim komentarzem wydarzeń, rzadziej biorąc w nich bezpośredni udział. Jednak konwencja tego spektaklu nie polega na przedstawieniu ciągu zdarzeń, posuwających akcję do przodu, lecz na opowiedzeniu o nich z przykładowym zilustrowaniem kilku z nich. Nie akcja, a narracja jest tu najważniejsza. A do niej przydaje się dwóch Adamów, ożywiają bowiem całość i nadają jej bardziej teatralny wymiar.

Trzeba przyznać, że przedstawiciele Adamów wywiązują się ze swych ról znakomicie. Ich to wielka zasługa, że przedstawienie nie staje się nudnym zbitkiem monologów, ale potrafi zainteresować, wciągnąć. Dialog sceny z widownią zostaje tu wspaniale nawiązany. Patrzę w tej chwili na spektakl z pozycji widza zaolziańskiego, który może odebrać go emocjonalnie i po prostu więcej zrozumie, ale to przecież dla niego został stworzony. Jednak wydaje się, że wiele wątków „Mostu nad Łucyną" nosi znamiona ponadregionalne i ponadczasowe, wiele spraw, które porusza Wiesław Adam Berger, ma charakter uniwersalny.

Wśród aktorów na wyróżnienie zasługuje także Waldemar Cudzik, znajdujący się obok Adamów również prawie cały czas na scenie, występujący jako Zielony Konstanty, Pindur, Chochoł, Clochard, Pastor Teper, grający postacie autentyczne i zmyślone, role rezonera, komentatora i uczestnika wydarzeń. Pozostałe postacie - Matka (Halina Pasekova), Ojciec (Ryszard Pochroń), Helena, Liana i Panna młoda (Ewa Kus), Aniczka, Wiktoria i Kierowniczka cyrku (Barbara Szotek-Stonawski), Madelaine i Maria (Lidia Chrzanówna), Ciocia (Janina Buława), Bosonoga, czyli właściwie malarka Helga (Anna Paprzyca), Wujek i Zbigniew Cybulski (Janusz Kaczmarski), Niemiec, Amerykanin i Francuz (Marcin Noszczyk), Kobieta w bieli (Iwona Bajger) - wyjęte zostają z życiorysu pisarza i umieszczone na scenę na czas określony, odgrywają swój epizod i odchodzą.

Bo „Most nad Łucyną" jest właściwie artystycznym, teatralnym opracowaniem życiorysu Wiesława Adama Bergera, który wcześniej zawarty został na stronach jego utworów. Dzieciństwo, spędzone na ziemi najmilszej, wśród wielu narodowości i religii, pierwsze miłości, następnie przeżycia wojenne, które powracały we wspomnieniach przez resztę życia, wojna, która była powodem wędrówki do dalekiego kraju, oraz powrót i prawdziwa dorosłość na tle życia osobistego, zjawisk społecznych, rozgrywek politycznych. Wszystko to widziane oczyma duszy wrażliwej, spisane nie na żywo, lecz po latach, kiedy wraz z przybywającymi zmarszczkami i doświadczeniem zmienia się perspektywa postrzegania pewnych zjawisk i zostają one zanotowane już w otoczce filozoficznej jako wynik przemyśleń wieku dojrzałego.

Przedstawienie Renaty Putzlacher i Karola Suszki godne jest wielkiej uwagi widza, zwłaszcza tu na Zaolziu. Mówi bowiem prostym językiem teatralnym o sprawach mu bliskich. Jednak wielkość sztuki poznaje się po tym, że rozumiana jest także wśród obcych. A „Most nad Łucyną" ma szansę na taki pozytywny odbiór.

CZESŁAWA RUDNIK

BAJKA W NEW YORKU

Tak mkną ulicami New Yorku samochody, że biedny piesek nie może nie obawiać się o swoje zdrowie i życie, a mimo to z uporem maniaka podąża ku swemu celowi, którym jest przyjazna dłoń innego stworzenia, nieważne zwierzęcia czy człowieka. A pieska widać z daleka, jest bowiem niebieski. Taki się urodził, inny, „brzydkie kaczątko" wśród całkiem normalnych piesków. I nie przyjęła go sfora kundli do swego grona, odrzuciła go nawet własna matka, a także gospodyni, u której mieszkał wraz z najbliższymi. Wszyscy patrzyli tylko na jego kolor, który był niecodzienny, nikt nie zapragnął zajrzeć do jego wnętrza, przekonać się, czy serce też ma odmienne. Musiał wyruszyć w drogę, iść w świat daleki. A przecież jak każdy pragnął miłości i przyjaźni. Ufny i chętny bezinteresownie przyjść z pomocą stawał się ofiarą własnej naiwności, wykorzystywany przez napotkanych po drodze bezwzględnych osobników. Ale nie zniechęcał się. Przebył setki kilometrów, aż znalazł się na statku marynarza, który został jego prawdziwym przyjacielem. Opamiętali się też wkrótce jego najbliżsi i przybyli po niego wszyscy: mama i rodzeństwo. W ten sposób niebieski piesek o imieniu Pietrek odnalazł miłość, przyjaźń, szczęście.

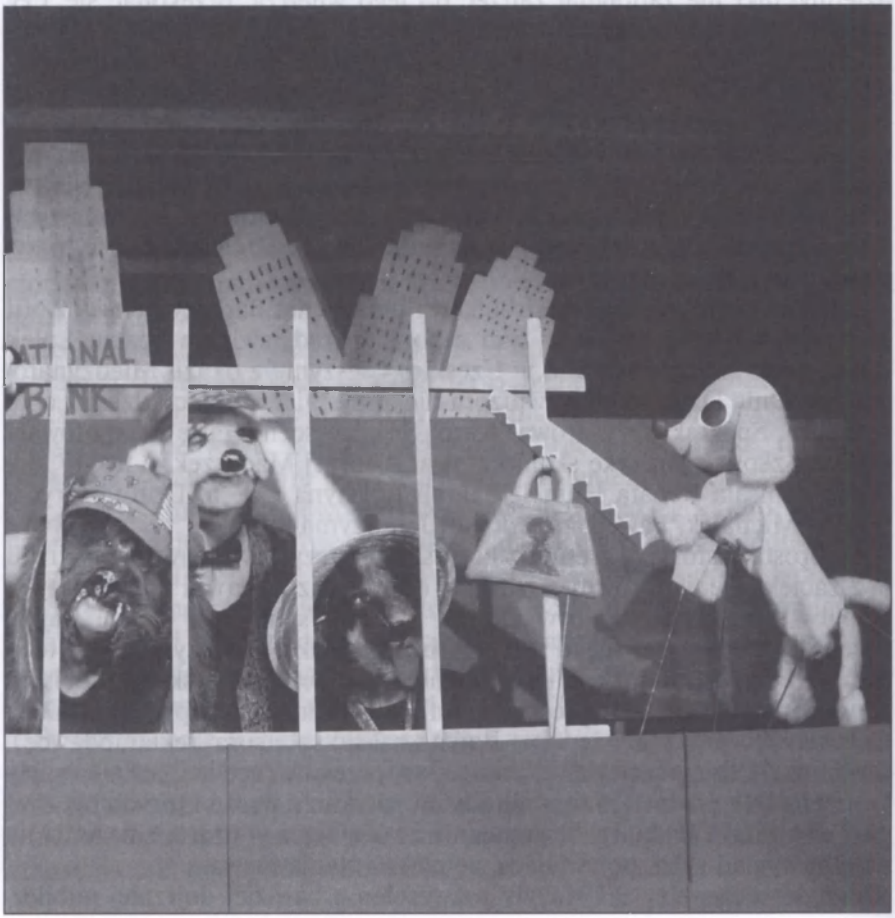
„Niebieski Pietrek" Gyuly Urbana w tłumaczeniu Barbary Benke i Zofii Szczygielskiej to ostatnie w tym sezonie przedstawienie Teatru Lalek Bajka, jakie zaprezentowano w Czeskim Cieszynie z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka także widzom niekorzystającym na co dzień z abonamentu. Spektakl reżyserował Karol Suszka, scenografię przygotowała Halina Szkopek, muzykę skomponował Andrzej Macoszek, a teksty piosenek napisała Renata Humel. Zagrali Krystyna Czech, Dorota Grycz, Wanda Michałek, Pawełka Niedoba i Jan Szymanik.

By prosta historyjka nie nudziła troszkę starszych widzów, by obejrzeli ją z zaciekawieniem również bardziej od przedszkolaków i najmłodszych uczniów podstawówek doświadczeni życiowo sympatycy teatru Bajka, przedstawił ją reżyser nieco z przymrużeniem oka. Posłużyły mu do tego celu przede wszystkim elementy scenograficzne: drogowskaz z napisem New York 400 km (to lekcja geografii dla uczniów), napisy Bar, Coca Cola (trzeba przyznać, że umie Bajka znaleźć sponsora-reklamodawcę), nowojorskie drapacze chmur, papierowe, przesuwające się z wielką szybkością tam i z powrotem samochody na patykach, wśród których był również samochód Bajki, także smacznie zmieniająca w czasie smażenia na patelni wygląd ryba, pojawiająca się na zawołanie mewa.

Przede wszystkim zaś służyły rozweseleniu bardziej dojrzałej publicz-

ności niektóre zabawne postacie. Podobał się kierowca rajdowiec w wykonaniu Jana Szymanika, jak również jego sympatyczny marynarz, największy aplauz wzbudzał jednak stróż porządku publicznego, świetna Pawełka Niedoba w czarnym mundurze, czapce z napisem Police i gwiazdą szeryfa na piersi. Pilnie i dobrze strzegła porządku nie tylko jako policjant w Nowym Jorku, ale także jako kierownik Teatru Lalek Bajka, dzięki czemu nie tylko to przedstawienie, ale cały 54. sezon tego jakże kochanego i potrzebnego na Zaolziu teatrzyku dla najmłodszych znalazł swe szczęśliwe zakończenie.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

PAMIĘĆ O OFIARACH PIERWSZEJ I DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Już trzy lata po zakończeniu I wojny światowej społeczeństwo polskie w Błędowicach wyraziło cześć 39 poległym, wznosząc kosztem wyrzeczeń w ogrodzie przed polską szkołą pomnik. Inaczej było podczas II wojny światowej. Hitlerowcy już w pierwszych dniach okupacji zachowywali się w Błędowicach w barbarzyński sposób. W ogrodzie szkolnym wycinali drzewa, dla swoich celów zajęli budynek polskiej szkoły i dom rodzinny jej dyrektora. Zburzyli pomnik poległych w I wojnie światowej. Jego elementy porzucone pod ścianą szkoły pozostały tam do czasów powojennych, kiedy w roku 1949 staraniem Miejscowej Rady Oświatowej wrócił na dawne miejsce.

Od roku 1955 Błędowice są dzielnicą Hawierzowa. Dziś pomnik jest dziełem o wartości historycznej, podlega ochronie prawnej. Jest świadectwem wydarzeń i na razie jedynym symbolem ofiar I i II wojny światowej.

Sytuacja Śląska w pierwszej połowie XX wieku była nie do pozazdroszczenia. Nie tak dawno temu dobierali się do niego zmilitaryzowani Prusacy i Habsburgowie. Utrudniały mu życie wojny religijne. Bezprecedensową stała się sytuacja w Europie w latach 1914-1945. Najliczniej zaludnione kraje dostały się pod władzę splamionych krwią faszystowskich i komunistycznych reżimów. Okupant na domiar złego w roku 1939 włącza Zaolzie do III Rzeszy, co pociągało za sobą dla jego obywateli dramatyczne konsekwencje.

Światowej sławy historyk angielski Norman Davies, autor dzieła „Historia Europy", wydanego w roku 1996 i zdumiewającego swoją objętością 1406 stronic, XI rozdział poświęcił okresowi lat 1914-1946, który nazwał „Tenebrae" - zmrok nad Europą, która postradała zmysły. Dla Śląska był to okres, kiedy wpadł w szpony niespotykanego w historii Europy zbrodniarza wojennego numer jeden - Hitlera. W jego planach leżało całkowite zgermanizowanie Śląska. Okupant wymyślił Volkslistę, na którą wpisywała się większość ludności, ponosząc na rzecz okupanta niezwykłą daninę - służbę w wojsku niemieckim. Do tej dobrze przemyślanej machiny wpadło tylko na Zaolziu 2 tys. osób (Krzysztof Nowak „Śląsk Cieszyński", Cieszyn 2001).

Dane historyków o liczbach ofiar w mundurach Wehrmachtu na Zaolziu różnią się. Stanisław Zahradnik podaje 1,5 tys. Zaolziaków. Należy się im więc rzetelne historyczne opracowanie o ofiarach II wojny światowej. Opracowanie to byłoby pewnym sposobem moralnego zadośćuczynienia ludziom niewinnym, których nie oszczędził los i po raz drugi w pierwszej połowie XX stulecia ponosili największe ofiary.

Jesienią 1999 roku ukazał się oczekiwany przez kombatantów leksykon. Jego treścią jest okazanie szacunku dla tysiąca młodych ludzi, którzy w sposób szczególny zasłużyli się i opowiedzieli za ludzką godnością i patriotyzmem, ocalając od zapomnienia jeden z najbardziej bohaterskich epizodów mieszka-

ńców Zaolzia - Polaków w czasie II wojny światowej. Dzięki wydawcom nawet po latach trudnych i sytuacji politycznej niesprzyjającej polskiej ludności na Zaolziu udało się, chociaż częściowo, wyciągnąć na światło dzienne bohaterskie zachowanie żołnierzy na dramatycznym odcinku historii Zaolzia.

Jako jeden z wielu, których w czasie II wojny światowej szczęście nie opuściło, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby naszym wspaniałym historykom udało się zrealizować to, co w swoim artykule w GL wyraził Stanisław Zahradnik w zdaniu: *Nadszedł czas, aby również tym opłakiwanym Polakom z Zaolzia, nie z ich woli w mundurach Wehrmachtu, poświęcić większą uwagę.* Chodzi o tych skrzywdzonych, którzy po zakończeniu II wojny światowej znaleźli się na marginesie historii.

ANDRZEJ PAWLAS



Fot. FRANCISZEK BAŁON

W SŁUŻBIE BOGU, LUDZIOM I OJCZYŹNIE

W roku 2001 przypadła 20. rocznica powołania Polskiego Związku Katolicko-Społecznego (PZKS), członka Ogólnopolskiej Rady Ruchów Katolickich. 2 marca br. odbył się w Warszawie Nadzwyczajny Zjazd Delegatów PZKS. PZKS jest organizacją katolików świeckich. Założony został 12 stycznia 1981 roku na mocy decyzji prezydenta Warszawy przy osobistym poparciu ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego. Powstał na fali społeczno-solidarnościowego ożywienia w 1981 roku z połączenia ideowego i organizacyjnego dorobku Polskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, istniejącego już od 1967 roku na terenie Warszawy, i Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie. Kiedy go powoływano, nie było możliwości zakładania innych wolnych związków zawodowych czy partii politycznych. Podjął się więc PZKS pełnienia zastępczo funkcji partii chrześcijańsko-demokratycznej czy narodowo-demokratycznej, udostępniając politykom tych orientacji platformę do artykułowania swoich przekonań.

Z okazji 20-lecia PZKS założyciel i jego pierwszy prezes Janusz Zabłocki napisał książkę „Odwagę łączyć z rozwagą". Omawia ona początki PZKS w latach 1980-1983 w kontekście katolicyzmu społecznego PRL. Książkę wydał Ośrodek Studiów Polonijnych i Społecznych PZKS w Lublinie.

Po przełomie w 1989 roku zawiesił PZKS polityczną działalność na rzecz czysto społecznej. Oprócz zdobywania nowych członków i przyjaciół do najważniejszych zadań Związku należy podjęcie trudu ewangelizacji poprzez publiczne dawanie świadectwa, chrześcijańską postawę, czynienie dobra, towarzyszenie ludziom w ich niedoli, pomagając wszystkim potrzebującym według najlepszej woli i możliwości. PZKS rekrutuje się z różnych środowisk społecznych, rolników, robotników, uczniów i studentów, środowisk intelektualnych. Organizowane są spotkania modlitewne, spotkania o różnej tematyce społecznej z seminariami naukowymi włącznie, okolicznościowe imprezy dla dzieci ubogich wraz z wyjazdami zagranicznymi i w swoim ośrodku w Makowie Podhalańskim, dla bezrobotnych, samotnych oraz seniorów wieczerze wigilijne czy śniadania wielkanocne z udziałem miejscowego duchowieństwa.

Według nowego podziału administracyjnego kraju PZKS działa w 13 województwach. Zrzesza blisko 12 tys. członków. Najliczniejszym z liczbą blisko 3400 członków jest Oddział Śląski, któremu przewodniczy Janusz Warta. W jego skład weszły byłe Oddziały Wojewódzkie: Bielska-Białej, Częstochowy i Katowic z siedzibą przy ul. Wojewódzkiej 7

w Katowicach. Posiada dwóch asystentów kościelnych na teren Archidiecezji Katowickiej i na teren Diecezji Bielsko-Żywieckiej. Jest to jeden z najbardziej prężnych oddziałów.

Śląski Oddział PZKS dzięki prezesowi Zarządu Krajowego Wiesławowi Gwiżdżowi od 18 lat współpracuje z holenderską fundacją charytatywną Pax-Christi-Kinderhulp. Co roku organizowane są w Holandii trzytygodniowe wakacje dla dzieci chorych na cukrzycę z domów dziecka, rodzin ubogich, wielodzietnych, patologicznych, rozbitych z terenu całego Śląska. Fundacja ta pomaga również przy dofinansowaniu kolonii letnich w Domu Spotkań Rodzin i Młodzieży PZKS w Makowie Podhalańskim dla dzieci i młodzieży polskiej z Białorusi oraz dla dzieci i młodzieży w pogotowiach opiekuńczych na Śląsku.

Rozwija się też współpraca z organizacją Rodzin Katolickich na Zaolziu, której szefuje małżeństwo Franciszka i Jadwigi Franków z Czeskiego Cieszyna. Organizowane są pielgrzymki do różnych sanktuariów w kraju i za granicą. Istnieje współpraca z Muzeum Beskidzkim w Wiśle i Sekcją Ludoznawczą przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, której to owocem było zorganizowanie w 2001 roku Międzynarodowej Sesji Naukowej i wydanie książki „Czadecka Ojcowizna".

ROMAN CHOWANIEC



Zygmunt Stopa w rozmowie z ks. bp. Januszem Zimniakiem i przewodniczącym Zarządu Krajowego PZKS Wiesławem Gwiżdżem. Fot. Roman Chowaniec

NASZA OKŁADKA

Kiedy przygotowywaliśmy okładki do kolejnych czterech numerów Zwrotu, interesującą starą fotografię przyniósł do redakcji p. Bronisław Wachtarczyk. Na niej uwiecznieni zostali absolwenci **Seminarium Nauczycielskiego w Śląskiej (Polskiej) Ostrawie** (rok 1927), wśród których jest ojciec p. Bronisława Józef Wachtarczyk. Wówczas było zbyt mało czasu, by móc rozpoznać postaci wychowanków i profesorów na nim uwiecznione. O pomoc zwróciliśmy się do Chóru Nauczycieli Polskich, który w każdy wtorek umila nam popołudnia swoim śpiewem w siedzibie przy ulicy J. Bożka.

I tak wspólnymi siłami udało nam się ustalić nazwiska grona pedagogicznego i niektórych wychowanków.

Grono pedagogiczne (I rząd od lewej): 1. Gustaw Zielina (gimnastyka), 2. Jaroslav Vácek (rysunki), 3. Stanisław Motyka (historia), 4. Maria Słowikówna (przyroda), 5. Rudolf Folwarczny (pedagogika), 6. Alfred Farny (gosp.), 7. Alois Bezloja (dyrektor), 8. ks. katolicki Halfar, 9. nierozpoznany, 10. Józef Niemiec (język polski), 11. nierozpoznany, 12. Cyryl Kudělásek (język czeski). W rzędzie środkowym stoją od lewej: 1. Józef Pitala (matematyka, fizyka), 2. Wiktor Burian, 3. Edward Rund (muzyka).

Wychowankowie: 1. z lewej w I rzędzie od góry Józef Wachtarczyk, w tym samym rzędzie 5. Jan Kołder. W środkowym rzędzie 1. z prawej Alfons Brzuska, 3. Rudolf Wojnar, a obok Julia Swaczyna i Santariusowa.

W książce dr. Józefa Macury „Z dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu" na temat Seminarium Nauczycielskiego w Śląskiej (Polskiej) Ostrawie czytamy: *Kiedy w roku 1920 doszło do podziału Śląska Cieszyńskiego, dotychczasowe Seminarium Nauczycielskie znalazło się w polskiej części Cieszyna, to na Zaolziu nie było żadnej szkoły, która przygotowywałaby polskich nauczycieli. Wprawdzie w roku 1921 ministerstwo szkolnictwa uznało ważność świadectw wydanych dotychczas w Cieszynie, lecz wszystkie dalsze wymagały nostryfikacji, zaś odpowiednie egzaminy trzeba było składać w czeskim Seminarium Nauczycielskim w Śląskiej Ostrawie. W tym celu utworzono od roku 1922 specjalną komisję egzaminacyjną. W roku następnym ministerstwo zgodziło się na utworzenie w tymże seminarium polskich klas paralelnych. Egzaminy wstępne odbywały się co drugi rok. Naukę rozpoczęto w roku 1923, szkołą ćwiczeń była miejscowa polska szkoła ludowa. Wykładowcami zostali profesorowie dojeżdżający z gimnazjum w Orłowej, niektórzy profesorowie czescy oraz nauczyciele szkoły ćwiczeń.*

oprac. E.S.



ZOFIA WANOK (5.4.1922–29.5.2002)

Człowiek cichy odchodzi cicho. Odchodzi, często pozostawiając niedopowiedziane zdanie, niedokończony obraz, niezrealizowane plany, niespełnione marzenia. A pustka właśnie po ludziach cichych jest największa, bo w każdym czasie ludzi ciszy, spokoju i skromności brak nam najwięcej. Tak niewielu te cechy posiada w takiej hojności, żeby rozdawać innym.

O Zofii Wanok pisaliśmy w ZWROCIE 4/2002 z okazji jej jubileuszu osiemdziesiątych urodzin. Moich z tej okazji odwiedzin w jej domku nigdy nie zapomnę. Zapraszała mnie na następne spotkanie, kiedy wróci ze szpitala. Jednak los chciał, że to spotkanie w piękny wiosenny dzień było ostatnim. Zofia Wanok zmarła w niespełna dwa miesiące po swym jubileuszu osiemdziesiątych urodzin.

Malarka, która nie uważała się za artystę, za „ciekawą osobistość". A jednak pozostawiła po sobie dzieło, za które należy jej się głęboki ukłon – dzieło rozdawania pokory i pięknej ciszy. Pomimo wieku, który nazywamy zacnym, była do ostatniej chwili pełna chęci do dalszego działania, bogata nie tylko w doświadczenia, ale i w plany.

Zofia Wanok, zamknięta w sobie ze swą chorobą, bez uskarżania, odeszła cicho. Tym bardziej zasługuje na wyrównanie wobec niej, przez wszystkich, którzy ją znali, długu słowa. Kilku słów szczerych i na pewno nie ostatnich, w wierze, że tam, po drugiej stronie, i ona je usłyszy.

FRANCISZEK BAŁON

NIE JEDZMY PLEŚNI

Nie warto oszczędzać kosztem zdrowia. Zdarza się, że otwieramy słoik z kompotem czy dżemem i widzimy na powierzchni małą białą plamkę. To pleśń. Cóż wtedy robimy? Zdejmujemy ten kawałek pleśni, a zawartość słoika zjadamy, bo przecież żal wyrzucić całość. A jabłko? Czy aby na pewno wystarczy tylko odkroić spleśniały kawałek, a resztę można zjeść, bo wygląda ładnie? Zazwyczaj nie zastanawiamy się, jak bardzo poprzez tę pozorną oszczędność cierpi nasz organizm.

Pleśń to nie tylko widoczna gołym okiem biała plama. Strzępki grzybni grzybów pleśniowych znajdują się także w tej części produktu spożywczego, która wygląda zdrowo. Zjadając ją, dostarczamy do organizmu wydzielane przez pleśnie mikrotoksyny, które powodują m.in. powstawanie wielu chorób nowotworowych.

Obecność mikrotoksyn w jajach, kurzym mięsie czy nawet mleku karmiącej matki świadczy o ich żywotności i odporności. Nie niszczy ich wysoka temperatura, czyli nie zabija gotowanie, nie szkodzi im też zamknięcie w niskich temperaturach (potrafią rozmnażać się nawet w lodówce). Do mięsa czy jaj kur przedostają się najczęściej przez nieodpowiednią paszę, np. przez karmienie drobiu spleśniałym chlebem.

Jedne z najbardziej groźnych toksyn to alfatoksyny, które uszkadzają komórki, niszczą drogi żółciowe i wątrobę. Powstają z pleśni na orzeszkach ziemnych, nasionach słonecznika, zbożach, słodyczach, kawie czy tytoniu. Ochratoksyna atakuje nerki. Patulina znajduje się w pleśniach owoców, warzyw i ich przetworów. Szkodliwe dla zdrowia są nie tylko toksyny wydzielane przez pleśnie, ale także ich zarodniki. U osób skłonnych do uczuleń wywołują odczyny alergiczne, a nawet ataki astmy. Zarodniki kropidlaka, jednego z rodzajów grzybów pleśniowych, mogą zagnieździć się w drogach oddechowych i wywołać chorobę podobną do gruźlicy płuc.

I tu dochodzimy do tematu grzybów pleśniowych w naszym otoczeniu, np. na ścianach czy podłogach wilgotnych, źle wietrzonych mieszkań. Co gorsza, pojawiają się one na skutek błędów wykonawczych nawet w nowych, budowanych niby zgodnie z najnowszymi technologiami domach. Wtedy do ich wytępienia trzeba zastosować dostępne na rynku środki chemiczne czy biologiczne.

Walka z pleśniami jest trudna, ale warta podjętego trudu. Chodzi przecież o nasze zdrowie.

(dur)



Fot. JAN MYRDACZ

Jako hawiyrz wyfikoł sztajgra

Na dole w hawiyrni hawiyrze jedli. Kaj se kierymu zachciało, tam se siednół i jod.

A w tym jednym miejscu było wzbrónióne jeść. Na stojce była kartka, a na ni napisane: - Jedzyni pod karóm wzbrónióne. No i idzie hawiyrz, podziwo se tak na to: - Hm, jak przidzie sztajgier, zaś bydzie po mnie wrzeszczoł.

Siednie se na toczki, kary, obrócił se ich, a jy.

Teraz idzie sztajgier, prawi: - Umicie wy czytać? - A czymu bych nie umioł?

- A widzicie, co tu je napisane? Dyć tu je napisane, że jedzyni pod karóm wzbrónióne. - Panie sztajgier, dyć jo przeca siedzym na karze, a tu je przeca pisane, że pod karóm je wzbrónióne.

Hawiyrz a szychtmajster

Za Niymców to było. Robili Polocy i Ślónzocy tu u nas, ale szychtmajstrym był Kania na Hóneger.

No a rano przi rozdzielowaniu roboty co chwila kierysika przyszoł, dwiyrze otwiyroł, a robił przecióng. A ty papiyry mu lotały. A przi oknie stoł Szkandera z Łómnej. Jak odewrził zaś kierysika, zaś to fukło, ty papiyry. Prawi:

- Szkandera, machen zi das fenster cu.

Szkandera jak dyby nic. Za chwile zaś kierysika odewrził, a zaś ty papiyry fukły.

- Szkandera, ich inen gezagt, di zolen fenster cumachen.

A ón zaś nic. Zaś kierysika przyszoł, a zaś to fukło. - Szkandera, jo wóm przeca mówił, że mocie to okno zawrzić!

- A czymuście to zaroz nie powiedzioł tak?

Jak Zorzycki jechoł do Ostrawy

W Karwinie se żył stary Zorzycki, a chowoł se takigo oślika. Tramwajka jeździła do Ostrawy, ale ónymu sie zdało:

- No tóż jo se zajadym z oślikym pomalutku do Ostrawy.

Jechoł, pogwizdowoł, a jechoł, a pogwizdowoł. Tak aż przijechoł do Ostrawy na tyn Most Sikorów. Siedzi se tak na tym wozie, naroz osieł se cofnół, nie pojedzie dali. Starego Zorzyckigo to nagniwało, sloz z tego woza, wzión te deske spod dupy, a jak obkłodo tego osła, tak obkłodo.

Idzie teraz policajt, dziwo se tak na niego, prawi: - Panie, co to robicie?!

Zwirzata se nie smi tyrać. Pieknie idźcie k niymu, a pohladźcie go. Domluwte mu, a ón pojedzie.

Stary Zorzycki odłożół deske, idzie ku osłu, a prawi se: - Wiysz, ośle, przebocz. Jo nie wiedzioł, że mosz w Ostrawie ujca.

Jako Francek Słowioczek wycióngoł kabot

Francek Słowioczek robił u nas na Nowej Szachcie, a mioł szychte od połednia. Cosi robił tam przi szopie. A w szopie był wychodek, a za tóm szopóm hned była zyngruba. Nó i spod mu tam kabot, do tej zyngruby.

Tak wzión kij, a chcioł tyn kabot dostać. A wtym leci Janek Funiok, a pyto se: - Ty, Francek, nie idziesz na szychte? Podź, dyć už je moc godzin. Trzeba iść.

A ón prawi: - Idym. Idym na szychte, ale oto kabot spod do zyngruby, tak go muszym dostać.

A ón prawi: - Pierónie, smol na kabot, dyć bydziesz smerdzioł jak dudek. - Jo wiym. O kabot se mi nie rozchodzi, ale jo ci tam móm takóm fajnóm swaczyne, tak go muszym dostać.

Jako ojciec ze synym robili na szachcie

Roz też robił ojciec ze synym na dole. No a tyn ojciec był jako hawiyrz, a tyn syn folowacz. No i tóż tak robili, robili a tyn - tato, tato, - tyn zaś - synku.

I tyn tata mu prawi: - Wiysz co. Nie bydymy se tam tatować a synkować, bydymy se mówić po hawiyrsku - ty kamrat.

Dobre. A ta jego baba, a tego synka mama była heród baba. Dycki se wadziła.

I roz też przisli ze szychty, nó i obiadwajóm, a ta baba zaś z gymbóm na nich. A tyn syn prawi: - Wiysz, kamrat, jo mieć takóm babe, tak jóm downo utopiym.

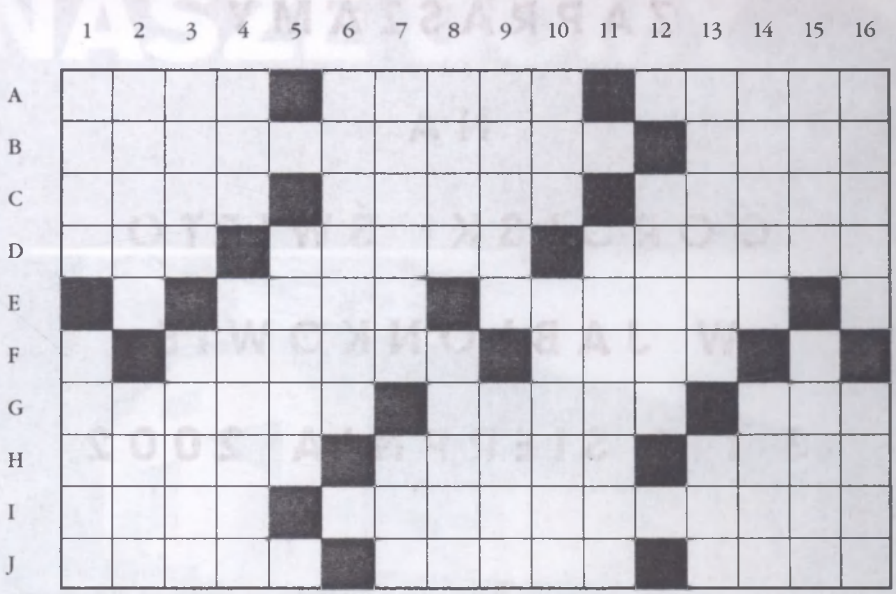
Jako sztajgier chodził za hawiyrzowóm babóm

Sztajgrzi radzi też chodzili za babami tych hawiyrzi. A przeważnie tych głupszych. No i też jedyn wykorzystoł to, że Francek robił, no i szoł ku jego babie. Ale Francek widzioł, że sztajgra ni ma, tak szoł rychli do dómu. No i uwidzioł w łóżku sztajgra ze swojóm babóm. Nie powiedzioł nic. Uciyk.

Na drugi dziyń w robocie strasznie był nieszczynśliwy. Wszyscy se go pytali: - Co ci je, Francek? - Nie powiym wóm to. - Tóż powiydz, co ci je. - Przedstowcie se, sztajgier leżoł z mojóm babóm. - Nó i co? - O to nic, ale se dowiedzioł, żech rychli do chałupy odeszoł.

Powyższe teksty znalazły się w książce Karola Daniela Kadłubca „Skoro zapómniane. O radościach i smutkach starej Karwiny".

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Logiczność; czarownica, wiedźma; miejsce urodzenia Bezruča. **B.** Krepa chińska; typ siedliskowy lasu liściastego. **C.** Dokumenty urzędowe; imię modelki Campbell; urzędnik troszczący się o wyładunek towaru ze statku. **D.** „Herbata" po angielsku; cenny nawóz; ładnie ubarwiony ptak. **E.** Walka pojedynczych rycerzy staczana przed bitwą; roślinożerna małpa. **F.** Włoski śpiewak (Enrico); lanie, cięgi. **G.** Nazwa firmowa sportowych półbutów; odpad przy młóceniu; nie jest głową do przebicia. **H.** Stolica nad Sekwaną; aktor brytyjski (Roger); starogrecki instrument muzyczny. **I.** Miasto na wyspie Map; muzyk grający na waltorni. **J.** Narzędzie kuchenne; jest w liściach herbaty; samochód produkcji szwedzkiej.

PIONOWO: 1. Gra w karty; osłona silnika. **2.** Twórca hymnu węgierskiego (Ferenc); najsilniejsza figura w szachach. **3.** Sieć zastawna; tytuł utworu przypisywanego Wergiliuszowi. **4.** Uzdrowisko w Belgii; założyciel i kierownik „Śląska". **5.** Pomieszczenie dla malucha. **6.** Larwa tasiemca. **7.** Pisarz kolumbijski (Jorge, 1837-1895); koniec gry w szachy. **8.** Alotropowa forma tlenu; „stolica" polskiej piosenki. **9.** Imię męskie; jednostka monetarna Lesoto. **10.** Starożytne miasto Armenii; król elfów. **11.** Rzadkie dziś imię żeńskie. 12. Są w oknie więziennym. **13.** Lechici; drapieżnik zwykle rudy. **14.** Likier kminkowy; duża miska. **15.** Mechanizm zegara; namiot azjatyckich koczowników. **16.** Żołnierz chroniący karawanę; polityk austriacki (Julius).

Wyrazy trudne: CENURUS, CIRIS, ISAACS, OLES, OMIN.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - przysłowie francuskie - dadzą litery w następujących kratkach: C-3, F-4, D-15, J-1, I-15, F-8, A-7, J-10, D-1, B-6, H-13, G-3, D-5, J-8, I-4, E-13, F-15, A-16, J-3, G-10, B-2, F-3, A-14.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lipca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru majowego: ZAPRASZAMY NA FESTIWAL PZKO

Nagrody książkowe wylosowali: **Barbara Boszczyk** - Koszarzyska
Bolesław Fukała - Karwina Nowe Miasto
Marian Kluz - Czeski Cieszyn

Minikonkurs - Festiwal 50-lecia PZKO odbył się 7 czerwca 1997 w Karwinie.

Nagrodę książkową wylosowała: Maria Bojko - Piosek

ZAPRASZAMY

NA

GOROLSKI ŚWIĘTO

W JABŁONKOWIE

3 i 4 SIERPNIA 2002

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

Zwrot

NASZE DOMY



DOM MK PZKO
W MOSTACH
koło Czeskiego Cieszyna

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

OKOLICE CIERLICKA KOŚCIELCA



Zwrot

8
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

GOROLSKI ŚWIĘTO



TACY BYLIŚMY



Chór Związku Ewangelickiej Młodzieży. Orlowa 1946 rok.

Od górnego rzędu od lewej: Edwin Cieślar, Józef Sagitarius, Franciszek Buzek, Adolf Węglorz, Władysław Cieślar, Adolf Ondrusz, Władysław Bystroń, Ferdynand Thaz, Karol Rzyman, Karol Rozbrój, Władysław Przeczek, Rudolf Szarowski, Natalia Kolkówna, Janka Buzkówna, Helena Popkówna, Helena Rozbrojówna, Pawełka Reemanikówna, Anna Folwarczna, Amalia Bolkówna, Wanda Rzymanówna, Wanda Przeczkówna, Agnieszka Cimalówna, Danka Lewajdówna, Kożusznikówna, Leokadia Welszarówna, Wanda Pilchówna, Leokadia Rzymanowa, Zofia Fierlówna, Olga Pilchówna, Alojzja Murysówna, Helena Santariusówna, Eugenia Wiglaszówna, Renata Węglorzówna, Anna Krzystkówna, Emilia Gąsiorówna, Wanda Mojówna, Helena Cieślarówna, Władysława Wójcikówna, JUDr Rudolf Zuczek, ks. prof. Karol Trombik, Gustaw Przeczek, Anna Pawlicówna, Hania Krainówna, Leokadia Gembalówna, Kazimiera Węglorzówna.

TYDZIEŃ KULTURY BESKIDZKIEJ

PROGRAM 55. GOROLSKIGO ŚWIĘTA

3–4 sierpnia 2002
JABŁONKÓW

sobota 3. 8. 2002 – Lasek Miejski

14.00–16.00	Lipka (Bukowiec), Łączka (Bystrzyca), Skotniczka (Orłowa Lutynia), Ostravička (Frydek Mistek)
16.00–16.40	Rancho Folclórico e Kultural (Portugalia)
17.00–17.45	Łomża (Polska)
17.45–18.15	Urpin (Słowacja)
18.15–18.45	Kapela Urpin
19.00–20.00	Gorol Band
20.00–02.00	Zabawa taneczna

NIEDZIELA 4. 8. 2002 – Rynek

9.00–11.15	Koncert kapeli ludowych
11.15–11.45	Koncert orkiestry dętej
12.00	Korowód zespołów

NIEDZIELA 4. 8. 2002 – Lasek Miejski

12.15–13.00	Uroczyste zagajenie Gorolskigo Święta
13.00–14.30	Melodia, Gorol, Przełęcz, Zaolzie, Jackowie, Wisła, Czantoria
14.30–16.00	„Płyniesz Olzo" Skotnica, Bystrzyca, Suszanie, Górole
16.00–16.45	Hajduki (Polska)
16.45–17.20	Zespół z Meksyku
17.20–18.00	Ivan Goran Kovačič (Chorwacja)
18.00	Urpin (Słowacja)

Imprezy towarzyszące – sobota 3. 8. 2002

- Rajd turystyczny „O Kyrpce Macieja" – start w wyznaczonych punktach
- Bieg „O dzbanek mleka" – start godz. 9.00 w Lasku Miejskim w Jabłonkowie
- Wystawa „Szewstwo w Jabłonkowie" – nowa szkoła, wernisaż godz. 13.30
- Kawiarenka Pod Pegazem – 120 lat pieśni „Płyniesz Olzo", Dom PZKO Jabłonków, godz. 19.30

Zwrot 8 2002

Rok LIII, Nr 633
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Tradycja Gorolskigo Święta w Jabłonkowie	CZESŁAWA RUDNIK
5	25 lat Domu PZKO w Gutach	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
8	Jeden dzień w Łomnej	FRANCISZEK BAŁON
14	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (2)	
22	Lektura na lato: Tajemnica skradzionej poezji	MARYLA ADAMEC
32	Kronika: Szkoła w Bukowcu, Stowarzyszenie Inteligencji Chrześcijańskiej, SZ.K.A.P.A. na Strzelnicy, Święty Jón w Bystrzycy, O pracy Sekcji Ludoznawczej ZG PZKO w roku 2002, Wystawa obrazków na szkle Antoniego Szpyrca, Frysztaccy pezetkaowcy bilansują	
42	Z naszej kuchni: Poleśniki	
46	Poezja Henryka Jasiczka	
52	Aniela Kupiec: Pustelnia czy świat	
56	Okruchy literackie	
59	Na naszej scenie	
61	To i owo	
66	Pożegnania: Edward Buława	
67	Historycy regionu o 70-leciu tragedii cierlickiej	
68	Młode pióro: Janina Sabela	
70	Cosik śmiysnego Jaśka Plewowego	
72	Humor sprzed lat	
74	Mozaika	JAN KUBICZEK

Numer zamknięto 9. 7. 2002

TRADYCJA GOROLSKIGO ŚWIĘTA W JABŁONKOWIE

O tym, że czasy się zmieniają i my zmieniamy się w nich, wiadomo nie od dziś. Gorolski Święto w Jabłonkowie jednak trwa niezmiennie, w tym roku odbędzie się po raz 55., a jego cel jest ciągle ten sam. Stwarza okazję do odwiedzenia stolicy Podbeskidzia, ale oprócz uroków podgórskiej miejscowości organizatorzy oferują wiele innych przeżyć. Przez dwa dni, w sobotę i niedzielę, bogaty program prezentują zawsze nasze zaolziańskie zespoły folklorystyczne oraz zaproszeni goście zza najbliższych granic, ale niejednokrotnie, od lat 90., kiedy Gorolski Święto włączone zostało do odbywającego się po polskiej stronie Tygodnia Kultury Beskidzkiej, także z dalekich krajów. Niedzielną część imprezy, w odróżnieniu od młodzieżowej soboty bardziej oficjalną, rozpoczyna pochód, którego nieodłączną częścią są wozy alegoryczne. Od lat przebiegają też podczas Gorolskigo Święta różnorodne imprezy towarzyszące o charakterze artystycznym czy poznawczym (wystawy, spotkania literackie) oraz sportowym (rajd, bieg). Niezaprzeczalnym walorem stały się spotkania towarzyskie, pogawędki ze znajomymi, których nie widzimy może zbyt często, ale z którymi nie musimy umawiać się do Jabłonkowa, bo mamy pewność, że będą na Gorolskim Święcie. To odpowiedni czas, miejsce i atmosfera do tego, by, przeżywając ucztę duchową przez podziwianie występujących tu zespołów i ucztę cielesną przez spożywanie serwowanych hojnie w wielu stoiskach, umieszczonych w jabłonkowskim Lasku Miejskim w drewnianych chatach zbudowanych w stylu oryginalnej architektury ludowej z tych stron, potraw o smaku domowym, niezobowiązująco poplotkować z bliźnimi, ale także, być może, załatwić jakieś własne interesy.

Pora Gorolskigo Święta kojarzy się ostatnio z pierwszym weekendem sierpnia, ale nie zawsze tak było. Po raz pierwszy odbyło się w niedzielę 12 września 1948 roku. Głównym inicjatorem był dyrektor szkoły wydziałowej w Jabłonkowie, malarz i folklorysta Karol Piegza. Na jego wniosek postanowiono przygotować festyn o charakterze regionalnym. Nazwano go Świętem Góralskim. Nazwa gwarowa - Gorolski Święto - pojawiła się w roku 1967 i pozostała.

Głównym wodzirejem Gorolskigo Święta był przez kilka dziesięcioleci Władysław Niedoba. Tak oto wspominał później to pierwsze: *Barwny pochód uformował się przed szkołą wydziałową. Kobiety powyciągały i nawypożyczały stroje góralskie, byli też jackowie jabłonkowscy, trzej gajdosze, sąsie-*

dnie chóry młodzieżowe, wyparadzona dziatwa szkolna i miejscowa orkiestra dęta. Był także pierwszy wóz alegoryczny z Nawsia. Chata góralska, w której stary góral szył kierpce, pasterz mełł na żarnach, gaździna przędła na kołowrotku i nogą kołysała dziecko w kołysce. Punktualnie o godzinie czternastej ruszył pochód, jeszcze skromny, ale na owe czasy wspaniały. Ludzi zeszło się dużo, w oknach i na chodnikach były masy ciekawych widzów. Na miejscu zagaił i przywitał obecnych dyrektor Karol Piegza. W programie wystąpiły chóry, zespoły taneczne i dziatwa szkolna. Gorzej było z aprowizacją. Nie liczono na takie zapotrzebowanie, nie było jeszcze tych pięknych chatek góralskich ze swoimi góralskimi specjałami. Jedyną oryginalną chatę góralską wybudowało PZKO Nawsie. Pierwszy raz pojawiły się placki ziemniaczane. Tego, co się działo przed tą chatą, nie da się opisać. Placki wyrywano sobie z rąk, a biedne gaździnki w kabotkach i sukniach góralskich, oblane potem, nie mogły nadążyć w ich produkcji. Bawiono się, tańczono, śpiewano i częstowano do późnej nocy. A niektórzy, słabszej konstrukcji, odpoczywali do białego rana.

Władysław Niedoba, człowiek teatru, śpiewak, autor widowisk, jako Jura spod Grónia ze swoim zawołaniem „Ho! Ho! Ho!" stał się symbolem. Umiał przewodzić, był wspaniałym gawędziarzem, stwarzał niepowtarzalną atmosferę podczas tego święta górali i całej zaolziańskiej społeczności. Jego pierwszym partnerem był stary góral Michoł (Alojzy Ligocki). Wiele lat prowadził dowcipne dialogi z pasterzem Maciejem (Ludwik Cienciała). Pod koniec lat 80. do Jury spod Grónia dołączył Hadam z Drugi Jizby (Władysław Młynek). Niestety wszyscy oni odeszli już na zawsze i miejsca po nich pozostały puste. Jedynym gawędziarzem z prawdziwego zdarzenia, który przed dziesięciu laty włączył się w prowadzenie Gorolskigo Święta i został na scenie Lasku Miejskiego, bawiąc co roku swoimi monologami szeroką publiczność, jest Filip (Tadeusz Filipczyk).

Gorolski Święto organizowało od początku Miejscowe Koło PZKO w Jabłonkowie i członkowie zespołu Gorol. Jednak tak, jak było to kiedyś zamiarem pomysłodawców, przerosło granice imprezy lokalnej. Na Gorolski Święto zjeżdżają co roku tłumy z całego Zaolzia, bawią się wspaniale także czescy współobywatele, przybywa wielu gości z Polski. Mimo że ogólny zarys programowy od lat jest podobny, że zmieniają się właściwie tylko gościnne zespoły i wydawać by się mogło, że organizatorzy popadli w stereotyp i imprezie grozi skostnienie. Pewnie należałoby wymyślić jakieś innowacje, ale póki co publiczność dopisuje, a jej coroczna liczna obecność świadczy o tym, że odpowiada jej taki sposób prezentacji kultury ludowej Zaolzia.

CZESŁAWA RUDNIK

25 LAT DOMU PZKO W GUTACH

Kiedy na polach koszenie zbóż dobiega końca, w Gutach jak co roku trwają intensywne przygotowania do tradycyjnych śląskich dożynek. A dożynki w Gutach to już tradycja. Toteż co roku ciągną ludzie tłumnie do Gutów koło Trzyńca z całego niemal Zaolzia, by spędzić ten dzień z przyjaciółmi, których często spotkać można właśnie tu raz do roku. Miejsce to upodobali sobie także Polacy z Bielska-Białej i Skoczowa, przyjeżdżają autokarem na jednodniową wycieczkę i bawią się jakby byli „stela".



Budowniczowie Domu PZKO w Gutach, fot. KAZIMIERZ SUCHANEK

Guty przyciągają także, szczególnie w okresie letnim, turystów, którzy oglądają wioskę malowniczo położoną niedaleko od głównej drogi prowadzącej na Słowację, a szczególnie zabytkowy drewniany kościół z roku 1563. Chwila spędzona na cmentarzu obok kościoła każdemu tu przebywającemu uświadamia, że tu żyją Polacy. Ileż polskich wycieczek z różnych zakątków kraju i obczyzny, bo byli tu Polacy z dalekiej Brazylii i Wielkiej Brytanii, doznawało wzruszenia i olśnienia z praktycznej lekcji historii. Ci, którzy co

roku przyjeżdżają do Gutów na dożynki, swoją wiedzę o Gutach i Miejscowym Kole PZKO, które dożynki organizuje, przekazują znajomym i tak krąg sympatyków tego szczególnego miejsca z roku na rok się powiększa. Chwała za to miejscowym działaczom społecznym, którzy niestrudzenie dbają, by każdy czuł się tu jak u siebie w domu. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że w roku bieżącym polska społeczność w Gutach świętuje 25-lecie tutejszego Domu PZKO, bez którego krąg wtajemniczonych w gucką historię z pewnością byłby mniejszy, bo Dom przyjmował pod swoim dachem gości z Polski: plastyków, fotografików, muzyków, aktorów, harcerzy, uczniów i rodziny.

A taki był jego początek. 21 stycznia 1948 roku odbyło się w gminnej gospodzie zebranie tutejszych Polaków, którzy powołali Koło Miejscowe PZKO. Koło wynajęło od gminy ewangelickiej lokal w budynku starej szkoły i rozpoczęło działalność od organizowania chóru i teatru amatorskiego. W roku 1972 zarząd Koła postanowił wybudować własny dom, który miałby służyć efektywnej pracy Związku. Grupa członków zarządu, w skład której wchodzili prezes Koła (od r. 1968) Paweł Rucki i członkowie Jan Szczurek, Adam Hóta i Eugeniusz Hyrnik wyszukała odpowiednie miejsce na zlokalizowanie budowy, załatwiła sprawy majątkowo-prawne dotyczące kupna parceli i uzyskania zezwolenia na budowę Domu PZKO, co nie było rzeczą prostą wobec nieprzychylnej postawy miejscowych władz. Z pomocą w uzyskaniu materiałów budowlanych przychodzi dyrektor Huty Trzynieckiej inż. M. Boublik. Członkowie Koła ofiarnie pracują na budowie pod kierownictwem Pawła Ruckiego i Adama Hóty. Zarząd Główny wspiera Koło finansowo. Z pomocą pospieszyły także Koła obwodu gnojnickiego. Nie ma dnia, aby na budowie nie pracowało co najmniej kilka osób. 31 lipca 1977 roku w Gutach ma miejsce uroczyste otwarcie Domu PZKO. Po ceremonii oficjalnej dla kilkuset gości zebranych przed Domem wystąpił mimo deszczu Andrzej Rosiewicz, a potem chór Gorol z Jurą spod Grónia i Maciejem. W kronice Koła, która zaistniała wraz z otwarciem budynku, można przeczytać wiele ciepłych i budujących słów pod adresem miejscowych społeczników w podziękowaniu za ich trud i upór w budowaniu trwałego miejsca polskiej historii i tradycji. Dom PZKO nie stoi pusty. Na kartach kroniki pozostają zapisy po każdych kolejnych dożynkach, plenerach, pobytach młodzieży. W roku 1997 tak napisali tu uczniowie III Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego z Chorzowa: *Wędrowaliśmy po Zaolziu przez trzy dni, szukając śladów naszej ojczyzny. Byliśmy m.in. w Czeskim Cieszynie, w Stonawie, Trzyńcu, Cierlicku, Nawsiu, Wędryni, Jabłonkowie, Bukowcu, Bystrzycy... i w Karwinie na Festiwalu 50-lecia PZKO. Guty stały się w tym czasie naszym domem. Zawsze będą się nam kojarzyły z serdecznością gospodarzy i wspaniałą kuchnią.*

W tym roku przypadała 20. rocznica otwarcia Domu. Z tej okazji w Gutach można było obejrzeć aż trzy wystawy: Polacy na Zaolziu (przygotowaną przez Stanisława Zahradnika), Guty w fotografii ks. seniora Kazimierza Suchanka oraz wystawę prac ręcznych członkiń miejscowego Klubu Kobiet. Szczególnie radosne były Dożynki Śląskie w Gutach w roku 2000, bowiem występy zespołów odbyły się po raz pierwszy na zadaszonej scenie. Gośćmi dożynek byli przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie w osobach konsula generalnego Marka Masiulanisa i konsula Mariana Ozimka, który pomógł znaleźć sponsorów dachu.

Dom PZKO w Gutach latem tętni życiem. Na wypoczynek przyjeżdża młodzież i rodziny poszukujące spokoju na łonie przyrody. Zarząd Koła z prezesem Janem Kantorem na czele przygotowuje się do dożynek, bo, jak co roku, zjadą do Gutów setki ludzi.

Wszyscy lubimy tu przyjeżdżać, by wspólnie biesiadować i wspierać miejscowych pezetkaowców w ich trudzie podtrzymywania naszej polskiej tradycji. Nic nie dzieje się bez przyczyny, lubimy, kiedy ktoś o nas się troszczy, a uważne oko długoletniego prezesa i gospodarza Domu Pawła Ruckiego zawsze dostrzeże naszą potrzebę.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK



Uroczyste otwarcie Domu PZKO w Gutach (7.7.1977) – prezes Paweł Rucki, fot. FRANCISZEK BAŁON

JEDEN DZIEŃ W ŁOMNEJ

Romantyczny dawny czas wycieczek w góry - na wozach drabiniastych, potem pociągiem, autobusem. A na miejscu długie piesze trasy. Potem czas euforii samochodowej, która ciągle trwa. Następna euforia, którą mieszkańcy Beskidów nazwaliby „urwaniem z łańcucha", nastała na początku lat 90. zeszłego stulecia, kiedy to nareszcie mogliśmy bez ograniczeń zwiedzać całą Europę, ba, niektórzy i świat. I ruszyliśmy w ten świat. Teraz chyba, z wielu względów - powszechnego braku ruchu, też finansowych, wracamy na ziemię, na naszą ziemię. Przeżywamy kolejną euforię - turystykę rowerową. A jednak, ponownie, coraz więcej z nas zaczyna się uczyć chodzić piechotą. Powrót jakby do początku, a przy okazji trochę do naszej historii, jest pod każdym względem najwspanialszym sposobem na spędzenie wolnego czasu, na relaks, na poznawanie naszej małej ojczyzny, naszych korzeni.

W naszych Beskidach wiele się zmieniło, ale też, Bogu dzięki, dużo dawnego jeszcze pozostało. Dla tych, którzy mają ochotę zobaczyć, bo zobaczyć warto, proponuję wędrówki po Łomnej i jej okolicach. Za przewodnika wybrałem jednego z najbardziej do tego powołanych - doc. dra Jana Korzennego CSc. Jan Korzenny jest na Zaolziu znaną osobistością. Urodził się w Łomnej Górnej, dokładnie w tamtejszej polskiej szkole, jako syn kierownika tej placówki. Był wykładowcą na Wydziale Filozoficznym i Pedagogicznym Uniwersytetu im. Palackiego w Ołomuńcu. Później objął stanowisko kierownika Katedry Języków Obcych Wydziału Pedagogicznego (potem Uniwersytetu Ostrawskiego). Obecnie jest na emeryturze. Wraca w strony rodzinne. Mieszka w domu po rodzicach w Łomnej Dolnej. Poświęca się badaniom dotyczącym osadnictwa na Pobeskidziu. Obok obszernej wiedzy, jaką posiada, cieszy się godnym pozazdroszczenia wigorem i poczuciem humoru.

Naszą podróż odbyliśmy po części (żeby w ograniczonym czasie zdążyć jak najwięcej zobaczyć) starym zielonym samochodem pana Jana. Kilometrów nie liczyliśmy. Było ich niemało, także tych na piechotę.

Pierwsza trasa to *Dolina Krzynowa, gdzie w roku 1720 doszło do pierwszej parcelacji ziemi pod szałasy. Pierwszym nabywcą był wojewoda jabłonkowski Sikora.* Doszliśmy aż pod znany wszystkim wyciąg narciarski na stokach Skałki. Dalej Kiczerka z widokiem na dawne osiedle Dolinki. Z tego miejsca przy dobrej pogodzie, a taka była, jest na horyzoncie dobrze widoczna Łysa Góra.

Wracamy i dostajemy się na zbocza Łatkuli, skąd rozciąga się wspaniały widok na Kozubową i pasmo Sławicza. Zaś w dolinie pod nami oglądamy poszczególne osiedla, zwłaszcza Główczyn.

W przerwie byłem gościem w starym drewnianym łomniańskim domu pana Korzennego. Ponownie pełen podziwu obserwowałem, jak sprawnie



Widok z Łatkuli (Łomna Dolna) na osiedle Główczyn. Na horyzoncie Kozubowa, w lewo pasmo Sławicza.

i szybko krząta się koło pieca opalanego drewnem. W czasie, kiedy gospodarz zajmował się kuchnią, dał mi do pooglądania obszerne komplety swoich zdjęć. Docent Korzenny jest, jak powszechnie wiadomo, autorem licznych publikacji naukowych. Niewielu wie, że jest również od lat zapalonym fotoamatorem. Jego okazały zbiór fotografii z Beskidów, głównie z okolic Łomnej, ujęć nieraz niespotykanych, robionych w różnych porach roku i dnia, mógłby być materiałem do publikacji. Nic też dziwnego, że zostało to zauważone przez przedstawicieli urzędu gminy Łomna Górna. Dzięki ich staraniom zostanie w tym roku wydany okazały kalendarz ścienny na rok 2003 prezentujący wybór widoków z Łomnej Górnej na kolorowych fotografiach Jana Korzennego. Jest to w tak małej wiosce godna uwagi, niespotykana inicjatywa! Tego dnia zdążyłem pooglądać zaledwie znikomą część kolorowych zdjęć wykonanych przez Jana Korzennego, bo na stole już było jadło (palce lizać) i czekał nas jeszcze szmat drogi.

Ruszyliśmy do Łomnej Górnej - doliną Przelaczy, *na której zboczach rozciągał się dawniej wielki sałasz zlikwidowany przez Komorę Cieszyńską w roku 1812. Powodem likwidacji sałasznictwa były nowe warunki związane z rozwojem gospodarki. Między innymi dzięki początkom wydobywania węgla hodowla owiec okazała się znacznie mniej rentowna niż wyrąb drewna. Sałasznikom za-*



Upłaz na tle Mionszego (dawne połacie sałasznicze)

proponowano zgłoszenie się do pierwszej Leśnej Kolonii na Śląsku Cieszyńskim. Zgłoszeni zgodnie z umową otrzymali do dyspozycji 4 hektary pola, 2 krowy, jałówkę, cielę, prosię i domek. Tych domków było na Przelaczy w sumie 31. Do dnia dzisiejszego są widoczne ślady kilku z dawnych gospodarstw Kolonii.

Doliną Przelaczy przeszliśmy aż pod grzbiet Wielkiego Połomu i Murzynkowego Wierchu. *Stąd znowu rozciąga się wspaniały widok na największą puszczę w ziemiach czeskich - Mionszy (często błędnie określane jako „Menší", „Mniší"), również widoki na zbocza Kamienitego na tle Ostrego, zachodnie zbocza Kozubowej, pasmo Sławicza i Trawny. To miejsce z jednym z najpiękniejszych widoków na całym Pobeskidziu.* Pan Korzenny prowadzi mój wzrok od pasma Sławicza do pasma Małego Połomu, żeby poczęstować mnie następną ciekawostką historyczną: *Mały Połom był też nazywany Trojaczką - miejscowi do dnia dzisiejszego inaczej go nie nazywają. Nazwa wywodzi się stąd, że na szczycie Małego Połomu znajdował się kiedyś trójścienny kamień graniczny z literami S, M, U - Silesia, Moravia, Ungaria (Górne Węgry). Pod tymi literami były jeszcze dodatkowe znaki - HH - Herschaft Hukvaldy (dobra hukwaldzkie), HB - Herschaft Bittze (dobra bytczańskie), HF - Herschaft Friedeck (dobra frydeckie). Kamienia tego już niestety nie ma. Dawniej pod Małym Połomem prowadziła ścieżka handlowa z Morawki (pierwotnie - ścieżka wałaska) na stro-*



Na Dolinie – Łomna Górna

nę słowacką do Kysucy i Turzowki. Na Słowacji kupowano bydło, które tam było znacznie tańsze, i przeprowadzano je na Śląsk, zarabiając w ten sposób na życie. Z tą ścieżką związanych jest wiele wydarzeń i niejedna tragedia.

Przed pożegnaniem Przelaczy oglądamy jeszcze osiedle Na Dolinie – ostatnie zabudowania przed granicą słowacką.

Na zakończenie naszej wędrówki po okolicach Łomnej mój niezmordowany przewodnik zaprowadził mnie do miejsca wśród tych „z dołów" chyba nieznanego prawie nikomu – do Czerczoku pod osiedle Gruszki. *W Czerczoku dochowały się ponad stuletnie resztki zapory wodnej służącej do spławiania drewna doliną Łomnej. Tą niewielką rzeczką rzeczywiście spławiano drewno z wyrębu w łomniańskich lasach! Działo się to w ten sposób, że wiosną w trakcie topnienia śniegu zatrzymywano wodę za tamą. W międzyczasie ściągano ścięte pnie nad brzegi Łomnianki, dokładniej były to „szajty" – kawałki około metrowej długości. Potem otwierano tamę i drewno spychano do przybranych wód rzeki. Pierwotnie spławiano drewno z Łomnej dalej Olzą aż do Trzyńca. Później tylko do miejsca w Dolnej Łomnej, gdzie znajduje się wiadukt kolejowy kolei koszycko-bogumińskiej, wybudowany w latach 1778–1882. Coroczne spławianie trwało do pierwszej wojny światowej. Okazało się jednak, że był to bardzo nieekonomiczny sposób transportu. Drewno znacznie niszczyło brzegi rzeki, było*



Ostatnie zabudowania ne Przelaczy. Dawniej (1812) pierwsza Kolonia Leśna

na swej drodze rozkradane. Spławianie zastąpiła zwózka drewna furmankami. Podczas pierwszej wojny światowej noszono się z zamiarem wybudowania kolejki wąskotorowej z Nawsia aż do osiedla Kiszmol w Łomnej Górnej. Przygotowano niezmiernie pieczołowicie dokumentację - jej oryginał znajduje się aktualnie w Archiwum Państwowym w Karwinie - zaczęto nawet wykupywać ziemię pod budowę.

Słuchając tych ciekawych faktów historycznych, pomyślałem: Jaka to szkoda, że do realizacji kolejki nie doszło. Mogliśmy dziś mieć w Łomnej dodatkową, jakże ciekawą atrakcję turystyczną.

Z Łomną i z panem Janem Korzennym żegnam się tego dnia koło wysuniętego najdalej na południe osiedla Gruszki. Stąd podziwiamy widoki na zbocza doliny Łomnej, na Kamienite, Kozubową, Sławicz.

W czasie całej wędrówki starałem się notować chociaż urywki bogatych wypowiedzi Jana Korzennego na temat Beskidów dawniej i dziś. Ja sam niewiele miałem do powiedzenia. Obok wspaniałych krajobrazów zauważałem również cudowną roślinność na uroczych beskidzkich łąkach i w poszyciu leśnym. I tu miał słowo mój przewodnik. On najlepiej wiedział, gdzie rośnie najwięcej grzybów, czarnych jagód. W jednym z przez nas odwiedzanych

miejsc, z wiadomych przyczyn musiałem obiecać, że nie zdradzę gdzie, zobaczyłem całe kobierce kwitnących właśnie „borówek" - nigdy dotąd nie widziałem tych krzaczków tak obficie obsypanych czerwonym kwieciem!

Beskidy zapraszają do odkrywania bogatego piękna dawnych i naszych czasów. Jeden dzień jest tu niczym. Jednak i w ciągu jednego dnia poświęconego tym pięknym górom można się w nich zakochać. Zapewniam, że warto.

FRANCISZEK BAŁON
fotografie autora

Redakcja ZWROTU serdecznie dziękuje doc. Janowi Korzennemu za czas poświęcony przygotowaniu tej lektury na czas wakacyjnych wędrówek.



Ostatnie ślady zapory (klauzy) w Czerczoku

PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (2)

W NIEMIECKIEJ SZKOLE

Dziwnie ukształtowały się warunki mojego uczęszczania do szkoły. Polskiej szkoły w Rychwałdzie nie było, a do czeskiej szkoły mnie rodzice nie zamyślali posłać. Pozostałem więc w domu, chociaż wszyscy inni chodzili do szkoły. Rodzice nie dali się skusić namowom sławnych czechizatorów, byli na to głusi. Wkrótce jednak przyszły pogróżki: Jeżeli mnie rodzice nie poślą do szkoły, będą pociągani do odpowiedzialności. Zrozumieli to rodzice i chcąc nie chcąc, aby uniknąć nieprzyjemności, posłali mnie nie do szkoły czeskiej, ale do szkoły niemieckiej, która założoną była w budynku prywatnym, kiedyś mieszkalnym pod Porębą.

Zacząłem więc odwiedzać wszechnicę niemieckości razem z Lojską, a potem z Adelą. Do szkoły tej miałem dosyć daleko - blisko godzinę drogi. Na szczęście chodziło nas tam więcej z tych stron, ze mną np. Szczyrba, Łuksza, no i cała banda. Szło się więc zawsze weselej, a o przygody nie było biedy. Co chwila coś wybaraniliśmy.

Szkoła była dwuklasowa. Byli w niej: kierownik Kocjan i nauczyciel Blosch. Ku swojemu i innych zdziwieniu dostałem się pomimo złego świadectwa do 2 klasy. Ja sobie z tego nic nie robiłem, że mam chodzić do niemieckiej szkoły, bo jak mi kiedyś było obojętne, to teraz przy tych „nieartykułowanych głoskach" nauczycieli, które tak dobitnie „trafiały mi do przekonania", było mi wszystko jeszcze bardziej obojętne. Nie interesowałem się w ogóle niczym, tylko zabawą, obojętnie czy to było na boisku, czy też w klasie (pod ławkami).

Zjawisko to zresztą całkiem zrozumiałe: w domu mówiliśmy przecież tylko po polsku. Nie wiedzieliśmy nawet, czy w ogóle można mówić inaczej. A tu naraz słyszałem obcy język, jakieś ruszanie wargami i gesty rękami (często i kijem), ale niczego nie rozumiałem. Stąd więc przejawiła się u mnie niechęć do takiego mówienia, niechęć i w ogóle obojętność. Chodziłem do szkoły z musu i nienawidziłem swym dziecięcym jeszcze sercem tych „siewców niemieckiej kultury" i niszczycieli naszej narodowości polskiej. Umysł buntował się przeciwko takim porządkom, a tym samym zaczęło się utwierdzać poszanowanie języka ojczystego, którego nie wolno nam było używać, ale który był nam bliski i swojski. Przejawiło się u mnie celowe bagatelizowanie niemieckiej szkoły wraz z czcigodnymi wychowawcami.

Pamiętam, kiedy w pierwszym dniu nauczyciel chciał przekonać się o naszej obecności i czytał z katalogu nazwiska nas wszystkich. Kogo wywołał, musiał powiedzieć „hier!". Przy moim wywołaniu odezwałem się także, ale zamiast „hier" powiedziałem „vier". Klasa buchnęła śmiechem. Ja znowu stałem zdziwiony, dlaczego się ze mnie śmieją, bo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co powiedziałem - chciałem przecież naśladować innych, a że jedna literka, właściwie głoska, jakoś źle utkwiła mi w pamięci, doszło do tego rodzaju ambarasu - myślałem, że za to oberwę, ale jakoś nic.

Ale do bijatyki nie potrzebowaliśmy umieć po niemiecku, to już szło bez wszystkiego, a... było tego dosyć dużo! Tyle zostało nam przyjemności z niemieckiej szkoły.

TAK ZWANA - NAUKA - W SZKOLE NIEMIECKIEJ

W szkole niemieckiej uczył mnie kierownik Kocjan. Był to człowiek około 40-tu lat, średniego wzrostu, którego najodpowiedniejszym środkiem nauczania był „krzywak". Bił więc nas jakby z przyzwyczajenia, sam przedstawiając się jako krwiożercze zwierzę, nie oszczędzające przy swej wściekłości wszelkich grubiańskich słów. O metodzie nauczania nie bardzo da się mówić. Więcej zajęty był nasz kochany „Oberlehrer" czytaniem gazet w klasie niż uczeniem nas. Zresztą uczenie ograniczało się do zadawania nam jakiegoś zajęcia. To znowu czytaliśmy mechanicznie coś z czytanki bez względu na treść - o zrozumieniu czytanki nie było mowy. Sam nawet pojąłem wkrótce niemieckie litery i czytałem dosyć płynnie, nie rozumiejąc, naturalnie, w ogóle słów. Ale miałem z czytania bardzo dobrze. Pogadanek żadnych nie mieliśmy. Większością były ciche zajęcia, które wykorzystywaliśmy dla celów własnych: na grę w pióra, kopanie piłki pod ławką lub na wzajemne grymasy, szturchanie się lub inne nieprzystojności. Kierownik sobie spokojnie czytał gazety.

Niekiedy ale kierownik zauważył coś, więc bez zbadania sprawy wołał kilku podejrzanych do stopnia (podium), gdzie nie szczędził „sowitej nagrody", składającej się z „facek", bicia... „krzywakiem" a w końcu klęczenia na stopniu z podniesionymi rękami. Niekiedy klęczała nas cała gromada. Pomimo tego humor nas nie opuszczał i nawet przy stopniu prowadziliśmy dalej swe psoty. Niektórzy z chwilą, jak wychodzili z ławki, zaczynali już „beczeć", a kiedy odebrali swoją karę, wrzeszczeli jeszcze więcej. Myśleli, że im to coś pomoże.

Pamiętam, jak raz dostałem także bicie, a kawałek „krzywaka", odskoczywszy, wbił się ostrzem w obraz i tam pozostał. Kierownikowi zdawało się, że się wścieknie, bo nie mógł tego kawałka wyciągnąć.

Niektórych przedmiotów uczył w naszej klasie nauczyciel Blosch. Był to elegancki mężczyzna, lat może 30-tu, który wcale nie rozumiał naszego języka. W biciu prześcigał swego przełożonego. Miał do pomocy wypróbowaną trzcinkę, którą za małe uchybienie tak wychłostał po łydkach, że można było długo pamiętać. Wielu przez parę dni nosiło na nogach modre pręgi. Przy tym naturalnie nie obyło się bez „bildowanych słów".

Na co tylko cieszyliśmy się bardzo w owej szkole, była gra w piłkę nożną na boisku. Naturalnie mało kiedy mieliśmy prawdziwą piłkę nożną. Byliśmy radzi, jak kto przyniósł jakąś „puckę", w którą graliśmy jak zawodowcy. Już w klasie, w czasie nauki robiliśmy obsadę: Ty pójdziesz do bramki, ty za beka, a ty na lewe czy prawe skrzydło. A kiedy odezwał się nauczyciel z oczekiwanym „hinaus!", pędziliśmy jeden przez drugiego na stanowiska wyznaczone na boisku, robiliśmy ze surdutów szybko bramki i już zaczynała się gra. Sędziowali wszyscy. Gra była zwyczajnie zawzięta. Jak tylko mieliśmy większą piłkę, to przy grze leciały szybki z okien. Lecz kto rozbił, musiał zapłacić i grało się dalej. W lecie kopaliśmy boso, więc też były częste poranienia nóg o „szkwary", ale o to nikt nie dbał.

W tym trybie i otoczeniu upłynął mi drugi rok szkoły ludowej, który pomimo tego, że nic nie umiałem, jedynie czytać, wypadł dla mnie dosyć pomyślnie. Otrzymałem świadectwo z trójkami i naturalnie przeszedłem do wyższego oddziału.

Trzeci rok „mej nauki" przyniósł mi dalszą poprawę świadectwa. Umiałem bowiem nie tylko płynnie czytać, ale nawet dawałem sobie rady z rachunkami. To mi przyniosło na końcu roku szkolnego świadectwo bardzo dobre - miałem jedynki i dwie czy trzy dwójki. Przeszedłem więc do wyższego oddziału i nawet do drugiej klasy, gdzie już byli sami starsi. Ale w tej drugiej klasie (czwarty rok nauki) nie bardzo mi się wiodło. Ale był to ostatni rok szkolny w szkole niemieckiej.

PRZYGODY DROGĄ DO SZKOŁY NIEMIECKIEJ

Do szkoły niemieckiej miałem godzinę drogi. Z domu szedłem najpierw dołem po trawniku, a potem długo drogą polną. W połowie drogi szedłem dobrą bitą drogą (cysarską). Ta pierwsza połowa drogi była mało kiedy dobra. Po roztopach na wiosnę i w jesienne deszcze była tak błotnista, że trzeba było człapać w błocie, obierać lepsze miejsca lub obchodzić. W zimie znowu było większością śniegu po kolana, na drodze lody. Po bitej drodze było lepiej, auta żadne wówczas nie jeździły. Chodziło się tylko i wyłącznie piechotą w zimie i w lecie.

Ze współkolegów szkolnych przypominam sobie tylko kilku - najbliższego sąsiada Szczerbę Józefa, którego zawsze nazywali w domu - uczytelym, bo był wielki. Kiedy przechodził koło naszego domu, to zawsze gwizdał na mnie lub wołał. Oprócz niego był Łuksza Francek, dwaj Kowalscy, z dziewczyn była Lola Szuścikowa, siostry Wanczurowe, Litnerowa, Uhrówna itd.

Pełne przygód były często nasze drogi do szkoły. Mijaliśmy bowiem idące od Pietwałdu dzieci do czeskiej szkoły, do których czuliśmy jakąś wrodzoną nienawiść. Nas było stosunkowo mało, ale każdy z nas był już chłop morowy i do bijatyki dobry. Więc od razu przeganialiśmy czeskie dzieci, gdzie się tylko dało. Kiedy byliśmy w większej gromadzie, to maszerowaliśmy po drodze niby panowie, bo Czesi nas obchodzili już z daleka lub skręcali na inne drogi. Często i oni robili na nas zasadzki, lecz mało kiedy im się to udawało, chociaż mieli niekiedy przewagę 1:5. Potrafiliśmy ich rozbić, bo mieliśmy zorganizowane zawsze dwie partie. Jeśli jedna partia była zaatakowana, to druga wypadła na pomoc i ...Czesi musieli uciekać. Mieliśmy bowiem umówione, że w każdej sytuacji będziemy głosili, że się nie boimy i że nasze będzie zwycięstwo! Niekiedy doszło nawet do bijatyki kamieniami, zawsze wygrywaliśmy, bo nosiliśmy kamienie gotowe do użycia w kieszeniach. Z okrzykiem huraa! hurra! pędziliśmy za Czechami z krzykiem i przezwiskami, więc nie mogli nam się oprzeć. Dziwne, że nie było pokaleczonych, a jeśli, to słabo, i ci woleli nawet nie przyznawać się. Niekiedy przychodziły z czeskiej szkoły pisemne skargi, za które srogo dopłacaliśmy. Nie było nawet większego śledztwa, bo wszyscy wiedzieli o nas, więc brano nas od razu do odpowiedzialności. Z tym większą nienawiścią polowaliśmy potem na Czechów i rżnęli, gdzie się dało. Do jakich to różnych zajść dochodziło! Ale były to wszystko nierozważne wypadki, wybryki na miarę prześcigania się w pomysłach i akcjach.

W ten sposób 30. 6. 1923 ukończyłem czwarty rok mego uczęszczania do szkoły, z czego ostatnie 3 lata do szkoły niemieckiej.

Niejednemu wydawałoby się, że przez 3 lata musiałem nauczyć się dobrze po niemiecku. Tymczasem było inaczej: znałem trochę słówek niemieckich z otoczenia, w uszach szumiały mi niektóre pieśni niemieckie, ale poza tym nie skorzystałem ze szkoły niemieckiej w ogóle. Zresztą nie nauczyli nas niczego sami nauczyciele!

MOJE ZAJĘCIA DOMOWE

Okres, kiedy miałem 9-10 lat, w życiu domowym charakteryzuje prawdziwie wiejski nastrój. Z domu nie oddalałem się, jedynie do szkoły. W niektóre

niedziele byłem z rodzicami na polskich nabożeństwach w Boguminie, bo w Rychwałdzie polskich nabożeństw nie śmiało być. Chodziłem również ze starszymi z rodzeństwa do kościoła w Niemieckiej Lutyni, i to tylko w lecie. Nawet parę razy byłem z ojcem w kościele w Orłowej.

W domu najważniejszym moim zajęciem było pasienie krów. Miałem wyznaczone dni i godziny pasienia, które musiałem przestrzegać. Pasienie starałem się wykorzystywać niekiedy dla różnych zabaw. Najczęściej bawiłem się z pasterzami od sąsiadów, chociaż mało kiedy w nastroju przyjaznym. Najczęściej bowiem prześladowaliśmy się wzajemnie, bo oni wszyscy byli Czesi, a ja byłem Polakiem. Nie byłem w zgodzie z Bedrzychem Waszyczkowym, który jako starszy mi parę razy „nafackował", nienawidziłem Milosza Budnikowego lub Szmukowych, którzy mnie najczęściej przezywali - Ty Poloku! - ale ich to drogo niekiedy kosztowało.

W jesieni znowu puszczałem krowy na ściernisko, sam robiąc sobie „fajer" lub bawiąc się kadzidłem. Były to czasy iście swobodne, beztroskie, chociaż niekiedy nudne, zwłaszcza w te niedziele, kiedy starsi szli sobie gdzieś na spacer, a mi trzeba było stać przy krowie.

Jako dzieci cieszyliśmy się zawsze na żniwa. Nie musieliśmy bowiem już krowy tak ostrożnie trzymać na powrozie, żeby nie niszczyły zboża, tylko mogliśmy je puścić swobodnie na ściernisko. Wesoło było także, kiedy wszyscy wyruszyli w czasie żniw na pole: chłopi z kosami, kobiety ubierać, wiązać i stawiać kozły. Nie tylko szła robota, lecz i „języczki mleły", nawet padały jakieś żarty, a z nimi wybuchy śmiechu.

Moim zajęciem w czasie żniw było zbieranie „kłosków w kiczki". Mianowicie, kiedy już było zagrabione po skoszeniu, chodziło się po ściernisku i zbierało kłosy. Praca ta była żmudna, ale mi osobiście podobała się, toteż chętnie zbierałem ostatnie kłosy. Zbieraliśmy przede wszystkim kłosy pszenicy, bo z niej była biała pszenna mąka na buchty. Zbierałem więc sam, często z kimś jeszcze drugim (Lojską lub Adelą) nawet na obcym polu, by tylko mieć jak najwięcej „kiczek". „Kiczki" umieszczałem w stodole pod dachem, sam je później wymłóciłem cepem, a pszenicę po wysuszeniu zmieliłem na mąkę, oddając mamie do upieczenia mi buchty, która była moją własnością. Szczyciłem się nią potem, dając innym tylko spróbować.

Razem z innymi cieszyłem się także na dojrzewanie owoców. Mieliśmy bowiem dosyć duży ogród z drzewami owocowymi - było koło 20 śliw, 3 duże i 2 małe grusze, oraz 2 duże i 3 mniejsze jabłonie. Przy szczęśliwym urodzaju mieliśmy bardzo dużo owoców.

Najwcześniej dojrzewały u nas czereśnie, które nazywano „chamlary", bo były wczesne, duże i słodkie. Na nie każdy z nas miał zawsze ślinkę, ani po-

rządnie nie dojrzały, a już ich nie było. Jak kto mógł, tak się starał do nich „dorwać", by uprzedzić drugich i posmakować sobie po kryjomu. Jak brakło u nas, szukaliśmy sposobów zyskiwania „trześni" u sąsiadów, szczególnie u Budnika czy Pawlika, ale zawsze mogli sobie na to pozwolić tylko niektórzy, co nie dali się schwytać. Były skargi na to, ale ważniejsze zawsze były czereśnie.

Następnie dojrzewały u nas „winne jabłka", które również niedługo cieszyły się na drzewie swobodą. Zresztą było ich mało. Najwięcej mieliśmy zawsze gruszek. Jedne duże i soczyste, drugie tak zwane „gniłki", które nie bardzo lubiliśmy, więc często suszyliśmy je na zimę - przepołowili je, nim zmiękły, i układali na deskach.

OWOCE - NASZE I SĄSIADÓW

W środku podwórza, czyli, jak wtedy mówiliśmy, „placu", stała przy drewnianym podcienku rozłożysta jabłoń, która miała zimowe jabłka koloru „na czerwono". Były na gałęziach wysoko, więc trudno nam się było do nich dostać. Ojciec też uważał na nie, a kiedy nadszedł czas obierania, używał długiej żerdzi, a dwóch trzymało nad podwórzem rozłożoną kołdrę. Jabłka więc nie spadały na ziemię, ale na kołdrę i nie obijały się. Zostawiano je specjalnie na „Wilię". Na tej jabłoni była budka dla szpaków, którą zmajstrował i zawiesił Manuś.

Druga wielka jabłoń była w ogrodzie przy Budnikowym żywym płocie. Miała piękne żółte jabłka, ale jeść ich się nie dało, bo tak były kwaśne. Te, które spadły, dawano do żarcia wieprzkom, reszta sobie gniła na gnojowisku. Lecz raz ojciec w czasie wojny pozbierał je, niektóre obrał i w kilku koszach wsypał do plew na strychu. Jabłka tam były, nawet o nich zapomniano, aż przyszło brać plewy na obrok dla konia i tu ojciec spróbował jedno. Nie było na oko piękne, ale okazało się bardzo smaczne - „jak masło"! Mieliśmy więc w zimie co pogryzać.

Najwięcej miewaliśmy zawsze śliwek, oczywiście przy dobrych urodzajach. Oprócz więc tych śliwek, któreśmy sami zużywali, zbywało jeszcze dużo do dalszego wykorzystania. Dużo też śliwek, a nawet i gruszek mama nasza suszyła na piecu w kuchni lub w „piekarszczoku", a nawet w „trąbie" - suszki przydały się! Często też matka robiła ze śliwek powidła. My znowu spośród rodzeństwa staraliśmy się część owoców, a najczęściej śliwek spieniężyć. Czy więc Lojska, nawet ja sprzedawaliśmy je robotnikom koło fabryki Hahna w Boguminie, kiedy wychodzili z pracy. Sprzedaliśmy nawet wszystko, cośmy w „taszkach" mogli tam zanieść, zarabiając. Pamiętam, że gruszki „gniłki"

nosiłem z polecenia taty jego znajomemu z pracy - Fajkusowi i zawsze coś mi za to dawał z pieniędzy.

Mimo iż mieliśmy owoców stosunkowo dużo, a nawet bardzo dużo, przychodziła nam chętka na owoce u sąsiadów. Stąd więc chodziliśmy bardzo często na „złodziejki" najbliżej do Budnika, który miał dobre gruszki, tak zwane zielónki. Miał także wielkie gruszki, tak zwane gąsiory, a nawet miał białe śliwy. Myśmy tego nie mieli, więc było trzeba „ślince" dogodzić. Zakradaliśmy się więc do jego ogrodu jak koty, jeden zawsze uważał, a dalsi brali, potem dzieliliśmy się zdobyczą. Do innego sąsiada - Pawlika chodziliśmy po kryjomu na kobylónki (śliwy), na jabłka i na zielónki. Wszystko było dobrze zorganizowane, mało kiedy chodziliśmy pojedynczo. Utarło się nawet stosowne powiedzonko: Na owoce - do Budnika lub Pawlika! Nie zawsze udawały nam się takie „polowania" na owoce. Czasem właściciel złapał winowajcę, ten musiał karę przyjąć za wszystkich, reszta zaś dała w nogi. Za mało ostrożnym był np. Emil Chodura lub Piegrzymek Lojzik, bo oni byli ciągle głodni owoców. Pomimo tych nieprzystojności cała akcja owocobrania była dla nas zawsze atrakcyjną. Urabiała w nas koleżeństwo. Często organizowaliśmy grę w piłkę nożną w Pawlikowym dole po to, aby potem zrobić wypad na jabłka do jego ogrodu, albo po to zbieraliśmy się na huśtanie „koło brzozy", aby potem z tyłu dostać się na kobylónki do Budnikowej „zogrody".

Jeszcze o jednej potężnej gruszy nie wolno mi zapomnieć. Rosła na postrach w ogrodzie koło stodoły, bo ojciec zawsze obawiał się, że jakby tak przewróciła się, to zawali całą stodołę. Na tej gruszy rosły małe gruszeczki, nazywaliśmy je świńskimi gruszkami, bo też były tylko dla świń.

KOŃ DO GOSPODARKI

Już w czasie, kiedy chodziłem trzeci rok do szkoły, a więc w 1922 r., ojciec został mimo niskiego jeszcze wieku (49 lat) emerytowany. Zaczynał się bowiem kryzys gospodarczy, więc nie potrzebowano dużo górników. Ci, co pozostali, pracowali często na 3 lub 4 zmiany tygodniowo. Obniżyły się również zarobki. Toteż ojciec miał bardzo małą emeryturę i gdyby nie pracowali Józek i Manuś, byłoby kiepsko z utrzymaniem tak licznej rodziny.

Aby więc zdobyć jakieś źródło zarobku, ojciec postanowił sobie kupić najpierw jednego konia. Był kiedyś w młodości pachołkiem w Dziećmorowicach, więc znał pracę z koniem, umiał robić w polu. Ojcu właśnie chodziło głównie o obróbkę swego pola, aby nie musiał prosić „siedloka". Zamiar ten uznali wszyscy za dobry.

Jakoż znalazło się miejsce kupna konia - u Litnera Adolfa na kopcu.

Pamiętam kupno tego konia, kiedy ojciec, Manuś i ja byliśmy właśnie dla „ubicia ostatecznej ceny" z Litnerem, przy czym nie obyło się bez porządnego - litkupu, czyli wódki na szczęście.

Kupiliśmy pięknego „brauna", który wkrótce przywykł do nas, zadomowił się. Cóż kiedy ojcu spodobał się po jakimś czasie inny koń i zaczęły się handle, które niepotrzebnie kończyły się zawsze dopłatą. Z tym połączone było częstsze „zaglądania ojca do kieliszka" i częste nieprzyjemności domowe, kłótnie, które na nieszczęście musieliśmy w młodym wieku przeżywać.

Po zakupie konia zaszła potrzeba kupna uprzęży, a więc chomąta i innych, trzeba było kupić nowy wóz, drabiny, wreszcie pług i inne potrzeby z tym związane.

Nawet okazały się za małe zabudowania inwentarskie. Trzeba było rozebrać drewniane chlewki pod skośnym dachem stodoły, a wybudować chlewki większe. Całe lato w roku 1923 budowano więc ze „szkwarów" czworokątne chlewki, gdzie potem były dwa chlewki dla świń (starula i kormiki), dla kozy, cielęcia i kur. Zaczęły się furmanki. Ojciec jeździł najczęściej sąsiadom po węgiel na szyby: Alpinkę w Porębie, Eżynkę w Pietwałdzie, Zofinkę w Orłowej lub nawet na Michałkę do Michałkowic. W lecie używano konia do wszelkich prac polowych, a więc do podorywania, zwożenia siana i zboża, potem do bronowania. Do orki trzeba było się sprzęgać z koniem od Szalonka, który miał właśnie także jednego konia. Praktykowano to w ten sposób, że np. ojciec pożyczył konia od Szalonka na 2 lub 3 dni i poorał swoje pole. Potem pożyczył swojego konia Szalonkowi na tę samą ilość dni. Mnie przypadał w udziale obowiązek przyprowadzania czy odprowadzania konia do Szalonka, bo był to mój „krześniczek" i zawsze mi za to coś dał do kieszeni. Atrakcją było dla mnie, jeśli mogłem siąść na konia i przyjechać z nim z całą paradą.

Dziennym opiekunem konia był Józek, karmił go, czyścił, przynosił wodę i siano. Ojciec tylko gotował obrok, czyli karmę z sieczki, owsa i otrąb, niekiedy trochę rzepy pokrajanej. My znowu pomagaliśmy przy rżnięciu sieczki z prostej słomy, a było trzeba tej sieczki dość dużo. Tak samo rżnięto do obroku siana koniczynowego na dodatek, na posmak.

Dzięki koniowi mieliśmy wielką ulgę w ciężkiej pracy polnej. Nie musieliśmy już sami zwozić zboża z pola, wywozić gnój czy kopać ręcznie podorywki czy ścierniska. Mnie osobiście koń umożliwił studia w seminarium nauczycielskim, ponieważ wydatki były stosunkowo wielkie i bez furmanek, a nawet bez tak zwanych „biczówek" byłoby dosyć trudno pokryć moje skromne wydatki. Wielką w tym wdzięczność mam jednak do swojej matki.

c.d.n.



TAJEMNICA SKRADZIONEJ POEZJI

V

Następnego dnia Nowak usiadł na ławce przed blokiem, w którym mieszkał. Wyciągnął z kieszeni bułkę i rzucił kawałek gołębiowi, który podleciał do niego. Poznał w nim „swojego" gołębia.

Gdyby - rozmyślał głośno Nowak - naprzeciw naszego bloku znajdował się inny blok, to byłaby to prosta sprawa: Lokatorzy jednego z mieszkań na usługach Absolona, lornetka wycelowana w komputer Elfmarka, proste. Co ty na to Watsonie? - zwrócił się do gołębia.

Gołąb znów spojrzał na niego, jakby rozumiał, co Nowak do niego mówi.

- Masz rację Watsonie - powiedział Nowak - Tam nie ma żadnego domu, może za jakieś dziesięć lat, teraz jest tam tylko plac budowy. No więc - kontynuował - Sherlock Holmes mawiał, że jeśli wykluczymy to, co niemożliwe, to to, co pozostanie, nawet gdyby brzmiało nieprawdopodobnie, jest prawdą. Hakerstwo wykluczyliśmy, a telepatii żaden choć trochę rozsądny człowiek nie może brać pod uwagę. I wydaje się, że nic nie pozostało, choć intuicja mówi mi, że coś... hm... Co ty o tym myślisz? - spytał gołębia.

Gołąb obrzucił go zagadkowym spojrzeniem, poderwał się do lotu i usiadł na jego balkonie.

- Brawo Watsonie! - zawołał Nowak.

Emerytka, która przechodziła obok z psem, spojrzała na niego ze zdziwieniem i pomyślała, że sąsiadka, która twierdzi, że ten młody człowiek z siódmego piętra jest trochę stuknięty, ma rację.

- Dzień dobry pani - powiedział Nowak i uśmiechnął się przepraszająco.

„No tak" - pomyślał. „Jeśli chodzi o intuicję, to z grubsza wiem już, o co chodzi, teraz pozostaje dojść do tego samego wniosku drogą dedukcji. Czyli udowodnić podejrzanemu winę. Najłatwiej byłoby wycelować w Absolona rewolwer i kazać mu się przyznać. Niestety tego, co mogłem, będąc gliniarzem, nie mogę jako osoba prywatna". Nowak westchnął teatralnie, bo właśnie za takie wyczyny wyrzucono go z policji, i doszedł do wniosku, że pora wziąć się do zbierania dowodów.

Wrócił do swojego mieszkania, wyszedł na balkon i wychylił się przez balustradę. Na parapecie Elfmarków nie było żadnych gołębi. Za to na jego balkon powrócił gołąb, którego Nowak nazwał Watsonem, i kilka innych gołębi.

Nowak wygrzebał z szafy lornetkę, którą kupił na początku swojej kariery prywatnego detektywa, bowiem wydawało mu się, że prywatny detektyw powinien mieć takie wyposażenie.

VI

„Niektórzy" - rozmyślał Nowak, siedząc na ławce przed blokiem i obserwując niebo przez lornetkę - „twierdzą, że tylko ludzie mają prawo zachowywać się nielogicznie. Że w przyrodzie wszystko ma swoją logikę. A co jest logicznego w zachowaniu tamtego gołębia, który wylatuje na najwyższy punkt naszego wieżowca, szybuje parę pięter niżej i znów winduje się na górę?"

- Słyszałem, że podobno nareszcie zmądrzałeś. A ty zaczynasz uprawiać astronomię! - przerwał ktoś jego rozmyślania.

Nowak oderwał wzrok od szybującego gołębia i zobaczył swojego kuzyna Adama Nowaka.

- Kto ci powiedział, że zmądrzałem? To bezpodstawne oskarżenie!

- Ojciec. Podobno chcesz się przyłączyć do naszej firmy.

- Niczego takiego nie mówiłem. Dałem mu tylko cynk, gdzie mógłby odkupić stare meble.

Adam Nowak postukał się w czoło.

- Cynk dają w kryminałach informatorzy policji. Więc co z tą astronomią?

- Astronomią? - zdziwił się Jan Nowak.

- No, gapiłeś się w niebo przez lornetkę.

- Obserwuję gołębie.

- Gołębie? - Adam znów postukał się w czoło.

- Kiedy nie będę miał nic do roboty - stwierdził Jan Nowak - napiszę pracę naukową o gołębiach. Na pierwszy rzut oka, kiedy zobaczysz gołębie gdzieś na rynku, myślisz: taka szara masa. A to nieprawda. Każdy gołąb jest indywidualnością.

- Myślałem, że ty nigdy nie masz nic do roboty - przerwał Adam wywody swego kuzyna.

- Ty w ogóle nie masz pojęcia o pracy prywatnego detektywa - Jan udał oburzenie. - Ja właśnie teraz ciężko pracuję.

- Gapiąc się przez lornetkę w niebo?

- Odezwała się ta pani od tej starej szafy? - zmienił Jan Nowak temat.

- Tak. Jedziemy tam z ojcem po południu. To co, przyłączasz się do naszego interesu?

- Na razie nie, ale odkryłem, że to świetny pretekst. Mógłbyś mi podarować parę wizytówek?

Adam wyciągnął z portfela kilka firmowych wizytówek.

- Ale jakbyś trafił na jakiś interesujący mebel...

- Jasne, dam ci cynk. A skoro już załatwiłem wam tę szafę... Ten pan Herc

jest wynalazcą. Czy mógłbyś jakoś dyskretnie wybadać, czym się konkretnie zajmuje?

– A ty nie możesz? – spytał Adam, a widząc, że jego kuzyn przewraca oczy w słup, dodał: – Aha, bo ty już tam byłeś.

– Skoro już mowa o sprawach zawodowych, czy nie powinienem dostać jakiejś prowizji za informacje o meblach?

– Oczywiście, powinieneś dostać tyle samo, ile ja od ciebie za tę robotę, którą mam dla ciebie wykonać. No to lecę. Nie będę ci przeszkadzał w... hm... hm... pracy. Słuchaj, czy wy prywatni detektywi pracujecie na zmiany czy siedzisz tu cały dzień?

– Co ty powiedziałeś? – spytał Jan.

– Powiedziałem, że...

Ale Jan Nowak już go nie słuchał, poderwał się z ławki i wymamrotał:

– Ale ze mnie dureń, na zmiany, no jasne! Trzymaj się – rzucił w stronę kuzyna i pobiegł do drzwi swojego bloku. Szybko wbiegł na szóste piętro i zadzwonił do drzwi Elfmarków. Otworzyła mu pani Elfmark.

– A, pan Nowak! – powiedziała. – I jak? Ma pan już jakąś hipotezę?

– Owszem, owszem, jestem już prawie u celu, muszę tylko jeszcze dokładnie sprawdzić niektóre fakty. Czy pani mąż jest teraz w pracy?

– Tak.

– Pracuje na trzy zmiany czy...

– Nie, tylko na jedną zmianę.

– O której przychodzi do domu?

– Po trzeciej.

Nowak zamyślił się. Aby spotęgować wrażenie, wyjął notes i coś w nim nabazgrał.

– Czy mogę na chwilę wejść? – spytał.

– No, proszę – powiedziała pani Elfmark niepewnie.

Nowak wszedł do pokoju, w którym stał komputer. Na parapecie zobaczył gołębia. „Czyżbym się pomylił?" – pomyślał. Podszedł do okna. Gołąb obrzucił go lekko drwiącym spojrzeniem i odleciał. Nowak odetchnął z ulgą: „To nie ten".

– Bardzo dziękuję, pani Elfmark – powiedział i szybko wyszedł, bo wydawało mu się, że pani Elfmark chce go spytać o jego hipotezy.

VII

Nowak spojrzał na zegarek. „Trzecia" – pomyślał. „Za chwilę Elfmark powinien wrócić z pracy". Wyszedł na balkon na stanowisko obserwacyjne.

Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi. Nowak nie zwracał na to uwagi. Wychylił się, na ile to było możliwe przez balustradę, trzymając w jednej ręce lornetkę i rozglądając się to na prawo, to na lewo. Człowiek za drzwiami przestał dzwonić, zaczął walić w drzwi i zawołał:

– Panie Nowak! Wiem, że jest pan w domu!

Nowak przerwał swoje kaskaderskie popisy.

„Elfmark?!" – pomyślał. „Co on tu robi?"

– Panie Nowak, podobno pan dla mnie pracuje! A cały dzień siedzi pan na ławce przed blokiem i karmi gołębie!

Elfmark był najwyraźniej podenerwowany.

– Panie Elfmark, proszę usiąść i uspokoić się. Wie pan, w jaki sposób rozmyślał Sherlock Holmes? Siedział w swoim mieszkaniu i grał na skrzypcach. – Nowak położył nacisk na słowie mieszkaniu. – Wolałby pan może, abym grał na skrzypcach? Zwłaszcza, że ja, w odróżnieniu od Holmesa, grać nie umiem.

Elfmark usiadł zrezygnowany.

– To niech pan już raczej karmi gołębie.

Podał Nowakowi jakieś literackie czasopismo.

– Ten facet znowu ukradł panu wiersz? – domyślił się Nowak. – To świetnie.

Elfmark był tak wytrącony z równowagi, że nawet nie zwrócił uwagi na poniekąd nietaktowny komentarz Nowaka.

– Tak, znowu to zrobił. Ja nie wiem jak. Ten wiersz napisałem w zeszłym miesiącu.

– Panie Elfmark – przerwał mu Nowak – pan nie musi wiedzieć, jak on to zrobił, pan za to płaci mnie.

Elfmark spojrzał na niego z autentycznym zdziwieniem.

– To pan wie?

– Panie Elfmark – powiedział Nowak z wyrzutem. – Zatrudnił mnie pan, żebym zdobył dla pana dowody, że ten facet ukradł panu wiersz? Zatrudnił. Zapłacił mi pan zaliczkę? Zapłacił. Więc dlaczego pan wątpi w moje zdolności?!

– No więc proszę dostarczyć mi dowody.

– Chce go pan podać do sądu?

– Myślę, że to już nie pańska sprawa.

– No, nie wiem. Może musiałbym tam wystąpić jako świadek. Ale nie o to chodzi. – Nowak udał, że się zastanawia. – Ma pan rację, dalszy tok tej sprawy to nie mój interes. Ale gdyby było możliwe inne rozwiązanie tej sprawy?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o tych koneksjach?

– Owszem, pamiętam.

Nowak przez chwilę zastanawiał się.

– A gdyby tak Absolon pomógł panu wydać zbiór poezji? – spytał w końcu. – Jest sławny, ma odpowiednie koneksje.

– Dlaczego miałby to robić? – przerwał mu Elfmark.

– Aby uniknąć skandalu. Oczywiście honorarium, które otrzymał za ten wiersz – Nowak wskazał gazetę – powinien przekazać panu. Tamten w książce

też powinien panu jakoś zrekompensować. W zamian zapewne będzie chciał, aby pan nie rozpowszechniał tej sprawy.

- Sugeruje pan, że powinienem go szantażować? - spytał Elfmark podejrzliwie.

- Szantażować? - Nowak bardzo wiarygodnie udał oburzenie. - Co za określenie! Poza tym, proszę to zostawić mnie. Oczywiście - wzruszył ramionami - gdyby nie chciał załatwić tego polubownie, to przekażę panu dowody, które są w moim posiadaniu, a pan poda go sądu.

Kiedy Emil Elfmark wyszedł, Jan Nowak powrócił na balkon i wychylił się tak, aby widzieć okno swego klienta. Siedział tam gołąb.

Na okno Nowaka również przyleciał gołąb.

- Witaj ty niewdzięczny zwierzu. Co robiłeś przedtem na oknie Elfmarków? - przywitał się z nim Nowak, krusząc bułkę. - Trzeba przyznać, że ten facet ma w sobie coś z geniusza - powiedział ni to do siebie, ni to do gołębia. - Choć pewnie nie czyta kryminałów, bo jego z pozoru genialne przestępstwo ma pewne niedociągnięcia, dzięki którym mógł to rozwiązać nawet taki amator jak ja. Co ty na to, Watsonie?

Gołąb spojrzał na niego jakoś tak dziwnie, jakby zgadzał się z powszechną opinią, że Jan Nowak jest stuknięty.

- Masz rację, Watsonie - stwierdził Nowak. - Przesadziłem, nie muszę być aż taki skromny. Jednak - westchnął teatralnie - Holmes rozwiązałby to w dziesięć minut, nie wstając z fotela.

Gołąb obrzucił go drwiącym spojrzeniem i odleciał.

Przed piątą gołąb z parapetu Elfmarków przefrunął na dach sąsiedniego bloku.

Po godzinie zadzwonił u Nowaka telefon. Dzwonił jego kuzyn Adam.

- Wiesz co? - powiedział. - Nie chcę cię chwalić, ale powinieneś porzucić tę twoją kryminalną wirtualną rzeczywistość i wyszukiwać dla nas meble. Wykazałeś wyjątkowy talent, ta szafa to naprawdę coś!

- Nawet jej nie widziałem - powiedział Jan bez fałszywej skromności. - Ale skoro już zacząłeś o kryminałach, to co dla mnie wybadałeś?

- Wyobraź sobie, ci Hercowie mają w domu prawie pełną automatyzację. Drzwi zdalnie sterowane, oświetlenie zdalnie sterowane! - referował Adam Nowak z podziwem. - Ale ten Herc głównie zajmuje się takimi mechanicznymi zabawkami. Nawet mają w domu elektronicznego kota! Myślałem, że takie rzeczy wymyślają tylko w Japonii.

- A łapie taki kot myszy? - spytał Jan Nowak

- Nie pytałem. Ale podobno ma już na takie koty producenta.

Kiedy Jan Nowak wrócił na swoje balkonowe stanowisko, stwierdził, że gołąb, który przedtem odfrunął z parapetu Elfmarków, jest już z powrotem.

IX

Od kilku godzin Edgar Absolon przesiadywał jak zwykle w restauracji.

Trochę krócej w cukierni naprzeciwko siedział Jan Nowak. Personel restauracji był przyzwyczajony do obecności poety, kelnerka w cukierni wydawała się być trochę wytrącona z równowagi ciągłą obecnością Nowaka.

„Ciekawe, co na to jego żona, że ciągle przesiaduje w restauracji?" - zastanawiał się Nowak.

Kelnerka postawiła na stoliku kolejną kawę.

- Podać jeszcze coś? - spytała. Jak dotąd Nowak nie zamówił niczego oprócz kawy.

- Czy można dostać pączki?

- Proszę.

Jeden z klientów, którzy weszli do cukierni, spojrzał w stronę Nowaka i zrobił zdumioną minę. Był to jego były współpracownik, policjant noszący arystokratyczne nazwisko Hrabia i pospolite imię Marek. Usiadł przy stoliku Nowaka i spytał:

- Ilu prywatnych detektywów potrzeba do przykręcenia żarówki?

- A jaki jest najkrótszy dowcip o policjantach? - odciął się Nowak.

Hrabia spojrzał na pączki i spytał:

- Czy ty nie za bardzo wczuwasz się w rolę? Tobie się wydaje, że skoro detektywi w serialach żywią się kawą i pączkami, to ty też musisz. - Rozejrzał się wokół jak profesjonalista. - Śledzisz tamtego faceta? - stwierdził, wskazując przeciwległą restaurację. - Co to za jeden?

- Edgar Absolon.

- To znaczy, że ten twój sąsiad był u ciebie? I co, jak on mu ukradł ten wiersz?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz, bo nie wiesz, czy nie możesz, bo nie chcesz?

- Bez komentarza. Chcesz pączka?

Hrabia sięgnął w stronę talerza, ale rozmyślił się.

- Czy to nie jest próba korupcji?

Do stolika podeszła kelnerka.

- Jeszcze jedną kawę? - spytała Nowaka.

- Chyba nie, może tym razem herbatę. - Nowak doszedł do wniosku, że życie pełne jest paradoksów, jeszcze kilka dni temu odczuwał niedobór kofeiny, a teraz odwrotnie. Miał wrażenie, że przedawkował. - Albo nie, poproszę rachunek.

- A ja poproszę kawę - powiedział Hrabia.

Nowak spojrzał w stronę restauracji.

- Co powiesz na przypomnienie sobie czasów, kiedy razem broniliśmy prawa i sprawiedliwości?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Hrabia podejrzliwie.

- No, mógłbyś mnie ubezpieczać. Idę pogadać z tym facetem.

- Pogadać z nim, czy go postraszyć? Powinieneś sobie nareszcie uświadomić, że nie jesteś bohaterem jakiegoś kryminału.

- Co ty możesz wiedzieć. Może ktoś kiedyś napisze o mnie książkę? Jak doktor Watson o Holmesie.

X

- Dzień dobry, panie Absolon - powiedział Nowak i, nie pytając o pozwolenie, dosiadł się do stolika poety.

- Czy ja pana znam? - spytał Absolon takim tonem, by Nowak zrozumiał, że nie jest tu mile widziany.

Ale Nowak udał, że nie zrozumiał.

- Byłem na pana pogawędce w bibliotece - oznajmił.

- No cóż, proszę wybaczyć, ale biorę udział w wielu takich akcjach, więc nie mogę pamiętać wszystkich, którzy...

Nowak sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał, co poeta mówi.

- Ale jeśli się panu wydaje, że widział mnie pan gdzie indziej, to jest to całkiem możliwe. Jestem sąsiadem... - machnął ręką, nie kończąc zdania. - To tak, jak w tym pana wierszu - dodał.

- W którym? - spytał poeta.

- Och, nie wiem - stwierdził Nowak. - Może się mylę? W szkole nigdy nie celowałem w tym przedmiocie: Co poeta chciał przez to powiedzieć. - sięgnął do portfela i wyciągnął wizytówkę. - Może pan pomyśli, że się narzucam, ale przyszło mi do głowy, że takiemu sławnemu człowiekowi jak pan może się przydać prywatny detektyw. - Podał Absolonowi wizytówkę.

- Nie potrzebuję prywatnego detektywa - powiedział Absolon.

- Nigdy nie wiadomo - stwierdził Nowak. - A nuż znów pana ktoś spyta, skąd pan czerpie inspiracje? I zada pan sobie filozoficzne pytanie: Skąd ja właściwie czerpię inspiracje? To wtedy da mi pan znać.

Spojrzał na zegarek i jakby nagle zaczął się śpieszyć.

- Żegnam pana... na razie. - Ostatnie słowa zabrzmiały jak pogróżka. Nowak pomyślał, że może jak zwykle trochę przesadził. No ale w końcu, czyż różni filmowi twardziele też nie używają takich metod?

XI

Zaraz po powrocie do domu, czyli koło drugiej, Nowak zajął stanowisko na dachu wieżowca. Było to za wcześnie, ale Nowak lubił takie chwile, bo mógł je wykorzystać do różnych „filozoficznych" przemyśleń: „W książkach i filmach każdy szanujący się prywatny detektyw nosi broń palną". Wyciągnął rewolwer i spojrzał na niego z zadumą. „Nareszcie w swej karierze prywatnego detektywa doszedłem do tego, że też będę mógł użyć broni palnej".

Schował rewolwer i wyciągnął procę. Wziął lornetkę i skierował ją w stronę północnego horyzontu.

„Nawet stąd widać dom tego typa" - zdziwił się. „Przynajmniej będę wiedział, jak długo będzie mu to trwało. No, to jednak za daleko. Tylko żebym trafił tego właściwego".

Zobaczył przez lornetkę gołębia.

„To ten" - pomyślał. „Ale czy aby na pewno? Na pewno! Lot jakiś nie taki. Tak, to ten".

Kiedy gołąb zbliżył się do osiedla, Nowak odłożył lornetkę i „załadował" procę.

Gołąb szybko się zbliżał. Nowak wystrzelił, mając nadzieję, że trafi za pierwszym razem. Trafił. „Przydały się te wszystkie szyby, które wybiłem w dzieciństwie" - pomyślał.

Szybko zbiegł na dół, mijając na schodach kilku sąsiadów, którzy obrzucili go zdumionym spojrzeniem. Rozejrzał się, czy ktoś nie patrzy w jego stronę, wszedł na trawnik i podniósł z ziemi szczątki zestrzelonego ptaka.

Wrócił do mieszkania. Otworzył notes, znalazł uprzednio zapisany numer telefonu i zadzwonił.

- Słucham? - powiedziała jakaś kobieta.

- Dzień dobry. Tu Jan Nowak. - przedstawił się. - Czy to pani Absolon?

Po drugiej stronie linii telefonicznej można było wyczuć wahanie.

- Jestem żoną Edgara Absolona. Mam zawołać męża?

- Nie trzeba. Proszę mu powiedzieć, aby przyszedł do restauracji.

- Do której?

- Myślę, że będzie wiedział. Proszę mu powiedzieć, że dzwonił Jan Nowak. Powinien wiedzieć, o co chodzi.

XII

Nowak, siedząc w restauracji i pijąc jak zwykle kawę, nie był pewien, czy dobrze zrobił, przychodząc tu pierwszy. Może powinien chwilę potrzymać Absolona w niepewności? W tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, jak by to rozegrali bohaterowie jego ulubionych książek i filmów.

W drzwiach pojawił się Edgar Absolon.

- Dzień dobry, panie Absolon. Proszę usiąść - powiedział Nowak, zachowując się tym razem bardzo uprzejmie.

- Panie Nowak, co pan sobie wyobraża! - Absolon nie starał się być uprzejmy. - Dzwoni pan do mnie do domu! A w ogóle to skąd pan zna mój numer telefonu?!

Nowak zrobił zdumioną minę:

- Przecież w każdym szkolnym podręczniku można wyczytać, jak się pan naprawdę nazywa.

Lecz widząc wyraz twarzy poety, stwierdził:

- Niech pan siada i uspokoi się. To był żart. Przeczytałem cały materiał, jaki zgromadzili o panu w bibliotece i tylko w jednym artykule pojawiło się pana prawdziwe nazwisko.

– Czego pan chce?

Nowak nie odpowiedział, tylko spytał:

– Dlaczego pan to robi? Taki sławny człowiek, a kradnie cudze wiersze?! Gdyby pan chociaż zmienił tytuł! Ale ten sposób, przyznaję, prawie genialny...

– Dla kogo pan pracuje?

– A kradnie pan wiersze jeszcze komuś?

– Nie ma pan dowodów.

Nowak uśmiechnął się wyrozumiale.

– Nawet gdybym nie miał, a mam, to tym stwierdzeniem przekonałby mnie pan o swojej winie.

– Czego pan chce?

– Zawrzeć z panem ugodę. Przede wszystkim – wyciągnął z kieszeni rachunki – zapłaci mi pan wydatki i czas, który poświęciłem tej sprawie...

– Próbuje mnie pan szantażować?

– Szantażować? Co też pan! – oburzył się Nowak. – Próbuję, jak już mówiłem, uzgodnić polubowne załatwienie tej sprawy. No dobrze, o moim wynagrodzeniu porozmawiamy później. Teraz pomówmy o poezji Elfmarka. Przyznaję, że wiem, jak pan to zrobił, ale nie rozumiem, dlaczego.

Absolon westchnął.

– Wie pan, jak zaczęła się moja kariera?

– Od jakiegoś konkursu poetyckiego.

– Właśnie. Przez przypadek wpadło mi w oko zawiadomienie o konkursie. W czasach studenckich trochę pisywałem wiersze, a ponieważ moimi wynalazkami nikt się nie interesował... I do dziś nie mogę w to uwierzyć, wygrałem ten konkurs, a nagrodą było wydanie zbioru poezji. I przez kolejne piętnaście lat pisałem wiersze. I nagle... koniec. Właśnie miałem dostarczyć wydawcy kolejny zbiór poezji, a do kompletu brakowało mi jednego wiersza. I nic. Zupełnie opuściło mnie natchnienie. Właśnie wtedy w regionalnym czasopiśmie kulturalnym przeczytałem wiersz Elfmarka. Pomyślałem: To jest poezja! A faceta nikt nie zna. A ponieważ moje drugie ja dokonało wtedy pewnego wynalazku... – przerwał i spojrzał na Nowaka. – Czy nie ma pan czegoś, co należy do mnie?

Nowak sięgnął po reklamówkę.

– Oczywiście panie Herc, ale... – uśmiechnął się przepraszająco i wysypał na stół części elektronicznego gołębia.

– Co pan z nim zrobił?! – zawołał Herc-Absolon.

– Zestrzeliłem.

– Jak pan na to wpadł? Myślałem, że jest nie do odróżnienia od normalnych gołębi.

– Na pierwszy rzut oka, owszem. Ale, przyznam, kiedy go zobaczyłem, wydawało mi się, że coś jest nie w porządku.

– Co? – chciał wiedzieć wynalazca.

Nowak przybrał zakłopotany wyraz twarzy.

- Nie mam pojęcia. Intuicja. Czasami mi się to zdarza. Więc zacząłem obserwować gołębie na naszym osiedlu i odkryłem, że jeden zachowuje się jakoś dziwnie. Najprościej ujmując, po co Bóg miałby stworzyć coś tak dziwnego? Musiał to więc być plagiat wymyślony przez człowieka. Czy pan nie wiedział, że to jest karalne? - spytał nagle.

- Produkcja sztucznych gołębi? - zdziwił się Herc-Absolon.

- Produkcja sztucznych gołębi w takim celu, w jakim go pan wyprodukował.

- Kiedy ja go wcale nie wyprodukowałem w celach kryminalnych, pomyślałem, że nareszcie mogę się przekonać, jak wygląda świat z lotu ptaka i zamontowałem do niego mini kamerę. No i właśnie wtedy odkryłem, że w tym mieście mieszka niezbyt znany poeta i...

- I wydawało się panu, że wymyślił pan genialne przestępstwo? No to teraz ma pan dwie możliwości: albo skandal...

- Albo?

- Pójdzie pan do swego wydawcy i powie mu, że odkrył świetnego poetę, któremu nikt nie chce wydać wierszy.

- I to wszystko?

- No, niezupełnie. Przekaże pan Elfmarkowi honorarium za ten wiersz w gazecie, w sprawie tego w książce też się pan z nim jakoś rozliczy. A dla spokoju sumienia cały dochód z tej książki powinien pan przekazać na cele charytatywne, zwłaszcza że zaczął pan odnosić sukcesy jako Albert Herc wynalazca. Ale to nie moja sprawa.

Absolon-Herc nie komentował moralistycznego przemówienia Nowaka, tylko spytał:

- A jeżeli mój wydawca wyda poezję Elfmarka, a ta okaże się niewypałem?

- To już będzie problem Elfmarka.

- I to wszystko? - powtórzył Herc-Absolon.

- Jeszcze moje honorarium.

Absolon-Herc wziął do ręki rachunki.

- Tyle bułek?!

- Karmiłem gołębie.

- A te rachunki z cukierni?

- To ta cukiernia naprzeciwko. Zresztą powinien się pan cieszyć, że nie palę i nie piję.

- Ale to pańskie honorarium? Czy pan nie przesadził?

Nowak uśmiechnął się skromnie.

- Nie przesadziłem. W końcu to honorarium za rozpracowanie genialnego przestępcy.

MARYLA ADAMEC

SZKOŁA W BUKOWCU

Trwaj, szkoło moja, na tym pasiónku,
Trwaj niby żołnierz na posterunku,
By jak szumiały - niech szumią buki,
I jak mówiły - niech mówią wnuki!

Tak napisał Władysław Młynek, który w szkole w Bukowcu był dyrektorem w latach 1985–1990 i uczył dzieci, jak wielu przed nim i po nim, szacunku dla ojczystej mowy, poszanowania tradycji i zamiłowania do tego skrawka ziemi. A skrawek to szczególny, bowiem Bukowiec leży tuż przy granicy z Polską i Słowacją i jest najstarszą wsią Beskidu Wschodniego. Wieś została założona w roku 1353 przez osadnika Piotra Grossa na podstawie przywileju, który nadał mu książę cieszyński Kazimierz. Bukowiec był do niedawna swoistą enklawą ludowej architektury drewnianej. Jak podaje w krótkim zarysie historii Bukowca Antoni Szpyrc, jeszcze na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku stało w Bukowcu około 200 chałup drewnianych, a w roku 1970 do skansenu w Rożnowie pod Radhoszczem przewieziony został z Bukowca ostatni „kurlok", czyli chata z otwartym paleniskiem, bez komina.

Wioska z tak długą historią ma też bogatą historię szkolnictwa. Pierwsze wzmianki o szkole w Bukowcu pochodzą z roku 1792. *Starzy ludzie z Bukowca opowiadają, że w starej kuźni uczył dzieci prosty kowal. Kiedy nie miał roboty, gromadził dzieci, które z ciekawością wałęsały się koło jego kuźni, sadzał je na trójnożnych pieńkach, na których kuł konie, dawał każdemu do ręki kuty gwóźdź, posyłał jedno dziecko do pobliskiego potoku po płaskie kamienie i na tych kamieniach uczył dzieci gwoździem pisać. A musiał uczyć dobrze, bo według opowiadania starych ludzi niektórzy z jego wychowanków zostali fojtami i radnymi w gminie albo też kapralami w wojsku.*

W roku 1885 z polecenia arcyksięcia Albrechta wybudowano w Bukowcu nową szkołę, która służyła swemu celowi aż do roku 1991. Na przestrzeni długich dziejów szkoły w Bukowcu różnie kształtowała się ilość dzieci pobierających w niej naukę. I tak według najstarszego zapisu w roku 1820 było ich 73, najwięcej było w roku 1907, bo aż 214, w 1938 – 151. Tuż po wojnie 80, a w 1992 – 57.

Kiedy 30 sierpnia 1992 roku po rocznej przebudowie otwarto nową polską szkołę w Bukowcu, wszyscy jego mieszkańcy, a szczególnie rodzice dzieci uczących się w niej mieli powód do dumy. Bo oto wyrosła nowa, piękna szkoła w dwusetną rocznicę szkolnictwa w Bukowcu i to dzięki ofiarności rodziców i uporowi ówczesnej dyrektor szkoły Wandy Walek. Nowa szkoła budziła podziw, toteż od początku odwiedzali ją goście także z Polski. Jednym z pierwszych był prof. Andrzej Stelmachowski, prezes Stowarzyszenia

Wspólnota Polska i ówczesny minister edukacji narodowej, któremu szkoła zawdzięcza kompletne wyposażenie budynku w meble i technikę audiowizualną. Dwa lata później szkołę odwiedzili nauczyciele polonijni z 34 krajów świata, będący na kursie języka polskiego w Krakowie. I dalej posypały się odwiedziny oficjalne ambasadora RP w Pradze Marka Pernala, Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą z Warszawy. Przełomowym dla życia i kontaktów szkoły był rok 1995, kiedy do Bukowca za sprawą ówczesnego konsula RP w Ostrawie Piotra Szwarca przyjechała delegacja Urzędu Miejskiego z Bielska-Białej. To najdłuższa i bardzo owocna dla polskiej szkoły i Miejscowego Koła PZKO przyjaźń realizowana ze strony bielskich radnych rozlicznymi darami dla dzieci całej tutejszej polskiej społeczności. Na przestrzeni tych kilku lat szkoła została wyposażona w komputery, dzieci w stroje ludowe, a w roku bieżącym z okazji jubileuszu zespół Lipka otrzymał góralskie kapelusze, dzieci jak zwykle słodycze, a szkoła i Dom PZKO sztućce od jednego z najlepszych polskich producentów w tej branży. Nie zaprzestała opieki nad polską szkołą w Bukowcu Wspólnota Polska. W roku 2000 jej rzeszowski oddział zorganizował dla dzieci dwutygodniowy pobyt w Rymanowie Zdroju.

Szkoła w Bukowcu to nie tylko niezwykły budynek, w którym dzieci czują się jak w domu, ale to także małe muzeum zorganizowane w szkolnej jadalni, które przyciąga zwiedzających nawet w wakacje. A wszystko zaczęło się przed kilkoma laty od wyszukiwania przez dzieci starych nieużywanych sprzętów domowych, ludowych strojów. Wyczyszczone zajmowały kolejne półki szkolnej jadalni, by wreszcie oficjalnie przy współpracy z powiatowym muzeum we Frydku Mistku i Ośrodkiem Dokumentacyjnym Kongresu Polaków w RC stać się Małym Muzeum Regionalnym im. Karola Piegzy. Nieco wcześniej nauczycielki bukowieckiej szkoły zadbały o utrwalenie na fotografii ginącej już drewnianej architektury. Małe albumy z fotografiami i opisami miejscowym wiejskich zabytków można było nabywać przy każdej okazji pobytu w szkole.

Są jeszcze inne pasje, które nauczycielki przekazały swoim wychowankom: muzykowanie i sport. Tańce i śpiewy ludowe na dobre zagościły w szkole, a rezultatem tego były czołowe miejsca zajmowane przez uczniów w konkursach śpiewaczych. Jesienią 1999 roku powstaje w szkole kapela ludowa i zespół taneczny Lipka pod kierownictwem muzycznym Krystyny Mruzek przy współudziale choreograficznym Lenki Stonawskiej i Danuty Motyki. Zespół odnosi sukcesy i cieszy się olbrzymim powodzeniem wśród publiczności. Oczywiście nie zabrakło go na tegorocznych uroczystościach szkolnych.

Dzieci z polskiej szkoły w Bukowcu dały się także poznać jako doskonali sportowcy, szczególnie podczas Zjazdów Gwiaździstych, gdzie od roku 1993 do 2002 zajęły 6 razy pierwsze miejsce i 2 razy drugie.

Tegoroczne jubileusze w Bukowcu: 10 lat nowej polskiej szkoły i 210 lat tutejszego szkolnictwa zostały starannie przygotowane przez dzieci i ich wychowawczynie przy wydatnej pomocy Macierzy Szkolnej i Miejscowego Koła z prezesem Władysławem Zoniem na czele. W dużej sali Domu PZKO zebrały się wszystkie pokolenia miejscowych Polaków, z których wielu wiedzę zdo-

bywało w tejże szkole, by obejrzeć rewię szkolną, przygotowaną pod bacznym okiem reżyserskim nauczycielki Beaty Łysek przez uczniów tutejszej placówki. Wszyscy dobrze się bawili, a uczniowie udowodnili, że Bukowiec to wioska, w której tradycja doskonale współżyje z współczesną cywilizacją, a mieszkańcom Bukowca nie są obce żadne kraje, nawet te zamorskie. Wśród widzów jak zwykle nie zabrakło gości z Bielska–Białej, licznie przybyli członkowie Rady Miejskiej z wiceprzewodniczącym Piotrem Ryszką na czele, a także prezes oddziału bielskiego Stowarzyszenia Wspólnota Polska Wojciech Dębowski i bielski zespół folklorystyczny Holajnicy. Konsulat Generalny RP w Ostrawie reprezentowali konsul generalny Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek. Po występach uczniów, Lipki i Holajników wszyscy miło spędzili czas na festynie. Był czas na rozmowy z dyrektor Iwoną Wroną i nauczycielkami, tymi aktualnie uczącymi dzieci i tymi, które czyniły to do niedawna w szkole w Bukowcu. Wszystkim jednakowo leży na sercu troska o szkołę i jej przyszłość.

Nikt nie ma wątpliwości, że małe jest piękne. A mała szkoła to wielka polska rodzina nawet w małej wiosce. Dlatego warto spędzić dzieciństwo w takiej szkole, by pozostały po niej wielkie wspomnienia.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK













STOWARZYSZENIE INTELIGENCJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

20 czerwca w siedzibie Konsulatu Generalnego w Ostrawie odbyło się spotkanie mające na celu formalne zainaugurowanie działalności Stowarzyszenia Inteligencji Chrześcijańskiej. Przypomnijmy, że na początku maja w kościele katolickim w Czeskim Cieszynie odbyło się ekumeniczne nabożeństwo z kazaniem ks. bp. Vladislava Volnego ze Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W., przy muzycznej oprawie chórów obu kościołów i licznym udziale wiernych.

Spotkanie w Konsulacie ze względu na szczupłość pomieszczenia ograniczyło się do wąskiej reprezentacji katolików i ewangelików. Zebrani wysłuchali wykładu ks. Zbigniewa Góreckiego SJ, który od pięćdziesięciu lat jest członkiem zakonu jezuitów, a większość swego życia spędził poza Polską – w Stanach Zjednoczonych i Australii. Dzieje Kościoła katolickiego oraz duchowe oblicze Polonii w tych krajach były przedmiotem wykładu.

W spotkaniu udział wzięli m.in.: biskup Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W., przewodniczący Czeskiej Ekumenicznej Rady Kościołów Vladislav Volny, ordynariusz diecezji ostrawsko-opawskiej Kościoła Rzymskokatolickiego ks. bp František Lobkowicz, zastępca biskupa ŚKEAW Jan Cieślar, ks. Piotr Jerzy Badura SJ z czeskocieszyńskiej parafii rzymskokatolickiej – inicjator spotkania, sekretarz ŚKEAW Bronisław Stebel, prezes Kongresu Polaków Józef Szymeczek, Członkini Rady Kongresu Polaków prof. Halina Rusek oraz konsulowie Marek Masiulanis, Małgorzata Filipek, Jerzy Herma.

Po wakacjach Stowarzyszenie Inteligencji Chrześcijańskiej rozpocznie regularne otwarte dla wszystkich chrześcijan spotkania.

E.S.

SZ.K.A.P.A. NA STRZELNICY

Wieczór pod tytułem „Spotkanie z ...", który odbył się w czeskocieszyńskim ośrodku Strzelnica 20 czerwca, był dla szerokiej publiczności jedną z okazji do bliższego zapoznania się z teatrzykiem Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Sz.K.A.P.A., czyli Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych, pracuje pod kierunkiem Władysława Kubienia. W marcu zaprezentowała dla węższego grona zaprzyjaźnionych widzów jubileuszowe przedstawienie z okazji pięciolecia zespołu. Program ten powtórzyła na Strzelnicy. Nowością była etiuda „Ręce", której premierowy pokaz odbył się w Görlitz podczas przygotowanego przez Kościoły ewangelickie czterech państw spotkania czterech narodów: Polski, Czech, Słowacji i Niemiec. Członkowie Szkapy zagrali ją razem z wychowankami ośrodka Diakonii Śląskiej Eben Ezer. Dla Szkapy jako teatru przedmiotu ręce właśnie są ważnym tworzywem służącym do budowania i przekazywania komunikatu ze sceny na widownię, a jednocześnie w tym spektaklu są tematem samym w sobie, występują jako podmiot i przedmiot działań scenicznych.

C.R.



Fot. KAZIMIERZ BRANNY

ŚWIĘTY JÓN W BYSTRZYCY

Nie ulega wątpliwości, że w Bystrzycy dba się o tradycję, a to głównie za sprawą dwóch zespołów, starszego, działającego przy MK PZKO, oraz dziecięcego, związanego z tutejszą polską szkołą. Oba zespoły łączy ich kierownictwo – rodzina Podzemnych z Czeskiego Cieszyna – Maria, Leonard i ich córka Dagmar. To dzięki ich niezwykłemu zaangażowaniu oba zespoły Bystrzyca i Łączka cieszą się powodzeniem po obu stronach granicy, a gmina Bystrzyca ma najlepszego propagatora.

Dziecięcy Zespół Folklorystyczny Łączka zaprosił mieszkańców swojej wsi 23 czerwca do współudziału w pięknej, choć zanikającej już tradycji obchodów wigilii św. Jana. Łączka przy wsparciu swoich starszych kolegów z zespołu Bystrzyca zaprezentowała w parku PZKO przy ognisku tańce i śpiewy związane z nocą świętojańską. Uczestnicy wspólnej zabawy wraz z zespołem podążyli nad Głuchówkę, gdzie dziewczynki puściły na wodę pięknie uplecione z ziół i kwiatów wianki.

E.S.













O PRACY SEKCJI LUDOZNAWCZEJ ZG PZKO W ROKU 2002

W roku 2002 na kolejnym zebraniu Sekcji Ludoznawczej (SL) ZG PZKO doszło do wewnętrznych zmian organizacyjnych, mających na celu usprawnienie pracy oraz poszerzenie i odmłodzenie kadr. Prezesem wybrany został Leszek Richter, 45-letni nauczyciel PSP i przewodniczący Izby Regionalnej w Jabłonkowie. Ma bardzo dobre rozeznanie w terenie w zakresie śląskiego folkloru. Jego zastępcą i doradcą stał się długoletni prezes Sekcji Jan Szymik. Warto dodać, że SL pracuje już ponad 35 lat. Na wniosek Jana Szymika przemianowano ją z pierwotnej nazwy Sekcja Folklorystyczna na Ludoznawczą, co lepiej odzwierciedla jej cele i posłannictwo. Sekcja współpracuje z organizacjami folklorystycznymi i ludoznawczymi w miejscowościach przygranicznych w Polsce. Kontakty polegają na wymianie lektorów, prelegentów i programów kulturalnych, dotyczących śląskiej i cieszyńskiej kultury ludowej.

Oprócz badań terenowych na temat historii i powstawania ludowych nazw miejscowych czy badań z zakresu ludowych określeń stopni pokrewieństwa upowszechnia i organizuje wycieczki, wystawy, odczyty, seminaria i terenowe zebrania wyjazdowe. W ubiegłym roku odbyły się dwa takie zebrania, połączone ze zwiedzaniem Karwiny i Jabłonkowa, które spotkały się z aprobatą przybyłych gości. Postanowiono więc je kontynuować. 31 maja br. odbyło się zebranie wyjazdowe SL w Skrzeczoniu z udziałem prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopy. Członkowie SL, wraz z prezesem ZG PZKO, byli gościnnie i serdecznie podejmowani przez członków Zarządu MK PZKO w Skrzeczoniu. Zwiedzili starannie przygotowaną i prowadzoną Izbę Regionalną od założenia Koła po dzień dzisiejszy. Podziwiano bogate kroniki, wycinki z prasy i zdjęcia. Miłym akcentem tego spotkania było przekazanie złotej odznaki Zasłużony dla Związku przez prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopę i prezesa sekcji Leszka Richtera Wincentemu Szelidze, członkowi MK w Skrzeczoniu i zarazem członkowi SL, który przez dłuższy czas z powodów rodzinnych i zdrowotnych nie mógł brać udziału w regularnych zebraniach SL. W asyście Wincentego Szeligi zwiedziliśmy miejscowy kościół katolicki, pomnik zamordowanych Polaków na frontach wojennych i w obozach zagłady na cmentarzu skrzeczońskim i inne pamiętne miejsca. Następne zebranie wyjazdowe planujemy we wrześniu w okolice Mostów koło Jabłonkowa.

W dokonaniach sekcji ważne miejsce zajmuje działalność wydawnicza (książki, publikacje, biuletyny, zeszyty ludoznawcze), którą znacznie utrudnia brak środków finansowych. Kierownictwo SL stara się ten problem rozwiązać częściowo we własnym zakre-

sie. Zwraca się też z prośbą o przyznanie darów sponsorskich do urzędów władz regionalnych i państwowych czy prosperujących przedsiębiorstw.

Praca SL jest bogata i różnorodna. W celu jej uatrakcyjnienia i wzbogacenia zapraszamy w swe szeregi wszystkich, zwłaszcza młodych ludzi, których w jakimkolwiek stopniu interesuje folklor oraz etnografia. Poszczególni członkowie Sekcji odwiedzą we wrześniu placówki PSP na naszym terenie, aby porozmawiać z dyrektorami i uczniami szkół i zachęcić ich do pracy w szeregach sekcji.

JÓZEF GÓRECKI

WYSTAWA OBRAZKÓW NA SZKLE ANTONIEGO SZPYRCA

Przez pół roku można będzie oglądać w sali wystaw Muzeum Těšínska w Jabłonkowie obrazki Antoniego Szpyrca, wystawione w ramach wystawy „Jabłonków na szkle malowany", której wernisaż odbył się 27 czerwca.

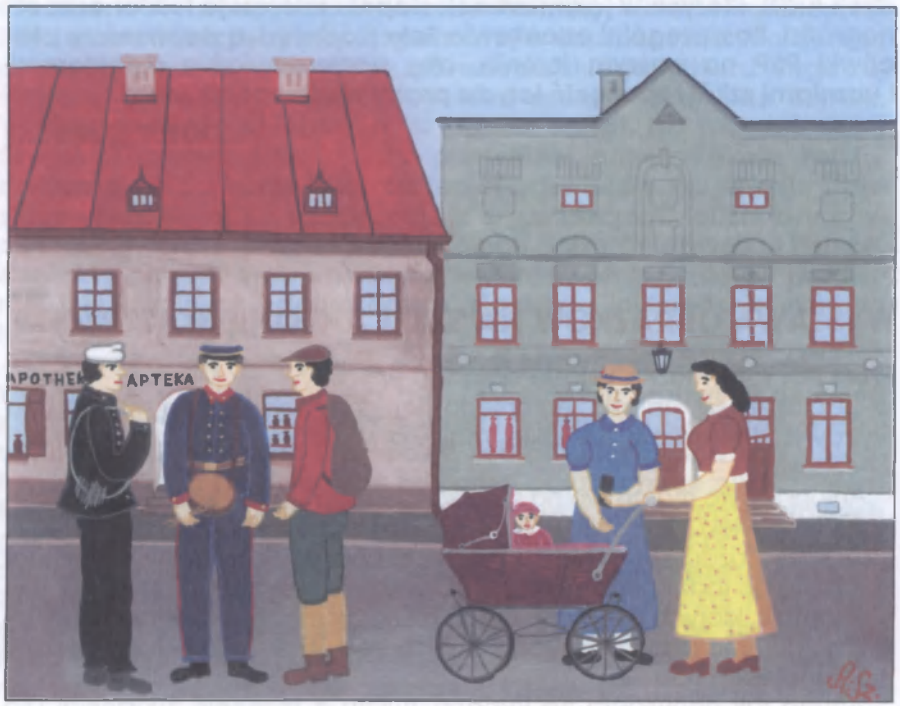
Antoni Szpyrc malarstwo na szkle zaczął uprawiać w latach osiemdziesiątych XX wieku. Zainspirowały go obrazki ludowe na szkle, które w XVIII i XIX wieku ozdabiały wnętrza wiejskich chałup. Szczególny sentyment odczuwa do rodzinnego starego Jabłonkowa, nieistniejących już uliczek, warsztatów, których fotografie i widokówki gromadzi, a te stają się inspiracją do malarstwa. Antoni Szpyrc jest też autorem publikacji o Jabłonkowie.

Artysta tak opowiadał na łamach Zwrotu o sposobie tworzenia: *Dla mnie najtrudniejszą sprawą, oprócz wymyślania motywu, jest wykonanie rysunku na papierze. Ten podkłada się pod szkło i zaczyna malować. Trzeba być dokładnym, gdyż kontury obrysowuje się cienkim pędzelkiem i trzeba się nauczyć kolejności nakładania farby. Malując na płótnie, najpierw robi się tło, a później postacie. Na szkle najpierw trzeba wykonać postacie pierwszoplanowe, potem drugi plan, trzeci itd., aż po niebo, które powstaje na końcu. Przy czym autor cały czas nie widzi, co namalował, aż do obrócenia obrazu. Błędów raczej nie można skorygować. W tej technice jest też ograniczona możliwość tonowania.*

Malarstwo na szkle w ostatnich latach cieszy się niezwykłym powodzeniem wśród odbiorców sztuki, a nie ma wielu artystów parających się tą żmudną techniką, toteż wszystkie wystawy prac Antoniego Szpyrca cieszyły się wielkim zainteresowaniem nie tylko na Zaolziu, ale i poza granicami Republiki Czeskiej, w tym szczególnie w Polsce. Artysta wystawiał

obrazki w Cieszynie, Wiśle, Bielsku-Białej, Opolu, Krakowie, Katowicach i Warszawie. Obrazki malowane na szkle przez Antoniego Szpyrca są przedmiotem marzeń koneserów sztuki w wielu krajach świata.

E.S.



POLEŚNIKI Poprzednikiem tej potrawy były najprawdopodobniej podpłomyki robione z parzonego ciasta na chleb razowy, pieczone na liściach kapusty lub liściach tataraku.

Do poleśników, nazywanych też poliźnikami, używamy ciasta drożdżowego robionego z mąki krupczatki („grysikowej", „grubej"). Robiono je na Śląsku również z mąki razowej. Tę właśnie (poniekąd zmodyfikowaną wersję) pozwalam sobie zaproponować szanownym czytelnikom ZWROTU.

Potrzebne nam będą następujące składniki: 1/2 l mleka, 2 łyżki cukru, 2 dag drożdży, 15 dag mąki krupczatki, 15 dag pszennej mąki razowej (celozrná), 1 jajko, 1 łyżeczka soli, świeże wierzchnie liście kapusty (na tę ilość ciasta około 10–14), masło i śmietana do polania, cukier puder.

Z 1/4 l letniego mleka z dodatkiem łyżki cukru i drożdży zrobimy w kubku rozczyn, kiedy wyrośnie, wlejemy go do mąki umieszczonej w misce, dodamy jajko, resztę mleka i cukru, sól i dokładnie zagnieciemy ciasto (powinno ono być rzadkie). Zostawimy w ciepłym miejscu, niech wyrośnie. Liście kapusty opłuczemy pod bieżącą wodą i odsączymy. Układamy je na brzegu płyty kuchennej (na płytce żeliwnej na palniku gazowym), dopóki nie zwiędną. Na tak przygotowane liście nakładamy ciasto i rozciągamy je łyżką na cienką warstwę. Pieczemy na płycie (płytce żeliwnej) na średnim ogniu na różowy kolor, nakrywamy drugim liściem, odwracamy i pieczemy z drugiej strony.

Poleśniki zdjęte z liści układamy na nagrzanych talerzach, skrapiamy stopionym masłem, polewamy śmietaną, posypujemy cukrem pudrem i podajemy. Podawano je również z roztopionym masłem, posypane tartym piernikiem.

Można też zamiast słodkiego mleka użyć do ciasta mleka zsiadłego („kiszki"), wtedy nie dodajemy drożdży.



FRYSZTACCY PEZETKAOWCY BILANSUJĄ

Co roku pod koniec czerwca spotykają się najaktywniejsi członkowie Miejscowego Koła PZKO w Karwinie Frysztacie, by w uroczystej atmosferze podsumować działalność poprzednich miesięcy. W Kole frysztackim pracują dwa chóry: żeński Kalina, którego dyrygentem jest Otokar Winkler, i męski Hejnał–Echo pod batutą Jadwigi Karolczyk. Co tydzień odbywają się spotkania panów w Klubie Seniora, któremu przewodniczy Józef Böhm. Co dwa tygodnie schodzą się pod kierownictwem Danuty Wałoszek panie w Klubie Kobiet. One też stanowią główny trzon uczestników organizowanych prawie co miesiąc akcji w kierowanym przez Danutę Ondruch Klubie Propozycji. Raz w miesiącu zbierają się członkowie Zarządu Koła z prezesem Heleną Wierzgoń na czele. Bardzo ważnym ogniwem, łączącym pojedynczych członków Koła, jednego z najliczniejszych, są rejonowi.

Do tradycyjnych imprez Miejscowego Koła należy styczniowy Bal PZKO, odbywający się zazwyczaj w Domu Przyjaźni, a przyciągający także wielu czeskich współobywateli, który, udany, jest zastrzykiem finansowym dla Koła na cały następny rok. W tym roku bawiono się 19 stycznia, do tańca przygrywała orkiestra UFO, a gościem był zespół Oldrzychowice. W lutym w ostatni wtorek karnawału zorganizowano Podwieczorek Ostatkowy, który był tym razem zabawą w swoim gronie. Niecodzienną akcją Koła była kwietniowa autobusowa wycieczka do Polski – do źródeł Olzy pod Gańczorką, podczas której zwiedzono także Koniaków i Istebnę, a przewodnikiem był pomysłodawca wypraw do źródeł Olzy Władysław Kristen z Czeskiego Cieszyna. W maju jak co roku świętowano Dzień Matki, program okolicznościowy przedstawili uczniowie szkoły, gościnnie wystąpił zaprzyjaźniony chór Piast z Żyglina. W Klubie Propozycji odbyło się spotkanie z lekarzem Dominikiem Tomankiem, a o pisarzu polskim J. I. Kraszewskim mówiła Danuta Ondruch. Po wakacjach w programie imprez znajdzie się m.in. Pożegnanie Lata, następnie w listopadzie Wystawa Książki Polskiej, a w grudniu Spotkanie przy Choince.

W Spotkaniu Aktywistów 18 czerwca wzięło udział pięćdziesiąt osób. W programie była także jajecznica i kołacze, ale przede wszystkim „Stara baśń". Przyjechali bowiem uczniowie najstarszej klasy PSP w Suchej Górnej, którzy ze swą polonistką Danutą Ondruch przygotowali półgodzinny spektakl na podstawie wybranych fragmentów „Starej baśni" J. I. Kraszewskiego. W przedstawieniu wzięła udział cała siedemnastka dziewiątoklasistów, wszyscy otrzymali role mówione i wydawało się, że granie sprawia im radość, że wraz z widzami dobrze się bawią.

C.R.



Z wystawy Klubu Kobiet w Domu PZKO w Karwinie Frysztacie
Niepodpisane fot. w kronice FRANCISZEK BAŁON

HENRYK JASICZEK

ECCE HOMO

Był taki święty, parał się drzewem,
ciosał, strugał, heblował.
W jego warsztacie wśród wiór i trocin
mały syneczek się chował.

A kiedy podrósł, dom porzucił,
prawdę szedł głosić po świecie.
I tylko matka po nim tęskniła
i bracia w Nazarecie.

A Święty Józef wciąż heblował,
majstrował stoły i trumny,
słyszał, że gdzieś tam krzyczą: Hosanna!
Smutny był z tego i dumny.

Wiedział, że taki już jest świat.
Najprzód baranka ostrzyżą,
potem się rzucą jak stado wilków:
ukrzyżuj go! ukrzyżuj!

Wróć raczej, synku, z niedobrej Judei,
która w Ciebie nie wierzy,
lepiej Ci będzie u mnie, w warsztacie,
przy heblu, przy siekierze.

Lecz syn nie wraca. W ciemnym ogrodzie
przed zwątpieniem się broni:
Czy mojej krwi bezmyślność ludzka
nie splami, nie roztrwoni?

Czy znów nie będą krzyczeć Hosanna!
a potem krzyżować proroków?
Czy znów nie będą wciskać palców
niewierni do mego boku?

A kiedy pójdę zmieszany z tłumem,
krwawiący, z przebitą dłonią,
czy mnie ktoś pozna? Krzyż podtrzyma,
czy krzyknie: Ludzie, ecce Homo!

* * *

Najsmutniejszy z kwiatów bratek
z sinym, podbitym okiem
pacierz do słońca powtarza,
a najczęściej w chłodzie marcowym
drży w kamiennych ogródkach
miejskiego cmentarza.

Najsmutniejszy z kwiatów to bratek,
w hierarchii kwiatów jest na szarym końcu,
I choć taki smutny, to jednak uparcie
podnosi twarzyczkę
do góry - ku słońcu.

ZOSTAŃCIE TU Z BOGYM...

Zóstańcie tu z Bogym,
kóniec mojej doli
i łzóm sie nie bróncie,
kiedy serce boli.

Zóstańcie tu z Bogym,
chociaż nie odchodzym,
jako to ziorneczko
w ziymi sie odrodzym.

Zóstańcie tu z Bogym,
żyjcie dycki w zgodzie,
pamięć mą szanujcie,
jak kwiotka w ogrodzie.

Zostańcie tu z Bogym,
a jo każdej wiosny
z wiatrym z gór przilecym,
w śnieżyczke urosnym.

Zostańcie tu z Bogym,
a jo każde lato
w zbożu wóm zaszumię,
w jabłóniach za chatą.

Zostańcie tu z Bogym
a każdej jesiyni
serce moji wierne
w róże sie zamiyni.

Zostańcie tu z Bogym
a kiedy śniyg spadnie,
w wilije przy stole
wspóminejcie na mnie.

Nic tu nie trwo wiecznie,
i mnie też czas w drogym,
już mnie kdosi woło -
zóstańcie tu z Bogym.

NA PODZIĘKOWANIE ZA ŻYCZENIA URODZINOWE 2.3.1974 R.

Ja nigdy nie zapominam,
pamiętam wciąż jak dawniej,
tylko jak brzoza podcięta
czasami milczę i krwawię.

Ja nigdy nie zapominam
o, przyjaciele z ulicy Bożka!
Tylko czekam cierpliwie
aż w sercu przygaśnie troska.

Ja nigdy nie zapominam,
choć sam skazany na zapomnienie,
choć w mojej duszy kwiat nadziei
czas przywalił kamieniem.

Ja nigdy nie zapominam,
choć tylu już nie pamięta,
że byłem z tych, co walczą o coś,
i z ducha zrzucają pęta.

Ja nigdy nie zapominam.
Gdy serce stanie w piersiach
będę do Was powracał
w tych moich smutnych wierszach.

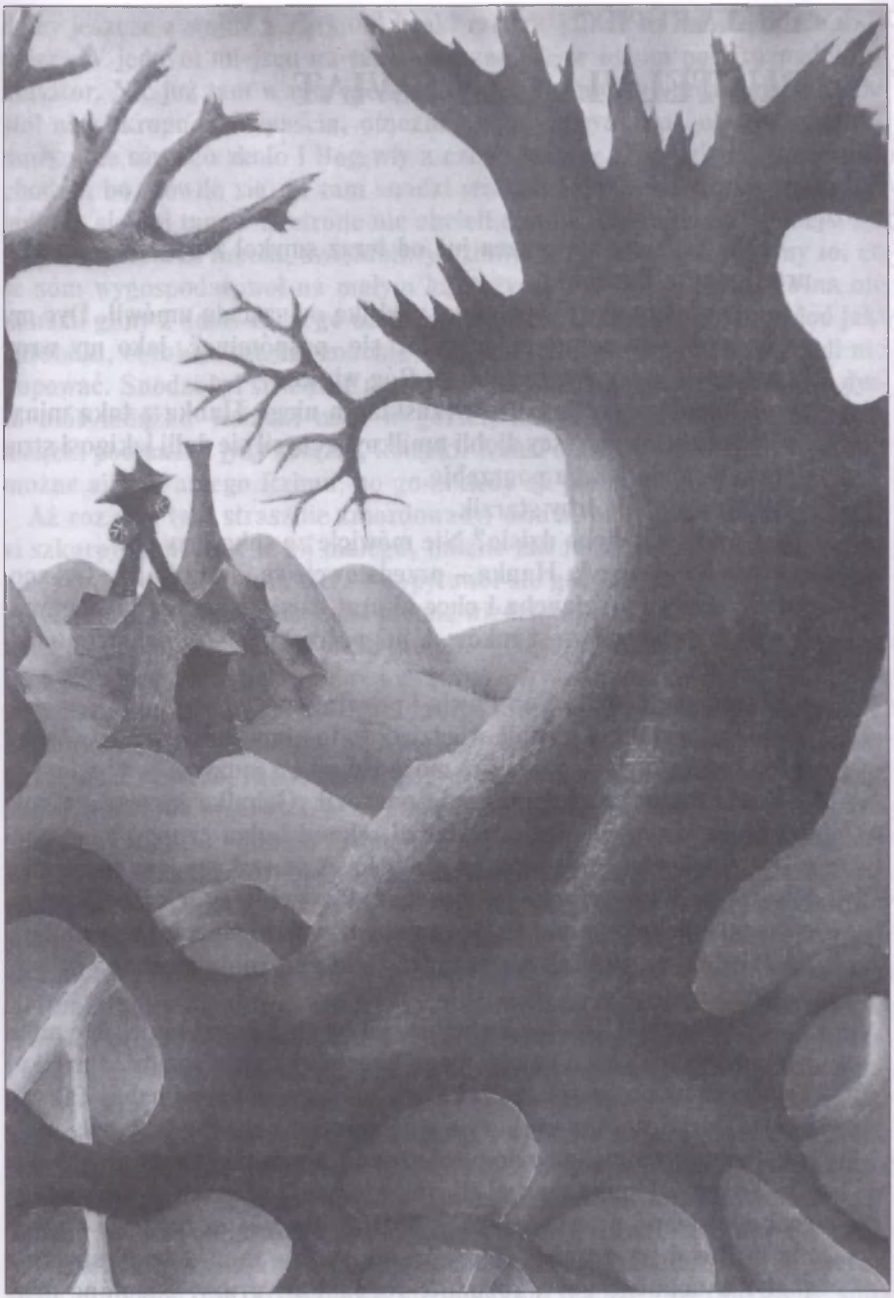
Będę do Was powracał
w wspomnieniach, po kryjomu,
dopóki wiersze moje
nie zabrzmią jak dźwięk dzwonów.

JÓZEFOM!

Oto już wiosna, wonna, radosna,
grab się zieleni, i bez i sosna.
Pachną fiołki, dzwonią sasanki,
i tulipanów są pełne dzbanki.
To do Józefów kwiaty się wdzięczą,
gdy imieniny w gromadzie święcą.
Bo tu na Bożka Józefów sporo:
I Lazar Józef, i Słowik Józef
i Sikora Józef.
Dla nich dziś wznoszę liryczny toast:
Na zdrowie! Sto lat! serdecznie wołam.
Niech złote słońce w sercu wam świeci
a w duszy radość rośnie jak kwiecie.
Niech Radegasta nigdy nie zabraknie,
ani wyborowej kiedy w gardle drapie.
Byście trosk mieli coraz mniej na głowie:
Sto lat nam żyjcie! Sto lat Józefowie!

23 marca 1974

Wiersze Henryka Jasiczka trafiły do redakcji zawiłą drogą. Pochodzą „z szuflady" p. Anny Konderlowej, która otrzymała je od sąsiada z Czeskiego Cieszyna Jana Morcinka, niegdyś dyrektora polskiej szkoły w Nawsiu, który długie lata przyjaźnił się z poetą, a ten podarował mu owe wiersze.



TADEUSZ WRATNY – olej

ANIELA KUPIEC

PUSTELNIA CZY ŚWIAT

– Nie bedziesz sie przeca już od teraz smykoł z dziywczackami – prawi matka Pawłowi.

– Ale mamo, dyć jo sie kapke z Milką od sąsiada umówił. Dyć my se chcymy jyny pomówić, pośmioć sie, pospóminać, jako my wroz krowy paśli, a wy z tego robicie, Bóg wiy co.

– Nie pujdziesz nigdzi! – wrzaskła na niego Hanka z taką miną, że Paweł zły jak wszyscy djobli umiłknył i chycił sie dalij jakigosi struganio. Ucichło jak na pogrzebie.

W tym wloz do izby starzik.

– Cóż tu tak cicho dzisio? Nie mówicie ze sobą, czy co?

– Ale bo – zaczyła Hanka – przedstowcie se, starziku, że tyn snopel sie umówił z dzieuchą i chce akurat dzisio iść z nią ku muzyce. Mo to dziepro osimnost roków, a już potrzebuje iść z dzieuchą – widzieliście to?

Starzik sie podziwoł na Pawła i prawi:

– Hanka, jakbyś chciała wiedzieć, to to nima żodyn snopel. To już je szykowny karlus, a taki już może iść aji ku muzyce.

Pawła jakby na złotego kónia posadził. Gębulka jeszcze na poły dziecięco sie rozjaśniła, przigładził rękami bujną czupryne, wypolił z izby kapke sie oblyc i już go nie było. A starzik sie jyny uśmiychoł i staroł sie kapke Hanke udobruchać. Powiadoł, że jeji Pawliczek je strasznie piekny synek i że sie i tak bedzie na kiedy mioł biyde ugnać od dzieuch, że go i tak nie poradzi dycki przi sobie niechać.

A óna na to:

– Tóż prawie! Tak bych chciała, co by zostoł przi mnie, dyć móm jyny ónego, cóż bych se bez niego poczła? Miyjcie rozum, starziku. To przeca ni ma możne, żeby każdy synek musioł mieć babe. Tak mu bedym odradzać, tak go bedym wachować, że choćby jako była piekno albo szykowno, to se do powiedzieć i nie bedzie sie żynił.

– To mosz Hanka marne! Siednij oto i dalij se łuskej fazole, a jo ci cosi opowiym – prawi starzik. – Tóż jak my byli za Austryje na wojnie w Bośni na granicy Hercegowiny, to my tam widzieli straszne skały, wysokucne gory, rozmaite rozpadliny, gruzy, popołóne dzie-

dziny jeszcze z wojny z Turkami i taki rzeczy, jakich tu ani okym nie uwidzisz. W jednym miejscu na takij strasznej skale był na poły rozpadniony klasztor. Nic już tam w nim nie było. Prziść ku niymu bardzo nie szło, bo stoł nad okropną przepaścią, otoczony wysokucnym, na poły rozwalonym murym ze samego skolo i Bóg wiy z czego jeszcze. Z ludzi tam żodyn nie chodził, bo mówiło sie, że tam snodzi straszy. Ludzie sie tego miejsca tak boli, że sie ani tam w te stróne nie chcieli dziwać. Opowiadali, że kiejsi żył w tym klasztorze mnich, świętobliwy człowiek, co mu starczyło jyny to, co se sóm wygospodarowoł na małym kąszczyczku jakijsi grządki, co na nie nanosił gliny z dołu. Z czego ón tam więcyj żył, żodyn nie wiy, czy jod jaki chroboki, chrabąszcze czy muchi, dość, że go ludzie nigdy nie widzieli nic kupować. Snodzi był strasznie mądry, bo jak kiedy go gdosi spotkoł, to dycki niós książki. Książki mioł w gorści, książki w miechu na plecach, książki pod pażą i jyny książki, książki. Kansi daleko musioł chodzić po to, możne aji do samego Rzimu, bo go nikiedy aji pore tydni nie było.

Aż roz szeł taki strasznie zmordowany, siod se odpocznyć na kraju jakijsi szkarpy i uwidzioł w nij małego, możne tak ze sztyry roki starego chłapieczka. Wyniós go tam stela i wypytowoł sie go, jak to, że tam wpod, kaj mo mame albo tate, ale dziecko nic nie wiedziało. Isto go ludzie stracili, jak uciekali przed wojskami - myśli mnich. - Nigdzi ani żywego ducha naokoło, a tu widać, że synek głodny i wystraszony - nic inszego, jyny go trzeba wziąć ze sobą. I wziył go do tego swoigo strasznego, surowego klasztoru.

Postanowił go wychować na świętego człowieka. Nejprzód go jednako uczył pisać, czytać, rachować, a potym wszystkigo, co ón umioł. Uczył go nejrozmaitszych mądrości, astronómije, łyczynio, uczył go o skałach, o drogach morskich, o cudzych krajach, o starych kulturach, ale jedno nejbardżyj dycki zaznaczoł w swoich naukach, że nejbardżyj na świecie i w życiu trzeba sie boć szatana. Szatana, kiery w nejrozmaitszej postaci chce sie dostać ku każdymu z ludzi, że trzeba sie go boć i trzeba go z daleka omijać i za nic na świecie ani z nim przemówić, ani posłóchać. Synek myśloł, myśloł nad tym wszystkim i święcie przirzeknył starymu, kierego nazywoł ojcym, że bedzie o tym pamiętoł i w modlitwach swoich nie zapómni prosić Pana Boga, coby go szatan nigdy nie dostoł w swoje pazury. Umioł sie modlić, a całym sercym był prziwiązany do swoigo świętobliwego staruszka. Starymu zaś skrzidła rosły z radości, jak widzioł, że jego nauki tak synka interesują i nie idą na marne, że synek jest coroz mądrzejszy, ale i coroz bardżyj ciekawy, co tam za tymi strasznymi murami może być. Stary mu mówił, że tam chodzą ludzie tacy, jako i my, że tam są dómy znacznie miynsze od tych klasztornych, że tam je strasznie moc ciekawych rzeczy, kiere mu kiejsi, jak przidzie na to czas, sóm pokoże. Weźnie go ze sobą

tam na dół, pokoże mu miasta i wsie i wszystko, co tam w nich je, ale aż sie nauczy wszystkigo, co ojciec umiy, i aż zrozumiy, że szatana sie trzeba naprowde nejbardżyj na świecie boć i nie pozwolić mu za żodne skarby przistąpić ku siebie.

Synek sie uczył, ale coroz częścij go brała ciekawość, co tam za murami jest i czy to wszystko jest tak, jako ojciec mówi, czy ludzie nikierzi mało umią, tak mało wiedzą, czy są źli albo dobrzi, czy tam na dole sie też tak jy, jako óni jedzą, czy też tam ludzie mają takich dobrych ojców jako ón i coroz więcyj takich i podobnych pytań plątło sie mu po głowie, aż już to mnich nie wydzierżoł i choć nigdy do swoigo wychowanka sie surowo nie odezwoł, to teraz go wzięła chęć cosi niepieknego mu powiedzieć. Po chwilce se to jednako rozmyślił, że już jest stary, że gdo wiy, jak długo jeszcze bedzie mu dane tu na ziymi sie motać, że szkoda chłapcu zrobić przikrość, i doł tymu pokój.

Jak już był jisty o jakisi czas, że synek sie nie do zwiyść do złego, że mo zdrowy pogląd na życi, że jest dość mądry na to, coby se umioł wybrać między złem a dobrem, wziył go ze sobą poza mury na dół, kaj normalni ludzie mieszkali.

Jak tak szli wąwozami, między skałami, to sie do młodego odezwoł: - Byłeś synku dobrym synym, posłósznym, pracowitym, uczyłeś sie dobrze, nauczyłeś sie kupe ody mnie i z książek, muszę cie za to wynagrodzić. Bedymy se tak chodzić między rozmaitymi sklepami, pomiędzy targowiskami, pooglądosz se wszystko, a co ci sie nejbardżyj bedzie podobać, to ci to kupię. - Choćby to było aji drogi? - pyto sie synek. - Choćby to było aji bardzo drogi - odpowiado mnich.

Idą tak, idą, a jak zeszli na dół, w pół cesty do ludzkich chałup spotkali piekną dzieuszke. Synek zdziwióny pyto się: - Ojcze, co to jest? - A mnich zaskoczóny, widzi nadzwyczaj zachwycóną mine synka, odpowiado: - Synu mój, to jest szatan! - A chłapiec na to: - Jo to chcę! - Mówię ci, synu mój, że to jest szatan, to diabeł. - Ale ojcze, tyś też mi mówił, że co bedym chcioł, to mi kupisz. - To sie nie dostanie kupić - wykręco sie mnich, a pot mu aż oczy zalywo.

Synek jednako nalygoł, już ani nie chcioł iść dalij, oglądać ty obiecane cuda i dziwy na targach, jarmarkach czy inszych sklepach, jyny bnioł, coby mu „To" stary kupił.

Wrócili pod wieczór do klasztoru obo bardzo nieszczęśliwi. Mnich, że całe jego nauki poszły na marne, a chłapiec, że stary nie dodzierżoł słowa i nie doł mu tego, co było obiecane. Długo jeszcze uczył go mnich o czystości ciała i ducha, o szatańskich zakusach na ludzki serce i dusze, ale nic nie pumogało. Synek sie jyny dziwoł kansi przed siebie, był coroz smut-

niejszy, aż roz w jedyn wieczór mówi: - Ojcze, wybroł bych sie kaj do świata. - A czegóż tam bedziesz chladoł w tym świecie? - stary sie pyto. - Mosz książek całe kupy, a w nich mądrości tela, żebyś móg gory przenoszać, na co ci jeszcze iść do świata? -

- Mój drogi ojcze - mówi z namysłym syn. - Pujdym kaj między ludzi i bedym chladoł tego szatana, o kierym muszym dniym i nocą rozmyślać, możne go jeszcze kansi nóndym, bo na co mi ty wszystki mądrości, kiej mie tak w sercu cosi boli, że ani spać, ani jeść już ni mogę. Dy go Pan Bóg stworził, to musi być na świecie potrzebny.

Mnichowi sie zdało, że sie pod nim ziym zapado, ale porozmyśloł na chwile, utrził ukradkym łze i odeszeł do swojij kumory. Przez trzi dni przeleżoł jak nimocny. Strasznie rozmyśloł, chladoł pumocy we wszystkich wyczytanych mądrościach, aż przyszeł na to, że to je zwykłe wołani, co idzie skądsikej ze serca ziymie, że to tak je od początku stworzynio i że to tak isto musi być i nie pumoże tu ani strach ze szatana czy diobła. Że nie zostanie tyn synek ani mnichym, ani pustelnikym, na to wyglądo - choć gdo wiy? Potym wstoł ze skrómnego barłoga, zawołoł syna, ugłoskoł go, uściskoł i pozwolił mu opuścić klasztor i iść do świata.

Dłógo stary chodził po celach klasztornych, po urwiskach, skałach i wyczakowoł, jesi sie synek nie wróci, ale na darmo. Nie było go, nie było, a stary sie coroz bardżyj ku ziymi przigiboł, aż roz już jako niedołężny i zgrzibiały starzec wyszeł ze swojij pustelnie i już sie tam nie wrócił. Żodyn nie wiy, co sie z nim stało.

Od tego czasu już jyny ruiny tyrczą nad przepaściami, a nocami sie tam odzywają jakisi jęki, głosy, jakby gdo płakoł, hukania sów i podejrzane narzykania. Ludzie tam nie zoglądają, bo sie boją, a nóm jako wojokóm tam nie uchodziło bobrować, jak my ni mieli takigo rozkazu. A też ci sie przinóm, było nóm otępne sie tam kansi zapuszczać do takigo uroczyska.

Ale widzisz Hanka, że to już taki je, że młody musi chladać jakigosi pocieszynio, bo gdyby tak nie było, to by to było nienormalne. Nie wojuj ze synkym, jak bedzie chladoł dzieuchi, bo par, aji tymu pustelnikowi było jasne, że przeciwko przirodzie nic nie poradzi. Ludzie chcą żyć w rodzinach i isto to tak beje do końca świata. -

Hanka porozmyślała nad tym, co starzik prawił i jak Paweł przyszeł od muzyki, to mu ku jego zdziwiyniu ani nic nie wyczytała, ani sie z nim nie wadziła, jyny sie szykownie spytała, czy stoło za to iść na muzyke i czy sie aspóń dobrze bawił. Jak widziała, jaki je szczęśliwy i wiesioły, to se w duchu pomyślała, że starzik mo swoją mądrość i że go isto bedzie trzeba posłóchnyć, nie zabraniać Pawłowi bawić sie z dziywczętami i chladać czego godzónego ku licu.

I MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL POETYCKI W ATENACH I NA EUBEI

Z inicjatywy starostów i organów samorządowych kilku miast wyspy Eubei, miasta Aulidy, greckiej pisarki Marii Mistrioti z Chalkidy, mieszkającego na stałe w Poznaniu greckiego pisarza Nikosa Chadzinikolaua i Związku Pisarzy Grecji (centrum Ateny) przy współpracy Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej odbyło się od 9 do 14 maja I Międzynarodowe Spotkanie Poetów w Atenach i na wyspie Eubea. Głównym tematem spotkania stała się rola poezji w przyjaźni między narodami. Poezja jest, jak podkreślali organizatorzy, wyrazem miłości, która łączy narody.

W Spotkaniu wzięli udział pisarze Grecji, Polski, Austrii, Rumunii, Hiszpanii, Włoch, Niemiec, Francji, Estonii, Iraku, Republikę Czeską reprezentował autor tej notatki i Jan Pyszko, członek Zrzeszenia Pisarzy Polskich w RC. W bogatym i interesującym programie znalazło się przyjęcie pisarzy przez starostę Eubei Nikosa Papandreou, prezydenta miasta Chalkidy, starostów miast Eretrei, Lilandionu i Aulidy, ambasadora RP w Grecji Grzegorza Dziemidowicza.

Mieszkaliśmy w głównym mieście wyspy w Chalkidzie. Wyspa Eubea słynie z przepięknej przyrody i żywego ruchu turystycznego, jest zarazem bogata w zabytki, znajduje się na niej kilka muzeów kultury antycznej, które zwiedziliśmy. Wyjątkową atrakcją były dopiero niedawno odkryte wykopaliska w Aulidzie. Warto wspomnieć o wycieczce na Akropol i do sławnych Delf. W Atenach zawitaliśmy także do wydawnictw Kaktos i Elefterotypia.

Trzeba złożyć hołd greckiej pisarce Marii Mistrioti, bez jej wkładu organizacyjnego festiwal nie odbyłby się. Ważnym wydarzeniem było nadanie honorowego obywatelstwa miasta Chalkidy Nikosowi Chadzinikolau, wybitnemu tłumaczowi literatury greckiej i polskiej, prawdziwemu duchowemu ambasadorowi Grecji w Polsce, któremu towarzyszył koncert fortepianowy jego syna Aresa. Uczestnicy festiwalu czytali też w obecności kamer telewizyjnych i mikrofonów radiowych swoje wiersze. W parku Chalkidy, w pobliżu wybudowanego ku czci pierwszych osadników wyspy kościółka, za każdy kraj zasadzili drzewko.

KONFERENCJA LITERACKO-NAUKOWA „TRANSFORMACJA KULTURY W POLSCE I W CZECHACH W LATACH 1989-2002" W POZNANIU

Z inicjatywy literaturoznawcy prof. dra hab. Bogusława Bakuły, pracownika naukowego Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, przebiegła od 3 do 5 czerwca trzecia już konferencja komparatystyczna, tym razem na temat „Transformacja kulturowa w Polsce i Cze-

chach w latach 1989-2002: nauka, literatura, życie literackie, kino, teatr, prasa, szkolnictwo".

Jak podkreślił B. Bakuła, bezsprzeczna jest ingerencja procesów transformacji, dynamicznie przebiegających w Europie środkowej w latach 90., między innymi w nauki społeczne, struktury instytucji naukowych i kształceniowych i życie członków organizacji twórczych. Na tej podstawie można porównać oblicze i rezultaty zmian społecznych i politycznych tak w Polsce jak w RC. Znaczenie konferencji podkreślił fakt, że uczestniczyli w niej wicedyrektor Instytutu Filologii Polskiej UAM prof. dr hab. Krzysztof Trybuś i kierownik Instytutu Filologii Słowiańskiej prof. dr hab. Bogusław Zieliński.

Dwa przyczynki dotyczyły problematyki zaolziańskiej literatury i kultury. Referat autora tej notatki o transformacji kultury i literatury polskiej mniejszości narodowej na Zaolziu dopełniał się wzajemnie z referatem mgr. Bernda Karwena z Lipska, który mówił o problematyce przekładu dzieła polskiego pisarza z Zaolzia Wilhelma Przeczka na język niemiecki.

W programie było także otwarte posiedzenie Zakładu Teorii i Historii Literatury XX Wieku, które prowadził znakomity polski teoretyk literatury prof. dr hab. Edward Balcerzan, a w którym uczestniczyła także prof. dr hab. Ewa Kraskowska, dziekan Wydziału Filologii UAM. W ramach posiedzenia wystąpił m.in. polski bohemista prof. dr hab. Jacek Baluch z Krakowa, były ambasador RP w Pradze, który mówił o czeskiej literaturze lat 90. z polskiego punktu widzenia.

Konferencje o charakterze komparatywnym zgodnie z obietnicą mają stać się w Instytucie Filologii Polskiej UAM tradycją, jak również powinien ukazać się zbiór referatów z tej konferencji pod redakcją B. Bakuły.

Jest sprawą oczywistą, że nie uchodzą uwagi badaczy literatury, zwłaszcza komparatystów, problemy związane z życiem kulturalnym polskiej mniejszości narodowej i że uświadamiają sobie oni znaczenie literatury i kultury na pograniczu państw czy na styku różnych kultur, do których należy także region Zaolzia.

PLAMA OBCHODZIŁA PIĘCIOLECIE ISTNIENIA

W Rybniku na Górnym Śląsku powstało przed pięcioma laty czasopismo Plama, poświęcone poezji, prozie, sztukom plastycznym, krytyce literackiej, fotografii, teatrowi i muzyce. Choć nie jest jedynym tego rodzaju pismem na Śląsku (przypomnijmy katowickie pisma Śląsk, Opcje, FA-Art, wrocławską Odrę), zyskało uznanie w kraju i za granicą. Drukuje także poezję czeską w polskim tłumaczeniu Wilhelma Przeczka, Stanisława Krawczyka, Renaty Putzlacher (przetłumaczyła teksty piosenek Jaromíra Nohavicy). Były to urywki poezji Jaroslava Seiferta, Karla Křepelki, Lydii Romanskiej, Vladimíra Křivánka, Lubora Kasala i Martina Josefa Stöhra. Słowackich poetów Ivana Štrpkę, Ericha Grocha, Stanislavę Chrobákovą, Mariána Milčáka i Miroslava Brücka przełożył Franciszek Nastulczyk.

Redakcja stawia sobie za cel otwarcie pisma na nowe, ponadlokalne kręgi twórczości kulturalnej i artystycznej, stworzenie pomostu między kulturą polską i obcą. Na łamach Plamy publikują oprócz autorów polskich także pisarze z Anglii, Czech, Danii, Izraela, Litwy, Niemiec, Słowacji, Szwecji, USA itd.

Z okazji jubileuszu pięciolecia ukazał się numer z 140 stronami (Plama 2002/1). Znalazły się w nim także wiersze czeskich autorów Zena Kaprála, Zdeňka Janíka, Jana Frolíka i Libora Martinka w tłumaczeniu Wilhelma Przeczka, Kazimierza Kaszpera i Jana Pyszki. Numer poświęcony został tzw. kulturze kresów.

LIBOR MARTINEK

STUDENCI O WILHELMIE PRZECZKU

Pavlína Ciencialowa, studentka Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, przygotowuje pod kierunkiem doc. Ladislava Soldána i dra Libora Martinka pracę magisterską na temat „Wilhelm Przeczek jako dramaturg i publicysta". Będzie to już trzecia praca dyplomowa poświęcona temu pisarzowi. Pierwsza, autorstwa Zbigniewa Bańskiego, pisana pod kierunkiem prof. Jacka Kolbuszewskiego, powstała w 1991 roku na Uniwersytecie Wrocławskim i nosiła tytuł „O poezji Wilhelma Przeczka". Drugą napisała w 1994 roku E. Więcek-Pawlus pod kierunkiem prof. Edmunda Rosnera i dr Aleksandry Humel w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.

Pavlína Ciencialowa mówiła też o Wilhelmie Przeczku podczas konferencji studenckiej Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Jej referat dotyczył przede wszystkim zbiorku „Bedeker intymny", ale zawierał także myśli na temat całokształtu twórczości pisarza. Poezję Wilhelma Przeczka określiła m.in. w następujący sposób: *Poezja Wilhelma Przeczka ma niezwykły urok. Sam Przeczek mówi, że poezja musi do człowieka przemówić, obudzić w nim fantazję, a jeśli tak się nie stanie, czytelnik powinien książkę zamknąć i odłożyć. Wiersze Wilhelma Przeczka zawierają bogactwo myśli i słów. Poeta w każdym słowie zanurza się jakoby w większej przestrzeni, w świecie wewnętrznym, w nieskończoności. Wcześniejsza poezja Przeczka jest dla uważnego czytelnika stosunkowo łatwo zrozumiała, jakby przezroczysta. Z biegiem lat stają się jego wiersze często pełne zagadek i czegoś niepoznawalnego.*

WIERSZE WILHELMA PRZECZKA W MYŚLI PROTESTANCKIEJ

Myśl Protestancka jest kwartalnikiem społeczno-kulturalnym, ukazującym się w Katowicach. Wydaje go Fundacja Kultury Chrześcijańskiej w Katowicach, redaktorem naczelnym jest Jan Szturc. W Dziale literackim tego pisma w numerze 4/2001 znalazły się także wiersze poety z Zaolzia Wilhelma Przeczka „Dworzec katowicki", „Pomnik", „Dom Chopina".

Opr. C.R.

60 LAT MINĘŁO... PANIE KAROLU

W każdym kraju, niezależnie od szerokości geograficznej, są instytucje, które kojarzą się z nazwiskami ludzi z nimi związanymi. W świecie nieco mniejszym, jakim jest nasze Zaolzie, utożsamianie ma znaczenie szczególne, często poprzez konkretny wykonywany zawód, a nie tylko funkcję postrzegamy człowieka w znacznie szerszym kręgu kulturowym.



Od wielu lat, a właściwie, można by rzec, już kilku pokoleniom Zaolziaków i nie tylko nieobce jest nazwisko Karola Suszki.

Po ukończeniu Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie jako elew pojawił się na deskach Sceny Polskiej czeskocieszyńskiego teatru w roku 1959. Rok później był już w Warszawie jako student Akademii Teatralnej. W roku 1965 jako aktor powrócił na cieszyńską scenę. Potem były studia reżyserskie w Pradze i znów powrót do rodzimego teatru, tym razem już jako reżysera. Od roku 1979 do 1988 Karol Suszka jest kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej. Widzowie zapamiętali z tych lat wiele spektakli wyreżyserowanych i zagranych przez Karola Suszkę, a Scena Polska odnosiła sukcesy artystyczne również w Polsce. Po Scenie Polskiej przyszła kolej na Scenę Czeską, a potem Teatr im. J. Szaniawskiego w Płocku i Teatr A. Mickiewicza w Częstochowie. I wreszcie od jesieni 2000 Karol Suszka obejmuje funkcję dyrektora Teatru Cieszyńskiego, ale nie zaprzestaje bycia aktorem i reżyserem. Z okazji 50-lecia Sceny Polskiej widzowie podziwiają w jego reżyserii „Dziady" A. Mickiewicza. Scena Polska jak niegdyś dociera do małych świetlic PZKO, a widzowie z entuzjazmem podziwiają Karola Suszkę jako tłumacza, aktora i reżysera w kameralnym przedstawieniu M. Štibry z intrygującym polskim tytułem „Proszę, zrób mi dziecko".

Trzeba przyznać, że na Zaolziu jest szczególny sentyment do teatru i można by powiedzieć, że Zaolziacy w tym zakresie doszli do perfekcji, bo któż wśród Polonii świata poza nami ma zawodowy teatr, tyle amatorskich teatrów grających na wsi i tyle recytujących dzieci. Nic nie powstaje z próżni. Teatr amatorski dał podwaliny teatrowi zawodowemu, a dziś zawodowcy pomagają amatorom. Były i są kursy wodzireja, spotkania z poezją, konkursy recytatorskie, literackie audycje radiowe z udziałem aktorów. I tu zawsze był i jest obecny Karol Suszka. I chwała mu za to, że nie szczędzi czasu na spotkania Kawiarenki Pod Pegazem w Jabłonkowie, recytacje w Bibliotece Regionalnej w Karwinie czy przesłuchiwanie jako jury młodych recytatorów podczas finału konkursu Kresy w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie.

Panie Karolu, prosimy o to samo i jeszcze więcej.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

„REWIZOR“ W CZESKIM CIESZYNIE



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

Wydawało się, że nazwisko Marka Perepeczki, aktora dzięki telewizji bardzo dobrze znanego szerokiemu kręgowi publiczności, będzie gwarantem wysokiej frekwencji na widowni podczas gościnnego spektaklu Teatru im. Adama Mickiewicza z Częstochowy na scenie Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie. Marek Perepeczko jest dyrektorem teatru częstochowskiego, reżyserem i odtwórcą roli Horodniczego w przedstawieniu „Rewizora“ Mikołaja Gogola, które 19 czerwca obejrzeli także widzowie zaolziańscy. Jednak nie udało się zapełnić niewielkiej przecież sali TC. Niech więc żałują ci, którym nie chciało ruszyć się z domu, bowiem opinie widzów opuszczających teatr po przedstawieniu były na wskroś pozytywne. I zgodne niezależnie od płci i wieku oceniającego.

W południe zagrał częstochowski teatr dla młodzieży szkolnej i tak samo dobrze został przez nią przyjęty jak wieczorem przez widzów dorosłych. Co ciekawe, podkreślano, owszem, znakomitą grę Marka Perepeczki, jego profesjonalizm, ale widzów zachwyciła cała obsada, aktorzy trafnie do odgrywanych postaci dobrani i ucharakteryzowani. Groteskowo ujęty, skłaniający jednak niekiedy do przekroczenia tej cienkiej linii graniczącej między aktor-

stwem satyrycznym w najlepszym tego słowa znaczeniu, a przerysowaniem, szarżowaniem, temat dawał widzom możliwość zabawy bez zastanawiania się nad głębszymi pokładami etycznymi oglądanej sztuki.

Lecz widzowie zauważyli je także, wydobyli i zwrócili uwagę na ich aktualność. Bez konieczności wprowadzania poprawek, które pomagałyby zrozumieć treść i niuanse znaczeniowe. Nie bez racji napisano w zaproszeniu na przedstawienie: *Gogolowy „Rewizor" nie traci - mimo historycznych i politycznych przełomów, przemian cywilizacyjnych i kulturowych, mimo że świat przecież już nie ten - na aktualności. Zdanie z finałowego monologu Horodniczego „Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!" wciąż burzy początkowy dobry nastrój i nie pozwala nam wyjść beztrosko z teatru. To dobrze...*

„Rewizor" znalazł się niedawno w spisie sztuk do realizacji w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego, zrezygnowano z niego na rzecz spektaklu gościnnego. Jest to jednak pozycja, którą warto podtrzymać w szerokich planach repertuarowych naszej zaolziańskiej sceny, bo nie każdą klasykę światową da się oglądać jak sztukę współczesną o nas samych i ludziach wokół nas.

CZESŁAWA RUDNIK

TO I OWO

POLACY NAJMĄDRZEJSZYMI EUROPEJCZYKAMI

Czeski dziennik Lidové noviny (26. 6. 2002) pod intrygującym dla nas tytułem „Polacy są najmądrzejszymi Europejczykami" opublikował wyniki przygotowanego przez czasopismo Reader's Digest testu, jaki rozwiązało 3800 osób w 42 miastach 19 krajów Europy. Ogólnie w 16 państwach lepiej odpowiadali mężczyźni niż kobiety, które lepiej wypadły tylko w Rosji i Norwegii, natomiast w Szwajcarii wiedza była wyrównana. 48 procent pytanych nie potrafiło odpowiedzieć na pytanie, kto jest prezydentem Komisji Europejskiej.

Na pierwszym miejscu uplasowali się Polacy, którzy z 20 pytań testu przeciętnie na 5 odpowiedzieli błędnie (średnia punktów z 20 możliwych do zdobycia wynosiła 15,44). Za Polską znalazły się Dania, Włochy, Austria, Szwajcaria, Niemcy, na siódmym miejscu Republika Czeska (13,67 punktów), a następnie Szwecja, Finlandia, Norwegia, Węgry, Belgia, Francja, Holandia, Hiszpania, Rosja, Słowacja (11,67), Wielka Brytania i na ostatnim miejscu Portugalia (9,55).

Skąd wziął się sukces Polaków? Na to pytanie odpowiada brytyjskiej BBC Bob Low z Reader's Digest: *Polaków bardzo interesuje Europa, ponieważ chcą w 2004 roku wejść do Unii Europejskiej. Europa jest dla nich od dłuższego czasu synonimem wolności, niezależności.*

EUROTEST

1. Jaką nazwę nosi najwyższy szczyt zachodniej Europy?
a) Matterhorn
b) Eiger
c) Mont Blanc

2. Kto jest prezydentem Komisji Europejskiej?
a) Jacques Delors
b) Romano Prodi
c) Jacques Santer

3. Z jakiego kraju pochodzi spółka Nokia?
a) ze Szwecji
b) z Danii
c) z Finlandii

4. Kto powiedział: „Cogito, ergo sum" (Myślę, więc jestem)?
a) Voltaire
b) Kant
c) Kartezjusz

5. Gdzie znajduje się dom Anny Frank?
a) w Berlinie
b) w Wiedniu
c) w Amsterdamie

6. Który z krajów UE jest najbardziej zaludniony?
a) Francja
b) Wielka Brytania
c) Niemcy

7. Jak nazywa się stolica Rumunii?
a) Budapeszt
b) Bratysława
c) Bukareszt

8. Kto po raz pierwszy sformułował pełną teorię grawitacji?
a) Kepler
b) Kopernik
c) Newton

9. Które z tych państw nie jest członkiem UE?
a) Szwecja
b) Norwegia
c) Portugalia

10. Kto jest autorem fresków w Kaplicy Sykstyńskiej?
a) Leonardo da Vinci
b) Michał Anioł
c) Rafael

11. Gdzie urodziła się śpiewaczka Björk?
a) w Szwecji
b) w Niemczech
c) w Islandii

12. Ilu członków ma UE?
a) 15
b) 13
c) 12

13. Kto jako pierwszy podał teorię o mikrobiologicznym pochodzeniu chorób?
a) Maria Curie
b) Louis Pasteur
c) Aleksander Fleming

14. Kiedy runął mur berliński?
a) 1989
b) 1990
c) 1991

15. Jaką nazwę nosił St. Petersburg w roku 1985?
a) Piotrogród
b) Stalingrad
c) Leningrad

16. Jaki konflikt ukończył pokój w Wersalu?
a) pierwszą wojnę światową
b) drugą wojnę światową
c) wojny napoleońskie

17. Gdzie odbywać się będą IO w 2004 roku?
a) Berlin
b) Ateny
c) Paryż

18. Kto jest autorem bajki o Jasiu i Małgosi?
a) Hans Christian Andersen
b) Johann Wolfgang Goethe
c) bracia Grimm

19. Afrodyta była boginią
a) urodzaju
b) miłości
c) łowów

20. Kto skomponował „Odę do radości"?
a) Beethoven
b) Mozart
c) Puccini

Prawidłowe odpowiedzi: 1c, 2b, 3c, 4c, 5c, 6c, 7c, 8c, 9b, 10b, 11c, 12a, 13b, 14a, 15c, 16a, 17b, 18c, 19b, 20a

KULA U NOGI MINISTRA DOSTÁLA

Kurier Praski 4/2002 wydrukował notatkę z fragmentem wypowiedzi ówczesnego ministra kultury RC Pavla Dostála, jaka ukazała się w dzienniku Mladá fronta DNES (9. 3. 2002):

Znaczącym krajowym pismom literackim grozi zanik, ponieważ państwo nie ma pieniędzy na ich popieranie - stwierdził wczoraj na targach książki Libri w Ołomuńcu minister kultury Pavel Dostál.

Polityka kulturalna w tej dziedzinie musi być mocno dotacyjna. Niestety wraz z obniżeniem budżetu Ministerstwa Kultury obniżyć musieli swoje żądania także wydawcy tych pism. W listach do mnie czasopisma literackie twierdzą, że jeśli nie zapewnimy dotacji w pierwotnej wysokości, zanikną. Dotyczy to Literárních novin, Hosta, Tvaru i innych - powiedział Dostál, który twierdzi, że Ministerstwo nie dysponuje żadną rezerwą. - Pozostaje mi tylko nadzieja, że zdobędę pieniądze od sponsorów. Jednak sponsorzy nie lubią wspierać takich inicjatyw.

Zaraz jednak minister dodał, że właściwie resort kultury znalazłby, ba, nawet miałby pieniądze na wsparcie pism literackich:

W jednym dziale budżetu mam zablokowanych trzydzieści milionów koron na

wydawanie czasopism mniejszości i narodowości. Ta pozytywna dyskryminacja powoduje, że czeska literatura nie ma pieniędzy na swoją propagację i refleksję, natomiast pisma mniejszościowe muszą otrzymać trzydzieści milionów. To straszna dysproporcja - wyraził swój pogląd Dostál.

Według ministra o dotację prosi dziesięć do piętnastu periodyków literackich i około dwudziestu pięciu periodyków mniejszości i narodowości.

Barbara Sierszuła, redaktor naczelny Kuriera Praskiego, pisze w komentarzu: *Z narzekań czeskiego ministra kultury Pavla Dostála na konieczność dotowania prasy mniejszościowej, co powoduje ponoć brak środków na wydawanie Literárních novin, Hostu, Tvaru, wynika, że mniejszości narodowe są kulą u nogi kultury czeskiej. Już to, że zabierają pieniądze potrzebne na rodzimą twórczość, musi wzbudzać wobec nich niechęć.*

EUROPEJCZYK OLBRYCHT

Tak nazwał tygodnik Głos Ziemi Cieszyńskiej (14.6.2002) marszałka województwa śląskiego Jana Olbrychta, pisząc o jego sukcesach w Brukseli. Przed dwoma laty stanął Jan Olbrycht na czele dwunastoosobowej polskiej grupy w Kongresie Władz Lokalnych i Regionalnych Europy, zrzeszającym przedstawicieli samorządów z państw Unii Europejskiej i krajów kandydujących. Teraz Olbrycht wybrany został wiceprzewodniczącym tego Kongresu. Stał się także przewodniczącym Komitetu Instytucjonalnego Izby Regionów. Przypomnijmy, że Jan Olbrycht był w tym roku gościem Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie, zanim został marszałkiem województwa śląskiego, był burmistrzem Cieszyna.

JAN KUBISZ PATRONEM SZKOŁY

Jan Kubisz, nauczyciel, pisarz i działacz społeczny, autor „Pamiętnika starego nauczyciela" i hymnów zaolziańskich „Nad Olzą" i „Ojcowski dom", został, jak napisał Głos Ziemi Cieszyńskiej (31.5.2002), patronem Gimnazjum nr 2 w Cieszynie, w którym uczy się 380 uczniów. Uroczystość nadania szkole imienia odbyła się 21 maja w cieszyńskim Domu Narodowym. Jan Kubisz wybrany został spośród sześciu kandydatów, poza nim na liście kandydatów do tytułu patrona szkoły znaleźli się: Kazimierz II Piast, ks. Jan Leopold Szersznik, Paweł Stalmach, ks. Józef Londzin, Janina Marcinkowa. Szkoła ogłosiła konkurs na patrona rok wcześniej, przez cały rok uczniowie szkoły zaznajamiali się z sylwetkami kandydatów, poznawali ich życiorysy i zasługi.

Opr. C.R.

EDWARD BUŁAWA
(1925-2002)

22 czerwca 2002 roku rozpoczął swe wieczne wakacje na wezwanie bogini Klio, patronki historii, i odszedł do annałów przeszłości nauczyciel z Istebnej Kubalonki, wieloletni pracownik naukowy Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, członek Polskiego Towarzystwa Historycznego, Oddział w Cieszynie, dr Edward Buława.

Wychowany w trudnych warunkach rodziny górniczej w zagłębiu karwińskim w Łąkach należał razem z bratem Wiktorem, doktorem biologii, inicjatorem planowego zazielenienia Cieszyna, do tego pokolenia, które określało się w przeszłości - „self made man".

Byli to ludzie, którzy własną pracą i wiedzą zdobywali „od podstaw" wysokie szczeble awansu życiowego. Przyświecał im tradycyjny, pozytywistyczny z XIX wieku ideał kariery, np. chłopca z kujawskiej zagrody chłopskiej z Szymborza - Janka Kasprowicza, z którego wyrósł „poeta laureatus" i rektor Uniwersytetu Lwowskiego. Podobną drogę przebyli również profesor Stanisław Pigoń „z Komborni w świat", czy nasz rodak Jan Szczepański z ustrońskiego Poniwca, który „korzeniami wrósł" w cieszyńską ziemię.

Jako górniczy syn poszedł w ślady swego ojca i w czasie okupacji pracował w jednej z karwińskich kopalni. W 1945 roku rozpoczął naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Cieszynie, a po uzyskaniu świadectwa dojrzałości rozpoczął studia historii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Przez osiem lat pracował jako nauczyciel w sanatoryjnej szkole w Istebnej Kubalonce. Od 1960 roku zatrudniony był w Studium Nauczycielskim w Cieszynie, a po doktoryzowaniu się u prof. J. Chlebowczyka przez 21 lat pracował jako nauczyciel akademicki w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.

Zainteresowany szczególnie regionalną problematyką historii współczesnej z pasją zajmował się analizą stosunków politycznych pogranicza polsko-czeskiego oraz losami legionistów J. Piłsudskiego rekrutujących się z Ziemi Cieszyńskiej („Egzamin wobec Polski").

Jako kolega szkolny czy nauczyciel charakteryzował się racjonalistyczną refleksyjnością, analitycznym umysłem z typowym dla historyka dystansem wobec wydarzeń i faktów.

We wspomnieniach tak napisał o sobie:

Jeśli zastosować kryteria mojej Matki, określającej szczęście jako typową egzystencję ludzką, nierujnowaną przez wojny i bezrobocie, to półwiecze moje i pewnie prawie wszystkich koleżanek i kolegów szkolnych można określić jako okres szczęśliwy... Pewnie, że od strony pożytków materialnych wielkich sukcesów nie odnosiliśmy, ale mieliśmy warunki do rozwoju intelektualnego i nasza praca miała sens.

Zrobiliśmy, co do nas należało, byliśmy godnymi kontynuatorami dokonań poprzednich pokoleń cieszyńskich „rechtorów".

Taki był „Eda"!

Pozostanie po Nim nie tylko jakże nietrwała ludzka pamięć, ale i wiele śladów w annałach muzy historii - Klio.

GRONO PRZYJACIÓŁ

HISTORYCY REGIONU O 70-LECIU TRAGEDII CIERLICKIEJ

8 stycznia zebrała się grupa działaczy Zaolzia w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie na spotkaniu roboczym, by przygotować z okazji 70-lecia tragicznej śmierci polskich lotników w Cierlicku obchody Roku Żwirki i Wigury. Pod przewodnictwem konsula generalnego RP Marka Masiulanisa i wicekonsul Małgorzaty Filipek uroczyście ogłoszono rok 2002 Rokiem Żwirki i Wigury na Zaolziu.

Zatwierdzono 14 września jako termin głównej imprezy obchodów na Żwirkowisku, lecz również cały szereg znaczących imprez towarzyszących. Do nich zaliczyć trzeba Konkurs Plastyczno-Literacki dla szkół polskich na Zaolziu, wycieczkę na warszawskie Powązki oraz seminarium Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO.

W ramach konkursu wszystkie szkoły odwiedzą kościeleckie wzgórze - Żwirkowisko i Izbę Pamięci Domu Polskiego im. Żwirki i Wigury na Kościelcu.

Wycieczka na Powązki do Warszawy odbędzie się 11 września. Zgłoszenia należy kierować do ZG PZKO, Józefa Przywary, ul. kpt. Nálepky 537, Trzyniec, lub do G. Arcimowicz, Dworska 56/6, Racibórz. W programie przewidziano m.in. ekumeniczną mszę polową, zakończenie Międzynarodowego Rajdu Kolarskiego im. Żwirki i Wigury, pokazy lotnicze i inne atrakcje.

Swoistym hołdem pamięci Żwirki i Wigury będzie seminarium SHR, które odbędzie się 31 sierpnia o godz. 9,00 w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury. Przed rozpoczęciem seminarium delegacja SHR oraz zaproszeni goście złożą kwiaty i zapalą znicze przy Pomniku Lotnika na Żwirkowisku. Sekcja Historii Regionu serdecznie zaprasza do udziału w seminarium. W szczególności zapraszamy naszych nauczycieli historyków i naszą młodzież.

JÓZEF KULA

PIĘKNY NASZ KRAJ NAD OLZĄ

Jak dawniej nad Olzą ludzie żyli

Płyniesz Olzo po dolinie, płyniesz jak przed laty... to słowa nostalgicznej pieśni, rozbrzmiewającej na Zaolziu przy każdej ważniejszej okazji. Ale jest w tej pieśni coś bolesnego, bowiem jej dalsza zwrotka mówi o tym, jak nowe generacje zapominają starą mowę dziadów i ich zwyczaje. A była to mowa, która miała swój urok. Żeby ją przybliżyć, będę pisać dokładnie słowami mojej babci, która opowiada mi o tych czarownych czasach, gdy ludzie znad Olzy umieli uprzyjemnić sobie długie wieczory opowiadaniem bajek, legend, śpiewaniem pieśni.

Jak były dziecka malutki

Małe dzieciónтka, niemowlynta sie nosiły w piastónkach, mówiyli też - w hackach, bo wózków nie było. Jak też kiery był taki majster, tóż zrobił kolaskym z desek, w kierych troche dziecko powozili. Jak eszcze były dziecka w kolybce, to zamiast cumla sie im do czyste szmatki dowało kónsek cukru albo skórkym z chleba i to tak cumlały. Przi kolybaniu śpiywali dzieckóm od malutka rozmajite kołysanki, prziśpiywki jak np.: Śpij dzieciónтko, śpij, dóm ci jabka trzi, jedno bydzie zielóne, drugi bydzie czyrwóne, a to trzeci modre, śpij dzieciónтko, dobre, aa - aaa - aaa.

Jak sie bawiyło z dzieckym, to sie mu chytło rónczki i pokazywało, jak sie sieje mak, i śpiywało: Wróbelku, wróbelku, czyś widzioł, czyś słyszoł, jak to ludzie siejóm mak, oto tak, oto tak, siejóm ludzie mak.

Zabawy wiynkszych dzieci

Na wiosnym plytły młode dziołchy wianuszki abo wiyńce. Nejwiyncyj z mlyczu, sierotek, nikiedy przeplatane leśnymi zawilcami, miodunkami abo kluczykami, kierych rosło strasznie moc w olszynce pod polskóm szkołóm.

Syncy zaś robili piszczołki abo piszczki z wiyrby. Piskało sie też na łodydze z mlyczu, a nikiedy też na łodydze rży, ale to po kryjómu jóm trzeba było wyciónggnóć, boby tata abo sómsiod wykudłoł za ucho, że sie niszczy obili.

W lecie po deszczu to sie ciapkało w mokre glinie dookoła, jako że sie robi masło abo depcze zieli. Jak kaj na miedzy w trowie stoła woda, to jedyn drugigo szłapami obstrzikowoł, jako że fajermóni (strażacy) gaszóm ogiyń.

Zabawy wiynkszych chłapców

Z wydłubane gałónzki dzikigo hebzu sie zrobiła rułka i wyfukowało sie ś ni kuliczki z gliny abo kitu. Cylowało do jakisigo listku abo pudełka na sztachecie. Nikiedy sie też fukało kómusi spoza winkla (kąta) abo spoza strómu po karku, co porzóndnie zaszczypało.

Były też taki umówióne gry: Jak powiedzioł: Hop z tej kapsy, to mu musioł dać z tej, na kieróm ukozoł, jabko, bómbón abo co tam mioł.

Stare ślónski chałupy

Piyrsze chałupy były u nas w dziedzinie - jako wszyndzi - drzewianne. Mówiyło sie drzewiónki. Nie były moc wysoki, tóż też aji w izbach były niski powały, co, jak sie do nich wchodziło, musiało sie dobrze przychylić. W kuchniach były nejwiyncyj glinianne dłażki (podłogi) abo też połowica była yny z desek, a ta kole pieca była glinianno. Ze siyni sie chodziło takimi zwykłymi drzewiannymi schodami abo aji po drabinie na góre. Piyrsze murowane chałupy sie stawiały z ryncznie robióne cegły. Glina celina sie musiała dobrze rozrobić, formować w taki drewnianne formie. Potym sie wypalowała w takich jakby piecach obłożónych glinóm.

Jak sie młóciło cepami

Ucichła już na dziedzinie młócka cepami, a młodzi uż dzisio ani ni majóm pojyńcio, jak to na dziedzinie kiedysi wyglóndało. Dziecka ni miały tela wolnego czasu, ni jak dzisio, bo jak przyszły ze szkoły, musiały paść krowy abo gynsi, pomogać przi gospodarce, liścio z rzepy abo kwaków nazbiyrać. We żniwa zaś pomogać kozły stawiać, we stodole ukłodać snopki, a przi młócyniu wyciepować na gumno, a nikiedy też młócić. Cepy to uż gospodorz dycki dobrze posprawdzoł, aby sie kiery przi młócyniu nie urwoł i nie poranił kogo. Na cepie, kiery był wystrugany z twardego drzewa, była skórzanno czopka, przywiónzano w zarzazanym kóńcu cepa rzymiynkym. Na cepisku - dziyrżoku, pieknie wygładzónym kónskym szkła, aby gdo nie dostoł plynskirzi na dłóni przi młócyniu. Jak sie młóciło, trzeba było dziyrżok wolno na rynce obrócić, inakszy by se cep „ukryncioł", urwoł i byłoby źle.

Tak opowiadała moja babcia, ale również pan Wincenty Szeliga w książce „Tam około Bogumina".

JANINA SABELA
kl.6 PSP Karwina Nowe Miasto

Praca nagrodzona została w konkursie literacko-plastycznym „Piękny nasz kraj nad Olzą".

COSIK ŚMIYSNEGO JAŚKA PLEWOWEGO

O ROWERZE

Jechoł Jasiek Plewa na rowerze. Jakosik się przytrafiyło, ze nie som. Na przodku, przed kierownicom beło siedzisko, a na niym - Jaśkowa baba, syrokodupiasto, a piykno kielo cud. Za Jaśkiem beło drugie siedzisko, a na niym - dwa dzietcyska. Mało tego. Jesce Jasiek ciągnom na postronku krowe i malućkie korki, taki wózecek, na ftorym kwicało piynć prosiątek.

Tak jadęcego Jaśka uwidzioł policjant. Ocy przetar, krzyzem świyntym sie przezegnoł i nacon na Jaśka machać, haltować go, co by sie zatrzymoł.

Jasiek podniós ocy znad kierownicy i z wielkiym zolem pedzioł:

Hej, człeku, a kaz jo cie jesce, kruca, wezne?

O SNURKU

Panowie z miasta, co na wywcasy w góry jadom, to som miełe ludzie. Ino casem, jak sie ftory o co spyto, to kierpce z nóg zlatujom.

Seł Franek Kuców przez rynek w Nowym Targu. I ciognon za sobom snurek, co go na jarmaku kupiył.

- A cymuz wy, gazdo, tak tyn snurek ciągniecie? - pyto sie jedyn panocek.

Franek popatrzył na człowieka i cysto logicnie odpedzioł:

A coz? Mom pchać?

O PODSADZANIU PANICKI

Kie juz górale nie zbójowali, kie na przemyt nie śli, a owiec nie paśli, nie siedzieli myślęcy, to casem wiedli wyciecki w góry.

Jasiek barz tej roboty nie lubiył, ale jak mu sie baba het uprzykrzyła, broł bacowskom torbe, cekanik i nawet w siompanice seł w góry.

Ftorysik roz, a lato beło przecudne, wiód do Pięciuk Stawów kierdelek panicek, jako i pogoda niebrzyćkik. Naroz jedna śnik nijak se nie mogła poradzić. Perć beła wąsko, zaklinowała sie baba i coz? Jasiek, człowiek dobrygo syrca, łapiył panicke za zodek i podsadziył. Potela popatrzył, a ze na urode beł cuły, ozwoł sie naprowde scyrze:

- Panicko, cosik wom powiym. Piyknom mocie rzyć...

- Panie góralu - obrusyła się panicka - niełądnie przy damie używać takich nieprzyzwoitych słów.

- A jakoz sie to u wos nazywo? - spytoł sie Jasiek.

- No... no-no... - nie barz wiedziała, co pedzieć, a ino jedno słowo cisneno ji sie do gemby - No... no, dupa...

- Jak by nie rzec - Jasiek namyślył sie przez kwilecke. - Wiycie, ze tyz piyknie.

O GRZYBAK

Stryk Jancy stanon przed sondem. Kruca, naprowde nik nie wiy, bez co sie te prekuratory i inse syndzie do górali stowiajóm, po sondak ciągajom, ale wiadomo, ze za bele co przypieprzyć sie lubiom.

- Jak to beło z wasom piyrsom babom? - pyto sie stryka Jancego prekurator.

- Ano, mój ostomiły sondzie, otruła sie.

- A cym sie otruła? - mency Jancego prekurator.

- Ba, jak to cym? Grzybami - odpedzioł stryk.

- A drugo waso baba...

- Tyz sie otruła. I tyz grzybami - godo jak na świynty spowiedzi Jancy.

- To znacy - wierto mu dziure w brzuchu prekurator - ze trzecio baba tyz sie otruła?

- O, ni, ni - zywo zaprzecył stryk. - Ona miała złomanom podstawe coski, golyń, cheba wontroba tyz ji pękła...

- A bez co? - spytoł sie prekurator.

- A bo grzybów, wereda, nie fciała jeść...

O JYZU

Śli se Stasek Jawor z Józkiem Kocańdom przez hole. Naroz patrzom, cosik jym spod nóg posło w bliźnicke. A beł to piykny jyz.

- Patrzoj! - krzyknon Stasek. - Ale piykny iglok.

- Wej, iglok - ozeźlył sie Józek. - Cyś ty ślepy, cy co? Przecie to beł kolcok.

- Jak godos? Kolcok? Hej, tyś gupi, sietnioku. Przecie to był iglok.

- A jo ci godom, ze to był kolcok. I gymby wiyncy nie strzymp. Wiym, co godom.

- Iglok!

- Kolcok!

- Iglok!

- Kolcok!

- Wiys co, podźmy do bacy, do Jaśka Plewy, on od nos mondrzejsy. Niek rozsondzi...

Posli.

- Baco, co to jes? Iglok cy kolcok?

- Ani jedno, ani drugie - pedzioł baca. - Nie widzicie, bejdoki, że to beł śpilok?!

HENRYK CYGANIK

Książka Henryka Cyganika „Cosik śmiysnego Jaśka Plewowego", wydana przez Agencję Wydawniczą Ad Oculos, Warszawa 1998, nosi podtytuł „Spasy czyli humor z gór". Proponujemy dziś Czytelnikom Zwrotu jej fragmenty jako przykład gwary góralskiej Podhala.

O DZIECKACH

Małego Karliczka uczy tata w Olzie pływać. Po godzinie mówi Karliczek tatowi: - Jo już chcę iść z wody.
Tata: - Dyć jeszcze nie umiysz pływać.
Karliczek: - ...Ale mie już nie suszy.

Maciej: - Mamulko, jo by chcioł braciszka.
Mama: - To musisz poczkać, co tymu powiy tatulek.
Maciej: - Dyć o tym ni musi ani tata wiedzieć.

W osiedlu w Łyżbicach powiado tata cerze: - Hanka, Ferda pytoł dzisio o twoją rękę.
Hanka: - Tato, na dyć jo jeszcze nie chcę opuścić mamy.
Tata: - Na wiysz co? Weź se jóm ze sobą.

Matka: - Ty, Maciej, mył żeś się już?
Maciej: - Yhy.
Matka: - A dziwoł żeś się do szpigla, czyś je czysty?
Maciej: - Po co? Dyć jo to widzę na ręczniku.

Mały Francek szpacyruje z mamą po ulicy i widzi jakigosi panoczka z monoklym na oku.
Francek: - Mamo, czy tyn panoczek się łyczy w krankasie?
Mama: - Czymu?
Francek: - Na, bo mu jyny dali połowice okulorów.

Mały Karolek do kónduktorki w autobusie: - Jo by chcioł pół kartki do Cieszyna.
Kónduktorka: - Jak to pół? Dyć jużeś je wielki. Całą kartke musisz kupić.
Karolek: - Tak dobre, dejcie mi całą, ale mi musicie „wykać".

Dwa pięcioroczni chłapcy bawią się w piosku przed blokami w Łyżbicach. Z jednej siyni z bloku wychodzi taki dwacecipięcioroczny holec. Jedyn z tych małych powiado drugimu: - Podziwej się, to je bocón moji siostry.

O SZKOLE I RECHTORACH

Nauczyciel: - Maciej, czymu żeś dzisio prziszeł nieskoro do szkoły?
Maciej: - Bo ujec stracili na ceście do Jabłónkowa sto korón, a jo ich pumogoł chladać.
Nauczyciel: - A naszli żeście ich?
Maciej: - Jo ich naszeł, ale ujec jeszcze fórt chladają.

Nauczyciel mo w gorści linijorz, a ukazuje na Macieja i powiado: - Na końcu tego linijorza stoji trąba.
Maciej: - Na kierym końcu?

Nauczyciel: - Dyby twój tata wiedzioł, jakoś je ty trąba, toby zaroz osiwioł.
Maciej: - To byłby tymu strasznie rod.
Nauczyciel: - Na czymu?
Maciej: - No, bo ón je łysy.

Nauczyciel: - Tak co, Teodorku, co ci tatulek prawił na twoji świadectwo?
Teodor: - Strasznie się gniywoł, a podle mie byście go mioł dłógo omijać.

Nauczyciel thumaczy dzieciôm, co to je anonim, i powiado: - Anonim to je osoba, kiero nie chce, aby ją ludzie znali.
Naroz je słyszeć głośny śmiych z ostatni ławki.
Nauczyciel: - Gdo się tak głośno śmieje?
Głos: - Anonim.

Inspektór się pyto Macieja: - Powiydz mi, jak się nazywo taki człowiek, co fórt mówi, choć go żodyn nie posłócho?
Maciej: - Rechtór, panie inspektorze.

Nauczyciel: - Andrzej, je bocón pożyteczne zwiyrze?
Andrzej: - Ni, bo skyrs nich je przeludniyni na świecie.

Nauczyciel: - Ni ma cie gańba bić młodszego i słabszego kolege od ciebie? Co też kiedy z ciebie beje, synku, jak urośniesz?
Synek: - Nauczyciel, proszę pieknie.

Nauczyciel: - Francek, jako się nazywają sztyry żywioły?
Francek: - Zima, woda, ogiyń i ...
Nauczyciel: - No i co jeszcze?
Francek: No i gospoda.
Nauczyciel: Jak to gospoda?
Francek: - Bo jak tata siedzi w gospodzie, to mama dycki mówi, że tata je teraz we swoim żywiole.

„Śmiych Macieja. Ze zbioru Ludwika Cienciały"

SUKNIA DO SPRAWKI

Moja starka była szwoczkóm, a starzik krawcym. Obaj dóma szyli dlo nejbliższej rodziny, a sym tam aj dlo sómsiadów. Nejczynściejszy ale sprawowali albo przeszywali nejprzeróżniejsze „hadry".

Roz też tatowa siostrzynica Anusia dostała z Ameryki od swoji dalszej krewnej pieknóm a eleganckóm suknie. Problem był yny w tym, że Anusia nie była nejwiynkszo, a suknie miała troszke dłógóm.

Tymu, jak dycki przijechała na kole do starki, pytała starke, aby ji tóm suknie o patnost cyntimetrów skróciła, że na drugi dziyń idóm na Granicach do „kulturnigo" na bal. Starka ji nic moc nie obiecowała, bo miała namoczóne prodło na wielki prani, ale prawiła, że rzeknie starzikowi, czy by ji to zrobił.

Jak prziszeł starzik ze szachty, tak mu o tym prawiła, że Anusia chce te suknie skrócić o patnost cyntimetrów. Ale starzik prawił, że ón o tej sukni uż wiy aspóń pół roku, a fórt ji nie prziniósła, a teraz na ostatnióm chwile z dnia na dziyń by to chciała. Prócz tego powiedzioł, że je zmynczóny po szychcie, a że Anusia mo dość inszych hader, w kierych może iść na bal. Starce powiedzioł eszcze, że je głupio, że takóm robote biere, jak ni mo czasu. Starka zaś se nie dała, że je to przeca jego rodzina, a że mu Anusin chłop był dobry, jak było trzeba w chałupie wode sprawić, i tak se harkli. Starzik se poszeł legnyć, a starka kroła mydło na prani.

Jak se starzik spocznył i odbył króliki, nie chcioł zawadzać w przigotowaniach na prani, rozpakowoł taszke z tóm suknióm i chycił se roboty. Żodyn mu nie zawadzoł, tak mu robota szła od rynki, bo krawiec był dobry i umioł. Nakóniec ze skrócynim normalnej suknie tam ni ma wiela roboty - dokładnie oznaczyć, ustrzignyć, zagnyć, przeszyć, a potym przebiglować. Tak robote mioł zrobiónóm wartko. Pieknie zaś suknie zapakowoł i doł do tej taszki, w kiere była. Potym odeszeł na zebrani do szkoły.

Anusia, kiero przijechała w sobote po połedniu, jak starka kóńczyła prani, była strasznie wdziynczno. Starka pochwoliła jakość materiału i dobróm robote. A Anusia se ji chciała kónieczne ukozać, jak w sukni wyglóndo. Wtedy prawie prziszeł starzik z roboty. Kiedy ale Anusia oblykła te suknie, wszyscy byli z tego, co uwidzieli, dość zaszokowani, a sama Anusia też....

Óna przeca nie nosiła mini, miała uż wtedy trzi dość wielki frelki, a miała uż po sztyrycotce.

- Przeca żech ustrzigła tela, wiela żeś kozała, wieczór, niż Bróno prziszeł ze zebranio, żech ci to zrobiła, bo żech ci to obiecała - powiedziała starka.

A starzik dodoł: - Ale jo, niż żech szeł na zebrani, też żech skrócił, a tu je dowód - odewrził kastlik na wyngli i wycióngnył z niego dokładnie patności cyntimetrowy pasek łatki ze suknie.

Na szczynści se Anusia roześmioła i dodała: - No to bydym miała mini!

A jak potym twierdziła, na balu było strasznie fajnie.

POZDROWIYNI KRÓLA ZWIERZÓNT

Mój stary starzik, Paul, w piyrszej wojnie światowej przewandrowoł isto całóm Europe. Nejdeli był ale we Wiydniu. Tam robił pucfleka jednymu oberstowi, czyli po naszymu pułkownikowi. On se nazywoł Malý, a pochodził z Brna, ale po czesku umioł strasznie biydnie. Wojok to był pry jak z ... perlik, bo był strasznie na baby, a samymi starościami o suknie ni mioł czasu ani walczyć.

Dycki ich mioł wiyncy naroz, także nieroz musioł cyganić jak tyn Szwejk. Oberst był straszny pedant na oblykani, także starzik se mioł co oganiać kole pranio, biglowanio, pucowanio bótów, a tak dali. Miły Oberst ale nie był moc miły ku swoimu pucflekowi, kierego spucowoł dlo niejednej błahostki. Fórt był prycz, a do swoji kwatery se prziszeł dycki jyny przewlyc, małokiedy wyspać i spierdnyć starzika. Tyn už dycki podle nalady Obersta wiedzioł, czy go kiero niechała albo czy se mu podarziło jakómsi namówić.

Roz też Oberst Malý randził z jakómsikej paniczkóm we wiydyńskim ogrodzie zoologicznym. W tyn dziyń ale padało, a fukoł zimny wiater. Zwierzynta, głównie ty z Afryki, były we swoich zimowych przibytkach. Jak tak szpacyrowali, tyn Oberst i paniczka, tak se dostali aż ku lwóm. Ty były zawrzite za kratami w dość wielkim pomieszczyniu. Lwice wszystkich zwiedzajóncych ignorowały. Leżały na skałach albo na strómach, kiere im tam przigotowali. Yny lew nerwowo chodził kole tej kraty tam a spatki, a od czasu do czasu tam złowrogo zaryczoł na dlo niego niepożóndanych gości, kierzi se zhófowali przed klotkóm. Przi kracie se cisło isto ze trzicet ludzi, a miyndzy nimi był i pan Oberst, a dzierżoł pod rynke paniczke. Nie wszymoł se, co tam ludzie robióm, ale przepysznie szpacyrowoł ze swojóm nowóm znajomościóm. Nie wszymoł se, że ludzie sprzed klotki wartko poszli ku wyjściu, a tam, kaj była przed chwilóm cisnónco se kupa ludzi, zustoł sóm pan Oberst ze swojóm paniczkóm. Król zwierzónt na niego zaryczoł eszcze roz, jakby to było ostatni warowani, ale óni nic, jakby nie słyszeli. Wtedy se lew zdecydowoł zmiynić taktyke walki. Otoczył se ku kracie zadkym, a pan Oberst ze swojóm paniczkóm poczuli na twarzach i rynkach ciepły prysznic, a na obleczyniu im przibyły ćmawe fleki. Za moment było pomieszczyni próżne. We wojyński hantyrce se tymu mówi taktyczny odwrót. Oberst se potym na starzikowi troche wybił złość i borok starzik mioł tuplowanie tela roboty z obleczynim pana Obersta. Dłógo to tam smerdziało wszystko jak w Carzihradzie. Nie wiadómo ale, jak pochodziła ta paniczka, z kieróm Oberst szpacyrowoł, a była to żóna, jak se potym starzik dowiedzioł, jednego wysokigo urzyndnika z ministerstwa. Už nigdy ich starzik potym nie widzioł społym.

Z tego płynie jedno pouczyni - Nie lyź lwowi do prywaty, bo cie o... aj zza kraty.

Pan Oberst Malý jakisik czas se troche w tych babach miarkowoł, aj czyńsciejszy go było widać na kwaterze albo w koszarach, ale nie trwało dłógo, a už zaś chodziło wszystko we starych kolejach. Ale ani starzik nie wiedzioł, czy eszcze potym chodził na randki do ogrodu zoologicznego.

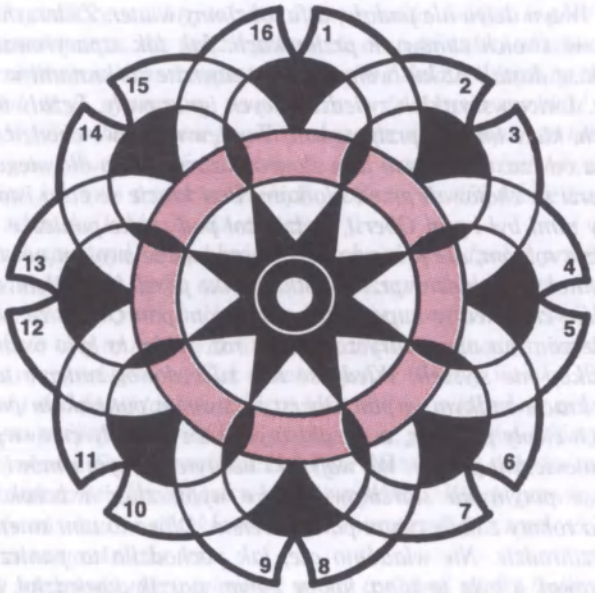
JAN KUBICZEK

WAKACYJNE ROZRYWKI UMYSŁOWE

Zarówno Polska, jak i Republika Czeska weszły już do struktur NATO i dążą jeszcze do wejścia do Unii Europejskiej, do wspólnej Europy. O tym fakcie dowiadujemy się w obu krajach bodajże codziennie z telewizji, radia, prasy...

Redakcja ZWROTU w tym wakacyjnym numerze postanowiła dorzucić w tej sprawie swoje trzy grosze, publikując rozrywki umysłowe swojego stałego współpracownika dotyczące właśnie Unii Europejskiej. Chodzi więc o minisprawdzian wiedzy o organizacji, która już od roku 1965 buduje wspólny europejski dom.

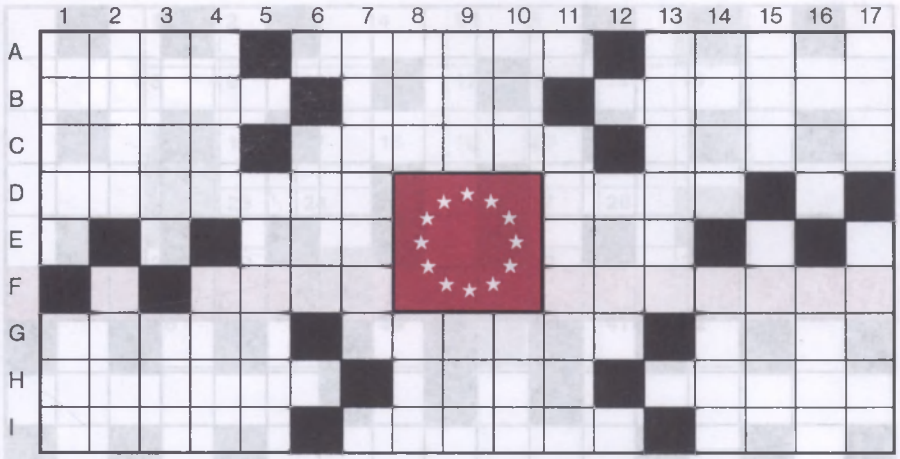
Zapraszamy Szanownych Czytelników do rozwiązywania zwłaszcza w czasie ewentualnej niepogody.



ROZETKA

Rozwiązanie dodatkowe: Siedziba Unii Europejskiej.

1. Tafla szklana - **2.** Odcinek drogi. - **3.** Służy do pisania. - **4.** Drzewo z rodziny sosnowatych (w Polsce pod ścisłą ochroną). - **5.** Surowica krwi. - **6.** Podziemny środek lokomocji w wielkich miastach. - **7.** Czeski taniec narodowy. - **8.** Główny plac miejski w miastach starożytnego Rzymu. - **9.** Odpowiednio wyprawiona miękka, nasiąkliwa skóra o włochatej powierzchni. - **10.** Tytuł powieści Bolesława Prusa. - **11.** Sceniczny taniec widowiskowy. - **12.** Nadzienie. - **13.** Podziałka. - **14.** Konkurencja sportowa polegająca na strzelaniu do rzutków. - **15.** Krzew. - **16.** Aktor polski (Jerzy).



KRZYŻÓWKA

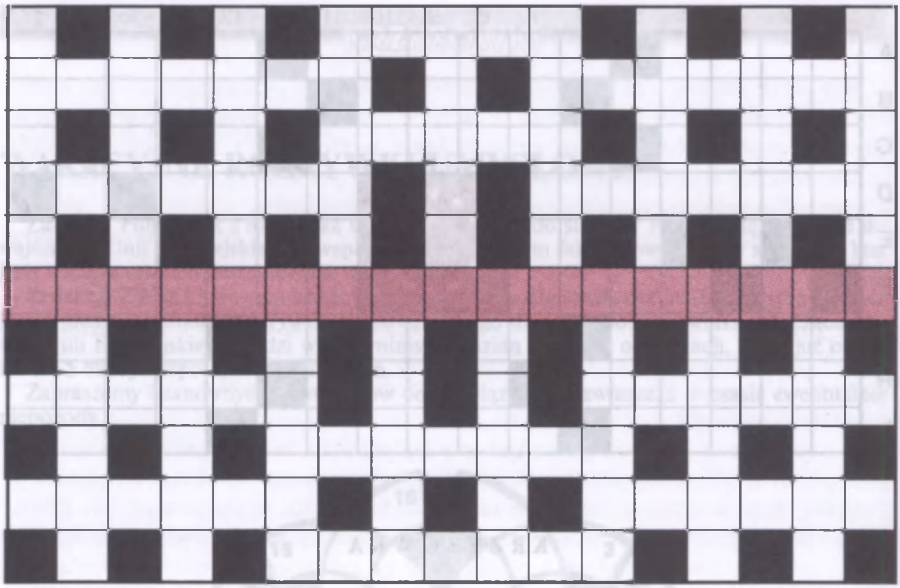
Unia Europejska ma oczywiście również swój hymn. Jest nim... *(patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki)* z IX Symfonii Ludwika van Beethovena.

POZIOMO: A. Według Biblii ojciec Saula (Cis); orkiestra ludowa; zieleniec. - **B.** Stojąca postać w pozie modlitewnej; figura w szachach; konsultacja. - **C.** Dopływ Cisy na Ukrainie; słynny włoski tenor (Enrico); student medycyny. - **D.** Złośliwa ironia; brzask. - **E.** Przylądek; jednostka mocy. - **F.** Kolor w kartach; imię męskie (22.II). - **G.** Pierrot, arlekin; kolorowa naszywka na bokach spodni; stała posada. - **H.** Nacisk, przymus; uroczyste wieczorne przyjęcie; mowa niewiązana. - **I.** Niski, płaski rondelek; niszczyciel; poręka na wekslu.

PIONOWO: 1. Miejsce spacerów i przejażdżek; Polska Partia Robotnicza. - **2.** Miejscowość w Grecji; imię Coopera. - **3.** Namaszczenie monarchy; japońska złotówka. - **4.** Drogowy lub zapytania; chroni głowę górnika, motocyklisty. - **5.** Kolczaste drzewo lub krzew. - **6.** Urok, wdzięk. - **7.** Osada polska w pobliżu Stambułu. - **8.** Członek brytyjskiej Izby Lordów; papuga. - **9.** Olbrzymi ptak nielatający; wyspa na Morzu Irlandzkim. - **10.** Zbiorowisko drzew; dawna rosyjska jednostka ciężaru. - **11.** Proces upowszechnienia wykształcenia i kultury. - **12.** Razem z Sawą założył ponoć Warszawę. - **13.** Metameryczne związki mięśniowe u zarodka kręgowców. - **14.** Prowadzi podziemny tryb życia; gruby koc. - **15.** Minerał barwy czarnej lub brunatnej; kosmonauta radziecki - **16.** Odgadł zagadkę Sfinksa; miejsce na pustyni pokryte roślinnością. - **17.** Chodzi wspak; imię Staśka.

WYRAZY TRUDNE: IRIA, SOMITY, WAD.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: A-8, H-2, G-14, A-10, H-10, B-16, D-13, C-9, D-7, H-15, B-7, F-13, C-15, B-1, F-6, G-4, I-10, F-16, D-11, G-5, C-2.



SYNTEZA KRZYŻÓWKI

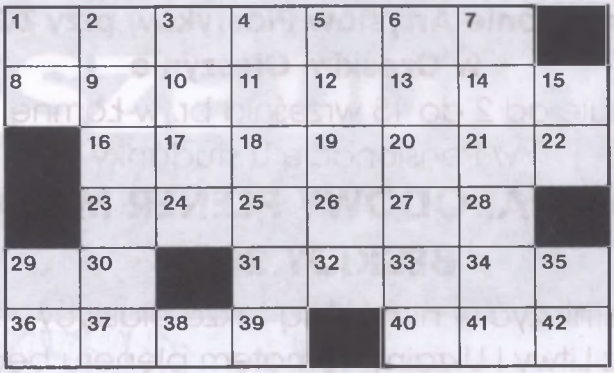
Rozwiązanie dodatkowe: Główny organ wykonawczy, który reprezentuje interesy Unii Europejskiej jako całości i podejmuje decyzje większością głosów.

Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę.

Wyrazy 5-literowe: KOMIK, LINIA.

Wyrazy 6-literowe: ANONIM, ELIPSA, ILORAZ, JASKRA, JELCYN, KADŁUB, KALINA, KORPUS, KRAKSA, KRASKO, LAPSUS, MANITU, MONOKL, OBSADA, OKOCIM, OKRZYK, PŁONKA, RACINE, REMIZA, STATUS, WIKARY.

Wyrazy 7-literowe: CYPRIAN, KANTATA, NIAGARA, REAKTOR, ŚWISTAK, ZANUSSI.



SZYFROGRAM

Rozwiązanie dodatkowe: Godło Unii Europejskiej.

21-2-42-13-27-38-11 - miasto nad Olzą z zabytkową Wieżą Piastowską
9-33-23-25-3-41 - „czarne złoto" - bogactwo naturalne naszego regionu
14-10-24-5-39 - autor poematu „Kwiaty polskie"
8-15-34-30-19 - złota moneta
37-12-1-26-18 - natłok, przytłaczające mnóstwo (na przykład pracy)
40-20-31-6-36 - region autonomiczny w Chinach, o którego niezależność zabiega dalajlama
7-22-32-17-28 - umiarkowane zimno
16-4-35-29 - miasto nad Gąsawką, miejsce urodzenia Jana i Jędrzeja Śniadeckich

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca sierpnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru czerwcowego: ROK ŻWIRKI I WIGURY

Nagrody książkowe wylosowali: **Stanisław Sławiński** - Orłowa Lutynia
Zofia Siuda - Dziećmorowice
Jan Ondraszek - Wędrynia

Stowarzyszenie Artystów Plastyków przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie

organizuje od 2 do 15 września br. w Łomnej Górnej w Pensjonacie U studánky

MIĘDZYNARODOWY PLENER MALARSKI BESKIDY 2002.

Uczestniczyć w nim będą także plastycy z Polski oraz Litwy i Ukrainy. Tematem pleneru będzie oprócz Beskidów także Żwirkowisko, miejsce tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury przed siedemdziesięciu laty, z okazji ogłoszenia przez PZKO roku 2002 Rokiem Żwirki i Wigury.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

Zwrot

NASZE DOMY



DOM MK PZKO W ORŁOWEJ LUTYNI

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

WIDOK Z KOZUBOWEJ





Zwrot

9
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Żwirkowisko – rok 1939

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CIERLICKO

Sosny męczeńskie, z kory odarte!
Krzyże rozbicia, na których szeleści
Ten sam wiatr śmierci; rzucone na wartę
W pogrzebne niebo słupy boleści!

Płaczki milczące wyschłą żywicą,
Krwią pomazane, zwęglone na szczycie!
Ptaki, gdy ciągną nad wami, zakrzyczą,
Ukłute kolcem drzazgi w błękicie.

Powiedzcie drzewa, siostry sieroce,
Dwu naszym tchnieniom, co stąd uleciały,
Że jeszcze lecą, że jeszcze łopoce
Zryw ich do ciężkiej, wysokiej chwały.

Że kiedy spojrzeć w górę, zygzakiem,
Oczy nam rwą się i niosą się lotem
Za jakimś głosem, za jakimś ich znakiem,
I że tak trudno mówić jest o tym.

I nic, i tylko wiosenną chmurą
Przepływa niebo, za wielkie dla oka.
Powiedzcie, sosny, że chcemy tak górą
Lecieć i spadać w śmierć swą z wysoka.

Zwrot 9 2002

Rok LIII, Nr 634
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Gdzie Żwirko i Wigura startowali do wieczności	WIESŁAW WOJNAR
4	Kościoły Cierlicka	
7	Żwirkowisko - pamięci początek	STANISŁAW ZAHRADNIK
11	Śladami Żwirki i Wigury, chociaż nie tylko	KAZIMIERZ JAWORSKI
16	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (3)	
22	Uroczystości pogrzebowe świadczyły o wielkości księdza Franciszka Moronia	STANISŁAW ZAHRADNIK
24	Tajemnice „Tomka" i Alfreda Szklarskiego	ALEKSANDRA HUMEL
29	Kronika: Odpust w Karwinie Raju, Gorolski Święto w Jabłonkowie po raz 55, III Międzynarodowe Spotkanie Folkloru, Oldrzychowice w Pécsu i Budapeszcie	
48	Poezja Františka Xaverego Halaša	
50	Miroslav Vejlupek: Wiek przejrzystości (fragment)	
53	Prekursor związków czesko-polskich (W 50. rocznicę śmierci Mariana Szyjkowskiego)	JAN KORZENNY
56	Brzegi płomienia	FRANTIŠEK VŠETIČKA
58	Młode pióro: Artur Kurzępa	
59	Czytajmy dzieciom. Kampania „Cała Polska czyta dzieciom" na czeskim gruncie	C. R.
62	Literackie spotkania w Jabłonkowie	C. R.
65	Echo wydarzeń muzycznych: Józef Wierzgoń, Józef Górecki	
66	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA

Numer zamknięto 6. 8. 2002
Na okładce: Pomnik na Żwirkowisku

GDZIE ŻWIRKO I WIGURA STARTOWALI DO WIECZNOŚCI

Cierlicko, niewielka wioska polska w cieszyńskiem, żyło długie lata w ciszy i zapomnieniu. Aż nadszedł pamiętny dzień 10 [błąd autora, powinno być 11] *września 1932 r., który jego imię rozsławił po całym świecie.*

W tym dniu zginęli bowiem w Cierlicku bohaterscy lotnicy polscy, nieodżałowanej pamięci kpt. Żwirko i inż. Wigura. Zginęli w chwili, kiedy nie tylko naród polski, lecz kiedy świat cały chylił przed nimi czoła - jako tymi, którzy sprawili druzgocący pogrom najsłynniejszym asom lotnictwa europejskiego, zdobywając pierwsze miejsce w locie naokoło Europy; cała Polska witała niedawno po królewsku jako swoich wielkich bohaterów.

Dwa tygodnie zaledwie trwało ich szczęście, triumf i chwała i równocześnie całego narodu radość, duma i nadzieje. Jeszcze wszystko żyło pod przemożnym wrażeniem chwili, w której srebrzysty górnopłatowiec polski R.W.D. 6 niósł światu wieść o Polsce nowej - lecz zwycięskiej, o jej lotnikach młodych, lecz potężnych duchem, o młodym, wyrastającym z kolebki, a już górującym polskim przemyśle lotniczym - pod wrażeniem chwili, kiedy tam nad Sprewą w Berlinie dziesiątki tysięcy Niemców chyliło głowy przed białym orłem na polskim amarantowym sztandarze i w milczeniu i pokorze słuchało hymnu polskiego, tego hymnu, który wiódł nasze legiony i ich nieśmiertelnego Wodza do boju o Polskę nową, Polskę mocarstwową.

I oto ci, którzy stali się symbolem wielkości i bohaterstwa całego narodu, u zenitu swojej sławy położyli swe głowy na zielonej cierlickiej murawie, w dniu 10 [11] *września 1932 roku.*

Tę niedzielę każdy z nas pomni... Tę, w której nad żyznymi ugorami śląskimi rozjuszył się potworny wicher, który odrąbał śmigłe skrzydła dwom wielkim orłom. Tę wreszcie, w której cierlicki sosnowy i świerkowy lat rozgorzał w purpurze krwi, dwoma znaczonej szlakami...

Kto by nie pamiętał tej niedzieli, co to zrodziła strumienie łez, zgasiła radość i wyrwała z milionów dusz jęk boleści i dławiący szloch, co rozległ się tam wszędy, gdzie jeno polskie serce bije...

I dziś jest nie inaczej. Zwłaszcza nam, Ślązakom. Boć to przecie u nas się stało.

Boć idąc po naszej ziemi, w naszym Cierlicku zawadzimy o dwa świerki zrąbane, na których, jako na dwóch krzyżach, zawisła i skonała radość całej Polski.

Boć, idąc na szychtę czy na rolę, czujemy w powietrzu zapach krwi...

Jest to fragment książki Wiesława Wojnara „Prawda o Cierlicku" wydanej w Czeskim Cieszynie w 1934 roku.



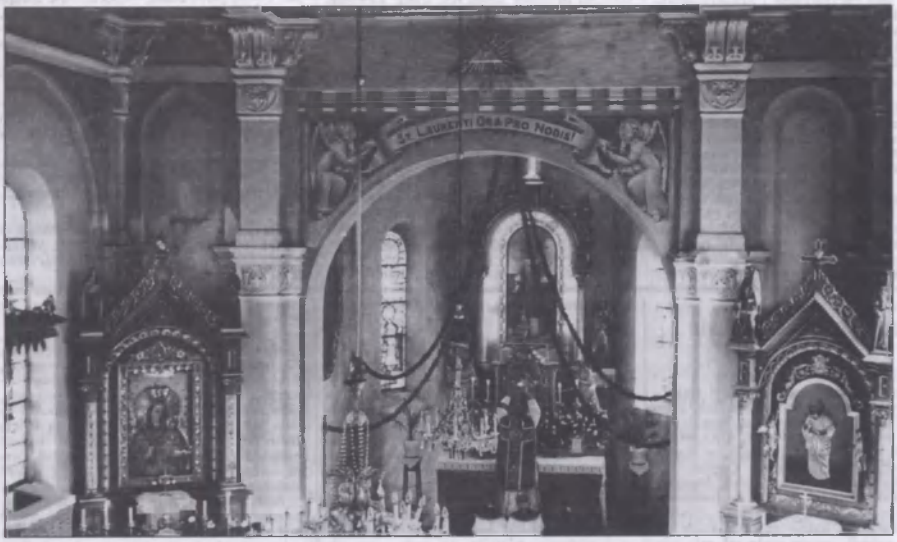
Cierlicko Górne, rok 1959, ołtarz główny oraz ołtarz boczny z cudownym obrazem Matki Boskiej Cierlickiej w Kościele Świętej Trójcy



CIERLICKA



Cierlicko Górne, 30 maja 1962, godz. 15. Kościół Świętej Trójcy ustępuje miejsca budowie zapory wodnej



Cierlicko Kościelec, rok 1963, cudowny obraz matki Boskiej Cierlickiej na nowym miejscu, w Kościele św. Wawrzyńca. *Fot.: JAN WAŁOSZEK*

Rocznik IV. Cz. Cieszyn. dnia 22 września 1932. Nr. 39.

PRAWO LUDU

ORGAN STRONNICTWA LUDOWEGO W CZECHOSŁOWACJI
POŚWIĘCONY SPRAWOM NARODOWYM POLITYCZNYM
KULTURALNYM I SPOŁECZNO-GOSPODARCZYM LUDU POLSKIEGO

PRENUMERATA:
kwartalnie w Czechosłowacji Kcz 9—
w Polsce zł. 2·50 — pojedyńczy numer
w Czechosłowacji 80 hal., w Polsce 20 groszy

Wychodzi w każdy czwartek.
Adres Redakcji i Administracji:
Czeski Cieszyn, ul. Strzelnicza 20.

OGŁOSZENIA:
1 wiersz milimetrowy Kcz 0·50.
Przy wielokrotnem umieszczeniu odpowiedni rabat.

ODEZWA
Komitetu budowy pomnika ŻWIRKI i WIGURY w Cierlicku.

RODACY! Jest naszym obowiązkiem uczcić i przekazać potomności pamięć tych, którzy w całym świecie wsławili nasz naród, a potem młode swoje życie złożyli w ofierze na naszej ziemi. Byliby śmy niegodni imienia polskiego, gdybyśmy tego obowiązku nie spełnili. Lud nasz od pługa i kilofa sam to uznał i zewsząd zaraz po nieszczęśliwym wypadku w Cierlicku odezwały się głosy, że polska ludność w Czechosłowacji powinna swojemi własnemi siłami postawić na miejscu wypadku pomnik bohaterskiemu porucznikowi, Franciszkowi Żwirce i jego towarzyszowi i twórcy aparatu, na którym zdobyto sławę dla imienia polskiego, Stanisławowi Wigurze.

Wyrazem tego żywiołowego życzenia było stworzenie Komitetu dla spełnienia tego dzieła, zaraz w dniu tragicznego wypadku, oraz jego rozszerzenie i ukonstytuowanie w dniu 17 września b. r. w Cz. Cieszynie. W skład tego Komitetu weszli przedstawiciele całego naszego społeczeństwa, oraz różnych jego warstw i grup.

RODACY! Pomnik ma powstać z drobnych składek całego naszego ludu. Wiemy, że nie napróżno pukać będziemy do Waszej ofiarności, aczkolwiek czasy ciężkie i nędza zagląda do wielu chat i rodzin. Niechaj każdy da według swojej możności, choćby najdrobniejszą kwotę, aby każdy z nas miał udział w dziele, które przekażemy naszym przyszłym pokoleniom, na znak, że tu biły gorące serca polskiego ludu. Niech nikt nie uchyla się od złożenia grosza, abyśmy ogłosić mogli, że pomnik, mający powstać, jest dziełem całego naszego ludu i wszystkich Jego warstw.

Datki należy przesyłać do rąk skarbnika, p. Józefa Chmiela, naczelnika gminy w Dolnem Cierlicku, lub składać w redakcjach polskich pism, wychodzących na Śląsku Czechosłowackim.

Oprócz tego po uzyskaniu pozwolenia ze strony władzy w każdej gminie zamianujemy mężów zaufania, którzy na listy zbierać będą na ten cel składki.

RODACY! Chodzi o rychłe zebranie potrzebnej kwoty. Pamiętajmy przy każdej sposobności o ofierze na pomnik poległych na naszej ziemi bohaterów.

Prezydjum honorowe:
Dr. Jan Buzek, Emanuel Chobot, Karol Junga.

Sekretarz: Józef Farnik,
Przewodn. Komitetu: Dr. Leon Wolf,
Skarbnik: Józef Chmiel.

Członkowie Komitetu:
Waleczko Jarosław, Toman Karol, Ogrocki Gabrjel, Molenda Leon, Ks. Oskar Zawisza, Ks. Karol Teper, Duda Józef, Pietraszek Józef, Prof. Firla Gustaw.

KOMUNIKAT.

Zaraz na drugi dzień po tragicznym wypadku w Cierlicku utworzył się z grona kilku osob Komitet, który postanowił wznieść na miejscu wypadku pomnik dla bohaterskich lotników polskich ś. p. Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury.

W dniu 17 września b. r. Komitet ten został rozszerzony i weszło w skład jego około 60 przedstawicieli naszego społeczeństwa i wszystkich jego warstw z tem, że nowych członków można jeszcze kooptować.

Komitet ten zaraz się ukonstytuował w ten sposób, że nasi posłowie do Narodowego Zgromadzenia i Zastępstwa Krajowego, pp. Dr. Jan Buzek, Emanuel Chobot i Karol Junga objęli prezydjum honorowe, a następnie zebranie wybrało Komitet wykonawczy, w skład którego weszli: pp. Dr. Leon Wolf, jako przewodniczący, Waleczko Jarosław i Toman Karol, jako jego zastępcy, Józef Farnik, rolnik z Cierlicka, jako sekretarz, Gabrjel Ogrocki, jako jego zastępca: Józef Chmiel, naczelnik gminy w Dolnem Cierlicku, jako skarbnik i Leon Molenda, dyr. szkoły wydział. w Gór. Suchej, jako jego zastępca. Oprócz tego powołano do Komitetu Wykonawczego Ks. Oskara Zawiszę, Ks. Karola Tepera w D. Błędowicach, Józefa Dudę, nacz. gminy w Gór. Cierlicku, Józefa Pietraszka, kupca w Gór. Suchej, Józefa Stebla, kier. szkoły w Stanisławicach, Gustawa Firlę, prof. w Orłowej. Wykonawczemu Komitetowi dano prawo w miarę potrzeby kooptowania dalszych członków.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli pp. Jan Ofiok, Józef Bilko, inspektorowie Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, Ferd. Götze, sekretarz zawodowy w Karwinie i Jan Chromik, dyr. szkoły wydziałowej we Fryszt acie.

Protektorat objął Pan Konsul Rzeczypospolitej Polskiej Dr. Karol Ripa:

Oficjalna nazwa Komitetu opiewa: „Komitet budowy pomnika Żwirki i Wigury w Cierlicku" z siedzibą w Czeskim Cieszynie.

Komitet będzie zbierał fundusze na pomnik i poczyni wszelkie przygotowania i prace do postawienia go i oddania publiczności.

* * *

Na pomnik Żwirki i Wigury złożyli w naszej redakcji: p. Koźbiał Ludwik, Witkowice, Kcz 50.—; p. Ewa Hottowa, żona zarz. dóbr, Stonawa, Kcz 100.—.

Gustaw Morcinek.

Grom śmierci w lesie cierlickim.

Od Cieszyna bieży biała droga.

W roku 1653 stali na niej chłopi śląscy, a w sercu żal niańczyli, patrząc, jak koło nich przejeżdża zwykły wóz gazdowski, zaprzężony w cztery czarne woły, a na wozie kołebie się prosta, czarna trumna, w trumnie zaś leży pomarła Czarna Księżna, Elżbieta Lukrecja, ostatnia z rodu Piastów śląskich. Taki bowiem pogrzeb w testamencie swym naporęczyła dobrodajna Czarna Księżna. Patrzący ludzie milczeli i łzy ukradkiem ocierali, czarne woły zaś szły powoli, statecznie, ciągnąc turkocący wóz gazdowski z trumną. Wyniosły się wysoko na mistrzowicką kępę, zjechały w stanisłowicką dolinę, zawróciły wbok i znów jęły się mozolić pod cierlicki kopiec. Dojechały na szczyt, a wtedy ziemia się otwarła i wchłonęła w siebie czarne woły i czarną trumnę z Czarną Księżną. Na tak zwanym Kościelcu.

ongiś skończyła się chwała Piastów śląskich — skończył się triumf najpiękniejszych ludzi Polski, Żwirki i Wigury. Dziś bielą się tam dwie sosny rozdarte!...

Kiedy wczesnym rankiem lecieli nad ziemią śląską, we wschodzącem słonku, obydwaj zapewnie przechylali głowy poza burtę swej maszyny i cudowali się w krasie Podbeszkidzia, stworzonego z uśmiechu Boga. Oczarowani jej urodą, upojeni radością swego przeogromnego zwycięstwa i triumfu i pijani mocą swej maszyny, co z krzykiem leciała na zachód, nie dostrzegli śmierci, co na cierlickiem polu czekała ich przyczajona. Dolecieli nad grobowisko Czarnej Księżnej. A wtedy spadła na nich potworny wichrem, skołtuniła się koło maszyny, wyważyła z lotu poderwała znienacka, zwichnęła jej skrzydła i prasnęła z wściekłością o ziemię!...

Stary wójt cierlicki patrzy w zamyśleniu, a potem powiada:

— Widziołech!... Lecieli w powietrzu, jak wielki biały ptok. Potem przyskoczył tumten djabelski wicher. Co się stało — nie wiem! Widzę, że jejich maszyna przewraca się skoro świt, jak wielki orel, co go raubszyc postrzelił... Przewraco się w powietrzu, a wicher zaś wyje i drzewa łomie... Spadowali, jak wielki ptok podstrzelony... Do lasu spadli... Widziołech, do wysokiej, chrubej sosny w połowie jej wysokości uderzyli... Odłómano sosna odpadła od pnia, jakby siekierą ścięto... Sosnę poniosło w głąb lasu... a oni... a oni spadli na tą świętą ziemeczkę, na miękką trowkę, na zielony mech... Na skrwawionym mchu oddali swego ducha Panu Bogu!... Boże im dej radość wiekuistą, amen!...

Białą drogą od Cieszyna idą i idą ludzie, jesienne słonko wędruje po niebie, ciepły wicher szumi w lesie, a pod drzewami, na mchu czerwienią się krwawe plamy. Opodal zaś, na rudem iglowiu, leżą szczątki maszyny. Oderwany motor z nienaruszonem śmigłem, porozrzucane i jakby zgryzione, żżute kawałki żelaziwa, a koło pnia sosny, strzaskany kadłub maszyny, zmięty, zdarty, połamany. Owinął się koło pnia. Podobny, do człowieka, który śmiertelnie rażony objął ramieniem pień sosny, a potem obsunął się na ziemię i skulony skonał. A ponad

ŻWIRKOWISKO - PAMIĘCI POCZĄTEK

O wiosko prosta, powiedział to kto by
Że nie królewski Kraków, nie Warszawa
Dadzą IM wielkie, marmurowe groby,
Lecz Twoja skromna, Twa zielona trawa?

W ten sposób zareagował bezpośrednio po tragedii cierlickiej ówczesny nasz zaolziański pisarz i poeta Adolf Fierla.

Tragiczna śmierć światowej sławy polskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury w Cierlicku na Kościelcu 11 września 1932 r. wstrząsnęła miejscowym ludem. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy nie tylko na Zaolziu, ale w całej Czechosłowacji, a szczególnie w Polsce, wywarła przygnębiające wrażenie i różnorakie reakcje.

Na Zaolziu można było widzieć masowy żywiołowy i organizowany udział ludności polskiej najpierw w oglądaniu miejsca katastrofy, następnie w uroczystościach żałobnych w Cierlicku czy przy przewożeniu zwłok z Cierlicka do Polski. W niektórych miejscowościach urządzano msze i akademie żałobne. Swoje odczucia żalu wierszem i prozą publikowali na łamach miejscowych pism polskich ówcześni nasi literaci Adolf Fierla i Gustaw Morcinek. Rodziły się zalążki potrzeby godnego upamiętnienia tego smutnego wydarzenia.

Taka postawa polskiej ludności zaolziańskiej świadczyła dobitnie o przywiązaniu do polskości, do tradycji narodowych, powiązaniu ze swoją ojczyzną Polską i szacunku do wartości ogólnoludzkich.

Godna podkreślenia i pochwały jest postawa czechosłowackich władz państwowych i społeczeństwa wobec tragedii cierlickiej. Świadczy o tym na przykład udział przedstawicieli najwyższych władz wojskowych w uroczystościach pogrzebowych i ich przemówienia, w akcjach przygotowawczych do upamiętnienia tego wydarzenia, zaś społeczeństwo czechosłowackie poprzez swych przedstawicieli wyrażało szczere współczucie Polsce i najbliższym zmarłym. Taki stosunek miał również pozytywne odbicie we wzajemnych stosunkach społecznych na Zaolziu. W Naszym Kraju, nr 62, 16 IX 1932, s. 1-2 czytamy: *Za przykładem wojskowości czechosłowackiej, która w sposób nie tylko nadzwyczaj poprawny, ale i szczerze koleżeński, pełny kurtuazji i dżentelmeński oraz serdeczny, szła na rękę i udzielała wszelkiego poparcia, wytarło wszelki szowinizm w stosunku do Polaków i wśród tych wyrazów serdecznego współudziału tak prasy czeskiej jak i społeczeństwa czeskiego w głębokim bólu i smutku narodu i ludu polskiego czuła się nasza mniejszość po pierwszy raz zupełnie równouprawnioną. Taka serdeczność i wzajemne zrozumienie się mogłyby pozostać (...).* Szkoda, że nie pozostały na długo.

Najpełniej i najwierniej odzwierciedlają postawę i nastroje społeczeństwa w pierwszych chwilach po katastrofie ówczesne środki masowego przekazu, w naszym wypadku sprowadzające się praktycznie do miejscowych pism polskich. Wszystkie (oprócz komunistycznych) - tygodniki i niektóre miesięczniki - przez kilka tygodni nie tylko szczegółowo informowały na bieżąco na pierwszych stronach społeczeństwo polskie o wydarzeniach, ale również mobilizowały i organizowały go do odpowiednich przedsięwzięć. Publikowały uchwalone dokumenty, podziękowania rodziny i oficjalnych władz czechosłowackich i polskich za udział i wyrazy współczucia. Informowały o podejmowanych inicjatywach oraz w jaki sposób reagowała na tragedię cierlicką prasa światowa i nas najbardziej interesująca prasa czechosłowacka. Najobszerniej potraktowały wydarzenia tygodniki narodowe Gazeta Kresowa, Nasz Kraj, Prawo Ludu. Nawet organ ślązakowców Nasz Lud na ogół obiektywnie i w duchu propolskim przedstawiał wszystkie zagadnienia związane z tragedią. Jedynie organ komunistów Głos Robotniczy i Włościański podszedł do sprawy wyłącznie w myśl swej ideologii klasowej, uważając sprawę za gloryfikację imperializmu.

W naszym przyczynku zajmiemy się głębiej pierwszym odruchem polskiego ludu zaolziańskiego upamiętnienia tego wydarzenia dla potomnych, które później w trudnych, złożonych warunkach stopniowo realizowano.

Myśl wybudowania jakiegoś pomnika, który przypominałby potomnym cierlicką tragedię, zrodziła się bezpośrednio po wypadku. Pomysł, jego uzasadnienie i sposób urzeczywistnienia są zawarte w „Odezwie" i „Komunikacie" opublikowanych w miejscowych tygodnikach między pierwszymi wiadomościami o wypadku. „Odezwę" ze względu na swą wymowę i wartości historyczne podamy w całości (PL, r. IV, nr 39, 22 września 1932, s. 1):

ODEZWA Komitetu budowy pomnika ŻWIRKI I WIGURY w Cierlicku.

RODACY! Jest naszym obowiązkiem uczcić i przekazać potomności pamięć tych, którzy w całym świecie wsławili nasz naród, a potem młode swoje życie złożyli w ofierze na naszej ziemi. Bylibyśmy niegodni imienia polskiego, gdybyśmy tego obowiązku nie spełnili. Lud nasz od pługa i kilofa sam to uznał i zewsząd zaraz po nieszczęśliwym wypadku w Cierlicku odezwały się głosy, że polska ludność w Czechosłowacji powinna swoimi własnymi siłami postawić na miejscu wypadku pomnik bohaterskiemu porucznikowi Żwirce i jego towarzyszowi i twórcy aparatu, na którym zdobyto sławę dla imienia polskiego, Stanisławowi Wigurze.

Wyrazem tego żywiołowego życzenia było stworzenie Komitetu dla spełnienia tego dzieła, zaraz w dniu tragicznego wypadku oraz jego rozszerzenie i ukonstytuowanie w dniu 17 września b.r. w Cz. Cieszynie. W skład tego Komitetu weszli przedstawiciele całego naszego społeczeństwa oraz różnych jego warstw i grup.

RODACY! Pomnik ma powstać z drobnych składek całego naszego ludu. Wiemy, że nie na próżno pukać będziemy do Waszej ofiarności, aczkolwiek cza-

sy ciężkie i nędza zagląda do wielu chat i rodzin. Niechaj każdy da według swojej możności, choćby najdrobniejszą kwotę, aby każdy z nas miał udział w dziele, które przekażemy naszym przyszłym pokoleniom, na znak, że tu biły gorące serca polskiego ludu. Niech nikt nie uchyla się od złożenia grosza, abyśmy ogłosić mogli, że pomnik, mający powstać, jest dziełem całego naszego ludu i wszystkich Jego warstw.

Datki należy przesyłać do rąk skarbnika p. Józefa Chmiela, naczelnika gminy w Dolnym Cierlicku, lub składać w redakcjach polskich pism, wychodzących na Śląsku Czechosłowackim.

Oprócz tego po uzyskaniu pozwolenia ze strony władzy w każdej gminie zamianujemy mężów zaufania, którzy na listy zbierać będą na ten cel składki.

RODACY! Chodzi o rychłe zebranie potrzebnej kwoty. Pamiętajmy przy każdej sposobności o ofierze na pomnik poległych na naszej ziemi bohaterów.

Prezydium honorowe: Dr Jan Buzek, Emanuel Chobot, Karol Junga. Sekretarz: Józef Farnik. Przewodn. Komitetu: Dr Leon Wolf. Skarbnik: Józef Chmiel. Członkowie Komitetu: Waleczko Jarosław, Toman Karol, Ogrocki Gabriel, Molenda Leon, Ks. Oskar Zawisza, Ks. Karol Teper, Duda Józef, Pietraszek Józef, Prof. Fierla Gustaw.

Opublikowany równocześnie „Komunikat" informował o dalszych szczegółach akcji. 17 września Komitet został poszerzony o około 60 czołowych przedstawicieli społeczeństwa zoalziańskiego. Komitet ukonstytuował się prawnie, protektorat nad nim objął konsul RP w Ostrawie dr Karol Ripa.

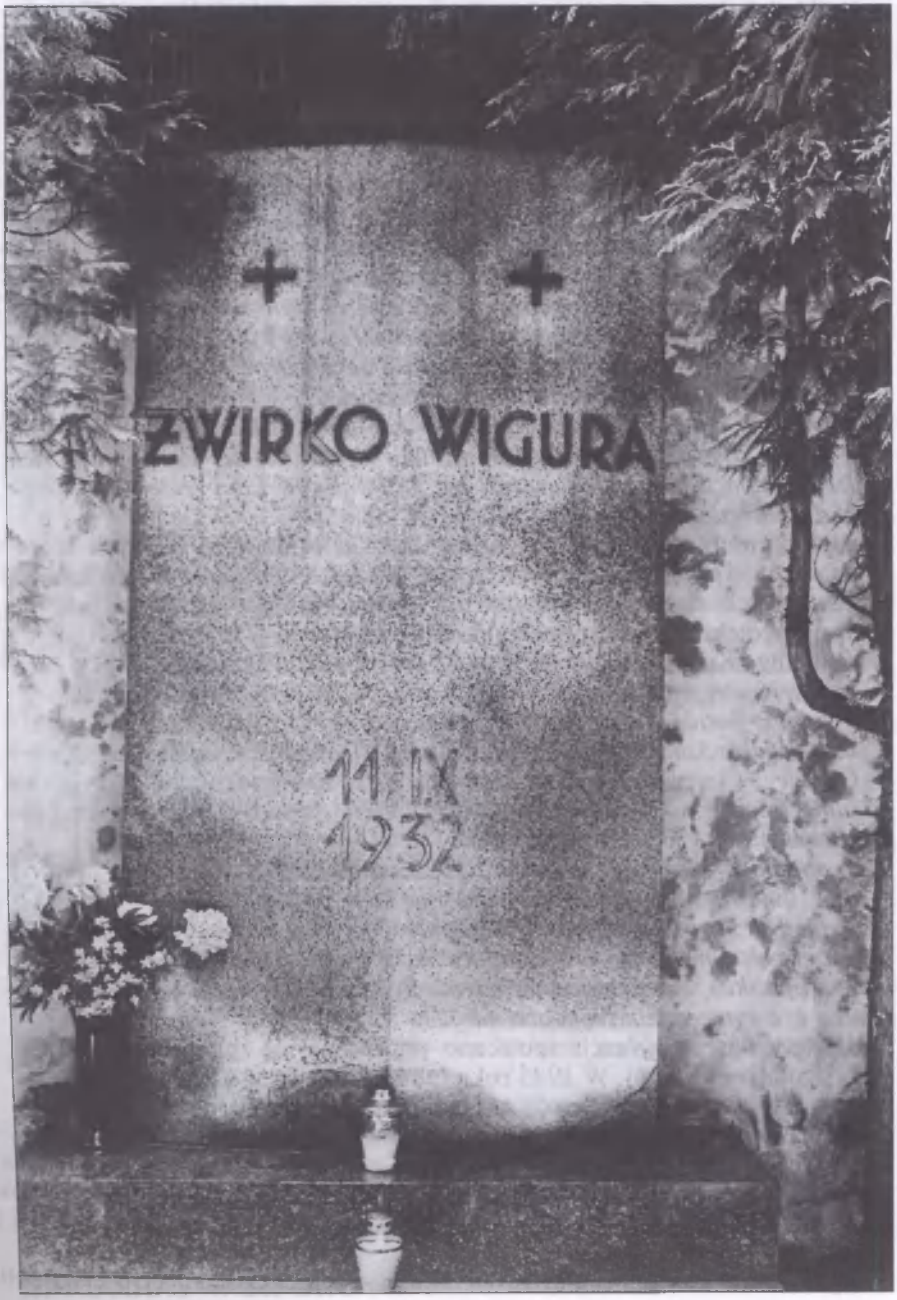
Następny „Komunikat" z 13 X 1932 (PL, nr 42/1932) donosi: *Pod przewodnictwem wiceprezydenta krajowego p. dra Žáčka, jako prezesa Morawskiego Aeroklubu w Bernie, przybyła w sobotę dnia 8 października 1932 r. upełnomocniona delegacja Komitetu Mor. Aeroklubu dla budowy pomnika Żwirki i Wigury do Czeskiego Cieszyna, celem porozumienia się z Komitetem, wyłonionym dla tego samego celu spośród ludności polskiej w Czechosłowacji pod przewodnictwem dra Leona Wolfa.*

Po naradach prezydium w dniu 8 października 1932 r., w obecności konsula p. dra Karola Ripy, i po zbadaniu na miejscu katastrofy w Cierlicku w dniu 9 października 1932 postanowiono w porozumieniu wybudować pomnik bohaterskim lotnikom polskim jako wyraz jednakich uczuć narodu czeskosłowackiego oraz ludności polskiej, mieszkającej na terenie Republiki Czechosłowackiej. Pomnik ten ma być wyrazem zbliżenia obu narodów (...).

Niestety, nastała sytuacja społeczno-polityczna nie sprzyjała tym wspólnym, zgodnym krokom. W 1935 roku ludność polska w Czechosłowacji wybudowała w wybranym miejscu kaplicę pamiątkową z napisem nad bramą u wejścia „Żwirki i Wigury start do wieczności".

Dalsze losy kaplicy były ściśle związane z bolesnym okresem faszyzmu hitlerowskiego, lecz pierwotne zamiary upamiętnienia tragicznego wydarzenia udało się w pełni urzeczywistnić, a pamięć przetrwała do czasów obecnych.

STANISŁAW ZAHRADNIK



Grobowiec Żwirki i Wigury w Alejach Zasłużonych na Powązkach w Warszawie

ŚLADAMI ŻWIRKI I WIGURY, CHOCIAŻ NIE TYLKO

Już po raz któryś z kolei, tym razem w ramach Roku Żwirki i Wigury, niestrudzony pod tym względem Józef Przywara zorganizował wycieczkę tematyczną śladami polskich lotników.

Otóż 30 maja w godzinach późnowieczornych kilkunastu Zaolziaków z liczniejszą grupą Polaków wyruszyło z Cieszyna autokarem polskim na Litwę. Po całonocnej jeździe zatrzymaliśmy się na warszawskich Powązkach, gdzie czekał już na nas Henryk Żwirko, syn tragicznie zmarłego w roku 1932 w Cierlicku Franciszka. Z nim odwiedziliśmy następnie grób obu polskich bohaterów przestworzy w Alei Zasłużonych, gdzie delegacja Zaolziaków na czele z Józefem Przywarą złożyła wiązankę kwiatów oraz informację w postaci zapisu: *Rok Żwirki i Wigury 2002. Bohaterom Przestworzy Rodacy z Ziemi Cieszyńskiej. Cierlicko - Cieszyn.* Pan Henryk opowiedział zebranym o tym, iż w sierpniu ma się ukazać jego książka (drugie wydanie) poświęcona pamięci ojca i jego kolegi (opowiadający miał 2 lata, kiedy zginął ojciec). Potem jeszcze zwiedziliśmy Aleję Zasłużonych, jest to piękna i znacząca nekropolia, gdzie warto byłoby dłużej zabawić. Niestety i tutaj szerzy się wandalizm metalowy, to jest rabowanie z nagrobków wszystkiego, co jest sporządzone z metali nieżelaznych, los ten spotkał także grobowiec Żwirki i Wigury. Na pożegnanie pan Henryk obiecał, że będzie obecny na wrześniowych obchodach w Cierlicku.

Swoją wędrówkę śladami polskich lotników rozpoczęliśmy więc od grobu, skąd wyruszyliśmy na Litwę, do miasteczka, gdzie urodził się Franciszek Żwirko, a więc coś jakby na zasadzie cofanego filmu: Cierlicko - miejsce śmierci, Warszawa - miejsce spoczynku i Święciany - miejsce urodzin.

Tego rodzaju wycieczki poznawcze zawsze mają to do siebie, że z braku czasu z powodu nieustannej pogoni za zaplanowanymi terminami przyjazdów i odjazdów, uczestnicy odczuwają pewien niedosyt. Chciałoby się naturalnie dłużej zabawić na Powązkach, parę godzin spędzić w Warszawie, wstąpić do mijanego Pułtuska, zahaczyć o miejscowość Guty w pobliżu Augustowa. Krótki postój w Augustowie zachęcił do obejrzenia Jezior Augustowskich. Zaintrygowała też pobliska miejscowość Jedwabne, o której teraz głośno w świecie w związku z udziałem Polaków w mordowaniu Żydów. Dla odmiany jeszcze bardziej chciałoby się zajrzeć do niedalekich Sejn, znanych z cennej inicjatywy wydawnictwa Pogranicze, gdzie, jak już sama nazwa wskazuje, pokazują się utwory literackie z pogranicza nie tylko polsko-litewskiego, ale z wielu europejskich pograniczy, przynoszące obiektywne i prawdziwe oceny oraz relacje z życia ludzi z terenów narodowo, religijnie i politycznie mieszanych. Tu ukazała się także omawiana na tych łamach przeze mnie książka „Esejów" Tomasa Venclovy o trudnych stosunkach polsko-litewskich, z perspektywy której miałem niebawem obserwować współczesną Litwę.



Dom, w którym urodził się Franciszek Żwirko

Na granicę w Ogrodnikach dotarliśmy około 15.45, gdzie staliśmy ponad godzinę, choć poza nami prawie nikogo nie było. Biurokracja jeszcze socjalistyczna, nieżyczliwa turystom, podejrzliwa, powiało niedobrą graniczną przeszłością.

Pod wieczór dotarliśmy do Kowna, gdzie podczas krótkiego postoju zwiedziliśmy starówkę, zatrzymaliśmy się nad Niemnem, obejrzeliśmy Wilię, rzeki nam bliskie poprzez literaturę. Późnym wieczorem dotarliśmy do Wilna, gdzie zamieszkaliśmy w Viesbutis, swoistej filii hotelu Runmis, którego dyrektorką jest pani Stanisława Runiewicz, która się także nami zaopiekowała.

Nazajutrz zwiedzanie Wilna rozpoczęliśmy od cmentarza Rossa. Cmentarz na Rossie powstał w roku 1790 i jest on znaną i piękną nekropolią, a chroni on szczątki wielu wybitnych wileńczyków, których nazwiska i nam nie są obce (Joachim Lelewel, Euzebiusz Słowacki, ojciec Juliusza, Władysław Syrokomla, zresztą jeśli o pisarzy chodzi, to jest tu cała „Górka Literacka"), artystów, naukowców, profesorów Uniwersytetu Wileńskiego itp. W pierwszej części, na cmentarzu wojskowym znajduje się mauzoleum Matka i Serce Syna, gdzie znajdują się prochy matki Marii z Billewiczów oraz serce jej syna, marszałka Józefa Piłsudskiego. Zawsze tu pełno kwiatów i rodaków oraz dzieci, wyłudzających złotówki na rzeczywistą lub rzekomą wycieczkę szkolną do Gdańska.

Naturalnie o Rossie i samym Wilnie można by wiele pisać, o zwiedzanych



Uczestnicy wycieczki przy płycie grobowej Marii Piłsudskiej i serca syna przed cmentarzem na Rossie

kościołach: św. Piotra i Pawła na Antokolu, św. Kazimierza, św. Jana koło Uniwersytetu, Katedrze, naturalnie kaplicy i obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej (brama w remoncie) itp., o tym, że w odróżnieniu od Kowna w sklepach można się dogadać po polsku, w kawiarni (gdzie piłem smaczną kawę) po rosyjsku, że jest to miasto kontrastów, obok wspaniałych budowli gotyckich, renesansowych, barokowych i klasycystycznych stoją domy drewniane (podobnie jak w tutejszych „dierewniach"). Jest to jednak miasto urocze leżące u zbiegu rzek Wilii i Wilenki. Naszym przewodnikiem był Walenty Jemieljanow, nauczyciel w polskiej szkole w Magunach i litewskiej w Świerkach, nazajutrz w Trokach mieliśmy spotkać dyrektora szkoły polsko-rosyjskiej, który, ożeniony z Litwinką, posyłał dzieci do szkoły litewskiej. Zwiedzamy jeszcze Górę Trzykrzyską i następnie już indywidualnie starówkę.

Wieczorem pani Stanisława przygotowała dla nas występ orkiestry (dwuosobowej - Kazimierz i Eugeniusz) Stare-Jare. Takie piosenki jak „Ostatni dzwonek", „20 lat", „Stare wileńskie ulice", „Cyganeczka Zosia", „Zimowe Wilno", „Wileńskie dziewczyny", „Sokoły" itp. (sporo tych pieśni na kasecie) w dużym stopniu przybliżyły nam atmosferę litewskiego Wilna, bliskiego wielu Polakom. Obecny był także artysta malarz Stanisław Kaplewski, absolwent Moskiewskiego Ludowego Uniwersytetu Sztuk Pięknych, członek Zrzeszenia Polskich Plastyków Elipsa w Wilnie, który prezentował swoje obrazy oraz pub-

likacje ze swymi rysunkami: „W zasięgu wzroku - impresje graficznie-poetyckie" (wiersze Aleksandra Śnieżki) oraz przewodnik z jego rysunkami „Wilno spacerkiem po starówce".

Niedziela 2 czerwca. Jedziemy do Święcian, rodzinnego miasteczka Franciszka Żwirki. W tutejszym kościele, gdzie chrzczony był Franciszek, właśnie kończy się polska msza św. i czynione są przygotowania do już litewskiego Bożego Ciała. Potem zatrzymujemy się przed szkołą (na trakcie Katarzyny Petersburg-Warszawa-Wiedeń), gdzie nasz bohater przestworzy uczęszczał do szkoły, na budynku znajduje się tablica upamiętniające ten fakt (tablicę wmurowano w roku 1933, po wojnie została ona zatynkowana, ponownie odremontowana została w roku 1990) i nieco dalej maleńki dom rodzinny na ul. Partyzanckiej. Zatrzymujemy się, wszyscy pstrykają. Zwiedzamy jeszcze piękną w środku cerkiew. Święciany mają około 6000 mieszkańców i aż 5 cmentarzy różnych wyznań.

Zwiedzamy dalej Zułów, gdzie urodził się i mieszkał krótko Józef Piłsudski. Majątek ani dom Billewiczów, skąd wywodziła się matka marszałka, już nie istnieją. Stoi tylko nieduży dąb, zasadzony w roku 1936 w rocznicę śmierci marszałka. W pobliżu drewniane domki i ruiny postsowieckiego kołchozu.

Obiad zjedliśmy w Podbrodziu i ruszyliśmy przez Wilno do Starych Troków, gdzie gościł nas zespół pieśni i tańca Troczanie, i gdzie wzięliśmy udział w XII Festynie Kultury Polskiej Ziemi Trockiej „Dźwięcz, polska pieśni". Festyn ten odbywa się co roku w innej miejscowości (tzw. festyn koczujący), w tym roku wypadło w pierwszej stolicy Litwy, i odbywał się na wzgórzu zamkowym księcia Witolda z widocznymi po dziś dzień fosami obronnymi. Atmosfera jak na naszym Święcie Gorolskim, z tym tylko, że dominował tu śpiew. Impreza trwa dwa dni, pierwszy jest pod znakiem zespołów szkolnych i dyskoteki, drugi rozpoczyna się korowodem, mszą św. i następuje przegląd zespołów (w tym roku wystąpiło ich dziewięć, w tym jeden z Grodna na Białorusi). Atmosfera jak to na tego rodzaju imprezach, wszystko kończy się zabawą ludową i ogniskiem integracyjnym. Jednak tego już nie doczekaliśmy, udając się na zamówioną kolację w Nowych Trokach. Tu w restauracji karaimskiej zjedliśmy smaczne kibiny (baranina nadziewana w specjalnych uszkach, zapiekana z zupą) i udaliśmy się w długą podróż powrotną.

Wycieczka raczej udana, uczestnik bliżej poznał świat, skąd wywodził się Stanisław Żwirko, złożył hołd obu lotnikom na Cmentarzu Powązkowskim i poznał kawał ciekawego świata, litewskiego, jednak tak bardzo bliskiego Polakowi. Poznał nowe środowisko, nowe krajobrazy, nowych i ciekawych ludzi.

Polacy na Litwie mają zresztą wiele wspólnego z nami. Też są Polonią autochtoniczną, chociaż niewątpliwie mieli niepomiernie trudniejsze warunki od nas.

KAZIMIERZ JAWORSKI
(Zdjęcia autor)

PŁAKAŁ LUD ŚLĄSKI

Płakał lud śląski, gdy umarła Pani,
która mu księżną dobrotliwą była.
Był to płacz szczery, który serca ranił,
gdy Księżnę Czarną mogiła przykryła.
Minęły wieki, zagoiły rany,
został Kościelec na pamiątkę wieczną,
w onym to miejscu srogi cios zadany
wznowił cierpienie, wycisł łzę serdeczną.

Żwirko, Wigura, znani nam lotnicy,
walcząc z żywiołem, rozhukaną burzą,
zginęli w lesie na naszej ziemicy,
znacząc to miejsce własnej krwi kałużą.
Henryś sierotą bohatera został,
całego świata z nim współczują dzieci.
Tatuś, mu sławy przekazując kryształ,
w nas i w nim zapał do Ojczyzny wzniecił.

Dzieci z polskiej szkoły w Błędowicach Dolnych, do której uczęszczała moja siostra Anna Tomanowa (82 lata), śpiewały tę pieśń na uroczystości żałobnej w Cierlicku na Kościelcu w pierwszą rocznicę po wypadku. Na melodię „Boże, coś Polskę" nauczył jej nauczyciel Kozieł. Na prośbę siostry, która tę pieśń pamięta do dziś, przesyłam jej tekst - napisała w liście do redakcji Helena Sikorowa.

PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (3)

W POLSKIEJ SZKOLE W BOGUMINIE

W drugiej połowie 1923 roku zaszły znowu pewne zmiany o wielkim dla nas znaczeniu. Dotychczasowa szkoła niemiecka, do której uczęszczałem przez 3 lata, została zlikwidowana. Zostało bowiem stwierdzone, że uczęszczało do niej 99 procent dzieci rodziców polskiej narodowości, a więc takich jak ja. Macierz Szkolna rozpoczęła starania o założenie polskiej szkoły.

Na początku nowego roku szkolnego 1923/24 nie miałem dokąd chodzić. Do czeskiej szkoły nie chciałem iść ani rodzice nie chcieli mnie tam posłać. Za radą tych, którzy organizowali polską szkołę w Rychwałdzie, dali mnie rodzice zapisać tymczasowo do polskiej szkoły ludowej do Bogumina. Byłem więc z mamą pierwszy raz w dużym budynku polskiej szkoły w Boguminie przy wpisach. Zostałem przyjęty do 5 klasy, zadecydowało o tym czytanie z polskiej książki i rachunki, które umiałem najlepiej.

Zacząłem więc piechotą chodzić do Bogumina. Droga była dla mnie dosyć daleka, wychodziłem z domu o wpół do siódmej rano, aby być na ósmą w szkole w Boguminie. Musiałem iść drogą polną przez Zabłocie, a dopiero od kaplicy drogą bitą pod Kalusa, wreszcie koło huty (fabryki Hahna) i przez most kolejowy, bardzo wąski, dopiero ku dworcu kolejowemu i główną ulicą przez rynek ku szkole. Musiałem chodzić sam, z moich stron nie chodził tam nikt. Kierownikiem szkoły był starszy pan nazwiskiem Waleczko. Moim nauczycielem był znowu młody jeszcze p. Pastuszek, który był dobrym nauczycielem i wszyscy się uczyli. W klasie był wzorowy porządek i spokój, nie tak jak w szkole niemieckiej. Od razu włączyłem się także do nauki i każdej lekcji starałem się nauczyć. Niekiedy, idąc ze szkoły, uczyłem się po drodze wiersza lub innej jakiejś zadanej lekcji. Doczekałem się nawet kilku pochwał z języka polskiego i rachunków. Był to punkt zwrotny w moim życiu szkolnym. Szkoła pokazała mi się w pełnym blasku i wielkości. Zrodziła się ochota do nauki. Lekcje były ciekawe, każdą godzinę coś innego, zacząłem dużo czytać. Miałem pierwsze wypożyczone książki młodzieżowe, które czytałem, nawet pasąc krowy. Szkoła pociągała mnie na całego, nawet nie zrażała mnie daleka droga.

Przeszedł wrzesień, nawet mijał październik - nastały chłody. Już nie dało się chodzić boso do szkoły. Trzeba było przywdziewać prawdziwe buty, jedyne, jakie miałem „na piątek i świątek". O płaszczu nie było mowy, musiał starczyć kabotek i kaszkiet na głowie. Książki nosiłem w papierowym plecaku. Gorzej było w listopadzie, kiedy nastały mgły i chłodne poranki. Zacząłem więc przywdziewać Manusiów starszy kabot, aby mi było cieplej, i maszerowałem często w desz-

czu ku Boguminu. Powoli zacząłem zmieniać trasę wędrówki przez zabłockie doły, ale tylko wtedy, kiedy było ładniej, inaczej nie wykopałbym się z błota.

W drugiej połowie listopada doszła do nas wiadomość o zatwierdzeniu polskiej szkoły w Rychwałdzie. Trzeba było przeprowadzić niektóre remonty w budynku - ojciec ofiarował również dla szkoły kilka furmanek, zwiózł coś cegły. Dzięki ofiarnej pomocy wielu rodziców budynek szkolny był wyczyszczony i uporządkowany w krótkim czasie. Czyniono przygotowania do uroczystego otwarcia szkoły.

Kiedy zgłosiłem w Boguminie przejście do Rychwałdu, pozostawiono mi wszystkie książki.

ZNOWU W RYCHWAŁDZIE

Staraniem Głównego Zarządu Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie otwarto 1 grudnia 1923 dwuklasową polską szkołę ludową w Rychwałdzie koło Domu Robotniczego. Dla mnie było to lepsze o tyle, że miałem bliżej do szkoły, chociaż było trzeba liczyć dobrą godzinę na piechotę. Ale była to droga dobrze mi znana, a razem ze mną chodziło kilku dawnych znajomych, jak Łuksza Franciszek, Szkuta i inni. Koło sklepu Bergera przybywało kilku dalszych tak, że szliśmy większą gromadką koło gospody Tobiasa do szkoły.

Kierownikiem szkoły był Zaremba Rudolf, a nauczycielem Kopytko Rudolf ze Zbytek. Przydzielono mnie do 2 klasy 1 oddziału. Uczył mnie kierownik Zaremba. Miał koło 35 lat, był nadzwyczaj inteligentny i dobry. Odnosił się do nas zawsze przychylnie i z uśmiechem na twarzy. Zyskał sobie wkrótce nasz szacunek i posłuszeństwo. Za cały czas nie wziął kija do ręki. Jeżeli miał kogoś ukarać, to czynił to słownie i takim sposobem, że winowajca czuł się jakby najbardziej ukaranym. Nie było przy tym żadnego krzyku ani żadnych przezwisk. Toteż znikła wśród nas wyrobiona kiedyś rozbójniczość i niegrzeczność. Przejęliśmy od swego wychowawcy spokój i pogodny nastrój, który jak najbardziej odpowiadał naszym warunkom.

Od pierwszych dni otwarcia szkoły zabraliśmy się do nauki jakby z pełnią odpowiedzialnością. Nie tylko ja, ale cała klasa okazała się jakby zgraną rodzinką, żądną nauki. Czytanie i opowiadanie ustępów z czytanki przypadało nam o wiele łatwiejsze, słuchaliśmy z zaciekawieniem historii polskiej, którą opowiadał nam bardzo interesująco nauczyciel Kopytko. Wykazywaliśmy postępy w rachunkach, w gramatyce języka polskiego oraz nauce o przyrodzie. Spodobały nam się rysunki, a najbardziej ręczne roboty, zwłaszcza chłopców. Wycinaliśmy z cienkich deszczułek lipowych piłeczkami różne ozdobne ramki, ornamenty kwiatów i krain, a najczęściej zwierzątka domowe czy leśne. Nawet brałem pewne robótki do wycinania do domu. Potem wszystko barwiliśmy na kolorowo i lakierowaliśmy - były piękne wystawki!

Po raz pierwszy poznaliśmy piękne nasze pieśni polskie - lekcje śpiewu były najulubieńszymi godzinami naszej nauki. Lubianą była również nauka religii rzymskokatolickiej, której udzielał nam ksiądz katecheta z Bogumina (nazwiska już nie pamiętam). Był prawdziwym pasterzem i ojcem duchownym - kiedy opowiadał nam dzieje biblijne, słuchaliśmy go z zapartym tchem. Miał bowiem dar obrazowego i żywego opowiadania. Innym razem przynosił nam i rozdawał „sztolwerki", chcąc odwzajemnić się za nasz spokój w klasie w czasie jego ciekawych opowiadań. Nawet nauczył nas kilku kościelnych pieśni.

Ten ksiądz katecheta przygotowywał nas do pierwszej spowiedzi św., którą odprawiłem razem z innymi w kościele w Nowym Boguminie. Przygotował nas również do I Komunii św., która odbyła się w Rychwałdzie. Stała się dla mnie pamiętną. Była bowiem przez naszych zakupiona polska Msza św. wraz z naszą I Komunią św. Kiedy proboszcz ks. Sobek, wychodząc do ołtarza, usłyszał polski śpiew, uciekł od ołtarza, zostawiwszy nas przed płotkiem ołtarza. Było trzeba długiego proszenia delegacji polskich obywateli, nim ksiądz proboszcz dał się nakłonić do odprawienia Mszy św. i Komunii. Została mi niemiła pamiątka!

Nic też dziwnego, że organizowano polskie Msze św. w klasie szkoły, zwłaszcza w czasie świąt. Klasa była zawsze pełna. Przed sporządzonym ołtarzem odprawiał mszę ksiądz Smyczek z Łazów. Chodziłem z rodzicami na te msze, bo mogłem śpiewać pieśni kościelne, zwłaszcza kolędy.

PRZYJEMNOŚCI W SZKOLE W RYCHWAŁDZIE

Z nauką szkolną połączone były pewne przeżycia, które urozmaicały nam tryb szkolny. Radosną była dla nas na przykład przed świętami Bożego Narodzenia Gwiazdka. Była to uroczystość połączona z akcją dobroczynną dla biednych dzieci. Naturalnie obdarowywano wszystkie dzieci, biedniejsze otrzymywały jeszcze coś od ubrania czy obuwia. Wszyscy jednak otrzymywaliśmy strucle i bogatą paczuszkę różnych ciastek, cukierków, były także jabłka i orzechy. Mieliśmy wprawdzie już w szkole niemieckiej Gwiazdki, ale te nie mogły się równać z obecną polską Gwiazdką. Uroczystość urozmaicona była pokazem dzieci. Odegraliśmy obrazek świąteczny pod tytułem „W stajence", gdzie w żłóbku leżał Jezusek, a myśmy mu z wierszykami składali różne dary. Ja miałem rolę górnika i złożyłem u żłóbka kawał węgla. Uroczystość odbyła się w klasie, obecnych było wielu rodziców. Był to piękny zwyczaj, zaczynający w szkole właściwe święta.

Drugą przyjemnością w szkole w Rychwałdzie była dwudniowa wycieczka w góry na Stożek, która odbyła się na wiosnę w r. 1924. Na szczycie Stożka bawiliśmy się bardzo wesoło, zwłaszcza ślizgając się po gładkiej trawie na deszczułkach. Nocowaliśmy pod dachem w schronisku, każdy spał smacznie po tylu wyczerpujących godzinach. Rano przywitało nas słońce, ale w drodze powrotnej

chwycił nas ulewny deszcz i zmokliśmy do suchej nitki. Nie pomniejszyło nam to humoru ani pięknych wrażeń z wycieczki, która długo pozostała nam w pamięci, jako pełna przygód wycieczka w góry.

Z innych uroczystości pamiętam festyn szkolny w lasku Sznapki blisko stawów. Bawiliśmy się tam przy różnych grach, jak zawody w workach, nożyce i inne.

Wpisałem się też do drużyny harcerskiej, zbiórki odbywały się w szkole najczęściej w niedziele. Drużynę naszą prowadzili Dzierża Emil i Kocur Alfred. Na zbiórkach uczyliśmy się tak zwanych „Prawd harcerskich", graliśmy różne gry, jak szukanie kredy, spisywanie przedmiotów oraz przedsiębraliśmy wędrówki po okolicy z uwzględnieniem znaków harcerskich. Zbiórki harcerskie wpłynęły bardzo dodatnio na nasze ustosunkowanie się koleżeńskie i wzajemne współżycie. Mieliśmy nawet na festynie ognisko harcerskie.

Reasumując okres życia szkolnego w szkole ludowej, muszę stwierdzić, iż pierwsze 4 lata były mi zupełną marnotą. Prawdziwe rozjaśnienie i włączenie się do szkoły zdobyłem dopiero w szkole polskiej, z której mam jak najlepsze wspomnienie. Zdobyłem bowiem podstawy do dalszych studiów. Mój zapał i wyróżnienie się w różnych przedmiotach zwróciły na mnie uwagę kierownika, który ciągle polecał mnie do szkoły wydziałowej. Ja jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, wiedziałem tylko, że do szkoły wydziałowej nie może chodzić byle kto, gdyż jest to szkoła lepsza, dla bogatszych. Zresztą nie ode mnie to zależało. Dopiero porozumienie się kierownika z moimi rodzicami dało mi szansę przejścia do szkoły wydziałowej w Niemieckiej Lutyni. Zostałem postawiony przed trudnym zadaniem.

Całe wakacje przygotowywałem się do szkoły wydziałowej. Mama kupiła mi nowsze ubranie, ja znowu oszczędzałem pieniądze z „biczówek", czytałem książki młodzieżowe dla wyrobienia płynności w czytaniu, nawet przepisywałem teksty dla wyrobienia sobie staranniejszego pisma. Słowem, cały zajęty byłem nową szkołą.

DO WYDZIAŁÓWKI W LUTYNI

Kierownik Zaremba zgłosił mnie już na początku czerwca 1924 do szkoły wydziałowej w Niemieckiej Lutyni. Ale ze stanowiska urzędowego moja mama była jeszcze na końcu roku szkolnego z moim świadectwem przy wpisach w szkole wydziałowej. Dyrektor szkoły wypytywał ją o mnie, a ujrzawszy ostatnie moje świadectwo szkolne, wyraził się o nim pochwalnie, prosząc matkę, by dopilnowała mnie w domu, gdyż w szkole wydziałowej będzie więcej nauki niż w szkole ludowej. Matka, wróciwszy, opowiedziała mi wszystko, dając do zrozumienia, iż muszę zabrać się do sumiennej pracy szkolnej, jeśli nie chcę harować „na szachcie" jak moi bracia. Słowa te utkwiły mi w pamięci. Postanowiłem uczynić zadość wszystkim wymaganiom, ciesząc się już przez całe wakacje, że będę chodził do

szkoły wydziałowej. Z większą też ochotą i radością pomagałem przy pracy domowej przez całe wakacje, zwłaszcza podczas furmanek ojcu. Starałem się bowiem zyskać jak największe wzięcie u ojca, żeby mi nie stawiał później przeszkód w uczęszczaniu do szkoły. Ojciec nie miał bowiem zrozumienia dla nauki i jej wartości dla życia. Niekiedy uważał naukę za stratę czasu. Ale wszystko się zmieniło, i ten niedobry pogląd ojca.

Zbliżał się dzień rozpoczęcia roku szkolnego, a dla mnie dzień, kiedy miałem zacząć uczęszczać do szkoły wydziałowej. Ojciec nie tylko, że mi nie czynił żadnych trudności, ale jeszcze przed drugimi chwalił się, że pójdę „do wydziałówki", czemu się nawet wielu obcych ludzi dziwiło! Nie chcieli po prostu wierzyć.

Szkołę wydziałową utrzymywała Macierz Szkolna z siedzibą w Czeskim Cieszynie. Umieszczona była w prywatnym budynku właściciela Babisza, niedaleko rolnika Rakusa. Budynek był parterowy, niezbyt okazały, ale przerobiony tak, że odpowiadał potrzebom szkoły. Całe nakłady rzeczowe i personalne ponosiła Macierz Szkolna, jako instytucja dla ratowania polskiego szkolnictwa. Trudno zrozumieć stanowisko czeskich urzędów, które na przykład na Zbytkach umieściły „českou národní školu" w budynku Macierzy Szkolnej, budynek wybudowany został przez Macierz Szkolną w roku 1908. Pomimo tego nie było miejsca obecnie dla polskiej szkoły wydziałowej.

Moja droga do szkoły wydziałowej była bardzo trudna i daleka, - wychodziłem z domu o wpół do siódmej rano. Szedłem więc półtorej godziny! Do tego droga była większością błotnista i trzeba było mieć porządne buty. Już z domu przez Pawlików dół dostałem się na miedze ku lasku Fojtoku, a dalej jeszcze miedzą na drogę Zbytecką, która była niekiedy gorsza niż miedze. Było na niej pełno wybojów, kałuż i błota! Było trzeba dosłownie człapać w błocie koło gospody „Širina", wreszcie koło sklepu „Pěluchy „ ku Waroszowemu gruntu, a koło jego lasku dopiero w dół ku Lutyni. Budynek szkoły był właśnie przed centrum Lutyni na mniejszym wzniesieniu, skąd było dobrze widzać kościół i częściowo cmentarz. Niedaleko szkoły był lekarz „Beter".

Rano chodziłem najczęściej sam, mało kiedy spotykałem się z Tomaszem z Rychwałdu. Z powrotem szła nas cała kupa. Byli bowiem Zabłocanie, jak Glajcowie, Reli, Musioł i inni, którzy chodzili już do wyższej klasy. Chodziliśmy różnie, w zgodzie z Rychwałdzianami, lub daleko od siebie. Większych bójek nie było, bo zaraz dowiedziano się w szkole, a dyrektor na takie zachowanie był bardzo ostry. Ja unikałem takich akcji, nie chodziłem przez Adamczyków lasek, gdzie głównie odbywały się napady, naturalnie bezkrwawe.

PIERWSZY ROK SZKOŁY WYDZIAŁOWEJ

W budynku szkolnym były 3 klasy, kancelaria dyrektora i sala konferencyjna. Osobno było wejście ku 1 i 3 klasie, a osobne ku 2 klasie. Ustępy tak dla chłop-

ców jak i dla dziewczyn były w podwórzu obok budynku szkolnego. Wewnętrzne urządzenie klas było całkiem proste: stare ławki, tablica, stół i krzesło. Podłogi były z desek. W ławkach siedzieliśmy każdy w swoich butach - nie było przebierania. Płaszcze wisiały w tyle na wieszakach ściennych. Mieliśmy już wtedy lampy elektryczne, ale tylko po 2 w klasie. Okna były dosyć duże, tak że klasy były dosyć dobrze oświetlone. Dzwonek elektryczny ogłaszał nam upragnione przerwy.

Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany - rozpoczęcie nowego roku szkolnego 1924/25. Zebraliśmy się wszyscy w poszczególnych klasach, skąd poszliśmy parami do miejscowego kościoła, rozpoczynając uroczyście nabożeństwem naukę szkolną. Po powrocie poznaliśmy wychowawcę klasy, który dawał nam pierwsze wskazówki co do całokształtu potrzeb i zajęć szkolnych. Każdy miał przydzielone miejsce do siedzenia. W 1 klasie było nas 29 (10 dziewczyn i 19 chłopców). Gospodarzem naszej klasy był starszy już nauczyciel Jan Górniak, którego nazywaliśmy „Foterek".

Nauka rozpoczęła się od zaraz. Nie była to już nauka na wzór szkoły ludowej, ale nauka wyższego typu. Każdy musiał bronić samego siebie, starać się, uczyć i wykonywać wszystkie czynności szkolne jak najlepiej. Nauczyciele na każdej lekcji egzaminowali kilku uczniów, zapisując do notesów odpowiednie stopnie.

Że początek był i dla mnie dosyć trudny, nie ulega wątpliwości, ale byłem na to przygotowany. Z czasem nawet przyzwyczaiłem się do tej atmosfery i przyjąłem tryb szkolny jako całkiem naturalny. Najlepszym zaś środkiem, który sobie obrałem, była pilność i sumienność w wykonywaniu swoich obowiązków szkolnych. I dobrze na tym wyszedłem. Zaraz też z początku zyskałem sobie u nauczycieli dobrą opinię, widzieli, że się uczę i wykonuję zadania domowe, często się zgłaszałem do odpowiedzi, więc stawiali mnie wkrótce za wzór. Przejawiło się to wkrótce przy pierwszej klasyfikacji i świadectwach. Zostałem najlepszym uczniem 1 klasy. Byłem z tego wielce dumny i zadowolony. Nie dałem się uśpić, owszem, uczyłem się z tym większą chęcią. A nauki było sporo.

Niejednokrotnie uczyłem się lekcji wieczorami, nawet przy krowie. Czytałem dużo książek, zwłaszcza w niedziele i święta. Były dni, kiedy uczyłem się wiersza w drodze do szkoły. Najgorszą była droga, kiedy przyszły deszcze i błota. Nim dostałem się do szkoły w takie dni, byłem już zmęczony i dość trudno było włączać się do normalnej nauki. Ale młodzieńczy zapał i pilność dodawały mi energii do przezwyciężania wszystkich trudności i wytrwania w dotychczasowej sumienności. Pomimo więc dosyć dużej „konkurencji" na najlepszego ucznia, nie pozwoliłem sobie do końca roku odebrać pierwszeństwa. Przy tym byłem dla kolegów zawsze na tyle wyrozumiałym, że nikomu nie dokuczałem ani się nie naśmiewałem, owszem, jeśli mogłem, to niektórym pomagałem w wypracowaniach domowych lub w nauce. Nie miałem też żadnych nieprzyjaciół.

c.d.n.

UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWE ŚWIADCZYŁY O WIELKOŚCI KSIĘDZA FRANCISZKA MORONIA

Zgasł nagle w niedzielę 15 listopada br. w Ropicy jeden z najlepszych naszych kapłanów-patriotów, najwybitniejszy organizator i pracownik kulturalno-oświatowy. Toteż kirem żałoby okryła się nie tylko sama wieś Ropica, gdzie spełniał przez lat niespełna dziesięć urząd proboszcza, nie tylko najbliższa okolica, ale cały Śląsk czeskosłowacki, ba nawet i Śląsk Cieszyński - polski. Takimi słowami rozpoczyna się nekrolog ks. Franciszka Moronia w organie Macierzy Szkolnej (nr 3-4/1931) pt. Przewodnik Oświatowy, organizacji, dla której zmarły położył szczególne zasługi. Ze względu na aktywność i rozmiary zaangażowania zawodowego, a zwłaszcza społeczno-narodowego Fr. Moronia na Zaolziu, można go uważać za kontynuatora czołowych działaczy narodowych z drugiej połowy XIX wieku (P. Stalmach, I. Świeży, F. Michejda, J. Londzin i inni). Jego dorobek nie był dotychczas w pełni oceniony.

Życiorys i działalność ks. Moronia były szeroko publikowane w miejscowych pismach bezpośrednio po śmierci, a nawet później (np. ZWROT nr 11/1991). Przypomnę tylko kilka podstawowych danych. Urodził się 29 września 1886 roku w Grzawie w powiecie pszczyńskim. W 1915 roku został wyświęcony na kapłana w Ropicy, gdzie od 1922 roku był proboszczem i podjął aktywną pracę na polu religijnym, społecznym i narodowym. Zmarł 15 listopada 1931 roku w budce suflerskiej podczas akademii na cześć św. Stanisława Kostki w Ropicy, tamże pochowany.

Naszym celem będzie na podstawie dochowanego zapisu z Kroniki Gminy Ropica przedstawienie przebiegu uroczystości pogrzebowych. Sądzę, iż zapis zasługuje na uwagę, bo jest nie tylko świadectwem dokonań zmarłego, wyrazem podziękowań społeczeństwa polskiego za wykonaną pracę, ale również umożliwia zapoznanie się z przebiegiem uroczystości pogrzebowej. Chodziło o działacza zmarłego w pełni sił, a jego odejście boleśnie odczuło całe społeczeństwo. Przytoczony zapis podano w formie dosłownego cytatu z małymi poprawkami ortograficznymi:

Dnia 14 listopada zmarł nagle proboszcz miejscowy ks. Fr. Moroń. Wiadomość o śmierci wstrząsnęła umysłami wszystkich. Pogrzeb zaś stał się olbrzymią manifestacją dla zasług zacnego kapłana patrioty. Nieprzerwany łańcuch autobusów, samochodów, powozów i grup pieszych z całego Śląska kierował się w dniu pogrzebu, tj. 17 listopada, w stronę kościoła, którego mury zdołały pomieścić zaledwie tylko delegacje. Zaś tłumy pozostać musiały mimo słoty i niepogody na

cmentarzu. W kościele przed ołtarzem zgromadziło się 90 księży. Koło katafalku stanęło jakby do apelu 13 sztandarów korporacji, których rozwojowi poświęcił Zmarły gros swego życia. A pomiędzy delegatami można było spostrzec wszelkich współpracowników Jego i wszystkich pracowników na niwie narodowej i na polu gospodarczym. Nie było miejscowości na całym naszym Śląsku, skąd by nie było uczestników w tej wielkiej żałobnej manifestacji polskiej, w jaką się przerodził pogrzeb zacnego kapłana-patrioty, nie było instytucji polskiej, która by nie wysłała swych reprezentantów. A wszyscy przybyli z wyrazem ciężkiej żałoby i smutku na twarzy, więc nie tylko dla spełnienia zwykłego obowiązku towarzyskiego, ale dla uczczenia pracownika, wyrwanego spośród żyjących, którego jeszcze dużo pracy czekało.

Kondukt prowadził i Mszę odsłużył ks. komisarz Weissmann z Karwiny. Kazanie żałobne, wzruszające do głębi, wygłosił ks. dr Wrzoł. Nad grobem otwartym pierwszy przemówił burmistrz miejscowy p. Kaleta. Pożegnał on zmarłego w imieniu gminy i miejscowych obywateli i, dziękując za jego pracę, podkreślał Jego zasługi przez sumienne wykonywanie pracy obywatelskiej w miejscu i okolicy. Za Związek Śląskich Katolików i w imieniu całego polskiego ludu katolickiego pożegnał jednego z najbliższych swych współpracowników dr Wolf, wskazując na jego wielki wpływ na różne przedsięwzięcia polskie na Śląsku. Zawsze miał dobro ogólne na oku i w lepszej organizacji ludu polskiego upatrywał lepszą jego przyszłość. W imieniu Komitetu Międzypartyjnego pożegnał Zmarłego poseł Chobot. Zmarły był jego członkiem i w wielu wypadkach Jego zdanie szczere i bezstronne zaważyło i było przez wszystkich bez względu na przynależność partyjną respektowane. W imieniu całej ludności polskiej pożegnał zmarłego dr Buzek. Duchowi czystemu, który odszedł w zaświaty, składa lud śląski hołd, jako wielkiemu kapłanowi i patriocie Polakowi. Całym swym jestestwem pokochał on polski lud na Śląsku, ten jeden lud bez różnicy na zapatrywania partyjne i wyznaniowe. Broniąc nieustraszenie praw ludu polskiego, przylgnął on i do tej polskiej ziemi śląskiej. Czysty jego duch, który stanął godnie obok ks. Świeżego i ks. Londzina, będzie nadal nam hetmanił. Imieniem kolegów i zorg. katol. młodzieży Poznańskiego i całej Polski złożył ostatnie pozdrowienie Jego kolega ks. Leopold Bitko. Znów imieniem ropickiej młodzieży katolickiej pożegnał Zmarłego nauczyciel Zawadzki Alojzy z Ropicy. Zapewnił, że młodzież przez niego wychowana i kierowana pójdzie drogami, które On jej wskazał. Wielkie wrażenie wywołało przemówienie prezesa Macierzy Szkolnej, dyr. Feliksa, który żegnał długoletniego sekretarza instytucji. Śmierć tego wielkiego kapłana i obywatela jest ciosem nie tylko dla Ropicy, ale dla całego ludu polskiego na Śląsku. Dziękował mu za Jego pełną poświęcenia pracę, którą zawsze z całą gotowością dla Macierzy wykonywał. Dla zaznaczenia, że Macierz ją w całej pełni ocenia, wezwał wszelkie Koła Macierzy do wzięcia

udziału w pogrzebie, co też z równą gotowością uczyniły. Ostatnie pożegnanie i hołd złożył jeszcze komendant hufców i młodzieży katolickiej Śląska Górnego, skąd Zmarły pochodził, i p. Waleczko imieniem nauczycielstwa, jako najlepszemu nauczycielowi ludu i kapłanowi. Chór Towarzystwa Nauczycieli Polskich, który i w kościele śpiewał podczas Mszy św. zaśpiewał nad grobem na pożegnanie.

Jak z powyższego wynika, ks. Franciszek Moroń był tak wszechstronnym i przykładnym działaczem, że trudno znaleźć dziedzinę ludzkiej działalności, w której by jego osoba nie odegrała poważnej roli, która by nie mogła świecić przykładem i to nie tylko dla jemu współczesnego, ale i obecnego społeczeństwa naszego. Za całokształt dorobku na niwie duszpasterskiej, społecznej i narodowej prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki nadał ks. Franciszkowi Moroniowi in memoriam w 1932 roku Złoty Krzyż Zasługi. Zasługuje również na to, by i w naszym społeczeństwie pamięć o nim nie zaginęła.

STANISŁAW ZAHRADNIK

TAJEMNICE „TOMKA" I ALFREDA SZKLARSKIEGO

Alfred Szklarski urodził się 21 stycznia 1912 roku w Chicago w stanie Illinois. Jego ojciec Andrzej po rewolucji 1905 roku został aresztowany przez Rosjan i uwięziony. Zwolniony za kaucją uciekł z Polski i wyjechał z Europy. Osiadł w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie przez jakiś czas był pracownikiem polskiego konsulatu. Matka Alfreda Maria była również Polką. Alfred razem z siostrą wychowywali się w dzielnicy, którą zamieszkiwali również Indianie z plemienia Santi Dakota. Był to szczep, który najdłużej stawiał opór najeźdźcom. Alfred, jak sam wspominał, dzieciństwo miał beztroskie. Wówczas też sobota stanowiła dlań najmilszy dzień tygodnia: *Chodziłem do Coloseum, gdzie gwoź-dziem programu były występy prawdziwych Indian. Oryginalne stroje, wspaniała tresura mustangów, huk broni palnej, ostry zapach prochu zapierały dech w piersiach widzów.* Zapewne też znacząco wpłynęły na wyobraźnię młodego chłopca.

Do szkoły Alfred Szklarski zaczął uczęszczać w Chicago. Z tamtych czasów wspomnienia zachował różne. Powiada m.in.: *Nie lubiłem matematyki i zrzynałem z książki z geometrii. Książka była niedowcipna i wypadła na podłogę. Koniec był do przewidzenia.* A także: *uwielbiałem Karola Maya.*

Ponieważ matka tęskniła za Polską i nie odpowiadał jej klimat amerykański, w 1922 roku po raz pierwszy przyjechał wraz z nią do kraju. Wskutek jednak różnych trudności ich pobyt trwał tylko dwa miesiące, po czym wrócili do Stanów. Po raz drugi Alfred Szklarki przyjechał do Polski w 1928 roku, tym razem - jak się okazało - na stałe. Na początek osiadł wraz z matką we Włocławku, gdzie kontynuował naukę w gimnazjum im. Jana Długosza. Tam też w 1932 roku uzyskał maturę.

Po złożeniu egzaminu dojrzałości rozpoczął studia na Wydziale Konsularno-Dyplomatycznym Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Studiował w trudnych warunkach. Nie dość, że przeszedł ciężką chorobę płuc, to jeszcze sam musiał się utrzymywać i płacić za egzaminy. Jego ulubionym przedmiotem była geografia, wykładana m.in. przez prof. Stanisława Srokowskiego. Studia, w zakres których wchodziła - obok pozostałych przedmiotów - także historia i etnografia, miały znaczący wpływ na jego późniejsze prace literackie. Dyplom Akademii Nauk Politycznych Alfred Szklarski uzyskał w 1938 roku.

Z chwilą otrzymania dyplomu Szklarski winien był wrócić do Stanów Zjednoczonych, lecz „serce nie sługa". W akademii, wśród koleżanek, wyszukał sobie żonę. Ślub z panią Krystyną odbył się w Kościele św. Jakuba w Warszawie, w 1939 roku, w dniu wkroczenia Niemców do stolicy. Wzywany przez ambasadę amerykańską do opuszczenia Europy jednak nie wyjechał ze względu na żonę. Został w Warszawie. Brał udział w Powstaniu Warszawskim w Zgrupowaniu Zaręby Piorun. Przyjął wtedy pseudonim Szklarz. Po zakończeniu powstania próbował jakoś wydostać się z Warszawy. Udało mu się wyjść z transportem rannych. Po wielu perypetiach odszukał żonę i córeczkę, która w chwili wybuchu powstania miała zaledwie dwa miesiące.

W Warszawie cały dobytek państwa Szklarskich poszedł z dymem. Zamieszkali wówczas w Krakowie u dalszej rodziny. Ze względu na bardzo trudne warunki - głównie brak możliwości zatrudnienia - przenieśli się do Katowic i od roku 1945 pozostali tam na stałe. Wówczas Alfred Szklarski pracował krótko w Wojewódzkim Biurze Informacji i Propagandy oraz w jednym z prywatnych wydawnictw, gdzie, począwszy od 1946 roku, ukazały się kolejno trzy jego powieści dla dorosłych. W latach 1945-1948 był sekretarzem redakcji czasopism Świat górnika i Metalowiec.

Jak wspomina żona, pisarz był zawsze dużym autorytetem dla swoich

dzieci. Szczególnie córka była zafascynowana osobowością ojca, często też ona pierwsza była słuchaczką fragmentów jego powieści.

Pisarz lubił pracować w nocy, zazwyczaj po 8–10 godzin. Pisał w swoim pokoju, gdzie oprócz ogromnego biurka z maszyną do pisania znajduje się na półkach potężny księgozbiór i liczne pamiątki z różnych stron świata: gromadzone latami figurki i drobne rzeźby, w tym nierzadko prezenty darowane autorowi w dowód wdzięczności przez licznych czytelników.

Pisarz chętnie spotykał się z nimi i był zawsze gościem najmilszym i najpilniej oczekiwanym. Najczęściej były to kiermasze organizowane z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy – trudno było wówczas przebrnąć przez tłumy wielbicieli, by uzyskać autograf autora. Pisze o tym m.in. Wojciech Żukrowski z właściwą sobie swadą: *...mało stolika nie przewrócili, mało nie zatłamsili ulubionego autora. Muszę przyznać, że im się nie dziwię, bo Szklarski myśli o nich, pamięta, dla kogo pisze, chce niepostrzeżenie czegoś nauczyć i kocha, co tu dużo gadać, po prostu ich kocha.*

Oprócz tych dorocznych regularnych spotkań pisarz bywał też zapraszany wielokrotnie na spotkania autorskie w bibliotekach, szkołach, towarzystwach kulturalnych, zakładowych domach kultury. Dowody popularności autora i jego niezliczonych spotkań z czytelnikami można znaleźć w obfitej korespondencji zachowanej w archiwum rodzinnym. Stąd też wiemy, że pisarz nie odmawiał spotkań bez względu na odległość miejsc, z których przychodziło zaproszenie. A było to zarówno Zegrze, Opole, Bydgoszcz, Oświęcim, Poddębice koło Łodzi, jak i Katowice, Ruda Śląska, Żory, Kłodzko, Siedlce, Przemyśl, Gorzów Wielkopolski i wiele innych.

Młodzież pisała do autora o wszystkim: o przeczytanych książkach i własnych przeżyciach, o zachowaniu bohaterów, ich podróżach i doświadczeniach, o swoich wrażeniach i przyjaźni z postaciami opisanymi. Stawiano też mnóstwo pytań, zwłaszcza o głównego bohatera Tomka: czy to tylko postać fikcyjna, czy autor sam był podróżnikiem lub miał takich przyjaciół, czy ktoś wyruszył już na wyprawę śladami odważnych łowców.

Z bohaterami identyfikowali się nie tylko chłopcy. Jedna z dziewcząt o wdzięcznym imieniu Salomea zwierza się w liście: *W miarę jak czytałam, dziadek zaczął nazywać mnie Sally.* Niejeden z korespondentów podkreślał też, że to właśnie pan Szklarski zaszczepił w nim ciekawość świata.

Trudno się dziwić. Literatura przygodowa, do której trzeba zaliczyć książki Alfreda Szklarskiego, w tym przypadku nawiązywała do modelu powieści Sienkiewiczowskiej. Przejawia się on w konstrukcji fabuły i bohatera, manifestacji motywów patriotycznych, wątku przyjaźni przerodzonej w miłość. (Widoczne są również wpływy Coopera i Maya, szczególnie

w dwóch tomach cyklu: „Tomek na wojennej ścieżce" i „Tomek u źródeł Amazonki".)

Zarówno realia historyczne jak i spore dawki rzetelnej wiedzy z różnych dziedzin nauki spowodowały, że książki Szklarskiego nie tylko rozwijają wyobraźnię, ale też uczą: Uczą świata i bycia w świecie. Tak więc nie tylko przygoda, wynikające z niej napięcie i silne emocje, ale też umiejętność opanowania ich, poszanowania odmienności oraz próby jej zrozumienia stanowią nić przewodnią całego cyklu.

Aż trudno uwierzyć, że autor tak egzotycznych powieści, twórca tylu fascynujących wędrówek prowadził swych czytelników w świat niejako „zza biurka". A faktem jest, że cykl podróży i przygód Tomka Wilmowskiego na różnych kontynentach powstał głównie na podstawie wiedzy naukowej i źródeł pisanych. Należy on dziś do najpoczytniejszych lektur w ciągu czterdziestu ostatnich lat XX wieku. Złożyło się nań 9 pozycji, nie licząc pierwszej „Tomek w tarapatach", którą autor sam stawiał poza nawiasem serii. Każdy z tomów stanowi odrębną całość. Łączy je postać głównego bohatera i najbliższych mu towarzyszy. I to właśnie oni realizują na kartach powieści marzenia rówieśników Tomka o wielkiej przygodzie.

Zaczęło się wszystko w 1957 roku od „Tomka w krainie kangurów". Książka ta, wznawiana w ciągu 30 lat dziewięciokrotnie, miała łącznie w 10 wydaniach 900 000 nakładu. Potem były następne: „Przygody Tomka na czarnym lądzie" (1958), „Tomek na wojennej ścieżce" (1959), „Tomek na tropach Yeti" (1961), „Tajemnicza wyprawa Tomka" (1963), „Tomek wśród łowców głów" (1965), „Tomek u źródeł Amazonki" (1967), „Tomek w Gran Chaco" (1987), „Tomek w grobowcach faraonów" (1993).

Znakomity pisarz spostrzegł szybko, że Tomek nie ulega prawom czasu. W związku z tym kazał mu rosnąć i dojrzewać. (Rozpoczyna swe przygody, mając lat 14, w ostatniej z cyklu książce jest mężczyzną dwudziestoletnim.) Jednak czytelnicy nie pozwolili, by ich ulubieniec postarzał się: *...może pokochać, może się nawet ożenić, ale nadal ma pozostać owym młodzieńczym Tomkiem, którego traktują jak swego, nieco uprzywilejowanego przez los rówieśnika.*

Jak pisze Stanisław Wilczek, Tomek jest całkiem zmyśloną postacią, natomiast ojciec, pan Wilmowski, ma wiele cech charakteru i pewien bagaż przeżyć ojca pisarza. Także sympatyczny bosman Nowicki łączy w sobie cechy autentyczne, a to obu braci ciotecznych pisarza (Władka i Henryka), którzy przed II wojną światową służyli w polskiej marynarce handlowej.

Tych dziewięć powieści i prawie wszystkie opisane w nich egzotyczne podróże były efektem długotrwałych i szczegółowych przygotowań historycznych, geograficznych, etnograficznych, i politycznych, gdyż autor sam

takich wypraw nie odbywał. Wyjątkiem była podróż do Egiptu, w którą wspólnie z żoną Krystyną wyruszył u początku prac nad ostatnią częścią cyklu. Wrócił z podróży, lecz potem książki już nie dokończył. Ukazała się dopiero po jego śmierci.

Wszystkie powieści o przygodach Tomka wydawane były (do 1990 roku) przez oficynę wydawniczą Śląsk. Nakłady książek przekroczyły wówczas łącznie 10 milionów egzemplarzy w języku polskim i 3 miliony w językach obcych (w tym najwięcej tłumaczeń na język rosyjski). „Tomka w krainie kangurów" oraz „Tajemniczą wyprawę Tomka" wydano w Polsce także systemem Braille'a.

W 1991 roku Agencja Muza S.A. wydała wszystkie powieści z cyklu o Tomku. Trzy z nich także w wersji komiksowej. Są też nagrania na taśmach magnetofonowych.

Czytelnicy zapewne nieraz zadawali sobie pytanie, dlaczego powieści te nie zostały sfilmowane. Nie wiadomo, można się tylko domyślać. W 1983 roku została podpisana umowa z Wytwórnią Filmów Fabularnych w Warszawie na ekranizację trzech tomów, później Wytwórnia Filmowa Zodiak podpisała umowę na ekranizację czterech powieści. Miały to być filmy pełnometrażowe oraz w osobnej serii dla telewizji. Potem zapadła cisza. Głośno natomiast było zawsze w gronie czytelników, co znalazło swój wymierny efekt w postaci nagrody Orlego Pióra, a zatem także tytułu Ulubionego Autora Nastolatków, przyznanych Alfredowi Szklarskiemu w roku 1968. Wkrótce potem nastąpiło kolejne wyróżnienie - dekoracja autora Orderem Uśmiechu, która to uroczystość odbyła się w Pałacu Młodzieży w Katowicach 4 listopada 1971 roku. Ponadto Szkoła Podstawowa nr 23 w Katowicach szczyci się jego imieniem.

Alfreda Szklarskiego doceniali także jego koledzy po piórze. Nie tylko był członkiem Komisji Literatury dla Dzieci i Młodzieży, której przewodniczyła wówczas Hanna Ożogowska, ale także członkiem polskiej sekcji IBBY, której prezesował Wojciech Żukrowski. Za całokształt osiągnięć pisarskich Alfred Szklarski uzyskał w 1972 roku Nagrodę Wojewódzką.

Autor zmarł na zapalenie płuc 9 kwietnia 1992 roku w wieku 80 lat. Pogrzeb odbył się na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza w Katowicach. Żegnając zmarłego, Tadeusz Kijonka, prezesujący wówczas Śląskiemu Towarzystwu Literackiemu, powiedział: *Alfred Szklarski, ten miły starszy pan, nie stał się nigdy człowiekiem w podeszłym wieku. Był człowiekiem wielkiego taktu, uroku i prawdziwie wielkiej młodości. Człowiekiem o wielkiej wrażliwości i autorytecie. Człowiekiem, który nie uczestniczył nigdy w swarach i waśniach. Człowiekiem, na którym można było polegać, polegać jak na Zawiszy.*

ALEKSANDRA HUMEL

ODPUST W KARWINIE RAJU JUBILEUSZE RAJSKICH POLAKÓW

Jak co roku w niedzielę koło świętej Anny zgromadzili się w swej kaplicy i wokół niej parafianie z Karwiny Raju, by podczas uroczystej Mszy św. prosić o wstawiennictwo swą patronkę św. Annę. Kaplica św. Anny zbudowana została przed 120 laty i ta okrągła rocznica spowodowała, że tegoroczny odpust w Raju miał szczególny charakter. Kaplica powstała w 1882 roku obok polskiej szkoły (dziś mieści się w tym budynku Powiatowa Stacja Młodych Przyrodników). Szkoła otwarta została dziesięć lat wcześniej, czyli przed 130 laty. Natomiast 35 lat obchodzi w tym roku stojący także przy ulicy Kubisza po drugiej stronie dawnej polskiej szkoły Dom PZKO.

Rajscy pezetkaowcy mają swoją siedzibę w parterowym budynku, który wzniesiony został po drugiej wojnie światowej dla polskich uczniów, bowiem w tym czasie w polskiej szkole uczyły się dzieci czeskie. Kiedy w roku 1962 polskie dzieci wróciły do swej dawnej szkoły, drewniany barak opustoszał. Rajskie Koło PZKO z ówczesnym prezesem Franciszkiem Walicą na czele odkupiło budynek od Miejskiej Rady Narodowej i po gruntowym remoncie doszło w czerwcu 1967 roku do uroczystego otwarcia Domu PZKO. Jak twierdzi Tadeusz Puchała, od 1971 roku prezes Miejscowego Koła PZKO, Dom PZKO w Raju jest bardzo dobrze wykorzystany, w poniedziałki odbywają się tu próby chóru (w rajskim Kole istnieje chór mieszany Dźwięk oraz młodzieżowy Dźwięczek), w czwartki spotkania Klubu Kobiet i Klubu Seniora, w piątki Dom należy do Klubu Młodych. Dom PZKO wynajmowany jest także na uroczystości rodzinne, wesela, urodziny.

Święto rajskich Polaków rozpoczęła 28 lipca o godzinie ósmej rano odprawiona przez księdza Adama Kasperka uroczysta Msza św. w języku polskim ku czci św. Anny, podczas której zaśpiewał chór Dźwięk. Św. Anna była matką Matki Bożej, jest patronką rodzin. Znaczenie rodziny w dzisiejszym świecie podkreślił ks. Kasperek w swej homilii. *Anna* – powiedział m.in. – *po hebrajsku znaczy łaska. Jej życie było jedną wielką łaską od Boga, a my przychodzimy dziś do*

niej i prosimy o łaskę dla naszych rodzin, bo w rodzinie wszystko ma swój początek. Kiedy Ojciec św. przyjechał do Wadowic i stanął na rynku, to powiedział: I tutaj wszystko się zaczęło, kapłaństwo się zaczęło i szkoła się zaczęła... Myślę, że każdy z nas powraca do swego domu rodzinnego i to, co zostało wyryte w dzieciństwie, pamięta bardzo długo. Często dziś mówimy, jaka ta młodzież jest zła, nie ma żadnych wartości, jakie te czasy są niedobre, za naszych czasów było inaczej, ale to, co człowiek zdobywa w rodzinie, tego tak bardzo łatwo z życia wymazać się nie da. To w nas zostaje i jest głęboko wyryte w sercu. Dzisiaj gromadzimy się w kaplicy św. Anny. Bez nas ta kaplica byłaby tylko samymi murami, pustymi murami. Kiedy tak na was patrzę, to widzę, że ta kaplica pulsuje życiem, żyje w was i wy jesteście życiem tej kaplicy. Wy, którzy tutaj gromadzicie się, jesteście żywymi kamieniami, żywą kaplicą, żywą świątynią, fundamentem tej kaplicy i fundamentem wiary. Prośmy dziś o łaski dla naszych rodzin, aby w nich była miłość, dobroć, wzajemne zrozumienie, bo na tym możemy budować prawdziwe wartości i prawdziwą przyszłość.

W rodzinach przebiega też wychowanie patriotyczne. Toteż tłumnie, całymi rodzinami od pokoleń najstarszych do najmłodszych, udali się wierni po Mszy św. do Domu PZKO, by poprzez udział w festynie odpustowym zamanifestować swoją polskość. Festyn oficjalnie rozpoczynał się dopiero w godzinach popołudniowych, kiedy przygrywać miała orkiestra A. Sikory, wcześniej jednak odbyło się spotkanie byłych wychowanków szkoły. Szkoła polska w Raju z powodu ubytku uczniów zamknięta została przed dwudziestu laty, istniała jednak 110 lat i wielu jej absolwentów to członkowie i sympatycy Miejscowego Koła PZKO.

Na festynie nie zabrakło tradycyjnych atrakcji odpustowych, o kuchnię troszczyły się panie z Klubu Kobiet z Zofią Owczarzy na czele. Przygotowały m.in. słodki bufet, upiekły 3000 kołaczy i 1200 ciastek, które okazały się tak smaczne, że wykupione zostały już przed południem, dla gości, którzy przyszli po południu, pozostały dania ciepłe.

Lipcowy festyn odpustowy w Miejscowym Kole PZKO w Karwinie Raju staje się powoli tradycją. Kiedyś – jak stwierdził wiceprezes Koła Antoni Tomanek – organizowano festyny w czerwcu, ale zdarzało się, że w tym samym dniu odbywał się festyn w którejś z polskich szkół, zmieniono wobec jego termin i od trzech lat połączony jest z odpustem rozpoczynanym w miejscowej kaplicy Mszą św. ku czci św. Anny.

C.R.

GOROLSKI ŚWIĘTO W JABŁONKOWIE PO RAZ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Wielu zwolenników ma przebiegające w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej Gorolski Święto w Jabłonkowie, o czym nie po raz pierwszy przekonali się organizatorzy 3 i 4 sierpnia podczas jego pięćdziesiątej piątej edycji. Piękna słoneczna (w niedzielę aż nazbyt słoneczna) pogoda przyciągnęła do jabłonkowskiego Lasku Miejskiego tłumy: uczestników zabawy ludowej w najlepszym tego słowa znaczeniu, widzów przeglądu zespołów folklorystycznych z różnych stron świata, wreszcie amatorów przygotowanej jak zawsze przez Miejscowe Koła PZKO z okolic Jabłonkowa dobrej domowej kuchni, ludzi z najbliższej okolicy, ale i z dalszych stron, osoby mówiące po „naszymu", po polsku, po czesku, po słowacku...

Dwudniowe święto górali beskidzkich po zaolziańskiej stronie rozpoczęło się w Lasku Miejskim w sobotę o godzinie czternastej. Zagaił je gawędziarz Filip (Tadeusz Filipczyk), notabene autor scenariusza imprezy. Po sygnale Tygodnia Kultury Beskidzkiej oddał głos Romanie Janik i Marcinowi Filipczykowi, których wspomógł przygotowujący się do roli prowadzącego program w roku następnym Chrystian Heczko. *Chodzicie na tym samym miejscu jabłonkowskiej ziemi w Lasku Miejskim, przy tych samych budach jycie, pijecie, gościcie se, a dało by se rzyc, że fórt ty same gymby oglóndocie, swoich znómych, rodzinym, ale aji tu na scynie fórt ty same gymby* – rozpoczęła Romana Janik. *Ale aby latoś było kapke inaczyj* – kontynuował Marcin Filipczyk – *bo dzisio mómy dziyń taki młodzieżowy, to dzisio dómy słowo kómusi młodszymu, niech sie już też uczy, niech też próbuje tej drziny ze scyny: Chrystian Heczko z Lipki.* I z ust najmłodszego konferansjera zabrzmiało tradycyjne: *Ho, ho, ho, witejcie ludkowie na tym dalszim nas zim Górolskim Świyńcie.*

Na początek wystąpili najmłodsi: zespoły Lipka z Bukowca, Mała Nowina z Jabłonkowa i Ostravička z Frydka Mistka. Pierwszym zagranicznym zespołem był zespół z Portugalii Rancho Folclorico e Cultural, który do swych dreptanych tańców wciągnął także publiczność. Folklor kurpiowski reprezentował zespół Łomża, zaś słowackie tańce przedstawili członkowie zespołu Urpin z Banskiej Bystrzycy. Kończyła pierwszy dzień Gorolskigo Święta w Lasku Miejskim jak zawsze zabawa taneczna, która przeciągnęła się do późnych godzin nocnych, przygrywała grupa Beskid Folk Band.

W niedzielne przedpołudnie odbył się na jabłonkowskim Rynku Mariackim koncert kapel ludowych i orkiestry dętej Jablunkovan-

ka. W południe ruszył stamtąd do Lasku Miejskiego korowód zespołów i wozów alegorycznych. Wśród sztandarów nie zabrakło sztandaru Polskiego Związku Kulturalno–Oświatowego, współorganizatora imprezy. Na czele pochodu kroczyli organizatorzy i zaproszeni goście, a prowadził ich, by – jak stwierdził Filip – tradycji stało się zadość, syn prezesa jabłonkowskiego Koła Jana Rylki na koniu. Wśród gości oficjalnych znaleźli się m.in.: wicemarszałek Senatu RP Jolanta Danielak, senator RP Władysław Bułka, marszałek województwa śląskiego Jan Olbrycht, konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul Małgorzata Filipek, czeską stronę reprezentowali: poseł Parlamentu RC Marian Bielesz, kierownik Wydziału Kultury Urzędu Okręgowego w Ostrawie Antonín Liberda, nie zabrakło przedstawicieli Stowarzyszenia Wspólnota Polska, delegacji władz lokalnych i samorządów z najbliższej okolicy z obu stron granicy oraz przedstawicieli organizacji polskich na Zaolziu, Kongres Polaków reprezentował prezes Józef Szymeczek, Zarząd Główny PZKO prezes Zygmunt Stopa.

W Lasku Miejskim witał Filip poszczególne zespoły: najpierw trzy chóry: jabłonkowskiego Gorola z trombitą, który też w tym roku obchodzi swoje 55–lecie, nawsiańską Melodię, mostecką Przełęcz, następnie mosteckich Góroli, nowy zespół taneczny Zaolzi, składający się z dawnych tancerzy Olzy, zespół Wisła z Wisły, Estradę Ludową Czantoria z Ustronia, Jacków z Jabłonkowa oraz zespoły Hajduki z Oświęcimia, Ivan Goran Kovačić z Chorwacji, Łomża z Łomży i Urpin z Banskiej Bystrzycy. Zespoły te pokazały najpierw próbki swych umiejętności, by później wystąpić z pełnymi swymi programami. Zabrakło w korowodzie gościa najbardziej egzotycznego, który przedstawił się dopiero później, w trakcie występów kolejnych zespołów, zespołu Coahuila z Meksyku.

Nie zabrakło też na Gorolskim Święcie wozów alegorycznych, które prezentowały np. robienie ostrewek (Boconowice i Milików Pasieki), deptanie kapusty (Milików), zbieranie borówek (Piosek), kowalskie rzemiosło (Bukowiec), bo właśnie kowal był pierwszym nauczycielem dzieci z Bukowca, gdzie obchodzono w tym roku 210-lecie szkoły. Na wozach alegorycznych wieziono też kaczki, a jabłonkowscy hodowcy gołębi wypuścili w powietrze całe stado gołębi.

Gospodarzami witającymi uczestników Gorolskigo Święta byli prezes MK PZKO w Jabłonkowie, a jednocześnie członek Rady Kongresu Polaków Jan Rylko, który podziękował także sponsorom za wsparcie, i burmistrz Jabłonkowa Petr Sagitarius, który podkreślił znaczenie tego święta, tradycję, która łączy nas wszystkich.



Zagajenie tygodnia kultury beskidzkiej w Wiśle



Zagajenie wystawy...

Podziękował wszystkim organizatorom, którzy mieli swój udział w przygotowaniu Gorolskigo Święta. Zaproponował, by w tym dniu nie było podziału na Polaków i Czechów, ale by wszyscy mieli jedną narodowość: gorol.

Gorolski Święto w Jabłonkowie to jednak nie tylko program w Lasku Miejskim, to także wiele imprez towarzyszących. O Świętogóralskiej Kawiarence Pod Pegazem, która w tym roku rozpoczęła się właściwie już w piątek, piszemy w innym miejscu.

Sobotni ranek rozpoczynają zawsze imprezy sportowe. Jedną z nich jest Bieg o Dzbanek Mleka, który w tym roku odbył się już po raz szesnasty. Wzięło w nim udział 93 zawodników w ośmiu kategoriach wiekowych. Najszybszym zawodnikiem był Libor Sojnek z Piosku, najmłodszą uczestniczką dwuletnia Julia Heczko z Jabłonkowa, najstarszą Danuta Kondziołka z Ustronia (69 lat).

W ósmym Rajdzie o Kyrpce Macieja na osiem tras o długości od 9 do 20 kilometrów wyruszyło ponad dwustu turystów. Impreza, w organizowaniu której pomaga PTTS Beskid Śląski, przyciąga nie tylko osoby mieszkające pod Beskidami, ale także wielu chętnych z dalekich Czech oraz z Polski. Wszyscy, którzy zameldowali się na



Lipka

mecie, otrzymali pamiątkowy dyplom, nowością w tym roku były pamiątkowe odznaki. Kyrpce dla najmłodszego uczestnika zdobył w tym roku Adam Kowala z Bystrzycy (1 rok), zaś kyrpce dla najstarszych uczestników, kobiety i mężczyzny, odebrali Maria i Józef Szołtysowie z Karwiny Frysztatu (78 i 81 lat).

W sobotę tuż po południu zainaugurowana też została wystawa przygotowana przez jabłonkowską Izbę Regionalną im. Adama Sikory przy współpracy z Urzędem Miasta Jabłonkowa i Kongresem Polaków w RC, tym razem w budynku PSP koło Olzy. Zaprezentowano na niej następujące rzemiosła: garbarstwo, szewstwo, rymarstwo, krawiectwo i kapelusznictwo. *Ta wystawa* – powiedział kierownik Izby Regionalnej i przewodniczący Sekcji Ludoznawczej przy ZG PZKO Leszek Richter – *jest trzecią z kolei poświęconą rzemiosłom i rzemieślnikom jabłonkowskim. A dlaczego aż pięć rzemiosł? Ano dlatego, że obawiałem się, iż nie uda się zebrać odpowiedniej ilości eksponatów, ponieważ chodzi o rzemiosła, które już u nas nie istnieją co najmniej pięćdziesiąt i więcej lat. Jeżeli chodzi o garbarstwo, rymarstwo, szewstwo oraz kapelusznictwo, to w większym lub mniejszym stopniu korzystają one ze skóry,*



Meta Rajdu o Kyrpce Macieja

z szewcami zawsze łączy się krawców, wobec tego, żeby było nieparzyście, mamy pięć rzemiosł. **Leszek Richter przyznał, że urodził się trochę za późno, bo kiedy próbował zgromadzić eksponaty do wystawy z prywatnych zbiorów, często zdarzało się, że *ludzie bezradnie rozkładali ręce, mówiąc, że większość dokumentów i eksponatów niestety już poszła z dymem.* Mimo to warto było zwiedzić wystawę, by obejrzeć nie tylko dokumenty, ale wiele sprzętów, które znajdowały się kiedyś w warsztatach rzemieślniczych.**

Pięćdziesiąte piąte Gorolski Święto w Jabłonkowie przeszło do historii. I tu refleksja. Miło było przeczytać już w poniedziałek w czeskiej prasie – w notatce (ČTK)– o tym, że górale mieli święto i świetnie się bawili, o tym, że święto to przypomina życie ludzi w podgórskich wioskach w Beskidach, i o tym, że chodzi o jeden z najstarszych przeglądów folklorystycznych w Europie, a odbywa się w Jabłonkowie regularnie od 1947 roku. Zabrakło jednak w tym tekście jednego słówka: polski, polska. Czy na pewno wystarczy, byśmy, jak proponował burmistrz Jabłonkowa, wszyscy byli tylko „gorolami".

CZESŁAWA RUDNIK



Najmłodszy (1 roczek) uczestnik Rajdu o Kyrpce Macieja – Adam Kowala z Bystrzycy...

55. GOROLSKI ŚWIĘTO



Portugalia...












BOCONOWICE


HAJDUKI
POLSKA


EMOS



Meksyk...

55. GOROLSKI ŚWIĘTO

III MIĘDZYNARODOWE SPOTKANIE FOLKLORU

Integracja dzieci i młodzieży państw europejskich, kształtowanie w młodej generacji szacunku dla tradycji własnego środowiska i innych krajów to cel, który przyświecał III Międzynarodowemu Spotkaniu Folkloru Orłowa 2002. Patronat nad imprezą objął prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzej Stelmachowski oraz Senat Republiki Czeskiej, którego przedstawiciele w osobach Jaroslavy Moserovej, Antonína Petraša i Emila Škrabiša wzięli udział w koncercie galowym w Domu Kultury w Orłowej. Spotkania, pomysłodawcą których jest prezes MK PZKO w Orłowej Lutyni Marian Jędrzejczyk, odbywają się dzięki współpracy Miejscowego Koła i władz miasta na czele z burmistrzem Radislavem Mojžíškiem.







7 lipca główną ulicą miasta przeszedł barwny korowód śpiewających i tańczących zespołów uczestniczących w orłowskich spotkaniach. Nieco później wszystkie zespoły zaprezentowały się w sali widowiskowej Domu Kultury na koncercie galowym. I tak publiczność mogła podziwiać działające przy MK PZKO pod kierownictwem artystycznym Odonii Charvat zespoły Skotnica i Skotniczka, z Polski Dziecięcy Zespół Folklorystyczny Snutki pod kierownictwem Aleksandry Mendelskiej, ze Słowacji dziecięcy zespół Goralik i dwa zespoły łotewskie Trejupe i Memele, które nie tylko, że pokazały nieznany nam folklor, to wykonanie niezwykle trudnych, wymagających precyzji tańców zaprezentowały na poziomie iście profesjonalnym.

Organizatorzy koncertu: zespoły folklorystyczne Skotniczka i Skotnica, MK PZKO Orłowa Lutynia, władze miasta Orłowa, Kongres Polaków







i ZG PZKO, a przede wszystkim przewodniczący komitetu organizacyjnego Marian Jędrzejczyk i jego zastępcy Radislav Mojžíšek i Józef Lugsch mają powód do zadowolenia. Orłowskie spotkania stają się tradycją miasta, a trzeba przyznać, że zyskują na tym władze miasta, nawiązując kontakty z innymi państwami. Jest także faktem, że organizatorzy potrafią zareklamować swoje miasto, nie tylko gościnnie podejmując tu przybywających, ale każdemu gościowi i zespołowi dając na pamiątkę niezwykle starannie przygotowane materiały informacyjne o imprezie i mieście Orłowa.

Zespoły uczestniczące w III Międzynarodowych Spotkaniach Folkloru w Orłowej z pewnością wywiozą stąd miłe wspomnienia, tym bardziej, że występowały również w innych miejscowościach: w skansenie w Rożnowie i w uzdrowisku Klimkowice.

E.S.







DZIEŃ WĘGIERSKIEJ POLONII OLDRZYCHOWICE W PÉCSU I BUDAPESZCIE

Trzy dni na zaproszenie Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej gościł na Węgrzech zaolziański zespół taneczny Oldrzychowice pod kierownictwem nauczyciela Marka Grycza.

28 czerwca wystąpił zespół w pięknym mieście Pécs (ponad 200 km na południe od Budapesztu) na Dniu Polskim przebiegającej tam międzynarodowej wystawy regionalnej Pécs Expo, na której kraje tzw. wyszehradzkiej czwórki obok osiągnięć przemysłowo-gospodarczych prezentowały swoją kulturę, proponując również zwiedzanie poszczególnych krajów przez reklamowanie swoich zabytków i najciekawszych szlaków turystycznych. W godzinach popołudniowych wystąpiły jeszcze Oldrzychowice ze swoim widowiskiem folklorystycznym „Na zabawie w karczmie u Taciny" na miejskiej estradzie. Oba występy przyjęte zostały przez polsko-węgierską publiczność bardzo serdecznie.

Następnego dnia wyjechał zespół wczesnym rankiem do Budapesztu na Dzień Polonii Węgierskiej, zwany też Dniem św. Władysława. Jest to najważniejszy dzień węgierskiej Polonii. Na dzień 27 czerwca przypadają imieniny Władysława. Król św. Władysław (Szent László 1046–1095) był jednym z pierwszych królów węgierskich. Matką tego kanonizowanego w 1192 roku króla-rycerza była Polka: księżniczka Rycheza z rodu Piastów. Tak więc Władysław wcześniej nauczył się mówić po polsku, aniżeli po węgiersku. Polonia węgierska w 1996 roku obrała go swoim patronem i 27 czerwca obchodzi swoje święto.

Świętowanie rozpoczęła (z pocztami sztandarowymi) uroczysta Msza św. w Polskim Kościele, którą celebrował ks. Tomasz z Australii. Zespół Oldrzychowice przy akompaniamencie swojej kapeli zaśpiewał podczas nabożeństwa „Ojcowski dom" oraz „Szumi jawor". Po nabożeństwie nastąpił z kościoła przemarsz ze sztandarami do Domu Kultury Patakyego, gdzie odbyła się prezentacja wystawy, zorganizowana przy współpracy Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii w Budapeszcie, otwartego w 1998 roku. Na wystawie prezentowało swoje prace 25 osób, członków założonego w 1996 roku Forum Twórców Polonijnych. Tworzą go artyści plastycy, muzycy, naukowcy, dziennikarze.

Oficjalnego otwarcia uroczystości dokonał prezes Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej Konrad Sutarski. Nie obyło się bez wręczenia Nagrody św. Władysława oraz nagród za zasługi dla Polonii węgierskiej. Cały ceremoniał przemówień i wręczania nagród

trwał aż półtorej (!) godziny. Zaznaczyć trzeba, iż wszelkie przemówienia (łącznie z charakterystykami odznaczonych) tłumaczone były również na język węgierski.

W programie kulturalnym parę pieśni ludowych i okolicznościowych zaśpiewał zespół wokalny Wisła (pięć młodych pań i jeden pan) pod kierownictwem Imrego Motyki, a następnie Zespół Dziecięcy Tańca Ludowego Polonez pod kierownictwem Katarzyny Balogh zatańczył poloneza, krakowiaka i dwie polki. Zespół Taneczny Oldrzychowice i jego widowisko ludowe z tańcami i pieśniami cieszyńskimi i podbeskidzkimi, które stanowiło gwóźdź polonijnych uroczystości, wywołało na sali żywe zainteresowanie i było często przerywane oklaskami. Tancerze i kapela dawali wszystko z siebie, żeby wiarygodnie zaprezentować węgierskiej Polonii folklor ziemi, na której się urodzili i na której z pradziada żyją.

Na bankiecie, gdzie kapela ambitnego zespołu oldrzychowickiego rżnęła na całego, podrywając wszystkich obecnych do zbiorowego śpiewu i tańca, usłyszeć można było z ust miejscowej Polonii wiele pochlebnych opinii pod adresem zaolziańskiego zespołu, którego kierownictwu udało się nawiązać nowe przyjaźnie i obiecujące kontakty na przyszłość. Pierwsze tourneé artystyczne Oldrzychowic poza RC i RP zakończyło się więc bardzo pomyślnie. W nagrodę za udane koncerty zwiedził zespół w niedzielę przepiękny i skąpany w słońcu Budapeszt, z którego zabytkami zaznajomiła Zaolziaków nauczycielka Joasia Priszler, przewodnicząca Dzielnicowego Klubu Rodzin Polsko-Węgierskich i radna dzielnicowego samorządu.

Jako gość polonijnych uroczystości w Budapeszcie z ramienia ZG PZKO miałem okazję bliższego zaznajomienia się z niektórymi specyfikami i męczącymi problemami życia polonijnego węgierskich Polaków. Ale to już temat na osobne rozważania.

JÓZEF WIERZGOŃ

OBÓZ NIECO INACZEJ, bo Obóz Taneczny Zespołu OLDRZYCHOWICE odbywał się w lipcu w Domu PZKO w Gutach. Jak można obserwować na fotografiach z obozowego pasowania, organizatorom, na czele z Markiem Gryczem, nie zabrakło ciekawych i zabawnych pomysłów na umilenie wakacji dzieciom.









KS. FRANTIŠEK XAVER HALAŠ

ZAKOPCONYM SŁOWEM SZUKAM LISTU Z BLIZNĄ

OBAWA PRZEZ CHWILĘ STAJE W POWIETRZU

tam gdzie się tuli
ostatnia jagoda jałowca
błyska topniejąca cyna księżyca
Werbownicy smutku hałasują
w jeziorach z czarnym suknem
Meluzyna zaś zdyszana w sieni
se podpłomyki kruszy do mleka

PĘD ROZSIEWANIA

W chałupniczym prześwicie życiowy lament
w jego rozwianym pianiu kogucim
wyznać by słowo
jak zawsze pierwsze
To ledwie słowo bije
kiedy rusza
słowo jedyne zmięte w podróży
gdy głos utyka
rośnie jak młododrzewie
urzeczone własną wiosną

MOZOLOWSKI ADWENT

Zima to szpital
choć po co zaraz myśleć o najgorszym
Ślady rozkwitają kwiatami grudy
po nocach księżyc wykuwa je
na oknach
Ich dojrzałe ziarenka
wiatr roznosi na usta dziewczynie zimie
Aniele śniegu szarzeje ci oddech
Pozwólże zanieść jesieni
garść pieczek na próg betlejemski

MARZEC ZA SKREJSZOWEM

Ma oczy gołębie w błękitnym zakolu
przylaszczka
Niewzruszona
zieleń przyjmuje pasyjny odcień
i wzrok jak do podróży
Głos podniesiony przeciął iskrą węzeł
cudownie
stężała
w giętkość
postaci
W ten sposób zasklepiła się cisza kropel
rozdartych przed naturalną osłoną Godów
tak że zapachniało
(Każdy twój daremny krok jest zmarszczką
na matczynej twarzy)

SAN MARCO INTERNO

Trójwymierne kręgi
puste dla świateł
pośród głosów
skrzyżowanie globów
Jaskinia
wydrążona w niebo
przez załamanie rąk

BRAMA JESIENI

Do przepastności podobna ta brama
do podziemnego cieku skierowanie
całkiem jej zresztą w palecie barw
W dal płynie mądra sieć lotów
łagodnych do końca
Tkwi w niej nasze przyjście
nowe na zmianę...
Nastaje powrót krajobrazu

CZEMERZYCE

Ktoś
czymś z serca swego mnie obarczył
choć jestem obcy
Ktoś
czyjąś szramę mi owiązał
mroczny pot otarł ze słowa
W popielnicy śniegu
sasanka Godów z nazwą wioski
której nie ma
Las spoza niej nazwano by
Wnapastwęlosu

MICHELAGNIOLO

Anioł
w jego wąsach ukrył skrzydła
aby bez przeszkód
uczyć się rękami
posługiwania dłutem

przekład: Władysław Sikora

Ks. František Xaver Halaš (1946), ur. we wsi Sestroun koło Sedlčan, ordynowany w Pradze (1974), po parafiach Vlašim i Horaždovice trafił do szumawskiego Strašina. Ów ceniony poeta niezbyt dba o ogłaszanie swych poezji: w rękopisach pozostają więc jego zbiorki-wybory „Taciturna" (1967-72), „Kanuti" (1972-75), „Návrat krajiny" (1975-80), „Cesty domovů" (1991-2000). Dopiero dzięki przyjaciołom i znajomym ujrzał światło dzienne jego tom: „Dzień po dniu" („Po dni den"). Ks. F. X. Halaš poznał polski i został znakomitym tłumaczem wierszy ks. Jana Twardowskiego (wybór: „Modré brýle", Votobia, Ołomuniec 2001), A. Kamieńskiej, J. Pasierba, R. Brandstaettera, W. Oszajcy, W. Iwaniuka, S. Mrożka. K. Wojtyły... Kilka jego wierszy pod wspólnym tytułem: „Zakopconym słowem szukam listu z blizną" znalazło się w ostatnim wędryńskim magazynie poetyckim WELES (nr 14).

MIROSLAV VEJLUPEK

WIEK PRZEJRZYSTOŚCI

(fragment)

RZEKA

Rzeka... Po tysiąckroć możesz powtórzyć to słowo, ale kto nie przeżył nad wodą dni i nocy... Sens słowu musi nadać serce, jeżeli rozum ma go pojąć.

Jaś miał to szczęście: Senna przepływała tuż za płotem ogrodu. Na mieliznach pod okratowaniem drewnianego płotu cieszyły się ze swego istnienia płotki, a karpie też czasem odwiedziły małych krewnych, a także liny, a nieopodal, gdzie wodzie było już spieszno, czasem zbruździł powierzchnię szczupak. Pochwalił się swoim silnym ciałem i znikł pod wodą. Wielka to szkoda dla nieuważnego bystrzyka. O wiele lepiej wiedział, jak wybrnąć śliż jak podciągany na sznurku, myk do dziur pod kamieniami, a będę tu, dopóki głód mnie stąd nie przepędzi! Minogi miały podobną strategię, ale przy przeciwległym brzegu, tam, gdzie bagniste dno wypluwało bąble gazu.

Z jednego brzegu na drugi, osamotnione lub w stadach, odbijały swe mięsiste ciała białe gęsi. Nicponiowały całymi dniami, nic sobie z tego nie robiąc, beztroskie włóczęgi. Kiedy się nocą kuliłeś pod wierzbami, a gęsi mignęły po powierzchni, przyszło ci do głowy: Duch!... Jak tylko minął nagły lęk, znów było dobrze. W jaki sposób się gęsi pojawiły, tak i zniknęły. Śniłeś o tym, że są to łabędzie, i było ci przyjemnie mieć w ciemnościach tak wzniosłe towarzystwo.

Co na to Wart? Tak sobie, gęś tu czy tam! Kto by się nad tym zastanawiał? Był ponad tym ze swym spojrzeniem brązowych oczu.

Jaś przeżył nad Senną to i owo. To i owo zaobserwował, ale najdłużej przyszło mu uświadomić sobie, że rzeka ma usta. Że nimi oddycha. Szepce... Pewnego dnia niebu obmierzło ciągle się tylko uśmiechać i zdecydowało, że się rozpłacze. Zanim zapłakało, nawet wcześniej niż zaczęło pochlipywać, zamroczyło się - i w takich chwilach Jaś uczuł oddech rzeki. Pachniało bagnem i rybami, i życiodajnymi sokami wierzb. Jasia o mało co nie zamroczyło. Ukląkł na trawie. Wart pomyślał, że to wezwanie do przekomarzania się i bez wahania ruszył na chłopca. Stuk! Trach! Bęc! Kosi kosi łapki!

Jaś wyczerpany ze śmiechu legł plackiem na ziemi. Dosyć! Poddaję się! Jestem kaa, oo! Wart w tym momencie skończył: wiedział, co to jest fair play, a oprócz tego domyślił się, co i jak. Ze szczerej przyjaźni życzył Jasiowi, żeby wysmakował to, że rzeka wabiła oddechem. Po chwili położył się obok i Jaś wiedział, że Wart też jest szczęśliwy, że żyje, że może być na świecie i że w życiu spotkał się akurat z nim.

Było to upojne, wzruszające.

Na ostach za płotem huśtały się szczygły, w porzeczkowej gęstwinie szepnęła pokrzewka, a motyle na kwiatach były ze wszech miar ozdobnym cyferblatem zegara tykającego w głębi ziemi. Nawet myszka wybiegła z dziury na zagonie złotogłowych lilii, zatrzymała się na ścieżynce i badawczo przyglądała się tym dwiema. Nie salwowała się ucieczką. Nie panikowała. Wiedziała na pewno: Tu mnie nic złego nie spotka!

Nikt się nie boi. Nawet szczygły, nawet pokrzewki, nawet motyle. Jaś jest szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Tego nie można wyrazić słowem: zdarza ci się, że czujesz tyle rzeczy naraz i nawet nie wiesz, jak je opisać, żeby ich nie zniszczyć. I tak ma być. Czyżby świat istniał po to, żeby być zniszczony?

Wtedy w żółtym morzu przyszło Jasiowi do głowy, jakie to jest sprawiedliwe, kiedy nikt wkoło się go nie boi, i był święcie przekonany, że stało się tak dzięki rzece. Zrozumiał w tej chwili jej mowę...

Potem niebo zaczęło popłakiwać. Ciemniało i smuciło się coraz bardziej, wreszcie rozpłakało się zupełnie i Jaś z Wartem wypłynęli z żółtego morza.

A kiedy niebo pod wieczór się uspokoiło, nic nie było zwykłe jak przedtem.

Sam Jaś był inny. Już wiedział, nawet on jest taki jak szczygieł, jak pokrzewka, myszka czy motyl. Już przeczuwał, że dopóki zostanie takim, i tylko takim, będzie mu dobrze na świecie.

Zdradziła mu to mądra rzeka.

Tłum. LUCYNA PRZECZEK-WASZKOWA

Miroslav Vejlupek, ur. 29.1.1952 w Domażlicach, mieszka w zachodnich Czechach, jest m.in. autorem nowel „Chlapi se neboji" (1979), „Hlava plná mozolů" (1981), tryptyku prozą „Vyvřeliny" (1998), tomiku opowiadań „Nemocný život" (1999), edytorem najobszerniejszego internetowego projektu literatury niekomercyjnej i sztuk plastycznych Litterate http://v-art.envision.cz, pełnomocnikiem grupy artystycznej Stowarzyszenie Obywatelskie V-ART z siedzibą w Pisku, członkiem Gminy Pisarzy.

WSPOMNIENIA Z KOLONII POLONIJNYCH

Tegoroczne wakacje na Koloniach Polonijnych organizowanych przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska w Warszawie w Drawsku Pomorskim spędziło również 70 dzieci z Republiki Czeskiej. W zaolziańskiej grupie znalazły się między innymi dzieci z Jabłonkowa, Bystrzycy, Karwiny Frysztatu i Nowego Miasta. Fotografie Mirosławy Wilga z Kolonii przekazała redakcji opiekunka zaolziańskiej grupy pani Mirosława Kučerowa.





PREKURSOR ZWIĄZKÓW CZESKO-POLSKICH

(W 50. rocznicę śmierci Mariana Szyjkowskiego)

O niewielu ludziach można powiedzieć, że dokonali przełomu w tej czy innej dziedzinie nauk. Profesor Marian Szyjkowski (ur. 15.12.1883 we Lwowie, zm. 21.9.1952 w Pradze) należał do tych badaczy, którzy takiego przełomu dokonali w dziedzinie czesko-polskiego zbliżenia kulturalnego.

Starsi nauczyciele na Śląsku Cieszyńskim na pewno pamiętają jeszcze sylwetkę wspaniałego Profesora. Przyjeżdżał na Śląsk Cieszyński ze znakomitymi prelekcjami z zakresu literatury polskiej, czesko-polskich związków literackich, zwłaszcza ze świetnymi interpretacjami tekstów literackich. Te prowadzone w niezwykle przystępny i sugestywny sposób pozwalały zrozumieć istotę piękna dzieła literackiego. Szyjkowski znany był również czytelnikom Zwrotu, gdyż na łamach tego pisma często gościł i dzielił się z czytelnikami odkrywczymi spostrzeżeniami z zakresu stosunków czesko-polskich. Profesor Szyjkowski umiłował sobie Śląsk Cieszyński, zaś Bystrzyca nad Olzą stała się nieraz miejscem jego pobytu.

Gdzieś w połowie 1923 roku w gronie praskich bohemistów i slawistów powstała decyzja powołania do życia samodzielnej katedry polonistyki na Uniwersytecie Karola. Brak bowiem takiej katedry dał się odczuć znacznie tym bardziej, że studia slawistyczne, mimo wybitnych działających w Pradze profesorów, wymagały dalszych specjalistów, szczególnie z zakresu literatury polskiej.

Toteż jeszcze w tym samym roku udała się do Krakowa delegacja czeskich profesorów z Uniwersytetu Karola. Znaleźli się wśród nich m.in. wybitny językoznawca prof. Oldřich Hujer, członek wielu akademii, także Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, oraz Matija Murko, jeden z najznakomitszych profesorów filologii słowiańskiej. Wraz z Hujerem był współzałożycielem znaczącego pisma czechosłowackiej slawistyki Slavia. Murko zmarł w tymże roku co Szyjkowski.

Grono praskich profesorów usiłowało do Pragi pozyskać odpowiedniego wykładowcę, który pokierowałby nową placówką. Spośród wielu kandydatów z Uniwersytetu Jagiellońskiego wybór padł na ówczesnego profesora Mariana Szyjkowskiego, który w tym czasie prowadził zajęcia z zakresu historii literatury polskiej. Szyjkowski znany był już w tym czasie jako świetny wykładowca, a także jako autor wielu publikowanych prac naukowych. Od 1919 roku był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, ponadto członkiem TNW (Towarzystwo Naukowe Warszawskie) oraz PTPN (Polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk).

W pierwszym okresie działalności naukowej zajmował się Szyjkowski recepcją pisarzy zachodnio-europejskich w Polsce, głównie w okresie przedromantycznym. Tak powstały pionierskie dzieła m.in. „Ossyan w Polsce" (1913), „Myśl Jana Jakuba Rousseau w Polsce XVIII wieku" (1913), „Gessneryzm w poezji pol-

skiej" (1916) oraz „Schiller w Polsce" (1915). Ponadto jego zainteresowania naukowe sięgały także pogranicza folkloru, z zakresu którego wydał „Dzieje polskiego upiora przed wystąpieniem Mickiewicza" (1917). Na tle porównawczym ujął również kompilacyjne „Dzieje nowożytnej tragedii polskiej" (cz. 1-2, 1920-23), „Dzieje komedii polskiej w zarysie" (1921) i zarys „Dramatu w Polsce", który wyszedł w zbiorowych „Dziejach literatury pięknej w Polsce" (PAU, cz. 2, 1936). Obok publikacji książkowych był to cały szereg prac naukowych rozsianych na łamach różnych reprezentatywnych pism.

A zatem jeszcze przed objęciem praskiej katedry polonistycznej dorobek naukowy Szyjkowskiego był imponujący. Tymczasem po przybyciu do Pragi poświęcił się Szyjkowski głównie badaniom czesko-polskich związków kulturalnych. Z nazwiskiem Mariana Szyjkowskiego wiążą się nie tylko dzieje polonistyki na Uniwersytecie Karola, ale przede wszystkim powstanie nowego kierunku badań w zakresie studiów czesko-polskich. Praski pobyt zatem wyznacza dalszą działalność naukową w kierunku komparatystycznym. W trakcie praskiego pobytu powstały fenomenalne prace, które stanowią wyjątkowy wkład w dorobek naukowy z zakresu czesko-polskich związków kulturalnych. Przypomnijmy najważniejsze z nich:

„Polski udział w czeskim odrodzeniu" (Kraków 1929), „Polská účast v českém národním obrození I-III" (Praga 1931, 35, 48), „Polskie peregrynacje do Pragi i Karlowych Warów od Augusta Mocnego do Adama Mickiewicza" (Bydgoszcz 1936), „Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym" (Poznań 1947), „Czeskie odrodzenie w XX wieku" (Łódź 1946), „Karol Hynek Mácha, twórca czeskiego romantyzmu" (Łódź 1948). Oto syntezy głównych zainteresowań naukowych Szyjkowskiego. Książki z bogactwem materiałów odkrywczych, nieraz zaskakujących syntez. Z Pragi redagował ponadto w Krakowie naukową edycję „Biblioteka Słowiańska".

W 1948 roku obchodzono w Pradze jubileusz pracy Mariana Szyjkowskiego. Jego późniejszy następca, wybitny znawca literatury polskiej i autor wielu publikacji książkowych, prof. Karel Krejčí, stwierdził wówczas m.in.: *Dzisiejsze zwycięstwo idei czesko-polskiego zbliżenia daje wymowne świadectwo prawdzie i słuszności tej dwudziestopięcioletniej pracy Jubilata i jest dlań za poniesione trudy najpiękniejszym zadośćuczynieniem.* Zaś Jubilat tak określił swoją działalność: *Pragnę zostać łącznikiem w dziedzinie kultury między obu narodami, chcę informować Czechy o Polsce oraz Polskę o Czechach.*

Program ten w pełni realizował. Udokumentował go swoją pracą naukową oraz dydaktyczną działalnością społeczną i wychowaniem wielu uczniów kontynuujących ten piękny rozdział w historii wzajemnych związków kulturalnych czesko-polskich.

Spuścizna naukowa Mariana Szyjkowskiego znajduje się w zbiorach Ossolineum we Wrocławiu.

JAN KORZENNY

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



BRZEGI PŁOMIENIA

O tym, że człowieka nie można poznać od razu, powszechnie wiadomo. W listopadzie 1998 roku miał Stanisław Krawczyk w Opawie swój wieczór poetycki i przyznaję, że wiele spraw, a przede wszystkim wierszy do mnie wtedy nie dotarło. I nie dotarło do mnie także wiele słów wypowiedzianych przez niego i innych tego wieczora w jednej z opawskich gospód.

Na stałe zapisał się w mej pamięci dopiero w rok później podczas morawsko-polskiego spotkania literackiego w jesienny wieczór w Ustroniu, kiedy siedzieliśmy wokół ogniska. Trwała dyskusja, a Staszek Krawczyk oponował swym kolegom, niezwykle łatwo znajdując argumenty. Był zrównoważony, rozważnie myślący, stał i gestami podkreślał swoje poglądy. Śledziłem wtedy sposób jego argumentacji, jak i jej treść. I było tam jedno i drugie - logika i poetyckość. Dodałbym - niezbędna poetyckość.

Wszystko, co powiedziałem do tej pory, jest raczej notatką o Stanisławie Krawczyku zewnętrznym. Obok niego i razem z nim jest Krawczyk wewnętrzny, prosty i złożony zarazem. W swej istocie to człowiek wsi. Żyje w śląskim Dębieńsku w domu, który przebudował od podstaw. Wyrażenie człowiek wsi wywołuje obowiązkowo wspomnienie o tych, którzy byli wcześniej, o przodkach z tego samego rodu. Staszek Krawczyk ma ich w swej podświadomości, w sobie, i niejednokrotnie wraca do nich w swej poezji. Szczególnie do swego dziadka:

Mój umarły dziadek
rozwinięty na wietrze
idzie nad moim domem
z Jakucka do Paryża
z Paryża do Nowego Jorku
z Nowego Jorku
do

pozdrawia mnie
fałszywym paszportem
przez włoską topolę

dalej szuka prawdy
i pieniędzy

Dědek můj zemřelý
rozvátý větrem
jde nad mým domem
z Jakutska do Paříže
z Paříže do Nového Yorku
z Nového Yorku
do

zdraví mne
falešným pasem
přes vlašský topol

dál hledá pravdu
a peníze

Są to wiersze o dynamice kontrastu - Jakuck i Paryż, przeciwieństwo przestrzenne, kulturowe i cywilizacyjne, dwa odległe bieguny, niemal niemożliwe do połączenia, niemal wykluczające się nawzajem. Tak samo kontrastujący koniec wiersza, w którym dziadek dalej szuka prawdy i pieniędzy. Znowu odległość, która jest spinana i podkreślana świetną aliteracją. Z tymi przeciwstawnymi stałymi koresponduje później niejeden tytuł tomików wierszy Krawczyka, w każdym wypadku nazwa „Przedpokój - las mieszany". Albo „Brzegi płomienia". A zapewne także „Morze cierpliwe". Paweł Majerski określił Stanisława Krawczyka jako metafizycznego realistę. Nie jestem pewny, czy realista może być metafizyczny, ale w powyższych antynomiach i obrazach poetyckich jest coś metafizycznego.

Felieton ten jednak nie chce być bezkrytycznym hołdem, już choćby dlatego, że Krawczyk ma niejedną wadę. Jest notorycznym palaczem. Jego dębieński dom wprost unosi się w dymie z papierosów. Kwiaty i drzewa w ogrodzie wokół szpetnie za to płacą. Krawczyk ma na tę kryzysową sytuację przygotowane wyjaśnienie - on tego nie zawinił, to przecież opad z pobliskiej kopalni węgla kamiennego. I to wszystko twierdzi poeta, w którego twórczości znaleźć można niejedno zrozumienie dla piękna przyrody. W zbiorku „ Błądzę" ma np. taki trójwiersz:

Róża rozsypana na dziesiątki płatków
przypadkowa dekoracja strzyżonej trawy
arcydzieło między ideami

Růže rozsypaná na desítky plátků
náhodná dekorace pokosené trávy
arcidílo mezi ideami

Stanisław Krawczyk jest więc poetą i człowiekiem kontrastu, podobnie jak jego dziadek. Gdzieś z tylnej kieszeni wystaje mu fałszywy paszport.

FRANTIŠEK VŠETIČKA
tłum. M.R.

PIĘKNY JEST KRAJ NAD OLZĄ

Ziemio Kubisza, Ziemio Morcinka, ty piękna moja Ojczyzno! Tu się urodziłem, tu się wychowałem - Ciebie, Ziemio Śląska, bardzo ukochałem. Tutaj na każdym kroku widzę Twoje piękno. Każda skibka ziemi zroszona jest krwią, obmyta łzami, osuszona radością i piosenką.

Kiedy patrzę na piękne Beskidy, na szczyty Czantorii, Kozubowej czy Jaworowego, widzę górala - staruszka siedzącego na progu swojej drzewiónki, człowieka, który walczył z nieurodzajną ziemią o każdą kromkę chleba. Widzę dziewczynę w kierpcach pasącą stado owiec. To jej piosneczki, jak dźwięczne dzwonki, rozbrzmiewały ponad szczytami gór. Tam w okolicach Jabłonkowa młodzi chłopcy w noc Kupały watry rozpalają, by uczcić prasłowiańskiego boga słońca, życia, miłości. W tę noc piękne dziewczyny wianki na wodę puszczają.

Idę cichutko po naszych gróniach, żeby ujrzeć to, co najpiękniejsze - przyrodę. Smutne świerki i sosny, które jeszcze pamiętają dawne czasy... Słyszę kojący świergot ptaków, szum rwących potoków.

Gdzie te czasy, kiedy rozciągały się tu gęste, bogate knieje. Czasy książąt - Piastów cieszyńskich. Tyle pamiątek po nich zostało. Stare budowle, stare kościoły. Gdzie to wszystko? Kto mi powie?

Jedyny świadek dziejów mojej ziemi to rzeka. To Olza, która płynie wartkim potokiem spod Gańczorki i Karolówki, by spokojnie powitać piękne nasze miasta: Jabłonków - stolicę beskidzkich górali, Trzyniec - miasto hutników, stary gród Piastów - Cieszyn, górniczą Karwinę i Bogumin, w którym smutno żegna się z tym krajem, wpadając do Odry.

Jakże małą jesteś nadolziańska ziemio, a jakże różnorodną! W jednej chwili byłem myślami w górach, na łonie przyrody, by wnet się przenieść do Karwiny, miasta górników. Tam nie ma słońca, tam nie słychać przejmującego trelu ptaków. Górnik pod ziemią ciężko i głucho wali kilofem.

Jednak piękna jesteś, moja mała ojczyzno, bo tu przy jednym stole wspólny chleb jedzą Czech i Polak, katolik i protestant. Tu przy wspólnym stole istnieje zgoda i miłość. Jak bardzo do tej ziemi pasuje legenda o założeniu miasta Cieszyna - o trzech braciach, którzy po długiej rozłące spotkali się i, ciesząc się z owego spotkania, nowy gród Cieszynem nazwali.

Pragnąłbym, by Cieszyn, miasto radości, było ogniwem, które zawsze będzie łączyć ludzi mieszkających w tym pięknym kraju nad Olzą.

ARTUR KURZĘPA
PSP Czeski Cieszyn

Praca nagrodzona została w konkursie literacko-plastycznym „Piękny nasz kraj nad Olzą".

CZYTAJMY DZIECIOM
KAMPANIA „CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM" NA CZESKIM GRUNCIE

Kampania społeczna „Cała Polska czyta dzieciom" rozpoczęła się w Polsce 1 czerwca 2001 roku. Reklama radiowa i telewizyjna, w której dziecko pyta ojca, czy umie czytać, utkwiła w pamięci wielu słuchaczy i widzów. Potem oglądali w telewizji, jak ludzie znani ze szklanego ekranu i z pierwszych stron gazet głośno czytają książki swoim pociechom.

W Polsce Program Zdrowia Emocjonalnego organizuje Fundacja ABCXXI, założyła tę fundację ambasadorowa Irena Koźmińska po powrocie do kraju z USA, gdzie spotkała się z programami pomocy dziecku za pomocą głośnego czytania. Sama pomagała w ten sposób własnemu dziecku.

Na pomysł, by program głośnego czytania dzieciom przenieść także na nasz zaolziański grunt, wpadła Wanda Kozdra z Filii Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie na ul. Havlíčka. *Bibliotekarki wiedzą najlepiej* - mówi - *jak wygląda sprawa czytelnictwa. Dzieci mało czytają, trzeba je jakoś zaktywizować do czytania. Zaskoczyły mnie wyniki badań, co przynosi głośne czytanie dzieciom. Badania naukowe udowadniają, że jeśli dziecku od małego czytamy, to dziecko jest bardziej inteligentne, ma większy zasób słów, większą wyobraźnię i ogólnie lepiej sobie w życiu radzi.*

Realizacją pomysłu zajęły się bibliotekarki z Czeskiego Cieszyna. *Najpierw zaczęłyśmy rozmawiać o tym we własnym gronie* - opowiada Wanda Kozdra - *powiedziałam też o kampanii głośnego czytania koleżankom z Karwiny. Przyjechała Maria Bartulec z karwińskiej biblioteki, zaprosiłyśmy jeszcze świetliczankę i poetkę Lucynę Waszek i 19 lipca w Bibliotece Miejskiej przy ul. Havlíčka w Czeskim Cieszynie zawiązałyśmy klub. Klub otwarty jest dla wszystkich chętnych. Nie ma deklaracji członkowskich, trzeba jedynie propagować głośne czytanie.*

Akces do klubu głośnego czytania dzieciom można zgłaszać i wszelkie informacje na ten temat można otrzymać pod adresem: Biblioteka

Miejska, ul. Havlíčkova 6, 737 01 Czeski Cieszyn, tel. 0659/731 805, email: havlickova@knihovna.ctesin.cz, równocześnie do końca września trwa konkurs na nazwę klubu.

23 lipca ukazała się w Głosie Ludu pierwsza notatka na temat powstania klubu. Od razu pojawiły się pierwsze zgłoszenia, telefony z pytaniami, co i jak czytać, i Wanda Kozdra postanowiła kontynuować cykl notatek w Głosie Ludu. Kampania omawiana będzie także na seminarium bibliotekarek oddziałów polskich, które organizuje Biblioteka Regionalna w Karwinie.

W Polsce w głośnym czytaniu dzieciom brali udział starostowie miast, aktorzy, dziennikarze i inne znane osobistości. Pomysłodawcy zaolziańskiego czytania mają nadzieję, że uda im się do akcji włączyć harcerzy, nauczycieli, nauczycieli emerytów, aktorów, innymi słowy wszystkich ludzi dobrej woli, którzy chcą pomóc. Pragną, by czytano nie tylko w domu, ale także w szkole, w świetlicach, bibliotekach, szpitalach, domach dziecka, wszędzie tam, gdzie można zorganizować systematycznie dwadzieścia minut głośnego czytania dziennie. Kampania planowana jest długoterminowo.

W Czeskim Cieszynie pierwsza próba głośnego czytania dzieciom przebiegnie 27 września we wszystkich oddziałach Biblioteki Miejskiej, w ramach projektu „Skarby z cieszyńskiej trówły". Od godziny 12.00 do 17.00 odbędzie się tzw. nonstop czytanie, w bibliotece na ul. Havlíčka po polsku od godziny 12.00 do 14.00 i od 16.00 do 17.00, a po czesku między godziną 14.00 i 16.00. Będą to głównie teksty dotyczące naszego regionu, Cieszyna i okolic.

Kampania społeczna, która ma świadczyć o tym, że nie tylko Polska czyta dzieciom, ruszyła. Zaczęło się od polskich bibliotekarek w Czeskim Cieszynie, a ponieważ działo się to w bibliotece dwujęzycznej, toteż siłą faktu automatycznie niejako nastąpiło rozszerzenie akcji na czeskich współobywateli. Kampania warta jest rozpropagowania. Dobra reklama może wiele zdziałać, a wtedy, być może, inicjatywa czeskocieszyńska rozszerzy się na cały kraj. Pomysłodawczyni Wanda Kozdra mówi skromnie: *Jeżeli to czytanie pomoże paru dzieciom w osiągnięciu lepszych wyników w szkole, to już to jest sukces.*

C.R.



Fot. FRANCISZEK BAŁON

LITERACKIE SPOTKANIA W JABŁONKOWIE

Już po raz dziesiąty odbyła się podczas Gorolskigo Święta w ramach imprez towarzyszących Świętogóralska Kawiarenka Pod Pegazem. Zabrakło zapowiadanego wcześniej gościa z Polski Ernesta Brylla, znanego w środowisku zaolziańskim przede wszystkim jako autora śpiewogry „Janosik, czyli Na szkle malowane" (muzyka K. Gaertner), najbardziej kasowego przedstawienia w historii Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Ernest Bryll nie mógł niestety przybyć w tym terminie. Być może to i dobrze, albowiem jest nadal gościem oczekiwanym. A poza tym, organizatorzy tłumaczą przecież zawsze, że Kawiarenka podczas Gorolskigo Święta jest prezentacją rodzimej twórczości gościom z zewnątrz, natomiast „powszednie" Kawiarenki zaznajamiają nas z autorami spoza Zaolzia. Jednym z nich jest Ernest Bryll.

Tegoroczna Świętogóralska Kawiarenka Pod Pegazem podzielona została na dwie części. W piątkowy wieczór 2 sierpnia, w przeddzień Gorolskigo Święta, w kameralnym gronie w kawiarni na jabłonkowskim rynku spotkali się przedstawiciele zaolziańskiego środowiska literackiego, a jednocześnie organizatorzy Kawiarenek Jan Pyszko, Kazimierz Kaszper, Piotr Horzyk z poetami z Rybnika skupionymi wokół wydawanego od pięciu lat pisma Plama. Gośćmi nadzwyczajnymi byli: Karla Erbová, poetka z Pragi, członek Gminy Pisarzy, związana ze środowiskiem literackim w Pilznie, oraz Jerzy Kronhold, poeta polski, były konsul generalny RP w Ostrawie.

Zabrzmiały wiersze m.in. poetów z Rybnika Mariana Bednarka i Roberta Rybickiego, wcześniej jednak wywiązała się dyskusja także na przyziemne tematy: zdobywania finansów na produkcję dóbr kultury, konkretnie na wydawanie tomików poezji i pism literackich, a następnie sprzedaży tych dóbr. Karla Erbová mówiła o dwóch dwumiesięcznikach literackich w Pilznie, z których jedno już zanikło, a drugie też ma wielkie problemy, bo sprzedaje się w minimalnej ilości. Marian Bednarek, redaktor naczelny Plamy, zdradził, że sponsorem pisma, któremu udało się wypromować nowe środowisko literackie Rybnika, była elektrownia, stąd m.in. bogata szata graficzna i rozmach edycyjny. W ciągu jednego roku udało się redaktorom i autorom wraz z kolejnymi numerami pisma wydać siedem tomików wierszy. Sponsorzy mają jednak swoje prawa, stąd wahania redakcji, jak dalece można pójść na kompromis, by zaspokoić własne ambicje, a jednocześnie zadowolić tych, którzy dają pieniądze. W trakcie dyskusji próbowano porównać różne środowiska literackie, zastanawiano się nad rolą pisarza, który tworzy literaturę mniejszości.

I właśnie utworów powstałych na terenie dzisiejszego Zaolzia, gdzie żyje polska mniejszość narodowa, słuchali liczni jak zawsze uczestnicy Świętogóralskiej Kawiarenki Pod Pegazem, zgromadzeni w sobotę 3 sierpnia w jabłonkowskim Domu PZKO. Wieczór artystyczny „Z biegiem Olzy" przebiegał pod znakiem 120. rocznicy pierwodruku wiersza Jana Kubisza „Do Olzy", znanego i śpiewanego jako hymn „Płyniesz, Olzo...".

Dzieje Kawiarenki Pod Pegazem, która otwiera swe podwoje już trzynaście lat, przedstawił krótko prezes MK PZKO w Jabłonkowie Jan Ryłko. Przypomniał jej pomysłodawców i gospodarzy. Obecna Kawiarenka była siedemdziesiątą z kolei, natomiast dziesiątą Świętogóralską. Prowadzili ją Jan Pyszko i Kazimierz Kaszper. Obok nich usiadła jedna z bohaterek wieczoru - poetka ludowa Aniela Kupiec oraz dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka, interpretator omawianej tu poezji i prozy. Jan Pyszko podkreślił, że przez Kawiarenkę przewinęło się już siedemdziesięciu ludzi pióra, a kilku z nich znalazło się tym razem w gronie słuchaczy. Powitał konsula Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Małgorzatę Filipek, prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopę, prezesa Kongresu Polaków Józefa Szymeczka, uczestników piątkowego spotkania Karlę Erbovą i poetów z Rybnika, wypróbowanych przyjaciół Zaolzia doc. Jiřígo Urbanca, Tadeusza Soroczyńskiego i Janusza Wójcika, poetkę Renatę Putzlacher i innych.

Historię wiersza Jana Kubisza przypomniał oraz swoimi refleksjami na temat literatury regionalnej podzielił się ze słuchaczami Kazimierz Kaszper. Po raz pierwszy wiersz „Do Olzy" ukazał się w tomiku „Niezapominajki", wydanym w 1882 roku w Cieszynie nakładem Jerzego Kotuli. Jego autor podpisał się pseudonimem Szlązak.

W drugiej części kawiarenkowego wieczoru o początkach swego pisarstwa opowiedziała 82-letnia dziś Aniela Kupiec. Ta pisząca także opowiadania poetka ludowa z Nydku jest przykładem twórcy ściśle związanego z regionem, co wyraża się także w języku, którym pisze, a którym jest gwara. Karol Suszka przeczytał kilka wierszy Anieli Kupiec, zaś ona sama zaznajomiła obecnych ze swoim najnowszym wierszem „Niedzielne rano".

W programie wystąpił również chór żeński Melodia z Nawsia, który zaśpiewał m.in. pieśń „Do Olzy". Zaśpiewał oraz zagrał na flecie i akordeonie także Bogusław Stonawski. Zaś zakończyły wieczór gratulacje dla wiernego od lat Kawiarence Pod Pegazem Karola Suszki z okazji jego jubileuszu życiowego.

C.R.

O SKRZYDŁO IKARA

Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach, Koło Cieszyńsko-Zaolziańskie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego Śląsk, Gmina Pisarzy Morawsko-Śląskich w Ostrawie, Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach organizują IV Konkurs Literacki na cykl wierszy lub poemat w języku polskim i czeskim o nagrodę Skrzydła Ikara. Nad konkursem honorowy patronat objął minister spraw zagranicznych RP Włodzimierz Cimoszewicz.

Konkurs ten, po raz pierwszy zorganizowany w 1996 roku, nawiązujący do pamięci ostatniego lotu Żwirki i Wigury, zwycięzców Challenge'u w 1932 r. na polskim samolocie RWD-6, którzy ponieśli śmierć 11 września 1932 r. w katastrofie lotniczej w Cierlicku Górnym na Zaolziu podczas przelotu na mityng z Warszawy do Pragi, jest ogłoszony i będzie rozstrzygnięty równolegle w języku polskim i czeskim. Utwory nadesłane na konkurs powinny nawiązywać do szeroko pojętej symboliki związanej z lotem Ikara oraz do humanistycznej treści tego antycznego mitu, szczególnie w odniesieniu do współczesności.

WARUNKI KONKURSU:

1. Konkurs ma charakter otwarty i jest skierowany do poetów polskich i czeskich.
2. Utwory konkursowe napisane w języku polskim i czeskim będą rozstrzygane i honorowane niezależnie przez powołane w późniejszym terminie jury.
3. Cykle wierszy nadesłane na konkurs nie mogą liczyć mniej niż 5 utworów, poematy - co najmniej 100 wierszy.
4. Utwory nadesłane na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane w całości czy we fragmentach, ani też rozpowszechniane w jakiejkolwiek innej formie.
5. Teksty w 3 egzemplarzach maszynopisu, opatrzone czytelnym godłem, należy przesyłać pod adresem: Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, 40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, III p. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę, oznaczoną tym samym godłem, z podaniem imienia i nazwiska oraz adresu autora.
6. Termin nadsyłania prac upływa 20 października 2002 roku, obowiązuje data stempla pocztowego.
7. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 listopada 2002 r. Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w Cierlicku, w miejscu pamięci tragicznej śmierci Żwirki i Wigury.
8. Organizatorzy przewidują przyznanie nagród pieniężnych. Przyznane zostaną także wyróżnienia i nagrody specjalne. Laureaci I nagród pieniężnych zdobędą także statuetki Skrzydła Ikara symbolizujące ideę konkursu. Wszyscy laureaci otrzymają dyplomy honorowe.
9. Szczegółowych informacji dotyczących konkursu - listownie bądź telefonicznie - udziela Sekretariat Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach - w każdy czwartek tygodnia, w godz. 13.00-18.00, tel. (32) 253-62-21.

NOWA INICJATYWA ŚPIEWACZA

I MIĘDZYNARODOWE PREZENTACJE LAUREATÓW KONKURSÓW CHÓRÓW SZKOLNYCH

Z nową inicjatywą przyszedł w roku bieżącym Oddział Śląski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach, konkretnie zaś jego prezes Rajmund Hanke: Warto promować najlepsze chóry dziecięce i młodzieżowe poprzez eksponowanie ich na imprezach pod nazwą Międzynarodowe Prezentacje Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych, organizowanych na przemian co roku w Polsce, w Czechach i na Słowacji. Inicjatywa znalazła poparcie również u Oddziałów PZChiO Bielskiego i Częstochowskiego, Oddziału Morawsko-Śląskiego Unii Czeskich Chórów w Ostrawie, Asocjacji Zespołów Śpiewaczych Słowacji oraz Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego.

Regulamin Międzynarodowych Prezentacji Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych podkreśla, iż chodzi o imprezę artystyczną mającą na celu upowszechnianie piękna pieśni chóralnej wśród dzieci i młodzieży szkolnej w regionach sąsiednich Polski, Czech i Słowacji. Pragną włączyć najmłodsze pokolenia do współtworzenia Europy ludzi przekonanych, że pieśń jednoczy ponad wszelkimi podziałami i granicami, integruje złożoność i różnorodność ludzkich kultur i czyni je przyjaznymi.

Prezentacje są imprezą otwartą dla wszystkich zespołów chóralnych, bez względu na przynależność organizacyjną, wyróżniają zaś zespoły najlepsze spośród najlepszych z regionów Polski, Czech i Słowacji, legitymując się laurami zdobytymi w konkursach chóralnych krajowych i międzynarodowych. Impreza odbywa się co roku, w Katowicach lub innym mieście województwa śląskiego, następnie w Czechach w wybranej miejscowości i kolejno w Słowacji, zawsze 1 czerwca z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Mogą w niej uczestniczyć amatorskie zespoły muzyczne szkół podstawowych i gimnazjalnych: chóry a cappella lub z towarzyszeniem instrumentalnym z dowolnym repertuarem świeckim lub religijnym z obowiązkiem zaśpiewania 2-3 pieśni własnego kraju. Ponadto chóry zobowiązują się do zaśpiewania 2-3 pieśni w chórze zbiorowym. Czas trwania prezentowanego programu - ok. 20 minut. Koszty przejazdu zapewniają placówki delegujące zespoły. Organizatorzy zapewniają zakwaterowanie, wyżywienie dla każdego uczestnika oraz dyplom i pamiątkę uczestnictwa dla każdego zespołu.

Gestorzy poszczególnych Prezentacji współdziałają na swoim terenie z jednostkami International Society For Music Education (ISME, Międzynarodowe Stowarzyszenie Wychowania Muzycznego), by dążenie do upowszechnienia piękna muzyki integrowało jak najszersze gremia młodych wykonawców oraz nauczycieli, wychowawców, animatorów i twórców kultury. We współpracy ze związkami kompozytorów podejmują starania o upowszechnienie repertuaru rodzimego wśród chórów szkolnych.

Na I Międzynarodowe Prezentacje Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych 1 czerwca 2002 roku do okazałego i pięknego gmachu Biblioteki Śląskiej na Placu Rady Europy w Katowicach przybyły chóry dziecięce z Czech, Słowacji i Polski. W sali audytoryjnej Parnasos odbył się Koncert Inauguracyjny. Dopołudniowy koncert prowadziła z właściwą sobie swadą Barbara Zielonka-Rusin, dyrektor artystyczny Oddziału Śląskiego PZChiO w Katowicach.

Jako pierwszy zaprezentował się Chór Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Strumieniu koło Cieszyna z dyrygentami Tamarą Nowok i Krzysztofem Wójtowiczem. Chór ze Strumienia należy do czołowych nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce. W Ogólnopolskim Konkursie Chórów a Cappella Dzieci i Młodzieży Szkolnej siedmiokrotnie zdobył Złoty Kamerton, w roku 1989 Grand Prix i trzy puchary - puchar Ministerstwa Edukacji Narodowej, prezesa PZChiO oraz Centralnego Gabinetu Metodycznego Edukacji Muzycznej. Szczególne wyróżnienie spotkało chór w 1996 roku, kiedy to został zaproszony do towarzyszenia znakomitemu tenorowi polskiemu Wiesławowi Ochmanowi w pieśniach neapolitańskich w czasie koncertu noworocznego w Cieszynie oraz w podobnym koncercie Krakowskiej Orkiestry Radiowej i tenora Kaludi Kaludowa. W Katowicach chór potwierdził tylko swoją wysoką rangę artystyczną. Dzieci śpiewały znakomicie, brzmienie chóru jest specyficzne, repertuar bardzo ambitny. Wierzyć się nie chce, iż w takim miasteczku jak Strumień is tnieć może od tylu już lat taki wspaniały chór dziecięcy!

Jako drugi zaprezentował się Koncertowy Chór Permonik z Karwiny, zespół, który 36. rok prowadzi dyrektor Podstawowej Szkoły Artystycznej w Karwinie Eva Šeinerowa. I powiedzmy od razu, iż chór należy do czołowych reprezentantów sztuki wokalnej w RC. Mieli go okazję podziwiać słuchacze prawie w całej Europie, Chinach, Hong-Kongu, Stanach Zjednoczonych i dwukrotnie w Japonii. W Polsce występował w Jastrzębiu, Katowicach, Poznaniu i Warszawie. Brał udział w wielu konkursach krajowych i zagranicznych, czterokrotnie zwyciężał w zawodach krajowych, został też laureatem Pieśni Przyjaźni. Na repertuar chóru składają się dzieła czołowych czeskich i zagranicznych kompozytorów współczesnych, jak np. Ilja Hurník, Petr Eben, Ivana Loudowa, Jan Jirásek, Otmar Mácha, Milan Báchorek, Amerykanin Ofer Ben-Amots, Japończyk M. Kawasaki, Rosjanin

I. W. Katajew, którzy komponują wprost dla Permonika. Większość utworów wymienionych autorów została nagrana przez zespół na 10 płytach kompaktowych. W Katowicach śpiew karwińskiego zespołu przyjęty został owacyjnie. Zdaniem wielu obecnych Permoník był najznakomitszy!

Młody stażem jest Dziecięcy Zespół Chóralny Formánek z Ostrawy-Dubiny, który w roku 1999 założył przy szkole podstawowej Kamil Trávniček, student Konserwatorium Ostrawskiego w klasie wychowanie muzyczne - dyrygentura dla pedagogów szkół średnich. Zespół był pomysłodawcą konkursu dziecięcych zespołów chóralnych w Ostrawie Schola Cantata, gdzie dwukrotnie (rok 2000 i 2001) umieścił się w tzw. Złotej Strefie oraz zdobył nagrodę za najlepsze wykonanie utworu obowiązkowego. Nagrał też już 3 płyty kompaktowe. W Katowicach zaprezentował się jako zespół bardzo sympatyczny, którego słucha się z przyjemnością dzięki jego dobrym walorom wokalnym i urozmaiconemu repertuarowi.

Zaolzie reprezentował na inauguracji Chór Polskiej Szkoły Podstawowej im. Stanisława Hadyny Crescendo w Bystrzycy, który prowadzi nauczycielka Danuta Cymerys, członkini świetnego chóru Collegium Canticorum i trzynieckiego Hutnika. Chór należy na Zaolziu do nielicznych już polskich szkolnych zespołów śpiewaczych, które śpiewają wielogłosowo. Należy do zespołów bardzo aktywnych, uczestniczy w różnego rodzaju przeglądach i zawodach śpiewaczych organizowanych również przez czeskie instytucje kulturalne, zdobywając czołowe lokaty. Ma w swoim repertuarze również wiele pieśni o charakterze rozrywkowym, które sprawiają słuchaczom dużo radości.

Koncert Inauguracyjny zakończył Koszycki Dziecięcy Zespół Chóralny ze wschodniej Słowacji, działający przy Podstawowej Szkole Artystycznej w Koszycach. Chórmistrzami zespołu są jego założyciele, małżonkowie Olga i Lubomír Varinscy. Chór powstał w roku 1975, jego członkami są dzieci z Koszyc i okolicy. Zespół dysponuje szerokim wachlarzem repertuarowym od dawnych mistrzów poprzez opracowania pieśni ludowych aż po kompozycje współczesnych autorów, współpracuje z Państwową Filharmonią Koszyce, Słowackim Chórem Filharmonii Słowackiej w Bratysławie, Państwową Orkiestrą Kameralną w Żylinie i wielu innymi. Zespół koncertował i współzawodniczył w Czechach, Polsce, Holandii, Belgii, Niemczech, Bułgarii, Włoszech, Francji, Hiszpanii, Anglii, Austrii, Meksyku oraz Słowenii. Największy sukces osiągnął chór na Europejskim Festiwalu Konkursowym w Belgii, gdzie dwukrotnie zdobył nagrodę jury Cum Laude. Chórmistrzowie otrzymali w roku 1997 Nagrodę Miasta Koszyc. Chór wydał własną wideokasetę (1997) oraz dwie płyty kompaktowe (1998 i 2001). W Katowicach obok karwińskiego Permonika należał do najznakomitszych, zbierając ogólny podziw i rzęsiste oklaski.

Poza Biblioteką Śląską, w Ogrodzie Kurii Biskupiej na ulicy W. Stwosza, wystąpił jeszcze jeden zagraniczny zespół, a to Polanka z Valaszskiej Polanki.

małej wioski na Morawach w Republice Czeskiej. Zespół działa przy szkole podstawowej, do której zjeżdżają się dzieci z 5 okolicznych wiosek. Chór ma 3 oddziały według poszczególnych klas, ostatni oddział uzupełniają dziewczyny, które opuściły już szkołę i kontynuują naukę w szkołach średnich lub na wyższych uczelniach. Repertuar chóru obejmuje pieśni od muzyki renesansowej po utwory współczesnych kompozytorów, opracowania pieśni ludowych oraz pieśni różnych narodów, a nawet opracowania z dziedziny muzyki popularnej. Zespół bierze udział w różnych konkursach i festiwalach, zajmując w najgorszym wypadku 2 miejsce. Śpiewał w Grecji, Włoszech, Austrii i Szwajcarii. Zespół prowadzi od jego założenia już ponad 25 lat nauczyciel muzyki Jaromír Bazel, dyrygent chóru męskiego Lumír we Wsecinie. W Katowicach Polanka zaprezentowała się jako zespół śpiewaczy bardzo zdyscyplinowany i sympatyczny, udowadniając swoim poziomem artystycznym, że i na wsi mogą działać wyśmienite chóry dziecięco-młodzieżowe, o ile znajdzie się człowiek, który kocha śpiew i dzieci oraz dysponuje potrzebną wiedzą i umiejętnościami muzycznymi.

Po koncercie na spotkaniu z przedstawicielami władz miasta, Biblioteki Śląskiej, Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania Muzycznego Sekcji Polskiej (ISME), Unii Chórów Czeskich, Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego na Zaolziu oraz oddziałów PZChiO w Częstochowie, Bielsku Białej i Katowicach otrzymały wybrane zespoły Dyplomy ISME w dowód uznania za upowszechnianie wartości moralnych płynących z pieśni oraz muzykowania (z Zaolzia dyplom ten otrzymał również Chór Studencki Collegium Iuvenum Polskiego Gimnazjum w Cz. Cieszynie, prowadzony przez Leszka Kalinę).

Na spotkaniu podpisane zostało również „Porozumienie o współpracy regionów sąsiedzkich Czech, Słowacji i Polski w dziedzinie promowania najwybitniejszych chórów w ramach corocznej imprezy pn. Międzynarodowe Prezentacje Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych". Podpisani inicjatorzy święta pieśni dzieci i młodzieży o randze międzynarodowej wyrazili nadzieję, że wspólny śpiew i muzykowanie oraz pielęgnowanie muzycznego dziedzictwa, upowszechnianie współczesnej muzyki, popieranie ogólnego wykształcenia muzycznego przyczyni się do rozwijania kontaktów i stałej wymiany zespołów muzycznych między regionami europejskimi.

W godzinach popołudniowych i wieczornych koncertowały wszystkie przybyłe do Katowic zespoły dziecięco-młodzieżowe jeszcze w katowickich kościołach oraz w Mikołowie na festynie z okazji MDD. Dołączył do nich jeszcze Zespół Instrumentalny Musicus przy Pałacu Młodzieży w Katowicach prowadzony przez Barbarę Zielonkę-Rusin.

Następnego dnia - 2 czerwca - zespoły wzięły udział w dziesiątej już edycji Śląskiej Pieśni Chóralnej Trojok Śląski. Po udzieleniu Nagród im. Stanisława Moniuszki, a otrzymał ją m.in. długoletni dyrygent i zasłużony działacz

na zaolziańskiej niwie śpiewaczej prof. Brunon Rygiel, obok bardzo dobrego chóru gminnego Echo z Zebrzydowic, prowadzonego przez Jadwigę Sikorę, również laureatkę tegorocznej Nagrody im. Stanisława Moniuszki, zaprezentowały swoje umiejętności chóralne w Górnośląskim Centrum Kultury już same tylko dziecięco-młodzieżowe zespoły śpiewacze (Formánek z Ostrawy, Crescendo z Bystrzycy, Dziecięcy Zespół Chóralny z Koszyc oraz Chór Dziecięcy Andantino z Rybnika z dyrygentką Heleną Zaik). W godzinach popołudniowych młodzi śpiewacy koncertowali wspólnie z chórami dorosłych, a było ich 22, w kościołach i na estradach w Katowicach i Chorzowie. Z Zaolzia uczestniczyły na Trojoku Śląskim chóry z Karwiny: frysztacka Kalina i rajski Dźwięk.

Pierwsze Międzynarodowe Prezentacje Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych w Katowicach należą na pewno do udanych, głównie co do ilości i jakości artystycznej zespołów. Inicjatywa Oddziału Śląskiego, głównie zaś jego prezesa Rajmunda Hankego, jest niewątpliwie pomysłem godnym pochwały. Impreza taka na pewno nie może się obejść bez zasobnego zaplecza finansowego. Ale z tym problemem R. Hanke umie sobie zawsze poradzić, czego najlepszym dowodem jest przebieg wszystkich dotychczasowych Trojoków Śląskich w Katowicach, II Zjazdu Chórów Słowiańskich, Ogólnopolskich Festiwali Polskiej Pieśni Chóralnej i wielu dalszych imprez śpiewaczych, i wydawanie Śpiewaka Śląskiego.

Problemem tych gigantycznych imprez śpiewaczych pozostaje udział szerszego kręgu publiczności. Zespoły śpiewacze prezentują swój dorobek artystyczny nawzajem między sobą, są to „koncerty wykonawców dla wykonawców". A często ostatnie w kolejności chóry nie mają komu zaśpiewać, bo te przed nimi śpiewające musiały już wracać do domu... Znacznie lepiej jest z publicznością w kościołach, kiedy to chóry śpiewają podczas nabożeństw i zaraz po nich, gorzej jest podczas samodzielnych koncertów popołudniowych w świątyniach. Gdyby ten problem rozwiązać, byłoby idealnie.

I Międzynarodowe Prezentacje Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych pokazały, iż na niwie chóralnej nie brakuje młodych talentów śpiewaczych. Oglądając na Trojoku Śląskim konfrontacje chórów dziecięco-młodzieżowych z chórami dorosłymi, zastanawiałem się, jak długo te dorosłe chóry będą jeszcze śpiewały, skoro w ich szeregach brakuje młodych twarzy?! Gdzie się podziewają te młode twarze z chórów dziecięco-młodzieżowych po odejściu z zespołu? A może po następnych wspólnych edycjach Międzynarodowych Prezentacji Laureatów Konkursów Chórów Szkolnych i Trojoków Śląskich będą mogły starzejące się coraz wyraźniej chóry dorosłych czerpać z tak świetnie prezentujących się młodych śpiewaków? Na pewno trudno już dziś na to pytanie odpowiedzieć. Oby to jednak była jedna z dróg prowadząca w naszym zagrożonym śpiewactwie do wyśnionego!

JÓZEF WIERZGOŃ

PLANY I PERSPEKTYWY CHÓRU LIRA Z DARKOWA

Chór mieszany Lira jest chlubą Miejscowego Koła PZKO w Karwinie Darkowie. Jest spadkobiercą i kontynuatorem bogatej, bo przeszło 90-letniej tradycji śpiewaczej w tym zakątku nadolziańskiej ziemi. Aktualnym dyrygentem i kierownikiem artystycznym jest Beata Pilśniak-Hojka z Zebrzydowic. Pracę w zespole rozpoczęła w roku 1996. W roku 1994 ukończyła studia na Wydziale Wychowania Muzycznego Akademii Muzycznej w Katowicach w zakresie dyrygentury chóralnej. Podjęła pracę w Filii UŚ w Cieszynie oraz w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia również w Cieszynie, gdzie pracuje do tej pory. Swoje zdolności pedagogiczne stosuje z powodzeniem w darkowskiej Lirze. Owocem sześciu lat jej działalności w chórze są kolejne sukcesy i występy zespołu, m.in. koncert w ramach II Panoramy Sztuki Chrześcijańskiej Musica Sacra, udział w Górnośląskich Konfrontacjach Pieśni Patriotycznej w Katowicach, uroczysty koncert z okazji 90-lecia ruchu śpiewaczego w Darkowie, nagroda w konkursie A. Hlonda Chlondowskiego w Mysłowicach oraz wiele koncertów bożonarodzeniowych i sakralnych. W latach 1999-2002 wydano dwie kasety magnetofonowe z nagraniami Liry, które są uwieńczeniem pracy zespołu pod kierownictwem artystycznym Beaty Pilśniak-Hojki. Na kasecie z roku 2002 są utrwalone kolędy oraz pieśni sakralne. Dla zainteresowanych kasetą podajemy kontakt: Czesława Lipka, ul. Slovenská 2896, Karwina Granice, tel. 069/6338266. Bogate są plany i zamiary zespołu do końca roku 2002 i na początku roku 2003. Już 14 września Lira weźmie udział we wspólnym występie chórów podczas uroczystości wspomnieniowej na Żwirkowisku, a 13 października wystąpi w uroczystej akademii z okazji jubileuszu PZKO w Domu Towarzyskim kąpieli darkowskich. Planowane są również koncerty adwentowe i bożonarodzeniowe. Stałym i ważnym zadaniem kierownictwa organizacyjnego Liry jest posilenie i odmłodzenie kadry śpiewaczej, aby zespół był w stanie zaspokoić szeroki krąg swych wiernych słuchaczy.

JÓZEF GÓRECKI

UROCZYSTY KONCERT ODPUSTOWY

Stonawskie odpusty z okazji rocznicy poświęcenia pięknego miejscowego Kościoła Marii Magdaleny stały się po „aksamitnej rewolucji" obok parafialnych uroczystości religijnych, również dzięki miejscowym władzom gminnym i samemu kościołowi na czele z proboszczem ks. Stanisławem Jochymkiem, okazją do urządzania dostojnych koncertów muzyki sakralnej.

I tak w niedzielę 21 lipca odbył się w stonawskim kościele katolickim

dziesiąty już z rzędu odpustowy Uroczysty Koncert z udziałem profesjonalnych artystów: stonawskiego rodaka Klemensa Słowioczka, solisty Opery Komicznej w Berlinie, Marty Wierzgoń, absolwentki bratysławskiej Akademii Muzycznej w klasie organów, oraz pezetkaowskich amatorskich zespołów chóralnych Stonawa i Sucha. Kościół Marii Magdaleny oprócz mieszkańców Stonawy wypełnili po brzegi również liczni melomani z bliższej i dalszej okolicy. Była też pani konsul Małgorzata Filipek z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, senator RC Andrzej Feber i inni goście z Senatu RC.

Na odnowionych i pięknie brzmiących organach odświętnie i wzniośle zabrzmiało „Preludium c moll" J. S. Bacha oraz subtelna trzyczęściowa „Suita d moll" Francuza L. N. Clerambaulta w profesjonalnym wykonaniu Marty Wierzgoń, znanej już nie tylko na Zaolziu.

Przesiąknięte głęboką religijnością „Pieśni biblijne" A. Dvořáka znalazły znakomitego odtwórcę w artyście wielkiej rangi, jakim niewątpliwie jest długoletni solista berlińskiej Opery Komicznej Klemens Słowioczek. Syty, mocny i równocześnie nastrojowo-liryczny baryton artysty - rodaka ze Stonawy - był dla słuchaczy przemiłym i równocześnie głębokim przeżyciem duchowym.

Przyjemnie zabrzmiały w wykonaniu połączonych chórów Stonawa i Sucha w liczbie 60 śpiewaków pieśni „Ave verum" W. A. Mozarta (z akompaniamentem organowym) oraz a cappella „Jezus w każdej potrzebie" pod dyrekcją tegorocznej absolwentki pięcioletniego polonijnego Studium Dyrygenckiego w Koszalinie Anny Kiszki (serdeczne gratulacje!). Punktem kulminacyjnym koncertu było wykonanie przez połączone chóry pod batutą stonawianki Marty Orszulik „Hymnu Trzeciego Tysiąclecia" koszalińskiego kompozytora i muzyka Mirosława Gałęskiego, utworu, który po ubiegłorocznym wykonaniu w Koszalinie na Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych miał na Zaolziu swoją premierę. Akompaniament organowy Marty Wierzgoń oraz olśniewające solo Klemensa Słowioczka dodały hymnicznej pieśni, napisanej na dwa chóry, o wymownej treści świecko-religijnej, szczególnego uroku. Mocno wzruszeni słuchacze przyjęli brawurowe wykonanie „Hymnu" mocnymi i długimi brawami na stojąco, co chóry i solistę zmusiło do bisowania pieśnią „Abba Ojcze".

Trwająca już dwa lata współpraca obu chórów zaowocowała - po ubiegłorocznym tourneé w Poznaniu - dalszym pięknym sukcesem artystycznym. Na koncercie zrozumiałem też, dlaczego chóry Stonawa i Sucha wolały poświęcić lipcowy wyjazd na Światowe Spotkania Chórów Polonijnych - Warsztaty Artystyczne Koszalin 2002 dla koncertu w Stonawie. Choć na pewno z wielkim żalem, ale warto jednak było!

JÓZEF WIERZGOŃ



OSKAR LANC Z KOŃSKIEJ SIEDEMDZIESIĘCIOLETNI

Inż. Oskar Lanc, były pracownik Huty Trzynieckiej, działacz pezetkaowski, korespondent wielu gazet, wydawca własnego pisma i autor publikacji o swej rodzinnej wsi, urodził się 18 września 1932 roku nad samą Olzą w Końskiej. Tu spędził dzieciństwo, przebywając też często u swych dziadków na Osówkach.

Gimnazjum w Czeskim Cieszynie ukończył w roku 1950, po czym, idąc śladami hutniczych tradycji rodziny, studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej w Ostrawie. W roku 1954 podjął pracę w odlewni Huty Trzynieckiej, gdzie rozpoczynał jako majster produkcji walców, następnie był głównym technologiem i wreszcie kierownikiem odlewni żeliwa. Oprócz tego interesował się nowymi metodami organizacji pracy i zarządzania i w sierpniu 1968 roku został kierownikiem grupy badań operacyjnych (metody matematyczne). Jednakże po okupacji sowieckiej jako zwolennik nowej fali w partii został z niej wykluczony, co odbiło się negatywnie na jego dalszej karierze zawodowej, dostało się przy okazji także jego synom. W hucie odstawiono go na boczne tory, nie mógł kierować nawet najmniejszym kolektywem. Ostatnich kilka lat pracował w dziale rozwoju technicznego i był dosłownie szczęśliwy, kiedy w roku 1992 przeszedł na emeryturę.

Oprócz pracy zawodowej Oskar Lanc udzielał się także w pracy społecznej. Po rozdzieleniu Końskiej przez hutę na Osówki i Podlesie dwa lata był prezesem MK PZKO na Podlesiu. Po kilkuletniej przerwie (sprawy zawodowe i rodzinne) znów został tam prezesem. Dużo uwagi poświęcił wtedy pracy z młodzieżą, utrzymując między innymi kontakt z młodzieżą szkolną w Ustroniu Polanie, gdzie uczyli jego wujek i ciocia. Na krótko udało mu się ożywić w Kole pracę chóru i zespołu teatralnego. W latach normalizacji nie mógł angażować się w ramach MK PZKO. Poza tym dla całej dzielnicy organizował różne imprezy sportowe, sam w nich uczestnicząc - np. w amatorskich biegach na orientacje w swej kategorii wiekowej zdobył kilka mistrzowskich tytułów w ramach huty, w mistrzostwach lekkoatletycznych PZKO w wieku 48 lat został wicemistrzem w biegu na 400 metrów itd.

Pisywał także do różnych gazet - Zwrotu, Głosu Ludu, Hutnika Trzynieckiego, z czeskiej prasy było to Rudé právo, Hospodářské noviny itp. W roku 1990 włączył się do pracy w trzynieckim Domu Kultury, gdzie organizował różne imprezy kulturalno-oświatowe i rozrywkowe.

Emerytura i nowe układy społeczno-polityczne pozwoliły mu bardziej otwarcie zabierać głos w różnych sprawach. A zauważyć wypada, że Oskar Lanc dzięki swemu krytycznemu stosunkowi do wielu spraw, narażał się różnym decydentom i miał kłopoty z publikowaniem swych poglądów nawet po roku 1990. Toteż postanowił on na własny koszt wydawać czesko-polskie

◀ *Dary lasu spod Kozubowej, fot. FRANCISZEK BAŁON*

pisemko POKOS (w ciągu dwu lat wydał 19 numerów, w latach 1991-1993), gdzie poruszał, pisząc w większości wypadków sam, różne zagadnienia dotyczące Końskiej oraz Trzyńca i okolicy, potem wydał jeszcze dwa egzemplarze w ramach POKOSu Třinecká ročenka - Rocznik Trzyniecki (1995 i 1996). Poza tym współpracował przy wydaniu publikacji „Leszna wczoraj i dziś - Lištná včera a dnes. 1295-1995. 700 lat" (1995), zaś w roku 1999 wydał samodzielnie publikację „Końska i okolica teraz i w przeszłości", gdzie zawarł wiele cennych informacji o tej gminie, która miała to nieszczęście, iż znajdowała się w pobliżu huty, która ją pochłonęła i rozdzieliła na dwie połowy, niszcząc bezpowrotnie jej strukturę.

Niespokojny duch Oskara Lanca nadal nie pozwala mu odpoczywać z założonymi rękami. Swego czasu redagował też pismo Macierz, wydawane przez ZG Macierzy Szkolnej w RC, obecnie współpracuje z Kalendarzem Śląskim i Cieszyńskim, cieszyńskim czesko-polskim pismem Znad Olzy, koresponduje z czeskimi historykami i politykami, słowem jest człowiekiem niestrudzonym i poprzez swe zaangażowanie nieułatwiającym sobie życia. Niewątpliwie jego dorobek sprawił, że wzbogacił on plejadę ludzi zasłużonych dla Końskiej.

KAZIMIERZ JAWORSKI

ZMARŁ KAROL KUBICA

Zasmuceni pożegnaliśmy naszego Kolegę, długoletniego ofiarnego członka naszego Koła PZKO w Suchej śp. Karola Kubicę. Odszedł troskliwy małżonek i ojciec, który prócz troski o rodzinę, prócz pracy zawodowej stolarza w pobliskiej kopalni cały swój zapał poświęcił pracy społecznej dla członków Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Suchej Średniej.

Razem z ukochaną żoną Andzią wychowali swoje dzieci Dankę i Milana. Nie trwały zbyt długo szczęśliwe chwile w domu pod kopalnią: Choroba zabrała Mu obydwie najukochańsze istoty - żonę Andzię i córkę Dankę. Nawet ten ciężki cios nie zdołał śp. Karola załamać. Jeszcze bardziej zamknięty w sobie kontynuował jednak pracę w zespołach, pomagał przy organizacji imprez. Miał szerokie zainteresowania. Był chórzystą w mieszanym, a później męskim zespole śpiewaczym, członkiem amatorskiego zespołu teatralnego, współzałożycielem Klubu Emerytów i zapalonym uczestnikiem wycieczek „po zdrowie". Odrębną, trudną i bardzo odpowiedzialną była działalność rejonowego. Chodził, przekonywał, zapraszał do udziału w pracy Koła, spotykając nieraz przykrą odmowę.

Schorowany, zamieszkał w Domu Opieki Społecznej, skąd zabrała Go śmierć na ostatni odpoczynek.

Żegnając śp. Karola, dumni z tak zacnego obywatela, dziękujemy za Jego działalność na rzecz polskiego społeczeństwa.

GUSTAW FOLWARCZNY

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶





– Pan, właściciel trzech domów, szuka mieszkania?
– Tak. W moich domach lokale są za drogie.



MIŁOŚNIK PRACY

Ogromnie lubię pracę, cały dzień bym patrzył na tych, co pracują!

SKNYRA

Mioł wielką gospodarke - 30 jochów pola, kęs lasu, pore kóni, 3 chałupy a przi cysarski ceście gospode. Już mioł syna ożynionego, tóż jeździł z kóniami, obrobioł pole, gospodarke kludził, ale stary mu nic nie doł napisać, a ze wszystkim se musioł ze starym wyrachować. Mioł jyny tela, co sie urobił, bo i jedzyni stary wydzieloł.

Do powiatowego miasta chodził każdy tydzień po trafike. Tóż na siebie pooblykoł stare, połotane lónty, dłógi kabot, kiery pod bokami nimioł kapes, jyny dziury, a w podszywce na plecach mioł miech. Wyszeł wczas rano, a po chodniku oblotoł 4 dziedziny po żebraniu. Potym nafasowoł trafike, doł do miecha, a w piwowarze dostoł dycki obiod zadarmo, bo ta pani, co tam była za kucharke, myślała, że to jest bardzo biydny, stary chłop. Jak szeł z miasta ku chałupie, to po ceście pozbiyroł wszystki kobylińca, doł za podsziwke do kabota, jak przichodził ku chałupie, to sie już nimóg uniyść, bo był szyrszi jak delszi.

Jak syn sie ożynił, to stary chodził do zamku robić mularke, biylić chlywy, poprawiać pucówke, płacili na dziyń 2 koróny i obiod, bo robił od 6 rana do 6 wieczora. Jak wołali na obiod, to dycki naschwol jeszcze troche poczkoł, bo udowoł, jaki je strasznie pilny i chce moc zrobić. Przi robocie dycki wszyndzi drzymoł, a potym chcioł być szwarniejszi jak inszi robotnicy, a ci go ni mieli radzi. Do roboty chodził w kyrpcach, ale jak przisżeł do zómku, to kopytka i kyprce wyzuł i postawił w kuchyni pod ławe. Roz był na obiod gulasz, a Sknyry nie było, bo dorobioł, chłopi wziyli z jego miski mięso i pokroli jego kyrpce do jego miski z gulaszym. Stary przisżeł, polywke zjod, mięso pooblizowoł i doł do miyszka, w kierym nosił mularski raki. Szeł do dómu boskym, bo kyrpce nie naszeł, tóż to mięso z miyszka wysuł i prawił babie: „Poworz to, bo mi dali w zómku na obiod gulasz, a to mięso jest jakisi twarde".

Wieczorami przesiadowoł dycki w gospodzie, od każdego wypił, ale nigdy nie postawił. Jak kiery już był podpity, to mu gorzołke okrzcił, a do rachunku dopisowoł. Stawioł sie tam ze szichty dycki jedyn górnik, co niedaleko mieszkoł. Stawioł sie po szichcie prawie każdy dziyń, wypijoł swój kieliszek, a we wypłate płacił. Ale jak już to w życiu bywo, chłopa na szachcie potrzaskało, umrzył i pochowali go na katolickim kierchowie, a na gospodzie zustoł tymu chłopu dłożyn za gorzołke pore grejcarów. Baba nie chciała dłógu zapłacić, prawiła, że po chłopie ji nic nie zustało, jyny sześcioro dzieci.

Jak Sknyra chodził do roboty do zómku, to chodził dycki przez katolicki kierchów, bo tam był chodnik szutrym wysuty, a kole kierchowa było moc błota. Tyn górnik, co mu zustoł dłożyn za gorzołke, był pochowany przi samym chodniczku. Jak Sknyra szeł, do dycki do tego grobu krziwokym dziuboł i powiadoł: „Ty tu leżisz, a gnijesz, a tela a tela eś mi zustoł dłożyn za gorzołke, twoja baba nie chce płacić, boś ji nic nie niechoł, jyny sześcioro dziecek".

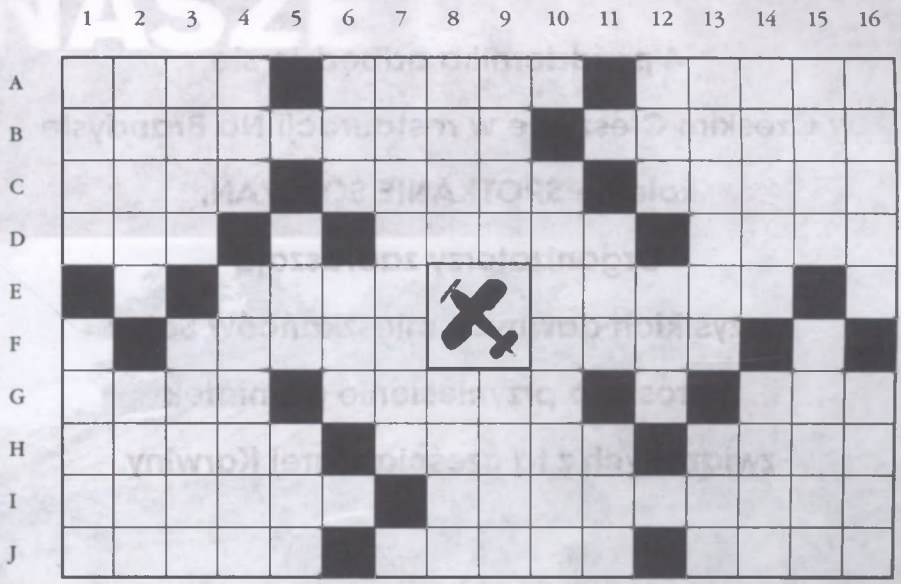
Kopidoł często na kierchowie cosi robił, widzioł i słyszoł, co tam Sknyra robił, i pomyśloł se: „Poczkej, ty lutersko sknyro, jo cie musim nauczić moresu i poszanowanio do umrzytych".

Namówił swojigo syna, kiery już robił na szachcie, a tak samo stary i młody byli wielcy chłopi. Odzioli sie biołymi łochtuszami, wziyni porządne bykowce, przyczaili sie za krzyżami. Jak Sknyra szeł nieroz na śćmiywku z roboty, a zaczón krzywokym dziubać do grobu, wyskoczili, chytli go i zaczyni go porządnie obkłodać. Sknyra zaczón strasznie wrzeszczeć a pytać: „Jezus, Maryjeczko, dusziczki moji złote, nie bijcie mie, jo już nie bedym, na tyn dłóg zapómnim, darujym i wiyncyj już tu chodzić nie bedym, a umrzytych poszanujym".

Od tego czasu, choć było błota, wiela chciało, Sknyra przez kierchów nie szeł, a przez cały czas, jak szeł kole kierchowa, dyrżoł czopke w ręce i na głos rządził: „Wieczne odpoczywanie wszystkim umarłym racz dać, Panie, a światło wiekuiste niech im świyci. Amen".

AMALIA PAWLASOWA

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA

Była z nich dumna Ojczyzna,
jak matka z pięknych dzieci:
Kto tak potrafił, kto tak poleciał?

Kto tak prosto z mostu
wszystkich prześcignął, wszystkim sprostał.
Kazimiera Iłłakowiczówna (1892-1983)

Tytuł powyższego wiersza stanowi rozwiązanie dodatkowe krzyżówki.

POZIOMO: A. Próbny okres pracy; kochanek; znak nawigacyjny. - **B.** Włoski taniec ludowy; jednostka długości w astronomii. - **C.** Pies gończy; córka Zeusa; fińska łaźnia. - **D.** Kolor w kartach; powieściopisarz niemiecki (Wilhelm); płynny tłuszcz z ryb. - **E.** Pilzner; miasto nad jeziorem Jeziorak. - **F.** Święta księga muzułmanów; iskra. - **G.** Uczeń, wychowanek; grupy nacisku; sieć do połowu ryb. - **H.** Gang przestępczy; imię (gwarowo); urodzajne miejsce na pustyni. **I.** Osoba poszkodowana; przyrząd do mierzenia ilości tłuszczu w mleku. - **J.** Niezbędny atrybut Małysza; jubilerska jednostka masy; strefa.

PIONOWO: 1. Aliaż; zły duch. - **2.** Rzeka w Rosji; dawniej żołd, pensja. - **3.** Napój alkoholowy; produkt z mleka. - **4.** Gorąco, upał; jednostka terytorialna. - **5.** Antycyklon; kolorowe papugi. - **6.** Skrót jednostki ciśnienia; wieloryb gładkoskóry. - **7.** Taktomierz. - **8.** ... iacta est; kula bilardowa. - **9.** Powieść E. Zoli; pisarz czeski (Jindřich Šimon). - **10.** Etiopka. - **11.** Miasto w woj. warmińsko-mazurskim; czeski prawnik (Emil). - **12.** Szlachecki herb polski; „sztuka" po łacinie. **13.** Może zastąpić łódź ratunkową; miasto w Kirgistanie. - **14.** W Rigwedzie epitet przysługujący bogom; papuga popielata. - **15.** Natchnienie poetyckie; naczynie na kwiaty. - **16.** Roślina śródziemnomorska; przykrycie na łóżko.

Wyrazy trudne: ASURA, OSZ, RAABE, TAGIŁ.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: A-7, D-8, C-4, A-1, H-15, A-4, J-16, E-11, I-1, G-9, C-9, J-5, G-14, E-6, H-4, B-13, I-10, D-2, I-3, E-13, H-8, C-2, C-14, I-5, G-10.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca września.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lipcowego: TAKT TO INTELIGENCJA SERCA.

Nagrody książkowe wyłosowali: **Łucja Zajicowa** - Karwina Nowe Miasto
Edward Bocek - Czeski Cieszyn
Halina Gwóźdź - Trzyniec

4 października odbędzie się

w Czeskim Cieszynie w restauracji Na Brandysie

kolejne SPOTKANIE SOLCZAN.

Organizatorzy zapraszają

wszystkich dawnych mieszkańców Solcy

i proszą o przyniesienie pamiątek

związanych z tą częścią starej Karwiny.

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 0659/712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

Zwrot

NASZE DOMY



DOM PZKO
W SUCHEJ GÓRNEJ

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.

P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1



WINOTEKA SZAROWSKI przy ulicy Dvořáka 12 w Czeskim Cieszynie
(telefon: +420 – 776 232 215)



proponuje Państwu białe i czerwone wina z winnic Czech i Moraw, wina wybranych marek z wybranych piwnic – wina wysokiej jakości, o różnych walorach smakowych wynikających z specyficznych sposobów przeróbki grona. Wina w winotece są przechowywane w specjalnie wyposażonych pomieszczeniach, w warunkach identycznych z warunkami w piwnicach winnych. Wina w butelkach są napełniane bezpośrednio w piwnicach, gdzie były wyprodukowane i korkowane jakościowym korkiem. Wina rozlewane na miejscu prosto z beczek są równie dobrej jakości, a beczki napełniane są bezpośrednio w piwnicach producenta.



WINOTEKA SZAROWSKI proponuje wina znawcom i tym, którzy chcą poznać wina dobrego gatunku. W winotece można skorzystać z możliwości degustacji win, jak również zyskać o nich obszerne informacje, które pomogą Państwu w wyborze dobrego wina do dobrego jedzenia, na co dzień i na uroczyste okazje.



Zwrot

10
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Rok 1922. Uczniowie drugiej klasy Szkoły Ludowej w Łomnej Górnej. W środku dyrektor Jan Korzenny. Polska szkoła (jedyna wówczas w Łomnej) posiadała dwie klasy, w każdej po 40 uczniów. Jest to pierwsze zdjęcie dziatwy szkolnej z Łomnej, a pochodzi ze zbiorów Jana Korzennego, syna ówczesnego dyrektora szkoły.

C2III 6 / 2002

Konkurs dla stałych prenumeratorów ZWROTU został rozstrzygnięty.

NAGRODĘ GŁÓWNĄ (Mała Encyklopedię PWN) wylosował:

EDWARD BRANNY Kocobędz, Chotěbuzská 21

Pozostałe nagrody do wyboru (słowniki języka polskiego i przewodniki po Polsce) wylosowali:

1. Emilia TOMAN	Hawierzów Błędowice, Na sioně 8/354
2. Paweł GĄSIOREK	Hawierzów Szumbark, Osadnická 10/100
3. Ludmiła IWANUSZEK	Cz. Cieszyn, Okružní 1/1760
4. Paweł STONAWSKI	Bystrzyca n. Olzą 122
5. Antoni ŚWIERCZEK	Jabłonków, Bezručova 590
6. Antoni SZPYRC	Wędrynia 447
7. Maria KASPRZAK	Bogumin, P. Cingra 218
8. Aleksandra SEDUNKOWA	Hradec Kralowe, Na rozhraní 1511
9. Franciszek KUPKA	Karwina 4, Borovského 814/68
10. Andrzej KLUZ	Trzyniec 5, Sosnová 378

Gratulujemy. Nagrody, które ufundowało Stowarzyszenie Wspólnota Polska w Warszawie, są do odbioru w siedzibie redakcji (Cz. Cieszyn, ul. J. Bożka 16).

Zwrot 10 2002

Rok LIII, Nr 635
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Jeśli nie my i nie teraz, to kto i kiedy? Wybory samorządowe 2002	ZYGMUNT STOPA
5	Jeśli nie limity, to co? Przed wyborami	ALFRED KOŁORZ
7	Wybory komunalne	WŁADYSŁAW NIEDOBA
8	Całym życiem pełnić służbę. Harcerstwo na Zaolziu	CZESŁAWA RUDNIK
14	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (4)	
20	O Spółdzielni Jednota-Jedność refleksji kilka	ANDRZEJ PAWLAS
22	X Światowe Forum Mediów Polonijnych	CZESŁAWA RUDNIK
27	To i owo	
29	Kronika: Poloniści uczą się polskiego w Szkole Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego, PZKO-wskie odznaczenie dla prof. Jana Szczepańskiego, Dożynki w Gutach pod znakiem jubileuszy, Błędowice po XXXIII Dożynkach Śląskich i po kościelnym św. Bartłomieju, Dożynki w Oldrzychowicach, Pobyt na Warmii i Mazurach, Festyn w Koszarzyskach, Uroczystości św. Melchiora, Koncert w Ligotce Kameralnej, Plener Malarski Beskidy 2002, Bronisław Liberda jubileuszowo	
48	Poezja Lecha Przeczka	
50	Władysław Sikora: Sny (cz. I)	
56	Młode pióro: Krzysztof Kołek	
62	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
64	Echo wydarzeń muzycznych: Canticum Novum w Dolomitach, 55. urodziny Gorola	
72	Trybuna czytelników	
74	Nasze zdrowie	
76	Humor sprzed lat	
77	Mozaika	AMALIA PAWLASOWA

Numer zamknięto 16. 9. 2002
Na okładce: Paweł Wałach – Zaczepiny, olej

JEŚLI NIE MY I NIE TERAZ, TO KTO I KIEDY?
IŚĆ CZY NIE IŚĆ NA WYBORY SAMORZĄDOWE 2002

Prawdy ustalone

Żyjemy już ponad dziesięć lat w warunkach odradzającej się demokracji. Demokracja oznacza rządy ludu. Powinna umożliwiać każdemu obywatelowi udział w decydowaniu o sprawach publicznych. Sprawami publicznymi są postanowienia władzy dotyczące każdego obywatela lub całej społeczności obywatelskiej, jak również egzekwowanie praw obywatelskich u odnośnych instytucji władzy lokalnej, regionalnej lub państwowej.

Trochę historii

W demokracjach starożytnych, w których wolnymi obywatelami była tylko część ludności ówczesnych państw miejskich, większość była niewolnikami bez jakichkolwiek uprawnień politycznych. Dopiero ideały rewolucji francuskiej stwarzają możliwości oddziaływania mas obywatelskich, przede wszystkim stanu średniego, na przebieg wydarzeń politycznych. Rewolucja francuska ukończyła w tym kraju rządy królów oraz zlikwidowała wpływy uprzywilejowanej warstwy możnowładców. Idee rewolucyjne rozszerzyły się z czasem na wszystkie okoliczne państwa europejskie. Niestety szerzenie ideałów demokracji nie przebiegało bez wstrząsów i zgrzytów. Jest zrozumiałe, że nikt nie opuszcza dobrowolnie uprzywilejowanej pozycji. Sukcesem już było poddanie władców państw kontroli mniej lub bardziej wpływowych ciał ustawodawczych i wykonawczych, w których oprócz szlachty zasiadali i mieszczanie. Prosty lud wiejski był niestety aż do wieku XIX wykluczony z jakiejkolwiek możliwości współrządzenia. W wieku tym rozwinęła się na gruncie nowych zdobyczy naukowych działalność szeregu ruchów wolnościowych. Niektóre wspierały dążenia narodów do wolności i demokracji, ale równocześnie powstały też systemy totalitarne, które dążyły do podporządkowania każdej jednostki ludzkiej jednolitej wspólnocie ideologicznej. Powstaje ideologia rasistowska głosząca wyższość jednych ras nad innymi. Na bazie filozofii materialistycznej powstaje ruch komunistyczny, który mobilizuje niemajętną klasę proletariatu przemysłowego do likwidacji klas posiadających pod hasłami walki klasowej jako naukowo potwierdzonej zasady rozwoju społeczeństw. Najbardziej tragicznymi w stosowaniu brutalnych represji ideologicznych były faszyzm hitlerowski oraz komunizm bolszewicki. Przywódcy tych ruchów mieli na celu osobiste, chorobliwe cele władcze. Uzurpowali sobie prawo do samozwańczego rządzenia społeczeństwem poprzez likwidację przeciwników politycznych oraz terror ubezwłasnowolnionej ludności.

Realna praktyka polityczna

Mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego byli poddani obu wyżej wymienionym skrajnym działaniom politycznym, których skutki można odczuć do dnia dzisiejszego. Hitleryzm wymordował w okresie drugiej wojny światowej kwiat miejscowej inteligencji, przede wszystkim polskiej, bolszewizm niweczył etykę chrześcijańską i aktywność obywatelską. Wpływ na mentalność rdzennych mieszkańców Zaolzia sześcioletniego panowania hitleryzmu oraz ponad pół wieku trwającego komunizmu jest większy, niż można by przypuszczać. Wpływ ten wyraża się brakiem zaufania do władzy oraz niechęcią do uczestniczenia w działaniach obywatelskich i współrządzeniu losami społeczeństwa.

W wypadku polskiej społeczności Zaolzia nie możemy się pogodzić z narastającą apatią społeczną. Już najwyższy czas ochłonąć z politycznego marazmu i włączyć się w nurt polityki komunalnej, gdzie można skutecznie działać na rzecz zachowania naszej tożsamości oraz zahamowania procesu asymilacji.

Aktualne zadania

Społeczność polska Zaolzia, jako mniejszość narodowa w Republice Czeskiej, chcąc nadal zachować swą tożsamość, musi w najbliższej przyszłości rozwiązać kilka podstawowych zadań. Zadania wynikają z większej samodzielności ekonomicznej samorządów lokalnych, szerszego zakresu ich uprawnień oraz z zobowiązań wobec mniejszości płynących z nowych ustaw państwa czeskiego. Nabywają one większego znaczenia na mocy przepisów prawnych przygotowujących integrację Republiki Czeskiej z Unią Europejską. Do tego rodzaju aktualnych zadań przedstawicieli polskiej mniejszości w samorządach gminnych i regionalnych będą należały:

- Działania na rzecz zachowania dotychczasowej sieci polskich szkół podstawowych i średnich pomimo niesprzyjającej sytuacji demograficznej w niektórych miejscowościach.
- Szerzenie edukacji regionalnej we wszystkich szkołach zaolziańskiego regionu Śląska Cieszyńskiego bez względu na język wykładowy oraz nauczanie podstaw języka kraju sąsiedniego.
- Ochrona czystości gwary jako wspólnego języka autochtonicznej ludności oraz preferowanie jej ogólnego używania.
- Stosowanie dwujęzyczności w informacji publicznej bez dalszych uwarunkowań, z polskimi nazwami miejscowości włącznie.
- Wpływanie na skład osobowy oraz działalność gminnych komitetów mniejszości narodowych zgodną z miejscowymi potrzebami Polaków.
- Wspieranie drobnych i średnich przedsiębiorstw z polskim rodowodem w regionie oraz pośrednictwo w znalezieniu odpowiedniego miejsca pracobiorcom na miejscowym rynku pracy.
- Zabezpieczenie dotacji finansowych samorządów dla miejscowych

stowarzyszeń społecznych na działalność kulturalno-oświatową, sportową i młodzieżową itp.

Wnioski

Wytyczone zadania uwidaczniają potrzebę znacznej siły przebicia naszej reprezentacji społecznej do ich rozwiązania na wszystkich szczeblach samorządu, szczególnie jednak gminnych. Dlatego niechaj będzie powyższy spis zadań zachętą do aktywnych przemyśleń o wyborach samorządowych. Ze względu na to, że listy wyborcze partii, ruchów politycznych i społecznych są już ukonstytuowane, zwracamy uwagę na możliwość zaznajomienia się z polskimi kandydatami podczas prowadzonej przez nich kampanii wyborczej, również na obowiązek obywatelski udziału w wyborach. Każdy Polak powinien wziąć udział w wyborach do samorządów oraz oddać swój głos na polskie ugrupowania wyborcze, a głosy preferencyjne na Polaków. Powinno to zapewnić naszą reprezentację w gminnych organach samorządowych, a tym samym możliwość rozwiązywania różnych problemów na naszą korzyść.

ZYGMUNT STOPA
prezes ZG PZKO

JEŚLI NIE LIMITY, TO CO?
PRZED WYBORAMI

Sprawa polskiego szkolnictwa na Zaolziu zawsze leżała na sercu większości mieszkających tu Polaków. Toteż gdziekolwiek obecnie obchodzimy jubileusze powstania szkół, zawsze dowiadujemy się, z jakim pietyzmem nasi przodkowie je wznosili. Darując często parcele budowlane czy ciężko zarobiony grosz.

Historycy twierdzą, że kiedy w innych regionach obywatele podpisywali się jeszcze trzema krzyżykami, mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego umieli czytać, pisać i śpiewać z książek. W czasach austriackich na terenie dzisiejszego Zaolzia rozwijała się oświata i szkolnictwo polskie. W wyższych klasach szkół elementarnych uczono również języka niemieckiego.

Po upadku Monarchii Austro-Węgierskiej nastąpił atak na polskie szkolnictwo. Wiele polskich szkół, zwłaszcza w okolicach Ostrawy, zostało zamkniętych. W powiatach Czeski Cieszyn i Frysztat, w wioskach po 1920 roku przyłączonych do Czechosłowacji, początkowo zamykanie polskich szkół nie miało takiego efektu jak w ostrawskim. Przeważał tu żywioł polski, polskie stronnictwa zyskiwały przeważający procent głosów i w przedstawicielstwach gminnych na czele z burmistrzem byli w przeważającej mierze Polacy.

Kryzys gospodarczy w Czechosłowacji wzmógł jeszcze nacisk na rodziców,

którzy swoje pociechy posyłali do polskich szkół. Do tego służyły nowo powstające organizacje czeskie, zwłaszcza Matice školská. Polaków wyrzucano z pracy. W niektórych rodzinach dzieci uczęszczały do trzech szkół: polskiej, czeskiej i niemieckiej. W ten sposób ojciec bronił miejsca pracy. Budowano nowe czeskie szkoły, których tu dawniej nie było, zaś dzieci w polskich szkołach ubywało.

Podczas drugiej wojny światowej okupant hitlerowski pozamykał wszystkie polskie szkoły. Po wyzwoleniu w 1945 roku wiele dzieci zaolziańskich Polaków nie miało powodów do pełnej radości z odzyskanej wolności. Niektórych polskich szkół zamkniętych przez okupanta w 1939 roku nie pozwolono w roku 1945 znowu otworzyć. Inne jeszcze później zostały zamknięte, a budynki szkolne zabrane przez lokalne władze czeskie. Poprawa, lecz niepełna, nastąpiła dopiero po roku 1948, chociaż naciski politycznego wynaradawiania osób, zamykanie polskich szkół z różnych powodów trwały nadal.

Jak przyznaje rządowe sprawozdanie o sytuacji mniejszości narodowych w RC za rok 2001, istnienie małoklasowych polskich szkół, które obecnie podlegają kompetencji gmin, jest ciągle zagrożone. Również tenże dokument przyznaje, że od roku 1990 zrezygnowano z praktyki dwujęzyczności, błędem mniejszości polskiej jest wiara, że jej prawa ureguluje ustawa, pomoże ktoś na górze, i sugeruje, że Polacy sami powinni o swoje prawa zabiegać, kiedy społeczeństwo większościowe reprezentowane przez Parlament RC nam nie sprzyja.

Według mego sądu, jeżeli chcemy zachować na Zaolziu polskie szkolnictwo, zaolziańską kulturę, spuściznę przodków i polskie organizacje, musimy się zjednoczyć. Nie możemy stać na uboczu i przypatrywać się heroicznej walce nauczycieli czy Centrum Pedagogicznego o zachowanie polskich szkół. Mamy swoich przedstawicieli w Parlamencie, we władzach regionu i ponad 120 Polaków we władzach gmin. Mamy wreszcie 22 polskie organizacje w Radzie Przedstawicieli Kongresu Polaków i Ruch Polityczny Coexistentia -Wspólnota, któremu po długich zabiegach nareszcie zezwolono na wznowienie działalności.

Działajmy. Nasi przedstawiciele w innych stronnictwach powinni zrozumieć, że zaolziańska ludność nie oddała im w wyborach swoich głosów tak od parady, lecz że mają obowiązek o prawa tej ludności się upominać. Uczulać społeczeństwo większościowe, że nie powinno się zamykać polskiej szkoły, do której uczęszcza jeszcze 14 dzieci, jak miało to miejsce w Trzyńcu Podlesiu.

Przed nami listopadowe wybory komunalne. W wielu gminach są trudności z zestawieniem polskiej listy wyborczej Wspólnoty. Wiemy, że niektórzy działacze się nie sprawdzili, np. przeszli do innych partii politycznych, i należy ich zastąpić innymi. Nasze szkolnictwo, Koła PZKO po wsiach i miastach istnieć będą tak długo, dopóki nie będziemy wstydzić się swej polskości i razem zespoleni walczyć będziemy o należne nam prawa. Tu się urodziliśmy, tu żyjemy i dbać powinniśmy, by i po śmierci nad naszą mogiłą przemawiano jeszcze po polsku. Te słowa są przeznaczone przede wszystkim dla niezdecydowanych, na kogo głosować, i czy w ogóle iść do urny w listopadowych wyborach.

Wybierajmy i oddajmy swoje głosy na ludzi sprawdzonych, którzy naszych nadziei nie zawiodą.

ALFRED KOŁORZ



WYBORY KOMUNALNE (1.–2.11.2002)

GŁOSUJMY NA KANDYDATÓW RUCHU POLITYCZNEGO COEXISTENTIA–WSPÓLNOTA

Ruch Polityczny Coexistentia–Wspólnota od swego powstania w 1990 roku reprezentowany jest w przedstawicielstwach gminnych na Zaolziu. W ostatnich wyborach, które odbyły się 12–13.11.1998, uzyskał łącznie 46 mandatów w gminach: Rychwałd, Lutynia Dolna, Piotrowice koło Karwiny, Karwina, Stonawa, Olbrachcice, Sucha Górna, Hawierzów, Kocobędz, Czeski Cieszyn, Trzyniec, Wędrynia, Bystrzyca, Nydek, Koszarzyska, Milików, Gródek, Nawsie, Jabłonków, Piosek, Bukowiec i Łomna Dolna.

Coexistentia–Wspólnota zgłosiła listy kandydackie również do tegorocznych wyborów w następujących miastach i gminach: **Bogumin, Rychwałd** (lista stowarzyszenia z kandydatami niezależnymi), **Lutynia Dolna, Piotrowice koło Karwiny, Karwina, Stonawa, Olbrachcice, Sucha Górna** (lista stowarzyszenia z KN), **Kocobędz, Czeski Cieszyn** (lista stowarzyszenia z KN), **Trzyniec, Wędrynia, Nydek, Bystrzyca, Gródek, Nawsie, Milików, Jabłonków, Bukowiec** i **Łomna Dolna**. W Cierlicku zgłoszono koalicję wyborczą Wspólnoty w partią polityczną Cesta změny, ruchem politycznym Nezávislí i partią polityczną ODA (Občanská demokratická aliance). W Hawierzowie członkowie Ruchu startują na liście US (Unie svobody), w Piosku na liście SN (Sdružení nezávislých). W **Ropicy** i **Koszarzyskach** lista Wspólnoty jest niekompletna.

Coexistentia–Wspólnota realizuje swój program wyborczy przede wszystkim przez uzyskanie mandatów w przedstawicielstwach gminnych. Program wyborczy i cele polityczne są opracowane w ramach Statutu Ruchu. Są nimi: prawo do korzystania z własnego języka w kontaktach urzędowych, prawo do kształcenia w języku ojczystym, gwarantowane przez państwo, prawo do udziału w rozwiązywaniu spraw dotyczących mniejszości narodowych, prawo do informacji w własnym języku i prawo do rozwijania własnych tradycji kulturalnych.

Wynik wyborczy uzależniony jest od naszego wyborcy. Dlatego bierzmy aktywny udział w głosowaniu. Nieobecni nie mają racji. W miastach i gminach, w których Coexistentia–Wspólnota zarejestrowała listy wyborcze, głosujmy na kandydatów Wspólnoty. Program Ruchu oraz osoby kandydatów są gwarantem, że na poziomie przedstawicielstw gminnych sprawy praw mniejszości narodowych będą poruszane i uwzględniane.

WŁADYSŁAW NIEDOBA
przewodniczący
Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota

CAŁYM ŻYCIEM PEŁNIĆ SŁUŻBĘ
HARCERSTWO NA ZAOLZIU

Początków harcerstwa na terenie dzisiejszego Zaolzia należy szukać przed pierwszą wojną światową w okresie Monarchii Austro-Węgierskiej. We wrześniu 1912 roku powstała w Orłowej tzw. Czytelnia Uczniów, gdzie można było zapoznać się z dwutygodnikiem Skaut, wydawanym przez Andrzeja Małkowskiego we Lwowie od 1911 roku pierwszym pismem polskich skautów. Korzystał z niego Roman Pollak, przybyły ze Lwowa profesor języka polskiego w gimnazjum orłowskim, założyciel męskiej Drużyny Skautowej im. Tadeusza Rejtana. Była to pierwsza drużyna skautów na terenie Śląska Cieszyńskiego. Głównym jej zadaniem w pierwszym roku działalności, tj. w roku szkolnym 1912/13, było wyszkolenie przyszłej kadry, osób, które poprowadziłyby następnie samodzielnie drużyny skautowe. Skaut uczył patriotyzmu, także lokalnego, umiłowania przyrody, pomagał w kształtowaniu charakteru i umacnianiu tężyzny fizycznej. Zajęcia teoretyczne obejmowały np. naukę historii Polski, polskiej kultury, zajęcia praktyczne naukę orientacji w terenie, zasady życia obozowego.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Drużyna Skautowa im. Tadeusza Rejtana zawiesiła swoją działalność, by wznowić ją w roku 1916. W latach 1916-1918 powstały też następne drużyny, np. w Karwinie, Dąbrowie, Łazach. W roku 1916 Jadwiga Kwiatkowska z Krakowa założyła przy gimnazjum orłowskim pierwszą Drużynę Skautek im. Emilii Plater, następne drużyny żeńskie powstały w Łazach i Morawskiej Ostrawie.

Na terenie Cieszyna w okresie przed pierwszą wojną światową w Szkole Wydziałowej Macierzy Szkolnej powstała, z inicjatywy Hieronima Przepilińskiego, męska Drużyna Skautów im. Tadeusza Kościuszki i żeńska im. Emilii Plater. Feliks Hajduk, profesor gimnazjum cieszyńskiego, założył w 1913 roku Drużynę Skautową im. Kazimierza Pułaskiego, której drużynowym został Tadeusz Farny z Nawsia.

Nazwę harcerstwo wprowadzono po pierwszej wojnie światowej. Wielu harcerzy włączyło się do walki na rzecz przyłączenia całego Śląska Cieszyńskiego do Polski. Po jego podziale w 1920 roku istniała po polskiej stronie w Cieszynie Komenda Harcerska Księstwa Cieszyńskiego, natomiast harcerze na terenie Czechosłowacji musieli stworzyć własną organizację, której statut sprostałby wymogom ustawodawstwa państwa czechosłowackiego. Stało się tak w 1924 roku. 2 czerwca Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Pradze zatwierdziło Statut Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji. Zjazdowi organizacyjnemu w czeskocieszyńskim Hotelu Centralnym 14 grudnia przewodniczył dr Leon Wolf, prezesem Naczelnego Zarządu wy-

brano dra Jana Buzka, głównym komendantem phm. Józefa Krzysztofa, profesora gimnazjum orłowskiego.

Harcerstwo rozwijało się prężnie. W ciągu jednego roku powstało 18 drużyn harcerskich męskich (144 harcerzy) i 8 drużyn harcerskich żeńskich (194 harcerek). W połowie lat trzydziestych nastąpił największy rozkwit harcerstwa, w roku 1936 istniały 42 drużyny harcerskie męskie (1169 harcerzy), 34 drużyny harcerskie żeńskie (1186 harcerek) i 21 gromad zuchowych (316 zuchów). Prezesem aż do rozpoczęcia drugiej wojny światowej był Jan Buzek. W roku 1926 doszło do podziału Komendy Głównej na męską i żeńską. Komendantami drużyn męskich byli kolejno: Jerzy Trombik, Józef Berger, Leon Szmeja, Józef Piszczek, Alfred Kocur, Karol Raszka, zaś żeńskich: Genowefa Wróblówna, Wanda Synowcówna, Emilia Mrózkówna, Helena Pustówczanka, Wanda Jędryszczykówna. Rozwój gromad zuchowych rozpoczęty został w roku 1934 pod kierownictwem Jana Pribuli. W latach trzydziestych działały też przy Kołach Macierzy Szkolnej Koła Przyjaciół HPC, których zadaniem była pomoc finansowa oraz kontakt z innymi organizacjami. Najważniejszym wydarzeniem w historii harcerstwa w okresie międzywojennym był Światowy Zlot Harcerstwa Polskiego w Spale w 1935 roku. Wzięło w nim udział 342 harcerzy i 156 harcerek z Czechosłowacji.

Pierwszy z trzech okresów działalności HPC po drugiej wojnie światowej przypada na lata 1947-1951. Nie udało się z powodu wydanego przez organy państwowe zakazu reaktywować harcerstwa już w roku 1945. Dopiero po podpisaniu umowy o współpracy między Polską i Czechosłowacją w 1947 roku, kiedy zezwolono na powstanie dwóch polskich organizacji: PZKO i SMP, w ramach Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej zaczęło działać harcerstwo. Tworzyło odrębną sekcję, na-

Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji.

Stan z 31 marca 1935.

Harcerstwo męskie:		Harcerstwo żeńskie:	
założone w roku 1912		założone w roku 1916	
hufców	6	hufców	5
drużyn	58	drużyn	25
gromad	20	gromad	15
druchów	1.500	druchen	792
zuchów	600	zuchów	231
razem	2.100	razem	1.023
do lat 12	600	do lat 10	231
ponad 12	1.500	do lat 16	608
		ponad 16	184
harcmistrzów	3	podharcmistrzyń	6
podharcmistrzów	13	drużynowych	2
harcerzy nar.	4	samarytanek	24
harcerzy orlich	7	pionierek	48
ćwików	30	ochotniczek	198
wywiadowców	58	bez stopnia	745
młodzików	840		
bez stopni	1.145		

Podpisy:

Rewers widokówki wydanej przez Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji.

czelnikiem został Henryk Jasiczek. Komendantami Komendy Głównej Harcerzy w Karwinie, której podlegały męskie drużyny obu powiatów, byli kolejno Bogumił Goj i Władysław Wróbel. Komendantem Komendy Głównej Harcerek w Czeskim Cieszynie, która obejmowała żeńskie drużyny obu powiatów, została Anna Bocek. W roku 1949 powstało wspólne Naczelnictwo Harcerstwa z naczelnikiem Władysławem Wróblem. Istniało wtedy 28 drużyn męskich (755 harcerzy), 23 żeńskich (376 harcerek) i 8 zuchowych (165 zuchów). W roku 1950 Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej zostało włączone do Czechosłowackiego Związku Młodzieży, harcerze mogli nadal działać jedynie w ramach grup szkolnych, które jednak w szybkim tempie przekształcane były w ogniwa Organizacji Pionierskiej. W lutym 1951 roku odbyła się w Karwinie ostatnia odprawa kierowników i starszych harcerzy, ale likwidacja harcerstwa została już właściwie dokonana w październiku 1950 roku, kiedy Komenda Harcerska w Karwinie wydała rozkaz z uchwałą na ten temat.

Następny etap działalności HPC to lata 1968–1970. Przeobrażenia polityczne w drugiej połowie lat sześćdziesiątych umożliwiły ponowne utworzenie na Zaolziu organizacji harcerskiej. Wśród osób, które podjęły próbę reaktywacji HPC, znaleźli się m.in. Władysław Wróbel, Ernest Sembol, Jan Rusnok, Henryk Jasiczek, Mieczysław Piszczek, Adolf Szurman. Powstała Tymczasowa Rada Naczelna, naczelnikiem był Władysław Wróbel, a członkami Naczelnictwa zostali także Zofia Kowalczyk, Janina Kowalska, Konstanty Krzystek, Anna Krzywoń, Karol Mrózek, Bronisław Niemiec, Mieczysław Piszczek, Jan Raszka, Tadeusz Rzyman, Adolf Szurman. 16 października 1968 roku Rada Centralna Organizacji Pionierskiej zatwierdziła Statut Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji. HPC stało się organizacją autonomiczną w strukturach Organizacji Pionierskiej. 16 listopada 1968 roku odbyła się I Konferencja HPC. Naczelnikiem HPC wybrano Mieczysława Piszczka, na czele Komendy Zuchowej stanął Bronisław Niemiec, Komendę Harcerską prowadziła Anna Bocek-Krzywoń, a Starszoharcerską Adolf Szurman, a następnie Władysław Sztebel. Wszyscy członkowie władz byli jednocześnie drużynowymi. Powstały drużyny harcerskie i zuchowe w wielu polskich szkołach. Odbyło się kilka obozów harcerskich, pierwszym z nich, pod komendą Tadeusza Rzymana, był kurs dla zastępowych w Koszarzyskach w 1968 roku. W roku następnym podobny kurs zorganizowany został w Nydku Głuchowej, w Bystrzycy odbyła się kolonia zuchowa, kilkudziesięciu harcerzy reprezentujących HPC wzięło też udział w latach 1969 i 1970 w obozach harcerskich w Borowianach i Siewierzu w Polsce. Na II Konferencji HPC 21 stycznia 1970 roku wybrano jeszcze nowe władze, ale rozpoczął się już proces normalizacji i została wytyczona nowa polityka władz państwowych, toteż wszystkim było jasne, że samodzielne harcerstwo na Zaolziu nie ma perspektyw. 27 maja 1970 roku HPC zakończyło działalność. Powstały szczepy i drużyny pionierskie, byłym władzom harcerskim

udało się doprowadzić chociaż do powstania komisji okręgowej (na czele stanął Władysław Sztebel) i powiatowych (w Karwinie szefem był Władysław Piszczek, we Frydku Mistku Jan Raszka) do spraw polskich drużyn i szczepów.

Schyłek roku 1989, z listopadową „aksamitną rewolucją", stał się niespodziewanie początkiem najnowszych dziejów Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji, a po podziale państwa od roku 1993 Harcerstwa Polskiego w Republice Czeskiej. Już w grudniu 1989 roku członkowie Rady Naczelnej HPC z roku 1970 wystosowali odezwę o wznowienie działalności harcerskiej. W styczniu 1990 roku zaczęły powstawać pierwsze drużyny harcerskie, drużyny pionierskie zamieniały się w harcerskie, na czele tymczasowej dziewięcioosobowej Rady Naczelnej HPC stanął Władysław Sztebel. Rozpoczęło się szkolenie kadry. W czerwcu tego samego roku odbył się na Filipce pierwszy zlot drużyn harcerskich, podczas wakacji w ramach obozowej akcji letniej niektóre drużyny rozbiły własne obozy, inne wyjechały do Polski.

17 lutego 1991 roku władze czeskie zatwierdziły wstępny Statut HPC. Podczas konferencji roboczej harcerze ustalili brzmienie przyrzeczenia i prawa harcerskiego oraz hymnu. Rada Naczelna HPC składać się miała z naczelnika oraz przedstawicieli wszystkich samodzielnych drużyn i szczepów. Naczelnik kierować miał także Naczelnictwem, organem wykonawczym Rady Naczelnej. Na I Zjeździe HPC, który odbył się 9 listopada 1991 roku w Domu PZKO w Lesznej Dolnej, naczelnikiem wybrany został Władysław Sztebel, w Radzie Naczelnej zasiadło trzynastu członków.

Dwanaście drużyn harcerskich wzięło udział w odbywającym się od 11 do 13 września 1992 roku na cierlickim Żwirkowisku Zlocie 80-lecia HPC. W październiku tego sa-



Wydała Gromada Zuchów KAPACCY GÓRALE w Łazach

mego roku, po rezygnacji z powodów zdrowotnych Władysława Sztebla, nowym naczelnikiem został Kazimierz Worek. Na Nadzwyczajnym Zjeździe HPC 6 maja 1993 roku w Czeskim Cieszynie uchwalono zmianę nazwy organizacji na Harcerstwo Polskie w Republice Czeskiej. II Zjazd HPC 11 marca 1995 roku w Cierlicku i III Zjazd HPC 12 kwietnia 1997 roku w Olbrachcicach nie przyniosły wielu zmian, naczelnikiem był nadal Kazimierz Worek. W maju 1998 roku na zakończenie rajdu harcerskiego w HOT Kikula w Koszarzyskach, ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym będącym własnością HPC, a służącym zaolziańskim harcerzom jako baza obozowa, miejsce biwaków, szkoleń i innych akcji harcerskich i zuchowych, ówczesny naczelnik ZHP Ryszard Pacławski wręczył naczelnikowi HPC Kazimierzowi Workowi nowy sztandar HPC. Kryzys wynikły z rozbieżności poglądów członków władz harcerskich na sposób kierowania harcerstwem udało się zażegnać na IV Zjeździe HPC, który odbył się 20 marca 1999 roku w Karwinie Frysztacie. Naczelnikiem HPC została wybrana Alicja Berki.

Kolejną wielką imprezą harcerską był Zlot 10-lecia 20 maja 2000 roku w Koszarzyskach. Z okazji 10-lecia wznowienia działalności harcerskiej na Zaolziu ukazała się też publikacja „O harcerstwie spod kresowych stanic. Szkice z dziejów harcerstwa na Zaolziu" (to z niej m.in. korzystałam przy opracowywaniu niniejszego artykułu - przyp. C.R.). Wydana została przez Harcerstwo Polskie w Republice Czeskiej w Czeskim Cieszynie w roku 2000, a jej redaktorami są Józef Szymeczek (szeroko znany braci harcerskiej jako Kondor, w roku bieżącym wybrany podczas Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków prezesem Rady Kongresu Polaków) i Kazimierz Gajdzica.

Na ostatnim do tej pory V Zjeździe HPC 24 marca 2001 roku w Lutyni Dolnej obradowało prawie sześćdziesięciu delegatów reprezentujących drużyny samodzielne, szczepy i kręgi. Działało w tym czasie na Zaolziu 20 gromad zuchowych, 11 drużyn harcerskich, 3 kręgi instruktorskie i 1 krąg seniora, razem 672 zuchów, harcerzy i instruktorów (w roku 1991 było ich 660). Wybrano dziewięcioosobową Radę Naczelną HPC (Władysław Byrtus, Renata Lugsch, Alicja Berki, Mariola Nalewajka, Tomasz Paseka, Bohdan Prymus, Edmund Piekarski, Michał Wałach, Władysław Sztebel), naczelnikiem została ponownie Alicja Berki, zastępcą naczelnika Władysław Byrtus, przewodniczącym Rady Naczelnej Bohdan Prymus. Namiestnikiem zuchowym wybrano Renatę Lugsch, namiestnikiem harcerskim Adama Włosoka. Podsumowano też na Zjeździe poprzednią kadencję. Odbyły się organizowane od roku 1990 corocznie Harcerskie Rajdy Beskidzkie (w roku 1990 był to Rajd Zwycięstwa), Złazy Zuchowe (z co najmniej 100 uczestnikami), Festiwale Piosenki Harcerskiej, które zapoczątkowano w roku 1993. Harcerze organizowali obozy harcerskie i zuchowe, kształcili się na kursach kadry instruktorskiej, widoczni byli w życiu społecznym Zaolzia, brali udział w wielu akcjach w Polsce (m.in. Zlot ZHP w Gnieźnie) i RC. Następny Zjazd HPC odbędzie się w roku 2004.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (4)

DYREKTOR SZKOŁY I GOSPODARZ KLASY

Dyrektorem polskiej szkoły wydziałowej w Niemieckiej Lutyni był od roku 1922 Biel Karol. Był zarazem inspektorem szkół z ramienia Macierzy Szkolnej. Miał koło 40 lat, postawy był wysokiej i tęgiej. Nieznacznie kulał na lewą nogę. Był grzeczny i spokojny, ale kiedy złapał kogo choćby na najmniejszym przewinieniu, wpadał w gniew o huraganowym przebiegu. Nie bił nikogo, skrzyczał tylko w taki sposób, że wystarczało na długo. Wskutek tego usposobienia zyskał sobie od razu respekt u wszystkich.

W klasie pierwszej uczył nas tylko nauki obywatelskiej. Jego sposobem nauczania był prosty wykład i wyjaśnienie rzeczy trudniejszych, było trzeba dobrze uważać, aby go zrozumieć. Mało kto co z wykładu rozumiał, lecz to nic nie szkodziło, bo wywody swe dyktował nam potem do zeszytu. Trzeba było się po prostu nauczyć lekcji na pamięć, zresztą, nie było innego wyjścia, gdyż zdania były długie i niekiedy zawiłe, dosyć trudne. Co pewien czas rozdawał nam kartki, na które musieliśmy lekcję napisać z pamięci (zeszyty nam odebrał). W klasyfikacji był nieubłagany: Kto na co zasłużył, to dostawał - nieuczącym się sypał piątki i dodawał słowne kazanie. Odbiło się to także w świadectwie. Ze mną obchodził się zawsze taktownie i dosyć serdecznie - wynikało to zresztą z mojej pilności. Prawie każde jego zadanie napisałem na celująco.

Gospodarzem naszej 1 klasy był starszy już nauczyciel Górniak Jan. Był szczuplejszej postawy, z wąsikiem, którym poruszał ku naszej uciesze. Był żonaty, miał dom i gospodarstwo w Niemieckiej Lutyni pod Zbytkami. Przedmiotami jego były: rachunki, przyroda, fizyka i gimnastyka chłopców. Miał szczególny sposób nauczania. Zbierał na końcu roku szkolnego od uczniów zeszyty z lekcjami, a rozdawał je w nowym roku szkolnym innym uczniom, każąc przerobione lekcje odpisywać sobie zawsze w domu, co kontrolował za każdym razem. Kto nie miał odpisanej lekcji, musiał być po nauce.

W czasie każdej lekcji na początku zawsze kilku egzaminował na stopnie. Potem przystąpił do wykładu nowej lekcji, ilustrując ją w miarę możliwości doświadczeniami lub rysunkami. Umiał materiał nauczania „podać" uczniom. Tylko w rachunkach miał cośkolwiek inną metodę, brał uczniów do liczenia przykładów wprost na tablicy.

Jako gospodarz klasy starał się o spokój naszej klasy, o porządek przez dyżury oraz wypożyczanie książek do lektury domowej.

Używano jedynie książek do czytania i rachunków, były książki do języka czeskiego i niemieckiego.

INNI NAUCZYCIELE SZKOŁY WYDZIAŁOWEJ

Postrachem klasy i szkoły był nauczyciel Jan Płonka. Mógł mieć koło 35 lat, był tęgi i silny. Karał za nieuctwo w niemiłosierny sposób. Biada temu, kogo złapał na bójce! Biada też, jeżeli wchodził do klasy na lekcję, a usłyszał hałas! Od razu przez kilka przerw musieliśmy wszyscy w klasie siedzieć z założonymi rękami przez cały czas, i to tak cichutko jak nigdy.

Nauczyciel Płonka uczył nas historii powszechnej, geografii i języka polskiego. Jego opowiadania z dziejów starożytnych były bardzo interesujące i dokładnie podane. Miał bowiem nauczyciel Płonka wrodzony dar żywego opowiadania. Nie chciał, żeby lekcji uczono się na pamięć, lecz tak, żeby ją można było własnymi słowy opowiedzieć. Wywoływał więc sobie ucznia na stopień i zadawał mu pytanie. Była to wzajemna konwersacja. Biada, jeżeli uczeń błądził w materiale lekcyjnym! Przykleiła mu się od razu „facka na kark" tak, że niektórzy głową uderzali o tablicę lub spadali ze stopnia w dół.

Na geografii rysowaliśmy różne formy ukształtowania powierzchni ziemi, notowaliśmy zatrudnienie ludzi, wreszcie przerabialiśmy podstawowe wiadomości z geografii Czechosłowacji.

Z obu przedmiotów nie mieliśmy żadnych podręczników, więc nauczyciel dyktował nam tylko streszczenie do zeszytów.

Na języku polskim oprócz czytania i opowiadania ustępów z czytanki przerabialiśmy poszczególne części mowy oraz główne zasady pisowni z zastosowaniem w ćwiczeniach stylistycznych. Książek nie było, tylko czytanka polska. Gramatykę musieliśmy sobie notować do zeszytów.

Nauki rysunków oraz śpiewu udzielał nam nauczyciel Sznapka, elegancik średniego wzrostu. Był dosyć ostry w klasyfikacji. Dbał o czystość i wykonanie rysunków, lubił dobrych rysowników.

Do grona nauczycieli należała również młoda i ładna nauczycielka Waleria Synowcówna, która właśnie pierwszy rok zaczęła uczyć w Niemieckiej Lutyni. Była skromna i przyjemna, umiała zyskać sobie wszystkie dzieci. Najczęściej nosiła czarny fartuszek, który pasował do jej kruczych włosów z warkoczami i czarnych oczu. Uczyła nas języka niemieckiego i czeskiego oraz gimnastyki dziewczyn. Była spokojna i sumienna, ale lekcji każdej wymagała, nie przebaczała nikomu. Była przez wszystkich lubianą.

Religii rzymskokatolickiej uczył ks. Mokrysz, który tak w parafii jak i w szkole nie cieszył się zbytnim poważaniem. Mimo młodego wieku był za-

nadto krytyczny, chciał jakby wszystko przewrócić podług swego punktu widzenia. Występował ostro w kazaniach przeciwko ówczesnej modzie i niektórym ludziom. Dochodziło do różnych skarg, zatargów, które zrażały ludzi.

Tak więc uczyło mnie 6 nauczycieli. Lekcje zmieniały się co godzinę, zmieniali się także uczący. Tygodniowy rozkład wynosił 34 godziny. Dwa dni w tygodniu mieliśmy nauki popołudniowe - rysunki i gimnastykę czy ręczne roboty. Pracy więc było naprawdę dużo.

NAUKA - PIERWSZA KLASYFIKACJA

Nauka w szkole wydziałowej rozpoczynała się o wpół do ósmej rano. Musiałem więc wstawać codziennie przed godziną szóstą, aby wyjść z domu przed wpół do siódmej i przyjść do szkoły na czas. Nosiliśmy sporo książek i zeszytów, nawet trzeba było nieść deskę do rysunków, teczkę na rysunki i robótki ręczne.

Z domu chodziłem zawsze sam, w zimie jeszcze po ciemku. Musiałem przechodzić koło lasku „Fojtok", którego już nie ma. Niejednokrotnie duszyczka się we mnie trzęsła, lecz, pogwizdując, starałem się odegnać od siebie strach. Niekiedy koło kaplicy na Zbytkach spotkałem kolegów, Halfarów, Sztutę Józefa lub niektórych z Zabłocia, więc szliśmy razem. Przez Zbytki droga była przeważnie zabłocona, z wybojami. W zimie było jeszcze gorzej, zwłaszcza rano. Ale nie zrażała mnie trudna droga, do szkoły chodziłem chętnie i z radością. Nie opuściłem przez cały rok szkolny ani jednego dnia nauki.

W wolnych chwilach, zwłaszcza w niedziele i święta, czytywałem książki wypożyczone z biblioteki szkolnej przez nauczyciela Górniaka. W celu utrwalenia ich treści pisałem na luźnych kartkach skróty najważniejszych wydarzeń. Otrzymałem przez to streszczenie całej książki. Służyło mi to do ćwiczeń w obmyślaniu i tworzeniu zdań i opracowaniu stylistycznym książki.

Zbliżyła się pierwsza konferencja nauczycielska, na której ustalono nam stopnie klasyfikacji ćwierćrocznej. Nie otrzymaliśmy wprawdzie świadectw, ale podyktowano nam stopnie. Już ta pierwsza klasyfikacja wypadła mi jako najlepsza w klasie. Miałem na połowę „jedynki" i „dwójki". Wszystkich stopni było 16. Pierwsza klasyfikacja miała być według zapowiedzi nauczycieli orientacyjną, a dopiero na półroczu mieliśmy otrzymać właściwe oceny. Jak się okazało, na półroczu klasyfikacja moja nie zmieniła się, potrafiłem utrzymać się jako najlepszy uczeń. Miałem „dwójki", czyli oceny „chwalebny", tylko z następujących przedmiotów: język polski, geografia, geometria, rysunki, kaligrafia, śpiew, gimnastyka i język czeski.

Do ważniejszych wydarzeń początkowych dni mego uczęszczania do szkoły wydziałowej należy uroczystość żałobna przewiezienia w listopadzie 1924 r. zwłok śp. ks. Henryka Dziekana, proboszcza parafii lutyńskiej i współzałożyciela szkoły wydziałowej, niestrudzonego pracownika na niwie polskości. Zmarł w Polsce, ale zgodnie z ostatnią wolą miał być pogrzebany w Niemieckiej Lutyni, co parafianie przyjęli z wielką radością i zorganizowali uroczystość żałobną. Udział wzięły również wszystkie dzieci szkoły wydziałowej jako chór szkolny. Najpierw kroczyliśmy w kondukcie pogrzebowym, a potem śpiewaliśmy nad grobem dwie pieśni pogrzebowe. Tak więc zasłużony szermierz polskości spoczął na zawsze na cmentarzu lutyńskim wśród swoich.

Drugim patriotycznym wydarzeniem tego czasu było przewiezienie zwłok Henryka Sienkiewicza w grudniu 1924 roku ze Szwajcarii do Polski na Wawel. Pociąg przejeżdżał właśnie przez Bogumin w kierunku na Dziećmorowice i dalej na Zebrzydowice do Polski. Staliśmy jako szkoła na przystanku kolejowym w Nieradzie, kiedy ujrzeliśmy jeden wagon tego pociągu otwarty, a w nim czarną trumnę obłożoną wieńcami. Pociąg naturalnie jechał dalej, nie zatrzymywał się i tylko oddaliśmy cześć wielkiemu synowi narodu polskiego. Także w szkole odbyła się uroczystość ku czci Henryka Sienkiewicza, na której nauczyciele zaznajomili nas z jego twórczością. Niejeden z nas przeczytał sobie później jego „Trylogię", „Quo vadis", „W pustyni i w puszczy", „Krzyżaków".

Pięknie i uroczyście zabrzmiała dla nas Gwiazdka w okresie przed świętami Bożego Narodzenia. Gwiazdka odbyła się w sali Lancera z udziałem licznie zebranych rodziców. Najpierw wystąpił chór szkolny i odśpiewał kilka kolęd. Prowadził ks. Mokrysz. Wrażenie potężnego śpiewu było niesamowite. Potem były różne deklamacje o choince, o Wigilii i o Nowym Roku. Miałem również wiersz wstępny na Gwiazdkę, który wyćwiczył ze mną sam dyrektor.

Pięknie prezentował się wreszcie chór aniołów - koło 40 dziewczyn. Wszystkie były w białych sukienkach, ze skrzydłami przetykanymi złotymi gwiazdami. Przed chórem aniołów był ustawiony żłóbek z Dzieciątkiem Jezus. Była Maria i Józef. Obrazek ten bardzo się wszystkim podobał. Na zakończenie Gwiazdki otrzymaliśmy po strucli i paczce, ubożsi otrzymali jeszcze coś z ubioru.

W drugim półroczu nasza szkoła odegrała sztukę teatralną pod tytułem „Kwiat paproci", w 3 aktach. Sztuka była ze śpiewami i tańcami. Brałem w niej udział w chórze szkolnym dla uplastycznienia akcji. Role posiadali uczniowie klas wyższych. Całość spoczywała w ręku reżysera dyrektora Biela. Pomysłowe były kostiumy żab, kwiatów czy grzybów. Tajemnicza była również sceneria, zwłaszcza lasu z kwiatem paproci. Wszystko to przygotowywali nauczyciele. Przedstawienie wypadło bardzo dobrze, publiczność była pełna

podziwu i uznania tak dla małych aktorów - dzieci, jak i nauczycieli za ich pomysłowe dekoracje i kostiumy, za wyćwiczenie tańców, śpiewów i w ogóle całość reżyserii p. dyrektora. W sobotę odbyło się przedstawienie dla dzieci jako próba generalna, a w niedzielę dopiero dla starszych. Sala była doprawdy pełna. Zasługa to całej szkoły i wielu rodziców.

Szkoła wydziałowa cieszyła się wówczas wielkim poważaniem. Społeczeństwo nasze chętnie wspierało ją materialnie i moralnie. Szkoła odwzajemniała się swoimi usiłowaniami o kształcenie ich dzieci.

WYCIECZKA I ...KONIEC ROKU SZKOLNEGO

Pod koniec roku szkolnego odbyła się jednodniowa wycieczka szkolna w Beskidy na Jaworowy. W wycieczce tej braliśmy gremialny udział. Każdy bowiem cieszył się na wyjazd, a tym bardziej w góry. Jechaliśmy z Bogumina do Trzyńca, skąd było trzeba iść piechotą przez miasto i wieś Oldrzychowice. Droga pod górę, chociaż męcząca, dla nas była wielką przyjemnością. Przy pięknej pogodzie szliśmy więc serpentynami w górę, na sam szczyt. Tam przywitało nas schronisko, a przed nim wielki pies myśliwski. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, sam dyrektor wskazał nam najważniejsze miejsca w okolicy. Po krótkim odpoczynku zaczęły się różne zabawy, a więc „na trzeciaka" z udziałem nauczycieli, rzucaliśmy piłką z wywoływaniem i inne. Nie omieszkaliśmy także posilić nasze żołądki, każdy jadł, co przyniósł z sobą. Nawet niektórzy zakupili pamiątki w schronisku. Niemile zaskoczył nas sygnał p. dyrektora do przygotowywania się do powrotu. Nie mogliśmy się rozstać z pięknym widokiem okolicznych szczytów górskich ani urokiem lasów, pragnąc jeszcze choćby chwilę pobiegać koło schroniska. Toteż szliśmy do niego ze śpiewem, dając wyraz ukochaniu gór. Droga powrotna była już inna. Nie szliśmy już serpentynami, ale prosto w dół. W Trzyńcu byliśmy za wcześnie, więc odpoczywaliśmy koło stacji i dojadali, co jeszcze komu zostało. Wesoło było nawet w pociągu, gdzie prawie całą drogę śpiewaliśmy. Zdrowo wróciliśmy do domu.

Zbliżał się powoli koniec roku szkolnego.

W połowie czerwca 1925 roku odbył się tradycyjny Festyn Szkolny w lasku p. Adamczyka. Pochód wyruszył od szkoły. Grała orkiestra. Festyn rozpoczynał się występem chóru szkolnego oraz okolicznościowym przemówieniem dyrektora szkoły. Następnie odbyły się popisy dzieci szkolnych w gimnastyce oraz zawodach sportowych. Każda klasa oprócz wspólnego występu miała jakiś swój samodzielny występ - nasza 1 klasa miała zawody z piłką. Były drużyny chłopców i dziewczyn, które współzawodniczyły ze sobą. Było podawanie piłek w rzędach, w rozkroku i wreszcie podrzucanie. Zwyciężyli naturalnie chłopcy. Festyn był dla nas miłą uroczystością.

Pobawiliśmy się, pograli i jeszcze otrzymaliśmy po parówce i lemoniadzie. Pogoda dopisała.

Wiele przygotowań wymagało zorganizowanie na końcu roku szkolnego wystawy rysunków i prac ręcznych. Każda klasa wystawiała swoje prace pod kierunkiem gospodarza klasy. Byłem jednym z tych, którzy byli przeznaczeni do pomocy w przygotowaniu wystawy w 1 klasie. Wyznaczono mi także dyżur wystawowy w oznaczonym czasie.

Pozostała mi do opisania klasyfikacja na końcu roku szkolnego, która obejmowała wiele wcześniejszych sprawdzianów z różnych przedmiotów. Nagromadziło się tego naprawdę dużo. Każdy nauczyciel klasyfikował swoje i po swojemu.

Dla mnie klasyfikacja na końcu roku szkolnego była bardzo radosna. Otrzymałem świadectwo ze samymi „jedynkami" czyli na „celująco". Doprawdy, nie spodziewałem się takiej oceny mojej nauki. Jak się później okazało, byłem najlepszym uczniem nie tylko w 1 klasie, ale w całej szkole.

c.d.n.



Pierwszy dzień w pierwszej klasie (PSP Cz. Cieszyn, 2002)
Fot. FRANCISZEK BAŁON

O SPÓŁDZIELNI JEDNOTA-JEDNOŚĆ REFLEKSJI KILKA

Spółdzielnia Jednota-Jedność w Orłowej Łazach i jej centrala powstała po II wojnie światowej, zrzeszała ludzi o wspólnym celu, kierowała około 500 sklepami spożywczymi, wytwórniami, pracując na zasadach uczciwego handlu, opierając się na bogatym dorobku spółdzielczym na Zaolziu. Kierownictwo łaziańskiej centrali od samego początku ściśle przestrzegało zasad dwujęzyczności w pracy administracyjnej centrali i na jej zapleczu. Jej działalność wystawiona była na niejedną próbę. Odgórnie dyktowane reorganizacje, związane z tym przeprowadzki aparatu administracyjnego trwały latami i zakończone zostały w budynku centrali w Czeskim Cieszynie przy ulicy Tovární, w siedzibie dawnej „Ziemi". Gdyby ktoś pomyślał, że przedmiotem działalności spółdzielni spożywców jest wyłącznie działalność handlowo-wytwórcza, byłby w wielkim błędzie. Była tu jeszcze wypływająca ze Statutu działalność kulturalna skupiona w Radach Nadzorczych, kontrolowana odgórnie z działu kultury i propagandy centrali, posługująca się skrótem „kult-prop". Chyba tak pozostało do dziś.

Przed przeszło pół wiekiem, poszukując pracy w miarę możliwości niedaleko od Błędowic, znalazłem się w dziale personalnym w łaziańskiej centrali przed jej kierownikiem Wincentym Onderkiem. Z dyplomem Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu, w oddziale szczecińskim, mój wniosek o przyjęcie zaaprobowany przez Onderka wyrokiem „brać!" zatwierdził wszechmocny kierownik działu księgowości dysponujący całym haremem młodych dziewcząt-buchalterek pracujących w sali przypominającej dużą salę rysunkową. A tym kierownikiem budzącym ogólny respekt był p. Janas.

Dopiero później z uczuciem wewnętrznego zadowolenia dowiedziałem się, że szefem działu personalnego jest maturzysta orłowskiego gimnazjum.

Do pracy skierowano mnie w dziale kultury i propagandy, którym kierował człowiek niezwykle życzliwy, utalentowany Rudolf Firla. Wśród rodzinnych pamiątek w biblioteczce córki Lidii, polonistki, wśród niezwykłych książek znajduje się jubileuszowe wydanie „Pana Tadeusza" z grudnia 1950 roku, bogato artystycznie ilustrowane przez Tadeusza Gronowskiego, pochodzące z zapasów działu kultury i propagandy, jak go wtedy nazywano. I ten jubileuszowy „Pan Tadeusz", wspaniała pamiątka po Rudolfie Firli, do dziś dnia budzi w rodzinie poważanie i respekt.

Skierowano mnie do pracy tłumacza korespondencji i okólników w sekretariacie kierowanym przez Józefa Kazika. Ta placówka okazała się dla mnie na okres kilku lat ostatnią. Co było powodem takiej decyzji ówcze-

snych nadrzędnych władz politycznych, pozostaje do dziś dnia dla mnie tajemnicą. Kiedy wracam myślami do tamtych czasów, stale mam przez oczyma Wincentego Onderka, który na antenie centrali wzruszającymi słowami pożegnania wywołał u niejednego smutek, współczucie i żal. Odchodząc na okres trzech lat do pracy fizycznej w łaziańskiej kopalni, szczególnie serdecznie żegnałem się z pracownikami, wśród których byli Wincenty Onderek, Józef Kazik, Rudolf Firla, Ferdynand Pachoł, JUDr Godula, Sagitarius oraz wielu innych.

Mijały lata, reorganizacje zmieniały strukturę spółdzielni, ale na stanowisku pozostał cieszący się wyjątkowym zaufaniem pracowity Wincenty Onderek, maturzysta orłowskiego „gimpla". W moim dalszym życiu prywatnym pojawia się stale.

Po długim pobycie w karwińskim szpitalu górniczym psychicznie załamanego kolegę ratuje, wysuwając jego kandydaturę na członka Centralnej Komisji Rewizyjnej w Pradze. Podratowało to moje zdrowie, wraca równowaga psychiczna i ogólne zdrowie.

Wincenty Onderek w spółdzielni J-J w Czeskim Cieszynie kilkanaście lat prezesuje. Jest to dobry, spokojny okres spółdzielni.

W czasie wykonywania zadań związanych z funkcją członka Komisji Rewizyjnej w biurze kadr dyrekcji spółdzielni miałem możliwość przekonać się, że polityka kadrowa prowadzona jest sprawiedliwie, że daje możliwość startu i kontynuowania kariery ludziom, którzy np. po powrocie z tułaczki wojennej z braku odpowiednich warunków z niemałym trudem żywili rodzinę.

Od samego początku w kadrach urzędniczych pracował kierownik składu druków o ciekawym nazwisku Sagitarius, pochodzący z męskiego szwedzkiego rodu Sagitariusów, o którym krążyły wieści, że jest to „spuścizna" po szwedzkich żołnierzach walczących w XVII wieku na Śląsku. Był to ciekawy typ człowieka-oryginała, rzadko spotykanego, przyciągającego do siebie na wesołe pogawędki wyższe stażem kadry urzędnicze.

Wincenty Onderek na pewno bolał nad tym, co kronikarz MK PZKO w Błędowicach w tomie III kroniki odnotował na str. 300: Zgromadzenie delegatów Spółdzielni Spożywców Jednota-Jedność postanowiło wyłączyć z nazwy polski człon „Spółdzielnia Spożywców". Od 27 V po przeszło pół wieku nabywa mocy prawnej.

Od kilkunastu lat Wincenty Onderek jest na aktywnej emeryturze, spotkać go można na ulicach Czeskiego Cieszyna. Pozostaje tym samym jak dawniej przyjacielskim, skromnym człowiekiem, żywo interesuje się działalnością Rad Nadzorczych w terenie. Zachowuje pamięć o czasach i ludziach, z którymi żył i pracował.

ANDRZEJ PAWLAS

X ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH TARNÓW - KIELCE - WARSZAWA

Spotkanie z prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandrem Kwaśniewskim w Pałacu Prezydenckim w Warszawie zakończyło 9 września jubileuszowe X Światowe Forum Mediów Polonijnych. Impreza przebiegała pod patronatem honorowym prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Głównym organizatorem Forum było stowarzyszenie Małopolskie Forum Współpracy z Polonią, współorganizatorami Urząd Marszałkowski, Urząd Wojewódzki i Urząd Miejski w Kielcach, Centrum Targowe Kielce, Polskie Stowarzyszenie Prasy Lokalnej, Fundacja Polonia, Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Środki finansowe na organizację Forum pochodziły z 32 źródeł, głównymi sponsorami były: Ceramika Paradyż, Plus GSM i Prokom Software S.A. Forum zainaugurowane zostało 3 września w Tarnowie, mieście, w którym wymyślił je kiedyś prezes Zarządu Małopolskiego Forum Współpracy z Polonią w Tarnowie i dyrektor Narodowego Centrum Kultury w Warszawie Stanisław Lis. Na Forum przyjechało 150 dziennikarzy z 33 krajów świata, przedstawicieli różnych środowisk Polonii i Polaków za granicą, którzy w krajach swojego zamieszkania wydają polskie gazety, robią polskie audycje radiowe czy telewizyjne. Republikę Czeską reprezentowali redaktorzy Głosu Ludu, Zwrotu, Wiarusa i Kuriera Praskiego.

Szacuje się, że poza Macierzą żyje ponad 15 milionów Polaków. Można ich podzielić na dwie główne grupy. Pierwsza, liczniejsza, to Polonia, ludzie, którzy z różnych powodów, przede wszystkim ekonomicznych i politycznych, opuścili kraj ojczysty i wyjechali za granicę. Działo się tak już przed ponad stu laty, dzieje się tak i dziś. Polonię stanowią potomkowie dawnych emigrantów, niekoniecznie znający język polski, ale pamiętający o swych korzeniach, o kraju rodzinnym swoich przodków, a także emigranci z ostatnich kilkudziesięciu lat, którzy świetnie władają polszczyzną, odwiedzają swoją ojczyznę, ale jako miejsce stałego zamieszkania wybrali inny kraj. Zdarza się, że po wielu latach, najczęściej w wieku emerytalnym, wracają do Polski. Wśród Polonii są też osoby, które za granicę poszły za głosem serca, bo tam znalazły współmałżonka. Drugą grupę Polaków za granicą stanowią ludzie, którzy w danym regionie mieszkają

z dziada pradziada, nie wyprowadzali się z Polski, ale w wyniku zmian na politycznej mapie świata przesunięto im granice i znaleźli się poza ojczyzną. Chodzi tu o tereny za wschodnią granicą Polski oraz nasze małe Zaolzie. W państwach byłego Związku Radzieckiego żyją jednak nie tylko Polacy-autochtoni, polskość i pamięć o dawnej Macierzy starają się zachować także przymusowi emigranci, wywiezieni kiedyś na Syberię, do łagrów, na roboty, którym udało się przeżyć, i ich potomkowie.

Przedstawiciele tych jakże różnorodnych środowisk polonijnych spędzili tydzień na X Światowym Forum Mediów Polonijnych w Tarnowie, Kielcach i Warszawie. Wielu z nich przyjechało już po raz kolejny, by spotkać się ponownie z kolegami po fachu z innych krajów, chociaż trzeba wyjaśnić, że dla dużej części uczestników Forum praca dziennikarska jest pracą społeczną, a na chleb zarabiają w inny sposób. Przyjechali, by wymienić doświadczenia i poglądy na najróżniejsze tematy, skorzystać z przygotowanych przez organizatorów wykładów, referatów, warsztatów oraz by poznać lepiej kolejny kawałek Polski, tym razem województwo świętokrzyskie.

Przez lata istnienia Forum zacierał się powoli dystans pomiędzy Polakami ze Wschodu i Polonią z Zachodu, zrodziły się przyjaźnie bez podziałów. Pomimo tego samego języka - polskiego - używanego tak przez osoby z USA, Francji, Niemiec czy Szwecji, jak przez osoby z Ukrainy, Litwy, Rosji czy Gruzji, i wzajemnej sympatii niezmiennie inny pozostał stosunek do wielu zagadnień politycznych, gospodarczych, poglądy na wiele spraw. Wyraźnie widoczne było to podczas tegorocznej dwudniowej sesji Meetingu Proeuropejskiego: Media - Europa, który przygotowany został dla uczestników Forum pod patronatem honorowym Dariusza Szymczychy, sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta RP. Referaty dotyczyły przede wszystkim promocji zagranicznej członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Adresatami byli oczywiście głównie dziennikarze zachodni, toteż to oni w dyskusji zwracali uwagę na niedociągnięcia w promocji Polski w świecie czy wręcz brak materiałów, które umożliwiłyby mocną kampanię reklamową i przekonanie mieszkańców unijnej piętnastki, by w referendum głosowali za przyjęciem Polski do Unii Europejskiej. Dziennikarzy polonijnych z byłego bloku wschodniego można by zaliczyć do dwu grup. Jedną grupę stanowili przedstawiciele państw, które mają nadzieję w najbliższych latach stać się członkami Unii Europejskiej i stoją przed w większym lub mniejszym stopniu podobnymi jak Polska problemami. W drugiej grupie znaleźli się mieszkańcy krajów,

które zostaną na razie poza Unią Europejską. Dziennikarze ci zapewniali, że będą za Polskę trzymać kciuki i popierać jej starania, nie kryli jednak pewnego niepokoju i obawy, co będzie np. z przekraczaniem granicy po wprowadzeniu wiz unijnych, czy Polska nie zapomni o swoich rodakach w krajach biedniejszych.

Oficjalnego otwarcia Forum w Tarnowie dokonała Jolanta Danielak, wicemarszałek Senatu RP. W swoim wystąpieniu powiedziała m.in.: *Rola, jaką pełnią media polonijne i polskie w świecie, urasta do rangi misji, gdy uświadomimy sobie wielkie, historyczne wyzwania współczesności, w obliczu których stoi Polska. Z tego powodu wysoko należy ocenić fakt, że obok stałego tematu przewodniego Forum, jakim jest rola mediów polonijnych w utrzymywaniu więzi pomiędzy środowiskami Polonii a krajem oraz promocji Polski w świecie, od 1999 roku organizatorzy tarnowskich spotkań uwzględniają szeroko i wszechstronnie zagadnienia związane z procesem integracji Polski z Unią Europejską. (...) Senat V Kadencji - kontynuując historycznie ukształtowaną, szczytną tradycję sprawowania opieki nad Polonią i Polakami za granicą - podjął starania, aby nadać nowy wymiar kontaktom Kraju z polską diasporą w świecie. Wolą Senatu jest, aby postulaty zgłaszane w czasie I i II Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy weszły w fazę realizacji. Dlatego*



4. 9. 2002 Tarnów - wystąpienie wicemarzałka senatu RP Jolanty Danielak podczas inauguracji X Światowego Forum Mediów Polonijnych

właśnie pierwszą inicjatywą ustawodawczą Senatu obecnej kadencji było ustanowienie 2 maja Dniem Polonii i Polaków za Granicą. (...) Senat V Kadencji odbył także debatę plenarną w całości poświęconą problemom Polonii i Polaków za Granicą, w czasie której - w obecności najwyższych władz państwa polskiego z prezydentem RP na czele oraz w obecności przedstawicieli środowisk polonijnych i polskich ze Wschodu - poszukiwano nowych obszarów i form współdziałania na linii kraj - Polonia, emigracja i Polacy za granicą. (...) Jednym z efektów tej debaty będzie powołanie przy marszałku Senatu Polonijnej Rady Konsultacyjnej, składającej się z przedstawicieli największych organizacji polonijnych wszystkich kontynentów. Postępujące procesy konsolidacji środowisk polonijnych i polskich ze Wschodu, których wyrazem jest powstanie i działalność organizacji polonijnych o zasięgu kontynentalnym (Kongresu Polonii Amerykańskiej, Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej, Rady Naczelnej Polonii Australijskiej, Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych) i światowym (Rada Polonii Świata) sprawiają, że - dzięki przyjętym w Senacie rozwiązaniom - głos tych środowisk w kraju będzie lepiej słyszalny.

O tym, że Polacy należą do światłych narodów europejskich i nie mają się czego wstydzić, przekonywały także inne wystąpienia. Gromkimi bra-



8. 9. 2002 Tokarnia - skansen wsi kieleckiej
Fot. autorka

wami nagrodzono wykład inauguracyjny profesora Waldemara Łazugi z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, który mówił na temat: Stereotypy i mity - Polak zawsze taki sam? Udowodnił, że idea (a może kompleks) europejskości żyje w społeczeństwie polskim od wieków. Cytował kilku wielkich Polaków i okazało się, że ich myśli sprzed np. dwustu lat są na wskroś współczesne i śmiało można by je przypisać dzisiejszym naukowcom czy politykom.

Do Polaków na całym świecie zwrócił się Zbigniew Kostecki, polski lekarz z Niemiec, który od kilku lat zbiera wszelkie dane o Polonii i Polakach poza Polską i umieszcza je na stronach internetowych www.polonia.org. Prosił o pomoc w gromadzeniu informacji i ewentualną korektę błędów.

Jak co roku wręczano na Forum odznaczenia, nagrody, dyplomy honorowe. Laureatem nagrody Fidelis Poloniae 2002 w kategorii osoba został prof. dr hab. Zbigniew Judycki, największy biograf Polonii na świecie, w kategorii organizacja Związek Kulturalno-Oświatowy Polaków w Gruzji Polonia. Jak co roku odebrali nagrody laureaci Konkursu Literackiego Powroty do źródeł oraz Konkursu na Reportaż z poprzedniego Forum. Rozdano też podczas Gali Jubileuszowej medale 10-lecia Forum.

W Kielcach zwiedzili dziennikarze polonijni X Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego, wzięli udział w koncertach „10 lat Kielc - miasta targowego" (w Kielcach znajduje się drugi co do wielkości, po Poznaniu, ośrodek targowy w Polsce), „Nadzieje Kielc" (co roku nagrody dostają najzdolniejsi młodzi kielczanie) oraz w Koncercie na Kadzielni z okazji Święta Kielc (kielecki amfiteatr na Kadzielni wśród zieleni i skał jest jedną z wartych obejrzenia atrakcji miasta). Poza Kielcami zobaczyli skansen wsi kieleckiej w Tokarni, ruiny zamku Krzyżtopór w Ujeździe, a nade wszystko godny polecenia każdemu turyście okalany sadami nadwiślański Sandomierz.

Podczas spotkań z władzami województwa świętokrzyskiego padło wiele propozycji turystycznych, które nie zmieściły się w programie Forum, jednak, wierząc gorącym zapewnieniom gospodarzy województwa o gościnności mieszkańców, każdy z dziennikarzy polonijnych mógł po powrocie do swojego kraju z czystym sumieniem przekazać swym czytelnikom czy słuchaczom zaproszenie na tę ziemię Żeromskiego i Sienkiewicza.

CZESŁAWA RUDNIK

POLACY NAJLICZNIEJSZĄ MNIEJSZOŚCIĄ NA LITWIE

Jak podaje wychodzący w Londynie Tydzień Polski (nr 26), Polacy są najliczniejszą mniejszością na Litwie. Stanowią 6,7 proc. mieszkańców. Na drugim miejscu są Rosjanie - 6,3 proc., dalej Białorusini - 1,2 proc., Ukraińcy - 0,7 proc., a następnie Żydzi, Niemcy, Łotysze i Romowie po 0,1 proc. Litwini stanowią 83,3 proc.

WYRÓŻNIENIE DLA PROF. JANUSZA GUZIURA

Rada redakcyjna wielkiego europejskiego leksykonu „Who's who in Europe" postanowiła opublikować tu biogram prof. dr. hab. Janusza Guziura, ichtiologa, pracownika naukowego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Podobnie jak inne osoby prof. Guziur został wybrany dzięki wybitnym osiągnięciom naukowym i głębokiej wiedzy w swojej dziedzinie. Leksykon będzie wydany w wielu krajach i dostępny w księgarniach i instytucjach edukacyjnych na całym świecie.

POLSKI TYGODNIK W ATENACH

Polacy w Grecji już od roku 1988 wydają w Atenach niezależny tygodnik, który powstał z myślą o wszystkich Polakach, tych, którzy przebywają tu na stałe, i tych, którzy odwiedzają ten kraj na krótko. Początkowo pismo miało objętość 32 strony w formacie A3, jednak po trzęsieniu ziemi w Grecji, kiedy to lokal redakcji został doszczętnie zniszczony, ilość stron uległa zmniejszeniu do 24. Pismo oferuje szeroki zakres tematyki: serwisy z Polski, Grecji i świata, wiadomości sportowe, ekonomiczne, dużo miejsca poświęca turystyce i wiadomościom z życia polonijnego. Gazeta stanowi przewodnik po „polskich Atenach". Tu można znaleźć adresy i telefony polskich sklepów, firm turystycznych, lekarzy czy też innych Polaków oferujących usługi. To dzięki tym osobom pismo istnieje.

POMNIK DLA ODKRYWCÓW SEKRETU ENIGMY

12 lipca br. w Bletchley Park w Londynie książę Kentu odsłonił pomnik-tablicę upamiętniającą wkład polskich matematyków i kryptologów w złamanie kodów niemieckiej maszyny szyfrującej Enigmat. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele organizacji polonijnych, kombatanckich, polskiego korpusu dyplomatycznego, krewni polskich naukowców. Odsłonięcie tablicy, której autorem jest prof. Wydziału Sztuk Pięknych

UMK w Toruniu artysta rzeźbiarz Maciej Szankowski, stało się możliwe dzięki współpracy Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, brytyjskich władz i Fundacji Bletchley Park, która prowadzi tamtejsze muzeum. Koszty tablicy pokryto w dużej mierze z dobrowolnych składek. Akcji zbiórki pieniędzy patronował Dziennik Polski.

Pomoc dla praskiej szkoły i nie tylko

W Polsce ciągle trwa zbiórka pieniędzy na pomoc powodzianom w RC. Organizuje ją wiele organizacji społecznych, w tym Caritas Polska i Caritas Ordynariatu Polowego, które na prośbę ks. kard. Miroslava Vlka wysłały transport z środkami higienicznymi i odkażającymi za ponad 160 tys. zł. Pod koniec sierpnia dzięki wysyłanym przez słuchaczy Radia Zet smsom stacja przekazała na remont zniszczonej przez powódź szkoły w Pradze 650 tys. zł. W trwającej 8 dni akcji tej rozgłośni i operatorów sieci komórkowych wzięło udział ponad 130 tys. osób. Każdy sms kosztował 5 zł.

We Wrocławiu podczas koncertu charytatywnego na rzecz zalanej przez powódź Pragi, w którym udział wzięli czołowi polscy piosenkarze, zebrano 35 tys. zł. Dzięki na poły charytatywnej sprzedaży piwa Pilsner Urquell zgromadzono ponad 8 tys. zł na odtworzenie księgozbioru w Instytucie Polskim w Pradze. Patronem koncertu była Gazeta Wyborcza.

Centrum Jedności Polonii

W środowiskach polonijnych Chicago zrodziła się idea budowy Pomnika Chrystusa Króla w połączeniu z obiektem Centrum Jedności Polonii jako zamysł zjednoczenia Polonii na całym świecie. Pomnik Chrystusa Króla Zbawiciela Świata ma stanąć na Górze św. Marcina w Tarnowie jako wotum wdzięczności Bogu za Papieża Polaka, odzyskaną wolność oraz zachowanie i trwanie wiary chrześcijańskiej. Autorem rzeźby jest prof. Czesław Dźwigaj. Pomnik ma wieńczyć kopułę budynku, w którym gromadzone będą archiwalia polonijne. Obiekt ten będzie współczesnym miejscem przekazywania tradycji, kultury i sztuki. Przewidziane są pomieszczenia na spotkania, uroczystości, do celów dydaktycznych, sala konferencyjna, sale audiowizualne i projekcyjne, następnie pomieszczenia indywidualnych środowisk polonijnych, muzeum, archiwum, sale wystaw. Prace budowlane mają rozpocząć się w 2005 roku. Koszt całości wyniesie 15 milionów dolarów. Organizatorzy wierzą, że uda im się zebrać te fundusze wśród Polonii. W projekcie Centrum uwzględnieni zostali także Polacy ze Wschodu, od nich jednak nie oczekuje się wkładu materialnego.

POLONIŚCI UCZĄ SIĘ POLSKIEGO W SZKOLE JĘZYKA I KULTURY POLSKIEJ UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO

Jak co roku przybyło pod koniec wakacji do Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie kilkunastu zaolziańskich polonistów, by doskonalić swoją polszczyznę, poznać lepiej wybitne osiągnięcia kultury polskiej, zaznajomić się z najnowszymi trendami w metodyce nauczania. W tym roku oprócz nauczycielek języka polskiego z polskich szkół na Zaolziu w przygotowanych przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach warsztatach polonistycznych wzięły udział także dwie osoby z Zachodu: Niemiec i Belgii. Na inauguracji jedenastych już warsztatów, które 21 sierpnia w Filii UŚ w Cieszynie zagaiła wicedyrektor Szkoły Języka i Kultury Polskiej Jolanta Tambor, nie zabrakło gości oficjalnych: Z Katowic przyjechała konsul RC Alena Hlaváčková, z Ostrawy konsul RP Małgorzata Filipek, Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie reprezentowała Marta Kmeť, Zarząd Główny PZKO Józef Wierzgoń.

Warsztaty polonistyczne, które trwały w tym roku od 21 do 28 sierpnia, to kurs promujący język polski i kulturę polską poza granicami Polski. Przeznaczony jest dla nauczycieli języka polskiego pracujących w szkołach poza granicami Polski, lektorów języka polskiego za granicą, osób propagujących w różnorodny sposób język i kulturę polską poza Polską, pracowników naukowych zagranicznych polonistyk i slawistyk. Główny temat tegorocznych warsztatów brzmiał: Problemy nauczania kultury polskiej i języka polskiego za granicą. Warsztaty obejmowały seminaria językowe, wykłady z zakresu języka i kultury polskiej i konserwatoria specjalistyczne. Uczestnicy warsztatów wysłuchali m.in. wykładów na temat: Słowniki na lekcjach języka polskiego, Funkcjonalne odmiany polszczyzny – język dzieci i młodzieży w literaturze i w życiu, Współczesny język mówiony i pisany, Język prasy i reklamy, Język polski wobec współczesnych przeobrażeń, Bogacenie słownictwa, Edukacja regionalna, „Pianista" i „Dziewczynka w czerwon ym płaszczyku" – nowe? obrazy wojny w literaturze, Światy bliższe i dalsze: Olga Tokarczuk „Prawiek i inne czasy", Polscy Nobliści na lekcjach polskiego. Wzięli udział w seminariach filmo-

wych: Harry Potter, Szatan z VII klasy, Panna Nikt, Moralność pani Dulskiej, Potop, Sól ziemi czarnej. Program kulturalny obejmował pokazy filmowe, koncert inauguracyjny festiwalu Viva il canto, nie zabrakło wycieczki w Beskidy.

Warsztaty polonistyczne to tylko jedna z wielu ofert Szkoły Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Szkoła powstała w 1991 roku jako Letnia Szkoła Języka, Literatury i Kultury Polskiej, od końca 1996 roku nosi obecną nazwę. Dyrektorem Szkoły jest dr Romuald Cudak, wicedyrektorem dr Jolanta Tambor. Szkoła posiada poza tym pięciu etatowych pracowników oraz pięcioosobową radę naukową, w jej pracach bierze udział wielu pracowników naukowych.

Szkoła Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego prowadzi:

- letnią szkołę języka, literatury i kultury polskiej (odbywa się w sierpniu w Cieszynie, a jej program obejmuje kurs językowy, seminarium na temat Wiedza o Polsce, program kulturalny, wycieczki, rekreację, od pięciu lat podczas jej trwania pisany jest „Sprawdzian z polskiego" o tytuł Cudzoziemskiego Mistrza Języka Polskiego),
- letnie kolegium polsko-austriackie we współpracy z austriackim Ministerstwem Oświaty, Nauki i Sztuki (w sierpniu w Cieszynie),
- warsztaty polonistyczne (w sierpniu w Cieszynie),
- kurs adaptacyjny dla studentów programu Socrates-Erasmus (we wrześniu w Katowicach),
- kurs języka polskiego w grupach i indywidualnie (od października i marca w Katowicach),
- kurs polskiego języka biznesu (w Katowicach i Cieszynie),
- kurs polskiego języka turystyki i hotelarstwa (w Katowicach i Cieszynie),
- roczny kurs języka polskiego dla kandydatów-cudzoziemców na studia w Polsce,
- praktyki dla studentów polonistyki i slawistyki,
- seminaria i konferencje na temat języka polskiego i kultury polskiej, nauczania języka polskiego jako obcego, tłumaczeń,
- podyplomowe Studium Nauczania Kultury Polskiej i Języka Polskiego jako Obcego.

Szkoła oferuje doświadczonych lektorów, nowoczesne programy nauczania, bardzo dobre warunki nauki, współpracuje z zagranicznymi ośrodkami polonistycznymi i slawistycznymi, zaprasza do współpracy wybitne osobistości ze świata kultury i polityki, prowadzi działalność badawczą dotyczącą recepcji literatury polskiej za granicą, nauczania języka polskiego jako obcego i wymowy polskiej oraz działalność wydawniczą, wydaje własne pismo pod nazwą Postscriptum.

C.R.

PZKO-WSKIE ODZNACZENIE DLA PROF. JANA SZCZEPAŃSKIEGO



Prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa dekoruje prof. Jana Szczepańskiego Złotą Odznaką, fot. Daniel Kadłubiec.

Do najznamienitszych osobowości w całej historii Śląska Cieszyńskiego należy z pewnością Profesor Jan Szczepański, ur. 13 września 1913 w Ustroniu, na Zowodziu, gdzie nazywają Do Brzeziny z racji brzóz gromadnie tam rosnących. Maturował w Cieszynie w r. 1932, po czym podjął studia socjologiczne w Poznaniu u światowej sławy uczonego prof. Floriana Znanieckiego, którego był doktorantem, później asystentem. Osiągnął wszystko, co w życiu naukowym można osiągnąć. Mając 39 lat, został rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, potem był dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, wiceprezesem PAN, wiele światowych uniwersytetów nadało Mu tytuł doktora honorowego, zapraszało na wykłady gościnne, zagraniczne akademie nauk ubiegały się o Jego członkostwo, rządy i środowiska naukowe przyznawały Mu najróżniejsze odznaczenia, m.in. Komandorium Imperium Brytyjskiego.

Jest autorem około półtora tysiąca rozpraw, artykułów, studiów, recenzji, raportów i książek, z których wiele cytuje światowa literatura socjologiczna, należą bowiem do jej klasyki. Jako wielki uczony i polityk, nade wszystko zaś jako Człowiek zawsze i wszędzie mówił głośno, że Jego małą ojczyzną jest Ziemia Cieszyńska. I nie tylko o niej mówił, ale i pomagał, toteż wiele tutejszych instytucji wiele mu zawdzięcza.

Napisał niezwykłą książeczkę o swojej i naszej ziemi, o swoich i naszych korzeniach. Nazwał ją prosto, a jednocześnie jakże głęboko: „Korzeniami wrosłem w ziemię". Jest małego formatu, szczupła, ale potężna treścią i umiejętnością widzenia i pokazywania rzeczy na pozór oczywistych, ale tylko na pozór. W gruncie rzeczy są one doniosłe, wręcz fundamentalne, zwłaszcza dzisiaj. Jego przodkowie pochodzili z Ligotki Kameralnej i w XVII wieku na-

zywali się Szczepończowie. Być może i to było jedną z przyczyn, dla której Prof. Szczepański nigdy nie omijał w swojej twórczości Zaolzia w czasie, kiedy temat ten nie należał do popularnych. W swoim przeładowanym do ostatniej godziny kalendarzu umiał znaleźć miejsce na przyjazd do naszej Sekcji Folklorystycznej, by czynnie uczestniczyć w jej konferencjach, a potem omawiać jej dokonania w ważnych periodykach naukowych.

Jest zatem oczywiste, dlaczego ZG PZKO przyznał Profesorowi Janowi Szczepańskiemu najwyższe odznaczenie związkowe – Złotą Odznakę „Zasłużony dla Związku" z wpisem do Złotej Księgi, poczytując sobie za honor, że wśród wielu laureatów ma takiego właśnie. Dla Niego, rzecz jasna, nie było to odznaczenie najważniejsze, na pewno jednak jedno z najmilszych. Pochodzi bowiem ze stron, skąd wyrasta Jego ród. Wręczyli Mu je 26 lipca br. w Konstancinie–Jeziornej pod Warszawą, gdzie mieszka z żoną Eleonorą i dziećmi, Arturem i Ewą, inż. Z. Stopa, dr inż. St. Gawlik i prof. dr hab. D. Kadłubiec.

–dk–

DOŻYNKI W GUTACH POD ZNAKIEM JUBILEUSZY

Aż dwa jubileusze świętowali w niedzielę 25 sierpnia br. guccy pezetkaowcy na swojej sztandarowej imprezie, Dożynkach Śląskich. Chodziło bowiem nie tylko o 35. święto plonów – w tym roku mija również 25 lat od uroczystego otwarcia pięknego Domu PZKO. Nic więc dziwnego, że z prośbą o przyjęcie obowiązków gospodarzy dożynek zwrócili się organizatorzy imprezy do prezesa ZG PZKO Zygmunta Stopy i jego żony Wiktorii. Skorzystali też z zaproszenia liczni goście, wśród nich kosnul RP w Ostrawie Piotr Czosnyka, burmistrz Trzyńca Igor Petrov i jego zastępczyni Věra Palkowska, przedstawiciele wielu polskich zaolziańskich organizacji...

Jak co roku rozpoczął święto plonów dożynkowy pochód, później już gospodarze przyjęli wieniec i chleb z nowego ziarna z rąk tancerzy zespołu Oldrzychowice. Zespół z sąsiedniej wsi – nie po raz pierwszy zresztą – przedstawił też cały obrzęd dożynkowy. Oprócz nich zaprezentowali się też gościom imprezy w programie (a zdaniem prezesa guckiego MK PZKO Jana Kantora zeszło się ich tym razem ok. tysiąca) zespoły Bystrzyca z jabłonkowską kapelą Nowina oraz chór Gorol. W ramach występu tego ostatniego (nb. obchodził w tym roku swoje 55. urodziny) przedstawił się też publiczności najmłodszy stażem zaolziański zespół – Zaolzi – działający przy jabłonkowskim MK PZKO. Do tańca zaś zagrała olbrachcicka Náladička.

Dożynki Śląskie w Gutach to jednak nie tylko program artystyczny, ale i tradycyjna loteria z główną nagrodą – prosiakiem, bogata oferta kulinarna przygotowana przez panie z Klubu Kobiet, no i wspaniała miodula... A przy okazji można też było sięgnąć pamięcią do historii i na wystawce w sali Domu PZKO obejrzeć zdjęcia z czasów, kiedy siedziba guckich pezetkaowców dopiero się rodziła...

(kor)







Fot.: PAWEŁ BADURA

BŁĘDOWICE PO XXXIII DOŻYNKACH ŚLĄSKICH I PO KOŚCIELNYM ŚW. BARTŁOMIEJU

Centrum i Bergerowe Zakościele Błędowic należą do cennych zabytków gminy. Tu już w szkołach wyznaniowych wychowywano przyszłe pokolenia, tu przed 220 laty ewangelicy z niemałym trudem budowali Dom Modlitwy – późniejszy kościół ewangelicki, z którego wyruszały w świat duchowo przygotowane do życia bogate liczebnie roczniki konfirmantów. Tu dziś już na historycznych cmentarzach odpoczywają snem wiecznym nasi przodkowie.

W ciągu roku były zawsze dwie społeczne wypowiedzi wdzięczności za Boże dary materialne i duchowe, kościelne święto Bartłomieja i dożynki Macierzy. Przez długi okres czasu obchodzono je w tym samym dniu. Był to wynik długotrwałej przyjaźni i współpracy zboru i Macierzy. Kościelny św. Bartłomiej (jeden z dwunastu apostołów Jezusa, katolicki święty obchodzony 24 sierpnia) i dożynki Macierzy mobilizowały całe społeczeństwo. Przed południem orszaki ludzi z bliska i z daleka zdążały do kościoła, po południu w korowodzie dożynkowym do Parku Macierzy. W rodzinach było to wielkie święto.

Z ustalaniem terminu tej latami wspólnej uroczystości nie było problemów. W przygotowania imprez zaangażowani byli zawsze ci sami działacze: nauczyciele, księża, działacze miejscowych organizacji, zborownicy. Nigdy ich nie było trzeba do tej pracy specjalnie zapraszać.

Po trzydziestoletniej przerwie zarząd MK PZKO wystąpił z wnioskiem, odwołując się do tradycji przodków, by w programach działalności Koła pojawiła się co roku priorytetowa impreza Koła – Dożynki Śląskie.

Jest 31 sierpnia godz. 13,30, dopisuje wspaniała pogoda. Przed zadbanymi ogrodami Polskiej Szkoły Podstawowej, pełnymi w tym roku dojrzewających urodziwych jabłek, gra orkiestra. Jest kolorowo, odświętnie. Do kolasy zaprzężonej w parę gniadych koni wsiadają gazdowie państwo Halina i Stanisław





Skurzokowie, jest przodownica z wieńcem Izabela Chroboczek oraz Tomasz Łabudek – przodownik.

Prawie wszystko odbywa się w ogrodzie Domu PZKO. XXXIII Dożynki Śląskie z tradycyjnym obrządkiem, wzbogacone o program zaproszonego w gościnę zespołu Bystrzyca i orkiestry Cierliczanka były dla organizatorów niemałym wysiłkiem, ale uwieńczone zostały sukcesem.

Jak zawsze nie obyło się bez poczęstunku gazdów, smakołyków, kołaczy i zbójeckiej pieczeni.

Po raz pierwszy w okresie powojennym Dożynki odbyły się w sierpniu. Chyba na dobre wyszło, wytrzymała letnia aura, a z nią dobry nastrój do późnego wieczora. Dobra, szczęśliwa passa dożynek MK PZKO w Błędowicach trwa.

U sąsiada w błędowickim zborze na Bartłomieja obchodzono w tym roku 220. jubileusz poświęcenia Domu Modlitwy i założenia zboru. Dobrze czuli się zborownicy w lśniącym nowością kościele pomiędzy zadbanymi ogrodami. Powiewająca na wieży chorągiew kościelna szczególnie tym starszym przypominała czasy, kiedy wierni kościołowi zborownicy i prezbiterowie okazale świętowali kościelne jubileusze.

W pięknej szacie graficznej wydał miejscowy zbór w obu językach, polskim i czeskim, „Historię Kościoła Ewangelickiego w Błędowicach 1782–2002". Jest to praca obu duszpasterzy.

A.P.



DOŻYNKI W OLDRZYCHOWICACH

W miłej i serdecznej atmosferze upłynęło popołudnie 31 sierpnia wszystkim przybyłym na popularne już Dożynki nad Tyrką w Oldrzychowicach. Niewidoczny z daleka, jakby przytulony do stoku porośniętego drzewami Dom MK PZKO w Oldrzychowicach przyciągał gwarem dobiegającym z wąskiego długiego podwórka, na którym przy porozstawianych dużych stołach już godzinę przed oficjalnym rozpoczęciem zasiedli całymi rodzinami mieszkańcy wsi i nie tylko. Prezes Miejscowego Koła Wilhelm Zmełty, jak przystało na dobrego gospodarza, witał każdego przybyłego gościa, aby ten w dużej oldrzychowickiej rodzinie znalazł dogodne miejsce. Już z daleka słychać było muzykę i śpiew dożynkowego pochodu. Na placu przed Domem PZKO gazdowie dożynek państwo Halina i Henryk Szlaurowie przejęli z rąk młodych tancerzy miejscowego zespołu Oldrzychowice tradycyjny dożynkowy wieniec i bochenek chleba. W dożynkowym obrzędzie zaprezentowali swój kunszt członkowie zespołu Oldrzychowice i gościnnie przybyłej z Bukowca Lipki.

Dziewiąte dożynki nad Tyrką przy muzyce i śpiewie i miejscowych smakołykach na długo pozostaną w pamięci tych, którzy tu w słoneczne sobotnie popołudnie biesiadowali.

E. S.











POBYT NA WARMII I MAZURACH

W ramach współpracy Miejscowego Koła PZKO Skrzeczoń z zaprzyjaźnionym Towarzystwem Miłośników Grodkowa przebywała w dniach 19–27 sierpnia ośmioosobowa grupa skrzeczoniaków nad jeziorem Symsar w województwie warmińsko-mazurskim.



Z Grodkowa uczestnicy VIII Zlotu Rodzinnego Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych (bo tak nazywa się letni wypoczynek, którego uczestnikiem była osiemdziesięcioosobowa grupa grodkowian) wyjechali dwoma autobusami do miejscowości Kłębowo, gdzie zostali zakwaterowani w Międzynarodowym Schronisku Młodzieżowym Świteź. Kilkusetkilometrowa trasa na Warmię urozmaicona została pobytem w Licheniu, gdzie zwiedzono Sanktuarium Maryjne.

Podczas pobytu na Warmii odbyło się wiele interesujących wycieczek. Zwiedzono zamek i stadninę koni w miejscowości Galiny, zamek w Lidzbarku Warmińskim oraz Sanktuarium Matki Pokoju w Stoczku Klasztornym, w którym był prawie rok więziony Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Można było również zwiedzić obóz zagłady w Sztutowie, pobliskie Bartoszyce oraz wysłuchać koncertu organowego w bazylice w Świętej Lipce. Odbyły się także wycieczki do

Mikołajek z możliwością popłynięcia statkiem po największym polskim jeziorze Śniardwy, natomiast w Krynicy Morskiej można było wykąpać się w Morzu Bałtyckim.

Różnorodny był również program w samym schronisku i okolicy. Skrzeczoniacy wzięli udział w drużynowym dziennym i nocnym biegu na orientację oraz turnieju tenisa stołowego. Można było rozegrać mecze kometki, popływać kajakiem, łódką i na rowerze wodnym po jeziorze Symsar, łowić ryby i chodzić na przechadzki. Chętni mieli szansę odbycia kursu dla kierowników obozów wędrownych. A wieczorami była dyskoteka dla młodzieży oraz wieczorek towarzyski, kiedy to do tańca przygrywał miejscowy zespół muzyczny.

Na zakończenie pobytu Zaolziacy serdecznie podziękowali organizatorom za wspaniały słoneczny urlop na Warmii i Mazurach. Od lat głównym organizatorem tej formy wspólnego wypoczynku jest wiceburmistrz Grodkowa Józef Kośla, który jest również przewodniczącym Towarzystwa Miłośników Grodkowa.

D.G.

FESTYN W KOSZARZYSKACH

Młodzież tego roku nie mogła narzekać na brak imprez organizowanych dla niej w czasie wakacji, w dodatku za każdym razem dopisała pogoda. A więc był Zlot w Wędryni z udziałem znanej młodej polskiej piosenkarki Patrycji Markowskiej, a w Koszarzyskach 31 sierpnia festyn dla miłośników rozgrywek sportowych i muzyki rockowej. Organizatorem festynu była podobnie jak w latach ubiegłych Rada Młodzieży i Sportu przy ZG PZKO, której przewodniczącym jest wiceprezes ZG Tadeusz Szkucik, oraz MK PZKO w Koszarzyskach (w bufecie nie zabrakło smacznego gulaszu, stryków i kołaczy) i tutejszy Urząd Gminy.

Tradycyjnie już ranek należał do sportowców. Odbył się mianowicie „Bieg pod górkę" i „Górska mila rowerowa", turniej siatkówki, w której wzięło udział 5 drużyn, i turniej ringo.

Wieczór należał do kapeli rockowych. Wystąpiły kolejno: De Moise z Górnej Suchej, Blues Company, P.Metoda z Trzyńca i Arzia. Można też było obejrzeć niezwykłe pokazy siły i umiejętności członków klubu Endo z Krapkowic (Polska), prezentującego walki Wschodu. Na koniec jak zwykle młodzież bawiła się na dyskotece.

Podczas festynu miał również miejsce fakt, który być może oce-

nią kiedyś historycy. Dwaj prezesi ZG PZKO Zygmunt Stopa i Kongresu Polaków Józef Szymeczek podpisali umowę o wzajemnej współpracy.

E.S.







UROCZYSTOŚCI ŚW. MELCHIORA

Po raz siódmy w niedzielę 1 września odbył się po obu stronach Olzy międzynarodowy odpust ku czci patrona obu miast św. Melchiora Grodzieckiego, jezuity, który urodził się w Cieszynie w roku 1584, a we wrześniu 1619 został wspólne ze swoimi towarzyszami Markiem Križem i Stefanem Pongraczem zamordowany przez wojska Jerzego Rakoczego. Ci trzej męczennicy zostali kanonizowani przez Papieża Jana Pawła II podczas jego pielgrzymki na Słowację w roku 1995.



Na Moście Przyjaźni

Uroczystości ku czci św. Melchiora organizują: parafia św. Marii Magdaleny w Cieszynie oraz parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie. Co roku biorą w nich udział zwierzchnicy diecezji bielsko-żywieckiej – ks. bp. Tadeusz Rakoczy i ostrawsko-opawskiej – ks. bp. František Václav Lobkowicz. O godz. 15.30 z obu kościołów wyruszyły procesje, by spotkać się na Moście Przyjaźni, a stąd wspólnie wyruszyć do czeskocieszyńskiego kościoła, gdzie odbyła się Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem bp. Tadeusza Rakoczego z udziałem blisko 60 księży z obu przygranicznych diecezji. Wielu spośród wiernych z polskiej strony przybyło w pięknych strojach cieszyńskich, żywieckich i góralskich. Przyszli z relikwiami świętego, kościelnymi chorągwiami i sztandarami różnych formacji rzemieślniczych.

Homilię wygłosił w języku polskim i czeskim ks. bp. František Lobkowicz, odnosząc się w niej do niedawnej pielgrzymki Ojca św. do Polski. Delegacja diecezji bielsko-żywieckiej razem z kolektą wśród uczestników złożyła dar ołtarza dla braci Czechów – ofiar ostatniej powodzi.

Tekst i foto
ROMAN CHOWANIEC

KONCERT W LIGOTCE KAMERALNEJ

W piątek 6 września w kościele ewangelickim w Ligotce Kameralnej miał miejsce niecodzienny koncert, na którym wystąpiła Orkiestra Salonowa prof. Hilarego Drozda z solistami Małgorzatą Hudzieczek (sopran), Ewą Jaślar (harfa). Słuchaczami koncertu byli uczestnicy VIII Forum Inteligencji Ewangelickiej, które odbyło się w Wiśle Jaworniku. Podczas koncertu śpiewały również chóry z kościoła ewangelickiego z Ustronia i miejscowej parafii. Koncert zaszczycił swą obecnością ks. bp Vladislav Volny i ks. bp Zdzisław Tranda z Warszawy. Po koncercie artystów podjął gościną pastor parafii w Ligotce Kameralnej Bolesław Firla.

E. S.









PLENER MALARSKI BESKIDY 2002

Jak już nieraz wspominano na łamach naszej prasy o tym, że plenery malarskie na Zaolziu zaistniały po zacieśnieniu kontaktów naszych SLA–owskich plastyków z polskimi środowiskami twórczymi, w wyniku czego wielu z nich uczestniczyło w międzynarodowych plenerach w Polsce. Te początki to lata siedemdziesiąte minionego stulecia.

Pomimo wielu zmian, jakie zaszły w powszechnym stosunku do kultury, jak też w zakresie możliwości finansowych, tradycję plenerów w zaolziańskim środowisku twórczym udało się dzięki kilku zapaleńcom utrzymać do dnia dzisiejszego. Tak więc i w tym roku odbył się kolejny międzynarodowy plener malarski, i tym razem, już po raz czwarty, w Łomnej Górnej w pensjonacie U studánky. Tegoroczny Międzynarodowy Plener Malarski BESKIDY 2002 został również zorganizowany przez Stowarzyszenie Artystów Plastyków przy Zarządzie Głównym PZKO w RC. Trwał od 1 do 15 września.

Po raz pierwszy obok gości z Polski na Plener zaproszono przedstawicieli plastyków reprezentujących Związek Polaków na Litwie (niestety z trzech zapowiedzianych uczestników z Litwy przybyła tylko jedna plastyczka).

Celem Pleneru była inspiracja powstających na nim dzieł nie tylko krajobrazem górskim, ale pokazanie piękna całego regionu. W tym kontekście zamierzoną inspiracją dla uczestników pleneru był jednodniowy pobyt na Żwirkowisku w Cierlicku Kościelcu. Odwiedziny miejsca tragedii polskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury miały ścisłe powiązanie z obchodami siedemdziesiątej rocznicy katastrofy.

W Plenerze BESKIDY 2002 uczestniczyło trzynastu plastyków. Z Polski



przybyli: Helena Gołda-Błahut z Tych, Marian Chmielecki z Raciborza, Krystyna Jasińska z Katowic, Witold Kołban z Tych, Andrzej Krzyżański z Opola, Leszek Kurek z Łodzi, Anna Łuczyńska z Gostynina, Maria Niedźwiedź-Suchońska z Warszawy, Andrzej Szumigaj z Pablanic. Litwę reprezentowała Lilia Miłto z Wilna. Zacnym gościem Pleneru był malarz - zapalony działacz Polonii belgijskiej - Edward Janowski z Haine St. Paul, który brał w nim udział na koszt własny. SAP reprezentowali: Oskar Pawlas oraz Paweł Wałach.

Na Plenerze panowała miła, przyjacielska atmosfera. Uczestników zachwycała otaczająca ich sceneria. Szczególny podziw wyrażali ci, którzy byli na terenie naszych Beskidów po raz pierwszy - Leszek Kurek, Anna Łuczyńska, Andrzej Szumigaj, jak również Lilia Miłto z Litwy, której prace cieszyły się największym zainteresowaniem wśród zwiedzających wystawę poplenerową, zarówno znawców sztuki, jak i laików. Wśród plenerowych wieczorów wymienić należy ciekawe spotkanie z doc. Janem Korzennym - wielkim znawcą historii Łomnej i jej okolic. Był również wieczór przy pieczeniu jagnięcia, podarowanego na ten cel przez Adolfa Kiedronia z Nawsia.

Plon Pleneru zaprezentowany na wystawie poplenerowej w pensjonacie U studánky w Łomnej Górnej 14 września był niezwykle bogaty - powstało ponad 120 prac.

Plener BESKIDY 2002 nie mógłby zaistnieć bez sponsorów. Każdy z piętnastu sponsorów spośród firm, organizacji, fundacji i osób prywatnych zarówno z Czech jak i z Polski został tradycyjnie nagrodzony pracą z Pleneru, według własnego wyboru, dla wzbogacenia własnych zbiorów.

Komisarzem pleneru BESKIDY 2002 był Oskar Pawlas, przewodniczący Stowarzyszenia Artystów Plastyków. O sprawy organizacyjne troszczyła się Lidia Pawlas.

F.B.





Lilia Miłto z Litwy



Edward Janowski z Belgii



BRONISŁAW LIBERDA JUBILEUSZOWO

Znają go koneserzy sztuki i bywalcy wystaw w Republice Czeskiej i w Polsce. Znają go dzięki rysunkom w pismach dziecięcych dzieci nie tylko w tych dwu krajach. Jest również współautorem serii filmów rysunkowych. Rozśmiesza i zastanawia na co dzień swym humorem rysunkowym czytelników Głosu Ludu. Był też przez wiele lat związany z naszą redakcją i wierzymy, że na łamy ZWROTU ponownie wróci! Bronisława Liberdę – malarza, grafika, rysownika, ale również muzyka, znają po prostu wszyscy.



Wystawiał w Czechach, w Polsce, na Słowacji, w Hiszpanii. Jego obrazy zdobią zbiory licznych galerii i muzeów w Czechach i w Polsce, są również w zbiorach prywatnych w Czechach, Polsce, Słowacji, Szwajcarii, Francji, Niemczech, Włoszech i Norwegii.

Acz to nie do wiary, ten twórczo wiecznie młody i niespotykanie płodny artysta obchodził w sierpniu tego roku swe sześćdziesiąte piąte urodziny. Z tej okazji odbył się w piątek 13 września wernisaż jego kolejnej okazałej wystawy w GALERII NA STRYCHU w Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie. Na wernisażu był tłum wielbicieli sztuki Bronisława Liberdy, Polaków mieszkających po obu stronach Olzy i na pewno nie mniej obywateli czeskich. Jak zawsze skromny Bronek próbował się w tym tłumie ukryć, unikał dziennikarzy, pozowanie do zdjęć nie wchodziło w ra-

Niepodpisane fot. w Kronice FRANCISZEK BAŁON

chubę... Przysłowie *Stój w kącie, znajdą cię* w wypadku Bronisława Liberdy w pełni się potwierdziło. Zdobył popularność i zasłużoną sławę, daleko przekraczającą granice naszej małej społeczności, nieustającą ani na chwilę cichą i żmudną pracą. Można powiedzieć, że maluje od zawsze, a aktywnym członkiem Sekcji Literacko-Artystycznej przy ZG PZKO jest od roku 1962, co oznacza kolejny jubileusz – czterdzieści lat.

Wystawę Bronka zagaił po raz kolejny znawca sztuki, jakim jest bezspornie Karol Bogar. On też napisał w katalogu wystawy między innymi: *Jego dzieło jest przeciwstawieniem modnego dekoratywizmu i płonnego eksperymentowania, upadku uczciwego rzemiosła. Po pierwszym uderzeniu elegancji i piękna, dostojnie wcielającego się w kolorowy spirytualizm średniowiecznej sztuki, gdzie są korzenie mistrzostwa jego rzemiosła w technice malarskiej, zaatakuje nas nieskrywana erotyczność, szokująca biologiczność . (...)*

W izolacji lat 70. nagle do jego twórczości przenika natarczywy sen, który lawiruje na granicy podświadomości i rzeczywistości. Narzuca się artyście tak długo, aż ten stopniowo oddaje mu pole. Autor jest tego świadom, zna teorie Junga i wie, że ta pozycja jest wyzwalającym rozwiązaniem rozdartego poczucia życia nowoczesnych czasów. Do grafiki i malarstwa stopniowo transformowane są niektóre pierwiastki, które w twórczości Liberdy odgrywają znaczącą rolę. W poniekąd uproszczony sposób moglibyśmy zwrócić uwagę na znaczenie kolorytu, wypróbowanego już w muzyczno-malarskich strukturach obrazów z końca lat 60. W nowym kontekście symbolizują aż kosmologiczne znaczenie. Praca z kukiełkami odzwierciedliła się w schematyzmie i unifikacji używanych postaw – symboli. Rysunek i wykorzystanie przestrzeni odzwierciedla doświadczenia scenografa. Te formalne impulsy są jednak przetwarzane w kanonie przemian treści jego obrazów, które aktualnie nabierają niezwykłej siły.

Ten stan jest charakterystyczny dla autora już od lat. Żyje życiem, które jest niepozorne i w którym przeważają wartości odrzucane przez większość.

Bronisław Liberda nie zademonstrował na swej jubileuszowej wystawie, jak często w takich wypadkach bywa, żadnej retrospektywy. Przedstawił obrazy i grafiki z ostatniego okresu swej twórczości, nowe nieznane prace, a więc jubileusz nieustannej pracy – poszukiwania, doskonalenia, tworzenia.

F.B.

Polecamy tę wystawę wszystkim!

Artyście, którego nie przestajemy szczerze podziwiać, z okazji jego jubileuszu redakcja składa życzenia proste i serdeczne – BRONEK, TAK TRZYMAĆ!

LECH PRZECZEK

WYŚCIG

Czas -
słynny długodystansowiec
bez trudu
wyprzedza mnie
na prostej

Nieznośnie pewny siebie
rzuca mi przez ramię
pogardliwe spojrzenie
Pędzi w dal
pokazując plecy

Nadaremnie
próbuję go zatrzymać
brzękiem srebrnej monety
Za późno
ruszać w pogoń

Tym razem
wpadłem na dobre
w pułapkę

Za zakrętem
czarna wieża smutku
stoi nieruchomo
i czeka na okazję

Sytuacja bez wyjścia

Wyczuwam
nieuchronną porażkę

POJEDYNEK

Rankiem
obudziłem się
nie w swojej skórze

Ta obca
stanowczo za ciasna
krępuje ruchy
Nie pozwala mi
być sobą

Zmagam się z nią
zaciekle
Doprowadza mnie
do granic wytrzymałości

W końcu
szykuję się
do skoku ostatecznego
przez tatuaż

Nie jestem
przecież tchórzem

MONOLOG

W masce
na każdą okazję
wygłaszasz namiętnie
prawdy oczywiste

Słowa
szamoczą się
w kręgu ograniczeń
Zaginęło
bez śladu
echo

Nie dajesz
za wygraną
Mimo wszystko
chcesz zostać bohaterem

PRZECZUCIE

Coraz wyraźniej
wyczuwam kontury
ukryte poza realnością

Myśl
skupiona w punkcie zwrotnym
usiłuje uchylić
skrawek tajemnicy

Przecieka jasność
pomiędzy palcami
Znika
ulotny obraz

Jeszcze
nie jestem gotów
dotykać świata
po drugiej stronie
lustra

STRACONA SZANSA

Wspaniały pomysł
przepadł nagle
w głębinach

Zamyka się tafla
na zawsze

Pozostał tylko
dotkliwy niedosyt
wrażeń

Nitki słów
rozchodzą się
na wszystkie strony
pustki

WŁADYSŁAW SIKORA

SNY

I

Pani Wróbel zajrzała do mnie przez uchylone drzwi i wyraźnie się zdziwiła:

- To pan już zdążył wstać? Tadeusz będzie dopiero za godzinę, nawet w piecu nie napalone... - powiedziała zaskoczona.

Stałem przed otwartym oknem na poły zanurzony w śnie, który co dopiero się skończył, w chwili mej niepewności, czy aby mnie nie capną przed nadejściem pociągu.

- Przepraszam panią... Wcale nie trzeba palić w piecu, zresztą szybko zanotuję... Widzi pani, miałem przedziwny sen.

- A to pan zna: sny spod obcego dachu ponoć się spełniają?

- Niechże jest pani złym prorokiem: skazano mnie na śmierć...

Pani Wróbel postała przez chwilę i wyszła zakłopotana.

Złuda snu pozostała po tamtej stronie czasu, wymknąłem się z jednej realności w drugą. Patrzę w swoje odbicie w szybie i chciałbym rozsupłać związki pomiędzy sennym złudzeniem a obecnością zmysłów. Sen - mara, Bóg - wiara...

Kamienice okałały rozległe podwórze i utworzyły zespół architektoniczny bardziej z przypadku niż z góry powziętego planu. Za naroże sąsiedniego gmachu wymykała się pod bramę asfaltowa jezdnia. Wszędzie kręcili się ludzie, w bramie stali wartownicy.

Skazano nas kilku na śmierć, nikt nie wiedział, kto i kiedy podjął taką decyzję. Jacyś Oni, oczywista. Oni z pytajnikiem i z wykrzyknikiem zarazem. Znaleźliśmy się w mrocznym pomieszczeniu, nikt zresztą nie bronił nam wychodzić na asfaltowy plac. Nie wyodrębniono nas także spośród innych „mieszkańców" zabudowy, nosiliśmy zwyczajnie swój wyrok w myśli, jak przeznaczenie i oczywistość. Wyrok zaś miał zostać wykonany nazajutrz, przez ścięcie. Nikt nas nie powiadomił o tym, wiedzieliśmy, chodziło zresztą o proste uczucie lęku, ów lęk zaś był splotem nieokreślonego niepokoju, żalu i nadziei, że może jednak, że

być może nadejdzie skądś ratunek albo też spotkamy się z Ich strony z nagłym odruchem miłosierdzia.

Zaraz po południu poszliśmy z wysokim blondynem od pomieszczenia do pomieszczenia ni to po litość, ni współczucie, nie postanawialiśmy się też żegnać z nikim - ot, spodziewana śmierć już nas dotyczyła. Umrzemy...

Aż tu nagle - najpewniej było jakieś wezwanie, udaliśmy się pod bramę, ruch na ulicy toczył się zwyczajnym trybem, podobnie zresztą jak życie w zamkniętym zespole kamienic. Mój towarzysz odszedł dokądś ze swoim znajomym i nawet się nie odwrócił. Wydało mi się, że też mógłbym spokojnie pójść za nim, lecz nikogo nie było do mnie. Zawróciłem więc. List... Należałoby wysłać przez blondyna list, byle świstek, zostawić po sobie ślad brutalnego zgonu.

Począłem szukać łazienki, aby się ogolić, znajdowała się gdzieś w suterenie. Postanowiłem się przygotować, nie będę się zresztą kłaść do snu. Ciemne ganki piwnicy prowadziły do jasnego przecieku w przedzie. Znalazłem wyłom w murze i stałem oto na ulicy. Przede mną jednostajnie i wolno kroczył kondukt pogrzebowy. Poczułem się nieswojo. W „obozie" wszystko już było mi obojętne, łudziłem się najwyżej, że oto zdarzy się coś nadzwyczajnego i ktoś zjawi się po mnie albo Oni w końcu zmienią swe postanowienie wraz z biegiem wypadków. A tutaj - zauważyłem niespodzianie, znajduję się już poza miastem, o kilkaset metrów nad rzeką, staję się wobec tego zwierzyną łowną i każdy potrafi dowieść mi winę, jakkolwiek piwniczne ganki same zaprowadziły mnie na zewnątrz. Nie umiałbym i tak wrócić do „obozu". Spiesznie przemknąłem się w stronę rzeki w nadziei, że nikt mnie tutaj nie rozpozna, chociaż na pewno rozesłano już gońców.

W tłumie na cieszyńskim dworcu natknąłem się na dawnych kolegów szkolnych. Kapsia taszczył z sobą spore formy do odlewania dewocjonaliów. Zgodził się zakupić dla mnie bilet do Gródku; nie będę niepotrzebnie się narażać, z Gródku pójdę już na piechotę przez pola... Z domu zaś czmychnę prosto do lasu...

Zbudziłem się przed nadejściem pociągu, patrzałem w obce ściany i okna, nie umiałem pojąć, że wszystko jest całkiem inaczej i być może tak właśnie, jak jest w istocie.

Pani Wróbel wróciła ze śniadaniem i żartowała na temat owego naszego czwartego wymiaru.

II

Ten sen przychodził w chwilach na wpół świadomych, zauważyłem bowiem,

że się powtarza. Najpierw okazywał się dla mnie obojętny, potem zaczął mnie zdumiewać, aż w końcu zacząłem się niepokoić: dla tych jego identycznych nawrotów, powtarzających się realiów i sytuacji, zwłaszcza dla narzucającego się przekonania, iż tutaj w zasadzie nie o sen idzie, a o ślady w pamięci odległego, nieświadomego jeszcze dzieciństwa czy nawet o pamięć poprzednich generacji, których jestem naturalną duchową kontynuacją. Byłem w stanie śnić, jednocześnie zaś rozważać go niejako z dystansu. Czy ja skądś tam naprawdę nie pamiętam owych doznań, dotyku przedmiotów i natężenia rozproszonego światła... Nie umiem się jednak zorientować, nie wiem, czy to powtarzanie się snu zostawiło ślady w mojej pamięci lub też odziedziczyłem doznania któregoś z odległych przodków. W rozwikłaniu zagadki przeszkadzał mi nieokreślenie rozległy czas sprzed czasu, czas kiedy mnie jeszcze nie było...

Nie znajduję w nim nikogo, spotykam wymarłe i zapomniane miejsca, wysuszone i spróchniałe tereny spoza czasu, z innej planety. Jestem przekonany, że nikt poza mną nic o nich nie wie. Najpierw wymykam się spośród opłotków czy wymoszczonych drewnem wałów prastarej osady i trafiam w podziemne przejście, wąskie i ciasne. Jego ściany w niepamiętnej przeszłości wyłożono deskami, pozostały z nich zaledwie nadwerężone resztki i suche, czarne próchno: ziemia wgniata je do środka, tak że w niektórych miejscach ledwie się prześlizguję. Całkowity z początku mrok wypełnia się widzeniem, dotykiem innego zmysłu dostrzegam łamliwe ściany. Korytarzyk jest długi i schodzi łukiem w lewo, kończy go zaś wyrwa w świadomości, ani razu dotąd nie dotarłem do jego wylotu.

Z kolei bowiem znajduję się pod wypukłym, kamiennym sklepieniem obszernego ganku, który ginie w mroku. Znam jedynie początek wypełniony do połowy suchym i twardym iłem. Idę kilka kroków przed siebie, rozproszone światło dzienne biegnie z tyłu. Zatrzymuję się koło otworu, jaki tworzy okrągła nisza bocznego łuku. Wnękę zamyka gliniane usypisko. Jeśli sięgnąć ręką, za prawym filarem natrafi się na suchej glinie niewiadome, rzadkiej wartości zabytkowe przedmioty. Cenię ich szacowną sędziwość, chociaż nigdy jej nie oglądałem ani nie dotknąłem. Pochylony, wysoki poziom iłu nie pozwala mi się wyprostować - smakuję delikatność blasku i chłodu, miękką twardość spoistego gruntu pod nogami. Nie spieszę już dalej w głąb ciemnego krużganku, zafrapowała mnie tajemnica wnęki zamkniętej glinianym stokiem.

Wtedy przychodzi refleksja: Czy ja przypadkiem w dzieciństwie nie bawiłem się tutaj? A może wszystko było całkiem inaczej i oto napotkałem w podświa-

domości żałosną resztę niezachowanych doznań? Dlaczego zresztą one kojarzą mi się z najstarszą murowanicą księżnej Lukrecji w Boconowicach. Bawiłem tam się w dzieciństwie z Kufami... Chodzi zwłaszcza o ów drugi fragment snu. Ich kolejność zresztą, nie pamiętam, była inna: najpierw bodaj śnił mi się kamienny krużganek, później dopiero wymoszczony drewnem korytarzyk wału, aby zaprowadzić mnie z powrotem, odwrócić bieg czasu.

III

Na ugór za naszym domem spadły z chmur dwa samoloty z dwiema umundurowanymi kobietami o jednolitych rysach twarzy.

- Gdzie są ci ludzie? - podchodziły pod sam płot.

Zaniepokoiłem się, nie rozumiałem, o kogo pytają. Nieufnie spoglądałem na krótkie karabinki lotniczek. Inwazja we mgle?...

„Tych ludzi" zobaczyłem na drodze pod Cegielnią. Wozy stały taborem pod starą topolą. W różnorakim tłumie niby-Cyganów domyśliłem się słowackich wieśniaków uchodzących przed nieznanym mi zagrożeniem. Mężczyźni krzątali się wokół wozów lub rozmawiali po kilku w gromadkach, dzieci czepiały się matczynych spódnic.

Znienacka w środek gromady wpadł rozpędzony jeep z tamtymi super-kobietami z ugoru i dwoma jeszcze wojskowymi czy policjantami w nieokreślonych eleganckich uniformach. Wskoczyli we wrzawę, domyśliłem się, że chodzi o zawrócenie uciekinierów. Wysoki młodzian z rozwianymi włosami poderwał milczący i niezdecydowany tłum. Przeciwko wymierzonej broni powiedział kilka prostych, dobitnych argumentów; nie posłyszałem jego słów, krążyły w tłumie, nie wydostając się na zewnątrz. Czwórka uniformów jak na komendę wskoczyła do jeepa i zawróciła.

Był wieczór, decydowano, czy zostać na noc pod drzewami lub też ruszać dalej?

- Skoro już podjęliście taką decyzję, nie zawracajcie, trzeba wytrwać do końca - powiedziałem do kogoś. Słuchał mnie i potakiwał, lecz zrozumiałem, że mówię to poniewczasie. Ruszyli. Wtedy spostrzegłem śniadą dziewczynę z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkocze. Szła za wozem, odwracając do mnie głowę. Stałem w miejscu, ona zaś odchodziła wesoła i zdecydowana jakimś wewnętrznym smutkiem.

IV

Zbudziłem się z lękiem i zacząłem go sobie z wolna uświadamiać; tkwił wewnątrz, u dołu i nie zdołał się określić. W poświacie spod okna widziałem

wskazówki zegarka: druga trzydzieści, lecz w uszach nadal szeleściło mi strzaskane tik, tik, tik...

Prowincjonalna, secesyjna ulica pod chmurami, bujna konstrukcja fasady, tuż obok niej naroże kamienicy. Później się okaże, że na lewo stało drzewo, parkanu zaś nie jestem pewien, równie dobrze mogło iść o żywopłot względnie o podjesienny ogród. Kiedy posłyszałem dudniący pomruk transportera, zeszliśmy do lewego krawężnika; było nas trzech: Wilhelm i ja z synkiem Jackiem. Wtedy zorientowaliśmy się, że to właściwie rakieta kontynentalna: za masywnym transporterem toczyła się pękata, żelazna bela cygara ze skomplikowanymi mechanizmami i z elektryczną skrzynką uzwojoną jak mózg człowieka. To zaś działo się na lewo w górze: zielone i czerwone rozbłyski sygnału alarmowego syknęły w świadomości i nie gasły. Pęd zbliżał się do naroża, skręcał w prawo.

- Uwaga, rakieta działa! - powiedziałem nie całkiem przekonany, że to nas dotyczy, lecz Wilhelm potrafił się opanować i przewidział skutek.

- Na ziemię!

Pociągnąłem Jacka za drzewo i wtedy właśnie zza brzegu domów bryznęło białe lśnienie i obejmowało wszystko przed i nad nami. Odniosłem wrażenie, iż drzewo nie osłoniło mojej prawej ręki. Patrzałem w ziemię, fala podmuchu zaś spóźniła się i pobiegła górą. Prawa ręka... od łokcia w dół poza dotykiem trwała gąbczasta narośl, nie dotyczyła mnie, lecz w każdej chwili mięśnie powinny były spadać w obcych strzępach na ziemię.

Nie widziałem już Wilhelma lub też zamienił się w dozymetrystę w białym płaszczu. Skrzynka stała obok i stukała w szybkim rytmie.

- Czy to niebezpieczne?

Mężczyzna może i odpowiedział, lecz nie posłyszałem, a domyśliłem się wszystkiego.

- Jacek...?

Mężczyzna podszedł do chłopca i poruszał obojętnie kijkiem w okolicy jego piersi, dozymetr oszalał, terkotał, stał się krzykliwym szumem. Nie dość było się obudzić i dotykać przedmiotów, widzieć ruchy wskazówek na połyskliwej tarczy zegarka.

V

Dziecko bawiło się opodal sterty kłączy - dziewczynka z chłopięcymi włosami zajęta drobnym przedmiotem na sznurku zwisającym do jej kolan. Węzeł z pętelką rozsupłał jasny kędzior nad szyją. Matka stała nieco z tyłu, skoro

przekonała mnie, były jakieś takie słowa oraz sytuacja bez wyjścia: będzie lepiej, jeśli dziecko umrze. Miałem widocznie wątpliwości lub też nie całkiem byłem pewien, czy aby stać ją na to; nie umiałbym się zdobyć na ów ostateczny krok, chociaż bywa on w końcu taki prosty: jedno zamachnięcie... Teraz już wiem, że uświadomiłem sobie to wszystko nieco później.

Nie byłem związany ani z nią, ani też z dzieckiem, przypadkowo znalazłem się na zaniedbanym placu, lecz w jakiś sposób uczestniczyłem chyba w decyzji? Stałem pełen niepokoju, o co właściwie poszło owej kobiecie? Szła z drągiem, zatrzymała się na mgnienie, zamachnęła się szybko i sprawnie, całkowicie była sobą, zdawało mi się, że nic przecież nie może się zdarzyć... będzie film, taki gumowy trick horroru, lecz pod uderzeniem wyczułem oczami miękką główkę, zobaczyłem to – kiedy nagłe drgnienie członków i tułowia jest końcem, zwiędłą w sekundzie roślinką. Zapomniałem o matce.

To był naprawdę tylko sen. Patrzałem w sufit i nie bałem się nocy, bałem się świata i ludzi oraz siebie.

Dokończenie w następnym numerze



Fot. FRANCISZEK BAŁON

CZEGO OCZEKUJĘ PO NOWYM TYSIĄCLECIU

Nowe tysiąclecie – czy to jest istotne? Wydaje mi się, że nie. Wiadomo przecież, iż nie wszystkie kultury liczą czas tak samo jak my – z tego punktu widzenia – „symptom nowego tysiąclecia" nie dotyczy wszystkich jednakowo. Z drugiej strony trzeba przyznać, iż liczenie czasu na „sposób chrześcijański" ma już dziś raczej charakter świecki i globalny (era „po Chrystusie" zamieniana na „naszą erę") w odróżnieniu od innych sposobów „religijnego" pomiaru czasu. Przypominam o tym nie po to, by komplikować, ale jedynie dlatego, by chociaż formalnie zająć stanowisko tolerancji wobec innych tradycji kulturowo-religijnych. Chociaż owe tradycje posiadają swoje własne nowe tysiąclecia, to właśnie nasze „zachodnie" posiada znaki uniwersalne. Warto zapytać, czy owa uniwersalność powodowana jest naszą „zachodnią" dominacją w świecie, czy też jest uniwersalna sama przez się? Jednak to nie jest głównym tematem mej pracy.

Magia liczb od dawien dawna przyciągała i przyciąga ludzi. Spróbujmy jednak wznieść się ponad ten fenomen. Czy zmiana tysiąclecia to jedyna okazja do szczerych i dogłębnych przemyśleń nad przyszłością? Czy ogólna uwaga, jaką poświęcono zmianie pierwszej cyfry oznaczającej tysiące lat, była uzasadniona? Jeżeli w takich momentach spojrzymy wokół siebie, zauważymy u ludzi, którzy na co dzień nie rozpatrują kwestii swego miejsca w historii i świecie, wyraźną tendencję do tej właśnie czynności. W mniejszym stopniu okazja ku temu nadarza się raz na 365 (366) dni wraz ze zmianą roku; co dopiero, jeżeli za taki „sylwester nowego tysiąclecia" uznamy właśnie dzień zmiany roku 1999 na rok 2000 (co, jak wiadomo, nie oznaczało jeszcze zmiany tysiąclecia – ta nastąpiła w rok później z mniej „atrakcyjną" zmianą cyfr)! Do jakiego stopnia ów „sylwester tysiąclecia" (jako symbol całego okresu przed i po tym dniu) może stanowić sumę wszystkich tysiąca „zwykłych sylwestrów" z jedynką na początku? Czy refleksja przeprowadzona z tej okazji nie powinna być jakościowo tysiąc razy dogłębniejsza? Tak czy owak, tendencje do refleksji, pomijając skrajne tendencje katastroficzno-millenarystyczne, ocenić należy chyba pozytywnie (paradoksalnie: irracjonalna magia liczb jako bo-

dziec do racjonalnych rozmyślań nad przyszłością ludzkości). Uważam jednak, iż obowiązek refleksji nad obecnym stanem świata należy nie tylko do wąskiej grupy fachowców-intelektualistów, ale stoi przed każdym z nas codziennie, niezależnie od tego, czy są to lata dwudzieste, sześćdziesiąte albo przełom wieku (względnie tysiąclecia). Zwykliśmy utożsamiać wieki z epokami. W tym wypadku rzeczą wartą uwagi jest fakt, że nierzadko wieki nie kończyły się „dokładnie". Za wzór niech posłużą dwa przypadki - bez komentarza: rok 1492 - a nie 1501 oraz rok 1914 - a nie 1901. Czy w tej sytuacji rok 2001 jest naprawdę taki istotny?

Celem wszystkich powyższych wywodów jest tylko pewne uprzednie przygotowanie platformy, na której pragnę rozważyć kwestie zawarte w temacie. Jeszcze raz podkreślam. Przełom wieku (tysiąclecia) nie powinien być jedynym momentem, w którym przeciętny człowiek potrafi chociażby powierzchownie zastanowić się nad swoim istnieniem i odpowiedzialnością za świat. Jaka jest moja własna wizja lokalna - tu i teraz?

Przyszłość jak wiadomo ma swoje uwarunkowanie w teraźniejszości. Jak wygląda nasza teraźniejszość? To bardzo trudne pytanie. Myślę, że żyjemy w rzeczywistości bardzo ciekawej. Nie uważam jednak, że owa rzeczywistość jest zarazem wyjątkowa, albowiem przyjmując, że historia ma przebieg liniowy (a nie cykliczny) - wyjątek stanowi każdy jej moment (jak na osi liczbowej - każdy punkt jest inny od pozostałych). Toteż nie może nas zadziwić jakiekolwiek zjawisko w naszej teraźniejszości, ponieważ wyjątkowość w otoczeniu innych wyjątkowości przestaje nią być. Podkreślam ów fakt, ponieważ często nam się wydaje, że żyjemy w czasach wyjątkowych, a to przecież jest oczywiste i jak najbardziej naturalne!

Rozważmy teraz pojęcie niejako od zawsze związane z przyszłością i przepływem czasu - słowo-klucz „postęp". Słowo to może w nas wywołać przeróżne odczucia - od skrajnie pozytywnych po skrajnie negatywne. Fenomen ten, przez jednych absolutyzowany, innym wydaje się wręcz demoniczny. Co w ogóle oznacza? Postęp to, moim zdaniem, suma wszystkich czynników pozwalających ludzkości zmierzać do przodu. Zmierzanie do przodu ku doskonałości jednak niekoniecznie musi oznaczać postęp, jest on bowiem co do swej wartości neutralny, a od nas samych zależy, jaki ładunek mu nadamy. (Przykładem negatywnego postępu może być coraz bardziej doskonalona broń itp.) Postęp przywykliśmy kojarzyć z postępem technicznym. Pragnę podkreślić, iż jest to ujęcie w pewnym stopniu zawężone. Niemniej jednak, technika jest tym, bez czego nie można dzisiaj rozważać kwestii dotyczących całej cywilizacji, technika do nas niejako „przyrosła". Nie potrafimy sobie wyobrazić, jak wyglądałoby bez niej życie. Wbrew opiniom niektórych eko-utopistów nie ma powrotu do natury, a procent ludności żyjącej

w ten sposób będzie nadal malał. Niemożliwość powrotu do natury nie oznacza owszem odwrotu od niej. Ludzkość powinna z naturą współpracować. W obliczu dwóch alternatyw – przykładowo: koncepcji zaprzestania używania nieekologicznych samochodów i początku „ery rowerowej" oraz koncepcji odkrycia silnika absolutnie nieniszczącego naszego środowiska – ludzkość musi wybrać tę drugą. Nasuwa się jednak pytanie, czy technika posiada jakiś system samokontroli? Mimo wielkiego sceptycyzmu, jaki wokół tej kwestii panuje, odpowiem na to pytanie twierdząco. Myślę, że jedynym systemem samokontroli techniki potrafimy być my – ludzie. Może wydać się to trywialne, jednak w fazie tak wysokiego rozwoju techniki jest to stwierdzenie podstawowe, wręcz egzystencjalne. W momencie, kiedy jesteśmy zdolni do zniszczenia nas samych jako cywilizacji (120 lat od wynalazku żarówki!), stanęliśmy na bardzo istotnej krawędzi w rozwoju. Potrafimy w takim stopniu ingerować w naturę oraz w samego człowieka, iż nie można dziś pociągać do odpowiedzialności za losy świata poszczególnych jednostek, grup społecznych albo narodów i państw. Nie czuję się kompetentnym, aby wymienić te wszystkie istotne odkrycia, wynalazki i zjawiska, które potencjalnie mogą zaważyć na losach ludzkości w nowym tysiącleciu. Mimo to obawy z techniki są uzasadnione, żaden człowiek nie może dziś dokładnie przewidzieć przyszłości. Nie ma powodów do przypuszczeń, że wiek XXI będzie lepszy od XX, nie ma również powodów do tego, by sądzić, że będzie gorszy. Nowe stulecie okazuje się równaniem z nieskończoną liczbą niewiadomych. Co będzie jego wynikiem? Czy wynik ten jest w ogóle istotny, czy nie ważniejsze jest samo rozwiązywanie?

Wracając do techniki – jeżeli przyjmiemy ją za czynnik bardzo wpływowy na naszą rzeczywistość – na czym ma polegać ów system samokontroli, który powinna tworzyć ludzkość? Jak już powiedziałem, nie można pociągać do odpowiedzialności jakiejkolwiek grupy ludzi oddzielnie. Potrzebne jest określenie globalnej etyki zbiorowego postępowania ludzkości, która stałaby się gwarancją tego, iż nie zniszczymy samych siebie. W tym upatruję wielką nadzieję dla mojego pokolenia, a zarazem ogromne wyzwanie. O problemach i nadziejach, jakie niesie (niepohamowany?) rozwój nauki i techniki, można by mówić jeszcze bardzo długo i bardzo konkretnie. Pojęcia takie, jak na przykład inżynieria genetyczna, ekologia i wiele, wiele innych, są każde z osobna tematami-rzekami i nie jest moim zamiarem rozpatrywać ich szczegółowo. Spójrzmy jednak w inną stronę.

Pragnę wymienić kolejne słowo-klucz, które jest w naszych czasach codziennie na ustach wielu ludzi – „globalizacja". Fenomen globalizacji jest nie mniej kontrowersyjny od fenomenu postępu. Nie pragnę go pod

jakimkolwiek względem oceniać, pozostawiam to fachowcom, jednak postaram się zadać kilka pytań, które w jakiś sposób wynurzają się przede mną w kontekście globalizacji. Czy globalizacja jest naprawdę globalna? Przywykliśmy do patrzenia na świat z „zachodniego", euroamerykańskiego punktu widzenia. To naturalne. Czy nie otrzymujemy w ten sposób obrazu świata poniekąd wykrzywionego? Jeżeli mówimy o globalizacji, to w takim razie, dlaczego globalną dotychczas nie stała się możliwość zaspokojenia podstawowych potrzeb każdego człowieka? Czy spożywając obiad, myślimy o ośmiuset milionach ludzi chronicznie niedożywionych? Dlaczego globalnymi dotychczas nie stały się podstawowe prawa człowieka - prawo do życia, do wolności osobistej, do własności, wolność myślenia, sumienia, wyznania...? Problemem nie jest brak bogactwa światowego, lecz jego nierówny podział. To właśnie bieda jest główną przyczyną szerzenia się systemów niedemokratycznych w świecie. Obawy we mnie wzbudza wizja świata rządzonego przez wąską grupę oligarchii finansowej i gigantyczne korporacje międzynarodowe bacząće jedynie na wysokie zyski. Dlatego jestem zwolennikiem poniekąd innej koncepcji globalnego połączenia się świata. Globalizację pojmuję raczej jako możliwość wyrównania się poziomu życia w różnych częściach świata, a co za tym idzie - możliwość szerzenia się demokracji przy jednoczesnym zachowaniu specyficznych uwarunkowań w konkretnym regionie świata.

Demokracja - czy dziś można jej jeszcze zaufać? Jest z pewnością systemem niedoskonałym, jednak pomimo tego najlepszym, jaki (dotychczas?) na świecie znamy. W związku ze wspomnianym rozwojem techniki nasuwa się ciekawa myśl: demokracja - pojmowana pierwotnie (przykładowo w starożytnych Atenach) jako demokracja bezpośrednia - była z pewnością bardziej „demokratyczną" aniżeli nasza nowożytna demokracja reprezentacyjna. Czy w związku z gigantycznym rozwojem technologii informacyjnej nie uda się społeczeństwu XXI wieku przezwyciężyć trudności technicznych, które nie pozwoliły mu dotychczas na powrót czy raczej na ponowne „odkrycie" demokracji bezpośredniej? Wielkie nadzieje w tym kierunku łączę z Internetem. Może on stworzyć przełomowy moment w historii w tym sensie, w jakim uczynił to wynalazek druku w wieku XV. Jego podstawową zaletą, w odróżnieniu od takich mediów jak telewizja czy prasa, jest duża niekomercyjność, a co za tym idzie, niezależność. W niepoddaniu Internetu „cenzurze pieniądza" i utrzymaniu tego stanu widzę wielkie zadanie dla współczesnych ludzi mogących działać w tym kierunku. W przeciwnym razie efekty rozpowszechnienia się oraz używania Sieci łączącej cały świat mogą być katastrofalne. Równocześnie warto sobie uświadomić, że Internet nie jest dzisiaj dostępny na całej planecie. Zdaje się oczywistym fakt, że gdzie nie

dochodzi do zaspokojenia podstawowych, wręcz biologicznych potrzeb ludzi, takich jak jedzenie albo opieka lekarska, trudno mówić o jakichkolwiek sprawach ponadpodstawowych. Jak można zaobserwować, na nic tu się zdają jakiekolwiek działania od zewnątrz, z góry. Pomoc finansowa dostarczana krajom Trzeciego Świata sama w sobie nic nie zdziała, a często wykorzystywana jest jedynie jako środek do nabycia lepszej, bardziej destrukcyjnej broni. Jedzenie, a nie bomby – to jest to, czego miliony ludzi naprawdę potrzebują. W takiej sytuacji stawiam przed moim pokoleniem obowiązek współodpowiedzialności za każdy kraj i za każdy konflikt czy katastrofę w nim o becną. Importujemy na cały świat wartości ogólnoludzkie – godność człowieka, odrzucenie dyskryminacji w jakiejkolwiek formie, pokój, wolność – to one mogą od wewnątrz przeobrazić społeczeństwa żyjące w ucisku. Równocześnie nie wolno nam zapominać, iż wartości te nie mogą nie ulegać zmianom, muszą zawsze odpowiadać na wyzwania dynamicznej rzeczywistości.

Rzeczywistość ta – nazwijmy ją duchem epoki – określa wiele istotnych kwestii dotyczących człowieka. Zastanówmy się nad jedną z nich. Człowiek od samego swego początku (kiedykolwiek i jakkolwiek początek ten w historii zaistniał) poszukiwał sensu swego istnienia. Odpowiedź na pytanie o sens życia dawała mu religia. W czasach nowożytnych, od oświecenia w XVIII wieku począwszy, zaczął ogromnie przyśpieszać się proces sekularyzacji, doszło do rozdziału państwa i religii (w naszym kręgu kulturowym), wraz z rozwojem nauki zaczęto rozum ludzki pojmować w kategoriach absolutnych. Proces ten trwa do naszych czasów. Mimo to możemy zauważyć ogromne zapotrzebowanie na wartości transcendentne w dzisiejszym świecie. Nie sprawdziły się teorie pozytywistyczne i materialistyczne, kryzys racjonalizmu pokazuje, że ludzkość chyba jednak nie może żyć bez wartości ją samą przekraczających. W nowej sytuacji, w czasach pluralizmu i relatywizmu, bardzo istotnym może okazać się odnalezienie (przywrócenie?) autentycznych i szczerych źródeł duchowości, która mogłaby dysponować odpowiedzią na pytanie o sens dla współczesnego człowieka. To kolejne wielkie zadanie dla nas wszystkich na całym świecie.

Takie więc są moje własne wizje, obawy i nadzieje. W żadnym wypadku nie mogą i nie chcą one aspirować do miana uniwersalnych. W dzisiejszej postmodernistycznej sytuacji za każdym przekonaniem, racją, postawą, wiarą czy chociażby jedynym słowem trzeba zawsze widzieć jednego, konkretnego człowieka w jego jedynej, konkretnej rzeczywistości. Wymóg tolerancji odmiennych światopoglądów powinien dziś być wymogiem podstawowym i naczelnym.

KRZYSZTOF KOŁEK

Fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



O SZKOLNICTWIE KATOLICKIM I NIE TYLKO

W roku bieżącym w Wydawnictwie Naukowym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie ukazała się rozprawa doktorska ks. Karola Mozora (pochodzącego z Jaworza długoletniego wikariusza, a obecnie rezydenta przy parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Skoczowie) pod tytułem „Szkolnictwo katolickie w cieszyńskim Wikariacie Generalnym 1770-1925". O szkolnictwie (całego) Śląska Cieszyńskiego napisano już sporo, ale na ogół były to opracowania przyczynkarskie, pisane na marginesie rocznic różnych szkół lub dotyczące niektórych części tego regionu (chociażby na przykład „Z dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu" Józefa Macury itp.), ujmowane jednostronnie z pozycji narodowej, wyznaniowej itd. Zresztą wszystkie te prace autor tu odnotowuje i czerpie z ich dorobku.

Omawiana praca, zdaje się z powodzeniem, poszerza nasze wiadomości o szkolnictwie katolickim przede wszystkim, które dotychczas było raczej skromnie potraktowane przez historyków naszego regionu, ale co najcenniejsze, pokazuje te dzieje w kontekście oświaty protestanckiej i żydowskiej, dotyczy szkolnictwa polskiego, ale także niemieckiego i sporadycznie czeskiego - wszystko to w skomplikowanych warunkach wyznaniowych i narodowościowych Śląska Cieszyńskiego na przestrzeni 155 lat.

Jak już sam tytuł wskazuje, chodzi o okres istnienia Wikariatu Generalnego w Cieszynie, który powstał w roku 1770 (po przegranej wojnie prusko-austriackiej w roku 1742 Austria utraciła prawie cały Śląsk, poza Śląskiem Cieszyńskim, i diecezja wrocławska znalazła się w Prusach, więc dla austriackiej części diecezji wrocławskiej utworzono w Cieszynie wspomniany Wikariat Generalny), którego zadaniem była opieka nad Kościołem, a także nad podlegającym mu pierwotnie szkolnictwem.

Przeszło 300 stronicowa pozycja zawiera pięć rozdziałów, dotyczących kolejno „Utworzenia i zasad funkcjonowania Wikariatu Generalnego", „Szkolnictwa w Księstwie Cieszyńskim w latach 1770-1848", „Sytuacji szkolnictwa w Księstwie Cieszyńskim w latach 1848-1869", „Sytuacji szkolnictwa katolickiego na Śląsku Cieszyńskim po jego upaństwowieniu w Monarchii Austro-Węgierskiej" (do powstania diecezji katowickiej w 1925 r.) oraz „Działalności szkolnej żeńskich zgromadzeń zakonnych na Śląsku Cieszyńskim" (Kongregacja Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza w Cieszynie oraz Siostry Szkolne de Notre Dame w Bielsku, Strumieniu, Karwinie i Nowym Boguminie).

Zresztą bardzo cenny i mało znany jest temat dotyczący dziejów cieszyńskiego Wikariatu Generalnego w latach 1770-1925 z kolejnymi wikariuszami generalnymi: ks. Justus Wilhelm hr. Prażma, ks. Antoni Alojzy Löhn, ks. Józef Karol

Schipp, ks. Paweł Prutek, ks. Mateusz Opolski, ks. Antoni Helm, ks. Franciszek Śniegoń, ks. Karol Findiński, ks. Karol Hudziec i ks. Jerzy Kolek, z których wielu, szczególnie ks. M. Opolski, rozumiało potrzeby polskiego szkolnictwa w tym regionie.

Ks. Karol Mozor, wychodząc z własnych badań naukowych, czerpał także z istniejących już opracowań danej tematyki, potraktował bardzo szczegółowo i szeroko zagadnienie szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Już w latach 1674/75 rozpoczęło działalność gimnazjum jezuickie, które po rozwiązaniu Towarzystwa Jezusowego w roku 1773 zostało przekształcone w gimnazjum katolickie, którego najwybitniejszym przedstawicielem był ks. Leopold Jan Szersznik. Gimnazjum ewangelickie w Cieszynie powstało w roku 1709.

Interesująco przedstawia się prezentacja sieci szkół parafialnych w kościelnych dystryktach: bielskim, frysztackim (Lutynia Niemiecka, Frysztat, Bogumin, Piotrowice, Rychwałd, Zebrzydowice), frydeckim (Błędowice, Borowa, Bruzowice, Dobra, Domasłowice, Frydek, Gnojnik, Morawka, Skalica), jabłonkowskim (Jabłonków, Istebna, Końska, Mosty, Trzycież, Wędrynia, Bukowiec), karwińskim (Karwina, Orłowa, Pietwałd, Polska Ostrawa, Racimów, Szonów, Stanisławice, Sucha Górna, Cierlicko), skoczowskim, cieszyńskim (Goleszów, Leszna, Łąki, Ogrodzona, Pogwizdów, Puńców, Cieszyn, Ustroń).

Tutaj autor pisze także o tzw. szkołach pokątnych (uczyli tu nauczyciele niekwalifikowani w gminach, których nie było stać na szkołę normalną) oraz powtarzających (do uczęszczania w nich zobowiązana była młodzież, która ukończyła szkołę parafialną po 12 roku życia - do 18 roku życia). Następnie jest mowa o metodach, języku nauczania i podręcznikach (język wykładowy niemiecki, podręczniki czeskie i walka o polskie nauczanie i podręczniki) w gimnazjum katolickim, ewangelickim, szkolnictwie powszechnym, o uposażeniu szkół i nauczycieli itp.

W trzecim rozdziale autor przedstawia rozwój szkolnictwa katolickiego, protestanckiego i żydowskiego w latach 1848-1869 oraz w następnym rozdziale warunki rozwoju szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim w latach 1869-1925, to jest po upaństwowieniu szkolnictwa w Monarchii Austro-Węgierskiej aż do powstania diecezji katowickiej, po uprzednim podziale Śląska Cieszyńskiego.

Trudno w kilku zdaniach ująć całe bogactwo historyczne tej pracy, cennej przede wszystkim dlatego między innymi, iż sprawy tego zagadnienia ujmuje całościowo i kompleksowo. To znaczy autor, pisząc o szkolnictwie katolickim, równocześnie przedstawia, jak wyglądało szkolnictwo protestanckie i żydowskie, pisze dalej o szkolnictwie niemieckim, polskim a także czeskim, a raczej o wpływach tych języków na tutejsze szkolnictwo itp. Pozycja ta również pokazuje nam ogromny wkład duchowieństwa katolickiego w dzieło odrodzenia narodowego tego regionu, który w porównaniu z dorobkiem protestantów w tym zakresie był dotychczas raczej skromnie przedstawiony. Słowem jest to praca wzbogacająca historiografię Śląska Cieszyńskiego, i co cenne, napisana w duchu tolerancji narodowej i wyznaniowej.

KAZIMIERZ JAWORSKI

CANTICUM NOVUM W DOLOMITACH

W piękny letni czerwcowy poranek nasz chór Canticum Novum wyruszył spod czeskocieszyńskiego gimnazjum na podbój Włoch. Wszystkim marzył się górski wiaterek przesuwający chmury po lazurowym niebie, który czekał na chórzystów w alpejskich wioskach. Jednak na jego podmuch i choć trochę ochłodzenia w upalnych dniach trzeba było jeszcze poczekać. Pierwszy koncert bowiem, zaraz w dzień wyjazdu, czyli środę 26 czerwca, odbywał się w Mariańskich Łaźniach. Po niewielkich przygodach chór dotarł na miejsce na czas i 40 osób (panie w toaletach koloru bordo, a panowie w białych koszulach i „pod muchą") wchodziło na podium „lázeňské kolonády". Dyrygent dr Leszek Kalina, wraz z tłumaczącą na język niemiecki Janiną Mitręga, przedstawił krótką historię chóru. Bardzo udany koncert, jak można było wyczytać z twarzy i oklasków słuchaczy, uwiecznił na kasecie video Daniel, który filmował cały wyjazd chóru. Po krótkim wypoczynku wokół fontanny w łaźniach chór udał się na kolację i spotkanie z tachowskim chórem dziecięcym Brabenci. Właśnie dzięki współpracy dyrygentów obu chórów Canticum Novum mogło spędzić noc w Tachowie, aby następnego dnia udać się w długą podróż w góry niedaleko włoskiego Bolzano.

Czwartkowy dzień był dniem podróży, ale również spotkaniem z historią kultury Czech i Austrii. Chór spędził bowiem parę godzin w przepięknym Czeskim Krumlowie. Każdy, kto w tym czasie zrobił sobie przechadzkę po centrum miasta i udał się na zamek, usłyszał niosący się wśród murów zamkowych śpiew. Niektórzy chórzyści po trochę nieśmiałych próbach zaśpiewania części repertuaru pod arkadami zamku zostali poproszeni przez tamtejszego zarzadcę zamku o maleńki koncert na jednym z podwórców. Przepiękne dźwięki „Air" J. S. Bacha w opracowaniu Leszka Kaliny czy podrywający rytm spiritual „Ev'ry time" zwabiły niemało turystów. Przykro było opuszczać to miejsce, w którym tak fantastycznie się śpiewało. Trzeba było jednak kontynuować podróż na południe Europy. Po przekroczeniu granicy w Dolním Dvořišti autobus

wyruszył w stronę Salzburga. Chór dotarł do rodzinnego miasta Mozarta późnym popołudniem. Można było zatem zrobić sobie przechadzkę po tym historycznym mieście w świetle zachodzącego słońca. Niedługo mogliśmy się cieszyć dobrą pogodą. Nagły deszcz zakończył spacer i uniemożliwił nam również koncert na miejskim rynku. Jednak nie odjechaliśmy zupełnie cicho jak myszki. Pożegnaliśmy Salzburg zaśpiewaniem paru utworów pod arkadami, a potem udaliśmy się w nocną podróż, tym razem już wprost do celu - do włoskich Dolomitów na Międzynarodowy Festiwal Chóralny Alta Pusteria, odbywający się już po raz piąty.

W piątek rano chór dotarł do hotelu Rosa d'Oro w miejscowości Monguelfo. To był nasz dom przez następne trzy dni. Po wypoczynku, próbie i kolacji chór udał się na swój pierwszy koncert podczas tego festiwalu. Odbywał się on w kościele św. Piotra i Pawła w Sesto. W koncercie wzięły udział również trzy włoskie chóry z Padwy, Ancony i Sistiany. Canticum Novum zachwyciło wszystkich swoim występem. Świadczyły o tym huczne brawa i wiele gratulacji po zakończeniu koncertu. Chór zapisał się jako jeden z najlepszych na festiwalu. Późnym wieczorem pojechaliśmy na „Tyrolese party", gdzie miały możliwość spotkać się wszystkie zespoły biorące udział w festiwalu.

Następny dzień rozpoczął się koncertem w kościele św. Magdaleny w Villabassa. Podczas tego koncertu śpiewały również chóry z Finlandii, Portugalii, Bułgarii, Węgier i oczywiście Włoch. Wspaniały występ na podium przed kościołem powtórzyło później Canticum Novum, po oficjalnym zakończeniu koncertu, we wnętrzach kościoła. Część sobotniego dnia spędził chór nad niedalekim górskim jeziorem, podziwiając przepiękne Alpy i urządzając sobie próbę przed kolejnym koncertem na środku jeziora. Tym razem w strojach góralskich chór wykonał kilka pieśni ludowych na rynku w Sesto. Koncert ten zainaugurowała kapela gorolsko Sómsiek, a dokładniej ci jej członkowie, którzy wchodzą w skład Canticum Novum. Tak więc rozległo się w alpejskiej dolinie „Helo, Helo, Helenko", „Listeczku lipowy", „Tryptyk beskidzki"...

Uroczyste zakończenie festiwalu odbyło się 30 czerwca w Sesto. Po rozdaniu nagród i dyplomów chóry żegnały się wspólnym wykonaniem włoskiej pieśni „Signore delle cime" autorstwa Giuseppe de Marzi.

W naszą podróż można wybrać się raz jeszcze na stronach internetowych www.arsmusica.cz.

IWONA WANIA



55. URODZINY GOROLA

Jeszcze nie zdążyło społeczeństwo zaolziańskie ochłonąć z wrażenia po tegorocznym Gorolskim Święcie, a w jabłonkowskim Lasku Miejskim już w cztery tygodnie później, 31 sierpnia, odbyła się następna piękna i wzruszająca impreza: 55. rocznica urodzin znanego i lubianego nie tylko na Zaolziu chóru męskiego Gorol (tyle samo lat upłynęło od założenia Miejscowego Koła PZKO w Jabłonkowie).

Wierzyć się nie chce, że to już 55 lat minęło od chwili, gdy w jabłonkowskiej Czytelni powstał chór Gorol, który przed 55 laty spowodował istną rewolucję w spojrzeniu zaolziańskiego społeczeństwa na tradycyjną kulturę górali beskidzkich, zespół, bez którego trudno wyobrazić sobie wiele zaolziańskich imprez, a przede wszystkim daleko i szeroko znanego Gorolskigo Święta.

Wielu Zaolziaków pamięta jeszcze pierwsze widowiska Gorola, takie jak: „Tam na gróniach", „Gorolsko błyskawica", „Gorolski wiesieli", „Zabijaczka", „Spoza buka" i inne. Z tymi widowiskami Gorol występował na całym Zaolziu, od Mostów po Bogumin. A wszędzie witano go gorącymi oklaskami. Ożywiały one bowiem bogate tradycje ludowe ziemi zaolziańskiej, ratowały od zapomnienia piękne tańce, pieśni i przyśpiewki ludowe i w ogóle to, co nazywamy folklorem. Aby jednak pomysł ten zrealizować, trzeba było chór poszerzyć o ze-



spół taneczny, orkiestrę, gawędziarzy. W ten sposób chór, który stanowił trzon zespołu, przeistoczył się w regionalny Zespół Pieśni i Tańca Goroł.

Wspomina tamte czasy i późniejsze Józef Jachnicki, emerytowany nauczyciel, długoletni śpiewak Gorola, do niedawna prezes jego chóru: *Do tego, aby móc wystawić widowisko, potrzebne były stroje góralskie. Skąd je wziąć? Wyprawiano się do Istebnej, Koniakowa, Jaworzynki, gdzie takowe przetrwały. Tam je pożyczano i w plecaku przemycano przez granicę do nas. Mówi się, że szczęście nie chodzi po górach, ale po ludziach. Takie szczęście spotkało Gorola po wystawionym w Trzyńcu widowisku. Sala Domu Robotniczego była wypełniona po brzegi. Na skromnym krzesełku siedział ówczesny polski konsul w Ostrawie Stefan Wengierow. Urzeczony widowiskiem wszedł na scenę, pogratulował wykonawcom, a następnie zaoferował sukna na stroje dla chórzystów. Do dziś pamiętamy i jesteśmy wdzięczni. Następnym sponsorem stała się fabryka kapeluszy Tonak w Nowym Jiczynie, która po występie Gorola w tym mieście obdarowała zespół oryginalnymi góralskimi kapeluszami. Tak stopniowo zespół został ubrany w oryginalne stroje, które służą mu jeszcze do dziś.*

W widowiskach Gorola znajdują wielką możliwość indywidualnego popisu talenty narratorskie. Rodzą się takie postacie jak Michoł - Alojzy Ligocki, Maciej - Ludwik Cienciała, Jura spod Grónia - Władysław Niedoba, które na stałe wiążą się z zespołem. Każdy z nich to odrębna osobowość, która umiejętnie przetwarza mądrości ludowe w humorem tryskające monologi. Później dołączyli do nich





Hadam z Drugi Izby - Władysław Młynek, a obecnie Filip - Tadeusz Filipczyk.

W miarę upływu lat i czasu wiele się zmienia w zespole. Jedni odchodzą, nowi przychodzą. Zmienia się repertuar i kierownictwo. Niespodziewana śmierć kolejnego prezesa i kierownika gorolskiej orkiestry Franciszka Hanaka oraz rezygnacja dyrygenta Karola Heczki boleśnie dotknęły zespół. Gorol staje w obliczu niepewności jutra. Zmieniają się dyrygenci, co ma ujemny wpływ na całokształt pracy zespołu. Rok 1963 jest rokiem przełomowym, dyrygenturę obejmuje bowiem młody adept tej sztuki Bogusław Stonawski. W latach siedemdziesiątych dołącza do niego nauczyciel Władysław Młynek, który po Władysławie Niedobie przejmuje kierownictwo artystyczne. Pod ich kierownictwem Gorol przyjmuje inne oblicze, prezentuje inną treść twórczą. Zawiązują się nowe zespoły: taneczny, orkiestra smyczkowa, tercet żeński. Wszystkie miały jednak krótki okres trwania. Chór męski pozostał więc nadal podstawową komórką zespołu regionalnego. Zmieniają się warunki społeczno-polityczne, starzeje się społeczeństwo, to wszystko znajduje odbicie w pracy kulturalnej, a tym samym w Gorolu. Trzeba szukać nowych zapaleńców śpiewu chóralnego.

Gorol pod kierownictwem nowego dyrygenta stara się szybko nadrobić dotychczasowe straty. Pracuje intensywnie. Nie przepuszcza żadnej okazji do występu, możliwości koncertowania. Bierze udział w festiwalach w Polsce, w konkursach i przeglądach śpiewaczych, imprezach folklorystycznych, uroczystościach kościelnych (np. powitanie papieża Jana Pawła II w Skoczowie), w uroczystościach jubi-





leuszowych chórów, szkół i Domów PZKO. Wszędzie jest mile widziany i serdecznie przyjmowany. Efektem zaangażowania zespołu są liczne odznaczenia, medale, nagrody i dyplomy.

W ciągu swego istnienia dał Gorol ponad tysiąc koncertów w kraju i w Polsce, na Litwie i na Białorusi. Wojażując po Polsce, nawiązał nowe kontakty, nowe przyjaźnie, zyskał nowych sympatyków i sponsorów.

Każdy zespół przeżywa wzloty i upadki. Boryka się z różnymi trudnościami. Nie inaczej było i jest w Gorolu. Ale nigdy nie było aż tak źle, aby nie doszło do nowego zrywu. Życzeniem ogółu i władz PZKO jest, aby zespoły nasze kontynuowały swą pracę, bo one świadczą o żywotności naszego społeczeństwa.

Uroczystość jubileuszowa 55-lecia Gorola była skromniejsza od tej, która miała miejsce przed pięciu laty, kiedy to odbyły się aż dwa koncerty jubileuszowe z okazji złotych godów zespołu: w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie oraz w Miejskim Domu Kultury w Karwinie Nowym Mieście. Nie było też już solówki w wykonaniu legendarnego hetmana góralskiego Władysława Niedoby w tradycyjnym „Witómy was", uroczystego przemówienia Władysława Młynka, nie mówiąc już o bezkonkurencyjnym humorze Macieja, czyli Ludwika Cienciały. W tym roku uroczystościom jubileuszowym przyświecały skromniejsze cele, tym bardziej, że chodziło o półokrągłe urodziny.

Nie brakowało jednak na świętowaniu w jabłonkowskim Lasku Miejskim swoistej, bardzo miłej atmosfery rodzinnego spotkania, na które przybyli wier-



ni sympatycy Gorola z obu brzegów Olzy. Na scenie w bogatym programie, który prowadził dostojnie i równocześnie ze zdrowym góralskim humorem doświadczony gawędziarz Tadeusz Filipczyk, zaprezentował się przede wszystkim chór-jubilat pod batutą młodego Andrzeja Mozgały oraz goście - chór żeński Melodia z Nawsia z dyrygentkami Aleksandrą Trefon-Paszek i Aleksandrą Zeman, kapela Nowina z prymusem Piotrem Byrtusem i nowo powstały przy jabłonkowskim MK PZKO zespół taneczny Zaolzi pod kierownictwem Marcina Filipczyka.

Na wstępie nie brakowało oczywiście tradycyjnego „Witómy was" z solistą Franciszkiem Kluzem. Jak w kalejdoskopie płynęła w wiązankach jedna melodia ludowa za drugą, były wiersze zaolziańskich twórców: Henryka Jasiczka, Anieli Kupiec i Władysława Młynka, w wykonaniu m.in. dyrektora Teatru Cieszyńskiego Karola Suszki, wystąpił w śpiewie solowym długoletni dyrygent Bogusław Stonawski, trzy pieśni wykonał też mały wokalny zespół męski złożony z najmłodszych chórzystów Gorola. Zespół Zaolzi z dziarskim gorolskim temperamentem zatańczył tańce beskidzkie, nawiązując do tradycji grup tanecznych, które w latach poprzednich urozmaicały programy Gorola. Młodym tancerzom życzyć należy niegasnącego zapału i wytrwania w ich szlachetnym przedsięwzięciu.

A że w dniu tym również Miejscowe Koło PZKO obchodziło 55-lecie swej bogatej działalności, prezes Jan Ryłko przypomniał swych poprzedników, m.in.



Fotografie FRANCISZEK BAŁON

prezesa Franciszka Hanaka, podziękował też licznym ofiarnym działaczom, dzięki którym przez lata rozwijała się pomyślnie praca kulturalno-oświatowa w Jabłonkowie, prosperowały i tętniły życiem pezetkaowskie lokale. Nie brakowało też podziękowań za to, że Gorol wytrwał, i zapewnień, że nadal będzie, gdyż w jego szeregi przychodzą młodzi. I rzeczywiście pozazdrościć można zespołowi młodych twarzy, bowiem z trzech istniejących jeszcze chórów męskich na naszym terenie (Chór Nauczycieli Polskich i karwiński Hejnał-Echo) jedynie w Gorolu nie brakuje młodych, chętnych śpiewaków. *Ci z młodych, którzy znajdą wreszcie drogę do zespołu, przyciągają następnych swoich rówieśników - i na tym chyba polega cała tajemnica pozyskania młodych twarzy do grona starszych śpiewaków* - nie ukrywa swojej radości obecny prezes chóru Józef Pilich.

Specjalnie na urodziny góralskie przybył także Józef Skrzek z kapelą Wałasi Zbyszka Wałacha z Istebnej oraz kwartetem młodych dziewcząt. Wszyscy oni dołączyli do podziękowań w godzinnym koncercie złożonym z najróżniejszych melodii i rytmów, wśród których wiele opartych było na motywach góralskiej muzyki ludowej.

Serdeczną, prawdziwie przyjacielską, rodzinną atmosferę urodzinowego świętowania podkreśliło jeszcze zapalenie prawdziwej, ogromnej watry - i to przez samego burmistrza Jabłonkowa Petra Sagitariusa.

JÓZEF WIERZGOŃ

WYNARADAWIANIE NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM W UBIEGŁYM STULECIU

Ludność Śląska Cieszyńskiego była w ubiegłym stuleciu poddawana systematycznemu wynaradawianiu. Najpierw była to germanizacja przez władze Monarchii Austro-Węgierskiej, później dwadzieścia lat czechizacji w Republice Czechosłowackiej, sześć lat tragicznej w skutkach germanizacji w Trzeciej Rzeszy, czterdzieści lat wynaradawiana w imię internacjonalizmu.

Najtragiczniejszą była sytuacja podczas okupacji niemieckiej, kiedy to ludność polska razem z Żydami i Cyganami była uznawana za obywateli mniej wartościowych (Untermensch). Z obawy przed represjami ze strony okupanta i z obawy przez niedostatnim życiem wiele osób przyjmowało tzw. Volkslistę, czyli wyrzekało się swej narodowości i przyjęło narodowość niemiecką. Tym samym przyjęło obowiązek służby w wojsku niemieckim.

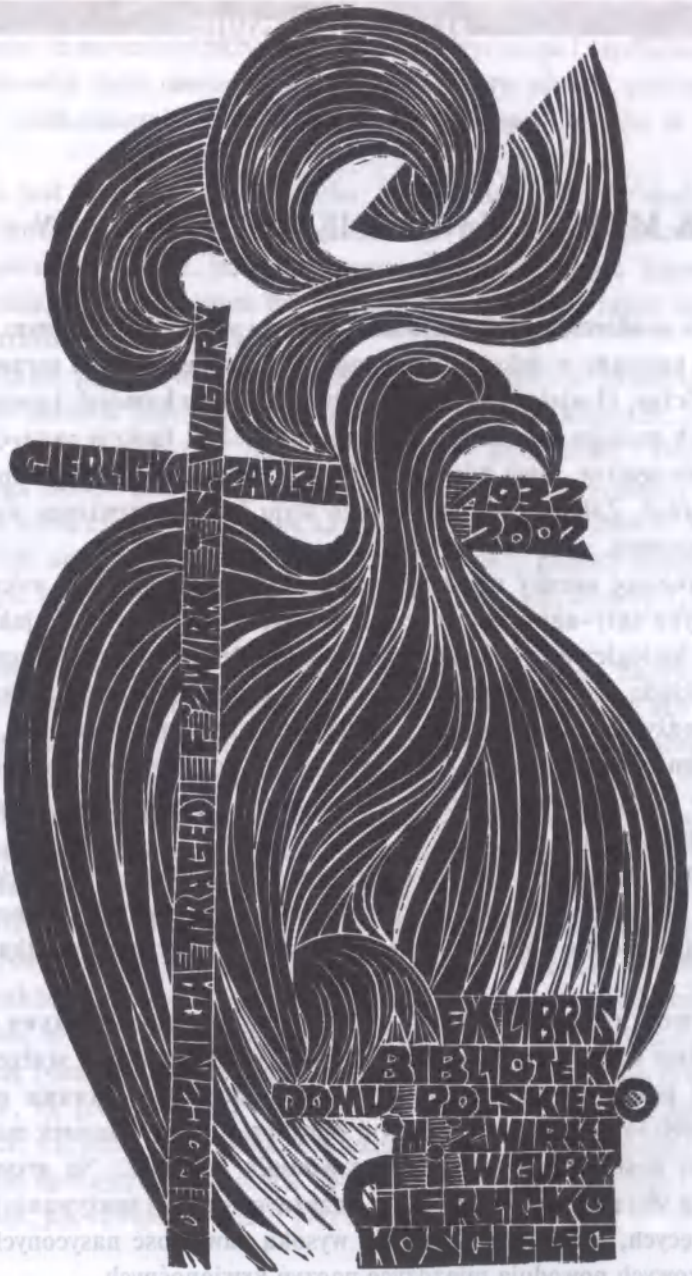
Po okupacji osoby te znów włączyły się w życie tego kraju. Przyjęły jedną albo drugą narodowość, mogły pogłębiać swe kwalifikacje, zajmować wysokie stanowiska w hierarchii gospodarczej i politycznej. Po prostu nie doznały uszczerbku ze strony władz i nie znalazły się na marginesie historii.

Jako jeden z tych, którzy nie splamili swojego imienia i nie wyrzekli się swej narodowości, często zastanawiam się, czy warto było stawiać opór i nie iść z duchem czasu. Uniknąłbym takich przykrości i niedogodności jak, pomimo wykształcenia, sześć lat harówki na kopalni za marny zarobek, potrącony jeszcze o 15%, niemożność podjęcia dalszych studiów, skrócony przydział żywności i odzienia, konfiskata majątku i płacenie czynszu z własnego domu; matka po śmierci ojca, który zginął tragicznie w wypadku przy pracy, otrzymałaby emeryturę. Jedynym plusem było, że nie musiałem służyć w wojsku niemieckim.

Ale czy obywatele narodowości polskiej byli pewni nowego jutra, czy nie czyhały na nich więzienia, obozy koncentracyjne, Żywocice, Cieszyn i inne miejsca straceń? Może stałbym się kombatantem i jako bohater otrzymałbym odznaczenie od władz RP.

Mamy więc dwie kategorie bohaterów: tych, co ginęli w Katyniu, w więzieniach, obozach koncentracyjnych, w Żywocicach, pod Monte Cassino, i tych, co bohatersko walczyli w szeregach armii niemieckiej i polegli na „polu chwały". Może byłoby trzeba wystawić im pomniki, by ocalić ich od zapomnienia.

-wa-



Linoryt ZBIGNIEWA KUBECZKI

WIEK METRYKALNY I WIEK BIOLOGICZNY

Data urodzenia mówi wszystko o naszym wieku metrykalnym. Tego, co mamy napisane w dokumentach, nie da się zmienić. Inna sprawa to wiek biologiczny. O wieku biologicznym świadczy stan komórek i naczyń krwionośnych naszego organizmu, potencja seksualna, funkcja pamięci oraz wygląd zewnętrzny. Nasz wiek biologiczny zależy od tego, jak wolno umiemy się starzeć. Zależy m.in. od naszego stylu życia, odżywiania, nastawienia psychicznego.

Na różnicę między wiekiem metrykalnym i biologicznym wskazuje tzw. medycyna anty-aging, której celem jest troska o zatrzymanie jak najdłużej wieku biologicznego. Zasadniczy program działania tego kierunku medycyny składa się z kilku punktów. Chodzi o indywidualne planowanie zdrowego odżywiania, podawanie brakujących witamin i minerałów, specjalny program sportu i ruchu, specjalny trening komórek mózgowych, indywidualny program antystresowy, w konkretnych przypadkach podawanie leków i hormonów.

Jednak by poczuć się fizycznie i psychicznie młodziej, niekoniecznie trzeba od razu korzystać ze skomplikowanych programów medycznych. Można próbować opóźnić proces starzenia, przestrzegając kilku ogólnych zasad.

Pierwszą zasadą jest właściwe odżywianie. Im więcej spożywa się pokarmów, tym więcej zużywa się tlenu i tym szybciej organizm starzeje się, ponieważ powstałe wolne rodniki niszczą komórki. Odtruwanie organizmu z wolnych rodników i toksyn, a tym samym ratowanie komórek możliwe jest poprzez dostarczanie organizmowi witamin A, C i E. Na przyspieszenie procesu starzenia wpływa także w znacznym stopniu spożywanie tłuszczów zwierzęcych, które ze względu na wysoką zawartość nasyconych kwasów tłuszczowych powodują miażdżycę naczyń krwionośnych.

Badania prowadzone na osobach, które dożyły wieku stu lat, potwierdziły, że osoby te prowadziły aktywny tryb życia, fizycznego i psychicznego, do późnej starości i były zawsze szczupłe, odżywiały się zdrowo, czyli stosowały dietę (niekoniecznie świadomie) niskotłuszczową, bogatą w jarzyny i owoce.

Ważna jest odpowiednia ilość ruchu, uprawianie sportu, by spalić w ten sposób chociaż 1500 kilokalorii tygodniowo. W praktyce oznacza to 4,5 godz. wędrówki, 3 godz. jazdy na rowerze, 2,5 godz. biegu. Tygodniowo, nie dziennie! Oprócz ćwiczeń fizycznych należy stosować także ćwiczenia mózgu, trzeba trenować pamięć.

Odprężenie psychiczne i umiejętne sterowanie stresem pomagają w zachowaniu zdrowia psychicznego i zwalniają zegar biologiczny. Przeprowadzone badania wykazały, że problemy natury psychicznej i długotrwały stres mogą okraść człowieka o 7–8 lat życia. Napięcie psychiczne jest początkiem wielu chorób, natomiast zadowolenie wyzwala uśmiech. Radosne nastawienie do życia można próbować utrwalać przy pomocy autosugestii, wmawiając sobie, że jest się zadowolonym, szczęśliwym, zdrowym, młodym itd.

Niezmiernie ważna jest też odpowiednia ilość snu. Sen nazywany jest przez niektórych eliksirem młodości. Nie od dziś wiadomo, że sen umożliwia regenerację sił organizmu. Człowiek wyspany jest wypoczęty, ma większą ochotę do życia, a także wygląda zdrowiej i młodziej.

Człowiek musi oddychać, żeby żyć. O tym, że oddychanie jest ważniejsze od jedzenia, świadczy fakt, że czas, jaki organizm ludzki potrafi wytrzymać bez jedzenia, liczymy na dni, natomiast bez oddechu trudno przeżyć kilka minut. Mózg, który przez cztery minuty nie otrzymuje tlenu, zaczyna obumierać. Niewielu ludzi zdaje sobie jednak sprawę z tego, że ogromnie ważny jest także odpowiedni sposób oddychania. Osoby, które oddychają szybko i płytko, to osoby, które mają skłonności do nerwowego trybu życia, nie kierują się rozumem, lecz emocjami. Ci zaś, którzy oddychają rytmicznie i głęboko, są zrównoważeni emocjonalnie i łatwiej przystosowują się do zmiennych warunków otoczenia. Ćwiczenia oddechowe polegające na wykonywaniu spokojnych, głębokich oddechów relaksują, ożywiają i oczyszczają ciało, jak również umysł. I przedłużają młodość.

(dur)

ŻARTY LAT TRZYDZIESTYCH

- Więc pańska choroba nie zostawiła żadnych złych skutków po sobie?
- No, to zależy, bo ożeniłem się z moją pielęgniarką.

Żona: - Co, znowu się upiłeś, znowu na nogach się chwiejesz?
Mąż: - Głupia jesteś! Teraz takie czasy, że najpoważniejsze firmy się chwieją.

Stara panna: - Jakie uczucia wzbudzam u pana?
Młody: - U mnie? Najszczytniejsze... łaskawa pani... wstręt do grzechu.

- Ciotka okropnie nas strzeże przed mężczyznami. Powiada, że mężczyźni to diabli...
- I sama tylko o tym marzy, żeby ją diabli wzięli.

- No, dzisio mie piyrszy roz łobudził nasz nowy budzik na czas.
- Jakoż to?
- Staro mie nim rypła w łeb.

- Jak pan śmie rozpowiadać wszędzie, że jestem idiotą?
- Przepraszam, nie wiedziałem, że pan robi z tego tajemnicę.

- Wczora mi pod tym starym dębem pierón zabił dwie owce.
- Nale, hrómski pech! Dyć tam strasznie rada wysiaduje moja teściowa.

Amerykanin chwali się przed Szkotem swoimi pięknymi górami: - Tę wspaniałą wiszącą skałę zbudowali moi przodkowie.
Na to Szkot pyta Amerykanina: - A czy zna pan Morze Martwe?
- Znam.
- A widzi pan, to mój pradziadek je zabił.

Żona: - Mężu, daj mi 50 koron, pójdę do salonu piękności.
Mąż: - Tu masz 150 koron.

Janka: - O czym myślisz, Stasiu?
Staś: - O tym samym co i ty.
Janka: - Ty, ale ja będę krzyczała.

- No, jak ci się darzy z pszczołami?
- Dziękuję, jestem zadowolony. Mioduśmy wprawdzie dotychczas jeszcze nie mieli, ale pszczoły już dwa razy skłuły teściową.

DO NIEBA

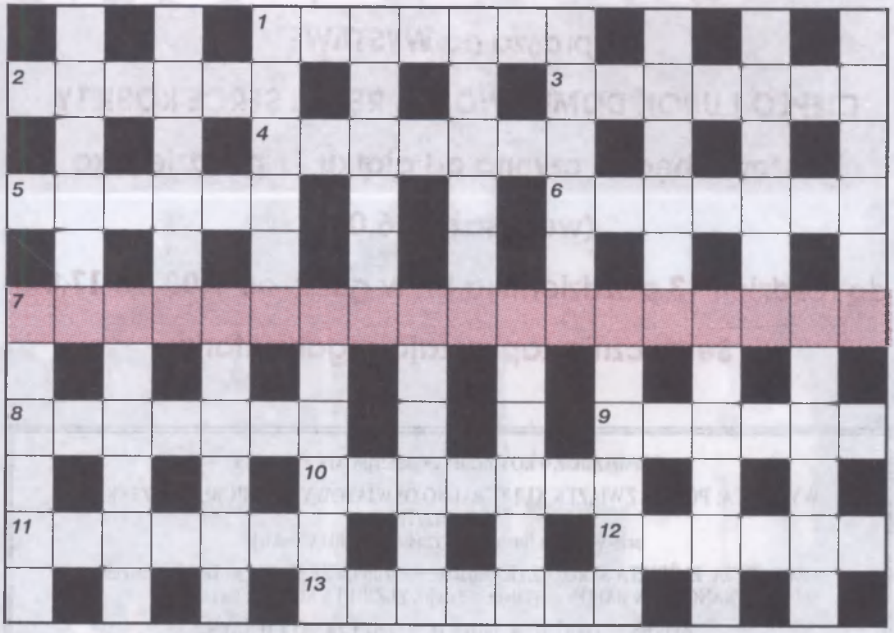
Karlikowi się od samego rana nie darziło. Troche przispoł, śniodani nie zjod, chlyb do roboty zapómnioł, autobus mu uciyk i na szachte musioł iść pieszo. Przilecioł na szachte zgrzoty jak mysz i ledwo z biydóm zjechoł na dół na ostatni szoli. Całe szczynści, że pod szachtóm jeszcze chycił cug, kiery go zawióz do pola ku ścianie. Jak wlyźli do ściany, to sie zaroz chytali roboty. Karlik był kombajnista, tóż namazoł kombajn, powymiynioł noże i jazda. Ujechoł 2 metry, kombajn stanął, zaczón burczeć i ani rusz. Nie wiedzioł, czy sie zepsuł motor albo chybio jednej fazy, albo nawaliło jaki trybo. Tóż ón lecioł hledać po oddziale elektrykorza a pomocnika ślusorza, tak lotali pół godziny, aż naszli elektrykorza. Elektrykorz puścił kombajn, burczoł też tak samo, tóż zaczón odłónczać kontakty. 2 były spolóne, tóż je wymiynił. Przilecioł sztajger, zaczón przezywać, że je 10 godzin, a 2 metry ujechali, a kaj je do wyrchu 220 metrów. Elektrykorz sie podenerwowoł, ręce sie mu zaczyny trzepać. Źle poskręcoł i musieli po roz drugi. Ujechali 10 metrów, było 11 godzin, a urwoł sie pancerz. Ujechali 20 metrów, co czert nie chcioł, zaczyna iść ściana, bo na nocnej szychcie nie wyrabowali wszystkich żelaznych sztempli. Przylecioł zaś sztajger, zaczón przezywać, zastawił kombajn i kozoł rabować żelaza. Wyrabowali za pancerzym wszystki żelaza. Pobudowali, przestało iść, ale była już godzina 13, a do góry było jeszcze 180 m. Przychodziła godzina 16, tak szczęśliwie dojechali do ściany, a już przyszła dalszo zmiana. Nie było prądu, tak musieli iść pod szyb pieszo około 4 km.

Wyjechali o godz. 18, ale zanim sie pomyli, autobus im odjechoł. Karlik przyszeł ze szichty głodny, uchodzóny, zmęczóny, że sie mu żyć odniechciało. Jak odewrzył dwiyrze, jeszcze nie sewlyk kabota, zaczyna sie z nim baba wadzić. „Ty ślimoku, ty ożarcisko, kaj telki czasy siedzisz, jo tu 3 godziny na ciebie czakóm z obiadym, a ciebie nima. Kajsi po gospodzie chlajesz albo tam mosz jakóm majdule, tóż sie ci do dómu nie śpiycho, jo cie nauczim, jutro ci żrać nie nawarzim, obleczym se i pujdym na plotki". Karlik babie nic nie odpowiedzioł, machnół rękóm, pomyśloł se: Możecie mi wszyscy wlyźć na pukiel. Tu człowiek nima niczimu winiyn, a wszyscy go przezywajóm. Kamraci, sztajger, a naostatek baba. Pojod, ale mu nie szmakowało, bo był strasznie utropióny, zakurził cygaretle, posewlykoł sie i poszeł spać.

Dłógo sie przewracoł, nimóg usnóć, a jak usnół, to sie mu śniło, że umrzył. Umrzył, chwile leżoł pocichu, potym mu oblykli takóm dłógóm koszule, przyprawili skrzidła i lecioł do nieba. Tak se pomalutku skrzidłami ruszoł i z jednej chmurki na drugóm coroz wyszi lecioł. Jak tak lecioł z chmurki na chmurke, dziwo się, a za nim dycki lecioł taki piekny aniołek w dłogi ružowej koszuli, jak ón wyszi, tóż aniołek też, jak ón se spoczón, tóż aniołek też spocziwoł, jak chmurka, na kiere siedzioł, była mało, to aniołek siednół na drugóm i tak lecieli, a szło im to lekutko, dobrze, już byli wysoko, a siedli se wroz na jednóm większóm chmurke. Karlik sie pyto: „Aniołeczku piekny, coś ty je za jedyn, że tak za mnóm fórt lotosz, a kaj my to lecimy?" „Lecimy do nieba, Karliczku, a jo je tyn twój anioł stróż i tóż oto tak dowóm na ciebie pozór, aby sie ci nic złego nie stało, abyś kaj nie spod i szczęśliwie do nieba dolecioł". „Aha" - powiado Karlik - „tóż tyś je tyn mój anioł stróż. Tóż mi też teraz powiydz, ty piekny giździe milijóński, kaś to był, jak jo sie żynił".

AMALIA PAWLASOWA

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

POZIOMO: 1. Pospolity ptak leśny w Polsce chroniony. **2.** Odbył samotny rejs dookoła świata na jachcie Opty. **3.** Graniczy z Polską. **4.** Niewielkie wzniesienie terenu. **5.** Szachraj. **6.** Imię żeńskie (także odmiana fasoli szparagowej). **7. ROZWIĄZANIE DODATKOWE - PRZYSŁOWIE MONGOLSKIE. 8.** Egoista, sobek. **9.** Koń o sierści karej, gniadej lub kasztanowej z domieszką włosów białych. **10.** Wycinanie lasu. **11.** Najwyższy stopień uczucia przyjemności. **12.** Pospolity pająk domowy lub strug stolarski. **13.** Mieszka w igloo.

Wyrazy trudne: LONGINA.

PIONOWO (w kolejności alfabetycznej): ANONIM, BAMAKO, ERRATA, GRANIE, HOSTIA, INDEKS, JASKRA, KAPTUR, KŁĘBEK, KOMIZM, KUKLIK, KULFON, LERNET (pisarz austriacki), LIPIEC, PERSJA, WAGARY, ZABRZE, ŻIGULI.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca października.

Rozwiązania z numeru sierpniowego:

Rozetka: BRUKSELA

Krzyżówka - PRELUDIUM ODY DO RADOŚCI

Synteza krzyżówki: KOMISJA EUROPEJSKA

Szyfrogram: WIENIEC DWUNASTU ŻÓŁTYCH GWIAZD NA BŁĘKITNYM TLE

Nagrody książkowe wylosowali: **Teresa Hůlkowa** - Cheb
Krystyna Guńka - Czeski Cieszyn
Stanisława Sucha - Gródek

Zaproszenie do Stonawy

KLUB KOBIET MK PZKO W STONAWIE

zaprasza na WYSTAWĘ

CIEPŁO I UROK DOMU TWORZĄ RĘCE I SERCE KOBIETY

Wystawa będzie czynna od piątku 11 października

(wernisaż o 16,00)

do niedzieli 13 października br. w godz. od 9,00 do 17,00

Serdecznie zapraszają organizatorki

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

SPROSTOWANIE: Podajemy właściwy numer telefonu Vinoteki Szarowski
+420 776 236 215

NASZE DOMY



DOM PZKO W GUTACH

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1



NASZE ZAOLZIE

ORŁOWA

Zwrot 11 2002

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

Książnica Cieszyńska



TACY BYLIŚMY



Ochotnicza Straż Pożarna w Lesznej Dolnej z polską komendą została założona w roku 1902. Jej pierwszym prezesem był Jan Jaś. W czerwcu br. obchodzono stulecie dolnoleszniańskiej OSP. Zdjęcie jubileuszowe (trzydziestolecie) przedstawia strażaków z tej wioski w roku 1932. Fotografia pochodzi ze zbiorów Kazimierza Jaworskiego.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

TRYPTYK ZAMIAST TESTAMENTU

[...] Nie znacie urody polskiej ziemi, a ja nie skłamię,
jeśli powiem,
że to strata wasza.

Bo w tej najpiękniejszej Hiszpanii
nie ma takich, jak u nas kwitnących koniczyn
ani zroszonej wyki, ani
w borach orzeszyn i dziczyzn;
wy nie widzieliście, jak ja, kiedy na łące
nagle spod stóp wyskakują
zbudzone przez wędrowca zające,
jak można podejść ostrożnie ku jelenim rujom,
gdy tęczą przez zasłonę dżdżu wygląda słońce.

Gdybyście pobiegli Słowiczą Doliną
– stąd nazwa, że tam nie brak słodkich chórów...
Gdyby któryś z was wraz ze mną Wisłę przepłynął,
a rytm rzeki ramionom był do wtóru,
może byście przyznali, że warto było
mieć za ojca Polaka z Krakowa
i podzielilibyście polską czułość i miłość,
które każdy w swym sercu winien chować.

Zwrot 11 2002

Rok LIII, Nr 636
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Rozpad Czechosłowacji - zbieg okoliczności czy logika historii?	ADAM BIERNAT
8	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (5)	
14	Bliżej siebie - migawki z Bukowiny	WŁADYSŁAW KUBIEŃ
21	Głód chleba podsyca tęsknotę do Ojczyzny. Polacy na Kaukazie	CZESŁAWA RUDNIK
23	Od M'ironii do mironaliów. O twórczości Mirona Białoszewskiego	KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
27	Kronika: Biblioteka po remoncie, III Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Tanecznych i Folklorystycznych Recklinghausen 2002, Pamięci Żwirki i Wigury, Pożegnanie lata z folklorem, Cały Czeski Cieszyn czytał dzieciom, Malarstwo Jana Rusnoka, Spotkanie solczan	
43	Władysław Sikora: Sny (cz. II)	
48	Poezja Władysława Sikory	
50	Jacy jesteśmy?	WŁADYSŁAW SIKORA
52	Młode pióro: Ryszard Wania	
54	Na półkach księgarskich	KAZIMIERZ JAWORSKI
59	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
65	Echo wydarzeń muzycznych	
72	Trybuna czytelników	
75	Nasze zdrowie	
77	Mozaika	

Numer zamknięto 15. 10. 2002

ROZPAD CZECHOSŁOWACJI - ZBIEG OKOLICZNOŚCI CZY LOGIKA HISTORII?

1 stycznia 1993 przestało istnieć wspólne państwo Czechów i Słowaków. Zostały powołane do życia dwa oddzielne organizmy państwowe - Republika Czeska i Republika Słowacka. Utarło się przekonanie, że do podziału federacji na dwa państwa doszło na zasadach obustronnego porozumienia i bez większych sporów. Przyjął się nawet termin „aksamitny rozwód", jako nawiązanie do spokojnego, w porównaniu z wydarzeniami w innych krajach, charakteru „jesieni narodów" w 1989 roku - wydarzenia te w ówczesnej Czechosłowacji otrzymały nazwę „aksamitnej rewolucji". Pokojowy charakter rozpadu wspólnego państwa na tle dekompozycji innego państwa federacyjnego - Jugosławii - jest niewątpliwie faktem.

Po oddaniu władzy przez partię komunistyczną, obok innych problemów natury gospodarczej czy społecznej, w Czechosłowacji pojawił się kolejny - federacja i konieczność redefinicji jej pojmowania w nowych warunkach. Dotychczasowe uregulowania ustawowe pochodziły z roku 1968 i nie przystawały do zmienionej rzeczywistości. Pierwszym spornym wydarzeniem okazała się próba zmiany oficjalnej nazwy państwa. Propozycja prezydenta Václava Havla, by z dotychczasowej nazwy Czechosłowacka Republika Socjalistyczna usunąć słowo „socjalistyczna", wywołała trwający cztery miesiące (od stycznia do kwietnia 1990 r.) konflikt czesko-słowacki. Propozycje, często zmieniające się, miały w zasadzie rozstrzygnąć o tym, czy w nowej nazwie znajdzie się termin Czechosłowacka (jak chcieli tego Czesi), czy też Czesko-Słowacka (jak proponowali Słowacy). Czeska niechęć do „myślnika" w nazwie miała swoje źródła historyczne, taką bowiem nazwę narzucono związkowi w 1938 roku po konferencji monachijskiej.

W czasie trwania „wojny o myślnik" w Bratysławie doszło kilkakrotnie do publicznych demonstracji, na których grożono sformułowaniem postulatu usamodzielnienia w przypadku braku zgody Czechów na słowackie postulaty. Ostatecznie nowo przyjęta nazwa brzmiała: Czeska i Słowacka Republika Federacyjna.

Część komentatorów zwraca jednak uwagę, że spór w ramach federacji wydawał się nieunikniony od samego początku przemian demokratycznych. Jako powód podają oni fakt, że nie doszło do utworzenia jednego wspólnego ugrupowania demokratycznego, które mogłoby przejąć władzę w całym państwie. W Czechach powstało Forum Obywatelskie (Občanské fórum; OF), którego lokalne organy poczęły się również organizować w niektórych miastach słowackich. W Bratysławie doszło jednak do założenia Społeczeństwa

przeciw Przemocy (Verejnosť proti násiliu; VPN) i przemianowaniu już utworzonych grup OF na Słowacji na VPN. Zdziwieni czescy dysydenci usłyszeli od twórców VPN, że powodem odrębności jest „specyfika słowacka", którego to terminu strona słowacka miała odtąd używać nagminnie, zasłaniając się nim w różnych sprawach. Również po przemianach demokratycznych nie doszło nawet do prób powołania wspólnej partii. Mimo bowiem wielu podobieństw można również wymienić różnice pomiędzy grupami osób związanych z OF i VPN. Obydwa ugrupowania składały się co prawda z politycznych dysydentów, prześladowanych przez władze państwowe, jednak w Czechach większy wpływ na działalność polityczną uzyskały osoby niezwiązane w przeszłości z wyższymi szczeblami władzy w aparacie komunistycznym, natomiast na Słowacji, głównie za sprawą przywódcy „praskiej wiosny" Aleksandra Dubčeka, do głosu zaczęli dochodzić ludzie wyrzuceni z partii po 1968 roku, którzy nie potrafili oderwać się od swych dotychczasowych kategorii myślenia. Siłą rzeczy więc poglądy obu grup, chociażby na sprawy gospodarcze, znacznie się różniły. Za zdecydowanymi reformami ekonomicznymi w duchu liberalnym opowiadał się zwłaszcza związany z OF Václav Klaus, nowy federalny minister finansów. Na Słowacji, analizując wypowiedzi niektórych działaczy, daje się za to odczuć pojawienie się nowego nacjonalizmu narodowego. Doszło również do powstania partii akcentujących czynnik nacjonalistyczny, zarówno na prawicy (Křesťansko-demokratické hnutí Jana Čarnogursky'ego; Ruch Chrześcijańsko-Demokratyczny, który odłączył się od VNP), jak i na lewicy (Slovenská národní strana; Słowacka Partia Narodowa). Wówczas to również rozpoczynała się kariera Vladimíra Mečiara, którego wpływy i niezależność od VPN stale rosły.

Opisane powyżej wydarzenia wskazują na pierwsze rysy pojawiające się na budowli, jaką było wspólne państwo. Wówczas jednak niewielu przewidywało szybki rozpad federacji. Przeciwko podziałowi opowiadała się również zdecydowana większość obywateli - zarówno Czechów (90%) jak i Słowaków (około 75%). Z dzisiejszej jednak perspektywy można wyraźnie dostrzec, że problemy, jakie się wtedy pojawiały, miały o wiele głębszy charakter, niż powszechnie mniemano. „Wojna o myślnik" była bowiem tylko zewnętrznym przejawem dążeń Słowaków do podkreślenia swojej odrębności narodowej. Dla nich była to sprawa ważna. Wydaje się, że Czesi raczej nie rozumieli słowackich postulatów, niż byli im przeciwni. Nieumiejętność znalezienia wspólnego języka dialogu nie rokowała dobrze na przyszłość federacji, zwłaszcza że zadanie polegające na redefinicji współżycia obydwu narodów należało wykonać jak najprędzej.

W dniach 8 i 9 czerwca 1990 r. odbywały się pierwsze wolne wybory. Wybierano posłów zarówno do dwóch izb federalnych, jak i do narodowych izb czeskiej i słowackiej. Zwycięzcami wyborów okazały się OF w Czechach i VPN na Słowacji. Po ukonstytuowaniu się organów władzy ustawodawczej

jak i wykonawczej szczebla narodowego i federalnego rozpoczęto poszukiwania modelu dalszego współżycia obu narodów w jednym państwie. Wyznaczono dwuletni termin na ustalenie nowych zasad funkcjonowania wspólnego państwa. Jednak w miarę upływającego czasu nie przybliżano się do ostatecznych rozwiązań, przeciwnie, spornych kwestii ciągle przybywało. Udało się co prawda doprowadzić do uchwalenia nowelizacji ustawy regulującej kompetencje poszczególnych szczebli władzy, ale przed wyborami parlamentarnymi, zaplanowanymi na rok 1992, nie doszło już do uzgodnienia zapisów planowanej umowy między Republiką Czeską a Słowacką. Wszelkie sondaże przedwyborcze jednoznacznie wskazywały na przyszłych zwycięzców tych wyborów. Na Słowacji zdecydowanie prowadził Ruch na Rzecz Demokratycznej Słowacji (Hnutí za demokratické Slovensko; HZDS), partia założona przez Vladimíra Mečiara, który zdążył już być premierem rządu słowackiego, lecz został odwołany w atmosferze skandalu w kwietniu 1991 r. W Czechach zaś na czele sondaży znajdowała się również nowa partia Obywatelska Partia Demokratyczna (Občanská demokratická strana; ODS), największa z powstałych na gruzach OF, na czele której stanął Václav Klaus. Na zdecydowanych przywódców urastali obydwaj liderzy. Już wówczas można było jednak zdecydowanie zauważyć różnice dzielące liberalnego ekonomistę Klausa od populisty Mečiara. Publicyści zastanawiali się, jakie mogą być konsekwencje ich triumfu wyborczego. Pojawiały się głosy, że przy takiej konstelacji politycznej zachowanie federacyjnego charakteru państwa będzie w zasadzie niemożliwe. Sam Mečiar oficjalnie opowiadał się za konfederacją, w zasadzie zaś dążył już wówczas do pełnego usamodzielnienia Słowacji.

Dwuletni termin okazał się zbyt krótki na ustalenie rozwiązań satysfakcjonujących obydwie strony. Rząd federalny okazał się niezdolny do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian, gdyż, jak podkreślają słusznie komentatorzy, wszyscy słowaccy ministrowie przez rodaków określani jako „federalni Słowacy" nie posiadali w zasadzie żadnego autorytetu. Wiedzieli o tym słowaccy politycy i bardzo niechętnie decydowali się na praskie posady. Dlatego np. Mečiar nigdy nie zgodził się wejść do rządu centralnego. Rządy i parlamenty krajowe nie spełniły całkowicie swojej roli w sprawie uregulowania stosunków czesko-słowackich. Wydaje mi się jednak, że przy całkowicie odmiennych wizjach przyszłości obydwu stron wynegocjowanie kompromisu było sprawą niezwykle trudną, o ile w ogóle jeszcze możliwą. Słowacki rząd premiera J. Čarnogursky'ego, który zastąpił odwołanego Mečiara, opracował projekt, który w zasadzie nie wspominał o wspólnym państwie, szeroko natomiast wymieniał przyszłe kompetencje Bratysławy. W Czechach został uznany za nierealistyczny.

Wynik wyborów, odbywających się 5 i 6 czerwca 1992, nie był dla nikogo zaskoczeniem. Zgodnie z oczekiwaniami w Czechach wygrała prawicowa

ODS, zaś na Słowacji populistyczno-lewicująca HZDS. K. Wolf skwitował wyniki wyborów następująco: *Na pytanie, jak wypadły wyniki wyborów w Czechach i na Słowacji, najlepiej odpowiedzieć jednym słowem „przeciwnie". Z tego pierwszego „przeciwnie" logicznie wynika „przeciwnie" numer dwa. Dwie koncepcje reformy, równa się dwa państwa, a nie jedno.*

Wkrótce, a dokładnie 8 czerwca, rozpoczęły się negocjacje zwycięskich partii na temat przyszłości Czechosłowacji. Jednak już na wstępie okazało się, że ich koncepcje znacznie się od siebie różnią. ODS opowiadała się wprawdzie za decentralizacją, ale miała zostać zachowana chociażby wspólna polityka ekonomiczna. Na takie rozwiązanie nie zgadzała się HZDS. Mečiar ponadto zdecydowanie odrzucał ideę federacji i, przynajmniej oficjalnie, nadal opowiadał się za konfederacją. Jedna z bardziej popularnych wśród polityków HZDS koncepcji została przedstawiona nieco przypadkowo przez wiceprzewodniczących partii w rozmowie z wiceprzewodniczącymi ODS, która odbyła się w czasie rozmowy Klausa z Mečiarem. Była to koncepcja tzw. „związku ekonomiczno-obronnego". Pod tą nazwą kryła się wizja państwa dualistycznego - z dwoma bankami emisyjnymi, lecz jedną walutą, dwiema armiami, chociaż jednym sztabem generalnym, a także osobną podmiotowością prawną. Obaj premierzy o całej rozmowie dowiedzieli się dopiero po zakończeniu swojego spotkania, obaj nie kryli oburzenia. Klaus, bo z wizją nie mógł się zgodzić, a ponadto od Mečiara usłyszał coś zupełnie innego o dążeniach Słowaków. Mečiar, bo jego zastępcy zachowali się całkowicie nieodpowiedzialnie. Mimo to na następne spotkanie delegacja czeska przygotowała nowe propozycje dla strony słowackiej. Chodziło w nich przede wszystkim o wsparcie finansowe dla gospodarki słowackiej oraz fotel premiera rządu federalnego w zamian za utrzymanie federacji. Mečiar nie chciał jednak, z przyczyn, które podałem wyżej, wejść do rządu federalnego. Krok ten wydawał się również potwierdzać fakt, że szef HZDS nie wierzył w przyszłość federacji. Dla siebie wolał zarezerwować funkcję słowackiego szefa rządu. Wkrótce również Klaus, desygnowany przez prezydenta Havla na premiera rządu federalnego, zdecydował się wybrać tekę premiera czeskiego. Jak skomentował to jeden z polityków ODS, partia utraciła wiarę w możliwość zachowania federacji. Za utrzymaniem federacji opowiadały się nadal partie opozycyjne. Próbowały doprowadzić do referendum, w którym, jak się wydaje, miałyby szanse zwycięstwa. O ile jednak początkowo za rozpadem federacji opowiadało się więcej Słowaków niż Czechów, to już w drugiej połowie 1992 roku tendencje się odwróciły.

Rozmowy na linii ODS-HZDS trwały nadal, ale już wówczas pojawiło się przekonanie, że nie tylko federacji, ale nawet idei jakiegokolwiek wspólnego państwa nie uda się ocalić. Wkrótce ustalono, że od 1 stycznia obydwie republiki będą miały swoje własne budżety, a do końca września o przyszłości federacji miały zadecydować parlamenty narodowe. Tymczasem wydarzenia

ważnej rangi miały miejsce na Słowacji. Po ukonstytuowaniu się rządu Mečiara rozpoczął on „wielką czystkę". W kilka dni później, 17 lipca, słowacki parlament uchwalił deklarację suwerenności. Głosowanie było imienne, transmitowane przez telewizję, w celu wywołania większej presji na posłów. Po tym akcie politycznym droga odwrotu została raz na zawsze zamknięta. Negocjacje pomiędzy Czechami a Słowakami trwały nadal, ale ich zasadniczym zagadnieniem stało się już tylko uzgodnienie warunków rozpadu wspólnego państwa. Mimo to rozmowy przebiegały często w napiętej atmosferze. Decydowano zarówno o sprawach ogólnych (podział majątku) jak i bardzo szczegółowych. Największy postęp w negocjacjach, włącznie z ustaleniem kalendarza oraz sposobu dochodzenia do pełnego usamodzielnienia się republik, ustalono na spotkaniu w Brnie 26 sierpnia 1992. Efektem wielu następnych rund negocjacji był ostateczny projekt ustawy o zaniku federacji. Jego los w parlamencie federalnym wcale jednak nie był przesądzony. Opozycja nadal próbowała doprowadzić do referendum lub w inny sposób blokować jej przyjęcie. W tej sytuacji 19 listopada parlament czeski wraz z rządem zadecydowały, że przejmują pełną odpowiedzialność za dalsze losy kraju. W efekcie 25 listopada udało się uzyskać wymaganą większość głosów, potrzebną do przyjęcia ustawy. Nie było jednak na sali atmosfery triumfu. Wyraźnie cieszyli się jedynie słowaccy narodowcy. Pozostali głosujący za wyrażali jedynie radość, że proces „rozwodu" do końca nie wymknął się spod kontroli. Nadal nie wszystkie szczegóły podziału, który zbliżał się z każdym dniem, zostały ustalone. Negocjacje, zwłaszcza w sprawach finansowych, trwały, odbywały się jednak w nieprzyjemnej atmosferze targów i podważania wcześniej już uzgodnionych decyzji. Zresztą spory na tematy majątkowe toczą się do dnia dzisiejszego. Mimo to nikt ani nic nie było już w stanie zmienić faktu, że wspólne państwo Czechów i Słowaków przestało istnieć 1 stycznia 1993 roku.

Czy podział Czechosłowacji był rzeczywiście nieunikniony? Kwestia ta pozostaje sporna. Moim zdaniem po 1989 roku szanse na zachowanie wspólnego państwa Czechów i Słowaków nie były duże. Po „aksamitnej rewolucji" konieczność redefinicji podstaw związku obydwu narodów wydawała się niepodważalna. Strona słowacka z okresu komunizmu wychodziła z silnym przekonaniem o nierównym traktowaniu obu republik. Okazja do zmian stała się okazją do wywalczenia lepszej pozycji dla siebie. Czesi natomiast nie bardzo rozumieli powody, dla których Słowacy czuli się pokrzywdzeni. Wskazywali na ogromne zyski, zwłaszcza natury ekonomicznej, jakie niewątpliwie bardziej zacofana gospodarczo część kraju czerpała ze wspólnego państwa. To wzajemne niezrozumienie stanowiło podstawowy problem w kwestii ustalenia pewnych wspólnych, podstawowych celów. Z czasem zaczęło się budzić słowackie poczucie świadomości narodowej. Pewna grupa polityków, na czele z premierem Mečiarem, zdała sobie sprawę z tego, że naj-

korzystniejsze byłoby posiadanie przez Bratysławę jak największego zakresu władzy. Dążyła stopniowo do realizacji swego celu. Z czasem przerodził się on aż w ideę pełnej suwerenności (Słowacy nigdy w dotychczasowej historii nie posiadali własnego, w pełni niezależnego państwa). Na tym etapie właściwie przyszłości federacji nie dało się już uratować. Wydaje się więc, że jedyna niewykorzystana szansa na to, by Czechosłowacja istniała nadal, została zaprzepaszczona już wkrótce po „aksamitnej rewolucji". Wszystkie późniejsze próby jej ratowania były raczej skazane na niepowodzenie. Często podkreśla się znaczący wpływ, jaki na proces rozpadu Czechosłowacji odegrali Václav Klaus i Vladimír Mečiar. Ci politycy, mimo że całkowicie odmienni tak pod względem wyznawanych ideologii jak i pod względem charakterów, w krytycznych momentach potrafili osiągnąć przynajmniej minimum porozumienia. Jednak wydaje się, że nawet oni sami, gdyby starali się tego dokonać, nie byliby w stanie zatrzymać raz wprawionej w ruch machiny, która zaczęła jednoznacznie nabierać kursu na wzajemne rozejście się.

ADAM BIERNAT

PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (5)

UROCZYSTOŚCI SZKOLNE

W listopadzie 1925 roku zaczęto przygotowywać w szkole wydziałowej przedstawienie szkolne „Jasełka". Reżyserem był dyrektor Biel. Próby odbywały się początkowo przed lub po nauce. Śpiewy (kolędy) ćwiczył ks. Mokrysz. Kostiumy (12 pasterzy, 30 aniołów i inne) przygotowywali naucz. Synowcówna i Górniak, Scenografię naucz. Szymonik i Słowik. W okresie przedświątecznym próby odbywały się w sali Hütnera. W sztuce miałem rolę górnika. Mówiłem długi wiersz, składając Dzieciątku u żłóbka bryłę węgla.

Pierwsze przedstawienie odbyło się w święto Szczepana. Publiczność dopisała nadspodziewanie. Postanowiono więc sztukę powtórzyć w Nowy Rok. I tym razem sala była pełna. Trud nie poszedł na marne. „Jasełka" swoją barwnością i wykonaniem dały publiczności nadzwyczaj piękne obrazy, jak pasterzy w lesie, obrazek stajenki i wreszcie scenę z okrutnym Herodem. Śpie-

wom towarzyszył fortepian. „Jasełka" pozostawiły miłe wspomnienia, gronu nauczycielskiemu i szkole pełne uznanie.

Równocześnie urządzono dla nas „Gwiazdkę", która tym razem miała w programie śpiew kolęd i deklamacje o świętach, o choince i o Nowym Roku. Zostaliśmy obdarowani struclami i paczkami z łakociami. Pamiętano także o ubogich i obdarowano ich bucikami lub ubraniami.

Piękną uroczystością szkolną był Festyn Szkolny w Lasku Adamczyka, podczas którego wprowadzono pewne urozmaicenia. Dotychczas popisywano się na festynach tylko ćwiczeniami wolnymi oraz śpiewem. W tym roku wyćwiczył z nami naucz. Górniak piramidy. Uczyliśmy się ich prawie całą zimę. Były bardzo efektowne, ale dosyć trudne do wykonania. Zawsze na lekcji gimnastyki usuwaliśmy w klasie ławki i ćwiczyliśmy piramidy. Dziewczyny miały ćwiczenia wolne połączone z pląsami - a więc też występ efektowniejszy niż dotychczas. Godne uwagi były też zabawy na festynie. Były to wyścigi w workach, wdrapywanie się po żerdzi po łup oraz na trzeciaka i ze starszymi. Dużo uciechy wprowadził ojciec księdza Mokrysza, który miał na sobie na nitkach porozwieszane różne cukierki, które było mu trzeba w ruchu złapać i urwać sobie.

Opisane uroczystości szkolne były organizowane przez Rodzinę Opiekuńczą jako przyszkolną organizację dla zyskiwania funduszy na cele szkolne. Rodzinę Opiekuńczą tworzyli przeważnie rodzice.

WYCIECZKA: CZANTORIA - STOŻEK

Ileż radości i uciechy mieliśmy na wieść, że w czerwcu 1926 organizuje się w szkole wycieczkę w góry na Czantorię i Stożek i to na 2 dni. Miała jechać tylko druga i trzecia klasa. Ożyły nasze wspomnienia z roku ubiegłego, więc każdy już zawczasu oszczędzał potrzebne pieniądze. Zaczęły się energiczne przygotowania - bo to na 2 dni! Już wczesnym rankiem nie mogłem spać, oczekując godziny wymarszu. Do pociągu w Boguminie stawili się wszyscy na czas, uśmiechnięci, że dopisuje pogoda. Jakże nam wszystkim było wesoło w pociągu aż do Bystrzycy n/Olzą. Stąd szliśmy piechotą przez Nydek aż na Czantorię. Na szczycie odpoczęliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po grzbietach górskich przez Soszów podążaliśmy na Stożek. Pogoda była wyśmienita, więc też mogliśmy dokładnie oglądać okolicę, te piękne lasy i chatki góralskie, a przy nich poletka. Przechodziliśmy zaś przez pasmo graniczne: po lewej stronie była Polska, a po prawej nasza Republika. Każdy naturalnie kierował wzrok ku Polsce, ku tym dalekim krainom naszej ojczyzny, do której i my należymy, chociaż mieszkamy poza jej granicami. Mieliśmy dziwne jakieś uczucie, czy to tęsknoty?

Z dala było już widać górę Stożek w kształcie naprawdę geometrycznego stożka. Droga szła już stromo w górę, każdy spocił się, nim dopiął celu i znalazł się koło schroniska. Odpoczynek na szczycie góry był faktycznie pożądany - położyliśmy się wnet na rozgrzanej trawie, lecz nie na długo. Jakżesz tu przecież leżeć bezczynnie, mając dookoła tyle ciekawych rzeczy: najpiękniejsze widoki okolicznych szczytów górskich, zwłaszcza w Polsce, wielkie doliny, nawet Wisła w dali, a na stokach stada owiec i krówki brzęczące swoimi dzwoneczkami. Śliczna pogoda dodawała uroku.

Nocowaliśmy w schronisku na strychu. Szliśmy spać dosyć późno, więc każdy usnął prędko i spał nieprzerwanie całą noc. Wcześnie rano byliśmy już na nogach i hajdy myć się - do źródła do pasa! To była kąpiel! Smakowało śniadanie!... Opróżniały się nam tornistry.

Do trzeciej godziny popołudniu mieliśmy wolne. Jedni więc zabawiali się wspólnie przy schronisku piłką, inni grupkami rozciągali się na polanie. Większość jednak pomaszerowała „ku kamieniu". Byłem między nimi, pragnąc zobaczyć sterczący ogromny kamień. Stąd roztaczał się śliczny widok na szczyty górskie, nawet w oddali było widać szczyty Tatr.

Roześmiane twarze, wesołe nawoływania, śpiewy i radosne rozmowy - to wyrazy zadowolenia z wesołego i przyjemnego pobytu na Stożku. Nic też dziwnego, że z niezadowoleniem przejęto sygnał gwizdka, nawołującego do zbiórki i przygotowania do powrotu ze Stożka. Rozbrzmiała z pełnych piersi znana melodia „Góralu, czy ci nie żal" i powędrowaliśmy w dół. Przyszliśmy do Nawsia koło Jabłonkowa, skąd pociągiem jechaliśmy do Bogumina. Skończyła się nasza piękna dwudniowa wycieczka.

MÓJ CODZIENNY TRYB ŻYCIA

Naturalnie za przykład posłuży przeciętny dzień powszedni. Wstawać było trzeba o wpół do szóstej rano. Mama moja wstawała pół godziny wcześniej. Mycie się z garnka, ubieranie i śniadanko, przygotowywane starannie przez mamę, trwały dobrą półgodzinkę. Do ustępu trzeba było iść przez podwórze (przez plac) ku gnojowisku, gdzie była budka.

Przed wpół do siódmej wychodziłem z domu. O wpół do siódmej „huczało" (syrena u Hahna), kiedy byłem koło Szkuty przy lasku. O siódmej huczało, kiedy byłem koło Pěluchy, a potem już szło się (większością w błocie) koło Waroszowego lasu do szkoły. Naukę rozpoczynało się o wpół do ósmej. Trzeba więc było śpieszyć się, aby zdążyć na czas do szkoły. Czy więc padały deszcze, czy były śniegi (i po kolana), trzeba było iść - parasolki się nie uwzględniało, bo była dla całej rodziny tylko jedna i to tylko tatowi na święto. Butów

też nie było nazbyt. Każdy z nas miał jedne buty na „przez dzień", a jedne na niedzielę. Czyszczenie więc i suszenie butów było ważną sprawą i to musiał sobie załatwić każdy sam, inaczej szedł w wilgotnych butach i nogi mu w zimie marzły. Płaszcze nosiło się tylko w zimie.

W szkole była nauka przeciętnie 6 godzin - a wtedy byłem w domu koło godziny 14. Dwa razy w tygodniu była nauka popołudniowa. Mieliśmy wtedy pół godziny w południe w szkole na odpoczynek, a potem były rysunki czy gimnastyka lub ręczne roboty przez dwie godziny, a wtedy byłem w domu koło godziny 16. W lecie przyszło mi jeszcze paść krowy lub pomagać w pracy polnej przy sadzeniu ziemniaków, kopaniu ścierniska, zwózce siana lub przy zasiewach. Pracowałem do wieczora, do zmroku. Dopiero po wieczerzy mogłem odrabiać lekcje. Często wszyscy spali, a ja jeszcze pisałem zadanie lub uczyłem się zadanej lekcji, a potem dopiero mogłem spać.

W zimie było nieco inaczej. Nie było polnych prac, ale trzeba było sieczkę rżnąć dla konia i dla krów, było trzeba krajać „kwaki" czy karpiele dla świń, rzepę dla konia itd. Mieliliśmy także zboża na chleb domowy, na kołacze wielkości bochenka chleba - do tego mieliśmy własny swój młynek w małej kuchence. Często było trzeba pomóc przy rżnięciu drzewa na opał i szczypaniu drewien do składania ognia w piecyku lub w piecu kuchennym.

Wszystkie te usiłowania gospodarcze w naszej rodzinie nie pozostały bez znaczenia. Dzięki tym usiłowaniom mieliśmy podstawową żywność. Jedliśmy więc swojski, smaczny chleb upieczony w domu w „piekarszczoku". Mieliśmy swoje mleko i masło. Nie było trzeba kupować ziemniaków, fasoli, no i owoców. W stawie hodowaliśmy ryby (karpie) dla siebie i na sprzedaż (żydom). Był drób domowy, a więc kury i gęsi. Jadaliśmy często jajecznicę na śniadanie. Gęsi dostarczały pierza i smacznego mięsa na niedzielne obiady. W zimie mieliśmy przez świętami Bożego Narodzenia „zabijaczki". Było więc mięso i kiełbasy.

U PROGU TRZECIEJ KLASY SZKOŁY WYDZIAŁOWEJ

Po dwumiesięcznej przerwie wakacyjnej wstąpiłem 1.9.1926 do 3 klasy szkoły wydziałowej w Niemieckiej Lutyni. Przez poprzednie 2 lata zżyłem się z kolegami oraz nauczycielami, poznałem dokładnie warunki szkolne i w ogóle cały bieg szkoły.

Z radością więc witałem rozpoczęcie nowego roku szkolnego - tym razem już w najwyższej klasie wydziałowej, jaka była w Niem. Lutyni. Rozpoczęcie nowego roku szkolnego było przerwaniem zajęć domowych, których w czasie wakacji było dosyć dużo - przecież to głównie żniwa! Mieliśmy kawał pola,

więc roboty było pod dostatkiem: koszenie, zwózki, młócenie itd. Główne prace skończyły się i mogłem zająć się nauką. Ilość godzin nauki była największa, toteż większą część dnia byłem w szkole. O wpół do ósmej rano musiałem być w szkole, a spóźniania nie uwzględniano.

Wesoło wychodziłem już z domu, nawet podśpiewywałem sobie przez Pawlikowe doły, maszerując z książkami ku Lutyni. Parę razy przypominała mi te czasy sąsiadka stara Pawlica, czyli, jak ją wtedy nazywano, „Konradula", jak to było wesoło, kiedy przechodziłem ze śpiewem pod jej oknem. Prawie zawsze obudziła się, wiedząc, że to ja idę do szkoły, nawet wiedziała, która to godzin. Lubiła mnie i często dawała mi jabłka czy brzoskwinie.

Mało nas jednak było w 3 klasie, bo zaledwie 17 - 9 chłopców i 8 dziewczyn. Byłem najstarszy, a także wzrostem nie dorównywał mi nikt. W klasie siedziałem z dobrym kolegą nazwiskiem Józef Manderla z Niem. Lutyni. Z innych mogę wymienić Leosza Halfara z Rychwałdu, „wymastę", co się zowie, Skrzypka ze Skrzeczonia, małego jak mysikrólik, Stefana Sordyla z Niem. Lutyni, Albina Witę także z N. Lutyni, Pukowca z ułomnym, bielmem zakrytym okiem z Granecznika, oraz Marosza ze Zabłocia, niedobrego w nauce, był ciężarem klasy. Z dziewczyn była Wanda Kuczówna ze Zabłocia, która niekiedy szła z nami przez Zbytki. Dalej: Anna Jurczykówna ze Zbytek, Jaworzynówna ze Skrzeczonia oraz milutka i wesoła Kamila Ligusówna także ze Skrzeczonia. Na ogół tworzyliśmy klasę jakościowo dobrą, a jak się później dowiedzieliśmy z ust nauczycieli: była to klasa bardzo sympatyczna. Bo też nie było z nami żadnych większych kłopotów!

Gospodarzem naszej 3 klasy był tym razem naucz. Franciszek Szymonik, gdyż naucz. Jan Górniak w tym roku przeszedł do miejscowej polskiej szkoły ludowej jako kierownik. Grono nauczycielskie przedstawiało się następująco: dyrektor szkoły Karol Biel, który oprócz nauki obywatelskiej uczył nas geometrii i rysunków geometrycznych, Franciszek Szymonik: język polski, historia powszechna, geografia, śpiew i gimnastyka chłopców, Karol Słowik: przyroda, fizyka i rachunki, Waleria Synowcówna: język czeski, język niemiecki i rys. „wolnoręczne".

UKIERUNKOWANIE ŻYCIOWE

Jak pierwsze dwa lata tak i trzeci rok szkoły wydziałowej byłem celującym, najlepszym uczniem szkoły. Toteż po jej ukończeniu nauczyciele wraz z dyrektorem szkoły doradzali mi, żebym szedł gdzieś dalej do szkoły - lecz gdzie, jak lub w jaki sposób się tam dostać? Sprawa nie była tak łatwa. Mój ojciec uważał szkołę za stratę czasu. U niego ręce zdrowe i praca stanowiły to najwłaściwsze,

czego w życiu potrzeba. Dawno sobie umyślił, że po nich przejmę gospodarstwo i będę pracował na roli. Matka była innego zdania i radziła mi się uczyć.

Ważnym momentem był list z Seminarium Nauczycielskiego w Śląskiej Ostrawie, adresowany do dyrekcji szkoły wydziałowej, zawiadamiający szkołę o możliwości przyjęcia jednego kandydata. Był również podany termin egzaminu wstępnego. Wprawdzie list ten podano do wiadomości całej klasie, lecz kandydata nie było - każdy patrzył na mnie jako na „celera" szkoły i jedynego do dalszych studiów.

Zaczęto więc działać. Nauczyciele kilka razy byli u ojca, przekonując go, by wysłał mnie do wyższej szkoły. Przymawiała się także moja matka. Wspólnymi siłami udało się wreszcie nakłonić ojca do zgody na wysłanie mnie do egzaminu wstępnego. Dyrekcja więc zgłosiła mnie jako jedynego kandydata do Ostrawy.

Wszystko zależało od złożenia egzaminu wstępnego. W owym to dniu 29.6.1927 wyjechałem wcześnie rano z nauczycielem Szymonikiem, który zaprowadził mnie do budynku Seminarium Nauczycielskiego w Śląskiej Ostrawie, gdyż ja do owego czasu jeszcze w Ostrawie nie byłem w ogóle. Naturalnie, że dusza mi ścierpła - wszystko tu było dla mnie obce i jakieś do głębi przejmujące. Naucz. Szymonik zgłosił mnie do egzaminu i oddał w kancelarii moje świadectwa szkolne. W całym budynku roiło się od studentów, którzy właśnie kończyli rok szkolny. Inni znowu przychodzili jak ja do egzaminu wstępnego. Do polskich paralelek Seminarium Nauczycielskiego zgłosiło się koło 75 kandydatów. Było więc w czym wybierać. Przeważnie byli tacy, co ukończyli 4 klasy szkoły wydziałowej albo 4 klasy gimnazjalne. A ja miałem tylko 3 klasy wydziałówki!

Wreszcie wpuszczono nas do jednej z dużych klas - auli, gdzie zajęliśmy dowolne miejsca i czekali na pierwszy egzamin - pisemny z języka polskiego. Tematem była „Ostatnia moja wycieczka" w góry. Kto napisał, oddał swoje wypracowanie dozorującemu profesorowi i wychodził na korytarz. Stąd przeszliśmy do innej klasy do egzaminu z rachunków - były przykłady na wnioskowania i obliczenia powierzchni sześcioboku umiarowego, w którym podana była średnica. Na tym kończył się nasz egzamin pisemny.

Po południu odbywały się egzaminy ustne. Trzeba było iść ku poszczególnym profesorom i odpowiadać na pytania. Z języka polskiego było przeczytanie jakiegoś wyjątku, opowiedzenie jego treści i rozbiór zdania na części mowy i budowę zdań (podmiot i orzeczenie). W innej klasie egzaminowano nas z jęz. czeskiego, a więc było czytanie i wyszukiwanie - podstatných jmen a sloves. Trzeci egzamin ustny był z rachunków czyli matematyki: podnoszenie do drugiej potęgi i proste działania z algebry oraz coś z geometrii.

c.d.n.



Józef Szymeczek wśród delegatów spotkania przed budynkiem Rady Wojewódzkiej w Suczawie.

BLIŻEJ SIEBIE - MIGAWKI Z BUKOWINY

Zaproszenie do Rumunii, na robocze spotkanie przedstawicieli organizacji polonijnych grupy krajów Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej (Austrii, Bułgarii, Chorwacji, Czech, Jugosławii, Macedonii, Słowacji, Słowenii, Rumunii i Węgier) oraz przedstawicieli Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych, było wielkim zaskoczeniem, które przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony był to miły i wielki zaszczyt, z drugiej zaś pojawiła się niepewność na skutek opinii, które krążą o tym ciekawym i uroczym bałkańskim kraju, co udało nam się stwierdzić niebawem. Zaolzie reprezentował również obecny prezes Kongresu Polaków w RC - Józef Szymeczek, który okazał się niezawodnym towarzyszem podróży. Rzut oka na mapę sugerował kilka różnych dróg, które zaprowadziłyby nas do celu - do Suczawy. Z wielu różnych powodów obrana okrężna trasa była może długa, ale - jak się później okazało - ciekawa i wygodna.

Po wyjeździe pierwsza poważniejsza przesiadka ma miejsce w Wiedniu. Z dworca Südbahnhof przemieszczamy się tramwajem nr 18 na dworzec Westbahnhof. Ciekawe, że człowiek w podróży zauważa i reaguje nawet na najdrobniejsze ślady tego, co jest mu bliskie, swojskie - polskie. Pod olbrzymim plakatem z napisem reklamującym zakończoną już wystawę słynnych fresków z Faras grzała serce informacja, że od grudnia 2002 do marca 2003 w renomowanym Kunsthistorisches Museum przebiegać będzie wystawa „Skarbiec Polski", która zaprezentuje publiczności zbiory polskiej sztuki w ramach Roku Polskiego. Na dworcu zachodnim już inny klimat, inne języki, twarze, koloryt. Po podstawieniu pociągu o dumnej nazwie Dacia Expres kursującego na trasie Wiedeń - Bukareszt szukamy swoich kuszetek. Po chwili dosiadają się do nas dwaj młodzi Rumuni, którzy wracają z Wiednia do rodzinnego Ploiesti. Z tego wynika, że przyjdzie nam większą część drogi spędzić razem. Starszy z nich nawet swego czasu ubiegał się o azyl w Czechach i jego fragmentaryczna znajomość czeskiego ułatwiła nam rozmowę, która przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Tu zyskujemy pierwsze informacje o Rumunii, padają oceny, opinie. Również ta, że Rumuni często są traktowani jako ludzie „drugiej kategorii", a zachowanie celników wobec naszych nowych znajomych tylko to potwierdza. W rozmowie poruszono również tematy bardzo przyjemne - kulinarne. Koniecznie powinniśmy skosztować, jak smakuje typowe rumuńskie danie narodowe - sarmale cuâmâmâlig, czyli coś, co przypomina do złudzenia małe polskie gołąbki pakowane w liście winorośli z kaszą kukurydzianą. Smacznego. Pyszne, wyśmienite...! Podobne superlatywy można napisać o rumuńskim winie.

Na stacji granicznej w Curtici ważna zmiana - trzeba przesunąć wska-

zówki na zegarkach o jedną godzinę do przodu. Jest więc czwarta nad ranem - pora spać. W przegrzanym przedziale świetnie sprawdziła się puszka po piwie w oknie, która pełniła funkcję wentylatora.

Pierwsze wrażenia to kontrasty - pola kukurydzy, słońce i góry. Stada pasących się owiec, opuszczone fabryki-widma, piękne pensjonaty i hotele na tle szczytów pełnych majestatu, które wynurzają się powoli z mgły. Na drogach przewaga dacii i furmanek. Nasze ciekawe spojrzenia wchłaniają cały ten koloryt, ale przed nami już bukareszteński Dworzec Północny i ostatnia przesiadka do „rapidu" do Suczawy, który zaskakuje nas europejskim standardem i regularnie przemierzającą cały skład pociągu „sprzątaczką", która dbała o czystość i skrzętnie zbierała niedopałki papierosów na korytarzu itp.

Na północy Rumunii, nad brzegami rzeki Suczawy rozciąga się malowniczo 150 000 miasto o tym samym imieniu. Suceava, czyli Suczawa jest ostatnią stolicą historycznej Mołdawii i centrum okręgu, z którym od XVIII wieku wiele tysięcy Polaków połączyło swoje losy. Według oficjalnych danych, pochodzących ze spisu ludności z 1992 roku, mieszka ich na Bukowinie około 4 200. (Dane z ostatniego spisu ludności nie zostały jeszcze potwierdzone.) Przedstawiciele miejscowej Polonii są jednak zdania, że z różnych przyczyn liczbę tę należałoby podwoić.

W tym właśnie mieście, w którym historia skupiła jeszcze inne odrębne kulturowo i językowo mniejszości, od 19 do 22 września 2002 roku bardzo często rozbrzmiewała polszczyzna. Robocze spotkanie przedstawicieli organizacji polonijnych wyżej wymienionych państw zbiegło się z IV edycją Dni Polskich w Suczawie, które są połączeniem konferencji popularnonaukowej poświęconej tematyce stosunków polsko-rumuńskich i cyklu imprez kulturalnych, które odbywają się nie tylko w samej Suczawie, ale również w okolicznych miejscowościach i wsiach. Naczelne hasło i temat tegorocznego suczawskiego spotkania brzmi „Bliżej siebie". Bardzo trafnie i znamiennie.

W tym roku Dni Polskie zaszczyciła swą obecnością delegacja parlamentarzystów polskich na czele z marszałkiem W. Stefaniukiem, jak również delegacja województwa śląskiego, które już od lat współpracuje z tym regionem na szczeblu tak wojewódzkim, jak też regionalnym, gminnym i miejskim. Uczestników Spotkania Regionalnego bardzo serdecznie i ciepło przywitała w imieniu gospodarzy Stanisława Jakimowska i prezes Związku Polaków w Rumunii Gerwazy Longier, który jest równocześnie najmłodszym deputowanym rumuńskiego parlamentu. Konsul RP Marian Sekała oraz przedstawiciele lokalnych władz w swoich wystąpieniach powitalnych oprócz serdeczności podkreślali, że na Bukowinie już od dłuższego czasu działa w praktyce wzorcowy model współżycia różnych nacji. Zaproszenie na spotkanie przyjęła również pani Helena Miziniak, przewodnicząca Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych. Nie sposób wymienić tu wszystkich zacnych gości, którzy zjechali w tych dniach na Bukowinę.



Dom Polski w Nowym Sołońcu

Spotkanie Regionalne umożliwiło bardzo ciekawą i rzeczową wymianę doświadczeń i nawiązanie nowych kontaktów. Na zakończenie uchwalono szereg wniosków, które z pewnością mogą zainteresować również naszego czytelnika. Oto niektóre z nich: umocnić w poszczególnych państwach status Polonii, wzbogacić ofertę działań w środowiskach polonijnych (nacisk kładziono zwłaszcza na młodzież i seniorów), zmienić nastawienie organizacji polonijnych - otworzyć się na świat i podjąć współpracę ponadlokalną z innymi ośrodkami i organizacjami polonijnymi, korzystać w pracy ze środków masowego przekazu (lokalna prasa, radio, telewizja, TV Polonia itp.) i nowych możliwości, które stwarza sieć internetowa.

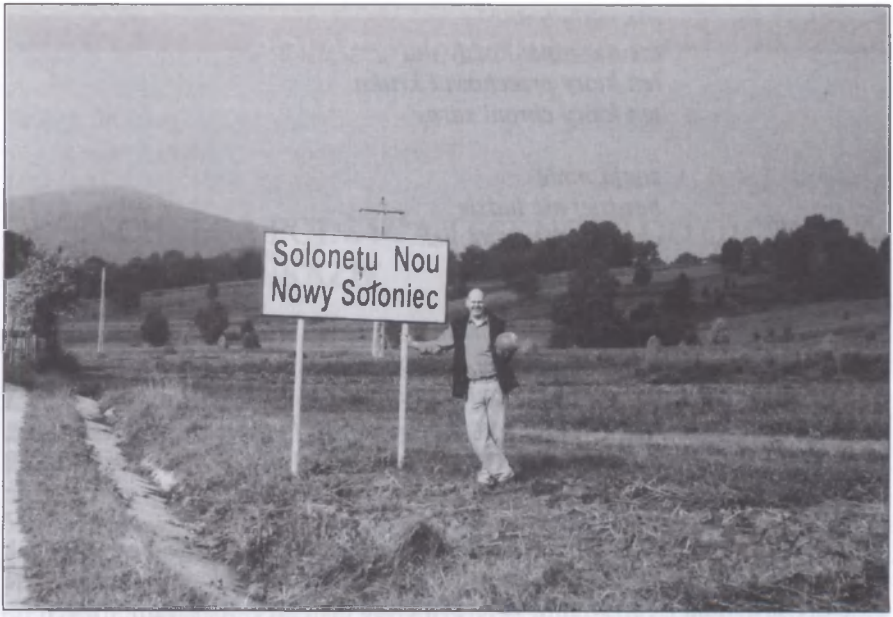
Na przebiegającej równolegle sesji popularnonaukowej również zabrzmiało wiele interesujących wykładów. Specjaliści i pasjonaci zajmujący się problematyką stosunków polsko-rumuńskich poruszali tematy bardzo różne. Jedne dotyczyły historii, inne zjawisk socjologicznych, językowych, zwyczajów, wierzeń i ikonografii malowanych cerkwi na Bukowinie.

Całość już tak bardzo bogatego programu gospodarze ozdobili jeszcze dodatkowo szeregiem imprez towarzyszących, spotkań, seansów filmowych, wieczorów autorskich, prezentacji, spektakli teatralnych i wycieczek. W swoisty klimat Bukowiny wprowadziła nas wystawa fotografii Bukowińskie bar-

wy. Malownicze położenie tego obszaru, leżącego na wschodnim łuku Karpat, odkryła przed nami wycieczka do okolic Suczawy. Zmienność struktury terenu, zaskakujące, wynurzające się zza zakrętu widoki, nieśmiałe jeszcze akordy jesiennej już szaty łąk, lasów, dolin i wzgórz zapierały dech w piersiach. Urzekająca kolorystyka fresków w słynnych malowanych monastyrach zniewalała. Voronet i Humorului - nazwy tych miejscowości i widok tych świątyń trudno nawet opisać. Te unikatowe w skali światowej zabytki są prawdziwą dumą Bukowiny. Tu nie tylko malarze mogą się przekonać o tym, jak wygląda słynny „błękit z Voronetu", głęboka pełna zadumy purpura, tu czujemy dodatkowy wymiar każdego koloru. W Kaczyce można podziwiać stary szyb kopalni soli, zwiedzić jej podziemia lub wybrać się do „bukowińskiej Częstochowy", sanktuarium maryjnego wzniesionego przez misjonarzy z Krakowa dla polskich osadników. Dziś pielgrzymują tu katolicy z całej Rumunii. Do malowniczo położonej polskiej wsi Nowy Sołoniec doprowadziła nasz minibus słynna betonowa „droga Kwaśniewskiego" (w tym momencie zdałem sobie sprawę z faktu, jak bardzo popularny jest w Rumunii beton). Przy wjeździe wita nas elegancka dwujęzyczna tablica, a za nią czas jakby się zatrzymał prawie przed stu laty. Z malowanych domów, ozdobnych i surowych jednocześnie, promieniuje historia i codzienne życie zaklęte w ludowym hafcie i rzemiośle. Zmęczenie nie pozwala ogarnąć wszystkiego.

Zaobserwowana w krajobrazie zmienność form i struktur, która tworzy niepowtarzalną całość bukowińskiej aury, odczuwalna jest w ludowej muzyce i tańcu, co zaprezentował nam dobitnie zespół folklorystyczny im. Cipriana Porumbescu z Suczawy. Skoczne kaskady akordów i pełne temperamentu układy taneczne zmienia znienacka prosta pieśń pełna zadumy i melancholii. Wieczór, który poświęcony był spotkaniu z suczawską Polonią, uświetniły swymi występami także inne zespoły - Mała Pojana z Pojany, Istebna z Istebnej i Wańcy z Wisły. Dwa ostatnie z pewnością są już znane naszym miłośnikom folkloru. Trudno się dziwić, że po takiej rozgrzewce serca wszystkich uniosły się w krainę polskich pieśni patriotycznych, harcerskich i biesiadnych, które brzmiały w murach Domu Polskiego w Suczawie jeszcze długo, długo w noc.

Bukowina dzisiaj to kraina pogranicza mołdawsko-ukraińsko-rumuńskiego i bywa też czasami określana jako „Europa w miniaturze". Obok siebie żyją tu Rumuni, Ukraińcy, Polacy, Ormianie, Rosjanie, Romowie, Żydzi... Polacy dzięki swej aktywności są jedną z najwidoczniejszych mniejszości. Związek Polaków w Rumunii zrzesza 17 stowarzyszeń (kół miejscowych), które działają na przykład w takich miejscowościach jak: Nowy Sołoniec, Plesza, Pojana Mikuli, Paltinoasa. W tej ostatniej otwarto przed niespełna dwoma laty nowy Dom Polski, najmłodszy z pięciu, jakie działają na Bukowinie, który dysponuje nawet 30 miejscami noclegowymi. Tu działa zespół folklorystyczny Kwiaty Bukowca, który swą nazwę przejął od nazwy



Autor artykułu przy wjeździe do Nowego Sołońca

części wsi jakże swojsko brzmiącej dla Zaolziaka - Bukowiec. Swymi zespołami mogą się też pochwalić inne wioski: Nowy Sołoniec - Sołonczanką i kapelą ludową Dolina Nowego Sołońca, Pojana Mikuli - Małą Pojaną. Folklor i tradycja tworzenia wspólnoty to z pewnością najważniejsze elementy, które pozwalają zachować Polakom na Bukowinie własną tożsamość, własną twarz.

Związek Polaków prowadzi również ciekawą działalność wydawniczą, oprócz regularnych periodyków wydaje publikacje naukowe dotyczące polsko-rumuńskiego pogranicza, promuje rodzimych twórców. Przykładowo poetę i rzeźbiarza Bolka Majerika, który fenomen Bukowiny i jej mieszkańców uchwycił w pięknej poetyckiej wizji w wierszu pod tytułem „Bukowy las".

Bukowy las

Czasem błądzę
wśród rodziny bukowych drzew
bracia o wyjątkowej skórze

nie mają imion
ale dla mnie każdy ma
ten który przechował kruka
ten który chroni sarny

znają mnie
bardziej niż ludzie
chodzę nieraz do nich
na rozmowę

mają takie wolne dusze
tak często jestem ich gościem
a nieraz wysyłają mi wiadomość
napisaną na własnej niebieskiej korze

To może właśnie wolne bukowińskie dusze jej mieszkańców, podobnie jak te wolne dusze drzew pomagają współżyć i trwać na ciekawej ziemi, gdzie kościoły sąsiadują z cerkwiami, święte miejsca ormian z obszarami innych religii, wyznań i kultur.

Ponownie powrót do rzeczywistości. Podczas kolacji pożegnalnej spoza przesytu wrażeń wysuwa się jedna z ostatnich refleksji. Jak się żyje przeciętnym obywatelom? Skromnie. Poza tym widać wyraźnie, że północ Rumunii jest uboższa od południa. Na wsi warunki są często bardzo, bardzo skromne. Wielu Rumunów zmuszonych jest wobec tego do szukania pracy poza granicami kraju. Wyjeżdżają i pracują, gdzie się da - w Austrii, Niemczech, Turcji, Izraelu... Pomagają swoim bliskim. W niektórych miejscowościach nawet co druga rodzina ma takie źródło dochodów. Wraca natrętna myśl o kontrastach.

Ale to już ostatni wspólny posiłek. Na twarzach naszych gospodarzy pomimo zmęczenia widać gościnność i otwartość. Teraz uświadamiam sobie, że to właśnie takie uczucie towarzyszyło nam w pociągu, na dworcu, na ulicy w Suczawie, a nie tylko w barze u Tekli czy U Bolka i Lolka (dwa popularne lokale w Nowym Sołońcu). Ostatnie podziękowania, spojrzenia, uściski dłoni pożegnania. Pora pakować plecaki i walizki. Kilka godzin snu i wracamy. Wracamy bogatsi i z dużym bagażem wrażeń.

Stara to prawda, że podróże kształcą. Wypada dodać, że pomagają nam też obalać mity, jak chociażby te o Rumunach i Rumunii.

WŁADYSŁAW KUBIEŃ
Fotografie autora

GŁÓD CHLEBA PODSYCA TĘSKNOTĘ DO OJCZYZNY
POLACY NA KAUKAZIE

W 1994 roku dla ratowania polskości na Kaukazie założony został Związek Kulturalno-Oświatowy Polaków w Gruzji Polonia, laureat wręczonej w tym roku w Tarnowie podczas Światowego Forum Mediów Polonijnych nagrody Fidelis Poloniae. W uzasadnieniu decyzji o przyznaniu tej nagrody czytamy: *Związek w ciągu minionych sześciu lat w sposób bezprecedensowy zdołał odrodzić polskość z popiołów poprzez niezmordowaną i pełną poświęcenia działalność grupy intelektualistów z prof. Marią Filiną na czele* (profesor dr hab. Maria Filina-Ramiszwili, wykładowca literatury na uniwersytecie w Tbilisi w Gruzji, jest inicjatorką powstania i prezesem Związku), *działając w ekstremalnie trudnych warunkach, zorganizował z wielkim sukcesem wiele konferencji naukowych i kulturalnych związanych z wielkimi rocznicami narodowymi, a więc Dni Mickiewiczowskich, Dni Juliusza Słowackiego, Dni Fryderyka Chopina, a pięciolecie działalności uczczone zostało poważną konferencją naukową „200 lat Polaków na Kaukazie". Związek także wspomaga bytowo swoich członków i wszystkich Polaków w Gruzji poprzez organizowanie akcji charytatywnych i opieki medycznej. To dzięki tej organizacji kraj dowiedział się o istnieniu bardzo biednej Polonii na Kaukazie.*

Polacy na Kaukazie - głównie w Gruzji - nazywani są najstarszą Polonią świata. Ich przodkowie nie znaleźli się tam jednak dobrowolnie. Byli zesłańcami, ofiarami carskich prześladowań. Pierwsza ich fala napłynęła już po rozbiorach Polski, czyli u schyłku XVIII wieku. Następna grupa Polaków osiedliła się w Gruzji po upadku powstania listopadowego. Dzisiejsza gruzińska Polonia to głównie potomkowie powstańców styczniowych, którym częściowo udało się zachować język pradziadów lub chociażby świadomość i pamięć o swych korzeniach. Mimo że przez całe lata, właściwie od pierwszej wojny światowej, musieli ukrywać swoje pochodzenie, nie mieli kontaktu z Polską lub był on bardzo utrudniony i sporadyczny. Wielki procent polskiej emigracji w Gruzji stanowiła, i tak pozostało do dziś, inteligencja.

Obecnie żyje w Gruzji kilka tysięcy osób polskiego pochodzenia, z cze-

go około trzech tysięcy to mieszkańcy Tbilisi. Polskość utrzymywana jest przede wszystkim poprzez działający tu od stu pięćdziesięciu lat Kościół katolicki, w parafii jest ksiądz Polak z Litwy, który potrafił przyciągnąć do siebie także młodzież. Od ośmiu lat istnieje Związek Kulturalno-Oświatowy Polaków w Gruzji Polonia, Polonusi zbierają się w powstałym niedawno Klubie Polskim, który stara się utrzymać kontakt z Polską. W Polsce szukają wsparcia i pomocy.

A pomoc ta potrzebna jest w wielu dziedzinach, bowiem sytuacja gospodarcza Gruzji jest tragiczna. Szaleje wojna domowa pomiędzy różnymi mniejszościami narodowymi i etnicznymi. Gospodarka jest w stanie rozkładu, hiperinflacja winduje ceny, wielu ludziom zagląda w oczy głód. W roku ubiegłym wprowadzono w Gruzji na jakiś czas nowy pieniądz, tzw. kupony. Za kupony można kupić dotowany przez państwo chleb oraz bilety komunikacji miejskiej i opłacić czynsz. Inne towary sprzedawane są za ruble na bazarach i w sklepach komercyjnych. Pensję dostaje się w kuponach, których wartość w relacji do rubla wynosiła w roku ubiegłym jeden do jednego. Jednak inflacja zrobiła swoje i w tym roku za jeden rubel trzeba zapłacić już pięćset kuponów. A jeden dolar to prawie milion kuponów. Średnia pensja wynosi około trzysta tysięcy kuponów, co starcza na kupno półtora jajka. Popularny lek przeciwbólowy kosztuje pięć milionów kuponów. *Ja jako profesor* - mówi Maria Filina-Ramiszwili - *dostaję miesięczne wynagrodzenie w wysokości siedmiu set tysięcy kuponów, to jest siedemdziesiąt centów. Moja matka, która jako profesor-wynalazca przepracowała ponad pięćdziesiąt lat na Politechnice Tbilisi, otrzymuje emeryturę w wysokości sto trzydzieści do stu pięćdziesięciu tysięcy kuponów. Przyszła ostatnio do mnie do domu nauczycielka, u której głód zagościł w domu na dobre. Szczęśliwa opowiadała mi, że sprzedała jakieś książki, za które kupiła... dziesięć jajek. Czyż nie jest to absurdalne życie? A pomocy nie ma.*

Pomoc, jedyna, która przez Kościół dotarła do parafian, jest kroplą w morzu potrzeb. Większość posyłanych z zagranicy paczek rozkradana jest przez mafie, a zrabowane towary oferowane są następnie po cenach komercyjnych na bazarach. Część gruzińskich Polaków chciałaby zamieszkać w kraju swoich przodków - w Polsce. Na razie jest to niemożliwe, proszą więc chociaż o pomoc doraźną. Taką pomocą byłaby np. możliwość leczenia osób polskiego pochodzenia w Polsce lub wyjazdy dzieci na wakacje do ojczyzny swoich pradziadków. Pragną też Polacy w Gruzji nawiązać jak najszersze kontakty z rodakami w Polsce, którzy byliby im moralnym wsparciem w najtrudniejszych chwilach i nadzieją, że i dla nich nadejdą lepsze czasy.

CZESŁAWA RUDNIK

OD M'IRONII DO MIRONALIÓW

O twórczości Mirona Białoszewskiego w 80. rocznicę urodzin

Nim jeszcze Miron Białoszewski (1922–1983) opublikował swój pierwszy tomik poetycki, pozyskał sobie imię nowatora sceny polskiej. W roku 1955 założył w prywatnym mieszkaniu słynny wkrótce Teatr na Tarczyńskiej, nazywany później Teatrem Osobnym (zbiór tekstów dramatycznych pod tym tytułem wyszedł w 1971 roku), którego był autorem i aktorem. Już w utworach pisanych dla tej scenki zaczęły się wybijać na plan pierwszy dwie cechy, tak istotne dla całej jego twórczości: pozorna błahość podejmowanych tematów, dalekich od tego, co określać się zwykło jako wydarzenia znaczące, doniosłe, i język – na pierwszy rzut oka nieporządny, zdezorganizowany, będący nośnikiem „poetyki dnia codziennego", poetyki, w której zaskakuje się odbiorcę wieloznacznymi przejęzyczeniami i asocjacjami, swoistym wykorzystywaniem związków wyrazowych i metaforycznych, zdumiewa uwarunkowaniem akcji dramatycznej przez samo wypowiedzenie, jak w sztuce „Imiesłów" o kalamburowym podtytule gatunkowym: „gramat" (dwuznaczna zbitka słów „dramat" i „gramatyka").

Pierwszy tomik poezji „Obroty rzeczy" (1956), przekornie nawiązujący tytułem do dzieła Kopernika „O obrotach sfer niebieskich", był manifestacją sztuki skromnej, zajętej sprawami peryferyjnymi, przeciwstawiającej się sztuce „wysokiej", elitarnej. Odbierany też był jako swoiste „udosłownienie" haseł Awangardy Krakowskiej (np. „oszczędność słowa"), które doprowadzał niemal do absurdu.

Już w tym zbiorku Białoszewski zdystansował się od tradycyjnych ujęć artystycznych, naruszał przyjęte archetypy i konwencje odbioru poezji. Tematy jego wierszy zdawały się nieważne, w potocznej hierarchii wartości usytuowane niezmiernie nisko. Utwory były miniaturami niby-epigramatycznymi, osnutymi wokół sytuacji dotąd przez poezję nienobilitowanych. Kontekstem jego twórczości stawała się mowa „niska", kaleka, nieporadna, zakłócana błędami językowymi. Do poezji wprowadzał wrażenia, odczucia, nastroje i przedmioty, które dotąd nie miały do niej wstępu jako brzydkie, nieestetyczne, błahe, na pozór niewarte uwagi artysty (np. piec, cedzak, kołdra).

Polska liryka wieki całe za swój cel i zadanie uważała wypowiadanie prawd doniosłych, które miały szerokie, intersubiektywne znaczenie. Jeśli

sięgała do pozornie nic nieznaczących drobiazgów, to bądź w celach heroikomicznych (słynna „Oda do wąsów" Kniaźnina), bądź symbolizacyjnych. Chciała być ekspresją bardziej podniosłych doświadczeń egzystencjalnych niż zwykłe „Leżenia" (tytuł wiersza Białoszewskiego). Te „wysokie" tematy wymagały odpowiednio ukształtowanego języka literackiego.

Po drugiej wojnie światowej jednakże, na skutek zmniejszenia się elitarności środowiska inteligenckiego i jego wpływu na język ogólny, polski dialekt kulturalny zaczął otwierać się i wchłaniać wiele elementów, przed którymi dawniej by się wzdragał. W języku ogólnym zaczął szerzyć się typ wypowiedzi niestroniącej od uproszczeń, trywializmów, a nawet wulgaryzmów, a więc typ, który np. w Czechach funkcjonuje w literaturze już od międzywojnia. Polskie uwrażliwienia inteligenckie na kulturę i czystość języka weszły w owej dobie w spór z nowym typem wypowiedzi, w którym mogą się pojawiać zjawiska uznawane dawniej za sprzeczne z normą obowiązującą. Te same uwrażliwienia więc stawiały zrazu opór językowi pozbawionemu wytworności, rygorów dobrego wychowania, ale za to zyskującemu nacechowanie ekspresywne, wyrazistość, dosadność i pomysłowość ulicy, która w leksyce i frazeologii wchłania i zmienia nieustannie różne wyrażenia czerpane z dialektów i żargonów społecznych czy zawodowych.

Wydaje się, że w tym właśnie nurcie przemian kulturowych i językowych usytuowała się poezja Białoszewskiego, wykorzystująca wiele elementów odbieranych przez dawne poetyki jako niepoetyckie. Nie na próżno przecież przy okazji m.in. tej twórczości czołowy awangardzista J. Przyboś mówił o „ślepej uliczce poezji", o jej „turpizmie" (z łacińskiego „turpis" - „brzydki") i „mizerabilizmie" (łac. „żałosny, politowania godny"), co zresztą okazało się troską przesadną w odniesieniu do poezji czy szerzej - do słownej twórczości artystycznej.

Białoszewski jednakże, mimo zastrzeżeń krytyki, pozostawał wierny zarówno tworzonemu przez siebie peryferyjnemu obrazowi świata, jak i poetyce, która - nadal prowokując językowym kształtem - może tylko coraz bardziej zaczynała ciążyć ku dowcipowi językowemu. Odzwierciedliło się to już w samych wieloznacznych tytułach dalszych zbiorków poetyckich: „Rachunek zachciankowy" (1959), „Mylne wzruszenia" (1961), „Było i było" (1965). Język jego poezji nadal naruszał normy poprawności. Poeta kojarzył słowa niezwykłe lub na takie pozujące ze słowami pochodzącymi z kontekstów literacko-naukowych; kształtowane przez media, kalekie konwencje słowne - z bezradnością slangów, tworzących neologizmy na łapu-capu, poprzez fałszywe analogie czy wprowadzanie anachronizmów. W języku chwytał ten moment, kiedy dochodzi w nim do rozchwiania reguł, kiedy słowo rozsypuje się na nieporadne cząstecz-

ki, składane ponownie bez świadomości istnienia jakichkolwiek zasad, kiedy bezmyślnie i nieudolnie wykorzystuje się sztancę słowotwórczą, by przedrzeźniać wyrazy prawidłowe i wprowadzać potworkowate, mieszane przejęzyczenia.

To samo, co na poziomie słów, odgrywa się w poezji Białoszewskiego i na wyższym poziomie zdań. W mowie tej kojarzy się z sobą zasłyszane fragmenty szablonów frazeologicznych, wypowiedzi mediów, sloganów dydaktycznych i politycznych, a „pożal się, Boże" narracja zostaje poddana biernemu łączeniu słów bez ładu i składu. Wypowiedzenie rozlatuje się na cząstki - automatyzmy, a w języku króluje zdanie niepełne, łamaniec-anakolut. Białoszewski odsłania niezborność, niesprawność i bylejakość mowy codziennej, mowy ułomnej, bliskiej ględzeniu, mamrotaniu, bełkotowi.

Oczywiście zadajemy sobie pytanie o cel tych poczynań. Cel ów był dwojaki. Temat wiersza często zaczerpnięty jest z niezwykłych opowieści z szynku, z kolejki, z pociągu, opowieści bliskich formie prostej (tzw. memoratowi), z narracji oralnych (ustnych) z tworów gotowych, formowanych przez życie, które czasem zachowuje się tak, jakby naśladowało fikcję literacką. Taki temat opowiedziany bywa przez narratora o światopoglądzie potocznym, ukształtowanym przez doświadczenie codzienne. Tego typu opowiadacz mówi u Białoszewskiego swym własnym językiem. Ale poza celem mającym na uwadze odpowiedniość tematu i języka (rzeczy i słowa) jest w tej poezji i cel drugi: Owe prześmiewcze kośławce słowne to nie tylko dowód, że i z takich ułomków życia wciąż jeszcze można stworzyć poezję, ale zarazem to jakby ostrzeżenie poety, pokazującego kierunek, w którym zmierza mowa potoczna. Trzeba było specjalnego wyczulenia pisarza, by dosłyszeć i parodystycznie przedrzeźniać już wówczas to, czym nas nęka dziś potoczna wypowiedź ulicy, której starczą czasem trzy obsceniczne słowa na wyrażenie całej ułomnej wiedzy o życiu czy na określenie własnego doń stosunku.

O ile w poezji Białoszewskiego było zazwyczaj dwóch narratorów: ten, który opowiadał, łamiąc normy językowe, oraz ten, który prześmiewczo proces ów powoływał do życia, obserwował i poprzez ironię czy zwykły żart, dowcip językowy budował dystans, robiąc jakby do czytelnika ponad tekstem „perskie oko", o tyle w jego prozie panuje zdecydowanie autobiografizm: podmiot twórczy (autor), narrator i bohater są jedną i tą samą osobą. Proza owa stanowi również drobne zapisy z codzienności. Tak dzieje się w „Donosach z rzeczywistości" (1973), „Szumach, zlepach, ciągach" (1976), „Rozkurzu" (1980). Dwa razy jednak pisarz owe ciągi zdarzeń powiązał w większe całości: w „Pamiętniku z powstania warszawskiego" (1976) oraz „Zawale" (1977). Ale i tu nic nie układa się zgodnie z nawykami odbioru prozy fabularnej, i tu uwagę czytelniczą

przyciąga język, sposób budowy wypowiedzenia, z którego wyłuskać się dają sensy wyższe. „Pamiętnik" i „Zawał" mówią o zwykłym człowieku postawionym wobec kryzysu: w pierwszym wypadku - historycznego, w drugim - kryzysu zdrowia, w obydwu - bohater o rysach autobiograficznych stoi wobec wydarzeń całkowicie odeń niezależnych. W prozach tych zdarzenia rozwijają się linearnie, a całość ma wyraźny początek i koniec. I tu uderza jednak tak właściwa Białoszewskiemu cywilność ujęcia tematu.

Pozostałe utwory prozaiczne Białoszewskiego są fragmentaryczne, niejednolite, bez wyraźnego zakończenia. Mówi się nawet przy tej okazji o wyraźnej defabularyzacji owej prozy, w której próżno poszukiwać przyczynowo-skutkowych powiązań zdarzeń. Zawsze tu bowiem góruje bardziej wypowiedź nad opowiadaniem, skojarzenie (czasem oparte na homonimie - słowie o podwójnym znaczeniu), zestawienie czy montaż - nad logicznym wynikaniem. W centrum uwagi autora, jak w jego poezji, pozostaje nadal niezwykła zwyczajność zdarzenia, zakotwiczonego nierzadko w śnie czy w żarcie słownym. Sam autor zresztą zastrzegał się w „Szumach": tylko żeby nie brali tego tak na serio.

Przy okazji tej prozy mówi się również o jej depsychologizacji, o notowaniu raczej gestów odruchów, a głównie wypowiedzeń, niż opisie przeżyć wewnętrznych. Postać w prozie Białoszewskiego - to przekaźnik głosu. Ale jednak te strzępy banalnych zdarzeń, te szumy i zlepy, ów rozkurz jest czymś więcej niż tylko - jak określił to jeden z licznych badaczy tej twórczości - odsłonięciem żywiołu mowy mieszkańców wielkiego miasta w czasach kultury masowej. I w nich uważny czytelnik odnaleźć może pewne prawdy ogólnej wartości - jak np. w dziwacznym na pozór i dotyczącym marginesu zdarzeń (jeśli idzie o perypetie) opowiadaniu „Patyk", w którym ukryta została głęboka troska o to, by nie burzyć delikatnych więzów międzyludzkich odruchowymi zachowaniami, by nie zranić drugiego człowieka automatyzmem wypowiedzi. I w tych drobiazgach więc zawarta jest refleksja o ludzkiej egzystencji.

Miron Białoszewski za pomocą pozornych okruchów zdarzeń, szumów, donosów rzeczywistości, którymi jesteśmy otoczeni na co dzień, potrafił nam wiele o życiu powiedzieć i to w sposób oryginalny, naznaczający jakby możliwe kierunki dalszego rozwoju literatury, nie tylko zresztą polskiej. Nic dziwnego zatem, że utwory jego tłumaczono na wiele języków europejskich. Po czesku wyszedł „Památník z Varšavského povstání" (1985) oraz wybór poezji „M'ironie" (1988). Nie dziwi także fakt, że osiemdziesiątą rocznicę urodzin pisarza uczczono w Warszawie specjalnymi obchodami - Mironaliami.

KRYSTYNA KADRYNI-PELIKÁNOVÁ



BIBLIOTEKA PO REMONCIE
W ODDZIALE LITERATURY POLSKIEJ BIBLIOTEKI REGIONALNEJ W KARWINIE

Po długiej wakacyjnej przerwie powrócili do Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Frysztacie czytelnicy. Przyszli jakby do innej biblioteki, lokale zmieniły się nie do poznania. W lecie przeprowadzono tu bowiem generalny remont pomieszczeń. Za nowymi drzwiami znalazło się duże biurko o opływowym kształcie, inne są wysokie prawie do sufitu półki na książki, lśniące podłogi, duże lampy. Nowe stoliki z komputerami świadczą o tym, że i do tych historycznych pomieszczeń wtargnął duch nowoczesności.

Na pytanie, czy konieczny był ten kapitalny remont, odpowiada kierownik tej polskiej placówki Helena Legowicz:

Biblioteka Regionalna stopniowo remontuje wszystkie swoje oddziały, ponieważ chcemy, by czytelnicy po informacje i po książki przychodzili do

bardzo ładnych lokali. Teraz nadeszła pora na ten budynek. Przed dwoma laty wyremontowano go z zewnątrz, a teraz rozpoczynamy stopniowe rekonstrukcje wnętrz. Zaczęto od oddziału polskiego, doszło do wymiany całej instalacji elektrycznej, przygotowano sieć pod komputery, wymieniono meble, które, ze względu na to, że budynek jest budynkiem historycznym i podlega opiece konserwatora zabytków, próbowano dostosować do tych wnętrz. Dlatego nasze meble są ciemne, trochę wyższe niż przewidują normy, ale chodziło też o to, żeby cały księgozbiór tutaj się zmieścił. Są już przygotowane miejsca pod komputery, na razie mamy dwa stanowiska dla czytelników, które stopniowo będą uzupełniane o następne, można będzie korzystać z Internetu, będą dostępne katalogi w formie elektronicznej. Mam nadzieję, że czytelnicy przyzwyczają się do nowych warunków i będą odwiedzali naszą bibliotekę.

Pierwsze opinie czytelników na temat nowego wyglądu lokali biblioteki są pozytywne. Wnętrza im się bardzo podobają. Jedynym problemem może być szukanie lektur na najwyższach półkach, trzeba wtedy posłużyć się składanymi schodkami. Bibliotekarki chętnie pomogą. Ale wypożyczanie książek to tylko część działalności biblioteki. Ważnym elementem są organizowane przez nią imprezy kulturalne. Mówi Helena Legowicz:

Wracamy do naszej normalnej działalności, czyli do spotkań autorskich, spotkań dla dzieci. Włączyliśmy się w imprezę „Cała Polska czyta dzieciom", będą to spotkania z ciekawymi ludźmi, którzy będą czytali dzieciom swoje ulubione bajki czy prezentowali literaturę, którą lubią. Dla dorosłych chcemy przede wszystkim przygotować spotkania z gośćmi Wystawy Polskiej Książki, którą organizuje Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki. Biblioteka Regionalna jest współorganizatorem edycji wystawy w Karwinie. Otwarcie Wystawy nastąpi w sobotę 9 listopada w Galerii Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, z okazji Święta Niepodległości Polski 11 listopada, patronat honorowy objął Konsulat Generalny RP w Ostrawie. Potrwa do 11 listopada, potem tradycyjnie odbędzie się w Jabłonkowie (16–18 listopada w Domu PZKO w Jabłonkowie) i Karwinie (21 i 22 listopada w Domu PZKO w Karwinie Frysztacie), w tym roku chcemy spróbować zaprezentować wystawę także w Trzyńcu (27 i 28 listopada w Domu PZKO im. A. Wawrosza w Trzyńcu).

Wystawa Polskiej Książki odbędzie się poza pomieszczeniami biblioteki. Ważną częścią działalności tej placówki kulturalnej jest jednak także organizowanie wystaw w jej fryszta̧ckich lokalach. W remontowanym budynku trudno przygotować wystawę. A po remoncie?

Wprawdzie korytarze, gdzie mamy wystawy, nie zostały jeszcze odnowione – mówi Helena Legowicz – *ponieważ rekonstrukcja całego parteru planowana jest w roku przyszłym, ale wystawy nadal organizujemy. W październiku odbyła się wystawa „Książka cieszyńska", która była w podobnej wersji prezentowana w Książnicy Cieszyńskiej. Jest oparta na bibliografii książki cieszyńskiej wydanej po roku 1990. Jest to tylko skromny wybór tego, co ukazywało się na Śląsku Cieszyńskim po obu stronach granicy.*

Powódź w Czechach może wpłynąć ujemnie na przyszłoroczny budżet na działalność kulturalną i biblioteki mogą otrzymać mniej pieniędzy na nowe książki. Są jednak na terenach nawiedzonych przez powódź miejscowości, gdzie biblioteki uległy całkowitemu zniszczeniu. Karwińska Biblioteka Regionalna postanowiła pomóc im za pośrednictwem swoich czytelników.

Biblioteka Regionalna zorganizowała akcję na rzecz powodzian – wyjaśnia Helena Legowicz – *nie osób prywatnych, ale bibliotek. Wiadomo, że biblioteki w Czechach bardzo ucierpiały, są takie biblioteki, które zostały zmyte z powierzchni ziemi i będzie trzeba je od podstaw odbudować. Dlatego zorganizowano akcję „Czytelnicy czytelnikom". We wszystkich naszych oddziałach są wystawione książki, które czytelnicy mogą zakupić i przekazać bibliotekom. Mogą też przynieść swoje książki z domu, ale chodzi nam o to, by były to najnowsze publikacje z ostatnich lat, książki wydane w ostatnich dwóch, trzech latach, by były to pozycje wartościowe. Można je przekazywać we wszystkich oddziałach biblioteki w Karwinie, oczywiście także tu u nas w oddziale polskim, my centralnie gromadzimy te księgozbiory, a potem proponujemy zestawy literatury poszczególnym bibliotekom, ponieważ one same muszą wybrać, które książki są im potrzebne.*

C.R.



III EUROPEJSKI FESTIWAL POLONIJNYCH ZESPOŁÓW TANECZNYCH I FOLKLORYSTYCZNYCH RECKLINGHAUSEN 2002

Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Tanecznych i Folklorystycznych, zorganizowany w niemieckim Recklinghausen już po raz trzeci, jest pod wieloma względami swego rodzaju ewenementem. Zaistniał dzięki staraniom kierownictwa Związku Polaków w Niemczech Zgoda, na czele z jego przewodniczącym Waldemarem Wachowskim. Sytuacja Polaków w Niemczech, w dużej mierze emigrantów z lat 80., wbrew pozorom i mitom różni się diametralnie od naszej. Nie ma tu jak u nas dotacji państwowych dla polskich inicjatyw. Wnikliwi obserwatorzy i znawcy stosunków między Polakami w Niemczech a Niemcami wyrażają nieukrywany podziw nad faktem zaistnienia festiwalu polonijnego w Niemczech, nad tym, że udało się jego organizatorom uzyskać środki finansowe od miejscowych władz. Wszyscy uczestnicy Festiwalu w Recklinghausen byli już wcześniej na Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie.

Długa droga do Recklinghausen, które leży w północnej Nadrenii Westfalii, koło Dortmundu, dla wszystkich uczestników, szczególnie tych ze Szwecji, Litwy, Białorusi, to kosztowne i męczące przedsięwzięcie. Zespoły były zakwaterowane w dwu hotelach znacznie oddalonych od Domu Polskiego. Przygotowania, eliminacje konkursowe i prezentacje zespołów wypełniały program wszystkich trzech festiwalowych dni prawie bez reszty. Poza tym zgodnie z regulaminem Festiwalu członkowie wszystkich zespołów mieli obowiązek przebywania na sali podczas występów swoich kolegów. Na zwiedzanie pięknego, lśniącego niemiecką czystością i porządkiem miasta zabrakło czasu. Uczestnicy Festiwalu widzieli je więc prawie wyłącznie z okien autobusów.

III Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Tanecznych i Folklorystycznych Recklinghausen 2002 odbył się od 27 do 29 września w tamtejszym Domu Polskim Związku Polaków w Niemczech Zgoda. W dwu poprzednich Festiwalach z powodzeniem uczestniczył Zespół Reprezentacyjny ZG PZKO Olza. Na trzeci Festiwal w Recklinghausen zgłosiło się 27 zespołów, z czego zakwalifikowanych zostało 12. Między zaproszonymi był w roku 2002 również Zespół Folklorystyczny MK PZKO w Bystrzycy Bystrzyca. Pozostałymi uczestnikami Festiwalu były następujące zespoły polonijne z Europy: Karolinka z Brześcia na Białorusi, Karolinka z Londynu w Wielkiej Brytanii, Piastowie z Sztokholmu w Szwecji, Polonia z Hanoweru w Niemczech, Sarna z Utrechtu w Holandii, Solczanie z Solecznik na Litwie, Wilia i Zgoda z Wilna na Litwie. Poza konkursem jako gość wystąpił zwycięzca ubiegłoroczne-

go Festiwalu zespół Krakus z Genk w Belgii oraz zespół Rochy z Sędziszowa (koło Żywca) z Polski.

Festiwal został uroczyście otwarty w piątek o godzinie 16.00 w obecności burmistrza miasta, władz miejscowych i polskich księży z rzymskokatolickiej parafii w Recklinghausen. Obok zmagań konkursowych, które przebiegały w Domu Polskim, zespoły zaprezentowały się w sobotę na rynku przed ratuszem w Recklinghausen. Występy te zagaił burmistrz miasta, podkreślając znaczenie wspólnoty europejskiej i znaczenie kultur narodowych. Zainteresowanie mieszkańców występami zespołów polonijnych w bogatych strojach ludowych nie można nazwać wielkim. Jednak małą przestrzeń pomiędzy ratuszem a wypełniającym rynek targowiskiem otoczył zwarty tłumek widzów nieszczędzących rzęsistych braw. W trakcie tych występów burmistrz przyjął przedstawicieli zespołów w ratuszu. Organizatorzy Festiwalu zorganizowali, rozpoczętą właśnie w czasie występów na rynku, kwestę na rzecz niemieckich powodzian. Wybrane pary w strojach ludowych zbierały datki do niebieskich świnek–skarbonek. Szkoda tylko, że parom tym w absolutnej większości nieznającym języka niemieckiego nie towarzyszyli miejscowi przedstawiciele, bo może nie od razu i nie zawsze obywatele miasta to kwestowanie właściwie zrozumieli.

Eliminacje do półfinału konkursu festiwalowego przebiegały w piątek i sobotę. I naprawdę było na co popatrzeć! Chociaż występowały wyłącznie zespoły amatorskie, większość z nich można by spokojnie nazwać profesjonalnymi. Interesującym jest również to, że nie we wszystkich zespołach tańczyli wyłącznie Polacy, byli też zafascynowani polskim tańcem i śpiewem rodowici mieszkańcy krajów pobytu Polonii. Tu najbardziej egzotycznym przykładem jest kierownik zespołu z Holandii – Holender, który nauczył się po polsku (jak wiadomo, mamy i u nas takie przykłady, nasze języki i kultury są jednak bardziej zbliżone).

Jury konkursu obradowało w składzie: przewodniczący Mariusz Grudzień, dyrektor Domu Polonii w Rzeszowie i długoletni dyrektor Światowych Festiwali Polonijnych Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, Jan Kowalczyk, kompozytor z Koszalina, Polonię niemiecką reprezentowały Ludmiła Warnas z Recklinghausen, Grażyna Dylewicz z Düsseldorfu i Justyna Michalski z Gelsenkirchen. Jego werdyktem w półfinale znalazły się następujące zespoły: Karolinka z Białorusi, Bystrzyca, Karolinka z W. Brytanii, Sarna, Zgoda, Solczanka. Przewodniczący Mariusz Grudzień, odczytując werdykt, podkreślił trudność decyzji ze względu na bardzo wysoki i wyrównany poziom zespołów. Po ogłoszeniu wyników półfinału na scenie rozgorzała prawdziwa euforia – wspólne spontaniczne śpiewy i muzykowanie członków wszystkich zespołów, już w cywilnych strojach, nie miały końca.

Ostateczny festiwalowy werdykt jury wyglądał następująco: 1. Karolinka z W. Brytanii, 2. Bystrzyca, 3. Karolinka z Białorusi. Zespołom Zgoda

oraz Sarna przyznano wyróżnienia. Decyzją jury pula nagród pieniężnych dla laureatów była rozdzielona pomiędzy większą ilość zespołów niż było pierwotnie określone.

Podczas całego festiwalu panowała w Recklinghausen wspaniała atmosfera prawdziwej przyjaźni, wzajemnego uznania i podziwu dla umiejętności „konkurentów". Decyzje jury były naprawdę niezmiernie trudne. Nie obyło się też bez kuluarowych dyskusji. Podstawowym problemem był brak kategoryzacji, bo nie wszystkie zespoły mogły przyjechać z własnymi kapelami. Zaś ocenianie na równi zespołu występującego z własną kapelą, na żywo obok zespołu używającego muzyki reprodukowanej i śpiewów z playbacku było przez wielu przedstawicieli zespołów uważane za niewłaściwe.

Nasz zespół na Festiwalu w Recklinghausen: Podróż autobusem, w której zespół Bystrzyca musiał przemierzyć wzdłuż całe Czechy (po drodze dołączali członkowie zespołu studiujący w miastach Moraw i Czech) i wszerz całe Niemcy (ponad 1300 km) była męcząca, ale dzięki świetnemu kierowcy i miłej atmosferze w zespole przebiegła ona bez problemów. Członkowie zespołu i jego kapeli zasługują na pełny podziw za zaprezentowany nie lada wyczyn – prawie wprost z autobusu na scenę, a po zakończeniu w niedzielę znowu od razu w drogę. Gros festiwalowej publiczności tworzyli członkowie zespołów biorący udział w Festiwalu, czyli ludzie znający się na śpiewie i tańcu. Wszyscy byli przekonani, że gdyby była przyznana nagroda publiczności, pierwszą na pewno otrzymałby zespół Bystrzyca. Kiedy tylko pojawili się na scenie, burzliwe oklaski były wspomagane tupaniem i gwizdaniem. Furorę robiła również kapela zespołu pod kierownictwem Jana Kubeczki, znana dobrze z muzykowania w Rzeszowie. Na szczególny podziw zasłużył sobie nasz zespół prezentacją tańców żywieckich. Fakt, że Bystrzycy do uzyskania pierwszego miejsca w punktacji jury zabrakło tylko pół punktu, też jest wymowny.

Wypada tu chyba dodać, że w plejadzie zespołów polonijnych ma Bystrzyca, jak i pozostałe nasze zespoły, niewątpliwą przewagę – oni tańczą nasze, swoje tańce, tańczone u siebie, tańczone przez rodziców, dziadków. Polonia w trzecim i następnym pokoleniu, rozrzucona po całym świecie, uczy się na nowo czegoś zawianego czasem, obcego w ich nowym kraju, i to jest różnica.

Trzeba również wspomnieć jeszcze jeden wzruszający, nieplanowany występ Bystrzycy. Zespół był zakwaterowany w hotelu Residenz. Część tego hotelu jest ekskluzywnym pensjonatem dla niemieckich seniorów. Dla nich właśnie Bystrzyca zaprezentowała krótki program. Reakcja i wdzięczność pensjonariuszy była niezwykle miłym zaskoczeniem.

Zespół Bystrzyca, który w tym roku również ponownie uczestniczył w XII Światowym Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych



KAROLINKA z Londynu



BYSTRZYCA na rynku...



KAROLINKA z Białorusi



PIASTOWIE z Szwecji



w Rzeszowie, zawdzięcza swój kolejny sukces zagraniczny wytrwałej pracy pełnej niezwykłego poświęcenia wszystkich jego członków, prowadzonych przez Marię, Dagmar i Leonarda Podzemnych. Obok pracy w pocie czoła na parkiecie jest tu jeszcze praca organizatorska, w której tak samo uczestniczy cały zespół – tu należy między innymi i pozyskiwanie funduszy. Połowę kosztów dalekiej podróży do Recklinghausen pokryli organizatorzy, na drugą połowę udało się Bystrzycy uzyskać sponsorów.

Już na marginesie: Towarzyszyłem zespołowi Bystrzyca przez całe trzy dni pobytu na Festiwalu i dwa dni podróży. Znam też już i z poprzednich wyjazdów z niejednym naszym zespołem zasadniczą różnicę między zespołami profesjonalnymi a amatorskimi – te drugie nie mają nikogo do pomocy, do transportu strojów, prasowania itp. I wierzcie mi, nie wiem, skąd oni biorą tyle siły i mobilizacji! To nie jest tylko kwestia młodego wieku, to coś dużo więcej. Jak po całodziennym ferworze zdążyli członkowie zespołu wyczarować wieczorem przed odjazdem okazały bukiet dla państwa Podzemnych, tego również nie wiem. Na najpiękniejsze wśród kwiatów zasłużyli w Recklinghausen wszyscy!

FRANCISZEK BAŁON



PAMIĘCI ŻWIRKI I WIGURY

70. rocznica śmierci wybitnych polskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury na Zaolziu przybrała rangę uroczystości niezwykłej, a to z racji biorących w niej udział czołowych przedstawicieli władz ustawodawczych Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Czeskiej, przedstawicieli władz samorządowych z obu stron granicy, dyplomatów. Na uroczystości do Cierlicka Kościelca przybył bowiem marszałek Senatu RP Longin Pastusiak i marszałek Senatu RC Petr Pithart, ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk i ambasador RC w Warszawie Bedřich Kopecký, marszałek województwa śląskiego Jan Olbrycht i hetman okręgu morawsko-śląskiego Evžen Tošenovský, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska Andrzej Stelmachowski, przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej i ordynariatu polowego, przedstawiciele sił zbrojnych polskich i czeskich, zaolziańskich organizacji społecznych, harcerze. Gościem szczególnym był syn Franciszka Żwirki, Henryk, który przybył na kościeleckie uroczystości wraz z córką i wnukami.

Nabożeństwo ekumeniczne, podczas którego padło wiele słów o historii tego szczególnego miejsca i jego roli w budowaniu wspólnej przyszłości Polaków i Czechów u progu zjednoczonej Europy, uświetniły pieśni w wykonaniu połączonych chórów Zrzeszenia Śpiewaczo–Muzycznego pod batutą Leszka Kaliny i Józefa Wierzgonia.

Po apelu poległych pod pomnikiem lotników złożono wieńce i wiązanki kwiatów. Marszałkowie Senatów Rzeczpospolitej Polskiej i Republiki Czeskiej wygłosili przemówienia, a potem wspominał polskich lotników syn jednego z nich Henryk Żwirko. Nad kościeleckim wzgórzem kilkakrotnie przeleciały polskie myśliwce z Dęblina, pozostawiając za sobą smugi biało–czerwonego dymu na bezchmurnym, błękitnym niebie. Przed rozpoczęciem i pod koniec uroczystości z przelatującego nad wzgórzem helikoptera Piotra Jafernika z Bielska-Białej zostały zrzucone pod pomnik wiązanki kwiatów. To tradycyjny już hołd składany przez polskich lotników.

Z kościeleckiego wzgórza uroczystości przeniosły się pod Dom Polski im. Żwirki i Wigury. Tu można było wysłuchać koncertu orkiestry wojskowej, obejrzeć wystawę i spotkać się z Henrykiem Żwirko.

70. rocznica śmierci Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury była nie lada gratką dla filatelistów. Dzięki ofiarności członków Komitetu Organizacyjnego i czeskocieszyńskich filatelistów (A. Lisztwan i J. Jendřišak) uroczystości w Cierlicku po raz pierwszy zaistniały okolicznościowe nalepki (trzy rodzaje) na listy polecone i pieczątki (grafika

Józefa Dronga). Można było nadać list czy widokówkę do Polski, która została przetransportowana specjalnym helikopterem (pilot Piotr Jafernik) do Bielska-Białej lub samochodem do Cieszyna.

E.S.
















70. rocznica tragicznej śmierci polskich pilotów
Fr. Żwirki i St. Wigury
1932 - 11.09. - 2002
PRZEWIEZIONO NA TRASIE
70 ROCZNICA ŚMIERCI FR.ŻWIRKI I ST.WIGURY
11.09.2002
CIESZYN 1
BIELSKO-BIAŁA 1
SP-AHN
Władysław Kristen
Mezi lány 271
73562 Cz. Cieszyn-Mosty
Rep. Czeska
43-400 CIESZYN 1
R
000001
PAMIĘCI LOTNIKÓW POLSKICH FR. ŻWIRKI I ST. WIGURY

POŻEGNANIE LATA Z FOLKLOREM

W pogodnym nastroju pożegnali 22 września frysztaccy pezetkaowcy tegoroczne lato. Wiceprezes Koła Józef Wierzgoń powitał znaną na naszym terenie kapelę ludową Nowina MK PZKO z Jabłonkowa, która do Domu PZKO w Karwinie Frysztacie zawitała po raz pierwszy. Nowina, której kierownikiem artystycznym jest nauczycielka Podstawowej Szkoły Artystycznej w Jabłonkowie Krystyna Mruzek, zagrała i zaśpiewała we Frysztacie głównie pieśni beskidzkie, wśród których wiele nieznanych jest „dolanom". Nie brakowało też ludowych pieśni słowackich. Nowina z prymariuszem Piotrem Byrtusem na czele wciągnęła do wspólnego śpiewania licznie przybyłych związkowców. Wśród słuchaczy były także członkinie miejscowego chóru żeńskiego Kalina, który w tym samym dniu śpiewał pod batutą Otokara Winklera na dopołudniowym nabożeństwie w dolnołomniańskim kościele. Zaś panie z Klubu Kobiet przygotowały smaczne kołacze i „stryki".

J.W.

CAŁY CZESKI CIESZYN CZYTAŁ DZIECIOM

We wszystkich oddziałach Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie 27 września, kiedy to odbywały się na terenie obydwu Cieszynów po czeskiej i polskiej stronie granicy różnorodne imprezy w ramach projektu „Skarby z cieszyńskiej trówły", czytano głośno dzieciom, zaś w oddziale muzycznym dzieci grały na instrumentach. W bibliotece na ulicy Havlíčka, gdzie kierownik tej placówki Wanda Kozdra wymyśliła głośne czytanie, a właściwie przeniosła na zaolziańską ziemię akcję „Cała Polska czyta dzieciom", było to czytanie w dwu językach: od południa do godziny czternastej po polsku, przez następne dwie godziny po czesku, a potem aż do zamknięcia biblioteki jeszcze raz po polsku.

Pierwszymi słuchaczami były dzieci, które przyszły ze świetlicy szkolnej, dołączyli do nich inni młodzi czytelnicy biblioteki. Na apel organizatorów nawołujący do wzięcia udziału w imprezie w charakterze czytającego odpowiedzieli ludzie kultury, nauki, polityki. Każdy z nich miał za zadanie przez około dwadzieścia minut czytać zgromadzonym w bibliotece opowiadanie czy fragment większej całości. Tematem przewodnim czytanych lektur był region cieszyński, jego historia i legendy. Jako pierwsza wystąpiła Bożena Kłosiewicz, kierownik oddziału dla dzieci Biblioteki Miejskiej na drugim brzegu Olzy w Cieszynie. Z zaciekawieniem słuchały dzieci objaśnień do legendy czytanej przez Jadwigę Czap. Następnie czytała Barbara Glac, redaktor Jutrzenki,

potem Karol Suszka, dyrektor Teatru Cieszyńskiego. Spisaną przez siebie kiedyś historię opowiedział pisarz Władysław Sikora. Wyjątek wśród dorosłych czytających stanowił uczeń Artur Kurzępa, który zaprezentował dwie swoje prace, jedna nagrodzona została w konkursie na baśń z okazji Święta Trzech Braci, druga (drukowaliśmy ją w wrześniowym Zwrocie w rubryce Młode pióro) w konkursie literacko–plastycznym Piękny nasz kraj nad Olzą. Czytanie w języku polskim zakończyła poetka Lucyna Waszek. W bloku czytania w języku czeskim wzięli udział m.in. przedstawiciele miasta, nauczyciele.

To była bardzo udana impreza, twierdzą organizatorki. Biblioteka czeskocieszyńska nie poprzestała na tej jednej akcji. Głośnego czytania można posłuchać wśród książek dla dzieci na ulicy Havlíčka codziennie rano o godzinie 7,15. Utwory literackie prezentują głównie gimnazjaliści i uczniowie starszych klas szkoły podstawowej. Prowadzone są też zapisy osób chcących głośno czytać innym. A chętnych nie brakuje, bo, jak mówi czuwająca nad całością bibliotekarka Wanda Kozdra, w ciągu dwóch tygodni zapisało się tylu chętnych do czytania, że rozdzielono już dyżury na cały miesiąc. Po południu zaś kącik głośnego czytania istnieje w świetlicy szkolnej, gdzie czytają dzieciom świetliczanki.

C.R.



Fot. WIESŁAW PRZECZEK



Nabycie na tej wystawie prac Jana Rusnoka będzie, decyzją Autora, wsparciem działalności Stowarzyszenia ROTUNDA



Wystawa zorganizowana przez

Stowarzyszenie ROTUNDA

przy współpracy Cieszyńskiego Ośrodka Kultury „Dom Narodowy"

17 września – 1 października 2002 roku

wernisaż 17 września 2002 r.

Czwarta publikacja Stowarzyszenia ROTUNDA

Jan Rusnok Malarstwo



Stowarzyszenie ROTUNDA
Dom Narodowy w Cieszynie

MALARSTWO JANA RUSNOKA

W Domu Narodowym w Cieszynie w Galerii na Piętrze od 17 września do 1 października czynna była wystawa obrazów Jana Rusnoka, urodzonego w roku 1956 w Cieszynie, zamieszkałego obecnie w Stargardzie, syna Jana Rusnoka, publicysty i byłego redaktora naczelnego Zwrotu. Jan Rusnok junior jest już u nas znany z poprzednich wystaw indywidualnych, m.in. w Karwinie i Czeskim Cieszynie, poza tym swe obrazy indywidualnie wystawiał na przestrzeni lat 1990–2002 w Stargardzie, Cieszynie, Szczecinie, Katowicach i Gorzowie. Uczestniczył też w pięciu wystawach zbiorowych. Organizatorami wystawy było Stowarzyszenie ROTUNDA oraz Dom Narodowy w Cieszynie.

To już z kolei jego ósma wystawa indywidualna, gdzie zaprezentował blisko czterdzieści obrazów olejnych, często połączonych tematycznie w tryptyk. Zresztą Jan Rusnok jest malarzem monotematycznym niejako, jest on malarzem pejzażu. Są to pejzaże jakby malowane z natury, ale odrealnione do pewnego stopnia. O ile pamiętamy jego wcześniejszą ciemną kolorystykę i poprzez to tajemniczą, to obecne jego obrazy są jaśniejsze i bardziej kolorowe. Są to swoiste portrety przyrody, obrazy bez ludzi i bez śladów ludzkiej działalności, obrazy wypełnione jakby smętkiem i zmuszające do zadumy, są po trosze portretem duszy malarza. Obrazy te z przyjemnością się ogląda, być może także dlatego, iż malarz pozostał wierny fascynacji przyrodą i górami, które pokochał, żyjąc na naszym terenie.

W październiku Jan Rusnok zaprezentował kolejną, Inną jednak, wystawę swych obrazów w lokalach Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie.

(kaja)

SPOTKANIE SOLCZAN

Około pięćdziesięciu osób, nie tylko polskiej, ale i czeskiej narodowości, przybyło 4 października do restauracji Na Brandysie w Czeskim Cieszynie na drugie już spotkanie solczan. Główny organizator imprezy Władysław Kristen przypomniał na powitanie, że Solca jest najstarszą częścią Karwiny. Dawna wielka Karwina, miasto górników i tradycji górniczych, składała się z trzech części: Karwiny, Solcy i Sowińca. Solca była oczywiście, zdaniem jej dawnych mieszkańców, tą częścią najpiękniejszą. Przed pięćdziesięciu kilku laty Karwiną nazwano miasto, które powstało z połączenia kilku sąsiednich miejscowości, dawna Karwina stała się jego dzielnicą o nazwie Karwina 2 Kopalnie. Dziś Solca, na skutek dewastacji po rabunkowym wydobywaniu węgla, to kraina porośnięta chaszczami, wysoka trawa, dziko rosnące krzaki i drzewa w niczym nie przypominają miasta, nie ma tam nawet takiego miejsca, gdzie mogliby się spotkać jego dawni mieszkańcy.

A że chcą się spotykać i wspominać, dowiodło październikowe popołudnie Na Brandysie. Solczanie obejrzeli fragment relacji filmowej z imprezy Ballada o starej Karwinie z 1996 roku. Po posiłku nadeszła kolej na strawę duchową. W programie artystycznym składającym się przede wszystkim z piosenek ludowych wystąpiło śpiewające rodzeństwo Joanna i Michał Rzeszutowie z akompaniamentem, na akordeonie, Bronisława Bednarza i słowem wiążącym Ilony Bednarz. Gorącymi brawami nagrodzili ich solczanie, po czym sami zaczęli śpiewać. Zabrzmiały pieśni patriotyczne, ludowe i biesiadne, Bronisław Bednarz przygrywał na akordeonie. Wspominali też solczanie swój dawny zespół Misie i chór męski Echo, zamieszkała w Pilznie rodaczka z Solcy przedstawiła swój wiersz, najważniejsze były jednak rozmowy w mniejszych grupach przy stole, wśród dawnych sąsiadów i znajomych, wspomnienia przy albumach ze zdjęciami rodzinnymi, ale także zdjęciami miasta, które pozostało już tylko na fotografii i w pamięci.

C.R.

Niepodpisane fotografie w Kronice FRANCISZEK BAŁON

WŁADYSŁAW SIKORA

SNY

(dokończenie z poprzedniego numeru)

VI

Siedzieliśmy z Wilhelmem w restauracji ogrodowej, każdy z osobna. Wilhelm był do mnie odwrócony tyłem, sam na sam ze swoimi zwichrzonymi myślami, które podniecają i sprowadzają nieobliczalne decyzje wbrew wszelkim oczekiwaniom. Wilhelm reaguje niespodzianie, lecz w jego raptownych decyzjach można dopatrzyć się konsekwencji skierowanej przeciwko sentymentowi i monotonii. Wydał mi się osamotniony w szumie rozmów i w bezustannym ruchu pod konstrukcją z listew. Może i rozmawiał z kimś, kogo nie mogłem dojrzeć ani też wyodrębnić z tłumu. Kiedy zjawiła się kelnerka, Wilhelm odwrócił do niej głowę, pamiętam jego młodzieńczy profil. Zdawał się spokojny i stanowczy, znam tę jego pewność siebie tkwiącą na zewnątrz pod nikłym zakłopotaniem oraz śladem nieodeszłego dzieciństwa, ale to ja wobec niego odczuwam kompleks zawiłych rozmamłań. Nie posłyszałem, co Wilhelm mówi do kelnerki z dziwacznym kokiem zafrasowanej i niezbyt mądrej matki kilkorga dzieci. Nie mogłem słyszeć jego słów, jednakże na swój sposób bawiły mnie i zarazem zdumiewały, zastanowiłem się, skąd nagle ów żart. Albo i nie żart? Poczułem się raczej nieswojo, kiedy Wilhelm ani się nie uśmiechnął, ani też nie zmienił zdania. A żądał jakichś niewiarygodnych wprost potraw w zwariowanej kombinacji. - Co, nie ma? - zdaje się, że jestem gościem - powiedział.

Powtórzył raz jeszcze z całą stanowczością każdy szczegół, jednak zapamiętałem z tego jedynie tarte jabłka, które nie dziwiły, a przecież zdumiewały. Kelnerka biegła półtora kilometra zaprószonym gościńcem do podmiejskiej rzeźni, może do kilku jeszcze innych miejsc, tak jakby stać było ją na to, aby dogodzić kaprysowi, który widać był nie całkiem kaprysem,

a indywidualnym prawem, potrzebą pojedynczego człowieka zanurzonego w gwarliwym ruchu.

VII

Nie umiem już powiedzieć, czy poszło wtenczas o czyjś głos lub też o moje własne zaniepokojone medialne przeczucie. Zatrzymałem się na drodze, lecz widok na podwieczorne jesienne słońce zasłoniła mi drewniana stodoła pozostawiona na przedmieściu. Cofnąłem się o krok, półtora i wychyliłem głowę zza węgła: w chmurze gorzało słońce, płonęło ciemnawo burymi jęzorami, gęsty dym walił jak z dogorywającej szopy krytej tłustą papą. Pomyślałem chyba, że płonący stóg słońca nie powinien dziwić ani zaskakiwać, należało się tego raz spodziewać, nazbyt mocno tkwimy w przekonaniach o własnej wyjątkowości i niezbędności. Poszedłem szybko na przeciwległą uliczkę i odwróciłem głowę: tak, stało się i teraz już nie ma odwrotu... W półmroku oraz w pierwszym podmuchu chłodu oddalały się od siebie dwa małe krążki słoneczne. Tak więc, stało się i tak już będzie do końca. Wszedłem do bramy i zastanowiłem się, o jaką chwilę nasz stary dom przedłuży nam lodowacenie przy piecyku. Kiedy się zbudziłem, wydało mi się, że nadal trwam jak drutowy przekaźnik w cienkiej wiązce Ich świadomości i powinienem ostrzec nas, ludzi, lecz zrezygnowałem z tego. Nie zdążę, nie zdążymy zapobiec ostateczności.

VIII

Przyszli po kilku dniach, pierwsza zaś domyśliła Ich się żona w niszy domu z przeciwka, po prawej stronie ulicy. Przyjrzałem się kształtom z metaloplastyki i wydało mi się, że zaistniał metalowy ruch względnie przemiana materii w powietrzu, płaskie lśnienie barwne. Żona wskazała na niebo: latający przedmiot o blaszanej tarczy księżyca, na niej rozbiegły się i sięgały poza obwód trzy jasne szprychy. Szef idący za nami zadrwił, jak przystało na niedowiarka, dlatego skarcili go, ofuknęli, mi zaś w zamian za myślowe daenikiady sypnęli w prostokąt sionki pod schodami dobrem doczesnym; zapamiętałem butelkę rosyjskiego piwa, celnik radziecki na polskiej granicy odbił na nalepce czerwoną godzinę rozpoczęcia i zakończenia swojej służby, były wędliny w delikatnej oliwie, dotknąłem papieru, coś jak wędzona szczęka rekina albo prosiaka zza światów... Żona stała nad trzema belami materii o kobietom jedynie wiadomych nazwach. Ofuknęła mnie za barokowe smakoszowskie bezwstydy, lecz pamiętam, że piwo było dobre, nie to

bałtyckie z Leningradu, spróbowałem też śliskich od oliwy plasterków bezwłóknistej wędliny: jak wątróbka czy wręcz mięsny budyń. Wódka „stolicznaja" i coś ciemniejszego w butelce, koniak albo pospolity rum. Naprawdę się zawstydziłem, a może było całkiem inaczej, pomyślałem nawet: za co to wszystko, przecież ja mały... I uchyliłem chyba okienka w ścianie, której wcale nie było, był natomiast placyk z dwoma obok siebie pojazdami typu ściętych od góry autokarów, dwurzędowe fotele wszystkie były zajęte przez Nich: przez rzeźby z szarego, wulkanicznego kamienia autorstwa przepadłych, pierwotnych rąk i umysłów, albo i protoplastów ich rzeźb - figur azteckich, hinduskich, jakichś górskich, pragreckich, praludzkich. W środku twarzy drgały telewizyjnym płomieniem, jak fotografie na wietrze, ludzkie twarze nieco kiczowate w ujęciu wobec prostych i grubych ciosów w ruchomym kamieniu bożków i bałwanów.

- To znaczy, zmieniacie się? - powiedziałem.

- Nie, upodobniamy się! - odparł naczelnik, bóstwo naczelne (stąd więc to piwo radzieckie! - przyszli przez Polskę), stał przed „autobusami" w postaci starożytnego Słońca z wężami promieni i odmieniał się, przeradzał w bóstwa naczelne wszystkich ludów, przy czym nie przypominał żadnego z nich, był ich prawzorem, pramyślą i praideą. Chciałem zapytać, bo przyszły mi na myśl jakieś lektury, czy są bogami, lecz odparł niepytany:

- Jesteśmy resztką Olimpijczyków, wracamy... - nie dosłyszałem, było wszak oczywiste, że są pośród nas i że nie trafili na Mnie właściwego, moje kompetencje szarego z tyłu... Szef zresztą był tu gdzieś, tyle że niedowiarek... Zbudziwszy się, nadal się zastanawiałem, jaki to język czy telepatia, słyszalna jedynie przez rośliny, z którymi nie umiemy rozmawiać, lecz one wszystko wiedzą, wszystko zapamiętały... Jestem więc roślinną tęsknotą za sprawdzalnym w śnie? Poczekam, liche Medium, do następnego seansu.

IX

(Nie wiem, na czym polega twórcze wyprzedzanie w czasie. Nurt katastroficzny w literaturze polskiej pojawił się na długo przed II wojną światową... Mówi się wśród znawców przedmiotu o niezauważalnych znamionach nadchodzącej pory; ludzka podświadomość je chwyta, aby następnie ujawnić sprawę we śnie względnie w akcie twórczym... W cyklu swych „Snów" znajduję tekst z r. 1978, który coraz bardziej kojarzy mi się z tym, co następnie spotkało byłą Jugosławię. Idzie tutaj zaledwie o pospieszne

notowanie autentycznego snu. O nic więcej.) Nie wiedzieli, o co szedł spór. Wcale nie wiedziano o żadnym sporze. Miasto zaś było zaledwie w części podobne do jakiegoś innego miasta, z którym można by je porównać. Tamto, o zapomnianej nazwie, ustalone pod czerwonawym nalotem, powinno było znajdować się w tych samych skalistych górach, powinno też było mieć kilka dalszych swoich odpowiedników z charakterystycznymi okrągłymi wieżycami i ceglanymi murami, nawarstwianymi w górę po rudawe dachy. Stało na spadzistych stokach, trwało w swym jednostajnym kolorycie szarawej zaprawy murarskiej z grubymi ziarnami piachu. Pięli się w górę stromymi uliczkami, szli wśród czworobocznych baszt i, ostrożni, starali się nie pośliznąć na wilgotnych i schodzonych kamieniach wzdłuż miejskiego muru. Przewodnik, wyprzedzając grupę, głośno ponaglał maruderów. Erwin rzucał okiem na baszty, na wieże zwieńczone na różnych poziomach płaskimi gzymsami i blankami i w żaden sposób nie potrafił przypomnieć sobie odbiegłej nazwy tamtego innego miasta owianego pogodną melancholią opasłych murów, przywierających ciasno do skalistych grani. Po każdym swym kolejnym spojrzeniu na wyniosłe nad basztami wieżyce z ostrymi kantami zwieńczeń rozważał surową, linearną jasność ścian przydymionych w cieniu. Wyrazistość gzymsów przekonywała go, że znaleźli się pewnie o jakieś sto albo i dwieście lat wstecz i właśnie dlatego światło słoneczne nie pełgało po ścianach, a jednostajnie zalegało ich chropowatości.

Kiedy już, śpiesząc galeriami i gankami, dotarli na wysoką platformę ponad stromymi murami, spostrzegli, że, zawężając się gwałtownie, spadała ona wąskimi i długimi stopniami na placyk w dole. Przed naroże klasycystycznej kamienicy. Poczęli schodzić. Od razu zauważyli, że w tłumie, który zdążył zająć dolne stopnie z przyległymi partiami placyku, zapanowało niezdecydowanie. Nie dojrzeli jednak powaśnionych stron ani też nic nie było wiadomo, czy strony już stanęły naprzeciw siebie oko w oko. Może zresztą wcale nie było żadnych stron, a nad placykiem w dole zaistniała jedynie potrzeba przełamania, raz na zawsze, zajadłego dylematu plemiennego, nieodgadłej zawziętości rodowej...

Wtedy wystąpił oficer, okręcił się wokół swej osi i sformował żołnierski tłum w czwórki. Postawił naprzeciwko sobie dwie kolumny. Odliczał mężczyzn, kobiety zaś spędzał na boki. Jeden wąż chłopięcych wojaków zajął strome schody, drugi stanął wzdłuż placu. Rozdzieliła ich wyrwa na kilka kroków. Proste, sukienne mundury upodobniły ich do siebie, a było ich razem dwa tysiące sześciuset chłopa.

Czwórki brano na przemian. Pierwszą ustawiono na narożu kamienicy. Strzelała inna, wyodrębniona czwórka. Najpierw pierwszego z lewej, pojedynczo. Potem ścigano kulami rozbiegłą trójkę. Padali podcinani koło narożа i przed bramą kamienicy. Osuwali się jak zerwane sznurki, chwytając się za piersi i brzuchy. Po nich poszła czwórka z przeciwka. Aż do liczby dwustu czterdziestu. Wtedy dopiero zawziętość stron zelżała.

Znowu stali na górnej platformie zaniepokojeni własnym wydłużającym się szeregiem. Lustrujący ich przewodnik zatrzymał się przed Erwinem, wskazał na niego ręką.

- Co ty o tym sądzisz?

- Jestem poetą - odparł Erwin.

Jego odpowiedź wszak była nieprzekonująca, przewodnik zapragnął treściwszego morału.

- Wszystkiemu jest za późno - dodał Erwin.

Przewodnik przytaknął. Istotnie. Między innymi właśnie o to poszło pod schodami.

X

Nagle nadeszło trzech panów ze snu: zatrzymali się na dłużej pośród miejskich ogrodów wyszniobramskich, trzymali przed sobą trzy tajemne artefakty. Pierwszym była rzeźba stylizowana na indiańską, barczysta i z podniesionymi łokciami. Drugim zaś płaska koperta - patera w skórzane desenie. Trzeci pozostał w pamięciowym cieniu - domyśle.

Panowie pobyli, ostrzegali, by nikt pod żadnym pozorem nie naruszał rozłożonych na trawniku przedmiotów. Potem się zbyli i wnet koło danajskich darów pętało się kilkoro z zaciekawionej miejskiej gawiedzi. Pod żadnym pozorem nie ruszyć skrzynek Pandory, trzech groźnych dla ludzkości chorób z plamami na dziecięcej cerze.

Ewa była jak zawsze dociekliwa, sekrety i tajniki zaś idą przed siebie i zawracają, podpatrują szczegóły z ich wszystkich stron. W trakcie manipulowania nożem koło deseni płaskiej i giętkiej patery jej skóra pękła. Niewiele tego można było dojrzeć w szczelinie: coś jak naskórkowa, papierkowa warstewka.

Spojrzeli po sobie. To o to, i dla tego... Dlaczego? Zagrzebano pośpiesznie grzech zniecierpliwienia i niewiary pod stertą jesiennych liści. Pan Bóg nadal nie nadchodził.

WŁADYSŁAW SIKORA

GODZINKI ZAOLZIAŃSKIE

(fragmenty)

Święta Jadwiga w Mosty z kapuśniakiem

Matka Jadwiżka nie dotarła do Trzebnicy
jakoż bosa z butami na ramieniu
Wrocław minęła Środę Małą Oleśnicę

„Dar pobożności i miłosierdzia tak ogromnie wypełniał serce służebnicy Chrystusowej, że zawsze była gotowa ku chwale Boga, świętych Pańskich i dla wspomożenia bliźnich świadczyć zarówno uczucia, jak i skuteczne działania". (z legendy)

Ani ojciec bo Józef nie został brodaty
spod Brzegów szedł przez Bulawkę po Wierchy nad Zogatę

(16 I '01)

Wychodzenie z dołka
Spodbrzeżana Kołka
daj nam Panie trzy dni
dali będzie widni

Szła Wisława w górę Wisły
za Wisławą góry przyszły
więc rzuciła nam otuchę
z córą-wiarą Królem – Duchem

W górę Wisły szła Wisława
przez Baginiec do Wacława

Przez Pioseczne cesta długa
to Jeżowicz rączkę struga
srebrną rączkę do siekiery
luśnie gwery chodźcie kiery

Od Kotelnic Polsko Cesta
Zwóncie zwóny z Wyszni Bróny

(25 V '01)

Nie ma na lewym brzegu prawego
ckni się z przeciwka nieparzystym brzegom
Cieszynowi ckni się po Bogumin
Bogunowi zasię do góralskiej guni

Ciepło z niewiastą na guni
gdy ochota u niego jak u ni
lecą sobie godzinki naprzeciw
mówią godzinki młodzi poeci

Anthony odszedł twój Zorba Adamie
minął się z życiem choć życie kłamie
Chwila ledwie starzenie się lwa
był lew poniewczasie ledwie trwa

(4 VI '01)

„In principio erat verbum"
Wołaj Lachom wołaj Serbom
Jedna zguba drugiej zgubie
ledwie że rozumie

Na początku było słowo
słodko brzmiało kolorowo
w dialekcie było w gwarze
kocjanki czyli bazie

(13 III '02)

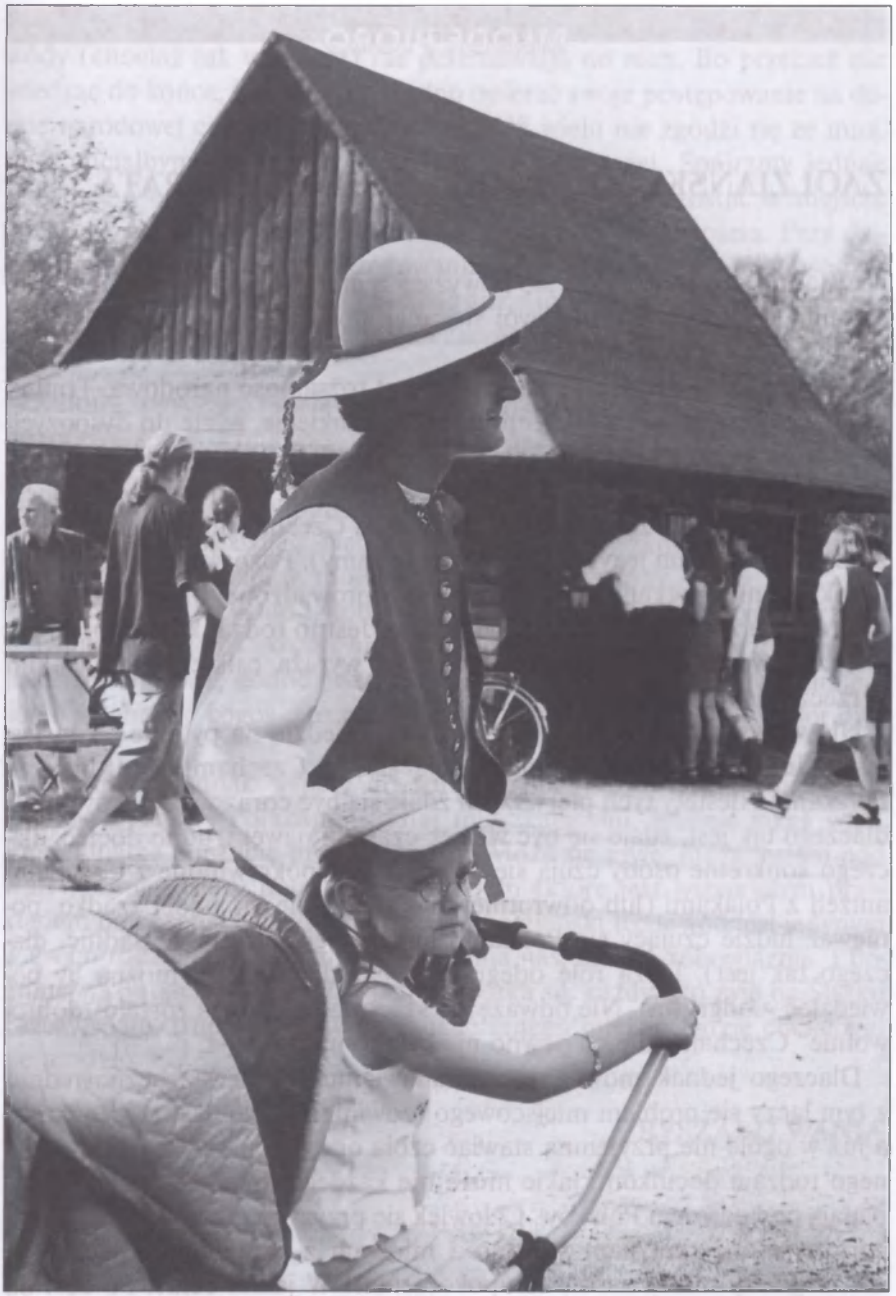
JACY JESTEŚMY?

W 34/2002 numerze praskiego pisma Literární noviny (z 19 VIII) znaleźliśmy w kolumnie „Čtenář časopisů" (Czytelnik czasopism) zdanie Václava Buriana:

ZWROT 8/2002: Za cenne w owym miesięczniku dla „naszej" mniejszości polskiej można uważać relacje świadków naocznych (pamětníků), przeznaczone pierwotnie na ogół dla ich rodzin i najbliższych. Ze wspomnień Rudolfa Wójcika uzyskujemy obraz złożonych stosunków narodowościowych po pierwszej wojnie światowej. Autor żył w miejscowości, w której nie było polskiej szkoły, do szkoły czeskiej zaś rodzice nie zamierzali go posłać, aby go nie narażać na zczechizowanie, dlatego znalazł się w końcu w szkole niemieckiej. Napotkawszy trudności językowe, nie był z niej zadowolony, po drodze do i ze szkoły zdążył wszak nieraz w gronie współuczniów pobić się z dziećmi czeskimi, idącymi do własnej szkoły. Zatem dziecięce wspomnienia z lat dwudziestych, miłe pod wieloma względami, jednocześnie wszak - nieznaczna, lecz ewidentna - zapowiedź przyszłych tragedii. Poza tym ciągle mam wrażenie, iż szkoda, że Zwrot jest zanadto zwrócony do wewnątrz, ku życiu polskiej mniejszości, jakby była oderwana nie tylko od kultury i społeczności czeskiej, ale niestety także od życia i kultury w Polsce.

Václav Burian współpracuje m.in. z Tygodnikiem Powszechnym, ostatnio np. przełożył dla niego relację Václava Žáka: „Dwie powodzie po czesku" (TP - 22 IX 2002). Nie tylko dlatego należałoby liczyć się ze zdaniem owego pilnego obserwatora. Zagadnięto mnie w redakcji o moje zdanie na te tematy. Żyję nimi od lat. Pierwszy wątek mielibyśmy bodaj po dziesiątkach lat w jakiś sposób z głowy, pod warunkiem, że weźmiemy sobie do serca wątek drugi: zagrożenia wynikające z wewnętrznego izolacjonizmu. Poza kilkoma twórcami jakoś nie potrafiliśmy na razie wyprowadzić własnych wniosków ze zbytnich ciągot i przerostów regionalistycznych, ze zbytniej ideologizacji, ba, polityzowania nieodstępnej „ludowości". Domyślam się w tekście V. Buriana życzliwego ostrzeżenia przed zbytnim zamykaniem się w sobie. Rezygnując z własnych wnikliwszych sądów na te tematy, musimy je posłyszeć z zewnątrz. Czas pewnie otworzyć ogólniejszą dyskusję na temat nowszego Zaolzia kulturowego.

WŁADYSŁAW SIKORA



Fot. FRANCISZEK BAŁON

ZAOLZIAŃSKI RODOWÓD - ZYSK CZY STRATA

Ostatnio często rozważa się powyższy temat. Ludzie starają się w taki czy inny sposób uzasadnić swój stosunek do problemu, powiedzieć, jak według nich wygląda sytuacja.

Moim zdaniem podstawową sprawą jest tożsamość narodowa. Trudno odpowiada się na pytanie „Kim jesteś?" w ankiecie, gdzie do dyspozycji są w dodatku możliwości: Polak, Czech, Ślązak. Bo jak tu odpowiedzieć, kiedy Polak nie uważa nas za Polaka (często nawet nie ma pojęcia, że jest jakieś Zaolzie), a Czech już tym bardziej za Czecha (nie potrafi bowiem zrozumieć, w jakim języku się porozumiewamy). Pozostał jeszcze Ślązak. To określenie spotkało się w ankiecie przeprowadzonej przez Stanisława Zahradnika z największym powodzeniem. Jest to rodzaj kompromisu pomiędzy dwoma poprzednimi, a zarazem wyraża całkiem trafnie, kim w rzeczywistości jesteśmy.

Nie wszyscy mają jednak kłopot z odpowiedzią na pytanie „Kim jesteś?". Jedni bez wahania opowiadają się za Czechami, a drudzy za Polakami. Niestety tych pierwszych zdaje się być coraz więcej. Powodów, dlaczego tak jest, zdaje się być więcej; czasami nawet trudno dociec, dlaczego konkretne osoby czują się być bardziej spokrewnione z Czechami aniżeli z Polakami (lub odwrotnie - co zdarza się już nader rzadko, ponieważ ludzie czujący się Polakami najczęściej potrafią uzasadnić, dlaczego tak jest). Dużą rolę odegrało wynaradawianie (a można by powiedzieć - odgrywa). Nie odważę się szacować, ilu z nas zostało „dobrowolnie" Czechami, ale na pewno nie była to mała liczba.

Dlaczego jednak mówię o wynaradawianiu? Ponieważ bezpośrednio z tym łączy się problem miejscowego szowinizmu. Nie jest rzeczą łatwą, a już w ogóle nie przyjemną stawiać czoła odzywkom, wyzwiskom i różnego rodzaju docinkom, jakie może nie każdego dnia, ale dosyć często padają pod adresem Polaków. Człowiek się przyzwyczai, uodporni... Lecz coraz częściej spotykam się wśród młodych z pytaniem: „Dlaczego?" Dlaczego my mamy znosić te upokorzenia?! W jakim celu?! Po co?! Są

powody: jak duma narodowa, patriotyzm. Lecz nie dziwię się, kiedy te powody (chociaż tak wzniosłe) nie przemawiają do nich. Bo przecież nie wiedząc do końca, kim się jest, trudno opierać swoje postępowanie na dumie narodowej czy patriotyzmie. Wiem, że wielu nie zgodzi się ze mną. Sam chciałbym, by sprawy miały się trochę inaczej. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Niewielu jest takich, którzy chcieliby zostać w miejscu, gdzie nie ma końca kłopotom związanym z ich narodowością. Przy dzisiejszych możliwościach podróżowania, pracy za granicą większość marzy, by wyrwać się jakoś stąd i załapać gdzie indziej, by mieć wreszcie spokój. Ten „spokój" nie jest jednak na szczęście w stanie przekonać wszystkich.

Kultura, zwyczaje, ludzie i ich charakter, to wszystko stwarza klimat nie do odtworzenia. Ponieważ jesteśmy, że tak powiem, „społeczeństwem w pigułce", każdy z nas ma o wiele większe szanse przebicia. Tak więc ktoś, kto normalnie zgubiłby się w tłumie, może zostać zauważony i jego talent może się rozwijać. Natomiast będąc np. w szkole o pięciokrotnie większej liczbie uczniów, mógłby zostać niezauważony.

Przytaczając przykład szkoły, nasuwa się jedna z największych korzyści - dwujęzyczność. A co za tym idzie - możliwość studiów w dwóch krajach. To naprawdę godne pozazdroszczenia. Prawdę mówiąc, nie umiem sobie wyobrazić kogoś, kto nie byłby dumny z tego, iż zna na wylot dwa języki.

Chciałbym jednak wrócić do sprawy subkultury. Wydaje mi się, iż między ludźmi - Polakami - tutaj mieszkającymi, istnieje jakaś więź. Emocjonalne poczucie przynależności. Może się mylę, może jestem pod wpływem atmosfery polskiego gimnazjum (które jest wspaniałym przykładem połączenia całego terenu), ale Zaolziański Rodowód jest jedynym w swym rodzaju. Jest czymś, co wyróżnia nas, ale też zobowiązuje. I pomimo wszystkich trudności, z jakimi spotka się każdy, kto żyje na Śląsku Cieszyńskim, trudno byłoby mi szukać innego miejsca, gdzie chciałbym się urodzić.

RYSZARD WANIA

JUBILEUSZOWA PUBLIKACJA O ŻWIRKOWISKU

Z okazji 70-lecia tragedii polskich lotników w Cierlicku i w związku z obchodami tej rocznicy Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC pod redakcją Józefa Szymeczka wydał pracę zbiorową poświęconą temu tematowi pt. „Żwirkowisko. Historia i współczesność miejsca pamięci legendarnych lotników polskich Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury". Jest to praca zbiorowa, a prace poszczególnych autorów (Józef Szymeczek, Stanisław Zahradnik, Jan Przywara, Józef Kula, Josef Jendřišák, Mečislav Borák, Władysław Sikora) mają charakter przyczynkarski, w sumie jednak czytelnik znajdzie tu w miarę pełny obraz wydarzeń i znaczenie cierlickiej tragedii sprzed lat. Cenne są również ilustrujące publikację fotografie.

Pomijając drobne uchybienia, powtarzające się informacje u różnych autorów, sprawy językowe u niektórych z nich itp., można stwierdzić, że oddano nam do dyspozycji jeszcze jeden cenny dokument naszej lokalnej historii. Każdy tekst wnosił pomimo wszystko coś nowego w poruszany temat - siedemdziesięcioletnią historię cierlickiego Żwirkowiska i naszego, zaolziańskiego stosunku do tych spraw w szerokim kontekście historii nie tylko lokalnej.

Zwrócę tylko uwagę na dwu autorów. Przede wszystkim dobrze się stało, iż umieszczono w tej pracy także materiały czeskich autorów, zwłaszcza zaś M. Boráka. O ile bowiem większość prac naszych autorów ujmowała temat z pozycji naszej zaolziańsko-polskiej, ostrawski historyk ujął temat szerzej, wnosząc wiele ciekawych wątków i punkt widzenia czeski, bez czego nasza rzeczywistość nie jest pełna i ma charakter historycznego getta. Autor najobszerniejszego zresztą materiału „Żwirkowisko przemiany symbolu" na wstępie wprowadził do tematu szerszy kontekst europejski słynnych lotów challenge'rowych na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku i przypomniał, iż burza i tragedia w Cierlicku nie była w tym dniu jedynym tego rodzaju zjawiskiem, a przede wszystkim wskazał, iż symbol Żwirkowiska na przestrzeni lat w okresie międzywojennym miał zmienny charakter - był na samym początku symbolem współpracy czesko-polskiej, ale niebawem stał się przyczyną pogorszenia wzajemnych stosunków czesko-polskich i to nie tylko z winy strony czeskiej, jak

się na ogół twierdzi. W dużym stopniu strona polska wykorzystała zaolziański patriotyzm żwirkowiskowy do wystąpień antyczeskich i w takim świetle zupełnie inaczej wygląda stwierdzenie, iż Czesi w roku 1935 zakazali obchody w Cierlicku i wiele jeszcze innych spraw. Nie mam zamiaru omawiania tu, moim zdaniem bardzo cennego i źródłowo udokumentowanego, przyczynku M. Boráka, zainteresowanych odsyłam do omawianej tu pracy i publikacji.

Natomiast przyczynki J. Kuli zyskałyby sporo, gdyby autor nie pisał z takim subiektywnym zaangażowaniem, gdyby unikał superlatywów i w co drugim niemal zdaniu nie powtarzał takich górnolotnych pojęć, jak „najwięksi bohaterowie polskich przestworzy", „bohaterscy lotnicy", „wieczysta chwała i pamięć" itp. Wreszcie gdyby nie szafował pojęciem patriotyzmu, zawsze naszego polskiego, a dla odmiany szowinizm jest u niego tylko czeski.

Autorowi brak obiektywizmu i znajomości szerszego kontekstu historycznego. Takie czarno-białe widzenie degraduje autora i tekst. Trudno zgodzić się z tezą, że w ciągu ponad siedemdziesięcioletniej historii Zaolzia tylko Polacy byli dobrzy, sprawiedliwi, zaś Czesi byli przeciwieństwem tego wszystkiego. Autor, pisząc o polskich lotnikach, nie ominął tematu czechizacji naszej polskiej społeczności. Owszem istniało to zjawisko nagminnie i może jeszcze dziś pokutują takie tendencje w głowach niektórych decydentów urzędniczych. Są to sprawy dla nas drażliwe, ale pamiętać musimy, że tego rodzaju zjawiska towarzyszyły wszystkim państwom, które zrodziły się z niebytu historycznego po pierwszej wojnie światowej. Idee czystego państwa narodowego zrodziły się pod koniec XIX wieku i nowo powstałe państwa takie jak Czechosłowacja, Ukraina, Litwa i Polska także, w ramach których znalazły się czasami liczne mniejszości narodowe, miały od samego początku tendencje zasymilować te mniejszości, by stworzyć jednonarodowe i tym samym bezkonfliktowe państwo. W myśl tych nacjonalistycznych idei Czechosłowacja w naszym wypadku nas czechizowała, a z kolei Polska, i o tym musimy pamiętać, polonizowała w swym państwie mniejszości ukraińskie, białoruskie, litewskie i to w sposób czasami bardziej drastyczny niż miało to miejsce u nas. Przepraszam, że wyskoczyłem poza temat, ale omawiany tu autor też tak często postępuje. A szkoda, bo sprawy, o których autor pisze, są ciekawe.

Obiektywizm i prawda historyczna są trudną i często bolesną sprawą, ale fałszowanie faktów poprzez mówienie półprawd i niedopowiedzeń powinno już być dziś niedopuszczalne. Proces ten będzie trwał długo. Wspomniana tu publikacja pomimo wyrażonych tu zarzutów właśnie dzięki umieszczeniu materiału M. Boráka pomaga temu procesowi. Zresztą pozostałe materiały pod tym względem są raczej bez zarzutu.

KAZIMIERZ JAWORSKI

ŚLĄSKIE TRAGEDIE

Świadomość naszych narodowych blizn nie pozwala unikać trudnych tematów ani ukrywać odpowiedzialności moralnej w gąszczu uproszczonych ocen. Zobowiązuje ona również do tego, abyśmy w imię chrześcijańskiej wolności potrafili wyzwolić się z pragnienia rewanżu; byśmy pamiętali, iż nasze dążenie do wolności wymaga uwolnienia się z poczucia nienawiści czy zemsty. Ks. abp Józef Życiński (Elementarz księdza Życińskiego dla biskupa i świeckiego, ss. 77-78).

Gdyby ludzie, w tym wypadku także Polacy, trzymali się tej elementarnej chrześcijańskiej zasady, to Ewald Stefan Pollok nie musiałby napisać swoich „Śląskich tragedii" (Wydawnictwo Żyrowa, Kraków 2002, ss. 300). Jest to książka tragiczna nie tylko dlatego, iż porusza tragiczne losy mieszkańców Górnego Śląska, ale także w tym sensie, iż obala sporo mitów o Polakach oraz Polsce, tej międzywojennej i powojennej, że czytający ją ma chęć krzyknąć: to nieprawda, to musiał pisać jakiś śląski szowinista, dla którego wszystko, co polskie, jest złe...

A jednak prawda po latach kłamstwa tak właśnie się przedstawia. Obala wszystkie mity, jakimi łudzimy się na co dzień, obala historyczne prawdy (czytaj: nieprawdy), jakimi karmiono nas przez długie lata nawet w „poważnych" pracach historycznych i to nie tylko za komunizmu, bo to była ideologia budowana od początku na kłamstwie, ale także w Polsce międzywojennej. Na ogół uważamy siebie za „najbardziej tolerancyjny naród na świecie" i jesteśmy przekonani, iż Polak nigdy nie byłby w stanie popełnić zbrodni w stylu hitlerowców czy stalinowców. A właśnie książka Polloka jest o tym, że Polak potrafi także...

Fakt, że nie jesteśmy tolerancyjni (Polacy, ale także Czesi), to dziedzictwo socjalistycznego ustroju, przecież komunizm budowany był na zasadach nietolerancji wobec osób myślących inaczej. Zauważa to autor w rozdziale pierwszym „Rozważania o tolerancji", stwierdzając iż wielu Polaków nadal nienawidzi Niemców oraz Ślązaków pochodzenia niemieckiego. O ile w pewnym stopniu było to uzasadnione bezpośrednio po latach okupacji niemieckiej, dziś powinno być już inaczej. Jednak lata komunistycznej propagandy i fałszowania historii zrobiły swoje. Słusznie litujemy się nad Polakami, których wypędzono z Kresów, a obojętne są nam losy milionów Niemców wypędzonych ze Śląska, gdzie żyli od kilkuset lat, a przecież nie wszyscy byli hitlerowcami - dlaczego więc znęcano się nad nimi i mordowano kobiety, dzieci i starców, jeżeli już historyczna konieczność skazała ich na wygnanie z ich ojczyzny?

Odpowiedzi na to wszystko znajdzie czytelnik w następnych rozdziałach. W rozdziale „Śląska tragedia" autor informuje, iż dopiero w roku 1989 Polacy dowiedzieli się, iż z terenów Górnego Śląska, Pomorza, Mazur i Prus

wypędzonych zostało około 7 mln Niemców, Ślązaków (z Polski, Czechosłowacji i Węgier wypędzono około 13,5 mln osób), wśród których czasami byli Ślązacy polskiego pochodzenia, lecz posiadali ładne domy, które spodobały się nowym osadnikom, skorumpowanej policji i szabrownikom. Tych, których nie wypędzono, zaczęto na gwałt polonizować, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej siłą polonizowano mniejszości ukraińskie, litewskie itp. Tragedia śląska polegała dalej na tym, iż najpierw ludność Górnego Śląska mordowało, grabiło i gwałciło wojsko sowieckie, a następnie były to bandy polskich szabrowników, policjantów oraz strażników w obozach koncentracyjnych, gdzie umieszczano Niemców (później także Łemków wypędzonych z Bieszczadów).

Autor podaje także przykłady, w jaki sposób Kościół polski uczestniczył w wypędzaniu wiernych i księży niemieckich. Autor tu i w innych jeszcze rozdziałach (np. w ostatnim - „Problemy duszpasterstwa mniejszościowego na Śląsku polskim w okresie międzywojennym") przytacza fakty niechrześcijańskiego traktowania wiernych narodowości niemieckiej, dyskryminacje w sprawie języka nabożeństw. To właśnie Polska już 22 czerwca 1939 zakazała na swym terenie nabożeństw w języku niemieckim (także na Zaolziu), kiedy hitlerowskie Niemcy uczyniły to dopiero, znajdując tu pretekst, 29 lipca 1939, zmuszając kardynała Bertrama do zawieszenia nabożeństw polskich w diecezji wrocławskiej.

Najgorsze światło na Polaków (liczne jednostki, ale także władzę ludową) rzuca rozdział nazwany „Za powojennym obozowym drutem - Łambinowic". W Polsce po ostatniej wojnie było przeszło 1200 obozów koncentracyjnych, między innymi w Świętochłowicach, Jaworznie, Trzebini, Potulicach, z czego najgorszy był w Łambinowicach, gdzie przebywało około 8000 więźniów - mężczyzn, kobiet i dzieci - zresztą powojennym szafarzom obozów daleko było do niemieckiej precyzji statystycznej. Sposoby, w jaki traktowano tu ludzi, niewiele się różnią od tych, jakie pamiętamy z lektur o niemieckich obozach koncentracyjnych. Szefem tego obozu był dwudziestoletni (!) Czesław Gęborski. Znęcano się nad więźniami, mordowano, kobiety gwałcono, okradano kilkakrotnie. Najpierw zabierano im domy, z domu mogli zabrać minimum, potem odbierano im to podczas przyjęć do obozu itd. Nie ma sensu powtarzanie tu wszystkich tych okrucieństw, zainteresowani znajdą to w omawianej książce.

Rozdział „Fałszowanie historii" to osobna sprawa. Można tylko przyklasnąć słowom autora „Śląskich tragedii": *Należałoby w końcu uczciwie i rzeczowo podejść do tematu polsko-niemieckiego i naświetlić go tak, jak prawdziwy historyk to zrobić powinien. Historia ma to do siebie, że rejestruje fakty z przeszłości, których nie należy tłumaczyć nacjonalistycznie. Historycy muszą mówić prawdę, nie wolno im w sposób emocjonalny pisać o przeszłości.* I jak stwierdza autor, większość dotychczasowych opracowań jest tendencyjna i kłamliwa.

Śląsk sześć wieków rozłączony był z polską państwowością, więc korzenie polskie były tam już znikome. Jednak w powojennych opracowaniach histo-

ryków polskich można było czytać o silnych związkach śląskiej ludności z Polską, niektórzy nawet początków Polski na Śląsku dopatrzyli się już w VI wieku, chociaż wiadomo, że państwo Polan powstało dopiero w X wieku, niektórzy z kolei, pisząc o stopniowej pokojowej kolonizacji tych terenów w XII i XIII wieku, pomijają często fakt, że osiadali tu głównie Niemcy, a sprowadzali ich lokalni książęta i panowie feudalni świeccy i duchowni. Fałszowano i przekręcano nie tylko dawną historię, współczesność także. Zaraz po wojnie likwidowano wszystkie ślady niemieckie, zdzierano napisy nagrobne, by naród tu nie poznał prawdy. Widziałem takie groby poniemieckie ze startymi napisami np. w Widnawie, swego czasu bawiący kilkakrotnie na Zaolziu wybitny polski pisarz Tadeusz Nowak opowiadał nam w wąskim gronie, jak to jako student wysyłany był w ramach obowiązków do usuwania niemieckich napisów na nagrobkach, bodajże na Pomorzu. Zresztą napisy niemieckie usuwano z kościołów, krzyży przydrożnych, kapliczek itd. W ten sposób starano się dowieść, że tereny te były polskie.

Autor przytacza tu konkretne prace i nazwiska nawet profesorów uniwersyteckich, którzy nadal piszą historyczne bzdury na ten temat. Zresztą tych fałszerstw było znacznie więcej. E. S. Pollok wraca do tych spraw jeszcze w rozdziale „Rektor", „Dziedzictwo Góry św. Anny" i „Powstania śląskie?" Jeśli chodzi o to ostatnie zagadnienie, to okazuje się, że tzw. powstania śląskie na ówczesnym niemieckim Górnym Śląsku tuż po pierwszej wojnie światowej nie były zrywem polskiej mniejszości na tych ziemiach (w plebiscycie większość opowiedziała się za niemiecką przynależnością), lecz były przygotowane i organizowane przez odpowiednie organy wojskowe w Polsce.

Książka jest miejscami trudna do zaakceptowania, a jednak jest niezmiernie potrzebna. Prawda jest cenniejsza od fałszu i demagogii narodowej, nawet wtedy, kiedy jest się członkiem tego narodu. Poprzedni ustrój wychował nas w nieprawdzie, w szkole uczono nas bzdur ideologicznych, nieprawdy (naturalnie nie wszędzie i nie zawsze, jednak jeszcze nikt w imieniu pedagogów nie przeprosił nas za to). My nawet w pełni nie uświadamiamy sobie, cośmy, „budując socjalizm", stracili.

Czytając „Śląskie tragedie" E. S. Polloka, odnajdujemy tutaj pewne paralele z naszą zaolziańską rzeczywistością - wszystko naturalnie na mniejszą skalę. W tym, jak traktowano nas jako mniejszość narodową. Równocześnie jednak pozwala nam to uświadomić sobie, że nie tylko Czesi postępowali z nami w sposób niedemokratyczny, że podobnie postępowali Polacy wobec swoich mniejszości, pomijając tu sprawę powojennego wypędzenia Niemców, gdzie obie nacje były tak samo okrutne wobec wypędzanych, niezależnie od tego, czy na to zasługiwali, czy też nie. Nie ma narodów lepszych i gorszych, w każdym narodzie w określonych okolicznościach może zdarzyć się wszystko.

KAZIMIERZ JAWORSKI

SMACZNA KOLACJA FRANCOISA

Na rozpoczęcie kolejnego sezonu uraczyła Scena Polska Teatru Cieszyńskiego swoich widzów „Kolacją dla głupca" Francisa Vebera w przekładzie Barbary Grzegorzewskiej (premiera 14 września 2002), którą anonsowała jako świetnie napisaną współczesną farsę. Farsa oznaczana jest przez autorów słowników terminów literackich i teatralnych za komedię niższego gatunku, gdzie dominuje komizm sytuacyjny, rozwiązywane są błahe konflikty, a głównym zadaniem jest rozbawienie publiczności. Przeciwstawia się ją komediom „wyższym", które kiedyś podporządkowane były ścisłym rygorom gatunkowym, a do dziś służą także do rozbudzania i wzbogacania pokładów intelektu. I tu „Kolacja dla głupca" wymyka się definicji farsy, jest raczej komedią charakterów, komedią konwersacyjną, w której nie brak okazji do refleksji, mało tego, jest to wręcz komedia z morałem. Na jej obronę trzeba stwierdzić, że grzeszy moralizatorstwem nienachalnym, podawanym w niewielkich dawkach przy pełnej aprobacie widowni. Toteż naprawdę nie trzeba wstydzić się jej „drugorzędności", jak czytamy w programie do przedstawienia, w którym zamieszczono fragmenty wypowiedzi Ryszarda Majora, reżysera „Kolacji dla głupca" w Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Komedia cieszy się uznaniem twórców teatralnych, grana jest w różnych krajach, u nas, a także na Słowacji, we Francji, w USA... W Polsce najlepsze oceny zebrał spektakl Teatru Ateneum w Warszawie w reżyserii Wojciecha Adamczyka z Piotrem Fronczewskim w roli zapraszającego na kolację, a Wojciechem Pszoniakiem lub Krzysztofem Tyńcem w roli głupca.

Francis Veber, autor sztuki „Kolacja dla głupca", mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych. Napisał także filmową adaptację sztuki i wyreżyserował film „Kolacja dla palantów" (Francja 1999). Twierdzi, że tytułowy bohater - Francois, człowiek niezręczny i śmieszny, to on sam. Natomiast jego protagonista Pierre jest przystojny i wszystko mu się w życiu udaje. Dopóki nie spotka głupca.

Pierre jest paryskim wydawcą, człowiekiem bogatym i wpływowym. Wraz z przyjaciółmi ze swego kręgu towarzyskiego organizuje specjalne kolacje. Każdy przyprowadza na nie swojego „głupca", który oczywiście nie wie o swej niewdzięcznej roli. Gospodarze mają świetną zabawę, a wygrywa ten,



kto przyprowadzi największego głupca. Tym razem Pierre jest pewny swego zwycięstwa, jednak chwilowa niedyspozycja fizyczna zmusza go do pozostania w domu. Zaproszony przez niego głupiec - Francois Pignon, uczciwy urzędnik w ministerstwie finansów, którego wielkim hobby są modele robione z zapałek - szczerze przejęty zdrowiem gospodarza, chcąc ulżyć mu w cierpieniu, niechcący powoduje wiele zabawnych nieporozumień (tu ważną rolę odgrywa telefon i rozmowy przez niego prowadzone), które zmuszają Pierre'a do przewartościowania swych zapatrywań. W efekcie Pierre wychodzi na głupca, zaś Francois mimo swej nieporadności i piętna pechowca zyskuje sympatię, także publiczności na teatralnej widowni.

„Kolacja dla głupca" w Scenie Polskiej to debiut reżyserski Jana Monczki. Do współpracy zaprosił scenografa Alexandra Babraja, muzycznego opracowania spektaklu podjął się Zbigniew Siwek. Jan Monczka przyjechał do Czeskiego Cieszyna z Polski; z Krakowa, gdzie gra w Starym Teatrze Narodowym, i z Warszawy, gdzie jest aktorem Teatru Narodowego. Właściwie wrócił na chwilę do domu, pochodzi bowiem z Hawierzowa. Jest absolwentem błędowickiej podstawówki. Już w szkole zwracał uwagę swym nieprzeciętnym talentem aktorskim, brylował w konkursach recytatorskich. W orłowskim gimnazjum zachwycił w przedstawieniu szkolnym „Pan Jowialski". Także jako student PWST w Krakowie wyróżniał się do tego stopnia, że ówczesny dyrektor Starego Teatru, uważanego wtedy przez wielu za

najlepszą placówkę teatralną w Polsce, zaproponował mu angaż. Monczka wrócił jednak na Zaolzie do Sceny Polskiej i tu zdobywał pierwsze szlify aktorskie, miał okazję zagrać ważne, główne role. Po trzech latach opuścił Zaolzie, by na stałe zamieszkać w Krakowie, gdzie założył rodzinę, i grać w Starym Teatrze. Kiedy odbudowano ze zgliszcz warszawski Teatr Narodowy, został również jego aktorem. Bierze udział w przedstawieniach na podstawie Szekspira, Wyspiańskiego, Gombrowicza, Witkacego, występuje u wybitnych reżyserów, gra ze znanymi aktorami. Na Zaolzie wyskoczył, by spróbować roli reżysera, a przy okazji zagrać Pierre'a i przypomnieć się na scenie swej dawnej publiczności. Spytany o różnicę między tamtymi czasy, a dniem dzisiejszym wskazał przede wszystkim na zespół aktorski Sceny Polskiej, który wtedy, przed dwudziestoma laty, składał się przede wszystkim z „naszych" ludzi, aktorów pochodzących z tego terenu, dziś natomiast jest na odwrót, w „Kolacji dla głupca" grają tylko ludzie z Polski. Oczywiście oprócz Jana Monczki, który przebył tę drogę w drugą stronę - z Zaolzia w świat.

Jan Monczka gra w Warszawie i Krakowie wśród wielu gwiazd, w Czeskim Cieszynie sam jest gwiazdą pierwszej wielkości, tym, któremu się powiodło. Jego występ w Scenie Polskiej można by potraktować jako próbkę poziomu, na jakim gra się w obecnej i dawnej stolicy Polski. Tym bardziej trzeba zwrócić uwagę na innych aktorów z „Kolacji dla głupca", którzy tu na prowincji nie mają okazji, by partnerować czołówce scen polskich, podpatrywać i uczyć się od niej.

A przecież osobą, która najwięcej owacji zebrała w czeskocieszyńskiej „Kolacji dla głupca", jest Francois w wykonaniu Ryszarda Pochronia. Reżyser potraktował swoją „Kolację..." jako komedię, na której można i trzeba się śmiać, ale chwilami jest to śmiech gorzki, Gogolowski, nie brak bowiem w ciągu całego spektaklu, a zwłaszcza w finale momentów poważniejszych, zmuszających do zastanowienia się nad innych i własnym postępowaniem. Trzeba zachować szacunek dla odmienności człowieka - mówi reżyser, a jego Pierre, który dostał nauczkę, bo zbyt pochopnie próbował ocenić bliźniego, obiecuje poprawę. Właśnie owe myśli poważne są przyczyną takiej, a nie innej konwencji przedstawienia. Nie wiem, ile w portrecie Francoisa zasługi reżysera i protagonisty spektaklu, a ile własnej inwencji Ryszarda Pochronia, jedno jest pewne, aktorowi udało się zbudować postać pełną wewnętrznego ciepła, nieco nieporadną i przez to zabawną, ale raczej skłaniającą do współczucia niż do wyśmiewania się, a nawet, jak pragnął reżyser, godną szacunku. Stworzył osobę wrażliwą, dobrą i uczciwą i te cechy stają się jej atutami w grze z człowiekiem, który do tej pory uważał się za kogoś lepszego. Choć rysunek postaci Francoisa w sztuce Vebera skłania do przerysowań, aktorowi udało się uniknąć tej pułapki, nie wpaść w manierę, lecz trzymać swego bohatera w pewnych ryzach. Gra Pochronia jest wyrównana, a jednocześnie bogata i zasługuje na najwyższą ocenę.

Pierre Jana Monczki nie wydaje się tak do szpiku kości zepsutym czło-

wiekiem, bo wtedy pewnie nie byłoby go stać na samokrytykę. Chwilami porywczy, zdenerwowany, chwilami zrezygnowany lub ubawiony sytuacją, w końcu zaś szczery i nawet sympatyczny. Aktor jednak nie wchodzi tak głęboko w rolę jak jego ofiara, zachowując dystans do granej postaci i zdarzeń na scenie, stwarza bardziej wrażenie ich obserwatora (reżysera?), niż uczestnika i bohatera.

Pozostałe postacie to przede wszystkim skrupulatny Cheval (Ryszard Malinowski), kolega z pracy Francoisa, który też dostarcza okazji do śmiechu, to przyjaciel Pierre'a Leblanc (Janusz Kaczmarski) i lekarz doktor Archambaud (Waldemar Cudzik) oraz dwie kobiety Pierre'a: żona Christine (Anna Paprzyca), może zbyt oficjalna w kontaktach z mężem, i przyjaciółka Marlene (Ewa Kus), mało przebojowa i przekonująca o swoich walorach.

Warto było obejrzeć tę komedię w Scenie Polskiej, dla niej samej i dla głównych jej protagonistów. Zdziwienie wywołały liczne puste miejsca na widowni podczas premiery, zwłaszcza, że obecni na niej byli także goście wcześniejszych uroczystości wspomnieniowych na Żwirkowisku: marszałek Senatu RP Longin Pastusiak, dwóch senatorów RP, ambasador RP w Pradze Andrzej Krawczyk i konsul generalny RP w Ostrawie Andrzej Kaczorowski. Przed premierą zgodnie z wprowadzonym w teatrze zwyczajem, odbył się wernisaż wystawy, tym razem malarstwa Bronisława Firli.

CZESŁAWA RUDNIK



Na wernisażu wystawy Bronisława Firli, fotografie WIESŁAW PRZECZEK

MĄDRY OSIOŁ, GŁUPI JAŚ

Właśnie w sztuce Edmunda Wojnarowskiego zadebiutowała jako aktorka Teatru Lalek Bajka w Czeskim Cieszynie w roku 1978 Pawełka Niedoba. Grano wtedy „Baśń o bochenku chleba". Bajką kierował Bronisław Liberda, teatr miał nawet swego kierownika literackiego, którym był Władysław Sikora. Wiele zmieniło się od tego czasu, jednak Pawełka Niedoba nadal gra w Bajce, ba, od roku 1993 jest jej kierownikiem, boryka się więc z problemami nie tylko natury artystycznej. Niewielki jest zespół Bajki, jednak poziom produkcji teatralnej tego zespołu pozwala mniemać, że udaje się wszelkie kłopoty przezwyciężać na tyle, by nie były widoczne dla widza i nie przeszkadzały mu w spokojnym odbiorze spektakli. Teatr, wierny swemu najmłodszemu widzowi, nie zapomina też o starszych, niektóre swoje propozycje kierując przede wszystkim właśnie do nich. Do takich ambitnych, pisanych z myślą o dojrzalszej widowni pozycji należą sztuki Edmunda Wojnarowskiego i od jednej z nich rozpoczęła Bajka swój 55. sezon.

„Osioł, osioł nad osłami" to kolejne przedstawienie wyreżyserowane w tym teatrze gościnnie przez Grzegorza Lewandowskiego. Reżyser jest też autorem scenografii. Muzykę do spektaklu napisał stały bajkowy kompozytor Andrzej Macoszek. Zmienił się od poprzedniego sezonu nieco zespół aktorski Bajki. Dorota Grycz i Beata Badošek rozpoczęły urlop macierzyński, podchowała natomiast już swoje latorośle i wróciła do Bajki Wanda Michałek. (Jak widać aktorki teatru próbują własnymi siłami przysporzyć Bajce nowych widzów.) W „Ośle..." zagrał też, świeżo po studiach aktorskich, pracujący już przed kilku laty w Bajce Jakub Tomoszek.

Mało jest w tym przedstawieniu lalek. Chociaż to właśnie zwierzęta-lalki są w sztuce Edmunda Wojnarowskiego najmądrzejsze. Osiołek, którym dzięki temu, że jest na kółkach, łatwo manipulować, który posiada prosty mechanizm pozwalający mu na kiwanie głową, strzyżenie uszami. I ptaszek znający mądrości, które stanowią punkt wyjścia do mających nastąpić zdarzeń, mówiący zdania, które powodują, że musi potem stać się coś, co wyjaśni, dlaczego zostały wypowiedziane.

Inne postacie sceniczne to żywi aktorzy. Rola najważniejsza i najtrudniejsza spoczęła na barkach Wandy Michałek, która jako niezbyt rozgarnięty chłopak z osłem przemierza świat i uczy się życia. Żywą gestykulacją i wyraźną mimiką stara się uzupełnić słowa, które w wypadku



Fot. WIESŁAW PRZECZEK

najmłodszej widowni mogą niekiedy padać na niezbyt podatny grunt i stanowić dla dzieci problem w wyciągnięciu z nich właściwych wniosków. Reszta zespołu aktorskiego (Pawełka Niedoba, Krystyna Czech, Jan Szymanik, Jakub Tomoszek) gra po kilka ról, raz kluczowych w budowaniu sytuacji scenicznych, innym razem jedynie ilustrujących tok narracji.

Akcję rozpoczyna scena przypominająca obrazy biblijne, kiedy to stary ojciec dojrzałym już synom daje coś ze swego majątku oraz dobre rady i wysyła ich w świat. Dla czwartego, ostatniego, zostaje osiołek. „Osioł, osioł nad osłami" - w ten oto sposób nazwał swoją sztukę Edmund Wojnarowski, bo osioł to zwierzę uparte, ale przede wszystkim głupie. Tak przynajmniej myśli o nim człowiek, który uczynił go synonimem głupoty ludzkiej. Ale w tym wypadku role się odwracają. Człowiek zostaje osłem, zwierzę okaże się mądrzejsze od człowieka, wręcz poucza go, umie mu wyjaśnić wiele zbyt zawiłych dla niego spraw. Zdarzenia, jakie następują, każą chłopakowi uwierzyć w to, że nie należy lekceważyć mądrości ludowych, choćby wypowiedział je ptak. Bohater musi przekonać się między innymi o tym, że należy przemyśleć dobrze własne słowa, nim się je wypowie. By nie zostać przysłowiowym osłem.

Autor sztuki stosuje i tym razem swoje ulubione chwyty, które w efekcie powodują pewien przesyt inscenizacyjny w krótkim przecież, bo mieszczącym się w czasie jednej godziny lekcyjnej, spektaklu. Przede wszystkim jest to nawarstwienie motywów znanych skądinąd z innych bajek, jak chociażby motyw zwierciadła, które pokazuje, kto jest najpiękniejszy na świecie, czy stoliczka, który sam się nakrywa. Są to ilustrowane scenkami cytaty i powiedzenia w stylu: Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Są to niedopowiedzenia, rymowanki, gdzie ostatnie słowo rymu można zastąpić innym, bardziej wulgarnym. Jest to zabawa językiem, szukanie homonimów, słów o podobnym brzmieniu, których znaczenie jest jednak diametralnie różne, np. zaklęcie i zakląć. Wszystkie te elementy spektaklu mogą spowodować u bardziej dociekliwego widza pewien chaos myślowy, w którym zatraca się główna oś tematyczna. Na szczęście finał jest jasny, osiołek, zgubiony na pewien czas, wraca do właściciela, a bohater, który dostał od życia niezłą lekcję, powinien być już od tej chwili mądrzejszy.

CZESŁAWA RUDNIK

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

NA 75-LECIE ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA CHÓRALNEGO ŚWIĘTO PIEŚNI NA ZAOLZIU

W niedzielę 29 września br. świętowały w stonawskim Domu PZKO 75-lecie zorganizowanego śpiewactwa polskiego na czeskim Śląsku Cieszyńskim chóry zaolziańskie, ich dyrygenci oraz liczne grono sympatyków wielogłosowego śpiewania.

Przypomnieć należy, iż w roku bieżącym mija 75 lat, kiedy to pierwsze polskie chóry na Zaolziu zrzeszyły się w Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji. Pierwsze chóry na dzisiejszym Zaolziu powstawały już wprawdzie na początku ubiegłego stulecia, np. w Jabłonkowie, Boguminie,

Nawsiu, Łazach, Niemieckiej Lutyni, Darkowie, Suchej Górnej, Stonawie, lecz nie miały one swej organizacji. W roku 1913 z inicjatywy Jana Kiszy, naczelnego chórmistrza Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, podjęto próbę jednolitego uchwycenia organizacyjnego ruchu śpiewaczego na Śląsku Cieszyńskim, lecz niestety wybuch wojny światowej w 1914 roku sparaliżował te dążenia.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego w 1920 roku większość chórów polskich znalazła się po stronie czechosłowackiej. W 1927 roku w łonie Macierzy Szkolnej, najmocniejszej wówczas polskiej organizacji oświatowej i kulturalnej, powstał Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. Nauczyciele, najliczniejsza, najbardziej zwarta i uświadomiona grupa polskiego społeczeństwa zaolziańskiego, zakładają i prowadzą chóry. Po 10 latach działalności Związku Polskich Chórów zaangażowanych było w zespołach chóralnych 81 dyrygentów, w tym aż 74 nauczycieli. W pamiętnym roku 1937 w czeskocieszyńskim Parku Adama Sikory, tuż nad brzegami granicznej Olzy, wystąpiło 4000 śpiewaków ze 102 zespołów chóralnych! Chóry istniały prawie w każdej miejscowości Zaolzia, w niektórych było ich nawet kilka.

Po II wojnie światowej dochodzi do szybkiego odrodzenia się zespołów śpiewaczych. Podobnie jak przed wojną, tak i teraz chóry miały charakter młodzieżowy i w przytłaczającej większości należały do Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Tylko część chórów rozwijała swoją działalność przy Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym. Obie organizacje powstały w 1947 roku.

Największy rozwój ilościowy chórów, bo ponad 80, notuje zaolziańskie życie śpiewacze w latach 1948-1954. Powojenny złoty okres działalności śpiewaczej doznaje jednak stopniowo poważnych zakłóceń. W 1952 roku Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej wchłonięte zostało przez Czechosłowacki Związek Młodzieży. W ten sposób zlikwidowano ostatnią, posiadającą resztkę samodzielności formę aktywności młodzieży polskiej w Czechosłowacji. Entuzjazm, z jakim dotąd młodzież polska w ramach swojej organizacji śpiewała, uczestnicząc nawet z wielkimi sukcesami w ogólnopaństwowych popisach śpiewaczych, zaczyna wyraźnie przygasać. Chóry SMP przechodzą pod egidę PZKO, który stał się odtąd jedyną instytucjonalną ostoją polskości na Zaolziu.

Pomimo wszystko cały zaolziański powojenny ruch śpiewaczy, skupiony od roku 1949 w Zrzeszeniu Śpiewaczo-Muzycznym PZKO, kontynuatorze przedwojennego Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, odnotować może znamienne sukcesy. Śpiew chóralny i jednogłosowy towarzyszy wszelkim imprezom związkowym, chóry masowo, jako chóry połączone, uczestniczą w gigantycznych festiwalach i różnych imprezach śpiewaczych. Polskie chóry zaolziańskie są wysoko notowane nawet w ogólnopaństwowych zawodach śpiewaczych na wszystkich szczeblach.

Źródłem siły i aktywności zaolziańskiego śpiewactwa w tych skomplikowanych i trudnych czasach było mocne powiązanie z tradycjami i folklorem tej ziemi. Z podziwem i szacunkiem patrzeć należy na dokonania Zrzeszenia i jego chórów, które m.in. wytrwale propagowało również rodzimą pieśń ludową, współuczestnicząc przy organizowaniu przez Sekcję Folklorystyczną przeglądów cieszyńskiej pieśni ludowej. W inności swojego śpiewu, pielęgnowaniu pieśni ludowych i narodowych widziało zaolziańskie śpiewactwo szansę podkreślenia swej odrębności i podtrzymania świadomości narodowej.

Po „aksamitnej rewolucji" w Czechosłowacji w 1989 roku Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne staje się pierwszym oddziałem zagranicznym Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Moment ten jest niewątpliwie historycznym aktem, świadczącym o przywiązaniu śpiewactwa zaolziańskiego do kultury polskiej. Równocześnie ZŚM stało się samodzielnym oddziałem polskim przy Unii Czeskich Zespołów Chóralnych (Unie českých pěveckých sborů) w Pradze.

Dzięki nowej strukturze organizacyjnej coraz głośniej o chórach zaolziańskich, nade wszystko zaś na Śląsku po prawej stronie Olzy. Chóry zaolziańskie biorą udział w edycjach Święta Śląskiej Pieśni Chóralnej Trojok Śląski, Ogólnopolskich Festiwalach Polskiej Pieśni Chóralnej i Zjeździe Chórów Słowiańskich w Katowicach, Świętach Pieśni Gaude Cantem w Bielsku-Białej, Festiwalu Chórów Śląskich w Ustroniu i innych. Słychać też częściej chóry zaolziańskie w Republice Czeskiej, na Ogólnopaństwowych Konkursach Śpiewu Chóralnego Czech i Moraw w Jihlawie czy też Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w samej stolicy Republiki Czeskiej.

Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne skupia obecnie 25 zespołów chóralnych, z tego 20 mieszanych, 3 męskie oraz 2 żeńskie, w których śpiewa ponad 700 chórzystów. W 2001 roku chóry dały 249 koncertów i występów, z tego 59 za granicą.

Problemy, z jakimi boryka się aktualnie polskie śpiewactwo zaolziańskie, to starzenie się bazy członkowskiej, wykruszanie się zespołów chóralnych, skąpe możliwości zaprezentowania swojego dorobku w szerszym terenie, brak wystarczających środków na działalność, coraz bardziej dotkliwy brak rodzimej kadry dyrygenckiej. O ile kiedyś trzon tej kadry stanowili głównie nauczyciele, to dziś jest inaczej: 25 zespołów chóralnych prowadzi 21 dyrygentów (4 dyrygentów prowadzi po dwa chóry), nauczycieli jest 7 (z tego 6 emerytów). Kadrę dyrygencką uzupełnia 6 dyrygentów z Polski (wykładowcy i absolwenci Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie), pozostałych 14 dyrygentów rekrutuje się z różnych zawodów (4 dyrygentki ukończyły 5-letnie Studium Dyrygenckie dla Chórów Polonijnych w Koszalinie). Spośród 21 dyrygentów jest 12 kobiet, tj. 57%.

Pomimo narastających poważnych problemów polskie śpiewactwo za-

olziańskie ma się jeszcze czym pochlubić. W społecznej amatorskiej działalności artystycznej, a najlepszym przykładem jest na pewno występ połączonych chórów Zrzeszenia na tegorocznym Festiwalu PZKO w Karwinie oraz Uroczystości Wspomnieniowej na Żwirkowisku z okazji 70. rocznicy tragicznej śmierci lotników polskich Żwirki i Wigury, chóry na Zaolziu stanowią dotąd najliczniejsze i najaktywniejsze zbiorowisko. Zawdzięczać to należy przede wszystkim ofiarności i poświęceniu chórzystów, dyrygentów, nauczycieli (chociaż już nielicznym), a także życzliwym przyjaciołom, umiejącym w razie potrzeby podać pomocną dłoń, tj. Polskiemu Związkowi Chórów i Orkiestr, jego oddziałom w Katowicach i Bielsku-Białej, Stowarzyszeniu Wspólnota Polska w Warszawie, Koszalinie, Katowicach i Bielsku-Białej, Zarządowi Głównemu PZKO, wszystkim miejscowym samorządom władzy państwowej w miastach i gminach, które wspierają nasze zespoły śpiewacze finansowo. Cieszy też na pewno każde słowo uznania ze strony Zarządu Głównego czy też Oddziału Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Pradze i Ostrawie.

Na uroczystość w Stonawie przybyli z gratulacjami i wyrazami uznania dla dorobku chórów zaolziańskich przedstawiciele morawsko-śląskiego oddziału Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Ostrawie, prezes Zdeněk Děrkas oraz Stanislav Kuchař, którzy z upoważnienia Zarządu Głównego Unii wręczyli wiceprezesowi ZG PZKO i ZŚM Józefowi Wierzgoniowi odznaczenie przyznawane za szczególne zasługi na polu pieśni chóralnej - Złotą Odznakę z Granatami. W swoim imieniu zaś wręczyli długoletniemu dyrygentowi i działaczowi społecznemu (w roku 2003 obchodzić będzie J. Wierzgoń 50-lecie pracy dyrygenckiej i działalności społecznej) obraz i Akt Pamiątkowy oddziału morawsko-śląskiego. Gratulacje i podziękowanie za ofiarną pracę zaolziańskich zespołów chóralnych przyszedł wyrazić również prezes ZG PZKO Zygmunt Stopa. Listy gratulacyjne przesłali na ręce prezesa ZŚM Jana Hławiczki również prezes ZG Unii Czeskich Zespołów Chóralnych prof. Jiří Kolář z Pragi oraz prezes Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach Rajmund Hanke. W sali pięknego Domu PZKO w Stonawie nie brakowało też prezesa honorowego ZG PZCHiO Kazimierza Fobra.

Przybyli też posłuchać pieśni chóralnych w wykonaniu 9 zaolziańskich zespołów (chór szkolny Crescendo bystrzyckiej PSP im. St. Hadyny z dyrygentką Danutą Cymerys, czeskocieszyńskie Collegium Canticorum z dyrygentką Jolą Malinką, połączone chóry mieszane Sucha i Stonawa (z solistką Joanną Rzeszut) pod batutą Anny Kiszki i Marty Orszulik, frysztacki chór żeński Kalina pod batutą Otokara Winklera, trzyniecki PChM Hutnik pod dyrekcją Ewy Wigezzi, nawsiański chór żeński Melodia z Aleksandrą Zeman, do połączonych chórów dołączył również rajski Dźwięk i darkowska Lira, prowadzący trzydniowe warsztaty śpiewu chóralnego, poprzedzające

jubileuszowy stonawski koncert, Elżbieta Wtorkowska, Grażyna Ney i Przemysław Pałka, wybitni fachowcy Akademii Muzycznych w Bydgoszczy, Poznaniu i Wrocławiu. Oni to nie tylko uczestniczyli w Święcie Pieśni w roli słuchaczy, ale również w roli wykonawców.

Koncert zamknęła pod batutą prof. Przemysława Pałki wiązanka pieśni w wykonaniu wszystkich uczestniczących w nim chórów. Finałowy „Hymn na III Tysiąclecie" o wymownej treści świecko-religijnej oraz „Hymn Chórów Polonijnych" ze śpiewem solowym specjalistki od emisji głosu Elżbiety Wtorkowskiej i przy akompaniamencie fortepianowym Grażyny Ney wybrzmiały monumentalnie, uroczyście i radośnie zarazem. Zachwycona publiczność mocnymi brawami nagrodziła wszystkich wykonawców.

75 lat zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu na pewno zmusza każdego chórzystę, dyrygenta i działacza społecznego do zastanowienia się nad dokonaniami chóralnych poprzedników oraz osiągnięciami współczesnych działaczy na niwie śpiewactwa, które na pewno są niemałe. Ilu to jeszcze śpiewaków pozostało pomimo upływu wielu lat powojennych nadal wiernych pieśni chóralnej! Zasługują na pewno na głęboki przed nimi ukłon do ziemi!

A w nowych stabilizujących się warunkach społeczno-politycznych niewątpliwie istnieje szansa ratowania tego, co zaolziańskie, polskie, co odziedziczono po przodkach i co jeszcze można wzbogacić w celu utrzymania polskiej tożsamości narodowej. Ale to już zależeć będzie wyłącznie od dalszej aktywności każdego z nas. Poprzez sztukę, śpiew można wypowiedzieć swoje uczucia, radości, smutki, żale i marzenia, można wypowiedzieć i utrzymać naszą wspólnotę!

JÓZEF WIERZGOŃ

CHÓR HASŁO W PRUDNIKU

Gmina Prudnik leży na południu województwa opolskiego u podnóża Sudetów. Miasto Prudnik stanowi idealny punkt wypadowy do wędrówek po Parku Krajoznawczym Gór Opawskich. I właśnie z Prudnikiem już od kilku lat miasto Bogumin utrzymuje współpracę partnerską.

W dniach 13-15 września w prudnickiej hali sportowej przebiegały VII Międzynarodowe Targi Przedsiębiorczości i Rzemiosła INTER-REGION. Już podczas pierwszego dnia tej imprezy chór mieszany Hasło działający przy Miejscowym Kole PZKO w Skrzeczoniu dwukrotnie wystąpił w hali sportowej, godnie reprezentując miasto Bogumin. Zespół zaśpiewał 14 piosenek, ludowych, patriotycznych i folklor czeski, pod batutą Ireny Szeligi, okolicznościowe wiersze recytowała Marta Szeliga oraz słowo wiążące

przedstawiła Aleksandra Sładeczek. Drugi występ odbył się bezpośrednio po oficjalnym otwarciu imprezy w obecności wielu gości z kraju i zagranicy.

Najważniejszy występ chóru Hasło w sezonie 2001/2002 odbył się w ramach obchodów jubileuszu 75-lecia zespołu w listopadzie ub. r. Wręczono wówczas Marii Ożóg złotą odznakę z laurem Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie. W ramach działalności Koła zespół zaliczył występy podczas takich tradycyjnych akcji jak Powitanie Wiosny i festyn ogrodowy. Występował z kolędami w Domu PZKO podczas wigilijki połączonej ze spotkaniem z ubiegłorocznymi jubilatami Koła. Kolędy śpiewał też w bogumińskim i skrzeczońskim kościele. Godnie pożegnali się chórzyści również z długoletnim prezesem skrzeczońskiego MK PZKO i bogumińskiego Komitetu Miejskiego PZKO śp. Erykiem Czernym.

Obecnie chór liczy 28 członków, próby odbywają się w poniedziałki w Domu PZKO. Dyrygentką zespołu już od pięciu lat jest Irena Szeliga, która w lipcu już po raz drugi uczestniczyła w dwutygodniowym kursie dyrygenckim w Koszalinie, zorganizowanym przez Wspólnotę Polską, natomiast funkcję kierownika organizacyjnego pełni Stanisław Górniok. Należy jeszcze dodać, iż w styczniu chór Hasło gościł chór mieszany Grodkovia z Grodkowa. Teraz skrzeczońscy chórzyści przygotowują się do występu podczas obchodów Dnia Niepodległości, które przebiegną w listopadzie w Grodkowie.

D.G.



Fot. TADEUSZ GUZIUR

UROCZY KONCERT W KARWINIE

Inicjatorką wielu pięknych koncertów w Karwinie jest miejscowa Podstawowa Szkoła Artystyczna im. B. Smetany z dyrektorką Ewą Šeinerową na czele, kierowniczką artystyczną i dyrygentką istniejącego od 36 lat świetnego chóru dziecięcego Permoník.

Na początku września Podstawowa Szkoła Artystyczna przygotowała dla nauczycieli gry na fortepianie trzydniowe warsztaty fortepianowe, które prowadzili wykładowcy Ivan Gajan ze Słowacji, Jitka i Věroslav Němcowie, duet fortepianowy z Pragi, Nora Lúse z Łotwy i prof. Andrzej Tatarski z Akademii Muzycznej w Poznaniu. W trakcie warsztatów odbył się też w karwińskim Miejskim Domu Kultury Koncert Fortepianowy, gdzie zaprezentowali się Arta Arnicáne, dziewiętnastoletnia artystka z łotewskiej Rygi i wspomniany już prof. Andrzej Tatarski.

Arta Arnicáne jest laureatką wielu międzynarodowych konkursów w RC, USA, Włoszech, Portugalii i Anglii, ma już na swoim koncie szereg solowych recitali i koncertów z orkiestrą symfoniczną w kraju i za granicą. Współpracuje z łotewskim radiem Latvia. Na koncercie w Karwinie wykonała utwory F. Schuberta (Impromptu As dur nr 2), M. Ravela (Miroirs), A. Skrjabina (Poemat Santaniue op. 36).

W drugiej części koncertu zaprezentował swoje wysokie umiejętności wykonawcze prof. Andrzej Tatarski. Pamiętam pana Andrzeja, mojego osobistego kolegę, jako świeżego absolwenta studiów muzycznych w Poznaniu i Paryżu, kiedy to w roku 1970 akompaniował na fortepianie słynnemu chórowi Poznańskie Słowiki pod batutą legendarnego już dziś prof. Stefana Stuligrosza podczas koncertu w karwińskim Miejskim Domu Kultury. Dziś Andrzej Tatarski jest wysoko cenionym pedagogiem w poznańskiej Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego. Bardzo bogata jest też jego działalność artystyczna. Obok gry na fortepianie poświęca się również muzyce kameralnej. Melomani muzyki poważnej oklaskiwali grę artysty na scenach koncertowych w 22 krajach Europy, w Japonii, USA, Korei Południowej i na Jamajce. Znamienną część jego repertuaru tworzą dzieła polskich i francuskich kompozytorów XIX i XX stulecia. Wiele utworów współczesnych kompozytorów wykonywał jako pierwszy w Polsce. Dokonał wielu nagrań dla polskich i zagranicznych stacji radiowych, współpracuje z polską telewizją i filmem. W Karwinie wykonał utwory F. Chopina (Polonez c moll op. 40 nr 2), F. Liszta (Sonet Petrarki nr 104), Liszta - Schumanna (Dedykacja), C. Debussyego (L isle joyeuse) oraz I. J. Paderewskiego (Melodie op. 16 nr 2, Polonez H dur op. 9 nr 6). Błyskotliwa i liryczna Humoreska A. Dvořáka zakończyła ten uroczy koncert.

JÓZEF WIERZGOŃ

BURZLIWE DZIEJE KOSZAR BOGUMIŃSKICH

Koszary bogumińskie powstały w czasach austriackich, w 1915 roku załoga przeprowadzała ćwiczenia terenowe przeważnie na tzw. egzecyrplacu, usytuowanym w Skrzeczoniu Nowej Wsi po lewej stronie „Czyrwiński Groble". Czeski garnizon piechoty, który umieszczono w koszarach w 1923 roku, też je wykorzystywał. W godzinach popołudniowych wypasały tam dzieci krówki, bawiąc się w okopach „na wojoków".

Ćwiczenia terenowe odbywały się też od czasu do czasu i na skrzeczońsko-lutyńskich polach. Do przewozu karabinów maszynowych i amunicji służyły wózki dwukołowe z dwoma postronnymi dyszlami, do których zaprzęgano muły. Pamiętam, żołnierzy podzielono na dwie grupy: „Nieprzyjaciele" mieli czerwone opaski na czapkach i od strony Lutyni atakowali, „zdobywali" tereny Skrzeczonia. Żołnierze „obrońcy", kryli się m.in. za zabudowaniami gospodarczymi, płotami czy młynami-powieterniokami.

Dojrzewały akurat gruszki wiliamsówki (jedne z najlepszych, najwcześniejszych) na młodej gruszy. Żołnierze strząsali je i „frygali". Jako 8-letni chłopiec poleciałem do mamy z płaczem: - *Óni nóm wszycki ty fajne gruszki zjedzóm! - Nie być synku taki zowistny* - mówiła mama - *dyć ty też możesz być kiejsi wojokym i też se kajsi cosi urwiesz ze stróma. Dyć tam je tych gruszek dość...*

Za dwa miesiące maszerowali ci żołnierze polną drogą w stronę Lutyni, po której jechała też starsza siostra do Starzika z mlekiem. Zadzwoniła, aby usunęli się trochę z wydeptanego chodnika, aby nie spadła z roweru na wyboistej miedzy. A tu jeden z ostatnich maszerujących woła na kolegów „po naszymu". - *Pozór, śledzie, bo pitling jedzie!* A ona im odpaliła: - *I wszyckich uchali-mądrali przejedzie!* Uśmiali się wszyscy, bo było wśród nich wielu naszych zaolziańskich synków.

W październiku 1938 r. zmieniła się znowu załoga, którą tworzyła kompania Podhalańczyków. Zachwycaliśmy się wszyscy ich szumiącymi w marszu pelerynami, szczególnie kiedy przychodzili zawsze w niedziele i święta do kościoła katolickiego na uroczystą Mszę św., tzw. „sumę", o godz. 10.30, w której uczestniczyli też uczniowie gimnazjum i szkoły wydziałowej. Kościół nie mógł po prostu pomieścić wszystkich parafian, a kiedy zabrzmiał uroczysty hymn patriotyczno-religijny „Boże, coś Polskę...", to wydawało się, że ten potężny śpiew rozsadzi mury kościoła. Na samo wspomnienie „wilgotnieją" nam starszym oczy.

Tragiczny wrzesień 1939 roku... Koszary opustoszały. Okupacja hitlerow-

ska. Po masowych aresztowaniach inteligencji polskiej na terenach wcielonych do Rzeszy w kwietniu 1940 r. w celu germanizacji tych terenów całe rodziny polskie były wysiedlane do tzw. Polenlagrów, a do ich gospodarstw sprowadzano tzw. Volyniendeutschów, Volksdeutschów z Wołynia, Besarabii... Wielu z nich przyjeżdżało i z końmi, a że właśnie w koszarach bogumińskich były i stajnie po wspomnianych wyżej mułach, my elektrycy firmy elektro-radio Robert Bilý rekonstruowaliśmy naprędce (i w niedzielę) instalacje elektryczne w tych właśnie stajniach, a częściowo i w barakach parterowych.

Na początku czerwca 1942 roku już po raz piąty zmieniła się „załoga" koszar: wysiedleni Polacy w Polenlagrze nr 32.

W 1945 r. załogę koszar tworzyły znowu wojska czeskie, które w latach 50. zamieniono na wojsko ochrony kolei, które wybudowało nowe, piętrowe pawilony. W sierpniu 1968 wojska te na dłuższy okres czasu rozbrojono. Przetrwały jednak potem do 1994 roku. Obecnie znalazło w koszarach siedzibę wiele firm prywatnych. W swojej 75-letniej historii zmieniały więc koszary bogumińskie aż ośmiokrotnie swoje „załogi".

W 60. rocznicę powstania Polenlagru nr 32 w Nowym Boguminie przypomnijmy jeszcze kilka szczegółów. Jak wiadomo, zmarłych z wycieńczenia, głodu i chorób wysiedleńców przewozili ich współwięźniowie na wózku dwukołowym przeważnie bez trumien, przykrytych tylko plandeką, na cmentarz komunalny w Skrzeczoniu. Opowiadała nam córka grabarza, że na własne oczy widziała, jak zasypywany nieszczęśnik poruszył jeszcze ręką. - Przecież on jeszcze żyje - krzyknęła przerażona do dozorcy. - Ale co tam, to ci się tak tylko wydawało. Zasypywać!

Zachowała się też notatka z 3 marca 1943: *W rogu cmentarza (płn.-wsch.) jest już 15 mogił dużych i 6 małych tych z Polenlagru bogumińskiego. Strach pomyśleć, co z nami dalej będzie...* A więc od początku czerwca 1942 zmarło już 21 osób. Groby te odgrodzono od reszty cmentarza płotem z żerdzi jak na pastwisku.

Skrzeczońscy pezetkaowcy zadbali po wojnie o wspólną mogiłę, którą upiększono dużym wzniesieniem - klombem kwiatów i ozdobnymi krzewami. Wzniesiono też oczywiście duży dębowy krzyż z koroną cierniową z drutu kolczastego.

Tu warto przytoczyć fragmenty artykułu J. Raszyka „Umarli czekają", opublikowanego w Głosie Ludu 1.10.1966.

Cześć świetlanej pamięci tych, którzy - wyrwani przemocą ze swoich domów - ponieśli śmierć na tej ziemi w latach 1939-1945.

Tablica tej treści oparta jest na cmentarzu skrzeczońskim o wysoki prosty krzyż, ozdobiony drutem kolczastym. W pobliżu krzyża - betonowa platforma i fundament, chyba pod pomnik. Wiem coś o czynionych tu przygotowaniach, ale jeszcze się upewniam. Kobieta troszcząca się opodal o groby żołnierzy niemieckich informuje: „Też mają taką patalię z pomnikiem, jako my mieli". Niemieckie ofiary wywołanej przez Niemcy hitlerowskie wojny, cofające się przed nacierającą

Armią Radziecką, mają tu swą reprezentacyjną pamiątkę - duży pomnik z napisem „Ruhe in Erde". Ofiary tej samej wojny, wyzwalające okupowany świat, doczekały się przed kilku laty godnego pomnika sławiącego oręż i ofiarę krwi żołnierza radzieckiego, lecz 104 ofiary hitlerowskiego Neuordnungu, zwiezione z Polski i trzymane w odrutowanym obozie pracy w Boguminie, zmarłe z głodu, wycieńczenia, chorób i tu grzebane - stale czekają.

Nie można powiedzieć, żeby społeczeństwo skrzeczońskie o nich nie pamiętało. Na wspólnej mogile usypało kopiec, miejsce upiększyło, wysadziło krzewy i kwiaty (o całość dbała szczególnie Monika Krzystkowa).

W lecie br. ostatecznie postanowiono: Postawimy pomnik. Powołano specjalną komisję, ustalono nawet datę odsłonięcia (2.10) i wystosowano zaproszenia, aż tu 12 września oświadczono głównym organizatorom uroczystości: Jeszcze nie wszystko gotowe. A trzeba było tak niewiele, jeśli w dodatku fachowiec (kamieniarz Schober) jest pod ręką.

Na kaplicy cmentarnej, obok krzyża brzozowego, widnieje tablica odsłonięta przed 18 laty: Umęczonym obywatelom w obozach koncentracyjnych ze Skrzeczonia - Fr. Bylok, R. Kwaśnica, J. Ożana, I. Ożóg, K. Przeczek, Józef Solich, Fryd. Szczepański, E. Chylek - miejscowy PZKO.

To tak samo ofiary wojny i tak samo zasługują na więcej niż skromną tablicę pamiątkową. Albo tamte czasy zgrozy już tak dawne, że nie warto o nich wspominać?!

Na okazałym pomniku z czarnego granitu szwedzkiego, który zamówili znani działacze społeczni z okresu międzywojennego i członkowie zarządu MK PZKO panowie Józef Krajczy i Teofil Curzydło była bowiem płaskorzeźba krzyża, który w czasach usilnej ateizacji był solą w oku wszechwładnej partii. Zamiast okazałego pomnika umieszczono na symbolicznym grobie 104 Polaków trzy duże graniastosłupy, a przed nimi dwie tablice (w języku polskim i czeskim): Polakom ofiarom faszyzmu 1939-1945. Mało kto już wie (oprócz pezetkaowców), gdzie te ofiary zginęły i ile ich było. Moim i wszystkich starszych zdaniem powinna być tylko jedna tablica z napisem polskim: Ofiarom faszyzmu, 104 Polakom umęczonym w obozie dla wysiedlonych Polenlagrze nr 32 w Nowym Boguminie 1942-1945. Napis ten udokumentowałby potomnym i objaśnił wszystkim, którzy przyjeżdżają na cmentarz skrzeczoński z Polski, Czech, a nawet z Anglii, jakie to ofiary tu spoczywają i ile ich było. Można by też na wierzchołkach graniastosłupów wyciosać z przodu krzyże w formie płaskorzeźby. Na pewno upiększyłyby i ożywiły ich kształt. Przecież ofiary te, wysiedleńcy, byli chrześcijanami. Widziałem, większość z nich nosiła na szyi medaliki, krzyżyki. Powinniśmy uświadomić sobie, iż na wszystkich grobach i pomnikach bohaterskich żołnierzy polskich od Narwiku po Monte Cassino, a ostatnio i w Katyniu, a tak samo na tablicach pamiątkowych wszystkich ofiar faszyzmu i stalinizmu umieszczono krzyże, choć niekiedy tylko brzozowe.

WINCENTY SZELIGA
Skrzeczoń

DANIA W PROSZKU

Chcąc zjeść lekki posiłek, coraz częściej sięgamy po produkty w proszku: zupy, sosy, budynie. Bo nie wymagają wielu zabiegów, wielu naczyń, są przygotowane błyskawicznie. Niekiedy jednak przy częstym ich spożywaniu pojawia się lekki niepokój: Z czego robi się takie dania, co na to nasz układ trawienny, czy w niedługim czasie nie zepsujemy sobie żołądka? By rozwiać nieco wątpliwości, proponujemy dziś artykuł **Beaty Sypuły**, który zamieścił 5 września br. **Dziennik Zachodni.**

SZYBKI DESER

Wystarczy zagotować wodę, wsypać proszek, zamieszać - i gotowe. Takie smakołyki zyskują coraz więcej zwolenników. Czy jednak szybki deser to zdrowy deser?

Grupą najszybciej zwiększającą swój udział w rynku dań instant są błyskawiczne kisiele i budynie. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy nastąpił w Polsce wzrost podaży deserów instant o 73 procent - podaje AC Nielsen.

- *To nie powinno nikogo dziwić. Żyjemy zdecydowanie szybciej niż kiedyś. Zmienił się nie tylko styl życia, ale i nasze kulinarne preferencje* - zauważa Teresa Mokrysz, właścicielka firmy Mokate SA. - *Można było przypuszczać, że szybkie dania po zdobyciu silnej pozycji na rynku potraw typu obiadowego zdominują również rynek słodkich deserów.*

Przede wszystkim są to kisiele i budynie - w torebce jest również mleko w proszku, więc nie trzeba dla sporządzenia takiego „szybkiego" budyniu żmudnie przegotowywać mleka. Na najpopularniejsze, bo łatwe w przyrządzaniu i co ważne - tanie kisiele instant przypada już 48 proc. całego rynku tego deseru w Polsce. Oznacza to, że klasyczny kisiel obronił już tylko 52 proc. rynku.

O polskich klientów deserów instant walczy Dr. Oetker, Knorr, grupa Nestle i należąca do niej marka Winiary oraz Mokate. Dania instant to dla tych firm ważny kierunek rozwoju.

- *Popularność deserów instant sprawia, że wprowadza się kolejne produkty i smaki* - mówi Maja Karolewska z Winiar. - *Budynie mają smak cappuccino, toffi. Nowością jest lubiana przez Polaków kaszka manna, ale łatwa do przygotowania jako danie instant. Ma smak jabłka i cynamonu, maliny, wanilii z rodzynkami.*

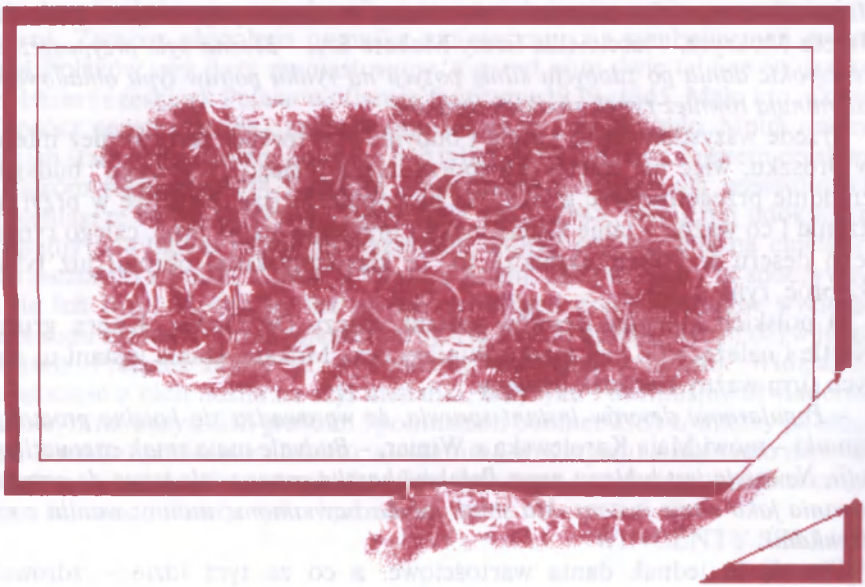
Czy są to jednak dania wartościowe, a co za tym idzie - zdrowe?

Produkcja wszystkich dań gotowych do spożycia po zalaniu gorącą wodą uzależniona jest od zabielaczy, a w przypadku deserów również od preparatów stanowiących bazę tłuszczową do ich wykonywania.

- *Są to naturalne produkty wytwarzane między innymi z mleka, oleju kokosowego i syropu glukozowego. Bez nich nie można produkować zup, sosów, słodkich deserów instant i napojów czekoladowych* - zaznacza Marek Tarnowski, prezes Mokate SA.

Maja Karolewska z Winiar uchyla rąbka tajemnicy - „szybkie" desery nie zawierają niczego innego niż klasyczne składniki. Są one jedynie specjalnie spreparowane, by po zalaniu gorącą wodą „napuchły" i spowodowały zgęstnienie słodkiego dania.

Jeszcze dwa lata temu w większości surowce te trzeba było importować z Holandii, która spełnia w zakresie żywności surowe rygory unijne. Teraz polscy producenci szybkich deserów kupują zabielacze i tłuszcze w fabrykach naszego województwa - w Ustroniu i Żorach. Trafiają one do firm z branży koncentratów spożywczych, przemysłu cukierniczego i piekarniczego. Sporą grupę klientów stanowią również mali i średni producenci kaw cappuccino. Każdy z nich będzie chciał w niedalekiej przyszłości sprostać konkurencji unijnej. A to oznacza m.in. czystość produkcji, zdrowotne walory żywności, ograniczenie do minimum środków konserwujących, czyli dobrą jakość.



JAK MY Z CIOTKÓM Z MOSTÓW JECHALI DO SZWOCZKI

Nikiedy człowiek cygani, a ani by nie musioł. Muszym wóm łopisać, jak żech se zebrała dwa dni wolnego, bo my z ciotkóm jechały do szwoczki do Trzyńca na Terase. Ni mógli my sie do tej szwoczki wybrać. Jedyn dziyń my mieli jechać popołedniu, ale mioł prziść jakisi chłop ciotce cosi sprawić, jedyn dziyń ciotka miała jakisi szczypiyni, dziyń przed tym sie chciała łokómpać, a jedyn dziyń czakała na pyndzyje.

Ciotka mówiła, że nejlepszy bedzie, jak pujdymy hned rano, spotkómy sie na banhofie, to szwoczka bedzie najisto dóma. Było przed świyntami, bale na karku.

W Trzyńcu na Terasie mieszko też mój przijaciel. Spotkali my sie już downij, ale prubowała żech chodzić z rozmaitymi synkami, co przeczytali tela ksiónżek co jo, ale jakosi nom to nie pasowało, aż my dwo sie roz zeszli i była z tego wielko miłość. Jeszcze przed nowym rokym, jak żech nie była dycki dóma, siostra ze szwagrym, ze kierymi mieszkóm, od kiedy rodzice nie żyją, mówili somsiadom, że nie wiedzóm, kiedy sie wrócym, bo żech jechała do ciotki do Mostów i gdo wiy, czy tam nie bedym na noc.

Umówiłach sie z galanym na niedziele wieczór, bo przez dziyń mieli być u nas goście, a z ciotkóm na poniedziałek rano, że bedym udować, żech przijechała z Cieszyna z chałupy.

Tóż wieczór, jak goście ledwo odeszli, spakowałach materiał, wyoblykałach sie i lecym na pociąg. Siostra sie nic nie pytała, bo mo nowóm maszyne, na kierej niewiele szyje, ale fórt jóm oliwuje, jyny szwagier za mnóm zawołoł. - Jedziesz na wycieczke? - choć sie już dobrze śćmiywało. - Jadym do szwoczki - żech mu odpowiedziała. Szwagier je taktowny i dycki, jak widzi, że sie sztafirujym i kansi wybiyróm, pyto się, jesi jadym na wycieczke. Roz żech chciała przed szwagrym słószniejszy wyglóndać i prawiłach mu, że jadym do ciotki. Lecioł za mnóm na pole z taszkóm ze suchym chlebym do kur.

Musiałach potym po Trzyńcu z galanym ze suchym chlebym chodzić. Od tego czasu szwagra raczyj nie cyganiym.

W poniedziałek rano żech szła na banhof na ciotke czakać, a udowałach, żech przijechała łod Cieszyna. Mój galan mioł se za tyn czas ukludzać, bo Świynta na karku. Umówili my sie, że sie wrócym spatki, jak ciotke na dworzec odkludzym. Niż tam zóndziecie, załatwicie, ciotka se bedzie chciała ze szwoczkóm pomówić, o jednej tu możesz być, do trzecij bedym w chałupie czakać, mówił mój przijaciel, kiery był przewidujący i wiedzioł, że niż tam z ciotkóm zondymy, to bedzie trwać.

Padało. Byłach rada, że ciotka przijechała, bo jakby telefónowała do Cieszyna, że nie przijedzie, to by sie dowiedziała, że jużech wieczór jechała do szwoczki i myślałaby se, że my sie szpatnie umówiły. Ciotka sie pytała, czy już dłógo czakóm, a myślała se, żech przijechała łod Cieszyna. Potym my szli pieszo kole Slowanu, bo ciotka mówiła, że inszóm cestóm nie trefi. Dobry kęs my sie wracali, kawe i ciastka do szwoczki kupić.

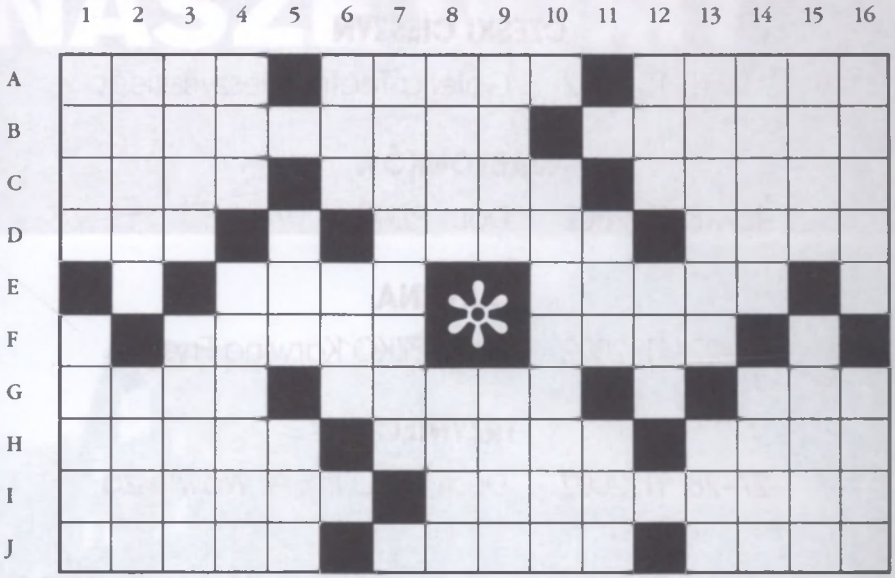
Było już dobrze po jedynostej, jak my przisźli do szwoczki. Była rada, że nas widzi, a głównie ciotke. Opowiadały, kawe my pili, a potym mie szwoczka mierziła na szaty. Ciotke mierziało, żech je tako chudo, bo se szwoczka pomyśli, że każdy z rodziny tak biydnie wyglóndo. Rada by sie pokozała z kimsi z rodziny, gdo też kapke lepszy wyglóndo. Ale ciotka je strasznie szykowno. Byłach rada, że mie zakludziła do szwoczki, bo przepieknie i podle mody szyje.

Jak my wyszli łod szwoczki, to my szli do spoleczynskigo dómu abonamentke do teatru kupić. Chciałach tóm abonamentke dać przijacielowi pod strómek. Ciotce żech mówiła, że muszym jednej paniczce abonamentke załatwić. Jak my przisźli do spoleczynskigo dómu, to ta paniczka, co sprzeduje abonamentke, już odchodziła i prawiła, aby my sie stawili jutro rano. Gańba mie było powiedzieć przed ciotkóm, że rano możne w Trzyńcu jeszcze bedym. Autobus na Nowsi, co jedzie łod Slowanu, już downo łodjechoł i było trzeba ciotke na dworzec łodkludzić. Dostałach strach, że przijaciel se pomyśli, że jo już downo pojechała do chałupy. Łodkludziłach ciotke, pożegnali my sie i wróciłach sie za galanym. Dziwił sie, żech jeszcze przisźła, bo sie już godnie śćmiywało. Mioł jakómsi poharatanóm noge, bo spadnół, jak robił porzóndek w piwnicy. Gdo wiy, jako to bedzie z balami.

W robocie sie pytali, czy w Mostach je śniyg. Nimógłach sie spómnieć, czymu se mnie na to pytajóm. Isto żech prawiła, że se bierym wolne, bo jadym na Mosty do szwoczki.

BUDA

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Zbocze; strzeże go Rokita; policjant turecki. **B.** Nauki humanistyczne; naszyjnik z paciorków. **C.** Koczownik; zdenerwowanie przed występem; gruby koc. **D.** Antycyklon; stopień oficerski w wojskach kozackich; 1/50 USA. **E.** Imię Douglasa; otyłość. **F.** Rozbójnik morski; przełożony klasztoru. **G.** Imię Wawrosza; człowiek nierozgarnięty; antonim dobra. **H.** Silnik; polska aktorka filmowa (Pola); „pomieszczenie" po niemiecku. **I.** Żołnierski płaszcz; miasto w powiecie Będzin. **J.** Na przykład Templariusze; wyciąg wodny z roślin leczniczych; francuski socjolog i filozof (Raymond).

PIONOWO: 1. Autor dramatu „Pigmalion"; miękka, nasiąkliwa skóra. **2.** Napisał „Kwiaty polskie"; dawka, porcja leku. **3.** Imię Sharifa; suchy pręt. **4.** Cyrk lodowcowy; ubiór przepasany pasem obi. **5.** Włoski złoty; płynie przez Bonn. **6.** Roślina o pustej łodydze; Eden. **7.** Poprawia błędy drukarskie. **8.** Grecki Mars;... przysięgłych. **9.** Oprawa obrazu; szaniec. **10.** Oglądanie, stwierdzenie własnymi oczami. **11.** Zdobycz wojenna; 4047 m^2. **12.** System umownych znaków; ogród owocowy. **13.** Więzienie; ...kulszowa. **14.** Największy dopływ Odry; państwo w Afryce. **15.** Ptak morski; narząd oddechowy. **16.** Pokaz filmowy; przepowiednia.

Wyrazy trudne: ARON, KAWAS, RAUM.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki – przysłowie polskie – dadzą litery w następujących kratkach: C-2, D-11, J-2, A-6, D-16, F-6, I-15, B-1, A-14, H-11, G-8, B-9, J-5, I-14, B-16, D-1, F-4, C-8, B-15, D-7, I-8, F-12, H-7, A-2, E-14.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca listopada.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru wrześniowego: MARSZ ŻAŁOBNY ŻWIRKI I WIGURY.

Nagrody książkowe wylosowali: Ema Foltyn – Koszarzyska
Maria Wygrysowa – Czeski Cieszyn
Karol Potoczny – Ostrawa-Poruba

WYSTAWA POLSKIEJ KSIĄŻKI

CZESKI CIESZYN

9–11. 11. 2002 Galeria Teatru Cieszyńskiego

JABŁONKÓW

16–18. 11. 2002 Dom PZKO

KARWINA

21–22. 11. 2002 Dom PZKO Karwina Frysztat

TRZYNIEC

27–28. 11. 2002 Dom PZKO im. A. Wawrosza

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI, Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK, Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

Zwrot

NASZE DOMY



DOM PZKO
W ŁOMNEJ DOLNEJ

NASZE ZAOLZIE

WIDOK Z BYSTRZYCY NA TRZYNIEC

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1
O.P.



Zwrot

12
2002

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



Pracownicy Centralnego Stowarzyszenia Spożywców dla Śląska w Łazach z okręgu Frysztat–Karwina.

MARIA SŁAWSKA

W TEN WIECZÓR WIGILIJNY

W ten wieczór wigilijny
dwa nakrycia na stole
dwa talerze ozdobione kwiatami
jakby to nie grudzień
lecz wiosna
w domu moim była
obok twoja kartka świąteczna
i życzenia
a przy nich
zielony świerczek
kilka bombek kolorowych
świeczki złocące pokój
migotliwym blaskiem
i puste krzesło obok
a dusza moja
mleczną wędruje drogą
i w dłoniach
srebrny łuk księżyca niesie
ponad światem
dla ciebie
w ten wieczór wigilijny
nagle łza
w oku gęstnieje i błyszczy
jak migotliwe świecidełko
na choince zielonej
w ten wieczór wigilijny
jesteśmy razem
lecz każdy
przy innym stole.

Zwrot 12 2002

Rok LIII, Nr 637
Cena numeru 15,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 22,00 Kč

W NUMERZE

3	Związki aktywności społeczno-kulturalnej z aktywnością religijną Polaków zaolziańskich	HALINA RUSEK
10	Bezcenne szpargały	ROBERT DANEL
17	Pamiętnik Rudolfa Wójcika (6)	
21	Harcerski rodowód	MARIOLA NALEWAJKA
22	Głos polski z Argentyny	CZESŁAWA RUDNIK
28	Dom wielu pokoleń	ZOFIA MAJCHEROWICZOWA
34	Kronika: Czym żyje gimnazjum, Na zielonych stołach, Z działalności Sekcji Ludoznawczej, Edward Lutczyn rysował dla Zaolziaków, Jubileusz darkowskiej Liry, Jesienne wystawy	
43	Nagroda Fundacji Kościelskich dla Renaty Putzlacher	E.S.
46	Młode pióro: Darek Jedzok	
48	Poezja Dominiki Chyc	
50	Aniela Kupiec: Cud?	
55	XII Międzynarodowa Jesień Literacka Pogórza	WILHELM PRZECZEK
60	To i owo	
63	Na półkach księgarskich	WOJCIECH ŚWIĄTKIEWICZ
66	Po IV Konkursie Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim	JÓZEF WIERZGOŃ
68	Międzynarodowy Konkurs Pieśni Ludowej im. Stanisława Hadyny	JÓZEF WIERZGOŃ
71	Nasze zdrowie	

Numer zamknięto 18. 11. 2002

ZWIĄZKI AKTYWNOŚCI SPOŁECZNO-KULTURALNEJ Z AKTYWNOŚCIĄ RELIGIJNĄ POLAKÓW ZAOLZIAŃSKICH

Program prezentowanych badań zawiera pytanie, czy istnieje związek między aktywnością społeczno-kulturalną, a zaangażowaniem religijnym Polaków zaolziańskich? Czy zaangażowanie religijne jest siłą pobudzającą do zaangażowania w życiu społecznym swojej grupy, czy motywuje członków polskiej społeczności do podejmowania działań, które podtrzymują ich polskość? Czy motywuje do uczestnictwa w polskiej kulturze lub ma związek z taką postacią uczestnictwa kulturalnego?

Wydaje się, że aktywność religijna idzie w parze z aktywnością społeczno-kulturalną badanych Polaków, ale trudno mówić o określonym kierunku tej zależności - można stwierdzić tylko jej występowanie bądź nie. Spróbujmy te przypuszczenia zweryfikować, analizując dwa kierunki prezentowanych badań: pierwszy obejmuje wyniki sondażu, będącego głównym źródłem wiedzy o badanych zjawiskach. Pozwoli to na dokonanie analizy ilościowej wyników badań i poszukanie zależności statystycznych na gruncie interesujących nas zjawisk i procesów. Jednak ten kierunek poszukiwań, pozwalający na penetrację badanych zjawisk wszerz, nie pozwala na odkrycie wszystkich subtelnych i nikłych powiązań pomiędzy subiektywną stroną tożsamości człowieka, czyli jej poczuciem, a tymi wzorami myślenia i działania, które mogą mieć z tym poczuciem związek. Korzystnym zabiegiem w związku z tym mogą być badania w głąb - prezentacja indywidualnych przypadków, wybranych według określonego klucza. Klucz w przypadku prezentowanych badań był prosty: wybrano postacie należące do dwóch grup - osób szczególnie zaangażowanych na gruncie życia społecznego polskiej mniejszości (działacze społeczni, liderzy polskiej grupy) oraz osób szczególnie zaangażowanych na gruncie życia religijnego, a więc nie tylko deklarujących wiarę i praktykujących, ale także uczestniczących w życiu wspólnotowym swojego Kościoła. Można przypuszczać, że połączenie tych dwóch aspektów badań pozwoli rzetelnie odpowiedzieć na pytania badawcze i zweryfikować przyjęte hipotezy.

Analizę przedstawionego aspektu badań rozpocznijmy od zilustrowania najogólniejszych kwestii - czy sam fakt bycia religijnym człowiekiem bądź nie i charakter praktykowania religijnego mają jakikolwiek związek z aktywnością na gruncie życia organizacyjnego swojej grupy. Czy osoby bardziej religijne są aktywniejsze na tym polu?

Porównanie pomiędzy religijnością badanych, a ich przynależnością do polskich organizacji pozwala udzielić na to ostatnie pytanie odpowiedzi częściowo przeczącej. Osoby głęboko wierzące w najmniejszym stopniu deklarują przy-

należność do polskich organizacji, co szczególnie wyraźnie oddają dane dotyczące osób nigdzie nie należących (głęboko wierzący - 41,5%, wierzący 21,1%, niewierzący - 33,3%, brak odpowiedzi - 7,1%). Zjawisko to wymaga głębszego zbadania, ale już na tym etapie wiedzy o procesach zachodzących w przeszłości w polskiej społeczności można częściowo je wyjaśnić. W grupie osób głęboko wierzących znalazła się, w porównaniu z innymi grupami, najmniejsza liczba tych, które deklarują przynależność do PZKO. Wobec faktu, że organizacja ta do końca lat 80. miała zdecydowanie ideologiczny, komunistyczny charakter, wyjaśnia dużą w niej absencję osób zaangażowanych religijnie. Mogą o tym świadczyć także inne dane: wśród tych badanych znalazło się najmniej respondentów, którzy biorą udział systematycznie i często w corocznych balach PZKO. Natomiast pytanie o to, dlaczego te osoby nie współpracują z innymi polskimi organizacjami, pozostaje na razie bez odpowiedzi.

Inna grupa badanych - respondenci określający siebie jako osoby wierzące, choć nie głęboko, w największej liczbie, w porównaniu z innymi kategoriami, należą do PZKO jak i innych polskich organizacji. I te dane pozwalają potwierdzić przypuszczenie, że osoby religijne w większym stopniu niż niewierzące angażują się w życie organizacyjne swojej grupy. Potwierdzenie tego przypuszczenia znajdziemy także na gruncie innej zależności - pomiędzy charakterem religijności, a przynależnością do czeskich organizacji. Wśród wszystkich grup respondentów, wyróżnionych ze względu na deklarację wiary, przeważają ci, którzy do nich nie należą, ale w grupie osób niewierzących jest takich badanych najmniej (do czeskich organizacji należy 8,5% głęboko wierzących, 10,4% wierzących i 15% niewierzących).

Osoby deklarujące siebie jako wierzące (ale nie głęboko wierzące) okazały się najbardziej aktywne także jako uczestnicy różnorodnych polskich imprez zaolziańskich: balu szkolnego, Festiwalu PZKO i Gorolskigo Święta.

Interesujące, aczkolwiek raczej tylko ilustracyjne znaczenie, ma kierunek innych zależności dotyczących religijności badanych Polaków, a ich zachowań na gruncie polskiej kultury. Okazało się na przykład, że osoby deklarujące się jako głęboko wierzące częściej niż pozostałe używają w domu polskiego języka - zarówno ze współmałżonkiem (głęboko wierzący 24,5%, wierzący 16,1%, niewierzący 11,7%) jak i z dziećmi (głęboko wierzący 24,5%, wierzący 16,8% i niewierzący 11,7%). Ci respondenci, którzy zadeklarowali się jako niewierzący, częściej niż członkowie innych grup rozmawiają ze swoim współmałżonkiem po czesku, bo osoby niezaangażowane religijnie częściej niż inne wybierają jako współmałżonka osoby narodowości czeskiej, też określające siebie w większości przypadków jako niewierzące. Respondenci zaangażowani religijnie mają wśród swoich przyjaciół i znajomych przede wszystkim, choć nie tylko, Polaków - twierdzi tak 74,5% głęboko wierzących, 80% wierzących i 60% niewierzących, natomiast członkowie tej ostatniej grupy przyjaźnią się w największym stopniu - w porównaniu z innymi - z Czechami (głęboko wierzący 17%, wierzący 12,9%, niewierzący 35%). Można przypuszczać, że ta ostatnia

zależność wiąże się z charakterem małżeństwa badanych: niewierzący posiadają częściej niż wierzący współmałżonków Czechów, a więc także znajomych i przyjaciół narodowości czeskiej. Wobec przedstawionego obrazu pewnych wzorów życia badanych Polaków nie dziwi także występowanie innej zależności - pomiędzy religijnością, a stosunkiem do Polaków i Czechów: osoby wierzące częściej niż niewierzące uznały Polaków z Polski jako swoich rodaków (głęboko wierzący 10,6%, wierzący 4,3%, niewierzący 1,7%). Oni też częściej niż niewierzący uznali za swoich rodaków zarówno Polaków (z Polski i z Zaolzia) jak i Czechów (głęboko wierzący 69,1%), wierzący 62,1%, niewierzący 60%).

W kwestii znajomości kultury polskiej rozkład wyników badań okazał się interesujący i odbiegający nieco od jednoznacznego kierunku wyżej opisanych zależności: badani Polacy deklarują przede wszystkim średnią znajomość polskiej kultury (głęboko wierzący 46,8%, wierzący 50%, niewierzący 38,3%), ale osoby głęboko wierzące w największej liczbie przypadków deklarują jej bardzo dobrą znajomość (odpowiednio 16%, 7,1% i 10%).

Także nasilenie praktyk religijnych, a więc uczestniczenie w polskich najczęściej mszach i nabożeństwach, okazało się związane z pewnymi działaniami badanych w zakresie kontaktu z polską kulturą. Ogólny kierunek tych zależności można scharakteryzować następująco: ci respondenci, którzy deklarują dużą częstotliwość praktyk religijnych, częste chodzenie do kościoła, częściej niż pozostali - praktykujący rzadko lub wcale - czytają polskie książki, uczestniczą w Festiwalu PZKO i Gorolskim Święcie, rozmawiają ze swoimi dziećmi i przyjaciółmi po polsku i częściej niż inni posyłają swoje dzieci do polskiej szkoły. Praktykujący regularnie ponadto wybierają częściej niż inni, choć różnice nie są tu duże, jako swoich znajomych i przyjaciół osoby polskiej narodowości.

Interesującym aspektem tego fragmentu badań jest fakt, iż wiele osób - więcej niż z innych grup badanych - z grupy praktykujących regularnie lub często twierdzi, że ich ojczyzną jest Polska, choć w pierwszym rzędzie, należy przypomnieć, wszyscy badani uznają Republikę Czeską za swój kraj rodzinny. Praktykujący regularnie twierdzą tak w 27,9%, chodzący do kościoła od czasu do czasu w 17,3%, rzadko w 21,7%, a wcale niechodzący do Kościoła w 12,5%. Omawiana grupa respondentów za swoich rodaków uważa najczęściej i Polaków, i Czechów, to jednak częściej niż inni badani jej członkowie wskazali Polaków z Polski jako bliskich sobie ludzi.

Wyniki prezentowanych badań nad wzorami życia społeczno-kulturalnego i religijnego Polaków z Zaolzia nie wskazują na występowanie bezpośredniej zależności między ich aktywnością na gruncie życia organizacyjnego własnej grupy, a zaangażowaniem w działalności pozaliturgicznej Kościoła. Trudno dziwić się takim rezultatom badań, skoro - jak wskazują wyżej przedstawione refleksje - nie istnieje zbyt silny związek pomiędzy religijnością badanych, określaną poprzez deklaracje wiary i natężenie praktykowania religijnego, a ich aktywnością społeczno-kulturalną. Wyniki badań odkrywają pewne tylko związki pomiędzy omawianymi sferami życia, co można potraktować bar-

dziej jako interesującą ilustrację badanych zjawisk i procesów niż ich istotę i sedno.

Badani Polacy biorący udział w życiu organizacyjnym swojego Kościoła, tzn. należący do różnorodnych organizacji, stowarzyszeń i kółek kościelnych (jest takich osób 122), są nieco aktywniejsi w zakresie kontaktów z pewnymi treściami kultury polskiej niż pozostali respondenci. Dotyczy to na przykład uczestnictwa w różnorodnych imprezach w Polsce. Porównajmy liczby mówiące o częstym uczestnictwie w takich imprezach i nieuczestniczeniu w nich: często udział w imprezach w Polsce bierze 5,7% badanych udzielających się w życiu organizacyjnym Kościoła i 4,2% nieudzielających się w tej sferze; nie uczestniczy w takich imprezach 54,9% badanych z pierwszej grupy i 63,8% z drugiej. Na pewno charakter tej zależności ma związek z faktem, iż wśród wymienianych przez badanych imprez, w których uczestniczą, a które mają miejsce w Polsce, znalazły się także inicjatywy o charakterze religijnym, podejmowane przez Kościół katolicki i ewangelicki w Cieszynie lub okolicznych miejscowościach. Polacy z Zaolzia uczestniczą w takich wydarzeniach jak chrzest, ślub, komunia św. czy konfirmacja i pogrzeb w rodzinach lub u przyjaciół po polskiej stronie. Bywają w Cieszynie i okolicy na odpustach, na kościelnych uroczystościach z okazji świąt państwowych, w ramach wymiany chórów parafialnych, przy okazji odbywającego się corocznie w Skoczowie Festiwalu Musica Sacra, uczestniczą w spotkaniach cieszyńskiego Klubu Inteligencji Katolickiej itp.

Osoby działające na gruncie życia wspólnotowego swojego Kościoła są mniej aktywne w innych sferach uczestnictwa kulturalnego niż pozostali badani: co prawda częściej niż pozostali biorą udział w tak popularnej polskiej imprezie jak coroczny bal PZKO, ale rzadziej od pozostałych respondentów biorą udział w balach szkolnych, Festiwalu PZKO i Gorolskim Święcie. Chętniej natomiast udzielają się w pracach szkoły, czego wskaźnikiem jest przewaga osób należących do organizacji kościelnych w festynach szkolnych: biorą w nich udział często w 52,5%, od czasu do czasu w 25,4%, rzadko 7,4%, bardzo rzadko w 7,4% i wcale w 3,3% (osoby niedziałające w ramach Kościoła: często 44,6%, od czasu do czasu 24,2%, rzadko 6,2%, bardzo rzadko 7,7%, wcale 8,1%). Udział rodziców w festynach szkolnych polega nie tylko na zabawie, ale przede wszystkim na świadczeniu szkole, do której uczęszczają dzieci, pomocy w pracach organizacyjnych i finansowaniu tej imprezy - tu, jak można przypuszczać, znajdziemy częściowe wytłumaczenie związku pomiędzy zaangażowaniem badanych na tym polu z aktywnością na gruncie organizacyjnego życia Kościoła. Na podstawie innych liczb można z pewną ostrożnością wysnuć wniosek, że badani reprezentujący tę grupę Polaków zaolziańskich świadomie pielęgnują swoją polskość i starają się tę tożsamość przekazać swoim dzieciom, okazało się bowiem, że osoby biorące udział w życiu organizacyjnym Kościoła częściej niż pozostali badani posyłają swoje dzieci do polskiej szkoły.

Inne jeszcze wskaźniki pozwalają uznać respondentów należących do grupy

osób działających w różny sposób w Kościele za ludzi o silnej polskiej tożsamości. Na przykład okazało się, że wśród ich znajomych i przyjaciół znajdziemy przeważnie Polaków (82,8% - pozostali badani twierdzą tak w 77,7%). Ponadto ci respondenci częściej niż pozostali twierdzą, że narodowość znajomych ma dla nich znaczenie przy zawieraniu znajomości i przyjaźni (12,3%, a w drugiej grupie 8,5%), choć warto przypomnieć, że wszyscy badani w większości orzekli, że to nie jest ważne kryterium.

Jednak inny wskaźnik jest dla naszych poszukiwań bardziej znaczący - osoby związane blisko z Kościołem częściej niż pozostałe uznają Polskę za swoją ojczyznę, choć nie należy zapominać o tym, że w pierwszym rzędzie większość badanych wskazała jako ojczyznę Czechy.

Wyniki badań przedstawione we wcześniejszych fragmentach pracy wykazały, że część badanych Polaków z Zaolzia (35,5%) twierdzi, że religia może być czynnikiem kształtującym i podtrzymującym polską tożsamość mieszkańców tego regionu. Wskazywano głównie na udział w praktykach religijnych odbywanych w języku polskim i we wspólnotach kościelnych. Twierdzili tak przede wszystkim respondenci określający siebie jako osoby głęboko wierzące lub wierzące oraz praktykujące regularnie lub dosyć często. Te osoby jednocześnie są najaktywniejsze w ramach wspólnotowego życia Kościoła - należą do parafialnych organizacji, pomagają parafii w różnorodny sposób. Uznano wobec tego, że warto sprawdzić, w jaki sposób osoby deklarujące taki wzór myślenia - tzn. przypisujące ważną rolę religii dla podtrzymania polskości na Zaolziu - uczestniczą w polskiej kulturze, czy ich kontakt z treściami tej kultury jest intensywniejszy niż innych badanych i jakie w tej kwestii wyrażają opinie. Chodzi zatem o poszukanie zależności już nie tylko pomiędzy zachowaniami w badanych sferach życia członków polskiej społeczności, ale także pomiędzy ich subiektywnym wymiarem - sposobami myślenia, wyobrażeniami i własną interpretacją różnych zjawisk. Należy przy tym zdawać sobie sprawę z tego, że możemy w zakresie analizowanych związków mieć do czynienia z jednoczesnym oddziaływaniem - poza określonym sposobem postrzegania roli religii - wielu różnych czynników, co nie jest w pełni możliwe do uchwycenia. Dlatego też poniżej zaprezentowana analiza wyników badań może mieć tylko charakter dopełniający szkic o związkach życia religijnego z aktywnością kulturalną badanych Zaolziaków.

Okazało się, że w pewnych sferach uczestnictwa w polskiej kulturze osoby widzące w religii ważny czynnik podtrzymujący polskość biorą udział w większym stopniu niż pozostali respondenci. Na przykład częściej czytają polskie gazety i czasopisma i to nie tylko o profilu religijnym. Szczególnie wyraźnie różnice zaznaczają się w przypadku czytelnictwa polskich gazet z Zaolzia (Głosu Ludu) i z Polski: spośród 159 osób uznających ważność religii czyta je 23,9%, a w grupie badanych niedostrzegających znaczenia religii, a więc jednocześnie najsłabiej zaangażowanych w życie religijne, osoby takie stanowią 9,9%. Nie czyta w ogóle polskich gazet 10,1% z pierwszej grupy badanych i 18,8% z drugiej.

Respondenci dostrzegający związek pomiędzy religią, a polską tożsamością częściej uczestniczą w najważniejszych i największych polskich imprezach: na przykład w balu szkolnym, o którego znaczeniu pozaludycznym wspominano wcześniej (systematycznie 32,1% z pierwszej grupy i 19,8% z drugiej, czyli tej, której członkowie nie dostrzegają związku pomiędzy religią a tożsamością, nigdy odpowiednio 20,8% i 23,3%) i w słynnym nie tylko w regionie Gorolskim Święcie (systematycznie 30,2% z pierwszej grupy i 20,8% z drugiej, nigdy 13,8% z pierwszej i 17,3% z drugiej).

Określony sposób myślenia o religii, a co się z tym wiąże zaangażowanie w życie religijne, bycie człowiekiem religijnym, znalazło swoje zróżnicowanie również na gruncie języka. Okazało się mianowicie, że osoby podkreślające znaczenie religii w utrzymaniu polskości częściej niż pozostali badani używają w codziennych kontaktach języka polskiego i polskiej gwary. Odnosi się to na przykład do rozmów z dziećmi (w pierwszej grupie 25,8% badanych rozmawia z dziećmi po polsku, a 8,8% po polsku i gwarą, w drugiej grupie natomiast 12,9% po polsku i 4% po polsku i gwarą) oraz do rozmów z przyjaciółmi (w pierwszej grupie 18,2% respondentów rozmawia z nimi po polsku, 42,1% po czesku, a 11,3% po polsku i gwarą, w drugiej grupie mniej osób, bo 7,8%, rozmawia z przyjaciółmi po polsku, więcej - 50,5% po czesku oraz 5,9% po polsku i gwarą). Wyniki badań dotyczące języka rozmów z przyjaciółmi należy wiązać z inną jeszcze zależnością, mianowicie z tym, że badani, którzy uznają ważność religii, częściej niż pozostali twierdzą, że narodowość znajomych ma dla ich wyboru znaczenie - wolą zawierać znajomości i przyjaźnie z Polakami (17% w pierwszej grupie i 5% w drugiej). Należy jednak pamiętać o tym, że dla większości respondentów narodowość nie jest znaczącym kryterium w doborze przyjaciół (81,1% w pierwszej grupie i 94,1% w drugiej).

Interesujący obraz dają wyniki badań w zakresie zależności pomiędzy uznawaniem religii jako czynnika podtrzymującego polską tożsamość, a wyobrażeniem ojczyzny. Warto przypatrzeć im się bliżej.

Zestawienie: uznawanie religii za czynnik podtrzymujący polskość a wyobrażenie ojczyzny

Ojczyzna	Polska	Czechy	Zaolzie	Ziemia Cieszyńska	inne	brak odp.
Religia ma znaczenie dla polskości	25,8%	25,2%	23,3%	10,1%	3,1%	12,6%
Religia nie ma znaczenia dla polskości	16,8%	34,7%	22,3%	11,4%	3,0%	11,9%

Przypomnę, że spośród wszystkich badanych 448 osób duża liczba - choć nie największa - uważa za swoją ojczyznę Czechy (29,5%), mniej badanych Zaolzie (23,2%) i Polskę (21,9%). Jak wynika jednak z powyżej zamieszczonych liczb, inaczej postrzegają swoją ojczyznę osoby należące do pierwszej grupy badanych, a inaczej należące do drugiej. Respondenci uznający ważność religii dla zachowania polskiej tożsamości w pierwszym rzędzie postrzegają Polskę jako swoją ojczyznę, potem Czechy i Zaolzie. Osoby niedostrzegające związku religii z polskością za swoją ojczyznę uznają na pierwszym miejscu Czechy, potem Zaolzie, a na trzecim miejscu Polskę.

Badani dostrzegający związek religii z polską tożsamością deklarują lepszą niż pozostali znajomość kultury polskiej, co zwłaszcza staje się widoczne w przypadku deklarowania jej bardzo dobrej znajomości: twierdzi tak 14,5% respondentów z pierwszej grupy i 5,4% z drugiej.

Wydaje się, że te dane można uznać za dosyć klarowne wskaźniki silniejszej polskiej tożsamości osób, dla których religia jest z różnych względów ważna. Wszystkie pozostałe wskaźniki ilościowe zaprezentowane w niniejszym fragmencie opracowania pozwalają potwierdzić w najogólniejszym zarysie przypuszczenie, że istnieje związek pomiędzy aktywnością społeczno-kulturalną - a przede wszystkim kulturalną - Polaków zaolziańskich na gruncie własnej grupy mniejszościowej, a ich życiem religijnym. Zaangażowaniu w działalność kulturalną prowadzoną przez polskie organizacje oraz uczestnictwu indywidualnemu w polskiej kulturze tworzonej przez własną grupę i płynącej ze źródeł w Polsce towarzyszy silniejsze niż w innych przypadkach zaangażowanie religijne: deklarowanie wiary, częstsze praktykowanie, podejmowanie działań na rzecz swojej parafii, uczestnictwo w jej wspólnotach. Silniejszemu zaangażowaniu religijnemu towarzyszą ponadto określone postawy wyrażające subiektywne odniesienia do własnej tożsamości: postrzeganie Polski jako ojczyzny, Polaków jako „swoich", bliskich sobie ludzi, podkreślanie związków z polską kulturą. Religia jest zatem czynnikiem, choć oddziaływującym z różną siłą na różnych płaszczyznach życia polskiej społeczności, który wzmacnia polską tożsamość jej członków.

HALINA RUSEK

Fragment książki prorektora UŚ ds. cieszyńskiej Filii prof. dr hab. Haliny Rusek, której recenzję drukujemy w tym nr. Zwrotu.

BEZCENNE SZPARGAŁY

Z biblioteką przeciętny Polak ma lub w pewnym okresie życia miał do czynienia. Na przykład poszukując obowiązkowych lektur. Z archiwum kontaktu nie ma, nic dziwnego więc, że wielu Cieszyniaków w ogóle nie wie, co to takiego.

Po grecku archaios znaczy dawny, ale my przejęliśmy to słowo z łaciny (archivum). Najważniejsze znaczenia tego terminu są dwa: po pierwsze, jest to zbiór jakichś dokumentów, po drugie zaś - miejsce ich przechowywania. Miewamy wprawdzie także archiwa osobiste czy rodzinne (obejmujące na przykład akta notarialne, dyplomy i świadectwa, listy, rachunki, fotografie itp.), ale na ogół miano to nadajemy wyspecjalizowanym placówkom przechowującym dokumenty o znaczeniu ponadjednostkowym, często także ponadlokalnym. Już w XIV wieku utworzono w Polsce Archiwum Koronne na Wawelu, stanowiące dziś część zbiorów warszawskiego Archiwum Akt Nowych.

Z czasem rozwinęła się archiwistyka - nauka o metodach i zasadach kwalifikowania, porządkowania i inwentaryzacji archiwaliów. Stworzono też ogólnokrajową sieć archiwów. Cieszyński Oddział Archiwum Państwowego w Katowicach stanowi jedno z jego ogniw, ogniw o bardzo dużym znaczeniu i unikalnym charakterze.

Jest tam przechowywany między innymi rejestr gruntowy i sierocy gminy Wilamowice (Wilamowitzer Grunt-Register und Waisenrechnungs vom Jahre 1777 bis 1784). Pod rokiem 1781 zapisano tam: *Dnia 28 7 Jochan Sikora odebrał grund po nieboszczyku Badura. Roku 1777 11 martza na przydawek k tomu gruntu przyiał na zime wysywku 2 wirtele owssa na nasieni, 1 1/2 wirt. jęczmienia, 3 mierzyce na nasieni, na chowani chlebowiny, 1 1/2 wirt., słomy 3 mondele, siana 1 centner, kapusty 1 1/2 wiadra, krabczano kossa, siekiera, łopata, mottyka, motyczka, toczki, żber rybny, cepy, sierp, łomka, widły.*

Suchy tekst protokołu nie wydaje się wart zainteresowania. Ale tylko z pozoru. Możemy się bowiem z niego na przykład dowiedzieć, jakie było w XVIII wieku wyposażenie gospodarstwa wiejskiego na Śląsku Cieszyńskim. Co ważniejsze jednak, ten, zamieszczony w rejestrze niemieckim, dowodzi, jakim językiem posługiwali się nasi przodkowie.

W CIESZYŃSKICH ARCHIWALIACH

jest dowodów polskości regionu, bezpośrednich i pośrednich, mnóstwo. Oto jeden z nich.

W pierwszej połowie XIX wieku Komora Cieszyńska zaczęła wprowadzać dla poszczególnych miejscowości Cieszyńskiego księgi gruntowe. W księgach gmin Tokarnia (dziś część Wisły) i Istebna zapisano, że ludność posługuje się narzeczem śląsko-polskim *(Sprache ist die schlesisch-pohlnische Mundart)*. W księdze dla gminy Wisła stwierdzono, że język jest mieszaniną morawsko-polską *(die gemischte mährisch-pohlnische Sprache)*, co może być wynikiem wpływu używanych przez ewangelików kancjonałów. Ale w księdze sąsiedniego Ustronia odnotowano, że wszyscy mieszkańcy mówią śląsko-polskim narzeczem *(Alle Einwohner sprechen die schlesische polniche Mundart)*. Aż w 24 spośród 31 sporządzonych wówczas przez Komorę ksiąg odnotowano, że językiem ludności jest język polski w jego śląskiej odmianie *(Sprache ist die polnische mit (nach) schlesischem Dialekt)*.

Co cieszyńskie Archiwum zawiera?

Oddajmy głos jego szefowej dr Annie Machej: *Jego zasób obejmuje ogółem sto osiemdziesiąt osiem zespołów archiwalnych. Do najcenniejszych zaliczyć należy zespół akt Komory Cieszyńskiej z lat 1438-1920, zawierający dokumenty pergaminowe, księgi i akta powstałe w kancelarii książąt cieszyńskich. Bogate materiały do dziejów miast i mieszczaństwa zawarte są w zespołach akt miast Cieszyna i Strumienia oraz w aktach cechów tych miast. Akta Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego i Tymczasowej Komisji Rządowej Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie przedstawiają powstanie i działalność pierwszej po odzyskaniu niepodległości władzy na ziemi cieszyńskiej.*

Ze zbiorów archiwum nie może korzystać, przepraszam za wyrażenie, człowiek z ulicy. Zasoby placówki są bowiem zbyt cenne, by je można było narażać na kradzież czy uszkodzenie. Tym niemniej w ustalone dni tygodnia pracownia naukowa rzadko świeci pustkami. Najczęściej można tam zobaczyć pochylonych nad dokumentami cieszyńskich historyków, dla których archiwalne zasoby stanowią szczególnie ważny, o ile nie najważniejszy warsztat pracy.

Ale nie tylko cieszyńskich. Wertując swego czasu zespół akt Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, natknąłem się w wielu teczkach z wpisem wybitnego angielskiego historyka i popularyzatora historii, znanego z przekładów jego książek także w Polsce, Normana Daviesa. Jako początkujący jeszcze naukowiec bawił w Cieszynie, a owocem jego archiwistycznych poszukiwań stała się opublikowana we wrocławskiej Sobótce interesująca rozprawa „Wielka Brytania a plebiscyt cieszyński 1919-1920".

Korzystają też ze zbiorów przedstawiciele innych dyscyplin naukowych. Ułatwiają im poszukiwania spisy zespołów akt oraz archiwalne inwentarze. Istnieje możliwość sporządzenia na miejscu, za niewielką odpłatnością, ksero odbitek dokumentów. Pracownia naukowa dysponuje też liczącym około pięciu tysięcy woluminów księgozbiorem.

Gdyby ułożyć zgromadzone w cieszyńskim Archiwum dokumenty i ustawić na półce, regał musiałby mieć, bagatela, kilkaset metrów! Prawie sto metrów zajmuje sam zespół akt Komora Cieszyńska.

Z 1416 roku pochodzi pierwszy przechowywany w Archiwum

DOKUMENT MIASTA

Cieszyna. Zespół miejskich dokumentów kończy się archiwaliami z czasów niemal współczesnych. Obejmuje również akta i księgi cieszyńskich cechów (od XVI wieku), w tym tak egzotycznych dzisiaj jak biało i czarnoskórników, czarnofarbiarzy, szmuklerów...

W latach 1838-1842 dyrekcja Komory Cieszyńskiej zakładała dla dawnego księstwa księgi gruntowe. Zawierają także pewne informacje ogólne o gminach, objaśniono na przykład genezę ich nazw. Tak więc Zarzecze ma pochodzić od zwrotu „za rzykóm", czyli za Wisłą, w Nierodzimiu nic się jakoby nie chciało rodzić, Górki miały wziąć nazwę od wzniesienia górskiego itp. Zapisy te dowodzą nie tyle rzeczywistego pochodzenia nazw (są to przykłady tak zwanej etymologii ludowej), ile ich polskości. A warto dodać, że zakładali księgi gruntowe austriaccy urzędnicy Komory Cieszyńskiej.

Interesujące są również akta cieszyńskich, skoczowskich i strumieńskich notariuszy z drugiej połowy XIX wieku, wśród nich ludzi tak zasłużonych dla Śląska Cieszyńskiego jak Andrzej Cinciała, Antoni Dyboski, Ernest Farnik i Andrzej Kotula.

Wspomniane już akta Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego zostały wykorzystane w różny sposób; najszerzej przez Bogdana Cybulskiego. Oprócz dwu ważnych rozpraw opolski badacz opublikował książkę „Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego (1918-1920). Studium historyczno-prawne".

Z wartości cieszyńskich zasobów archiwalnych zdano sobie sprawę już dawno, z jednej strony podejmowano więc wysiłki, by je scalać, pomnażać i ochraniać, z drugiej zaś zdarzały się na nie różnego rodzaju zamachy.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego znaczna część dóbr Komory Cieszyńskiej znalazła się na Zaolziu. W wyniku uzgodnień między Polską a Czechami zapadła decyzja, że starsze akta Komory pozostaną w Cieszynie, natomiast nowsza dokumentacja ulegnie podziałowi. Powołano specjalnych komisarzy do podziału akt. Ze strony polskiej został nim dyrektor Archiwum Państwowego we Lwowie dr Eugeniusz Barwiński, który podjął prace w Cieszynie w 1925 roku i prowadził je przez kilka lat.

Wykrył on, że zapodziała się gdzieś część pergaminowych dokumentów z lat 1388-1792, które znajdowały się do 1918 roku w zbiorach Komory na

cieszyńskim Zamku. W jakiś czas potem jakiś złodziej (a może tylko pośrednik?) usiłował sprzedać skradzione archiwalia w Pradze. W końcu znalazły się w posiadaniu cieszyńskiego kolekcjonera Brunona Konczakowskiego, który przekazał je w formie depozytu do muzeum miejskiego.

Tymczasem o akta Komory Cieszyńskiej, którymi opiekował się urzędnik Inspekcji Lasów Państwowych, rozgorzała walka. Zabiegało o nie zarówno Archiwum Państwowe w Krakowie, jak i świeżo utworzone Archiwum Akt Dawnych Województwa Śląskiego w Katowicach. Górą były oczywiście władze Katowic, które podjęły decyzję przeniesienia do stolicy województwa zarówno najbardziej smakowitego kąska, jakim były uporządkowane już archiwalia Komory, jak i dokumentów miejskich Cieszyna, przechowywanych w nadolziańskim Sądzie Okręgowym.

Wydawało się, że dokonywanej

grabieży nic nie jest w stanie zapobiec, jako że ustalono nawet termin przenosin; był nim listopad 1935 roku. Stała się jednak rzecz graniczącą z cudem, z dnia na dzień przewieziono mianowicie wszystkie akta Komory z Zamku do miejskiej placówki muzealnej. A stał za tym dziejopis ziemi cieszyńskiej Franciszek Popiołek, wówczas pracownik tego muzeum. Akta Komory stanowiły dla niego bezcenny warsztat pracy... Ale kompletnie zaskoczonym władzom wojewódzkim tłumaczono, że Inspekcja Lasów Państwowych potrzebowała na gwałt zamkowych pomieszczeń i przyszło się archiwaliów pozbyć.

W ten sposób znalazły się w kamienicy hr. Larischa przy dzisiejszej ulicy T. Regera. Zwalono je zresztą wprost na podłogę, częściowo niwecząc żmudne prace porządkowe dr. E. Barwińskiego.

Zrobiony w konia Urząd Wojewódzki w Katowicach nie dał za wygraną i starał się wymóc przekazanie cieszyńskich zbiorów na Ministerstwie Rolnictwa w Warszawie. Targi trwały aż do wybuchu II wojny światowej, ale nic Katowicom nie dały.

Po wrześniu 1939 r. Cieszyn i Zaolzie włączono do Rzeszy Niemieckiej i podporządkowano hitlerowskim władzom w Katowicach. Archiwaliami zajął się sprowadzony z Wrocławia specjalista dr Karol Bruchmann, ustanowiony niedługo potem dyrektorem Staatsarchiv Kattowitz. Jako szef tej placówki, a jednocześnie pełnomocnik władz do spraw archiwów w całym województwie, już jesienią 1939 roku przyjechał do Cieszyna.

Zapoznał się ze zbiorami przechowywanymi w muzeum, gdzie opiekował się nimi dr Wiktor Karger. Obaj panowie jakoś się dogadali, choć Bruch-

mann planował przewiezienie akt Komory Cieszyńskiej do Katowic. Dokładnie tak samo jak polscy włodarze województwa kilka lat wcześniej.

Już w 1940 roku Bruchmann zajął przy pomocy komendy gestapo i kazał przewieźć do muzeum w Katowicach wszystkie stare dokumenty parafii katolickiej w Cieszynie. Z zasobem tym zapoznał się podczas wcześniejszej wizyty nad Olzą. Trafiły też do Katowic zbiory, w tym archiwalne, wspomnianego już cieszyńskiego kolekcjonera B. Konczakowskiego. Gdy zwalniano go z obozu koncentracyjnego, Bruchmann wymógł na nim zrzeczenie się gromadzonej przez lata kolekcji.

Cieszący się pełnym zaufaniem hitlerowskich władz archiwista usilnie zabiegał też o przejęcie cennych zbiorów cieszyńskiego archiwum sądowego. Znalazły się tam m.in. dokumenty pergaminowe oraz księgi i akta Cieszyna. Udało mu się pozyskać pomoc berlińskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, które delegowało do Cieszyna specjalistę do nadzorowania prac porządkujących. Po ich zakończeniu dokumenty wywieziono.

Trzeba jednak przyznać, że tenże Bruchmann starał się energicznie i z pozytywnym na ogół rezultatem o odzyskanie przez cieszyńskie muzeum dotyczących miasta dokumentów, które znalazły się na terenie Protektoratu Czech i Moraw. Wiele innych wywiózł wszakże do Katowic.

Gdy uznał, że nadeszła właściwa pora,

CHCIAŁ ZAWŁASZCZYĆ

także tę część archiwaliów, która znalazła się w 1935 roku w pałacu Larischów. Ale i tym razem lokalne władze stanęły okoniem, choć były to władze hitlerowskie. Zarówno burmistrz jak i starosta (landrat) wysmarowali do władz rejencji katowickiej obszerne memoriały. Dowodzili w nich zgodnie, że cieszyńskie archiwalia nie powinny być przewożone do Katowic, jako że nadolziański region był przez dwa wieki oderwany od reszty Górnego Śląska i zachował daleko posuniętą odrębność. Cieszyńscy decydenci wypomnieli przy okazji nieco grzeszków Bruchmannowi, który musiał się z nich przed władzami katowickiej rejencji gęsto tłumaczyć.

Nie wiadomo, jakby się spór lokalnej hitlerowskiej władzy z katowickim pełnomocnikiem do spraw archiwów skończył, gdyby nie upomniał się o Bruchmanna Wehrmacht. W 1943 roku jego następcą został dr Johan Lachmann, który nie był tak zachłanny jak jego poprzednik. Dopiero gdy zbliżył się front wschodni i nasiliły się naloty, namawiał Kargera do ewakuowania zbiorów. Ten jednak z rady nie skorzystał, wymawiając się brakiem drewnianych skrzyń, w które by można załadować archiwalia.

W ten sposób to, co znajdowało się w budynku muzeum, pozostało w jego

murach do zakończenia wojny. Cieszyńskie dokumenty, które trafiły do Staatsarchiv Kattowitz, w tym najstarsza miejska księga, zbiory Konczakowskiego i dokumenty zagrabione z parafii katolickiej przewieziono najpierw do Prudnika, a następnie do Grasleben koło Magdeburga, gdzie umieszczono je w podziemiach kopalni soli. W końcu wróciły do Cieszyna, ale nie wszystkie...

Jeszcze jedną, trzecią już próbę wywłaszczenia Cieszyna z jego zasobów archiwalnych podjęto w minionej dekadzie. I znów mało chwalebne zamiary pokrzyżowały cieszyńskie władze. Tym razem samorządowe. Szczególną determinację w obronie dorobku wielu pokoleń wykazał ówczesny burmistrz Cieszyna Jan Olbrycht. Słał do warszawskiej Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych dobrze umotywowane pisma, stanowcze „nie" usłyszał od niego jej szef, który pofatygował się do Cieszyna.

Kiedy dyrektor z Warszawy zginął w wypadku samochodowym, żądania przeniesienia zbiorów do Katowic stały się mniej stanowcze i natarczywe. Ale było tak do czasu, aż Archiwum Państwowe w Katowicach dorobiło się ogromnej, w znikomej tylko części wykorzystanej powierzchni magazynowej. Dyrektor placówki dr Zygmunt Partyka wrócił natychmiast do koncepcji sprzed kilku lat. Za przenosinami przemawiają, przekonywał, względy ekonomiczne, a poza tym władze miejskie nie zapewniły cieszyńskiemu oddziałowi właściwych warunków lokalowych.

Nie były to argumenty wyssane z palca, choć za finansowe kłopoty polskiej archiwistyki nie Cieszyn wszak ponosi winę, trudno też zarzucić władzom samorządowym, że nic nie zrobiły dla poprawy warunków lokalowych Archiwum. W 1993 roku otrzymało pomieszczenia magazynowe przy ulicy Trzech Braci, a w rok później przy ulicy Śrutarskiej.

Mimo to pod koniec 1998 roku Z. Partyka skierował na ręce burmistrza Cieszyna Bogdana Ficka pismo, stwierdzając, że powinien jakoby *w trybie pilnym przenieść całość zbiorów, głównie z wymagających likwidacji magazynów cieszyńskich.* Dodał, że czasowo mógłby zawiesić wykonanie wyroku, ale postawił warunek: przekazanie na cele archiwum *części Zamku, konkretnie ostatniego segmentu.*

Burmistrz przedstawił kontrpropozycję nie do odrzucenia: kilkaset metrów kwadratowych w nowej siedzibie Książnicy Cieszyńskiej. Stanowisko to podzieliła Rada Miejska. Po trwających jeszcze jakiś czas przepychankach o warunki finansowe cieszyńskie Archiwum przeniosło się do pięknego obiektu dawnej mennicy. Ku zadowoleniu klientów zarówno Książnicy Cieszyńskiej, jak i placówki archiwalnej.

ROBERT DANEL



PAMIĘTNIK RUDOLFA WÓJCIKA (6)

DO SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO W ŚLĄSKIEJ OSTRAWIE

Z chwilą wstąpienia do Seminarium Nauczycielskiego (polskich paralelek) w Śląskiej Ostrawie 1.9.1927 miałem 14 lat, 7 miesięcy i 7 dni. W odniesieniu do reszty członków naszej rodziny i w porównaniu z ich latami mieli 1.9.1927: ojciec Jan Wójcik 54 lata (był na emeryturze), matka Maria Wójcikowa 47 lat, bracia: Józef (Józek) 27 lat (pracował jako górnik), Emanuel (Manuś) 22 lata (górnik), Mirosław (Milosz) 9 lat (uczeń szkoły). Siostry: Katarzyna (Kasia) 26 lat (zamężna Wilczkowa), Alojzja (Lojska) 19 lat (w domostwie), Adela 12 lat (w szkole), Maria (Marycza) 9 lat (w szkole.)

W czasie wakacji przed pójściem do Seminarium Nauczycielskiego miałem różne nastroje - cieszyłem się, że będą chodził dalej do szkoły, a równocześnie obawiałem się czegoś, czego jeszcze nie znałem. Przygotowywać się do nauki jeszcze nie mogłem, bo nie wiedziałem do czego i w jaki sposób. Wierciło mi tylko w głowie powiedzenie ojca, że nie śmiem iść do żadnej szkoły! Męczyło mnie to - co on zrobi albo co będzie, jak ja odejdę do szkoły? Czy nie narażę innych w domu na nieprzyjemności?

Pocieszałem się tym, że moja mama była za mną i że często przemawiała ojca do wyrażenia zgody. Tak samo nie mówili nic starsi z mego rodzeństwa - Kasia, Lojska ani Manuś.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień wakacji. Musiałem już powiedzieć ojcu, że chcę iść do szkoły do Ostrawy. Na to mi odpowiedział: ...nigdzie nie pódzies - tu doma je doś roboty, a jo na ciebie nimóm piniyndzy!... Wyszły mi łzy z oczu. Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Ale pomimo tego zacząłem znowu prosić... ale to wszystko nic nie znaczyło. Ojciec nie zmienił swego stanowiska i nie chciał o tym więcej słyszeć.

Poszedłem ku matce, zwierzyć się jej z tej smutnej chwili... matka mnie przytuliła i dodała otuchy: Ale pójdziesz ty jutro rano... pójdziesz! Już ja to z nim (z tatą) domówię, już ja go przemówię. Wbrew więc nieprzychylności ojca kroku swego nie postanowiłem cofać. Wcześnie rano wstałem tak, że mnie nikt nie słyszał i poszedłem piechotą do szkoły do Ostrawy.

Pierwszy dzień w Seminarium Nauczycielskim

1.9.1927 o godzinie pół do 6 rano udałem się piechotą z Rychwałdu przez Michałkowice do Śląskiej Ostrawy do szkoły. Nie był to właściwie pierwszy dzień

◀ Fot. FRANCISZEK BAŁON

nauki, był to dzień do załatwienia formalności wstępnych. Otrzymaliśmy wiele informacji urzędowych oraz szkolnych.

Każdy z nas musiał przedłożyć następujące dokumenty urzędowe: metrykę urodzenia, kartę przynależności gminnej, świadectwo przynależności państwowej oraz ostatnie świadectwo szkolne. Najgorzej było u mnie ze świadectwem przynależności państwowej, którego wyrobienie w Powiatowym Urzędzie we Frysztacie kosztowało moją mamę niemało trudu. Musiała iść piechotą kilka razy - zawsze coś jeszcze im brakowało. Były to po prostu szykany ze strony urzędu z powodu naszej polskiej narodowości. Tylko dzięki wstawiennictwu innych, przychylnych tej sprawie, udało się mamie przypadkowo wyrobić potrzebny dokument - inaczej musiałbym zrezygnować ze studiów.

Oprócz tego musiałem z polecenia dyrekcji szkoły napisać prośbę do Ministerstwa Szkolnictwa do Pragi o dyspens wieku - nie miałem bowiem jeszcze ukończonych 15 lat, które były warunkiem przyjęcia. Pomyślne załatwienie pozwolenia wpłynęło po kilku dniach.

Podyktowano nam spis wszystkiego, co musieliśmy sobie zakupić, a więc: koło 10 różnych zeszytów, deskę do rysunków, cyrkiel, barwy, mundurek ćwiczebny, a przede wszystkim skrzypce. Te ostatnie musieliśmy zaraz iść kupować do Bogumina, bo je potrzebowano od razu do nauki. Był to naprawdę wielki koszt. Mama moja musiała niejedno przeżywać, jak sobie poradzić z tymi wydatkami na moje potrzeby, a było tego jako na początek naprawę dużo. Nie śmiała przy tym mówić ani słówkiem o tym ojcu. Było mi również przykro z tego powodu.

Wreszcie podano nam spis potrzebnych podręczników do nauki w 1 klasie seminarium, a było ich potrzeba sporo - aż 11. Gdyby jeszcze można je było dostać - trzeba było różnymi sposobami je zyskiwać. W każdym razie była to poważna pozycja kosztów i moje skromne oszczędności wakacyjne na nie nie wystarczały.

Przygnębiający był ten pierwszy dzień mego pobytu w seminarium nauczycielskim, nie zdawałem sobie ani sprawy z tego, jak wszystkiemu podołam, jak to spełnię, czy skąd mama weźmie tyle pieniędzy, przecież nie byłem w domu sam - było nas razem 10-ciu. Zapomniałem przy tym o męczącej drodze piechotą z Rychwałdu do Ostrawy i z powrotem już pod wieczór, o kawałku chleba cały prawie dzień. Dobrze, że w pierwszym dniu była dobra pogoda i że szło mi się dobrze przez rychwałdzkie stawy na stary dwór w Hermanicach i w górę na Michałkowice i dalej już bitą drogą na Ostrawę. Całe dwie godziny drogi w jedną stronę. A jechać nic nie jechało.

Było trzeba mocnego samozaparcia, żeby nie upaść na duchu już w tych pierwszych dniach. Nie wiem doprawdy, jak mogłem wtedy znieść tyle trudu i tyle mocnego postanowienia przezwyciężenia trudności, jakie miałem na początku. Że nie upadłem na duchu, mam do zawdzięczenia swojej matce, która niewiele mówiła, tylko zabiegała o wystaranie mi się o wszystko, czego potrzebowałem.

Nawet potrafiła uspokoić i pozyskać ojca w celu udzielenia mi przez niego pomocy.

Grono profesorskie

Naczelną władzę w seminarium nauczycielskim sprawował czeski dyrektor (ředitel učitelského ústavu) p. Bezloja Alojzy, któremu był podporządkowany (jakby wicedyrektor polskich paralelek) polski profesor Farny Alfred. Grono profesorskie, oprócz dyrektora, składało się z 8-miu profesorów, z tego było 5 polskich i 3 czeskich dla poszczególnych przedmiotów. Do grona profesorów, którzy udzielali nam nauki w pierwszym roczniku seminarium nauczycielskiego w roku szk. 1927/28 należeli z polskich profesorów:

prof. Farny Alfred, gospodarz naszej klasy, uczył nas geografii (2 godz.), przyrody (3 godz.) i chemii (3 godz.), był typowym profesorem, potrafił nauczyć, pochodził z Nawsia, zmarł zaraz na początku 2 wojny światowej (otruł się),

prof. Niemiec Józef - wykładał język polski - 5 godz. tygodniowo, był znawcą i miłośnikiem swego przedmiotu, toteż jego wykłady były rzeczowe, podane w sposób zrozumiały, był wymagający, niekiedy do przesady, ostro klasyfikował zwłaszcza wypracowania piśmienne,

prof. Motyka Stanisław - typ eleganta, wykładał dość sucho historię powszechną - 2 godz. tygodniowo, przy „pytaniu" był często bezwzględny i potrafił bardzo łatwo „zlać" każdego, nie był lubiany,

prof. Pitala Józef - wykładał matematykę - 4 godz. wraz z geometrią, miał słabe wykłady, nie potrafił zainteresować nas matematyką, nie był jednak zły, często przechodził do rozmów o sporcie,

prof. Zielina Gustaw - miał gimnastykę w teorii i praktyce - razem 2 godz. tygodniowo, był dziwny ze swoją gimnastyką.

Z czeskich profesorów byli:

prof. Rund Edward - uczył nas śpiewu 2 godz. i gry na skrzypcach także 2 godz., był na pozór groźny, ale w gruncie rzeczy dobry, chociaż Czech, ale o nas Polakach wyrażał się zawsze dobrze,

prof. Kudělásek Cyryl - wykładał język czeski w gramatyce, pisowni i literaturze, miał ciekawą metodę nauczania, nauczył nas naprawdę języka czeskiego w piśmie i mówieniu - 3 godz. tygodniowo,

prof. Vacek Jarosław - miał rysunki po 3 godz. i pisanie po 1 godz. tygodniowo, jeden z inteligentnych profesorów, znawców swego przedmiotu, był na lekcjach spokojny i sprawiedliwy w ocenie,

ks. Liška Jindřich - 1 godz. religii rzymskokatolickiej,

ks. Trombik Karol - 1 godz. religii ewangelickiej a.w.

Wszyscy polscy profesorowie byli przedzieleni do seminarium z Polskiego Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej. Dojeżdżali więc każdorazo-

wo tramwajem z Orłowej do Ostrawy. Wysiadali wówczas koło teatru Zd. Nejedlého i stąd blisko pół godziny musieli iść piechotą do seminarium nauczycielskiego w Śląskiej Ostrawie.

Razem uczyli nas polscy profesorowie 20 godz. tygodniowo, a czescy 12 godz. tygodniowo. Mieliśmy więc 32 godziny tygodniowo. Nauka była 6 dni w tygodniu, po 5 godzin dziennie, a tylko jeden dzień było 7 godzin, naturalnie z przerwą obiadową. Nauka rozpoczynała się o 8 godzinie rano, przerwy były 5-cio minutowe, jedna 10-cio minutowa.

Tercjanem szkoły był „QuIS" Kwis Emil.

Trudny początek moich studiów

Zaraz w pierwszych dniach nauki „nabili" nam profesorowie do głów, co wszystko nam potrzeba przygotować, że trudno nam było zapamiętać, co wszystko trzeba zrobić. Samych zeszytów (dużych) każdy z nas potrzebował 14 - w tym 2 zeszyty grubsze do śpiewu (nutowe), a 1 zeszyt oryginalny do gry na skrzypcach. Najgorzej było z zakupem podręczników. Dla mnie sprawa ta była wprost straszna, bo pieniędzy na tyle książek nie miałem, a do tego trudno je było zdobyć. Na szczęście znalazła się pomoc mojej matki, która dała mi pieniądze na zakup nowych książek, resztę książek odkupywałem od znajomych z poprzednich roczników po obniżonej cenie. Były to książki już używane, ale dobrze, że były.

Dalsza trudność nastała u mnie w związku z grą na skrzypcach. W seminarium miał mieć każdy opanowane początki gry na skrzypcach oraz podstawy z teorii muzyki. Ja nie miałem o tych rzeczach „zielonego pojęcia". Musiałem na gwałt uczyć się prywatnie chociaż gry na skrzypcach, chodziłem więc na kilka początkowych lekcji do organisty Langra w Rychwałdzie, który mi dużo w tym względzie pomógł.

Wróćmy jednak do klasy 1 rocznika I B w seminarium nauczycielskim. Na początku roku szkolnego 1927/28 było nas 25, z tego: 23 chłopców i 2 dziewczyny. Spis wszystkich studentów i studentek rocznika I B: Adolf Bezecny z Końskiej, Jan Durlok z Trzyńca (Wędrynia), Emanuel Fierla z Łazów, Anna Folwarczna z Górnej Suchej, Arnold Jochim z Nowego Bogumina, Jan Kaleta z Orłowej, Jan Kantor z Końskiej (Wędrynia), Karol Kapusta z Pietwałdu, Józef Kożusznik z Suchej Średniej, Adolf Kubeczka z Orłowej (Łazy), Emanuel Lazar z Górnego Żukowa, Fryderyk Łukosz z Karwiny, Stanisław Malczyk z Karwiny, Józef Matusik z Karwiny, Kornel Niemczyk ze Stonawy, Rudolf Pinkas z Bogumina (Błogocice), Jan Poloński z Gruszowa, Teofil Potysz z Górnej Suchej, Sylwia Przygrodzka z Karwiny, Adolf Pytlik z Orłowej, Gustaw Rykała ze Sibicy, Józef Szymik z Karwiny (St. Miasto), Rudolf Wójcik z Rychwałdu, Alojzy Zawadzki z Ropicy, Adolf Żyła z Górnej Suchej.

c.d.n.

HARCERSKI RODOWÓD



18 października minęło stulecie urodzin czołowego działacza Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji, naczelnika w latach 1934-1935, hm. Józefa Piszczka.

Swoje życie w pełni poświęcił harcerstwu. Od roku 1921 był drużynowym I Męskiej Drużyny Karwińskiej, a od roku 1924 pierwszym hufcowym harcerskich drużyn męskich w Karwinie. Zorganizował i przewodził wyprawie harcerstwa Śląska Cieszyńskiego na Zlot Skautów Słowiańskich w Pradze (1931), w roku 1935 dowodził wyprawą HPC na Zlot Jubileuszowy ZHP w Spale. Za swoją działalność został uhonorowany w 1934 roku Srebrnym Krzyżem Zasługi, w roku 1939 Krzyżem Niepodległości, zaś w 1995 roku prezydent RP odznaczył pośmiertnie Józefa Piszczka medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939". Podczas drugiej wojny światowej Józef Piszczek został aresztowany we Lwowie (marzec 1940) przez NKWD. Zginął, wywieziony w głąb Rosji.

Jego żoną była Janina Kobielanka, harcerka, założycielka żeńskiej drużyny harcerskiej im. M. Rodziewiczówny w Karwinie oraz pierwsza hufcowa drużyn żeńskich w Karwinie (1922-1931).

Państwo Piszczkowie mieli dwoje dzieci. Syn Mieczysław wstąpił do harcerstwa w 1945 roku, piastował wszystkie funkcje, począwszy od zastępowego aż po naczelnika HPC w latach 1968-1970. Związany był z drużyną harcerską w Stonawie. Jego żona Stefania prowadziła w Stonawie drużynę zuchową. Córka Józefa Piszczka Jadwiga była członkiem i drużynową żeńskiej drużyny harcerskiej w Stonawie.

Jednak to nie koniec harcerskiej historii rodziny Piszczków. Wnuki Józefa Piszczka stały się kontynuatorami harcerskiej tradycji. Wnuk Jerzy należał do harcerstwa od 1968 roku, pełnił funkcję zastępowego. Wnuczka Małgorzata wstąpiła do harcerstwa także w roku 1968, obecnie jest prze-

wodniczącą Komisji Rewizyjnej przy Radzie Naczelnej HPC. Wraz z mężem Janem są aktywnymi członkami Koła Przyjaciół HPC w Stonawie. Wnuk Marian pracuje w harcerstwie od 1990 roku. Był drużynowym, członkiem RN HPC, zastępcą naczelnika. Jego żona Lenka jest szczepową w Karwinie Frysztacie oraz współzałożycielką i drużynową drużyny harcerskiej Wielka Niedźwiedzica.

Do ostatniej (na razie) harcerskiej generacji należą prawnuki Józefa Piszczka - Mariola i Adam. Są członkami HPC od 1990 roku. Mariola pełni obecnie funkcję namiestnika zuchowego, jest członkiem RN HPC i prowadzi dwie drużyny zuchowe. Adam jest przybocznym w drużynie harcerskiej Błękitna Jedynka w Karwinie Nowym Mieście.

MARIOLA NALEWAJKA

POLACY POZA KRAJEM

GŁOS POLSKI Z ARGENTYNY

Przed kilkoma miesiącami pełno było na ekranach naszych telewizorów wiadomości o walkach ulicznych w Argentynie, kryzysie, zmianach rządów. Kiedy sytuacja uspokoiła się do tego stopnia, że nadchodzące z Argentyny wieści stały się mniej sensacyjne, przestano o niej mówić. ***Jaki kataklizm*** **- pisał tygodnik Polityka -** ***spadł na Argentynę, że zaledwie w czasie jednego półwiecza zamieniła imponujący rozwój na obecny kryzys? Żaden ekonomista ani politolog nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie, bo wyjaśnienia nie da się wyrazić w liczbach czy formułach politycznych. Prawdziwa przyczyna jest tajemnicza i nieuchwytna, dotyczy bardziej pewnej predyspozycji psychicznej niż teorii ekonomicznej.***

Okazja do poruszenia problemów mieszkańców Argentyny nadarzyła się podczas wrześniowego Forum Mediów Polonijnych w Tarnowie. Zaś kiedy przedstawicielka Polonii argentyńskiej publicystka KRYSTYNA JUNOSZA WOYSŁAW zapewniła mnie, że blisko jest z Argentyny przez Warszawę i Rzeszów na Zaolzie, poprosiłam ją o rozmowę dla Zwrotu.

Jak naprawdę żyje się ludziom w Argentynie?

Trudno powiedzieć, jak się naprawdę żyje w Argentynie, ponieważ jest to kraj o olbrzymiej rozpiętości standardów życia. Przyjmijmy przedstawiciela klasy średniej, tzn. człowieka, który pracuje, zarabia na ży-

cie i ma jakieś drobne oszczędności. Ci ludzie starają się przeżyć rozbieżności ekonomiczne i rozmaite niezbyt popularne decyzje, zaadaptować. To, czego wszystkie kryzysy, także polityczne, na szczęście nie zatarły, to duch mieszkańców tego kraju. Argentyńczyk nie jest człowiekiem biernym, walczy o to, co stracił, i stara się to odzyskać. Ta walka w tej chwili daje się odczuć przede wszystkim przez bardzo dużą partycypację klasy średniej, która normalnie była bierna przy przemianach. W tej chwili chce partycypować, chce poprawić. Tworzą się rozmaite samorządy, koła współpracy. Wydaje mi się, że Argentyna wyjdzie z obecnego kryzysu, ale że to będzie już zupełnie inny kraj, o innym obliczu społecznym, że klasa ludzi niesłychanie bogatych straci swoją rolę wiodącą w społeczeństwie. Ale koszt będzie duży, przede wszystkim dla tych najbiedniejszych, którzy nie mają nic do stracenia i przez to pozwalają sobą kierować.

Czy można jakoś porównać Argentynę i Polskę?

Argentyna i Polska mają zupełnie inną historię życia społecznego. Argentyna jest państwem, w którym o niepodległości mówimy od roku 1810, podczas kiedy Polska już te swoje tysiąc lat dosyć dawno skończyła. Są inne tradycje, Argentyna idzie z góry w dół, od dużej zamożności społeczeństwa w stronę kryzysu, natomiast Polska wychodzi z kryzysu i wszystko, co jest, jest lepsze, niż było. Dlatego inne są wymagania. Argentyńczyk wie, co utracił, a Polska nie wie, do czego może dojść i co ją na końcu tej drogi czeka. I stąd taki trochę niezmierzony materializm i chęć zarobienia za wszelką cenę, jakby to był ostatni zarobek. Nie ma niestety luzu, jaki odczuwa się w Ameryce Łacińskiej. A on pomaga w życiu.

Jaka jest argentyńska rodzina?

Argentyna to społeczność wielokulturowa. Gros stanowią Włosi i Hiszpanie, jest dużo Słowian. Te narodowości ukształtowały oblicze Argentyny. Argentyńczycy są niesłychanie rodzinni, np. tego, co jest w tej chwili w Polsce dość popularne, że młodzież dwudziestokilkuletnia już idzie na swoje, w Argentynie nie ma, dzieci mieszkają z rodzicami, dopóki się da i jeszcze troszkę. Jest bardzo silny wpływ rodziny, jeśli chodzi o troskę o wychowanie dzieci i młodzieży, dozorowanie ich nauki itd. Rola rodziców jest dużo większa niż w Polsce, rodzice muszą więcej partycypować w wychowaniu dziecka. Tak samo, jeśli chodzi np. o opiekę nad ludźmi chorymi, ludźmi, którzy są w szpitalach. Jest oczywiste, że przy chorym jest ktoś z rodziny. Po prostu rola rodziny jest niesłychanie ważna, bardzo podkreślana, zgodnie zresztą z tradycją wielkich rodzin włoskich czy hiszpańskich.

Czy w takim spojrzeniu na życie odgrywa swoją rolę również Kościół?

Argentyńczycy są bardzo religijni, z tym, że daje się odczuć wpływy re-

ligii tubylczych, indiańskich. Ale jest to społeczeństwo głęboko religijne. Ponieważ Argentyna jest wieloreligijna, powiem tylko o naszym Kościele, Kościele katolickim. Miałam szczęście mieszkać koło Polskiej Misji Katolickiej, więc była ona automatycznie moją parafią. Kościół polski w Argentynie poza wiodącą rolą religijną ma też wybitne zasługi, jeśli chodzi o polskość. Przy parafiach katolickich istnieją szkoły polskie.

W ten sposób poruszyła Pani temat Polonii argentyńskiej?

Zorganizowana Polonia istnieje od 1897 roku. Wtedy przyjechała grupa rolników - dwanaście rodzin. Przedtem byli Polacy uciekinierzy po powstaniach: listopadowym, styczniowym i wielkopolskim. Po pierwszej wojnie światowej przyjechało wielu bezrobotnych, przedstawicieli zarówno miejskiego jak i wiejskiego proletariatu. Byli to ludzie, którzy niesłychanie ciężko walczyli o życie, mieli opinię dobrych pracowników i zatrudniano ich przy najcięższych robotach publicznych, kopali metro w Buenos Aires, budowali silosy w porcie, budowali nowy port, pracowali w rzeźniach, w chłodniach. Był olbrzymi procent śmiertelności, dlatego że emigranci stykali się z nowym klimatem, nowymi warunkami. Była to Argentyna przed Peronem, czyli nie istniały żadne prawa socjalne i Polacy dostali wtedy bardzo mocno w kość, dużo osób zmarło, troszkę wróciło, ale też nie bardzo było do czego. W okresie międzywojennym przyjechało do Argentyny około pięćdziesięciu tysięcy osób. W czasie drugiej wojny światowej Polacy w Argentynie pomagali, jak mogli, organizowali zbiórki, wyjechało bardzo dużo ochotników do armii. Wielu z nich zginęło, niektórzy wrócili. Po wojnie przyjechało do Argentyny około dwudziestu tysięcy osób. Trudno policzyć dokładnie, ponieważ niektórzy przyjeżdżali bez paszportów, nie mieli dokumentów po zawierusze wojennej. Do tego pokolenia powojennego dopisuję się i ja, bo moi rodzice przyjechali też właśnie w tym okresie. Była to zupełnie inna emigracja: emigracja inteligencji, ziemiaństwa, bardzo dużo ludzi z utraconych kresów wschodnich, przede wszystkim osoby, które wobec panującego w Polsce stalinizmu nie mogły wrócić do kraju, bo skończyłoby się to dla nich bardzo źle. Wybrały Argentynę jako jeden z krajów przyjmujących emigrantów. Było im łatwiej i ciężej. Łatwiej, bo byli zorganizowaną grupą i popierali się wzajemnie, bo Argentyna przeżywała akurat okres rozkwitu i było łatwo o pracę. Ci, którzy byli w wojsku, otrzymali po demobilizacji małe odszkodowania. Dużo trudniej było im psychicznie. W latach dwudziestych wyjeżdżały z Polski części rodzin z pełną świadomością, że jak im pójdzie w tej Ameryce dobrze, to wrócą potem do swojej wioski, a tam czekają na nich krewni. Natomiast emigranci powojenni wiedzieli, że ta Polska, o którą walczyli, przestała istnieć. Oni zostali wyrzuceni poza nawias tej swojej ojczyzny, za którą cierpieli. Zamykali się w getcie polskim, do tej pory są panie, które po

pięćdziesięciu kilku latach nie mówią biegle po hiszpańsku, to jest jakaś blokada psychiczna: zawsze byliśmy my i oni. Ludzie z wykształceniem uniwersyteckim musieli pracować jako portierzy i czuli się z tym fatalnie. Wielu z nich nie mogło przyjąć swobody łacińskiej, nie rozumieli, że to nie jest brak szacunku dla nich, że po prostu Argentyńczycy są swobodni i mogą właściciela poklepać po plecach. Weszli też w konflikt ze starą przedwojenną emigracją, bo zarzucali jej, że zbyt komercyjnie patrzy na świat, że weszła w środowisko, że kaleczy język polski. Z kolei stara emigracja miała nowej za złe, że zadziera nosa.

Jak zorganizowana jest Polonia argentyńska?

Pomimo wielu problemów powstało wtedy - po drugiej wojnie światowej - bardzo dużo organizacji polskich, zorganizowało się harcerstwo, które działa do dziś i działa bardzo dobrze. Polska Macierz Szkolna organizuje nauczanie języka polskiego. W 1960 roku powstała Biblioteka im. Ignacego Domeyki, jest to instytut wiedzy o Polsce, którego zadaniem statutowym wtedy było stworzenie żywego pomnika milenium i zbieranie wszelkich śladów polszczyzny, przede wszystkim na kontynencie amerykańskim, ale i w świecie. To się częściowo udało, w tej chwili ciągle jeszcze stara się znaleźć formy pracy, które wytrzymywałyby kryzys i zmieniające się władze. Chciałabym podkreślić, że jest to zawsze praca społeczna. Praca na rzecz polskości w Argentynie na wszystkich odcinkach jest zawsze pracą społeczną. Nigdy w żadnej organizacji nie byliśmy subwencjonowani, po zmianie rządów od czasu do czasu jakiś grosz z Polski wpada, ale jest to grosz minimalny.

Pani reprezentuje media polonijne w Argentynie?

Instytucją na pewno wiodącą w tej chwili poza wymienionymi już organizacjami jest Głos Polski, pismo, które istnieje osiemdziesiąt lat. Skład komitetu redakcyjnego jest wręcz symboliczny, dlatego że z jednej strony przewodniczącym jest pan, który ma bardzo dużo lat, jest przedwojennym adwokatem i kawalerem Virtuti Militari, redaktorką odpowiedzialną jest pani w wieku około czterdziestu lat, jedna z niewielu osób postsolidarnościowych. Ja jestem współpracownikiem od ponad trzydziestu lat i mam zamiar robić to dalej. Głos Polski zmienił swój charakter dwukrotnie. Po raz pierwszy, kiedy nowa fala emigracyjna wprowadziła na jego łamy poza informacjami spokojnymi tudzież lokalnymi spory, debaty polityczne, starano się znaleźć odpowiedź na pytanie, co my tu robimy w tej Argentynie i jak tu żyć, to były bardzo ostre polemiki. Po raz drugi zmieniło swój charakter, kiedy powstała Unia Stowarzyszeń i Organizacji Polskich Ameryki Łacińskiej (USOPAŁ) i Głos Polski oddał swoje szpalty częściowo na usługi USOPAŁ. Ponieważ pismo w tej chwili rozchodzi się po całej Ameryce Łacińskiej od Meksyku w dół, siłą rzeczy przeważają informacje o USOPAŁ,

co nie zawsze podoba się abonentom miejscowym. W związku z tym samoistnie powstało drugie pisemko, mały format, wydawane tylko w języku hiszpańskim, przez dziewczynę, która urodziła się w Argentynie, córkę Polaków, ale dotyczy spraw polskich, podaje dużo wiadomości z historii Polski, pisze o świętach itd. i to jest też bardzo cenna inicjatywa, świadczy o potrzebie tego rodzaju pisma. Myślę, że przyszłość organizacji polonijnych i to, powtarzam do znudzenia, w zmienionym charakterze, dostosowana do dnia dzisiejszego, w kontakcie z Polską, aktualną, utrzyma się na pewno. Z tym, że wątpię, by były to akademie 3 maja i dziewczynka w krakowskim stroju mówiąca wierszyk, co też jest potrzebne, ale młodzież już tego tak nie odczuwa. Jednak mają świadomość, że są Polakami. I to jest ważne.

We wcześniejszej rozmowie wspominała Pani o swoich związkach rodzinnych z Zaolziem?

Małżeństwu mojej córki winna jest Wspólnota Polska. Moja córka Hania, która z zawodu jest dziennikarzem, całe życie tańczyła w Balecie Polskim, jest zdolnym choreografem. Przyjechała na trzeci chyba Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych do Rzeszowa, z tym, że wcześniej odbywały się jakieś kursy choreograficzne w Warszawie. Tam poznała mojego obecnego zięcia Daniela Recmana i skończyło się to tak, że w tej chwili są małżeństwem, mieszkają na Zaolziu. Ja byłam na Zaolziu na ślubie młodych. Mają córkę, która także tańczy, na razie przed lustrem. Daniel też był w Argentynie kilkakrotnie i przez dłuższy czas, przyjechał na zaproszenie Baletu Polskiego w Argentynie jako instruktor. Związek Polaków prosił o instruktora z Polski, ale koszty choreografów zawodowych były zupełnie nieprzytomne, zaczęto szukać gdzie indziej, a ponieważ Olza jest sztuką samą w sobie, to nie był, przynajmniej wtedy, zespół amatorski, tylko było dużo lepiej, Daniel jako instruktor Olzy został zaproszony, powiedział: czemu nie, no i tak to się potoczyło.

Nasza rozmowa ukaże się w grudniowym numerze Zwrotu, toteż chciałam na koniec zapytać o polsko-argentyńskie zwyczaje świąteczne?

Musimy sobie uświadomić, że Boże Narodzenie w Argentynie to jest pełnia lata. Jest bardzo gorąco i w związku z tym tradycyjna kuchnia polska jest za ciężka, nie do zjedzenia, mimo że można ją przygotować, bo poza makiem, który jest niesamowicie drogi, bo nie rośnie w Argentynie, właściwie wszystkie składniki są. Bigos przy czterdziestostopniowym upale to chyba jednak nie. Poza tym w Argentynie w Wigilię nie obowiązuje post i Argentyńczycy tradycyjnie jedzą grilowanego prosiaczka. Nie ma też opłatka. W związku z tym Polacy jakoś to połączyli i wyciągnęli z tego taką średnią, gdzie na pewno jest opłatek, który zresztą nasi księża roznoszą przed Wigilią. Na pewno przestrzega się w prawie wszystkich rodzinach postu. Jest masa ryb, w które Argentyna obfituje. Pasterka nie jest

o dwunastej, jest o dziewiątej, dziesiątej, ze względu na odległości, no a w ostatnich latach ze względu na bezpieczeństwo. W organizacjach polskich, tak jak przed Wielkanocą są jajeczka, tak przed Bożym Narodzeniem są opłatki, którymi staramy się obejmować możliwie szeroką rzeszę Polaków, przede wszystkim ludzi samotnych. Są prezenty. Choinki są sprzedawane w donicach. Przed kilkunastu laty kupiłyśmy z córką małą choinkę, która miała chyba czterdzieści centymetrów. Kiedy ją rozebrałyśmy po Wigilii, doszłyśmy do wniosku, że jest za ładna, żeby ją wyrzucić, wsadziłyśmy ją do ogrodu. Była to araukaria, która rośnie niesamowicie szybko, po czterech, pięciu latach miała prawie trzy metry, trzeba było ją przesadzić. Ekipa ogrodnicza posadziła ją przed frontem domu. Teraz muszę ją przycinać i kłócę się z zarządem gminy, który chce ją ściąć. I mam przed domem drzewo, które może dorosnąć do czterdziestu kilku metrów. Tak wyglądają choinki w Argentynie. Argentyna jest krajem niesłychanie skomercjalizowanym, jest masa Włochów handlarzy, Święta zaczynają się już mniej więcej w połowie grudnia, wszystko jest wystrojone, atmosfera Świąt udziela się wszystkim, Polakom też. W sumie są to święta bardzo radosne, nie ma tej melancholii, która jest w Polsce.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK



Fot. FRANCISZEK BAŁON



DOM WIELU POKOLEŃ

Jest w Oldrzychowicach na Zagórzu przy drodze wiodącej do Gutów posesja malowniczo położona na rozległym, łagodnym wzniesieniu. Wiedzie do niej most ponad potokiem obrośniętym olchami i gęstwiną krzewów. Jest jeszcze trochę dalej drugie dojście przez żelazną kładkę, spinającą brzegi tego pozornie łagodnego strumienia, który wiosną, jak to w górach, potrafi być nieokiełznany. Po zboczu pnie się i rozpościera dookoła niby dywan intensywna zieleń bujnej murawy. Na najwyższym punkcie wzniesienia stoi pokaźny dom murowany, o szlachetnych proporcjach ścian i otworów okiennych, nakryty dwuspadowym dachem naczółkowym. Tuż obok kępa starych drzew. Rozłożyste lipy i dęby rzucają w upał błogi cień, ale też ściągają pioruny w czas burzy.

Dom ten ciepło wspominam z lat mego dzieciństwa i wczesnej młodości. Było w nim zawsze rojno, gościnnie i wyczuwało się życzliwość. W dużej izbie, w kolebce na biegunach, rezydował kolejny najmłodszy potomek, a było

ich tam sporo i wciąż przybywali nowi. Pamiętam uśmiechniętą twarz cioci Haniczki i wyniosłą postać stryja Jerzego, zawsze czymś mocno zaaferowanego. Na stole zwykle po niedługiej chwili pojawiała się pyszna jajecznica na szpyrkach, z pajdami razowego chleba własnego wypieku. Jeśli to było latem lub jesienią, stryj wkrótce wnosił kosz wspaniałych, pachnących owoców. Otoczona gromadką uśmiechniętych Lipcząt, młodszych ode mnie i trochę nieśmiałych, a ciekawych gościa, przełamywałam szybko pierwsze lody i już wkrótce byliśmy w najlepszej komitywie.

W tymże domu opatrzonym numerem 63 odbyło się ósmego września br. spotkanie najstarszej generacji rodu Chodurów i Lipków wywodzącej się z tego rodzinnego gniazda. Uczestniczyło w nim przeszło pięćdziesiąt osób, z których nie wszyscy znali się dotąd i mieli bodaj pierwszą okazję, by się zobaczyć i poznać bliżej. Zjechali także przedstawiciele rodziny z Warszawy.

Inicjatorem i organizatorem spotkania był najmłodszy z licznego potomstwa Anny i Jerzego Lipków, dziedzic ojcowizny Andrzej, pracownik huty trzynieckiej, człowiek przedsiębiorczy, odważny i w pełni sił. Wiedziony sentymentem do tego miejsca, od dawna marzył, by mocno podupadłemu i opustoszałemu po śmierci ojca domostwu przywrócić jego dawną kondycję i nadać nowy sens jego trwaniu.

Zadanie nie było łatwe, wymagało żelaznej woli, a także ogromnej koncentracji sił i środków. Za najpilniejszą jednak sprawę uznał nowy dziedzic wydzielenie z majątku działek rekreacyjnych dla rodzeństwa, w którym to przedsięwzięciu radą i pomocą służył mu najstarszy brat Karol. Uporawszy się z tym zadaniem, wiedziony nieodpartą motywacją i pełen zapału, Andrzej zakasał rękawy i przystąpił do dzieła odbudowy. Wszystkie prace, nawet te najcięższe i najbardziej czasochłonne, wykonywał sam, własnymi rękoma. Remont od podstaw trwał 10 lat. Prowadził go tak, aby nie ucierpiała sylweta i harmonia murów 200-letniego budynku. Chodzi tu wszak o rzadki przykład murowanej architektury Podbeskidzia z końca XVIII wieku.

Niczym pielgrzymi zmierzający do przybytku kultu, tak my schodziliśmy się do rodzinnego gniazda, rejestrując zmiany. Nie ma już rozległego sadu, słynącego ongiś z dorodnych owoców i zbiorów - ustąpił miejsca działkom. Przy wjeździe na posesję wita nas tonąca w powodzi kwiatów i ozdobnych krzewów willa najstarszej z sióstr, Hani Lazarowej. Zniknął też staw hodowlany, przed laty źródło zimowych uciech dzieciarni, który porasta dziś trawą. Jak dawniej sączy się nitka wody zwanej szczurkiem u podnóża schodków wiodących do domu, niezmiennie też piętrzy się szczyt Jaworowego, a z drugiej strony posesji, poniżej, w oddali, majaczy zamglona panorama Trzyńca z potężnymi pionami jego hutniczych pieców. Na pierwszym planie szmat rżyska ciągnący się w głąb pola obramowanego linią lasu.

Ten urokliwy zakątek Zaolzia ma chyba w sobie jakąś magię, budzi wzru-

szenie i przyciąga. Czarowi jego poddał się i warszawiak, syn Jerzego Michał, próbując pochwycić to ulotne piękno migawką aparatu. Spotykamy się na dziedzińcu zamkniętym ścianą dawnych zabudowań gospodarczych, zaadoptowanych przez braci Andrzeja, Jana i Tadeusza na letnie mieszkania ich rodzin. Słychać gwar i okrzyki powitań, tworzą się grupki, docierają wciąż nowi przybysze. Na progu domostwa gości witają Gospodarze i zapraszają do wnętrza. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcie. Syn dziedzica Marcin puszcza w ruch kamerę, która nie spocznie do końca tego szczególnego dnia. Z żaru bijącego z nieba wkraczamy w kojący półmrok obszernej, krzyżowo sklepionej sieni. Boże, jak tu pięknie! I ile przestrzeni! Zaczyna działać urok grubych murów, wyczuwa się aurę minionych stuleci. Łagodne, koszowe łuki gurtów podtrzymują sklepienie. W miejscu kamiennej dawniej posadzki lśni szachownica z terakoty. Głębokie odrzwia po obu stronach sieni wiodą do pokoi. Rozglądamy się ciekawie, nie ukrywając podziwu - powierzchnia domu liczy sobie bagatelka, 260 m2. Najpiękniejsza z izb, prawdziwa perełka, sklepiona jak sień, pełna jest rodzinnych pamiątek, tam też wśród pomologicznych dyplomów i pożółkłych fotografii wisi na ścianie portret marszałka Józefa Piłsudskiego. Pozostałe dwie obszerne izby pokrywa strop o ozdobnie żłobionych belkach z nacięciami, na jednej z nich widnieje wyryta rylcem data budowy: anno 1795. Izba wyłożona szarobłękitną miękką wykładziną służy za sypialnię, druga - na tyle pojemna, że pomieściła wszystkich gości przy stołach zastawionych beskidzkimi przysmakami - pełni funkcję jadalni. Cały charakter tego wnętrza nosi wyraźne cechy baroku. Okazało się teraz, że Gospodarz oprócz renowacji budynku wprowadził szereg zasadniczych zmian: skanalizował domostwo, założył centralne ogrzewanie, dobudował łazienkę i WC, zmodernizował kuchnię, zachowując gwoli tradycji stary piec chlebowy, wymienił całą stolarkę, żeby wymienić tylko to, co najważniejsze. Krótko mówiąc, przystosował dom do wymogów współczesnego człowieka. Obejrzeliśmy też obszerny strych oraz majstersztyk dawnego rzemiosła - sklepioną, ziejącą chłodem, dobrze zaopatrzoną piwniczkę - lodówkę naszych przodków.

Tymczasem Gospodarz miał wyraźnie wytyczony program i chciał nam wiele przekazać, w obawie jednak, aby nas zbytnio nie znużyć, zadbał o formę przekazu przystawalną do treści. I tak przedzierzgając się z prezentera w narratora, to znów w inscenizatora żywych obrazów, bywał i aktorem, a do realizacji swoich zamysłów potrafił wciągnąć z powodzeniem nawet swoje drobne wnuczęta, czym nas wzruszył i ubawił.

Czerpiąc ze źródeł archiwalnych, ksiąg parafialnych i innych uważnie przewertowanych dokumentów, wprowadził nas Andrzej w zamierzchłe dzieje domostwa, by przejść do omówienia kolejnych pokoleń jego mieszkańców. Otóż z akt wynika, że w budynku tym pierwotnie mieściła się szkoła.

Dach z wieżyczką spłonął niestety w pożarze, a na belce strychu widnieje data remontu 1842. Najstarszym ogniwem rodzinnego łańcucha, do którego dotarł nasz badacz korzeni, jest rodzina Jursów z Tyry, która w 1825 roku objęła dom nr 63 wraz z całym należącym do niego gruntem w posiadanie. Drogą mariażu Jursówny cała posesja wraz z tymże gruntem jako wiano przeszła w 1850 roku w ręce Kantorów. Późniejsza dziedziczka ojcowizny Zuzanna z Kantorów jest prababką rodu Lipków. Z nią to, dwukrotną wdową z dwójką dzieci, ożenił się wdowiec Jan Lipka z Łyżbic, hutnik trzyniecki, który przywiódł ze sobą czwórkę własnych dzieci. Małżeństwo miało jeszcze trójkę wspólnych potomków: Karola, mojego ojca, Annę, po mężu Piwkową, i Jerzego, późniejszego dziedzica.

Dom kipiał życiem, dzieci było sporo, a na pradziada spadł drugi poważny obowiązek, gazdowanie na roli. Szczęściem, wielką pomocą była mu bardzo pracowita, mądra i ofiarna żona, i jakoś to szło. Dzieci wyprowadzili na ludzi, dając każdemu zawód, a przystojne panny dobrze wydano za mąż. Większość synów związała swą przyszłość tradycyjnie z hutą, ale był też pedagog z wykształcenia, późniejszy dyrektor gimnazjum w Polsce; był rzutki handlowiec - przedsiębiorca, którego pięknie zapowiadającą się karierę zawodową przerwała nagle wojna, niwecząc jego plany; był wreszcie najmłodszy z rodzeństwa, z zamiłowania pomolog, założyciel sadu, znany wśród specjalistów tej dziedziny zarówno w Czechach jak i w Polsce. Wszyscy oni, patrioci dawnego chowu, nieustępliwie obstawali przy swojej polskości, co w czasach terroru hitlerowskiego było powodem ciągłych restrykcji i stałego zagrożenia.

Andrzej opracował drzewo genealogiczne (strom żywota), z którego wynika ciągłość siedmiu pokoleń. Prym wśród przodków wiedli rolnicy-gazdowie, w miarę jednak rozwoju przemysłu wyrosła kadra hutników; był też jeden wójt; był i słynny myśliwy uprawniony do urządzania łowów (gonów), z którym ponoć miał pewnego razu zapolować sam najjaśniejszy cesarz Franciszek Józef.

Natomiast w każdym niemal pokoleniu znaleźli się oddani sprawie ochotnicy Straży Pożarnej, a wśród nich byli współzałożyciele lokalnego Koła tej organizacji. W tym też mundurze, jako symbolu rodzinnej tradycji, zagaił spotkanie nasz mistrz ceremonii Andrzej. Na kanwie zebranych materiałów, a także faktów i przyczynków do dziejów wsi i rodu, wyłowionych z pamięci najstarszych okolicznych oldrzychowian w toku wielu rozmów, spisał Andrzej kronikę rodzinną, której drobne fragmenty nam odczytał. Praca nad nią zajęła mu dwa i pół roku.

Pewną sensację wywołało wniesione przez Gospodarza prawdziwe corpus delicti - stara, gruba księga w skórzanej oprawie, drukowana jeszcze gotykiem, dziś już niemal całkiem zapomniana Postylla, czyli zbiór kazań na

wszystkie niedziele roku, niezbędna dawniej obok Biblii w każdym ewangelickim domu na Śląsku Cieszyńskim. Odczytane kazanie traktowało o wychowaniu dzieci, temacie gorącym i zawsze aktualnym; wyłożone jasno i prosto wciąż trafia w sedno sprawy: kształtowanie postaw i szacunek dla prawdziwych wartości.

Nadeszła wreszcie pora pieśni, mocnej strony Zaolzia, tego muzykalnego zagłębia, małej ojczyzny chórów. Bez pieśni trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek okazję rodzinną czy towarzyską, toteż i my nie oszczędzaliśmy głosów i przez otwarte na oścież okna popłynęły wraz z melodią słowa „Grodem mocnym", „Ojcowski dom", „Płyniesz Olzo" i wiele, wiele innych. Goniąc ślady beztroskiego dzieciństwa i buńczucznej młodości, cieszyliśmy się chwilą, pomni słów pieśni „jak szybko mija życie, jak potok płynie czas...".

Na odnowiony dom spłynęły błogosławieństwa sakramentalne dwóch goszczących w nim młodych pastorów, którzy wśród życzeń składanych Gospodarzom wyrazili podziw dla wytrwałości w dziele i gratulowali pięknej, godnej naśladowania inicjatywy.

Niespodziewanym punktem programu stał się list seniorki rodziny 90-letniej cioci, a właściwie stryjenki Andrzeja, Heli Lipkowej z Warszawy, oldrzychowianki, wdowy po Karolu, ojcu mojego rodzeństwa, Ireny po mężu Gorczyńskiej i zmarłego w sierpniu br. Jerzego Lipki. Wiek oraz bolesne przeżycia związane ze śmiercią syna, doktora nauk przyrodniczych, nie pozwoliły jej uczestniczyć w spotkaniu. Nostalgiczna nuta owego listu pełnego wspomnień sprawiła, że w niejednym oku zakręciła się łza.

Był jeszcze występ lokalnego kwartetu wokalnego, w którego repertuarze szczególnie piękną barwą głosu zabrzmiał srebrzysty sopran Manieczki z Lipków Ziętkowej.

Nie sposób zresztą opisać całej gamy wrażeń doznanych tego wyjątkowego dnia. Podziw budzi dalekosiężność celów głównego Bohatera i rozmach całego przedsięwzięcia. Nie podobna jednak nie docenić rzetelnego wkładu ze strony żony Andrzeja Alenki, bez pomocy której Jego zmagania z oporną rzeczywistością byłyby na pewno znacznie trudniejsze - tym też zaskarbiła sobie naszą wdzięczność.

Andrzeju Drogi, wykonałeś ogromną pracę i może nawet nie w pełni zdajesz sobie sprawę, jak wzbogaciłeś nas przy tym: pogłębiłeś świadomość łączących nas więzi, a także poszerzyłeś obszary naszej wrażliwości i wyobraźni. W imieniu całej rodziny z Warszawy dziękuję Ci z całego serca za Twój wysiłek, za wieloletni trud ratowania bliskiego nam wszystkim domostwa, za gorliwość w poszukiwaniu rodzinnych korzeni, jak też za troskę o ocalenie pamięci minionych pokoleń. Cześć Ci za to i chwała, nieugięty Strażniku prawdziwych wartości. Bóg zapłać.

ZOSIA Z LIPKÓW MAJCHEROWICZOWA

Gospodarz uroczystości Andrzej Lipka i uczestnicy rodzinnego zjazdu





CZYM ŻYJE GIMNAZJUM

Dyrekcja Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie w październiku ponownie (pierwsze takie spotkanie odbyło się w lutym) zaprosiła przedstawicieli działających w najbliższej okolicy mediów na konferencję prasową, by zapoznać społeczeństwo regionu z inicjatywami szkoły, które sięgają nieraz daleko poza obowiązkowy program szkolny. Gimnazjum reprezentowali: dyrektor Krystyna Herman, wicedyrektorzy Zbigniew Kujawa i odpowiedzialna za klasy karwińskie Ewa Hrnčíř oraz rzecznik prasowy Władysław Kubień.

Do Gimnazjum uczęszcza w tym roku szkolnym 463 uczniów, z tego 95 uczy się w Filii w Karwinie. Do czterech klas pierwszych przyjęto 117 osób. Tyle samo było zeszłorocznych maturzystów. Ponad 90 procent z nich studiuje dziś na różnych uczelniach, do Polski na studia poszło 28 osób.

Do sukcesów osiągniętych przez gimnazjalistów w drugim półroczu roku szkolnego 2001/2002 zaliczyć trzeba trzecie miejsce w Kangurze Matematycznym, które w kategorii junior zdobył Michał Kozieł. Aneta Chrobok zajęła trzecie miejsce w kole okręgowym konkursu recytatorskiego „Wolkrův Prostějov". Maria Wojtas otrzymała wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim w Słupsku. Drużyna Gimnazjum zakwalifikowała się też do rundy państwowej Olimpiady Ekologicznej. Działający w szkole pod kierownictwem Leszka Kaliny Chór Studencki Collegium Iuvenum zdobył Srebrny Kamerton w Ogólnopolskim Konkursie Chórów a Cappella Dzieci i Młodzieży w Bydgoszczy. Z okazji pięciolecia szkolny teatrzyk SZKAPA kierowany przez Władysława Kubienia wystawił spektakl jubileuszowy, zaś w ramach współpracy z ośrodkiem Diakonii Śląskiej Eben Ezer powstała prezentowana na Spotkaniu Czterech Narodów w Görlitz etiuda teatralna „Ręce". Gimnazjum ma też swoje sukcesy na polu sportowym. Najlepsze okazało się w zawodach sportów nietradycyjnych wśród szkół w Czeskim Cieszynie. Uczniowie Filii biorą corocznie udział w turniejach sportowych szkół karwińskich. W tym roku szkolnym po spotkaniu w Warszawie Gimnazjum znalazło się w Szkolnym Klubie Olimpijczyka.

W październiku delegacja Gimnazjum wzięła udział w Zlocie Słowaków, czyli liceów im. J. Słowackiego, w Przemyślu, klasy karwińskie starają się bowiem kontynuować tradycję gimnazjum orłowskiego, którego patronem był Juliusz Słowacki. Gimnazjaliści byli też na wycieczkach w Wiedniu, Krakowie, Pradze, skorzystali z zorganizowanego przez Liceum Słowackiego z Chorzowa rajdu szlakiem literatury polskiej. 8 listopada odbyła się kolejna zaolziańska edycja konkursu recytatorskiego Kresy. 15 listopada przebiegał w Gimnazjum Dzień Otwartych Drzwi.

C.R.

NA ZIELONYCH STOŁACH

20 października w skrzeczońskim Domu PZKO przebiegły 22. już mistrzostwa w tenisie stołowym. Tym razem chodziło o otwarte mistrzostwa Koła, bowiem w turnieju wzięli udział również reprezentanci MK PZKO Orłowa Lutynia, Orłowa Poręba i Bogumin Szonychel. Sportowe zmagania przebiegły w trzech kategoriach. W pierwszej – uczniów 1–5 klasy – wygrał Jakub Czapek, drugi był Roman Guziur, trzeci Marek Harabiš, w kategorii uczniów 6–9 klasy zwyciężył Tomasz Lach, drugie miejsce zajął Dawid Liška, a trzecie Stanisław Król. Wśród mężczyzn tytuł mistrza już po raz 11. zdobył Tadeusz Guziur, wyprzedzając reprezentantów Orłowej Lutyni Józefa Holesza i Pawła Niedobę. W imieniu skrzeczońskiego Koła nagrody najlepszym przekazał Stanisław Górniok, przy organizacji turnieju pomagali Mariella Górniok oraz Bronisław Sebera.

D.G.



Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI LUDOZNAWCZEJ

4 października odbyło się zebranie wyjazdowe Sekcji Ludoznawczej w Mostach koło Jabłonkowa. Zaraz na stacji kolejowej wspomnieliśmy, iż to właściwie tutaj rozpoczęła się druga wojna światowa, kiedy to bojówka złożona z miejscowych Niemców (z Jabłonkowa i Mostów) napadła nocą z 25 na 26 sierpnia 1939 r. na tunel i stację.

Pierwsze kroki ze stacji skierowaliśmy do miejscowego kościoła św. Jadwigi Śląskiej z 1785 roku, wzniesionego jako swoisty kamień graniczny Śląska. Następnie zwiedziliśmy historyczną atrakcję Mostów – Szańce, gdzie ich historię przedstawił nam gospodarz zebrania Jan Kufa „z Gróniczka". W drodze

powrotnej do Domu PZKO zatrzymaliśmy się jeszcze koło kapliczki – rotundy pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła i stojącego niedaleko kamiennego krzyża, znajdującego się na starym cmentarzu „tatarskim".

Natomiast w mosteckim Domu PZKO po odbyciu regularnego zebrania poświęciliśmy resztę czasu na zgłębianie historii tej jakże ciekawej miejscowości. Pan Jan poruszył m.in. sprawę pochodzenia nazwy wioski, życia jej dawnych mieszkańców, lokalizacji budynku dawnego „fojtstwia" (obecnie restauracja „u Taufra") ale przede wszystkim przygotował dla nas niespodziankę w postaci kopii dokumentacji Szańców sprowadzoną przez gminę aż z Wiednia. Na jednej z map mogliśmy podziwiać dokładne rozmieszczenie obiektów znajdujących się w obwarowanym przedmurzu fortu „Nowe Szańce" (koszary, składy żywności i amunicji, kaplica, stacja poczty, stajnie, inne zabudowania gospodarcze) i poza nim (dom mieszkalny komendanta, budynek kwarantanny, cmentarz żołnierski oraz druga kaplica, wzniesiona w 1712 r. przez ówczesnego komendanta Jana Spens von Boden, obecnie w tym miejscu stoi wzmiankowana już kaplica świętych Piotra i Pawła).

Z całą pewnością wszyscy uczestnicy zebrania wyjazdowego wracali z Mostów zadowoleni i pełni nowych wrażeń, przede wszystkim dzięki temu, że było ono bardzo dobrze przygotowane.

LESZEK RICHTER

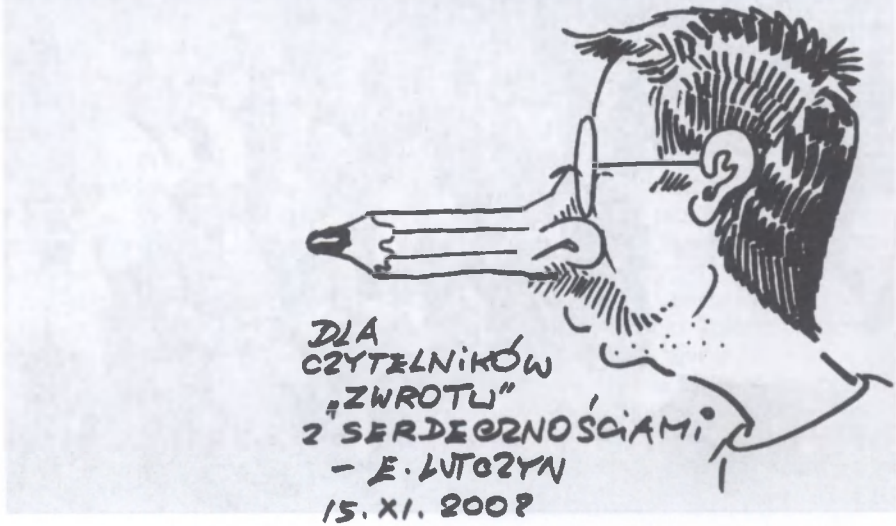
EDWARD LUTCZYN RYSOWAŁ DLA ZAOLZIAKÓW

W ramach listopadowej Wystawy Polskiej Książki w czterech miastach Zaolzia odbywały się także spotkania z polskimi pisarzami i ilustratorami. Właśnie Edward Lutczyn, znany polski rysownik, który gościł 14 listopada w karwińskiej Bibliotece Regionalnej, a 15 listopada spotkał się w Czeskim Cieszynie z gimnazjalistami, stwierdził, że ilustrowanie książek dla dzieci jest najistotniejszym szczegółem w jego życiorysie. Urodził się w roku 1947 koło Frankfurtu nad Menem, trzydzieści lat życia spędził w Krakowie, a od roku 1977 mieszka w Warszawie. Rysować zaczął w wieku trzech lat, jego debiut rysunkowy odbył się w 1971 roku. Nie ma jednak wykształcenia plastycznego, gdyż, jak stwierdził, z braku talentu nie dostał się na studia do Akademii Sztuk Pięknych. O tym, że jednak ten talent posiada, wiedzą wszyscy Polacy, a przekonali się o tym także uczestnicy zaolziańskich spotkań. Edward Lutczyn pokazał plik swoich kolorowych rysunków, historyjek obrazkowych, dowcipów rysunkowych. Zdradził, jak powstają – szkic ołówkiem, tusz i kolor nakładany różnymi technikami. Rodzące się w ten sposób obrazki są tak charakterystyczne, że trudno pomylić ich autora z kimś innym. Edward Lutczyn chętnie spełniał również rysunkowe

życzenia zgromadzonych i przekazał rysunkowe dedykacje konkretnym osobom oraz... Czytelnikom Zwrotu.

C.R.







JESIENNE WYSTAWY



Połowa października stała się w tym roku inspirującą porą dla wielu Klubów Kobiet, które zorganizowały wystawy będące przeglądem działalności pań, często nie bez udziału panów. I choć wystawy miały elementy wspólne, co jest rzeczą nieuniknioną, bo hafty, wyroby z wełny i kordonku oraz wspaniałe wypieki zawsze dominują, to jednak każdą z wystaw charakteryzował niepowtarzalny klimat zawarty w ich tytule.

W **Stonawie** panie zrzeszone w Klubie Kobiet przy MK PZKO zaprezentowały bardzo bogatą w ilość eksponatów wystawę zatytułowaną „Ciepło i urok domu tworzą ręce i serce kobiety". Obok tradycyjnych aranżacji stołów na różne okazje z przyjemnością obejrzeć można było wyroby dekoracyjne z ceramiki. Uwagę zwiedzających przykuwały olbrzymiej wielkości szachy wykonane z gliny, które służą w domowym zaciszu rodzinnej grze ich wykonawczyni Wandzie Michałek, na co dzień aktorce Teatru Lalek Bajka. Podczas wernisażu zaprezentowały się dzieci z polskiej miejscowej szkoły, których prace były również obecne na wystawie.

Dom PZKO w **Orłowej Lutyni** przyciągał zwiedzających ciepłem płynącym z nazwy ekspozycji: „Czym chata bogata, tym rada". Tradycyjna już tu wystawa podzielona została na samodzielne kąciki prezentujące historię i dzień obecny tutejszych pezetkaowców. Stare sprzęty i zdjęcia z domowych albumów współgrały z łowieckimi trofeami, wyrobami cukierniczymi i garmażeryjnymi i pokazem wikliniarskiego rzemiosła, które prezentowały Beata Ondrusz i jej mama. A obok tablice z fotografiami zagranicznych wojaży zespołów Skotnica i Skotniczka i dziewczyny z tychże w ludowych strojach sprzedające kołacze. Zwiedzający nie omieszkali również skorzystać z zabijaczkowych wyrobów tutejszej kuchni.

Do Domu Polskiego im. Żwirki i Wigury w **Cierlicku** Kościelcu na wystawę pod intrygującym tytułem „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz" zaprosiły trzy cierlickie Koła: Centrum, Kościelec i Grodziszcz oraz panie z sąsiednich Stanisławic. Wystawie towarzyszyły występy dzieci z miejscowego przedszkola i szkoły oraz kapela Olza. Dominującym akcentem wystawy były poduszki wykonane przez panie nowymi technikami oraz owoce i jarzyny, które wyhodowali w swoich ogródkach panowie. Wystawa bowiem zorganizowana została przez Kluby Kobiet i Kluby Seniora. Najciekawsze eksponaty przygotowane przez panie i panów zostały nagrodzone.

W **Czeskim Cieszynie** aktywnie działają panie z Klubu Kobiet przy MK PZKO Park Sikory. I choć Koło liczy tu 120 członków to posiada dwa Kluby Kobiet. Pierwszy zrzesza panie starsze, drugi ich córki. Oba Kluby przygotowały jesienną wystawę, na której dominowały kompozycje ułożone z owoców, jarzyn i kwiatów, przetwory owocowe na zimowe wieczory, a na ścianach rzeźby i ikony Henryka Febera i obrazy Edwarda Kaima. W takiej atmosferze miło było zjeść kawałek ciasta domowego wypieku.

Nie ulega wątpliwości, panie nie po raz pierwszy pokazały, że ich praca to nie tylko dodatek każdej pezetkaowskiej akcji, ale całoroczna samodzielna działalność w wielu dziedzinach, której efekty można było podziwiać z satysfakcją.

E.S.



STONAWA





CIERLICKO





90 LAT POLSKIEGO RUCHU ŚPIEWACZEGO W DARKOWIE

W MK PZKO Darków jubileusz 55-lecia powstania Koła pokrywa się z jubileuszem 90-lecia polskiego ruchu śpiewaczego w tej miejscowości. Śpiewactwo w Darkowie ma bardzo bogatą tradycję, o czym można między innymi przeczytać w wydanym z okazji jubileuszu atrakcyjnym biuletynie.

Obchody jubileuszy odbyły się 20 października w darkowskim Domu Zdrojowym. Obok miejscowych i pozamiejscowych członków PZKO na sali gościła więc i niemała grupa kuracjuszy. Po przeczytaniu przez konferansjerkę Marię Broda tekstu będącego podsumowaniem działalności Koła odbył się uroczysty koncert. Obok Chóru Mieszanego Lira MK PZKO Darków pod batutą Beaty Pilśniak-Hojka wystąpili gościnnie: trio skrzypcowe uczniów pod kierownictwem nauczyciela Bronisława Jelenia oraz sekstet nauczycieli ZUS B. Smetany w Karwinie i Chór Mieszany Przełęcz z Mostów koło Jabłonkowa z dyrygentką Haliną Niedoba.

Klasyczny repertuar muzyczny, w którym nie zabrakło dzieł tak wybitnych kompozytorów jak Giuseppe Verdi, Ch. W. Gluck, Josef Haydn, Johann Strauss, Julius Fučík, Stanisław Moniuszko, Józef Świder w świetnym wykonaniu wymienionych zespołów był prawdziwym balsamem dla ucha i duszy. Na zakończenie wykonały połączone chóry Lira i Przełęcz „Pieśń o Wilii" Franza Lehára.

F.B.

Niepodpisane foto w Kronice FRANCISZEK BAŁON

NAGRODA FUNDACJI KOŚCIELSKICH DLA RENATY PUTZLACHER

Fundacja im. Kościelskich istnieje od roku 1961, a ustanowiła ją w swoim testamencie zamieszkała w Genewie od czasów zakończenia drugiej wojny światowej Monika Kościelska, właścicielka rodzinnego majątku w Miłosławiu.

Zadaniem Fundacji *jest przyczynianie się do rozwoju literatury i poezji polskiej drogą przyznawania nagród młodym pisarzom, piszącym w języku polskim, zamieszkałym zarówno w Polsce, jak i za granicą.* Decyzję o przyznaniu nagrody przyznaje Rada Fundacji i jury, w skład którego wchodzą osoby cieszące się wielkim autorytetem zamieszkałe w różnych krajach Europy. Nagrodę otrzymują pisarze, którzy nie przekroczyli 40 roku życia.

Nie ulega wątpliwości, choć po roku 1989 powstało w Polsce wiele prestiżowych nagród literackich, że nagroda Fundacji im. Kościelskich jest uznawana za swoistą przepustkę dla pisarza do świata literatury. A dzieje się tak nie bez przyczyny, bowiem przeważająca większość laureatów należy dziś do czołówki literatury polskiej. Toteż na werdykt jury z Genewy co roku z niecierpliwością czekają młodzi polscy pisarze i miłośnicy współczesnej literatury polskiej, dla których nagroda jest wskazówką, co czytać. Pierwszym laureatem nagrody w roku 1962 był Sławomir Mrożek, a w następnych latach m.in. Zbigniew Herbert, Zygmunt Kubiak, Tadeusz Konwicki, Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowak, Janina Kowalska, Stanisław Barańczak, Adam Zagajewski, Stefan Chwin, Tomasz Jastrun, Adam Michnik, Paweł Huelle, Jerzy Pilch, Wisława Szymborska, Magdalena Tulli, Olga Tokarczuk, Andrzej Stasiuk.

Tegoroczną nagrodę Fundacji im. Kościelskich otrzymała Olga Stanisławska za zbiór reportaży z Afryki „Rondo de Gaulle'a", a także przyznano po raz pierwszy dwa wyróżnienia. Otrzymały je poetki: Anna Piwkowska i Renata Putzlacher. W Komunikacie jury czytamy o naszej poetce: *Renata Putzlacher została wyróżniona za zbiór wierszy pt. „Pomiędzy" (wydawnictwo Biblioteka Śląska, Katowice 2001) oraz całokształt twórczości poetyckiej, w której daje wyraz doświadczeniu życia na pograniczu języków, kultur i wyobraźni wzbogacających doznawanie i rozumienie współczesnego świata.*

Uroczystość wręczenia Nagrody Kościelskich odbyła się w pałacu rodowym donatorki w Miłosławiu 12 października 2002. Towarzyszyły jej warsztaty literackie z młodzieżą, wieczór literacki z udziałem tegorocznych laureatek i laureatów z lat poprzednich oraz koncert Chóru Chłopięcego i Męskiego Poznańskie Słowiki Stefana Stuligrosza.

E.S.



Nasi ojcowie i dziadowie wszystkich warstw społecznych jedli stosunkowo dużo ryb - nie tylko na Wigilię. To między innymi właśnie ryby czyniły człowieka czasów minionych zdrowszym. Na podstawie wyników współczesnych badań naukowych stwierdzono, że należy jeść ryby co najmniej trzy razy w tygodniu - w ilości mniej więcej pół kilograma. W światowej prasie pojawiła się również wiadomość, w której naukowcy zwracają uwagę na bardzo niski wskaźnik występowania chorób nowotworowych w krajach, gdzie jest konsumowana duża ilość ryb - na przykład w Finlandii. MIĘSO RYB JEST NAPRAWDĘ ZDROWE!

Święta Bożego Narodzenia tuż, tuż. Z nimi tradycyjny u nas, w wielu domach nawet jedyny sposób przyrządzania ryb - smażenie w formie panierowanych „sznycli". Może w okresie tych świąt, i nie tylko w święta, spróbujecie przyrządzić karpia nieco inaczej:

KARP NA CZOSNKU

Na cztery porcje potrzebne nam będą: około 80 dag karpia (oczyszczonego mięsa), 2-3 ząbki czosnku, 3 łyżeczki soli, 8 łyżek mąki („gładkiej"), 2 łyżki mielonej słodkiej papryki, 1/2 łyżeczki mielonej papryki ostrej, olej do smażenia.

Oczyszczonego i wypatroszonego karpia (ze skórą czy bez - jak kto lubi), po usunięciu głowy, płetw i ogona dokładnie obmyjemy ciepłą wodą, opłuczemy pod bieżącą zimną wodą i wysuszymy w ścierce. Następnie rozkroimy wzdłuż na dwie połowy i te pokroimy poprzecznie na paski szerokości około 2 cm. Na kawałki ryby naniesiemy warstewkę czosnku roztartego ze solą i zostawimy, niech poleży około pół godziny. W tym czasie przemieszamy parę razy. Po czym obtoczymy w mące zmieszanej z papryką (obu gatunków - w wyżej podanym stosunku). Krótko obsmażymy ze wszystkich stron na mocno rozgrzanym oleju. Podajemy z chlebem.



Przepis z książki Franciszka Bałona OPOWIADANIA O NASZYM GOTOWANIU, która jest jeszcze do nabycia w redakcji Zwrotu.

Fot. FRANCISZEK BAŁON

AUTORYTET

Starzec rozsiadł się wygodnie na ławce i skinął na chłopca, aby usiadł przy nim. Chłopak usiadł nieśmiało i zaczął machać nogami. Starzec pociągnął leniwie z butelki piwa i zaczął splatać monolog, a koło niego unosiła się aura mądrości i długoletniego alkoholizmu.

„...słuchaj, mały, jeżeli ktokolwiek będzie ci coś bujał o autorytecie, to wyślij do niego słodkie au revoir i zmykaj, gdzie pieprz rośnie. Nie dawaj sobie prać mózgu przez byle kogo, a autorytet jest ulubionym słówkiem ludzi, którzy dążą właśnie do kruszenia cudzych umysłów i lepienia ich na nowo po swojemu. Gdy stracą już wszelkie argumenty, wymienią nazwisko jakiejś znanej i poważanej osoby i oślepią twoją rozwagę jej autorytetem. *Wiesz, ten-a-ten naukowiec tak uważa, ten-a-ten pisarz tak myśli* itp. Niektórzy są zdolni wmawiać ludziom, że dwa i dwa to sześć. Społeczeństwo jest dżunglą, musisz uważać na każdym kroku, bo zostaniesz rozszarpany jak mysz. Ludzie z autorytetem kroczą przez tę dżunglę jak na szczudłach, a u ich stóp pełzną setki ludzi otumanionych ich blaskiem, krążą wokół nich jak ćmy wokół świecy, by spalić swe wątłe skrzydła, na których mogli przecież dolecieć tak wysoko. Strzeż się, mój motylu, zdradzieckiego światła".

Starzec spojrzał na chłopca; ten przerzucał w dłoniach mały kamyk, nie zwracając wcale uwagi na starca. Stary pijus pokiwał głową z niedowierzaniem i przytknął usta do butelki. Piwo zabulgotało i spłynęło w kilku kroplach po brodzie pokrytej trzydniowym zarostem. Starzec przetarł oczy i zaczął mówić na nowo.

„Mam swoje doświadczenie. Wcale nie wiesz, co ci grozi. Demagogia nie zna zasad moralnych. Autorytet jest dla niej koniem trojańskim, w którego brzuchu podsuwa ci prosto pod noc śmierć i zepsucie. Hitler odwoływał się do Nietzschego, komuniści do Marxa. Gdyby niektórzy filozofowie wiedzieli, jaki skutek będzie miało kilka ich teoretycznych rozważań i myśli, na pewno woleliby siedzieć w domu i czytać komiksy. Z autorytetem wiąże się bowiem ogromne niebezpieczeństwo. Im bardziej dany człowiek staje się sławny, tym bardziej musi uważać na każde słowo, które chce wypowiedzieć. A w ogóle najlepiej by było, gdyby trzymał gębę na kłódkę i wcale się nie odzywał. Nie doprowadzi do nieszczęścia, o. Ja mogę gadać od rana do wieczora i nikomu nie zaszkodzę, bo jakiż to ja mogę mieć autorytet.

Człowiek jest z natury bardzo tępym i ufnym zwierzęciem. Dlaczego właśnie taki ociężały wór flaków został obdarzony mózgiem umożliwiającym

konstruowanie wymyślnych urządzeń służących do zsyłania innych istot prosto w otwarte czeluści piekieł? Dlaczego właśnie nas dotknęło to przekleństwo inteligencji, które skazuje nas na wzajemne podstępy, kłamstwa i zbrodnie? Słuchasz mnie?"

„Mhm" - zamruczał chłopak i rzucił kamykiem we wróbla skaczącego po drugiej stronie chodnika.

„Bo to jest ten paradoks. Nieszczęśliwa kombinacja inteligencji i tępoty. Nie słuchaj autorytetów, które ktoś ci wciska. Sam sobie wybierz. O to chodzi".

Chłopak westchnął, przechylił głowę ma bok i spojrzał na starca:

„Mogę już iść, sze pana? Bo jeść mi się chce. A tak w ogóle pana nie znam..."

„A spadaj, smarkaczu!" - warknął starzec - „Łajzo niewdzięczna. Spieprzaj do domu i wypchaj bandziur po sam wierzch. Chciało się staremu człowiekowi trochę rad przekazać i masz ci zapłatę..."

Chłopak przestraszony zeskoczył szybko z ławeczki i znikł za zakrętem małej dróżki, która powoli pogrążała się w sytej szarości letniego wieczora. Starzec warknął i potrząsnął głową.

„A tak w ogóle to jedynym autorytetem jesteś dla mnie ty, kochanie".

Ucałował pustą butelkę, zwinął się w kłębek na starej ławeczce i zasnął snem sprawiedliwych.

DAREK JEDZOK



Fot. FRANCISZEK BAŁON

DOMINIKA CHYC

TRZECIA PORA ROKU

Nadeszły wieczory smutku jesiennego,
Płacze jarzębiny rubinowa kolia,
Trzecią część koncertu mistrza Vivaldiego
Zagrała na skrzypcach cicha melancholia.
Gdzieś w parku gawrony jak co roku będą
Czernią kryć koronę zgarbionego klonu,
Małe starsze panie pachnące lawendą
Biegną w barwnych chustkach na wezwanie dzwonu.
W radiu można jazzu słuchać wciąż na nowo
A w kawiarniach leją whisky lodem ściętą,
Bure, mgliste koty snują się deszczowo
Niczym duchy zmarłych wezwane na święto.
Dumna kamienica z klasycznym zwieńczeniem,
Roniąc ciepłe światło z szyb i lampy w bramie,
Przysiadła na bruku zmęczona istnieniem,
A w jej sercu ludzkie jesienne czuwanie.
Nad miastem króluje leniwy Morfeusz,
Biblioteki pełne cichego czytania,
Piątki w filharmonii, w kinie „Pan Tadeusz",
W teatrze kolejne ze sztuką spotkania.
Drzewa na Targowej wiatr już uchwyciły
W czerwienią i złotem przybrane diademy,
A u stóp ich stoją kamienne anioły,
Czerwienią i złotem kwitną chryzantemy.
Pod Kasztanami wciąż kładą się cienie,
Nie płoszą ich nawet latarnie w kałużach,
Na zamkowej wieży stary zegar drzemie,
Pobrzękują klucze u księżyca-stróża.
Zatętniły życiem samotne cmentarze,
Zapłonęły ognie nadziei i wiary,
Puszkami na datki grzechocą kwestarze,
Wiedźmy palą liście odprawiając czary.

PLATONIKA

Nie znam cię i nic nie wiem
O tobie i twoim istnieniu.
Wiem tylko, że siedzisz gdzieś w cieniu,
Pół twarzy pochylasz nad piwem.
Czy bywasz czasami szczęśliwy?
Nie musisz mi nic odpowiadać.
Nim dzień zacznie z hukiem zapadać,
Znów znikniesz, jak wtedy, na długo,
A ja będę snuć się po ziemi
I szukać cię w jesiennej mżawce
Przez tydzień, przez miesiąc, przez zawsze...
Przypadkiem i mimochodem.
Zapytasz: dlaczego: ja w zamian
Zapragnę stu wierszy o tobie,
Lecz nie mów i ja nic nie powiem -
I tak przecież ich nie zrozumiem,
Bo nie znam cię i nic nie wiem,
Podobnie jak ty, tylko patrzę.
Tak dobrze, to zawsze bezpieczniej,
Niż do krwi się prozą poranić.

Dominika Chyc urodziła się w Rzeszowie w 1978 roku, z zawodu jest hipoterapeutką, studiuje resocjalizację na Uniwersytecie Rzeszowskim, lubi poezję Gałczyńskiego, prozę Bułhakowa, czytuje współczesną literaturę grozy, wierzy w ludzi. Wiersze pochodzą z tomiku „Platonika" (Wydawnictwo Ad Oculos, Rzeszów 2002).

ANIELA KUPIEC

CUD?

Smutno sie dzisio zapowiadała Wilija. Dłógo już oczekiwano przez dziecka stanęła wietrzno, zachmurzóno i zimno. Mróz sie wciskoł przez kaj jaką szpare do dómu, a gnany przez wiater niemożliwie dolazowoł wszystkimu i wszystkim aż za samóm skure, jak kiejsi prawili starzi. Mama cichutko wzdychała, a coby dzieckóm nie psuć radości z dzisiejszego dnia, starała sie ukryć pod bladym czołym to, co ją gryzło i żrało od trzóch tydni, jako sie dowiedziała, że Paweł, jeji chłop, a tata trójki dziecek, już nie żyje. Spadło to na nią jak gróm z jasnego nieba. Wojna sie już w maju skóńczyła, a óna czakała i czakała, a Paweł wywieziony przed trzyma rokami na roboty do Niemiec nie przichodził. Już ji to było aji kapke dziwne, ale ani po cichu se nie pomyślała, że by móg nie żyć. Cosi sie tam mało nie wiela słyszało, że w Linzu, kaj go wywiyźli, były straszne bómbardowania, ale dyć pisoł zgoła do końca wojny, że sie ni mo nejgorzi, że insi baji w kóncentrakach to mają gorsze, że niech sie o niego nie starają, bo kiejsi przidzie i zaś beje wszycko dobrze.

Aż naroz w jednóm niedziele zjawił sie u nich jakisi chłop z tóm strasznóm wieścią. Opowiadoł, że był cały czas z Pawłym w jednym baraku, że sie dobrze rozumieli i kamracili, ale przi ostatnim bómbardowaniu, kiere było z wszystkich nejstraszniejsze, sie Paweł stracił i nejprawdopodobnij nic z niego nie zbyło. Ci, co przeżyli, zbiyrali potym rannych i zabitych, ale o nim żodyn nic nie mówił.

– Tóż jo wóm, niestety zły poseł, przisżeł o tym opowiedzieć i przyniós żech wóm jego listy, coście mu posyłali, waszóm fotografie, kieróm mioł we swoi szuflodzie, a łutujym, że uciekoł z wszystkimi w stróne lasa, bo nasz barak jakimsi cudym nie zgorzoł. Dyby to człowiek wiedzioł, to by wszycko mógło być inaczyj. Piekło, kiere sie tam rozpętało, było tak straszne, że to ani nie idzie opowiedzieć. Jo mioł wtedy nocną szychte, nie starczył żech już uciyc przi alarmie, jyny wloz żech pod maszyne, a jak sie dach zawalił, toch pięć dni był pod tą maszyną, niż mnie wyciągli, alech przeżył. Je mi gorzko, żech wóm te

złóm nowine musioł przyniyść, ale sumiyni mi nie dało spokoju, bo se myślę, że Paweł by chcioł, abyście to wiedzieli. Przeboczcie.

Na chwilke jeszcze posiedzioł, a potym prawił:

- Na już pujdę, bo was nie umiym pocieszyć i choć żech je chłop, też sie mi na płacz zbiyro.

I poszeł. Z tego dziwu sie go zapómnieli spytać, jako sie nazywo albo skąd je, ale z rzeczy było znać, że je skądsi tam z Górnego Śląska, bo sie mu powiedziało, że „bez tyn czas był przez wody".

A Paweł ciężko ranny w brzuch dostoł sie do szpitola, kaj przeleżoł trzi miesiące. W międzyczasie sie wojna skóńczyła, a ón w jakimsi amerykańskim lagrze z inszymi robotnikami czakoł, aż ich zwolnią i rozwiezą do dómu. Ale óni nie chcieli tu w ty stróny ludzi rozwożać. Rozmaicie ich straszyli i rozmowali, ale Paweł jako zwykły chłop z Cieszyńskigo nie lecioł na obiecanki o tamtym raju, o wielkich zorobkach, o ogrómnej fortunie, jako na nich czako kansi na obczyźnie, jyny chcioł iść do swoigo dómu, choćby biydnego i ubogigo, ale przeca jyny do dómu. I tak musioł czakać dość dłógo, aż sie nazbiyrało dość ludzi, kierzi chcą jechać w stróne Polski. Wreszcie naszeł sie taki pociąg, co jechoł na wschód. Na tyn cug sie mu udało dostać i szczęśliwy, choć zbiydzóny i zchorowany jechoł do swoich. Już sie w duchu radowoł, że zaś uwidzi swoje dzieci, małżónke i gory, kiere tak strasznie od malutka mioł rod, między kierymi sie wychowoł i wyrós. Jechali tak trzi dni. Pociąg dyszoł i fuczoł, przistowoł roz w polach, roz na dworcach, aby wody nabrać, to maszynista kansi odeszeł, a tu sie Gody zbliżały i Paweł mioł niemały strach, że sie już na święta nie dostanie do dómu. A tak sie cieszył, tak sie cieszył...

Wreszcie dojechali do Bogumina. Było wczas rano. Była Wilija. Wysiod na dworcu i tu sie dowiedzioł, że Bogumin też bómbardowali, że cugi strasznie mało jeżdżą, że następny jedzie aż jutro rano. Co teraz zrobić? Ani auta żodne nie jeżdżą, gor we Wilije. Słaby był jeszcze po ciężki chorobie, ale ni móg tu czakać przeca do jutra. Postanowił iść pieszo. Porachowoł tak w myśli, że w prostej lyniji do dómu było tych cztyrycet kilometrów, możne o kapke więcyj. To musi dorosły człowiek - stary wojok - jakosi zmóc. Już sie zaczynało widnić. Z pomocą Bożą i dobrych ludzi jakosi dóndym - pomyśloł - i doł sie do chodnika. Szeł dość dłógo, aji sie mu zdało, że dość prędko. Obchodzić jednako musioł niesprawióne jeszcze cesty, przez cofające sie wojska zniszczóne mosty. Już sie ani nie oglądoł za żodnymi sklepami, coby se kupić cosi zjeść, jyny zmierzoł przed siebie ku górom, ku dómu. Śniyg za-

czył bardżyj padać, a mróz był taki, że aż dziurki w nosie zamarzowały. Źle go chrónił biydny kabociczek, ale ón szeł i szeł. Coby mi jyny bóty wydzierżały, prawił sóm do siebie. Mało spotykoł ludzi, Ale przed samóm Karwinóm jakisi furmón z poróm kóni przibroł go na wóz i szwarny kąsek podwióz za miasto. Ale zaczęło mu być na wozie na dobrze zima. Trząs sie cały, zębami mu szczękało i nie było inszego wychodziska, jyny za radóm furmana ześlyźć z wozu. Myśloł, że już bedzie kole połednia, bo kansi zwóny zwóniły. Zygarka ni mioł, tóż od jaksigo chłopa sie dowiedzioł. że dziepro je dziesięć godzin. Był tymu aji kapke rod, choć już był niemało utropióny. Pomyśloł, że więcyj czasu jeszcze je do wieczora i że mu to jakosi na wilijowy wieczór wyndzie. Szak już szeł pięć godzin. Nogi mu coroz bardżyj ciążały, fujawica sie coroz bardżyj piekliła, a ón cały ośnieżóny szeł i szeł. Coby jyny ku Trzyńcu, coby ku Trzyńcu sie dostać, toby już było blisko dómu. Potym to weznym prosto przez pola i bedzie już i ciepło i miło i dobrze, medytowoł i szeł dalij. Nie wiy, jak dłógo ludzi prawie nie spotykoł, bo w takóm pogode ani psa wygnać, gdóż by też kaj chodził. Wiater sie zmogoł, robił zomięty, już ani nie było widać, kaj je cesta, a kany przikopa. Pore razy sie przewrócił, ale stanył i zaś kroczoł, ale coroz pumalij i pumalij. W głowie mu hóczało, a po kielasi godzinach ani nie wiy, kiedy minył Trzyniec. Puścił sie prosto przez pola, jako umyślił, jyny nie przewidzioł, że siły go jedyn roz opuszczóm. Polami zaśnieżónymi, zomiętami ponad pas chodnik sie wydłóżoł, a tu sie coroz bardżyj ćmiło. W chałupach, kiere były tam na dole, zaczyły blyskać światła, a Pawła ogarniała coroz gęściejszo ćma. Wiater fujoł, śniyg sie mu wszędzi wdziyroł, do kapes, za kragiel, pod mycke, do bótów, ale to nic. Do dómu już isto blisko, blisko. Naroz strasznie zesłabnył i zachciało sie mu norymnie spać. Siod na chwilke, kolana objył rękami i chcioł sie choć na chwiliczke zdrzymnyć. Rozum mu mówił, że trzeba iść, jeszcze iść, ale ni móg. Posiedzioł tak na chwile, posłóchoł, jako wiater wyje i we ćmie dozdrził, że je pod ogrómną brzozą, co stoła na kępie tak z dziesięć minut od chałupy. Kamyń spod mu ze serca, stanył, ale nogi mu odmówiły posłószyństwa i zaś zpatki siod do śniega z myślą, że już je blisko i że teraz se może naprowde kapeczke zdrzymnyć, że coby mu siły przibyło. Teraz już naisto na Wilije bedzie dóma - dyby jyny nie było takigo wiatru i tak straszliwie zima. Skyrczył sie jeszcze bardżyj i zostoł siedzieć na poły zasuty śniegym z myślami o Wiliji, o dzieckach i Jewce, dobrej swojij żónie.

Tymczasym dóma wszystko sie gotowało ku wieczerzi, ku tej cudownej, w całym roku nejuroczystszej chwili, kiedy to ludzie są jacysi insi, lepsi, kie-

dy to je tak, jakoby jakisi nadzwyczajne światło świyciło ludziom tam skądsikej, z postrzodka od serca. Ale mama Jewka powiedziała dzieciom, że dzisio bedóm mieć Wilije skrómniejszóm, że nie zapolóm choinki, że wystarczy, jak se bedzie stoć tako skrómno i nie ozdobióno tam w kącie. Zesuły sie na nióm pytania, czymu, czymu i czymu. A Jewka odpowiedziała, że ni ma tatusia i tymu. - Dyć już trzi razy była Wilija bez taty, a dycki była choinka, gdosi odpowiedzioł. Kroło sie serce Jewce, jak musiała tłumaczyć dzieciom, że tym razym go naprowde ni ma, że umrził i żeby sie ani nie cieszyli, choćby było jako kiejsi. Przestały sie dzieci dopóminać, ale legło cosi ciężkigo na całóm izbe, na wszystki serca i gębulki, przed chwilą taki uradowane i szczęśliwe. Pumalutku rychtowali wszycko ku wieczerzi. Nakrywali stół biołym serwetym, dali świyczke, przyniyśli kancynoły, potym nosili po kapce cosi do jedzynio. Nie było tym razym wszyckigo jako dycki, ale był cały chlyb, masło i miód, opłatki i orzechi nazbiyrane w lesie, po jabku i posłodzóno herbata. Dycki była kiejsi zupa i jakisi mięso, kapusta ze ziymiokami, jakisi sałot, dobre ciasto i był pełny stół. A dzisio? Talyrzi ani nie było trzeba. Skrómnie, bo skrómnie, ale dóma, kany jest ciepło i cicho. Fujawica za oknami ich niewiela obchodziła, choć tak szalała, jakby przijechała prosto z piekła.

Jak już było wszystko przigotowane, siedli ku stołu, rozświycili świyczke, wziyli kancynoły i zaśpiywali te cudownóm pieśniczke, co mo numero 146. Mama Jewka strasznie sie musiała dzierżeć, aby sie nie rozpłakać. Nie chciała wyglądać bardzo smutno, ale dzieci to czuły i pieśniczki stołowe dycki śpiywane we Wilije se niechali po wieczerzi, bo sie im zdało, że przi jedzyniu sie zrobi troche wiesielszy, a potym to już pujdzie wszystko gładko. Gdo dzisio bedzie zmawioł modlitwe? - pyto sie mama dziecek. Sama se nie wierziła, że sie przi tym nie rozpłacze. Podziwali sie wszycy na siebie, a postrzedni Janiczek, ośmioletni, co nigdy nie zapómnioł języka w gębie, przigłosił sie dobrowolnie.

Wszycy wstali poważni, złożyli pokornie ręce, a Janek zaczył:

- Panie Jezu, Jezusku, coś zaś je dzisio malutki, proszym cie bardzo, wróć nóm jeszcze tatusia, proszym cie, wróć nóm tate, coby mamuśka nie musiała tela płakać, coby my zaś mieli pełny stół, proszym cie, Jezusineczku malutki, wróć nóm jeszcze tate, proszym, bo wiym, że ty to możesz zrobić, jo wiym, że ty możesz, jo wiym, my wszycy wiymy, ty możesz, jo wiym, jo tak strasznie wiym... - i tu sie głośno rozpłakoł. Ze dwa razy powtórzył jeszcze: jo wiym, że możesz, jo wiym... Wszycy płakali. A Jewka z rozpaczą myśla-

ła, czy też aby dobrze zrobiła, że dzieci tak uczyła i co teraz sie stanie, dy prośba, kiero ni może być spełnióno, zachwieje wiare tego dziecka, wiare, kiero nazywała sie po dziecięcymu „jo wiym, jo wiym, jo tak strasznie wiym".

Tymczasym Paweł ledwo żywy siedzioł skyrczóny w zomięcie na poły zmarznióny, już niedaleko dómu, a ni móg sie ani ruszyć. Zdało sie mu, że sie sujóm na niego jakisi gwiozdy i iskry, co go niemiłosiernie dziubióm po rękach, po gębie, po nogach i po całym ciele, a było ich tak kupe, tysiące, co tysiące, miliony chyba. Na pół przitómny próbowoł walczyć z nimi, odganiać, ale nie poradził dobrze ruszać rękami, ku tymu wiater hóczoł i przigaoł gwiozd coroz więcyj, że w kóńcu zrezygnowoł z tej nierownej walki. Chciało sie mu straszliwie spać, ale wyjący tysiącym głosów wiater na to nie chcioł pozwolić. Naroz sie cosi stało. Wiater w jednej sekundzie ucichnył tak, że aż ta cisza, śmiertelno cisza, w uszach bolała i była wręcz nieprawdopodobno. Po małej chwilce jakisi dziwne ciepło chuchło na Pawła, ciepło taki, jakim kiejsi mama chuchała mu na ręczyczki, jak go oziąbało. Paweł niezmiernie zdziwióny próbowoł zebrać myśli. Co by to mógło być? Ciepło, taki miłe ciepło... A ta cisza... Naroz sie strasznie złęk. Nale, mój Boże, dyć jo isto umiyróm. Starzik mi opowiadali, że jak gdosi umiyro w mrozie, to mu wcale ni ma zima, jyny czuje ciepło. Mój Boże, tego im ni mogę zrobić, że bych umrził kąsek od chałupy. Muszę, muszę iść! Chcioł, ale ni móg. Szarpoł sobą, nejprzód po piesku, po jakimsi czasie po kolanach, a „muszym, muszym" kołowało mu w głowie. Jak sie kapke rozeszeł, to już pumalutku po nogach i tak aż sie dowlyk ku samej chałpie.

A tam dóma jedli pumalutku, co mieli przigotowane. Dzieci se opowiadały o tym, że w szkole na gwiazdce dostali po małej sztrucli i po dziesięć bómbónów zapakowane w paczkach, kiere se niechali pod choinke i o tela to było lepsze i ciekawsze. Jak już było po wieczerzi, zmówili głośno „Ojcze nasz" i zaśpiywali dwie pieśniczki stołowe, a potym myśleli posłóchać mamy, bo im obiecała opowiedzieć cosi o swoich młodych czasach, jako była na rozmaitych słóżbach, na kierych sie źle miywała, co sie wtedy na święta jodało itd. Naroz rozległo sie słabe kupkani na dwiyrze. Mama piyrszo odważnie szła otwiyrać. Do siyni sie wtoczyło cosi jako śniegowy bałwan, aż sie go wszycy złękli. Ale za chwiliczke skoczyli ku niymu z okrzikami radości. Tata, tata, tatusiek! Szczęścio było coniemiara, a Wilija nejpiekniejszo ze wszystkich Wiliji przeciągła sie dłógo do nocy. Pamiętają o nij już dłógi roki, a Janek z cichą dumą w duchu i w sercu bedzie pamiętoł na dycki.



XII MIĘDZYNARODOWA JESIEŃ LITERACKA POGÓRZA

Przyznam się, że od dawna nie uczestniczyłem w tak udanej imprezie literackiej. Nie miała ona nic wspólnego z tzw. „spędami literatów", z przysłowiowymi wycieczkami krajoznawczo-turystycznymi „ludzi piszących", jak nazywają sami siebie często literaci-satyrycy...

Wyruszyliśmy na Międzynarodową Jesień Literacką samochodem sprzed czeskocieszyńskiego hotelu Piast w trójkę: Michał Bukowski, Libor Martinek i ja. Michał spędził już za kierownicą szmat czasu, bo przyjechał po nas z Wiednia. Podróż samochodem - to był jeden z warunków mojego wyjazdu do Kąśnej Dolnej, czyli do Dworku Paderewskiego, gdzie organizatorzy stworzyli bazę dla uczestników Jesieni Literackiej Pogórza.

Wieczorem Michał zaparkował swój krążownik szos przed wejściem do Domu Pracy Twórczej, który znajduje się właśnie w przepięknie urządzo-

nym Dworku I. J. Paderewskiego (patrz: widokówka). To był dzień przyjazdu, czyli 23 września br.

Poeta i kawaler Orderu Uśmiechu Andrzej Grabowski zaprosił mnie do udziału w tym święcie poetyckim nie po raz pierwszy, ale jakoś nigdy przedtem nie jeździłem do niego... Niektórzy z literatów byli już na miejscu: Roma Alvarado-Łaguniok, Józef Baran z Krakowa, Nikos Chadzinikolau z Poznania, Henryk Cyganik z Krakowa, Andrzej Dębkowski z Zelowa, Jan Dydusiak - polski literat z Australii, Hatif Janabi - Irakijczyk mieszkający w Warszawie, Jurek Fryckowski z Iławy, Lech Konopiński - nestor polskich satyryków - z Poznania, Romek Mieczkowski z Wilna, Andrzej Żmuda z Rzeszowa. Czekano jeszcze na przyjazd Ryszarda Rodzika z Wieliczki i Elżbiety Smoczyńskiej z Nowego Miasta Lubelskiego oraz Andrzeja Grabowskiego z pobliskich Ciężkowic. Andrzej był dyrektorem Międzynarodowej Jesieni.

WTOREK - DZIEŃ BRZESKI

Od rana pada deszcz i jest zimno. Przy śniadaniu odszukałem znajomych i przyjaciół, gorączkowo wymieniamy najnowsze informacje, wrażenia i zwierzenia. Józek Baran pyta, czy pamiętam jego ostatni pobyt w Czeskim Cieszynie, kiedy w Formance piliśmy piwo i śpiewali pieśni. Stanęło na tym, że obaj to zapamiętaliśmy dobrze... ale teraz już piwa nie pijam, a i ze śpiewem coś tam kruchawo... Pytam jeszcze Józefa Barana o Adama Ziemianina, który był z nami wtedy również w Czeskim Cieszynie, a miał być również tu na miejscu. Nie przyjedzie z powodu choroby... Nikos opowiada mi o wycieczce do Grecji i pyta, czy przyjadę na Listopad Poezji do Poznania. Niestety nie będę mógł przyjechać. Już nie to zdrowie.

Jeszcze szybkie i serdeczne przywitanie się z Hatifem. Nie widzieliśmy się od kilku lat i wcale nie czujemy upływu czasu. Umawiamy się na wieczór, bo wiem, że wrócił z Damaszku, gdzie wygłosił odczyt na uniwersytecie i ma wiele do powiedzenia, obiecał mi dać wywiad dla naszego ZWROTU.

Andrzej Grabowski wtyka w łapę każdemu z nas „plan spotkań autorskich" na dzień dzisiejszy. Jakie to piękne i tajemnicze nazwy miejscowości: Zakliczyn, Szczurowa, Czchów, Brzesko. Jadę do Czchowa z Józefem Baranem, Hatifem Janabim i Ryszardem Rodzikiem, poetą i redaktorem radia z Wieliczki... Czeka nas sala młodzieży wypełniona po brzegi, jest prezydent miasta, grono profesorskie, wspaniałe nastawienie uczniów... Po spotkaniach autorskich przyjęcie w bibliotece, a wieczorem Koncert Poetycki w Brzeskim Domu Kultury. Koncert prowadzi A. Grabowski, śpiewa orkiestra Ostatnia Wieczerza w Karczmie Przeznaczonej do Rozbiórki. Wykonują wspaniale teksty poetyckie oraz ballady. Koncert poetycki jest oczywiście połączony z kiermaszem książki, na którym poeci podpisują swoje tomiki. Kolejka wije się jak syczący wąż...

Cała impreza jest objęta wieloma patronatami, na sali władze miast i przedstawiciele samorządów regionalnych. Z lekkim sentymentem myślę o tym naszym Zaolziu, a moje odczucia są ambiwalentne. Ten głód słowa poetyckiego na całym Pogórzu jest dla nas wszystkich zaskoczeniem.

ŚRODA - DZIEŃ RZESZOWSKI

I znowu miejscowości o przepięknych nazwach: Pustków, Kolbuszowa, Tyczyn, Głogów. Tym razem jadę do Tyczyna z Henrykiem Cyganikiem, Józefem Baranem, Nikosem, Andrzejem Dębkowskim i Hatifem Janabim.

Atmosfera wokół Jesieni Literackiej Pogórza jest nadal pełna przychylności społecznej dla literatów. Andrzej Grabowski musiał się nieźle napracować, by stworzyć tak fantastyczną aurę. Wszystko jest nastawione na rozbudzanie wrażliwości młodzieży i dorosłych. Wieczorem Koncert Poetycki w Wojewódzkim Domu Kultury. Podpisujemy swoje książki, czytamy wiersze, gra orkiestra Ostatnia Wieczerza, przemówienia, kwiaty i brawa. W Tyczynie poeta, pisarz i edytor przedstawia nam debiutantkę, której tomik „Platonika" wydał niedawno w swoim rzeszowskim wydawnictwie Ad Oculos, Dominikę Chyc. Piękne wiersze pełne liryki. Prezentujemy je w niniejszym ZWROCIE.

Chociaż pogoda nie rozpieszcza nas specjalnie, wszyscy czujemy się tu wspaniale. Powstały prawie rodzinne więzi, przecież większość z nas poznała się już kilka lat temu na podobnych imprezach literackich w Polsce. Na noc wracamy ponownie do bazy w Dworku Paderewskiego. Tym razem Andrzej Dębkowski przekazuje mi numer Gazety Kulturalnej, w której od dwu lat prowadzę stały felieton „Listy Rencisty" - to już 28. odcinek tych listów, omawiających ważniejsze sprawy środowiska literackiego na Zaolziu i nie tylko... także sprawy związane z Gminą Pisarzy, przekładami literatury polskiej na czeski i odwrotnie.

Jednak Międzynarodowa Jesień Pogórza posiada swoje specyficzne znamię: Jest po prostu „Po lepszej stronie życia". Dyrektor Jesieni Andrzej Grabowski powtarza tę maksymę przy każdej nadarzającej się okazji „Być po lepszej stronie życia"!

CZWARTEK - DZIEŃ STRZYŻOWSKI

Tym razem rozjazdy do Lubeni, Czudca, Strzyżowa... Miałem okazję poznać nestora polskich satyryków - Lecha Konopińskiego - autora licznych książek dla młodzieży, wielu tekstów do piosenek, które śpiewali między innymi Anna Jantar, Krzysztof Krawczyk, Eleni, Natalia Kukulska i inni.

DZIEŃ GRYBOWSKI - PIĄTEK - 27 IX

Stróże, Ptaszkowa, Stary Sącz, Florynka, Moszczenica, Ropa... Wyjeżdżam do Ropy razem z Romą Alvarado-Łaguniok oraz Andrzejem Grabowskim i Elą Smoczyńską. W czasie podróży rozmawiamy w samochodzie... A więc to już dzisiaj wieczorem w Dworku Paderewskiego Wielka Biesiada Literacka na zakończenie XII Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogórza. Kolejny Koncert Poetycki przed kamerami TVP. Ale jeszcze przedtem spotkanie autorskie z gimnazjalistami w Ropie. Potem obiad, na który zaprosił nas dyrektor gimnazjum i wójt gminy w jednej

osobie. Z Ropy niespełna 20 km do granicy ze Słowacją. To właśnie na tym terenie żyją Łemkowie. Jak się dowiadujemy - również podzieleni... na Łemków o wschodniej i zachodniej orientacji... Przypomina mi to nasz podział na PZKO i Radę Polaków... tylko że w naszym wypadku chodzi o coś zupełnie innego.

Na sali było prawie 400 słuchaczy. A jakie skupienie, jaka koncentracja i prawie namacalny głód poetycki...

Na wieczorny koncert do Dworku Paderewskiego zjechało wielu ludzi z całego Pogórza. Niektórzy samochodami, inni autokarami. Jest wojewoda, prezydenci miast i starostowie gmin. W koncercie poetyckim bierze udział także młody narybek literacki przy Domu Kultury w Strzyżowie i Klubu Młodych Autorów z Tarnowa (Katarzyna Odbierzychleb, Sylwia Piechówka, Kamila Płoskoń, Anna Sznajder, Mateusz Szyszka, Tomasz Gwiszcz, Beata Firlej, Rafał Żarski...) Całość prowadzi, rzecz jasna, Andrzej Grabowski. Zastanawiam się, skąd w tak niepozornym człowieku (jest mniejszy ode mnie) bierze się tyle energii, zapału, poświęcenia i dobrej woli.

Tak, to już koniec tej wielkiej imprezy literackiej. Po koncercie Lech Konopiński wpisał mi do tomiku aforyzmów (777 aforyzmów - 777 aphorismen) następującą fraszkę: *Lech Konopiński - poznański szelma - garść złotych myśli ma dla Wilhelma... Niechaj je przyjmie Mistrz Wilhelm Przeczek, który rozumie myśli człowiecze, Kąśna, 27 IX 2002 r.*

POWRÓT - 28 października - Michał Bukowski z Wiednia odwozi mnie do Cieszyna. Czytam w samochodzie almanach „Łowcy metafor", który wydano w Tarnowie. Znajduję tu biogramy i wiersze tych wszystkich przyjaciół, którzy byli na Jesieni Pogórza: J. Baran, M. Bukowski, N. Chadzinikolau, H. Cyganik, J. Dydusiak, H. Janabi, A. Dębkowski, A. Grabowski, L. Martinek, R. Mieczkowski... oraz niżej podpisany -

WILHELM PRZECZEK

LAURY ZIEMI CIESZYŃSKIEJ



Fot. ROMAN CHOWANIEC

Tradycyjnie 11 listopada Związek Komunalny Ziemi Cieszyńskiej organizuje „Uroczystą Sesję Rad Gmin Ziemi Cieszyńskiej", na której osoby szczególnie zasłużone dla gmin zostaną uhonorowane laurami Ziemi Cieszyńskiej: Srebrną oraz Honorową Złotą Cieszynianką. Laury Ziemi Cieszyńskiej to inicjatywa Związku Komunalnego Ziemi Cieszyńskiej. Od roku 1997 samorządy Ziemi Cieszyńskiej wyłaniają spośród swoich mieszkańców osoby, które zasłużyły się w szczególny sposób dla społeczności, w której działają, tzn. wniosły nowe pozytywne wartości lub były na tyle nowatorskie i innowacyjne, że ich działanie może zostać uznane za godne naśladowania, polecenia jako wzór dla innych. Osoby wybrane przez gminy stają się laureatami wyróżnienia pn. Srebrna Cieszynianka. Spośród tych wyróżnionych kapituła wybiera jedną osobę, której przyznaje laur Złotej Cieszynianki. Od r. 2001 przyznawany jest dodatkowo laur Honorowej Złotej Cieszynianki. Laur ten przyznawany jest przez Zgromadzenie Związku osobom, które w szczególny sposób za-

służyły się dla regionu, przy czym nie muszą mieszkać na jego terenie. Dotychczas Zgromadzenie przyznało ten laur Jerzemu Buzkowi – premierowi RP i Janowi Olbrychtowi – marszałkowi województwa śląskiego. W tym roku laur Złotej Cieszynianki otrzymał prof. dr hab. Daniel Kadłubiec za: działalność społeczną, folklorystyczną i językoznawczą na terenie całego Śląska Cieszyńskiego, za założenie w Uniwersytecie Ostrawskim pierwszej w Czechosłowacji samodzielnej katedry polonistyki oraz kierowanie i utworzenie Instytutu Badań Etnikum Polskiego, którego celem jest naukowa penetracja polskiej mniejszości narodowej na Zaolziu, kierowanie katedrą folklorystyki ogólnej i stosowanej – rozwijającej wiele inicjatyw na rzecz Śląska Cieszyńskiego przy Filii UŚ w Cieszynie, podjęcie inicjatywy organizowania od 2000 r. Sesji Hadynowskich oraz za wkład naukowy (ok. 600 prac – w tym 12 książkowych).

RADA POLONII ŚWIATA

Polonia na całym świecie liczy ok. 15 mln. osób polskiego pochodzenia. Na całym świecie istnieje ok. 3 tys. organizacji polonijnych. W większości krajów istnieją centralne organizacje polonijne (jak np. Kongres Polaków w RC czy Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie) i one należą do Rady Polonii Świata obok organizacji polonijnych o zasięgu międzynarodowym (jak np. Europejska Unia Wspólnot Polonijnych czy Unia Stowarzyszeń i Organizacji Polonijnych Ameryki Łacińskiej). Wybór nowych władz oraz przygotowanie i opracowanie nowego programu Rady Polonii Świata były celem trzydniowego spotkania (z udziałem naszych przedstawicieli) pod koniec września br. w Domu Polonii w Pułtusku. Jednogłośnie nowym prezesem Rady Polonii Świata został Les Kuczyński, dyrektor wykonawczy Kongresu Polonii Amerykańskiej. Jednogłośnie zatwierdzono statut Rady Polonii Świata. Zadaniem Rady, jako organu współpracy zorganizowanej Polonii, jest m.in. współpraca między organizacjami członkowskimi Rady, promowanie spraw Polski i polonijnych na arenie międzynarodowej, promowanie spraw mniejszości narodowości polskiej, utrwalanie dobrego imienia Polski, Polonii i Polaków poza granicami kraju, jak również reprezentowanie organizacji zrzeszonych w Radzie Polonii Świata wobec władz RP w sprawach ogólnopolonijnych.

Rada Polonii Świata postanowiła również powołać Radę Konsultacyjną składającą się z przedstawicieli Rady Polonii Świata przy marszałku Senatu RP.

TRZEBA ZNAĆ JĘZYK SĄSIADA

W gimnazjum nr 3 w Opolu istnieje klasa, której uczniowie trzy razy w tygodniu uczą się języka czeskiego. Na pomysł, by otworzyć klasę, w której oprócz języka angielskiego można będzie uczyć się także czeskiego, wpadł dyrektor szkoły. Klasa istnieje od dwóch lat i już w pierwszym roku o przyjęcie do niej starało się czterdziestu uczniów. Ostatecznie przyjęto dwudziestu ośmiu. Teraz dyrektor szuka po czeskiej stronie szkoły, z którą gimnazjum mogłoby nawiązać kontakty, by uczniowie mieli możliwość zetknięcia się z żywym językiem i okazję do poznania swoich czeskich rówieśników.

Na razie nie ma w Opolu szkoły, w której absolwenci klasy gimnazjum z językiem czeskim mogliby dalej uczyć się tego języka, ale niebawem ma powstać klasa z językiem czeskim w liceum ekonomicznym. Planowane jest też - za dwa lata - otwarcie polsko-czeskiej szkoły wyższej.

Po co młodym opolanom znajomość czeskiego? Przede wszystkim będą mogli podjąć naukę na uczelniach wyższych w Republice Czeskiej. Poza tym Polacy uważają, że Czesi lepiej radzą sobie z bezrobociem, i właśnie w Czechach coraz częściej szukają dla siebie pracy. A o tym, że umiejętność posługiwania się językiem czeskim bardzo im to ułatwi, nie trzeba nikogo przekonywać.

NOWA POLSKA EMIGRACJA

W ciągu ostatnich dwudziestu lat wyjechało z Polski na stałe pół miliona osób. Niektórzy planowali emigrację przez całe lata, inni zdecydowali się pod wpływem impulsu prawie z dnia na dzień, jeszcze inni pojechali za granicę na jakiś czas i zostali. W latach 1981-1985 opuściło Polskę ponad 120 tysięcy osób, w latach 1986-1990 liczba ta sięgała blisko 150 tysięcy. Jednak wbrew pozorom niewiele zmieniła się sytuacja, kiedy w Polsce zapanował inny ustrój. W latach 1991-1995 wyjechało z Polski ponad 112 tysięcy osób. W ciągu następnych trzech lat liczba ta nieco zmalała, by potem ponownie wzrosnąć. I tak w roku 1999 wyemigrowało ponad 21 tysięcy Polaków, a w roku 2000 już prawie 27 tysięcy. W liczbie tej najwięcej było ludzi bardzo młodych, po kilka tysięcy trzydziestolatków, czterdziestolatków, pięćdziesięciolatków, ale na liście znalazły się także osoby w wieku emerytalnym. Gros ich, bo prawie 23 tysiące, pozostało w Europie, około 3800 osób osiedliło się w USA i Kanadzie, 180 osób wyjechało do Australii,

po kilkadziesiąt do Azji i Afryki, a po kilkanaście do Ameryki Południowej i Oceanii. Co powoduje, że tylu Polaków opuszcza swoją ojczyznę? Jako główne przyczyny emigracji podają: zły stan gospodarki polskiej, widmo bezrobocia, niskie zarobki, brak mieszkania, mała możliwość samorealizacji, brak perspektyw, ale także np. złe traktowanie w urzędach czy obawa o swe życie w związku z rosnącą przestępczością.

E.S. i C.R.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

CZY RELIGIA SPRZYJA POLSKIEJ TOŻSAMOŚCI KULTUROWEJ?

(prezentacja książki prof. Haliny Rusek z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie pt. „Religia i polskość na Zaolziu")

Tożsamość kulturowa należy do najbardziej uniwersalnych ludzkich potrzeb. Identyfikować ją można poprzez potrzeby przynależności do grupy czy środowiska i bycia akceptowanym, potrzeby bezpieczeństwa, potrzeby trwałości społecznych więzi i struktur; ich stabilności. Tożsamość jest społecznie nadawana i musi też być społecznie potwierdzana. Problem tożsamości jest wpisany w dzieje społeczności. Można jednak wskazać, że zyskuje on na aktualności w pewnych kręgach, pokoleniach, środowiskach, w okresach kulturowych kryzysów i przełomów, gdy rośnie bezwzględność walki i zmniejsza się poczucie bezpieczeństwa, kiedy świadomość identyfikacji ze społecznością swoich staje się ważnym kryterium podejmowanych przez człowieka działań społecznych i źródłem integracji jego osobowości. Tożsamość jest wyrazem orientowania się ludzi na symbole i wartości, które decydują o swoistości i odrębności własnej społeczności. W połączeniu z regionalnością jest swoistym protestem przeciwko anonimowości życia społeczeństwa masowego dążącego do zacierania różnic między ludźmi i grupami społecznymi. Wyrasta też z chęci podmiotowego i imiennego, a zarazem odpowiedzialnego naznaczenia swej obecności w życiu społecznym.

Właściwą perspektywę przeżywania tożsamości niesie widzenie personalistyczne. Człowiek jako osoba najpierw musi chcieć i umieć przyjmować siebie, drugiego człowieka, innych jako grupę: w pełni ludzkich godności, wolności, rozumności, odpowiedzialności, w postawie szacunku i miłości, ze

świadomością, że człowiek realizuje się osobowo we wspólnocie, dla drugiego szukając równocześnie wartości wyższych - prawdy, dobra, piękna (K. Olbrycht: Wychowanie przez sztukę w kształtowaniu tożsamości narodowej, w: „Tożsamość narodowa młodzieży na pograniczach", Opole 1997, s. 72). Stabilne poczucie własnej tożsamości, pozbawione kompleksów, ale i naiwnych złudzeń, wzmacnia postawę szacunku wobec tożsamości innych. Człowiekowi i społeczeństwu potrzebna jest tożsamość dająca poczucie egzystencjalnego bezpieczeństwa. Tworzą ją świadomość historii i znaczenia przeszłości, poczucie zakorzenienia i związane z nim poczucie własnej odrębności i indywidualności. Wyraża się ona poprzez pamięć zbiorową o wspólnej przeszłości tworzonej przez wydarzenia doniosłe i odświętne, a także zwyczajne i codzienne. Jest krytycznym odniesieniem wobec teraźniejszości i wzorotwórczym stosunkiem wobec budowanej przyszłości. Ugruntowuje się, będąc następstwem zachowania ciągłości wartości podstawowych, ich hierarchii, także podstawowych źródeł i treści systemów legitymizujących całokształt oczywistości społecznego świata. Nie musi oznaczać identyczności kulturowej rozciągającej się w pionowych i poziomych wymiarach struktur społecznych i przejawiającej się w identyczności typów osobowości społecznej. Sprzyja zachowaniu tożsamości sytuacja, w której dynamika rozwoju społecznego wyznaczona jest przez procesy integracji kulturowej rozumianej jako consensus, co do zasady czy zasad podstawowych, pluralistycznej jedności norm, wartości, symboli, wzorów zachowań. Zagraża tożsamości kryzys kultury, zagubienie perspektywy personalistycznej czy ideologizacja świadomości społecznej inicjowana koniunkturalnie atrakcyjnymi politycznymi interesami.

Jednym z najważniejszych czynników budowania tożsamości kulturowej jest religia i jej instytucjonalny wymiar, czyli kościół. W tradycji europejskiej jest to chrześcijaństwo i chrześcijańskie kościoły. Religia jako system wierzeń i doktryn oraz kościół jako instytucja, która wpisuje religię w praktyki życia społecznego, legitymizują świat społeczny człowieka, nadając mu sens oraz wyznaczając misję - zadanie do spełnienia. W tradycjach kulturowych Europy Środkowej religia i kościoły wyznaczały losy życiowe całych społeczności i poszczególnych jednostek. Stanowiły niejednokrotnie najważniejsze kryteria identyfikacji społecznych, podziału na swoich i obcych, pełniły rolę depozytariuszy narodowej historii i strażników jej tożsamości. Szczególne znaczenie religii i kościołów dostrzec można w obszarach pogranicza kulturowego, narodowego czy religijnego. Jak pisze w swojej książce Halina Rusek: *na wielu pograniczach etniczno-kulturowych, gdzie mamy do czynienia z konfrontacją, nieustanną rywalizacją o własny obszar kulturowy, religia jest elementem kultury uwikłanym w te konfrontacje i rywalizacje (s. 27). Przed-*

miotem swoich badań autorka czyni wzory życia religijnego Polaków zaolziańskich, poznawane w kontekście specyficznego zróżnicowania religijnego Śląska Cieszyńskiego, a szczególnie jego czeskiej części, które współcześnie wyznacza życie obok siebie wyznawców dwóch dominujących liczebnie wyznań: rzymskokatolickiego i ewangelicko-augsburskiego oraz innych wspólnot chrześcijańskich (Husyci, Bracia Czescy, Metodyści, Adwentyści Dnia Siódmego, Zielonoświątkowcy, Kościół Ewangelicko-Reformowany), jak również kulturowe wzory życia wynikające z faktu bycia Polakiem na Zaolziu - zadeklarowania poprzez polską identyfikację przynależności do tej grupy (s. 40).

Badania socjologiczne, których wyniki są podstawą analiz prezentowanych w książce, zostały przeprowadzone na Zaolziu w końcu lat dziewięćdziesiątych. Wykorzystywały one rozmaite techniki badawcze, między innymi wywiady kwestionariuszowe przeprowadzone na losowo dobranej próbie 448 osób przynależących do kościoła rzymskokatolickiego oraz ewangelicko-augsburskiego (ewangelicko-reformowanego), wywiady pogłębione z liderami polskiej społeczności, badania przypadków indywidualnych w grupach Polaków zaolziańskich. Uzupełniającą techniką badawczą była zrealizowana przez autorkę obserwacja zewnętrzna i uczestnicząca rytmów życia religijno-społecznego i kulturalnego społeczności zaolziańskiej. Mamy więc do czynienia z rozprawą socjologiczną, która dysponuje kompetentnie zaprojektowanym i rozbudowanym warsztatem metodologicznym, co wpływa w widoczny sposób na rzetelność i wysoką jakość uzyskanych rezultatów badań.

Książka składa się z sześciu rozdziałów o następujących tytułach: „Religia a tożsamość narodowa Polaków na Zaolziu", „Historyczne i społeczno-kulturowe uwarunkowania chrześcijaństwa na Zaolziu", „Polityczny kontekst chrześcijaństwa na Zaolziu", „Tożsamość narodowa Polaków zaolziańskich i jej odzwierciedlenie w kulturowych wzorach życia", „Wzory życia religijnego", „Związki aktywności społeczno-kulturowej z aktywnością religijną Polaków zaolziańskich".

Z przytoczonego spisu treści książki wyraźnie widać również, że prof. Halina Rusek nie ograniczyła się w swojej książce wyłącznie do rejestracji współczesnych wzorów życia religijno-społecznego polskich mieszkańców Zaolzia. Sięga w naukowych dociekaniach również głęboko w historyczne dzieje tej ziemi, ich uwarunkowania polityczne i stosunki narodowościowe.

Zarówno empiryczne badania socjologiczne, jak i głęboka analiza procesów historycznych pozwoliły autorce na sformułowanie dobrze uzasadnionego wniosku, że *Polacy na Zaolziu zachowali polską tożsamość, choć różne są jej odcienie w różnych wzorach życia. **Jednak silniejszą polską tożsamość, wyrażającą się w sposobie myślenia i zachowaniach, wykazują osoby w różny sposób zaangażowane w życie religijne*** (s.241). /podkr.WŚ/

Książka prof. Haliny Rusek jest znakomitym dokumentem socjologicznym współczesnych procesów kształtowania się i przemian tożsamości kulturowej polskich mieszkańców Zaolzia. Pokazuje historycznie ukształtowane i współczesne czynniki, które tę tożsamość podtrzymują i jej sprzyjają, ale także i te uwarunkowania oraz okoliczności, które zagrażają polskiej substancji narodowej. Mimo, że utrzymana w ścisłych i najwyższych standardach naukowych, napisana jest prostym i komunikatywnym językiem, łatwo dostępnym także dla „nieprofesjonalistów".

Adresatem książki jest więc w rzeczywistości szeroki krąg czytelników, a zwłaszcza działaczy oświatowych i kulturalnych, religijnych i narodowych. Warto z tej książki czerpać wiedzę i uczynić ją przedmiotem refleksji na zebraniach stowarzyszeń i organizacji, a zawarte w niej przemyślenia uwzględniać w wyznaczaniu kierunku działalności instytucji, organizacji i stowarzyszeń, które stawiają sobie za cel troskę o tożsamość kulturową Polaków mieszkających na Zaolziu.

prof. dr hab. WOJCIECH ŚWIĄTKIEWICZ

PO IV KONKURSIE ZNAJOMOŚCI GWARY NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

Nie trudno zauważyć, iż gwara, którą posługujemy się na co dzień, umiera na naszych oczach. Jest zachwaszczona różnymi obcymi wyrazami i zupełnie niepodobna do języka naszych przodków. Są jednak ludzie, którzy uświadomili sobie, iż to, co otrzymaliśmy w darze od naszych przodków, trzeba przekazać pokoleniom, które przyjdą po nas. Z troski o stan gwary na Śląsku Cieszyńskim, z chęci ratowania jej przed zapomnieniem i z potrzeby archiwacji używanego jeszcze słownictwa wymyślono Konkurs Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim.

Pierwsze współzawodnictwo w gwarze odbyło się z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Skoczowa w 1996 roku. Aby pomysłodawcy mogli podołać swemu przedsięwzięciu, poprosili o pomoc Macierz Ziemi Cieszyńskiej i Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w RC. Co dwa lata, jako pokłosie konkursu, wydawane są zbiory najciekawszych opowiadań nagrodzonych w poszczególnych edycjach, które uzupełniają literaturę gwarową. Są one też pomocne przy redagowaniu słowników gwarowych opracowywanych przez językoznawców, których wkład w budzenie miłości do gwary jest już nawet dzisiaj zauważalny, a w przyszłości będzie nieoceniony.

Celem Konkursu, czytamy w regulaminie, jest m.in. upowszechnienie za-

interesowania gwarą oraz poznanie obecnego stanu jej znajomości wśród mieszkańców Ziemi Cieszyńskiej, a przez to jej popularyzacja. Jak zauważają organizatorzy na prawym brzegu Olzy, gwara przestaje być językiem wyśmiewanym, wyszydzanym czy wręcz tępionym. Ponoć coraz więcej osób nie wstydzi się mówić gwarą. Kiedy w 1996 roku organizatorzy przymierzali się do konkursu, zastanawiali się, jakie będzie zainteresowanie nim i ile edycji uda się przeprowadzić. Zainteresowanie konkursem nie słabnie. Właśnie młode pokolenie stanowi znakomitą większość uczestników. W czterech konkursach uczestniczyło 221 osób, głównie dzieci i młodzież.

Konkurs ma charakter jawny i otwarty. Do udziału w nim można się zgłaszać indywidualnie, bez względu na wiek. Szczególnie mile są widziane osoby, które dotychczas nie występowały, oraz młodzież szkolna. Udział polega na wygłoszeniu z pamięci tekstu gwarowego (do 5 minut). Jury (Małgorzata Kiereś - przewodnicząca, Jadwiga Wronicz, Robert Danel, Marian Wójtowicz, a w poprzednich latach i Daniel Kadłubiec) ocenia interpretację, czystość gwary, wartość tekstu i ogólne wrażenie artystyczne. Konkurs odbywa się w kategorii dorosłych oraz dzieci i młodzieży. Dorośli, którzy w poprzednich konkursach zdobyli pierwsze i drugie miejsce, mogą w kolejnych edycjach wystąpić jedynie jako goście honorowi. Nie dotyczy to dzieci i młodzieży oraz tych dorosłych, którzy wcześniej byli wyróżnieni lub zajęli dalsze miejsca.

5 października br. zaprezentowali się w Miejskim Domu Kultury w Skoczowie gawędziarze ze wszystkich regionów Śląska Cieszyńskiego. Do zmagań przystąpiło w IV edycji Konkursu Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim 41 gawędziarzy (6 dorosłych i aż 35 dzieci oraz przedstawicieli młodzieży). Brakowało - ku wielkiemu zdziwieniu i jeszcze większej szkodzie - przedstawicieli Zaolzia. *Niestety, nie ma nikogo z Zaolzia. Nie wiem, jaki jest tego powód, ale bardzo żałujemy, bo naszą intencją jest, by występowali tutaj także reprezentanci czeskiej części Śląska Cieszyńskiego i pokazali nam, jak cieszyńska gwara brzmi po tamtej stronie Olzy* - słusznie zabiadolił Robert Orawski, prezes Towarzystwa Miłośników Skoczowa i dyrektor Miejskiego Domu Kultury.

Jury podkreśliło dobry poziom konkursu. *Cieszy, że uczestnicy przyjechali nie tylko z górskich, ale i nizinnych miejscowości, a większość gawęd branych jest z życia codziennego, a nie, jak to miało miejsce w poprzednich edycjach, z legend i bajek* - tłumaczyła etnolog, wykładowca Filii UŚ w Cieszynie i dyrektor Muzeum Beskidzkiego w Wiśle Małgorzata Kiereś.

Dyrektor Robert Orawski cieszył się, że stosunkowo dużo ludzi interesuje się jeszcze gwarą. Do niedawna był to język wykpiwany, teraz przeżywa pewien renesans i na nowo znajduje sobie miejsce w naszym życiu. Niestety jednak tego typu konkursy są spóźnione o co najmniej 30 lat. Podczas tych eliminacji słyszę po raz pierwszy niektóre zwroty. Okazuje się, że wiele słów na dobre znikło ze słownika gwarowego.

Ostatecznie jury postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody. Wśród dorosłych drugie miejsce zajęli ex aequo Zuzanna Raszka i Jan Sztwiertnia z Wisły, wyróżnienie otrzymała Danuta Póstulka z Górek Wielkich. W kategorii dzieci i młodzieży drugą lokatę ex aequo zajęli Małgorzata Szupina i Katarzyna Uherek ze Strumienia, Ewelina Raszyk z Simoradza oraz Michał Szarzec z Wisły, trzecie miejsce Dawid Zioła i Bogusław Drózd z Wisły oraz Jędrzej Cieślar z Bładnic, przyznano też kilka wyróżnień.

Finał Konkursu Znajomości Gwary na Śląsku Cieszyńskim odbył się 19 października w Domu Narodowym w Cieszynie. Prowadząca „po naszymu" koncert Małgorzata Kiereś powitała na sali honorowych patronów Konkursu: marszałka województwa śląskiego Jana Olbrychta, starostę powiatu cieszyńskiego Witolda Dzierżawskiego i i burmistrza Cieszyna Bogdana Ficka. Wśród organizatorów tegorocznego konkursu był również Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej, który na koncercie finałowym reprezentował dyrektor Leszek Miłoszewski. Małgorzata Kiereś odczytała nazwiska laureatów. *Pierwszych nagród nie przyznano, bo żoden nie powiedział tak, jak to miało być* - uzasadniła werdykt jury. Wszyscy laureaci zaprezentowali swoje umiejętności gwarowe w koncercie finałowym. Poszczególne występy przeplatał pieśniami ludowymi Regionalny Śpiewaczy Zespół Folklorystyczny Małokończanie z Kończyc Małych pod kierownictwem Urszuli Wierzgoń.

Piąty, jubileuszowy konkurs odbędzie się za dwa lata. I chyba ponownie, jak to miało miejsce w latach 1996 i 1998, z udziałem Zaolziaków - zarówno tych starszych, jak i tych młodszych. PZKO i jego Miejscowe Koła na pewno dołożą wszelkich starań, by tak naprawdę było.

JÓZEF WIERZGOŃ

MIĘDZYNARODOWY KONKURS PIEŚNI LUDOWEJ IM. STANISŁAWA HADYNY

REFLEKSJE POKONKURSOWE

Jak ogłosili organizatorzy, tj. Wiślańskie Centrum Kultury, Katedra Folklorystyki Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie oraz Zespół Pieśni i Tańca Śląsk im. Stanisława Hadyny, *adresatami Konkursu są osoby zaangażowane w działania kulturotwórcze, dla których folklor, dzięki budowaniu więzi społecznych, jest godnym pielęgnowania elementem kultury. Konkurs przeznaczony jest dla uczestników po-*

chodzących z terenu całej Polski, Czech i Słowacji, ze szczególnym uwzględnieniem terenów przygranicznych, gdzie kultury się mieszają, przechodzą jedna w drugą, a przy tym pozostają wyjątkowe i charakterystyczne dla poszczególnych regionów. Zdobycie nagrody w Międzynarodowym Konkursie Pieśni Ludowej daje podstawy uczestnictwa w kolejnych konkursach o podobnym charakterze na całym świecie, a także ubieganie się o zatrudnienie w profesjonalnych zespołach muzycznych.

Pomimo dobrego nagłośnienia Konkursu w mediach - w tym również na Zaolziu - ilość zgłoszonych uczestników, w porównaniu z poprzednimi edycjami, wykazała tendencję zniżkową. W 25 tylko pozycjach programowych zaprezentowało się ogólnie 13 solistów (z tego 9 z Zaolzia), 6 duetów (z tego 3 z Zaolzia), 5 grup śpiewaczych 5-10 osobowych (2 z Zaolzia) oraz 1 zaolziański chór szkolny Crescendo z PSP im. St. Hadyny w Bystrzycy. W sumie ponad 70 uczestników. Dla porównania, w Śląskim Śpiewaniu na samym tylko Zaolziu uczestniczy w sumie w ponad 50 pozycjach programowych średnio około 200 wykonawców.

Czteroosobowe jury pod przewodnictwem prof. Daniela Kadłubca (obok trzech jurorów z ZPiT Śląsk) wydało następujący werdykt: W kategorii solistów do 15 lat (dzieci) 1. miejsce zajął Filip Kozieł z PSP w Cz. Cieszynie, 2. miejsce Chrystian Heczko z PSP w Jabłonkowie, zaś 3. miejsce ex aequo Daria Hanus i Urszula Szarzec z Wisły. Wyróżnienie otrzymali Jakub Šafránek i Katarzyna Kaczyńska z PSP w Karwinie Nowym Mieście. W kategorii solistów powyżej 15 lat i dorosłych 1. miejsce zajęła Joanna Rzeszut z Średniej Szkoły Zdrowotnej w Karwinie, 2. miejsce Urszula Niedoba-Szczepaniak z czeskocieszyńskiego ZPiT Olza, 3. miejsce Michał Rzeszut ze Stonawy, obecnie student Filii UŚ w Cieszynie. W kategorii duetów pierwsze trzy miejsca zajęli Joanna i Michał Rzeszut, Anna i Natalia Drąg z PSP w Jabłonkowie oraz Justyna i Jonatan Samiec z Wisły. Wyróżnienie otrzymał młodziutki duet Kaczok z Kaczyc. W grupach śpiewaczych do 10 osób okazała się bezkonkurencyjna Lipka z PSP w Bukowcu, Sejizbianki (6 pań) z Wisły oraz 10-osobowy Zespół Wokalny z PSP w Karwinie Nowym Mieście. W kategorii chórów wyróżnienie otrzymało bystrzyckie Crescendo z PSP im. St. Hadyny. Wielkim sukcesem - podobnie jak i w latach poprzednich - zakończył się zatem Konkurs dla Zaolziaków, którzy wyraźnie zdominowali współzawodnictwo również pod względem ilościowym.

Oprócz dyplomów otrzymali laureaci nagrody pieniężne w granicach 100-1000 zł. Ponadto wyjazd na warsztaty artystyczne do Koszęcina, siedziby Śląska, zaproponowano Filipowi Koziełowi, Joannie i Michałowi Rzeszut, Urszuli Niedobie-Szczepaniak i Katarzynie Kaczyńskiej.

Poza konkursem odbył się również po raz pierwszy Przegląd Kapel Ludowych, zainicjowany przez PTA Ars Musica w Czeskim Cieszynie. Zgłosiły się jednak tylko dwie kapele działające pod auspicjami PTA Ars Musica - Sómsiek i Zorómbek z czeskocieszyńskiego gimnazjum, obie pod kierownictwem Leszka Kaliny oraz bukowiecka Lipka pod kierownictwem artystycznym Krystyny Mruzek.

Poziom wykonawstwa uczestników można określić jako bardzo dobry. W po-

równaniu ze Śląskim Śpiewaniem - jak zreasumował prof. D. Kadłubiec przed ogłoszeniem werdyktu jury - nie było tu estradowych popisów i innowacyjnych ciągotek, nie wysilano się na śpiew bel canto jak w operze, wykonawcy starali się ściśle przestrzegać logiki i ducha wykonawstwa pieśni ludowej - a cappella lub z towarzyszeniem instrumentu ludowego, uzupełniając to wszystko poprawnym strojem i uczesaniem. Nie było też rażących nieścisłości gwarowych danego regionu (chociaż jedna jest gwara cieszyńska, to jednak inaczej się mówi na Podbeskidziu, inaczej w Cieszynie, a jeszcze inaczej w Karwinie czy Orłowej). Pewne usterki pod tym względem wykazały jedynie dziewczyny z Katowic, które w pieśniach beskidzkich mazurzyły.

Do mankamentów konkursu zaliczyć trzeba małą różnorodność zaprezentowanych pieśni. Przytłaczającą większość stanowiły pieśni znane, brakowało pieśni tematycznie oryginalnych. Tych jednak trzeba skrzętnie i cierpliwie szukać (jak np. pieśni „Ach, Boże, mój Boże", którą zaśpiewało w duecie rodzeństwo Joanna i Michał Rzeszutowie). Nie wiadomo też, czy konkursowi wychodzi na dobre, iż jedna z dwu obowiązkowo wykonywanych pieśni musi być autorstwa czy też w opracowaniu Stanisława Hadyny, uczestnicy powtarzają bowiem prawie te same pieśni. To, że konkurs nosi imię Hadyny, chyba nie musi oznaczać, że każdy uczestnik powinien bezwarunkowo zaśpiewać przez Hadynę skomponowaną czy też opracowaną pieśń. Istotę konkursu stanowi chyba zaprezentowanie oryginalnych śląskich pieśni ludowych, których S. Hadyna był skrzętnym zbieraczem i których na szczęście jest mnóstwo. Sięgnąć tu można również do zbiorów innych badaczy śląskiej pieśni ludowej, takich jak Jan Tacina, Karol Piegza, Eugeniusz Fierla i inni.

Zasmucający i zastanawiający jest jednak przede wszystkim fakt, iż zainteresowanie konkursem - pomimo jego czwartej już edycji - wyraźnie przygasa. Z polskiej strony przybyło na konkurs z całego powiatu cieszyńskiego tylko parę śpiewaków z Kaczyc i Wisły. Prestiż konkursu ratują uczestnicy z Zaolzia. Ale i tu zaobserwować można jedno niepokojące zjawisko: w konkursie w dotychczasowych jego edycjach biorą udział niemal stale te same twarze - uczniowie PSP z Karwiny Nowego Miasta, Jabłonkowa, Bukowca, Bystrzycy. Może jednak w następnych wiślańskich edycjach będzie lepiej, skoro zdecydowano, iż laureaci eliminacji rejonowej Śląskiego Śpiewania w Czeskim Cieszynie nie będą kontynuowali w roku 2003 przeglądu w eliminacjach finałowych i koncercie galowym w Zabrzu, a zamiast tego uczestniczyć będą w Konkursie Hadynowskim. Czy jednak takie rozwiązanie sprawy okaże się trafne, pokaże przyszłość. Chyba wiślański konkurs nie powinien stać się na przyszłość wyłącznie „sprawą" Zaolziaków? I jeszcze jeden moment, niezbyt optymistyczny, konkursu w Wiśle: skromniutka garstka widzów, w większości rodziców i krewnych, przybyłych z pociechami na konkursowe zmagania. W tym roku było ich chyba najwyżej 10-15! A zatem wykonawcy śpiewają sami dla siebie. Śpiewanie przed samym tylko jury nie dodaje jednak otuchy, nie dopinguje i nie zachęca.

JÓZEF WIERZGOŃ

KAWA CZY HERBATA

Większość z nas wypija codziennie kilka filiżanek kawy i herbaty (chodzi o czarną herbatę). Czy zdajemy sobie sprawę z tego, jaki wpływ - dodatni i ujemny - mają te napoje na nasz organizm? Krąży na ten temat wiele opinii, często sprzecznych. A co mówią specjaliści?

Zarówno kawa jak i herbata spożywane z umiarem mogą mieć dodatni wpływ na funkcjonowanie zdrowego człowieka, ponieważ przy obróbce roślin, z których są produkowane, powstają cenne dla naszego organizmu składniki.

W procesie palenia kawy dochodzi do powstania niewielkiej ilości witaminy PP, która pomaga w tworzeniu energii komórkowej. Kawa pobudza krążenie i podnosi ciśnienie krwi, zalecana jest więc osobom z niskim ciśnieniem. Działa przeczyszczająco, toteż może pomagać w walce z nowotworami jelita grubego.

Również herbata reguluje przemianę materii, a zawarte w niej przeciwutleniacze zapobiegają powstawaniu chorób układu krążenia i nowotworów. Tu szczególne znaczenie ma herbata zielona. Zawarta w niej substancja obniża poziom cholesterolu we krwi, pomaga w procesie wchłaniania witaminy C. Ponadto zawiera składniki, które niszczą bakterie powodujące próchnicę zębów i choroby dziąseł.

To zalety kawy i herbaty pitej w niewielkich ilościach. Jednak przesada w ich spożywaniu może człowiekowi zaszkodzić, ponieważ szkodliwe stają się niektóre ich składniki w większych dawkach.

Osoby z wysokim ciśnieniem, cierpiące na zaburzenia pracy serca, a także marskość wątroby powinny zrezygnować z picia kawy. Kawa szkodzić może też osobom z dolegliwościami żołądkowymi, gdyż powstające w procesie palenia kawy substancje mogą drażnić żołądek.

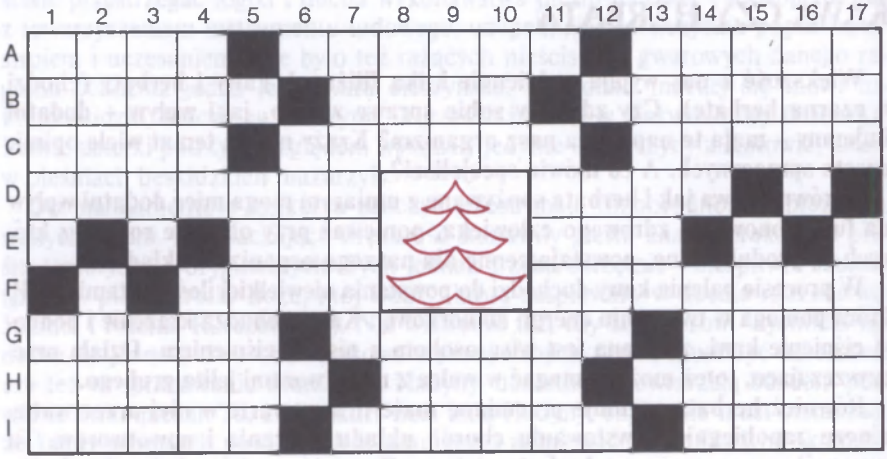
Moczopędne działanie kawy i herbaty może spowodować ubytek wapnia w organizmie i, co za tym idzie, większą łamliwość kości, pomocnym jest picie tych napojów z mlekiem. Kawa czy herbata do posiłków obniża zdolność wchłaniania żelaza z pokarmu. Dlatego lepiej popić obiad sokiem owocowym zawierającym witaminę C.

Kawa i herbata uzależniają. Gorsza pod tym względem jest kawa. Osoba przyzwyczajona do regularnego picia kawy przy braku zawartej w niej kofeiny staje się rozdrażniona, ma kłopoty z koncentracją, czuje się zmęczona. Mocna kawa szybko stawia na nogi. Trzeba jednak pamiętać, że jej działanie jest krótkotrwałe i kiedy ustępuje, człowiek staje się jeszcze bardziej zmęczony i senny niż przed jej wypiciem.

A zatem pić czy nie pić kawę i herbatę? Odpowiedź może być następująca: Pić z umiarem i wsłuchiwać się w reakcje własnego organizmu.

(dur)

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM

POZIOMO: A. Odcisk, trop; prymitywne narzędzie do połowu ryb; obraz religijny. **B.** ...nieufności lub zaufania; konstruktor angielski (James); dowcip. **C.** Uchwyt ślusarski; półwysep w W. Brytanii; gatunek papugi. **D.** Gruby papier wielowarstwowy; jego stolica jest Bagdad. **E.** Harmonijny porządek; antonim dnia. **F.** Japoński napój alkoholowy; Y. - **G.** Instrument perkusyjny; suma złożona jako gwarancja; urodzajne miejsce na pustyni. **H.** Ryba okoniokształtna; manewr w boksie; gwara środowiskowa. **I.** Zamknięta grupa społeczna; dowódca wojsk kozackich; miejscowość i rzeka w Rosji.

PIONOWO: 1. Asysta, orszak; zbiornik na paliwo. **2.** Stolica Togo; kończyna. **3.** Gwałtowne napady choroby; najniższy głos męski. **4.** Droga w lesie; architekt amerykański pochodzenia hiszpańskiego. **5.** Fuksja. **6.** Zatopiony statek. **7.** Osoba składająca zeznania. **8.** Iwan IV Groźny; piłka poza boiskiem. **9.** Pierwiastek chemiczny; rzeka w Chorwacji. **10.** Litera alfabetu greckiego; literat i bibliofil (Albert). **11.** Służy do kreślenia. **12.** ... naftowa. **13.** Pisarz kolumbijski (Jorge). **14.** Imię Douglasa; brytyjski aktor filmowy. **15.** Płynie jak Wisła szeroka; sztandar, chorągiew. **16.** Prąd rzeki; alotropowa odmiana tlenu. **17.** Skala światłoczułości; legendarny książę czeski.

Wyrazy trudne: CIM, KANA, SERT, WIRBAL.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: G-11, I-2, D-14, C-1, A-7, C-6, B-7, F-11, H-15, B-14, A-2, D-11, G-2, I-8, E-6, D-3, H-10, A-1, E-13, I-17, E-5, F-14, C-16, A-15, H-5.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań przyznane zostaną drogą losowania nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca grudnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego: JAKI KRZYK TAKIE ECHO.

Nagrody książkowe wylosowali: **Emilia Nieborasowa** - Trzyniec
Janina Procházka - Karwina Mizerów
Wanda Żmija - Stonawa

SPIS TREŚCI

ROCZNIK LIII - NR 1-12 (626-637)

ARTYKUŁY OGÓLNE

Bałon Franciszek: Jeden dzień w Łomnej, nr 8, ss. 8-13.

C.R.: Czytajmy dzieciom. Kampania „Cała Polska czyta dzieciom" na czeskim gruncie, nr 9, ss. 59-60.

Danel Robert: Bezcenne szpargały, nr 12, ss. 10-15.

Chowaniec Roman: W służbie Bogu, ludziom i ojczyźnie, nr 7, ss. 71-72.

Jaworski Kazimierz: Śladami Żwirki i Wigury, chociaż nie tylko, nr 9, ss. 11-14, Oskar Lanc z Końskiej siedemdziesięcioletni, nr 9, ss. 73-74.

Kołorz Alfred: Jeśli nie limity, to co?, nr 10, ss. 5-6.

Kubień Władysław: Bliżej siebie - migawki z Bukowiny, nr 11, ss. 14-20.

Majcherowiczowa Zofia: Dom wielu pokoleń, nr 12, ss. 28-32.

Pachecka Jadwiga: Wartość gwary i jej rola na pograniczu kultur, nr 4, ss. 3-6.

Piechota Edyta: Procesy społeczno-kulturowe określające polską społeczność na Zaolziu, nr 3, ss. 3-6.

Rudnik Czesława: Wystawa Polskiej Książki, nr 1, ss. 31-33, Literacko-plastyczne drogi i bezdroża w i poza szkołą, nr 3, ss. 13-17, Z wizytą u Anieli Kupiec, nr 4, ss. 9-14, VIII Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC, nr 5, ss. 3-8, O karwińskiej Filii Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie i jego wychowankach oraz o Towarzystwie Szkoły Ludowej w Krakowie. Rozmowa z Romanem Baronem, nr 5, ss. 10-14, Między Trzyńcem, Czeskim Cieszynem a Pragą. Rozmowa z Tadeuszem Szkucikiem, nr 6, ss. 10-14, O recepcie na długowieczność, a także o młodzieży, naszym języku i przyszłości. Rozmowa z prof. Karolem Danielem Kadłubcem, nr 7, ss. 3-8, Tradycja Gorolskigo Święta w Jabłonkowie, nr 8, ss. 3-4, X Światowe Forum Mediów Polonijnych, nr 10, ss. 22-26.

Rusek Halina: Ojczyzna i „swoi" dla ludzi pogranicza etniczno-kulturowego - dylemat dwoistości. Na przykładzie pogranicza polsko-czeskiego, nr 6, ss. 3-9, Związki aktywności społeczno-kulturalnej z aktywnością religijną Polaków zaolziańskich, nr 12, ss. 3-9.

Sikora Władysław: Jacy jesteśmy?, nr 11, s. 50.

Stopa Zygmunt: PZKO 2002-2005. Program i problemy, nr 1, ss. 3-7, Jeśli nie my i nie teraz, to kto i kiedy?, nr 10, ss. 3-5.

Stróżczyk Elżbieta: Zjednoczona Europa naszym wspólnym domem, nr 1, ss. 15-16, U przyjaciół za Olzą, nr 6, ss. 65-66, 25 lat Domu PZKO w Gutach, nr 8, ss. 5-7.

Wierzgoń Józef: Po IV konkursie znajomości gwary na Śląsku Cieszyńskim, nr 12, ss. 66-68.

HISTORIA, WSPOMNIENIA

Biernat Adam: Stosunki polsko-czechosłowackie na przełomie wojny i pokoju, cz. 2, nr 1, ss. 10-14, cz. 3, nr 2, ss. 16-21, Rozpad Czechosłowacji - zbieg okoliczności czy logika historii?, nr 11, ss. 3-8.

Grzebień Brunon: Mój dobry Anioł

Stróż (1), nr 3, ss. 18-23, (2), nr 4, ss. 18-21, (3), nr 5, ss. 15-18.

Guziur Janusz: Jubileusz górnosuszanki Róży Szczyrby, nr 1, ss. 23-27, Budka babci Guziurki, nr 2, ss. 22-26.

Jaworski Kazimierz: O historii regionu inaczej, nr 1, ss. 28-30, Siedemdziesięciolecie urodzin historyka i społecznika, nr 6, ss. 67-69.

J.G.: Wspomnienie o dyrektorze Rudolfie Paszku, nr 6, ss. 24-29.

Kula Józef: Historycy regionu o 70-leciu tragedii cierlickiej, nr 8, s. 67.

Lanc Oskar: Kanada dzielnicą Trzyńca, nr 5, ss. 73-74.

Nalewajka Mariola: Harcerski rodowód, nr 12, ss. 21-22.

Pawlas Andrzej: Gościnna Szkocja, nr 4, ss. 23-25, Pamięć o ofiarach pierwszej i drugiej wojny światowej, nr 7, ss. 69-70, O spółdzielni Jednota-Jedność refleksji kilka, nr 10, ss. 20-21.

r.: Jeszcze o budce babci Guziurki, nr 4, s. 72, Kościoły Cierlicka, nr 9, ss. 4-5.

Rudnik Czesława: Całym życiem pełnić służbę. Harcerstwo na Zaolziu, nr 10, ss. 8-12.

Siwek Tadeusz: Nasza historia na opak, nr 3, ss. 8-12.

Wojnar Wiesław: „Prawda o Cierlicku" (fragment), nr 9, s. 3.

Wójcik Rudolf: Wycieczka Beskidu Śląskiego do Polski, nr 4, ss. 27-30, Pamiętnik Rudolfa Wójcika (1), nr 7, ss. 9-16, (2), nr 8, ss. 14-21, (3), nr 9, ss. 16-21, (4), nr 10, ss. 14-19, (5), nr 11, ss. 8-13, (6) nr 12, ss. 17-20.

Zahradnik Stanisław: Żwirkowisko - pamięci początek, nr 9, ss. 6-9, Uroczystości pogrzebowe świadczyły o wielkości księdza Franciszka Moronia, nr 9, ss. 22-24.

POLACY POZA KRAJEM

Rudnik Czesława: Zbliżyć się do człowieka. Spotkanie z Władysławem Oszeldą, nr 5, ss. 60-65, Głód chleba podsyca tęsknotę do ojczyzny. Polacy na Kaukazie, nr 11, ss. 21-22, Głos polski z Argentyny, nr 12, ss. 22-27.

Słowiaczek Marek: Sztuka jest posłannictwem. Rozmowa z Dariuszem Pacakiem, nr 4, ss. 56-59.

DOKUMENTY

Statut Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC, nr 1, ss. 3-8.

Ustawa O prawach członków mniejszości narodowych i o zmianie niektórych ustaw, nr 2, ss. 8-15.

Statut Kongresu Polaków w RC, nr 6, ss. 16-21.

Uchwała VIII Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC, nr 6, ss. 22-23.

KRONIKA

A.P.: Błędowice po XXXIII Dożynkach Śląskich i po kościelnym św. Bartłomieju, nr 10, ss. 34-35.

Bałon Franciszek: III Europejski Festiwal Polonijnych Zespołów Tanecznych i Folklorystycznych Recklinghausen 2002, nr 11, ss. 30-34.

B.S.: Złote róże dla jubilatów, nr 4, s.34.

C.R.: Jubileusz w szkole nad Łucyną, nr 1, ss. 34-36, Aniela Kupiec w czeskocieszyńskim Klubie Propozycji, nr 1, s. 37, Spektakl nydeckiego Klubu Młodych w Stonawie, nr 1, s. 40, Lekarze i miłośnicy książki słuchali Karola Suszki, nr 1, s. 40, Konwent Prezesów, nr 3, ss. 44-45,

Polskie Gimnazjum pod obserwacją, nr 4, ss. 38-39, Jabłonkowska Kawiarenka Pod Pegazem w cieszyńskim Domu Narodowym, nr 5, s. 29, Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki, nr 5, s. 30, Gawędy Leszka Mazana, nr 5, s. 31, Konwent Prezesów, nr 6, s. 31, Mistrz Krzyżówek Przekroju, nr 6, s. 31, Do źródeł Olzy, nr 6, s. 36, Muzyczny Kluboturniej, nr 6, s. 42, Zabytkowe obiekty przemysłowe w plastyce, nr 6, s. 47, Maj nad Olzą, nr 7, ss. 40-41, Promocja książki o Karwinie, nr 7, ss. 41-42, Szkapa na Strzelnicy, nr 8, s. 37, Frysztaccy pezetkaowcy bilansują, nr 8, s. 44, Odpust w Karwinie Raju. Jubileusze rajskich Polaków, nr 9, ss. 29-30, Poloniści uczą się polskiego w Szkole Języka i Kultury Polskiej UŚ, nr 10, ss. 29-30, Biblioteka po remoncie. W Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, nr 11, ss. 27-29, Cały Czeski Cieszyn czytał dzieciom, nr 11, ss. 38-39, Spotkanie solczan, nr 11, s. 42, Czym żyje gimnazjum, nr 12, s. 34, Lutczyn, nr 12 s. 36.

D.G: Występy chóru Grodkovia, nr 3, ss. 42-43, Pobyt na Warmii i Mazurach, nr 10, ss. 38-39, Na zielonych stołach, nr 12, s. 35.

dk: PZKO-wskie odznaczenie dla prof. Jana Szczepańskiego, nr 10, ss. 31-32.

E.S.: Prof. Andrzej Stelmachowski w Czeskim Cieszynie, nr 1, s. 38, Dom MK PZKO w Mostach po remoncie, nr 2, ss. 32-33, Koncert Świąteczny w Trzyńcu, nr 2, ss. 34-36, W gościnie u czeskocieszyńskiej Harfy, nr 3, s. 36, 80 lat Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego Beskid Śląski, nr 4, ss. 35-37, Srebrne Spinki, nr 4, s. 40, Wystawa o Janie Kiepurze, nr 4, s. 41, Teatralna wiosna w Żukowie, nr 4, ss. 44-45, Wielkanoc 2002, nr 5, ss. 32-33, Na wesoło w Łomnej Górnej i Dolnej, nr 5, ss. 35-37, Spotkanie zaolziańskich przedsiębiorców, nr 5, s. 39, Powitanie Wiosny, nr 5, s. 41, 50 lat działalności MK PZKO w Karwinie Nowym Mieście, nr 6, ss. 32-35, Wystawa MK PZKO Bystrzyca, nr 6, ss. 45-46, Inauguracja ekumenicznej wspólnoty, nr 6, s. 46, Stowarzyszenie Inteligencji Chrześcijańskiej, nr 8, s. 36, Święty Jón w Bystrzycy, nr 8, ss. 38-39, Wystawa obrazków na szkle Antoniego Szpyrca, nr 8, ss. 41-42, III Międzynarodowe Spotkanie Folkloru, nr 9, ss. 42-44, Dożynki w Oldrzychowicach, nr 10, ss. 36-37, Festyn w Koszarzyskach, nr 10, ss. 39-40, Koncert w Ligotce Kameralnej, nr 10, s. 42, Pamięci Żwirki i Wigury, nr 11, ss. 35-37, Jesienne wystawy, nr 12, s. 38.

F.B.: „Dlo każdego cosi dobrego", nr 1, s. 39, Jesienne mgły, nr 1, s. 41, Rewia na 105, nr 1, ss. 42-43, Bal Gorolski po raz 24, nr 2, ss. 37-39, Spotkanie z nutką... nostalgii, nr 2, ss. 41-42, Nasi plastycy jubilaci, nr 2, s. 42, Paweł Wałach, nr 2, ss. 42-45, Walter Taszek, nr 2, ss. 45-47, Zjazd Gwiaździsty po raz trzydziesty pierwszy, nr 3, ss. 33-35, Spotkanie noworoczne przedstawicielek Klubów Kobiet, nr 3, ss. 36-39, Wystawa twórców niezrzeszonych w żadnym związku, nr 4, ss. 46-47, Koncert Wiosenny w Nawsiu, nr 6, ss. 38-39, Drops bawił i bawi Olbrachcice, nr 6, s. 42-43, Mistrzostwa polskich szkół w pływaniu, nr 6, ss. 44-45, Spotkanie z premierem Leszkiem Millerem, nr 7, ss. 46-47, Plener Malarski Beskidy 2002, nr 10, ss. 43-45, Bronisław Liberda jubileuszowo, nr 10, ss. 46-47, Lira.., nr 12, s. 42.

Górecki Józef: O pracy Sekcji

Ludoznawczej ZG PZKO w roku 2002, nr 8, ss. 40-41.

Chowaniec Roman: Uroczystości św. Melchiora, nr 10, s. 41.

Jaworski Kazimierz: Rezydencje szlacheckie w Księstwie Cieszyńskim, nr 3, s. 41.

J.K: Świąteczne spotkanie łęczan, nr 2, s. 32.

J.W.: Pożegnanie lata z folklorem, nr 11, s. 38.

kaja: Koncert Wiosenny, nr 6, s. 30, Czadownica w Milikowie, nr 7, ss. 42-43.

kj: Biuletyn Ludoznawczy, nr 3, s. 44.

kor: Dożynki w Gutach pod znakiem jubileuszy, nr 10, ss. 32-33.

mus: XX Igrzyska Lekkoatletyczne, nr 7, s. 38, 95 lat bogumińskiej szkoły, nr 7, s. 39.

Pawlas Andrzej: Owocna działalność Klubu Kobiet MK PZKO w Błędowicach, nr 3, s. 40.

r: Nowina w Warszawie, nr 2, s. 40, Dwusetny występ Andrusów, nr 2, s. 40, Wystawa plastyków w Karwinie, nr 4, ss. 42-43, Pięćdziesięciolecie przedszkola w Gnojniku, nr 5, s. 40, Ku czci ofiar wojny, nr 6, s. 37, Dzień Oszeldy w Nieborach, nr 7, s. 40, Poleśniki, nr 8, ss. 42-43, Obóz nieco inaczej, nr 9, ss. 46-47, Wspomnienia z kolonii polonijnych, nr 9, s. 52.

Richter Leszek: Z działalności Sekcji Ludoznawczej, nr 2, s. 31, nr 7, ss. 43-44, Z działalności Sekcji Ludoznawczej, nr 12, ss. 35-36.

Rudnik Czesława: Festiwal PZKO Karwina 2002, nr 7, ss. 30-37, Gorolski Święto w Jabłonkowie po raz pięćdziesiąty piąty, nr 9, ss. 31-41.

Stróżczyk Elżbieta: Szkoła w Bukowcu, nr 8, ss. 32-35.

T.T.: Elektrycy bilansowali, nr 4, ss. 34-35, Wycieczka i prelekcja, nr 6, s. 30.

Wierzgoń Józef: Dzień węgierskiej Polonii, nr 9, ss. 45-46.

POEZJA

Chyc Dominika: Trzecia pora roku, Platonika, nr 12, ss. 48-49.

Halaš Xaver František: Zakopconym słowem szukam listu z blizną, nr 9, ss. 48-49.

Jasiczek Henryk: Ecce homo, Zostańcie tu z Bogym, Na podziękowanie za życzenia urodzinowe, Józefom, nr 8, ss. 46-50.

Kulmowa Joanna: Czy są proste kraje, nr 6, s. 1.

Kupiec Aniela: Na skraju wiosny, nr 4, s. 1, Jako bych mógła zapómnieć o Tobie ziymio?, nr 4, s. 8, Między grządkami, nr 4, s. 15, Mój nejlepszy placek, nr 4, ss. 16-17.

Łobodowski Józef: Tryptyk zamiast testamentu, nr 11, s. 1.

Maulana Dżalal Ad-Din Rumi: Wiersze, nr 7, ss. 48-49.

Pacak Dariusz: Ukołysanie, Dojrzałość, O sztuce śnienia, nr 4, ss. 48-49.

Przeczek Lech: Wyścig, Pojedynek, Monolog, Przeczucie, Stracona szansa, nr 10, ss. 48-49.

Przeczek-Waszkowa Lucyna: Piękna jest pomarańcza na śniegu, nr 3, ss. 46-49.

Przeczek Wilhelm: Świt, Karczowisko, Wyciszanie, Pochwała Szwejka, nr 2, ss. 48-49.

Putzlacher Renata: Pomiędzy, nr 1, ss. 44-45.

Sikora Władysław: Pod brzegami, nr 5, s. 47, Godzinki zaolziańskie, nr 11, ss. 48-49.

Twardowski Jan: Kłopoty zakochanych, Krótka i długa, Niecierpliwa, Jeśli miłość, Jest miłość trudna, nr 6, ss. 48-49.

Wierzyński Kazimierz: Cierlicko, nr 9, s. 1.

Wratny Jerzy: Zjawy majowe, Chciałbym, Lato, Spacer przy domu, nr 5, ss. 44-45.

AFORYZMY
Lech Przeczek, nr 3, nr 55.

PROZA
Adamec Maryla: Tajemnica skradzionej poezji, nr 7, ss. 18-28, nr 8, ss. 22-31.

Berger Wiesław Adam: Lato 1994 Fiumare, nr 6, ss. 50-54.

Cyganik Henryk: Cosik śmiysnego Jaśka Plewowego, nr 8, ss. 70-71.

Gojawiczyńska Pola: Święta rzeka, nr 2, ss. 50-54.

Janek Stokłosa (fragment), nr 3, ss. 50-53.

Kubaj Karol: Grusza, nr 1, ss. 49-50.

Kupiec Aniela: Mama je dycki mama, nr 5, ss. 54-58, Pustelnia czy świat, nr 8, ss. 52-55, Cud?, nr 12, ss. 50-54.

Sikora Władysław: Maria, nr 4, ss. 50-52, Sny (1), nr 10, ss. 50-55, (2), nr 11, ss. 43-47.

Vejlupek Miroslav: Wiek przejrzystości, nr 9, ss. 50-51.

SZKICE O LITERATURZE
C.R.: Literackie spotkania w Jabłonkowie, nr 9, ss. 62-63.

E.S.: Nagroda Fundacji Kościelskich dla Renaty Putzlacher, nr 12, s. 43.

Humel Aleksandra: Tajemnice „Tomka" i Alfreda Szklarskiego, nr 9, ss. 24-28.

Jaworski Kazimierz: Na marginesie poezji Bogdana Trojaka, nr 5, ss. 51-53, List do Adama (Bergera), nr 7, ss. 61-62.

Jędrychowski Zbigniew: Pastor i nieznajomy, czyli „Dziady" w Kamieńcu Podolskim, nr 6, ss. 58-63.

Korzenny Jan: Prekursor związków czesko-polskich (w 50. rocznicę śmierci Mariana Szyjkowskiego), nr 9, ss. 53-54.

Martinek Libor: Władysław Sikora - Hustý život býval /Gęste było życie, nr 5, ss. 49-51.

Pelikánowa-Kardyni Krystyna: Czeska recepcja przekładowa i krytyczna dzieł Zygmunta Krasińskiego, nr 2, ss. 27-30, Od M'ironii do mironaliów. O twórczości Mirona Białoszewskiego w 80. rocznicę urodzin, nr 11, ss. 23-26.

Przeczek Wilhelm: Kim był Maulana Dżalal Ad-Din Rumi?, nr 7, s. 50, XII Międzynarodowa Jesień Literacka Pogórza, nr 12, ss. 55-59.

Stróżczyk Elżbieta: Jerzy Wratny - poeta, nr 5, ss. 42-43.

Štroblowa Jana: Wspominanie Jaroslava Seiferta, nr 4, ss. 62-64.

Všetička František: Brzegi płomienia, nr 9, ss. 56-57.

OKRUCHY LITERACKIE
C.R.: nr 2, ss. 55-57, nr 8, ss. 56-58.

MŁODE PIÓRO
Adamec Maryla: Prawdziwa historia Kopciuszka, I zabrzmiały brawa, Podróże kształcą, nr 1, ss. 51-53.

Feichtinger Ewa: Polska książka na Śląsku Cieszyńskim, nr 2, s. 58.

Jedzok Darek: Autorytet, nr 12, ss. 46-47.

Kołek Krzysztof: Czego oczekuję po nowym tysiącleciu, nr 10, ss. 56-60.

Kurzępa Artur: Piękny jest kraj nad Olzą, nr 9, s. 58.

Sabela Janina: Piękny nasz kraj nad Olzą, nr 8, ss. 68-69.

Szymańska Dominika: Piękny nasz kraj nad Olzą, nr 7, ss. 52-54.

Wania Ryszard: Zaolziański rodowód - zysk czy strata, nr 11, ss. 52-43.
Wykręt Wojciech: Wiersze, nr 4, s. 53.

NA NASZEJ SCENIE
Pindór Mirosława: Przygraniczna wymiana teatralna, nr 5, ss. 22-28.
Rudnik Czesława: Solą teatru jest teatr alternatywny. Rozmowa z Januszem Klimszą, nr 1, ss. 17-22, Nowy festiwal teatralny w Czeskim Cieszynie, nr 1, s. 53-54, Bajka o Kopciuszku, nr 1, ss. 54-55, Miło poszaleć... z panną Ewą, nr 2, ss. 59-60, Co śpiewano w Galicji i nie tylko, nr 3, ss. 56-59, Szkapa rży już pięć lat, nr 5, ss. 69-70, Teatry na Granicy, nr 6, ss. 69-71, Ballada o Balladynie, nr 6, ss. 73-74, W lesie Karkonosza, nr 6, ss. 75-76, Mosty do ludzi Wiesława Adama Bergera, nr 7, ss. 63-66, Bajka w New Yorku, nr 7, ss. 67-68, „Rewizor" w Czeskim Cieszynie, nr 8, ss. 60-61, Smaczna kolacja Francoisa, nr 11, ss. 59-62, Mądry osioł, głupi Jaś, nr 11, ss. 63-65.
Stróżczyk Elżbieta: 60 lat minęło... Panie Karolu, nr 8, s. 59.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH
C.R: Książka o sprawach niemal zapomnianych, nr 7, ss. 57-59.
Jaworski Kazimierz: Struktury z polonikami, nr 1, ss. 58-59, Z naszych wydawnictw w roku 2001, nr 2, ss. 61-63, Trudne pogranicza, nr 3, ss. 63-66, Jabłonków po raz drugi, nr 4, s. 55, Jak spełniają się marzenia, nr 5, ss. 65-67, Ołomuniec literacki, nr 7, ss. 54-55, Polacy na Zaolziu, nr 7, ss. 56-57, O szkolnictwie katolickim i nie tylko, nr 10, ss. 62-63, Jubileuszowa publikacja o Żwirkowisku, nr 11, ss. 54-55, Śląskie tragedie, nr 11, ss. 56-58.
K-r: Działalność wydawnicza Macierzy, nr 1, s. 57.
Przeczek Wilhelm: Ciekawa książka Richarda Sobotki, nr 3, ss. 60-61.
Świątkiewicz Wojciech: Czy religia sprzyja polskiej tożsamości kulturowej?, nr 12, ss. 63-66.

PLASTYCY I ICH DZIEŁA
Bałon Franciszek: Pierwszy rok Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, nr 3, ss. 24-28.
C.R.: Akwarele w karwińskiej Bibliotece Regionalnej, nr 6, ss. 56-58.
F.B: Jubileusz Zofii Wanok, nr 4, ss. 31-33.
Firla Bronisław: Sztuka jest subiektywną deformacją natury, nr 3, ss. 32-33, Wernisaż karwińskiej wystawy Józefa Mackowskiego, nr 7, ss. 44-46.
Kaja: Malarstwo Jana Rusnoka, nr 11, ss. 40-41.
Pawlas Lidia: Stowarzyszenie Artystów Plastyków w roku 2001, nr 3, ss. 29-30.

FOTOGRAFICY ZAOLZIA
Nowak Karol: nr 1, ss. 46-47.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH
C.R.: Jubileusz chóru żeńskiego Kalina, nr 1, ss. 64-65, Koncert jubileuszowy w Marklowicach Dolnych, nr 1, ss. 68-69, Pieśnią do naszych serc. Przegląd pieśni chóralnej w Suchej Górnej, nr 2, ss. 67.
D.G.: Obchody 75-lecia chóru mieszanego Hasło, nr 1, ss. 66-67, Chór Hasło w Prudniku, nr 11, ss. 69-70.
Górecki Józef: Plany i perspektywy chóru Lira z Darkowa, nr 9, s. 70.
I.M.: Piętnastolecie chóru mieszanego Zgoda, nr 2, ss. 72-74.
Suszka Krystyna: O jubileuszowym

koncercie Collegium Canticorum, nr 2, ss. 68-71.

Wania Iwona: Canticum Novum w Dolomitach, nr 10, ss. 64-65.

Wierzgoń Józef: Wspólny koncert Góroli i Śląska, nr 1, ss. 60-61, I Festiwal Chórów Śląskich w Ustroniu, nr 1, ss. 61-63, Nowa inicjatywa śpiewacza, nr 9, ss. 65-69, Uroczysty koncert odpustowy, nr 9, ss. 70-71, 55. urodziny Gorola, nr 10, ss. 66-71, Na 75-lecie zorganizowanego śpiewactwa chóralnego, nr 11, ss. 65-69, Uroczy koncert w Karwinie, nr 11, s. 71, Międzynarodowy Konkurs Pieśni Ludowej im. Stanisława Hadyny. Refleksje pokonkursowe, nr 12, ss. 68-70.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Folwarczny Gustaw: Był już taki pożyteczny kalendarz, nr 3, ss. 68-69, A może pomoże?, nr 3, ss. 69-70.

Szeliga Wincenty: Burzliwe dzieje koszar bogumińskich, nr 11, ss. 72-74.

Szopa Franciszek: nr 5, s. 20.

wa: Wynaradawianie na Śląsku Cieszyńskim w ubiegłym stuleciu, nr 10, s. 72.

TO I OWO

nr 2, ss. 64-66, nr 4, ss. 59-60, nr 6, ss. 63-65, nr 8, ss. 61-65, nr 10, ss. 27-28, nr 12, ss. 60-63.

ZE STARYCH KALENDARZY

Chodźko Ignacy: Święcone w polskim dworze, nr 3, ss. 72-73.

Rady gospodarskie, nr 4, s. 73.

HUMOR SPRZED LAT

Nr 1, ss. 76-77, Żarty z brodą, nr 4, ss. 74-75, Śmiych Macieja. Ze zbioru Ludwika Cienciały, nr 8, ss. 72-73, Żarty lat trzydziestych, nr 10, s. 76.

POŻEGNANIA

Halina Kowalczykowa, nr 2, ss. 76-77.

Franciszek Babiuch, nr 4, ss. 67-68.

Jerzy Taraba, nr 4, s. 69.

Jan Macura, nr 4, s. 70.

Stanisław Kraus, nr 6, ss. 77-78.

Zofia Wanok, nr 7, s. 74.

Edward Buława, nr 8, s. 66.

Karol Kubica, nr 9, s. 74.

NASZE ZDROWIE

dur: Pokaż język, nr 2, s. 78, Dbasz o serce? Jedz orzechy. Jogurty są różne, nr 5, s. 76, Nie jedzmy pleśni, nr 7, s. 75, Wiek metrykalny i wiek biologiczny, nr 10, ss. 74-75, Dania w proszku, nr 11, ss. 75-76, Kawa czy herbata, nr 12, s. 71.

MOZAIKA

Buda: Jak my z ciotkóm z Mostów jechali do szwoczki, nr 11, ss. 77-78.

Derlich Franciszka: Kumedyja z babuciym, nr 5, s. 77.

Janina: O jednym kłobuku, nr 4, ss. 76-78.

Kadłubiec Karol Daniel: Skoro zapómniane. O radościach i smutkach starej Karwiny, nr 7, ss. 77-78.

Kubiczek Jan: Suknia do sprawki. Pozdrowiyni króla zwierzónt, nr 8, ss. 74-75.

Pawlasowa Amalia: Opowiadania, nr 1, ss. 71-74, Chłop i diabeł, nr 3, ss. 73-77, Sknyra, nr 9, ss. 77-78, Do nieba, nr 10, ss. 77-78.

Starzik W.: Jak w gorach, jak na rekreacyji, nr 2, ss. 74-75.

SZCZĘŚLIWYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA,

DUŻO ZDROWIA I POMYŚLNOŚCI

W NOWYM ROKU

ŻYCZY REDAKCJA

Miesięcznik ZWROT numer ewidencyjny MK ČR E 389

WYDAWCA: POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
IČO: 442771
przy wsparciu finansowym rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA: ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny), CZESŁAWA RUDNIK (redaktor), FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji), ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI: ul. Strzelnicza 28, 737 01 CZESKI CIESZYN,
tel. i fax: 558 712 261, e-mail: zwrot@pzko.cz

RADA REDAKCYJNA: Kazimierz JAWORSKI,
Krzysztof NOWAK, Lidia PAWLAS, Oskar PAWLAS, Halina RUSEK,
Józef WIERZGOŃ, Stanisław ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów - fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn, druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów niezamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 180 Kč, z wysyłką pocztową 264 Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ISSN 0139-6277

NASZE DOMY



DOM PZKO W NAWSIU

Odes.: Redakce ZWROT
J. Božka 16
737 01 Český Těšín

O.P.
P.P.
701 001/02
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN 1

NASZE ZAOLZIE

OKOLICE NAWSIA

